Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Gi 719

PO PRACY:

bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

R.1910 nr 1-53

KATOWICE

Gi. 719

Po pracy
1910

Nr. 1. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 1 stycznia 1910.

ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

GŁÓD W CHACIE!

Pamiętasz matko, jak ten głód,
Do naszej chaty pukał wrót,
Pamiętasz, ty pamiętasz,
Gdy w zimie srebrny lód i szron,
Tak wdzierał się ze wszystkich stron.
Jak chwast na ludzki cmentarz!

Gdy skalnych turń tatrzańskich mur
Obielił mróz... i szczyty gór
Osrebrzył w lodu sople...
I mógłby nieraz zemrzeć ptak,
Bo trudno było u nas tak
O chleba kęs, o mleka kroplę!

Nieraz na czarny chleba kęs
Łzy nam kapały z smutnych rzęs,
O matko ty żałosna,
O, bo jak trudno dzień po dniu,
Bez ukojenia i bez tchu,
Czekać nim przyjdzie wiosna.

O matko, matko w taką noc,
Taka nas boleść, taka moc
Ogromna i cierpiąca,
Że kto raz taki przeżył sen,
Za nic mu potem choćby w dzień
Promienie błysły słońca!



Wolny...

(Przekład z francuskiego).

Pierwszy raz, gdy przyszła małemu Cagnardowi fantazja nie jeść zupę, usłyszał z ust ojca ironiczną uwagę: „Rób, jak ci się podoba — jesteś wolny". Nie rozumiejąc dokładnie wyrazu „wolność", skonstatował jednak niezadługo bolesne kurczenie się żołądka, ucieszył się więc z pozwolenia spożycia zupy — wystygłej zupełnie. To było pierwsze zetknięcie się Cagnarda z wolnością; pozostało mu wspomnienie, które życie miało nieraz jeszcze budzić.

Pewnego wieczora, gdy już odzież jego potarganą była w strzępy, rzekł mu ojciec: „Chłopcze, nie mam na to, by ci sprawić ubranie; trzeba będzie iść do plebanji, dostaniesz tam jakie spodnie Teodora". Gdy malcowi nie przypadł ten plan do smaku, usłyszał znów cierpkie wyrazy: „Jak chcesz — jesteś wolny". Ale w źle opalonej izbie zamróż bieliła się na ścianach — mały Cagnard, drżąc z zimna, poddał się konieczności...

Biegł ciężko za ojcem, gdyż śnieg wciskał mu się w rozłupane podeszwy... Nareszcie plebanja!

— Ano, chłopak niczego — rzekł ksiądz i polecił pani gospodyni wyjąć z szafy trochę garderoby; a potem, zwróciwszy się doń, dodał z mina uroczystą: Co czwartek od godziny 8 do 11 będziesz tu przychodził na rekolekcje, a w niedzielę na mszę świętą. Pamiętaj, że ciebie znam i nieobecność bym zauważył. Zresztą nie zmuszam ciebie — jesteś wolny.

Że człowiek rodzi się, żyje i umiera wolnym nasłuchał się potem Cagnard w szkole niemało; ale, broń Boże, odezwać się inaczej, niż nauczyciel każe! „Jeżeli mi nie wolno mówić, co myślę, to za to wolno mi mówić, co nie myślę"... Takim sofizmatem musiał się pocieszać mały Cagnard na ławie szkolnej.

Aż wreszcie przyszła chwila uroczysta: doręczenie świadectw z ukończenia szkoły, przypieczętowane uświęconym frazesem: „Teraz kochani moi, jesteście wolni".

Biedny Cagnard, nie umiejący torować sobie drogi łokciami, nie mający stosunków ni pretekcji, niełatwo znalazł lichą posadkę. Latami zapisywał stosy papieru. Inni dostawali gratyfikacje, awansy — jego omijało wszystko — nie miał szczęścia wpaść w łaskę szefa. Aż wreszcie kiedyś, gdy po raz setny rozwiała się nadzieja na polepszenie losu, odważył się Cagnard ująć za sobą przed szefem.

„Co, pan niezadowolony? Idź pan precz! Od dziś jesteś pan wolnym!"

Wolny Cagnard tułał się po mieście w poszukiwaniu jakiejś pracy. Pewnego dnia, gdy błąkał się bez dachu i chleba, głodny, jak w owych latach dzieciństwa, gdy po raz pierwszy usłyszał wyraz „wolny" — uczuł na swem ramieniu ciężką dłoń, która pociągnęła go za sobą. Niebawem znalazł się przed gmachem, na którego frontonie wypisany był wyraz „Wolność" *). Tu zamknięto go w celi, gdzie obok zaduchu, panowało jednak ciepło i dano strawę, choć lichą zapewne, lecz kojącą tortury głodu.

*) We Francji na wszystkich gmachach publicznych — nie wyłączając więzień — widnieje napis: „Równość, Wolność, Braterstwo".

Львівська Бібліотека
АН УРСР
126031

Dla rozbiztka życiowego wydała się ta cela jakimś zacisznym przytułkiem. Ale po paru dniach, ponieważ żadnej nie wyszukano na nim winy, wywołano Cagnarda z celi, wypchnięto napowrót na mróz uliczny ze słowami:

— Jesteś wolny.

I dziwił się stary odźwierny więzienny, dlaczego ten aresztant na wyraz „wolny" nie drgnął radośnie, lecz łza przygnębienia zabłysła mu w oku...

Z historji fanatyzmu religijnego w Polsce.

Spalenie Łyszczyńskiego.

Nad wyraz ciężkie było w Polsce w drugiej połowie XVII stulecia położenie tych wszystkich, którzy ośmielali się nie należeć do kościoła rzymsko-katolickiego, w zupełności kierowanego podówczas wpływami jezuitów.

Wprawdzie sejm elekcyjny z r. 1669 potwiedrził ustawę, zabezpieczającą wolność wyznania obywatelom, ale było to czczą formalnością a raczej naigrawaniem się dotkliwem z niekatolików, gdy ten sam sejm następną ustawą pod karą śmierci lub banicją zakazuje odstępstwa od wiary katolickiej i gdy równocześnie najpotworniejsze gwałty dokonywane przez sfanatyzowane tłumy na życiu i mieniu innowierców rozgrzeszane były przez trybunały państwowe.

Na te właśnie lata przypada w Polsce okropny objaw nietolerancji religijnej, który wywołał wzburzenie w całej Europie, **gwałt spełniony na Łyszczyńskim,** a świadczący przytem, jak wielkim wpływem cieszył się w Polsce kler katolicki.

Na tronie polskim zasiadał wówczas Jan III Sobieski. Szlachcic litewski, Kazimierz Łyszczyński, człowiek znany i szanowany, czytał sobie dzieło sławnego uczonego Henryka Altsteda „Theologja naturalis". Przytoczone tam dowody na istnienie Boga wydały mu się tak nieodpowiednimi i powikłanymi, że raczej o czemś przeciwnem można było z nich wnioskować. Dopisał więc na marginiesie owego miejsca w książce słowa „ergo non est Deus" (a więc niema Boga!) — widocznie dla wydrwienia niedołężnego autora. Tę uwagę spostrzegł pewien dłużnik Łyszczyńskiego, oskarżył go o zaprzeczanie istnienia Boga i w dowód przedłożył książkę z powyższym dopiskiem biskupowi poznańskiemu Witwickiemu. Ten, podsycany nadto przez biskupa kijowskiego Załuskiega, zajął się sprawą z nadzwyczajną gorliwością.

Król, pragnąc ratować Łyszczyńskiego, przeznaczył całą sprawę do osądzenia trybunałowi wileńskiemu, w nadziei, że sąd prowincjonalny załatwi ją bez wielkiego hałasu, ale wola królewska bezsilną była wobec wystąpienia dwóch biskupów. Łyszczyńskiego aresztowano, naruszając najświętszy przywilej szlachecki, stosowany nawet wobec najgorszych złoczyńców, według którego nie wolno było szlachcica więzić przed wyrokiem sądowym.

Na najbliższym sejmie, w r. 1689 biskup Załuski oskarżył Łyszczyńskiego o ateizm i bluźnierstwo przeciw pannie Marji i wszystkim świętym(!) Przerażony grożącem niebezpieczeństwem przyznał się obwiniony do tych przestępstw, **odwołał wszystko,** coby kiedykolwiek słowem lub pismem mógł zgrzeszyć przeciw nauce kościoła katolickiego i poddał się całkowicie wyrokowi kościoła. Ale było to daremne. Biskupi nawet się na to nie zgodzili, aby sejm pozwolił Łyszczyńskiemu na obronę, lecz wyznaczyli mu termin trzydniowy, aby zebrał dowody swojej niewinności, gdyż zdaniem ich wniesione oskarżenie już było dostateczne, aby go skazać. Fanatyzm sejmu podniecano napomnieniami, że Bóg musi być przebłagany krwią bluźniercą. Uchwalono wobec tego Łyszczyńskiemu **wyrwać język, a następnie ściąć głowę i zwłoki spalić na stosie.**

Sobieski na wieść o tem, dreszczem grozy przejęty, wyrzekł tylko, że „nawet święta inkwizycja nie potrafiłaby okrutniej postąpić".

„Uczyniwszy odwołanie — opisuje sam biskup Załuski, niepodejrzane chyba źródło (Salvande „Histoire de Jean Sobieski". Paris 1829) — został zbrodniarz wprowadzony na publiczny plac, gdzie mu kat **rozpalonem żelazem wyrwał język i usta,** którymi zbluźnił przeciwko Bogu, poczem **ręce,** narzędzia obrzydliwego czynu, **zostały spalone na powolnym ogniu.** Następnie pismo bluźniercze **wrzucono w ogień,** a wkońcu **jego samego,** tego potwora swego wieku, tego zabójcę Boga, oddano karżącym płomieniom, karżącym dlatego, bo taka zbrodnia musi być pomszczona".

Fakt cały, najwierniej według znanych źródeł historycznych przedstawiony powyżej, dostępny dla stwierdzenia każdemu, a tak dziś starannie tuszowany, nie wymaga naszych komentarzy. Wymowniej niż wszystko, czemby go charakteryzować można, mówi za siebie sam. W imię prawdy dodać trzeba, że to okrucieństwo fanatyków polskich spotkało się z oburzeniem zagranicy i że papież ówczesny Innocenty XI zganił go surowo... trochę zapóźno, gdy dawno wiatr rozwiał prochy nieszczęsnej ofiary...

Zaznaczamy, że Łyszczyński nie należał do żadnej sekty religijnej, nie był heretykiem, ale zawsze był członkiem kościoła rzymsko-katolickiego.

Zygm. Wrzos.

Dlaczego należę do organizacji?

Bo posiadam odwagę trzymania się razem z moimi towarzyszami pracy i żądania uczciwie tego, co nam się słusznie należy.

Ponieważ chcę, aby każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko miało dostateczne utrzymanie, dostateczny pokarm i przyodziewek.

Ponieważ walczę przeciw brudom i głupocie, a pragnę zdrowia i oświaty.

Ponieważ więcej szanuję charakter uczciwy, chociaż łachmanami okryty, aniżeli zarozumiałego głupca, posiadającego konto bankowe.

Ponieważ zorganizowany robotnik jest opólnie szanowanym z wyjątkiem przez nieprzyjaciół interesowanych, którym opinję nie uczciwość, ale pieniądz dyktuje.

Ponieważ przez opłacanie składek mam tę pewność, że uczynić będzie można coś dla polepszenia naszych stosunków; że otrzeć będzie można łzy zgłodniałej żonie i dzieciom.

Ponieważ wolę zerwać z całą hordą zacofanych przeciwników, aniżeli opuścić mojego towarzysza pracy.

Ponieważ domagam się więcej chleba, więcej życia, a mniej wyzysku! Więcej pokarmu a mniej zbytków. Więcej zdrowych i schludnych mieszkań, a mniej zbrodni! Więcej dobrobytu i szczęścia, a mniej piekła i nędzy! Więcej oświaty, a mniej zabobonów! Więcej szczęśliwych małżeństw, a mniej brudnych i pijanych mężczyzn i kobiet.

Oto — dlaczego należę do organizacji!

HENRYK CUNOW.

Rachuba czasu i kalendarze.

Kiedy tylko ludzkość w ciągu swego rozwoju wyszła z pierwszych początków walki o potrzeby zaspakajania żywności, uczuła zaraz potrzebę uregulowania i podziału czasu. Dzień i noc, oraz corocznie powtarzające się pory roku: lato i zima (w gorących krajach pora deszczowa) wiosna i jesień były pierwszymi podziałami zmian księżyca czyli oznaczenie pewnych okresów czasu wedle „miesięcy księżycowych", liczących po 29 do 30 dni. Narody, mieszkające na wybrzeżach południowych, dzieliły czas wedle wia-

trów, wiejących regularnie w pewnych okresach ze stałych kierunków.

Gdy uprawa roli doszła do większego znaczenia w dziejach luddzkości, nie wystarczał już powyższy podział. Człowiek uczuł się w wyższym stopniu zawisłym od sił przyrody, które wywierały wpływ na jego walkę o byt, niszcząc nieraz w jednej chwili owoce jego długiej pracy. Zaczął się więc troszczyć o dokładne oznaczenie regularnie powtarzających się wylewów rzek, zmian pogody, rozpoczęcia się pory deszczowej i ustalenie kierunków wiatrów w pewnych porach stale wiejących, aby stosownie do tego uregulować czas pracy na roli. Ponieważ położenie słońca do ziemi w sprawach tych odgrywa decydującą rolę, zaczęła się dokładniejsza obserwacja słońca i stąd poszła przemiana roku księżycowego w słoneczny. Wobec tego, że ostatni jest o 11 dni dłuższy, zaczęto albo dodawać miesiąc przestępny (jak to dotąd się dzieje u żydów, syryjczyków i tubylców australskich), albo dzielono czas na różne okresy bez względu na różnice między słońcem a księżycem czego rezultatem było, że u niektórych ludów rok liczył 12, 14, 16 a nawet 20 miesięcy.

Z biegiem czasu okazało się, że rachunek 365 dni w roku nie odpowiada dokładnie czasowi jednego obrotu ziemi dokoła słońca, zaczęto więc dodawać dni przestępne. Specjalnie grecy liczyli od czasów Solona wedle miesięcy księżycowych, dopiero on w roku 600 przed Chrystusem zarządził dla wyrównania roku księżycowego, liczącego 354 dni, z rokiem słonecznym, dodawanie co dwa lata miesiąca przestępnego o 30 dniach. Wkrótce przekonano się, że przez to rok kalendarzowy stał się o $3^3/_4$ dnia za długi, poczęto więc dodawać miesiąc przestępny co 3 lata, czem osiągnięto rok liczący $365^1/_4$ dnia.

Rzymianie mieli czas księżycowy z dodaniem wedle potrzeby miesiąca przestępnego a dopiero Juljusz Cezar w roku 46 przed Chrystusem wprowadził tak zwany kalendarz juljański, ustanawiający rok na 365 dni z dodaniem co 4 lata jednego dnia. Ten kalendarz obowiązuje dotąd u wyznawców kościoła grecko-katolickiego i prawosławnego, podczas gdy rzymsko-katolicy mają kalendarz gregorjański (od twórcy papieża Grzegorza XIII), który postanowił że każdy wiek mogący być dzielony przez 4 ma mieć jeden dzień przestępny, wypadający w miesiącu lutym (29 dni zamiast 28).

Rozwój organizacji robotników i przedsiębiorców.

Dzisiejszy ruch zawodowy jest zjawiskiem wynikającem bezpośrednio z prywatno-kapitalistycznego sposobu produkcji. Przemiany wszystkie, którym ustawicznie ulega życie ekonomiczne w ustroju kapitalistycznym, z natury rzeczy musiały się równie odbić na formie i treści ruchu zawodowego.

Od ostatnich dziesiątek lat XVIII i pierwszych XIX stulecia datuje się powstawanie pierwszych fabryk kapitalistycznych. Rozwojowi ich towarzyszyła nieubłagana walka konkurencyjna między przedsiębiorcami. Każdy przedsiębiorca starał się konkurenta swego pokonać w ten sposób, że zaprowadzał w fabryce coraz to bardziej ulepszone maszyny, aby obniżyć przezto koszta producji i przez obniżenie cen towarn stać się panem rynku. Z roku na rok spadały ceny towarów i co roku cały szereg przedsiębiorców ginął pokonany w tej strasznej walce konkurencyjnej. W okresie tym każdy przedsiębiorca w konkurencie swym widział śmiertelnego wroga i dlatego o jakichś związkach i kartelach przedsiębiorców, celem wprowadzenia podwyżki cen lub obniżenia płac roboczych nie mogło wówczas być mowy.

Mimo to jednak, że przedsiębiorcy nie byli zorganizowani, okres ten był okresem największego wyzysku, najniższych płac i najdłuższego czasu pracy. Ogromnie szybkie wprowadzanie maszyn do przemysłu wyrzuciło na bruk tysiące robotników. Dawny przemysł domowy upadał coraz bardziej, nie mogąc ostać się wobec konkurencji fabryk — i tysiące chłopów i robotników wiejskich, nie znajdując już środków do życia na wsi, pociągnęło szukać zarobku do miejsc fabrycznych. Również i dawni majstrowie cechowi zaczęli pod wpływem konkurencji wielkiego przemysłu upadać i powiększać liczbę bezrobotnych. Maszyna umożliwiła przedsiębiorcom zastąpienie kwalifikowanych robotników przez siły niewyuczone, mężczyzn wydalono a na ich miejsce postawiono do obsługi maszyn kobiety i nieletnie dzieci. Cała armja bezrobotnych stała przedsiębiorcom do dyspozycji. Robotnicy w fabrykach musieli milcząco godzić się na straszne prześladowania, na mordercze wprost przedłużanie czasu pracy i ustawiczne obniżki zarobków, gdyż poza fabryką cisnęła się dzika i głodna masa bezrobotnych, gotowych każdej chwili za byle kęs chleba sprzedać swą siłę roboczą.

Na owe czasy przypadają pierwsze początki robotniczego ruchu zawodowego. Ustawodawstwo zabraniało wprawdzie robotnikom zakładania stowarzyszeń bojowych do prowadzenia walk cennikowych i za założenie stowarzyszenia, za prowadzenie strejku czekały bardzo ostre kary, mimo to nędza była silniejsza i zerwała wszystkie ustawowe więzy. Na tajnych zebraniach zakładali robotnicy pierwsze tajne stowarzyszenia zawodowe. Nie były to naturalnie stowarzyszenia obejmujące państwo, lub chociażby okręg jakiś, lecz zwykłe stowarzyszenia lokalne. Liczba ich członków była bardzo szczupła, składki niskie i zebranie wielkiego funduszu bojowego było niemożliwe. Całe życie tych stowarzyszeń wypełniała walka z szpiegostwem i szykanami władz i policji. W chwili jednak, gdy wyzysk stawał się nie do wytrzymania, wtedy ta drobna garstka zorganizowanych porywała za sobą do walki całą masę niezorganizowanych. Były to dzikie i zażarte pierwsze strejki, które często kończyły się w potokach krwi. Władze traktowały walczących robotników jako buntowników i podżegaczy, i na zrozpaczonych, rozgoryczonych i głodem zmęczonych proletarjuszach dopuszczały się krwawych gwałtów. W walkach tych jednak ruch zawodowy wywalczył sobie prawo do życia, zakaz koalicji raz na zawsze zniknął. Ustawodawstwo musiało przyznać robotnikom prawo organizowania się i prowadzenia walk, celem zdobycia lepszych warunków pracy.

I wtedy następuje drugi okres rozwoju organizacji zawodowej. Szerokie masy zrozumiały cele i znaczenie organizacji; miejsce dawnych stowarzyszeń lokalnych zajęły wielkie związki państwowe; dawne cechowe ograniczenie zawodów znikło a robotnicy całych gałęzi przemysłu złączyli się razem w jedną potężną organizację. Wkładki podwyższono, wybudowano system zapomogowy, stworzono ogromne fundusze na prowadzenie walki. Walki zarobkowe zmieniły swój charakter, przestały być dzikim odruchem rozpaczy i stały się walkami planowemi, obmyślonemi i prowadzonemi według pewnej taktyki. Na tej drodze osiągnięto kolosalne rezultaty; zarobki wzrosły, czas pracy został skrócony a przedsiębiorcy musieli uznać mężów zaufania organizacji za powołanych przedstawicieli zorganizowanych robotników, pertraktować i zawierać z nimi umowy co do stosunków pracy. Dawne samowładztwo przedsiębiorcy w fabryce zostało złamane. Tak, jak w państwie obok władców stanęli przedstawiciele ludu, tak w fabryce obok przedsiębiorcy wystąpili mężowie zaufania organizacji. Burżuazyjni socjalpolitycy sądzili, że w ten sposób rozwiązaną została już „kwestja społeczna", — spodziewali się bowiem, że robotnicy zaprzestaną dalszej walki klasowej o zdobycie władzy w państwie i zadowolą się większym udziałem w dobrach przez się w przedsiębiorstwach wytworzonych, który zdobyli dzięki silnej organizacji zawodowej.

Tymczasem jednak przygotował się już nowy, trzeci okres rozwoju. Przedsiębiorcy zostali zaskoczeni zbyt szybkim wzrostem organizacji robotniczych; wobec zorganizowanych robotników stali oni niezorganizowani, wskutek tego słabsi. I teraz zaczyna się okres budowania organizacji przedsiębiorców do prowadzenia walki z robotnikami. Rozwój ten został w ogromnej mierze ułatwiony przez to, że coraz większa ilość zakładów fabrycznych łączyła się w ogromne przedsiębiorstwa kapitalistyczne, że przedsiębiorcy pozakładali kartele, a cała masa przedsiębiorstw zamieniła się w towarzystwa akcyjne, zależne od jednych i tych samych banków. O ile przedtem walki konkurencyjne utrudniały powstawanie związków przedsiębiorców, to teraz kartele,

towarzystwa akcyjne i zależność przemysłu od banków zbliżyły i splotły ze sobą poszczególne przedsiębiorstwa. Rozwój organizacji przedsiębiorców dla walki z zorganizowanymi robotnikami szedł równocześnie z rozwojem karteli i ich wyzyskiem konsumentów. Oceniając związki przedsiębiorców, nie można odmówić im, że w każdym razie oznaczają one pewnego rodzaju postęp; łatwiej bowiem pertraktować i zawierać umowy z organizacją, aniżeli z każdym przedsiębiorcą z osobna.

Im jednak związki przedsiębiorców zyskują większą siłę i potęgę, tem niebezpieczniejszymi przeciwnikami stają się dla organizacji robotniczej. Niezorganizowany przedsiębiorca, skoro zastój, spowodowany przez strejk w przedsiębiorstwie, przynosił mu większe szkody, aniżeli spełnienie żądań robotniczych, uginał się i godził się na nie. Obecnie związki przedsiębiorców z każdej walki robią kwestję zasad, próbę sił; przedsiębiorcę dotkniętego strejkiem wspomagają z swych kas i nie pozwalają mu spełnić żądań robotników, by nie naruszyć w ten sposób zasady „jedynego pana i władcy przedsiębiorstwa“ oraz nie „podsycać zachłanności robotników“. W końcu poszczególne związki przedsiębiorców na strejk pojedyńczy odpowiadają masowem wydaleniem wszystkich robotników danej gałęzi przemysłu, tak, że każdy drobny zatarg może się zamienić w ogromną walkę, obejmującą tysiące. Bardzo często, w czasach złej konjunktury przemysłowej, związki przedsiębiorców rozmyślnie wywołują zatargi, by odpowiedzieć na nie lokautem i w ten sposób osłabić finansową siłę organizacji robotniczej. Szczególną opieką otaczają związki przedsiębiorców najlichsze elementa z pośród robotników i nie szczędzą pieniędzy, by zakładać t. zw. „żółte organizacje“, które w razie walki mają dostarczać łamistrejków. Wszystkie te środki i metody walki stosowane przez związki przedsiębiorców w ogromnej mierze zaostrzają walkę klasową. Klasa robotnicza musi skupiać wszystkie swe siły, musi unikać każdego rozdrobnienia swych szeregów, organizacje swe musi ustawicznie wzmacniać pod względem finansowym a każdą walkę, nawet najdrobniejszą, musi dokładnie obmyśleć i uplanować, rozumiejąc, że może ona zamienić się w walną bitwę. Od spokoju i harmonji społecznej, o której marzyli burżuazyjni socjalpolitycy, jesteśmy dziś dalsi, aniżeli kiedykolwiek dawniej.

Walka ta z natury przenosi się i na stosunki polityczne. Robotnicy domagają się od państwa obrony przed wyzyskiem zorganizowanych przedsiębiorców, a również i związki przedsiebiorców żądały, by państwo stanęło w obronie ich interesów. Kartele żądają, by przez wysokie cła, taryfy kolejowe, subwencje i ulgi podatkowe wydano im konsumentów w zupełności na pastwę; związki przedsiębiorców zaś domagają się ograniczenia prawa koalicji robotników, by w ten sposób złamać potęgę klasy robotniczej i zapewnić sobie, jak dawniej, samowładztwo w fabryce. Na usługach przedsiębiorców stoi cała falanga płatnych dziennikarzy, którzy urabiają opinję publiczną nieprzychylną dla klasy robotniczej, to też z tym większym wysiłkiem i energją robotnicy zakładają swoje własne pisma, które bronią ich interesów... Wszystkie partje burżuazyjne, wspomagane i popierane przez kasy przedsiębiorców, stają przeciw robotnikom i ci widzą się zdani wyłącznie tylko na własne swe siły.

W ten sposób naprzeciw siebie stają tylko dwie potężne organizacje: robotników i przedsiębiorców. Całe życie ekonomiczne i rozwój państwa ogarnięty został ogromną walką, w której przedsiębiorcy i robotnicy mierzą swe siły. W takim czasie obowiązkiem każdego robotnika jest, być wiernym swej klasie i wspólnie z wszystkimi toczyć walkę ekonomiczną i polityczną.

Rozmaitości

Nowe cuda radjum. Stosowanie radjum do celów leczniczych przynosi z dniem każdym nowe i zadziwiające wyniki. Dr. Roux, kierownik instytutu Pasteura w Paryżu, stosując radjum, wyleczył kobietę, chorą na raka w żołądku. Słynny chirurg angielski, Treves, dokonał w szpitalu londyńskim całego szeregu operacji pod działaniem radjum i prawie we wszystkich przypadkach nastąpiło zupełne lub częściowe wyleczenie z niebezpiecznych chorób skórnych i ciężkich wrzodów. Między innymi wyleczono tam chłopca, dotkniętego niezmiernie skomplikowanym wrzodem wielkości kurzego jaja; po czterech tygodniach stosowania radjum wrzód zniknął bez śladu, pozostawiając tkankę mięśniową zupełnie zdrową. W Petersburgu prof. London próbował leczyć chłopca, dotkniętego ślepotą; dziecko dziś może czytać litery drukowane. Prof. Hammer w Nowym Jorku w ten sam sposób przywrócił częściowo wzrok dziecku, ociemniałemu od urodzenia. Nowe doświadczenia wykazały, że powietrze radjoaktywne działa na płuca zupełnie tak samo, jak tlen i wynikiem tego jest nowa zupełnie metoda leczenia zapalenia płuc. Inni uczeni stwierdzili znowu, że radjum przeciwdziała uwiądowi starczemu; jest więc skutecznym środkiem przedłużenia życia, chociażby tylko w pewnym zakresie. Niezmiernie interesujące w tym samym kierunku są także doświadczenia dr. Beileysa w Chicago. Uczony ten odkrył substancję radjoaktywną, 70 razy tańszą od prawdziwego radjum i nazwał ją Tho Rad X. Próby dokonał w ten sposób, że do dwu pudełek zamknął pewną liczbę motyli nocnych. Chcąc się przekonać, do jakiego stopnia radjum może przeszkodzić rozkładowi tkanek, jedno z pudełek poddał działaniu owego Tho-Rad-X, a drugie nie. Okazało się, że motyle, poddane działaniu radjum, żyły trzy razy dłużej. „Dlaczegóżby — mówi dr. Baileys — doświadczenia, robione nad człowiekiem, nie miały dać podobnych wyników?“ Z tych i wielu innych jeszcze prac wynika, że radjum otwiera dla biologji nowe zupełnie pole działania, którego rozległość dziś jeszcze ani przewidzieć, ani określić się nie da.

* * *

Z Wiednia do Berlina w 12 godzinach. Na konferencji kolejowej państw europejskich, która w bieżącym miesiącu odbyła się w Strassburgu, delegaci Austrji postawili wniosek o zaprowadzenie nowego pociągu pospiesznego z Wiednia do Berlina. Wniosek ten został przyjęty i obecnie na podstawie obopólnego porozumienia austrjackich i niemieckich zarządów kolejowych wejdzie w życie w maju 1910 r. Mianowicie od wymienionego terminu zaprowadzony zostanie nowy pociąg pospieszny, który wychodzić będzie z Wiednia o godzinie 8^{15} wieczór z dworca koleji północno-zachodniej a przybywać na dworzec Anhalcki w Berlinie o godzinie 8^{07} rano. Pociąg będzie mieć bezpośrednie wagony wszystkich trzech klas do Berlina i wagon sypialny I i II klasy, W kierunku odwrotnym z Berlina do Wiednia na razie nie zostanie zaprowadzony nowy pociąg, tylko od granicy niemieckiej nocny pociąg pospieszny będzie kursować w taki sposób, że jazda do Wiednia trwać będzie o 20 minut krócej. O naprawę strasznych stosunków ruchu kolejowego w kierunku Wiednia, względnie z Krakowa do Warszawy, nikt nie myśli, chociaż ruch podróżnych na tej linji jest bardzo wielki.

* * *

Dozór naukowy nad oświetleniem. Technika oświetlania zrobiła tak znaczne w ostatnich czasach postępy, że w niektórych przypadkach stanowczo należy zapobiegać nadmiarowi światła, nie ulega bowiem wątpliwości, że pewne rodzaje lamp elektrycznych, które nietyle dla oświetlenia, ile w celach reklamy się palą, są bardzo szkodliwe, zarówno dla wzroku, jak dla dobrego smaku publiczności. Mamy dziś nietylko kolory krzyczące, ale i lampy krzyczące. Z tego względu wydaje się bardzo na dobie nowozałożone przez fizyka angielskiego, S. Thompsona, Towarzystwo, którego celem jest „zjednoczenie wszystkich, którzy interesują się zarówno wytwarzaniem, jak stosowaniem światła sztucznego z punktu widzenia fizyki, hygjeny i estetyki“. Jesteśmy dziś skazani na łaskę fabrykantów, którzy w pogoni za reklamą produkują lampy z blaskiem wprost nie do zniesienia. Należy pomyśleć o sztucznych sposobach rozpraszania światła, na wzór światła dziennego, a w każdym razie opracować pewne przepisy, regulujące stosunek siły światła do nerwów ocznych.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 2. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 stycznia 1910.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

— Niech pan da nam jeszcze 4 kufle piwa.

— W tej chwili — powiedział Kiełbik uprzejmie.

Kiedy przyniósł piwo, jeden z robotników zapytał go.

— Czy pan też rzemieślnik?

— Tak, moi panowie. Jestem krawiec, tylko trudno mi dostać roboty. Majstrowie nie lubią mnie, bo rąbię im prawdę w oczy i nie daję się wyzyskiwać. Miałem ja z nimi jazdę, no! — a nachyliwszy się do nich, powiedział przyciszonym głosem: W ulu się nasiedziałem więcej niż rok... No ale nie zginąłem i zjeść im się nie dam!... Piwo dziś darmo — rzekł już głośno Kiełbik — browar dziś ugaszcza piwem. Ja radbym też ugościć od siebie i nie brałbym ani za zakąski, miód i papierosy, ale cóż robić.

I rozłożył ręce, dając tym ruchem do zrozumienia, że nie może tego zrobić, bo nie ma na to.

— Ale, co znowu! — zaprotestowali robotnicy — my za wszystko płacimy — my nie żądamy żadnej darmochy!..

Zawołano Kiełbika do drugiego pokoju.

— Widać, że to jakiś porządny chłop!

I bardzo sympatyczny człowiek — a przytym widać, że niegłupi facet — zauważył drugi robotnik.

— A wiecie, jemu to dobrze pójdzie, trzeba go popierać — przemówił trzeci, jeden ze starszych.

— No, chodźmy do domu, niema co tu mięknąć. — Trzeba mu za wszystko zapłacić... my nie potrzebujemy darowizny.

— Rozumie się! — odpowiedzieli jednozgodnie i zawołali Kiełbika do obrachunku.

Żadną miarą nie chciał się Kiełbik zgodzić na przyjęcie pieniędzy za piwo, ale robotnicy też darmo pić nie chcieli. W końcu uległ Kiełbik natarczywemu naleganiu i przekonywaniu robotników i zabrał pieniądze. Żegnając się z nimi powiedział:

— A nie zapominajcie o mnie, towarzysze!...

— Nie, nie, bądźcie spokojni! — zapewnili go robotnicy.

Tego wieczoru było nadzwyczaj gwarno w nowej piwiarni, która nosiła nazwę: „Pod Łabędziem“.

Po zamknięciu knajpy, gdy państwo Kiełbikowie udali się na spoczynek, Kiełbik, leżąc już w łóżku, zapytał:

— Mańka! Ileśmy dziś na czysto zarobili?

— Pięćdziesiąt fajgli! — odpowiedziała mu żona, kładąc się do łóżka.

— Cwano! Żeby tak co dzień było, ach, jakby to było dobrze — z westchnieniem zawołał.

Zapanowała cisza... Wkrótce z obu łóżek poczęło się rozlegać chrapanie.

. . . . . .

Dwa lata minęło od otworzenia piwiarni „Pod Łabędziem“. Każdego wieczora gości było pełno. Nie było wolnego miejsca w żadnej sali, goście zmuszeni byli, stojąc przy bufecie, pić musujące piwo, oczekując na stolik. Wieczorami Kiełbik grywał na harmonji, a że grał ładnie, przeto w piwiarni zawsze było huk gości. Robotnicy po całodziennej pracy radzi byli spędzić jakąś godzinkę przy kufelku i przy dźwiękach muzyki, a także na pogawędce.

Dzielnica, w której znajdowała się piwiarnia, była fabryczna, robotnicy zapoznawali się tu jedni z drugimi i opowiadali sobie wzajemnie o stosunkach fabrycznych. Przysiadał się niekiedy do kompanji Kiełbik i zapoznawał robotników jednej fabryki z robotnikami drugiej, mówiąc:

— Powinniście się wszyscy znać z sobą — jedne was prześladują biedy, a wspólnemi siłami łatwiej się czegoś dobić, niż pojedyńczo, i dodawał: — Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Robotnicy lubili Kiełbików za ich demokratyczne poglądy, za muzykę, za uprzejmość i sami nie wiedzieli już za co, iecz lubili ich.

Kiełbikowie nietylko, że cieszyli się ich przyjaźnią, ale posiadali i ich zupełne zaufanie. To też wiedzieli oni, co się dzieje we wszystkich fabrykach i co się dziać będzie. Nie mogli oni brać czynnego udziału w tych sprawach, lecz służyli radą i od czasu do czasu dali rubla dla potrzebujących pomocy...

Nie kryli się robotnicy z niczem przed niemi, bo i po co? Przecież to ludzie pewni, swoi ludzie...

— No, żeby tylko takich dużo było, jak Kiełbik, to wcaleby inaczej było... Tak mówili ci goście, którzy zwykle sadowili się w gabineciku.

Gabinecik ten był w końcu mieszkania i miał oddzielne wyjście na podwórze. Służył on za miejsce do poufnej pogawędki. Okno wychodziło na podwórze i było wysoko od ziemi; ciekawi nie mogli tam podpatrywać. Pod sufitem był otwór na pół łokcia w kwadrat, był to niby wentylator i wychodził do ciemnej izdebki, służącej za spiżarnię. Umeblowanie tego gabinetu składało się z tuzina krzeseł, długiego stołu na środku gabinetu i paru oleodruków, zawieszonych na ścianach. Tu zwykle zbierali się ci robotnicy, co potrzebowali pomówić o ważniejszych sprawach i palących kwestjach.

Tych, co mieli potrzebę pogadać z sobą, bez świadków i w spokoju, prowadził tam Kiełbik i sadowiąc ich, mówił:

— Siadajcie tu. — Tu nikt nie będzie wam przeszkadzał i podsłuchiwał; tylko radzę wam, żeby na stole stały zawsze butelki z piwem, przekąski i papierosy, to widzicie nie bije w oczy, nie robi podejrzeń... a tak na sucho, to ludzie zaraz robią duże oko; a w knajpie, sami wiecie, różni ludzie bywają... Ja tu będę was odwiedzał i piwo dostarczał. No i jakby tam coś... Zresztą sami wiecie.

Swą obietnicę częstego odwiedzania gabinetowych gości Kiełbik spełniał sumiennie. Co raz to zaniósł pełne butelki a zabierał puste — przy obrachunku postarał się dołożyć kilka więcej... Kto tam z nich może pamiętać, ile było podano butelek? Jego przecież nie posądzą o oszustwo. Ale co znowu!

Nietylko gabinet w piwiarni służył za miejsce do poufnych zwierzeń dla wybranych gości. W niedzielę i święta, w godzinach przedpołudniowych, gdy piwiarnia była zamknięta a wybrani chcieli wypić i pogawędzić, Kiełbikowie oddawali do rozporządzenia gości swój pokój sypialny. Tu Kiełbik ustawiał na stole jadło i napoje, tu stała i wódka, którą Kiełbikowie sprzedawali pokryjomu... W swem prywatnem mieszkaniu nie potrzebował się kryć z wódką. Sta-

wiając flachę z wódką, z rubaszną wesołością i poufałością mówił:

— Choćby jaki czort i przylazł tu, to i co? Zarazbym mu powiedział: — A cóż to, niewolno mi gości przyjmować w moim domu? — Przecież nikt im nie powie, że wy za wszystko płacicie. Ja nie powiem, a wy też nie.

Jednakże mimo wszelkich ostrożności, od jakiegoś czasu z pośród odwiedzających gabinet w piwiarni i pokój prywatny Kiełbików, poczęli ubywać ludzie. To jednego niema, to znów za parę tygodni dwuch lub trzech, czasami odrazu kilku. Jakkolwiek gości w gabinecie nie brakowało, gdyż liczba ich była duża, jednakże reszta srodze się niepokoiła. Wiedzieli oni gdzie się znajdują ci co znikli i to właśnie niepokoiło ich bardzo. Jeden drugiego podejrzywał. Atmosfera wśród nich poczęła być coraz duszniejsza; w stosunkach wzajemnych nie było dawnej szczerości, nawet wśród przyjaciół. Sprawa była ważna, dłużej w tej niepewności pozostawać nie chcieli. Dla oświetlenia tak drażliwej kwestji postanowili zwołać wolne zebranie i ostatecznie przyjść do jakiegoś wniosku i złemu zaradzić.

Uradzili więc, by w niedzielę rano wszyscy zebrali się u Kiełbików.

W sobotę wieczorem powiedziano na ucho Kiełbikowi, że jutro wszyscy się zbiorą i prosili go, aby naszykował śniadanie.

Nazajutrz, o godzinie 10 rano, wszyscy zebrali się w komplecie na owe śniadanie.

Biesiada była ożywiona, lecz wesołości tu nie było. Twarze były posępne i zakłopotane.

Sądzili oni, że gdy się wszyscy zbiorą, sprawa się wyjaśni, tymczasem stawała się jeszcze ciemniejszą... Podejrzenia ich co do niektórych osób okazały się bezpodstawnemi, niezbitych dowodów ich winy nie było. Siedzieli więc bezradni, pogrążeni w zadumie...

Kiełbik, widząc, że goście weszli na drogę różnych przypuszczeń i mogą, czego Boże broń, podejrzewać w czem „Łabędzia", przerwał przykre milczenie temi słowy:

— Wiadomo wam dobrze, że gdzie drzewo rąbią, tam wiory lecą... A my jesteśmy właśnie tymi wiorami. I nie to powinno nas martwić. Nam trzeba odszukać, kto trzyma tę siekierę w ręce? Kto nią rąbie, zadając nam takie bolesne ciosy? Ot pytanie.

Nie ulega wątpliwości, że wśród nas jest parszywa owca, a może i więcej niż jedna... Moim zdaniem, trzeba baczną zwrócić uwagę na... I nagle urwał, bo do kuchni poczęli wchodzić nowi goście...

Goście to byli niespodziani i niepożądani...

W sypialnym pokoju wszczął się popłoch. Niektórzy zabierali się do wyjścia i byli by wyszli z pewnością, lecz na progu ukazały się postacie ze świecącymi guzikami, a poza niemi widać było dużo podobnych świecących guzików.

Goście ci uprzejmie przeprosili zebranych za przerwanie im śniadania i przystąpili do ich obrewidowania.

Każdy z obecnych był należycie obrewidowany, a co z którym skończono tę ceremonję, to przeprowadzano go do sąsiedniego pokoju, w któryw stało kilka tuzinów świecących guzików. U jednych znaleziono coś nie coś, u drugich — nic.

Skończywszy z gośćmi, wzięli się do gospodarza. Ale Kiełbik prócz zegarka i portmonetki nic więcej przy sobie nie miał; nie miał dziś w kieszeni nawet butelki z wódką, którą zawsze nosił przy sobie w piwiarni. Po obrewidowaniu gości i gospodarza przystąpiono do poszukiwań w sprzętach; lecz mimo najściślejszych poszukiwań nic nie znaleziono.

Gdy poszukiwania były zakończone, panowie ze świecącymi guzikami zaproponowali wszystkim przejażdżkę poza miasto...

Zaraz tez poczęły zajeżdżać dorożki jedna po drugiej. Po odjechaniu ostatniej dorożki na ulicy było tak cicho, jakby nigdy nic nie zaszło.

Tylko w mieszkaniu Kiełbików był istny haos. Na środku pokoju, w głębokiej zadumie pogrążona siedziała z zapłakanemi oczami pani Kiełbikowa, a wkoło niej stało kilkanaście osób płci obojej z powydłużanemi twarzami, pocieszając strapioną.

Tego dnia później niż zwykle otworzono piwiarnię, Ludzi naschodziło się mnóstwo; szum i gwar był w piwiarni nadzwyczajny. Czterech kielnerów nie mogło podołać robocie, biegali od stołu do stołu jak opętani. Wieczorem oblicze Kiełbikowej wypogodniło się zupełnie. Na zapytanie o męża odpowiadała z głębokiem westchnieniem i dodawała z odwagą:

— To nic, nie zginiemy!...

Cóż, kiedy łaska tłumów jest niestałą: dziś noszą cię na rękach, a jutro gotowi cię ukamieniować. Tak te tłumy łatwo przechodzą od entuzjazmu do nienawiści. Wkrótce doświadczyła tego na sobie Kiełbikowa.

(Dokończenie nastąpi.)

LILLY BRAUN.

Przewrót, dokonany przez maszynę.

(Dokończenie.)

A wszystkie te przyczyny do dziś nie przestały działać. Udoskonalenia techniczne nie mają granic. Pomyślmy jeno o tem, jak np. uczciwe rzemiosło szewskie coraz bardziej jest uciskane przez fabryki obuwia, w których, dzięki maszynom, znajduje szerokie zastosowanie praca kobieca; albo jak w rzemiośle krawieckiem krojczy, w którego silnym ręku spoczywały dotąd nożyce, nagle zastąpionym być może przez kobietę, która przy pomocy maszyny do krajania bez wielkiego wysiłku odrazu skrajać może tyle a tyle sztuk materji. Takich przykładów moglibyśmy wyliczyć mnóstwo. Ale i przedsiębiorca poszukuje rąk kobiecych, zwłaszcza w okresach wzmagania się produkcji i przedewszystkiem w tych gałęziach przemysłu, gdzie tylko w pewnych porach roku, sezonowo, następuje ożywienie. Wówczas to pokrywa on zwykle swe zapotrzebowanie z szeregów kobiet, wiecznie poszukujących pracy, które tworzą wielką, nieprzebraną armję rezerwową.

Niepodobna przypuszczać, aby tak naraz miał zniknąć niedostatek, ten główny bodziec zarobkowej pracy kobiecej. Oczywiście, nie mówimy tu o nędzy, jaka np. w połowie ubiegłego stulecia szerzyła się w angielskich ogniskach przemysłowych — od owego czasu klasy panujące przekonały się, że życie i zdrowie robotników musi być ochraniane przynajmniej do pewnej granicy, którą zakreśla ich własny interes — ale niedostatek wciąż będzie udziałem szerokich warstw ludowych. W kapitalistycznym ustroju bowiem niema co myśleć ani o usunięciu przesileń ekonomicznych, podczas których jedne fabryki zatrudniają jeno połowę swych robotników, inne zaś zgoła się zamykają, ani o usunięciu owych regularnie powtarzających się co roku tygodni, kiedy praca zamiera. Niema również żadnych widoków, aby przedsiębiorcy tak sobie z dobrego serca zechcieli podwyższyć płacę robotnikom do pewnego przyzwoitego poziomu; ich bowiem interes, polegający na stałem i nieprzerwanem pomnażaniu kapitału, znajduje się w zupełnej sprzeczności z interesem robotnika, dążącego do zdobycia sobie ludzkich warunków istnienia; dzisiejsze zaś stosunki społeczne kształtują się wyłącznie podług interesów przedsiębiorcy i tak będzie dopóty, dopóki nie robotników, lecz jego wpływ będzie decydującym w państwie. W dodatku, dzięki wciąż wzrastającemu wpływowi wielkich posiadaczy ziemskich, agrarjuszów, życie staje się coraz kosztowniejszym: bułka coraz mniejsza, mięso — droższe, wszystkie przedmioty pierwszej potrzeby obciążone podatkami pośrednimi. Obok fabrykanta i obszarnika występuje jeszcze i kamienicznik, jako trzeci w tym związku; z roku na rok powiększa się suma, którą robotnik musi ze swego zarobku odkładać na komorne. Nakoniec wogóle wymagania życiowe stają się coraz większe. Robotnik poznaje najprostsze zasady hygjeny, nie chce już mieszkać w ciasnych, przeludnionych, pozbawionych powietrza i światła izbach, gdzie dzieci jego przedwcześnie więdną. Marzeniem młodej robotnicy — jest mieć własny pokoik miast dotychczasowych wstrętnych „miejsc do spania", a robotnica-matka pragnie mieć osobną wygodną izbę, w której mogłaby, po skończonej pracy, z całą rodziną posiedzieć, odpocząć,

pogawędzić, poczytać w spokoju i ciszy, nie wąchając wyziewów kuchennych. Jednocześnie budzi się wszędzie potrzeba obcowania z przyrodą: wyraża się ona w kolonjach podmiejskich, zakładanych w pobliżu wielkich miast przez szczęśliwców z pośród proletarjatu, w świątecznych wycieczkach na wolne powietrze i t. p. Równie silnie uwydatnia się dążenie do oświaty i nauki: wracając do domu po ciężkiej pracy, robotnicy i robotnice ze zdumiewającym zapałem zasiadają do studjowania poważnych dzieł, uczęszczają na wszelkiego rodzaju odczyty naukowe, częstokroć wynosząc z nich gorzkie przeświadczenie, że brak im klucza do wszelkich skarbów — brak elementarnego wykształcenia. Żeby uchronić swoje dzieci od podobnego losu, usiłują zapewnić im gruntowe wykształcenie szkolne. Jednocześnie atoli zaczyna zwolna kiełkować śród klasy robotniczej nowa jeszcze potrzeba, mianowicie potrzeba pewnej estetyki w najbliższem otoczeniu: niedługo przyjdzie czas, kiedy proletarjusz nauczy się patrzyć i wszystkie te tanie oleodruki, szpetne meble, licha tandeta tanich bazarów, nędzne kiłkofenigowe wydawnictwa obrazkowe, zakopcone brudne piwiarnie, wśród których życie mu upływa, poczną obrażać jego smak artystyczny i zacznie on szukać odpoczynku i rozrywki w teatrze i w salach koncertowych.

Obrońcy dzisiejszego ustroju społecznego z przekąsem i zgorszeniem odzywają się o ciągłem wzmaganiu się potrzeb śród ludu pracującego. To, co my witamy z radością, jako symptom budzącego się poczucia godności, oznakę postępu kulturalnego, w ich oczach uchodzi za żądzę użycia i marnotrawstwa, za oznakę moralnego upadku. Stanowisko tych panów zresztą nie może być inne: kto święcie wierzy, że zawsze będą bogaci i biedni, panowie i niewolnicy, ten oczywiście musi starać się o stłumienie wszelkich dążeń wydziedziczonych do polepszenia swego bytu, gdyż widzi w nich jeno bezcelowe oznaki niezadowolenia, wiodące do zgubnych i szkodliwych zamieszek. My zaś, którzy wiemy, że ludzkość wciąż postępuje naprzód na drodze rozwoju, że płodów ziemi wystarczy dla wszystkich, my usiłujemy zbadać, jakiemi drogami najprędzej dojść można do tego celu. Wzrost potrzeb jest najsilniejszą dźwignią postępu. Jest on również jedną z przyczyn, uniemożliwiających wycofanie się kobiety z pola pracy zarobkowej i powrót jej do domowego zacisza.

Działa tu jeszcze i inna przyczyna: dążenie kobiety do samodzielności. Zmuszona ongi do przebijania się przez życie o własnych siłach, kobieta stopniowo nauczyła się cenić swą samodzielność. Dlaczego dziewczęta coraz bardziej unikają służby domowej? Albowiem całkiem słusznie przekładają stanowisko niezależne ponad zależność, nawet gdy ta zapewnia im utrzymanie i dach nad głową. Dlaczego tak wiele dziewcząt bez wielkich skrupułów już w młodych latach opuszcza dom rodzicielski? Skłania je do tego nietylko nędza, wypędzająca z domu, ale częstokroć i nieokreślona tęsknota za wolnością. A ileż to kobiet zamężnych, boleśnie odczuwających ciężar zależności od niekochanego męża, szuka wyzwolenia i samodzielnności na drodze własnej pracy.

Tak tedy przewrót, dokonany przez maszynę, spowodował cały szereg innych przewrotów w dziedzinie życia społecznego i zarówno zewnętrzne jak i wewnętrzne przyczyny składają się na to, aby pracę zarobkową kobiet pchnąć na coraz szersze tory.

KAMIL FLAMMARION.

Koniec świata.

Przed kilku laty, byliśmy świadkami strasznego kataklizmu niebieskiego, który, być może, był końcem świata dla niejednej odległej ludzkości. Dnia 23 lutego 1901 r. widzieliśmy olbrzymi pożar na niebie w konstelacji Perseusza. Zapłonęła gwiazda pierwszej wielkości i to nagle, zdjęcia fotograficzne na kilka dni przedtem dokonane, nie wskazywały nic szczególnego. Cóż zatem było przyczyną tragedji niebieskiej?

Zauważmy przedewszystkiem, że wypadek obserwowany z naszej ziemi w lutym 1901 r. miał miejsce o wiele lat wcześniej. Podobnie jak strzał armatni z odległości 340 metrów słyszymy dopiero w sekundę, a z odległości 20 kilometrów dopiero w minutę po jego wyrzuceniu, promienie światła dochodzą do nas po upływie pewnego czasu, stosownie do odległości ziemi od gwiazdy, która je wysyła. Światło przebiega 300 tysięcy kilometrów na sekundę, na przebycie więc drogi od słońca potrzeba mu 8 minut, od Jowisza — 35 miut, od Neptuna — 4 godziny, do najbliższej gwiazdy — 4 lata.

Odległość zaś kataklizmu w konstelacji Perseusza od ziemi była tak wielka, że światło na przebycie jej zużyć musiało najmniej 300 lat; pożar zatem, który astronomowie obserwowali i sfotografowali w 1901 r., w rzeczywistości miał miejsce około 1600 r.

Pożary na niebie mogą być skutkiem przyczyn rozmaitych. Przypatrzmy się naprzykład naszej własnej planecie.

Krążymy w przestrzeni z szybkością 106.700 kilometr. na godzinę. Jest to nasz ruch naokoło słońca, który ze swej strony unosi nas z inną znowu szybkością ku konstelacji Herkulesa.

Zauważmy mimochodem, że ziemia nasza jest igraszką więcej niż dwunastu ruchów różnorodnych.

Zetknięcie się z innem ciałem niebieskiem nie jest niemożliwem i wedle wszelkiego prawdopobieństwa, pożar z 1901 r. był następstwem spotkania i gwałtownego zderzenia dwóch ciał niebieskich. Zetknięcie dwóch ciał, pozbawionych własnego światła, jak nasza ziemia, biegnących z szybkością więcej niż stu tysięcy kilmetrów na godzinę, zmieniając ruch na ciepło, może stworzyć słońce gorejące o takiej wysokiej temperaturze, że wystarcza, aby na wiele miljonów lat pozostało ono słońcem, lub gorącą mgławicą.

Proste jednak zetknięcie się tego rodzaju, nie będąc możliwem, jest jednak nieprawdopodobnem, ze względu na mechanikę niebieską, czego jednak na tem miejscu wyjaśniać nie będziemy ze względu na zbyt wielki obszar przedmiotu.

Badanie pożaru niebieskiego, o którym mówimy, prowadzi nas raczej do wniosku, że był następstwem zetknięcia się gwiazdy z rojem małych gwiazd, bardzo gęstym, lub też mgławicą w stanie gazowym. Mogło to być takie słońce, jak nasze, dość odległe, abyśmy go nie widzieli, otoczone wielkim orszakiem planet zamieszkałych, słońce, którego temperatura powiększyła się nagle pięć tysięcy razy.

Koniec świata, koniec wielu światów, spowodowany przez ogień: od czasu, kiedy obserwujemy gwiazdy dwadzieścia sześć światów w naszem otoczeniu niebieskiem zniknęło dzięki ogniowi.

Zauważmy zresztą, że kiedy mówimy o końcu świata, mamy na myśli swój świat, to jest maleńką wioseczkę w państwie niebieskiem.

Dziecko, które się rodzi, i ma przed sobą otwartą długą drogę życia, może być porównane do osobnika, który jest obowiązanym do przejścia bardzo długiej ulicy, z dwóch stron zabudowanej wielopiętrowemi kamienicami, w którym każdym oknie siedzi doskonały strzelec z bronią doń zmierzoną. Otóż osobnik ten ma przejść całą ulicę i uniknąć strzałów do niego skierowanych.

Od chwili urodzenia wszystkie choroby i niebezpieczeństwa nam grożą i nas ścigają: konwulsje, krup, ospa, szkarlatyna, atretyzm, suchoty — wojny, katastrofy najrozmaitsze i wiele, wiele innych.

Czy nasz skazaniec dobiegnie do końca ulicy zdrów i cały? Być może ale tylko dlatego, ażeby na końcu skonać.

Człowiek jest stworzony do życia około stu lat. Ale pomijając wszystkie okna, z których mierzą doń lufy strzelb i wszystkie zasadzki, w które wpaść może, sam on sobie skraca życie w połowie drogi, wynalazł bowiem cywilizację, biegunowo przeciwną elementarnym prawom natury. Czy planeta nasza dosięgnie krańcowych granic starości? Wypadki i choroby ściągają ją tak samo, jak i nas, porządek bowiem wszechświa nie jest również bynajmniej doskonałym. Mówiliśmy o możliwem spłonięciu ziemi, wskutek zetknięcia, które temperaturę słońca podniosłoby wiele tysięcy razy.

Zobaczmy teraz, czy niema innych przyczyn, które mogłyby spowodować zniszczenie naszego świata przez ogień. A więc przedewszystkiem komety.

Dnia 29 października 1832 r. kometa Biela przeszła przez orbitę ziemi, tj. drogę, którą przebiega ona naokoło słońca. Kula wypuszczona na trakt publiczny, jest niebezpieczną tylko w takim razie, jeżeli w tej chwili ktoś przechodzi przez to miejsce drogi, przez które przebiega kula. W przeciwnym razie nie ma żadnego powodu do obawy. Tak było i z kometą z r. 1832. Przecięła ona orbitę ziemi w tem miejscu, które ziemia przechodzi dnia 30 listopada. Nie mogło być więc niebezpieczeństwa, zważywszy, że ziemia robi dziennie 2.560.800 klm.

Z powyższego jednak widać, ze ziemia może się spotkać z kometą.

Trudno określić następstwa spotkania takiego; w każdym razie byłyby one malownicze i urozmaicone, tragiczne i niszczące. Szybkość biegu komety ku orbicie ziemi wynosi przeciętnie 151.000 klm. na godzinę. Gdyby ogoniasta gwiazda uderzyła swoją powierzchnią o ziemie, uderzenie wyobrażałoby szybkość 257.000 klm. na godzinę. A jeśliby przytem jądro komety zawierało w sobie masę twardą, to wyobrazić sobie można skutki, któreby wynikły ze spotkania. (Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Nowe środki bezpieczeństwa na kolejach w Prusiech. Pruskie ministerstwo kolejowe zaprowadziło we wszystkich pociągach pospiesznych nowe środki ostrożności, których pożyteczność okazała się już w całej pełni podczas ostatniej katastrofy kolejowej pod Scheesel w przeszłym tygodniu. Środki to następujące: W każdym wagonie pakunkowym pociągów pospiesznych mieści się skrzynia z rozmaitemi narzędziami, jak siekiery, młoty, piły, drągi żelazne, pilniki, dłuta i t. p. Narzędzia te mają służyć w danym razie do wyważania i wogóle otwierania przemocą drzwi wagonów, jeśli przy zderzeniu zatną się tak, iż w zwykły sposób otworzyć ich nie można, dalej do ewentualnego uwalniania wklieszczonych między ławy i ściany podróżnych. W braku narzędzi bowiem personał kolejowy nieraz był bezwładnym w takich wypadkach i niejedna ofiara katastrofy ginęła wśród strasznych męczarni, ponieważ nie można jej było rychło wydobyć z pod gruzów lub zgniecionych wagonów. Oprócz tej skrzyni mieści się w wagonie pakunkowym druga, zawierająca najniezbędniejsze w takich razach środki lecznicze i opatrunkowe. W każdym wagonie sypialnym umieszczono nadto sikawki patentowane z pewnego rodzaju płynem, króry odbierając płomieniom tlen, gasi je w oka mgnieniu. Ażeby zapobiec zgnieceniu wagonów, wzmocniono znacznie ich ramy fundamentowe a to przez dodanie do czworoboku żelaznego kilku przecznic i podłużnic, wskutek czego mogą wytrzymać największy nawet nacisk, najsilniejsze uderzenie. Wzdłuż wagonów na zewnętrznej ich stronie umieszczono deski szerokie, a zewnątrz pod oknem grube izemienie, które mają ułatwić podróżnym opuszczenie wagonu przez okno. W pociągach zaprowadzono służbę patrolową, polegającą na tem, że jeden z konduktorów ma bez przerwy chodzić po wagonach i czuwać nad bezpieczeństwem publicznem. Nadto umieszczono w wagonach nowe aparaty alarmowe, które bezzwłocznie przywołują służbę, nie zatrzymując pociągu, przez co utrudnia się w razie napadów rabusiom ucieczkę z pociągu. Ażeby zaś zapobiec najechaniu pociągu przez inny pociąg z tyłu, umieszcza się na ostatnim wagonie jaskrawe sygnały, widoczne już bardzo daleko.

* * *

Motor słoneczny. Myśl zużytkowania ciepła słonecznego, jako źródła siły, nie jest nowa. Pierwszym, który posiłkował się tem ciepłem, był Archimedes. Historja opowiada, że podpalił swemi zwierciadłami wklęsłemi statki rzymskie. W czasach nowszych francuz Monchet zbudował maszynę słoneczną. Na powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych ustawił szereg zwierciadeł kształtu eliptycznego. Skutkiem takiego uszykowania zwierciadeł, do ogniska ich przedostało się tyle ciepła słonecznego, że wytwarzało ono motor siły jednego konia. Od czasów Moncheta nauka i technika wielkie uczyniła postępy, lecz jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od dnia, w którym motor słoneczny będzie rozpowszechniony. Znany chemik, prof. Wilhelm Ostwald z Lipska, zbudowanie maszyn, służących do bezpośredniego wytworzenia z ciepła słonecznego źródła siły, nazwał jednem z najdonioślejszych zadań, jakie ludzkość winna w przyszłości najbliższej rozstrzygnąć.

Największa ze wszystkich istniejących maszyn słonecznych znajduje się w South Pasadena, w Kaliforuji i służy do dostarczania wody dla nawodnienia ziemi. Maszyna ta kształtu olbrzymiej misy eliptycznej, ma 11 metrów średnicy i składa się z 1788 małych zwierciadełek, które są tak uszykowane, że ześrodkowują promienie słoneczne i kierują ją na ognisko elipsy; tutaj znajduje się kocioł, około 800 litrów pojemności. Giętka rura przeprowadza parę z kotła do motoru, który rozwija energję siły dziesięciu koni i pompuje wodę ze studni szybkością 11000 litrów na minutę. Maszyna jest ustawiona jak luneta, tak że obraca się wraz ze słońcem.

* * *

Ojczyzna syfilisu. Wielu uczonych lekarzy przeprowadzało badania nad tem, gdzie jest ojczyzna tej strasznej choroby. Iwan Bloch w swej historji syfilisu na podstawie bogatego materjału udowadnia, że choroba ta przez hiszpanów zawleczoną została do Europy z Ameryki południowej prawdopodobnie z Peru. Nowego dowodu tej teorji dostarczyły badania młodego studenta medycyny na uniwersytecie w Lima nazwiskiem J. Tello. Zbadał on w latach 1907 do 1908 około 15000 czaszek, pochodzących ze starożytnych grobowców staro-indyjskich jeszcze z przed czasu odkrycia Ameryki, wśród nich przeszło 1000 znalazł takich, które posiadały zniekształcenia, które specjaliści oznaczyli jako spowodowane syfilisem. Badania te wyjaśniałyby też pewną zagadkę, jaką przedstawiały wśród wykopalisk staro-peruwjańskich figury gliniane, przedstawiające postacie bez nosa, lub górnej wargi, widocznie byli to dotknięci syfilisem i dotychczas uważali uczeni te figurki za wizerunki zbrodniarzy, okaleczonych za karę.

Z literatury i sztuki

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt I na styczeń i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f): Navigary necesse est... — 2. K. Stefański: Utopje ugodowe ostatniego czterdziestolecia a polityka narodowa. — 3. Dr. Michał Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań. — 4. Dr. Stanisław Kelles-Krauz: Problemat seksualny. — 5. Junius: Współcześni politycy polscy. XIV. Prezydent Dr. Leo. — 6. K. Srokowski: Kwestja dalekiego Wschodu. — 7. Przegląd: II. Z prasy. II. H. O.: Ze spraw oświatowych i wychowawczych. III. Skiba: Ruch kobiecy. IV. Liga wolnej myśli. — Sprawozdania.

Część druga: 1. Leopold Staff: Skazaniec mówi... — 2. Michał Sokolnicki: Leonardo da Vinci. — 3. Leonardo da Vinci: Orzeczenia, przemowy, przypowieści, Przełożył M. S. — 4. Włodz. Konieczny: Pieśń. — 5. Jan Dąbrowski: Z niwy nowelistycznej. — 6. Mieczysław Smolarski: Rycerz Smęt. O ciche westchnienie. Poezje. — Marja Aleksandra Walewska: Hildebrand. — 8. W. F.: Najmłodsi w literaturze polskiej. I. St. Brzozowskiego „Legienda młodej Polski“. — 9. Emil Verhaeren: Z cyklu: „Dwanaście miesięcy“. Tłóm. Jan. L. — 10. M. Rakowska: List angielski. (Teatr). — 11. Przegląd: I. Objaśnienia do ilustracji. II. Z prasy. III. L. Kowalski: Z wystaw krakowskich. IV. A. Zagórski: Teatr lwowski. V. Igor: Ruch umysłowy w Poznaniu. VI. (x.): Teatr krakowski. — 12. Sprawozdania: Z nowości wydawniczych. Dodatek artystyczny: Leonardo da Vinci: Mona Liza — Piękna Ferroniera — Głowa kobieca.

Adres „Krytyki“: Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 5 marek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 3. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 stycznia 1910.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Dokończenie.)

Po upływie paru miesięcy od opowiadanych powyżej wypadków, owi tak liczni dawniej goście poczęli coraz rzadziej zaglądać do „Łabędzia“, a do gabineciku nikt już nie zaglądał na poufne pogawędki. Nie dosyć tego: goście zaczęli dziwnym wzrokiem spoglądać na Kiełbikową i nikt nie pytał ją o męża.

Poczuła ona pismo nosem i porozumiała się z mężem. Wskutek tego porozumienia Kiełbikowa opuściła zajmowaną posadę, podając za powód do rozerwania kontraktu niemożliwość prowadzenia tak ożywionego handlu. Browar, znając istotną przyczynę, nie robił trudności w wydaniu kaucji, tembardziej, że na to miejsce było dużo amatorów, którzy zazdrościli Kiełbikom powodzenia. Znalazł się nawet taki, co dał jej 700 rubli odstępnego i osiadł na jej miejscu.

Lecz nic nie pomogła zmiana gospodarza, gości coraz mniej tam bywało. Wreszcie zmieniono nazwę piwiarni: „Łabędzia“ zastąpił „Kogut“. Lecz i on nie mógł jakoś sprowadzić odstręczonych gości. Robotnicy, przechodząc około piwiarni, pluli, przeklinali. Przeklinał też Kiełbików nowy knajpiarz.

Piwiarnia marniała w oczach. A kogut, który był wymalowany jaskrawemi farbami, zbladł zupełnie. Z pod warstwy farby, którą zamalowano pierwotne godło piwiarni, coraz wyraźniej występował Łabędź. Patrzył on na koguta i na przechodzących robotników jak smok, który się szykuje do pochłonięcia nowej ofiary i będzie pożerał dotąd aż mu kto nie podsunie barana, wypchanego siarką, która go spali i zniszczy na zawsze...

Kiełbik po kilku miesiącach rekolekcji wyszedł odmłodzony, zdrów i pełen ufności w siebie i w przyszłość...

. . . . . .

Przez dziesięć lat nie było mnie w kraju. Na zegarze wieczności jest to nic. Dla mnie i dla drugich znajomych Kiełbika czas ten był nieskończenie długi... Często wspominaliśmy o Kiełbiku siedząc przy płonącem ognisku w jurcie, skracając sobie długie noce wspomnieniami o wszystkiem, co było drogie naszemu zbolałemu sercu. Wielu z nas strawieni tęsknotą pokładli się do zimnych mogił, wykopanych w zmarzniętej tundrze na wieczny odpoczynek, nie doczekawszy się powrotu do kraju. Nareszcie wybiła godzina końca naszej męczarni. Tylko kilku nas niedobitków powróciło do kraju. Tu powierzchownie nic się nie zmieniło. Warszawa trochę wyładniała, przystroiwszy się w kilka tuzinów nowych domów. Krańce miasta, jak były brudne i ubogie, tak i dziś są. Znajomi jedni poumierali, drudzy zmienili się do niepoznania zewnętrznie i wewnętrznie... Kilka dni chodziłem tak po mieście, przypatrując się wszystkiemu ciekawie. Powlokłem się na Krzywą ulicę ciekawy jak też ona wygląda. Cóż, przybyło kilka fabryk, mniejszych i większych, kilka domów mieszkalnych, trochę więcej dymu i śmieci na ulicy; pozatem tak tu dziś było, jak i przed 12 laty. A prawda — nie było tam już piwiarni wprost fabryki giętych mebli, w której nas Kiełbik poił piwem. Dom ten również zamieniony był na fabrykę. Wszystkie wspomnienia odżyły we mnie; wszystko stanęło mi przed oczami jak żywe. Eh, tak niedawno, zda się, ja biegałem z bańką do fabryki, młody, zdrów, wesoły a nawet szczęśliwy! Tak, byłem szczęśliwy, bo kochałem! Cieszyłem się nadzieją, że wkrótce uścielę sobie gniazdko i posadzę w niem moją kochaną Helenkę i że nasze gniazdko ożywi się kwileniem małego pisklęcia, takiego malusieńkiego boba, które, gdy przyjdę z roboty, będę huśtał na rękach, a ono będzie się śmiało do mnie i szczebiotało: „tiata, tiata!“ A potem wychowamy go na prawdziwego orła z groźnemi pazurami dla krzywdzicieli i czułem sercem dla cierpiących współbraci. Marzenia moje rozwiały się, jak senne widziadła... Helenka ze zmartwienia umarła, a ja? ja straciłem zdrowie, młodość i wszystkie nadzieje młodych lat. Dziś jestem starcem, chorym i prawie niedołężnym. Łzy napłynęły mi do oczu w sercu poczułem ból i straszną nienawiść do tego, co zburzyło moje zycie, moje szczęście i szczęście tylu moich towarzyszy.

Przepełniony temi wspomnieniami, mimowoli zatrzymałem się przed traktjernią na rogu ulicy Krzywej. Wstąpiłem tam wypić kieliszek wódki, bo strasznie mnie jakoś w gardle dławiło. Była to ta sama knajpka, do której chodziliśmy, nim Kiełbik otworzył swą przeklętą piwiarnię. O dziwo! — ten sam gospodarz stoi za bufetem — nic się nie zmienił — taki tłusty i czerwony jak i był. Poczciwy pan Łukasz! Nie poznał mnie. Dopiero gdym mu wszystko przypomniał, wyskoczył z za bufetu, porwał mnie za ramiona i pociągnął do światła; długo, długo mi się przypatrywał, w końcu ze łzami w oczach przemówił:

— Oj biedny, biedny Walusiu, co oni z ciebie zrobili?

Przyszła i żona pana Łukasza, spłakała się babina i wycałowała mnie jak rodzonego syna.

Pytaniom i opowiadaniom nie było końca. Pan Łukasz, człowiek niegłupi, tylko trochę zacofany, ale poczciwy z kościami, naopowiadał mi masę wiadomości, bardzo mnie interesujących, z dawnych lat i z obecnych czasów. Siedział on w swej knajpce blizko 20 lat; znał prawie wszystkich mieszkańców tej uliay, a po zamknięciu piwiarni pod Łabędziem, wszyscy znów powrócili do niego. Cieszył się on prawdziwym szacunkiem swych gości, choć był opryskliwy i nie lubił poufałości. On nie był żyłownikiem, prowadził swą traktjernię po staroświecku, bez kielnerów, bez dzwonków i bez nowomodnego szyku. Zato jedzenie, które przygotowywała stara Mateuszowa, było smaczne i obfite i w dodatku niedrogie.

Kiedyśmy sobie naopowiadali różnych wiadomości, zapytałem go, czy nie wie, co się stało z Kiełbikami.

— Jakto, czy nie wiem? Wiem, mój kochany, wiem. Ho, ho! Pan Kiełbik jest dziś jaśnie pan, bogacz, całą gębą pan. No, zresztą zobaczysz go sam. Kiełbik, mój kochany, przed dwoma laty kupił tę fabrykę tabaczną, która była po drugiej stronie ulicy. Dziś pracuje tam do 800 ludzi i strasznie są przez niego wyzyskiwani. Mój kochany, nie wiem skąd ten hycel przyszedł do takiego majątku. Przychodzi tu do mnie czasami woźny z jego kantoru, to opowiada różne dzieje o nim. Wygrał on 200 tysięcy na premjówce, lecz nim wygrał, już był bogaty. Dziś jest prezesem w jakiejś instytucji finansowej, seniorem w brac-

twie, no i djabli wiedzą, czem on nie jest. Spasł się jak świnia, ledwo łazi, a chytry i chciwy na grosz, gorzej od żyda! Ale zapomniałem ci powiedzieć: Kapuściński, Piasecki i Drętwy są u niego majstrami i stali się jego wiernymi psami. Widzisz, ci ludzie, co przez niego tyle wycierpieli, dziś liżą mu łapy i poszli do niego na łańcuch gryźć tych, za których niegdyś walczyli!...

Zerwałem się, jakby mnie kto gorącem żelazem sparzył, tak mnie ta wiadomość przeraziła.

— Kapuściński, Piasecki, Drętwy — tacy ludzie spodlili się! To nie może być, to nie może być! — wołałem wzburzony i zdziwiony.

— Hę, nie może być powiadasz? No widać może, kiedy jest. Ale zobaczysz sam — oni tu przychodzą i dziś przyjdą, a nawet niedługo, bo już pół do siódmej. Poczekaj, to się z nimi zobaczysz i dowiesz o wszystkiem lepiej, niż odemnie.

— Co, ja miałbym się z nimi widzieć, może jeszcze witać? Nigdy w świecie! — zawołałem. — Po tem wszystkiem co zaszło, po tylu cierpieniach własnych i swych towarzyszy, ci ludzie mogli się okazać takimi nikczemnikami, że poszli służyć do takiego człowieka, od którego na milę śmierdzi podłością?! I ja miałbym się z nimi witać? Nigdy w życiu tego nie zrobię! Bądź pan zdrów, panie Łukaszu! i nie mów pan nawet tym ludziom, że ja przyjechałem, żeś mnie pan widział.

— Dobrze, nie powiem im, jeżeli tak chcesz; a co się tyczy Kiełbika, który, powiadasz, śmierdzi tak, że o milę go czuć, to masz rację, tylko widzisz, mój kochany, on ma pieniądze, a pieniądz — widzisz — to grunt. Tak mój Walusiu tak!...

KAMIL FLAMMARION.

Koniec świata.

(Dokończenie.)

Skorupa ziemi mogłaby być rozbitą, nastąpiłyby gwałtowne przewroty gieologiczne.

Bezustanna jednak obserwacja komet, ich częste zdjęcia fotograficzne, rozbiór ich światła, zdają się wskazywać, że nie posiadają one, nawet w swych jądrach, mas tak znacznych, ażeby usprawiedliwiły podobne obawy. Zresztą są komety i komety i jeśli wogóle są one słabe i rzadkie, były też i takie, które się wydały strasznemi, jak np. komety z r. 1811, 1843, 1858 i 1861.

Ogony ich są czasasami olbrzymie i prawdziwie fantastyczne. Ogon komety z r. 1843 liczono na 330 miljonów kilometrów, z r. 1680 — na 240 mil. klm., z r. 1847 — na 200 mil. klm. Kometa z r. 1744 przedstawia się jak wachlarz z sześciu piór złożony.

Przypuśćmy teraz, że kometa podobna do tej z r. 1811 uderzy wprost na nas w naszej podróży naokoło słońca. Kula ziemi przeniknie najpierw w materję mgławicową komety, nie doświadczając zbyt wielkiego oporu. Przejście o 1.800.000 klm. średnicy, trwałoby 25.000 sekund, czyli 417 minut, tj. 6 godzin 57 minut. Pożar powstałby bardzo szybko. Temperatura podniosłaby się nie do setek, ale do tysięcy stopni.

Ciśnienie komety na ziemię, pomimo szalonej szybkości, nie byłoby bezwątpienia wielkiem, zważywszy subtelność meterji, którąby przechodziła przez naszą ziemię; substancja ta jednak, ponieważ zawiera węgiel, jest palną i często widzi się komety, dodające światło własne do światła otrzymywanego od słońca; stają się one rozpalonemi do białości i to bez spotkań i bez uderzeń. Gdy planetę naszą otoczy ten gaz rozpalony, wichry zaczną dąć gwałtownie, morze zacznie się burzyć i napełni atmosferę parą, gorący deszcz padnie na ziemię, chmury ogniste walczyć będą z chmurami pary, odgłosy grzmotów zagłuszać będą wycie burzy.

Będzie to koniec ludzkości, spowodowany przez ogień, a pożar naszej planety stanowić będzie piękne widowisko dla astronomów z Marsa lub Wenus.

Ale ludzkość skończyć może swe istnienie i w inny sposób: przez uduszenie lub przez obłęd powszechny.

Pomieszanie atmosfery komety z atmosferą ziemi, uniemożliłoby oddychanie wywołując zatrucie krwi. Tutaj, jak i w wypadkach poprzednich, katastrofa byłaby bezwzględną i gwałtowną. Zmniejszenie ilości tlenu pociąga za sobą śmierć istot skazanych na oddychanie powietrzem go pozbawionem, a właśnie zetknięcie się atmosfery ziemi i komety usunęłoby tlen z powietrza, którem oddychamy.

Skład chemiczny komet nie jest jeszcze dotychczas zupełnie dokładnie określony; jest bardzo prawdopodobnem, że nie wszystkie komety pod tym względem są do siebie pododne. Wyobrazić sobie można naprzykład kometę, która przy spotkaniu z ziemią nie pochłonie tlenu z naszej atmosfery, lecz pochłonie azot, czem nadmiernie spotęguje działalność płuc, serca i mózgu wszystkich mieszkańców ziemi.

Wywołałoby to w nich uczucie nadzwyczajnego zadowolenia. Wszyscy poczuliby się nagle nadzwyczaj szczęśliwymi i bardziej, niż kiedykolwiek, rozkoszowaliby się życiem. Nie byłoby ani złych, ani zazdrosnych, ani gderliwych. Planeta nasza stałaby się cudownym rajem, a broń wypadłaby ze wszystkich dłoni. Zadowolenie nastąpiłoby wkrótce miejsca krzykliwej radości, zakończonej wkrótce powszechnym obłędem i śmiercią.

Takie są możliwe zakończenia świata z przyczyn zewnętrznych. Ale możliwe są i zakończenia z przyczyn czysto ziemskich. Tradycje starożytne zachowały wspomnienie potopu, który nazwano powszechnym, a który jednakże był tylko częściowym (w związku z morzem Śródziemnem). Był to zapewne olbrzymi wylew spowodowany przez opuszczenie się lądu poniżej pozoimu oceanu.

Planeta nasza nie ma powodu do obawy powszechnego chyba może według następnej teorji naukowej. Wzniesienie lądów nad poziomem morza stopniowo się zmniejsza. Deszcze, śniegi, grady, wiatr, burze, trzęsienia ziemi łączą się w celu niszczenia gór i zamiany ich na pył. Potoki i rzeki zanoszą go do oceanu, którego dno stopniowo się podnosi.

Liczyć można, że wszystkie rzeki zanoszą do morza corocznie 230.000 klm. sześciennych wody, zawierających około 10 klm. sześciennych materji lądowych. Niezależnie od tego fale morskie odrywają w ciągu stulecia po 2—3 mtr. sześciennych skał nadbrzeżnych, licząc dla całej ziemi. Gieolog francuski Lapparent obliczył, że siły działające obecnie, gdyby nie przyłączyły się do nich żadne inne ruchy, wystarczyłyby, ażeby w ciągu czterech miljonów lat wszystkie lądy ziemskie były pochłonięte przez morze. Ale oprócz tego potopu stopniowego i powszechnego, możliwe są potopy częściowe. Tak łatwo obliczyć można, że Paryż może się znaleść na dnie oceanu w ciągu 88.000 lat.

Najprawdopodobniejszą jednak przyczyną końca ludzkości będzie brak wody, spowodowany przez zanik pary wodnej w atmosferze i przez zimno.

Ziemia traci stopniowo ilość zapasów wody. Wiadomo w jaki sposób odbywa się jej obieg. Rzeki zasila tylko snieg lub deszcz, które są następstwem parowania mórz.

Ale cała woda atmosferyczna nie powraca do morza i nie pozostaje na powierzchni ziemi. Ażeby utworzyć źródło potrzeba, aby woda deszczowa napotkała łożysko nieprzepuszczalne. Skoro go nie znajdzie, przenika porowatą powierzchnię ziemi i znika w głębokich skałach. Woda ta jest stracona dla obiegu.

A tymczasem stanowi ona nietylko część składową istot zwierzęcych i roślinnych (70%), ale w stanie pary w atmosferze rządzi całem życiem ziemskiem.

Na 200 cząsteczek tlenu i azotu, jest zaledwie jedna pary wodnej; ale ta jedna ma 80 razy więcej energji i znaczenia dla podtrzymania ciepła, niż tamte dwieście.

Niech się zmniejszy ilość tych cząsteczek niewidzialnych pary wodnej, a nasz świat stanie się niemożliwym do zamieszkania, pomimo tlenu: wszystkie okolice, a nawet kraje podzwrotnikowe tracą ciepło, które podtrzymywało życie, a klimat ich staje się podobnym do klimatu gór, wiecznym śniegiem pokrytych. Temperatura spada do 273 stopni poniżej zera. Jest to grobowe zimno, do którego doszedłby klimat naszej ziemi przez zanik pary wodnej.

Takie zakończenie jest pewnem o tyle, o ile wcześniej przypadek nie sprowadzi innego. Jest to tembardziej nieuniknionem, że nietylko ilość pary wodnej, ale i tlenu i azotu zmniejsza się stale. A są one koniecznym warunkiem

życia na ziemi, zmniejszają się stopniowo, ażeby zniknąć zupełnie w ciągu mniej więcej... dziesięciu miljonów lat.

Na tem zakończymy djagnozę żywotności naszej planety. Prawdopobnie zginiemy przez zimno. Gdybyśmy uniknęli tego losu, podobny wynik oczekuje nas po dwudziestu pięciu lub trzydziestu miljonach lat, kiedy zagaśnie słonce, na którego promieniach zawieszone jest całe życie ziemskie.

Nasza planeta, czarna kula, krążyć będzie dokoła innej czarnej kuli.

Ale wszechświat za dwadzieścia i sto miljonów lat będzie istniał tak samo, jak istniał dwadzieścia i sto miljonów lat temu.

Przyszłość jego, to jego przeszłość.

Niema on ani początku, ani końca.

Natura ma zawsze w zapasie niewyczerpane źródła odrodzenia.

Wszystko się zmienia, wszystko się przeobraża, ale nic nie ginie.

Słońca i światy odradzają się z popiołów.

Życie jest wiecznem.

O łamistrejkach.

Jedną z najjaskrawszych oznak zgnilizny ustroju kapitalistycznego, dowodem, do jakiego zdeprawowania pcha ludzi kapitalizm, to sprawa strejkbrecherów, lub inaczej „chętnych do pracy". Miljony proletarjuszy pogardza nimi i ich zdradziecką czynność piętnuje jako największą zbrodnię. Społeczeństwo burżuazyjne jednak, jego trabanci i lokaje, wyśpiewują wprost hymny pochwalne na cześć tych wzgardzonych i zbrodnię zdrady podnoszą do wysokości bohaterstwa. Jeżeli kto obrazi w życiu prywatnem najwyższego urzędnika w państwie popełni czyn karygodny i może być pociągniętym do sądowej odpowiedzialności jedynie na wniosek obrażonego, przeciwnie ma się rzecz z łamistrejkami; jeżeli ktokolwiek krzywo na łamistrejków spojrzy staje się winnym przekroczenia i ściganym bywa z urzędu.

A przecież czynność łamistrejka da się jedynie porównać ze zdradą ojczyzny. Stanowisko „chętnego do pracy" określił nader trudnie pewien sędzia angielski, który w motywach wyroku przytoczył: „Łamistrejk jest wobec swej klasy tem, czem szpieg wobec ojczyzny i chociaż jeden i drugi wśród ciężkich chwil partjom przeciwnym cenne usługi oddają, to jednak z chwilą nastania pokoju spotykają się z pogardą ze wszystkich stron. Strejkbrecher jest ostatnim z tych, którzy innym pomódzby chcieli, nie umie patrzeć dalej nad koniec nosa i za pieniądze i czcze pochwały, gotów każdej chwili sprzedać swych przyjaciół, swoją rodzinę, swą ojczyznę. Słowem łamistrejk jest zdrajcą, który sprzedaje kapitaliście swoich kolegów po to, by później być wydanym na pastwę losu przez tego właśnie kapitalistę, któremu poprzednio się zaprzedał i ostatecznie wzgardzają nim obie partje. Staje się on swoim własnym wrogiem, wrogiem teraźniejszości i przyszłego społeczeństwa".

Tak to zmieniły się zapatrywania w ciągu lat; do niedawna jeszcze cierpiano nawet w bibljotekach stowarzyszeń robotniczych poezje francuskiego pismaka Coppee'go p. t.: „Strejk kowali", w których Coppee gloryfikował łamistrejków; dziś atoli w każdym uczciwym człowieku, łamistrejk obudza tylko uczucie wstrętu. Bezsprzecznie osoba „chętnego do pracy" była przed dziesiątkami lat mniej wstrętną, aniżeli obecnie. Wówczas zmuszała jednostki do pełnienia tego rzemiosła nędza ich i ich rodzin, albowiem wówczas albo wcale nie istniały organizacje zawodowe, albo środki, któremi one rozporządzały, były zaiste małymi i śnić nie śmiano o wypłacie regularnych wsparć strejkującym? Czy i dzisiaj mogą łamistrejki swoje podłe postępowanie tym brakiem usprawiedliwić? Dziś organizacje zawodowe wzrosły w potęgę, która rozporządza odpowiednimi środkami, dziś ofiarność proletarjatu wzrosła do tego stopnia, iż pracujący sobie od ust ostatni kęs chleba odbierają, byle tylko dopomóc walczącym towarzyszom niedoli, chociażby z zagranicy.

Na czemże więc jest oparta ta nadzwyczajna opieka nad łamistrejkami? Potentaci twierdzą, iż muszą chronić łamistrejków, ponieważ musi być chronioną wolność pracy.

Wolność pracy! Nigdy jeszcze nie nadużywano tak pięknego hasła w celu obrony zła. Zbadajmy nasamprzód, skąd zaczerpnięto to zdanie.

Oto Adam Smith w swej rozprawie o przyrodzie i przyczynach bogactw narodów zastanawia się w dwuch miejscach swego dzieła nad kwestją płacy, a mianowicie nad ekonomicznemi prawami mas ludowych, które ustalają wysokość płacy roboczej i nad nierównomiernem traktowaniem obywateli przez policję w Europie. Występuje energicznie przeciw wszelkim ustawowym granicom, skierowanym przeciwko robotnikom i żąda usunięcia ich w imię zasady: wolność pracy. Popiera on przedewszystkiem wolność ruchów robotniczych, żąda usunięcia ustaw, które ustalają najwyższą płacę dla robotników i zabraniają tymże żądania płac wyższych jakoteż zniesienia wszystkich zakazów zgromadzania i stowarzyszania się. Wkońcu zarzuca Smith rządom, że nierówno traktują pracodawców i pracobiorców i wyraża się: Skoro władza usiłuje w sposób sprzeczny z z najprymitywniejszemi pojęciami o sprawiedliwości uregulować ustawowo stosunek pracy i płacy między przedsiębiorcą a robotnikiem, w takim razie doradcami rządu byli przedsiębiorcy.

Widzimy więc jasno, że Smith użył słów o wolności pracy jedynie w interesie robotników, w interesie wolnego stowarzyszania się i pełnej wolności w prowadzeniu przemysłu.

I skoro dziś nadużywa się zdania o wolności pracy w celu skneblowania wolności koalicyjnej i ochrony łamistrejków, to spotwarza się je. Zapytajmy otwarcie: W czyim interesie otacza się łamistrejka tą nadzwyczajną opieką? Kto chociaż cokolwiek zna stosunki, odpowie bez wahania, że dzieje się to nie w interesie strejkbrechera, lecz przedsiębiorcy. Robotnikom nie przyznaje się wolności pracy, lecz tym, co szkodę wyrządzają swem niepoczytalnem postępowaniem swoim kolegom, tym przyznaje się „wolność pracy".

I kiedy się zamyka granice państwa, ażeby nie wprowadzać bydła z obcych krajów i tym sposobem nie naruszyć zysku hodowców bydła, a zboże obce importowanem być nie może, bez względu na drożyznę, bo ukróciłoby to lichwę hreczkosiejów, kiedy niezmiernie wysokie cła uniemożliwiają w interesie przemysłu w państwie zbyt obcych produktów, to jedynie bezbronnym stoi towar — siła robocza. Tu przestają istnieć granice: sprowadza się robotników z zamorskich nawet krajów, nie bacząc wcale na interes robotników, a raczej właśnie dlatego, by tem zwycięstwo utrudnić, by zmusić ich do pracy o głodzie i chłodzie, by nie dopuścić do tego, by robotnik czuł się człowiekiem. Przestaje się podczas walki o zdobycie większego kęsa chleba troszczyć o los robotnika, natomiast otacza się czułą opieką chętnego do pracy.

Sens moralny więc taki: Wolność pracy w ustach kapitału, jego satelitów i parobków, oznacza wolność przedsiębiorców w dowolnym wyzysku niewolników pracy i zrabowania tymże jedynego prawa, zagwarantowanego ustawą: prawa koalicji.

I śmią wobec tego twierdzić półgłówki o terorze organizacji zawodowych, gdy te starają się łamistrejkom uwagę zwrócić na ohydę ich postępowania. Każdy rozsądny człowiek przyznać musi, że pod flagą „wolności pracy" uprawia się kontrabandę na wielką skalę. Robotnicy jednak, oparci o silną organizację zawodową, potrafią i to zło usunąć i sprawiedliwości ku zwycięstwu utorować drogę.

Rozmaitości

Leczenie gruźlicy zapomocą pracy fizycznej. Pierwszym, który ruch ciała w powietrzu górskiem uważał za skuteczny środek przeciw gruźlicy płuc, był lekarz niemiecki Brehmer. Tę metodę kuracyjną rozwinął szerzej dr. Walter, który pacjentom swym kazał wykonywać dłuższe marsze.

Jeszcze dalej poszedł dr. Paterson, zaprowadzając w swem sanatorjum w Frimley system kuracyjny, polegający na umiejętnie ustopniowanej, regularnej pracy fizycznej. Bardzo interesujący opis takiej kuracji zapomocą pracy podaje Bulletin Medicale.

„Na polanie leśnej — czytamy w tem piśmie — widzimy wielką liczbę ludzi, którzy ścinają drzewa i rozrębują je na małe drewna. Nie są to robotnicy, ale chorzy. Naturalnie, nie wszystkich chorych leczy się pracą, lecz tylko tych, którzy mogą jeszcze wyzdrowieć. Każdy chory przebywa naprzód dziesięciodniowy okres zupełnego wypoczynku i spokoju. Potem dopiero następuje lekka praca, wymagająca nieznacznego wysiłku fizycznego, a polegająca na chodzeniu. W pierwszym dniu droga przebyta wynosi 300 metrów, w następnych dniach pacjent ma przebyć drogę coraz dłuższą, wreszcie okres ten kończy się marszem na przestrzeni 15 klm. Po tym okresie rozpoczyna się właściwa kuracja przez pracę, która się stopniowo wzmaga. Zrazu pacjenci wspinają się pod górę, obładowani coraz to większymi ciężarami, następnie zajmują się lekkimi robotami ziemnymi, mianowicie ładowaniem 2—4 i pół metr. kub. na wóz, poczem powoli nastaje okres cięższych robót ziemnych, wymagających znacznego wysiłku. Jeśli wpływ tych wysiłków na organizm okazuje się dodatnim i zdolność wytrwałej pracy jest już widoczną, wtedy pacjent przechodzi do robót najtrudniejszych i musi zrazu przez 4 godziny dziennie, a potem przez 6 godzin przekopywać ziemię, nosić ciężary i pomagać przy robotach malarskich. Leczenie to opiera dr. Paterson na teorji Wrighta, twierdzącego, że wzmocnieniem krążenia krwi wywołuje się autoimmunizację".

* * *

Wykopaliska z przed 7000 lat. Wielkie wrażenie wywołały w naukowym świecie wykopaliska archeologa angielskiego Myringa w dolinie rzeki Chimu w Peru, w południowej Ameryce. Zdołano tam odsłonić pagórek, zawierający stare groby i wyroby z gliny, niezwykle kunsztownie wykonane. Archeologowie obliczają wiek tych wyrobów na 7000 a może i więcej lat. Okazuje się z tego, że w owych zamierzłych czasach żył w Ameryce południowej wysoko rozwinięty lud, od którego pochodzą prawdopodobnie o wiele młodsi inkasi.

* * *

Wylewy w Hiszpanji. Klęska wylewów, która dotknęła Hiszpanję, przybrała rozmiary niepamiętne od lat stu. Cały węgieł północno-zachodni półwyspu spustoszył huragan, wszystkie zaś rzeki, płynące od oceanu Atlantyckiego, wezbrały gwałtownie, przekraczając poziom normalny o 25 stóp. Mosty pozrywane, linje kolejowe uszkodzone, a całe wsi zniszczone. Liczba ofiar ludzkich jest dotychczas nieznana, ale prawdopodobnie musi być bardzo znaczną. Woda powyrywała drzewa, a zatopione bydło napotkać można wszędzie, płynące po wodzie. W prowincjach Valladolf, Salamanka, Zamora, Walencja, klęska powodzi daje się ciężko we znaki. Kolej z Salamanki do Lizbony jest przerwana. W Sewilli wylał Gwadalkwiwir, zabierając liczne ofiary. We Vecilla, w prowincji Zamora, mieszkańcy schonili się na wieżę kościelną, która jedynie ocalała. Spędzili oni w owem schronisku trzy dni, zanim ich ocalono.

Skutkiem poprzerywania linji telegrafu i uszkodzenia koleji, Madryt odcięty jest od prowincji, dotkniętych klęską, co znacznie utrudnia wysyłanie pomocy. Dotychczasowe szkody materjalne oceniają korespondenci do gazet angielskich na 320 000 funtów szterl. (6 400 000 marek). Najwięspustoszenia sprawił wylew rzeki Duero, w której woda przekroczyła 34 stopy ponad zero zwykłego poziomu. W falach rzeki utonęło około 30 000 owiec i setki koni, mułów i bydła. Małe miasteczka jak Santa Cristina, La Vecilla, Villanuova, Villavleja uległy zburzeniu.

W prowincji Leon ludność schroniła się w góry, całe bowiem przestrzenie ziemi przemieniły się w obszerne jeziora. To samo stało się w prowincjach: Galicja, Burgos, Sataner i Toledo. Król zalecił czynne niesienie pomocy ludności ze strony władz wojskowych. Do powiększenia grozy katastrofy przybywały wieści o fatalnych skutkach huraganu, który w okolicy Gibraltaru zatopił wiele statków.

* * *

Rewolucja w przemyśle budowlanym. Kiedy dotychczas konstrukcji betonowej używano niemal wyłącznie przy budowlach mostów, kanałów, studzień, brzegów portowych i t. p., to obecnie przemysł budowlany zdąża potężnym krokiem do zastosowania masy betonowej przy budowach wysokich, jak domy mieszkalne. Spajając masę betonową sztabami żelaznemi, czem się jej nadaje większą wytrzymałość i siłę, próbowano jej używać ze znakomitym skutkiem przy rozmaitych konstrukcjach.

Przejście do zastosowania betonu przy budowach wysokich stanowiło używanie go przy budowie zbiorników na wodę i przy budowie zakładów gazowych, które dotąd budowano tylko z kamienia. Potem budowano z betonu sklepienia po kościołach, przyczem z łatwością naśladowano styl gotycki. W domach mieszkalnych, składach towarowych i zakładach fabrycznych sufity, budowane z cementu i piasku, względnie szutru mieszanego z wodą, wewnątrz wzmocnione sztabami żelaznemi, lub siatką drucianą, od dawna już przestały być nowością.

Lecz beton zdobył sobie coraz szersze pole zastosowania. Nie ograniczono się tylko na używaniu go do zwykłych sufitów, gotyckich i romańskich sklepień, przystąpiono wkrótce do budowania całych domów z masy betonowej. W Berlinie pierwszą próbą w tym kierunku było wybudowanie gmachu nowego więzienia. Zbudowano ściany z desek i ubijano w nich masę betonową. W ten sposób wybudowano ściany główne i boczne, filary i t. p. tylko w betonie, z wyłączeniem kamienia. Kiedy dawniej policja budowlana z niedowierzaniem odnosiła się do tej nowości, to obecnie w zupełności na nią się zgodziła i od trzech lat w Berlinie buduje się wszystkie większe budowle z betonu, od fundamentu, aż pod dach.

Do wiązania dachu używają zwykle konstrukcji żelaznej i drzewnej. Ale nawet w tym kierunku zaczyna się dokonywać pewna zmiana. W Hamburgu próbowano już w tym roku przy wiązaniu dachu drzewo zastąpić betonem. Głównie części składowe dachu, jak słupy, spoidła i t. p. zrobiono z masy betonowej, spojonej sztabami żelaznemi, a tylko krokwie dano z drzewa. A więc znów nowość. Przy budowaniu ścian zakładów fabrycznych hebluje się na gładko deski, które służą jako forma do ubijania betonu i zaoszczędza się w ten sposób gładzenia ich.

Przez ciągłe próby otwiera się coraz to nowe dziedziny dla zastosowania betonu, tak, że słusznie można mówić o rewolucji w przemyśle budowlanym przez beton.

* * *

Wybryk bogaczy. Artykuły luksusowe ze skóry ludzkiej. Manja amerykanów do wynajdywaniz ekscentrycznych mód wydała osobliwe owoce: Najnowszą zdobyczą amerykańskich zbytków, to wyrabianie z ludzkiej skóry rozmaitych przyborów kobiecych, mianowicie torebek, portmanetek itp. Pewna ekscentryczna amerykanka kazała sóbie niedawno zróbić małą torebkę z ludzkiej skóry i teraz wiele elegantek amerykańskich idzie w jej ślady. A więc skóra ludzka przeznaczona ma być na to, aby usunąć skóry zwierzęce. W Bostonie nawet pewna dama kazała sobie uszyć cały garnitur z ludzkiej skóry i stała się sławną. Najwięcej poszukiwana skóra ludzka ma delikatny różowy kolor i nadaje się najlepiej na wyrób, lecz i czarna skóra murzyna jest również ceniona jako więcej trwała i odporna, choć nie ma znów tak ładnego wyglądu. Zresztą wyrabia się już nawet paski, torebki i rękawiczki w kolorze naturalnym z delikatnej skóry ludzkiej, której nie bardzo apetyczne pochodzenie zakrapia się perfumami.

Oczywiście, że potrzebne skóry nie obdzierają z trupów bogaczy, lecz prawdopodobnie z trupów najbiedniejszych z biednych, gdzie najokropniejsza nędza powoduje rodzinę do sprzedania skóry zmarłego członka rodziny. Sakiewka ze skóry ubogiego proletarjusza napełniona pieniędzmi w ręku bogacza — oto jaskrawy symbol kapitalizmu, nadmienić jeszcze wypada, że donosi o tem gazeta kapitalistów niemieckich „Post" i to bez komentarza.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 4. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 stycznia 1910.

SELMA LAGERLŒF.

MARSZ WESELNY.

Z oryginału szwedzkiego przełożył **Konstanty Bukowski.**

Przed laty szykowano się do hucznych godów weselnych we wsi Svartsjö w Wärmlandji; najpierw zapowiadano ślub w kościele, a następnie trzydniowe wesele z tańcami, które miały trwać od wczesnego ranka do późnego wieczora.

Wobec tak szeroko projektowanej zabawy bardzo ważną sprawą było wystaranie się o dobrego grajka. To też Nils Elofsson, zamożny gospodarz, wyprawiający to wesele, więcej się kłopotał o to, niż o co innego. Muzykanta, który stale mieszkał w Svartsjö, Johna Östera, nie chciał wzywać, choć wiedział, że była to w swoim rodzaju znakomitość sławna na okolicę. Öster był biedny i zjawiał się nieraz na weselu w podartem ubraniu.

Po długim namyśle postanowił wreszcie, posłać do muzykanta mieszkającego we wsi Jössehärad, zwanego Marcinem-grajkiem z zapytaniem, czyby nie chciał grać na weselu jego córki.

Marcin-grajek bez wahania odpowiedział, że nie może grać w Svartsjö, skoro wieś ta posiada muzykanta głośnego na całą Wärmlandję.

Po utrzymaniu odpowiedzi Elofsson namyślał się dni kilka, wreszcie posłał do Säby po grajka Ollego.

Olle z Säby odpowiedział to samo, co Marcin-grajek i polecił wysłańcowi Elofssona, aby oznajmił swemu panu, że dopóty, dopóki Svartsjö posiada takiego muzykanta, jak Öster, on tam nie zagra na żadnem weselu.

Elofossonowi bardzo nie w smak poszło, że muzykanci chcą go zmusić do zamówienia grajka, którego mieć na weselu córki nie pragnie, wobec tego uparł się postawić na swojem.

I kilka dni po odmowie Ollego z Säby posłał parobka do Larsa Larssona do wsi Ullerud.

Larson był dostatnim gospodarzem; rozumny i rozważny nie pił, jak inni muzykanci.

Ale i on także zaczął się zastanawiać, dlaczego to jego wzywano, nie zaś Östera.

Parobek Elofossona uznał za najodpowiedniesze zaznaczyć muzykowi, że Ostera można słyszeć codzień — skoro Elofoson wyprawiał wesele, pragnął zaprosić kogoś znaczniejszego, lepszego.

— Nie sądzę, by mu się udało mieć na weselu córki lepszego muzykanta od Östera.

— Chcecie zapewno odpowiedzieć to samo, co Marci-n grajek i Olle z Säby — wtrącił parobek i opowiedział Larssonowi o swych niefortunnych zabiegach.

Larsson uważnie wysłuchał parobka i pogrążył się w zadumie — wreszcie dał odpowiedź pomyślną:

— Kłaniaj się twemu panu i podziękuj za zaprosiny, przyjadę — rzekł do parobka.

W najbliższą niedzielę udał się też Larsson do Svartsjö; podjeżdżał właśnie pod kościół w chwili, gdy orszak weselny ustawiał się parami przed domem Bożym.

Przybył na własnym wózku, w dobrego konia, ubrany czarno, wykwintnie; wydostał skrzypce z błyszącego futerału.

Elofosson powitał go nader uprzejmie, zaznaczając, że taki muzykant przynosi mu honor.

Zaraz po przybyciu Larssona zjawił się przed kościołem Öster ze skrzypcami pod pachą — podszedł wprost do gromadki, otaczającej pannę młodą, zupełnie jak gdyby był wezwany.

Był w swej starej kurtce zjedzonej przez mole — widywano go stale w tem ubraniu, ubraniu, które na tak wspaniałe wesele opatrzyła mu żona dużemi, zielonemi łatami na łokciach.

Öster był wysokim, ładnym mężczyzną i wyglądał by wspaniale na czele orszaku weselnego, gdyby był inaczej ubrany i nie miał twarzy pooranej bruzdami, wskutek trosk i walki z nieszczęściem.

Na widok Östera, Larsson zdradzał jakby trochę niezadowolenia.

— Ach tak, zaprosiliście również i Ostera — rzekł półgłosem do Elofossona — oczywiście na tak hucznem weselu i drugi muzykant nie zawadzi.

— Ależ, bynajmniej, wcale go nie zapraszałem — zapewniał Elofsson — dam mu zresztą do zrozumienia, że tutaj jest zbyteczny.

— Musiał go sprowadzić jakiś figlarz — zauważył Larsson — usłuchajcie mej rady i dajcie mu pokój. Słyszałem, że to człek gwałtowny, któż więc zaręczy, że nie zrobi awantury.

Słowa te trafiły śnadź Elofssonowi do przekonania — nie było już zresztą czasu na wywoływanie zamieszania, bowiem orszak weselny szykował się ku wyjściu do kościoła — podszedł więc do Östera i uprzejmie go pozdrowił.

Obaj muzykanci stanęli na czele; za nimi ustwiali się w zwykłym ordynku: państwo młodzi, drużbowie i druchny, rodzice i krewni — orszak wyglądał wspaniale.

Za chwilę jeden z drużbów podszedł do muzykanta, prosząc o marsza weselnego.

Muzykanci mieli już skrzypce pod brodami, ale żaden z nich nie dobywał tonu — stali jak wryci.

W Svartsjö panował bowiem dawny zwyczaj, że sławniejszy grajek rozpoczynał marsza weselnego i dyrygował muzykę.

Starszy drużba spojrzał na Larsona, spodziewając się, że on to zagra pierwszy; Larsson jednak ani myślał i wskazując smyczkiem Östera, rzekł:

— Niech Oster zaczyna.

Ale Osterowi przez myśl nawet nie przeszło, że jego towarzysz, ubrany jak wielki pan, mógł być gorszym od niego — wszak on, obdartus, przybywał wprost ze swej ubogiej chaty, gdzie prócz nędzy nic nie było.

— Za nic — odparł — za nic!

Pan młody wyciągnął rękę, trącił nią Larssona i rzekł:

— Niech Larsson rozpoczyna.

Usłyszawszy te słowa, Oster opuścił skrypce i wystąpił z szeregu.

Tymczasem Larssen nie ruszał się z miejsca, stał pewien zadowolenia z siebie, lecz i on nie uniósł w górę smyczka.

— Öster musi rozpocząć — odpowiedział stanowczo.

Orszak weselny zaczął już zdradzać zniecierpliwienie. Ojciec pana młodego zwrócił się do Larssona z prośbą, by on zaczynał. Kościelny wyszedł z kościoła i dał znak, że pastor czekał już przed ołtarzem.

— Musicie prosić Ostera, aby on zaczął — rzekł Larson; — my muzykanci uważamy go śród nas za najzdolniejszego.

— Być może — odpowiedziano mu w kilka głosów — ale my uznajemy ciebie za takiego.

Uczestnicy orszaku weselnego otoczyli kołem Larssona.

— Zaczynajcie! — wołano — wszak pastor czeka, robimy z siebie widowisko.

Larson był nieubłagany.

— Nie pojmuję — rzekł wreszcie — dlaczego mieszkańcy tej wsi są niezadowoleni, że ktoś ich muzykanta wyróżnia.

Elofsson pełen gniewu, podszedł do Larssona i szepnął mu:

— Teraz rozumiem, wyście to sprowadzili Östera, by go w ten sposób uhonorować. Grajcie co prędzej, o ile nie chcecie, abym wypędził stąd tego obdartusa!

Larsson spojrzał mówiącemu prosto w oczy, skinął głową, nie okazując wcale gniewu i rzekł:

— Macie słuszność, musimy raz te ceregiele przerwać.

I dał do zrozumienia Österowi, aby ten zajął swe poprzednie miejsce. Następnie zrobił kilka kroków naprzód, odwrócił się tak, że wszyscy mogli go dobrze widzieć, rzucił na ziemię smyczek, dobył z kieszeni kozika i pociągnął nim po strunach — wszystkie cztery pękły z ostrym dźwiękiem.

— Nie chcę, ażeby o mnie mówiono, że mam się za wybitniejszego muzykanta, niż Öster — powiedział z naciskiem.

Zaznaczyć należy, że Östera już od trzech lat prześladowała melodja, którą nosił w sercu, choć nie potrafił jej wygrać na swych skrzypcach dlatego, że miał dużo trosk i nigdy mu się nic takiego nie przytrafiło, coby go mogło podźwignąć ponnad codzienne, szare życie. Skoro teraz usłyszał dźwięk strun, pękających u skrzypiec Larssona, odrzucił głowę w tył i zacerpnął powietrza. Twarz jego skamieniała; zdawało się, że wysłuchuje coś pochodzącego z dali... Zaczął grać, bo uprzytomnił sobie melodję, o której tak długo marzył i przy dźwiękach jej tonów ruszył dumnym krokiem ku kościołowi. Podobnej melodji orszak weselny nigdy dotąd nie słyszał — porwała go ona z taką siłą, że nawet Elofsson nie pomyślał o dalszym oporze. I wszyscy uczestnicy orszaku weselnego byli tak zadowoleni zarówno z Östera jak z Larssona, że wchodzili do kościoła ze łzami w oczach.

Zagadnienia prostytucji w świetle hygjeny społecznej.*)

Wszelkie środki formalne, jakie człowiek wymyślił dotychczas w celu umoralnienia są z gruntu niemoralne. Nie widmo kary i przymusu powinno być podstawą życia płciowego, lecz czyste, święte współżycie równego z równą.

„Zagadnienia seksualne — mówi w „Systemie Etyki" Fr. Paulsen — należą do tych, o których trudno jest mówić, ale trudno i zamilczeć! Natomiast Wilhelm Bölsche w swej pięknej „Miłości Przyrody" nietylko, że nie zalicza zagadnienia seksualnego do rzędu tych, o których trudno jest mówić, lecz popęd płciowy podnosi do wyżyn najświętszego z uczuć ludzkich, do ekstazy niemal religijnej. Zjawisk przyrody nie należy według niego jedynie rozumieć, lecz „klękać trzeba jeszcze u ołtarzy jej cudów, wchłaniać blask ich całem jestestwem i podnosić dusze do tych wyżyn doskonałej harmonji, jaka rozbrzmiewa dokoła, niby hosanna nadziemska"...

Ale jakże znacznie oddalamy się od tych głębokich w psychologicznem zrozumieniu istoty życia płciowego i wysokich w poetycznem napięciu słów Wilhelma Bölsche, gdy dotknąć się mamy tej najciemniejszej gwiazdy na horyzoncie współczesnej cywilizacji, tej rany cuchnącej, od której trędowacieje organizm współczesnych narodów kulturalnych, gdy znijść mamy w to piekło zwyrodnienia ludzkiego — w świat prostytucji

Korzystając z najnowszch danych statystycznych, zebranych w ostatniej pracy dra Wróblewskiego, przedstawimy czytelnikom zgrozę prostytucji, jako poważne niebezpieczeństwo zagrażające zdrowiu ludu i pomyślności kraju i jako zjawisko, które „wstrząsnąć powinno sumieniem czytelnika, aby poruszyć w nim wewnętrzne pragnienie walki ze złem, aby struny duszy jego zadźwięczały wysokiemi tony łkającego żalu i bohaterskim dźwiękiem żądzy zwycięskiego czynu, aby zapragnął pracować dla wykorzenienia zła prostytucji i handlu żywym towarem i zaprawił swą wolę do pracy, do czynu".

Jedno z najtragiczniejszych ogniw w łańcuchu prostytucji — to handel kobietami, to ten nikczemny proceder, przy którego pomocy werbują się miljonowe armje prostytutek. Jeden z dziesięciu rozdziałów książki autor poświęca temu procederowi, wyszczególniając wszystkie metody, sposoby i i środki, którymi handlarze wabią swe ofiary w zręcznie rozstawione sidła i zaznaczając, że „najstraszniejszem wołającem o pomstę do całego świata zjawiskiem" w handlu kobietami jest to, że ofiarami jego w znacznej części są uczciwe, niewinne i biedne dziewczęta, zwabione hytrością, zdradą, a częstokroś i siłą brutalną. Handel żywym towarem, jak wszelka inna sprzedaż, dzieli się na hurtowy i detaliczny. Detalista dostarcza dziewczęta dla celów prostytucyjnych pojedyńczym rozpustnikom i do mniejszych lupanarów. Hurtownie eksportuje towar do krajowych i zagranicznych jaskiń rozpusty — całego świata. Tą drogą idą rocznie dziesiątki tysięcy ofiar i liczba ich z roku na rok wzrasta w sposób zastraszający, głównie dzięki powszechnemu zepsuciu obyczajów, ulepszonym warunkom komunikacji lądowej i wodnej, a zwłaszcza, dzięki przerażającemu ubóstwu szerokich mas ludności. Przedsięwzięcie to rozgałęzione jest po wszystkich miastach świata i jest tak chytrze zorganizowane, że walka z niem jest prawie niemożliwą. Handlarze żywego towaru znajdują się w posiadaniu tak wyrafinowanych wykrętów i kruczkow prawnych, że niemal zawsze unikają wymiaru sprawiedliwości. Jednym z najwygodniejszych terenów, gdzie handel kobietami kwitnie w całej pełni — jest Królestwo Polskie. Przed kilku laty Warszawa miała zaszczyt należeć do jednego z głównych rynków międzynarowych tego nikczemnego procederu. W Warszawie były też specjalne salony, gdzie sortowano towar, przeznaczony do dalszej drogi i perjodycznie wysyłany partjami. Obecnie jednak, wskutek silnego nadzoru na dworcach kolejowych, (przedsięwziętego właściwie w innym celu), handel ten zmniejszył się znacznie i przeniósł głównie do Wilna, skąd towar, po wysortowaniu go, idzie już recta via na południe i do stolic Rosji. Poza Warszawą i Sosnowcem, Wilno zajmuje obecnie najpoczesniejsze miejsce w eksportowaniu mięsa prostytucyjnego; Wilno zaopatruje głównie Petersburg, Moskwę, Odesę, Rygę, Niżny Nowgorod i inne miasta rosyjskie. W Wilnie znajduje się filja wielkiego towarzystwa handlu kobietami, które operuje kolosalnym kapitałem obrotowym i ma swoich agientów we wszystkich dużych miastach Europy, Azji i Ameryki. Agienci ci podróżują po różnych miasteczkach i dowiadują się, które z nich jest najuboższe i najmniej uświadomione co do grożącego mu niebezpieczeństwa — i w tem ostatniem zarzucają swe sieci bo tu działać można bez przeszkód i niewątpliwie liczyć na obfity połów, albowiem ludność, uczuwająca nędzę w kraju, szuka zarobków poza jego granicami i chętnie traktuje propozycje emigracji. Agienci i agientki, delegowani po kupno towaru, zwiedzają uplanowane z góry miejsca bądź w charakterze właścicieli kawiarń i restauracji, impresarjów teatralnych i kabaretowych, bądź w charakterze duchownych, pastorów, zakonnic, poważnych matron w grubej żałobie itp. Przy tych ostatnich sposobach charakteryzacji połów udaje się najlepiej. Niezwykle charakterystycznym jest przytoczony przez dra Wr. fakt, że ponieważ żydówki nie mają prawa

*) Z powodu książki dra Aug. Wróblewskiego p. t. „O prostytucji i handlu kobietami". Warszawa 1909.

zamieszkiwania w Rosji Wschodniej, gdzie jednak jako żer prostytucyjny są wysoko cenione, więc najpierw bywają chrzczone przez łapczywego na pieniądze pastora i następnie wywożone jako ewangieliczki.

Wielce ciekawą jest korespondencja handlarzy z domami rozpusty, przejęta przez policję, a jednak nie wystarczająca do izolowania tych monstrualnych i niebezpiecznych indywiduów. Oto kopja listu zaadresowanego do pewnej właścicielki lupanaru: „Madame! Posyłam pani kolekcję próbek po cenie bieżącego kursu — 300 fr. za sztukę. Mam jeszcze rozmaite artykuły nadzwyczajnie delikatne w kolorze blond lub ciemnym. Są one do dyspozycji pani"... i t. d. A oto kopje niektórych telegramów: „Zaraz przysłać mi dwie paki (t. zn. dziewczęta), ale nie koszerne" (t. zn. nie żydówki). „Przysłałeś mi dwie szmaty" (t. zn. dwie szpetne dziewczyny). „Trzy worki kartofli (t. zn. mniej ładne dziewczyny) zostały wysłane parowcem Lloydu". „Mam na przystani dwie sztuki czarnego jedwabiu" (są do sprzedania 2 ładne brunetki). „Wysyłam do Warny pięć beczek wina węgierskiego" (pięć ładnych węgierek) i t. d.))

„W tym krótkim szkicu kończy się rozdział a właściwie w tej wiązance strasznych i rozdzierających duszę faktów, świadczących o haniebnem barbarzyństwie naszego cywilizowanego społeczeństwa, ukrytem pod powłoką politury kulturalnej, czytelnik znalazł zobrazowanie tego, czem jest handel kobietami".

Ponury obraz tych strasznych stosunków, gangrenujących społeczeństwa i dziesiątkujących najtęższe elementy jego, uzupełnić jeszcze należy kilku faktami, znanemi tylko osobom bliżej stykającym się z tą cuchnącą raną społeczną.

Trzeba wiedzieć, że proceder handlu kobietami, niezależnie od wymienionych już siedlisk, kwitnie jeszcze z powodzeniem w murach szpitali dla chorych wenerycznych. Tutaj, pod okiem czujnego lekarza, dokonywa się tranzakcje i angażowanie chorych jeszcze prostytutek do jawnych i tajnych domów rozpusty. Układanie warunków odbywa się podczas widzeń lub za pomocą listów. Zdarza się również, że właścicielki lupanarów umyślnie zapisują się do szpitala jako chore, albo też wysyłają tam służące u nich dziewczęta — i w samym wnętrzu szpitala, bez żadnych przeszkód, układają z prostytutkami warunki i namawiają je do jak najprędszego opuszczenia łoża szpitalnego. Oczywiście, że prostytutki wypisują się, nie będąc jeszcze zupełnie wyleczone i często, gdy choroba znajduje się w stanie ostrego zapalenia. Stąd tak wielka liczba chorych prostytutek, gnieżdżących się pod okiem komitetu policyjno-lekarskiego po zaułkach miasta i stąd — tak wielka, tak przerażająco wielka liczba zarażeń. Zapyta się w tem miejscu uważny czytelnik: „Dla czego Zarząd szpitalny wypisuje chorą, gdy ta nie została jeszcze zupełnie wyleczoną?" Odpowiedź na to prosta: choroby zakaźne, szczególniej wyneryczne, dla całkowitego ich wyleczenia wymagają długiego bardzo czasu, kilkunastu miesięcy, a niekiedy i lat; na każde zaś opróżnione łóżko w szpitalu dla chorób wenerycznych czekają dziesiątki i więcej kandydatek. Taki stan rzeczy wtrąca zarząd szpitala w zaczarowane koło, z którego nie widzi punktu wyjścia: pozwoli opuścić szpital prostytutce chorej — ta zaraża natychmiast swych dawnych klijentów; pozostawi na wolności dziewczynę, świeżo zarażoną, ta z kolei, zarabiając na chleb swem rzemiosłem, zarazi znów swoją klijentelę... Rzecz jasna, że lekarze szpitalni gordyjski węzeł rozwiązują w ten sposób, iż chętnie przyjmują i spełniają prośbę wypisania się chorej jeszcze prostytutki, mniej niebezpiecznej, by jej miejsce ustąpić innej, więcej niebezpiecznej. Wypuszczone ze szpitala dziewczęta nie są wyleczone i zaraźliwość ich chorób nie jest bynajmniej zmniejszoną — zarażają więc wszystkich swoich klijentów; ci zarażają znów kobiety, z któremi mają stosunki — te zarażają ze swojej znów strony mężczyzn i ad infinitum. Oto jest pole dla najwdzięczniejszych zadań hygjeny społecznej!

Badając dalej stan prostytucji, wytykamy i inne ścieżki, na które zwrócić powinna uwagę hygjena społeczna. Dochodzimy tu do przeświadczenia, że prostytucja szerzy się nie wskutek ciemnoty ludu, lecz wskutek deprawacji inteligientnej klasy ludności, klasy średnio-wykształconej — to jest jedna przyczyna i ubóstwo (wraz z sieroctwem) — druga. Trzy czwarte prostytutek rekrutuje się z proletarjatu, więc klasy, pozbawionej środków do życia i pozostawionej na łasce losu; to też los pcha je na drogę nierządu. Zapytajmy teraz, kto pcha tych nieszczęśliwych parjasów społecznych w otchłań prostytucji? Dr. Alfred Blaschko*) zebrał w tej materji dane następujące: Liczba osób, stanowiących klijentelę prostytutek (a więc kategorję osób, która pcha je na drogę kupczenia swem ciałem), składa się następujących profesji:

żołnierzy 4%—5% (cyfry garnizonu berlińskiego),
robotników 9% (cyfry Centralnej kasy leczniczej),
służących w restauracjach:
a) 13,5% (według danych kasy leczniczej restauratorów),
b) 30% (według danych policji berlińskiej, dotyczących sług restaujacyjnych),
handlowców — 16,5% (według danych kasy związku subjektów handlowych),
studentów — 25% (według danych kasy leczniczej studentów).

Zważywszy, że chorobom wenerycznym podlega 4—8% robotników i żołnierzy, a 25% studentów i pracowników handlowych, łatwo pojąć, kto korzysta głównie z prostytucji i kto przyczynia się do jej rozwoju i komu należy się za to wdzięczność.

W nagłówku niniejszego artykułu postawiliśmy motto, które uważamy za dyrektywę dla życia płciowego, którego zasadą powinien być fakt, że „przyrodzonym celem wszelkiej, opartej na tle płciowym czynności, a więc i miłości płciowej, zarówno u człowieka, jak i u każdej innej istoty żyjącej, powinno być przekazanie i utrzymanie gatunku" **). Jeśli jednak stosunki płciowe odbywać się będą nadal, jak w warunkach obecnych, to oczywiście zasadniczy cel życia płciowego — przekazanie gatunku — zostanie zatracony. Mając ściśle ograniczone ramy tematu i ograniczone miejsce, możemy tu tylko pokrótce dotykać tych licznych dziedzin nienormalnego życia płciowego (kiedy cel jego zostaje zatracony), związanych z zadaniami hygjeny społecznej. Otóż przedewszystkiem należy tu zwrócić uwagę na skutki, wynikające z małżeństwa, gdy jedna strona żeni się w chwili panowania u niej choroby zaraźliwej. Według prof. A. Fournier'a 100 mężatek, zarażonych przez obcowanie płciowe (wszelkich innych sposobów zarażenia, jako przypadkowych, nie uwzględnił) 19 nabyło przymiotu od mężów, u których jednocześnie stwierdzono niewątpliwą chorobę. „Oczywiście — powiada Fournier — jest to liczba minimalna, gdyż wszystkie wypadki wątpliwe pominięto; można więc śmiało twierdzić, że 20 proc. mężatek w sposób najuczciwszy zaraziło się od własnych mężów". A wszak chodzi tu tylko o klijentelę zamożną, która może zasięgać rady u znakomitego lekarza i płacić za nią. Jakie skutki pociąga za sobą takie małżeństwo i jakie potomstwo wydaje — niechaj mówią fakty i cyfry. „Na własne oczy — powiada ten znakomity lekarz — widziałem, co następuje: 90 kobiet, zarażonych przez mężów, w pierwszym roku zaszło w ciążę. Jakie były rezultaty tych 90 ciąż? Oto 50 zakończyło się poronieniem, lub wydaniem dzieci nieżywych, 38 urodzeniem dzieci, które wkrótce zmarły, a 2 (!) urodzeniem dzieci, które wyrosły. Obserwowałem tę hekatombę dzieci — mówi dalej Fournier — nie w szpitalu, tylko na mieście, w swojej praktyce prywatnej, czyli w rodzinach mieszczańskich, a nawet arystokratycznych, u kobiet młodych, dobrze zbudowanych i po większej części zdrowych, korzystających ze wszystkich dobrodziejstw hygjeny, i majątku ***) Statystyka nawet pozwala obliczyć, na którym z małżonków ciąży przeważnie odpowiedzialność: dziedziczność ze strony ojca sama jedna daje 26 proc. śmiertelności, dziedziczność po matce — 60 proc., wreszcie dziedziczność podwójna — 68 proc. śmiertelności. Czy nie należałoby wobec tego zgodzić się z projektem dra A. Caralis'a, który w swoim czasie wniósł do parlamentu projekt prawa, któreby głosiło, że małżeństwo wzbronione jest osobom, dotkniętym chorobą zaraźliwą, mogącą przejść na żonę i potomstwo. Innemi słowy, prawo powinno zabronić związków małżeńskich osobom, które są dotknięte przymiotem i rzeżączką. Przy krytyce tego projektu pamiętajmy, że Francja liczy około 4 miljonów chorych na choroby weneryczne, z tych 4 mil., miljon choruje na rzerzączkę, a 2 mil. to syfilitycy!... Warszawa

*) „Prostytucja współczesna", spolszczył Wł. Maliniak.
**) Aug. Forel: „Zagadnienia seksualne".
***) Emil Duclau: „Hygjena społeczna". Wydawnictwo „Ogniwa,"

już teraz nosi miano — małego Paryża, nie pod względem kultury, lecz właśnie pod względem rozpusty. Królestwo przepija 30 mil. rubli! Rozpusta i pijaństwo — nie są wyłącznemi prerogatywami Warszawy, kult Bachusa i Wenery z taką samą intensywnością czczony jest i w innych naszych miastach. Łódź, Sosnowiec, Wilno — to wszystko, pod względem rozpusty, dzieci Paryża! Choroby weneryczne i skórne u nas szerzą się na potęgę. Wystarczy przejrzeć statystykę szpitala św. Łazarza. W r. 1908 na oddziale wenerycznym przebywało 1130 kobiet, w tym samym roku w oddziałach wenerycznym i skórnym przebywało 296 dzieci. W r. 1904 na 1377 kontrolowanych prostytutek*) znaleziono chorych 541, czyli 39,3 proc.; w r. 1905 procent chorych wynosił 44,8; w r. 1906 — 47; w r. 1907 — 51,3; wreszcie w roku zeszłym — 60,5 proc; innemi słowy: liczba chorych prostytutek stale wzrasta z roku na rok; $^1/_2$ tej ilości leczy się w szpitalu, druga połowa pozostaje bez opieki lekarskiej — szerzy więc zarazę. Gdy w Warszawie na 1000 studentów uniwersytetu z prostytucji korzysta 864, w Oxfordzie (słynne miasto uniwersyteckie w Anglji) — tylko 5! Z pośród 24-letnich młodzieńców uniwersytetu Warszawskiego jeden tylko był niewinnym. Według statystyki dra W. Miklaszewskiego w Warszawie 95 proc. ogółu mężczyzn przechodzi rzeżączkę, zaś do 75 proc. — przymiot. Zrozumiejmy cały tragizm kobiety, wychodzącej za mąż i czującej, co jej grozi! To też jedna z najbardziej znanych współczesnych bojowniczek za prawdę i wolność kobiety, Teresa Lubińska**), nawołuje: „Niech każda z córek naszych zupełnie świadomie ma odwagę zapytać ukochanego człowieka: „Czyś przechodził choroby weneryczne? Jakie? a jeżeli w jego oczach dojrzy niedobry błysk oburzenia lub drwinek, niech doda jeszcze: „Kocham cię! i dla tej miłości gotowam wziąć na siebie wszystkie trądy twoje — całą nędzę twoją — ale ani ty, ani ja — nie mamy prawa obciążać niemi pokolenia nowego, które nad nami ma prawo sądu".

Może 90 proc. młodzieńców odwróci się od dziewczyny, ale 10 proc. może zrozumie i może... na ową setkę skojarzy się bodaj jedno stadło ludzi czystych i silnych — którzy stworzą pokolenie czyste i silne. A garść mała apostołów w świat pójdzie — nie, ażeby szukać serum syfilitycznego na zaleczenie stoczonych chorobą nędzarzy, ale by głosić prawdę, ilustrując ją historją tej pary. Powiedzą: „Patrzcie! oto dwoje ludzi czystych, kochających się, którzy nie dla nędznego kontaktu dwuch skór, nie dla poszukiwania dreszczy rozkoszy — ale dla stworzenia nowych istnień połączyli swe życia... St. Annański (S. Auerbach).

„Wiedza".

*) Liczba kontrolowanych prostytutek w Warszawie wynosi około 1000, w rzeczywistości zaś jest ich 50.000! Połowa z nich stale jest chorą i ukrywa swe choroby.

**) „Z etyki zagadnień seksualnych" — wydane staraniem „Koła pracy kobiet".

Rozmaitości

Pożarty przez psy. O strasznym wypadku donoszą do pism warszawskich z pod Sieradza. Dwaj chłopcy po lat 10, Nowak, syn kucharza dworskiego w Bogumiłowie i Kaźmierczak, syn włodarza w tychże dobrach, poszli w dzień Bożego Narodzenia po południu do stawu za sadem dworskim. Staw był przed kilku dniami spuszczony i w stawie pozosały jeszcze drobne rybki. N. zstąpił do stawu i począł je zbierać. K., nie spiesząc się z wejściem, pozostał na grobli otaczającej staw. W tym od strony dworu przez sad pędzą cztery duże psy. Spostrzegszy je, K. krzyknął na towarzysza i począł uciekać, a gdy dopadł krzaków w sadzie, ukrył się w nich. Psy, ominąwszy siedzącego w krzakach o pręt chłopca, popędziły wprost do Nowaka, który z powodu wysokich brzegów nie zdołał prędko wydostać się ze stawu. Największy z psów uderza całą siłą w osłupiałego ze strachu i obala go na ziemię. Nieszczęśliwy, mocując się z napastnikami, zdołał podnieść się na nogi, ale pies powtórnie go powalił. Chłopak zaczął wołać błagalnym głosem: „Perkun! nie gryź mię!" Ale rozżarty pies nie słuchał, a inne dopadszy, poczęły też szarpać na nieszczęśliwym chłopu ubranie. K. patrzył na to ze swego ukrycia, ale nie mógł dać nieszczęśliwemu żadnej pomocy. „Perkun" przycisnąwszy nieboraka do ziemi, porwał go całą paszczą za szyję i wyrwał z jednej strony ciało aż do kości. Nieszczęśliwy chłopak, zalany krwią, drgał chwilę w męczarniach i skonał. Tymczasem psy szarpały na nim ubranie i wyrywając kawały ciała, pożerały je. Nasyciwszy się, trzy psy odeszły, omijając siedzącego w krzakach chłopaka, tylko „Perkun" pozostał i dalej szarpał zwłoki. Nakoniec i on powrócił przed dwór. Wtedy Kaźmierczak zerwał się i zaczął uciekać w pole. Psy zoczywszy uciekającego, puściły się w pogoń, ale gdy dobiegły do krwawych szczątków Nowaka, poczęły znów je szarpać. Chłopak tymczasem dopadł folwarcznego podwórza. Obejrzał się, a psy tuż za nim. Na szczęście zdążył wpaść do obory i zamknąć za sobą drzwi. Psy powróciły znów do zwłok. Ojciec poszarpanego chłopca, zrozpaczony pobiegł nad sadzawkę i z trudem tylko wyrwał z paszczy rozżartych psów okrwawione szczątki syna.

* * *

Hańba dzisiejszego społeczeństwa. Miasto Wiedeń, to miasto niezliczonych przepysznych kościołów, pałaców, dzieł sztuki, miasto miljonerów i — strasznej nędzy — miejsce bezdomnych proletarjuszy. Przed rokiem zbudowane ogrzewalnie odwiedziło od 17-go do 23-go grudnia 25522 mężczyzn, 17910 kobiet i 52296 dzieci, którzy zostali obdarowani polewką i chlebem. W tym samym czasie odwiedziło w nocy 4748 mężczyzn, 275 kobiet i 9 dzieci (pomiędzy tem 528 osób doprowadzonych przez policję). To przypada na jedną noc w Wiedniu 720 bezdomnych.

Tak wygląda stolica państwa kapitalistycznego. 52296 dzieci proletarjatu nie miało nic innego na obiad, tylko trochę grochowej polewki i chleba; dziewięć dzieci nie miało ciepłego łoża, nie miało nawet dachu nad głową.

To było przed samemi świętami Bożego Narodzenia, kiedy cały świat wołał: „Pokój ludziom na ziemi!"

* * *

Wzmożenie się choroby raka. Kiedy wszystkie prawie choroby pod wpływem nowoczesnej hygjeny i dzięki postępom sztuki leczniczej stale się zmniejszają i mają łagodniejszy przebieg, to złośliwy nowotwór tkanki, zwane rakiem, stanowi wyjątek. Liczba wypadków śmierci wskutek raka stale się zwiększa. Według statystyki urzędowej w Prusiech umarło tam na raka w 1907 r.: 28034 osób, kiedy w 1900 r. zmarło 20430, w 1886 r. 10919, a w 1877 r. 6971 osób. Ze wszystkich zmarłych przypada na 1876 r. 1,04 proc., 1886: 1,47, 1896: 2,65. 1900: 2,74, 1905: 3,54, 1907: 4,12 procent.

Przytem choroba ta, gnieżdżąca się przeważnie w piersiach i wewnątrz narzędzi płciowych, nawiedza częściej kobiety, aniżeli mężczyzn. Ze zmarłych na raka w 1907 r. w Prusiech było 12726 mężczyzn a 15308 kobiet. Okazuje się nadto, że śmiertelność na raka jest zmienna w różnych częściach kraju. Możnaby z tego wyciągać wnioski co do zaraźliwości raka, którą potwierdzają niektórzy lekarze, choć specjalista od tej choroby, prowadzący długoletnie badania w zakładzie królewskim w Londynie, przeznaczonym jedynie do badań nad rakiem, utrzymuje, że rak nie jest chorobą zaraźliwą, która może się przenieść z jednej osoby na drugą przez samo zetknięcie. Nauce lekarskiej nie udało się jeszcze zbadać przyczyn wzrostu liczby wypadków raka. Dane statystyczne z lat poprzednich nie mogą służyć za niewątpliwą podstawę do takiego twierdzenia, ponieważ z biegiem czasu wskutek wzrostu oświaty ludzie coraz częściej zasięgają porady lekarskiej, a wskutek tego lekarze mają sposobność prowadzić coraz to szczegółowszą statystykę chorób. W każdym razie to zdaje się być pewnem, że jak wszystkie choroby, tak i rak w wielkich zbiorowiskach ludzkich, jakiemi są nowożytne miasta, łatwiej się przenoszą i szerzą. Stąd też statystyka wykazuje, że śmiertelność raka jest w wielkich miastach stosunkowo największą.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 5. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 stycznia 1910.

MŁODZI — W LUD!

Dalej, młodzi przyjaciele —
Brać na barki życia trud!
I z otuchą w duszy, świetle,
Z światłem wiedzy idźmy w lud.

Świat otwarty jest przed nami,
W świecie wiele różnych dróg,
Lecz nie pójdziem manowcami —
Prostej ścieżce szczęści Bóg.

W lud pójdziemy jedną drogą,
Bok przy boku, z dłonią dłoń;
Niech szatani zadrżą trwogą,
Co tę wydrzeć chcą nam broń.

Co nas w drodze spotkać może;
Czy trud pochód przetnie nam,
Czyli celu ujrzym zorze —
Nie pytajmy — naprzód tam!

Ptak dalekiej się nie boi
Drogi, ponad tonie mórz
Śmiało leci ku ostoi,
Urągając rykom burz.

W pochód zatem — jak mąż jeden!
A wytrwale — jako ptak!
Wnet dla ludu stworzym eden,
Gdy z chat zniknie światła brak.

Dalej, Młodzi! ku celowi!
Brać na barki życia trud;
Swiatło wiedzy nieść ludowi —
Z poniżenia dźwigać lud!

Львівська Бібліотека
АН УРСР

MICHAŁ OSTROWSKI.

ZAKONNIK.

Z nim widywaliśmy się zdaleka i to nie często. Przechodziliśmy nieraz około siebie, jak gdyby nie znając się. Tak przeszedł cały szereg lat.

— — — — — — — — — — — — — —

Pewnego razu donieśli mi, że przy pracy maszyna zdruzgotała mu nogę i nieprzytomnego odwieźli go do szpitala. Wiadomość tę przyjąłem obojętnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Do fabryki, w której pracowałem, weszła moja matka i ze łzami w oczach prosiła mię, ażebym poszedł pojednać się z nim.

— I po co ja tam pójdę? — zapytałem obojętnie.

— Mój synu, ja cię proszę o to, pożegnaj się z ojcem, on pragnie cię widzieć.

— To już z nim jest tak źle? — zapytałem, patrząc badawcza na matkę.

— Bardzo źle, gangrena się wdała i dochodzi do serca — jest konający.

Dreszcz przeszedł po mnie.

— Konający?... chce mnie widzieć?

— Tak, idź do niego, proszę cię o to.

— Zaraz tam będę.

— — — — — — — — — — — — — —

Nogi drżały podemną, gdy, przechodząc przez korytarz szpitalny, stanąłem przy drzwiach sali, w której on leżał. Wejść... nie wejść... wszedłem i wzrokiem powiodłem dokoła...

Na łożu szpitalnem ze złożonemi na piersiach rękami, z twarzą nabrzmiałą i przymkniętemi oczyma, leżał on, tak, on, mój rodzic...

Z pod kołdry wystawała grubo obandażowana zmiażdżona noga.

Przybliżyłem się do niego i pozdrowiłem. Uchylił powieki i spojrzał na mnie.

— Przyszedłeś? — zapytał gasnącym głosem.

Żal, straszny żal, chwycił mię za serce, za gardło. Ukląkłem przy łożu i całowałem jego spracowaną rękę.

— Ojcze! przyszedłem się z tobą pojednać.

— Dobrze — rzekł drżącym głosem i położył ciężką swą rękę na mojej głowie.

Przez chwilę panowała cisza.

— Czy wierzysz w kościół święty? — zapytał mię znienacka.

Mróz przeszedł mi po kościach, więc on stojąc już na granicy pomiędzy życiem a śmiercią... chce mię pokonać... nie... walka toczyła się we mie... nie... nie ustąpię mu... ale szanując jego przekonania... tu... gdy on za chwilę będzie...

— Wierzę — z trudnością wyszeptały moje usta... skłamałem.

Ręka jego oparta na mojej głowie zadrżała silnie.

— In nomine Patris et Filii et Spirytus Sancti Amen.

Błogosławił mnie, robiąc krzyż nad moją głową.

— Czy pamiętasz ministranturę? — zapytał łagodnym głosem.

— Pamiętam — odpowiedzialem spokojnie.

— Introibo ad altare Dei — zapytał poważnie.

— Ad deum, qui laetificat juventutem meam — odpowiedziałem, a kolana drżały podemną.

On przesuwał drżącą rękę po mojej głowie i dyszał ciężko.

— Kyrie eleison — szepnął cichym głosem.

— Chryste elejson — odpowiedziałem silnie.

— Kyrie elejson.

— Chryste elejson — mroczyło mi w oczach. Widziałem, że on się wysilał.

— Orate fratres — złożył ręce na piersiach i modlił się cicho. Spojrzałem na jego twarz, była rozpromienioną, drżące wargi szeptały cichą modlitwę, a w oczach błyszczały mu łzy, łzy szczęścia. Zdawało mu się, że w chwili śmierci nawrócił „zbłąkanego syna".

— Sursum corda — wykrzyknął silnie urywanym głosem.

— Habemus ad Dominem — odpowiedziałem spokojnie.

Śmierć zbliża się...

— I te Missa... wargi ścisnęły mu się kurczowo, zacharczało mu w gardle, chwycił się rękami za serce, rzuciłem się na ratunek.

— Ojcze! Ojcze mój!!

Nie odpowiedział nic... był już trupem...

— — — — — — — — — — — — — —

Z głową ciążką, po bezsennej nocy, w mglisty kwietniowy poranek — pukałem do chatki grabarza.

— Kto tam? tak rano — zapytał grabarz otwierając drzwi.

— Cciałem wziąść miarę na trumnę — odrzekłem, wkładając mu monetę do ręki.

— A dla którego ma być ta trumna?

— Dla tego co wczoraj wieczorem...

— Aha, ten co mu w fabryce nogę...

— Tak, to mój ojciec....

— To proszę tam dalej, trupiarnia otwarta...

Wszedłem...

Pod ścianą z pod zakrwawionego prześcieradła wyglądała obandażowana noga. Podeszłem do trupa i drżącą ręką uniosłom prześcieradło.

— Tak to on — to mój ojciec, ten, który mnie prześladował za to, że garnąłem się do wiedzy, ten, który, gdy rwałem się do słońca... zasłaniał mi oczy... ten, który nie uszanował moich przekonań i siłą próbował cofnąć mój umysł wstecz, tak, to on, ten zimny, martwy, poważny trup... to on...

— Przyszedłem z tobą pomówić mój ojcze, pomówić teraz, chcę ci wyjawić co noszę w mem sercu i co zaklimatyzowało się w moim umyśle. Tyś mi nigdy nie dał przyjść do słowa, nigdy nie dałeś mi się wypowiedzieć i dla tego ja dzić dopiero do ciebie mówię, dziś, gdy ty jesteś zimnym, martwym trupem i skończyła się już twoja egzystencja, gdy musisz się rozpaść w proch i sładnikami swego ciała użyźniać ziemię, która ma wyżywić pokolenie następujące po tobie. Takie jest prawo natury. A ty inaczej myślałeś. Umierając, widziałeś przez imaginację otwarte niebiosa i spodziewałeś się otrzymać stamtąd nagrodę i to jest marzeniem pokolenia, w którem ty wyrosłeś i przeszłych pokoleń. Ale teraz nastąpi nowe pokolenie, którego zadaniem jest zpopularyzować wiedzę i pchnąć ją naprzód.

Tak ja jestem już z nowego pokolenia i wierzyć tak jak ty wierzyłeś nie mogę, bo mi nie pozwala na to moja wiedza, bo inaczej mi wszystko przedstawia nauka, a ja w nią wierzę i dlatego nie mogę już marzyć o niebiosach tak jak ty. My, umierając, myślemy tylko o tem, czy sumiennie wypełniliśmy swój obowiązek... człowieka, a po nas nastąpię inni — doskonalsi.

I tak będą przechodziły pokolenia, a każde potężniejsze wiedzą, a każde doskonalsze i trwać to będzie dotąd, aż ta ziemia, ten atom w planetarnym systemie, ta molekuła w wszechświecie straci energję, wystygnie, zlodowacieje i stanie się zimną i martwą — jak ty w tej chwili.

Ja to rozumiem, wierzę w to i to jest moją religją.

A tyś mnie za to prześladował, katowałeś mię i starałeś się mój umysł cofnąć wstecz... ty...

Ale nie będę ci złorzeczył — tyś moim ojcem — tyś mi dał życie... i tak ciężko pracowałeś i martwiłeś się o to, ażeby wyżywić ten „drobiazg" a ja ci za krzywdy, któreś mi wyrządził — przebaczam...

Ucałowałem mu zdruzgotaną nogę i wyszedłem... przygotować do pogrzebu...

— — — — — — — — — — — — — —

Rozwòj kapitalizmu.

Kapitalizm rozrasta się nietylko przez nagromadzenie kapitału w tym przemyśle lub też w tych krajach, gdzie system kapitalistyczny zapuścił korzenie i ugruntował się, lecz przez zaszczepianie tegoż systemu w innych gałęziach przemysłu i innych krajach.

Kapitalizm w skończonej formie zjawił się po raz pierwszy w przemyśle wełnianym i bawełnianym w Anglji. Zaprowadzenie maszynerji w tej gałęzi przemysłu pociąga za sobą wielkie zapotrzebowanie maszyn i węgla kamiennego. Zatem na tę samą drogę pchnięte zostały eksploatacja kopalni węgla, rudy żelaznej i fabrykacja maszyn. Zwiększona produkcja maszyn i węgla umożliwiła zastosowanie tychże maszyn i do innych działów przemysłu. Część wartości dodatkowej (zysku) osiągniętej z kapitalistycznych gałęzi przemysłu była ustawicznie lokowaną w nowych przedsiębiorstwach i nowych gałęziach przemysłu, czy to bezpośrednio przez właścicieli tychże, częściej jednak za pomocą pożyczek z banków, w których kapitaliści umieszczali swe kapitały. Z chwilą, kiedy skierowano kapitał do jakiegokolwiek rzemiosła, dając przez to możność stworzenia i zastosowania odpowiedniej maszynerji, dane rzemiosło skazane było na zagładę; może ono utrzymać się przez pewien przeciąg czasu, taniość produkcji maszynowej ruguje je jednak w końcu. (Nie mamy np. w Ameryce warsztatów, gdzieby za pomocą ręcznych narzędzi wyrabiano meble itp.)

W innych krajach, gdzie grunt był poniekąd przygotowany (Zachodnia Europa, Stany Zjednoczone) przykład Anglji pobudził, a jej konkurencja zmusiła wreszcie powstanie rodzinnego kapitalizmu; mimo tego w krajach tych miejscowe kapitały zasilane były przez angielskich kapitalistów, lokujących część swych kapitałów w danych krajach. Późniejszy rozrost kapitalizmu przybrał nieco wolniejsze tempo i pod rozmaitemi postaciami rozpostarł się na Mexyko, Południową Amerykę, Japonję, Rosję itd., obecnie zaś przenika do Turcji, Chin, Indji i reszty Azji jak i Afryki.

Utrwalenie kapitalizmu w nowym kraju przechodzi przez kilka faz. Najprzód staje się taki kraj rynkiem zbytu dla gotowych produktów krajów kapitalistycznych, dostarczając w zamian surowych materjałów i swych osobliwych produktów. Następnie czy to przez przekupstwo, czy za pomocą presji, lub podboju, otrzymują kapitaliści koncesje do budowania kolei, zajmowania całych obszarów ziemi, zawierających kruszcze lub minerały, nadające się do eksploatacji, wreszcie wyrabiają sobie przywileje handlowe. Wreszcie zaprowadzają kapitaliści przemysł, używając krajowców jako taniej siły roboczej. Przemysł ten raz wprowadzony, wypiera stale przemysł i rękodzielnictwo miejscowe, przekształcając wreszcie ustrój kraju na kapitalistyczny, przyczem jednak głównymi właścicielami wszelkich środków produkcji stają się kapitaliści zagraniczni.

Kapitalizm nie ogranicza się jednak do pewnych gałęzi przemysłu, kopalni, przewozu, handlu i obrotów finansowych, pomimo tego, że w pierwszym rzędzie stara się je właśnie opanować.

Kapitalizm stara się objąć wszystkie dziedziny ekonomicznego życia, we wszystkich krajach zaprowadzić jednakowe warunki społeczne na całym obszarze ziemi i oddać kontrolę nad tym wszystkim garści kapitalistów, najlepiej kapitalistycznie skonstruowanych państw.

Obowiązek pracy.

Dawniej mówiono o prawie do pracy i nie było dotąd nikogo, ktoby w teorji przynajmniej prawa tego dla wszystkich nie przyznawał. Dziś jednak coraz częściej na pierwszy plan zaczyna się wysuwać obowiązek do pracy. Wprawdzie księża i duchowni wszystkich wierzeń i systemów religijnych nie zapominali nigdy prawić proletarjatowi kazań na ten temat i po wszystkie czasy lud słyszał od swych kapłanów, że jego obowiązkiem jest praca, gdyż już Pan Bóg wyrzekł do pierwszego człowieka: „W pocie czoła

chleb swój spożywać będziesz". O tem jednak, że to przykazanie odnosi się do wszystkich ludzi w jednakowej mierze, zastępcy Boga na ziemi zazwyczaj milczą i nie chcą mówić klasom posiadającym o drugiem jeszcze bardziej wyraźnem przykazaniu biblijnem: „Kto nie pracuje, ten jeść nie powinien". Obowiązek pracy istnieje dzisiaj tylko dla klasy robotniczej.

Wprawdzie, znowu w teorji tylko, obowiązek ten uważa się za ciążący na wszystkich i najwięksi nicponie, próżniacy i pasożyci również twierdzą, że oni „także pracują" i że ich czynność dla społeczeństwa nie mniej jest potrzebną od pracy robotnika. Na szczęście liczba tych, którzy tę pracę klas posiadających traktują poważnie z roku na rok ustawicznie się zmniejsza. Nawet najgłupsi zaczynają rozumieć, że arystokracja, kapitaliści itd. są tylko pasożytami na ciele całego społeczeństwa i nic nie robiąc, zbierają owoce pracy innych.

W ostatnich jednak czasach nasi szarfmacherzy coraz bardziej zaczynają akcentować obowiązek pracy robotników. Wedle nich robotnik obowiązanym jest bezwzględnie za każde zaofiarowane mu warunki oddać swą siłę roboczą do dyspozycji przedsięciorcy. Jak prawdziwy niewolnik, bez względu na swój własny interes, powinien bez szemrania we dnie i w nocy dać się wyzyskiwać, w dodatku być wdzięcznym swemu panu za pracę i z pokorą psa ręce mu całować. Gdyż wedle kapitalistycznego światopoglądu, przedsiębiorca jest chlebodawcą, jeżeli pozwala używać swoich środków produkcji robotnikowi, który za pomocą nich stwarza nadwartość i pomnaża bogactwo, nie swoje, lecz właściciela tych środków produkcji. I ci „chlebodawcy" w swej chęci świadczenia robotnikom dobrodziejstw idą tak daleko, że dla robotników żądają absolutnej wolności — wyzysku. Gdyż nie tylko wolność przedsiębiorcy, lecz również wolność robotnika byłaby zagrożoną, gdyby postawiono pewne granice dzisiejszemu wyzyskowi.

Rzeczywiście, przedsiębiorcy to najlepsi opiekunowie praw i interesów robotniczych! Nigdzie jeszcze przedsiębiorcy nie okazali chęci zrzeczenia się swoich praw koalicji, tylko robotnikom chcieliby odebrać możność strejkowania. Nigdy i nigdzie nie byli wrogami organizacji robotniczej, owszem, sami je zakładają, nie chcą tylko, by organizacja ta była socjalno-demokratyczną, a więc tą, która jedynie skutecznie może bronić robotników. Sprawiedliwość kapitalistyczna idzie tak daleko, że w zupełności uznaje prawa robotników do polepszenia ich doli — tylko obecna droga walki klasowej, po której dziś idzie cały proletarjat, wydaje im się złą i brutalną i dlatego chcieliby, by robotnicy z tej złej drogi zeszli. Krótko mówiąc, robotnik może sobie robić wszystko, byle tylko nie próbował zmniejszyć zysków swoich wyzyskiwaczy. Niech prowadzi walkę z kim chce, a więc z tymi, którzy są innej, niż on nardowaści, z tymi, którzy wyznają inną, niż on religję, ze swymi współtowarzyszami pracy i niedoli, ale z przedsiębiorcą swoim, który pozwala mu pracować i „daje mu chleb za tę pracę" niech zawrze pokój; niech boryka się z takimi jak on biedakami a da spokój swym wyzyskiwaczom.

A jeżeli mimo tych wszystkich „dobrych" i „życzliwych" rad robotnik ośmieli się wstąpić do organizacji prawdziwej i postawi żądania, które w oczach przedsiębiorców są „nieuzasadnione", natenczas dopuszcza się zbrodni, gdyż burzy porządek i ład „stworzony przez samego Boga". — Żądać od przedsiębiorców, wbrew ich woli, nie wolno; zresztą, na cóż by się zdało, żądać od wyzyskiwacza, by zaprzestał wyzysku, żądać od wilka, by nie pożerał owiec. Jedna jest tylko droga, droga walki.

A więc: robotnik może mieć wszystko od swego przedsiębiorcy, tylko byle to wszystko nic nie kosztowało. Wogóle stanowisko przedsiębiorców jest jasne i proste: „Ja przedsiębiorca, jestem i pozostanę tym panem, obok którego ty, proletarjuszu, nie powinieneś mieć innych bogów". Przedewszystkiem muszę pozostać panem w swoim własnym domu, gdyż miejsce, w którem ty, niewolniku, dla mnie pracujesz, należy do mnie, tak, jak narzędzia, materjał surowy i towary z tego wytworzone. Gdy ja zechcę, nie będziesz miał co do ust włożyć, dlatego powinieneś mi być posłusznym i pracować nawet wtedy, gdy ci się coś nie podoba. Moja wola ma tu tylko znaczenie, a ty powinieneś milczeć. Zaostrzę regulamin pracy, masz to znieść spokojnie, przedłużę dzień roboczy — masz pracować dłużej, zredukuję zapłatę — masz mniej jeść i mniejsze kromki chleba dawać swoim dzieciom; protestować przeciw temu ci jednak nie wolno, bo to ciebie nic nie obchodzi, albowiem w mojem własnem przedsiębiorstwie ja jestem panem i ja jeden mogę rozkazywać".

Naturalnie, że to stanowisko przedsiębiorców nie ujawnia się zawsze w tak jaskrawej i brutalnej formie, treść jednak istotna dążeń i zapatrywań przedsiębiorców jest bezsprzecznie taka. Przedsiębiorcy mogą mówić, co chcą, dla nas pozostanie jednak jasnem, że jedyne ich dążeniemm jest, by utrzymać robotników w średniowiecznej zależności, jeżeli już nie w dawnej niewoli. Na dobrych chęciach pod tym względem im nie zbywa, brak im tylko siły, by te swoje szarfmacherskie zamysły w czyn wprowadzić. Zbyt brutalnie postępować nie mogą i być może, że pogodzą się ostatecznie z obecnem prawem koalicji, mimoto jednak nie zaprzestaną starać się, by ograniczyć używanie tego prawa. W tym celu wymuszają oni na „swych" robotnikach rewersy i oświadczenia, w których robotnicy mają się zobowiązać, że nie będą należeli do związków zawodowych; w tym celu zakładają rozmaite instytucje dobroczynne dla robotników, za pomocą których robotników wiążą i robią ich swymi niewolnikami. Całe ustawodawstwo społeczne chcą oni spaczyć i zrobić z niego narzędzie do ujarzmienia klasy robotniczej.

Prawo do pracy? Nie, dla robotników istnieje w pojęciu przedsiębiorców, tylko obowiązek pracy. Jeżeli konjunktura słabnie, wyrzucają robotników na bruk, ograniczają produkcję i nie troszczą się zupełnie, jaki los spotka te masy, pozbawione pracy. Robotnik z poddaniem się musi zarówno spokojnie znosić godziny nadobowiązkowe i przymusowe urlopy; samowola przedsiębiorcy ma być dla niego jedynem prawem. Przedewszystkiem jednak pracę swą ma oddawać za cenę, nie jaką on uważa za stosowną, lecz za tę, jaką mu podyktuje przedsiębiorca. To nazywają przedsiębiorcy wolnością umowy pracy.

Równe prawa, równość ekonomiczna i cały szereg równie pięknie brzmiących frazesów, którymi przedsiębiorcy chcą uśpić czujność robotników, nas zadowolnić nie może. My żądamy prawdziwej równości, a tę musimy zdobyć wbrew woli przedsiębiorców.

Odbudowanie San Francisco.

Wspaniałe to miasto, stolica przebogatej Kalifornji przed 3 i pół laty legła prawie cała w gruzy. Straszne trzęsienie ziemi i pożar, który równocześnie wybuchł z niesłychaną siłą, zmieniły najbogatsze dzielnice miasta w kupę gruzów i zgliszcz.

Dowodem energji i specjalnej amerykańskiej ufności w swe siły jest zamiar, by w czasie uroczystości otwarcia kanału panamskiego, urządzić olbrzymią wystawę światową. Specjalny komitet rozpoczął już gorliwą działalność i agitację przedewszystkiem w dziennikach.

Wszystko wskazuje na to, że śmiałe to przedsięwzięcie powiedzie się. Zburzone dzielnice miasta w znacznej części zostały już odbudowane. Trzęsienie ziemi zniszczyło 28 000 budynków, dotychczas 20 500 zostało już w większych i wspanialszych rozmiarach odbudowanych.

Celem przygotowania odpowiedniej ilości mieszkań dla przybyszów, na wystawę wzniesiono 150 hoteli, które będą mogły pomieścić 35 000 gości.

Charakteryzującem przywiązanie bogatych sfer do miasta rodzinnego jest fakt, że „Kafilornia-allee", wspaniała ulica, przy której wznosiły się okazałe pałace miljonerów kalifornijskich, dotychczas pozostała nietknięta niemal. Bogacze, którzy olbrzymie bogactwa tu zdobyli, po trzęsieniu ziemi opuścili San Francisco i pobudowali pałace na Rivierze, w Paryżu, Nowym Jorku.

Klasy pracujące, które największe poniosły straty, najbardziej ucierpiały z powodu klęski, są obecnie dźwignią powstawania ojczystego miasta i jego rozwoju. W ręce też działaczów w związkach zawodowych oddała ludność rządy miasta. Burmistrzem został wybrany długoletni prze-

wodniczący związku budowlanego, członkami rady miejskiej są przeważnie doświadczeni działacze związków zawodowych.

Ten robotniczy zarząd miasta ma dokończyć odbudowania miasta i urządzenia wszechświatowej wystawy.

Rozmaitości

Ile wydaje Królestwo Polskie na napoje upajające? Według wiadomości urzędowych wypito w Królestwie w roku 1908 ogółem 4.887.829 wiader wódki, a dochód z tego źródła wynosił 40.354.654 rubli, tj. około 90 miljonów marek. Piwa wyprodukowano w r. 1908 przeszło 11 miljonów wiader, a wypito nieco więcej, bo dochodzi do tego import piwa z Rosji i zagranicy, który przewyższa wywóz. Na piwo wydano (łącznie z akcyzą) około 12.500.000 rubli, czyli 30 miljonów marek. Jeśli doliczymy jeszcze na wino i szampan itd.. który wynosił także conajmniej 30 miljonów marek, to otrzymamy razem 150 miljonów marek jako roczny wydatek Królestwa Polskiego na napoje alkoholowe. Na 1 osobę przypada w Królestwie rocznego wydatku na piwo, wino i wódkę około 12—13 mk. Ileż za te pieniądze, wydawane ze stratą dla społeczeństwa na rzecz tak szkodliwą, możnaby rocznie zrobić dobrego!

* * *

Dzielny naród. Finlandja, najtrzeźwiejszy dziś kraj w Europie, w którym od dość dawna już niema ani jednej karczmy na wsi, a mała już tylko ilość w miastach, uchwaliła przed dwoma laty prohibicję, t. zn. zupełny zakaz wyrobu i sprzedaży wszystkich napojów upajających, a więc piwa, wina, wódki itd. Car nie potwierdził jednak tej uchwały sejmu fińskiego, z powodu protestu Francji, która wskutek stracenia rynku zbytu na swe wino obawiała się o straty pieniężne. Finlandja jednak nie zaprzestała walczyć o wytrzeźwienie swego narodu. Otóż zaczęto głosić bojkot napojów upajających, dzięki któremu dziś prawie nikt we Finlandji napojów tych nie używa, a prócz tego dnia 15 listopada r. u. sejm fiński ponownie znaczną większością głosów (158 przeciw 34) uchwalił zakaz sprzedaży napojów gorących. Można się spodziewać, że dzielna i wytrwała praca tego narodu zostanie uwieńczona powodzeniem. Finlandja daje nam dowód na to, że alkohol nie jest potrzebny do rozgrzania ciała, bo inaczej w tym kraju zimnym i mroźnym szczególnie wieleby go używano.

* * *

Podczas ostatniego olbrzymiego strejku w Szwecji prawie w całym kraju z rozporządzenia władzy szynki były zamknięte. Dzięki temu w czasie strejku mimo ogromnego podniecenia umysłów nie słychać było o jakichś walkach strejkujących z łamistrejkami, o jakichś bójkach z policją, o pożarach fabryk, Przeciwnie, w kraju panował większy jeszcze porządek, niż zazwyczaj, a policjanci cieszyli się z swych „wakacji" z powodu niezwykłego spokoju. Zmniejszyła się też znacznie ilość aresztowań, szczególnie aresztowań za pijaństwo; w Sztokholmie np. w czasie strejku aresztowano szóstą część zwykłej liczby aresztowanych za pijaństwo, podobnie było w innych miastach, jak Gotenburgu itd. Tłomaczy się to jednak tem, że w kraju tym, w którym dziesięta część ludności nie używa już zupełnie napojów alkoholowych i wśród robotników wielu jest przeciwników alkoholu, którzy podczas strejku starali się przeprowadzić bojkot napojów alkoholowych, co im się też dość dobrze udało.

* * *

Najsławniejszy z szybkobiegaczy Saint-Yves, który zwyciężał dotąd we wszystkich wyścigach pieszych na świecie, już w 15 roku życia porzucił alkohol i tytoń, a i dziś zupełnie ich nie używa. Wiadomo zresztą, że wszyscy prawie sportowcy i atleci, pragnący uzyskać wyższy stopień sprawności i siły fizycznej, unikają alkoholu.

* * *

Djabeł alkohol. Jak straszne następstwa sprowadza alkohol, ten bezsprzecznie największy wróg ludzkości, tego wymownym dowodem jest okropna zbrodnia, która w tych dniach się zdarzyła w Marsylji we Francji. Rzeźnik Jan Bouxrier zapijał się od dawna i cały zarobek obracał na pijaństwo. Powracał zawsze pijany do domu, przyczem znęcał się nad żoną i dziećmi w sposób niemiłosierny. — Aż w tych dniach, gdy wrócił późno w noc z szynku do mieszkania, żona czyniła mu wyrzuty za jego marnotrawne życie i prosiła go na klęczkach, aby zeszedł z tej drogi pijaństwa. Nie wzruszyły jednak te prośby nielitościwego małżonka. Zonie poprzysiągł zemstę za to, że ośmieliła się zwrócić mu uwagę na ohydę jego życia. Czekał tylko stosownej sposobności, aby swój szalony zamysł urzeczywistnić. I oto, tej samej nocy, gdy żona i cała rodzina w głębokim już była śnie pogrążona, Bouvrier rzucił się najpierw na żonę swoją i poderznął jej gardło brzytwą, następnie zamordował w taki sam sposób matkę staruszkę i pięcioro drobnych dzieci. Spełniwszy tę zbrodnię wprost potworną, wybiegł na ulicę i tutaj celnym strzałem z rewolwern odebrał sobie życie. — Dlatego precz z wódką!

* * *

Trzęsienie ziemi. Według zgodnych relacji obserwatorjów seismograficznych było zanotowane przez aparaty ostatnie trzęsienie ziemi największem, jakie pamiętają.

Z Tryestu donoszą:

W tutejszem obserwatorjum aparaty seismograficzne zanotowały gwałtowne trzęsienie ziemi w odległości mniej więcej 7500 klm. Z Wiednia telegrafują: Dotąd nie ma wiadomości bliższych o sygnalizowanem trzęsieniu ziemi. Jednak nadchodzące z całego świata telegramy świadczą, że było to trzęsienie może najsilniejsze, jakie zna historja.

Z Paryża donoszą, że aparat seismograficzny wskazywał na trzęsienie o 3000 klm. odległe, zapewne w okolicy Kaukazu lub w Armenji najsilniejsze, jakie Paryż kiedykolwiek zarejestrował. Poruszenia aparatu trwały półtorej godziny.

Z Berlina donoszą, że prof. Haecker skonstatował oddalenia trzęsienia najmniej 2000 klm., a było ono tak silne, że po 7 minutach aparat odmówił służby, bo nie wytrzymał siły poruszeń.

Wiedeńscy fachowcy stwierdzają również katastrofalne trzęsienia ziemi, najsilniejsze jakie kiedykolwiek obserwowano i podają jako prawdopodobne miejsce trzęsienia Islandję.

* * *

Jeszcze jeden tunel transalpejski. Za mało dwu potężnych tunelów, łączących już obecnie Francję z Włochami. Simplon i Mont Cenis nie wystarczają. Świeżo zjechało się wielu inżynierów francuskich, oraz deputowanych i senatorów do Annee w Sabaudji, gdzie naradzali się nad sprawą, w którem miejscu przebić jeszcze Alpy, aby stała się jeszcze krótszą i prostszą kolej pomiędzy Francją a Włochami i zdecydowano się na przebicie tunelem góry, zwanej Małym św. Bernardem (Le petit Saint Bernard). Nie zwlekając, powierzono specjalnej komisji opracowanie planu i kosztorysu.

* * *

Z działalności krematorji niemieckich w roku ubiegłym. Organ zwolenników palenia ciał żmarłych „Flamme" donosi, że w 19 krematorjach niemieckich spalono w roku ubiegłym ogółem 4779 osób, czyli 729 więcej, aniżeli w roku poprzednim. Na czele stoi krematorjum w Kamienicy (Chemnitz) z 690 zwłokami, potem Gota 639, Hamburg 587 i Bremena 401. Pomiędzy spalonymi było 3727 ewangielików, 439 katolików i 226 żydów.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 6. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 lutego 1910.

KOŁYSANKA.

W szpitalu chora matka.
Pijany ojciec w szynku —
Lecz nie płacz mój maleńki!
Nie będziesz głodny synku!
Niech cię twój głód i zimno
Mój mały! — nie przelękną!
Masz jeszcze w domu siostrę,
Siostrzyczkę młodą, piękną!...
Zaczekaj do wieczora!
Gdy wieczór już zapadnie
Siostrzyczka twoja dobra
Zbierze się tak ładnie!...
Sukienkę weźmie nową
I wstążkę do warkoczy,
Twarz bladą umaluje,
Podkreśli smutne oczy!
I wyjdzie na ulicę
Sprzedawać swoje wdzięki,
Powróci za godzinkę —
No, nie płacz mój maleńki!
Miej trochę cierpliwości
Mój biedny mały synku!
I chleba ci przyniesie
I weźmie ojca z szynku!
Pamiętaj dobrze o tem
W tym głodzie, chłodzie, brudzie;
„Jest jeszcze Bóg na niebie,
Na ziemi — dobrzy ludzie...“

JAN REIBRACH.

INNE CZASY.

I.

Było to w starożytnej Grecji, zimą, niedługo po wielkiem święcie djonizyjskiem, obchodzonem na cześć boga wina i wesołości Bakchusa. Śnieg okrywał drogi, niebo miało barwę szarą, a gałęzie drzew rysowały się czarno na horyzoncie. Jakiś człowiek podążał ku bliskiemu miastu Atenom; już na widnokręgu, który wnet miał stać się wieczornym, począł rozróżniać zamek ateński Akropol i świątynię bogini mądrości, Ateny, białą i wyraźnie występującą. Czuł znużenie; głodny był i spragniony, a ilekroć chciał odpocząć, zimno tak zajadłe dokuczało mu, przeciskając się przez dziury jego płaszcza, że powstał czemprędzej i dalej ruszał. Dotarł nareszcie do pierwszego domu. Dom piękny był z kolumnadą marmurową na przodzie. Podróżny wahając się nieco, wstąpił na podwórze.

— Panie — rzekł po chwili do właściciela domu niewolnik tracki, który spostrzegł starca wchodzącego — jakiś cudzoziemiec jest na podwórzu i prosi o przyjęcie. Czy wprowadzić go, czy też powiedzieć, by gdzieindziej szukał chętnych, coby go przenocowali?

— Jak możesz — odrzekł pan — pytać mię o coś podobnego. Chyba, że ci się w głowie pomieszało. Idźże i przyjmij cudzoziemca i przyprowadź go do mego stołu.

Trak poszedł naprzeciw obcego. I zawiódł go najpierw do łaźni. Niewolnice paflagońskie przygotowały mu kąpiel, potem namaściły go wonnemi esencjami. A kiedy wdział piękną tunikę, przyprowadzono go ku gospodarzowi, który zaprosił gościa do stołu.

— Cudzoziemcze — przemówił do niego grek — dziękuję bogom, że do mego mieszkania cię zesłali. Witaj mi w moich progach, jedz i przyjmij chętnie, co ci podajemy. Zostaniesz u nas, póki zechcesz, potem, jeśli ci się spodoba, powiesz mi, kim jesteś, jakie imię dali ci ojciec i matka twoja i jakie twe koleje, bo wędrowiec każdy, sławny czy nieznaczny, opowiadaniami swojemi zawsze uczy człowieka, który nie wyjeżdżał z czterech ścian ojczystego domu. Następnie dostarczę ci środków do powrotu w rodzinne strony.

Kończąc te słowa, podał mu pierwszą potrawę. Były to flaki z miodem; po nich przyszły węgorze jeziora Kopais z listkami burakowymi, mięso pieczone w liściach fig i grzanki z serem.

Cudzoziemiec pokrzepiał się, milcząc. Gospodarz mówił dalej: Nazywam się Amfikles, majątek swój wielki zdobyłem drogą handlu prowadzonego z krajami zamorskiemi. Nareszcie muszę ci powiedzieć, że w tych dniach wyprawiam wesele swej córce Melicie.

Pod koniec wieczerzy weszła Matka Melity. Jedna z służebnic postępowała za nią niosąc jej kądziel i kłębki wełny uprzędzonej, złożone w srebrnym koszyku. I ona przywitała uprzejmie nieznanego przybysza; a kiedy ów wytarłszy palce przygotowanemi umyślnie w tym celu gałeczkami z chleba, zwracał się ku niewolnikowi, który przyniósł mu wody do umycia rąk w rzeźbionej misie, weszły fletnistki pochodzące z ziemi dardańskiej w Małej Azji i poczęły grać i opiewać miłość Aresa i Afrodyty i wielkie czyny dokonane przez bohaterów.

Tymczasem gospodarz opowiadał obcemu, jak na ostatnich świętach Bakchusa postępowała Melita postępowała w procesji dziewic, niosąc kosz pełen kwiatów, a Kleates, syn Agatona kroczył wśród młodzieńców z czołem uwieńczonem fiołkami i bluszczem i ocenionem zielonemi gałęziami. Wtedy to miłość połączyła serca obojga dzieci. Teraz już rodziny przyszłych państwa młodych wymieniły z sobą podarki z rzadkich ptaków, już kołacz z ziarn sezamowych piecze się na bliskie gody, a dziewczęta w oczekiwaniu tego dnia plotą wieńce z mirtu, maków polnych i mięty. Zostań — kończył serdecznie — zostań z nami aż do wesela; weź udział w naszej radości i zaszczyć swą obecnością dzień połączenia moich ukochanych.

Gdy przyszedł czas na spoczynek, niewolnik zawiódł cudzoziemca do najpiękniejszej sali. Gospodarz i jego ro-

dzina usunęli się do swoich komnat. I sen spokojny, zesłany przez bogów, zstąpił na mieszkańców domu.

II.

Było to w lutym, wnet po zabawach zapustnych. Drogą zasypaną śniegiem postępował mężczyzna zmęczony, głodny, ledwie włokąc nogi. Włosy przymarzły mu do skroni; tak było zimno, że myśli nawet w mózgu ścięły się gdyby lód.

Nareszcie u skrętu gościńca wieża kościelna, której krzyża śnieg się nie chwycił, zarysowała się czarno na szarem niebie. Potem zaczęły się ukazywać domy okryte bielą. Przy pierwszym człowiek zatrzymał się. Była to willa, otoczona kratkaml, z oszklonym gankiem. A że już zmierzch zapadał, błysło z za grubych firanek przyćmione światło lamp. Zadzwonił; na odgłos dzwonka wyszedł lokaj, podejrzliwie patrząc z pod brwi zmarszczonych na przybysza. Nie zbliżając się nawet krzyknął nań, aby wynosił się coprędzej.

Przygnębiony, pełen smutku, zawiedziony w nadziei spoczynku, nie wiedząc ani co będzie jadł, ani gdzie głowę położy, podróżny usiadł pod murem willi. Bo tu wiatr nie dochodził. Myśl jego, pozbawiona otuchy, widziała ziemię, o której marzyła, usuwającą się w dal nieskończoną. On wracał w rodzinne strony, ale nikt tam nań nie czekał... Był sam, samiutki; dwóch synów legło w obczyźnie, jeden padł w potyczce, drugi zmarł na żółtą febrę, sypiąc pod kolej wały z ziemi, pełnej zarodków choroby. Ale go nigdzie nie wpuszczono, nikt nie podał mu pomocnej ręki, bo „nie był z tych stron". W ojczystej okolicy dano by mu może snop słomy, by ciało na nim wyciągnął i kawałek chleba, by je posilił.

Kiedy siedział tak, szpecąc zarysy domu swoimi łachmanami, lokaje donieśli o tem panu. Był to bogaty przedsiębiorca. Dom jego wypełniała uciecha i ożywienie; bo w tym tygodniu fabrykant wydawał za mąż córkę młodziuchną; poślubiała dzięki swoim bogactwom, starca o dźwięcznym tytule. Spojrzawszy przez okno i widząc opór żebraka, kazał puścić nań psy. I kiedy postać człowieka oddalała się czarna i smutna na białym śniegu, gospodarz i jego goście wybuchnęli żalem, wyrażanym słowami cnotliwemi, nad rozwiązłością obyczajw i poczęli oburzać się na rząd, który dopuszcza podobnych rzeczy i pozwala, aby chwile radości mąciły im włóczęgi nocne.

Biesiadnicy przedsiębiorcy, opuszczając willę, przypominali sobie obcego tułacza. Scisnęli się w jedną gromadę, rzucając trwożne spojrzenia dokoła. I całą noc wszyscy drżeli o swoje złoto lub o swoją skórą, pocąc się ze strachu zrywając się ze snu za najmniejszym szmerem.

Praca kobiet w wiekach średnich.

Wielu ludzi powołuje się przy rozmaitych okazjach na „stare dobre czasy". Mianowicie kobiety, dążące do równouprawnienia, często słyszeć muszą podobne ubolewania od zacofańców i przeciwników ruchu kobiecego. Z owej epoki, która przez burżuazyjnych moralistów uważaną jest za wspaniałą i idealną dla kobiet, wynika tymczasem na podstawie badań kulturalno-historycznych jasno, że kwestja kobieca, jako kwestja gospodarcza i jako kwestja życiowa już w wiekach średnich dla wielkiej części świata kobiecego ważną odgrywała rolę. Artykuł „Nędza kobiet i praca kobiet we wiekach średnich" (ogłoszony 3 stycznia rb. w czasopiśmie „Równość"), z którego ogłaszamy kilka szczegółów, cytuje przedewszystkiem zdanie znanego historyka Lamprechta: „Nigdy nie była kwestja kobieca więcej palącą, jak w miastach 14 i 15 wieku." Nadwyżka kobiet była w wiekach średnich większą jak dziś. W Norymberdze np. przypadało w 1449 r. na 1000 mężczyzn 1207 kobiet. U frankfurckich żydów zaś przedstawiał się stosunek ten jeszcze jaskrawiej, tu bowiem na 1000 mężczyzn przypadało 1400 kobiet. Nadwyżka kobiet wzmagała się też dla pewnych szczególnych socjalnych powodów. Oto wielka część kupców, wiecznie wędrujących, nie żeniła się wcale, albo też dopiero w późnym wieku. Aby czeladź rzemieślnicza, będąca prawie bez wyjątku na wikcie i stancji u majstrów, mogła się żenić, było również wykluczone. Przedewszystkiem zaś przyczyniła się do nadwyżki kobiet wielka liczba mężczyzn, żyjących w celibacie (stanie bezżennym) do których należeli nie tylko duchowni świeccy, lecz jeszcze całe gromady przeróżnych mnichów. Również wielu urzędników miejskich zobowiązanych było do stanu bezżennego. Wobec tego kwestja, czy kobieta należy tylko do ogniska domowego, była w owych czasach tak samo na porządku dziennym, jak obecnie.

Na pytanie, co wieki średnie dla tylu samotnych kobiet uczyniły, wskazuje się najpierw na wielką liczbę zakładów dobroczynnych, klasztorów itp. Przez to jednak nie rozwiązano jeszcze kwestji kobiecej, gdyż zakłady takie nie były w stanie pomieścić wszystkich kobiet samotnych. Przeważnie zakłady te stały otworem tylko dla kobiet zamożnych, gdyż za przyjęcie żądano zwykle według obecnej wartości 3000 do 20 000 mk. Przytem wiele dziewczyn umieszczono po klasztorach wbrew własnej woli.

Badania wykazały dalej, że kobiety pomimo wszelkich ograniczeń i ciasnych poglądów cechowych, szukały i znalazły pole zarobkowania. Dziewczęta i kobiety uboższych rzemieślników dostarczały największą liczbę kobiet pracujących zawodowo. Szczególnie w zawodzie golarskim, tokarskim, malarskim i iglarskim pracowały kobiety jako ucznie i czeladź, a płóciennicy i sukiennicy zatrudniali kobiety przy warsztatach przędzalniczych i tkackich.

Kobiety wtargnęły również do cechów samych, mianowicie w cechach płócienniczych i przędzalnych była liczba kobiet większą, jak liczba mężczyzn. Żeńskich „majstrów" wykazują np. akta cechowe w mieście. Lubece w następujących zawodach: golarskim, piekarskim, obróbki bursztynu, piwowarskim, rybackim, złotniczym, stolarskim, płóciennicym, garbarskim, farbiarskim i krawieckim. Również przywileje cechowe wydawano na nazwisko kobiet. I tak wydano w roku 1667 przywilej wyszywania perłami dwom mężczyznom i również jednej kobiecie. — Po za cechami jeszcze częściej zpotykamy kobiety pracujące zawodowo naprzykład wielką liczbę szynkarek. Tradycyjnie spoczywał urząd miejskiego cukiernika w mieście Lubece w 15 i 16 wieku w rękach kobiety. Tamże wydzierżawiono w r. 1453 wagę miejską pewnej wdowie. Ze istniały od dawien dawna nauczycielki również się potwierdza. Nauczycielkami były przeważnie córki obywatelskie, rzemieślnicze oraz żony marynarzy. W Lubece nauczały w r. 1512 trzy holenderki. Że w wiekach średnich praktykowały lekarki, jest również znanem od dawna. Bardzo rozgałęzioną była praca kobiet w zawodzie przekupiarskim i kramarskim. Już w r. 1300 musiano prawo ograniczające działalność kobiet handlujących znieść, zwłaszcza wykazanie się zezwoleniem męża lub opiekuna do trudnienia się handlem. Pomiędzy kobietami zawodowo-samodzielnemi, znajdowały się nietylko wdowy, prowadzące po śmierci męża proceder nadal, lecz również i niezamężne majstrowe, albo też takie, które osobno albo też na spółkę z mężem lub inną osobą prowadziły warsztat.

Jak widzimy w owych czasach zapatrywano się na pracę zawodową kobiet z mniejszym przesądem jak obecnie. Setki i tysiące kobiet już w wiekach średnich nie miały sposobności spełniać zadania swego jako żony i matki przy ognisku domowem i skazane były na pracę zarobkową. Po ogólnej ewolucji na polu gospodarczem i duchowem, jaką wieki następne przyniosły, żąda kobieta, tak samo jak mężczyzna równouprawnienia w życiu zawodowem, społecznem i towarzyskiem Dotychczas kobieta jest we wszystkich tych dziedzinach upośledzoną. Krocząc jednak odważnie naprzód i kobiety wywalczą sobie, pomimo zapędów reakcji, wszystkie prawa ludzkości.

Jak należy postępować z dziećmi, aby nam ufały.

Niektórym rodzicom wydaje się, że całe wychowanie polego na karaniu dzieci, a ze wszystkich kar najprostszą i najdotkliwszą wydaje im się bicie, więc też biją za każde przewinienie.

Tymczasem popełniają błąd najstraszniejszy i najniebezpieczniejszy.

Najprzód kary wogóle są najgorszym i najmniej pomocnym sposobem wychowania. Mogą one o tyle tylko być dobre, o ile inne sposoby, takie, jak dobry przykład, zachęta do dobrego, dobre przyzwyczajenia — przychodzą im w pomoc. Przytem należy kary starannie obmyślać i wybierać, bo niektóre bardziej szkodzą, niż pomagają.

Do takich należy kara cielesna czyli bicie. Kara ta przedewszystkiem jest niezdrowa. Rodzice najczęściej nie mają pojęcia o tem, jak wiele złego wyrządzają dzieciom nawet wtedy, gdy uszkodzenie cielesne nie jest widoczne. W najnowszych czasach lekarze chorób dziecinnych zastanawiali się nad tem, jak wpływa bicie na zdrowie dziecka i przekonali się, że jest ono dla niego zawsze zgubne.

W dzieciach bitych wyrabia się skłonność do różnych chorób, zwłaszcza nerwowych i często bicie umacnia w dziecku właśnie te wady, które chcemy wykorzenić — wyrabia ono nawet skłonność do wszelkiej nieczystości i rozpusty.

Nadzwyczaj niebezpiecznem jest bicie w głowę, którego nieraz rodzice się dopuszczają. W głowie mieści się mózg, siedlisko myśli, a zatem bijąc w głowę, uszkadza się mózg. Dzieci, tak bite, chorują często na ból głowy i niebezpieczne choroby mózgowe, a bywają także wypadki zupełnego zidjocenia (ogłupienia) dziecka.

Bat jest środkiem, używanym przy tresowaniu zwierząt, a nie przy wychowaniu ludzi. Dziś nawet staranni i rozumni hodowcy bydła i koni doszli do przekonania, że i ze zwierzęciem więcej się da zrobić innymi środkami, niż batem, a najznakomiciej ujeżdżone konie bata nie znają.

Zwierzęce kary budzą w dzieciach nizkie, zwierzęce popędy. Przez bicie ogłupiamy je — zabijamy ich amoicję i godność ludzką, poniżamy je, uczymy grubijaństwa i złości, dajemy zły przykład niepanowania nad sobą, ubliżamy swej powadze rodzicielskiej. Prawda, że dziecko boi się ojca, który mocno bije, ale bać się i szanować — to zupełnie co innego; a im więcej rodzice biją, tym mniej ich dzieci szanują. Ani surowość wychowania, ani powaga i władza rodzicielska nie spoczywają w rózdze lub dyscyplinie, lecz w silnej woli rodziców.

Można nie ulegać kaprysom dzieci, nie ustępować im, ani nie pozwalać na żadne wybryki, a mimo to, nie dać im ani jednego klapsa. Cała siła wychowania w tem leży, żeby dziecko wiedziało, że wola rodziców jest niewzruszona, że wydanego rozkazu nie cofają nigdy, że wypowiedzianą groźbę zawsze wypełnią, że danej obietnicy zawsze dotrzymają, że słowo rodziców jest tak pewne i niezachwiane, jak pewnem i niezachwianem jest to, że ogień parzy, a lód ziębi.

Iza Moszczeńska.

Powódź w Paryżu.

Paryż, 28 stycznia.

Od tygodnia duża część Francji, a w szczególności Paryż znajduje się pod strasznem wrażaniem klęski, jaką zadał żywioł wodny i wciąż jeszcze powiększa.

Zaczęło się przed tygodniem mniej więcej, ale nikt nie przypuszczał, że niewielkie wzniesienie się wody w Sekwanie i jej dopływach będzie się tak gwałtownie powiększało. Tymczasem już po trzech dniach dużo wsi w okolicach Paryża, znajdujących się nad brzegami Sekwany, stanęło pod wodą a paryżanie zobaczyli na falach rzeki unoszące się kawały płotów z wiejskich zagród, deski i drzewa, a wreszcie i trupy zwierząt domowych i ludzi. Były to zwiastuny katastrofy zbliżającej się do stolicy świata. I nie ominęła jej, lecz nadeszła nagle, groźna i bezlitosna nawet dla bogaczów, choć, jak wszystko złe na tym świecie, godząca najbardziej w biedaków, wypędzając ich z nędznych domostw i zabierając marny, a jedyny dobytek. Zaczęło się od przedmieść Paryża. Auteuil, Passy, Ivry, Chatenton itd. zamieniły się w jeziora, po których krążą łodzie z żołnierzami, ratującymi maruderów i chorych, co nie zdążyli uciec przed falami.

Z dniem każdym, z każdą godziną sytuacja (położenie) stawała się coraz groźniejszą, aż wreszcie i miasto samo nie oparło się żywiołowi. Woda w Sekwanie doszła dziś do wysokości, do jakiej nie dochodziła od stu lat zgórą! Od kilku dni miejsca, ulice, place i domy, blisko rzeki położone, zostały od piwnic zalane; woda nie wyszła z brzegów i zapewne nie wyjdzie w obrębie miasta, gdyż wysokie mury nie pozwalają na to, lecz wydziera się na ulice, przez przepełnione kanały miejskie i zalewa, co tylko na niższym poziomie się znajduje. W ten sposób sparaliżowane zostały w znacznej części maszyny elektryczne, poumieszczane w podziemiach źródła ruchu i światła. Stanęły tramwaje elektryczne, miejska kolej elektryczna t. zw. „metropolitanka“, w wielu dzielnicach zgasło światło elektryczne.

Nadzwyczaj oryginalny widok przedstawiają niektóre ulice i miasta olbrzymiego miasta, zamienione w kanały weneckie, po których uwijają się łodzie i przewożą ludzi i towary z zalanych lub zagrożonych domów. Wybrałem się dziś konnym omnibusem na spacer i jechaliśmy w jednem miejscu niedaleko Pól Elizejskich po osie kół w wodzie. Zabawnie patrzeć, jak po tem jeziorze jadą automobile a nawet cykliści.

Następstwa klęski już dają się odczuć: ze wsystkich stron ciągną do Paryża setki rodzin, pozbawione dachu nad głową i chleba i gromadzą się tymczasowo na dworcach kolejowych i po merostwach. Pomoc materjalną dla nieszczęśliwych zorganizowano szybko i sprawnie. Prezydent republiki Fallieres i prezydent ministrów Briand zwiedzili osobiście miejsca nawiedzone powodzią i zorjentowali się w rozmiarach klęski. Senat uchwalił na razie dwa miljony franków na pomoc, a już i prywatna inicjatywa zaczyna działać i płynie dość dużo pieniędzy dla nieszczęśliwych. Oczywiście nie można jeszcze mówić o stosunku tej pomocy do rozmiarów klęski, która jest olbrzymią w Paryżu, a cóż dopiero na prowincji, w zalanych wsiach nadsekwańskich!

W dzisiejszym „Journal'u“ sławny astronom Flamarion ogłosił artykuł, w którym pisze o przyczynach tegorocznej powodzi. Przyczyny te, to wielka obfitość deszczów, jaka była w ostatnich trzech miesiącach w całej Francji i nic innego. Szerzone wśród ludności zdania o związku niedawnych trzęsień ziemi i ukazującej się komety z powodzią nie mają żadnych naukowych podstaw.

Słychać, że klerykali korzystają ze sposobności i wszczepiają w lud przekonanie, iż powódź ta jest karą niebieską na Francję za oddzielenie kościoła od państwa i bezbożną szkołę. Czytelnicy „Naprzodu“ z artykułu, który czytałem przed tygddniem znają sprawę walki o tę szkołę w parlamencie; obecnie kler chce powódź zużytkować w tej walce.

W chwili, gdy to piszę, (t. j. w piątek 28 stycznia wieczorem) dochodzą mnie wieści, że Sekwana wciąż jeszcze się podnosi i że mosty są w niebezpieczeństwie. Dziś po południu woda już prawie nie miała miejsca pod mostami..

Dr. St. K.

„Naprzód“.

* * *

Paryż w ciemnościach.

Powódź w Paryżu stale się obniża, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Paryż ogarnęły ciemności. Centralne oświetlenie elektryczne przestało działać. Cała dzielnica Giełdy pogrążona w mroku. Korespondent „Lokal-Anzeigera“ ze świecą w ręku telegrafował z placu giełdowego. Wiele restauracji na wielkich bulwarach zamknięto z powodu braku światła.

Jakie będą skutki tej niesłychanej w dziejach powodzi?

Szkód niepodobna nawet w przybliżeniu obliczyć. Według wcale nieprzesadzonych przypuszczeń będą się one równały dla Paryża stratom z nieszczęśliwej wojny.

Trzeba będzie przecież nawpół zniszczony Paryż odbudowywać na nowo. To pochłonie z pewnością wiele

setek miljonów franków. Dodajmy do tego na wielką skalę obmyślane budowy, mające na celu zapobiegnięcie powtórnej katastrofie w tym rodzaju.

Taką pracą zapobiegawczą mają być naprzykład olbrzymie kanały, któreby odprowadzały wodę wylewającej Sekwany i opasywały olbrzymią stolicę w okręgach jej fortyfikacji, dalej kanały, skrócające kręty bieg rzeki przez miasto.

Urządzenia powyższe, których koszt pochłonie nowe setki miljonów, są czemś koniecznem, bo przekonano się obecnie, że powódź to nietylko nieszczęście, ale groźba rozbicia całej organizacji kraju przez podminowanie stolicy masą wód.

Sekwana zaatakowała wszystko, czem żyje Paryż: drogi żelazne, telefony, telegrafy, światło, gmachy publiczne, wodę do picia, dowóz żywności, wszelkie komunikacje miejskie lub łączące miasto z szerokim światem.

Francja znajdzie się chwilowo w ciężkiem położeniu finansowem.

Rozmaitości

Biurokratyzm. System biurokratyczny wszędzie ma jedne i te same cechy: czy w państwie rosyjskiem, czy w Prusiech, czy w Austrji. Kto zbadał jego istotę — ten może doskonale obchodzić wszelkie przepisy i prawa, czego dowodem następująca ucieszna historja, opowiadana w pismach wiedeńskich. Do Lwowa przyjechał pewien starszy pan z dwoma synami, w celu szukania rady lekarskiej. Lekarze zalecili mu trzymiesięczną kurację w zupełnym spokoju. Ale jak można mówić o spokoju przy wrzawie ulicznej! Pacjent wpadł na zbawczy pomysł. Rozkazał swym synom przekopać przez ulicę głęboki rów i umieścić tablicę: „Przejazd wzbroniony". Oczywiście ruch był zatamowany i na ulicy zapanował upragniony spokój. Po tygodniu przyszła komisja miejska wodociągowa, badała ów przekop, mierzyła, radziła i wreszcie doszła do przekonania, że rów wykopano nie na cele wodociągowe. Po pięciu tygodniach zjawiła się nad zagadkowym przekopem komisja elektryczna, mierzyła, badała i w spokoju odeszła. Po dalszych pięciu tygodniach przyszła komisja gazowniana i zrobiła to samo. Potem przyszły komisje: gazowniana i kanałowa razem i uznały, że przekop nie jest dla ich celów wykopany. Wreszcie zeszły się wszystkie komisje i uchwaliły rów... zasypać kosztem miasta. Rada miejska po długich mowach za i przeciw zgodziła się większością dwuch głosów na ten projekt. Tymczasem ów pacjent wyzdrowiawszy, odjechał na Podole.

* * *

Okręt tonący od „kuli piorunującej". Z Londynu donoszą o zadziwiającem zjawisku, które zdarza się bardzo rzadko.

Okręt „Trafalgar", który zawinął przed paru dniami po portu Falmouth, omal że nie spłonął, jak objaśniał kapitan, od meteoru.

Podczas straszliwej burzy we czwartek o godz. 8 zrana, rozległ się nagle przeraźliwy trzask piorunu i błysk jakiś spadł ze skłębionych chmur na okręt. W jednej chwili maszt stanął w płomieniach, a jednocześnie ujrzano, jak wielkie ciało ogniste z ogonem długości jakich 40 stóp upadło tuż obok okrętu w morze.

Wkrótce potem do kapitana przybiegli ludzie, zawiadamiając, że górny pokład się pali. Rzeczywiście, całe wnętrze okrętu napełniał fjoletowy żar. Kilku ludzi uległo kontuzjom elektrycznym.

Ale po kilku minutach ten żar fjoletowy zniknął, nie zostawiając żadnych śladów spalenizny.

Kompasy okrętowe były zupełnie zdemagnetyzowane. Skoro jednak okręt przybył do Falmouth, magnesy zaczęły napowrót działać prawidłowo. Cały okręt był silnie magnetyzowany.

Uczeni, którym opowiedziano to, co mówił kapitan o mniemanym „meteorze" twierdzą, że był to właściwie tak zwany piorun kulisty. Takie „kule piorunowe" widziano już nieraz jak wpadały do pokoju, świeciły różnemi barwami, zapalały sprzęty i wylatywały napowrót.

Mniemany „ogon ognisty" meteoru, który widziała załoga okrętu, był to wąż błyskawicy, idącej za kulą piorunową.

Najlepszym dowodem, że to nie meteor, ale piorun kulisty spadł na okręt, było namagnetyzowanie statku i zdemagnetyzowanie kompasu. Nie zdarzało się nigdy, aby meteory powodowały zjawiska elektryczne.

* * *

Upadek Latham'a. Śmiały latacz, który wznosił się na wysokość przeszło 1000 metrów, gdzie ginął prawie z oczu stojącym na ziemi widzom, teraz, latając w Heliopolis w Egipcie, cudem tylko ocalał w katastrofie, w której latawiec jego został zdruzgotany w drobne szczątki.

Latham próbował siły wysoce skomplikowanego motoru, wzniósł się z szaloną szybkością, na wysokość 150 metrów, gdy nagle z motorem coś się stało i coś zepsuło się w aparacie kierowniczym.

Latawiec podskoczył w górę, potem w gwałtownym skręcie przednią częścią w dół obróconą, skierował się ku ziemi. Czas jakiś płynął jeszcze spokojnie, ale nagle runął na twardy teren placu i strzaskał się w kawałki.

Publiczność z okrzykami trwogi rzuciła się ku szczątkom, z pod których, ku niesłychanemu zdumieniu zgromadzonych, Latham wyszedł zdrów i cały. Nie wiedział co było przyczyną upadku.

* * *

Przeciwko drożyznie mięsa. Przeszło 300,000 ludzi złożyło zobowiązanie na piśmie, że przez 30 dni mięsa do ust nie wezmą! Taką wieść przynosi telegram z Kanzas City w amerykańskim stanie Missouri. Ruch, zapoczątkowany pierwotnie na małą skalę, urósł do rozmiarów olbrzyma.

W Kanzas City, z powodu wielkiej drożyzny mięsa wołowego i wieprzowego, tysiące osób zobowiązały się na piśmie, że przez pewien czas wstrzymają się od spożywania mięsa. Jest to oczywiście strejk, do którego potrzeba dużego zapasu iście amerykańskiej stanowczości i zaparcia się. Do ruchu tego przyłączyły się wkrótce organizacje robotnicze w sile 300,000 członków, którzy długość strejku określili na 30 dni, w nadziei, że do tego czasu handlarze mięsa spuszczą nieco z tonu. I nie pomylili się: kilku handlarzy zaraz nazajutrz ogłosiło obniżkę cen, zbyt małą jednak do przerwania strejku, który trwa dalej.

Oryginalny, bądź co bądź, strejk ten jest jeszcze jednym dowodem, że w Ameryce ludziom lepiej się dzieje. U nas strejk taki dobrowolnie przeprowadzić by się nie dał choćby z tej prostej przyczyny, że u nas większość robotników przymusowo wstrzymuje się od spożywania mięsa.

* * *

Kopanie tunelu. Siedmiomilowym krokiem postępująca naprzód kultura nie daje się niczem powstrzymać. Nowoczesna technika pokonuje każdą naturalną przeszkodę, którą napotyka na drodze wysoko rozwinięta komunikacja. Ponad rzekami i przepaściami rzucane są olbrzymie mosty, po których w szalonym pędzie mkną pociągi; niebosiężne kolosy górskie potrafi człowiek przebić na wylot i pod ziemią przeprowadzić linie kolejowe.

Gdy pociąg pospieszny pędzi tunelem, niewielu zapewne z pośród podróżnych eleganckiego świata, siedzących w wygodnych wagonach, lub zakrapiających się winem w wagonie restauracyjnym, myśli o tem, ile trudu i ciężkiej pracy, ile potu, a nawet krwi, potrzeba było, aby przebić gigantyczne (olbrzymie) skały, przez które prowadzi tunel.

Najpierw pracują maszyny wiertnicze, nadwiercone masy kamienne rozsadza się przy pomocy środków wybuchowych, potem przychodzą robotnicy z dłutami i narzędziami, którzy wykończają ściany tunelu. Najcięższą i największą pracę stanowi usuwanie odłamków kamienia.

Nie potrzeba dodawać, że podczas pracy przy kopaniu tunelu zdarzają się często nieszczęśliwe wypadki, katastrofy, których ofiarą padają robotnicy. W każdem bowiem dziele który istnieje, zawarty jest pot i krew robotnika... To jego los...

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 7. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 lutego 1910.

POD OLCHAMI.

Szumią mi olchy, szumią
Wśród czarnych chłopskich pól
I szumem swoim tłumią
Tęsknotę, żal i ból.

Kochane moje drzewa,
Tak słodki ten ich szum!
W mej duszy gra i śpiewa
Aniołek tęsknych dum.

Z przecudnych marzeń motka
(Och, lubo jest tak śnić!)
Wysnuwa piosnka słodka
Tęczową, barwną nić.

I marząc, silnie wierzę,
Że bliskim jest ten dzień,
Gdy wyda pędy świeże
Spróchniały, zgniły pień.

I marzę, że się zmieni
Przegniły ten świat nasz,
I uśmiech opromieni
Nędzarzy bladą twarz.

Że zniknie łez przyczyna,
Po zimie wróci maj,
A smutek łez dolina
W cudny się zmieni raj.

Chachar.

R. EYSSARTIER.

ORZEŁ.

Było to nazajutrz po Waterloo. Drogą błotnistą, powybijaną wlókł się oddział jeńców ze zwieszonemi głowami, wściekłością w sercu.

We wsiach, chłopi, ze łzami w oczach, odkrywali na ich widok głowy i wówczas, w niepohamowanem uniesieniu, na złość niemieckim żołdakom, którzy pomrukiwali niby dzikie bestje i uderzeniami kolb podniecali zwyciężonych do marszu, ze wszystkich piersi wydobywał się okrzyk: „niech żyje cesarz!“

Niech żyje cesarz — bo ani jeden z tych dzielnych ludzi nie zdał sobie sprawy z rozmiarów wczorajszego pogromu i wszyscy myśleli, że gienjalny wódz spadnie znienacka na nieprzyjaciela i odeprze'go, jak to było u niego w zwyczaju. I wściekłość ich pochodziła nie tyle z poniesionej klęski i doznawanego wstydu, co z pewności, że nie będą świadkami odwetu!

Szli powoli, bo wszyscy byli ranni. I ręce na temblakach, głowy pozawijane chustkami, twarze poryte bliznami, przykrzejrzym jeszcze czyniły widok tej grupy entuzjastów, pożeranych bólem, dzwoniących zębami i zmuszonych, bądź co bądź, iść na wygnanie, może na śmierć.

Tuż obok szydzili z nich zwycięzcy. Dowódca kolumny, mały porucznik o siwych oczach tyrana, o czerwonej twarzy z jasnym wąsem, nie zaniedbywał żadnej sposobności, ażeby, dając folgę swoim brutalnym instynktom, pobawić się kosztem zgnębionych nieprzyjaciół. Kopać ubezwładnionego przeciwnika — to przyjemność specjalnie niemiecka!

Nieraz już, jakieś dotkliwe szyderstwo sprawiło, że żywiej zapałały oczy, że mocniej zaciskały się pięści w bezsilnej nienawiści. Czy aż do końca trzeba będzie znosić wstyd niepomszczonej zniewagi?...

Ale oto naraz, na znak starego gwardzisty, zwróciły się wszystkie oczy ku szaremu punktowi na niebie. W wysokości jakich dwustu metrów, czarny orzeł, z rozpostartemi szeroko olbrzymiemi skrzydłami, unosił się majestatycznie. I znów, setki razy powtarzany okrzyk: „niech żyje cesarz!“ — rozniosło echo po wzgórzach okolicznych.

Było to jakby sygnałem. Podniosło się dwadzieścia karabinów, piorunujący huk rozległ się na przedzie oddziału i ptak, ze zbarczonem skrzydłem, padł u stóp porucznika-szydercy.

W odpowiedzi na tę prowokację, wybuchnął bunt szalony, bohaterski. Wszyscy jeńcy rzucili się naprzód i, gromadząc się dookoła orła, jak koło sztandaru, podjęli wspaniałą, choć niepotrzebną walkę. Kilka chwil trwała morderczа potyczka, bezlitosne znęcanie się: kolby, padając na masakrowane ciała, kładły za jednem uderzeniem dwóch ludzi...

Kiedy już porażka była zupełna, poskromieni buntownicy wrócili nazad do szeregów, pozostawiając za sobą licznych bohaterów, śpiących snem wiecznym na tem zaszczytnem polu walki.

Podła była zemsta. Żołnierze niemieccy skrępowali szpony orłowi i, wlokąc go potem za sobą po błocie, pluli na ubezwładnionego ptaka, miotali ohydnemi przekleństwami, wybuchali śmiechem.

Zakwaterowano się na noc we wsi, spustoszonej przez najeźdzcę. Jeńców zapchano do porozwalanych chlewów, gdzie spali zawinięci w płaszcze, z głowami na rozmokłej ziemi.

Porucznik objął w posiadanie jedyne całe domostwo. Dogorywającego orła kazał rzucić w ciemnym kącie izby, ażeby się w chwili przebudzenia ucieszyć widokiem nieżywego ptaka.

Orzeł, któremu rozwiązano pęta, rozpostarłszy zabłocone skrzydła, okrwawiony, siedział nieruchomo z utkwionemi w jeden punkt oczami, jakby wszystkie myśli jego pochłaniała nienawiść...

Kiedy rano blady świt dał sygnał do wymarszu, nie ukazał się porucznik. A żołnierze, którzy weszli do jego izby, ażeby go obudzić, cofnęli się z przerażenia na widok, jaki się przedstawił ich oczom.

Oficer leżał bez życia, uduszony szponami pojmanego ptaka, którego dobił ten ostatni wysiłek. W przedśmiertnem skurczu zemścił się orzeł...

Tłom. Z. Kłośnik.

MARJAN WAWRZENIECKI.

Krwawe widma.

Ciekawe procesy, tortury i osobliwe egzekucje.

Tortura wodna.

Prawo francuskie znało dwa rodzaje tortur, jedne przy śledztwie, a drugie przed wykonaniem wyroku, zaostrzając niejako samą karę.

Ulubione były tortury trzewiczkowe, polegające na silnem ujęciu nóg delikwenta od kolan do kostki w cztery deski, między które wbijano powolnie kliny aż do ośmiu, co powodowało zupełne gruchotanie kości i straszne męki.

Inną męką, również często stosowaną, zwłaszcza względem przestępców płci żeńskiej, była tortura wodna, polegająca na wlewaniu lejem w usta delikwenta znacznej ilości wody, która przepełniając żołądek i kiszki powodowała nieznośne bóle, nie szkodząc jednak życiu człowieka, mającego w kilka godzin potem odcierpieć karę główną, na którą był skazany. Oto protokół z 1681 r. z odbytej tortury wodnej na pewnej młodej dziewczynie, skazanej na spalenie żywcem za czary.

O 10 godzinie rano zadano skazanej cały szereg pytań, dotyczących jej winy, na pytania te odpowiedziała wyjaśniająco, poczem przystąpiono do wykonania zaleconej w wyroku tortury zwyczajnej i nadzwyczajnej. Obnażoną rozciągnięto zapomocą sznurów, przywiązanych do rąk i nóg, podstawiwszy ławeczkę pod lędźwie męczennicy, następnie prokurator wyzwał ją do wyznania zupełnej prawdy i całej winy.

Odpowiedź: Wie, że dzisiaj umrze za swoje winy, ciężko przeciw Bogu zgrzeszła i prosi, by miłosierdzie jego było nad nią; wyznała jednak poprzednio już wszystko i nic nie ma do dodania.)

Na to wyjęto jej ławeczkę z pod lędźwi i wlano pierwsze wiadro wody (tortura zwyczajna.

Delikwentka krzyknęła: „Boże, zmiłuj się nademną, co chcecie, bym nowego zeznała? Już wszystko wyznałam".

Na to sędziowie znowu zwrócili się do męczonej z przemową, zachęcając ją do wyznania całej prawdy.

Następnie wlano skazanej drugie wiadro wody (tortura zwyczajna). Skazana krzyknęła: Nic nie wiem i chcę umrzeć prędzej".

Tu znowu przemowa sędziów.

Odpowiedź: „Nic nad to, co zeznałam, nie wiem, możecie mię rwać w kawały, możecie mię zamęczyć, nic nie mogę więcej powiedzieć nad to, co już zeznałam.

Pytanie: Do czego służyły pręty żelazne, znalezione u skazanej?

Odpowiedź: Nie wiem.

Pytanie: Czy nie zamierzała niemi przypiekać hostji?

Odpowiedź: Nie wie nic i chce umrzeć za winy, które już wyznała.

Tu wlano jej trzecie wiadro wody (tortura zwykła). Następnie czwarte i ostatnie wiadro.

Wtedy męczona powiedziała: „Zeznałam już całą prawdę, dłużej nie wytrzymam. Na Boga, ulżyjcie mi, a wyznam wszystko.

Wtedy podsunięto jej ławkę pod lędźwie.

Odpowiedź: Niech Bóg nie będzie dla mnie miłosiernym, jeśli całej prawdy nie wyznałam.

Znowu wyjęto jej ławkę i wlano pierwsze wiadro (tortura nadzwyczajna).

Męczennica wzywa pomocy Boga.

Wlano drugie wiadro (tortura nadzwyczajna).

Wzywa Boga i oświadcza, że umrze, nie zniesie męki i że całą prawdę już wyjawiła.

Przy trzeciem wiadrze (tortura nadzwyczajna) milczy.

Przy czwartem wiadrze woła: umieram!...

Tu sąd, zważywszy, iż wymaganiu wyroku zadosyć się stało i że skazana, wytrzymawszy zwykłe i nadzwyczajne tortury, połknęła przeszło 8 wiader wody, co wywołało niezwykłe nabrzmienie brzucha, polecił uwolnić ją i poruczyć opiece medyka, poczem na sienniku podsunięto ją do ognia (dla wywołania potów), a odczytawszy raz jeszcze protokół, takowy podpisano.

Gdy męczona, przez pewien czas na sienniku leżąc, wypoczęła, ponownie przystąpiono do powtórnego odczytania i sprawdzenia protokółu. Następnie, po upływie kilku godzin, skazana w jednej koszuli i z powrozem na szyi odbyła publiczną pokutę przed kościołem Najświętszej Marji Panny, poczem na placu Gréve została na wolnym ogniu spalona.

Męczennica bezimienna.

Około połowy ubiegłego wieku w kolonji podległej królowi Niderlandów miało miejsce następujące zdarzenie, które, jakkolwiek nie należy do osobliwości w owej epoce, jednak jako charakterystyczne dla wielu podobnych wypadków godzi się opisać. Młoda i piękna mulatka Lydja była własnością starej kolonistki wdowy N. Niewolnica po wykonaniu robót domowych około jedenastej otrzymuje zlecenie właścicielki, by udała się „poszukać pracy" i koniecznie przyniosła 32 centy holenderskie, zarobione przez siebie.

Naturalnie, iż pani młodej i pięknej mulatce nie wskazuje „pracy", byle cel został osiągnięty, tj. pieniądze przyniesione. Młoda dziewczyna ma wszelką swobodę zarobkowania.

Pewien młodzieniec, Francisko, człowiek wolny, poślubia Lydję. Jest on właścicielem domku w okolicy miasta oraz służy u pewnego urzędnika. Lydja, codziennie idąc na szukanie „pracy", zachodzi do niego, porządkuje jego mieszkanie, przeżywa z nim godziny miłości, a otrzymawszy 32 centy holenderskie, składa takowe co wieczora swej właścicielce. Francisko jest dobry i pracowity a młodzi ludzie kochają się coraz silniej. Lydja jest mu wierna z całem wylaniem młodej kobiety. Pani jednak nie jest powiadomiona o związku młodych. Im jednak wydaje się, iż wobec regularnie przynoszonych 32 centów przez niewolnicę, powinno jej być obojętnie, skąd te zarobki płyną.

Po kilku miesiącach szczęśliwego pożycia młodej pary pani dowiaduje się o tym związku. Jest jej wprawdzie obojętne, skąd przychodzą pieniądze, ma jednak jakąś tajoną niechęć do szczęśliwych małżonków; oświadcza przeto Lydji, że powinna opuścić męża, że w tym czasie przyjedzie jej daleki krewny, który zamieszka w podmiejskiej willi i że ona, pani za płacę 45 centów holenderskich przeznacza mu Lydję do całodziennej posługi.

Pani jest w swem prawie. Małżeństwa niewolników nie są tolerowane. Ich związki mogą każdej chwili być przez właścicieli rozerwane. Mogą oddawać niewolnice komu zechcą.

Miłość jednak przemogła i Lydja znajduje czas, by spieszyć do ukochanego.

Kuzyn pani N. skarży się na nieposłuszeństwo dziewczyny, ta z rozkazu pani jest głodzona przez 48 godzin. Środki te łagodne nie odniosły skutku. Pani postanawia „upartą" złamać. „Prawo" stoi po stronie pani.

I oto pochód na plac kaźni. Idą dwie kobiety, jedna to kolonistka N. z twarzą gniewem zapaloną, druga, związana, jest piękną Lydją. Policjanci otaczają kobiety. Nakoniec stanęli u słupa. Cudnej piękności mulatkę obnażono zupełnie, nogi zamknięto w nieruchome dyby, ręce związane sznurem pociągnięto do góry, wyprężono ciało i oto rozpoczyna się egzekucja. Powoli zbiera się tłum widzów. Wszyscy „wolni" są uradowani i szydzą z jęków katowanej dziewczyny. Rzemienny bicz szarpie klasycznej piękności plecy i lędźwie młodej kobiety, krew broczy, a krzyki rozdzierające ulatują pod jasne, czyste niebo. Prawem przepisanych 15 uderzeń bykowca odliczono. Omdlałą odwiązano i odprowadzono do domu pani. Po opatrzeniu ran i kilkutygodniowej chorobie niewolnica przyszła do siebie. Pani sprzedała ją do domu publicznego w jednem z miasteczek prowincjonalnych kolonji.

Obrazek żywcem wycięty z niedawnej epoki (1850 r.) stosunków niewolniczych amerykańskich.

Kaźń czarownic warszawskich 1526 r.

„W roku 1526 straszne męki zadawano dwiema białogłowom (piekarce z Krakowa i Kliszewskiej, ziemiance), iakoby ony Janusza Xiąże Mazowieckie z gładziły ze świata: wykopali słup pod Warszawą y dwa łańcuchy przy nim, któremi ie opak za ręce nago przywiązali y drew koło nich stosami nakładłszy, zapalili; piekły się przez cztery godziny biegając około słupa, a gdy się z sobą zeszły, kąsały ciało na sobie wzajemnie, aż upieczone pomarły".

Ten rodzaj powolnego pieczenia żywcem był hojnie stosowany, ile razy chodziło o zaostrzenie kary lub ubawienie widzów.

Dnia 3 września 1604 r. w Pradze czeskiej spalono w podobny sposób kobietę i mężczyznę za podpalenie.

Na zamku we Frankensteinie pieczono pewnego truciciela, Polaka, kilka godzin na wolnym ogniu.

Cesarz Otto III kazał piec wolnym ogniem swoją żonę Marję, która przez kilka lat miała przy sobie pięknego młodzieńca, przebranego za pokojową.

W Wrocławiu 23 września 1544 r. spalono na wolnym ogniu kobietę, która jako mężczyzna dwa razy zawierała związki małżeńskie z kobietami.

Z klerykalnego światka.

(Siostrzeniec kardynała i subretka).

List z Rzymu.

Ogólną senzację wywołuje tu niezwykły skandal, o którym w ostatnich dniach obiegały niejasne pogłoski. Hr. Franciszek Campobello, siostrzeniec głośnego kardynała Rampolli, na którego nazwisko zacny młodzieniec sfałszował mnóstwo weksli, uciekł właśnie automobilem w towarzystwie pewnej damy z półświatka z Florencji.

Już od tygodnia Florencja zasypana była wekslami, na których widniało nazwisko kardynała Rampolli ze starannie nakreślonym obok krzyżykiem. Coraz prawdopodobniejszem wydawało się podejrzenie, że weksle te są sfałszowane a to przez hr. Campobello, siostrzeńca Rampolli, który nie mogąc już przebywać w Rzymie, uszczęśliwił Florencję swoim pobytem. Hrabia, który ożenił się z ks. Teodolindą Altieri, bardzo przystojną kobietą, był w Rzymie największym nicponiem i hulaką. W krótkim czasie roztrwonił on cały majątek w towarzystwie szansonistek i tancerek. Dość często wujaszek Rampolla tuszował rozmaite świństwa zacnego siostrzeńca, którego kardynał bardzo kochał, tak że mu nawet pozwolił, aby obok swego nazwiska Campobello używał jego nazwiska „Rampolla".

Puściwszy resztę majątku ojcowskiego z pewną haterą nazwiskiem Villorina, udał się hrabia w jej towarzystwie do miejsca kąpielowego Montuatini. Tu naciągnął na pieniądze najpierw piękną Votlorinę, następnie niejaką Krathi i Blethian a zawsze powoływał się na stryja Rampollę i to z najlepszym skutkiem. Wreszcie zwolna poczęli ludzie podejrzywać, że hrabia z podwójnem nazwiskiem jest zwykłym oszustem, a gdy w końcu, biedny jak biblijny Hiob, wyjeżdżał z miejsca kąpielowego, to cała armja wierzycieli (krawców, krawczyń, modystek, jubilerów i t. d.) urządziła mu na dworcu kocią muzykę. Panna Vittorina nie traciła jednak otuchy i całą nadzieję pokładała w domu Rampollów, która to nadzieja srodze ją zawiodła. Gdyby bowiem dobroduszny służący hotelowy nie pożyczył jaśnie hrabiemu 30 franków, hrabia siedziałby jeszcze z Montuatini, bo kupiony za pożyczone pieniądze automobil i całe jego urządzenie zostało już dawno zajęte przez wierzycieli.

We Florencji, dokąd się następnie udał siostrzeniec kardynalski, rozwinął dopiero swój bogaty talent i pomysłowość. Przez osobistości z klerykalnego światka szczególnie za pośrednictwem pewnego księdza, który obok służby bożej zajmował się także geszeftami lichwiarskiemi, (a raczej odwrotnie), wszedł w koła finansowe i puścił w kurs całą masę weksli z nazwiskiem kardynała Rampolli. U jubilerów i kupców nabrał mnóstwo wartościowych przedmiotów, nawet automobile, którymi obdarowywał swoje utrzymanki.

Dopiero w ostatnich dniach wyszło szydło z worka i pana hrabiego zdemaskowano jako wielkiego oszusta, ale arystokratyczny nicpoń i oszust zdołał umknąć na automobilu wraz ze swoją ostatnią „przyjaciółką", subretką Idą Sereni, z teatru Apollo. Hrabia był zresztą od miesiąca oddany pod kuratelę. Jako kasjer katolickiego stowarzyszenia dla zwalczania niewolnictwa, jeszcze przedtem ukradł czyli mówiąc stylem jego „lepszego" świata zdefraudował około 30000 franków, które jednak zapłacił za niego wujaszek Rampolla. Następnie z podobnych powodów wyrzucony został z arystokratycznego klubu szachowego i strzeleckiego (środowiska kół arystokratycznych i dyplomatycznych Rzymu).

Skandaliczna afera hr. Campobelli-Rampolli jest ilustracją życia klerykalno-arystokratycznego światka, oraz nowym dowodem, że nowocześni kardynali niewiele mają pociechy ze swych nepotów.

Rozmaitości

Wysokość komornego po wielkich miastach w Niemczech. Według zestawienia urzędu statystycznego w Hali kosztowało mieszkanie, składające się z jednego pokoju i kuchni, rocznie w Magdeburgu 122 mk., w Hali 135 marek, w Manheimie 209 mk., w Charlottenburgu 275 mk., w Dyseldorfie 234 mk. Różnica, jak widzimy, jest dość znaczna. Mieszkanie o czterech pokojach kosztowało rocznie w Hali 526 mk., w Magdeburgu 531 mk., w Dyseldorfie 603, w Manheimie 881 mk. a w Charlottenburgu nawet 1098 do 1186 mk. W tem ostatniem mieście jest zatem komorne jeszcze raz tak drogie, jak w Hali lub Magdeburgu. Im większe ale mieszkanie, tem więcej znikają różnice w cenie.

* * *

Nieudane wzloty aeronautyczne. Pod Dreznem miał się odbyć w tych dniach wzlot latawca Gauberta z Paryża. Na miejscu wzlotu zebrało się około 30000 widzów. Kiedy ogłoszono zebranej publiczności, że wzlot się nie odbędzie, wszczął się hałas. Tłum rzucił się ku aeroplanowi, chcąc go zniszczyć. Policja z trudem zdołała temu zapobiec i celem uspokojenia tłumów urządzono szybko wzlot latawca. O ile się zdaje, Gaubertowi zabroniono w ostatniej chwili urządzenia wzlotu, ponieważ nie posiada uzdolnienia awjatycznego. Jestto ten sam awjator, którego wzlot w Pradze zakończył się zupełnem niepowodzeniem.

* * *

Pomnik na cześć przelotu Blériota przez kanał La Manche wzniesiono w Dover, dokładnie na tem samem miejscu, na którem Blériot wylądował.

Pomnik przedstawia monoplan, wykuty z białego granitu. Na cokóle wyryto dokładny opis wzlotu. Na koszt pomnika łożył niejaki Buchkam z Blanckheeth, który wprowadził Blériota do klubu aeronautycznego w Londynie.

* * *

Skandaliczny spór o zapis Leopolda belgijskiego. Sprawa wielomiljonowego spadku po zmarłym królu belgijskim, Leopoldzie, wchodzi w fazę bardziej skandaliczną. Jak wiadomo, zmarły główna spadkobierczynią swych prywatnych dóbr i kapitałów ustanowił baronową Vaughan, swą długoletnią kochankę, z którą na łożu śmierci wziął ślub. Przeciw temu testamentowi podniosły zarzuty wydziedziczone córki królewskie, a zwłaszcza księżna Ludwika, która kazała nawet prawnie opieczętować darowany baronowej przez zmarłego króla zamek Balincourt. W świeżo odbytym procesie sukcesyjnym sądy belgijskie oddaliły jednak księżnę ze wszystkiemi pretensjami do spadku i miljonowe zapisy króla na rzecz baronowej zostały prawnie uznane.

Zdawało się, że teraz już szczęśliwa baronowa będzie w spokoju używała odziedziczonych miljonów i dóbr. Tymczasem w ostatnich dniach pojawiła się nowa pretendentka do spadku po królu Leopoldzie. Jest nią głośna tancerka paryska, Cléo de Mérode, która również była w swoim czasie kochanką Leopolda. Z tego powodu pisma humorystyczne nazywały nawet zmarłego króla . . . Cléopoldem.

Otóż tej pani obiecał był pono niegdyś król Leopold, że zapisze jej 500000 franków i jakiś zameczek w południowej Francji. Ta obietnica była nawet podobno potwierdzona jakiemś pismem królewskiem. Cléo de Mèrode czekała cierpliwie na otwarcie testamentu królewskiego. Obecnie, po otwarciu testamentu, doniesiono jej, że niema tam o niej ani wzmianki; rzeczony zameczek zapisany został... baronowej Vaughan. Wobec tego „pokrzywdzona“ Cléo de Mérode postanowiła sądownie dochodzić swej pretensji i Europa będzie niebawem świadkiem niezwykle sensacyjnego procesu.

* * *

Potworna matka. Żandarmerja w Sesanie pod Tryjestem odkryła obecnie, że przed laty niejaka Franciszka Leban w porozumieniu ze swoim kochankiem Józefem Gasparinem zamordowała w nieludzki sposób dwoje dzieci, Franciszka Leban, żona pomocnika ślusarskiego, podczas dłuższej nieobecności męża, który pracował w Tryjeście, nawiązała stosunek miłosny z Gasparinem. Gdy przyszło dziecię na świat, wiarołomna żona, obawiając się odkrycia swej zdrady małżeńskiej, spaliła niemowlę w piecu piekarskim. W rok później przyszło na świat drugie dziecię, które Gasparin utopił w studni, a wydobywszy następnie zwłoki, spalił je w piecu piekarskim.

* * *

Grad meteorów i kometa. Z Mugello pod Florencją donoszą do „Lokal Anzeigera“, że spadła na pola tamtejsze w pierwszych godzinach nocy z czwartku na piątek niezliczona ilość małych, okrągłych, rozpalonych meteorów, które poczyniły znaczne szkody.

Potem, około 10 wieczór ukazała się wyraźnie w przerwie między chmurami kometa. Ludność w najwyższej trwodze modli się po kościołach.

* * *

Epokowe odkrycie. Włoski uczony prof. Ameghino miał odkryć w południowej Ameryce szkielet najstarszego pra-człowieka. Znalazł go około La Tigra w Argentynie. Szkielet ten znajdował się wśród szkieletów zwierząt dotychczas nieznanych. Czaszka szkieletu jest mocno uszkodzona; prof. Ameghino znalazł jednak jeszcze drugi szkielet, którego czaszka jest zupełnie nienaruszona. Czaszka ta jest nadzwyczaj szeroką i wykazuje bliskie pokrewieństwo z czaszkami amerykańskich małp. Część przednia czaszki jest zupełnie nierozwinięta, natomiast część tylna jest silnie i wysoko zbudowana; z boku widziana przedstawia obraz trójkąta.

Szczególnie uderzającemi są wielkie jamy oczne, niespotykane w takiej wielkości nigdzie. Prof. Sergi potwierdza zdanie prof. Ameghino, iż szkielet ten jest najstarszy ze znalezionych dotychczas i ocenia wiek jego na miljon lat.

* * *

Niezwykły przypadek. Donoszą z Londynu: W kopalni węgla w Aiderkay Queen spadł pewien robotnik do szybu z wysokości 8,5 metrów i jakby cudem wyszedł bez szwanku. Chciał podnieść wózek z węglami u wylotu szybu i runął w przepaść wraz z wózkiem. Sądzono, że znajdą go z roztrzaskanemi członkami; nagle usłyszano jęki i wołanie o pomoc. Wydobyto go na wierzch. Ku ogólnemu zdziwieniu stwierdził lekarz, że robotnikowi prócz lekkiej rany na głowie nic się nie stało. Zleciał bowiem prostopadle jak świeca, nie zaczepiwszy o ściany szybu. Upadek był tem lżejszy, że na dole w szybie znajdowała się głęboka woda.

* * *

Uratowani przez telegraf bez drutu. Drugi to już wypadek po słynnem ocaleniu rozbitków okrętu „Republique“ telegraf bez drutu ratuje ginących na morzu.

Parowiec „Kentucky“ tonął niedaleko przylądka Hatteras. Nad 46 ludźmi wisiała śmierć nieuchronna. Wtedy rozpoczęto na wszystkie strony dawać rozpaczliwe sygnały, zapomocą telegrafu bez drutu. Sygnały te doszły do wszystkich stacji telegrafu bez drutu na wybrzeżu amerykańskiem Atlantyku oraz do krążących w tych okolicach okrętów wojennych i parowców.

Statek „Alamo“ zdążył jeszcze w porę i wyratował całą załogę okrętu „Kentucky“.

Handel orderami w Danji. Jak donoszą z Kopenhagi do pism berlińskich, wybrał parlament specjalną komisję, która ma zająć się kwestją zniesienia orderów i tytułów. Szereg zawezwanych przez komisję świadków zezna, że pod dawniejszymi rządami, mianowicie za czasów Albertiego panował w Danji formalny handel orderami i tytułami. Między innymi aresztowano niejakiego Saabica, który w swoim czasie sprzedawał ordery w Jutlandji i który otrzymywał wprost pisemne zamówienia.

* * *

Język zdrajcą charakteru. We Francji powstała nowa gałąź wiedzy, którą nazwano głosologją. Wynalazca jej twierdzi z całą stanowczością, iż pozna charakter każdego człowieka, według jego języka. Długi język oznacza wolnomyślny i szczery charakter, krótki zaś zamknięty i fałszywy. Szeroki język jest oznaką gadatliwości, posiadacz wązkiego języka zaś, żyje sam dla siebie, nie szukając wcale zbliżenia się do ludzi. Długi i szeroki język posiadają ludzie o niestałym charakterze, długi a wązki jest oznaką człowieka, który nie liczy się bardzo z mówieniem prawdy. Krótki i szeroki język jest oznaką kłamcy i plotkarza, język spiczasty może oznaczać człowieka wielkiego umysłu lub złośliwego.

Z literatury i sztuki

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt II na luty i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f): Cywilizacja a kultura. — 2. K. Stefański: Utopie ugodowe ostatniego czterdziestolecia a polityka narodowa. — 3. Kostanty Srokowski: Sprawiedliwość a prawo. (Rozważania nieprawnika). — 4. Dr. Rudolf Beres: Ze studjów nad uprzemysłowieniem Galicji. — 5. Dr. Michał Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań. — 6. Junius: Współcześni politycy polscy. XV. Witos. — 7. Przegląd: I. Z prasy. II. Dwa Zjazdy młodzieży. III. H. O.: Ze spraw oświatowych. IV. Józef Kwiatek. Wspomnienie pośmiertne. V. Ze Sejmu galicyjskiego. — 8. Sprawozdania.

Część druga: 1. St. Wyspiański: Poszedłem błądzić w nieznane mi światy. U stóp Wawelu. Znam mężów odważnych słów. Noty do „Bolesława Śmiałego“. (Z teki pośmiertnej). — 2. Tad. Dąbrowski: Przesilenie prometeizmu w romantyce polskiej. — 3. Wincenty Brzozowski: Późną jesienią. Upiór. Lamentacja. Serce. Cypresy. Poezje. 4. K. Błeszyński: Miłość bytu („Spinoza“). — 5. M. C. Walewska: Hildebrand. — 6. Włodz. Piński: Sztuka a tworzywo. — Stefania Tatarówna: Chwilą wieczorną. — 8. W. F.: Najmłodsi w literaturze polskiej. II. Zofja Rygier-Nałkowska. — 9. Kaz. Rychłowski: Z nowszej poezji francuskiej. (Przekł.) — 10. A. Brunnemann: List ze Szwecji. (Najwybitniejsi powieściopisarze szwedzcy). — 11. Jul. Makarewicz: Jacek Malczewski. (Luźne uwagi). — 12. Przegląd: I. Jan Kleczyński: Echa warszawskie. II. L. Kowalski: Wystawy zbiorowe. III. Widz: Teatr polski w Łodzi. IV. (x): Teatr krakowski. V. Z prasy. — 13. Sprawozdania: J. Kaczkowski, M. S., J. Dąbrowski: Z estetyki i literatury. — Dodatek artystyczny: Jacek Malczewski: Śmierć Ellenai. — Prawo. — Rusałki.

Adres „Krytyki“: Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 5 marek.

Numer 5 **„Promyka“**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — Ernest Seton Thompson: Bezdomny kot. — St. Buraczewska: Pod Martynowem (c. d.) — Ze świata: Powódź we Francji. — Trzęsienie ziemi. — Nieznana kometa. — Janina Porazińska: Kopciuszek. — Anatol France: Błękitny ptak (tłom. J. Mortkowiczowa). — Łamigłówka. — Rozwiązanie. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 8. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 lutego 1910.

JOHN HENRY MACKAY.

POŻEGNANIE.

Całe trzynaście godzin przespała snem mocnym, nieprzytomnym prawie... Od szeregu tygodni była to pierwsza noc spokojna. Okropna, przedłużająca się bez końca choroba, powolne, pełne cierpień i jęków konanie, a w końcu te trzy dni pełne wzruszeń zewnętrznej i wewnętrznej natury.

Odgłosy jęków konającego zrywały ją na nogi, podczas chwilowych drzemek z wyczerpania.

Teraz, gdy grób zawarł się już nad nim, gdy żałobnicy odeszli, gdy w tym dużym, cichym domu pozostała nareszcie samą, otoczona jedynie również wyczerpaną czuwaniem służbą, odczuła dopiero potrzebę spoczynku. Położyła się, by przespać bez przerwy całe trzynaście godzin.

Po przebudzeniu uczuła się dziwnie rzeźką; zdawało się, że wróciła jej dawna wola, siły i energja. Zawstydziła się tego uczucia mocy. Przychodziło ono w chwili, gdy powinno byłoby być jeszcze roztopionem w jej bólu, któremu, jak jej się zdawało, musi poddawać się wprost bezwiednie. Rozumowania te jednak nie zdołały spłoszyć poczucia, pokrzepienia i siły, postanowiła więc oddać się znów energicznie sprawom domowym i zacząć zaprawiać się do nowej roli wdowy po powszechnie uznanym wielkim człowieku, którą od dzisiaj grać będzie zmuszoną. Pocieszała się tem, że rola ta nie będzie trudniejszą od tej, którą grała do dnia dzisiejszego.

Po śniadaniu omówiła ze starym sługą sposoby doprowadzenia domu do dawnego ładu i porządku, z jakim prowadziła go dotychczas, potem weszła po raz pierwszy do pracowni zmarłego. Przez otwarte szeroko okna wpływała falą szeroką jasność poranku jesiennego. Na biurku pozostało jeszcze wszystko tak, jak było tego popołudnia, gdy ostatni raz przeniesiono tu zmarłego. Leżały jeszcze listy i dzienniki w tem samem miejscu, gdzie złożyły je ręce zmęczone. Wszystko, co nadeszło od tego wieczora, układał służący na drugim brzegu biurka. Wznosił się tu cały stos listów, dzienników, opasek.

Z zupełnym spokojem zabrała slę do przecinania kopert i segregowania przesyłek. Gazety i listy handlowe odkładała na bok, sobie zostawiała korespondencję natury prywatnej.

Podczas czytania szeregów listów od przyjaciół, w których zapytywali go o zdrowie i przesyłali swe serdeczne pozdrowienia i życzenia, wyrazy podziwu i hołdu dla jego talentu i nadzieję prędkiego wyzdrowienia, przyszło jej na myśl, jak mała dzieliła naprawdę życia i myśli z tym człowiekiem. Nie uznała jego upodobań, nie wiedziała nic o jego życiu nazewnątrz, imiona podpisanych przyjaciół widziała po raz pierwszy w życiu. Nie wspominał, ani też nie pokazywał jej nigdy żadnego listu od swych wielbicieli, a musiał otrzymywać całe stosy listów podobnych. Jedynie kilka ostatnich kropli z tej przelewającej się przez brzegi czary, dostały się wypadkowo do jej rąk.

Zamyślona rozdarła odruchowo następną kopertę. Czytała i nic nie rozumiała, odczytała raz jeszcze i wtedy pojęła.

„Wyczytałam w dziennikach, że jesteś chory, łamię więc po trzydziestu pięciu latach przysięgę, daną samej sobie. Piszę raz jeszcze do Ciebie po tylu latach i pewnie po raz już ostatni.

Kim jestem? — Przypomnij sobie tę, którąś kochał gorąco przed trzydziestu laty, a zarazem wiedzieć będziesz moje imię.

Po co piszę? O, bądź spokojny; po to jedynie, by wywołać raz jeszcze uśmiech na twe usta, uśmiech wspomnienia tego szczęścia, któregoś również jak i ja zaprzeć pewnie nie mógł —może uśmiech ten będzie ostatnim twym uśmiechem na tym padole — po to jedynie piszę te wyrazy.

Chociażbyś był wielkim i bogatym bez miary, a w tej chwili, gdy to czytasz, bezgranicznie daleki od tego, co my bólem lub radością zowiemy, pokój Twój nie może być przepełnionym promieniami słońca do tego stopnia, by jeszcze jeden jasny promyk nie mógł się doń wcisnąć i spocząć na Twem czole zbolałem i upieścić Cię wspomnieniem w ostatnich chwilach Twego żywota.

A może właśnie dlatego, żeś wielki i bogaty, czujesz się osamotnionym i opuszczonym wśród ludzi, którzy Cię otaczają. Wtedy niech promyk ten napełni raz jeszcze całą Twą komnatę jasnością i ciepłem wspomnieniem i szczęściem Twej pierwszej miłości, która, być może, że nie była Twą największą, lecz bezwątpienia była najszczęśliwszą, nie dała Ci ani trosk, ani zmartwień, a oprócz tego była tą, o której oprócz nas dwojga nikt nigdy nie wiedział.

Dzięki Ci, przyjacielu, za to szczęście, które zaznałam przez Ciebie, wspominam o niem, jako o najkosztowniejszym klejnocie życia mego. Cierpienia i męki znikły zapomniane i dziś mogę Ci tylko dziękować za chwile szczęścia.

Żegnaj, przyjacielu. Czy widzisz nas znowu, tak, jak kiedyś razem? Czy staje przed oczyma Twemi ten domek biały, różami spowity, i ta droga piaszczysta, po której błądziliśmy razem? Czy nigdy już nie wspomninasz naszego pierwszego pocałunku i nie słyszysz dźwięku wyrazów, któreśmy wtedy szeptali do siebie.

Jak ja zapomniałam na chwilę o mej starości, zapomnisz i Ty o niej w chwili, gdy ręka Twa dotknie tych arkusików i spopielać je będzie nad świecy płomieniem. Uśmiechniesz się wtedy napewno — a to było mem pragnieniem najgorętszem.

Żegnaj na zawsze, mój przyjacielu! Żegnaj ukochanie mej młodości“...

. . . . . .

Przestała czytać i przez długą chwilę wpatrywała się w te kartki, skreślone starczą i drżącą ręką, lecz podyktowane przez młodzieńczo kochające serce.

W sercu jej nie zrodziło się jednak żadne uczucie prócz nienawiści bezgranicznej do tej starej romantyczki.

Wstała i chodząc po gabinecie, darła list na drobne kawałki, a na jej zimnej, bezdusznej twarzy wyraz nienawiści mieszał się z przebłyskiem zadowolenia, takiej małostkowej ordynarnej radości, że przynajmniej przed śmiercią nie zaznał tego ostatniego promyka szczęścia.

Moja chata z brzegu.

Niejednokrotnie widzimy robotnika stojącego poza organizacją nie dla tego, że dał się zatumanić bredniom i oszustwom klerykalnym czy szowinistycznym, ale dlatego, że nie **odczuwa** on potrzeby i konieczności organizacji zawodowej i politycznej.

* * *

Najczęściej spotykamy ludzi mówiących w ten sposób: et, po co mi tam potrzebna organizacja, jak ja sobie ciężko nie zapracuję, to mi nikt nic nie da, a jak będę pracował, to sobie zarobię i bez organizacji. Jest źle na świecie, ale ja zawsze wyżyję — moja chata z brzegu, to choć się wieś spali, do mnie ogień nie dojdzie.

Tymczasem ogień idzie coraz szerzej, a że nie było komu gasić, spalił wszystkie chałupy do szczętu.

Człowiek, który mówi tak, jak to wyżej przedstawiliśmy, jest samolubem i to samolubem nierozsądnym.

O tem, że to jest samolubstwo, nie wątpi chyba nikt, nawet ten, kto z tego powodu do organizacji nie należy. Takiemu robotnikowi żal poprostu tych paru fenygów, które musiałby płacić, należąc do Związku.

Dla tego więc egoistycznego powodu wyłącza się on z pośród świadomych robotników, nie chce stanowić jedności ze swymi gorętszymi towarzyszami pracy — a przez to tak samo jak ciemny, obałamucony i zatumaniony człowiek zawadza kamieniem na drodze, na ciężkiej i stromej drodze walki o byt, jaką uświadomiona część klasy robotniczej ze swymi przeciwnikami prowadzić musi.

Trzeba już nie mieć krzty sumienia, aby, widząc wysiłki swoich towarzyszy w pracy, nie pomóc im, aby z założonymi rękoma spokojnie przyglądać się trudom koło **wspólnego** dobra.

Jest to więc samolubstwo, wtrętne samolubstwo.

Jest to jednak zarazem i bardzo nierozumne samolubstwo i to postaramy się poniżej udowodnić.

* * *

Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa polskiego" uzasadnia potrzebę **solidarnego** zwalczenia wszelkiego zła na świecie za pomocą takiego przykładu:

Był w kraju włoskim powiat bardzo żyzny w oliwę i ryż, ale niezdrowy, bo latem przychodziło nań powietrze zwane „malaria", które febrę śmiertelną przynosi. Ludzie owego powiatu jedni kadzili w domach swych, łożąc wielkie pieniądze na kadzidło, drudzy wielkim kosztem budowali parkany od zachodu, skąd mór przychodził, inni uciekali w niezdrową porę, aż wszyscy wymarli i stał się powiat ten pusty, a po gajach oliwnych i polach ryżowych chodziły dzikie świnie.

I przyszła malaria do drugiego powiatu i zaczęli ludzie znowu kadzić się i uciekać, aż znalazł się człowiek mądry i rzekł: Złe powietrze rodzi się daleko od Was, w bagnie o mil pięćdziesiąt stąd, pójdźcie więc, osuszcie bagno, spuszczając wodę, a jeśli sami od złego powietrza pomrzecie, zostaną dzieci wasze w dziedzictwie waszem i powiat wasz błogosławić was będzie.

Ale owi ludzie lenili się iść daleko i obawiali się śmierci, więc wkrótce pomarli w łożach swych. Złe powietrze idzie dalej i zajęło już dziesięć powiatów.

Bo kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleść i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego.

Taką malarją, taką chorobą, jest to nędzne życie, jakie prowadzi klasa robotnicza. Lud pracujący żyje niby, jak żyje człowiek malarją dotknięty, ale to jest życie trupie — jest to powolne konanie, bez chwili weselszej, bez nadziei lepszego jutra.

Niskie zarobki przy coraz to wzrastającej drożyznie, nie wystarczają nawet na odpowiednie pożywienie dla siebie i rodziny. Robotnicy żyć muszą w ciasnocie, zaduchu, nieraz po norach, gdzieby pies pański nie wytrzymał, po norach, wobec których wstrętna, zadymiona knajpa salonem się wydaje. Przy ciężkiej pracy żyć musi gorzej jak te tysiące próżniaków, prowadzić musi marne życie podczas ciężkiej, wyczerpującej pracy. I tę nawet pracę za błogosławieństwo uważać musi, bo w razie jej braku grozi mu natychmiast śmierć głodowa, jemu i jego rodzinie. A po pracowicie spędzonem swojem życiu — czeka go na starość kij żebraczy, bo dzieci jego same biedne, same z widmem śmierci głodowej przed oczyma, niczem mu pomóc nie mogą.

Ta nędza — wysysająca wszystkie soki żywotne z człowieka, jest tą **malarją**, o której mówi Mickiewicz.

* * *

A czemu ona tak między nami grasuje?

Bo zamiast pójść wszyscy razem, by osuszyć to bagno współczesnego świata, część robotników zatumaniona sądzi, że ta choroba to dopust boży, przeciw któremu rady niema, a inni — ach ci inni spokojnie patrzą na trudy swoich braci budują tylko parkany przed biedą i kadzą przed nią. — Zdaje im się, że sami potrafią coś zrobić bodaj dla siebie, jeśli zasklepią się w samolubstwie, albo tumanić się będą niemyśleniem o przyszłości, o strasznej przyszłosci swojej — albo też szukając zapomnienia w truciznach alkoholowych. Ale — nędza ogólna zawita i do nich.

Losy każdego robotnika są związane z losami całej klasy robotniczej. Taką jaką będzie zapłata wszystkich robotników, taką będzie i twoja zapłata robotniku ospały. Takiem jakiem będzie wszystkich życie, takiem będzie i twoje.

Każdy powinien dbać o swój interes. Naturalnie — zawsze bliższa koszula ciała, niż kaftan.

Ale dbajcie o siebie rozumnie i nie z niepotrzebną krzywdą swoich towarzyszy.

Robotnik, to człowiek skazany na całe życie na to, aby pracę swoją sprzedawał innym i z tego czerpał środki utrzymania. Jeśli pozbawiony jest możności pracowania — ginie z głodu.

Dlatego to wśród robotników powstała walka o pracę — konkurencja. Jeśli konkurencja ta nie jest niczem ograniczona, zapłata za pracę wynosi tylko tyle, aby człowiek z wielką, bardzo wielką biedą wyżył. Zarobek spada wtedy do tak nizkich granic, że robotnicy formalnie z nędzy giną muszą. Konkurując między sobą, przypominają oni te szczury, co tak się wzajemnie długo gryzły, aż tylko ogony z nich pozostawały.

Niżej tego co człowiekowi k o n i e c z n i e do życia potrzeba, zarobek nie spadnie, bo już w każdym, nawet najbardziej nieświadomym, obudzi się chęć oporu, obudzi się n i e ś w i a d o m a solidarność. Ale jak strasznem jest wtedy położenie klasy robotniczej. Pracuje się od wczesnego ranka do ciemnej nocy za kęs czarnego chleba — nędza, choroby dziesiątkują szeregi robotnicze.

Aby się od takiego rozpaczliwego położenia uchronić potrzeba ś w i a d o m e j solidarności. Potrzeba, aby każdy robotnik powiedział: nie pójdę do pracy, aż wtedy, gdy zabezpieczy mi ona l u d z k i e życie, gdy rodzina moja będzie mogła żyć, gdy ja pewien będę swej przyszłości, gdy wiedzieć będę, że dzieci moje nie będą z głodu umierały.

A wszystko to wywalczyć można. Tylko trzeba walki, trzeba ofiar.

Czy myślicie, że ofiary te są tak wielkie? Nie — u nas starczy należenie do organizacji zawodowej i politycznej — oraz praca nad uświadomieniem innych.

A te nieznaczne ofiary stokrotnie się wynagradzają. Skutkiem solidarności w zawodzie, robotnicy mogą dyktować ceny za pracę, mogą regulować warunki pracy.

A znowu dlatego, że niema solidarności między w s z y s t k i m i r o b o t n i k a m i — dlatego robotnik jest poniewierany, lekceważony, dlatego sprawiedliwości niema dla niego na świecie.

I jeszcze jedno pamiętać należy:

Gdyby u nas organizacji naszej nie było, gdyby nie było tych towarzyszy, co to swojemi pieniędzmi stworzyli fundusz bojowy, fundusz strejkowy, gdyby nie to, że towarzysze ci pilnują, aby płacono bodaj w części za naszą pracę — czyż myślicie, że zarobki nie byłyby niższe jeszcze niż są teraz?

Wszystko co szkodzi solidarności, szkodzi całemu ogółowi i każdemu z osobna. Robotnik, co nie należy do organizacji, bo mu może żal tych parę fenygów na wkładki, okrada innych towarzyszy i siebie.

Nie mówcie więc: ja sobie zarobię i bez organizacji a za darmo mi nikt nic nie da — przeciwnie, pamiętajcie o tem: za tę samą pracę, za którą teraz psie pieniądze dostajecie, w razie istnienia silnej organizacji, dostawalibyście wy i wasi towarzysze ludzkie wynagrodzenie.

I dla tego to każdy musi przyznać, że nienależenie do organizacji z ospalstwa tylko — to **samolubstwo** — i do tego **głuple samolubstwo.** J. S.

MARJAN WAWRZENIECKI.

Krwawe widma.

Ciekawe procesy, tortury i osobliwe egzekucje.

Kaźń Kostki Napierskiego, 1651 r.

Około 1651 r., gdy król Jan Kazimierz opierał się nawale kozaków, dowodzonych przez Chmielnickiego pod Beresteczkiem, Chmielnicki rozesłał emisarjuszów do ludu w Polsce. Emisarjusze ci rozsiewali dziwne wieści, nie podobne do prawdy, które, przechodząc z ust do ust, zatrważały lud i podburzały go do buntu przeciw szlachcie. Mówiono że szlachta wyrusza na rokosz przeciwko królowi, że zamierza wyrżnąć lud, że kozacy idą w pomoc królowi. Lud się zburzył, miejscami palił dwory i dawał znaki bliskiego powstania.

Jednym z najgorliwszych agitatorów śród ludu był Aleksander Napierski, syn naturalny (nieślubny) króla Władysława IV. Niemowlęciem oddany do domu Kostków, następnie przebywał na usługach dworu królowej Cecylji Renaty. Mówił kilkoma językami i układał łatwo wiersze.

Po śmierci Władysława IV (1648) wydalono go z dworu. Tułał się po dworach szlacheckich a od rodziny Napierskich, gdzie dłużej przebywał, przejął nazwisko.

Prawdopodobnie bywał i u Kozaków, u Bohdana Chmielnickiego i u Rakoczego. Na wiosnę 1651 r. zjawił się nagle z uniwersałami Chmielnickiego z zamiarem buntowania ludu, opanowania przejść górskich dla Rakoczego i zajęcia Krakowa. Zamiary te początkowo zręcznie przeprowadzał, oblężony jednak w zamku Czorsztyńskim, został przez górali wydany pułkownikowi Jarockiemu, odprowadzony do Krakowa — sądzony i torturowany.

Dnia 1 lipca 1651 r. Napierski był torturowany w Krakowie na zamku. Obnażonego rozciągano na katowni, przyczem pieczono mu boki pochodniami, a pierś kropiono płonącą siarką. Zachowywał się mężnie i zeznań nie czynił żadnych.

Dnia 28 lipca 1651 r. na Krzemionkach za „Podgórzem“ przy Krakowie, w miejscu, które dotychczas zwie się „no zbóju“ (za rynkiem i nowym kościołem, na prawo od szosy), kat Szymek wbił Napierskiego na pal. Po kilku godzinach męczarni zmarł, trzymając krucyfiks w ręku.

Pisał o tem Kochowski:

„Nie wiem, co to za nowy kucharz się pojawił. Miasto pieczeni, Kostkę nam na rożen wprawił“.

Tajemnica powodzenia.

Robotnik za swą pracę otrzymuje wynagrodzenie, ale pracuje dla innych; kapitalista ciągnie zyski i zabiera owoce pracy robotników. Czy widzimy różnicę?

Gdyby pierwszy z Vanderbiltów był samym starym Adamem i zarabiał rocznie 30.000 dolarów i gdyby oszczędzane przezeń pieniądze przekazywane były z ojca na syna przez całe wieki, majątek, uzbierany przez sektę pokoleń jeszcze by nie dorównał fortunie, zostawionej przez Wiliama H. Vanderbilta.

Miljony tego ostatntego zostały zdobyte pracą całego narodu.

Gdyby dzisiejsi kapitaliści pracowali na siebie, jako górnicy, robotnicy lub hodowcy bydła, nie byliby w stanie uzbierać więcej, jak parę tysięcy dolarów. Kapitaliści dokonali tego, że zniewolili innych do pracowania na nich.

W tem tkwi tajemnica powodzenia.

Prawie wszyscy bogaci ludzie są przebiegli. Jest to charakterystyczna cecha wielkich kapitalistów. Chciwy Carnegie, przebiegły stary John D. Rockefeller, lis Harriman, skryty wuj Russell, szubrawiec Lanson, oto zwykłe nazwy, dokładnie określające naszych najszczęśliwszych.

Najbardziej przebiegły jest ten, który może dostać największą liczbę ludzi, by pracowali na niego. A jeżeli oprócz pracy miljonów, zdoła zdobyć na swą korzyść prawodawstwo, sądy i rząd, to wówczas staje się Rockefellerem.

Człowiek kupujący dziś lotę w mieście, zyskuje dla siebie pracę miasta.

Człowiek, chroniony przez cła, zdobywa prawo, które pracuje na niego.

Człowiek, który kupuje tramwaje miejskie, przywłaszcza sobie pracę tych, którzy się „wieszają“ w przepełnionych wagonach.

Człowiek, korzystający z monopolu, [zyskuje pracę całego kraju.

Posiadacz fabryk i narzędzi pracy, których robotnicy muszą używać, wyzyskuje siłę robotników. Rolnik, uprawiający kawałek roli, pracuje na siebie, na właściciela hypoteki, na kompanje asekuracyjne, jeżel zaasekurował swoją stodołę, na agienta, który pośredniczy w sprzedaży produktów i na kolej, która przewozi te produkty.

Robotnik pracuje na siebie i na zysk swego przedsiębiorcy. Z zarobku swego utrzymuje trusty: węglowy, gazowy, mięsny, gruntowy itd.

Jednem słowem, są dwie klasy ludzi w tym kraju. Jedna składa się z tych, którzy mają w swych rękach ziemię lub kapitał i przez nie zmuszają drugich, by pracowali na nich i kupowali od nich; druga klasa, nie posiadająca ani ziemi do wynajęcia, ani kapitału, z któregoby mogła ciągnąć zyski.

Wielu bardzo rozrzutnych ludzi zostało bogaczami. Wielu pijaków i kłamczuchów zdobyło olbrzymie majątki.

Jeżeliby choć jeden z nich szukał płatnego zajęcia, to napewno umarłby nędzarzem. Gdyby który z nich pracował, jak się to mówi, dla samego siebie i próbował zdobyć swój majątek własnymi rękoma, nigdyby nie dokonał tego cudu.

Ale ci, którzy posiadają ziemię i kapitał, muszą zostać bogaczami dlatego, że reszta społeczeństwa musi pracować dla nich.

Rozsądni, pracowici i wytrwali kapitaliści, właściciele ziemi zostaną bogatszymi od tych, co są leniwi, rozrzutni lub pijacy. To się samo przez się rozumie.

Ale ci, którzy nie posiadają ani ziemi, ani kapitału, nigdy nie zostaną miljonerami, choćby najciężej pracowali, lub mieli wszystkie zalety charakteru. Jako klasa, muszą oni pozostać w niewoli, by służyć i pracować na korzyść kapitalistów.

Nie mogą wydobyć się z przepaści, pracując za wynagrodzenie, jak w dawniejszych czasach niewolnicy, nie mogli się wydobyć z niewoli, pracując jako niewolnicy.

Trzeźwi, wytrwali, pracowici, będą się mieli lepiej od tych, co są pijacy, leniwi, marnotrawni.

Może nawet paru wydobyć się z niższej klasy do wyższej, ale tylko przez porzucenie pracy najemnej.

Dla robotników całego świata pozostaje tylko jedna nadzieja. Muszą oni jako klasa robić to, co zrobili kapitani przemysłu pojedyńczo.

Muszą porzucić pracę najemną, dzięki której prywatni posiadacze środków wytwarzania w najpodstępniejszy sposób wyzyskują i ciemiężą całą masę społeczeństwa.

Sekret powodzenia nie przypadnie w udziale, wam, robotnicy, jak wielcy kapitaliści twierdzą.

Musicie sprzeciwić się temu, by was dłużej wyzyskiwano, i żądać dla siebie, jako klasy, ziemi, narzędzi i produktów. (Podług R. Huntera).

Rozmaitości

Telegraf bez drutu. Dziewięć lat upłynęło, jak po raz pierwszy uczony włoski Marconi wprowadził w życie swój wynalazek, telegraf bez drutu. Za pomocą stacji dla telegrafu bez drutu przesłał on telegram z Poldhu w Anglji

do Nowej Fundlandji na wybrzeżu Ameryki; odległość między temi miejscami wynosi 3500 kilometrów. W ostatnim czasie dokonano licznych ulepszeń tak, iż wkrótce telegraf bez drutu odniesie zwycięstwo nad kosztownym telegrafem obecnym. — Teraz istnieje plan, aby połączyć Anglję z południową Afryką telegrafem bez drutu. Do tego celu ma służyć zbudowanie olbrzymiej stacji w Afryce lub urządzenie kilku stacji oddalonych od siebie o 3000 kilometrów. Wobec tego, iż udało się połączyć stację telegrafu bez drutu umieszczoną na wieży Eiffel w Paryżu ze stacją w Kanadzie, a więc na odległość 5000 kilometrów, istnieje możliwość, iż zapomocą 6 wielkich stacji będzie można rozsyłać depesze po całym świecie.

Także Rosja ma budować kilka stacji telegrafu bez drutu na linji Petersburg-Władywostok.

Wielkich ulepszeń telegrafu dokonał Arco, którego system umożliwia porozumienie telegraficzne między dwoma parowcami na odległość 3000 klm. W ostatnim czasie uczony Tesla czyni próby ze swym aparatem, który telegramy będzie przesyłał nie powietrzem, ale ziemią. Cerebotani zaś wynalazł mały aparat telegrafu obrazowego, który wysyła telegramy na 40 klm.

* * *

Wybuch nitrogliceryny w tunelu. Wskutek przedwczesnej eksplozji nitrogliceryny w tunelu, który ma stanowić część wielkiego akwaduktu, mającego prowadzić wodę od tamy Ashokan do Nowego Jorku — straciło życie 15 mężczyzn, pomiędzy nimi 3 amerykanów. Znaleziono ich pod masą kamieni i ruin, zmiażdżonych zupełnie przez siłę wybuchu w masę krwawiących głów, kadłubów i członków.

Panuje przekonanie, że jeden z robotników, niosąc pochodnię, upadł, zapalił kilka nabojów nitrogliceriny, wskutek czego nastąpiła katastrofa.

Pięciu robotników, którzy się znajdowali na brzegu tunelu, wyratowano, chociaż byli strasznie poranieni.

Żadnego z zabitych nie można było poznać. Prawdopodobnie są to przeważnie włosi.

* * *

Powrót wyprawy do bieguna południowego. Podróżnik Charcot, który przed dwoma laty wybrał się do bieguna południowego wysłał z Punta Arenas do swojej żony w Paryżu wiadomość, w której donosi, że na południe od wyspy Adelajde odkrył nową zatokę, zbadał około 120 mil nowego obszaru, następnie że przezimował w pobliżu wysp Piotra. Okręt doznał kilkakrotnie uszkodzeń.

W drugiej podróży odkrył między 69 a 71 stopniem szerokości południowej nowy ląd i odnalazł wyspę Piotra I.

Depesza kończy się słowami; mieliśmy większe nadzieje, zrobiliśmy jednak wszystko, co możliwe.

* * *

Pomarańcze i cytryny. Pomarańcze i cytryny, tak obecnie rozpowszechnione w Europie, były w 17 wieku taką rzadkością, że przychodziły tylko na stół królów i książąt. Ojczyzną pomarańczy są południowe Chiny, stąd nazwa łacińska: citrus sinensis, jabłko chińskie (po niemiecku: Apfelsine). W starożytności znali grecy te owoce tylko z legiend. Złote jabłka, po które wybrał się Herkules do ogrodu Hesperyd, były, jak się zdaje, pomarańczami lub cytrynami. W dzisiejszych czasach kwitnie uprawa pomarańcz i cytryn we Włoszech, a szczególnie w Sycylji, gdzie wyhodowano przeszło 150 odmian tych owoców. W 1900 r. wywieziono z Palermo owoców południowych wartości 11 miljonów lirów. Przez Messynę przeszło owoców za 15 miljonów lirów. Groźnym konkurentem Sycylji jest obecnie Kalifornja. Zbiór pomarańcz kalifornijskich wynosi w czasie jednego żniwa 18 000 wagonów, po 300 skrzyń. Udoskonalenia transportowe umożliwiają Kalifornji wysyłkę owoców nawet do Europy, mianowicie Anglji i Francji.

Konsumcja pomarańcz rośnie w Europie z każdym rokiem. W Niemczech np. wprowadzono w r. 1890 pomarańcz za 5 miljonów marek; w r. 1908 przedstawiał import wartość 18 miljonów marek.

* * *

Rząd duński przeciw alkoholowi. W Danji, która najwięcej z krajów europejskich spożywa wódki ($14^1/_2$ litra na osobę) oddawna już istnieje silny ruch przeciwalkoholowy, który coraz więcej także doznaje poparcia od rządu. Niebawem w parlamencie duńskim omawiać będą projekt nowego prawa o „lokalopcji", wygotowany przez parlamentarną „komisję przeciwalkoholową". Koncesję na wyszynki są w Danji osobiste, wygasają więc ze śmiercią właściciela lub z przejściem szynku w inne ręce. Według nowego prawa o „lokalopcji" dalsze istnienie takiego szynku zależne będzie od wyniku głosowania ogółu ludności dorosłej ponad 25 lat obu płci. Jeżeli większość głosujących nie życzy sobie szynku, to się go zamyka. Prawo to, dające ludności ostrą broń do ręki w walce z alkoholem, prawdopodobnie przejdzie w parlamencie, bo wielka część posłów jest mu przychylna, a rząd usilnie je popiera, szczególnie nowy minister kolei żelaznych Jensen, prezes ministrów Zahle (obaj są abstynentami) oraz minister spraw wewnętrznych Munch, zajęli się gorąco przeprowadzeniem tego prawa.

* * *

Poudre Zenento. Od kilku lat ukazują się w pismach ogłoszenia oszukańcze, polecające niezawodne rzekomo środki przeciw pijaństwu. Raz polecają one jakiś proszek „Coza", z Paryża, drugi raz proszek „Zexa", z Londynu, obecnie zaś pojawia się znów ogłoszenie o środku, nazwanym „poudre Zenento". Oczywiście jest to wszystko świadome oszustwo, obliczone na wyłudzanie grosza od łatwowiernych. Różne badania chemiczne i wyroki sądowe stwierdziły to z całą pewnością. Także cesarski urząd zdrowia ostrzegał przed tymi środkami, które są zupełnie bezwartościowe, a nieraz bardzo drogie. Pijaństwa nie wyleczy się żadnymi „proszkami przeciw pijaństwu", lecz jedynie przez zupełne wyrzeczenie się napojów upajających i odpowiednią kurację, którą najskuteczniej przeprowadzić można w osobnych lecznicach dla alkoholików.

* * *

Parlamentarzysta w kościele. Londyński „Daily News" donosi o zabawnem zdarzeniu z czasu ostatnich wyborów. Jeden z kandydatów, przybywszy do swego okręgu wyborczego, poszedł w niedzielę do kościoła. Tu, zmęczony i rozmarzony, usnął. Prawdopodobnie śniło mu się, że siedzi w parlamencie podczas jakiejś dyskusji, gdyż nagle zbudził się i zawołał na cały głos: „Wątpię, czy Izba jest w komplecie i proponuję obliczenie ilości obecnych!" Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie okrzyk ten wywarł na ludziach wsłuchanych w kazanie proboszcza.

Z literatury i sztuki

Numer 6 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł w zmienionej nieco postaci. Mianowicie ubrano go w okładkę, co korzystnie wpłynęło tak na wygląd zewnętrzny pisma, jak na rozszerzenie jego treści. Numer ten zawiera na wstępie wiersz A. E. Odyńca p. t. „Z pieśni litewskich"; potem ciąg dalszy zajmującego opowiadania Ernesta Seton Thompsona z życia „Bezdomnego kota". Piękny ustęp z powieści „Józki, Jaśki i Franki" Janusza Korczaka, dokończenie powiastki historycznej „Pod Martynowem", żywo napisanej przez St. Buraczewską, oraz kilka drobnych wiadomości ze świata wypełniają część dla starszych dzieci przeznaczoną. W tymże numerze kończy się baśń dramatyczna Janiny Porazińskiej „Kopciuszek", oraz wdzięczny obrazek Anatola France'a p. t. „Błękitny ptak" w przekładzie J. Mortkowiczowej. Na okładkę przeszły już tym razem łamigłówki, rozwiązania i odpowiedzi od Redakcji, tak mile zawsze przez czytelników widziane.

Adres Redakcji: Kraków, Krowoderska 45; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143. Prenumerata kwartalna 2 kor., w Warszawie 90 kop.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 9. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 lutego 1910.

Marja Konopnicka.

Kartka z Kroniki.

Czytam:

— „Lud zebrał się i ruszył. Blady
Tłum ludu zajął ulice i place
I z piersi własnych czyniąc barykady,
O chleb dla dzieci krzyczał i o pracę“.

Czytam:

— „W pałacach, wśród srogiego krzyku
Lud wyłukł szyby. Zawarto wnet bramy
I okiennice. Wojsko, z bronią w ręku,
Wyszło na rynek. Już widok ten samy

Był straszny! Kobiet wzniósły się lamenty,
Żołnierze zbledli. A w tem znak komendy:
— „Ognia!“ — I gęsto padły insurgenty...
Jak się ten głodny motłoch burzy wszędy!“

. . . . . .

Zamykam książkę.

— Kto winien? I w imię
Zwycięzców i tych, co padli, zaczynam
Czuć jakieś głuche wzburzenie olbrzymie
I nieznanego, w mroku coś — przeklinam!

Przekład z Ady Negri.

Obrazki klasowe.

Stoi dziecię obdarte i bose przed olbrzymią witryną magazynu z zabawkami. Widzi piękne malowane koniki, pyzate, czerwone, duże lalki z „prawdziwymi“ włosami i tyle innych cudnych rzeczy... Zapomniało biedne, że od kilku godziu nie jadło — zapomniało o nędzy i chorobie, jaka panuje tam, w domu, w ciemnej wilgotnej suterynie...

Wchłania się wzrokiem w te wszystkie śliczne zabawki, iskra zachwytu i zazdrości migoce w jego oku...

W tej chwili bogato ubraną pani wychodzi z magazynu z małą córeczką, która dźwiga na ręku ogromną lalkę, przystrojoną w śliczne, kolorowe sukienki...

Jaka ona szczęśliwa, ta dziewczynka, kiedy może mieć taką dużą, ładną lalkę!

I oko dziecka, już nie z zazdrością, lecz z nienawiścią spogląda na swą młodą, tak szczęśliwą rówieśniczkę...

W ten jeden moment rodzi się w serduszku dziecka uczucie głębokiej zawiści.

* * *

Na werandzie wspaniałej cukierni siedzą modnie i dostatnio ubrani panowie. Popijając kawę lub mazagran, jedząc lody i estetycznie przybrane ciastka, prowadząc wesołe rozmowy, przerywane często wybuchami śmiechu.

Ulicą idzie wyrostek, z wychudzoną twarzą, w podartej kurtce, łatanych spodniach.

Wsparł się rękami o sztachety werandy i łakomym wzrokiem spogląda na ciastka pięknie przybrane i na jedzących.

On nigdy jeszcze nie jadł takiego ciastka, ale to musi być ogromnie smaczne!

Żeby tak kiedy mógł spróbować!

Wtem garson z cukierni uderza go przez plecy, zwiniętą w sznur serwetką i odpędza... taki hołysz będzie zasłaniał widok i psuł apetyt jego gościom!

Pełne głuchego gniewu wejrzenie rzucił odpędzony i na kelnera i na jego „jasnych panów“.

I w duszy biedaka zrodziło się niepohamowane uczucie zawiści do tych „szczęśliwszych“ od niego.

* * *

W kretonowej spódnicy, odziana ciemną, dobrze podszarzaną chustką, w wykoszlawionych bucikach — wybiegła na miasto, by kupić parę łokci perkaliku na sukienkę dla dzieci.

Biegnie szybko nie oglądając się, w dalsze dzielnice, bo tam można się potargować — taniej kupić.

Naraz stanęła, jak wryta: naprzeciw niej idzie strojna dama, w sukni koronkami przybranej i ma taki śliczny kapelusz z ogrómnemi piórami! Z dystynkcją stawia po chodniku nóżki, obute w zgrabne, kolorowe buciki. W ręce trzyma parasolkę, ot — taką cieniutką, jak trzcinka...

Wpatrzyła się w strojną damę biedna kobieta, niby w jaką świętą i usunęła jej się z drogi. Nużby zawalała strojną suknię — swoją nędzną chuściną.

Westchnęła jednak. Biegnie dalej, nie może się wstrzymać wszakże, by się nie obejrzeć.

Ach! ona takiego kapelusza, takiej sukni, takich bucików i takiej parasolki — nigdy mieć nie będzie...

I w poczciwem sercu proletarjuszki siłą faktu — zrodziło się uczucie głębokiej zawiści...

* * *

Świstawka fabryczna ogłasza zakończenie robót.

Sięgnął po wypłowiałe, „wiatrem“ podszyte palto, wciągnął na siebie, postawił kołnierz i szybko wyszedł z fabryki.

Deszcz ze śniegiem drobnemi iglicami siecze mu twarz odkrytą.

Nie zważa na to i śpieszy do domu na krańce miasta.

Latarnie gazowe rzucają bladawe smugi świateł naokół.

Wtem wolnym kłusem mija go zamknięta kareta. Spojrzał do wewnątrz: otulony drogiem futrem, siedzi

na miękkich poduszkach właściciel fabryki, w której on pracuje.

— Temu jest ciepło, nóg nie przemoczy i twarzy śnieg mu nie zetnie — pomyślał, posyłając zazdrosny wzrok za niknącym, w szeregu płonących latarni, powozem.

I w duszy robociarza zrodziło się wściekłe uczucie zawiści do możnych koryfeuszów kapitału.

Z dziedziny biologji.

Biologja jest to nauka o istotach żyjących, tj. o roślinach i zwierzętach. Istoty żyjące (organizmy) rodzą się, rosną, starzeją i umierają, odżywiają się, oddychają i rozmnażają, posiadają różne składkowe części ciała (narządy czyli organy), które są jakby utkane z bardzo licznych, drobniutkich, tylko pod mikroskopem widzialnych ciałek, t. zw. komórek.

W przyrodzie rozróżniamy ciała proste i złożone pod względem chemicznym. Tlen, wodór, azot, chlor, brom, jod, sól, potas, żelazo, miedź, ołów, złoto, rtęć, platyna, węgiel, siarka, fosfor itd., to są ciała proste czyli pierwiastki, to znaczy, że nie zdołano ich dotychczas rozłożyć na prostsze składniki. Natomiast np. woda jest ciałem złożonem i to z dwóch pierwiastków, mianowicie z tlenu i z wodoru; dwutlenek węgla — z tlenu i węgla; sól kuchenna — z chloru i sodu; cukier składa się z węgla wodoru i tlenu. Otóż takie ciała złożone, które składają się z węgla, tlenu i wodoru lub z węgla, tlenu, wodoru i azotu, zwą się organicznemi, podczas gdy wszystkie inne zwą się nieorganicznemi.

Do ciał organicznych należą np. wszystkie tłuszcze, krochmal czyli skrobia, cukier, alkohol, gliceryna, kwas octowy, mlekowy itd. a nadto białka. Są one najważniejszymi składnikami mięsa, sera, jaj, ziarn zbożowych i innych pożywnych pokarmów. Najważniejsze z pierwiastków, z których składa się białko są: węgiel, wodór, tlen, azot, a nadto w mniejszych ilościach: siarka, fosfor, chlor, potas, sód, magnezja, żelazo i wapno.

Najdrobniejsza, jaką sobie tylko wyobrazić można, cząstka ciała białkowatego, czyli t. zw. drobina, składa się z kilku tysięcy atomów. Tak np. drobina białka, wchodzącego w skład krwi, zawiera 712 atomów węgla, 1130 atomów wodoru, 214 azotu, 245 tlenu, 2 atomy siarki i 1 atom żelaza. Z tego zestawienia widać, jak bardzo skomplikowanym (złożonym) jest skład chemiczny białka.

Zjawiska życia są ściśle związane z białkiem. Organizmy różnią się od ciał mineralnych (nieżyjących) w dalszym ciągu tem, że pochodzą od innych podobnych organizmów, tj. od osobników rodzicielskich. Dawniej sądzono, że drobne (tylko pod mikroskopem widzialne) organizmy, jak wymoczki lub bakterje, powstają same przez się z gnijących substancji. Obecnie przekonano się, że tak nie jest. I one rodzą się z rodziców. W pyle powietrza unoszą się drobniutkie zarodki, wytworzone przez rodziców. Zarodki te, dostawszy się do wody i znalazłszy tam dla siebie wilgoć i pożywienie, rozwijają się i rozmnażają. Każda żywa istota powstaje tylko z podobnych sobie istot rodzicielskich.

Komórka organiczna.

Jeżeli za pomocą brzytwy otrzymamy bardzo cienki skrawek liścia, łodygi, skóry, mięsa, nerwu itp. i oglądniemy go pod mikroskopem, wówczas zobaczymy, że jest on utworzony z ogromnej ilości ciałek różnego kształtu i wielkości, które nazywamy komórkami. Komórki są podstawowymi składnikami ciała roślin i zwierząt. Komórka otoczoną jest błoną i wypełnioną jest wewnątrz gęstą, przeźroczystą substancją, zwaną plazmą (zarodzią). W plazmie mieści się miejsce twardsze, zwane jądrem. Są i takie komórki, które nie posiadają błony zewnętrznej. Najniższe rośliny i zwierzęta składają się z pojedyńczej komórki i zwą się przeto istotami jednokomórkowemi. Tu należą np. liczne wodorosty, bakterje, wymoczki, ameby (pełzaki) itd.

Organizmy, które składają się z więcej niż jednej komórki, nazywają się wielokomórkowemi. Komórki organiczne w ciągu swego życia odżywiają się, oddychają, wydzielają, często wykonywują ruchy, odpowiadając niemi (reagując) na podrażnienia z zewnątrz, wreszcie rozmnażają się i zamierają. Jednokomórkowy organizm, żyjący w naszych wodach, a zwany amebą (pełzakiem) odżywia się w ten sposób, że napotkawszy kawałek pokarmu, wysuwa z plazmy wypustki (niby nóżki), którymi ze wszystkich stron otacza zdobycz, oblewa ją niejako dokoła, tak, że dostaje się ona do wnętrza organizmu. Wtedy plazma wysysa z niej części pożywne, resztki zaś niestrawione wyrzuca na zewnątrz, w któremkolwiek miejscu swego ciała. I w ciele ludzkiem znajdują się komórki, przypominające ameby. Są to białe ciałka krwi (leukocyty). Pochłaniają one bakterje, które dostają się do naszej krwi, wywołując różne choroby. Plazma komórek pobiera z powietrza tlen, który łączy się z jej węglem, produkt tego połączenia, dwutlenek węgla zostaje wydalony na zewnątrz. Łączenie się węgla organizmu z tlenem powietrza, jest oddychaniem. Oddychanie jest niczem innem, jak powolnem spalaniem. Ponieważ zaś przez to spalanie komórki ponoszą ciągłe straty, muszą się więc odżywiać, aby uzupełniać braki. Ta przemiana materji jest zasadniczą własnością organizmów.

Plazma komórek odznacza się dalej wrażliwością na różne bodźce z zewnątrz. Jeżeli amebę dotkniemy końcem igły, zobaczymy, że plazma reaguje na te bodźce skurczem. Gdy bodziec przestanie działać, plazma wraca do pierwotnego stanu. Plazma jest też wrażliwą na bodźce światła, ciepła, elektryczności i na bodźce chemiczne.

Komórka nietylko odżywia się, oddycha, podlega chemicznej przemianie materji, wydziela, rusza się i jest wrażliwą na różne podniety, ale się także rozmnaża. Rozmnażanie polega na tem, że każda pojedyńcza komórka w pewnym okresie życia dzieli się, czyli rozpada na dwie nowe komórki. Jest to rozmnażanie bezpłciowe. Inny sposób rozmnażania się odbywa się przez tak zwaną kopulację. Dwie komórki łączą się i zlewają w jeden odmłodzony niejako organizm, który przez dłuższy czas znów rozmnaża się przez dzielenie.

Jak wielkiemi są najmniejsze istoty żyjące?

W miarę, jak udoskonalano coraz bardziej mikroskop, odnajdywano coraz mniejsze organizmy. Nowoczesne mikroskopy pozwalają rozróżniać cząstki materji, mające $^1/_4$—$^1/_8$ jednej tysiącznej części milimetra. Jedna tysiączna część milimetra nazywa się mikronem. Do najmniejszych dotychczas poznanych istot żyjących należy bakcyl influency, którego długość wynosi nieco więcej, niż jeden mikron, a szerokość pół mikronu. Bakcyl zapalenia opłucnej, zwany micrococus progredigus ma średnicę, wynoszącą jedną dziesiątą część mikronu. Prawdopodobnem jest, że są i jeszcze mniejsze bakterje. Dotychczas np. nie zdołano odkryć bakterji, wywołujących szkarlatynę, odrę, zarazę racicową itp.

Wiele obiecują sobie uczeni z odkrycia ultramikroskopu, który dozwala widzieć cząstki, będące 60 razy mniejsze, niż jedna czwarta część mikronu, a więc najwięcej 4/1 000 000 częśsi milimetra. Jest to wielkość, która zbliża się już do wielkości niektórych drobin białka.

Abstynencja.

Używanie i nadużywanie trunków w społeczeństwach europejskich, a więc i w naszem ma podstawy, leżące głębiej, aniżeli się to na pierwszy rzut oka wydaje. Nędza i ciemnota olbrzymich mas z jednej strony, a zbytek i nieuświadomienie obowiązków społecznych z drugiej stwarzają zarówno w tak zwanych górnych, jak dolnych warstwach społeczeństwa dosyć materjału na alkoholików. Praca wogóle zbyt skąpo jest wynagradzana, wskutek tego ludzie upadają pod jej ciężarem i chętnie przy kieliszku zapominają o swej nędzy i biedzie. Brak oświaty, a co za tem idzie, potrzeb kulturalnych sprawia, że jedyną przyjemnością tysięcy i miljonów ludu zarówno wiejskiego jak miejskiego

jest kompanja przy kieliszku. Człowiek jest istotą towarzyską i szuka ludzi do pogawędki i zabawy, gdzie tylko może. Jeśli ich nie znajdzie gdzieindziej, pójdzie napewno do szynku. Już przeszło 20 lat temu zobrazowała tę prawdę Marja Konopnicka w wierszy „Sobotni wieczór". Przedstawia tam robotnika, który ma wyższe, choć nieuświadomione dążenia, a jednak na szynku kończy. — Jeśli przyznamy jej rację, to musimy się zgodzić, że nic nie pomoże agitacja za masowem wyrzekaniem i wyprzysięganiem się wódki, jeśli nie znajdziemy wyższych, prawdziwie ludzkich i kulturalnych przyjemności dla tych, którzy dziś poza kościołem i szynkiem nic nie mają. Najlepszym tego dowodem jest zupełna prawie bezowocność szerokiej agitacji księży, prowadzonej w tym kierunku. — Nikomu chyba nie może być łatwiej działać na wsi, niż księdzu, a jednak agitacja się nie udaje, bo odwodząc od wódki, księża nie postarali się równocześnie o danie parafjanom swym czegoś wzamian za przeklęty trunek.

I oto, jak zawsze w tych wypadkach bywa, ludzie silni wytrwają, słabi prędzej czy później ulegną, a ulegając, zwątpią o swej sile moralnej, co jest największem nieszczęściem każdego człowieka.

Zadaniem abstynentów jest wyrabiać i szeregować ludzi silnych, na których najgorsze nawet warunki nie wpłyną tak, aby ich zezwierzęcić. Ale należy też stwarzać takie warunki, aby w nich ludzie słabi nie padali.

Jeżeli chcemy człowieka, czy ogół od jakiejś pokusy uwolnić, to mamy tu trzy drogi: 1) uświadomić i wzmocnić człowieka tak, aby sam pokusę odrzucił; 2) usunąć pokusę; 3) dać coś, co ją zrównoważy i przez to moc jej osłabi lub nawet zniszczy.

Należy wszystkich tych dróg używać. — A więc:

1. Trzeba dbać o to, by każdy był uświadomiony co do szkodliwości alkoholu i chciał z nim walczyć. W tym celu trzeba rozpowszechniać odpowiednie broszury, urządzać odczyty dla starszych i rzecz najważniejsza postarać się o wprowadzenie we wszystkich szkołach obowiązkowego wykładu o szkodliwości alkoholu. Rzecz ta, przeprowadzona w Ameryce dzięki pani Hunt daje wspaniałe rezultaty, co jest rzeczą zrozumiałą, bo młodzież, wiedząc o szkodliwości alkoholu, unika go zawczasu.

2. Aby usunąć pokusę od ludzi słabych, trzeba starać się o to, by zapadały prawa państwowe, krajowe i uchwały gminne mające na celu ograniczenie i utrudnienie sprzedaży alkoholu.

3. Aby zrównoważyć pokusę pijaństwa, przyjaciele trzeźwości powinni zakładać domy ludowe, urządzać zabawy kulturalne, np. przedstawienia teatralne, obrazy niknące z objaśnieniami, organizować chóry robotnicze i włościańskie, wreszcie zachęcać do czytania i samokształcenia przez odczyty, czytelnie, bibljoteki, wspólne czytania itp.

Alkohol jest wrogiem ludu, bo właśnie dla biedaka pracującego rozpicie się jest bezwzględną klęską, znacznie większą, niż dla człowieka bogatego. Wprawdzie trucizna alkoholu zniszczy ciało, nie pytając się, czy to pan, chłop, czy robotnik. Ale kapitalista ma nietylko na wódkę, ma też na lekarza, gdy mu się dzieci chore porodzą, może je obwozić po całej Europie, chuchać na nie i choć mu się wyleczenie nie zawsze udaje, to przynajmniej w szpitalu lub domu zdrowia daje dziecku swemu spokój i wygody. A jaki jest los biednych głuptaków, cierpiących na wielką chorobę, słabych fizycznie nędzarzy, o tem dobrze wiemy. Grosz nie odsuwa od bogatego nieszczęść spowodowanych przez alkohol, ale je przynajmniej łagodzi. Dla biedaka jest pijaństwo bezwzględną ruiną. Usuwa go też zupełnie od wszelkiego życia umysłowego, skazuje na stanowisko bydlęcia ludzkiego, które istnieje po to, aby swą siłą fizyczną zdobyć dla innych, szczęśliwych to, co można życiem ludzkiem nazwać. — Wszystkie chwile wolne od ciężkiej, fizycznej pracy zarobkowej, pijak traci na to, by umysł zamroczyć, kiedyż więc znajdzie czas na życie duchowe, o którem tyle słyszy od swych przyjaciół w partji.

Towarzystwa wstrzemięźliwości mogą się stać i są już w Europie i Ameryce siłą, z którą się muszą liczyć wszyscy działacze ludowi. W Finlandji tylko dzięki Towarzystwom wstrzemięźliwości powstało prawo, dopuszczające kobiety do sejmu i wybrane zostało obecnie 15 kobiet posłami. Członkowie Towarzystw abstynenckich głosowali za niemi, wiedząc, że napewno uchwalą prawa przeciwalkoholowe, co się też stało istotnie.

Dlatego mamy nadzieję, że abstynenci dzięki czynnej akcji wytworzą sobie poważny posłuch wśród partji, biorącej w obronę interesy ludu wiejskiego i proletarjatu.

Rozmaitości

Jak się robi zapałki. Niezbyt dawno — jeszcze starsi wiekiem z pokolenia dziś żyjącego pamiętają, jak to się krzesało ogień krzesiwem i stalą: O krzemień się cięło, wypadała iskra, ta spadała na hupkę, która się zatliła i stąd dopiero rozdmuchiwało się ogień. Ile z tem nieraz było roboty? a ile się nakaleczyło palców? Albo jak się robiło ogień w domu? Bywało w nocy, ktoś przyjdzie do domu, chce mieć światło — szuka tedy krzesiwa i miseczki z hupką ze spalonego płótna. Było delikatne i łatwo je lada iskierka zażarzyła. Zanim się to znalazło, zanim iskrę wydobyto, a potem pożar, a potem ogień i zapalenie świecy łojówki, a na wsi łuczywa ze smolnego drzewa — czasu niemało zeszło.

Dziś człowiek sięgnie do kieszeni, po pudełku trzaśnie zapałką i w mgnieniu oka ma gotowy ogień.

Takie zapałki, jakich dziś używamy, istnieją nie tak dawno. Jeszcze przed 20—15 laty na wsi rzadko były w użyciu; przeważnie wtedy były używane zapałki siarkowe, które się pocierało o byle co i zanim się zapalały, czekać było trzeba długo, a w nosie siarka kręciła ci aż z oczu szły łzy. Jeszcze przed takiemi zapałkami były zwyczajne siarniczki — siarka na skraweczkach papieru. Tak to nieprędko i nie odrazu nawet najzwyczajniejsza nawet rzecz była wynalezioną i udoskonaloną.

Zapałki wogóle wynalezione zostały w roku 1835 i od tego czasu wyrób ich stale był doskonalony. W doskonaleniu tem myślą przewodnią wynalazców jest, by zapałki zapalały się szybko i pewnie, a jednocześnie, żeby były bezpieczne. Do wyrobu zapałek używa się drzewa sosnowego. Odpowiedniemi maszynami jest ono cięte aż na tak małe klocki, żeby znowu odpowiedniemi maszynami ciąć je na drewienka zapałkowe. Maszyna wszystko to robi i dokładnie.

Drewienko zapałki nie jest to czyste drzewo; leżało ono przedtem w gęstej masie z gumy albo z kleju i siarki. Cała sztuka polega na tem, żeby się drzewo przejęło siarką i z łatwością paliło, gdy będzie potrzeba, a nie zapalało, skoro to nie jest potrzebne. Przesiąknięte tak drzewo suszy się jeszcze w piecach i potem przy pomocy odpowiednich maszyn jedne strony drewienek zanurza się w roztworze z siarki i fosforu. Od potarcia zapala się fosfor, od niego siarka, a od siarki drzewo.

Do fabrykacji zapałek zakładane dziś są całe fabryki.

* * *

Czy ziemia zderzyła się już z jakimś kometą? Na pytanie to daje twierdzącą odpowiedź znany astronom amerykańskiego uniwersytetu Havarda, nazwiskiem Pickering. O prawdopodobieństwie uderzenia się ziemi z kometą, należącym do systemu słonecznego, wnioskować można w przybliżeniu z dróg i wielkości komety. Pickering twierdzi, że co cztery miljony lat ziemia może, na podstawie rachunku prawdopodobieństwa, zetknąć się z jądrem komety, oraz na dwa lub cztery miljony lat z częścią jego ogona. Ostatnie zderzenie — twierdzi dalej uczony astronom — spotkały ziemię w Ameryce, a odbyło się najwcześniej przed 5000 laty, najpóźniej przed 700 laty. Miałoby to być zderzenie z kometą, które objaśnia powstanie niezwykłego zjawiska gieologicznego w pobliżu gór Kolorado, gdzie się znajduje wzgórek, wysoki na 45 metrów, ze szczytem, podobnym do ujścia krateru, który ma w przecięciu 180 metrów. W znacznej głębokości znajdują się wszystkie gieologiczne pokłady we właściwem im następstwie.

Ta niezwykła góra wykazuje wogóle charakter wulkaniczny. Znajdują się tam także podobno meteoryty — odłamki, składające się z żelaza i niklu — które znaleść można jeszcze na odległości 5 kilometrów. Pickering twierdzi,

że ziemia została w tem miejscu uderzoną przez nieznanego kometę. Jako dowód naprowadza, że siedm największych meteorytów znaleziono na przestrzeni 1200 kilometrów od miejscowości Coon Butts, które mają podobne składniki, jak meteoryty, znajdujące się w powyższym pagórku.

Dlaczego jednak owe twory meteorytowe nie wykazują śladów wielkiego gorąca, topienia, tego Pickering nie objaśnia. Również usiłowania jego, aby ustalić i oznaczyć datę zderzenia, nie doprowadziły do pewnych rezultatów. Według jego zdania — w r. 1029 spadł w Meksyku deszcz kamieni, jakie znaleziono w Kairze. Przypuszczenie to pozbawione jest jednak wielkiego prawdopodobieństwa, jeżeli się zważy, że odległość między Kairem a Meksykiem jest zbyt wielka, wynosi przeszło 100 stopni gieograficznych. W jaki więc sposób mogłyby się znaleść w Kairze kamienie, które spadły z przestworza w Ameryce?

* * *

Nowy rok w Chinach przypada na czas między 20 stycznia a 18 lutego. Święci się go w sposób bardzo uroczysty. Według obyczajów ortodoksyjnych powinno święto Nowego roku trwać przez 15 dni, podczas których wszystkie urzędy mają być zamknięte. Zwyczaj ten nie wyda się dziwnym, jeżeli się uwzględni, że chińczycy nie mają ani niedziel, ani świąt. Święto Nowego roku obchodzi się w Chinach nader uroczyście jaż choćby z tego względu, że wprowadza ono pożądanę przerwę i odmianę w monotonne życie całego roku. W drugim dniu Nowego roku cesarz podejmuje u siebie wszystkich obecnych w Pekinie mandarynów, w trzecim zaś dniu składa cesarzowi noworoczne życzenia całe ciało dyplomatyczne. Ogłoszony w piśmie urzędowem edykt cesarski przepisuje, w jakich strojach i futrach dygnitarze mają się stawić u cesarza. Prastara tradycja nakazuje, aby każdy chińczyk w siódmym dniu Nowego roku przywdział nową szatę, albowiem tylko człowiek ubrany w tym dniu w nowe szaty, może liczyć na rok szczęśliwy. Wolno zresztą nowy przyodziewek na ten dzień pożyczyć sobie lub nawet nabyć go sposobem nieuczciwym, byleby był, inaczej bowiem nie podobna ustrzec się od nieszczęścia w nastającym roku.

Inny, również prastary zwyczaj chiński nakazuje surowo, aby każdy przed nastaniem święta jaknajsumienniej uregulował rachunki ze swymi wierzycielami. Obowiązek zapłacenia długów odnosi się jednak tylko do stosunków pieniężnych z ludźmi tego samego wyznania. W stosunkach z innowiercami przepis ten nie ma znaczenia. Religijne przepisy wymagają surowo, by Nowy rok czczony był bezustannie wzniecanymi ogniami sztucznymi i nieprzerwanym szeregiem obfitych uczt. W tych dniach stoły są suto zastawione najbardziej wyrafinowanymi wytworami chińskiej sztuki kulinarnej. Wielką rolę przy uroczystościach noworocznych odgrywają życzenia noworoczne, wydrukowane na łokciowych czerwonych kartonach, które chińczyk przybija do drzwi swego mieszkania.

* * *

Jeden z łaski Boskiej. Tragiczny więzień willi Alatini, Abdul Hamid, niegdyś despotyczny władca, postrach poddanych, najwyższy Kalif 200 miljonów muzułmanów, od Bośnji aż do głębin Indji Wschodnich, dziś strącony z tych wyżyn, wpadł w obłęd.

Od kilku dni biega po pokojach, krzycząc niezrozumiale, przeraźliwie. Wreszcie onegdaj dostał ataku furji. Chciał się powiesić na szalu. Gdy służący chciał mu w tem przeszkodzić, rzucił go na ziemię i odgryzł mu palec u prawej ręki.

Na krzyk służącego nadbiegła straż pałacowa i zastała ex-sułtana krzyczącego i wymachującego rękami na wszystkie strony.

Nałożono nań kaftan bezpieczeństwa.

* * *

Tunel pod Bałtykiem. Wiek XIX zadowolił się przebijaniem gór: nie śmiał targnąć się na przekopy pod dnem morskiem. Następca jego nie ma takich skrupułów i może już niedługo pod falami morskiemi będą przelatywały pociągi osobowe i towarowe. Dotąd najwięcej było słychać o projekcie tunelu pod kanałem La Manche; napotkał on jednakże wielkie przeszkody i to nie natury technicznej, ale politycznej i strategicznej. Anglicy nie chcą zgodzić się na połączenie lądowe z resztą Europy, boją się utracić korzyści, jakie im zapewnia położenie wyspiarskie. W przeszłym roku powstał nowy projekt tunelu podmorskiego, tym razem podbałtyckiego, mający wielkie widoki urzeczywistnienia, gdyż popierają go nawet władze wojskowe. Chodzi o połączenie Kopenhagi z Malmö, Danji ze Szwecją. Plan ten może już na najbliższej sesji przedstawiony będzie parlamentowi szwedzkiemu. W razie jego przyjęcia znacznie się skróci podróż z Danji i Niemiec do Szwecji. Zbudowanie pierwszego tunelu podmorskiego, to rzecz najtrudniejsza, dalsze pójdą łatwiej.

* * *

Wilki we Włoszech. Pisma włoskie donoszą, że w kilku okolicach Włoch pojawiły się znaczne gromady wilków, które, wypędzone głodem ze schronisk w Apeninach, napadają nawet w jasny dzień na zagrody wieśniaków. W Dignini gromada wilków wtargnęła w nocy do owczarni, sprawiając krwawą rzeź wśród owiec. Wieśniacy, chcący ratować swe trzody, musieli wobec ataku napastników, cofnąć się do chat. Strzały, z powodu ciemności, nie odniosły żadnego skutku. W Diamante, na drodze z Lupagnano do Bardi, napadły wilki na jadącego tamtędy wieśniaka. Nieszczęśliwy porzucił konie na łup, a sam schronił się na drzewo, skąd go dopiero w kilka godzin uratowano. Wśród mieszkańców zapanował popłoch. Chłopi wyruszają do pracy rolnej, uzbrojeni w strzelby, nocami rozpalają ogniska w pobliżu obór.

* * *

Egzekucja u prezydenta senatu tureckiego. W Konstantynopolu zaszedł wypadek, wywołujący sensację w kołach wyższych urzędników. Z polecenia ministra finansów komornik dokonał zajęcia mebli i sprzętów prezydenta senatu Saida-baszy, który winien był skarbowi państwa około 120 000 mk. za zaległe podatki od domów. W Turcji zdawna ustalił się zwyczaj zalegania z podatkami domowymi tak, że większa część właścicieli, zwłaszcza w Konstantynopolu, posiada znaczne zaległości. Obecny minister finansów postanowił przeprowadzić egzekucję wszystkich zaległości; między innymi zawezwany do zapłaty Said-basza odmówił stanowczo, powołując się na to, że skarb państwa winien mu jest około 160 000 mk. za zalegającą od lat pensję. Minister finansów zarządził wobec tego zajęcie mebli i sprzętów, które mają być sprzedane na publicznej licytacji. Said-basza przedstawił całą sprawę w senacie, który jednomyślnie potępił zarządzenie ministra. Zajściu temu przypisują także polityczne pobudki; Said-basza był w swoim czasie kandydatem na stanowisko wielkiego wezyra po ustąpieniu Husseina Hilmy baszy i już wówczas minister finansów i minister spraw zagranicznych oświadczyli, że wystąpią z gabinetu w razie jego nominacji. Obecne zafantowanie prezydenta senatu zmierzać miało do tego, by go skompromitować przed rządem i uniemożliwić ewentualną jego kandydaturę na przyszłość.

* * *

Köpenick w Anglji. Admiralicja angielska padła ofiarą olbrzymiej mistyfikacji. Pięciu młodych ludzi i jedna panna postanowili zakosztować książęcego przyjęcia na pancerniku „Dreadnought". W tym celu jedna panna i 3 młodzieńców przebrało się za książąt abisyńskich; maskarada została dokonana stylowo z zachowaniem wszystkich szczegółów, jeden młodzieniec objął rolę tłómacza, piąty wystąpił jako delegat angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych, wysłany dla towarzystwa książętom. Wesoła kompanja zatelegrafowała do komendanta „Dreadnought", podpisując nazwisko, które otwiera wstęp wszędzie. W Portland, gdzie pancernik stoi na kotwicy, powitano książąt z należnymi honorami. Zafrasowany komendant przepraszał, że orkiestra nie umie hymnu abisyńskiego. Nad pancernikiem powiewała flaga Zanzibaru, jako najbliższego państwa Abisynji, i gdyż brakły właśnie flagi owego mocarstwa. Podejmowano dostojnych gości wspaniale. Szampan lał się strumieniem. Po godzinnych odwiedzinach i obejrzeniu pancernika, weseli goście powrócili do Londynu i... zaśmiali się tak głośno z żartu, że wyszedł na jaw.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 10. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 marca 1910.

ADA NEGRI.

W PRZYTUŁKU NOCNYM.

W mgle zimnej, w ponurym cieniu,
Do piersi cisnąc zapadłej
Dzieciątka skostniałe ciałko,
W śmiertelnych trwóg zaległieniu.

Jak zwierzę, drżące przed biczem,
Pod nędzną skulona chustą,
U bram przytułku stanęła,
Z wychudłem z głodu obliczem.

Za jednej nocy wezgłowie,
Jak pod pręgierzem stojąca,
Złamanym głosem powiada:
Skąd, kto jest i jak się zowie,

O świeżej mówi żałobie,
I jak zaległo komorne,
I jak ją na bruk rzucono —
I wszystko mówi o sobie.

I nie wpierw, aż krwawe rany
Doli odkryła do naga,
Za ból, za wstyd tej spowiedzi
Tapczan w przytułku ma dany.

Głębokim snem zapomnienia
Spi z dzieciąteczkiem u łona.
A nad nią, nad całą nędzą,
Co tu szukała schronienia,

Rozciąga skrzydła swe białe
Krótka godzina spokoju.
I milczą serca pęknięte,
I milczą ciała zbolałe.

I śni, że dziś i na zawsze
Jej własnem łóżko to ciepłe!
— O słodki śnie! — Że to łóżko —
Jej własnem! Dziś i na zawsze!

I nagłe jasne widzenie
Cichej ją izby ogrzewa...
— Dziecko się śmieje, żar płonie,
A ona szyje i śpiewa.

Ostatnia pieszczota słońca
Różowi szyby okienka,
A w ciche gniazdo zalata
Ulicy wrzawa kipiąca.

Wtem dzwon zajęczał surowy,
Różowych gaśnie snów zorza...
W szarym się mroku porywa
Nieszczęsna z cudzego łoża.

I chwyta nędzne odzienie,
I znów z dzieciątkiem na ręku,
Za bramą wsiąka w mgłę zimną,
W cień głodu i opuszczenie.

Tłomaczenie Marji Konopnickiej.

Doktor Androzow.

(Z bułgarskiego.)

Doktor Androzow zmieszał się ogromnie, gdy wszedł do podwórza domu Podielkowa i przez otwarte okno pokoju, w którym pozostawił wczoraj swego pacjenta, spostrzegł palące się świece woskowe, a jednocześnie poczuł zapach kadzidła.

— Umarł! — mruknął i szybko wyszedł na ulicę, bo nietylko złe duchy uciekają od zapachu kadzidła...

Przygnębienie i zdziwienie doktora Androzowa były wielkie. Wczoraj wieczorem znalazł u chorego znaczne polepszenie, przesilenie tyfoidalne minęło szczęśliwie, wobec czego oświadczył radośnie, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło i że uważa za zbyteczne dalsze odwiedzanie chorego. Rodzina jednak, a nawet sam Podielkow, prosili doktora, aby codziennie ich odwiedzał. Dzisiaj więc z największym spokojem wszedł do podwórza ich domu — i spostrzegł nieomylne oznaki, że w domu znajduje się umarły.

Jak się to stało, że wbrew jego przekonaniu — lekarza — i długoletniemu doświadczeniu, choroba przybrała tak zgubny obrót i tak nagle zabiła Podielkowa?

Doktor Androzow był w bardzo złym humorze.

Prawdę powiedziawszy, zły humor doktora wcale nie pochodził stąd, aby strapił się śmiercią pacjenta; liczba tych, których nie mógł wyrwać z objęć śmierci, była dość poważną. Zły humor Androzowa pochodził stąd, że nierozważnie wszedł do domu Podielkowa w chwili, kiedy ten Podielkow leżał umarły, otoczony palącemi się świecami. Z pewnością spostrzeżono jego haniebną ucieczkę z podwórza — i wzięto ją za znak nieczystego sumienia. Bezwątpienia w ten sposób wytłomaczy to sobie rozżalona rodzina zmarłego.

To mu się zdarzyło po raz pierwszy w długoletniej praktyce lekarskiej. Dotychczas był dość ostrożny i jeżeli miał choć cień wątpliwości co do tego, czy zastanie chorego przy życiu, nie szedł do niego, lecz czekał, aż go wezwano. A jeżeli jakikolwiek powód moralny lub materjalny skłonił go do odstąpienia od przyjętej zasady, to miał zwyczaj wysłuchiwać się, przypatrywać, obserwować, czy nie spostrzeże jakiej oznaki śmierci w domu, zanim się zdecydował wejść. Bo nic niema głupszego i nieprzyjemniejszego dla doktora, jak znaleść się w domu pacjenta, który potrzebuje raczej

księdza, niż doktora. Zresztą gniewne spojrzenia rodziny, otwarte lub skryte przycinki, zawsze są bardzo przykre dla doktora.

W tym wypadku Androzow był przekonany, że robił wszystko, co można było uczynić dla wyleczenia Podielkowa. Zresztą Androzow był bardzo skrupulatnym wobec bogatych chorych, a Podielkow był bogaty. Jeżeli zaś umarł tak niespodzianie, to widocznie mu było przeznaczonem umrzeć. „W podeszłym wieku próżno szukać leku!"...

Jakkolwiekbądź jednak Androzow czuł się nie swój i nawet przysłowie nie mogło go pogodzić z faktem. W nieubłaganym związku myśli przypominał sobie niektóre pomyłki lub niezaradności ze swej strony, które prowadziły śmiertelne następstwa. I wbrew jego chęci nieprzyjemne wspomnienia budziły się, poruszały w jego umyśle, sprawy dawno zapomniane przedstawiały się oczom z bezwzględnym realizmem.

Przypomniał sobie np., jak pewnego wieczora, gdy siedział przy kawie, weszła do niego pewna biedaczka, prosząc o pomoc dla umierającego syna. To natręctwo zniecierpliwiło go i rzucił jej ostre pytanie?

— Masz pięć franków?

— Tylko jeden frank mam, ojcze!

— Nie masz, to nie pójdę!

Nędzarka wyszła zapłakana. W nocy chłopak umarł, pozbawiony pomocy lekarskiej.

Innym razem, z przyczyny zbyt powierzchownej djagnozy, przepisał pewnej kobiecie, mieszkającej w dzielnicy biednych, zupełnie przeciwne lekarstwo, niż było potrzebne. Spostrzegł swój błąd dopiero w chwili, gdy konała...

Albo znowu nieszczęśliwy Kałudow?... A żyd Nachim?... Oni spoczywają obecnie na cmentarzu, a on wie dlaczego... I inne, inni... W rzeczywistości wszystko to byli biedacy i ludzie bez znaczenia... lecz te wspomnienia gryzły doktora — czyżby sumienie w to się wmieszało? — ciążyło mu to wszystko i dokuczało mu jak mucha, od której się opędzić nie można, jak ta pajęczyna, która się przyczepi do kapelusza...

Zaledwie uszedł pięćdziesiąt kroków, prześladowany ciągle temi myślami, zobaczył nagle idącą na jego spotkanie siostrę Podielkowa, która spostrzegła go wychodzącego z domu brata.

Gdy była tam wczoraj wieczorem, słyszała z ust doktora zapewnienie, że brat jest ocalony. Widocznie nie znała jeszcze strasznej nowiny, bo twarz miała spokojną, a nawet uśmiechniętą. Androzow zbladł; ogarnęła go prawie trwoga i pierwszej chwili chciał nawet uciekać na drugą stronę, aby jej nie spotkać, lecz było zapóźno. Zbliżyła się i zapytała z uśmiechem:

— Dzień dobry, doktorze, jak się miewa mój brat?

— Pani... ja byłem... pani brat... dziś rano... rzecz ludzka...

Androzow bąkał wyrazy, nie czując ziemi pod stopami. Lecz widząc zaniepokojone oblicze siostry, próbował kłamać, aby wywinąć się z przykrego położenia:

— Brat pani... jest dość dobrze...

Oblicze siostry się rozjaśniło.

— Tak i ja dziś zrana tam byłam i wydawało mi się, że jest znacznie zdrowszy. I dlatego zarządziliśmy modły dziękczynne z poświęcaniem oliwy... Oby Bóg był na niego łaskaw, ma pięcioro drobnych dzieci...

A!... tak?... — krzyknął doktór na całą ulicę — to chodźmy tam, to chodźmy!

I zawróciwszy, w towarzystwie siostry Podielkowa, wszedł do pokoju rekonwalescenta.

Dwóch popów odmawiało dziękczynne modły wśród dymu kadzideł i przy blasku świec, ustawionych na stole. Podielkow czuł się o tyle lepiej, że stojąc, mógł być obecnym przy odmawianiu modlitw i święceniu olejów.

Iwan Wazow.

Majątki ziemskie lordów angielskich.

Projektowany przez angielskiego ministra skarbu podatek od przyrostu wartości majątków nieruchomych, wydobył znowu na jaw sprawę rozdziału ziemi w Wielkiej Brytanji. Cztery piąte użytkowanej gleby w Anglji oraz w Irlandji należy do 7000 właścicieli. Pięciu parów w Szkocji posiada razem $^1/_4$ kraju. Połowa Anglji należy do 150, połowa Szkocji do 75, połowa Irlandji do 35 osób. Największy właściciel ziemski Albjonu posiada około pół miljona hektarów ziemi. Jest to znany ks. Sutherland.

Dawni lennicy Wilhelma Zdobywcy z biegiem lat przywłaszczyli sobie na nieograniczoną własność dobra lenne i dopiero w r. 1682 rząd angielski zaprowadził jako tako uregulowany kataster ziemski. Od tego czasu wartość wzrosła niesłychanie skutkiem pomnożenia się ludności, rozwoju miast, odkrycia skarbów kopalnianych, ulepszenia środków komunikacyjnych itd. Do jakiego stopnia podniosła się wartość ziemi w niektórych okolicach, wykaże najlepiej przykład rodziny margrabiego Bute. Była ona oddawna bogata, ale krezusem stał się dopiero ojciec ich, dzięki przypadkowemu odkryciu pokładów węgla w dobrach, położonych w południowej Walli, a zwłaszcza koło Cardiffu. Przed laty 40 Cardiff było nędznem gniazdem, dzisiaj ma przeszło 250 000 mieszkańców i ładuje na okręty więcej węgla, niż jakikolwiek inny port świata. Domy, które przed 40 laty można było kupić za 500 funtów, płacą dwa razy tyle samego podatku. Ponieważ przeważna część domów znajduje się na gruntach margrabiego Bute, więc pobiera on około 400 000 funtów szterlingów czynszu. W środku miasta Cardiff, wśród ogromnego parku, wznosi się potężny zamek margrabiów o wieżach gotyckich, otoczony murami i rowami, przedstawiający wartość kilkunastu miljonów; płaci jednak zaledwie 924 funtów szterlingów podatku gruntowego. W odległości 200 kroków, krawiec, posiadajacy kamienicę o bokach mniej więcej po 18 metrów, płaci... 947 funtów podatku gruntowego.

Jeszcze lepiej wyszli lordowie posiadający grunty w obrębie dzisiejszego Londynu, który pochłonął całe kompleksy okolicznych wsi. Książę Belford oraz lordowie Northampton, Portman i Howard posiadają przeszło 400 morgów najcenniejszych gruntów w Londynie, a ks. Westminsteru ma nawet 650 morgów. Jak wzrosła wartość tych gruntów, obecnie parcel budowlanych, tudzież kamienic, które na nich stoją, świadczą czynsze, których wysokość jest jeszcze przez lordów starannie ukrywana. Gdy przed laty zjawiła się książka, której autor zebrał daty odnoszące się do tych czynszów, już po kilkunastu dniach nie było w księgarniach ani jednego jej egzemplarza. Rozchwytali ją oczywiście lordowie, nie lubiący tego rodzaju niedyskrecji. Ale zupełna tajemnica jest niemożliwą i od czasu do czasu zjawiają się obliczenia, podające w przybliżeniu owe dochody. Tak np. książęta Belfordu i Westminsteru mają z tego źródła po 3—4 miljonów funtów szterlingów. (60 do 80 miljonów marek).

Kometa i koniec świata.

Pogadanka przyrodnicza.

Każdy już wie oddawna — pisze w jednym z dzienników niemieckich dr. M. W. Mayer, znany astronom niemiecki, że w miesiącu maju b. r. ukaże się nam kometa Halley'a. Już przed dziesiątkami lat głosili o tem astronomowie.

Kometa Halley'a jest zupełnie odmienną od swoich kolegów. Tamte komety pojawiały się niespodziewanie i dopiero po dłuższem obserwowaniu ich biegu, można było na pewien ograniczony czas przepowiedzieć, jakim będzie ich ruch pomiędzo gwiazdami i naokoło gwiazd. Z pośród wszystkich wielkich, dla całego świata widzialnych komet, jest kometa Halley'a jedyna, której bieg można w duchu śledzić, o której zawsze wiadomo, gdzie się znajduje, chociaż nasze optyczne środki pomocnicze są zbyt słabe, ażeby ją nam pokazać w rzeczywistości.

Powoli, bardzo powoli zbliżała się do nas. Stopniowo przyspieszała swoje kroki. Ku końcowi 1907 r. znajdowała się od nas jeszcze w odległości 9 razy większej, niżeli słońce i ze znaku Raka wróciła do znaku Bliźniąt, gdyż jej normalny bieg jest odwrotny wobec innych gwiazd wędro-

wnych. W rok później była na granicy pomiędzy Bliźnięta mi a Bykiem, w oddaleniu około 5 razy większem, niż słońce. Odwiedziła wtedy Jowisza, do którego tak się zbliżyła, że przez niego została odciągniętą z normalnej linji biegu. I tego również nie wiedzieliśmy, ale astronomowie mogli dokładnie obliczyć, ile wynosi to zboczenie z drogi. Bo gdyby tak nie było, to we wrześniu 1909 r. nie widzielibyśmy komety na miejscu tak dokładaie naprzód wskazanem, jak to okazał wielki przyrząd fotograficzny w Heidelbergu. To stwierdzenie, że zrozumieliśmy owe prawa przyrody, jest powodem naszej radości z powodu programowego zjawienia się naszego gościa, chociażby tym razem powrót jego nie odbył się w pełnej wspaniałości przed oczami świata.

Tymczasem kometa zbliża się do nas olbrzymimi krokami i radzibyśmy naprzód wiedzieć, jak się będzie dalej zachowywać. Dwaj astronomowie angielscy, Crommelin i Cowell, którzy przeprowadzili olbrzymią, kilkuletnią pracę rachunkowego śledzenia komety podczas jej 75-letniej nieobecności, ogłosili niedawno obliczenie, odnoszące się specjalnie do biegu komety w pobliżu ziemi. Wobec tego obliczenia kometa, spiesząc bądź pozornie, bądź rzeczywiście ku słońcu i przebiegłszy w styczniu, lutym i marcu znaki niebieskiego Byka i Barana, zatrzyma pozornie swój bieg w znaku Ryb, gdyż poruszać się będzie w prostej linji ku ziemi, skutkiem czego, jak światło lokomotywy, idącej na nas w prostej linji, stanie się tylko jaśniejszą.

W obrębie tego czasu, najpóźniej na początku kwietnia, stanie się kometa Halleya widzialną dla gołego oka, a mianowicie przed zachodem słońca. Ale znajduje się wtedy jeszcze bardzo blisko słońca, którego promienie ujemnie wpływają na widoczność komety, która prócz tego dla naszych szerokości gieograficznych znajduje się za blisko horyzontu. Pięknego widoku nie da w tym czasie ciekawym. Dnia 20 kwietnia zbliży się najbardziej do słońca i wtedy teoretycznie ogon jej będzie najdłuższy. Ale dla nas i wtedy jeszcze położenie jej będzie niekorzystne. Oddalenie jej od nas wynosi wtedy 180 miljonów kilometrów, to znaczy, jest ona jeszcze nieco po tamtej stronie słońca dla naszego oka.

Ale wtedy kometa zwraca się w swoim biegu i dąży znowu do znaku niebieskiego Barana, z którego wyszła, biegnąc olbrzymimi krokami pomiędzy słońcem a ziemią. To przyjdzie do skutku w nocy z 18 na 19 maja. Następnie pojawi się kometa na niebie wieczorem. Już dnia 22 maja zajdzie mniej więcej $2^1/_2$ godziny po słońcu, a o godzinie 9 wieczór będzie znajdować się jeszcze na 10 stopni ponad horyzontem berlińskim. Ale w tym czasie będzie księżyc nieco przeszkadzać. Uwzględniwszy te wszystkie okoliczności, można przewidzieć, że kometa mniej więcej 25 maja zaświeci dla nas najsilniejszym blaskiem, poczem szybko zacznie blednąć i w czerwcu będzie niewidzialna dla gołego oka. Pójdzie wtedy zawsze na prawo przez Bliźnięta do Sekstansu, który znajduje się na południe od Raka. Tu znowu się zatrzyma, zwraca się potem powoli i powraca na stałe do znaku Raka.

To przejście komety pomiędzy słońcem a ziemią dnia 18–19 maja wywołało już naprzód zaniepokojenie pośród wielu ludzi, którzy z trwogą czekają na chwilę, w której wedle obliczenia astronomów ziemia nasza przeleci przez ogon strasznej komety. Stare przesądy o kometach nie wygasły jeszcze, przybrały tylko szatę rzekomej naukowości. Znowu, podobnie jak w r. 1835, kometa Halleya ma spowodować koniec świata.

Otóż ten koniec świata! Wcala nie wiemy dokładnie, czem jest właściwie taka kometa, a to, co wiemy, nie jest po części niczem uspakajającem.

Spektroskop, który daje nam niezawodne wskazówki o składzie chemicznym samoświecących gwiazd, powiada wogóle o kometach, a obecnie o komecie Halleya, że składają się z węglowodoru i par azotowych, które zawierają związki cjanowe. Można przy tej okazji wybierać pomiędzy deszczem z nafty a gazami cjanowymi, do których także należy sinek potasu. To też nietrudno ludziom napędzić strachu, jak to czynią dla reklamy niektórzy pisarze popularni. Co za piękna sposobność do sensacji! Widzimy, jak te gazy skutkiem ogrzania przez słońce wydobywają się z komet po stronie ich, zwróconej do słońca.

Zjawisko to niewątpliwie nawet za pomocą małych dalekowidzów spostrzeżemy na komecie Halleya najpóźniej począwszy od końca kwietnia, jak to było w 1835 r. Te wybuchy pochodzą z t. zw. jądra, które jest zgęszczoną mgławicą. To jądro składa się po części z ciał stałych, może meteorów, chaotycznie krążących i mających rozmaite rozmiary. Te meteory, razem wzięte, mogłbyby przy największych kometach utworzyć kulę o średnicy 100 kilometrów. Gdyby taka kula zaczęła nas prażyć deszczem kamieni, to mogłoby się to dla nas stać czemś wcale niemiłem. A gdyby taki kilometrowy meteoryt wpadł do morza, to powstałby potop, przed którym ocalałyby tylko ludy, żyjące w górach.

Jednakże to wszystko mogłoby się stać tylko wtedy, gdyby jądro komety przechodziło blisko ziemi. Ale kometa Halleya, wedle obliczeń astronomicznych, które się dotąd bez wyjątku sprawdziły, pozostaje od nas w poważnem oddaleniu, wynoszącem 23 miljony kilometrów. Wprawdzie kometa Halleya ma ogon, który odległość od niego do naszej ziemi mógłby wypełnić, jako pomost, który jest odwrócony od słońca i zgięty w ten sposób, jak słup dymu, uchodzącego z jadącej lokomotywy. — Otóż w krytycznej chwili, gdy kometa będzie przebiegać pomiędzy słońcem a ziemią, będziemy prawdopodobnie przez kilka godzin tkwili w ogonie komety. Czy stanie się coś strasznego? Chyba tyle, jak gdyby naprzykład na arenie cyrku mniejsza od kropli drobina nafty, a nawet kwasu pruskiego, ulotniła się a mybyśmy od tego niebezpiecznego miejsca znajdowali się w odległości przeszło 10 metrów.

Ja sam w 1882 r. w obserwatorjum gienewskiem stwierdziłem dokładnie na bardzo jasnej komecie, że siła, łamiąca światło, a więc ścieśniona masa gazu, znika już w odległości kilku tysięcy kilometrów, od jądra. A więc nawet w pobliżu jądra atmosfera naszej ziemi spotkałaby się z małymi śladami gazów komety. Możemy tedy wieczorem dnia 18 maja spokojnie iść spać. Nic się nam nie stanie i niczego prawdopodobnie nie spostrzeżemy. Kometa znajduje się bardzo blisko słońca, prawdopodobnie nawet przeciągnie przez jego tarczę, widoczną wtedy może tylko dla naszych antypodów. Może w chwili, gdy ziemia nasza dostanie się do ogona komety, niebo będzie mniej jasne, ale o padaniu meteorów, o czem donosiły niektóre dzienniki, niema mowy. A więc także o końcu świata niema mowy.

Z mòw i dzieł Bebla.

Zamach na powszechne prawo głosowania jest dziś prawie niemożliwy; odebrać go ludowi dziś już nie można, byłaby to próba, którąby na ostrzu miecza postawiła egzystencję państwa, byłaby to próba, która by nas zmuszała za wszelką cenę bronić istniejącego prawa. Może się zdarzyć, że w walce pewnej nie zdobędziemy tego, co mieć chcemy, ale gdybyśmy pozwolili odebrać sobie cokolwiek z tego, co już posiadamy, bylibyśmy wszyscy razem niedołęgami i politowania godnymi nędzarzami; a to nie może się stać.

Mowa wygłoszona na zjeździe partyjnym w Essen 18 sierpnia 1907.

* * *

Jak wielu wynalazców i odkrywców ginie marnie w świecie burżuazyjnym! Jak wielu wyzyskuje on i rzuca precz jak łupiny! Gdyby duch i talent zamiast posiadania miał stać na czele burżuazyjnego społeczeństwa, to olbrzymia część przedsiębiorców ustąpićby musiała miejsca robotnikom, werkmistrzom technicznym, inżynierom, technikom itd. To są ludzie, którzy w 99 wypadkach na 100 robili wynalazki, odkrycia i ulepszenia, które potem wyzyskuje właściciel pełnego pieniędzy worka. Ile tysięcy odkrywców i wynalazców zginęło marnie, ponieważ nie znaleźli człowieka, któryby im dostarczył środków do przeprowadzenia ich odkryć i wynalazków, jak wielu zasłużonych

odkrywców i wynalazców cierpi pod jarzmem nędzy społecznej codziennego życia, nie da się wprost obliczyć. Nie ludzie z tęgą głową i bystrym rozumem, ale ludzie posiadający wielkie środki pieniężne są panami świata; co nie znaczy, aby tęga głowa i posiadanie pełnego worka nie mogły się łączyć w jednej osobie.

„Kobieta i socjalizm".

* * *

...Tem kałmuctwem wschodniem jest pruskie junkierstwo, niegdyś śmiertelny wróg burżuazji, która jednak mimo walk, dziesiątki lat trwających, nie zrozumiała, że należy raz zrobić z niem koniec. Wreszcie popełzła z nim pod krzyż. Aczkolwiek junkierstwo to co do ilości głów reprezentuje znikomą mniejszość, silne jest przez pozycje publiczne, które zajmuje w państwie i królestwie, w armji i administracji, jak również w dziedzinie ekonomicznej, gdzie nawet stanowi jądro stronnictwa agrarjuszów.

Dlatego niemieckiej socjalnej demokracji przypadnie w udziale, iż będzie musiała przeprowadzić ostateczny obrachunek także z tem kałmuctwem wschodniem, z tem junkierstwem. Tak więc i na tem polu, jak na tylu innych, wypełnić będziemy musieli zadanie, które kiedyś poczęła rozwiązywać burżuazja, którego rozwiązania nie mogła jednak doprowadzić do końca, ponieważ na szeregi jej padł blady strach przed socjalną demokracją.

Zjazd partyjny w Kolonji, 22 października 1893.

* * *

Równość bezwzględna, którą się podsuwa socjalizmowi, jest, jak tyle innych rzeczy, głupstwem. Gdyby ją ktoś zaprowadził, działałby nierozumnie, ponieważ stanąłby w sprzeczności z naturą istoty ludzkiej i nie doczekałby się tego, aby ludzkość rozwijała się według jego zasad. Co więcej, gdyby się udało socjalizmowi zaskoczyć społeczeństwo i wcisnąć je w nienaturalne stosunki, któreby się dały odczuć jako kajdany, toby one wkrótce zostały rozsadzone i socjalizm byłby na zawsze osądzony. Społeczeństwo rozwija się według właściwych mu praw i według nich działa.

„Kobieta i socjalizm".

* * *

Jak długo świat istnieje nie zdarzyło się i jak długo będzie istniał, nie zdarzy się, aby klasa panująca, gdyby nawet widziała zupełną niemożliwość utrzymania istniejącego stanu rzeczy, na którym ugruntowana jest jej cała egzystencja klasowa, własnemi siłami chciała ten stan znieść i starać się go zmienić, a temsamem wypuścić z rąk władzę, którą dotąd posiadała. Z biegiem rozwoju występują właśnie czynniki z pośród warstw niezadowolonych — dotąd stale się zjawiały — które prowadzą do konfliktu, walki z istniejącymi stosunkami. Świadomość niemożliwości utrzymania tych stosunków wzrasta i potężnieje, że pewnego dnia zwolennicy jej, w ten lub inny sposób, czy to na tak zwanej ustawowej, czy też na t. zw. rewolucyjnej drodze, dokonują gruntownej zmiany rzeczy, a mianowicie w interesie cierpiącej nędzę większości. I to się znowu powtórzy.

Mowa wygłoszona w parlamencie 3 lutego 1893.

* * *

Cel nasz osiągniemy nie przez drobne ustępstwa, przez pełzanie po ziemi, nie zstępując do mas, ale podnosząc te masy na nasze wyżyny, zapalając je do naszych celów.

Gdy w tym duchu pracować będziemy, zwycięstwo nasze jest pewne, ale nie przez to, iż nam się zdawać będzie, że na wszystkie strony załatwiać musimy porachunki.

Zjazd w Norymberdze, 16 sierpnia 1908.

Rozmaitości

Sodoma i Gomora. Kilku amerykańskich podróżników, członków jednego z uniwersytetów północnej Ameryki, zbadało okolicę Morza martwego. Na południowem jego krańcu znaleźli mały wulkan i wykutą sztucznie w skale jaskinię. Do niej odnoszą uczeni słowa pisma: „I wyszedł Lot z Zoar i ze swoimi dwoma córkami zamieszkał na górze w jaskini". Nie ulega też wątpliwości, że do wybuchu wulkanu odnoszą się słowa: „zburzył Pan Sodomę i Gomorę ogniem i siarką". Powieść biblji musi jednak odnosić się do wybuchu innego wulkanu, niż obecnie zbadany, gdyż powstał on w czasach późniejszych, niż epoka patrjarchów, a opowiadaniu biblijnemu dała początek większa jakaś wulkaniczna katastrofa, niż wybuch małego wulkanu. Niezawodnie Morze martwe pokrywa ów wulkan, który powstać musiał równocześnie z górami Hauran, będącemi niczem innem, jak olbrzymiem wulkanicznem usypiskiem i Morzem martwem. Podobne zjawisko w takich samych rozmiarach odbyło się na wyspie Jawie. Tam w obwodach Kediri i Madium w odległej epoce gieologicznej zaszła olbrzymia katastrofa wulkaniczna, która zmieniła wygląd i układ wielkiego obszaru ziemi, a w wulkanicznych warstwach znaleziono owe słynne szczątki małpoluda (Pithecanthropos erectus), będące jednym z ważnych dowodów stopniowego powstawania gatunków.

Szczegół biblijnej opowieści o żonie Lota, która zmieniła się w słup soli, znajduje też wyjaśnienie w katastrofie wulkanicznej. Przy wybuchu wulkanu Mont-Pele na Martynice w r. 1902 uciekających ludzi dosięgła lawa zawierająca wiele soli, która ich momentalnie zmieniła w skamienieliny. Wówczas przy powstaniu gór Hauran spadły na ziemię ogromne ilości saletry i innych soli. Ta okolica Palestyny posiada tak duże pokłady saletry, że przy porządnem gospodarstwie rządu tureckiego mogłaby eksploatacja tego minerału odbywać się w takich rozmiarach, jak w Chile, w Ameryce.

* * *

Uroczystości ku czci Giordana Bruna we Włoszech. Donoszą z Rzymu: Całe postępowe i wolnomyślne Włochy uroczyście obchodziły jubileusz wielkiego uczonego i bohatera w walce z klerykalnym obskurantyzmem. Nie mogło się to podobać fanatycznym klerykałom, którzy tu i owdzie starali się zamącić poważny nastrój uroczystości, lub do niej nie dopuścić. Tak np. w miejscowości Monselice, w okolicy Wenecji, socjalistyczny poseł Podrecca chciał w teatrze wygłosić uroczystą mowę o śmierci Giordana Bruna. Aby temu przeszkodzić, księża sprowadzili z okolicy gromady ciemnego chłopstwa. Przynieśli oni ze sobą obrazy świętych. Wielu chłopów było uzbrojonych w sierpy i pałki. Sytuacja była tak poważna, że władze musiały telegraficznie sprowadzić na miejsce 600 żołnierzy i dopiero pod ich osłoną mogła się odbyć uroczystość. A to reakcyjne wrzenie, rozdmuchiwane sztucznie wśród chłopstwa przez księży, utrzymuje się.

Inny przebieg miała uroczystość Giordana Bruna w Rzymie, gdzie się odbyła w stowarzyszeniu naukowem jego imienia. Podczas uroczystości dokonano w lokalu stowarzyszenia odsłonięcia medaljonów męczennika nauki z Noli i zamordowanego niedawno przez klerykałów hiszpańskich Ferrera. Popołudniu udał się uroczysty pochód, złożony z przeszło 20.000 osób, ze sztandarami i orkiestrą pod pomnik Bruna na Campo de Fiori, gdzie przemawiało kilku mówców, między nimi książę Cartani, przedstawiając kościół jako wroga, w zwalczaniu którego lud włoski nigdy nie ustanie. Pochód, który w międzyczasie wzrósł do przeszło 50.000 głów, rozwiązał się następnie spokojnie. Nie przyszło do żadnego wypadku.

* * *

Nowe odkrycia Curie-Skłodowskiej. Prasę codzienną obiegła wiadomość o nowych badaniach nad pierwiastkiem chemicznym polonjum. Pierwiastek ten został przez Skłodowską odkryty w r. 1908, jeszcze przed odkryciem radjum. Obecnie uzyskała badaczka większą ilość tego ciała $^2/_{10}$ miligrama, uzyskane z 2,5000 klgr. blendy smołowej, które umożliwiło dokładniejsze zbadanie jego własności. Okazało się mianowicie, że polonjum nie jest substancją trwałą, gdyż po 140 dniach zmniejsza się jego waga o połowę. Jak wiadomo, rozpada się radjum dopiero po 200 latach. Polonjum wysyła promienie, zwane alfa i to o wiele silniejszym stopniu, niż radjum.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 11. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 marca 1910.

PRAWO SILNIEJSZEGO.

O szarej godzinie,
Na koniczynie,
Kot, węsząc za gratką,
Dopadł kuropatw stadko,
Co się pod miedzą skryło
Przed okiem kota hultaja;
I pisklęta, co ledwie wylęgły się z jaja,
Chrustał aż miło.
Przy tej robocie
Zastał go lis, co o tej porze
Też lubił przechadzać się po dworze.
Widząc okrucieństwo kocie,
Wpadł w szlachetne oburzenie:
„Masz ty sumienie
„Pastwić się nad drobną dziatwą,
„Nad bezbronną kuropatwą?...
„Fe! — to doprawdy świństwo!
„Gorzej! — to jest barbarzyństwo.
„Jakie masz prawo do tego?“
Kot na to: „Jakie? — Prawo silnejszego,
„Wszak i ty także...“ — „To znów inna sprawa
Przerwie mu lis, „ty, widzę, wdzierasz się w me prawa
„To jest zuchwalstem! bezwstydem!
„Każdy bezstronny to powie
„Znasz ty łacińskie przysłowie:
„Sí duo faciunt idem, non est idem?“
„Wybacz — kot na to — „w tak późnej godzinie
„Nie mam zwyczaju mówić po łacinie.
„Lecz przyjm odemnie przestrogę:
„Te zuchwałe ptaszyska tak samo niegodnie
„Tobie, jak mnie włażą w drogę.
„Nie można chodzić nawet po polu swobodnie!
„Czas już z tego plugastwa raz oczyścić ziemię;
„Więc wspólnemi siłami wytępmy to plemię!“
„Zgoda“ zawołał lis dowcip z waści facet!
„Podobasz mi się i masz moje placet.
„Jeśli łżę, każ mi wstąpić dziś do kamedułów.
„Kocham cię, bo masz rozum, a nie znasz skrupułów.
„Przez ściślejszą zażyłość sprawa nasza zyska.
„No pójdź — daj pyska!...“
Kot się przybliżył i pyszczek nadstawił,
A lis cap go za kark... Kot w pisk: „Jakiem prawem?“
Lis na to: „Twem własnem prawem, kolego.
„Prawem silniejszego!“
I kota zdławił.

GUY DE MAUPASANT.

PRZECHADZKA.

Kiedy ojciec Leras buchalter pp. Labuze i Ska wyszedł ze sklepu, został na chwilę olśniony blaskiem zachodzącego słońca. Przez cały dzień pracował przy żółtem świetle gazu w izdebce wychodzącej na dziedziniec wązki i długi jak studnia. Izdebka, w której od lat czterdziestu spędzał dni całe, była tak ciemna, że zaledwie w pełni lata można się było w niej obejść bez gazu i to w godzinach południowych, od jedenastej do trzeciej. Przytem panował w niej wieczny chłód i ściekała ze ścian wilgoć, a wyziewy tego niby tunelu, na który wychodziło okno, napełniały ją wonią stęchlizny i ścieków kanałowych.

Pan Leras od lat czterdziestu przybywał do tego więzienia codziennie o ósmej rano i schylony nad księgami, pisząc ze starannością dobrego urzędnika, pozostawał w niem do siódmej wieczór.

Pobierał teraz trzy tysiące franków rocznie, a zaczął od stu pięćdziesięciu. Był bezżenny, bo na utrzymanie żony nie miał dostatecznego funduszu. Nigdy niczego nie użył, to też i nie miał wielkich pragnień. Od czasu do czasu jednak, znudzony ciągłą i jednostajną pracą, wypowiadał platoniczne życzenie:

— Do kata, gdybym miał pięć tysięcy liwrów renty, dopierożbym sobie hulał!

Nie hulał sobie wszakże, gdyż nigdy nie miał ani grosza więcej, nad swoje miesięczne wynagrodzenie.

Życie upłynęło mu beż wzruszeń, bez wrażeń, prawie bez nadziei. Marzenia, których zarodek każdy nosi w sobie, przy jałowem życiu, jakie pędził, wcale się nie rozwinęły.

W dwudziestym pierwszym roku wszedł do biura pp. Labuze i Ska i już z niego nie wyszedł.

W 1856 stracił ojca, w 1859 matkę. Od tego czasu nie zakłócił mu spokoju żaden wypadek, prócz zmiany mieszkania w 1868; właściciel bowiem pragnął je powiększyć.

Codziennie zrywał się o godzinie szóstej rano, budzony przeraźliwym brzękiem odkręcanego łańcucha.

Dwa razy wszakże w 1866 i w 1874 popsuł się ten mechanizm. Wskutek czego? nigdy się o tem dowiedzieć nie mógł. Ubierał się, słał łóżko, zamiatał stancyjkę, ścierał kurz z fotela i komody. Całe to zajęcie zabierało mu półtory godziny.

Potem wychodził; kupował rożek w piekarni Lahure, która już za jego pamięci zmieniła jedenastu właścicieli, nie zmieniwszy nawet nazwiska i szedł do biura, zajadając to skromne śniadanie.

Całe więc jego istnienie zamykało się w posępnej izdebce, obitej równie posępnej barwy papierem. Wszedł do niej młody, jako pomocnik pana Brument, z tajemnem pragnieniem zastąpienia go z czasem.

Zastąpił go i niczego więcej już się nie spodziewał.

Nieprzewidziane zdarzenia, słodkie lub tragiczne miłostki, pełne wrażeń podróże, różnorodne wypadki nieodłączne od swobodnego życia, jednem słowem cały świat

wspomnień, jakim się cieszy każdy człowiek, jemu był zupełnie obcy.

Dni, tygodnie, miesiące, pory roku, latabyły do siebie jak dwie krople wody podobne. Codziennie o tej samej godzinie wstawał, wychodził, przybywał do biura, jadł śniadanie, wracał, jadł obiad, kładł się spać i nigdy nic nie przerwało jednostajności jego zajęć i myśli.

Dawniej w małem, okrągłem zwierciadełku, pozostawionem przez poprzednika, przypatrywał się swoim blond wąsom i pierścieniowatym włosom, teraz w tem samem zwierciadle codziennie przed wyjściem patrzył na swoje łyse czoło i siwe wąsy. Czterdzieści lat upłynęło długich, pustych, posępnych jak dzień chmurny i podobnych do nużących godzin niespanej nocy! Czterdzieści lat, z których nic nie pozostało, ani wspomnienia, ani smutku, ani nawet nieszczęścia. Nic.

Tego dnia właśnie pan Leras, wyszedłszy z biura na ulicę, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, został olśniony blaskiem zachodzącego słońca i zamiast wrócić do domu, postanowił użyć przechadzki przed obiadem, co mu się zdarzało cztery lub pięć razy do roku.

Wszedł na bulwary, gdzie pod zieleniejącemi drzewami płynęły fale ludu. Był to jeden z tych wiosennych wieczorów, którego ciepłe, miękkie i upajające powietrze budzi wszystko do życia.

Ogólne zadowolenie, malujące się w spojrzeniu każdego, udzieliło się także i panu Leras; szedł więc ożywiony i odmłodzony, zapomniawszy o swoich 60 latach.

Całe niebo płonęło, a łuk tryumfalny na tem jaskrawem tle horyzontu odbijał jak olbrzym stojący wśród pożaru.

Kiedy stary buchalter doszedł aż do pomnika, poczuł głód i wszedł do handlu winnego na obiad.

Nakryto mu stolik przed sklepem na chodniku i podano kurczę, sałatę i szparagi. Tak dobrego obiadu już dawno nie jadł: zakończył go serem de Brie, półbutelką doskonałego „bordo", a następnie, co mu się już rzadko zdarzało, filiżanką czarnej kawy i kieliszkiem szampana.

Po skończeniu obiadu poczuł się rzeźkim, dziarskim, cokolwiek nawet podchmielonym i rzekł do siebie: „Otóż to, co się nazywa spędzić wieczór przyjemnie. Teraz przespaceruję się aż do lasku bulońskiego; wyjdzie mi to na zdrowie".

Podążył lekkim krokiem, a idąc, przypomniał sobie piosenkę, śpiewaną niegdyś przez jego sąsiadkę:

Gdy się lasek zazieleni,
Mój kochanek mi powtarza:
Moja piękna, chodź odpocząć
W altance.

Nucił ją bez końca, rozpoczynając ciągle na nowo. Noc zapadła, noc ciepła, cicha, bezwietrzna. Pan Leras szedł aleją i patrzył na szereg powozów, jadących jeden za drugim. Prawie w każdym z nich widział przy świetle latarni kobietę i mężczyznę, to tulących się do siebie, to czule się obejmujących, to tkliwie sobie patrzących w oczy. Zdawało się, że cała atmosfera przejęta jest rozkoszą i szczęściem.

Pan Leras, zmęczony długą przechadzką, usiadł na ławce i zaczął rozmyślać nad tą miłością, jaką oddychał świat cały.

Miłość! on jej nie znał. W ciągu całego życia miał dwie lub trzy jednodniowe miłostki i na tem koniec. Przebiegł myślą życie, jakie pędził, tak różne od życia innych, tak posępne, smutne, czcze, jednostajne.

Doprawdy, że są istoty rodzące się, jak to mówią, pod nieszczęśliwą gwiazdą. I jak gdyby nagle rozdarła się przed nim gęsta zasłona, ujrzał nieskończoną, niewypowiedzianą próżnię swego żywota: pustkę teraźniejszą, przeszłą i przyszłą; ostatnie dni podobne do pierwszych; nic przed sobą, nic poza sobą, nic w koło siebie, nic w sercu, nic nigdzie.

Szereg powozów toczył się ciągle. Ciągle ukazywały się i znikały dwie milczące i obejmujące się uściskiem istoty. Zdawało mu się, że widzi przed sobą całą ludzkość pijaną radością, rozkoszą, szczęściem. A on tylko jeden patrzy na nią sam. I pozostanie tak sam jutro, sam zawsze, sam jak nikt.

Podniósł się, postąpił kilka kroków i zmęczony, jakby po dalekiej, pieszo odbytej podróży, usiadł na następnej ławce.

Czego oczekiwał? Czego się spodziewał? Niczego. Przyszło mu na myśl, że musi być przyjemnie, kiedy się już jest starym, zastać wróciwszy do mieszkania szczebiocące dzieci; że miło zestarzeć, kiedy nas otaczają istoty winne nam życie, które nas kochają, pieszczą, gwarzą wdzięcznie, naiwnie, a ten ich szczebiot rozgrzewa serce i słodzi wszelkie strapienia.

Przypomniawszy sobie o swojej pustej stancyjce, swojej stancyjce czystej i smutnej, do której nikt nigdy prócz niego nie wchodzi, doznał dziwnie bolesnego uczucia. Ta stancyjka wydała mu się jeszcze opłakańszą, niż jego biuro.

Nikt nigdy nie przychodził, nikt nigdy w niej nie rozmawiał. Była obumarła, niema, bez echa ludzkiego głosu. Możnaby powiedzieć, że ściany zatrzymują coś z ludzi w nich mieszkających, coś z ich mowy, usposobienia, powierzchowności. Mieszkania ludzi szczęśliwych mają pozór weselszy, niż mieszkania nędzarzy. Jego stancyjka nie miała wspomnień, jak i jego życie.

W tej chwili przerażała go myśl, że ma do niej pójść sam, położyć się do łóżka i powtórzyć jedne i też same codzienne czynności. I jak gdyby pragnąc oddalić się od swej ponurej siedziby i od chwili, kiedy trzeba będzie pójść do niej — wstał a wszedłszy w lasek, usiadł na trawie...

Słyszał w koło siebie, nad sobą — wszędzie ogromny, nieustanny, niewyraźny hałas, hałas głuchy, to bliższy, to dalszy, nieokreślone a potężne drganie życia — jednem słowem: oddech Paryża, jak gdyby oddech żyjącego kolosu.

. . . . . .

Słońce z wysoka już rzucało snopy światła na lasek buloński, powozy zaczęły się ukazywać, jak również jeźdźcy na koniach.

Jakaś para weszła zwolna w pustą aleję. Młoda kobieta, podniósłszy oczy, zobaczyła na gałęzi coś brunatnego; zdziwiona i zaniepokojona wskazała ręką:

— Patrz!... co to jest?

Potem krzyknąwszy, padła w ramiona swego towarzysza, który ją musiał posadzić na ziemi.

Przywołani wkrótce stróże odwiązali jakiegoś starego człowieka, powieszonego na szelkach. Stwierdzono, że śmierć nastąpiła wieczorem dnia poprzedniego. Z papierów znalezionych przy nieboszczyku dowiedziano się, że był to buchalter domu Labuze i Ska, a nazywał się Leras.

Przypisano śmierć samobójstwu z niewiadomej przyczyny: może napad szaleństwa.

Z mòw i dzieł Bebla.

Nadprodukcja — szalone słowo — mamy nadprodukcję, ponieważ wszystkie sklepy i składy przepełnione są towarami, ponieważ wszędzie nagromadziły się sterty towarów. A w przeciwieństwie do tych nagromadzonych towarów, których nikt nie dostaje, widzimy po drugiej stronie wielką, niezliczoną ludność, która żyje w biedzie, nędzy i niedostatku, którąby chciała pracować, a nie może, ponieważ posiadacze towarów nie mogliby wyciągnąć żadnego zysku z nowej produkcji towarów. Czy może istnieć głupszy, bardziej niepoczytalny porządek społeczny, jak ten, który z jednej strony produkuje niezmierzone zapasy towarów leżących bezużytecznie, kiedy po drugiej stronie miljony i miljony ludzi, którzyby z wielką radością poszli do pracy, cierpią największy niedostatek i nie mogą pracować, ale też z nagromadzonych towarów nic nie otrzymują?

Mowa wygłoszona w parlamencie 3 lutego 1893.

* * *

Jak długo panować będą dzisiejsze poglądy i nastrój, nowe myśli zawsze znajdą silny opór, mianowicie jeżeli to leży w interesie klas pracujących, aby oświatę i wykształcenie ograniczyć możliwie tylko na ich sfery. Dlatego nowe

myśli początkowo znajdą tylko nieznaczną mniejszość zwolenników, a ta z reguły wystawiona jest na szyderstwo, obelgi i prześladowania. Jeżeli jednak te myśli nowe są dobre i rozumne, jeżeli wyrosły na podłożu istniejących stosunków jako konieczna konsekwencja, to szybko rozszerzą się i mniejszość stanie się wreszcie większością. Tak działo się dotąd ze wszystkiemi nowemi ideami w ciągu historji, a idea, której celem jest przeprowadzenie rzeczywistej i pełnej emancypacji kobiety, przejdzie te same losy. Czy niegdyś i sprawcy chrześćjaństwa nie stanowili także znikomej mniejszości? Czy reformatorzy nowoczesnego mieszczaństwa nie mieli potężnych wrogów? A mimo to zwyciężyli. Albo też została zgniecona socjalna demokracja, dlatego, że w Niemczech przez 12 lat gnębiono ją i kneblowano ustawami wyjątkowemi? Nigdy zwycięstwo jej nie było pewniejsze, aniżeli wówczas, kiedy sądzono, że została uśmiercona.

„Kobieta i socjalizm“ str. 236.

* * *

Jeżeli się zetkniemy z masami, które stanowiska naszego nie rozumieją, to powinniśmy im wyjaśnić je. I, towarzysze, niema w państwie niemieckiem robotnika, któryby stale i nieugięcie mógł się opierać naszym zasadom. Ja, który stoję dziś przed Wami, przed 45 laty i później jeszcze byłem zagorzałym wrogiem socjalnej demokracji, a prawdopodobnie nie byłem już wówczas głupim robotnikiem. I takich jest bez liku. My wszyscy z Szawłów staliśmy się Pawłami. W walce z socjalną demokracją musieliśmy czytać socjalistyczne pisma, studjować i podczas tego zmienialiśmy się powoli. Tak działo się z miljonami i dziać się będzie z dalszymi miljonami.

Mowa wygłoszona na zjeździe w Norymberdze, 16 września 1908.

* * *

W czasach naszych, które opierają się na pieniądzu i środkach materjalnych, ludzie prędzej korzą się przed człowiekiem, który posiada wielki worek z pieniądzmi, aniżeli przed człowiekiem wiedzy i wielkich bogactw ducha, zwłaszcza jeżeli on ma nieszczęście być biednym i nie posiada żadnej dostojności i urzędu. Ubóstwianie złotego cielca nigdy nie stało wyżej, aniżeli w naszych czasach. Za to żyjemy w „najlepszym ze wszystkich światów“.

„Kobieta i socjalizm“.

* * *

Dla niektórych stosunków i zjawisk w państwie niemieckiem znaleść można porównanie, jeżeli się sięgnie do Rzymu Cezarów albo do upadającego Bizancjum. Panuje bizantynizm, ponieważ panuje cezaryzm. Panuje u nas karjerowiczowstwo, serwilizm (służalczość) w takim stopniu, jak nigdzie indziej w jakimkolwiek narodzie, a zwłaszcza wśród wyższych klas Niemiec. Kto tylko cokolwiek ociera się o te klasy, ma pewne pojęcie, jaka miara tchórzliwości, bezcharakterności, karjerowiczowstwa i służalstwa tam panuje. Brak tam wszelkiej odwagi do wypowiedzenia swoich poglądów, któreby się mogły niepodobać u góry; wszystko zgina się w kabłąk i łasi, wszystko szuka pieniędzy, posad i korzyści dla siebie. W kieszeni zaciska się pięść, jeżeli nie osiągnęło się spodziewanej korzyści, ale się jest zbyt tchórzliwym, aby coś jawnie powiedzieć. Sądzę, że i panowie także mielibyście wszelki powód do rozpoczęcia walki z tym strasznym rakiem, co notorycznie i niewątpliwie oddziaływa na nasz lud. Dając dobry przykład swem wystąpieniem, dowiedlibyście przed królewskim tronem swej męskiej odwagi.

Mowa wygłoszona w parlamencie 22 stycznia 1903.

* * *

Ostateczne zwycięstwo będzie kiedyś tem świetniejsze, im gorliwiej i z większem poświęceniem każdy z nas będzie kroczył swoją drogą. Wątpliwość, czy ktoś z nas mimo tylu ofiar pracy i trudu dożyje jeszcze początku nowego, piękniejszego perjodu kultury, czy spożywać będzie owoce zwycięstwa, nikogo nie powinna zrażać, a tem mniej powinna go odwodzić od obranej drogi. Oczywiście, że nie możemy oznaczyć czasu trwania i rodzaju faz rozwojowych, przez jakie przejść będzie musiała ta walka o najwyższe cele, nie możemy tego uczynić podobnie, jak nie możemy określić czasu trwania naszego życia. Ale jak tętni w nas ochota do życia, tak możemy żywić nadzieję, że dożyjemy tego zwycięstwa. Żyjemy przecież w okresie, który, że tak powiem, kroczy siedmiomilowymi krokami i dlatego postrach rzuca na wszystkich wrogów nowego, wyższego społeczeństwa. Każdy dzień przynosi dowody szybkiego wzrostu i coraz potężniejszego rozszerzania się idei socjalistycznych. We wszystkich dziedzinach rwie się wszystko i postępuje naprzód. Z czarującą potęgą rozpala się zorza na piękniejszy dzień. Walczmy zatem i dążmy ciągle naprzód, nie troszcząc się o to, „gdzie“ i kiedy“ osadzone będą słupy graniczne nowych, lepszych czasów dla ludzkości, a gdy padniemy w zawierusze tej wielkiej, wyzwalającej ludzkość walki, to posterunek nasz zajmą nasi zastępcy. Padamy z tą świadomością, że spełniliśmy powinność naszą jako ludzie i z tem przekonaniem, że zdobyty zostanie cel, jakkolwiekby się broniły i rzucały potęgi wrogie postępowi i ludzkości.

„Kobieta i socjalizm“.

Wpływ światła na organizmy.

Światło wywiera nadzwyczaj wielki wpływ na istoty organiczne. Rośliny zielone przyswajają sobie pod wpływem światła węgiel z powietrza, a mianowicie pobierają jak wiemy, zielonymi częściami, zawierającemi w komórkach gałeczki zieleni (chlorofilu) dwutlenek węgla i rozkładają go na węgiel oraz tlen, zatrzymując pierwszy, a wydalając ten ostatni. Dzieje się to tylko pod działaniem promieni słońca; w ciemności ustaje ów proces przyswajania węgla (assymilacji).

Dalej, większość roślin, gdy jednostronnie są oświetlone, zwracają swe pędy i liście ku światłu, wyginają się w tym kierunku, co stanowi t. zw. heljotropizm dodatni; nieliczne zaś inne przeciwnie, odwracają się od światła — heljotropizm ujemny.

Zarodniki wielu wodorostów, zwane pływkami, a mogące swobodnie się poruszać w wodzie, dzięki wiciom swym, płyną stale ku światłu i w kierunku padających promieni — heljotropizm dodatni; częstokroć atoli przy słabem oświetleniu odznaczają się heljotropizmem dodatnim, przy bardzo zaś silnem — ujemnym, t. j. uciekają wówczas od źródła światła.

Heljotropizm zauważono też u wielu zwierząt niższych i to również dodatni, albo ujemny. Karakony, lub dżdżownice nie znoszą światła i uciekają od niego. Niektóre organizmy jednokomórkowe kurczą się, gdy są nagle oświetlone i uciekają od światła; np. wielki pełzak błotny Pelomyxa palustris, do ameby podobny, gdy jest oświetlony, wciąga nagle wypustki i chowa się do ciemnych zakątków. Na niektóre ustroje, np. na pewne chorobotwórcze bakterje, światło działa zabójczo, a stąd łatwo zrozumieć, dlaczego ciemne mieszkania są niezdrowe, bo tam snadnie rozmnażać się mogą bakterje rozmaite i pleśnie, nie znoszące jasnego światła.

Niektóre zwierzęta zmieniają swe ubarwienie, gdyż przez dłuższy czas wystawione są na światło, lub jgdy hodowane są w ciemności. Żyjący w ciemnych grotach Krainy odmieniec czyli proteusz jest barwy białawo-cielistej; gdy go jednak trzymamy przez kilka miesięcy w miejscach oświetlonych, staje się brunatno czarnym, gdyż w skórze jego pod wpływem światła rozwija się ciemny barwik.

Światło określa często miejsce, gdzie mają rozwinąć się pewne narządy. Tak np. młode pokolenie pewnych gatunków paproci, zwane przedrostkiem, produkuje zawsze narządy rozrodcze na tej stronie swego listkowatego, płaskiego ciała, która jest zacieniona; jeżeli więc oświetlona będzie górna powierzchnia, to narządy rozrozcze rozwiną się na dolnej; jeżeli zaś naodwrót będziemy sztucznie oświetlali przedrostek od spodu, wówczas na górnej powierzchni listkowatego jego ciała rozwiną się jego narządy rozrodcze.

Pod wpływem światła wreszcie rozwinęły się narządy wzrokowe zwierząt. Niektóre atoli ustroje, jakkolwiek oczu nie posiadają, niemniej przeto rozpoznają obecność lub brak światła zapomocą wrażliwej skóry, np. dżdżownica, która nie posiada oczu, a pomimo to „chowa się zawsze do ciemnych zakątków, nie znosząc światła. U znacznej większości zwierząt rozwinęły się mniej, lub więcej skomplikowane narządy wzrokowe. Te atoli organizmy, które niegdyś posiadały dobrze rozwinięte oczy, lecz później dostały się do miejsc ciemnych, np. do grot, lub jaskiń podziemnych, gdzie w ciągu tysiącoleci liczne ich pokolenia nie używały oczu wskutek braku światła, zatraciły zupełnie, lub częściowo swe organy wzrokowe, np. odmieniec, którego oczy są bardzo szczątkowe i zupełnie pod skórą ukryte.

Rozmaitości

Strejk żon wybuchł w Chinach. Damy z najlepszych sfer utworzyły „Związek sióstr", będący protestem przeciwko drakońskiemu prawu matrymonajlnemu, które kobietę oddaje z jednej niewoli w drugą, a z drugiej ewentualnie w trzecią. Chinka nie rozporządza nigdy sobą. Musi być naprzód posłuszną ślepo ojcu, potem mężowi, a w razie jego śmierci synowi. Buntownice nie mogą się opierać wprost ślubom, gdyż nieposłuszeństwo władzy rodziciejskiej karane bywa nader srogo. Przyjmują zatem narzuconych sobie mężów, lecz skoro tylko wejdą pod ich dach, odmawiają napoju i jadła przez trzy dni i nie pozwalają zbliżyć się do siebie — nikomu. Po trzech dniach takiego miesiąca miodowego oblubienica udaje się w odwiedziny do rodziców — taki jest bowiem zwyczaj uświęcony. Ale, dostawszy się do domu, nie chce już wracać do męża i władza krajowa nie ma już nad nią mocy, gdyż dom rodzicielski jest schronieniem nietykalnem. Oswobodziwszy się z więzów małżeńskich, damy chińskie, należące do „Związku sióstr", zarabiają na życie haftami i różnemi robotami. Niektóre nawet są tak wspaniałomyślne, że dzielą się dochodem z opuszczonymi mężami.

* * *

Rozwój przemysłu. Ilość spotrzebowanego węgla w kraju daje mniej więcej, do pewnego stopnia, pojęcie o rozwoju przemysłowym w poszczególnych państwach. Poniższa tabelka zawiera liczby ton, przypadające na każdego mieszkańca sześciu krajów, przemysłowo najwięcej rozwiniętych.

Spotrzebowały węgla:

	Stany Zjedn.	Anglja	Niemcy	Belgja	Kanada	Francja
1885	1,76	3,36	1,50	2,25	0,68	0,79
1890	2,25	3,87	1,82	2,60	0,96	1,96
1895	2,48	3,81	1,99	3,53	0,98	1,00
1900	3,12	4,12	2,62	2,97	1,46	1,25
1901	3,35	3,94	2,63	2,76	1,60	1,20
1902	3,42	4,04	2,52	2,85	1,80	1,14
1903	3,97	3,99	2,66	3,03	1,89	1,24
1904	3,81	3,96	2,73	2,86	2,19	1,21
1905	4,18	3,97	2,81	2,81	2,32	1,23
1906	4,35	4,06	3,05	3,18	2,44	1,31
1907	4,93	4,21	3,27	3,19	2,85	1,40
1908	4,25	3,99	3,31	3,10	—	1,39

A zatem Anglja w roku 1885 wyprzedziła pod tym względem wszystkie inne państwa. Stany Zjednoczone prześcignęły potem inne kraje kuli ziemskiej i obecnie wykazują największy rozwój przemysłu. W tym wyścigu idą następnie Niemcy i Anglja, wyprzedzając już nawet stary przemysł belgijski. W niezadługim czasie, jak wskazuje tabelka, Kanada również prześcignie Belgję. Francja rozwija się stosunkowo powolnie.

* * *

Zdemaskowanie spirytystki. W kołach spirytystów zażywała wielkiej powagi Eusapja Palladino, obecnie 50-letnia kobieta, która produkcjami swemi, mianowicie wywoływaniem duchów, podnoszeniem stołów itp. wywoływała senzację, a nawet zdołała wprowadzić w błąd niektórych uczonych, jak Lombrosa, Chiaparellego, Flamariona i innych. Występowała ona i w Warszawie, dokąd ją sprowadził Ochorowicz. Obecnie udało się ją zdemaskować profesorowi Hugonowi Münsterbergowi w Ameryce, wykładającemu psychologję na uniwersytecie Hawarda.

Sztuczki Eusapji polegały na wywoływaniu specjalnego ducha, Johna, który okazywał swoje istnienie prądami powietrza, przesuwaniem lub podnoszeniem mebli, graniem na instrumentach, przez nikogo nie poruszanych itd.

Zdemaskowanie oszustki odbyło się w ten sposób: Eusapja siedziała między profesorem Münsterberglem a innym uczonym, dotykając wzajemnie swych rąk i nóg. Jeden z uczestników zażądał, aby duch John dotknął się prawego ramienia prof. Münsterberga, a nadto, by „podniósł stół w przyległym pokoju. Zanim to nastąpiło, wydała Eusapja przeraźliwy okrzyk. Natychmiast zaświecono światło elektryczne i spostrzeżono wprawdzie nie ducha Johna, lecz człowieka na podłodze, który przytrzymywał ręką nogę Eusapji, wyzutą z trzewika. Człowiek ten był mężem zaufania Münsterberga, który schowany obserwował ruchy oszustki. Mimo półmroku zauważył, że Eusapia wysuwa nogę z trzewika, trzymanego przez uczestników i usiłuje nogą trącić gitarę, leżącą na stoliku. Rozumie się, że do takiej manipulacji nogą potrzeba zdolności akrobatki. Zdolność tę posiada czcigodna p. Eusapja Palladino.

Takim jest koniec słynnej spirytystki.

* * *

Liczba wyroków śmierci w Rosji. W ostatnim numerze rosyjskiego pisma „Prawo" znajdujemy artykuł z ofiarami etatystycznemi, dotyczącemi kary śmierci w Rosji za ubiegłe 5 lat.

W ciągu 5 lat wydano 6268 wyroków śmierci dokonano kary śmierci w 5855 wypadkach.

Co miesiąc zapadało 104 wyroków śmierci i 48 ludzi umierało na szubienicach, tygodniowo 24 wyroki i 11 wypadków stracenia.

W r. 1906, gdy funkcjonowały sądy polowe, ilość wyroków śmierci dochodziła do 220 na miesiąc. W 1908 r. w styczniu były dnie, w które tracono po 8, 9, 11, 12 i nawet po 19 ludzi.

Przytaczając te okropne liczby „Prawo" zaznacza, że sądząc z ilości wyroków śmierci, ubiegłe pięciolecie przypomina najkrwawsze epoki wieków średnich. W historji zaś rosyjskiej mało jest takich momentów, które mogłyby iść w parze z obecnemi krwawemi czasami.

Z literatury i sztuki

Numer 7 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera następujące artykuły: „Rok — linja" Jadwigi Olszewskiej, śliczna, pełna polotu podróż po przestworach niebieskich, „prawie fantazja" a jednak ściśle naukowa. „Bezdomny kot" E. S. Thompsona — rzecz podpatrzona z życia zwierząt ze znaną subtelnością i bystrością spostrzegania u tego znakomitego amerykańskiego pisarza. „Pamiętnik jedynaczki" (część II) M. Hantowerówny, gdzie interesującą jest psychologja młodej dziewczynki. W dziale „Ze świata" jest dosyć obszerne wyjaśnienie kwestji wschodniej i obecnie panujących tam stosunków. Dla mniejszych dzieci znajdujemy wdzięczny obrazek J. Porazińskiej ładnym wierszym napisany pod tytułem „Krasnoludki" i znanej powszechnie autorki p. M. Weryho: „Lis i lisięta". Zagadki zawsze tak lubiane przez młodzież i odpowiedzi od redakcji dopełniają numeru.

Adres Redakcji: Kraków, Krowoderska 45; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143. Prenumerata kwartalna 2 kor., w Warszawie 90 kop.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 12. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 marca 1910.

MULTATULI.

BAJKI.

I.

Jak się zaczęło.

Od wieków było zawsze więcej owiec, niż wilków. Przyczyna zrozumiała. Każdy wilk potrzebuje znacznej liczby owiec, aby przyzwoitą prowadzić egzystencję. I dlatego też w Europie więcej było zawsze pachołków, niż rycerzy, a o jednym z takich rycerzy chcę wam właśnie opowiadać.

Rycerz ten miał bardzo długi miecz, który gryzł zębami, ilekroć był głodny, jak to dotychczas czynią zawodowi pisarze ze swemi piórami. Tak więc głodny i gryząc miecz, siedział zdala od drogi, wyrzekając na zanik obyczajów. A jednak obyczaje te nie były tak zupełnie złe, bo oto drogą zbliżał się starzec, na plecach dźwigając ciężar.

— Co tu niesiesz?

— Śliwki, drobne rodzynki i łojówki, szlachetny panie!

Rycerz zamordował starca, ze śliwkami postąpił tak samo jak z rodzynkami, łojówki zaś przeważył, gdyż dowiedział się był od jednego z członków parlamentu, że jest to „pierwszym obowiązkiem“ w nauce o budżecie państwowym.

Tak się załatwiwszy, znów począł gryźć swój miecz, patrząc na drogę i wyrzekając na obyczaje. Niesłusznie! Bo oto zbliżały się śliwki, rodzynki i łojówki. Byli przy nich także ludzie, których rycerz tym razem zupełnie nie uśmiercił. Obliczył, że korzystniej będzie zmusić ich do służby. Obił więc ludzi tylko tyle, aby się poczuwali do wdzięczności, że ich nie zabił, następnie zmusił ich, by mu pomogli zbudować dom, o grubych murach i wysokich basztach.

A gdy robota była skończona, usiadł na progu i gryząc miecz, patrzył na drogę i wyrzekał jak pierw.

Tym razem jednak nie bez powodu. Bo ludzie, sprzedający śliwki, rodzynki i łojówki, zdala widzieli jego dom i inną dla siebie obierali drogę. Byli wprawdzie głęboko przeświadczeni, że rycerz ma najzupełniejsze prawo zmusić ich do pracy, zabierać towary, które pragnęliby spieniężyć, lecz woleli z prawem tem nie mieć nic do czynienia.

Okrążali tedy dom rycerza, inną znalazłszy drogę, gdzie jakiś inny rycerz zabierał im tylko połowę towaru, puszczając zresztą zdrowo; po pierwsze czynił to zaś dlatego, że posiadał już dość służby, a powtóre, że wyrozumował sobie, iż ludzie, raz zamordowani, nie będą po raz wtóry przeciągać drogą ze śliwkami, rodzynkami i łojówkami. Doszedł tedy do przekonania — co należy u tego drugiego rycerza uważać za jeden z pierwszych obowiązków z nauki budżetu państwowego — że „nie należy utrudniać handlu“.

Otóż, zdaje się, że ten pierwszy rycerz, co gryząc swój miecz, daremnie patrzył na drogę i wyrzekał na zanik obyczajów, z miecza swego wyssał nagle myśl, jakby tu zacząć na nowo. Rozkazał więc jednemu ze swych sprzymierzeńców, aby czekał na rozdrożu, gdzie kupcy z towarami zbaczają na inną drogę i zapewnił ich o jego życzliwości, w dowód której zobowiązuje się darować im życie i po jednym rodzynku więcej, niż rycerz drugi. Także łojówki będą ważone, co bardzo jest ważnem dla budżetu państwowego. Pozatem zobowiązał się rycerz, traktować śliwki „na równi“ z rodzynkami, aby w ten sposób „nie utrudniać handlu“.

„Taryfa“ rycerza była więc ze wszech miar wzorową. Mógł ludzi zabijać, a on ich tylko obijał. Mógł świece taksować, a on je tylko ważył. Było w jego mocy traktować śliwki oddzielnie, a on je traktował na równi z rodzynkami.

Rycerz umarł już dawno. Miecz jego rdza pokryła. Dom się zapadł. Lecz duch szlachetnego rycerza dotąd się tuła po świecie.

II.

Brak obyczajów i nieobyczajność.

W kraju samojedów istnieje zwyczaj, że każdy mieszkaniec od stóp do głowy smaruje się cuchnącym tranem.

Jeden z młodzieńców nie uznawał tego zwyczaju. Nie smarował się ani tranem, ani czemkolwiek innem.

— Nie poddajesz się obyczajom — karcił jeden z mędrców samojedzkich — nie masz obyczajów...

Sąd sformułowany całkiem logicznie.

Oczywiście, że młodego, nieobyczajnego samojedczyka gnębiono okropnie. Łowił wprawdzie więcej fok, niż każdy inny, lecz na nic mu się to nie przydało. Zabierano mu jego połów i rozdzielano między samojedów, najbardziej cuchnących tranem. On zaś znosić musiał głód...

Lecz to nie było najgorszem.

Obchodząc się przez długi czas bez tranu, młody samojedczyk począł się nacierać kolońską wodą. Tego już było zanadto! Samojedzi woni tej absolutnie znieść nie mogą!

— Postępuje wbrew obyczajom — zawyrokował mędrzec ówczesny — jest „nieobyczajny“! Chodźcie, trzeba go nadal pozbawiać połowu, a nie szczędzić też chłosty.

Do wyroku zastosowano się w zupełności.

Ponieważ jednak w kraju samojedów nie znano plotek, ni drukarskiego czernidła, ni podejrzeń, ni głupiej ortodoksji, ni fałszywego liberalizmu, ni skorumpowanej polityki i więcej jeszcze skorumpowanych ministrów... więc skazanego wychłostano obgryzionemi kośćmi fok, które sam był złowił.

Niewiara w swe siły.

Praca, jaką klasa robotnicza ma wykonać — jest istotnie wielką. Obecnie z tego wszystkiego co się nam jako ludziom należy, co nam do człowieczeństwa potrzeba, z tego wszystkiego mamy małą bardzo cząstkę — mamy zaledwie wolność osobistą, możemy żyć. Ale wolność ta — jest wolnością umierania z głodu, gdyż nie mamy zabezpieczonego bytu, gdyż dla kawałka suchego chleba musimy od-

dawać swoją głowę w jarzmo u pierwszego lepszego głupca lub oszusta, który ma pieniądze.

Musimy więc walczyć o zapewnienie sobie bytu, o zapewnienie sobie naprawdę ludzkiego życia.

Stąd to nasza walka o polepszenie zarobków, o skrócenie czasu pracy. Stąd to walczymy o odpowiednie zabezpieczenie na wypadek choroby, na wypadek braku pracy, o ubezpieczenie na starość.

A ponieważ te wszystkie rzeczy nie dadzą nam jeszcze pewności jutra, nie dadzą nam takiego dobrobytu, jakiby ludzie posiąść mogli, dlatego cała klasa robotnicza walczyć musi o zorganizowanie przemysłu, ujęcie go w karby, tak, aby zapewniono wszystkim równe prawa do życia.

Tak więc wiele przed nami do roboty. Ależ przecie to wszystko rzeczy możliwe. I do robotników możnaby powiedzieć: „Wy by mogli dużo mieć, ino Wy nie chcecie chcieć!" Jedni u Was nie umieją chcieć — inni za leniwi, za bardzo ospali, aby gorąco zapragnęli woli, silnej woli.

Boć gdyby cała klasa robotnicza gorąco, mocno zechciała — to by wszystko zrobić mogła!...

Toć w tych miljonach ludu pracującego tyle siły, że świat przewrócić mogą. Toż ich to rękoma świat ten stoi — toć oni pobudowali te twierdze, te kościoły i kryminały, którymi dzisiejszy porządek się utrzymuje. Woli tylko trzeba, silnej woli — a runą wszelkie zapory i nowy, prawdziwy raj, z nowym prawdziwym człowiekiem stanie na miejscu dzisiejszego piekła zbrodni i nędzy. Prawo do ludzkiego życia mieć będziemy, jeśli będziemy silni, jeśli będziemy szli wszyscy razem z hasłem „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego".

Powiadacie, że to nie prędko da się zrobić.

Macie rację. Nie odrazu Kraków zbudowano. Ale też trzeba go budować. I z każdym domem rośnie miasto, rośnie jego siła, jego dobrobyt. Tak i my ciągle powinniśmy walczyć, bo co dzień można coś zdobyć, co dzień to więcej. Ruch robotniczy to lawina — niepozorne i niewidoczne są jego początki — ale co dzień on wzrasta, co dzień więcej przeszkód pokonywać może, aż wreszcie piorunem uderzy w stary, podły porządek świata, gdzie obok pałaców, sytych leniuchów, gdzie muzyka, wesele — życie — istnieją duszne nory pracowników, gdzie ciemnota, nędza — śmierć — wszechwładnie panuje.

My znajdujemy się w początkach ruchu. Ta siła, straszna dla wyzyskiwaczy, jaką my, klasa robotnicza kiedyś mieć będziemy, jest widoczną tylko dla mądrych — nie znający sprawę i niecierpliwi, sądzą, że zdobycie siły może i nigdy nie przyjdzie. Nie — chwila zupełnego zwycięstwa przyjść musi, trzeba nam tylko mocno chcieć.

Na razie musimy się zadawalać temi drobnemi postępami jakiemi są: polepszenie płacy, skrócenie dnia pracy i ubezpieczeniami.

A pamiętajmy, że znaczną część tego, co mamy, zawdzięczamy organizacji, zawdzięczamy temu, że dzięki usilnej agitacji — idea solidarności coraz głębiej wsiąka w masę robotniczą, czyni ją jednolitą. A tego to właśnie boją się wszyscy: wyzyskiwacze nasi i ich pachołkowie. Gdybyśmy więc organizacji naszej nie podtrzymywali, gdy ją nie będziemy rozwijali, już po paru latach odczulibyśmy straszne skutki naszej nieprzezorności, niedbałości i lenistwa.

A odwrotnie — gdy organizacja nasza rosnąć będzie, — za kilkanaście, a może i za kilka lat — postęp naszego życia będzie widocznym — będziemy mogli bardziej być ludźmi.

Boć przecie pamiętajmy, że my do końca życia robotnikami być musimy, że ani na cuda ani na wygrane na loterji liczyć nie możemy. Prędzej może kalectwo nas czeka — tyle przecież nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Chcesz więc wiedzieć ospały robotniku, jakim będzie twój los za lat kilkanaście? Odpowiedź łatwa: będziesz robotnikiem, a takim będzie twój los, jakim los twoich towarzyszy w zawodzie. Taki będziesz miał zarobek, jaki wszystkim płacić będą, tyle godzin będziesz harował, ile wtedy organizacja wywalczyć zdoła. Jeśli więc chcesz zabezpieczyć sobie jakie takie, w najgorszym razie życie, przystępuj do organizacji robotniczej, pracuj wszelkiemi siłami nad jej rozwojem. I pamiętajmy, że na świecie niczego darmo nie dostaniemy, wszystko trzeba wywalczyć.

Silnym być trzeba, jeśli się chce być człowiekiem.

Zaniedbując więc organizację, pogarszacie swoje położenie teraźniejsze i przyszłe.

Ale towarzysze — wy wtedy robicie coś może stokroć gorszego jeszcze. Pogarszacie byt niewinnych waszych dzieci — pogarszacie byt przyszłych pokoleń robotniczych. Pamiętajcie, że i dzieci robotników, robotnikami tylko będą. Jeden na tysiąc się wybija — miejsca przy stole życia już zamówione dla synów burżuazji — a tam pilnie porządku strzegą. Nieproszonych gości wyszczuć umieją. Pamiętajcie, że wy już teraz z niedbalstwa bezkarnie pozwalacie wrogom kuć kajdany na przyszłe pokolenia. Przyszłość waszych następców od waszych starań zależy.

I my wiele, wiele swoim przodkom winni jesteśmy.

Towarzysze! Przypominajcie sobie te tysiące męczenników za prawdę i wolność, którzy jak świat szeroki ginęli wszędzie na stosach, szubienicach, w więzieniach — ginęli za wolność — wiecie czyją? za naszą wolność! Ich śmiercią my żyjemy, dzięki ich bezgranicznemu poświęceniu, my bodaj trochę ludźmi jesteśmy. Czem bylibyśmy bez bohaterskich żołnierzy rewolucji francuskiej, co z kośćmi swemi rozsiewali pragnienie wolności po całej Europie? Bylibyśmy chłopami pańszczyznianymi, bitymi nahajami, córki nasze i siostry „panicze z dworu" bezkarnie by gwałcili — a my bylibyśmy pokornymi bydlętami — nie mielibyśmy może nawet na tyle poczucia godności w sobie, aby za krzywdę naszą się upomnieć. Krwią męczenników ochrzczeni jesteśmy na ludzi.

Bądźmy więc ludźmi — i rozwijajmy w sobie to człowieczeństwo i pilnujmy je jako spadku, który przodkowie nasi po idei — krwią swoją odkupili. Spadku tego marnować nam nie wolno — powinniśmy przeciwnie, choćby krwią naszą, starać się o jego zwiększenie, abyśmy następcom naszym przekazać mogli więcej jeszcze, niżeśmy otrzymali.

I dlatego to musimy walczyć dalej usilnie, bez żadnych wahań — musimy walczyć o wolność, o równość, o sprawiedliwość. Musimy też starać się o zapewnienie sobie i naszym następcom życia ludzkiego, musimy siebie i ich, możliwie najsilniej uchronić od nędzy materjalnej, przygniatającej człowieka, odbierającej mu ochotę do życia, do prawdy, do światła.

A przez nasze niedbalstwo nie tylko nie zwiększamy dziedzictwa klasy robotniczej, ale przeciwnie, jesteśmy pasożytami, marnującymi ciężki dorobek dawnych pokoleń.

A chyba duma nasza na to nam nie pozwoli. Chyba już na tyle jesteśmy ludźmi.

Naszem niedbalstwem tę godność ludzką tracimy, dajemy ją poniewierać i dzieci nasze, nas wolnych już bodaj trochę — niewolnikami być mogą. A w każdym razie — nie będą na tyle ludźmi ile być powinni, ile my dla nich zdobyć moglibyśmy. I tak jak my z czcią i głęboką wdzięcznoscią wspominać musimy męczenników za naszą wolność, tak hańbą napiętnowane będą nasze imiona — albo na śmietnik zapomnienia wyrzucone — jeśli nie będziemy dbali o człowieczeństwo naszych dzieci.

Tak jak zbrodniarzem wobec swoich dzieci jest nałogowy pijak, bo niewinne swe potomstwo obarcza strasznemi chorobami — tak zbrodniarzami bylibyśmy wobec przyszłych pokoleń, gdybyśmy nie pracowali nad poprawą bytu klasy robotniczej.

J. S.

Boski porządek.

Jedno z pism amerykańskich zamieszcza następujące bardzo ciekawe zestawienie, charakteryzujące jaskrawo sprzeczność, zachodzącą między kapitalistami a klasą robotniczą w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym.

W. K. Vanderbildt wystawił sobie w Nowym Jorku pałac, który kosztował miljon dol. i zawiera około 20 dużych i jasnych pokoi. W tym samym Nowym Jorku jest setki tysięcy mieszkańców robotniczych bez słońca i bez światła.

W hotelu St. Repis lub Waldorf umeblowanie jednego pokoju kosztuje 10 tysięcy dolarów, a bogacze za spędzoną tam dobę płacą 125 dolarów (dolar ma 4,50 mk.). Jedno-

cześnie w Nowym Jorku na ul. Bowery wałęsa się co noc setki osób, które nie mają centa na opłacenie łóżka w domu noclegowym.

Kapitaliści tysiące łożą na wychowanie swych dzieci, podczas gdy w Chicago 15 tysięcy dzieci szkolnych nie dojada, a 5 tysięcy stale bywa — głodnych.

W czasie bezrobocia miljony robotników amerykańskich zostaje bez pracy i środków do życia, ale nie ma ani jednego kapitalisty, któremuby zagrażała śmierć z głodu. Chociaż fabryki nie idą, oni zyski ciągną.

Skąd się bierze ta nierówność społeczna?

Dlaczego jedni tak ciężko pracują, wszystko wytwarzają i nic nie mają, a inni — nieliczni — nic nie robią i opływają we wszelkie dostatki?

Odpowiedź nie jest trudna.

Nierobotni bogacze nie potrzebują pracować, ponieważ są właścicielami olbrzymich sum pieniędzy, wszystkich fabryk i kopalń i całej żywności. W ich rękach skupiły się te rzeczy, bez których ludzkość nie może istnieć. Robotnicy zaś nie posiadają nic, poza swoją siłą roboczą i zdolnością do pracy. Jeżeli chce żyć, to musi gdzieś mieszkać, w coś się ubierać i jeść, a ponieważ wszystko to jest własnością kapitalistów, więc — ilekroć zajdzie tego potrzeba — robotnik musi prosić kapitalistów, by go raczyli zatrudniać i pozwolili mu zapracować na konieczną do życia ilość gotówki.

Kapitaliści nie odmawiają, ale w tej samej chwili, kiedy robotnik pracuje nibyto na utrzymanie samego siebie i swej rodziny, każą mu jednocześnie pracować i na nich. Ponieważ kopalnie, fabryki lub maszyny są ich własnością, a robotnik, mający nóż na gardle, musi się sprzedać im, przeto korzystają oni z tej okoliczności i dyktują mu warunki pracy. Pracuje on tylko tak długo, ile potrzeba, by swego pracodawcę utrzymać, który wydaje na siebie dziesiątki i setki tysięcy dolarów.

Uczeni wyliczyli, że przy dzisiejszych ulepszeniach technicznych człowiek, pracujący na siebie, nie ma potrzeby dłużej pracować nad 3—4 godzin. Tymczasem kapitalista, jako właściciel przedsiębiorstwa, dyktuje nam warunki pracy i każe nam pracować 8—12 godzin, płacąc przytem tylko tyle, ile potrzeba na najnędzniejsze utrzymanie.

Tak tedy w ciągu dnia roboczego 3 godziny pracujemy dla siebie i swych rodzin, a 9 godzin dla właściciela fabryki, maszyn i narzędzi. A ponieważ przeciętnie pracujemy z tą samą szybkością i w ciągu tego samego czasu wytwarzamy jednakową ilość produktu, przeto z całego owocu naszej dziennej pracy kapitalista zabiera trzy części (lub więcej), a my zaledwie jedną część (lub mniej).

W r. 1900 biuro rządowe obliczyło, że przeciętny zarobek robotnika w Ameryce wynosi 438 dolarów, a wartość wytworzonego przezeń produktu wynosi około 2450 dolarów, czyli, że kapitalista nie dopłaca robotnikowi 2012 dol. na rok!

To niedopłacanie zarobków nazywa się wyzyskiem kapitalistycznym.

I otóż ten wyzysk jest właśnie źródłem strasznej nierówności społecznej, o jakiej mówiliśmy powyżej i przyczyną podziału całego społeczeństwa na dwie, nie mogące pogodzić się klasy: klasę wyzyskiwaczy, czyli kapitalistyczną i klasę wyzyskiwanych, czyli proletarjat.

Takiego rodzaju nie byłoby, gdyby fabryki, kopalnie, koleje, banki i grunta nie należały do prywatnych posiadaczy, lecz były wspólną własnością wszystkich pracujących.

Wówczas nie pojedyńczy kapitalista dyktowałby warunki pracy tysiącom swoich robotników, ale sami robotnicy i współwłaściciele sobie. Wyzysk, czyli niedopłacenie byłoby wówczas niemożliwe.

A o taki właśnie sprawiedliwy porządek społeczny, gdzie nie byłoby wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, bogaczów i nędzarzy, lecz byli równi i jednako traktowani, walczy socjalna demokracja.

Rozmaitości

Telegrafujący telefon. „Frankfurter Ztg." donosi z Kopenhagi, że trzej inżynierowie duńscy pp.: Dessau, Nyrop i Thomsen dokonali ciekawego wynalazku, polegającego na tem, że umożliwione będzie każdemu abonentowi telefonicznemu, nie mogącemu z powodu nieobecności drugiego abonenta rozmawieć z nim, przesłać mu zapomocą przyrządu umieszczonego przy telefonie telegraficzne zawiadomienie, o co rzecz idzie. Przyrząd ten, jest to klawjatura podobna do klawjatur maszyn piszących, która połączona jest tym samym co aparat telegraficzny drutem z odpowiednią maszyną piszącą w mieszkaniu drugiego abonenta. Gdy stacja nadawcza wypukuje litery, na stacji odbiorczej litery te na pasku papieru kolejno wychodzą. Odległość nie odgrywa tu żadnej roli. Dyrektor duńskiego Towarzystwa telefoicznego Johansen, gdy wynalazcy zademonstrowali mu swój aparat, wyraził się, że „dokonana została wprost rewolucja w telefonicznej komunikacji".

* * *

Posiedzenia angielskiej Izby gmin. Parlamentarzyści angielscy nie potrzebują zrywać się skoro świt, aby dążyć na obrady. Wedle uchwał „Standing Orders", posiedzenia Izby gmin rozpoczynają się w poniedziałki, wtorki, czwartki i soboty 10 minut przed godziną 3, w piątki zaś o godz. 12 i kończą się o kwadrans przed godz. 6. Ponieważ wielu członków Izby ma ranne godziny zajęte w urzędach lub przedsiębiorstwach, więc zwykle się spóźniają; nie szkodzi to obradom, gdyż jest zawsze sporo M. P. (Member Parlament), gotowych do przemawiania wobec pustych ławek, byle słyszeć dźwięk własnego głosu.

Za dawnych czasów ludzie byli ranniejszymi ptakami. Do r. 1642 posiedzenia parlamentu angielskiego rozpoczynały się o godz. 7 rano, w tym roku dopiero postanowiono je zaczynać o godz. 8. W rok potem Izba gmin wyznaczyła godzinę 9. Obrady przeciągały się nieraz do nocy, a czasami do dnia następnego. W XVIII wieku zrobiono wielki odskok. Posiedzenia rozpoczynały się dopiero o godzinie 4 po południu. W roku 1888 wyznaczono je o godzinę wcześniej.

* * *

Wsadzanie zębów. Najdoskonalszą zdobyczą dentystyki byłoby ponowne wsadzenie wyrwanego zęba po odpowiedniem oczyszczeniu go i naprawieniu, albo też wsadzenie obcego zęba w tym samym celu. Ideał ten nie jest już dziś utopją, jakkolwiek dziś nie da się jeszcze powiedzieć, jak daleko posunie się sztuka dentystyczna. Kilka prób tego rodzaju z dodatnim skutkiem przedstawił dr. Reinmöller na posiedzeniu towarzystwa lekarskiego w Rostoku. Wykonał on 60 prób wsadzenia zębów, w tem 5 zębów obcych. Ząb po wyrwaniu został zdesynfekowany i umieszczony w roztworze soli kuchennej aż do ponownego użycia. Po odpowiedniem obrobieniu korzenia wsadza się ząb ponownie do jamy ustnej, musi jednak być przez parę tygodni sztucznie przytrzymywanym. W części wypadków udało się w ten sposób wsadzony ponownie ząb uczynić zdatnym do użytku. Próby te czyniono tak z zębami przednimi, jak i trzonowymi. Badanie uzębienia promieniami Röntgena daje przytem ważne wskazówki co do skuteczności tego nowego postępowania.

* * *

Lekarz mordercą-trucicielem. Z Londynu donoszą: Śledztwo w sprawie nagłej śmierci pułkownika Swopesa w Kausas City doprowadziło do wytoczenia oskarżenia przeciw jego krewnemu i lekarzowi nadwornemu dr. Hyde, który, jak się okazuje, spowodował jego śmierć przez domieszanie do napoju bakcylów tyfusu. W podobny sposób miał on zgładzić także ojca Swopesa, a usiłował zgładzić kilku ich członków rodziny. Zbrodni tej dopuścił się, aby po tych osobach, które są jego krewnymi, odziedziczyć majątek. Pułkownik był już pogrzebany, kiedy wykonawca jego testamentu powziął podejrzenie i spowodował ekshumację zwłok. Sąd w Kausas wygotował już akt oskarżenia na

dr. Hyda. Oskarżenie zarzuca mu także popełnienia morderstwa na pułkowniku Hunferze, przyjacielu miljonera Swopesa. Również oskarżony jest o kilkakrotne usiłowane otrucie swej żony, siostrzenicy Swopesa.

* * *

Statystyka kryminalna w Galicji. Prof. dr. Józef Rosenblatt w jednym z ostotnich numerów „Przeglądu prawa i administracji" podaje wyniki urzędowej statystyki sądownictwa karnego za rok 1906 i dochodzi do wniosku, że w świetle cyfr urzędowej statystyki kryminalnej Galicja wygląda znacznie lepiej, aniżeli się zdawało z jej opinji powszechnej, gdyż liczba osób zasądzonych w Galicji za zbrodnie, w stosunku do ogólnej liczby jej ludności, jest w Galicji znacznie niższą, niż w innych krajach monarchji. Jedynie tylko Czechy, Austrja górna, Istrja i Tyrol stoją — wedle przytoczonych cyfr statystycznych — wyżej od Galicji pod względem moralnym.

I tak w stosunku do ludności było w r. 1906 zasądzonych za zbrodnie na 10.000 mieszkańców: w Czechach 8.5, w Ausrji Wyższej 10.3, w Istrji 11.9, w Tyrolu 11.6, w Galicji 12.7, w Ausrji Niższej 13.4, w Przedarulanji 13.4, na Śląsku 14, na Morawach 14.8, w Dalmacji, Salcburgu i Karyntyi po 15·9, w Krainie 16·1, w Styrji 18.3, na Bukowinie 18.8.

Co do szczegółowych zbrodni, za które zasądzenie nastąpiło, to wypada na Galicję na 10 tys. osób, za zbrodnię podpalenia 0.04, za morderstwo i dzieciobójstwo 0,06 za zbrodnię sprzeniewierzenia 0.11, za zabójstwo 0.12, za występek lekkomyślnej krydy 0.38, za zbrodnię oszustwa 1.25, za zbrodnię gwałtu publicznego przeciw urzędnikom 1.30, za ciężkie uszkodzenie ciała 2.54, za kradzież 5.79. Obok tych cyfr podaje prof. Rosenblatt cyfry zasądzonych w innych krajach i podkreśla, że w większości wypadków stosunek wypada na korzyść Galicji.

Jako objaw niepomyślny podnosi prof. Rosenblatt to, że liczba osób zasądzonych za przekroczenie pijaństwa w Galicji i na Bukowinie wzrasta. I tak wynosiła ona w roku 1903: 14.545; w r. 1904: 16.494; w r. 1905: 17.415; w roku 1906: 19.182.

Co do przestępców młodocianych, których statystykę rocznik roku 1906 bardzo obszernie i szczegółowo opracował, przedstawia się Galicja w roku 1906 niekorzystnie, albowiem na 7211 osób, zasądzonych w całej monarchji za zbrodnie popełnione w wieku młodocianym, przypada na Galicję najwięcej, bo aż 1896, podczas gdy na Czechy 1120, na Austrję Dolną 892, na Morawy 707, na Styrję 606 itd.

* * *

Kometa Halaeya. Świat uczony oczekuje z wielkiem zaciekawieniem pojawienia się komety Hallaeya. Uczeni spodziewają się obfitych wiadomości naukowych, dzięki temu, że kometa względnie bardzo znacznie przybliży się do ziemi. Ażeby wyciągnąć największą korzyść ze zbliżenia się komety do ziemi, postanowili uczeni europejscy i amerykańscy urządzić osobne wyprawy na miejsce, skąd najlepiej będzie można widzieć kometę. Za staraniem się profesora uniwersytetu w Chrystjanji, Birkelanda i jego asystenta Krognessa, wyruszy wczesną wiosną „wyprawa kometowa" do północno-wschodniej Finlandji. Głównym jej celem jest badanie wpływu komety na zorzę północną i na zjawiska magnetyczne wogóle. Zjawiska te będzie można najlepiej studjować na dalekiej północy. Dnia 18 maja znajdzie się kometa najbliżej ziemi, jest możliwe, że warkocz jego zetknie się z powietrzem ziemskiem. Zdaniem uczonych norweskich, zwłaszcza prof. Birkelanda, warkocz należy uważać za elektryczne promieniowanie komety. A jeżeli tak jest, to promienie te zostaną przedewszystkiem wchłonięte przez powietrze w okolicach polarnych, powodując niezwykłe zjawisko zorzy północnej. Równocześnie będzie można badać także oddziaływania magnetyczne. Wprawdzie w okolicy, dokąd wyprawa wyrusza, nie ma stacji astronomicznej, ale uczeni zabiorą z sobą doskonałe aparaty. Amerykańska akademja nauk urządza wyprawę na wyspy Hawayskie, zabierając aparaty astronomiczne i fotograficzne.

* * *

„Nie skarbcie skarbów na ziemi": Gdzie panuje kler, tam popada lud w głód i nędzę, podczas gdy kler chciwie gromadzi olbrzymie bogactwa. Z 18 miljonów mieszkańców Hiszpanji emigruje za rok 150.000, całe wioski są jak wymarłe, lud żyje w biedzie, brudzie i ciemnocie, całe prowincje popadają w nędzę, podczas gdy państwo że swojemi wszystkiemi urządzeniam bankrutuje, a długi państwowe wynoszą 41 procent dochodów. Natomiast bogactwa kleru są niesłychane. Hiszpanja ma 60.000 duchownych świeckich, 71.000 zakonnic, 42.000 zakonników, 4313 bogatych klasztorów i 35.570 kościołów. Prócz tego budują jeszcze 400 nowych kościołów. Kościelne godności są najzyskowniejszym interesem kraju. Kardynał Morena, arcybiskup z Toledo, pozostawił 5 miljonów, kardynał Maya nawet 6 miljonów pezetów (pezata — 80 fenigów). Córka kardynała Moreskilo otrzymała od niego nie mniej jak 13 miljonów pezetów, biskup z Bajadoz zapisał swojej bliskiej „przyjaciółce" 1 mil. pezetów.

Tak wypełnia kościół słowo boże: „Nie skarbcie skarbów ziemi..."

* * *

Ludność Austrji wynosiła z początkiem roku przeszłego, według najnowszych publikacji austrjackiej centralnej komisji statystycznej — 28.264.049 osób.

* * *

Największe teleskopy. Największy teleskop w świecie posiada obserwatorjum Yerkes, założone przez uniwersytet chicagowski w Ameryce. Objektyw tego teleskopu ma rozmiary jednego metra i daje 3000 krotne powiększenie. Drugim z rzędu największy teleskop posiada obserwatorjum Licka w pobliżu San Francisco. Od kwietnia roku zeszłego posiada obserwatorjum w Treptowie pod Berlinem teleskop, mniejszy wprawdzie od amerykańskich, lecz za to dłuższy i dający 6000 krotne powiększenie. Pod nadzorem instytutu Carnegiego pracują obecnie w Waszyngtonie nad budową wielkiego teleskopu, którego średnica będzie wynosiła 2,50 mtr. Blok szklany, z którego ma być sporządzoną soczewka, waży około 90 centnarów.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt III na marzec i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f): Wśród wiru walk narodowościowych. — 2. L. Wasilewski: Z pola badań naszych stosunków kresowych. — 3. Stanisław Posner: Franciszek Stefczyk. — 4. Dr. St. Kelles-Krauz: Problemat seksualny. — 5. Współcześni politycy polscy. XVI. Poseł Adam Napieralski. — 6. H. Orsza: Wychowanie narodowe. — 7. Dr. Michał Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań. — 8. Przegląd: I. Dokumenty postępu. II. Ze spraw wychowawczych. III. Zdziczenie wśród naszych „najmłodszych". — 9. Sprawozdania.

Część druga: 1. Józef Ruffer: Syn słońca. Poezje. — 2. St. Lack: O malarskich dziełach Wyspiańskiego. — Aleksander Naworski: Mgła. Miasto. Poezje. — 4. Janina Giżycka: Kobieta. Nowela. — 5. Roman Zrębowicz: O stylu Cyprjana Norwida. — 6. Jan Dąbrowski: Nowe poezje. — 7. Przegląd: I Z prasy. II. O popioły Juljusza Słowackiego. III. Nauka polska a uniwersytet Jagielloński. IV. Towarzystwo historyczne we Lwowie. V. Ruch artystyczny we Lwowie. VI. Życie umysłowe w Poznaniu. VII. Jeszcze „Tygodnik Illustrowany", p. Weyssenhoff i „Laury" Wyspiańskiego. — 8. Sprawozdania. — Dodatek artystyczny: St. Wyspiański: Skarby Sezama. Wawel. Polonja.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 5 marek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 13. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 marca 1910.

WYROK.

Rozejrzała się dokoła: sami mężczyźni. Twarze stroskane — zamyślone oczy. W ruchach niepokój. Jakiś blady pan rozmawia półgłosem z urzędnikiem sądowym. Twarzą do okna zwrócony stoi wysoki siwiejący człowiek o pięknych rysach i dziwnie smutnem wejrzeniu. Dwuch czy trzech młodzieńców ukrywa starannie ufryzowane główki w albumach i dużych francuskich dziennikach. Czerniewska nie zatrzymuje jednak na nikim wzroku; wie z czem się tu przybywa, nie interesuje jej reszta: ze zbyt wielką własną przyszła biedą. Natomiast spojrzenie troski pełne zwraca na syna. Jego twarz blada o nadmiernie wypukłem czole, zaczerwienione oczy, ostry nosek, usta, odkrywające szereg spróchniałych zębów, dodatniego nie czynią wrażenia, lecz serce matki poza tą niepozorną powierzchownością wyczuwa duszę dziecka swego — duszę w obecnej chwili zalękłą i zmąconą, więc uśmiechem próbuje dodać synowi odwagi.

Tylko, jak jęk skrystalizowany wygląda ten uśmiech bolesny na ściętych cierpieniem wargach: dygotać się zdaje i wić... Ot, ot... i zda się, zaraz w szloch przejdzie.

— Nudzi ci się, Mieciu — pyta troskliwie — a głowa już nie boli?

Chłopiec przenosi matowy wzrok z przeciwległego fotela na głowę matki.

— Nie mamo.

— Pójdziesz na ślizgawkę jutro po śniadaniu.

— Wolę nie, mamo.

— Cóż ci to? Boli co?

— Nie, mamo. Ale możebyśmy stąd poszli sobie. Po co mnie przyprowadziłaś?

— Trzeba się raz poważnie poradzić, dziecko. Sam wiesz: te bóle głowy...

— Ech, mamo, naprawdę, chodźmy...

Łzy drgają mu w głosie. Cierniewska wie z doświadczenia, że nalegać nie trzeba, by nie nastąpił jeden z tych wybuchów nerwowego płaczu, które ją tak przerażają, a z którymi walczyć nie umiała nigdy.

— Zaraz, Mieciu, za chwilę... W myśli ma jeszcze świeżą rozmowę z przełożonym szkoły, w której czerpał od lat paru wiedzę jej chłopak. Decydująca, niemiłosierna rozmowa... w toku jej padły okropne wyrazy:

— Syn pani będzie musiał opuścić szkołę: jego umysł jest niezdolny pracować w pewnym wytkniętym kierunku; czego się z najwyższym mozołem nauczył dziś, jutro zapomina; zamiast się rozwijać, tępieje. Nie nauczyciela, lecz lekarza specjalisty mu trzeba... Niech się pani synowi swemu uważniej przypatrzy...

Jak grom padły na jej pochyloną głowę okrutne słowa gimnazjalnego dygnitarza.

Dwa dni minęło... Nie je, nie śpi, tylko chciwie przygląda się dziecku swojemu... I dostrzegła rzeczy, które nie raziły jej dotąd; notuje szczegóły zatrważające, prawdę jakąś nieuniknioną drżącem sercem odgaduje.

Wreszcie po wyrok tu ją przysłał stary lekarz nieboszczyka męża ostatni przyjaciel, powiernik jej trosk codziennych, milczący świadek jej życia.

— Udaj się pani z Mieciem do profesora Czyńskiego. Kartkę dam. Wybada sumiennie, wskazówek udzieli.

Więc przyszła. A teraz lęk ją zdejmuje niezmierny i uciec by rada na kraj świata, byle nie słyszeć tego, co za owemi drzwiami w głębi, za ową ciemną kotarą usłyszeć można...

Wzrok jej znowu pada na syna.

— Mieciu, nos, napomina cichutko. Chłopak machinalnie wypełnia rozkaz. Chustka zsuwa się na podłogę, matka mu ją podnosi i oddaje. Do poczekalni z brzękiem ostróg wchodzi tymczasem jakiś tęgi oficer z oznakami wyraźnego podhumorzenia; szarga nogami, chrząka, hałaśliwie podsuwa sobie aksamitny fotel do małego stolika z lampą. Jednocześnie oczy jego spotykają piękną, chociaż bladą i znękaną twarz Cierniewskiej i rubaszny uśmiech rozchyla mu wargi:

— Che... che... A wy tu za cziem, baryńka — pyta jowjalnie, próbując nawiązać rozmowę. — Nu, cztoż, bywa rozmaicie... Ot, i ja...

Kobieta przerażonym wzrokiem obrzuca natręta, poczem pochyla się ku dziecku i głośniej, niż trzeba, mówi:

— Jeść ci się już chce zapewne, Mietku?

— Nie, mamo. Lecz chodźmy stąd, pro...

Przerwał, bo drzwi od gabinetu znakomitego lekarza uchyliły się właśnie i na tle portjery zarysował się energiczny profil, wysokie czoło i długa ciemna broda.

— Proszę — rozlega się nieco twardy głos o niskiem brzmieniu. Nikt się nie rusza; damie odstępują pierwszeństwa. Cierniewska powstaje szybko, ujmuje rękę chłopca, podnosi go niemal z miejsca. Ręka dziecka, jak lód... palce dreszcz mu przebiega.

Zamykają się za nimi drzwi, opada aksamitna portjera.

Długie jak wieczność, bezwzględne, brutalne badanie. Szereg rękoczynów nie widzianych nigdy... stosowanie przyrządów, o których pojęcia nie miała. Potem krótkie, suche pytania: sięganie po prawdę od lat dalekich, do wspomnień, co się już prawie zatarły; poruszanie ran, które już dawno boleć przestały. I każda odpowiedź, każdy z tamtych czasów szczególik zda się nabierać tu rozstrzygającego znaczenia.

Wśród tych obcych czterech ścian, przed tym nieznanym cudzym człowiekiem tak dziwnie dla niej samej brzmią przedziwne, szczere, nie tające już nic wyznania.

Nareszcie — cisza. Lekarz wsparł głowę na ręku i myśli.

Ogarnął rzecz całą. Poznał przyczynę, widzi skutki: przyszłość nie zapowiada niespodzianek.

Tylko jeszcze cios waży; do tej pięknej jasnowłosej głowy siłę jego pragnąłby zastosować, by jej nie złamać ogromnem zadanego bólu.

Rękę przesuwa po czole, podnosi wzrok i spotyka wlepione w siebie przeczyste niebieskie źrenice kobiety.

Jedna wielka łza w źrenicach tych zastygła i drży.

Jednym krzykiem boleści jest ta ogromna łza niezasłużonej krzywdy... Profesor miesza się, binokle poprawia. Lecz ta łza już wie wszystko, słów nie potrzeba!

— Moja droga pani, nauka w takich razach jest prawie bezsilna... Może zresztą powietrze, hygjena, odpowiednie warunki. Postępowy paraliż ojca nie pozostawia żadnych wątpliwości... plaga wieku! w dodatku jeszcze alkoholik, mówi pani, dziedzicznie przytem obarczony alkoholik...

Wszelako spróbować należy zmiany klimatu, górskiego powietrza, morza... słońca...

Zakręciło się wszystko... Syk lamp gazowych w zbolały mózg się wwierca... Czerwone jak krew myśli rozpierają czaszkę...

Do gardła podnosi się z głębin piersi obrzydliwy dławiący kłębuszek... Nogi ciężą... Skostniała ręka utrzymać nie może biednej dziecka rączyny...

— Dziękuję... Do widzenia...

Ze schodów zeszli... W tłum się wmieszali. Minęli wielki bulwar, w jakąś skręcili przecznicę... Oboje drobni, niewidzialnym ciężarem przytłoczeni, z tumanów mgły listopadowej to się wychylają, to w mgle ośliżgłej zatapiają się znowu i spieszą...

— Mamo!

— Cicho, Mietku, cicho!

— Ma-mo...

— Cicho, cicho!

Strasznego coś jest w matki głosie. Chłopak wyczuwa to... Po raz pierwszy w życiu jest sam... Trwoga serce mu ściska... Łzy duszą... Chwilę zmaga się jeszcze ze sobą, lecz ciałem jego trzęsą już spazmatyczne drgawki, a w ślad za tem rozlega się wśród nocy zimowej bolesny płacz jękami przerywany — płacz skazanej na zagładę istoty, co się na beznadziejne życie swe fatalnem obarczone dziedzictwem skarży.

Rozwój w produkcji i jego następstwa.

Dzisiejszy kapitalistyczny sposób produkcji ze swymi olbrzymimi wprost zakładami przemysłowymi i swą ogromnie wydoskonaloną pracą maszynową w niebywały sposób podniół wydajność pracy ludzkiej, w porównaniu do dawnego sposobu wytwarzania, polegającej głównie, a nawet włącznie na ręcznej pracy człowieka. Niestety całe to bogactwo spowodowane wzrostem wydajności pracy przypada dziś w udziale jedynie tylko tym, którzy zawładnęli środkami produkcji i stali się ich właścicielami; szerokie masy ludności z bogactw nie korzystają w zupełności i jak dawniej pędzą życie pełne trosk i niedostatków. Mimo to jednak nie ulega wątpliwości, że ten wzrost wydajności jest pierwszym warunkiem do zapewnienia wszystkim członkom społeczeństwa dostatku i dobrobytu. Społeczeństwo socjalistyczne, w którem wyprodukowane dobra nie będą posiadały charakteru towarów na sprzedaż, wszystko, co wytworzy, obracać będzie na zaspokojenie potrzeb całego społeczeństwa równomiernie. Im więcej wydajność pracy ludzkiej będzie wyższą, im w danem społeczeństwie wytworzy się więcej dóbr, tem społeczeństwo to i wszyscy jego członkowie będą zamożniejsi, a stopa ich życiowa wyższą. A przecież w przyszłości wydajność pracy ludzkiej ogromnie się jeszcze powiększy, o czem świadczą już dziś próby zastosowania i wyzyskania siły wody.

Skartelizowanie całej produkcji węglowej i umożliwiony przez nie ciągły wzrost cen za węgle już dziś nasuwa przemysłowcom coraz bardziej myśl wyzyskania siły wodnej. Cena węgla jest dzisiaj dwa razy tak wysoką, jak przed 20 laty; wówczas każdy mógł mieć węgla tak dużo, jak dużo go potrzebował, płacił za tonę 5—6 marek; dziś syndykat węglowy w okręgu reńsko-westfalskim żąda 12—15 marek i dostarcza tylko tyle węgla, ile mu się podoba, podczas gdy równocześnie w celach konkurencyjnych sprzedaje ten sam węgiel za dwie trzecie tej ceny. Ogromne znaczenie jednak wyzyskania siły wodnej dla całego ogółu polega głównie na podniesieniu się przez to ogólnej wydajności pracy. Cała siła pracy używanej dziś w produkcji i przy komunikacji, nie wyłączając okrętów i kolei, wynosi według obliczenia prof. Lewickiego na całym świecie 120 miljonów koni. Przy dziesięciogodzinnym ruchu, licząc 300 dni roboczych w roku, ta siła 120 miljonów koni wymaga okrągło 300 miljonów ton materjału opałowego a więc przeszło trzecią część całej produkcji węgla na świecie, wartości 5700 miljonów mk. Równocześnie zaś tak ważne źródła siły jak woda i gaz dają dzisiaj zaledwie siłę 5—6 miljonów koni. A przecież samą tylko siłę wody na całym świecie oceniają mniej więcej na ośm miljardów koni. Na Niemcy i Szwajcarję przypada po $1^1/_2$, na Włochy $5^1/_2$, na na Francję 5,8, na Austro-Węgry $6^1/_2$, na Szwecję 6,7, na Norwegję $7^1/_2$ miljonów przy dziewięciomiesięcznym wyzyskaniu w ciągu roku. Do tego dodać jeszcze trzeba te ogromne masy siły, jakie uzyskać by można przez rozmaite sztuczne zbiorniki, tamy itd. W samych Niemczech całą siłę 13 miljonów koni, jaka w ciągu roku zużywa się w produkcji i komunikacji, możnaby prawie w całości zastąpić siłą wydobytą z wody.

Ze sprawa ta zupełnie poważnie zajmuje dziś umysły producentów, można wnosić choćby tylko z tego ogromnego oporu, z jakim przemysłowcy w Niemczech sprzeciwiali się zaprowadzeniu podatku od elektryczności i z faktu, że obecnie właśnie w Bawarji mają urzeczywistnić myśl skupienia siły wodnej w ogromnych centralach i zamienienia jej na energję elektryczną. Te wodne centrale elektryczne mają poruszać cały ruch na kolejach państwowych, a ponadto mają dostarczać siły prywatnym przedsiębiorcom i komunom. Dziś bowiem, aby siłę elektryczną móc używać racjonalnie i w większych niż dotąd rozmiarach, potrzeba przedewszystkiem potanienia tej siły, co bardzo dobrze osiągnąć można przez zastosowanie do jej wydobycia siły wodnej. O ileby zaś sama siła wody okazała się nie wystarczającą, to potanienie siły elektrycznej, a wskutek tego wzmożenie i podniesienie ogólnej produktywności osiągnąć można w ten sposób, że węgla używać będzie można w miejscowościach bliskich, w których transport mógłby odpaść. Sam bowiem transport i pośrednicy handlowi podwajają, a często nawet potrajają cenę węgla. Dlatego więc wszelkie elektryczne centrale w przyszłości będą zakładane w pobliżu kopalni węgla, jak to właśnie niedawno zrobiono w okręgu Ruhrskim i zamiast węgla będzie się posyłało wprost energję elektryczną. W roku 1905 Edison pisał:

„Pierwszy wielki przewrót w wytwarzaniu elektryczności polegać będzie na tem, że dowóz węgla w tym celu musi zostać zupełnie zaniechany. Zamiast dobywać z łona ziemi czarne djamenty w ogromnie ciężkich masach i ładować je na wozy i okręty, aby potem wieść je tysiące kilometrów i płacić za przewóz, a następnie wrzucać je pod kocioł, aby w ten sposób wytworzyć potrzebną siłę, będą w przyszłości zakładane zaraz przy kopalniach elektrownie, które wytwarzać będą potrzebną siłę i tę za pomocą przewodów będzie można przenosić do dowolnych miejsc i na dowolne odległości. Jest to przecież czemś nie naturalnem, by kopalnie ładować na koła, czemś śmiesznem, a przy tem kosztownem i niepotrzebnem. W każdym razie daleko łatwiej jest molekularne drgania fal przenosić z szybkością miljonów fal na godzinę, aniżeli obładować ciężkiem węglem koleje żelazne. Łatwiej i taniej przenieść można siłę 100 tysięcy koń za pomocą drutu, aniżeli odpowiednio wielką ilość węgla transportować na okrętach lub koleją".

Od tego czasu upłynęło zaledwie kilka lat, a już ze wszystkich stron widzimy dążenia do urzeczywistnienia tego planu. Nie zbyt długo trzeba będzie czekać, a potrzebna siła dla fabryk i kolei doprowadzana będzie z ogromnych centrali przez cały kraj. Zmiana ta pociągnie za sobą wzrost sił wytwórczych i przyczyni się do wzmożenia produkcji. Siła wodna jest jednak własnością ogółu. Prawo własności rzek jest publicznem, a również tamy i potrzebne instalacje prowadzone będą przez państwa lub gminy. Wyzyskanie więc w całej pełni sił wodnych spowoduje w bardzo znacznej mierze uspołecznienie siły roboczej — a tam gdzie koleje należą do państwa — jak np. w Niemczech — państwo, rzecz naturalna, samo przystąpi do stworzenia centrali siłotwórczych. Uspołecznienie, względnie upaństwowienie kopalń stanie się coraz większą koniecznością, tak, że rozwój ten pociągnie za sobą upaństwowienie największych i najważniejszych przedsiębiorstw.

Wraz z tem wyzyskaniem naturalnych sił, stworzoną zostanie również możność wytwarzania towarów w daleko większej ilości niż dotychczas, a zatem zwiększonem zostanie jeszcze dotychczasowe bogactwo. Sprzeczność między kapitałem a pracą wystąpi jeszcze bardziej jaskrawie i pchnie szerokie masy ludności w szeregi walczącego o swe ideały proletarjatu socjalistycznego.

Środków do zaspokojenia potrzeb ludzkich nie zabraknie i wszyscy członkowie społeczeństwa będą mogli mieć

zapewnioną dostatnią egzystencję, jeżeli tylko skończy się rabunkowy system gospodarki kapitalistycznej a wytworzone wartości staną się dostępne dla całego zorganizowanego socjalistycznie społeczeństwa.

Tuberkuloza (suchoty) w szeregach proletarjatu.

W zeszycie styczniowym wydawanych przez prof. Delbrücka „Preussiche Jahrbücher" ogłasza lekarz naczelny lecznicy ludowej w Holsterhausen, dr. Köhler, cenne uwagi o tuberkulozie płuc w kołach robotniczych i jej leczeniu. Uwagi te są tak ważne, że zasługują na jaknajwiększe rozpowszechnienie i zastosowanie w życiu praktycznem. Dr. Köhler już od szeregu lat leczył robotników zapadłych na suchoty i obserwował sposób ich życia. Na podstawie tych wieloletnich obserwacji przychodzi do przekonania, że należy wiele jeszcze uczynić, zanim mówić będzie można o rzeczywistem polepszeniu stosunków życiowych robotników, zapadłych na tuberkulozę.

Nieda się niestety zaprzeczyć, że wielka część proletarjatu choruje na tuberkulozę, chociaż niebezpieczeństwo zarażenia nie jest znów dla zdrowych tak wielkie, jak to ogólnie umysły twórzliwe sądzą. Tak często przez wielkich przedsiębiorców podsuwana myśl nie przyjmowania do pracy robotników, podejrzanych o suchoty — nieda się przeprowadzić. Straty bowiem, które poniosłoby państwo i rodziny wynosiłyby miljony, gdyby robotników zapadłych na suchoty ale będących jeszcze w stanie pracować, wydalono z pracy. Zato jedynym środkiem, którym rzeczywiście możnaby chorobę tę zwalczać, to polepszenie stosunków życiowych i domowych proletarjatu. I bez wydalenia z pracy jest strata, którą gospodarczo słaby proletarjat z tego powodu ponosi, już bardzo wielką i dlatego wszelkiemi siłami należy pracować szczególnie w tym kierunku, żeby biednych ustrzec przed straszną zmorą suchot.

Uchronić — w tem słowie leży według zdania Dr. Köhlera najpierwszy i najskuteczniejszy środek leczniczy. Myśli, które on w tym kierunku rozwija, są bardzo uwagi godne. Przedewszystkiem zwalcza Dr. Köhler panujący w szeregach proletarjatu zwyczaj posyłania chłopców bez wyboru do jakiejkolwiek pracy, przynoszącej co prawda kilka fenigów, lecz nie dba się przytem o to, czy chłopak podoła wymaganiom pracy. W warstwach lepiej sytuowanych rzecz się ma inaczej. Człowiek, który mową szybko się wyczerpuje, nie zostanie księdzem ani adwokatem, kto znów na rany lub krew patrzeć nie może, nie wybierze dla siebie zawód lekarza. Tylko młodego proletarjusza oddaje się najcięższej pracy, która w krótkim nieraz czasie, może na zawsze zniweczyć jego zdrowie. Aby więc tę nadrastającą młodzież proletarjatu ustrzec przed niebezpieczeństwami przyszłego zawodu, należy poddawać ją ciągłemu nadzorowi lekarzy szkolnych. Mylnem jednak jest przypuszczenie, że proletarjusze oddają dzieci swe bezmyślnie do pracy, szkodzącej ich zdrowiu. Bieda i nędza zmusza ich do tego. To też koniecznym jest zakaz pracy dziecięcej, a przedewszystkiem popieranie związków zawodowych, celem podniesienia stopy życiowej proletarjatu.

Chociaż zarazki suchot nie dadzą się tak łatwo zupełnie wytępić, to jednak podjąć można walkę przeciw zapadywaniu w suchoty z większym skutkiem. Najpierw należy przestrzegać młodzież przed nadużywaniami płciowemi oraz przed skutkami alkoholu, gdyż stosunki życiowe proletarjuszy nie są tego rodzaju, aby ich dzieci również łatwo przetrzymać mogły skutki lekkiego życia, jak dzieci warst zamożnych. Skoro ale raz stwierdzono suchoty, to zapadłego na nie należy natychmiast umieścić w lecznicy, aby tam przy stosownej pielęgnacji i opiece, przyszedł do zupełnego albo przynajmniej polepszenia zdrowia. Zwykle pozostają chorzy, przekazani do lecznicy, tamże przez trzy miesiące, lecz choć czas ten do polepszenia zdrowia wystarcza, to jednak nie zapobiega przeciw ponownym zapadnięciom, a tylko w rzadkich wypadkach jest proletarjusz w stanie kurację powtórzyć. Jeżeli ale mogą pozwolić sobie na to warstwy zamożne, to i proletarjuszowi trzeba koniecznie możliwość tę stworzyć, bo jednorazowa kuracja nie usuwa wszystkich szkód, poniesionych na zdrowiu. To też w słynnych lecznicach w St. Maurice i Dawos uznano już dawno korzyści częstego powrotu pacjentów.

Jako dalszy ważny moment uważać należy konieczność, aby pacjent wypuszczony z lecznicy mógł się ochraniać. Dlatego dążyć należy do stałych ulepszeń zewnętrznych warunków życiowych, mianowicie odżywiania i mieszkania, a przedewszystkiem do tego, aby wypuszczony z lecznicy robotnik się nie nadwyrężał. To ostatnie jest dla wszystkich robotników nadzwyczaj ważnem.

Podczas, gdy każdy inny stan ma swoje wakacje, ponieważ praca bez przerwy wyczerpuje zbytnio siły fizyczne, to jednak istnieje dziwne uprzedzenie, że dla robotników pracujących z największem natężeniem od rana do wieczora, wystarcza niedziela na dostateczne wypoczęcie. To uprzedzenie należy zwalczać. Czas wypoczynku nie powinno się stanowić w interesie zdrowotności pracującego ludu — za krótko, co najmniej powinien on wynosić trzy tygodnie. Wielkie koszta, które takie ogólne wakacje robotnicze z natury rzeczy by za sobą pociągały, wyrównałyby się przez mniejsze zapotrzebowanie kas chorych i kas inwalidowych, pomijając już i to, że robotnik wypoczęty i wzmocniony więcej jest zdolnym, aniżeli robotnik znurzony i osłabiony. „Tu nie wystarszają zwykłe zasady zdrowotności", powiada Dr. Köhler, „tu pomóc mogą tylko obszerne reformy a polepszenie ogólnych stosunków, oraz organizacja hygjeny socjalnej". Co do kwestji odżywiania w zakładach leczniczych, gani Dr. Köhler zdanie tych, którzy prostemu człowiekowi dać chcą w lecznicy takie same pożywienie, jakie otrzymywał u siebie w domu. Wogóle nie można zrozumieć, dlaczego robotnik w razie choroby nie ma otrzymywać lepszego pokarmu, przeciez w każdym domu obywatelskim w razie wypadku choroby dobiera się potrawy z największą starannością.

Zupełnie odrzucić należy panujący w pojedyńczych zakładach leczniczych przymus do pracy, aby tym sposobem poniekąd wybić koszta pobytu. I chory robotnik również rozumie, że praca jast rzeczą zdrowych, a spokój i bezczynność prawem chorego. Dlatego należy z zakładów leczniczych usunąć wszelką pracę, za którą się zwykle płaci. W jej miejsce można zastosować lekkie ćwiczenia gimnastyczne, oraz zwykłe zatrudnienie w polu i ogrodzie, o ile to być może rozrywką, a nie nużącą pracą. Przedewszystkiem zaś należy unikać, aby w chorym nie wzbudzać uczucia, że za kurację musi odrobić.

„Ubóstwo jest złem dla suchot płuc", tak kończy Dr. Köhler swoje cenne wywody. Suchoty w szeregach proletarjatu są w zupełnie innem znaczeniu plagą ludzkości, aniżeli w sferach zamożnych, gdyż rozwój ich zależy tak bardzo od stosunków socjalnych i gospodarczych. Należy przeto pracować w tym kierunku, by warunki życiowe ludzi ubogich zostały tak zmienione, żeby suchoty, jako chorobę proletarjatu zupełnie usunąć. Oczywiście, lecznice są dobre dla cierpiącej ludzkości, lecz jeszcze lepszem jest: biedniejszych tak wychować i życie ich od młodości tak ukształtować, aby zakładów leczniczych tak jak obecnie nie potrzebowali.

Rozmaitości

Zbrodniarz-dobroczyńca. W tych dniach podały gazety wiadomość, że amerykański miljarder D. Rockefeller ofiarował 1¼ miljarda czyli 1250 miljonów mk. na cele dobroczynne. Złośliwi w Stanach Zjednoczonych powiadają, że „król naftowy" chce przekupić Boga za swoje zbrodnicze życie. Bo zbrodnicze ono było przez całe 30 lat jego działalności.

Życie jego, to długi i nieprzerwany łańcuch „zbrodni handlowych i finansowych", które codziennie tysiące ludzi pogrążały w otchłań nędzy, a co tydzień popychały setki do samobójstwa.

Rockefellera publicznie nieraz nazwano zbrodniarzem, a nikt przeciwko temu nie wystąpił. Przedewszystkiem nie wystąpił sam Rockefeler. Tak samo nazwał Rockefellera były prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, który pragnął, ażeby król naftowy dostał się do więzienia, na które sumiennie zasłużył. Potęga złota uchroniła go od celi więziennej; skończyło się na grzywnie, wynoszącej 28 miljonów. Ale śledztwo dalej trwa i z tego powodu wielu twierdzi, że Rockefeller, tworząc bogatą fundację pod zarządem swojego syna, chce zapewnić sobie „utrzymanie" na wypadek katastrofy.

Podczas niedawnego procesu zeznali świadkowie pod przysięgą, jak to Rockefeller opłacał szpiegów i prowokatorów w przedsiębiorstwach konkurencyjnych. Przekupywał koleje, albo je zmuszał miljonami, ażeby jego konkurentom liczyły za przewóz ceny, które pochłaniały wszelki zysk. W ten sposób zniszczył wszelkie współzawodnictwo i stał się samowładnym panem przemysłu naftowego.

Teraz ofiarował Rockefeller $1^1/_4$ miljarda na cele publiczne, zamknąwszy bilans swojego życia. Rodacy nie okazują mu za to żadnej wdzięczności.

* * *

Niemowlę jako przedmiot naukowych doświadczeń. Pisma amerykańskie rozpisują się o pewnym interesującym eksperymencie wychowawczym. W Nowym Jorku żyje sobie para małżeńska, państwo Noyes'owie. Mają oni obecnie dwuletniego chłopczyka, którego od urodzenia chowali ściśle według naukowych zasad. Matka dziecka jest osobą uczoną i aż do ślubu była docentką na jednym z wyższych kursów naukowych. Gdy pani Noyes poczuła się matką, wtedy zaczęła z całą systematycznością układać sobie z góry plan wychowawczy, i powzięła ze względu na dobro dziecka liczne postawienia, wprost sprzeczne ze wszystkiem, co już sam instynkt matce dyktuje. Pani Noyes pomyślała sobie, że rozmaite fatałaszki, w które się dzieci ubiera, dalej jedwabne draperje u kołyski i inne podobne rzeczy sprawiają właściwie tylko samej matce przyjemność a dla dziecka nie mają żadnego znaczenia. Również skonstatowała pani Noyes, że całowanie, kołysanie, usypianie śpiewem i obnoszenie dziecka dla przechwałki między ludźmi wpływa źle na nerwy dziecięce. Z tego wszystkiego wyprowadziła tedy nowoczesna ta matka wniosek, iż powinna się powstrzymać od wszelkich tego rodzaju oznak miłości i obmyśliła sobie system wychowania dziecka swego według najnowszych zasad nauki. Gdy dziecko przyszło na świat, pani Noyes zaczyła system ten stosować z podziwu godną energją i uporem. Od pierwszej chwili życia malutkiego Leonarda, matka jego prowadziła dziennik, w którym zapisywała wszystko, co się tyczyło małego obywatela. W dzienniku tym były więc szczegółowo opisywane codzienne zdarzenia z życia Leonarda, a więc każdorazowe przyjmowanie pokarmu, sen, wydzieliny, wszelkie objawy niedyspozycji, każda najdrobniejsza wysypka, słowem — wszystko. Z zapisków tych, czynionych z naukową ścisłością, można się dziś dowiedzieć, że mały Leonard w siódmym tygodniu życia przyjmował pokarm przeciętnie 6 i pół razy dziennie, że każdorazowe odżywianie się trwało 8 i pół min., że najdłuższy jego sen trwał $5^1/_3$ godz., a najkrótszy $^3/_4$ godz., że trzy ćwierci doby przesypiał, a przez 37 min. dziennie wyrabiał sobie płuca krzykiem i wrzaskiem. Pani Noyes notowała także skrupulatnie, kiedy mały obywatelek był niegrzeczny i ze statystycznego zestawienia cyfr okazuje się, że przeciętnie na siedm dni przypada pięć godzin, w których dziecko zachowywało się nieprzyzwoicie. Ubiór małego Leonarda był zawsze bardzo prosty. W lecie miał na sobie tylko prostą długą sukienkę. Przez cały dzień przebywał w małym koszyku, uplecionym z wierzbiny. Pończoszki i buciki nie istniały dla niego. Gdy miał czternaście tygodni, chwytał się już brzegu koszyka i usiłował podnieść się. W 19 tygodni zdołał już dźwignąć się, a po 22 tygodniach umiał już sam siąść. W 27 tygodniu stanął mały Leonard po raz pierwszy prosto na swych nogach, a po 33 tygodniach rozpoczął on pierwsze próby chodzenia. Do tego wszystkiego należy dodać, iż syn państwa Noyes śmiał się już w 12 tygodniu życia, mimo, iż matka go nigdy ani całowała, ani pieściła. Eksperyment powiódł się zatem zupełnie. Zdaniem wielu nowatorek pedagogicznych, które w sprawie tej zabierały głos w prasie amerykańskiej, mały Leonard Noyes posłużyć może za świetny dowód, iż nowa metoda pielęgnowania niemowląt w niczem nie ustępuje metodzie oddawna ustalonej.

* * *

Koszty film kinematograficznych. Według dat, zebranych przez „Daily Mail", filma kinematograficzna ma w przecięciu 600 stóp angielskich długości i rozwijając się z szybkością jednej stopy na sekundę, regiestruje w 10 min. przeszło 10 000 poruszeń, czyli tysiąc zgórą na minutę, prawie 17 na sekundę. Najwięcej kosztów pochłania przygotowanie scen, które mają być reprodukowane. W Londynie prawie każda większa fabryka film ma rodzaj teatru o bardzo skomplikowanej maszynerji, z trupą aktorów, liczącą po 100 osób i więcej. Niedawno wydano szereg obrazów, przedstawiających sceny z życia Nerona. Uczestniczyło w nich 400 osób: fotografje firmy zdejmowano we Włoszech. Do obrazu przedstawiającego pożar Rzymu, skonstruowano szereg domów, które kosztowały same przeszło 30 000 fr. Inna firma zdejmowała sceny z zabaw bataljonów szkolnych angielskich Boy Scouts. „Musieliśmy nasamprzód uzyskać pozwolenis „Shool Bord", potem zgodę „scoutmastra", potem okazało się, że w dniu oznaczonym nie można robić zdjęć, gdyż pada deszcz — a Scout Boys wyszli już na pole, na nasze żądanie, czyli fatygowali się na darmo; trzeba było znowu prosić o pozwolenie i przechodzić obawę deszczu. Zbudowaliśmy kilkanaście chałup, aby Boy Scouts mogli „ratować ludzi w pożarze", niemało to kosztowało. A potem z wielu film wybierało się same dobre i zrozumiałe, wyrzucając niejasne i niedość interesujące. Po tym wyborze trzeba było uzupełniać sceny i łączyć je między sobą. To już prawdziwa sztuka reżyserska. Dajemy funt szterlingów każdemu, kto nam przyniesie nowy pomysł do zdjęć, lecz nie często trafia się ochotnik do nagrody".

* * *

Nie dawajcie dzieciom napojów upajających! Wielka część rodziców naszych mimo wszelkich przestróg i upomnień częstuje dzieci swe napojami alkoholowymi. Ta źle zrozumiana troskliwość ogromnie dzieciom szkodzi. Jeśli alkohol dla organizmu dorosłego jest prawdziwą trucizną, o ileż silniej działać musi na słabe, nierozwinięte ciało dziecka. W sprawie tej wypowiedziały się już tysiące lekarzy, a niema chyba żadnego lekarza, któryby nie uznawał szkodliwości alkoholu dla dzieci. Prof. Paulsen z Berlina np. mówi: „Jeśli pragniesz, aby twe dzieci pozostały rzeczywiście dziećmi, to dawaj im mleka; jeśli zaś chcesz wychować dzieci nerwowe i krnąbrne, przejrzałych i przeżytych młodych starców, to dawaj im suto alkoholu".

W broszurze zaś pt. „książeczka zdrowia", wydanej przez niemiecki państwowy urząd zdrowia, czytamy co następuje: „Dla dzieci jest alkohol straszną trucizną; piwa, wina, a szczególnie wódki nie powinno się dzieciom i młodzieży wcale dawać, conajmniej do 16 roku życia".

* * *

Nie chcą należeć do Prus! Od dłuższego czasu toczył się między Prusami a Belgją spór graniczny o miejscowość Moresnet, do której oba państwa rościły sobie prawa. Pozostawiono tedy decyzję mieszkańcom samym, którzy w głosowaniu z małymi wyjątkami oświadczyli się za przynależnością do Belgji.

Rozumiemy doskonale ten wstręt do Prus.

* * *

Ilość chorób umysłowych we wszystkich prawie krajach wzrasta w sposób zatrważający. Główną winę w tym względzie ponosi alkohol, który sam jeden powoduje $^1/_3$ lub nawet $^1/_2$ chorób umysłowych. Fakt ten, stwierdzony już w licznych badaniach statystycznych, potwierdzają na nowo ostatnie urzędowe badania w Szwajcarji. Z pośród 6470 wypadków obłąkania spowodowało: przepracowanie 323, wypadek nieszczęśliwy 333, nadużycia płciowe 404, troski, nieszczęścia, przestrach 503, kłopoty pieniężne i rodzinne 988, alkoholizm zaś 2123. Zupełnie więc jasno z tego wynika, że alkohol jest głównem źródłem chorób umysłowych.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 14. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 kwietnia 1910.

H. de Forgé.

Miłe gniazdko nowożeńców.

Zygmunt Leonidas Toulmuche, zasiedziały akademik, potroszę poeta i korepetytor greczyzny, po licznych serdecznych błąkaniach znalazł nareszcie siostrzaną istotę niezbędną dla jego marzeń o szczęściu. Była to panienka z sąsiedniej mleczarni, z duszą romantyczną i czułą, a tak czystą jak mleko, które co rano przelewała w małe flaszki dla odbiorców firmy.

Dzielny młodzieniec, rozpromieniony, postanowił dla swej wybranki wyszukać godne ramy; wynajął przy ulicy Huchette w starym, oryginalnym domu mieszkanko na szóstem piętrze, tuż pod niebem, gniazdko, które, nie wątpił, spodoba się Karolci, jako umyślnie dla niej wyszukane. Przyzwyczajona dotąd sypiać w nyży przy sklepie, pani Toulmuche zachwyconą była nową siedzibą — dwoma pokoikami „z widokiem na ulicę“... Rozumie się, nie omieszkano sprosić znajomych. Toulmuche posiadał ładne stosunki. Miał przyjść nawet pan profesor Prune, archeolog, członek towarzystwa badań archeologicznych w dzielnicy VI — słowem osoba na stanowisku, dekoracyjna. Pani Toulmuche zgóry zachwycona była owem zebraniem, pierwszem w tem życiu szczęśliwem, które prowadzić miała pod nowym, błogosławionym dachem.

Jako gospodyni, świadoma rzeczy, czyniła honory mieszkania każdej z osób przybyłych. Zachwycano się pięknym widokiem „na ocean dachów“. Właśnie wschodził księżyc... Stare mury miały w sobie coś przytulnego... Ciekawy był kominek, szeroki, bardzo wgłębiony w stylu Henryka II, jak zapewniał Zygmunt, znający się na tem. Meble kupione ryczałtem od poprzedniego lokatora, były też dobrze dobrane. Zabawny stary zegar z aniołkiem, uciesznie podnoszącym nożkę, uzyskał pochwały wszystkich. Zwrócono uwagę nawet na szczypce o jakimś kształcie niezwykłym, artystycznym — zapewne drogie bardzo.

I w tej atmosferze milutkiej Karolina rozpromieniona, przytulona do swego Zygmunta Leonidasa, zaczęła śpiewać. Miała głos zachrypnięty, ale śpiew, owszem, posiadał pewien powab: wkładała weń tyle serdecznego uczucia!

Nareszcie zjawił się pan profesor Prune. Była to osoba uroczysta, świadoma swej historycznej wagi. Skłonił się, wysiąkał nos i widząc wszystkie oczy zwrócone na siebie, pewny przytem przygotowanego efekciku, rozpoczął:

— Panie i panowie, niedawno właśnie przerzucając na intencję nowożeńców archiwum, uczyniłem pewne odkrycie. Oto, że mieszkacie państwo w domu, że tak powiem, historycznym... Ale nie cieszcie się państwo: historyczność owa polega na wydarzeniu krwawem; w r. mianowicie 1871 pewien kupiec zamordował był tu swoją siostrę cioteczną, poćwiartował ją i usiłował spalić cząstki jej ciała. Podówczas była to zbrodnia głośna, szeroko dyskutowana w prasie.

Ta rewelacja, wypowiedziana głosem równym, spokojnym, owionęła obecnych przerażeniem. Na dobitek Toulmuche zawadził ręką o lampę; z trzaskiem rozbiło się szkiełko. Nagła ciemność zdwoiła lęk. Zbrodnia przy ulicy Huchette — tak, to niegdyś była sprawa głośna. I ta dziewczyna, pokrajana, przypiekana na ogniu. Straszne i wstrętne wspomnienie... I trzeba, żeby w tem właśnie mieszkaniu rozegrała się taka krwawa scena i że te ściane obryzgane były krwią — kto wie — po dziś dzień może nie zmytą.

Świeca zapalona z trudem pozwoliła dojrzeć na murze jakieś rzeczywiście podejrzane plamy i zdrapania... Poprostu wstrętna nora! Pewna sąsiadka, nie krępując się, oświadczyła, że o ile przedtem mówiła, że jej się mieszkanie podoba, czyniła to jedynie przez grzeczność. Te pokoiki takie wąskie, niskie, ponure, nic dobrego jej nie wróżyły. Właściciel mleczarni dodał, że w uczciwych domach nie bywa takich skrytek w murach, niby to szaf. Właśnie tam zapewne zbrodniarz starał się ukryć spalone szczątki swej nieszczęsnej ofiary. A spalił je gdzie? Oczywiście w tym olbrzymim kominku, jakby umyślnie wymurowanom dla mordercy...

Pani Toulmuche gniewnem okiem spoglądała na mężą. Toż dopiero myśl, żeby wynajmować lokal w takiem miejscu! Przecież ludzie się zawsze wpierw informują... Teraz zrozumiała, dlaczego stróżka patrzyła tak ironicznie. I co zrobić? Nie można wyprowadzić się przed terminem! Co się jej tyczy, za nic na świecie tu się nie położy, woli nocować pod mostem... A te meble, nabyte od poprzednika? Kto je przedtem posiadał? Może pochodzą właśnie od tego kupca-mordercy? I ten zegar, ten obrzydliwy klekot z tą sprośną figurką wydzwaniał godzinę zbrodni...

Nagle profesor Prune zawołał: „Za pozwoleniem chciałbym tu mieć bliżej światło. Drącą ręką podsunęła mu Karolina świecę: Boże, co też on strasznego jeszcze opowie?

— Otóż, moi państwo, przyniosłem tu nawet dziennik ówczesny. Mamy tu, nieprawdaż, numer 14, ulica Huchette.

— Jakto 14? Czwarty!

— Ależ w dzienniku jest wyraźnie: numer 14, piętro szóste, dom staty, dwa pokoje od ulicy. Otóż ten dom...

— Ależ tu numer czwarty; czternasty to taka ponura rudera!

— W takim razie, proszę mi wybaczyć, zaszła bowiem pomyłka.

— Wszyscy zaproszeni odetchnęli.

Otworzono okno. Przyjemnie było spojrzeć na niebo, usiane gwiazdami. A księżyc tak lśnił przedziwnie tej nocy, że truchlała przy nim mała, wiotka świeczka. Koniec końców, jeżeli się spojrzało bezstronnie na to mieszkanko, było ono wcale sympatyczne, zwłaszcza dla młodego małżeństwa. Na tym kominku w stylu Henryka II czy IV — mniejsza o to — można było w zimowy wieczór miłe rozpalić ognisko. A te dawne szafeczki w murze jaka to wygoda. Można tam chować różne rzeczy, których się nie chce mieć na widoku...

W tym momencie zaczął zegar równiutko, dźwięcznie wydzwaniać godzinę. I figlarny amorek nóżką jak gdyby takt mu poddawał.

Przywróceni do rzeczywistości, Zygmunt i Karolina przytulili się do siebie. On dzielny człowiek; ona taka dobra, milutka kobietka.

O tak, życie miewa swoje chwile błogie...

I pani Toulmuche rozpoczęła napowrót głosem zachrypniętym swoją miłosną śpiewać piosenkę.

O kometach.

Odkryto niedawno nową kometę. Oczekiwanem jest nowe ukazanie się komety Halleya. Wiadomości te wzbudziły powszechne zainteresowanie się kometami. Na czasie więc będzie powiedzieć słów parę o tem, co to są komety.

Wszelkie dla danego czasu ustalone pojęcie naukowe najlepiej daje się poznać przez poznawanie go nie w samej tylko treści ostatecznej, lecz w związku z jego ewolucją. Poznanie pojęcia jest wtedy pełniejszem, w ewolucji każdego pojęcie tkwi bowiem jego krytyka, a przez krytykę treść rzeczy się pogłębia. Wreszcie żadne pojęcie nie jest utworem absolutnym, a każde wyraża przedewszystkiem nasz stosunek do pewnego zagadnienia. W stosunku tym zawiera się między innemi i historja poznania do samego pojęcia. Poznawanie więc pojęć w ciągłości ich rozwoju jest wręcz warunkiem niezbędnym pełnego ich ujmowania.

Współczesne naukowe pojęcie komety rozwinęło się w związku i w ścisłej zależności od rozwoju nowoczesnej astronomji — poczynając od Newtona, i wiąże się bezpośrednio z takiemi zdobyczami wiedzy astronomicznej, jak zasada powszechnego ciążenia, sposób rozwiązania zagadnienia kosmogonicznego (t. j. zagadnienia o sposobie powstania dzisiejszych układów niebieskich), jak wreszcie odkrycia w zakresie fizyki ciał niebieskich.

1. Zasada powszechnego ciążenia Newtona jest to zasada, według której cząstki materji, a w ich liczbie i ciała niebieskie wzajemnie się przyciągają i według której na tem przyciąganiu — obok bezwładności ciał — opiera się forma wszystkich ruchów ciał niebieskich. Zasada ta, w zastosowaniu do komet — wykazuje, że komety bardzo wyraźnie ulegają sile przyciągającej słonca i planet, samego zaś działania przyciągającego na planety — nie mówiąc już o słońcu — nie wykazują. Są to więc ciała dynamicznie niezmiernie małe w porównaniu z planetami. W intepretacji teorji Newtona brak widzialnego oddziaływania komet na planety i silne uleganie komet działaniu planet — oznacza, że komety mają masy, w porównaniu z masami planet, niezmiernie małe, wprost nikłe. I to jest pierwsze ścisłe orzeczenie, dotyczące pojęcia komety.

Drugie orzeczenie opiera się na obserwacji komet przy pomocy coraz bardziej udoskonalanych lunet, a polega na tem, że komety objętościowo są ciałami bardzo dużemi, daleko większemi od małych planet, np. jak ziemia; rozmiary ich — równają się rozmiarom planet wielkich takim, jak Jowisz, nieraz je nawet przewyższają.

Z zestawienia wreszcie tych dwuch orzeczeń wynika trzecie — że komety są utworami materji dynamicznie niezmiernie rzadkiej, t. j. w stosunku do jej ilości niezmiernie rozciągniętej przestrzeni, czyli rozrzedzonej. To rozrzedzenie materji komet jest tak znaczne, że równa się rozrzedzeniu gazów, jakie na ziemi za pomocą pomp pneumatycznych udaje się osiągać pod nazwą próżni. Jestto takie rozrzedzenie, jakie przedstawia atmosfera ziemi w górnych warstwach, do których balony ani aeroplany, jako ciała zbyt ciężkie wznosić się nie mogą, nie dolatują ptaki, nie dochodzi życie wogóle. Z tego znów orzeczenia wpływa zupełnie kategoryczne obalenie przesądu, jakoby ziemia mogła się rozbić, względnie rozpalić, lub też wogóle stracić rozwinięte na niej życie organiczne na skutek spotkania się z kometą. Ziemi przy spotkaniu się z kometą nicby się nie stało; przeszłaby ona przez jądro komety bardziej może swobodnie, niż np. człowiek w górach przez warstwę obłoczka, napotkanego na drodze. Jak zobaczymy później — nic się też ziemi w takich wypadkach nie stawało, bo wypadki takie już były. Conajwyżej dla jej mieszkańców roztacza się na niebie widok gwiazd spadających.

2. Z rozwiązania kosmogonicznego, ujętego w formę hypotezy kosmogonicznej Laplace'a (Laplasa), wpływa dla komet nowe, czwarte orzeczenie, tym razem negatywne; komety gienetycznie (to znaczy z pochodzenia) nie należą do układu słonecznego — nawet wtedy, kiedy znajduje się w układzie słonecznym w chwili obecnej, t. j. nawet tak zwane komety perjodyczne. Dwie bowiem rozróżniamy grupy komet: komety perjodyczne i komety nieperjodyczne. Do pierwszych należą takie komety, które stale, co pewien okres czasu ukazują się na niebie, do drugich takie, które ukazują się jednorazowo. Pierwsze są to komety krążące stale dokoła środka przyciągającego układu słonecznego — krócej, a mniej ściśle: dokoła słońca — i jako takie należą do liczby ciał składających układ słoneczny; drugie podlegają sile przyciągającej tegoż środka układu słonecznego — krócej: słońca — tylko przejściowo; pod działaniem jego siły przyciągającej zakrzywiają drogę swoją w kierunku działania tej siły, ale nie więzną w sferze tego przyciągania na stałe, nie zamykają pod jego wpływem swej drogi, lecz uchodzą w dal bezpowrotnie. Są to więc komety, nie utrzymywane w stałem krążeniu przez siłę przyciągającą środka układu słonecznego, a więc do układu słonecznego nie należące. Pozatem obie grupy komet niczem się od siebie nie różnią. To może być piątem o kometach orzeczeniem.

Myśl, że niektóre komety należą do układu słonecznego jako jego stałe części składowe, że są mianowicie kometami perjodycznemi, powziął Newton. Newton wprowadził do astronomji założenie (postulat), że kometa, która przebiega po niebie po tej samej drodze, na której już kiedyś ją obserwowano, jest tą samą kometą, co tamta i że po przejściu nowego takiego samego okresu czasu ukaże się ona na tej samej drodze ponownie. Komety, ukazujące się na drogach starych, są więc kometami stale krążącemi dokoła mechanicznego środka układu słonecznego na zasadzie ciążenia powszechnego, czyli według praw Keplera. (Z tych właśnie praw Keplera Newton wyprowadził indukcyjnie swoją teorję krążenia planet). Takie komety muszą się więc ukazywać w stałych okresach czasu, które są okresami ich krążeń i dlatego te komety są perjodycznemi. Jeżeli zaś tak jest, to z zastosowania do komet trzeciego prawa Keplera, według którego drugie potęgi okresów obiegowych planet mają się do siebie tak, jak trzecie potęgi ich średnich odległości od słońca — można z okresów ukazywania się komet perjodycznych określać ich średnie, w ciągu całego okresu, odległości od słońca. Z takiej odległości średniej, oraz z jednej z odległości krańcowych, mianowicie najmniejszej (przysłonecznej), którą można wymierzyć, daje się określić odległość międzyogniskowa drogi eliptycznej każdej komety perjodycznej; dalej, odległość międzyogniskowa wraz z odległością przysłoneczną komety określa w całości samą elipsę, przez tę kometę obieganą. Pozostaje jeszcze określić niezależnie płaszczyznę tej elipsy.

Praktycznie łatwo jest wykazać, że odległość międzyogniskowa i przysłoneczna elipsy — określają całą elipsę.

Według pierwszego prawa Keplera słońce znajduje się zawsze w jednem z ognisk elipsy, po której krąży planeta (a w zastosowaniu tego prawa do komet — kometa), mianowicie w tem ognisku (punkcie określonym wewnątrz elipsy), które dla punktu przysłonecznego jest bliższem. Jak dokoła jednego punktu zapomocą cyrkla lub nitki, rysuje się koło, tak dokoła 2 punktów, zapomocą nitki zarzuconej na 2 szpilki, wbite w te 2 punkty, rysuje się elipsa. Jasnem jest, że od odległości tych punktów wbicia szpilek i od długości nitki zależy całość narysowanej elipsy. A punkty wbicia szpilek są właśnie t. zw. ogniskami elipsy i określają międzyogniskową odległość elipsy; zaś każdy punkt elipsy — w tej liczbie i najbliższy jednemu z ognisk (przysłoneczny) zależy od długości nitki i wzajemnie określa długość nitki, potrzebną do narysowania danej elipsy dokoła danych 2 ognisk. Okazuje się więc, że odległość międzyogniskowa i przysłoneczna określają w całości elipsę planety czy komety.

Wniosek, że komety perjodyczne gienetycznie do układu słonecznego nie należą, opiera się nietylko na tem, że oprócz komet perjodycznych istnieją i komety nieperjodyczne, nie należące do układu słonecznego wogóle, a więc i gienetycznie nie mające z nim nic wspólnego. Aby motyw ten był wystarczającym, należy jeszcze wykazać, że niema żadnych danych, przemawiających bezpośrednie za tem, że komety perjodyczne powstały przy rozwoju układu słonecznego z mgławicy tak samo, jak planety i że powstaniu temu krążenia swe zawdzięczają. Otóż danych takich istotnie niema. Rzeczywiście, krążenia komet perjodycznych nie posiadają tych własności, jakie posiadają krążenia planet, własności, które świadczą o tem, że planety powstały przy rozwoju układu słonecznego z mgławicy. To ustala wniosek, że komety perjodyczne gienetycznie do układu słonecznego nie należą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Związki zawodowe pod względem wychowawczym.

Czy związki zawodowe mają rzeczywiście jakąś wartość? Jeżeli dzisiaj niejeden robotnik takie pytanie postawi to musimy się temu dziwować, bo związki zawodowe mają pod względem gospodarczego i moralnego postępu jakoteż pod względem gospodarczego i politycznego wychowania każdego robotnika niezmierne znaczenie. Żaden stan i żadna klasa nie tworzy się w świadomości historycznej roli, którą ma w przebiegu swego życia odegrać. Każda warstwa ludności wydoskonala się dopiero przez samokształcenie, aż nareszcie osiągnie zewnętrzną jedność i wewnętrzną siłę, bez której nie zwyciężyłaby nawet w najsprawiedliwszej walce. Tak samo i robotnik musi się kształcić i starać, wszelkie błędy i przesądy odrzucić, musi się starać swoje czyny uwolnić od wszelkiej małostkowości i nienawiści. On musi nawet jeszcze więcej pracować nad swojem wydoskonaleniem aniżeli to kiedys inne warstwy czyniły — bo jego bieda i nędza jeszcze bardziej przygniata aniżeli wszelkie inne stany.

Tutaj właśnie związki zawodowe mają wielkie i wzniosłe zadanie cały ten olbrzymi ruch robotniczy wzmacniać i wydoskonalać. Ruch ten sięga daleko po za granice ruchu zarobkowego; kwestja socjalna nie polega jedynie na zaspokojeniu żołądka, ale jest ona zarazem kwestją uregulowania i wydoskonalenia wszelkich stosunków między ludźmi, kwestją niezawisłości i poszanowania wszystkich wyswobodzenia pragnących. Ale właśnie kwestja żołądkowa jest ową sprężyną, która popędza ten jeszcze ciemny, nieuświadomiony żywioł do dalszych wznioślejszych uczuć i działalności; właśnie walka zarobkowa wzbudza w szeregach proletarjatu uczucia ofiarności i niezachwianej solidarności.

Ruch zawodowy otwiera robotnikom oczy, pokazuje im jak to maszyny i wszelkie ulepszenia techniczne, które mają być tylko wydoskonaleniem kulturalnem, mogą robotnikowi służyć do uzyskania wiele wolnego czasu, a przez to umożliwiają mu korzystać z bogactw wiedzy i kształcenia się, umożliwiają mu odpowiednio wypocząć i w szlachetny sposób się zabawić. Ruch ten wskazuje, że te maszyny już dzisiaj częściowo dobroczynnie działają i dlatego nie są one wrogiem robotników, jeżeli tylko robotnicy umieją za pomocą solidarności wywalczyć sobie skrócenie czasu pracy lub podwyższenie płacy.

W ten sposób siła, która pierwej w niszczący sposób wybuchała, została zużytkowaną, aby szerokie warstwy robotnicze obudzić z letargu, pokazać im cały stosunek gospodarczy i organizować je, bo organizacja jest jedynym warunkiem stałych korzyści wynikających z walki zarobkowej. Pod względem polepszenia bytu robotników tak gospodarczego jak i politycznego ruch zawodowy wiele zdziałał. Ruch ten dopiero zmusił robotników do pomyślenia nad ich stanem gospodarczym, pokazał im całą maszynerję gospodarczą i ich zgubny stosunek zależności ekonomicznej; obudził ich uczucia klasowe i uczucia solidarności, zahartował ich wytrwałość i wzmocnił ich ofiarność.

To niezmierne wychowawcze działanie, z którem żadna szkoła postępowa, żadna bibljoteka lub muzeum, z którem żaden kościół dzisiejszy równać się nie może, miałoby się niczem innem zakończyć, jak zdziczeniem i zepsuciem szerokich mas ludowych, jak to wrogowie nasi zawsze twierdzą?

Nie, w to nie wierzą sami nasi wrogowie; a najlepiej wiemy z długoletniego doświadczenia, że tak nie jest!

Ruch zawodowy szerzy w szeregach dotąd jeszcze ciemnych i rozproszonych robotników uświadomienie i solidarność, a ta przynosi ruchowi robotniczemu — także i po nad kwestją ruchu zarobkowego — obfite plony. U wielkiej części robotników budzi się świadomość różności klas dopiero w walce o lepsze warunki pracy lub w walce obronnej przeciwko zniżaniu płacy i przedłużaniu czasu pracy.

Wtenczas wielka część uczuje najpierw nacisk i moc kapitału, nauczy się poznać swoją bezsilność wobec tego potężnego wroga, ale zarazem poznaje co jedność i łączność jest w stanie zdziałać, a myśli wszystkich mimowolnie przekraczają granicę czysto zawodową i udają się w dalsze sfery; robotnicy uznają, że nie powinni jedynie tylko w sprawach ich własnego zawodu postępować zjednoczeni, ale że wszyscy od kapitału zależni powinni podać sobie bratnią rękę, bez różnicy zawodu, aby także politycznie za pomocą ogólnego ustawodawstwa kapitał poskromić i zdobyć sobie podstawę do dalszych postępów.

Musimy pracować, każdej chwili pracować, jeżeli chcemy, aby nam następna chwila nie odebrała tego, co w obecnej chwili jeszcze mienimy się posiadać. Mamy wprawdzie zawsze przed oczami ten pocieszający fakt, że wciąż wzrastamy — to jest koniecznością natury. Ale chwast także rośnie, a jeżeli go zawczasu nie wypleniemy to może on wyrość ponad tę dla naszej egzystencji niezbędną roślinę i wyssa jej soki żywotne.

Odrodzenie.

„Każdego roku, z początkiem wiosny przychodzi i działa na naszego planetę jakaś siła, która pochodzi od słońca i przenika wszystkie żyjące istoty, przedewszystkiem jednak najwyższy i najwrażliwszy organizm, człowieka. Jego wysoko napięte struny brzmią wszechstronniej w kosmicznym rytmie aniżeli system nerwowy niższych istot. Zadaniem człowieka w czasach przyszłych będzie, aby z tej siły coraz więcej korzystać, ku coraz większemu dla siebie pożytkowi, w miarę jak się będzie uczył poddawać się tej sile bez przeszkód".

Słowa te wypowiedział jeden z najtęższych ludzi współczesnej Ameryki Prentice Mulford w rozprawie o uzdrawiającej i odradzającej sile wiosny. Nie jest to właściwie nowa, ale bardzo stara prawda, jedna z tych, o które ludzkość coraz mniej się troszczy, a raczej w swoim ogromie coraz mniej może się troszczyć.

Mulford żąda mianowicie tego w dwóch właściwych miesiącach wiosennych, w lutym i marcu, czego francuski pisarz Lafargue już dawno domagał się dla całej klasy robotniczej w swem dziele pt. „Prawo do lenistwa".

Indjanie i inne dziko żyjące szczepy, które silnego instynktu dla praw natury nie zatraciły jeszcze w gorączce i jarzmie pracy, jak ludy kulturalne, marzec i kwiecień nazywają słabymi miesiącami, tzn., że organizm ludzki w tej porze roku skłonny jest do bezczynności, bezwładu i spoczynku. Kto choćby powierzchownie zdaje sobie sprawę z doniosłości procesu regieneracyjnego (odrodzeniowego), przez który przechodzi świat zwierzęcy wskutek odnowienia pierza i uwłosienia, ten może mieć pojęcie, jak rewolucjonizujące siły czynne są w najwyżej stojącem zwierzęciu ssącem, w człowieku, aby przezwyciężyć coroczą odnowę komórek. Rozchodzi się tu poprostu o pewien rodzaj zmartwychwstania, odrodzenia.

Osłabiane zbytnio przez chorobę natury, lub ludzie u których rozpoczął się już proces uwiądu starczego, nie mogą znieść tego przewrotu, odnowy, spowodowanej przez wzmożone działanie słońca i umierają. Nie jest to tylko faktem tkwiącym w świadomości ludu, ale jest także faktem potwierdzonym przez statystykę, że w zwykłych stosunkach, a więc kiedy nie grasują epidemje, największa nieśmiertelność przypada na wiosnę, a jest także charakterystyczne, że najwięcej samobójstw zdarza się nie w posępnym listopadzie ale w rozsłonieczniony maju. Bo pomiędzy tem, co nazywamy duchem i ciałem, niema linji granicznej. Dlatego niedziw, że natury duchowo nadszarpane, łamią się właśnie pod wpływem odnawiającej siły wiosny.

Bardzo jasno i pięknie mówi o tem Mulford: „Największe i najpiękniejsze kryształy tworzą się z tego roztworu, który nie ulega żadnym wstrząśnieniom. Ciało nasze w wielkiej krystalizacji wiosennej podlega podobnym regułom. Aby korzystać z pełnego nieograniczonego dobrodziejstwa tej wielkiej siły wiosny, musi człowiek spoczywać, kiedy uczuje potrzebę tego — czy to w południe, czy o północy! Kto się zmusza do wysiłku umysłowego, czy fizycznego, kto tylko siłą woli pracuje wbrew instynktowi, jak to dziś czynią tysiące i tysiące ludzi i zmuszeni są to czynić, dzięki naszym nienaturalnym warunkom życiowym i nierozumnym stosunkom społecznym, ten powstrzymuje

działanie tej odradzającej siły, w zbrodniczy sposób utrudnia jej dzieło. Jest to jedna z tych wielu przyczyn, które pochylają ku ziemi ramiona, bielą włosy i tworzą zmarszczki"!

A jak zapobiec tym zgubnym przyczynom?

Wypowiedział to już Nitsche, choć był wrogiem socjalizmu: „kto nie może swobodnie rozporządzać przynajmniej trzecią częścią dnia, ten jest niewolnikiem". Stare żądanie klasy robotniczej ustawowego 8-godzinnego dnia roboczego byłoby pierwszym krokiem aby olbrzymiej większości członków kulturalnego narodu zapewnić potrzebny spoczynek, którego domaga się przedewszystkiem wiosna, aby im umożliwić korzystanie ze słońca i świeżego powietrza niezbędnego do fizycznej wegietacji.

Aby ludzkość mogła iść za głosem natury i współdziałać w procesie odnowy i odrodzenia życia, potrzeba jeszcze wielkich przewrotów społecznych. To powinno być bodźcem dla klasy robotniczej, aby przyspieszyć te przewroty.

Rozmaitości

Badania gieologiczne w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Tak jak w zwykłych latach, podobnie też w roku bieżącym ze strony królewskiego instytutu gieologicznego krajowego, podjęte będą w Wielkiem Księstwie Poznańskiem badania gieologiczno-agronomiczne. Wyniki zużytkowane zostaną w sposób kartograficzny, aby pogląd był łatwiejszy i szerszym sferom dostępny. Rzecz to ciekawa i ważna dla nas pod niejednym względem. Rolnik bowiem dowiedzieć się może, jakie są pokłady ziemi, ile w nich marglu, wapna, gliny, piasku i t. d. Przemysłowcy stwierdzić mogą, gdzie i w jakich warunkach możnaby np. zakładać cegielnie. Budownictwo poinformuje się, gdzie i w jakiej ilości znajduje się żwir, piasek, kamienie i t. d. Wreszcie niepoślednī pożytek przyniosą odnośne karty także dla tych, którym zależy na tem, gdzie i jak głęboko szukać trzeba wody.

Z Wielkiego Księstwa Poznańskiego opracowane są już karty: Wargowo, Owińska, Sady, Poznań, Oborniki, Łukowo, Skoki, Mur, Goślina, Dąbrówka, Górczyn. W pierwszej połowie roku bieżącego wyjdą karty: Czarnków, Gębice, Chodzież.

Opracowane gieologiczno-agronomicznie są już karty: Duszniki, Wielki Gaj, Rogoźno, Budzyń.

W roku bieżącym rozpoczęte będzie opracowanie powiatów wągrowieckiego i szamotulskiego.

Cena każdej karty wynosi 2 mk.

* * *

Przepowiednie na rok 1910. Głośny astronom Karol Flammarion przepowiada w „New-York Heraldzie" ludzkości koniec świata. Oto kometa Halleya zbliża się do ziemi ze straszliwą szybkością. Niedawno oddalona była od ziemi jeszcze o 326 miljonów mil angielskich, a obecnie już tylko o 140 miljonów. A więc w 76 dniach przebyła drogę 186 miljonów mil.

Chyżość ta jeszcze się powiększy, w miarę bliskości słońca. Dnia 20 kwietnia b. r. kometa zbliży się do ziemi na 51 miljonów mil od słońca i od tego dnia będzie widzialną. Dnia 18 maja głowa komety może znaleźć się w niebezpiecznie bliskiem sąsiedztwie ziemi, bo tylko w promieniu 16 miljonów mil. A ogon komety sięga na 20 do 35 miljonów mil. Może więc także ziemia dostać się w zakres jego wpływu.

Jeżeli kwasoród naszej atmosfery połączy się z wodorem ogona komety, wszyscy ludzie zginą z uduszenia się. Jeżeli zaś tylko kometa zabierze część gaśnika z atmosfery, nastąpi silne podniecenie wśród ludzkości, która zginie w szale radości i szczęścia. — A może nic nie nastąpi, jeżeli ogon komety jest cienki i lekki, bo wtedy atmosfera ziemska oprze mu się zwycięsko.

* * *

Czaszka z przed 600 tysięcy lat. Na ostatniem posiedzeniu londyńskiego instytutu antropologicznego przedstawił prof. Keith wynik długoletnich swych badań, a mianowicie czaszkę, znalezioną przed wielu laty w Gibraltarze. Czaszka ta pochodzi z czasów przedhistorycznych, a jest to z całą pewnością czaszka kobiety. Podług wielkości mózgu musiała kobieta ta być umysłowo bardzo rozwiniętą. Można prawie dokładnie obliczyć, że czaszka liczy najmniej 600 tysięcy lat. Szczęki i silny cały organizm żucia wskazuje na to, że kobieta ta przedhistoryczna żywić się musiała orzechami i korzeniami, a w każdym razie twardemi przedmiotami. Ludzie, którzy w tej epoce żyli, musieli mieć niezwykle długie ramiona, nogi krótkie, nos długi, plecy szerokie. Poczynione pomiary wykazały, że i organ mowy wysoko był rozwinięty. Ludność ówczesna utrzymywała się z polowania i rybołóstwa.

* * *

Proces o przekupstwa w Ameryce. 60 urzędników magistratu w Pittsburgu jest pod zarzutem przekupstwa. Sędzia śledczy przed ogłoszeniem listy oskarżonych udzielił im 24-godzinnej zwłoki, obiecując, że jeśli w ciągu tego czasu przyznają się do winy i opuszczą swe stanowiska, zostaną uwolnieni od odpowiedzialności sądowej. Jakoż niebawem zgłosiło się 16 urzędników, prosząc o dymisję i składając zeznania. Są między nimi ludzie, których nazwiska były otaczane wielkim szacunkiem. Ponieważ wielu innych oświadczyło gotowość podania się do dymisji, przedłużono zwłokę jeszcze o dobę. — Proces ten wznieca oburzenie na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Prokuratorja dowiedziała się o przekupstwach dzięki zeznaniom byłego radcy miejskiego w Pittsburgu Johna Kleina. Osądzony w więzieniu za korupcję, zdradził swych kolegów, mszcząc się na nich za to, że podczas jego uwięzienia nie chcieli płacić jego rodzinie po 100 dolarów tygodniowo.

* * *

Największy tłuścioch. W tych dniach — jak donoszą pisma paryskie — umarł w Auwergne sędzia pokoju Rolland, jak się zdaje najotylszy i najcięższy człowiek na świecie. Ważył 258 kilogramów, obwód jego klatki piersiowej wynosił 1,83 mtr., a brzuch nie dozwalał mu ani na chodzenie, ani nawet jazdę wózkiem. Koleją nie mógł także jeździć, gdyż nie mógł się zmieścić do drzwi przedziału. Z pomieszkania do biura wożono go wózkiem umyślnie zbudowanym. Wózek stawiono na tylnych kołach pionowo, wpychano tłuściocha do niego, a następnie przywracano wózkowi położenie poziome i zaprzęgano konie. Przed biurem odprzęgano konie i w powyższy sposób wydobywano pana sędziego. Do trumny włożono zwłoki przy pomocy dźwigni. Zwłoki z trumnami cynkową i drewnianą ważyły przeszło 5 centnarów, a musiano wybić otwór w ścianie, gdyż drzwi domu dla nich były za wązkie. Na cmentarz odwieziono zwłoki na wozie drabiastym, gdyż karawan był za słaby.

Z literatury i sztuki

Numer 13 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera następujące artykuły: M. Hantowerówna: Pamiętnik jedynaczki. — H. W.: Katechizm kadetów. — Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — J. K.: Na skórzanej łodzi. — Br. B.: Wielkanoc. — M. Konopnicka: Pod lasem. — Wł. W. Sz.: O głupim, co się niczego nie bał. — Ze świata. — Br. Ostrowska: Dym. — J. Ciembroniewicz: Kłopoty Pana Zająca. — Łamigłówki. — Rozwiązania. — Do czytelników. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Krowoderska 45; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143. Prenumerata kwartalna 2 kor., w Warszawie 90 kop.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 15. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 kwietnia 1910.

Zawsze wesoło, majstrze?

Stary majster tkacki Wroński spieszył się do domu. Było bardzo zimno. Kto z przechodniów go spotkał, podnosił głowę i pytał:

— Zawsze wesoło, majstrze?

A Wroński odpowiadał:

— Tak, tak, jakoś to idzie!

Wroński marzł mimo kożucha. Lecz to nie mróz krzywił w grymas jego zwiędłe usta. Przechodnie jednak myśleli w półmroku zimowego wieczoru, że widzą u Wrońskiego zwyczajne wesołe oblicze i stwierdzali w duchu: „Stary Wroński pozosłanie zawsze tym samym. Oto ci biedacy tkacze znowu strejk przegrali, nędza pozostanie ta sama, ale stary Wroński głowy nie zwiesił“.

Byli nawet Wrońskiemu wdzięczni za jego wesołą odpowiedź na ich pytanie, uspokajała ich ona. Widocznie tkaczom śmierć głodowa jeszcze nie grozi, skoro stary tkacz Wroński nie stracił jeszcze humoru.

Wroński pobrał właśnie zapomogę strejkową. Wypłacano już tylko 50 hal. dorosłym tkaczom, a 15 dla dziecka. W zimie, kiedy musiało się wydawać 20 hal. dziennie na opał, jeśli człowiek nie chciał zamarznąć! A i to musi się wreszcie skończyć! Kasa strejkowa była już prawie wyczerpana i nic to nie mogło pomóc, że z 2600 tkaczów już tylko 357 trzeba było zapomogę wypłacać.

Nic też dziwnego, że w biurze strejkowem panowała atmosfera rozpaczliwa. On, Wroński, chciał dlatego zażartować sobie, by innych tam obecnych rozweselić.

„Chłopcy — powiedział — doprawdy niewiem, czego się tak smucicie. Posłuchajcie, jakbyście najłatwiej wyszli na koniec z waszymi halerzami. Dziesięć halerzy końskie mięso — będziecie mieli znakomitą pieczeń, do rynki przyjdzie za 5 hal. smalcu — czego jeszcze chcecie? Żaden radca niema lepszego obiadu. I dalej: dziesięć halerzy chleb, dziesięć palony jęczmień — znacznie zdrowszy od kawy — dziesięć drzewo i węgiel, no i jeszcze zostanie wam 5 halerzy. Tych 5 hal. należy włożyć na pocztową książeczkę oszczędności, by zebrać jaki grosz na czarną godzinę“.

Kilku ten żart rozśmieszył, jeden jednakże przystąpił do Wrońskiego i zwymyślał go za to, iż kpi sobie z jego nędzy.

— „Chodź ze mną — krzyczał ten tkacz — popatrzysz się na moją córeczkę, jak leży w trumience, potem, potem nie będziesz dowcipkował“. Poczem ten biedak wybuchnął płaczem i zaczął jak szalony krzyczeć:

— Ale raczej dam jedno i drugie z moich dzieci, chociaż tak mi są drogie, niż miałbym wrócić do pracy na tych samych nędznych warunkach, zanim wrócę do warsztatu za tę psią zapłatę. Towarzysze, przyrzeknijcie, że wytrwamy w walce aż do zwycięstwa!

Ten okrzyk zbolałego ojca wzniecił znowu dawny zapał i wszyscy za wytrwaniem w strejku głosowali — jeszcze raz. Jak długo jeszcze? Nadziei nie było w żadnej twarzy, kiedy szli do domu.

Im bliżej był Wroński swego domu, tem posępniej zwieszał głowę. Co się z nim stanie, jeśli straci swój dobry humor? Na tę myśl, aż strach zdjął starego tkacza. To byłoby tak, jakby wędrujący za zarobkiem czeladnik zgubił swój kij zamaszysty. Z kijem można sobie wszędzie poradzić. Nie jest on w czasie wędrówki konieczny, ale zawsze to z nim raźniej i bezpieczniej.

Stary Wroński miał zwyczaj wstępować zawsze do sąsiadów, zanim wchodził do swojej izby.

W izbie sąsiadów było piekielnie gorąco. Gospodyni grzała się przy piecu. Gospodarz, inwalida tkacki, siedział w łóżku i walczył z atakiem kaszlu.

Wreszcie wydobył z siebie: „Jakże, zawsze wesoło, majstrze?“

I znowu Wroński odpowiedział: „Tak, naturalnie, jakoś to idzie!“

Stary uniósł się nieco w łóżku i zapytał: „A strejk?“

Wroński zdał dokładną relację.

— A więc przegramy, tak jakby przegramy — rzekł chory.

Stara westchnęła pod piecem: „Wszystko nadaremno, wszystko znowu nadaremno! Boże, dlaczego, dlaczego?“

Mężczyźni patrzyli posępnie przed siebie. Po jakiejś chwili chory tkacz zaczął na nowo: „No, ja już wkrótce nie będę wiedział, co to nędza, już wkrótce będę zbawiony“.

Położył rękę na schorzałe piersi i mówił wśród nieustającego kaszlu: ale cóż mi dało moje życie? Powiedz ty mi to, Wroński! Ja nie wiem!“

— Mało, naprawdę mało — rzekł Wroński — nędza kiedyśmy byli w kolebce, tosamo kiedyśmy się później bawili w wieku chłopięcym, a później, później, to już wiesz jak to było“.

— Masz słuszność, Wroński, to też było wszystko.

Wtem znowu dawny humor przebiegł po twarzy starego Wrońskiego. Wskazywał na starą kobietę pod piecem, której ciało puchlina wodna zniekształciła, i patrząc na chorego tkacza, groził mu palcem.

— Młoda kobieto — mówił do staruszki — czy mężulek znowu strzelił głupstwo?

Oboje staruszkowie śmiali się wesoło.

Wroński wszedł do swojej izdebki. Było w niej strasznie zimno. Dotychczas było Wrońskiemu zawsze w tej izdebce dobrze i wesoło. Teraz wydała mu się ponurą, straszną. Zimno i głęboki mrok zdusiły resztki wesołości, ktorą wyniósł z ciepłej chałupiny sąsiadów. Po ciele starego tkacza przeszedł dreszcz trwogi, taką pustką i takim smutkiem przemówiły doń ściany dotychczasowego jego pałacu.

Poczuł, że jest osamotniony.

Żonę dawno już pogrzebał, a jedynego syna przemocą z domu przepędził, by nie nauczył się tkactwa. Teraz jest straganiarzem. Ale on sam, stary Wroński? Jakże to tak nagle stracił odwagę?

Prawdopodobnie łączy się to ze strejkiem. Całe życie spodziewał się końca nędzy i on w tej nadziei nędzę tę wesoło znosił, ostatni strejk miał mu przynieść ulgę. Bo w istocie, było to nieludzkie, by człowiek cały tydzień harował od świtu do nocy i w sobotę przynosił do domu sześć do siedmiu koron. Trzeba było raz z tem skończyć i to za każdą cenę.

Strejk, który się tak ładnie zaczął, skończył się nieszczęśliwie i tak przepadła cała nadzieja.

Wroński spoglądał na swój warsztat tkacki. Stojaki

nieznacznie się odbijały w słabem świetle od jasnej tapety. Stary to warsztat, pełno w nim robactwa, ale gdyby się tak ktoś na nim powiesił, napewno by się nie złamał.

Nagle zerwał się przerażony. To stara sąsiadka zapukała do drzwi: czyby też Wroński nie zechciał jej przynieść wody z pod młyna?

Wroński zgodził się z ochotą i poszedł z konewką ku młynowi. Pięć stromych stopni prowadziło do wody. Ciemna toń wody rozlewała się tuż pod śliskiemi, lodem pokrytemi schodami.

Już na pierwszym stopniu Wroński stracił równowagę. Nie starał się jej odzyskać. Zjeżdżał cicho. Nawet nie krzyknął. Objęła go zimna, bezlitosna, jak życie głęboka toń wody.

— Mądry głupiemu ustępuje — pomyślał Wroński.

Wkrótce fala wyniosła Wrońskiego na krę.

Kiedy około północy wszedł księżyc nad młynówkę, zaświecił prosto w twarz tkaczowi, jakby chciał go zapytać: „Zawsze wesoło, majstrze?“

A Wroński uśmiechał się do bladego księżyca weseło, wesoło...

Jakby chciał odpowiedzieć: „Tak, tak samotny mój przyjacielu, jakoś to idzie!“

O kometach.

(Ciąg dalszy.)

Hypoteza kosmogoniczna Laplace'a stosuje się więc tylko do słońca i planet (wszystkich planet, łącznie z planetami planet, tj. satelitami — księżycami ziem), a opiera się na tem: 1) że wszystkie te ciała niebieskie obiegają dokoła wspólnego mechanicznego środka układu słonecznego: a) w tym samym kierunku kątowym (z zachodu na wschód), b) w drogach prawie kołowych, c) leżących w przybliżeniu w jednej płaszczyźnie — ekliptyce; 2) że w grupach planetowych (każdej planety z jej satelitami, jak ziemię z księżycem) ciała je składające obiegają dokoła środków mechanicznych tych grup znów a) w tym samym kierunku ze wschodu i zachodu, b) po drogach prawie kołowych i 3) leżących przybliżenie w ekliptyce; oraz wreszcie 3) że wszystkie ciała układu słonecznego wirują dokoła swych osi również a) w tym samym kierunku z zachodu na wschód i b) w płaszczynach, leżących przybliżenie w ekliptyce. Otóż komety perjodyczne obiegają dokoła mechanicznego środka układu słonecznego a) w kierunkach rozmaitych, b) po drogach eliptycznych bardzo wydłużonych, a więc od kształtu kołowego bardzo odległych i c) leżących w płaszczynach najrozmaitszych, tj. pochylonych do ekliptyki pod wszelakiemi kątami. Taka wybitna różnica w sposobie krążenia w układzie słonecznym planet i komet perjodycznych — z jednej strony umacnia uzasadnienie hypotezy kosmogonicznej Laplace'a w zastosowaniu do planet z drugiej — wydziela z układu słonecznego komety perjodyczne, jak ciała z pochodzenia mu obce i tem samem wiąże je w jedną całość z ciałami i obecnie układowi słonecznemu obecnie kometami nieperjodycznemi.

Jak z tego widzimy, zagadnienia kosmogonicznego dla komet i planet hypoteza Laplace'a nie rozwiązuje. Zagadnienie to też dotychczas nie zostało w najmniejszej mierze rozwiązanem. Komety są dotychczas ciałami tajemniczego pochodzenia i prawdopodobnie nie wiążą się również pochodzeniowo w rozwoju układu gwiazd — zwanego układem drogi mlecznej — według tejże hypotezy Laplace'a. Luźne przypuszczenia, co do pochodzenia komet podamy jeszcze na końcu niniejszego artykułu.

Ale obok nierozwiązalnego kosmogonicznego zagadnienia dla komet wysuwa się inne nie mniej ciekawe zagadnienie — zagadnienie dzisiejszego bytu komet w przestrzeni kosmicznej.

Rozwiązanie tego zagadnienia wiąże się z naszem obecnem pojęciom o stosunku wszystkich ciał niebieskich do przestrzeni — a stosunek ten wynika znowu z zasady powszechnego ciążenia.

Wbrew przyjętej, a słusznej zupełnie w znaczeniu porównawczym — klasyfikacji ciał stale ukazujących się na niebie: na gwiazdy stałe i planety — t. zw. gwiazdy stałe nie są nieporuszającemi się ciałami, bo z punktu widzenia teorji ciążenia — ciał niebieskich, któreby się w przestrzeni nie poruszały, niema i być nie może. Wszystkie więc gwiazdy stałe, a w ich liczbie i słońce, nie „stoją“ w przestrzeni, lecz się poruszają, a mianowicie krążą według praw Keplera dokoła pewnych, rozmaitego rzędu, środków ciążenia i przez to krążenie utrzymują się w równowadze przestrzennej. Takie krążenie układu słonecznego w przestrzeni gwiazdowej pozwala nam poznawać tę przestrzeń, a przez to poznanie dowiadujemy się, że w przestrzeni kosmicznej „bardzo gęsto“ krążą komety, gdyż układ słoneczny stale z nowemi kometami się spotyka. Z tego wyprowadzamy dajej wniosek, że obecne komety perjodyczne układ słoneczny „nabył“, „ponabywał“ przez spotykanie. Wszystko to składa się na nowe, szóste orzeczenie o kometach, że komety „gęsto“ krążą w przestrzeni międzygwiazdowej i przy spotykaniu się z układem słonecznym stają się widzialnemi, przyczem przez działanie siły przyciągającej układu słonecznego mogą się do układu tego na stałe przyłączać lub nie przyłączać.

Dzięki swej sile, przyciągającej układ słoneczny, przebiegając w przestrzeni, czyni w ruchach komet, które napotyka na swej drodze, zaburzenie, podobne do tego, jakie w pyle nadrożnym czyni wóz, przejeżdżający po drodze. Komety zwracają się ku środkowi mechanicznemu układu słonecznego, ale że mają własne ruchy i że układ słoneczny, który je przyciąga, sam się porusza, więc nie spadają na ten środek wprost, lecz zakreślają dokoła niego łuki. I te z komet, których pędy są dość silne, aby siłę przyciągającą układu słonecznego przezwyciężyć, mylą tylko mniej lub więcej pierwotną swą drogę i uchodzą w przestrzeń bezpowrotnie; te zaś z komet, których pędy — zależące od gieometrycznej różnicy prędkości ich i układu słonecznego — nie są dość silne dla ostatecznego przezwyciężenia przyciągania, wkraczają na zamknięte drogi krążenia — i przez to sprzęgają się z układem słonecznym na stałe, stając się przez to kometami perjodycznemi. Przy takiem pochodzeniu komet perjodycznych drogi zamknięte tych komet oczywiście nie mogą wykazywać takich norm szczególnych, jakim podlegają drogi planet.

Newton, jak widzimy, podał sposób ścisłego określania dróg komet. Pierwszą, podług metody Newtona, określoną drogą komety perjodycznej była właśnie droga komety Halley'a

Halley w 1682 r. obserwował drogę komety, która otrzymała później jego nazwisko, i znalazł ją później identyczną z drogą komety, obserwowanej w r. 1607 przez Keplera. Z tego wywnioskował, że obserwowana przezeń kometa jest tą samą, którą przed przeszło 75 laty obserwował Kepler. Idąc wstecz, znalazł w kronikach wiadomości o komecie, widzianej w r. 1531, t. j. o jeszcze 75 lat (z ułamkiem) wcześniej, i w ten sposób stwierdził, że kometa jego jest perjodyczną, że ma przesło 75-letni okres obiegowy i że podlega obserwacji po raz trzeci. W następstwie kometa Halley'a istotnie ukazała się w latach 1759 i 1835. W roku bieżącym będzie ona obserwowana po raz szósty.

Droga komety Halley'a określa się w liczbach następujących.

Z okresu obiegowego komety 75 lat z ułamkiem na zasadzie trzeciego prawa Keplera wynika, że jej średnia odległość od słońca wynosi w przybliżeniu 18 średnich odległości ziemi od słońca, gdyż:

$$(18)^3 : 1 = (75...)^2 : 1$$

czyli $(18)^3$ jest tyleż razy większą liczbą od jedności, przedstawiającej miarę średniej odległości ziemi od słońca, ile razy $(75...)^2$ jest liczbą większą od jedności, przedstawiającej miarę czasu obiegu ziemi dokoła słońca, t. j. roku. W skróceniu dlatego, że

$$(18)^3 = (75...)^2$$

przytem, że 18 oznacza liczbę średnich odległości od słońca, a 75... — liczbę okresów obiegowych dokoła słońca tej samej planety, mianowicie ziemi.

Przysłoneczna odległość komety Halley'a, dająca się określić bezpośrednio, jest bardzo mała i wynosi tylko 0,6 średniej odległości ziemi od słońca, co znaczy, że w przysłonecznej części swej drogi kometa Halley'a przechodzi

pomiędzy słońcem a ziemią, a nawet pomiędzy słońcem a Wenerą.

Przy takich odległościach średniej i przysłonecznej (najmniejszej) odległość odsłoneczna (największa) komety Halley'a wynosi:

$$2 \times 18 - 0{,}6 = 35{,}4$$

średnich odległości ziemi od słońca, t. j. przekracza drogę najdalszej planety, Neptuna.

Odległość międzyogniskowa drogi komety Halley'a wynosi oczywiście:

$$2 \times 18 \times 2 - 0{,}6 = 34{,}8$$

średnich odległości ziemi od słońca. Dwie z liczb powyższych : 34,8 i 0,6 — przy znanej średniej odległości ziemi od słońca:

150.000.000 kilometrów

dają w kilometrach odległości międzyogniskowe i przysłoneczną drogę komety Halley'a, a temi dwiema odległościami, jak widzieliśmy, droga eliptyczna określa się w całości — z wyjątkiem położenia jej płaszczyzny.

Komecie Halley'a, która pierwsza dała możność określenia drogi komety, sądzonem jest w roku bieżącym po raz drugi posunąć znakomicie naprzód nasze wiadomości o kometach, a to dzięki temu, iż da się ona oglądać z odległości tak blizkiej, jak żadna inna kometa, a widzianą była po raz ostatni przed 75 laty. Oczywiście przez te 75 lat technika astronomiczna zrobiła znakomite postępy. Powstały udoskonalone instrumenty i nowe metody, których brak nie pozwolił przed 75 laty wyzyskać bliskości komety Halley'a tak, jak to będzie możliwem w r. b. Wśród tych nowych metod pierwsze miejsce zajmuje fotografja, która obecnie staje się jednem z najdzielniejszych narzędzi astronomicznych i dzięki której wykryto wiele gwiazd, niewidzialnych przez teleskopy, tak iż dzięki niej obok grup gwiazd: widzialnych (gołem okiem) i teleskopowych powstała nowa, wciąż zwiększająca się grupa gwiazd fotograficznych. To też obecnie do obserwowania komety Halley'a czynią się powszechne przygotowania, obejmujące między innemi wysyłanie na środek Oceanu Spokojnego specjalnego obserwatorjum na okręcie, aby i z tej części ziemi — przez specjalnie czyste powietrze największego z oceanów — kometę Halley'a obserwować. W przygotowaniach tych jedno z pierwszych miejsc zajmują przygotowania fotograficzne.

Obecnie nasze wiadomości o stanie fizycznym komet przedstawiają się jak następuje:

W połowie zeszłego stulecia odkryto niespodziewany, czyniący wrażenie czegoś nadzwyczajnego, środek poznawania składu chemicznego i fizycznego ciał niebieskich, który w skróceniu nazywa się stanem fizycznym ciał niebieskich w ogólności. Środkiem tym jest tak zwana analiza spektralna.

Analizą spektralną nazywa się badanie widma światła. Analizą spektralną danego ciała niebieskiego jest więc badanie widma światła, pochodzącego od tego ciała niebieskiego.

Widmem nazywa się obraz promienia światła, rozłożonego za pomocą przezroczystego pryzmatu (tj. klina z jakiegoś ciała przezroczystego, np. szkła) na barwy, które są częściami składowemi tego promienia. Każda z tych barw przedstawia światło proste, dalej już nie dające się rozkładać przez pryzmat. Światło, rozkładające się przez pryzmat na widmo, jest więc światłem, zmięszanem z rozmaitego światła prostego, jednobarwnego, światłem złożonem. Światło białe jest światłem złożonem w całej proporcji z całej skali rozmaitego światła jednobarwnego. Przy innej proporcji składu światła złożonego, światło to nie jest światłem czysto białem. Przy bardzo odmiennej proporcji składu światla złożonego, lub przy składaniu się z niecałej skali światła jednobarwnego, światło złożone nie jest białem, lecz również barwnem. Barwy światła złożonego mogą być niekiedy zupełnie takiemi samemi, jak barwy światła prostego, są one jednak w pierwszym wypadku rozkładalnemi przez pryzmat, w drugim nie. Barwy światła złożonego nazywają się nieczystemi w przeciwieństwie do barw światła prostego, które nazywają się czystemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klątwa na Kopernika.

Sądzimy, że z zadowoleniem czytelnicy wezmą do ręki dosłowny przedruk (w tłomaczeniu polskiem) tekstu klątwy, jaką przed blisko trzystu laty kościół rzucił na Mikołaja Kopernika, księdza polaka, który po raz pierwszy w swej książce „O obrotach ciał niebieskich" stwierdził rachunkiem naukowym, że ziemia obraca się dokoła słońca, a nie, jak pismo św. nauczało, słońce około ziemi.

Klątwa ta, rzucona na posiedzeniu Świętej Kongregacji z dnia 5 marca 1616 brzmi:

„Ponieważ doszło do wiadomości Świętej Kongregacji, że owa fałszywa nauka pitagorejska a pismu św. z gruntu przeciwna o ruchomości ziemi a nieruchomości słońca, nauka, którą Mikołaj Kopernik wykłada w książce o obrotach ciał niebieskich (a Didacus Astunica w Jobie) już rozpowszechnia się i przez wielu jest uznawana, jak to widać z świeżo wydanego listu karmelity Pawła Antoniego Foscarini, w którym autor usiłuje dowieść, że wymieniona nauka o nieruchomym słońcu w środku wszechświata a ruchomości ziemi zgodna jest z prawdą a nie sprzeciwia się pismu św.:

wobec tego, ażeby tego rodzaju mniemanie dalej nie szerzyło się ku zgubie prawdy katolickiej, postanawia Swięta Kongregacja, wymienioną książkę Mikołaja Kopernika obłożyć klątwą dopóki nie zostanie poprawiona (donec corrigatur!). Książkę zaś o. Foscariniego, karmelity wogóle postanawia zakazać i potępić, jakoteż wszelkich wogóle książek, uczących taksamo zakazać, które też wszystkie dekretem niniejszem potępia, zawiesza pod klątwą i zakazuje. Który to tekst dla wiarygodności podpisem Prześwietnego i Przewielebnego Kardynała od św. Cecylji biskupa Albańskiego został podpisany i stwierdzony dnia 5 marca 1616".

Pyszne jest żądanie św. Kongregacji, aby Kopernik, który dawno już nie żył, poprawił w swej książce to właśnie, co genjalnym umysłem odkrył i uzasadnił, co stanowi dlań chlubę największą, czyniąc go jednym z najwspanialszych gienjuszów ludzkości. Może być, że gdyby Kopernik żył jeszcze wówczas, św. Kongregacja użyłaby energicznych środków jak np. wobec Galileusza lub Giordana Bruna, aby zmusić Kopernika do „poprawienia" swych odkryć.

Z górą 200 lat obowiązywał powyższy dekret św. Kongregacji wszystkich wiernych, którzy właściwie dziś jeszcze powinni go się trzymać, bo był on naprawdę logiczny. Kto uważa pismo św. za źródło wiarygodne dla poznania świata i ludzi, a więc i dla astronomji, ten pamiętając o słońcu, które na modły wodza żydowskiego stanęło na godzinę nad doliną Gabaonu, konsekwentnie i dziś jeszcze nie powinien uznawać za prawdę teorji Kopernika o obrocie ziemi około słońca.

Powstanie nowego lądu.

Niedawno temu mieli przyrodnoci sposobność dokładnego zbadania jednego z najbardziej ciekawych (interesujących) gieologicznych zjawisk w ostatnich latach. Było to powstanie nowej wyspy wskutek wybuchu podmorskiego wulkanu. Wyspa należy do grupy wysp Bogusława. Przy powstaniu jej był obecny amerykański parowiec „Albatros". Jeden z uczestników ogłasza w „American Magazin" bardzo interesujące szczegóły z wyprawy.

Pierwsza z wysp Bogusława, położonych w cieśninie Behringa pomiędzy Azją a Ameryką, poczęła się widocznie zwiększać od roku 1826. Później utworzyła się obok druga wysepka, nazwana Nowym Bogusławem; trzecia powstała w zimie 1886/87 r.; wreszcie w r. 1905 pojawiło się nad powierzchnią morza wulkaniczne wzniesienie, które nazwano stożkiem Metcalf Perry. Stożek ten zniknął w lipcu 1908 r., w miejsce jego utworzył się wąski pas lądu, który połączył starą i nową wyspę Bogusława i zajmował przestrzeń około czterech mil angielskich. Skoro tylko nadeszły wiadomości o tem wulkanicznem przekształceniu się grupy wyspy, wysłano na miejsce parowiec „Albatros" celem badania zja-

wisk. Dzięki temu znajdujący się na jego pokładzie uczeni byli naocznymi świadkami tego jedynego w swoim rodzaju widowiska.

W pewnem miejscu oceanu — opowiada jeden z uczestników wyprawy — powierzchnia wody poczęła się piętrzyć wysoko i opadać. Odnosiło się wrażenie, że jakaś olbrzymia siła wyrzuca z głębin morza bańki pownętrze, które pękają wśród dymu i pary. Wybuch podmorskiego wulkanu stawał się z każdą chwilą coraz gwałtowniejszy, wydawało się, że morze i niebo łączą się w jeden chaos. Powierzchnia oceanu kipiała, wyrzucając kłęby dymu, niby piec olbrzymi. Coraz też częściej wykwitały z pośród fal słupy ognia, padały pociski lawy i bloków skalnych. Słup dymu rozciągał się na przestrzeni mniej więcej trzech mil angielskich, żar stawał się nie do zniesienia. Od czasu do czasu rozlegał się huk wybuchów, niby wystrzałów z niewidzialnych olbrzymich armat. Żar dokuczał bardzo załodze „Albatrosa", odczuwano go w obwodzie 50 mil angielskich; także woda morska rozgrzała się na znacznej przestrzeni. Wieczorem zapłonęły na niebie krwawe łuny, przyciemniane kiedy niekiedy chmurami dymu. Wyrzucone w górę masy spadały w nieoziębionym stanie z sykiem i hałasem w fale morza, wzburzając fale do tego stopnia, że „Albatros" kołysał się ciągle jak mała łódka. Deszcz popiołu padał ciągle naokół. Wreszcie dokoła ognistego słupa poczęła się tworzyć ciemno-brunatna stała masa o nieregularnym kształcie.

Z zionącej żarem głębi wyłaniał się powoli nowa ląd. Lawa wypełniała przestrzeń między kraterem wulkanu a powierzchnią morza i wychyliła się ponad nią. I rosła coraz bardziej i bardziej wśród ciągłego wybuchu wulkanu, aż wreszcie krater znalazł się na wysokości 1000 stóp. Podczas przebiegu niezwykłego zjawiska zdjęto szereg fotografji. Nieco później zawinął do nowego lądu amerykański parowiec „Perry". Załoga wysiadła, aby zatknąć na lądzie flagę amerykańską. Ziemia była jeszcze rozpalona, gdy w rozpadlinę skalną włożono termometr, rtęć tak gwałtownie się podniosła, że rurka pękła. Mimo grożących niebezpieczeństw zbadano powierzchnię nowej wyspy. Wybuch wulkanu trwał jeszcze przez czas pewien, potem krater obsunął się, powierzchnia się zrównała, ziemi przybył nowy kawał lądu stałego.

Rozmaitości

Chińska wieprzowina. Parowiec „Count Murawiew" przywiózł do Liverpoolu w Anglji 6000 zabitych wieprzy z Chin. Chociaż ładunek był w dobrym stanie, władze nie dopuściły wylądowania, ponieważ dostawcy na chiński sposób poodcinali świniom tylne nogi, wskutek czego mięso nie odpowiadało przepisom przewozowym. Zamierzano następnie ową chińską wieprzowinę dowieść do portów kontynentalnych, lecz z nielepszym sukcesem. Dowóz świń chińskich jest rzadkością, bo świnie w Chinach służą do czyszczenia ulic i pożerania wszelkich nieczystości, wskutek czego mięso ich staje się obrzydliwem.

* * *

Zużywanie wieprzowiny. Największe zapotrzebowanie wieprzowiny wykazuje Księstwo Brunświckie. Podług statystyki rzezi w przemyśle, z wyłączeniem rzezi domowej, przypadło tam w r. 1909 na głowę ludności rocznie przeciętnie blisko 43 kilogr. Trzeba tu atoli uwzględnić, że Brunświk jest środowiskiem niemieckiej fabrykacji kiełbas i konserw mięsnych. W Berlinie przypadło rocznie na głowę ludności 29 kg.; w Bawarji 21 i pół kg.; tyleż prawie w Brandenburgji i w Sakconji. W Poznańskiem zapotrzebował w r. 1909 przeciętnie każdy mieszk niec 16 i pół kg., w Prusach Zachodnich 16 kg., w Prusach Wsodnich 14 kg. Najniższa jest więc konsumcja mięsa w tych ostatnich rolniczych prowincjach.

* * *

Pożywienie proletarjatu. Niejakaś robotnica John w Wilhemsruhe pod Berlinem kupiła na targu od rzeźnika Kühna z Berlina funt mięsa za 55 fen. Przekonawszy się w domu, że było zepsute, odniosła je rzeźnikowi, żądając zwrócenia pieniędzy. Rzeźnik nie chciał mięsa odebrać, ani oddać pieniędzy za ów ścierw. Kobiecina zaniosła więc mięso na policję, gdzie weterynarz stwierdził, że przeszło zupełnie w zgniliznę i niezdatne było na pożywienie dla ludzi. Niesumienny rzeźnik odpowiadał za to przed sądem w Berlinie, który go skazał za przestąpienie ustawy o artykułach spożywczych na miesiąc więzienia. — Rzeźnik tłomaczył się, że mięso kupił dnia poprzedniego w hali targowej jako świeże, i umieścił je w chłodniku; nie pojmuje więc, jak się mogło zepsuć; zepsucie się nie było mu zresztą wiadomem. Wykręty nic mu jednak nie pomogły.

* * *

Wybuch Etny. Na Etnie utworzył się nowy krater (otwór), z którego spływa ognista lawa zamieszkałe okolice Wybuchom lawy towarzyszą silne wstrząśnienia ziemi. Lawa zagraża kilku miejscowościom. Ludność ucieka w dzikim popłochu. Według ostatnich telegramów utworzyło się kilka nowych kraterów.

* * *

Przebudzenie w trumnie. Z Madrytu donoszą: W wiosce Gijon złożono w kaplicy cmentarnej zwłoki 6-letniej dziewczyny, którą lekarz uznał za umarłą. Gdy na drugi dzień weszli do kaplicy grabarze celem pogrzebania dziewczynki, spostrzegli z przerażeniem, że trumna jest otwarta a dziewczyna leży obok na podłodze. Nieszczęśliwe dziecko oddychało jeszcze. Zawezwano natychmiast matkę, ratunek jednak okazał się bezowocnym. Dziecko umarło pod wpływem przestrachu, jakiemu uległo, przebudziwszy się w trumnie z letargu. Lekarz z obawy zemsty ze strony wzburzonej ludności musial co prędzej opuścić wieś.

* * *

Plebiscyt szwedzki. Pobudzony korzystnemi następstwami zamknięcia szynków w kraju, w czasie przeszłorocznego strejku powszechnego, związek szwedzkich towarzystw przeciwalkoholowych zorganizował w listopadzie r. ub. powszechne głosowanie ludowe, w sprawie zakazu wyrobu i sprzedaży napojów upajających. Wezwano do głosowania wszystkie osoby liczące ponad 18 lat, bez różnicy płci.

Oblicza się dokładnie ilość głosów, oddanych „za" i „przeciw", a także ilość osób, wstrzymujących się od głosowania. Rezultat ostateczny z ca.ego kraju nie jest dotąd znany. Posiadamy dopiero wyniki z poszczególnych okręgów miejskiech i wiejskich, oraz z jednej prowincji: Jönköping. W prowincji tej wynik był następujący:

Na 113.571 mieszkańców, liczących ponad 18 lat, 92.496, czyli 81,5% oświadczyło się za zakazem alkoholu, a tylko 664 osoby były temu przeciwne, podczas gdy reszta wstrzymała się od głosu lub nie brała wogóle udziału w głosowaniu. W większej części gmin, z których wyniki już są wiadome, były one podobnego rodzaju. Abstynenci szwedzcy spodziewają się uzyskać 75% głosów, popierających zakaz napojów alkoholowych.

Takie dosadne potępienie sprzedaży i używania alkoholu przez ogół ludności nie pozostanie z pewnością bez wpływu na stanowisko rządu w tej sprawie, który ruchowi abstynenckiemu sprzyja, a w każdym razie jest to wielkie zwycięstwo moralne słusznej sprawy.

Z literatury i sztuki

Numer 14 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera następujące artykuły: M. Ilnicka: Wiosna. — Z. Lorec: Stułbia i jej życie w akwarjum. — Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — H. Z.: Może to być panie? — Ze świata: Muzeum oceanograficzne. — Aeroplan 6-klasisty. — Łamigłówka. — Rozwiązania

Adres Redakcji: Kraków, Krowoderska 45; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143. Prenumerata kwartalna 2 kor., w Warszawie 90 kop.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 16. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 kwietnia 1910.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

MATKA I SYN.

...Pani Andrzejowa, wdowa po techniku budowniczym który spadł z rusztowania i głowę o bruk roztrzaskał, po tragicznym zgonie męża nie miała prawie czasu na dłuższą boleść, bo się wnet posypały liczne nowe troski, które wprawdzie powoli, lecz stale przejmowały jej duszę do głębi, podobne do deszczu drobnego, co odzież najgrubszą przenika. Jej Michaś, który cudem niemal dostał się do szkoły realnej, wkrótce po pogrzebie ojca ciężko zachorował; doktorzy, lekarstwa, wpis: wszystkie te wydatki były przecież tak nieodzowne, a na zaspokojenie ich pani Andrzejowa miała — naparstek, nici i igłę.

...Fraszką jednak były dla pani Andrzejowej nadmiar pracy i kłopoty, których jej szybki rozwój Michasia dostarczał, w porównaniu z tem uczuciem radości i dumy, z jakiem rozpromieniona chodziła w niedzielę na spacer, prowadzona przez syna, co w trzeciej klasie był wzrostem jej równy, a w czwartej już przerastał matkę o pół głowy.

...Jasna ta jednak epoka w życiu pani Andrzejowej nie trwała zbyt długo... W piątej klasie Michaś już zarabiał na siebie lekcjami, przez co znaczną ulgę matce przynosił; lecz jednocześnie zaczęło się stawać coś, czego pani Andrzejowa pojąć w początku nie mogła, a co ją bolało niezmiernie.

Jakiś, zrazu nieznaczny, a potem coraz widoczniejszy, przedział tworzył się, niewiadomo skąd, pomiędzy nią a synem, rosnąc z dniem każdym. Michaś nietylko coraz rzadziej i obojętniej rozmawiał z matką, ale czasem wyraźnie jej unikał. Chodził niewiadomo dokąd, późno wracał, znosił jakieś książeczki, które w dzień chował w piecyku, a czytał po nocach; stał się poważnym, milczącym, gdy się zaś odezwał, to drwił nieraz z takich rzeczy, które w ich kamienicy uważano za nietykalne.

...Od czegóż jednak pani Andrzejowa była kobietą, która gdy kocha, ma więcej rozumu w sercu, niż mędrzec w głowie.

Póty więc męczyła się w noce bezsenne i łkała u stóp ołtarzy, aż poprostu odgadła, że między nim a nią tworzy się przepaść pojęć, wierzeń i myśli, przepaść, którą musi przeskoczyć, lub zginie.

...W długie wieczory, spędzane najczęściej samotnie, wydobywała książki syna z pieca i wertowała zawzięcie, chcąc naprzód poznać to źródło swej ciężkiej krzywdy. Okazało się jednak, że jestto proces nietylko nużący, ale chwilami okropny.

Nie mogąc zrozumieć, zgodzić wszystkiego ze wszystkiem, wdowa zapisała się do bezpłatnej bibljoteki i co niedziela wyczekiwała tam swojej kolei. Zdobyte w ten sposób książki wywarły na nią dodatnie wrażenie: wogóle jej się podobały, niektóre ją zachwycały.

...Pani Andrzejowa z coraz większą gorączką rozpoczynała ten tragiczny wyścig, w którym syn miał fory olbrzymie: dobre przygotowanie, młody umysł, stosowne towarzystwo, matce zaś brak uprzedniego wykształcenia, odosobnienie, samotność i ciężkich dwadzieścia lat nadwagi. Opuszczały ją też chwilami siły, gasły nadzieje, aż w końcu raz, kiedy już nie modliła się, ale wprost mówiła z rozpaczą, w głos do obrazu Marji Panny: „Matko najświętsza, wróć mi serce syna!“ — wszedł niespodziewanie Michaś. Usłyszawszy te słowa, zmieszał się nieco i wyszedł z pokoju. Powrócił jak zwykle późnym wieczorem i, choć zachowywał się naprzod obojętnie, pani Andrzejowa przeczuwała, że nadchodzi chwila stanowcza, skutkiem czego to zamierało w niej serce, to znów tłukło się szalonym rytmem, zwłaszcza wtenczas, gdy spotykała zagadkowy, jakby badawczy wzrok syna, który wnet się jednak odwracał, udając, że jest czemś mocno zajęty. Niestety, wieczór minął w tem drażniącem oczekiwaniu bez żadnych następstw. Pani Andrzejowa widziała tylko, że syn jej nie mógł zasnąć, bo słyszała z za parawanu, jak się długo kręcił na łóżku, zapalał papierosy, czasem wzdychał, a nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle, milczący i chmurny jak sfinks. Gdy zaś wrócił ze szkoły (był już w siódmej klasie), krążył dzień cały jak jastrząb koło matki, w której piersi zrywa się dziwny jakiś strach i niepokój za każdym razem, gdy się syn ku niej przybliżał, zmieniając się w gorzki żal, gdy odchodził w przeciwległy kąt pokoju, gdzie przypatrywał się z niezmierną uwagą obrazom, które znał oddawna, lub kręcił guzik munduru, jakby mu wiele zależało na tem, by go oderwać — a wszystkie te dziwaczne czynności spełniał z niezwykłem przejęciem i milczał przytem jak zaklęty. Raz tylko, gdy spostrzegł nową książkę u matki, spytał: Skąd to? a gdy się dowiedział, że z czytelni, wystąpił mu na twarz wyraz zdziwienia, a potem jakby chmura smutku, wstydu lub winy. Tymczasem w miarę zapadania zmroku wraz z ciemnością ogarniało panią Andrzejową jakieś nieokreślone uczucie ucisku i ciężaru w piersi; do tego dołączył się tępy ból w okolicy serca, który się rozchodził po plecach i lewem ramieniu.

...W tej właśnie chwili uczuła na ramieniu dłoń syna, w uchu słowo: „mamo!“ a na włosach pocałunek. I znowu ją chwycił ogromny jakiś lęk, pierś się ścisnęła tak mocno, iż nadludzkim wysiłkiem zdołała wydobyć ledwie szept, cichszy niż zapomniany grób: — Michasiu! Drugi pocałunek syna zwrócił jej przytomność i siły, spazmatycznie ścisnęła chłopca za szyję i rozpłakała się serdecznie, a później opanowawszy wzruszenie, jęła mu opowiadać wszystko: całą swą mękę, starania i zabiegi, czynione w celu odzyskania jego serca; wciąż mówiła głosem cichym i smutnym, lecz bez śladów boleści, jakby to wszystko było już tylko wspomnieniem dawno minionego nieszczęścia.

...Kiedy pani Andrzejowa skończyła, nastąpiła dość długa chwila drażniącego milczenia. Później Michaś, jakby w roztargnieniu, wziął rękę matki, zaledwie jednak dotknął jej szczupłych, szorstkich, pokłótych igłą palców, nie wytrzymał: zsunął się nagle z krzesła i znalazł się u jej kolan. Ona zaś wprost przerazona tem, co się dzieje, usiłowała w pierwszej chwili wstać, a gdy uczuła na swych dłoniach drżące usta syna i wilgoć łez, pozostała na miejscu bez ruchu, tając oddech w piersiach, jakby nie chciała stracić ani jednego wzruszenia, wypełniającego szczęściem jej serce, lub bała się spłoszyć nieprawdopodobne, roskoszne widzenie.

...Pani Andrzejowa była zupełnie szczęśliwą. Stosunek jej do syna zmienił się do niepoznania, chociaż ułożył się

w sposób trochę oryginalny, niejako odwrotny: Michaś stał się przewodnikiem, opiekunem, a nawet nauczycielem swej matki, a pani Andrzejowa — niejako młodszą siostrą i wychowanką własnego syna.

...Michaś również znalazł w pojednaniu z matką wiele przyjemnych niespodzianek, bo nietylko pełne ciepła i subtelnej tkliwości kochające serce, ale i umysł obdarzony niezwykłą intuinacjną inteligiencją, bogaty w znajomość życia i doświadczenia.

O kometach.

(Ciąg dalszy.)

Wykryto, że światło proste pochodzi jedynie od rozpalonych gazów, chemicznie prostych (pierwiastków) i że te same ciała gazowe, chemicznie proste, wysyłają w stanie rozpalenia światło zawsze tych samych barw czystych. Stąd z barw czystych, występujących w widmie światła, pochodzącego od danego ciała niebieskiego, można zawsze wywnioskować, jakie ciała gazowe, chemicznie proste, znajdują się w stanie rozpalenia w tem ciele. Z dającej się porównawczo oceniać jasności rozmaitych barw czystych w widmie, można porównawczo oceniać wysokość temperatury gazów chemicznie prostych, które wysyłają te barwy. Jest jeszcze wiele innych stosunków stałych pomiędzy szczegółami widma i szczegółami fizyczno-chemicznemi ciała, dającego to widmo. Szczegółów tych wszystkich przytaczać nie będziemy. Dodamy tylko jeszcze jedno: ponieważ gazy rozpalone wysyłają tylko barwy czyste, pochodzące od ich składników chemicznie prostych, więc światło gazów rozpalonych rozkłada się w widmie tylko na barwy czyste, które odpowiadają tym składnikom. Barwy te w widmie oddzielają się od siebie czarnemi przerwami, odpowiadającemi co do miejsca w widmie, temu światłu prostemu, którego dane gazy nie wysyłają. Widma więc światła gazów rozpalonych składają się z oddzielnych prążków barw czystych i jako takie nazywają się przerywanemi lub prążkowanemi.

Rozpalone ciała stałe wysyłają zawsze światło białe, którego składowe barwy czyste zajmują całą długość widma bez pozostawiania czarnych przerw i dla tego widmo światła białego ciał stałych nazywa się widmem ciągłem. Na widmie ciągłem światła białego mogą też być czarne przerwy, ale są to przerwy tylko pozorne. W istocie są one prążkami niektórych barw czystych, o tyle mniej jasnych, że wydają się czarnemi, a takie zmniejszenie się jasności niektórych barw czystych widma ciągłego ma miejsce wtedy, jeżeli światło białe ciała stałego przechodzi przez rozpalone gazy o temperaturze niższej, gdyż wówczas widmo prążkowane tych gazów — mniej jasne — pokrywa jaśniejsze widmo ciągłe ciała stałego, tak iż widmo ciągłe występuje w swej jasności tylko w przerwach pomiędzy prążkami widma prążkowanego gazów, a prążki tego ostatniego widma na tle jaśniejszego widma ciągłego wydają się czarnemi. Takie pozornie czarne prążki na widmie ciągłem nazywają się linjami Frauenhofera. Linje Frauenhofera są dla gołego oka niewidzialne, można je widzieć i badać jedynie przez lupę lub mikroskop. W spektroskopach, to jest przyrządach do badania widma, widzi się widmo przez mikroskop.

Linje Frauenhofera w widmie słońca świadczą o tem, że światło białe, wysyłane przez rozpalone stałe (lub ciepłe) jędro słońca, przechodzi przez rozpalone gazy atmosfery słońca i że ta atmosfera jest od jądra słońca chłodniejsza. Linje Frauenhofera widma słońca są widmem atmosfery słońca. Można się o tem przekonać, biorąc widmo atmosfery słońca, mianowicie widmo światła, pochodzącego z samego brzegu słońca. Widmo to składa się z prążków barwnych takich samych, jakiemi są barwy pozornie czarnych linji Frauenhofera na widmie ciągłem słońca. Linje Frauenhofera świadczą też o tem, z jakich gazów składa się atmosfera słońca.

Gdyby atmosfera słońca była gorętsza od jądra słońca, barwy prążków Frauenhofera byłyby nie ciemniejszemi, lecz jaśniejszemi od pozostałych barw widma ciągłego słońca i wydawałyby się nie czarnemi, lecz białemi, gdyż wówczas widmo prążkowane atmosfery słońca byłoby nie ciemniejszem, lecz jaśniejszem od widma jądra słońca. Przy jednakowej temperaturze atmosfery i jądra słońca — linji Frauenhofera nie byłoby wcale w widmie słońca, gdyż oba widma: prążkowane i ciągłe — byłyby jednakowo jasne i dlatego pierwsze na drugiem nie byłoby wcale widzialnem.

Widma komet są widmami słońca, tj. widmami światła białego, pokrytemi temi samemi linjami Frauenhofera, jakie występują w widmie słońca — ale ponadto jeszcze pokrytemi paru (dwiema, trzema) jasnemi linjami poprzecznemi. Skład słoneczny widm komet świadczy, że światło komet jest odbitem światłem słonecznem; dodatkowe zaś jasne linje — że oprócz tego światła odbitego, komety mają jeszcze własne światło, pochodzące od gazów, gorętszych od padających na kometę promieni światła słonecznego. Gazami temi są przeważnie węglowodory.

Zachodzi teraz pytanie o naturze własnego światła komet, światła gazów komet. Otóż badanie wielu komet wykazuje, że jasne linje tych widm potęgują się, wzmacniają swą jasność w miarę zbliżania się komet ku słońcu i że wogóle nie są stałemi częściami składowemi widm komet. Znaczy to, że własne światło komet tak samo jak i odbite powstaje w miarę zbliżania się komet do słońca, tak iż w oddaleniu od słońca komety są ciałami zupełnie ciemnemi. Przyjmijmy to za siódme orzeczenie o kometach.

Równocześnie też z jasnemi linjami widm komet powstają i ogony komet. Niektóre komety wogóle nie mają jasnych linji w swych widmach, nawet w pobliżu słońca. Komety te nie mają też wogóle ogonów. Są to komety bezogoniaste. Zachodzi więc ścisły związek pomiędzy światłem gazów, a ogonami komet, świadczący, że ogony komet składają się tylko z gazów.

Pozatem ogony komet są zawsze zwrócone w kierunku ściśle odsłonecznem, t. j. zajmują zawsze położenie na przedłużeniu linji, przechodzącej od środka słońca przez środek komety. Świadczy to, że ogony komet są złożone z materji gazowej, zmiennej, nie stale tej samej, lecz uchodzącej z komet w kierunku odsłonecznym, strumieniem, dającym zjawisko ogona komety. W przeciwnym wypadku, gdyby ogony komet składały się z materji, nie przechodzącej przez nie, lecz stale w nich pozostającej, to wobec tego, że komety poruszają się w pobliżu słońca po linjach krzywych, ogony komet musiałyby choć cokolwiek żdążać za ich jądrami i wykazywać choć jakiekolwiek skrzywienie. Znaczy to dalej, że słońce działa na gazy komet odpędzająco i że w pobliżu słońca gazy z komet ulatują. Komety bezogonowe i bezgazowe są widocznie kometami, z których materja gazowa już uleciała.

Gazy komet są oczywiście bardzo rozrzedzonemi. W fizyce znane jest zjawisko świecenia gazów rozrzedzonych przy przepuszczaniu przez nie prądu elektrycznego. Nasuwa się stąd objaśnienie, że własne światło komet jest świeceniem gazów komet pod wpływem przechodzących przez nie prądów elektrycznych, wzbudzonych w masie komet przez słońce, jako magnes. O tem, że słońce działa jak magnes, przekonywa wiele zjawisk na ziemi. Między innemi magnetyzm ziemi jest magnetyzmem, wzbudzanym przez słońce, o czem świadczy rozkład magnetyzmu na ziemi, odpowiadający ruchowi wirowemu ziemi. Komety więc są ciałami prawdopodobnie silnie magnetyzowanemi przez słońce. Magnetyzm komet wzbudza w kometach prądy elektryczne, które powodują świecenie się ich gazów, oraz może właśnie wypędzają te gazy z komet w kierunku odsłonecznym. Może to być ósmem orzeczeniem o kometach.

O fizyce komet wiadomem jest jednak jeszcze wiele ponad to, co powiedzieliśmy wyżej, a co poznano na zasadzie analizy spektralnej. Bogaty i płodny materjał do poznania komet dała obserwacja przemian, jakim ulega w niedawnej przeszłości jedna z komet, t. zw. kometa Biela.

W r. 1826 dostrzeżono na niebie nową kometę, a w roku 1833, dostrzeżono znów tę samą kometę, bo kometę przebiegającą po tej samej drodze, co tamta. Były to więc dwie obserwacje perjodyczne o krótkim okresie obiegowym, wynoszącym niecałych lat 7. Kometę tę nazwano kometą Biela. Za trzecim razem, w roku 1840 zamiast komety Biela dostrzeżono dwie komety, w nieznacznej od siebie odległości, poruszaszjące się po drodze komety Biela. Wo-

bec tej ostatniej okoliczności należało przypuszczać, że kometa Biela rozpadła się na dwie części. Szczególne to, jedyne w swoim rodzaju zjawisko sprawiło, że w r. 1846 ze szczególnem zainteresowaniem oczekiwano ukazania się komet Biela; ale komety te nie ukazały się wcale. Nie ukazały się też one i w terminach następnych, w latach 1853, 1859 i 1866.

(Dokończenie nastąpi.)

Śląsk cieszyński.

Pod tym tytułem wydał znakomitą książkę tow. Mieczysław Jarosz, redaktor „Górnika“ w Morawskiej Ostrawie. (Nakładem spółki wydawnniczej „Książka“ w Krakowie. Stron 172. — Cena 3 kor.). Książka ta wypełniła lukę, jaka panowała dotychczas w polskiej literaturze, gdyż dotąd monografji o Śląsku nie było. A w porę przyszło wydanie tej książki, gdyż właśnie przed naszemi oczyma rozgrywa się walka naszego robotnika o polskie szkoły. Wartość książki potęguje fakt, iż autorem jest działacz, żyjący i pracujący w stosunkach, które opisuje. Przy czytaniu tej książki staje nam żywo przed oczyma obraz tego dzielnego górnika polskiego, który nieustannie prowadzi na przemian walkę klasową i narodową, niepomny setek prześladowań jakie go spotykają.

Charakterystyczną bowiem cechą Śląska jest ścisłe zespolenie walki klasowej naszego proletarjatu z walką o prawa narodowe.

Wielki kapitał bowiem zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie reprezentują niemcy, zarząd fabryk i kopalń dzierżą czesi, a masy proletarjackie są polskiemi. Emancypacyjna walka ekonomiczna, walka klasowa górników polskich była podłożem, na którem rozwinął się potęgujący z każdą chwilą ruch narodowy, ruch o polskie szkoły. Walka klasowa zbudziła ciemne masy proletarjatu polskiego, uświadomiła w nich godność ludzką, zrobiła z nich kadry bojowe, z któremi musi się liczyć burżuazja czeska i niemiecka. Robotnik polski uświadomiony klasowo, zwalczający ucisk klasowy, nie mógł pozostać głuchym na ucisk narodowy i rozpoczął bój o równouprawnienie narodowe. Siłę proletarjatu polskiego wykazuje dobitnie fakt, iż chłop polski w powiecie bialskim, niemniej upośledzonym pod względem szkół ludowych, jak robotnik w powiecie frysztackim i frydeckim nie zdobył się na żaden głos protestu. Jedynie klasa pracująca głośno i energicznie dzierży sztandar walki o polską szkołę ludową — o jedyną oświatę robotnika. Ucisk narodowy skoncentrował się w ucisku szkolnym, w rabowaniu polskim dzieciom szkół ludowych. Proletarjat polski prowadzi tę walkę bez względu na prześladowania, jakie codziennie sypią się na niego ze strony dyrektorów i sztygarów czeskich. Czeska burżuazja okazała się nieskończoną mistrzynią w walce z polskim robotnikiem. Potrafiła ona robotnika polskiego z Galicji przy spisach ludności wciągnąć jako czecha. Zrobiła ona tę karykaturę narodową, iż w Galicji są czesi. Według spisu ludności za r. 1900 przynależnej do Galicji ludności Morawskiej Ostrawy było 26,6%, a natomiast mówiącej po polsku tylko 16,3%. Uznano więc za czechów 19,3% ludności, pochodzącej z Galicji! Dzieci robotników polskich stara się burżuazja czeska zczechizować zapomocą czeskich szkół. Walkę o polskie szkoły uważa za wymysł przybłędów z Galicji, mimo, iż rząd austrjacki już w r. 1848 uznał język polski językiem wykładowym w szkołach ludowych na Śląsku cieszyńskim. Szkolnictwo polskie na Śląsku cieszyńskim, mimo iż 61% ludności jego tworzy ludność polska, przedstawia się nader opłakanie. Szkoły polskie, to przeważnie szkoły najniższego typu, szkoły jednoklasowe. Szkół sześcio i siedmioklasowych ludność polska zupełnie nie posiada. Garstka natomiast ludności niemieckiej, wynoszącej 15.2% ludności Śląsku cieszyńskiego posiada samych szkół sześcio i siedmioklasowych 14. Szkoła ludowa przypada u polaków (przeważnie jedno lub dwu klasowa) na 1430 ludności, u czechów na 1218, u niemców 1092. — Szkoła wydziałowa przypada u polaków na 218 896 ludności (jedna jedyna w Dąbrowie), u czechów na 21 388, u niemców na 4017.

Szkół średnich posiadają niemcy 9, czesi 2, polacy 1. Sprawa seminarjum polskiego ciągnie się od lat trzech i dotąd nie została załatwiona. Jak Koło polskie stara się o polskie szkoły, świadczy fakt, iż minister-rodak dr. Dulęba posyła swego syna do niemieckiej szkoły realnej w Bielsku. Renegackie pismo „Ślązak“ postawiło niedawno dra Dulębę jako wzór do naśladowania, rozumie się dla renegatów. Szkoły polskie niemczy się zapomocą utrakwizacji (dwujęzyczności). Szkół utrakwizacyjnych polsko-niemieckich w roku 1906 było jedno-klasowych 1, trzy-klasowych 3, czterosześcio-klasowych 16. W r. 1908 zutrakwizowały władze szkolne 5 szkół polskich w Karwinie. Po utrakwizacji następuje niemczenie szkoły, jak to się stało z polską szkołą we Frysztacie. Utrakwizacja jest jedną z wytycznych polityki giermanizacyjnej na Śląsku.

To też ludność robotnicza protestuje energicznie przeciw utrakwizacji. Jak władze szkolne chcą zgnieść każdy przejaw emancypacji narodowej ludności polskiej, świadczy sprawa z broszurą: „O doniosłości języka polskiego“. Za wydanie tej broszury, tłómaczącej w sposób popularny znaczenie języka ojczystego w szkole, rząd zagroził „Polskiemu Towarzystwu pedagogicznemu“ rozwiązaniem. Nadzór nad szkolnictwem polskiem wykonują dwaj regnaci: Wiśniewski i Dostal (nie władający językiem polskim ani w słowie, ani w piśmie).

Poparciem władz cieszą się jedynie wychowankowie syminarjów niemieckich. — Gdy w r. 1907 do powiatu bielskiego podało się 10 uczniów paralelek polskich seminarjum cieszyńskiego, 4 tylko otrzymało posady, mimo, iż w tym powiecie uczy cały szereg niemieckich nauczycieli bez żadnej kwalifikacji.

Odmówiono posady celującemu uczniowi z paralelek polskich, natomiast zatrzymano na posadzie kierownika w polskiej szkole nałogowego alkoholika-niemca, którego jedyną kwalifikacją był pobyt w domu obłąkanych w Opawie. Działalność giermanizatorską władz szkolnych potęguje jeszcze towarzystwo „Schulverein“, które wydaje setki tysięcy na zniemczenie ludności słowiańskiej. Zakłada ono szkoły niemieckie w czysto polskich osadach, jak np. w Skrzeczoniu.

Ludność polska stworzyła „Macierz szkolną“ Księstwa Cieszyńskiego, która utrzymuje 6 szkół ludowych: Bogumindworzec 4 klasowa szkoła, Cieszyn 6-klasowa, Dziećmorowice 3-klasowa, Gruszów 3-klasowa, Ostrawa Polska pięcioklasowa, Lutynia Niemiecka dwu-klasowa i sześć ochronek.

Z rokiem 1909/10 „Macierz“ utworzyła nowe szkoły ludowe w Małych Kończycach około Ostrawy i w Toszonowicach, a w Cieszynie szkołę wydziałową.

Wspólnemi siłami „Macierzy“ i Towarzystwa Szkoły ludowej założono w roku ubiegłym szkołę realną w Orłowie. Założenie jej, mające wielkie znaczenie dla polskiej ludności górniczej, ogromnie oburzyło czechów. Największą bowiem walkę o szkoły polskie toczy polski proletarjat z czeską burżuazją. Znaną jest sprawa szkoły w Polskiej Ostrawie i Michałkowicach, gdzie obecnie jest strejk szkolny. Burżuazja wszelkiemi siłami chce sparaliżować walkę robotnika polskiego o polską szkołę. Nie cofa się ona nawet przed przekupstwem, co miało miejsce np. w Gruszowie, gdzie płacono po 4—5 kor. polskim górnikom, aby nie zgłaszali swych dzieci do komisji szkolnych w celu założenia szkół polskich. Burżuazja czeska bowiem dobrze wie, że z rozwojem polskiego szkolnictwa ludowego i średniego, z powstaniem polskiej inteligiencji obecny pokost czeski zupełnie zniknie.

Podobnie jak szkolnictwo, przedstawia się i sądownictwo, zupełnie opanowane przez niemców. W Ks. Cieszyńskiem na 59 sędziów jest tylko 6 polaków. W sądzie powiatowym w Jabłonkowie na 4 sędziów ani jeden nie umie po polsku, mimo iż powiat jest czysto polski. Podobnie urzędy pocztowe, polityczne, podatkowe, a szczególnie kolejowe zalane są niemcami.

Giermanizacyjną robotę prowadzi komora arcyksiążęca, która wywiera ogromny wpływ na zależnych ekonomicznie chłopów polskich. Wykupuje ona też skrawki ziemi naszych chłopów, którzy muszą emigrować do Ameryki. Jej też zawdzięcza swój wybór do sejmu śląskiego renegat Kożdoń, redaktor renegackiego „Ślązaka“. Niemcy zawładnęli też

sejmem śląskim. Budżet sejmu śląskiego jaskrawo wykazuje upośledzenie ludności polskiej. Zdobycie prawa głosowania do sejmu i gminy położy kres uciskowi narodowemu. Źródło dzisiejszego upośledzenia szkolnictwa polskiego leży w klikach czeskich, które opanowały rady gminne, rozstrzygające o języku szkoły ludowej i utrzymujące ją. Zaprowadzenie równego prawa głosowania do sejmu i rad gminnych usunie sztuczne większości niemieckie i czeskie a wprowadzi reprezentację polskiego proletarjatu. Proletarjat polski nie spocznie, aż nie zdobędzie praw politycznych i narodowych.

Oto obraz, jaki roztacza książka towarzysza Jarosza, która przedstawia żywo i wyczerpująco stosunki polskie na Śląsku austrjackim w świetle cyfr i faktów. Toteż ktokolwiek chce poznać dokładnie śląskie życie polskie, musi uważnie przeczytać tę książkę.

Wielka szkoda, iż autor nie skreślił choćby w dodatku tak dobrze mu znanych stosunków proletarjatu polskiego na Morawach. Spodziewamy się, iż uczyni to w osobnej książce.

A. M.

„Naprzód".

Rozmaitości

Ucieczka p. Tosseli od męża. Była żona obecnego króla saskiego, urodzona arcyksiężniczka austrjacka, Ludwika, zajmuje znowu świat swoją osobą. Już od pewnego czasu krążyły pogłoski, że nie jest szczęśliwa z pianistą florenckim Toselli. Po trzech latach pożycia, zabrawszy swego synka Emila, awanturnicza księżna z dwojgiem służby opuściła wśród nocy Florencję i uciekła do Szwajcarji, skąd zażąda rozwodu. Pomiędzy małżonkami już oddawna wynikały zatargi o pieniądze, przytem młodszy znacznie mąż dręczył żonę zazdrością. Pani Toselli zamieszkała w Montreux. Przed wyjazdem telegrafowała do szwajcarskiego ministra w Rzymie, aby ją osłonił opieką rządu szwajcarskiego w razie, gdyby mąż chciał ją prześladować. Podobno ta ucieczka ma głównie na celu zbliżenie się do dworu saskiego. Pani Toselli sądzi, że po uzyskaniu rozwodu będzie mogła widywać swe dzieci. Chcąc przyśpieszyć akcję rozwodową, zamierza przyjąć obywatelstwo szwajcarskie.

* * *

Majątek księży w Austrji. Głośny profesor Wahrmund miał w ubiegłym tygodniu w Insbruku odczyt na temat majątku kościoła katolickiego w Austrji. Daty obejmują dwudziestolecie od 1880 do 1900 r. i przedstawiają się w następujących imponujących cyfrach:

1) majątek kapituł katedralnych:		
w r. 1880	1 500 000	kor.
„ 1900	7 500 000	„
2) majątek ordynatów biskupich:		
w r. 1880	11 000 000	„
„ 1900	63 000 000	„
3) majątek fundacji kanoników:		
w r. 1880	2 000 000	„
„ 1900	41 000 000	„
4) majątek probostw:		
w r. 1880	200 000 000	„
„ 1900	262 000 000	„
5) majątek fundacji kościelnych:		
w r. 1880	200 000 000	„
„ 1900	218 000 000	„
6) majątek klasztorów:		
w r. 1880	178 000 000	„
„ 1900	193 000 000	„
7) majątek seminarjów:		
w r. 1880	6 000 000	„
„ 1900	13 000 000	„

Ogółem: w r. 1880 — 598½ miljonów kor., w r. 1900 — 797½ mil., czyli że w przeciągu 20 lat przyrost wynosił okrągło 200 mil. kor.

Dochód z tego majątku w r. 1900 wynosił okrągło 60½ miljonów kor., a wydatki 35½ mil., czyli że w jednym roku czysty zysk wynosił 25½ miljonów kor.

W rzeczywistości jest jednak majątek daleko większy i wynosi 3 do 4 miljardów koron.

* * *

Przestroga przed wychodźtwem do Ameryki. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem, Królestwie, a obecnie i w Galicji zauważyć się daje prowadzona na szeroką skalę agitacja za wychodźtwem osadniczem do Montany w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Polskie Towarzystwo Emigracyjne stwierdza, że agitację tę z ramienia i na koszt kompanji kolonizacyjnej I. N. Hill Land Co w Wilkes Barre, Pa. prowadzi przy pomocy krakowskiej „Opatrzności" Spółka polsko amerykańskich agientów emigracyjnych: St. Mańskowski i W. S. Tarczyński, która przed trzema laty agitowała na ziemiach polskich za przesiedlaniem się do Alberty w Kanadzie, w roku zaś przeszłym za wychodźtwem do stanu Washington nad Pacyfikiem. Obecnie agienci tej Spółki namawiają ludność wiejską do przesiedlania się do Montany, zachwalając rzekomą nadzwyczajną urodzajność, taniość i rentowność gruntów, sprzedawanych tam przez I. N. Hill Land Co. Łatwowiernych, a łaknących ziemi wieśniaków, którzy dadzą się wziąć na lep tej reklamy, niezawodnie spotka ciężki zawód. Polskie Towarzystwo Emigracyjne wzywa więc do przestrzegania wiejskiej ludności przed zgubną propagandą tych kolonizatorów i ich galicyjskich agientów.

* * *

Powietrzny „dreadnought". Jak donoszą z Londynu, w warsztatach Barrow-in-Turnes odbywa się gorączkowa praca około budowy olbrzymiego krążownika powietrznego. Nowy ten balon, własność wojennej marynarki angielskiej, ma być największym, najszybszym, i najpotężniejszym statkiem powietrznym na świecie. Rusztowanie olbrzymiego kadłuba podłużnego jest zbudowane z nowego metalu, nieco tylko cięższego od aluminjum, ale za to posiadającego wiele większą odporność. Balon ten będzie mieć 500 stóp długości, gdy „Zeppelin" ma tylko 446, średnica pionowa wynosi 50 stóp. Nad morzem budują robotnicy szopę o długości 600 stóp, a szerokości 100 stóp, gdzie urządzoną zostanie „kołyska", w której poszczególne części balonu zostaną złożone w całość. Konstrukcja balonu trzymana jest w ścisłej tajemnicy. Pierwsze próbne loty odbędą się nad morzem, gdyż balon ma pełnić służbę wywiadowczą dla marynarki. Stale będzie balon mieścić się na jednym z punktów północno-wschodniego wybrzeża, skąd będzie przedsiębrać stałe wycieczki nadbrzeżne. Konstrukcja jest tak obmyślana, ażeby balon oprzeć się mógł burzom na kanale La Manche. Pierwszy lot nastąpi w czerwcu, a najpóźniej w lipcu.

* * *

Żegluga napowietrzna. Żeglarz napowietrzny Etris, przedsięwziął na swym latawcu jednopłaszczyznowym w Wiener Neustadt dwa próbne wzloty; w pierwszym przebył kilka metrów na wysokości 4 metrów, w drugim 2500 mtr. na wysokości 5 metrów z szybkością 80 klm.

* * *

Duma wobec aresztowania delegatów robotniczych na zjazd antyalkoholiczny. Jak wiadomo, delegaci robotniczy na zjazd antyalkoholiczny, którzy na zjeździe tym zaznaczyli swe stanowcze opozycyjne stanowisko względem rządowej polityki w dziedzinie alkoholizmu oraz swe przekonania socjalno-demokratyczne, zostali natychmiast po zakończeniu zjazdu aresztowani. Socjalno-demokratyczna frakcja w Dumie wniosła z tego powodu interpelację. Obecnie, jak donosi prasa rosyjska, komisja uchwaliła: uznać interpelację za nieuzasadnioną, gdyż w postępowaniu administracji nie było nic nieprawego i proponować Dumie odrzucenie interpelacji.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 17. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 kwietnia 1910.

MYCHAJŁO JACKIW.

Kiełki na Próchnie.

Smieszny mój żal —
Gorzka pociecha.

Zawinięty po babsku we wielką chustkę, skurczywszy nogi podsiebie, przesiadywał zimą na przypiecku, a latem na przyzbie. Duże, niebieskie oczy, czarny wąs i martwe oblicze! Zamęczała go dychawica, kaszlał, obejmując kolana, i żył w zgodzie z żoną, a co roku błogosławił ich Pan Bóg potomstwem.

— Kachu, Kachu, Grzesiu — i znowu jest dziecko! — drwiły zeń panny ekonomówne.

Żona, z oczami jak szpilki, a dziąsłami widocznemi na zewnątrz, zarabiała na niego, na siebie i dzieci.

— Gdyby tak ,kumo, znać było na mnie, jak mi jest — skarżyła się w tej porze.

A podczas połogu mawiała:

— Tyle zjem, wypiję i tyle mi odpoczynku. Dobrzy ludziska naznoszą różności, i mój i dzieci pożywią się przy mnie.

Grześ pochodził z chodaczkowej szlachty i w takich okazjach wiedział, co się patrzy. Przystępował do żony i, całując ją w rękę, przemawiał:

— Dziękuję ci, żono, że urodziłaś mi dziecko.

— Wy, Grzesiu, dalibyście sobie wydrukować ze sto kwitków z temi słowami i pilnowalibyście, jak tylko wasza żona tego... i, zamiast dużo gadać, dalibyście kwitek — śmiał się ekonom.

Grzesiową bardzo to gniewało.

— Niechaj ekonom nie wyciera se gęby moją nogą, ale niech patrzy swej żony, aby się wzięła do jakiej roboty, bo gnije dniami całemi, ogona psu nie zawiąże, a nomnożyła mu tego psiarstwa coś z piętnaścioro i chodzi rozmamana jak żydówka.

Kiedy Grzesiowi umarło dziecko, przyszedł Mykieta Koczkołabski, „oglądacz zwłok i bydła“, z drukowanym arkuszem i z kałamarzem. Zrobiono mu miejsce na brzegu stołu, tuż obok zmarłego dziecka, on rozłożył przed sobą papier, zamaczał pióro, rozpędzał się kilka minut ręką i kręcił nią jak nad młynkiem, nim skleił jedno słowo. Wreszcie zatrzymał się nad rubryką „Zajęcie zmarłego“ i nie wiedział, co tu napisać. Gryzł pióro, skubał wąs i, odsapując, wzdychał. Zasób wyrażeń, któremi się od lat posługiwał, mieszał się w jego pamięci. „Iwan Mucha umarł z powodu gorączki połogowy — Semko Makohon — utopiony przez św. Walentego“ itd. Zerknął zezem na dzieci, co tłukły się na piecu, zmarszczył brwi i pokręcił głową; dzieci poczęły się uciszać wzajemnie i im bardziej dusiły w sobie śmiech, tem głośniej chichotały.

— Wypędźcie mi z pieca te djabły! Powytrzeszczały bańki i tłuką się do stu katów, a mnie się ręka trzęsie. Przecież trza jakieś płuca mieć w głowie!

Dzieci wybiegły z chałupy, Grześ powolutku oddychał, aby nie zakaszlać. Mykieta po długiem myśleniu napisał w rubryce „Zajęcie“ — „Ot, jak zwyczajnie, przy cycku“.

Grześ bardzo za tem dzieckiem rozpaczał.

— Takie mi dziecko umarło, że nie patrzyłbym się, nawet na piątkę. Radzili ludzie wołać cyrulika; ja niech tam, niech tam, a tu — aha!

Umiał wyplatać koszyki, tą jednak robotą się nie zajmował; mówił, że szkodzi mu na piersi.

Wracają panny z przechadzki, słońce przypieka, a Grześ w swej chustce, zawiązanej na plecach, cup, cup, cup z karczmy, rozpromieniony, pod pachą „latarnia z bożym darem“.

— Dokądże tak śpieszuo, Grzesiu?

Ten uśmiechnął się i stanął.

— Ka-chu, ka-chu! Panienki nie słyszały? Taże bliźniątka dał mi Bóg!

— Co!? Wy znów macie dzieci? To u was zdaje się już z dziesięcioro...

— Z temi, co teraz Bóg łaskawy mi zesłał, byłoby czternaścioro, ale ka-chu, kachu, troje umarło, niech Bóg je przyjmie do swego magistratu, jest więc tylko jedenaścioro... A niech zdrowo rosną, niech słonko boże cieszy się niemi rzekł Grześ i podreptał prędziutko do domu.

O kometach.

(Dokończenie.)

W nocy z 26 na 27 listopada 1872 roku ukazał się na niebie niezwykle obfity deszcz gwiazd spadających. Deszcz ten ciągnął się jeszcze, acz słabiej przez parę nocy następnych.

Data powyższa nie pozostaje bez związku z drogą komety Biela. Droga ta odznaczała się mianowicie jednym szczegółem specjalnym: jej punkt przysłoneczny przypadał w takiej samej odległości od słońca, jak odległość ziemi i wskutek tego obie drogi, komety Biela i ziemi, przecinały się z sobą wzajemnie, a punkt tego przecięcia, czyli tak zwany węzeł tych dróg, przypadał w tem miejscu drogi ziemi, przez którą ziemia przechodzi 27 listopada.

Data powyższa wiąże się z kometą Biela jeszcze i przez to, że zgodnie z ukazaniami się tej komety w latach 1826, 1833 i 1840, na tę mianowicie datę przypadłoby przejście jej przez węzeł z orbitą ziemi w r. 1872. Była to więc data, w której powinnoby było nastąpić spotkanie się komety Biela z ziemią, gdyby kometa Biela nie była zginęła. Zestawienie powyższe nasuwa przypuszczenie o istnieniu związku pomiędzy byłą kometą Biela, a owym deszczem gwiazd spadających. Pozatem jeszcze jedna okoliczność podkreśla ten związek i podkreśla daleko wyraźniej: mianowicie, że drogi, po których przebiegały poszczególne meteory, odpowiadały ściśle drodze komety Biela.

Taki sam deszcz gwiazd spadających ukazał się następnie powtórnie 27 listopada po latach 7. Z biegiem czasu zaczął się on ukazywać 27 listopada przez 2, 3 i więcej lat zrzędu, w każdym okrecie siedmioletnim, aż wreszcie stał się zjawiskiem corocznem.

Jakiż jest związek pomiędzy temi wszystkiemi zjawiskami i czego opisany ich przebieg dowodzi?

Rozpad komety Biela, zaobserwowany w r. 1840, musiał się dokonać dzięki niedostatecznej spójności wewnętrznej komety pod dzianiem siły odkształcającej ciążenia, a musiał pociągać za sobą stopniowe oddalanie się części rozerwanych od siebie — wskutek różnicy okresów obiegowych tych części, zależnych, jak poucza trzecie prawo Keplera, od odległości tych części od słońca.

Odkształcające działanie siły ciążenia ku słońcu ciał, krążących dokoła słońca, pochodzi stąd, że ciążenie tych ciał ku słońcu jest większe w częściach zwróconych ku słońcu, jako bliższych słońca, niż w częściach od słońca odwróconych jako dalszych. Działanie to ujawnia się na ziemi w przypływach i odpływach morza, oraz w większych jeszcze, znanych meteorologom i ściśle dających się obliczyć przypływach i odpływach atmosfery ziemi. Przez takie rozciąganie w kierunku linji dosłonecznej kometa mogła ulec rozerwaniu, a części rozerwane musiały się coraz bardziej od siebie oddalać na przestrzeni ich drogi obiegowej — na zasadzie trzeciego prawa Keplera.

Otóż proces takiego rozrywania i rozchodzenia się komety Biela, wzdłuż jej drogi obiegowej dokoła słońca, mógł się odbywać w dalszym ciągu i kometa mogła przestać być widzialną wskutek znacznego rozsypania się jej wzdłuż jej drogi. I dopiero, gdy przejście tej komety przez węzeł z drogą ziemi przypadło w czasie przechodzenia ziemi przez tenże węzeł, poszczególne części komety, rozsypanej po jej drodze, ujawniły się przy przechodzeniu przez atmosferę ziemi, jako meteory, w sumie — jako deszcz meteorów, biegnących po linjach równoległych, odpowiadających drodze komety, czyli okazały się meteorytami — t. j. temi „kamieniami", które przebiegają przez atmosferę ziemi, rozgrzewają się w niej i dają zjawisko świetlne meteorów.

Wskutek rozciągnięcia się rozsypanej komety Biela na znaczną część jej drogi obiegowej, gruzy tej komety musiały przechodzić przez węzeł ich drogi z drogą ziemi przez czas długi. Gdy gruzy te potrzebowały na przejście przez ten węzeł roku, ziemia w takim roku nie mogła się z niemi nie spotkać — i tem tłomaczy się powtórzenie się deszczu meteorów po 7 latach; gdy gruzy te rozciągnęły się po drodze obiegowej tak, że potrzebowały na przejście przez węzeł z drogą ziemi przeszło dwuch lat — ziemia musiała spotkać się z niemi 2 lub 3 razy podczas tego ich przechodzenia i deszcz meteorów musiał występować przez 2—3 lata z rzędu, w ciągu siedmiolecia. W miarę coraz większego rozciągania się gruzów komety Biela po ich drodze obiegowej, ziemia spotykała się z niemi w ciągu każdego siedmiolecia coraz więcej razy, aż wreszcie, gdy gruzy te rozciągnęły się na całą długość ich drogi obiegowej, ziemia musi się z niemi 27 listopada spotykać corocznie i deszcz listopadowy meteorów stał się zjawiskiem corocznem.

Okazuje się z tego, że kometa Biela, w częściach swych stałych, składała się z mnóstwa meteorytów, które pod odkształcającem działaniem jej ciążenia ku słońcu, oraz trzeciego prawa Keplera rozciągnęły się w rój meteorytów, krążących po dawnej jej drodze.

Ale takich rojów meteorytów, ukazujących się corocznie i niecorocznie pod postacią gwiazd, spadających w określonych dniach w roku i po określonych drogach, jest znanych bardzo wiele, a między niemi najświetniejszym jest rój wrześniowy, ukazujący się pod postacią deszczu meteorów w noce najbliższe do dnia św. Wawrzyńca, skąd same te meteory zwane są „Łzami św. Wawrzyńca". Wiele z tych rojów meteorytów daje się powiązać jednością dróg z obserwowanemi kiedyś kometami, a w niektórych z tych rojów znane są takie zgęszczenia, które ukazują się jeszcze w odbitym świetle słońca, jako komety. Okazuje się więc, że wszystkie roje meteorytów są rozpadłemi kometami, a znanemi są oczywiście tylko te roje, które mają węzły z orbitą ziemi, gdyż wszystkie inne nigdy przez atmosferę ziemi nie przechodzą, a zatem nigdy nie stają się widzialnemi przez dawanie zjawiska meteorów. Wynika z tego, że układ słoneczny jest wprost jak pajęczyną omotany przez mnóstwo nieznanych nam i nigdy nie mających być poznanemi rojów meteorycznych, bo samych tych rojów, które mają węzły z orbitą ziemi, jedynie nam znanych, jest liczba bardzo duża. A wszystkie te roje są dawnemi kometami, za pomocą siły przyciągania, wyłowionemi z przestrzeni kosmicznej.

Meteoryty ze swej strony dają się z bliska poznać, bo od czasu do czasu spadają na ziemię. Są to masy prawie całkowicie żelazne, z nieznaczną domieszką węgla i niektórych metalów, wielkości bardzo rozmaitej — od drobnych kamyków do kamieni kilku, kilkudziesiąt i kilkusetpudowych.

Wynika z tego, ze komety są to olbrzymie kule, złożone z rozproszonych, a więc krążących i może na tysiące kilometrów jeden od drugiego odległych kamieni żelaznych, oraz w większości wypadków z rozrzedzonych gazów węglowodorowych w przestrzeniach, oddzielających owe kamienie. Ogólna suma odbić światła słonecznego od tych kamieni daje obraz komety, jako całości; poszczególnych odbić od tych kamieni, nie widać, jako zbyt drobnych. Tem się też tłomaczy, dlaczego komety, jakkolwiek widziane w świetle odbitem słońca nie dają takich faz, jakie dają księżyc i planety. Na obraz komety składa się światło odbite od wszystkich kamieni i dlatego kometa ma zawsze obraz pełni. Skład żelaznych tych kamieni tłomaczy wrażliwość komet na pobudzenie magnetyczne ze strony słońca i powstawanie prądów elektrycznych, przechodzących przez gazy komety od kamienia do kamienia. A z tych danych do naszych orzeczeń o kometach przybywa nowe — nazwijmy je dziewiątem — że komety są to ciemne, miniaturowe układy kosmiczne, złożone z żelaznych meteorów — gęsto zapełniające przestrzenie kosmiczne.

Czem zaś są te komety w procesie ewolucyjnym światów i jakie jest ich pochodzenie — na to nauka nie może dziś dać odpowiedzi. Nasz układ słoneczny w ciągłem swem przebieganiu przestrzeni, spotyka je, jako specyficzne twory tej przestrzeni, nie związane z Laplace'owską ewolucją światów. Ale jeżeli ewolucja światów ma być procesem ciągłym, to musi być procesem kołowym; musi obok tworzenia się światów, odbywać się też ich rozkład; obok procesów skupiania, muszą się dokonywać i procesy rozpraszania się materji. W kometach widzimy też niewątpliwie proces rozpraszania się materji: w rozpraszaniu się gazów komet, w rozciąganiu się meteorytów komet perjodycznych wzdłuż ich dróg, wreszcie w ścieraniu się meteorytów, przy przybieganiu ich przez atmosfery gwiazd i planet, na pył. Procesy te mają być słabemi, dochodzącemi do nas objawami wielkiego procesu rozprzęgania się światów. A w takim razie komety byłyby szczątkami starych światów, gruzami dawnych indywiduów kosmicznych. Ale ta dziesiąta o kometach opinja jest już nie orzeczeniem, jak wszystkie poprzednie, lecz tylko domniemaniem (supozycją).

Al. K . . . ol.

Robotnicy przeciw alkoholowi.

Walne zgromadzenie robotniczego związku abstynentów w Austrji uchwaliło następujący program działania.

Kapitalistyczna produkcja alkoholowych napojów, wzrastający wpływ kapitału alkoholowego na gospodarcze i społeczne życie, gospodarcza nędza szerokich rzesz proletarjackich, które błędnie w alkoholu widzą środek do zniszczenia niezdrowych warunków pracy i smutnych stosunków życiowych, szeroko rozpowszechnione przesądy o znaczeniu i działaniu alkoholu sprowadziły w ostatniem stuleciu nieznane dotąd rozszerzenie się konsumcji alkoholu.

Zwyczaj picia stał się gniotącym przymusem. Konsumcja alkoholu jest jako współdziałający lub główny czynnik przyczyną licznych fizycznych i umysłowych chorób. Zmniejszenie się zdolności do pracy, zwiększenie się chorób, wzrost śmiertelności, słabość potomstwa, są koniecznemi następstwami jego rozszerzenia. Głęboko wkorzeniony zwyczaj picia jest głównem źródłem degeneracji ludu.

Nieszczęścia wielu rodzin wywołuje zaraza alkoholowa; dopuszanie się licznych czynów zbrodniczych przyczynowo łączy się z nią.

Alkoholizm jest nieprzyjacielem naszej materjalnej i duchowej kultury. Wywołuje marnotrawienie poważnej części

sił produkcyjnych przy sporządzaniu i rozpowszechnian:u niepotrzebnego a nawet szkodliwego środka; wywołuje paraliżowanie siły ludu i przez to zmniejszenie się gospodarczej zdolnosci rozwoju; wywołuje wielki wydatek sił na leczenie zła, które sam spowodował.

Ogół ma zatem obowiązek zarazę alkoholową zwalczać wszystkimi rozporządzalnymi środkami. Ponieważ nauka nie jest w stanie podać jakichkolwiek danych o nieszkodliwości alkoholu, przeto dążeniem ostatecznem ruchu abstynenckiego musi być: zupełny zakaz produkcji i handlu trunkami alkoholowymi.

Pozyskanie ludu za pomocą propagandy i agitacji za tym celem jest najważniejszem praktycznem zadaniem.

Alkohol jest podporą kapitalizmu. Szczególnie ciężko cierpi pod działaniem alkoholu klasa robotnicza. Przy niekorzystnych warunkach pracy i życia i zaniedbanego wychowania mogą robotnicy zgubnym działaniom alkoholu stawić tylko słaby opór. Przy małym dochodzie robotnika wydatek na alkohol zupełnie wyklucza wydatki na cele kulturalne i prawdziwe środki pożywienia. Alkohol nie dozwala robotnikowi uświadomienia sobie wyczerpującego działania długiego czasu pracy, braku pożywienia i mieszkania, on powiększa niebezpieczeństwo pracy w fabrykach, osobiste uszkodzenia robotników, przez zarazę alkoholową powyższa lekceważenie proletarjackiej walki. Wielka walka o przyszłość klasy pracującej stawia panowaniu nad sobą i sile działania robotników wielkie wymagania. Zadośćuczynienie im utrudnia zwyczaj picia. Robi on robotników tępymi i leniwymi, wywołuje pozostawanie w bezmyślności o interesach proletarjatu. Alkohol jest jednym z największych hamulców ruchu robotniczego, jest podporą kapitalizmu. Robotniczy związek abstynentów stoi na gruncie partji socjalno-demokratycznej.

Prowadzi razem z nią walkę przeciw źródłu nędzy — alkoholizmowi. Jest przekonany, iż polepszenie życia i warunków pracy i stanu oświaty proletarjatu przyczynią się do tępienia alkoholizmu. To pośrednie zwalczanie nie może usunąć trochę i zupełnie alkoholizmu. Musi ono być uzupełnionem przez bezpośrednią walkę z alkoholizmem.

Uświadamianie o alkoholu może sprowadzić wobec zakorzenionego przesądu picia i ciągłej zachęty ze strony kapitału alkoholowego trwały skutek, jeżeli tym siłom przeciwstawi się zorganizowaną przeciwwagę.

Robotniczy związek abstynentów widzi w organizowaniu wrogów alkoholu jedynie skuteczną broń w walce z alkoholizmem. W tym celu stoi na stanowisku zupełnego wstrzymania się od trunków alkoholowych. Zobowiązuje członków do zupełnej, bezwyjątkowej abstynencji. Chce przez przykład abstynencji działać, chce pokazać, że bezalkoholowe prowadzenie życia wpływa nie z ascetycznej nienawiści użycia, lecz z oddania się walce wyzwolenia proletarjatu i z prawdziwej miłości życia.

Jako członek nowożytnego ruchu robotniczego działa robotniczy związek abstynentów w kierunku urzeczywistnienia następujących teraźniejszych celów:

I.

Zadania w obrębie ruchu robotniczego.

1. Uświadamianie o niebezpieczeństwie alkoholizmu.

2. Unikanie sposobności do picia, co najmniej wykluczenie przymusu picia ze wszystkich środowisk robotniczych.

3. Unikanie wszelkich oświadczeń, któreby sprowadziły pośrednie lub bezpośrednie dążenie do spożywania napojów alkoholowych.

4. Urządzanie bezalkoholowych lokalów przez współdzielcze połączenie robotników.

5. Unikanie używania alkoholu w codziennej walce politycznej, szczególnie podczas wyborów i demonstracji.

6. Pozyskanie organizacji zawodowych do walki z alkoholizmem. Uwaga ich powinna być zwrócona na: usunięcie wypłaty płacy w formie alkoholowych trunków (wolne piwo, deputat); usunięcie wszystkich połączonych z zwyczajem picia, niegodnych uświadomionej klasy robotniczej przyzwyczajeń; surowe oddzielenie wypłat od miejsc wyszynku trunków; zakaz używania alkoholu podczas strejków.

7. Unikanie produkcji i sprzedaży alkoholowych trunków w robotniczych konsumsch. Współdzielcza produkcja i sprzedaż bezalkoholowych trunków.

8. Usunięcie zwyczaju picia w robotniczych związkach towarzyskich (związki śpiewackie, teatralne, gimnastyczne turystyczne.)

II.

Robotniczy związek abstynentów wytęża swoje siły i wzywa związki zawodowe do działania przy przeprowadzeniu następujących

żądań od państwa i gminy.

1. Metodyczne uświadamianie o alkoholizmie szczególnie w szkołach.

2. Zakaz sprzedaży trunków młodzieży.

3. Zakaz wydawania trunków alkoholowych jako zapłaty.

4. Urządzenie publicznych miejsc dla celów oświatowych i zgromadzeń. Urządzenie czytelń, domów ludowych, publicznych miejsc zabaw i innych podobnych z równem prawem korzystania wszystkich klas i stronnictw.

5. Dobre zaopatrzenie w wodę, popieranie spożywania mleka, owoców i innych zdrowych środków spożywczych i do picia.

6. Zakłady lecznicze dla leczenia uleczalnych chorych alkoholików. Przymusowa opieka dla nieuleczalnych alkoholików w schroniskach w celu ochronienia rodziny i społeczeństwa.

7. Bezalkoholowy wikt w publicznych zakładach wychowawczych dobroczynnych, szpitalach, więzieniach.

8. Jak długo niema zakazu produkcji i handlu alkoholowemi napojami: Przyjęcie wyszynków przez publiczne korporacje z wykluczeniem jednak politycznych nadużyć.

9. O ile państwo, kraj i gmina uczestniczy w przedsiębiorstwach alkoholowych, należy przeprowadzić likwidację przedsiębiorstw w celu zupełnego zakazu produkcji i handlu alkoholowymi napojami.

10. Wydanie ustawy, która dawałaby prawa dorosłym członkom gminy obojga płci zapomocą kwalifikowanej większości zabronienia produkcji i sprzedaży alkoholowych napoi na obszarze gminy.

Programowi temu należy przyklasnąć, należy też wszelkimi środkami agitować wśród klasy pracującej za jego urzeczywistnieniem.

Pierwsza organizacja robotnicza w Turcji.

Po upadku Abdul Hamida i jego systemu rządów absolutystycznych rozwinęła się działalność publiczna, trzymana przez 30 lat na uwięzi. Z ogromną szybkością powstał cały szereg stowarzyszeń i organizacji, namnożyły się gazety i wydawnictwa, zapanował żywy ruch wśród sfer, które przedtem niczem się nie zajmowały i o niczem nie wiedziały.

Coprawda — wiele z tych tworów porewolucyjnych wkrótce znikło, a pozostało tylko kilka pism i stowarzyszeń nie mających nic wspólnego z publicystyką i życiem publicznem z czasów przedkonstytucyjnych. Najważniejszą jednak różnicą między działalnością organizacji przed rewolucją i po niej jest to, że przedtem działały one tajnie, teraz zaś występują jawnie, szerząc swą propagandę wśród podatnych mas. Jedną z organizacji, która się utrzymała i której przepowiadają wielki wpływ na ukształtowanie się stosunków społecznych, jest „Federation Sociale Ouvrière“ (Związek robotniczy) w Salonice. Powstał on przed niespełna 10 miesiącami dzięki inicjatywie Abrahama Benarojas, obejmując z początku około 50 robotników żydowskich i 30 bułgarskich. Organizacja przyjęła program socjalistyczny i rozwijała się tak szybko, że już po 5 miesiącach, mimo odłączenia się bułgarów, liczyła 20 związków zawodowych, obejmujących 10 tysięcy członków.

Organizacja Benarojasa wywiera wskutek inteligiencji i pracowitości swych członków decydujący wpływ na organizacje zawodowe; najlepszym tego dowodem jest fakt, że potrafiła w krótkim stosunkowo czasie zorganizować $^1/_3$ część ogółu robotniczego w Salonice, a w pozostałych $^2/_3$ częściach prowadzi energiczną i pełną nadziei w powodzeniu propagandę.

Dotąd organizacja opierała się na programie partji socjalistycznej we Francji, ale w ostatnich czasach zaczęła się przychylać do programu socjalistycznego robotników austrjackich, ponieważ różnorodność ludności w Salonice i w Macedonji wymaga takiego samego programu federalistycznego, na jakim opiera się socjalna demokracja w różnojęzycznej Austrji. „Związek robotniczy" wydawał z początku swój organ „Le Journal des Ouvriers" w 4 językach: bułgarskim, tureckim, greckim i hebrajskim; w ostatnich czasach wydawnictwo na jakiś czas przerwano, ale w najbliższej przyszłości zostanie wznowione.

O założycielu „Związku" są znane następujące szczegóły: Benarojas ukończył gimnazjum w Zofji, ale dla braku środków nie mógł dostać się na uniwersytet. Przyjął więc posadę nauczyciela ludowego, na której pracował przez rok. Po zwycięstwie konstytucji w Turcji udał się do Saloniki, gdzie pracował jako zecer, szukając drogi do zbliżenia się do robotników. Z przekonań jest marksistą, a naukę Marksa stosuje — jak powiada — do specjalnych warunków tureckich.

Rozmaitości

Zamordowanie dziewięciu dziewcząt. Z Niemirowa na Podolu donoszą do dzienników warszawskich: W tych dniach powracało z cukrowni w Stefanówce 10 robotnic, które odebrały 100 rubli zarobku. W drodze napadli na nie bandyci i kolejno wymordowali dziewięc dziewcząt, szukając u każdej pieniędzy. Tymczasem dziesiąta robotnica, która miała całe 100 rubli, ukryła się w lesie i bandyci nie mogli jej znaleźć. Po ich odejściu przerażona dziewczyna udała się do zamieszkałej niedaleko siostry, która ją przenocowała. Gdy już miała usnąć, wszedł gospodarz obryzgany krwią i zaczął opowiadać żonie o wyprawie na dziewczęta, w której brał udział. Żona po cichu mówiła, że tu nocuje właśnie ta, co zabrała wszystkie pieniądze. Małżonkowie uradzili wykopać dół i zakopać ją w nim żywcem, po zabraniu pieniędzy. Gdy wyszli w tym celu na dwór, dziewczyna wymknęła się z domu i uciekła do sołtysa, który zaraz udał się ze strażnikami do gospodarza i zaaresztował go razem z żoną.

* * *

Niebywały poród. Z pragi donoszą: Dwie siostry bliźniacze, zrośnięte ze sobą biodrami, Róża i Józefina Blaszek, które produkowały się na wzór braci Sjamskich po całym świecie, przybyły tu przed kilku dniami na klinikę chirurgiczną prof. Kukulego, który miał je zbadać, ponieważ Róża skarżyła się na bóle wewnętrzne. Badanie miało się odbyć w niedzielę rano; gdyż w nocy Roża powiła zdrowego chłopaka.

Siostry Blaszkówny urodziły się w r. 1877 w jednej z wiosek pod Taborem w Czechach. Od kilkunastu lat odbywają podróże po całym świecie, które przynoszą im znaczne dochody. Prof. Kukuli leczył przed 3 laty Różę Blaszek na cierpienia pęcherzowe i po przeprowadzonej wówczas operacji wyjął jej z pęcherza kamień 120-gramowy. Gdy więc w piątek Róża z siostrą zgłosiła się na klinikę, skarżąc się na bóle żołądkowe, lekarz myślał, że ma do czynienia ponownie z cierpieniami pęcherza. Decyzję odroczono do oględzin profesora. Ojciec obu sióstr nie miał pojęcia o przyczynie choroby córki. Przy badaniu na pierwsze dyskretne pytania profesora Róża zaprzeczała, jakoby była w stanie odmiennym, a przyznała się dopiero na skutek oświadczenia prof. Kukulego, który jej oznajmił, że w najbliższych godzinach nastąpi połóg.

Józefina Blaszek, siostra położnicy, twierdzi, że nic nie wiedziała o stanie Róży i czyniła jej nawet wyrzuty, że jej do ostatniej chwili o tem nie powiadomiła. Gdy Róża poczęła się skarżyć na bóle, Józefina doradzała jej stosowanie zimnych okładów.

Ojcem dziecka jest impresario „sióstr sjamskich", którego obecny pobyt jest niewiadomy. Stan zdrowia Józefiny jest znakomity; oświadzza ona, że nie cierpiała zupełnie z powodu połogu siostry i nie czuła najmniejszych nawet boleści; Róża jest nieco osłabiona, stan jej jednak jest najzupełniej normalny.

Chłopaka oddano na razie do domu podrzutków, gdyż Róża nie moze go karmić. Siostry oświadczają, że chłopaka wezmą po pierwszych miesiącach niemowlęctwa do siebie. Zamierzają one sfruktyfikować ten oryginalny wypadek i wziąć chłopaka ze sobą na objazdy po świecie.

Zdarzenie całe wywołało w mieście wielką senzację.

* * *

Szalony rekord szybkości. Amerykański automobilista Olfield przed kilku dniami pobił na torze w Daytona Beach wszystkie dotychczasowe rekordy szybkości (w tem ustanowiony przez kolej elektryczną w Niemczech rekord 207 klm. na godzinę). Olfield jechał na swym automobilu z szybkością 227 km. na godzinę. „Marzenie mego życia spełnione" opowiada Olfield w jednem z amerykańskich z czasopism. „Jechałem tak szybko, jak jeszcze żaden człowiek na świecie. Do pokonania miałem ogromne trudności, wprzód musiałem się stopniowo przygotowywać do tej szalonej szybkości. Do jazdy musiałem użyć specjalnych szkieł ochronnych, gdyż prąd powietrza przy szkłach szkłach zwykle używanych — byłby mi wyświdrował wprost oczy. Szybkość 227 klm jest tak wielka, że automobil nie posuwa się już po ziemi ale skacze".

* * *

Krwawy carat. Liczba wyroków śmierci, która obniżyła się w ciągu miesiąców ostatnich, w drugiej połowie marca i pierwszej kwietnia, wzrosła znowu. Według pism rosyjskich od 14 marca do 14 kwietnia sądy wojenne w różnych miastach państwa wydały 99 wyroków śmierci. Podczas gdy od 14 lutego do 14 marca wyroków takich było 37. Największą ilość wyroków śmierci wydano w Jekaterynosławiu — 15. Następnie idą w porządku kolejnym: Ufa — 14, Sewastopol — 13, Saratow — 9, Nowo-rosyjsk, Odesa i Tyflis po — 7, Jekaterynburg — 5, Oreł — 5, Kremieńczug — 3, Władykałkaz, Warszawa, Mińsk, Tambow po — 2, Dźwińsk, Połtawa. Erzerum, Moskwa i inne miasta po — 1. Ogółem w ciągu trzech miesięcy roku bieżącego skazano na śmierć 160 osób. Stracono w miesiącu marcu 16 osób a mianowicie: w Nowoczerkasku — 9, w Kremieńczgu — 2, w Wilnie, Odesie, Bobrujsku, Kijowie i Władykaukazie po 1. Ogółem w ciągu trzech miesięcy stracono 73 osoby.

* * *

Przykładną walkę przeciw gruźlicy rozpoczęły przed niedawnym czasem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Narodowe stowarzyszenie walki przeciwgruźliczej, rozmieszcza po wszystkich publicznych miejscach wielkie kolorowe obrazy i szyldy, przedstawiające straszliwe skutki plagi ludzkości — suchot. Prócz tego Towarzystwo umieściło na ruchliwszych ulicach wielkich miast kolosalne afisze, wzywające ludność do walki z toczącem ją robakiem. Każdy z tych afiszy posiada trzymetrową długość, a 2-metrową szerokość i przedstawia minimalną wartość 4 marek. Najlepszym dowodem rozwoju Towarzystwa walki przeciwgruźliczej w Ameryce jest to, że zaledwie trzy lata ubiegły od założenia głównego siedliska, a obecnie liczy onó 3400 filji, rozrzuconych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 18. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 kwietnia 1910.

Walka o prawo.

Jeżeli wglądniemy w historję prawa, która zaczyna się równocześnie z historją całej kultury, to przed oczyma naszemi przedstawi się kawał dramatu ludzkości. Treścią historji prawa i wogóle historji kultury, jest wieczna walka o prawo. Ludzkość nie posiadała nigdy tego, co nazywamy „porządkiem przez Boga stworzonym“ i żadna moc boska nie dała nigdy ludziom praw nadziemskich. Wszelkie prawo, zarówno objektywne, t. j. regulujące stosunki współżycia ludzi pomiędzy sobą, jak i subjektywne, t. j. określające prawa jednostki, było i musiało być zawsze wywalczone. W pojęciu prawa zawarte są dwie sprzeczności: walka i pokój — pokój, jako cel, walka jako środek do celu. Prawo nie jest pojęciem stworzonem przez logikę, lecz jest wytworem siły, wytworem pracy nie jednostki, lecz całego ludu, całej ludzkości.

Walka o prawo tkwi w idei prawa, w idei sprawiedliwości, która znowuż związana jest ściśle z pewnymi interesami walczących. Celem walki jest urzeczywistnienie tej nowej idei prawa i sprawiedliwości w państwie i społeczeństwie, a w gruncie rzeczy jednak nie jest to niczem innem, jak tylko zmianą całego porządku prawnego.

Siła jest wrogiem prawa. Kto posiada siłę, ten może i naznacza, co ma być prawem i bezprawiem. Wszelkie prawo, które kiedykolwiek istniało i istnieje, zostało wywalczone siłą. Zawsze służyło ono tym, którzy je wywalczyli, zawsze było obroną interesów silnych, interesów stanów i oddzielnych grup społecznych, było prawem przywilejów, wobec którego stała pozbawiona praw, lub ograniczona w ich korzystaniu masa poddanych. Stan taki, jak uczy historja, na długo istnieć nie może. Przeciwko zdobytemu prawu powstaje nowa idea prawna i nadchodzi chwila, w której ci, co wedle istniejącego prawa byli go pozbawieni lub w jego użytkowaniu ograniczeni, coraz głośniej i silniej podnoszą swe żądania. Wtedy naprzeciw siebie stoją dwie partje: jedna, która broni świętości historycznego prawa, prawa przeszłości, druga walcząca o urzeczywistnienie nie mniej świętego prawa ludzkości do postępu, do życia i tworzenia. Walka ta zawsze skończyć się musi zwycięstwem prawa nowego; prawo przeszłości musi ulec i ustąpić przed nowem wywalczonem prawem. W ten sposób wywalczone zostały wszystkie wielkie zdobycze w dziedzinie prawa: zniesienie niewolnictwa, zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, zniesienie porządku feudalnego, absolutyzmu, wolność posiadania, wolność gmin i ich samorząd, wolność wyznania i t. d. Wszystko to wywalczone zostało w drodze zaciętych, często setki lat trwających walk. I nieraz na drodze walczących strumienie krwi znaczyły ich ślady, zawsze jednak pozostawały zgniecione dawne prawa, gruzy „boskiego porządku i ładu“, o którym mówiono, że jest święty i niewzruszony w swoich podstawach.

Nie ma prawa, któreby zdobyte mogło rościć sobie pretensje do wiecznego istnienia. Klasy panujące, które w ten sposób twierdzą, wyszydzają ideę prawa, gdyż ta, to wieczny postęp, wieczne tworzenie się.

Obecna chwila jest również epoką walki o prawo. Już Ferdynand Lassalle zadając pytanie: „Co jest tym czynnikiem, który tworzy najistotniejszą treść wszystkich naszych walk społecznych i ekonomicznych?“ — odpowiada, że: „Przedmiotem walki stało się pojęcie zdobytego prawa i ta to walka przenika dziś serce całego społeczeństwa.“

Dziś walkę o prawo przeżywamy jako walkę klasową. Stronami walczącemi zaś są: z jednej strony klasy panujące, stojące na gruncie prawa zdobytego, jako jego obrońcy i złączone z nimi władze publiczne, z drugiej zaś strony masy ludu pracującego. Te masy, tworzące pewną klasową jedność, przejęte są nowemi ideami prawnemi, które z niezłomną siłą godzą w dotychczasowe prawo. A treścią tej idei jest, że praca, jako czynnik społeczny, nie powinna pozostać dłużej wyzyskiwaną i uciśnioną przez przemoc posiadania. W pracy zawarta jest owa siła, której kultura ma do zawdzięczenia swe powstanie i rozwój, i dlatego mimo tysiącznych zbrodni, jakie przez dziesiątki wieków na niej popełniano, ma ona zawsze niezaprzeczone naturalne prawo do szacunku i wynagrodzenia wedle jej prawdziwej wartości. Prawo pracy, a raczej prawo pracujących do uczestniczenia i korzystania z owoców swego twórczego działania, do zażywania zupełnej wolności i swobody jest kwintesencją prawa, wynikającego z prawdziwego poczucia sprawiedliwości, z rozumu i ludzkości; ono dopiero stworzyć może naprawdę kulturalny porządek społeczny.

Prawo pracy, to prawo ludzkości, z którego urzeczywistnieniem skończy się wyzysk i ucisk, ustanie panowanie jednej klasy nad drugą, a społeczeństwo stanie się równem i wolnem. Walka o to prawo, to walka nie jednego narodu; cała uciśniona ludzkość bierze dziś w niej udział i to tem większy, im w danym narodzie przeciwieństwa klasowe pomiędzy klasami panującemi a uciśnionemi, pomiędzy kapitałem a pracą stały się większe i głębsze.

We wszystkich narodach tę walkę o prawo toczą organizacje polityczne i zawodowe robotników. Ich ideały bowiem wychodzą znacznie poza obręb codziennej walki ekonomicznej o skrócenie czasu pracy lub o wyższą zapłatę. To, to tylko konieczna część walki emancypacyjnej o wyzwolenie całego proletarjatu. Od samego początku nowoczesnego ruchu robotniczego, w którym właśnie ta walka o prawo znalazła swój wyraz, robotnicy nauczyli się, że główną bronią w tej walce to ich własna siła i że klasy posiadające tylko z przymusu i pod naporem tej siły robią koncesje na rzecz prawa nowego. W istocie rzeczy mają one stałą dążność, by walczącym nie ustąpić nic z tego, co posiadają — owszem by im odebrać i tę odrobinę praw, którą dać musieli, jak prawo wyborcze, prawo koalicji, prawo samorządu w kasach chorych i t. d.

Przedsiębiorcy i władze w tej walce prowadzonej w obronie istniejącego porządku prawnego posuwają się do terroryzmu i pogwałcenia najbardziej naturalnych i ludzkich praw robotnika. I to jest najlepszym dowodem, że w walce o prawo główną rolę odgrywa nie jakaś prawna teorja, lecz ustosunkowanie sił walczących. I dlatego robotnicy całe dążenie muszą skierować w tym kierunku, by posiąść potrzebną im siłę. Siłę tę zaś osiągną jedynie tylko przez silną, ofiarną, solidarną i gotową do boju organizację. Nie ma nic bardziej bezsensowego i głupiego, jak twierdzenie, które jeszcze starają się wpajać w robotników w rozmaitych „chrześćjańskich“ i „narodowych“ związkach, że organizacja zawodowa nie powinna być organizacją walki, lecz powinna

stać na stanowisku harmonji między kapitałem a pracą. Fakty życiowe przeczą temu aż nadto dosadnie.

Toczyć tę walkę o prawo w ramach organizacji jest obowiązkiem każdego robotnika, obowiązkiem wobec niego samego, wobec jego współkolegów i całej jego klasy. Tylko przez walkę klasa robotnicza zdobędzie należne jej prawa i na gruzach dzisiejszego tak zwanego „boskiego ładu i porządku", postawi nowy, sprawiedliwy, wywalczony przez siebie ład społeczny.

Organizacja to potęga.

„Gromada, to wielki człowiek" — mówi przysłowie. Czego nie będzie w stanie dokonać jednostka, mała grupka ludzi, dokona większa gromada. Zbiorowemi siłami dokonali przodkowie nasi wielkich przewrotów, zmienili kilka razy porządki na ziemi panujące, obalali trony, wielkie głowy i wielkie serca na tronach osadzali. Zbiorowe siły, gromadne wystąpienia są bowiem tą potęgę, przed którą żadna siła na świecie ostać się nie potrafi i prędzej czy później ulec musi. Tę głęboką prawdę, że gromada to siła, to moc wielka i potężna, przyjęli za zasadę swojego postępowania socjaliści na całym świecie, wszystkie partje robotnicze, tworzące międzynarodową zorganizowaną rodzinę proletarjacką.

W dzisiejszych czasach, kiedy rozwój ekonomiczny do wielkich doszedł rozmiarów, kiedy wszystkie bez wyjątku narzędzia i środki produkcji uchwyciła w swoje ręce niewielka stosunkowo grupa kapitalistów, kiedy olbrzymie rzesze ludu we wszystkich krajach, jako robotnicy na roli i po fabrykach, hutach i kopalniach, są przez kapitalizm wyzyskiwane, pomiędzy robotnikami poczęła zyskiwać wielkie uznanie myśl solidarności. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", oto w kilku słowach można streścić tę główną myśl, przeświecającą dzisiaj wyraźnie we wszystkich czynach, myślach i słowach międzynarodowego proletarjatu. Kapitalizm znakomicie powiększył znaczenie solidarność dla klasy robotniczej. Robotnicy i robotnice we wszystkich zawodach jednakowo wyzyskiwani przez swoich „pracodawców", rozumieją bardzo dobrze, że wyzysk i ucisk kapitalistyczny stwarza taką wielką ilość wspólnych potrzeb, interesów, dążeń i celów, że łączne, solidarne wystąpienia są dla klasy robotniczej koniecznością.

Kapitaliści międzynarodowi tworzą dzisiaj na całym świecie tak olbrzymią potęgę materjalną, potęgę, rozporządzającą rządami dzisiejszych państw burżuazyjnych, że obrona przeciw wyzyskowi i uciskowi kapitalistycznemu, że walka, zmierzająca do obalenia dzisiejszych porządków społecznych, tylko przez masowe, solidarne wystąpienia robotników prowadzone być mogą. — Tylko wtedy, gdy masy robotnicze, uświadomione co do swych potrzeb i celów, to znaczy, rozumiejące zasady i hasła socjalizmu międzynarodowego, wystąpią gromadnie do walki z kapitalizmem i dzisiejszemi porządkami politycznemi, można będzie liczyć na zwycięstwo. Tylko wtedy, gdy walczące masy proletarjatu będą ożywione duchem łączności i solidarności robotniczej, walka zakończyć się musi porażką zupełną naszych wrogów, wygraną natomiast ludu pracującego.

Połączenie tych dwóch zasad: gromadnego działania i solidarności proletarjackiej, wiąże się nierozerwalnie z trzecią podstawą rozsądnej akcji uświadomionych proletarjuszy, mianowicie z zasadą organizowania tej walki, z zasadą planowych, obmyślonych i przygotowanych wystąpień ludu, walk robotników z wrogiem, nieprzejednanym kapitalizmem.

Tylekroć pisaliśmy już o zadaniach i celach, o korzyściach, jakie daje organizacja klasie pracującej, że dzisiaj zaledwie w kilku słowach napiszemy o roli organizacji w życiu robotniczem. Przedewszystkiem organizacja, ściśle łącząc oddzielne jednostki, zwiększa wiarę w siły zbiorowe. Dopiero w organizacji poszczególny robotnik naocznie może się przekonać, jak zwiększa siły gromada należących do organizacji. Przytem organizacja to szkoła dla robotników. W niej bardzo blisko przypatrują się wszelkim sprawom, mającym bezpośredni związek z życiem i walką robotniczą. Uczą się w niej te sprawy rozwiązywać, wyrabiają swoją samodzielność, uświadomienie polityczne i społeczne; tam się przygotowują do roli przyszłych kierowników walk i wystąpień ludu pracującego o wyzwolenie.

Albowiem jednem z głównych zadań organizacji jest w odpowiednim czasie, w chwili wybuchu walki o narodową, polityczną i społeczną wolność, wskazanie całej masie walczącego ludu głównych celów tej walki, najważniejszych dróg, jakiemi lud postępować winien. Tą drogą organizacja przyczyni się do zaoszczędzenia wielu sił, do wzmocnienia uderzeń, wrogom zadanych, w chwilach zaś przegranej zmniejszy straty, zaoszczędzi wiele ofiar ze strony walczącego proletarjatu.

Znaczenie jednak organizacji, korzyści, jakie daje klasie robotniczej partja i związek, nietylko polegają na ułatwieniu walk przyszłych. Już teraz w codziennem życiu proletarjatu, w codziennych walkach politycznych i ekonomicznych, organizacja ułatwia powodzenie tych walk, zwiększa zwycięstwa, osłabia przegrane.

Masowe wystąpienia, solidarność, są głównemi podstawami działalności socjalistycznej. Organizacja jest praktycznem, że tak powiemy, zastosowaniem powyższych zasad w warunkach naszego codziennego życia. Łączy ściśle większe rzesze robotnicze, potęguje świadomość solidarnego postępowania, w walkach zaś, jakie dzisiaj z dnia na dzień robotnicy prowadzić są zmuszeni, jest wielką pomocą. — Z tego wszystkiego wynika, że obowiązkiem każdego robotnika jest należenie do organizacji, szerzenie zasad solidarnościi Pamiętajmy o tem, że wyzwolenie robotnicze musi być dziełem samych robotników, że proletarjat tylko na własne siły liczyć może, nikt mu przecież z pomocą nie przyjdzie.

Pamiętajmy zatem, że tworzenie organizacji i wstępowanie do niej, jest naszym głównym obowiązkiem, od którego żadnemu robotnikowi usuwać się nie wolno.

Pamiętajmy ciągle, że organizacja to nasza siła i potęga.

Z hygjeny robotniczej.

Od czasów rewolucji 1848 r. jednym z postulatów walki robotniczej jest żądanie skrócenia dnia pracy, ustanowienie odpoczynku tygodniowego. Jednak słuszność tych wymagań popierano zwykle motywami bardzo ogólnikowemi, zapominając, że jedynie niezbitym dowodem jest ściśle naukowe zbadanie zabójczego wpływu, wywieranego na organizm robotnika przez przepracowanie. Już od lat kilku nauki społeczne biorą za podstawę swych wniosków właściwości organizmu ludzkiego i warunki, w jakich organizm ten może się prawidłowo rozwijać.

Ostatniemi czasy laboratorja fizjologicznie i psychologiczne też się zajmują badaniem wpływu pracy na organizm człowieka. Kilku fizjologów i psychologów w Zachodniej Europie zapoczątkowało badania nad organizmem robotników różnych zawodów, aby wykryć wpływ pracy zawodowej na stan zdrowia pracujących. W 1903 r. na międzynarodowym kongresie higjenistów w Brukseli, profesor medycyny dr. Imbert i rodaczka nasza p. Jotejko przedstawili pierwsze prace w tym kierunku. Badania ich konstatują przedewszystkiem nadmierne zmęczenie klasy robotniczej i chroniczne zatruwanie organizmu wyziewami rtęci, siarki, kwasu węglanego i t. d. Zmęczenie mięśni, po 10-godzinnej pracy, dochodzi do takiego stopnia, że daje się odczuć nawet nazajutrz, po 5—6 godzinach pokrzepiającego snu. O ile taki stan się powtarza, zmęczenie udziela się całemu systemowi nerwowemu i staje się chronicznem. Wycieńczenie zaś ośrodków nerwowych powoduje tak zgubną w swych skutkach neurastenję.

Przyczyn zmęczenia trzeba szukać we wszystkich warunkach, w jakich się praca odbywa, a mianowicie:

1) Ilość godzin pracy;

2) Zarobek (w stosunku do ceny produktów żywności);

3) Hygjena robotnika (ilość i jakość żywności, sen, wypoczynek i t. d.);

4) Rodzaj i organizacja pracy;
5) Indywidualne właściwości organizmu robotnika (wzrost, długość kończyn, rozwój mięśni, choroby, a nawet skłonność do nich);
6) Przyzwyczajenie do pracy wogóle i specjalna wprawa w pracy, którą wykonywa;
7) Mieszkańcem wsi czy też miasta jest robotnik;
8) Wiek;
9) Płeć.

Ażeby uniknąć przemęczenia, trzeba więc przedewszystkiem, aby zarobek był wystarczającym, dzień pracy niezbyt długim i żeby wypoczynek nocny i tygodniowy mógł przywrócić pracującemu zużyte siły.

Stopień zmęczenia zależy w dużej mierze od rodzaju pracy i warunków, w jakich się ona odbywa. Są zawody, przy których pomimo najściślejszego przestrzegania hygjeny, warunki zdrowotne nie dadzą się utrzymać: górnik pracuje w podziemiu, pozbawionem słońca i świeżego powietrza, hutnik — przy rozżarzonych piecach i t. p. Taką pracę trzeba byłoby prawdopodobnie ograniczyć do 5, 6 godzin na dobę, poczemby się ją zamieniło na inną, bardziej zdrowotną.

Organizm robotnika musi być ściśle przystosowany do rodzaju pracy, jaką wykonywa, gdyż praca niestosowna i ponad siły może być tylko szkodliwą dla organizmu. Prawo Coulomba ścisle oznacza stosunek pracy do siły pracującego: przy stałej pracy robotnik może zużywać tylko $^4/_5$ części swej siły maksymalnej, przyczem ruchy, wykonywane przy tej pracy, winny być 3 razy powolniejsze, niż ruchy, wykonywane swobodnie.

Wiadomości z hygjeny pracy tak mało są u nas rozpowszechniane, iż nic dziwnego, że robotnicy często obierają zawód, w którym wydołać nie potrafią. Bardzo byłoby pożądanem, aby specjaliści lekarze wydali broszurę, traktującą o wyborze zawodu z punktu widzenia medycyny. Pozatem każdy zaczynający pracować powinien się poddać badaniu lekarza, gdyż tylko lekarz potrafi ocenić zdatność jego organizmu i dać odpowiednie wskazówki co do wyboru zawodu. Rzecz jasna, że człowiek, cierpiący na nabrzmienie żył, nie może pracować przy maszynie drukarskiej; słaby na płuca musi unikać kurzu, natłoku, praca w szybach podziemnych jest dla niego zabójczą; cierpiący na astmę nie może być woźnicą; osobnik zbyt pełny i krwisty nie powinien zajmować stanowiska urzędnika biurowego itd. Pozatem ważnem jest bardzo, aby pracujący był już do pracy przyzwyczajony, to znaczy, aby mięśnie jego były odpowiednio wyćwiczone, gdyż niewprawny męczy się zwykle o wiele prędzej. Odpowiedni podział pracy ma też wielkie znaczenie dla wprawnego jej wykonania. Obecnie hygjena wymaga tylko ogólnego równomiernego rozwoju fizycznego robotnika, w niedalekiej jednak przyszłości studja, poczynione nad fizjologją pracy, dadzą możność rozwijania i ćwiczenia mięśni w pożądanym kierunku, dzięki czemu nauka robotnika będzie trwała krótko i pracujący będzie wiedział, jakim sposobem przy najmniejszym wysiłku można wykonać największą ilość pracy.

Wiek i płeć odgrywają tak ważną rolę przy pracy, że były pierwszym punktem, nad którym się zastanowiło prawodawstwo robotnicze. Jednak i do dziś dnia kwestja ochrony dzieci i kobiet przed wyzyskiem pracobiorców nie jest załatwioną, a przecie od niej zależy zdrowotność przyszłych pokoleń robotniczych. Szczególnie w naszem społeczeństwie daje się odczuć brak zainteresowania się tą sprawą; dopiero niedawno p. Centnerszwerowa rzuciła projekt naznaczania kobiet-inspektorek, któreby miały pieczę nad pracującemi kobietami i dziećmi. W większości państw Europy Zachodniej oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, urząd ten istnieje od dłuższego czasu — ostatnia Austrja powierzyła wyrobnice opiece inspektorek już w r. 1906.

Skrócenie dnia pracy jest więc koniecznem, nietylko ze względów humanitarnych — aby robotnik więcej czasu mógł poświęcić dla siebie, dla swej rodziny i kształcenia się — ale też i ze względów praktycznych: chroniczne zmęczenie ujemnie wpływa na zdrowie robotnika i na wytwórczość jego pracy. Ten ostatni wzgląd zarówno chyba obchodzi, jak pracującego tak i pracobiorcę; we własnym bowiem interesie przedsiębiorcy leży, aby robotnicy byli zdrowi i silni.

Zdrowie i siła są tak ważnemi czynnikami w życiu robotnika, że Międzynarodowe Stowarzyszenie ochrony pracy, zawiązane w r. 1905 w Gienewie, postawiło sobie za zadanie, zachowanie i rozwój sił fizycznych, umysłowych i moralnych klasy robotniczej.

Nawet w sferach rządzących w Zachodniej Europie zaczęto zwracać uwagę na wyniki badań fizjologów i psychologów, tyczących się zdrowotności robotników. W lutym 1909 r. poseł Hektor Denis wygłosił mowę w parlamencie belgijskim o skróceniu godzin pracy górników; przyczem dowody swe oparł właśnie na badaniach profesora Imberta i p. Jotejko.

W. Kozielło-Szymańska.
„Wiedza".

Rozmaitości

Klęska, której — nie doznajemy. Kto uważnie oglądał mapę księżyca, tego musiała uderzyć ogromna liczba kraterów wulkanicznych (kraterem zowie się otwór, przez który z wulkanów buchają ognie, kamienie, popiół, przez który leje się lawa ognista, niekiedy zaś tryska tylko para gorąca, wrząca woda i błoto). Kratery księżycowe są olbrzymie w porównaniu z ziemskimi: średnice ich miewają po 120 do 250 kilometrów czyli po kilkanaście do 80 z górą mil naszych, podczas kiedy największy krater na ziemi ma średnicę niewiele większą, niż pół mili (4700 mtr.). Wnosićby stąd należało, iż wybuchy wulkanów na księżycu były niepojęcie gwałtowne. Były — bo dziś te kratery są nieczynne. Tak też mniemali astronomowie. Dopiero w niedawnych czasach uczeni zbadali osobliwszy krater w Arizonie (Stany Zjednoczone Ameryki Północnej), który swoją wielkością, postacią i wymiarami przypomina zupełnie kratery księżycowe i również jest nieczynny. Bezpiecznie tedy można go było rozpoznać bardzo szczegółowo. I oto zdumiewający wynik tych badań: ów mniemany krater w Arizonie powstał nie skutkiem wybuchu wulkanicznego, ale skutkiem spadku olbrzymiej bryły meteorycznej, która musiała mieć w średnicy 160 metrów (trochę mniej niż 300 łokci), a spadała z prędkością około 9 klm. na sekundę. Uderzając o ziemię, musiała spowodować żar, sięgający co najmniej 2000 stopni ciepła. W tym żarze sama kula, złożona przeważnie z żelaza tak zwanego meteorycznego, rozbita, stopiła się w części, stopiła również piasek, na który trafiła i utworzyła ów ogromny kocioł ziemny, dokoła otoczony wałem.

Dlaczegóż znaleziono jeden tylko taki krater na ziemi, podczas gdy tyle ich jest na księżycu? Dlatego oto, że meteory, spadające na ziemię, rozpadają się i kruszeją już skutkiem tarcia o atmosferę ziemską. Miewamy tedy deszcze kamieniste, o wiele łagodniejsze, niż spadki brył ogromnych. Miejsce wspomnianego krateru jest w okolicy wyjątkowo wzniesionej, suchej, bryła też wyjątkową odznaczała się wielkością, z tych powodów doszła do ziemi niemal w całości. Na księżycu niema powietrza czyli atmosfery, tam więc kamienie meteoryczne bez przeszkody bombardują powierzchnię.

„Wszechświat".

* * *

Nowy niemiecki balon wojskowy. W chwili, gdy wzloty aeroplanów wykazują, że możliwe jest unoszenie się w powietrzu na aparatach cięższych od powietrza, w czem na czele kroczy Francja — Niemcy wytrwale budują i ponawiają próby z balonami, lżejszemi od powietrza. Kwestja unoszenia się jest tam łatwa, ponieważ balon jest wypełniony gazem lżejszym od powietrza — chodzi tylko o sterowanie i o przezwyciężenie siły wiatru. „Zeppelin", „Parseval" należą do najbardziej znanych typów balonów niemieckich.

Przyrządy te narazie mają daleko większe zastosowanie praktyczne, zwłaszcza dla celów wojskowych, gdyż mogą unieść kilku a nawet kilkunastu ludzi i pewną ilość materjałów.

We czwartek odbyła się pod Berlinem próba z nowym balonem do sterowania „M. 3" przeznaczonym do celów

wojskowych. Próbie tej przypatrywało się bardzo wielu posłów sejmu pruskiego.

* * *

Liczba znanych gatunków zwierząt. Badania zoologów rozszerzają nieustannie widnokręg wiedzy naszej, corocznie odkrywając około 12 000 nowych gatunków zwierząt. W chwili obecnej wiemy przynajmniej o 600 000 gatunkach. Olbrzymia ta liczba jest prawdopodobnie tylko cząstką ogromu gatunków dotychczas nieznanych, zwłaszcza wśród zwierząt niższych. Zoolog Sharper, obliczając gatunki znanych owadów na 250 000, wyraził przekonanie, że liczba ta obejmuje zaledwie dziesiątą część owadów istniejących na kuli ziemskiej.

* * *

Przyszłość Chin. W ciągu ostatnich lat kilkunastu zaszły w państwie chińskiem nader doniosłe zmiany. Wpływy europejskie przeniknęły do tego olbrzymiego kraju, który przez szereg stuleci żył własnem swojem, wyodrębnionem życiem i unikał wszelkiego zetknięcia się z cudzoziemcami. Najdonioślejsze zmiany dokonane zostały na polu szkolnictwa, opracowane nowe, udoskonalone programy szkół wyższych i średnich, wprowadzono do nich naukę języków europejskich, poczęto corocznie wysyłać zdolniejszą młodzież zagranicę, by zapoznawała się z życiem i cywilizacją innych narodów. Chińczycy dążą obecnie do zaprowadzenia u siebie konstytucji, organizują swe wojsko na wzorach europejskich i bliską zapewne jest chwila, w której zapragną w dziejach wybitną odegrać rolę.

* * *

Z Ameryki Południowej. Rzeczpospolita Argentyńska w Ameryce Południowej obchodzić będzie niebawem 100 letnią rocznicę wyzwolenia się z pod jarzma Hiszpanji. Wodzami ruchu byli dwaj wybitni mężowie: mydlarz Pena i adwokat Castelli. Oni to kierowali spiskiem mającym na celu wypędzenie wrogów z Argentyny, ich wysłano do wicekróla hiszpańskiego z żądaniem, by podpisał akt zrzeczenia się władzy. „W imieniu jakiej że to ojczyzny przychodzicie?“ — zapytał król drwiąco. Wtedy Castelli, opierając rękę na piersi, odrzekł — „Tu ona“. — W takiej to postawie uwiecznionym będzie na pomniku, który wdzięczna potomność wznosi oswobodzicielom swoim w stolicy państwa w Buenos-Ayres.

* * *

Zwycięstwo Partji Pracy w Australji. W Australji zdobyła przy wyborach do parlamentu partja robotnicza absolutną większość: przeciw 31 głosom partji burżuazyjnych posiadała ona 46 głosów. Zwycięstwo to daje jej możność ujęcia o własnych siłach steru władzy, podczas gdy dotychczas piastowała go dwukrotnie (w r. 1904 Watson, w roku 1900 Fischer) tylko dzięki poparcia jednej z burżuazyjnych partji.

Robotnicza Partja Austrjalji, należy to z góry zaznaczyć, nie jest partją socjalistyczną. Wraz z postępowemi żądaniami, jak żądanie dobrego ustawodawstwa ochronnego, wystawia ona żądania reakcyjne, jak zakazu wpuszczania do kraju azjatyckich i afrykańskich robotników oraz ceł ochronnych. Czasowe poparcie burżuaji, które partji tej dało dwukrotne zwycięstwo, zawdzięczała ona właśnie żądaniu ceł ochronnych. Było to z jej strony następstwem, za które burżuazja miała zapewnić, że rybotnikom będzie płacić dobre płace, da odpowiednie warunki pracy, a konsumentom nie podroży zbytnio cen wytworów. Plan ten nie dał się jednak urzeczywistnić, zgoda między protekcjonistyczną burżuazją a partją robotniczą rozbiła się wkrótce (w maju 1909 r.) co jak opowiada jeden z korespondentów z Australji, było dniem radosnym dla burżuazji, która w obu swych odłamach (protekcjoniści i zwolennicy wolnego handlu) połączyła się przeciw robotniczej partji. Połączenie to wyzyskała przeciw robotnikom w sposób tak brutalny, jak to dotychczas w Australji nie często się zdarzało. W Australji istnieje prawo, na podstawie którego spory między robotnikami a kapitalistami winny być rozstrzygane przez państwowy sąd rozjemczy; wyrokowi sądu muszą się poddać obie strony.

Po upadku ministerjum Fischera rząd uczynił z tego prawa karykaturę istną, pozwalając sztuczkami adwokackiemi przewlekać sprawy w nieskończoność i naginać prawo do potrzeb fabrykantów. Skutek był taki, że w jednym wypadku robotnicy nie poddali się wyrokowi, wybuchł strejk; za to przywódcy związku zawodowego odpokutowali więzieniem. To prześladowanie ruchu robotniczego przyczyniło się niemało do wyniku wyborów. Ważną też rolę odegrało konsekwentne stanowisko Partji Pracy w sprawie centralizacji państwa. Dotąd bowiem Australja jest związkiem sześciu państw. Centralizacja jest konieczną dla rozwoju ekonomicznego, gdyż różnice w prawach obowiązujących i w administracji krępują handel i przemysł. Politycy mieszczaństwa są po części partykularystami, kierują się zaściankowemi poglądami, podczas gdy robotnicy są konsekwentnemi centralistami. Dlatego postępowa część burżuazji wolała poprzeć kandydatów robotniczych.

Zwycięstwo Partji Pracy pozwoli jej przeprowadzić cały szereg reform ale nie naruszy ustroju kapitalistycznego w Australji. Zostały one umożliwione właśnie dzięki młodości kapitalistycznej Australji, wskutek której przeciwieństwo między proletarjatem a burżuazją nie jest tam tak zaostrzone, jak w starej Europie.

* * *

Walka z chałupnictwem w Anglji. Istnieje w Anglji od dziesiątków lat powszechnie znany typ chałupnictwa — fabrykacja łańcuchów w Cradley Heath, która swemi wyrobami nie tylko opanowała prawie cały wewnętrzny rynek Anglji, ale też w poważnej mierze pracuje i na wywóz. Łańcuchy te są wyrabiane w kuźniach domowych przeważnie przez kobiety i dzieci. Choć w tej miejscowości istnieje kilka fabryk łańcuchów, chałupnictwo jednak potrafiło oprzeć się tej konkurencji, gdyż płaci za tę samą pracę, o połowę mniej, niż w fabryce: 6 szylingów (6 mk.) na tydzień. Jest jednak nadzieja, że zbliża się koniec tej gałęzi chałupnictwa. Niedawno wprowadzono urzędową regulację płacy, na zasadzie nowego prawa przeciw chałupnictwu. W ten sposób zniknie jedyna przewaga, jaką chałupnictwo posiada nad produkcją fabryczną: głodowa płaca.

Prawo to — po raz pierwszy obecnie zastozowane, opierając się na ankiecie o chałupnictwie z 1889 roku, przyjęte zostało w roku zeszłym po długich walkach parlamentarnych i weszło w życie 1 stycznia r. b. Przewiduje ono utworzenie Trade boards (komisji do praw przemysłu) składających się z równej liczby przedstawicieli przedsiębiorców i robotników, jednej określonej gałęzi przemysłu domowego, oraz przedstawiciela ministerjum handlu. Komisje te ustanawiają dla odpowiednich gałęzi i przemysłu minimalne płace robocze (od sztuki i od czasu). Dotychczas ograniczono się czterema fachami: damską krawieczyzną, fabrykacją pudełek kartonowych, mechaniczną fabrykacją koronek i fabrykacją łańcuchów.

Rozumie się, że przewidziano wszystko, by uniknąć „lekkomyślnego szkodzenia interesom przedsiębiorców“. Postanowienie tych komisji (Trade Boards) nabierają wtedy tylko mocy prawnej, kiedy ministerjum handlu przekona się, że „wobec panujących warunków, postanowienie te są pożądane“, i potwierdzi je. A i wtedy wchodzi w życie dopiero po 6 miesiącach.

Pomimo to, pierwszy krok komisji zastosowany do pracownic łańcuchów, nie pozbawiony jest znaczenia. Komisja ustanowiła taryfę płacy (dziennej i od sztuki), zapewniającą robotnikom dwa razy tyle, niźli dotychczas. Podług taryfy powyższej robotnice średniej zdolności przy 54 godzinach pracy tygodniowej, otrzymywać mają 12 i pół szylingów czyli przeszło o 100 proc. więcej niż dotychczas. Prawda, że i to płaca też niezbyt wysoka, jednak nie niższa od fabrycznej. Obecnie chodzi jeszcze o zatwierdzenie tej taryfy przez ministerjum.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieszkowski w Katowicach.

Nr. 19. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 maja 1910.

URYWKI Z POEMATU MARJI KONOPNICKIEJ

PAN BALCER W BRAZYLJI*).

. . . . . .

Aż patrzę, prawie nad samą nam drogą
Człek leży, Chory? Pijany? Zabity?
Tak stanął Marcin Kos i trąci nogą:
Żyw! Nagi leży, łachmanem nakryty,
Twarz w niebo, oczy zapatrzone srogo
W oceanowe pomgliste prześwity,
Wyprostowany i sztywny, jak w trumnie,
Że, chociem schylił się, nie spojrzał ku mnie.

Tak trzęchnę łachman ów. Płótnianka była,
Nędzą i ziemią na sito zgryziona.
Więc we mnie zaraz dusza się rzuciła,
Klęknąłem przy nim, bom widział, że kona,
— Kto jesteś, bracie? — rzekę. — Jakaś siła
Błysła mu w twarzy. Przypodniósł ramiona
I rozplątując szkaplerza u szyi:
— Mazur — zachrypi — i sługa Marji.

W szkaplerzu dukat był. Błysnęło złoto
Jak gwiazda nad tą siermięgą dziadowską,
Aż ów, śmiertelną podpalon żarotą,
Szepnie: Za wojnę dostałem to włoską...
Weźcie... za duszę dajcie... Weźcie toto...
A był węgierski dukat z Matką Boską.
Chciał mówić jeszcze, jeszcze ciężko dychał,
Jeszcze lśniał w oczach, ale już zacichał.

Zaczem powieki same się przywarły,
A wielkie, zimne łzy biegły przez lico...
Dźwignę mu głowy, a on — już umarły,
Już odszedł z doli swojej tajemnicą.
Ale snać głody na śmierć go zażarły,
Bo kiedy nasi przypodnieść się chwycą,
To był ten ludzki trup letszy od pióra
I sam go poniósł na rękach Sekura.

Tak my w cichości szli, jakby z Golgoty
Przez ono głuche mgły gęstej przestworze,
Niosący ciało do księdza Błahoty,
By w miłosierdzie pogrzebał je boże.
Dzikiego ptactwa waliły w nas loty,
Z hukiem w ciemnościach targało się morze,
Ciskając w lament rozburzone fale,
W których warczały groźby, łkały żale.

A już ów mglisty pomierzch przedświtowy
Z chwili na chwilę jaśniał się, przecierał,
A nam posępnie chyliły się głowy,
Iż człek ów tak nam na oczach umierał...
Lecz on już sztywny, już zimny, surowy,
Ostro z pod rzęsów przywartych pozierał
Po nas, po ziemi, po morzu, po niebie,
Po całej drodze żywota — za siebie.

A czegoż ty się oglądasz, biedaku,
A czego szukasz za sobą po świecie?
Nie masz ci na nim ni śladu, ni znaku,
Żeś żył i czekał, aż nędza cię zgniecie...
Prędzej na wichrach dopatrzy się szlaku,
Gdy je ptak skrzydły wartkiemi rozmiecie,
Niźli po tobie, coś przeszedł przez ziemię,
W śmiertelnym znoju dźwigając swe brzemię...

. . . Dzień wstawał żmudnie, Wschód dymny, [jaskrawy,
Wprędce zawlokły mgły brudnemi chusty,
A słońce jako ten opłatek krwawy
Chwilę patrzało skroś nich na port pusty,
Iż się pokryły we mgłach maszty, nawy,
słychać było tylko ślepe chlusty
Morza, co się tam poomacku tłukło
Groźnym warkotem i falą rozhukłą...

. . . A wtem dzwon huknął szarpnięty u doków...
Świsnęły ostro wypuszczone pary,
I nagły rozruch ciżbiących się kroków
Zawrzał gdzieś z dołu, jak z ciemnej pieczary,
Zgrzytnęły windy na osiach u tłoków,
Opustoszały węglarskie galary,
A tłum roboczy, rzuciwszy swe wory,
Jął się na tamę walić, jak upiory...

. . . Stanęlim, patrzym. Jeszcze dymne pary
Kryją rosnący tłum i te mgły sine.
Alem ja oczy wrzące wpił w galary,
Pomiarkowawszy bijącą godzinę,
Kiedy przygięte rab prostuje bary,
Rzekąc swej duszy: — A zginę, to zginę! —
I nagle głową nad jarzmo swe rośnie,
I swoje ludzkie prawo jawi głośnie.

Nigdym nie widział tak kamiennych twarzy,
Tak gorejących oczu, tak zaciętych
Szczęk, zębów, jako u onych węglarzy...
I nigdym ogniów nie widział tak świętych,

*) Z pieśni „W Porcie“. Tłum chłopów-emigrantów, gnany tęsknotą do rodzinnych wsi, zatrzymuje się w Porcie, aby pracą w dokach zarobić sobie na przewóz przez Ocean.

I tak piekielnych razem, że aż parzy...
Nigdy hardości takiej w karkach zgiętych,
Takiego gniewu, i takiej rozpaczy,
Co jest śmiertelna sama — i śmierć znaczy.

A w tem śpiew buchnął. Nie wiem, co śpiewali,
Lecz serce prawie że stanęło we mnie...
Bo słychać było, jakby z wielkiej dali
Sroga nawałność szła ziemią tajemnie,
Jakby gdzieś warczał grom, co wnet zapali
Świat, niby puszczy nietrzebionej ciemnie...
A razem z pieśnią i z głosów tych szumem
Krwawa chorągiew powiała nad tłumem,

Drzewce oburącz chłop dzierżył wyniosły,
Czarny od węgla, a suchy jak tyka.
Włosy mu na łbie wstały, jako rosły
Proste, a w każdym śpiew drżał i muzyka
Głosów, co w mętne powietrze się niosły,
By trąba sądna, co groby przenika,
Otrębująca na morze i lądy.
Jako nad krzywdą świata będą sądy.

A tuż przy onym chłopie chorągiewnym
Co się wycinał z mgły, by siewna jodła,
Gdy nad zapustem wygóruje drzewnym,
Niewiasta-matka szła i dziecko wiodła.
Tak wszyscy, jednym się porywem śpiewnym
Zaniósłszy, swego trzymając się godła,
Szli dużym krokiem wprzecz nam. Aż-ci trupa
Zoczywszy, cała wstrzymała się kupa —

I ono ciało, nakryte łachmanem,
Zajęła z nami na czoło pochodu.
I tak był niesion nad tym oceanem
Ów Mazur-tułacz, co pomarł tu z głodu...
A morze mu tam huczało organem,
A szło z pochowem tysiące narodu,
A on, nie miawszy żgła, ni garści wiórów
Pod czachę, jak wódz wchodził w bramy murów.

Ale staruszka nasza do ostatka
Pilno się dzierżąc trupa, szła w pochodzie.
Nikt jej nie wzbraniał. Myślano, że matka,
Więc była litość nad nią w tym narodzie,
Gdy tak wiewała na niej lniana szatka,
Ledwo że kryjąc kość, drżącą na chłodzie,
I gdy tak w szeptach trzęsły się jej wargi
Zwiędłe, bez jednej łzy, bez jednej skargi.

Dopiero, gdy się pokazały wieże
Górnego miasta i przepych złocony,
Urwała nagle szeptane pacierze,
I — jak ptak skrzydły — tak ona ramiona,
Wzgórę się zdała brać, jak ptak się bierze.
Aż jęła śpiewać:... A bijcież mu dzwony!
A witajcież go, wy wieże strzeliste!
A wyjdźże przeciw niemu, Jezu Chryste!

... Wyszedł-ci Chrystus. Krzyż słoneczny niesie.
— Powstań, Łazarzu, z śmierci do żywota! —
— Nie mogę, Panie, to jeszcze po lesie
Jagnięta płaczą, a zły wilk się miota.
Jeszcze jest wróblik niepewny na strzesie,
Jeszcze się krzywda wije wedle płota,
Jeszcze jastrzębi szpon skowronki gniecie,
Jeszcze jest przebój mocnego na świecie!

. . . Wyszły anioły tą królewską broną,
Potrząsają mu drogę białym kwiatem:
— Wstańże Łazarzu, zasiądź złote trono,
Weź żezło w ręce, podnieś je nad światem,
Wybłyśnij ziemi cierniową koroną,
Przyzawdzij skórę a kości szkarłatem!
— Nie mogę powstać anieli skrzydlaci,
Aż głos usłyszę Narodów, a braci!

. . . Wyszły mu przeciw Narody Łazarze:
Pójdź z nami, bracie! Idziemy z Golgoty.
Chrystus z świątyni wypędził kramarze.
Nad światem lata grom i piorun złoty.
Drżą węgły ziemi, truchleją mocarze,
Poczwórne jezdnych pobite są roty...
Pękły łańcuchy pod ciosami młota!
— Tedy wstał Łazarz z śmierci do żywota.

. . . . . .

Dlaczego jesteśmy abstynentami.

Samo zaznajomienie szerokich mas ludności z ujemnym wpływem alkoholu nie jest jeszcze rzeczą wystarczającą. Należy równocześnie zwalczać picie zwyczajowe i przymusowe. Cała praca w kierunku uświadomienienia ludności wraz z polepszeniem warunków pracy społecznych nie wypleni alkoholizmu i jego wpływu, póki ludzie wogóle nie zaprzestaną picia przy każdej sposobności. Trzeba raz sobie powiedzieć, że najgłębsze i najobfitsze zródła alkoholizmu bije w nas samych, o ile jesteśmy zwolennikami napojów wyskokowych.

Do ogólnego więc programu pracy nad podniesieniem oświaty, nad polepszeniem warunków współżycia ludzi, musimy wkluczyć i tak zwaną abstynencję, czyli zupełne zaprzestanie używania napojów zawierających alkohol. Wtedy dopiero walka nasza będzie skuteczną i owocną, gdy mocniej ugruntuje się pogląd, że wszystkie dodatnie strony alkoholu są zrojone, szkody zaś, które sprawia, są najzupełniej rzeczywiste.

Należy tedy protestować przeciwko bezmyślnemu zwyczajowi picia zawsze i wszędzie, drogą przeciwstawiania mu innego zwyczaju — niepicia wcale. W ten sposób uda nam się złamać i zwyczaj i przymus do picia.

Niejednego litościwego czytelnika zdejmie może niepokój o los dzisiejszych szynkarzy wobec nowych warunków. Co oni wtedy poczną? Możemy być pewni, że zastosują się do nowego porządku. Zamiast napojów, zawierających alkohol fabrykanci zaczną wyrabiać trunki bezalkoholowe. Nieco pracy ze strony chemików, a otrzymamy napoje, które potrafią w zupełności zastąpić trujący wyskok. Wtedy miejsce dzisiejszych szynków zajmą restauracje, gdzie alkoholu wcale nie będą sprzedawali. Wszak dziś już mamy cały szereg napojów, których przeznaczeniem jest zastąpić wyskok w różnych jego postaciach. Są już piwa bez alkoholu, wina zwyczajne i musujące nie zawierające wyskoku, różne limonady, wreszcie, najsmaczniejsze i najbardziej pożywne, moszcze owocowe. Jeżeli obecnie jest inaczej, jeżeli wszędzie częstują wyskokiem, to wina ciąży na całym ogóle, który go pije, szynkarz bowiem jest sługą publiczności, wykonawcą jej woli i żądań, szynkarze potrafią się do nich zastosować i wstrzemięźliwe masy robotnicze znajdą dla siebie inne, bardziej odpowiednie lokale zaopatrzone w zdrowe napoje.

W kilku wyrazach warto zaznaczyć niezmierną doniosłość dobrej i zdrowej wody do picia, która jest najlepszym napojem, a której, prócz innych miast polskich, Łódź dotąd jest pozbawiona. Obecnie sprawa ta, która mogła i powinna była zostać wykonaną przed laty dwudziestu, jeśli nie dawniej, ma wszelkie szanse, że zostanie załatwiona za lat kilka, ale wtedy już nikt nie będzie miał prawa tłomaczyć

się, że musi pić piwo, bo wody pić się boi ze względu na zdrowie.

Tym prostym sposobem — wstrzymaniem się od używania napojów wyskokowych — wybijemy otwór w grubym murze przesądów i przerwiemy ten łańcuch przyczyn i skutków, który krępuje świat cały. Sama wymowa nie zwalczy alkoholizmu, winni ją poprzeć czynem wszyscy ci, którzy zdają sobie sprawę z ogromu krzywd i szkód, jakie alkohol robi. Pierwszym takim czynem, który wiele zaważy w walce, jest zupełne powstrzymanie się od picia — czyli abstynencja, bo każdy, nim zacznie pouczać innych, musi ze siebie dać wzór.

Bojkot a czarne listy.

W wielkich walkach proletarjatu, które obserwować możemy niemal w całej Europie, a które świadczą o niezwykłym wzroście siły i solidarności proletarjatu, nie brakło i nie braknie nigdy sytuacji, które wymagają od ludu pracującego nakładu pracy, wyjątkowej i nadzwyczajnej pilności i energji. Ale zawsze radowaliśmy się i szczycili, byliśmy zawsze dumni z tego, że w walce używaliśmy w najcięższych nawet czasach środków uczciwych, że stawaliśmy zawsze do boju otwartego.

Walczyliśmy tak, jak nam nasze położenie nakazywało, z zawziętością i namiętnie, lecz wszędzie i zawsze „na udeptanej ziemi". Obcą była zawsze proletarjatowi jezuicka zasada: „cel uświęca środki".

Inaczej nasi przeciwnicy. Czują oni swą klęskę każdem drgnieniem nerwów, instynktownie. To też sądą, że przed zwycięskim pochodem proletarjatu uchroni ich moralność jezuicka. Więc przestali się ukrywać, że w walce z proletarjatem posługują się środkami nieuczciwymi.

Takim środkiem niemoralnym jest czarna lista, którą się przedsiębiorcy nasi posługują we wszystkich zawodach. Przedsiębiorcy nie mają odwagi wystąpić jawnie przeciw robotnikom, uderzają zatem podstępnie z ukrycia, posługując się czarną listą. Ten środek walki spotkał się z zasłużoną pogardą nie tylko ze strony robotników, ale i inne sfery społeczeństwa ten skrytobójczy środek walki potępiły.

Aby zmienić o sobie i o używaniu czarnej listy opinję społeczeństwa, starają się przedsiębiorcy wytłomaczyć społeczeństwu, że oni muszą posługiwać się czarną listą, jak długo robotnicy używają bojkotu.

Przypatrzmy się nareszcie temu argumentowi przedsiębiorców, że czarna lista i bojkot są jednem i tem samem.

W istocie w jednym punkcie podobieństwo istnieje. Czarna lista i bojkot mają ten wspólny cel, aby przeciwnikowi utrudnić swobodne wykonywanie swojego zawodu, Lecz czyż to jest dowodem, że bojkot nie jest czemś różnem od czarnej listy? Toż byłaby to ta sama logika, jak ocenienie nabywania majątku z uwagi na cel tego nabywania.

Czyż przedsiębiorca, który na przedsiębiorstwie chce dojść do majątku jest takim samym jak złodziej czy oszust, którego celem jest również wzbogacenie się? Takim samym jak ten, który zręcznym ruchem ręki wyciąga z cudzej kieszeni czy kasy pieniądze? Przecież przedsiębiorca i oszust mają cel ten sam, tym celem jest uzyskanie jak najwięcej pieniędzy. Ale naszemu przedsiębiorcy nie przypadłoby do gustu, gdyby ich ze względu na ten wspólny cel, używając ich własnej logiki, porównać ze złodziejem czy oszustem. Owszem, oniby jak najenergiczniej przeciw temu protestowali.

Więc zamiast patrzyć na cel, popatrzmy na drogę, która do celu prowadzi, a różnicę łatwo zrozumiemy. Przedsiębiorcy mówią, że i droga jest ta sama. Jest nią ostrzeganie w pismach robotniczych: „Towarzysze, omijajcie pracownię..." i taką samą — mówią — drogą jest lista czarna, ten list gończy, który przedsiębiorcy wysyłają za robotnikiem.

Oto tu widoczna jest gwałtowna różnica. Robotnicy przestrzegają swoich towarzyszów otwarcie, na zgromadzeniach, w pismach wobec samego przedsiębiorcy. Przedsiębiorca wie o tem ostrzeżeniu robotników, przedsiębiorca może się bronić.

Natomiast jest co innego, jeśli robotnik nie wiedząc nic o tem, zostanie wciągnięty na czarną listę, jeśli go wszędzie przedsiębiorcy sekują, nie dają mu pracy, a robotnik bronić się nie może, bo nie zna swego wroga.

Bojkot jest bronią jawną, czarna lista skrytą i w tej właśnie jawności robotniczej a skrytości broni przedsiębiorcy leży różnica zasadnicza między obiema.

Robotnik walczy jak rycerz, przedsiębiorca zaś podstępnie i zdradziecko.

O ochronie pracy kobiet.

Dlaczego żądamy, żeby prawo ochraniało pracę robotnika? Przecież jeśli komuś za ciężko pracować 16 godzin na dobę, jeżeli nie ma ochoty nocy spędzać w fabryce, zamiast spać u siebie w domu, jeżeli uważa, że 80 fen. albo 1 mk. za całodzienną pracę to trochę za mało — to niewoli niema, nikt go nie zmusza, niech nie pracuje. Chce, niechaj żyje, chce, niech umiera, czy się powiesi, czy chwyci się pracy — nikt się nie spiera, jak mówi poetka. Otóż to właśnie, że robotnikowi zwykle nie pozostaje nic innego, jak przyjąć pracę na takich warunkach, jakie mu daje fabrykant, albo ginąć z głodu. Tak było dawniej wszędzie, tak jest jeszcze i teraz tam, gdzie robotnicy nie łączą się, tylko żyją w rozproszeniu. Z odosobnionym robotnikiem fabrykant zawsze zrobi, co zechce, z organizacją robotniczą liczyć się musi. Te organizacje za jedno z najważniejszych swych zadań uważają zdobycie takich praw, któreby ograniczały samowolę fabrykanta, nie pozwalały mu do ostateczności wyzyskiwać robotnika. We wszystkich prawie krajach dziś istnieje tak zwane prawodawstwo ochronne, a zwykły przebieg zdobywania tych praw był taki, że najpierw wywalczono prawo, broniące dzieci, potem kobiet, a wkońcu dopiero mężczyzn.

Dlaczego tak się działo?

Przedewszystkiem dlatego, że wyzyzk dzieci i kobiet był najjaskrawszy i najszkodliwszy dla zdrowia całych pokoleń. Rzecz dziś już trudna do wiary, że dzieci czteroletnie pracowały po fabrykach, że kobiety do ostatniej chwili przed połogiem chodzić musiały do roboty, a w kilka dni po urodzeniu dziecka już wracały do pracy! Nic dziwnego, że śmiertelność wśród dzieci rosła w sposób zastraszający, że mnóstwo było kalek i ludzi niezdolnych do pracy. O zapobieżeniu temu nieszczęściu musiały przedewszystkiem starać się organizacje robotnicze, dlatego też prawodawstwo ochronne wszędzie się zaczyna od dziecka i kobiety, wszędzie prawie dzień roboczy zostaje skrócony przedewszystkiem dla dzieci - ze względu na ich zdrowie, i dla kobiet — gdzie na nich ciążą jeszcze inne obowiązki, prócz podobnej pracy — praca w domu, a praca ta musi być zrobiona, jeśli rodzina robotnicza nie ma wpaść w ostateczne opuszczenie.

Ochrona pracy kobiet ma jeszcze i tę dobrą stronę, że pośrednio oddziaływa na dolę całego ogółu pracującego; tam, gdzie istnieje zakaz nocnej pracy kobiet, albo krótszy dla kobiet dzień roboczy, tam się często nie opłaca fabrykantowi wprowadzać innych porządków dla mężczyzn, szczególniej, gdy więcej pracuje kobiet niż mężczyzn, ustaje wogóle zabójcza nocna praca, skraca się dla wszystkich dzień roboczy.

Międzynarodowy kongres socjalistyczny w Zurychu w roku 1893 przyjął następujące żądanie co do ochrony pracy kobiet:

1. Wprowadzenie 8 godzinnego maksymalnego dnia roboczego dla kobiet i 6 godzinnego dla dziewcząt do lat 18-stu.

2. Nieprzerwany 36 godzinny dzień odpoczynku na tydzień.

3. Zakaz pracy nocnej.

4. Zakaz pracy kobiet we wszystkich szkodliwych dla zdrowia zawodach.

5. Zakaz pracy kobiet ciężarnych na 2 tygodnie przed i na 4 po połogu.

6. Mianowanie dostatecznej ilości inspektorek fabrycznych w gałęziach przemysłu, gdzie zatrudnione są kobiety.

7. Zastosowanie powyższych zasad do wszystkich kobiet, zatrudnionych w warsztatach, fabrykach, sklepach, w przemyśle domowym oraz robotnic wiejskich.

Prawodawstwo niemieckie gwarantuje niedzielny odpoczynek wszystkim pracownikom, bierze w opiekę kobietę ciężarną, nie pozwala zatrudniać kobiety w niektórych szczególniej dla zdrowia szkodliwych gałęziach produkcji. Lecz do wywalczenia pozostało jeszcze niemało, a walczyć powinny organizacje robotnicze wogóle, w szczególności zaś organizacje kobiece. Kobiety, zdobywając lepsze warunki pracy dla siebie, walczą w interesie całej klasy robotniczej.

Rozmaitości

Strejk konsumentów piwa. W Bawarji przybiera coraz szersze rozmiary bezrobocie piwoszów. W ostatnich dniach przyłączył się do strejku szereg gmin. W Metten uchwalono przez cztery tygodnie nie uczęszczać do piwiarni i trwać w strejku tak długo, aż cena piwa obniżona będzie do 22 fenigów. W Steinkirchenie i Michaelsbuchu zapowiedziano grzywnę 3 marek na każdego, kto solidarności nie dochowa.

* * *

Ziemia się powiększa. Według teorji, którą oddawna podzielali gieografowie i gieologowie, ziemia coraz bardziej się zmniejsza. Pogląd ten opiera się przedewszystkiem na zasadzie fizyki, że ciało oziębiające się, kurczy się równocześnie. Tworzenie się łańcuchów górskich i nierówności na powierzchni ziemi wogóle, uważano za skutek działania sił, które wskutek przyciągania ziemi, działają ku jej środkowi i wobec tego porównywano powierzchnię ziemi, do pomarszczonej i pogarbionej skórki jabłka, które się zeschło. W każdym razie wszystkie te kombinacje wskazywały na to, że ziemia z biegiem czasu musi tracić na swej objętości.

Jeżeli obecnie dowodzą uczeni, że ziemia się powiększa, w przeciwieństwie do tego, co dotychczas mniemano, to twierdzenia tego nie należy rozumieć w ten sposób, jakoby kula ziemska rosła, nietylko pod względem objętości, ale i ciężaru, tylko, że pomiary, które do takiego wyniku doprowadziły są obecnie dokładniejsze, mianowicie dały większe cyfry. Przy gieodezyjnem badaniu terenu w Stanach Zjednoczonych poczyniono tego rodzaju pomiary i obliczenia i przekonano się, że wymiary faktycznie są większe, aniżeli zanotowane dotychczas cyfry. Według najnowszych pomiarów promień, przeprowadzony ze środka ziemi do punktu położonego na równiku ma 6,378.388 metrów, a stosunek spłaszczenia kuli ziemskiej na biegunach oznaczono 1 : 207. Jako najlepsze obliczenie długości promienia równikowego, uchodziło dotąd obliczenie dokonane przez uczonego Clarke w r. 1880, według którego promień ten wynosił 6,378.249·17 metra, stosunek spłaszczenia 1 : 293·5. Nowe obliczenia mają być jednak dokładniejsze, a różnica przy obliczaniu długości promienia równikowego ma wynosić, nie więcej jak dwa metry. Podstawą tych obliczeń były pomiary prowadzone przez szereg lat w Ameryce. Posługiwano się przy tem także obserwacjami astronomicznemi.

* * *

Kradzież w skarbcu patrjarchów w Moskwie. „Utro Rosji" donosi o zagadkowej kradzieży kosztowności ze skarbca patrjarchów w Moskwie. Skarbiec ten jest najbogatszym na całym prawosławnym Wschodzie. Przechowywa się tam przedmioty nader cenne zarówno ze względu na ich wartość muzealną, jak i ze względu na niezliczone kosztowności, jakiemi przedmioty te są ozdobione. Dla zbadania tych kosztowności moskiewski zarząd synodalny zaprosił specjalistę. Badanie to dało charakterystyczne wyniki. Stwierdzono, że znaczną część kamieni wartościowych zamieniono zwykłemi szkiełkami. Np. na okładce starożytnego egzemplarza ewangelji, który jest darem carycy Natalji Cyrylówny, a który przedstawiał olbrzymią wartość ze względu na mnóstwo kosztowności, jakiemi egzemplarz ten był przyozdobiony — wszystkie kamienie wyjęto, a na miejsce ich umieszczono zwykłe szkiełka, przylepiono na wosku. Ewangelja ta przechowywana była w specjalnej zamkniętej witrynie. Na innych przedmiotach również wykryto zamianę kosztowności.

* * *

Fotografja o barwach naturalnych. Jak donosi profesor Luther, powaga na polu fotografji naukowej, w dwu rozprawach, zamieszczonych w czasopismie „Photograph. Rundschau", powiodło się słuchaczowi uniwersytetu w Strasburgu, rosjaninowi, Borysowi Lundinowi, wynaleźć sposób przenoszenia na papier fotografji w barwach naturalnych. Fotografje Lundina mają się odznaczać niebywałą dokładnością i potrzebują tylko pewnych poprawek technicznych, nad któremi pracuje obecnie wynalazca. Zdjęcia te są bezpośrednie w przeciwieństwie do pośrednich zdjęć Lumiera, a sposób fotografowania jest bardzo prosty. Wynalazek Lundina wywoła, zdaniem znawców, przewrót w fotografowaniu.

* * *

Wywóz zboża z Rosji. Zboże w ziarnie stanowi olbrzymią część (60%) ogólnego wywozu Rosji, gdy produkty zbożowe Rosja sprowadza z zagranicy, jako to krochmal, makaron i t. d. Mąki także Rosja wywozi stosunkowo niewiele: w r. 1905 wywiozła ona za 15 miljonów rubli, gdy Stany Zjednoczone Północnej Ameryki samej mąki pszennej wywożą za 120 miljonów rubli, ustępując natomiast Rosji pierwszeństwa we wywozie ziarna. Zużycie zboża w Rosji na jednego mieszkańca w porównaniu z innemi państwami przedstawia się w sposób następujący:

Rosja	240	kg. rocznie
Austro-Węgry	336	„ „
Anglja	352	„ „
Francja	368	„ „
Prusy	448	„ „
Stany Zjednoczone . . .	944	„ „

Z powyższego widać przyczyny głodu w Rosji.

Z literatury i sztuki

Numer 17 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: na wstępie historyczny artykuł H. Orszy o sprowadzeniu kryżaków do Polski; dalej dokończenie pięknej baśni Lehny Lagerlöf p. t. „Odmieniec", ciąg dalszy niezmiernie zajmującej powieści St. Buraczewskiej „Djabelski statek" (przeróbka z V. Hugo), oraz początek ślicznej nowelki z francuskiego: „Nedzi-Cyganka". Kończą numer jak zwykle wiadomoci „Ze świata", łamigłówki i odpowiedzi od Redakcji.

W dodatku dla młodszych dzieci znajdujemy pogadankę przyrodniczą H. Rabego o przebudzeniu się ślimaka z zimowego snu, oraz Baśń o wiośnie J. Ciembrowicza. Wesoły wierszyk z odpowiednim obrazkiem, p. t. „Niedobry łabędź", napisany przez Ciocię Helę — i dwie łamigłówki układu małych czytelników, dopełniają treści „Promyczka".

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Krowoderska 45; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Młoczkowski w Katowicach.

Nr. 20. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 maja 1910.

Zielone Świątki



Idą dni wiosenne, Zielone Święta!
Święci was ziemia, święcą ptaszęta,
W majowej szacie — pieśnią swobody
Obchodzą z życiem weselne gody.

Już wszędzie krążą wiosenne soki,
Runieją zboża, szumią potoki —
Witaj, zawitaj, poro radosna,
O, bo i w dusze zstąpiła wiosna!

Po ciężkiej zimie, po długiej nocy
Ocknął lud-olbrzym, próbuje mocy —
Już w jego łonie przyszłość poczęta,
Już idą, idą Zielone Święta!

RUDYARD KIPLING.

Niszczyciel mikrobów.

(Przekład z angielskiego.)

Co pięć lat, jak wiadomo, dostaje państwo indyjskie nowego wicekróla. Każdy zaś wicekról przywozi wraz z resztą bagażu prywatnego sekretarza, który staje się lub nie staje się — zależy to od losu — prawdziwym i rzeczywistym wicekrólem. Opatrzność bowiem musi czuwać nad indyjskiem cesarstwem, choćby tylko dlatego, że jest tak wielkiem, a tak nieporadnem.

Razu pewnego przywiózł taki wicekról sekretarza, który posiadał bardzo gładki sposób bycia i chorobliwą namiętność do pracy. Nazywał się M. Wonder — John Fennil Wonder. Wicekról zaś nie posiadał nazwiska — miał tylko natomiast całą litanję hrabstw i kilkanaście liter na ich zakończenie. W zaufaniu mawiał, że jest tylko pozłacaną głową złotej administracji i z uśmiechem przyglądał się swemu sekretarzowi, gdy ten próbował wziąć w swe ręce rzeczy, które zupełnie do niego nie należały.

— Gdy będziemy już cherubinami — rzekł raz Jego Ekscelencja — mój drogi przyjaciel Wonder niezawodnie stanie na czele jakiegoś spisku, by wyrwać piór kilka ze skrzydła Archanioła Gabrjela, lub wykraść klucze świętemu Piotrowi.

Ale chociaż wicekról nic nie uczynił, by powstrzymać zapał swego podwładnego, inni jednak wcale nieprzyjemne uwagi robili i wkrótce cała Simla zgodziła się na to, iż miała za wiele Wonder'a, a za mało wicekróla.

Wonder bezustannie przytaczał „Jego Ekscelencję" i zdania „Jego Ekscelencji" i zapatrywanie „Jego Ekscelencji". A Jego Ekscelencja się uśmiechał i mówił, że tak długo, jak „jego drogi poczciwy Wonder" kłóci się ze wszystkimi, tak długo on może pozostawić przedwieczny Wschód w spokoju.

Żaden mądry człowiek nie prowadzi polityki — powtarzał zawsze wicekról. — Polityka, jest to wyzyskiwanie durnia przez „Nieprzewidziane". Pierwszym nie jestem, a w drugie nie wierzę.

Znaczenia tych słów nie bardzo ja rozumiem, chyba, że odnosiły się one do asekuracji. A może chciał wicekról powiedzieć przez to, że „jakoś to będzie".

Przybył tego sezonu do Simli jeden z tych narwańców, co to mają jedną myślą cały mózg opanowany. Tacy ludzie robią wprawdzie postęp w świecie, ale w rozmowie nie są przyjemni. Narwaniec ten nazywał się Mellish, a spędził był piętnaście lat na studjowaniu cholery w Niższym Bengalu. Utrzymywał on, że cholera, to mikrob rozmnażający się w wilgotnej a gorącej atmosferze, a osiadający na gałęziach drzew, niby płatki wełny. Mikrob ten jednak dałby się wyniszczyć zapomocą fumigacji „niezrównanym proszkiem Mellish'a", który to proszek — czarniawo-fioletowego koloru — był wynikiem piętnastoletnich naukowych badań.

Wszyscy wynalazcy są mniej więcej podobni do siebie. Mówią głośno, w szczególności o „spiskach monopolistów", biją pięścią w stół i noszą w kieszeni próbki swoich wynalazków.

Mellish był przekonanym, że wszyscy lekarze w Simli, z dyrektorem gieneralnym szpitali na czele, w zmowie są przeciw niemu, pragnął więc osobistej i nieuprzedzonej interwencji wicekróla, jako „zastępcy naszej najmiłościwszej królowej", w sprawie swego wynalazku.

Łatwiej jednak zobaczyć wice-króla, aniżeli mówić z nim. Chyba, że jest się tak ważną osobistością, jak Mellishe z Madrasu. Ten był tak wielkim człowiekiem, że córki jego nigdy nie wychodziły za mąż, tylko „zawierały aljanse". Nie brał on gaży, tylko „zbierał swe dochody", a podróże jego po kraju były „obserwacyjnemi objazdami". Poruszał on ludność Madrasu tak, jak się długim kijem porusza ryby w sadzawce. Ludność ta porzucała starodawne swoje obyczaje i wołała, wytrzeszczając oczy:

— Oto jest postęp! Oto jest światło cywilizacji!

Nastepnie stawiali Mellishe'owi pomniki i obwieszali je wieńcami z jaśminu, byleby się go pozbyć.

Mellishe przyjechał do Simli na „konferencję" z wicekrólem. Wicekról zaś wiedział o nim tyle tylko, że był on jednem z tych mieszczańskich bóstw, które widocznie potrzebne są do szczęścia średniej klasy i że prawdopodobnie on to był tym, który proponował, planował, fundował i wyposażał wszystkie instytucje publiczne w Madrasie, co dowodzi, że Jego Ekscelencja, choć marzyciel, wcale miał dokładne pojęcie o tym gatunku wielkich ludzi.

Wielki Mellishe pisał się E. Mellishe, zaś Mellish-wynalazca E. S. Mellish, a obaj stali w tym samym hotelu. I tak Opatrzność, która czuwa nad indyjskiem państwem, dopuściła, iżby Wonder zapomniał napisać końcowe „e", adresując kopertę, w którą włożył następujący liścik:

„Drogi panie Mellish! Czy nie mógłbyś innych zaprosin odmówić i przyjść do nas na śniadanie jutro o drugiej popołudniu? Jego Ekscelencja miałby wtedy godzinę czasu, którąby chętnie panu poświęci".

List ten, wskutek pomyłki z końcówką, dostał się Mellish'owi od Fumigatora. Omal się nie rozpłakał z radości i dumy i wypchawszy kieszenie fraka torebkami, napełnionemi swoim wynalazkiem o oznaczonej godzinie, pogalopował do pałacu. Nadeszła jego chwila i postanowił z niej korzystać. Mellishe z Madrasu takim solennym tonem zapowiedział był swoją „konferencję", że Wonder zarządził zupełnie prywatne śniadanko, bez adjutantów, bez Wondera nawet i to pomimo, iż wicekról żałośnie mówił, że się boi zostać z takim autokratą bez kagańca, jak wielki Mellishe z Madrasu. Gość jednak nie znudził wicekróla. Przeciwnie, ubawił go nawet. Mellish był rozgorączkowany i plótł trzy po trzy, aż do chwili, gdy podano cygara. Jego Ekscelencja zaś był uradowany, że gość nie mówi „fachowo". Zaledwie cygara zapalono, wynalazca przystąpił do interesu. Zaczął od wykładu o cholerze, potem zrobił przegląd swoich piętnastoletnich naukowych badań, wyjawił intrygi zmowy lekarskiej, a przedstawił całą doniosłość i doskonałość swego Fumigatora w bardzo gorących słowach. — Wicekról przyglądał mu się z pod zmrużonych powiek i myślał: „Najwidoczniej musi to być jakiś tygrys, ale w każdym razie wcale oryginalna bestja". Mellish jednak tak się zapalił, że włosy mu dębem na głowie stanęły i zaczął się jąkać i zacinać. Nakoniec gorączkowym ruchem, wydobył papierowy woreczek z kieszeni, wysypał zawartość jego na srebrną tacę.

— O o-os sądź sam panie! — zawołał. — A-a-ab-absolutnie s-s-skuteczne! przyłożył zapalone cygaro do proszku, który zaczął dymić się jak wulkan, wysyłając ogromne, miedzianego koloru kłęby dymu w górę. W pięć sekund pokój tak się nim zapełnił, że nie można było ani patrzeć, ani oddychać, ani nawet krztusić się, a proszek syczał i coraz to przyjemniejsze zapachy wydzielał.

— Tysiąc kubicznych stóp dymu, na kubiczny cal proszku, Wasza Ekscelencjo! Ani jeden zarodek tego nie wytrzyma! — krzyczał zachwycony Mellish, któremu Fumigator nie szkodził, bo przywykł do niego.

Ale Jego Ekscelencja uciekł i kaszlał na schodach, podczas gdy w całym pałacu zawrzało, jak w ulu. Czerwoni ułani wkroczyli i dowódcy Chaprassów weszli, a panie biegały po schodach, wrzeszcząc: „Pali się!" Bo dym napełniał już cały dom, wychodził oknami, i wielkiemi kłębami toczył się po ogrodzie. Nikt nie mógł dostać się do pokoju, w którym Mellish miał swój wykład, aż się proszek zupełnie wypalił.

Wówczas jeden z adjutantów, któremu bardzo chodziło o awans, wpadł i wyciągnął wynalazcę do sieni, gdzie wicekról pokładał się od śmiechu i mógł tylko słabo machać w stronę Mellish'a, który nowy woreczek z kieszeni dobywał.

— Wspaniale! Wspaniale! — łkał Jego Ekscelencja. — Ani jeden zarodek, jak to pan słusznie zauważyłeś, nie wytrzyma tego. Mogę na to przysiądz! Cudowny wynalazek!

I znów śmiał się, aż mu łzy z oczu popłynęły. Na to nadszedł Wonder, który był tymczasem odnalazł wielkiego Mellishe'a na promenadzie, i bardzo był zgorszony tą sceną. Ale wicekról był kontent, bo wiedział, że Wonder długo nie zabawi, a i Mellish był zadowolony, bo czuł, iż zmowę lekarską zniweczył.

Mało ludzi umiało opowiadać tak dowcipnie, jak Jego Ekscelencja, gdy był w dobrem usposobieniu. To też anegdota o „przyjacielu mego poczciwego Wonder'a i o jego

proszku" obiegła całą Simlę i wywołała tysiąc, pozbawionych wszelkiego szacunku uwag, które Wonderowi życie zatruwały.

A Jego Ekscelencja opowiedział historję o jeden raz za dużo — dla Wonder'a przynajmniej. Było to na Secpee-Pikniku. Wonder siedział tuż za wicekrólem.

— I naprawdę myślałem przez chwilę — rzekł ten ostatni — że mój poczciwy, kochany Wonder wynajął mordercę, by utorować sobie drogę do tronu.

Wszyscy się roześmiali, ale w tonie Jego Ekscelencji był pewien subtelny odcień, który Wonder zrozumiał. Odkrył też wkrótce, że zdrowie jego zagrożone, i otrzymawszy od wicekróla ogniste świadectwo, którem mógł się w kraju przed wielkiemi ludźmi popisywać, odjechał do domu.

— Wszystko to z mojej winy — mawiał potem Ekscelencja, mrugając jednem okiem — tak niekonsekwentne i chwiejne usposobienie jak moje, musiało niekorzystnie wpłynąć na zdrowie tak stanowczego człowieka, jak Wonder.

W nowym okresie przeciwieństw klasowych.

Coraz energiczniej i coraz agresywniej występuje klasa panująca przeciw klasie pracującej i jej organizacji. Coraz natarczywiej i zuchwalej prowokują kapitaliści proletarjat do walki i coraz trudniejsze i uciążliwsze są te walki dla proletarjatu.

Proletarjat przebył w czasach ostatnich kilka walk tak wielkich, tak rzeczywiście ciężkich, jakich dotąd nie widzieliśmy. Przebyła klasa pracująca niedawno strejk gieneralny w Szwecji, ciężki konflikt w Danji, przetrzymał wyczerpujące zapasy przeciw prawu koalicji w Filadelfji, olbrzymi lokaut robotników budowlanych w Niemczech.

Wszystkie te walki były ciężkie nie tyle z powodu ich celu, z powodu żądań proletarjatu, ile raczej z powodu nieprzejednanego stanowiska przedsiębiorców. Nadszedł nowy okres przeciwieństw między pracą a kapitałem. Przedsiębiorcy prowokują strejki i aranżują lokauty dla samej walki, dla zmierzenia swych sił, dla osłabienia organizacji robotniczych. Interes poszczególnych kapitalistów staje w nich na miejscu drugiem.

A często nawet wbrew interesom tego lub owego kapitalisty, a nawet wszystkich przedsiębiorców w jakimś zawodzie, prowokują przedsiębiorcy strejk lub lokautują robotników, by uniknąć nawet pozoru słabości wobec organizacji robotniczych.

I należy zwrócić uwagę na to, że to co teraz kapitaliści kształcą w swoich organizacjach jako metodę, to stanie się w przyszłości we wszystkich strejkach i lokautach regułą.

Musimy już w najbliższych walkach oczekiwać takiej zawziętości, którą teorytycznie wyobraziliśmy sobie jako zakończenie walk klasowych u końca kapitalistycznego systemu produkcji.

Zaostrzenie się walki klasowej w ostatnich czasach jest rezultatem olbrzymiego wzrostu organizacji kapitalistów. Zasada wolnej konkurencji, która w młodych latach kapitalizmu opanowała nad całym światem jego myśli, a z którą musiały się liczyć także nasze związki zawodowe, przestała istnieć jako czynnik decydujący.

Swiadczy to o niedorozwoju kapitalisty, jeśli przywiązuje jakąś wagę do wolnej gry sił gospodarczych. A zupełnie wykluczony jest ten kierunek myśli, jeśli idzie o postawienie wszystkich sił kapitalizmu przeciw interesom robotniczym. Wówczas regułą jest zwartość, wspólność i jedność, jeden kierunek. Wówczas zasadą jest przeparcie woli kolektywnej, powszechnej woli kapitalistów przeciw robotnikom.

Stwierdzić należy, że przedsiębiorcy nie mogą się skarżyć na indyferentyzm w swoich szeregach. Nie byłoby nic błędniejszego, niż nieuznawanie tego faktu. Jeśli wskazujemy na trudności przyszłych walk, nie mamy innego celu, jak przez poznanie i wskazanie siły przeciwnika klasowego wzmocnić swoje własne stanowisko klasowe.

Wśród klasy robotniczej jest jeszcze wiele sił śpiących. Zbudzić je i zahartować, uczynić je czynnemi w życiu klasy robotniczej, jest najważniejszem i najpiękniejszem zadaniem, którego spełnienia żąda od nas emancypacyjna walka proletarjatu.

Wielkie znaczenie organizacji przedsiębiorców leży w jedności woli naszych przeciwników. Ta jedność objawia się w solidarności kapitalistów we wszystkich kwestjach gospodarczych, w czasie obronnej i zaczepnej walki przeciw organizacji robotniczej.

Jedynym momentem jednoczącym rozbitą burżuazję, z jej targowiskiem krzykliwych walk nacjonalistycznych, z jej przeciwieństwami między wsią a miastem, z jej walkami partyjnemi i wyznaniowemi — jest wspólna ekonomiczna wola, solidarność przedsiębiorców tak w sprawach produkcji jak i w walkach przeciw robotnikom jak i w całej polityce społecznej.

Byliśmy dumni, że siłą organizacji naszej wyprzedziliśmy wrogów proletarjatu — lecz oni teraz nadążyli za nami i prześcignęli nas. Kiedy w ich szeregach jeszcze przed kilku laty wskazywano nas jako przykład siły i solidarności, to dziś my musimy proletarjatowi przypomnieć jego organizacyjne obowiązki. Musimy upomnieć klasę robotniczą, by patrząc na solidarność kapitalistów, nie osłabiała swoich sił, nie dzieliła ich, by ich nie zużywała na walki w łonie samego proletarjatu, lecz by ją doprowadziła do największej zdolności bojowej, do wzmocnienia organizacji i pozyskania dla niej sił jeszcze indyferentnych.

Wiemy, że walki nasze będą w przyszłości cięższe niż były w przeszłości, że musimy się do nich inaczej przygotować i inaczej się uzbroić, że będziemy musieli dobywać całej energji i olbrzymiej ofiarności, by nie tylko z honorem egzystować, ale by iść naprzód i zwyciężać.

Chcemy poprawy położenia klasy robotniczej, chcemy żądania socjalnej demokracji w walkach naszych realizować. A będziemy mogli to uczynić, jeśli przygotowywać się będziemy codziennie, jeśli do walki zbroić się będziemy każdej godziny, jeśli ani chwili nie zaniedbamy, by szeregi nasze wzmocnić. Szerzmy wiedzę, nieśmy klasie pracującej naukę, szerzmy wszędzie myśl rewolucyjnego socjalizmu.

Czyńmy to poważnie i radośnie i z umiłowaniem wielkiej sprawy proletarjatu, z energją i rozwagą, rozumnie z zapałem natchnienia, a wówczas nic nie wstrzyma kapitalizmu, pędzącego wielkimi krokami ku swojej zagładzie.

Rozmaitości

Wypadki nieszczęśliwe bardzo często mają ścisły związek z używaniem alkoholu. Potwierdzają to liczne doświadczenia, wykazujące zgodnie, że najwięcej wypadków nieszczęśliwych zdarza się w poniedziałek, co można sobie wytłomaczyć jako skutek pijatyk niedzielnych. Gdyby bowiem nie pito w niedzielę to właśnie w poniedziałek powinnoby zdarzać się najmniej wypadków, bo człowiek wypoczęty lepiej może uważać na wszystko i łatwiej uniknie niebezpieczeństwa. Świeżo prof. Pieraccini zbadał wszystkie wypadki nieszczęśliwe, zaszłe w fabryce lokomotyw we Florencji w czasie od r. 1901—1905 i stwierdził, że średnio najwięcej wypadków zdarzało się w poniedziałek: 1,70, we wtorek zaś 1.66, w środę 1,60 i tak stopniowo coraz to mniej w miarę, jak przemijało działanie pijatyk niedzielnych. Znany jest powszechnie fakt, że wielkie zderzenie się pociągów pod Sprembergiem przed kilku laty spowodował urzędnik, który wskutek poprzedniej pijatyki źle nadstawił zwrotnice. Coraz częściej też dziś w różnych przedsiębiorstwach, wymagających skupienia całej uwagi, wymaga się od personału zupełnego wstrzymania się od napojów upajających. — W Ameryce np. większa część kolei żelaznych zatrudnia tylko urzędników abstynentów, taksamo coraz więcej fabryk wymaga abstynencji od swych robotników, wreszcie coraz powszechniej żąda się abstynencji od szoferów automobilowych.

* * *

Klinika pracy. Dnia 20 marca otwartą została w Medjolanie instytucja doniosłego bardzo społecznego znaczenia, a mianowicie tak zwana klinika pracy czyli klinika chorób, związanych z pracą zawodową. Inauguracji tej towarzyszyły uroczystości o charakterze społeczno-naukowym, w których po za przedstawicielami króla, rządu i wszystkich niemal wszechnic włoskich wzięli udział delegaci z różnych krajów ze znakomitym uczonym francuskim Langois na czele.

Klinika chorób zawodowych jest pierwszym tego rodzaju zakładem na świecie. Założona przez zarząd miejski w Medjolanie kosztem miljona lirów i szczodrze subwencjonowana przez rząd i osoby prywatne (między innemi minister Luzzati przesłał w dniu otwarcia 10.000 lirów zapomogi). Klinika ta ma na celu badanie chorób wywołanych przez pracę zawodową oraz ich leczenie. — Głównem więc jej zadaniem jest wyświetlenie warunków, które czynią pracę szkodliwą dla zdrowia robotników i usuwanie w miarę możności zarówno tych szkodliwych warunków jak i ich bezpośrednich następstw.

Poza tym dodatnim wpływem kliniki pracy na warunki życiowe klasy pracującej, będzie ona miała niemniejsze znaczenie dla stanu lekarskiego. Kursa bowiem, odbyte w klinice, dają prawo do tak zwanego „Dyplomu wydoskonalenia" w sztuce lekarskiej. Dyplom ten nie będzie bynajmniej czczym tytułem, gdyż klinika, mając w swem rozporządzeniu ambulatorjum konsultacyjne dla robotników, łóżka dla 96 chorych, sześć pracowni (bakterjologiczną, chemiczną, fizyczną, kliniczną, röntgenizacyjną i djagnostyczną), pozostających pod kierunkiem wykształconych specjalistów, przedstawiać będzie tem wdzięczniejsze pole pracy dla młodych lekarzy, iż będą oni mieli prawo korzystania z materjału doświadczalnego w instytucie położniczo-ginekologicznym, oraz w położonych w sąsiedztwi: pawilonie chirurgicznym i sławnym ze swych wzorowych urządzeń „Ospidale Maggiore".

Zarząd kliniki pozostawił 36 miejsc dla młodych lekarzy, którzy pragnęliby nabyć wprawy w technice laboratoryjnej i zgłębić poszczególne zagadnienia z ogólnej patologji pracy jak np. znużenie, przedwczesne wyczerpanie, zakażenie lub zatrucie zawodowe itp.

Dyplomowani lekarze zagraniczni będą zarówno chętnie przyjmowani jak i lekarze włoskiego pochodzenia. Byłoby więc bardzo pożądanem, aby wśród młodych adeptów wiedzy lekarskiej, pragnących wykształcić się w rozpoznawaniu i leczeniu chorób zawodowych, znaleźli się tez młodzi polscy lekarze.

W tym właśnie celu nadmieniamy, że po informacje i kopje przepisów określających formalności przy zapisywaniu się do kliniki pracy zwracać się należy do jej sekretarjatu pod adresem: „Milano Clinica per le malettie del lavoro".

* * *

Poprzednicy Kolumba. W Stanie Minnesota, w Północnej Ameryce, zrobiono bardzo ciekawe odkrycie. Przy karczowaniu pewnej miejscowości robotnicy odnaleźli między korzeniami drzewa płytę kamienną, która widocznie tkwiła tam znacznie wcześniej, nim wyrosło samo drzewo. Na płycie były napisy, odczytaniem których się zajął prof. Harland. Doszedł on do przekonania, iż napis jest zrobiony po szwedzku i charakterem pisma przypomina wiek XIV. Teraz rzecz się zupełnie wyjaśniła. Napis jest następujący: „Ośmiu gotów i 22 normanów wyjechało z Nowej Szkocji i zatrzymało się w dwóch nocach i jednym dniu drogi na północ od tej płyty. Pojechali oni na połów ryb. Gdy powrócili, znaleźli dziesięciu naszych, leżących we krwi i martwych. Przenajświętsza Matko zmiłuj się nad nami! Dziesięciu naszych ludzi zostało przy życiu na naszych statkach w czterdziestym i jednym dniu drogi od tego kamienia 1326 rok". Tak więc Ameryka widocznie była zwiedzana przez europejczyków więcej niż o wiek wcześniej przed Kolumbem. Istniały co do tej sprawy rozmaite przypuszczenia, lecz obecnie otrzymano pierwszy zupełny dowód.

Widać już kometę Halleya.

Zbliża się ku nam coraz bardziej kometa Halleya, to ciało niebieskie tak lekkie, że astronomowie w obliczeniach swoich jej masę przyjmują za zero, a przecież tak groźne dla umysłów zabobonnych, lub nauce nie dowierzających...

Uczeni wciąż zapewniają, że niebezpieczeństwo w zetknięcu się ogona komety z ziemią niczem nam nie grozi, a jednak niejednego ogarnia drżenie na myśl — a jeśli nauka się myli? Wprawdzie ziemia przechodziła już nieraz przez tę gazową masę, którą jest ogon komety, ale to nawet nie uspakaja tłumów, nie rozumiejących dobrze wyliczeń uczonych, wiedzących zaś to jedno, że jak sięga pamięć ludzka komety były zwiastunami wojen, katastrof, głodów lub pomoru.

Należy więc raz jeszcze powtórzyć, że pojawienie się komety nie jest związane z żadnem niebezpieczeństwem dla ludzkości, a zainteresowanie, jakie z jej powodu istnieje w świecie kultury, pochodzi wyłącznie ze względów naukowych, gdyż nie miano jeszcze dotychczas sposobności zbadać przejścia komety przez tarczę słoneczną, co właśnie będzie miało miejsce w dniu 19 maja. W dniu tym nauka stwierdzi, czy kometa jest ciałem tak przezroczystem, że nie zostawi ani cienia na tarczy słonecznej, czy też przeciwnie, zarysuje się na tle słońca.

Tymczasem zaś już teraz można w noce pogodne obserwować kometę w godzinach poprzedzających wschód, jak to wykazuje następująca tabelka:

	Wschód słońca	Wschód komety	Odległość komety od ziemi
Maj	15 — 4.13	2.36	5.12
„	16 — 4.12	2.48	4.48
„	17 — 4.10	3.07	3.84
„	18 — 4.09	3.33	3.40

Te dane zaczerpnięte są z obliczeń niemieckiego uczonego O. Schradera, dla Berlina. Dla nas są one prawie zupełnie indentyczne — różnica wynosi najwyżej kilka minut.

Odległość pomiędzy kometą a ziemią ustawicznie się zmniejsza z gwałtowną szybkością.

Oczywiście, że najlepiej jest obserwować kometę, gdy świt jeszcze nie bardzo rozjaśnił świata. Kometę widać nieco na prawo od miejsca, w którem wschodzi słońce.

Jasność komety rośnie ustawicznie, dzięki jej zbliżaniu się do słońca, które ją rozgrzewa i rozświeca i dzięki zbliżaniu się do ziemi.

Ale już 15 maja kometa będzie tak blizko od słońca, że nie będzie jej można prawie wcale dojrzeć, gdyż blask słoneczny ją zakryje. Dnia 19 maja przejdzie przez tarczę słoneczną, co nie będzie widzialnem na naszej półkuli, poczem z równie gwałtowną szybkością pokaże się z drugiej strony słońca i zacznie się ukazywać po zachodzie słońca.

A mianowicie:

	Zachód słońca	Wschód komety wieczorem	Odległość komety od ziemi
Maj	19 g. 7.58	g. 8.37	3.16
„	20 „ 7.53	„ 9.29	3.08
„	21 „ 8.01	„ 10.15	3.16
„	22 „ 8.03	„ 10.47	3.47
„	23 „ 8.04	„ 11.07	3.81
„	24 „ 8.05	„ 11.20	4.46
„	25 „ 8.07	„ 11.27	5.08
„	26 „ 8.08	„ 11.33	5.77
„	27 „ 8.09	„ 11.37	6.50
„	28 „ 8.11	„ 11.37	7.23
„	29 „ 8.12	„ 11.38	8.03
„	30 „ 8.13	„ 11.38	8.74

Już 20 maja, jak się zdaje, kometa będzie łatwo widzialną po zachodzie, prawie w tem samem miejscu, w którew zajdzie słońce. Potem będzie ją można oglądać coraz bardziej na lewo od słońca. Najpiękniej będzie widać kometę począwszy od 23 maja.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 21. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 21 maja 1910.

JUŻ WIOSNA.

(Obrazek z ulicy).

— Józiek! grasz w „moniaki"?
— A bo co?
— No pytam się, czy grasz?!
— A jak nie będę grał, to co?
— Pies z tobą tańcował!

I rozeszli sie, a wokoło nich zebrana gromadka sześcioletnich Franków i Wicków z zaciekawieniem wielkiem oczekiwała rozpoczęcia gry. Z zazdrością spoglądali na starszych nieco od siebie Józka i Antka, który pierwszy proponował grę.

Trzeba widzieć twarze tych dzieci, śledzących każdy ruch starszych towarzyszy, którzy w ich pojęciach są bogaczami bo posiadają po kilkanaście sztuk guzików mosiężnych od palt żołnierskich. (Guziki takie nazwane są przez dzieci ulicy „moniakami" lub „mońcami").

Wyjście na ulicę tych małych mieszkańców piwnic i poddaszy warszawskich jest znakiem prawdziwej wiosny!

Dobre i piękne słońce powołało te blade i wynędzniałe twarzyczki do świata; pozwoliło im wyjść z zimnych i wilgotnych nor, by powiedzieć ludziom: „patrzcie, oto są zwiastuny wiosny"!

Korzystając z wspaniałych darów natury, Antek i Józiek, zdobywszy kilka sztuk guzików, zapragnęli rozpocząć sezon, by wskazać panom z pola Mokotowskiego, że już pora nadeszła i na totalizotora!

I sezon rozpoczęty. Przygotowań wielkich nie trzeba; parkanów na ulicach nie brakuje, zwłaszcza w okolicy Wolskiej i Jerozolimskiej.

Po chwili Józiek wrócił do gromady i poszedł do Antka.

— Antek! dużo masz „moniaków"?

Antek, obrażony, nie zwraca uwagi na wołanie kolegi.

— Przecież nie chcesz grać!
— Bo ty oszukujesz.
— Won! kogo oszukałem?
— A nie posunąłeś palcem „mońca" wczoraj, jak grałeś z Lutkiem od kościarki? Może nie widziałem?

Antek, zły, podchodzi do Józka i ma zamiar uderzyć go w twarz. Józiek, przeczuwając to, nachyla się szybko i uderza głową w brzuch przeciwnika. Obaj powalili się na ziemię.

Po chwili szamotania się powstali i, poprawiszy na sobie ubranie, odstąpili od siebie.

Nastał bardzo ważny i niebezpieczny dla obydwu moment, bo oto jeden i drugi biegną do rynsztoka po kamienie, by z większą jeszcze zaciętością rzucić się na siebie.

Antek, na szczęście, kamienia pod ręką nie znalazł, więc nadrabia miną, staje i trzymając ręce w kieszeniach, woła:

— No, uderz! Myślisz, że ja się ciebie boję?

Józiek oniemiał. Odwaga Antka mu zaimponowała, albo też ambicja nie pozwoliła mu walczyć z bezbronnym. Odrzucił kamień i odszedł w stronę kilka kroków. Za nim podążyła gromadka widzów.

Józiek, upatrzywszy gładkie i bez dziur deski w parkanie, wyjmuje „moniaki" z kieszeni i, wziąwszy jednego z zagiętem uchem, uderza nim z pewnej odległości o deski parkanu. Już u obu złość minęła. Podchodzi Antek.

— Józiek! Gramy! co?
— Gram, ale pamiętaj, żebyś mońca nie przesuwał.
— Dobra!
— Bij się!
— Ale ja gram dwóch „gładzi"*) na „cal"**) i po razu, a „orła" jednego — raz.
— Sypać! Bij się.

I zapanowała między niemi najlepsza zgoda. Gra idzie już bez żadnych przeszkód. Galerja widzów się powiększa, bo przyszedł Lutek kościarki, Stasiek stróża z pod 50 numeru i dwóch chłopaków węglarki.

— Lutek! grasz? Zagramy w trójkę.

Lutek zapomniał o wczorajszej krzywdzie, wyrządzonej mu przez Antka, i do gry przystępuje.

Po kilkunastu minutach Lutek dosyć trafnie zmierza do guzików swoich partnerów i zabiera kilka razy z rzędu po dwóch „gładzi" to jednemu, to drugiemu. Antek się złości.

— To ci się rozegrał! Widziałeś Józiek. Już dwanaście sztuk nam zabrał, a tyś urągał, że ja go oszukałem wczoraj.
— Może nie? — odpowiada Lutek.
— Odsuń nogę! bo ja teraz gram — zawołał Józiek.

I gra idzie coraz namiętniej, coraz gwałtowniej. Antek zły, bo przegrywa. Uderza guzikiem z całej siły. Guzik pada na środek ulicy.

Widać na ich twarzach zarumienionych i w oczach błyszczących hazard, z jakim się oddają temu sportowi.

Szczęście sprzyja im na przemiany. Fortuna, jak do tej chwili, nie krzywdzi tych braci poddasza, wreszcie znudzona widocznie równym podziałem wygranej, przechyla swą sympatję na stronę Lutka.

Antek przegrał wszystkie guziki. Przygnębiony niepowodzeniem przestaje grać.

— Nie grasz? — pyta Józiek.
— Przewaliłem czterech orłów i piętnastu gładzi.
— No to graj na zwyczajne — wtrąca Lutek — za mońca cztery.
— Ba, kiedy wszystkich mam ze sześć sztuk.
— Oberżnij od nastków — radzi mu Józiek.
— Tak? Mądryś! a na czem spodnie będą mi wisiały?
— Mam kawałek sznurka, to se przewiążesz i musowo w porządku.
— Wielka mi obrada, u spodni mam tylko dwa zwyczajne, razem starczy mi na dwa razy przegrać. Ale grajta we dwuch; ja niedługo wrócę.

I pędem pobiegł Antek w stronę domu.

Dwaj pozostali gracze nie przerywają zajęcia i z nieustającą energją, spoceni, biegają od parkanu do miejsca, gdzie upadnie drogi dla nich „moniec".

Wpatrzeni w każdy kierunek, jaki przybiera rzucony

*) „Gładź" — guzik o gładkiej powierzchni dla odróżnienia od „orła", na którym jest umieszczony herb państwowy.

**) „Cal" — odległość od 1-go do 3-go palca u rozłożonej na ziemi dłoni.

przez nich guzik, radziby go przyciągnąć siłą swego wzroku i umieścić przy guziku przeciwnika na odległość tak zwanego „cala".

Po chwili wraca Antek z garścią drobnych guzików.

— Mam dwanaście — woła.

— Pewnieś gdzie buchnął? — zapytuje Lutek.

— O! zaraz buchnął! Oberżnąłem od portek i kamizelki starego ośm, a od kaftana matki cztery. Akurat w domu matki nie było.

— No, czekaj, jak ojciec będzie kładł ubranie w niedzielę, a zobaczy, że guzików niema, dopiero będzie wcieranie.

— Nie pyskuj! kościarski synu!

— Czego urągasz z swojej nędzy — zawołał Józiek — lepiej grajmy.

Gra znów poszła z większem jeszcze ożywieniem i namiętnością, a pięcioletni widzowie spoglądają z podziwem i zazdrością na szczęśliwego Lutka.

Szczęśliwe dzieci poddasza i piwnic! Jak mało wymagacie od świata!

Was nie prowadzą na spacer bony i freblówki do parku Ujazdowskiego lub ogrodu Saskiego!

Rynsztok i parkan — oto miejsce waszych rozrywek!

Proletarjackie Wicki i Antki nie słyszą: „Antosiu, uważaj, bo splamisz majteczki", „Wandziu nie trzymaj paluszka w buzi"!

Matki Powiśla i Woli zadowolone, że drobiazg ich wysunie się na ulicę i odetchną trochę od tego gwaru i krzyku jaki sprawia pięcioro drobiazgu w jednym pokoiku. Zostało tylko najmłodsze, które nie potrafi jeszcze samo chodzić, ale i ono często siada na plecach swego sześcioletniego brata i ten hasa z nim po ulicy. I ono chce ujrzeć świat i cieszyć się słońcem.

Raduj się mały człowieku. Ulica i rynsztok oto twoje pokoje dziecinne! Gdy dorośniesz dowiesz się, być może, iż niejeden z twoich rówieśników i towarzyszy zabaw zginął gdzieś marnie w więzieniu lub w katordze za zabójstwo i rabunek. Lecz ty nim nie pogardzaj, raczej miej współczucie dla swego nieszczęśliwego przyjaciela z lat dziecinnych Czy on winien, że został zbrodniarzem?

Przypomnij sobie, gdzieście się wychowywali i gdzie była wasza szkoła?

Wtedy smutny i pełen rozpaczy rzucisz wezwanie:

„Pragniemy oświaty!"

„Dajcie nam szkołę!!" Major.

Garibaldi.

W rocznicę walk o niepodległość Włoch.

„A Włochy znalazły w Garibaldim bohatera, na modłę bohaterów świata starożytnogo, botatera, który umiał czynić cuda i który rzeczywiście cudu dokonał. Na czele drużyny swej, owych słynnych bojowników-ochotników „Tysiąca" obalił tron monarchji neapolitańskiej i dokonał rzeczywiście zjednoczenia Włoch. Sprawa włoska rozwiązaną została, ale nie matactwami i intrygami Bonapartego, lecz — drogą rewolucji-"

Engels.

Było to w maju 1860 r. A więc 50 lat temu; a więc pół stulecia upłynęło już od owych wypadków!

11 maja 1860 r. koło Marsali na Sycylji wylądował Garibaldi z drużyną bojową ochotników, których przez morską cieśninę przewiózł na dwóch okrętach. Druzyna ta powstańców włoskich, towarzyszy Gnribaldiego — to był ów słynny „tysiąc", który dokonał wielkiego dzieła zjednoczenia i wyzwolenia ostatecznego Italji.

W przeciągu dni kilku po wylądowaniu rozbił dowódca powstańców wojska despoty neapolitańskiego, zdobył stolicę Sycylji Palermo, opanował całą wyspę. A stąd, mając już punkt oparcia dla rewolucji, wylądował w Kalabrji, ruszył na Neapol i po całym szeregu utarczek, bitew i zwycięstw, które były jednym, jedynym wielkim pochodem tryumfalnym rewolucji, w dniu 7 września wkroczył jako zwycięzca i tryumfator do Neapolu, skąd dzień przedtem uciekł władca Italji południowej, Franciszek II.

To był tryumf rewolucji, tryumf powstańców śmiałych, to był tryumf tej idei wielkiej, która płonęła w sercach poetów, filozofów i polityków włoskich, która kryła się w podziemiach spisków patrjotów-rewolucjonistów, która wybuchała płomieniem buntów i powstań, która gasła w krwi potokach, przelanych przez najezdców i despotów — gasła, by nowym płomieniem buntu i rewolucji zapłonąć, by przed wrogami, by przed światem całym zaświadczyć o nieprzedawnionem prawie Italji do wolności i niepodległości!...

Rok przedtem, na równinach lombardzkich rozbitą została przemoc najazdu austrjackiego. Pod udarami armji francuskiej i armji króla Piemontu w gruzy rozpadał się hegemonja Austrji w krajach włoskich. Ale to był początek jeno słaby i nieśmiały. Inicjator wojny ówczesnej, mały spadkobierca wielkiego Napoleona, celami dynastycznymi ograniczył cele wojny, dla celów dynastycznych wyzyskać usiłował olbrzymi poryw Italji, która zerwać pragnęła kajdany i stanąć cała, od Alp aż do krańców południa, zjednoczona, wolna, niepodległa!

Ale matactwo i intrygi Napoleona III, owego rzecznika i przedstawiciela europejskiej reakcji ówczesnej, który frazesem wolnościowym pokrywał reakcyjną treść swej polityki, rozbiły się o śmiałość, energję i odwagę rewolucyjnej Italji. Rozbiły się o śmiały czyn Garibaldiego, który stał się rzecznikiem, wyrazicielem i bojownikiem Italji rewolucyjnej, walczącej o swoją wolność i niepodległość!

Śmiałym czynem powstańczym obalił tron despoty na południu Włoch, stanął przed murami Rzymu i imieniem wyzwolonej Italji południowej podał dłoń ich siostrze z północy. Z chwilą zdobycia Neapolu jedność Włoch stała się rzeczywistością, jak drobne ostrowy na morzu rewolucji zwycięskiej ostały się tylko Rzym i Wenecja. Ale już tylko kwestją czasu, tylko drobnem zagadnieniem chwili było dokończenie tego dzieła. Kilku lat nie minęło, a znikły orły austrjackie z wyzwolonej Wenecji. I dziesięć lat tylko minęło, a fale życia nowego pochłonęły laguny martwe papieskiego despotyzmu. W lat dziesięć po wjeździe Garibaldiego do Neapolu, runął tron papieski i Rzym stał się stolicą wolnej, zjednoczonej Italji.

Myśl patrjotyczna i rewolucyjna odniosła tryumf.

A fundament pod gmach, który był tej myśli patrjotycznej i rewolucyjnej urzeczywistnieniem, położył Garibaldi swem powstaniem zwycięskiem z przed 50 lat.

W maju 1860 r. rozpoczął swe dzieło rewolucyjne; obecnie więc przypada ta wielka rocznica wyzwolenia i zjednoczenia Włoch.

Oficjalne sfery Włoch dzisiejszych starają się przyćmić blask czynu rewolucyjnego powstańców z przed lat pięćdziesiu — wysuwając patrjotyzm władców Piemontu, dyplomatyczną mądrość ministra sabaudzkich władców, Cavoura i życzliwość Napoleona III dla sprawy włoskiej na pierwszy plan. Oficjalne sfery Włoch dzisiejszych z okazałością niezwykłą w zeszłym roku obchodziły rocznicę wojny na równinach Lombardji.

Jestto zwykłe zjawisko, powszechne zjawisko. Około wypadków z przeszłości rewolucyjnej snują pajęcią sieć legiend ci, którzy przeklinają, zwalczają i potępiają rewolucję teraźniejszą!

I dlatego rzecznikom rewolucyjnej myśli nowoczesnej przypada w udziale zaszczytne zadanie — rozwiewać mgłę legiend, rozbijać sieć kłamstw i pamięć rewolucji dawnych i dawnych rewolucjonistów chronić przed spekulantami politycznymi, którzy chcą robić interes na handlu starożytnościami!...

Wojna 1859 r. postawiła ponownie na porządek dnia europejskiej polityki międzynarodowej kwestję włoską.

Ale wojnę tę zakończył Napoleon III w ten sposób, że tylko on i tylko król Piemontu odniósł zysk realny. Włochy miały i nadal pozostać rozbite. Austrjackiego najazdu nie wyrzucono z Włoch doszczętnie i całkowicie. Despotyzm

papieskiego państwa świeckiego miał istnieć nadal. Południowe Włochy jęczeć miały i nadal pod berłem Burbonów. Włochy napróżno marzyły o swem zjednoczeniu!

Mały spadkobierca wielkiego Napoleona, morderca republiki francuskiej, wasal Rzymu i reakcji francuskiej, w którym despoci Europy widzieli zawsze — i słusznie! — swego sojusznika rzeczywistego — zdradził patrjotów włoskich, opuścił haniebnie tych włoskich dyplomatów, którzy drogą targów dyplomatycznych pragnęli zdobyć wolność i niepodległość dla swej ojczyzny. Cavour był bliskim samobójstwa, kiedy spojrzał na rezultaty wojny z 1859 r. i na pokój zawarty przez Napoleona III w Villafranca.

I dopiero czyn rewolucyjny Garibaldiego dokonał wielkiego dzieła zjednoczenia i wyzwolenia Italji — rozwiązał zadanie to, które na porządku dnia postawiła wówczas historja.

Bądźmy sprawiedliwi! A raczej względni! W dzisiejszych czasach, niema w świecie dyplomatów i mężów stanu, którzy kierują losami państw Europy dzisiejszej — żadnego z tak śmiałych, energicznych i rozumnych polityków, jakimi byli przed pół stuleciem tacy politycy, jak hr. Cavour.

Nawet na śmiałość Wiktora Emanuela II i na awanturniczą przebiegłość Napoleona III nie zdobędzie się dziś żaden dzisiejszy władca koronowany!

Karleje i marnieje świat Olimpijczyków! I my tem zbytnio smucić się nie mamy powodu!

Ale ani Napoleon III, ani Wiktor Emanuel II, ani nawet Cavour nie byli tymi, którzy myśl stworzenia wolnej, niepodległej Italji urzeczywistnili!...

Napoleon III, spętany reakcją francuską, nie chciał zjednoczonej Italji, lękał się wściekłości księży, lękał się Rzymu!

Król włoski czekał łaskawie, aż mu powstaniec Garibaldi przyniesie koronę Włoch południowych.

Król włoski pozwolił na to, by przeciw Garibaldiemu jego wojska w r. 1862 wystąpiły i drogę mu zagrodziły do Rzymu! Pod Aspromonte kula z obozu królewskiego potrzaskała nogę bohaterowi Włoch!...

Cavour nawet z niechęcią patrzył na blask i urok, jakie otaczały postać Garibaldiego.

I jeśli wbrew celowym intrygom dworu francuskiego, jeśli pomimo tchórzostwa rządu piemonckiego zwyciężyła myśl zjednoczenia i wyzwolenia Italji, to jest to czynem wiekopomnym Garibaldiego, który w maju 1860 r. rozpoczął swe dzieło szaleńcze!...

Nadarmo protestował car; nadarmo protestował rząd wiedeński. Nadarmo gromy dyplomatyczne miotali na „Korsarza", na „bandytę"!

„Korsarz bandyta" czynem śmiałym, na czele tysiąca walecznych, rozpoczął pochód zwycięski, który rozbił i pokonał nietylko despotyzm neapolitańskiego samowładcy. Pokonał on i rozbił matactwa Napoleona III, pokonał rozpacz nieszczęśliwego dyplomaty Cavoura, pokonał skrupuły króla Piemontu, który nie miał odwagi włożyć na skroń swoją djadem królewski Włoch zjednoczonych.

A jeśli o czynie wiekopomnym bohatera Włoch wspominamy, to nie zapomnijmy, że ta śmiałość rewolucyjna płynęła u niego z najgłębszych głębin duszy, płonącej miłością dla ujarzmionych i wyzyskiwanych, nienawiścią dla despotów iwyzyskiwaczy.

Zjednoczenia i wyzwolenia Włoch dokonał ten sam Garibardi, co słowem i czynem popierał polską rewolucję w 1863 r., co stanął po stronie Komuny — ten sam Garibaldi który raz Międzynarodówkę robotniczą nazwał „słońcem przyszłości"!...

Rozmaitości

Zemsta. W pismach warszawszkich znajdujemy opis następującego zajścia. W dniu 8 b. m. w Zamościu ze wszystkich prawosławnych cerkwi wyszły procesje na cmentarz w celu odprawienia nabożeństwa za umarłych. W chwili gdy duchowieństwo rozpoczęło nabożeństwo już na cmentarzu, do oficera 68 pułku piechoty, kapitana Stawrowskiego, podeszła z tyłu Julja Bosiak i dość dużą butelką, zawierającą kwas siarczany, uderzyła go w głowę. Butelka stłukła się i kapitan został cały oblany kwasem. Przytem do 50 osób między nimi dużo dzieci) zostało poparzonych. Wielu osobom ubranie, jako też popom i djakonom ornaty zostały przez kwas zniszczone. Nadmienić należy, że gdy Julja Bosiak uderzyła kapitana Stawrowskiego, ktoś krzyknął: „bomba!" Można sobie wyobrazić, jaki popłoch zapanował wśród uczestników procesji, a gdy za tym okrzykiem poczęli w tłumie krzyczeć: „kometa, umarły zmartwychpowstał, polacy biją" i t. p. — wynikła taka panika, że oficerowie, urzędnicy, żołnierze, kozacy i wogóle kto tylko był obecny na cmentarzu, poczęli uciekać, gdzie kto mógł. Przewracali się na mogiłach, panie gubiły kapelusze, panowie — palta i peleryny; kozacy, niosiący metalowe chorągwie, porzucali je, wskutek czego kilka osób będzie długo nosiło pamiątkę na głowach. Niektóre panie i panienki zemdlały, lecz nie miał ich kto ratować.

Julja Bosiak sama oddała się w ręce policji, objaśniając, że do czynu karygodnego popchnęła ją zemsta, jaką pałała od paru lat do kapitana Stawrowskiego za to, że, obiecując ożenić się z nią, namówił ją do pożycia nielegalnego, a gdy po paru latach powiła ona dwoje dzieci, kapitan Stawrowski kazał żołnierzom wypędzić ją z mieszkania, a sam ożenił się z córką jednego z oficerów. Julję Bosiak aresztowano, a kapitan Stawrowski został przewieziony do szpitala, gdzie udzielono mu pomocy lekarskiej. Doktorzy twierdzą, że oczy kapitana Stawrowskiego nie zostały uszkodzone. Całą tą sprawą zajął się sędzia śledczy.

* * *

Głos z głębin. Na zjeździe w sprawie walki z nierządem, który obradował w Petersburgu, odczytany był list 63 prostytutek.

List to niezwykle znamienny. Brzmi zaś, jak następuje:

„My, podpisane poniżej — piszą prostytutki — prosimy członków zjazdu, aby wejrzeli w nasze położenie i nie odmówili spełnienia naszej pokornej prośby. Większość z pośród nas występuje na drogę nierządu z rozlicznych przyczyn w latach bardzo młodych, będąc w stanie zdrowia niezłym i nie cierpiąc na żadne choroby „sekretne", z których najstraszniejszą dla nas, jak i dla wszystkich, jest syfilis. Tymczasem i my, nieszczęśliwe, po upływie pewnego czasu zarażamy się wszystkie co do jednej. Nie jest to bynajmniej z naszej winy, lecz skutkiem tego, że wstęp do nas mają chorzy na syfilis mężczyźni, których nikomu do głowy nie przychodzi poddawać oględzinom. Żądają od nas, byśmy stawiały się do oględzin, w razie najmniejszego zadraśnięcia umieszczają w szpitalu, od odwiedzających zaś nie żądają tego zupełnie, pozwalając natomiast na zupełnie bezkarne zarażanie nas, na czynienie z nas w przyszłości nieszczęsnych kalek, od których każdy odwraca się z przerażeniem. Wszyscy nasi goście to nie małe dzieci, to też powinni rozmieć, że nie należy szerzyć zarazy, anit też, że szczepić syfilisu choćby wesołym dziewczętom nie mają prawa.

Jesteśmy przecież również ludźmi, zdrowie i nam jest drogie, a starość bez tego nie słodka. Prosimy najpokorniej, by zjazd rozważył tę sprawę i postarał się tak urządzić, by do zdrowych z pośród nas nie puszczano gości chorych, lecz by żądano od nich zdrowia na równi z nami — nie lepsi są oni od nas, uczestnicząc w takich rzeczach. Prosimy też pokornie o odczytanie naszego listu na zjeździe — a może znajdą się ludzie, którzy zrozumieją, że i nam gorzko tracić zdrowie w nasze młode lata. Krzywdzi to, że żąda się wszystkiego tylko od jednej strony, to jest tylko od nas. Prosimy gorąco troszczyć się i o nas".

Prostytucja jest rakiem, który toczy dzisiejsze społeczeństwo. Dopiero socjalizm zniesie tę plagę. Słusznem atoli jest dziś żądanie, aby i mężczyzn poddawano badaniu na równi z prostytutkami.

* * *

Sekretarjat dla robotnic. Instytucja założona przez Gieneralną Komisję w celu prowadzenia skutecznej agitacji wśród robotnic i dochodzenia praw tychże. Począwszy od roku 1909 działalność jej coraz więcej się wzmaga. Agitacja w ogólności polega na dążeniu do wywalczenia kobietom prawa wyborczego przy sądach kupieckich i procederowych. W tym celu wydano odezwę w 200.000 egzemplarzy. Mater-

jał zebrany na podstawie tej odezwy służyć ma do wniesienia petycji do parlamentu. Kartelom związkowym polecono założenie miejsc zażaleń dla robotnic o niedostatecznem zastosowaniu przepisów ochronnych. Sekretarjat pośredniczy również przy dostarczaniu referentek na zebrania związków zawodowych. Referaty urządzane dla zorganizowanych robotnic cieszyły się licznym udziałem.

* * *

Premje dla matek karmiących. W radzie miejskiej miasta Gera stawił już w r. 1908 tow. Leven wniosek domagający się energicznego zwalczania wielkiej śmiertelności niemowląt, szczególnie grasującej w Gera. Teraz postanowiła rada miejska udzielanie premji dla matek karmiących jako jeden z najskuteczniejszych środków. Matki karmiące otrzymywać będą, jeżeli są członkami kasy chorych od 5 do 8 tygodnia 1,25 mk. tygodniowo, od 9—13 tygodnia zaś 2 mk. tygodniowo, matki zaś nie należące do kasy chorych otrzymają w czasie tym 1,50 mk. względnie 2 mk. tygodn. Od 14 do 20 tygodnia otrzymywać będą osobną premję w wysokości 10 mk. Wsparcie udzielane ma być matkom, których dochód roczny nie przekracza 1200 mk.

* * *

Emigracja. Wiadomości o rzekomej naprawie położenia gospodarczego w Ameryce miały ten skutek, że emigracja do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej znacznie się wzmogła. W kwietniu b. r. wywędrowało bowiem przez Hamburg 13 357 osób, w kwietniu 1909 r. zaś tylko 10 470 osób, w kwietniu 1908 — 5414 osób, w kwietniu 1907 20 836 osób. W pierwszych 4 miesiącach wyemigrowało przez Hamburg w roku bieżącym 48 942 osób, w roku 1909 — 45 754 osób, w roku 1908 — 17 938 osób, w roku 1907 — 66 231 osób.

* * *

Kometa Halleya. W miarę zmniejszającej się z każdym dniem odległości komety Halleya od ziemi, rosną w niezmiernem tempie teorje i obliczenia przebywanej przez kometę drogi. Zapowiedziane ukazywanie się komety nad ranem na wschodniej stronie nieba, wyciągało niejednokrotnie z łóżek pragnących ją widzieć. Niestety... Nie umiejący się orjentować i nie posiadający lunety, nie dostrzeże, wstawszy rano, na wskazanej stronie nieba nic więcej, jak tylko gwiazdy, które w zwykłym czasie rano obserwować się dają. Najlepiej na ten temat powiedział do amatorów-astronomów, badających kometę gołem okiem, angielski astronom profesor Daniel J. Mc. Hugh: „Radziłbym wszystkim tym, którzy nie posiadają teleskopu, ażeby jeszcze przez tydzień zechcieli pozostać w swych łóżkach, gdyż kometa — widziana w obecnym czasie — przedstawia się jako gwiazda tak małej wielkości, iż łatwo może być niezauważona przez oko amatora-widza". Wspaniale jednakowoż przedstawiać się będzie za mniej więcej dwa tygodnie. Ogon jej rozciągnie się na szóstą część nieba i będzie miał kształt prostego promienia.

Ogólnym tematem rozmów o komecie jest troska o ziemię, aby jej przypadkiem kometa nie trąciła swym ogonem — oraz pytanie, z jakich gazów ogon ten składać się będzie. Prof. Edwin B. Frost zapytany w tym wypadku o zdanie, odpowiedział, iż wskutek ciągłych badań i hypotez przyszedł do przekonania, iż ogon komety Halleya składa się z $^3/_4$ cjanu i $^1/_4$ acetylenu, choć inne gazy również nie mogą być wykluczone. Wiadomą jest rzeczą, iż gaz cjan należy do jednych z najbardziej niszczących ciała organiczne, jednak ogon komety jest w stanie tak dalece rozrzedzonym, iż gdyby nawet kometa zetknęła sio z naszą ziemię, nie wyrządziłaby nam żadnej krzywdy. Kiedy robiono obliczenia, kometa dążyła w prostym kierunku do ziemi, ale najdrobniejsza pomyłka w obliczeniach stanowiłaby bardzo znaczną różnicę. Długość ogona wynosi 15 000 mil i wielce prawdopodobną jest rzeczą, iż ziemia przejdzie przez niego. W pierwszej nocy, w której ukaże się nam kometa, przedstawi się niebo na zachodniej stronie jako wspaniałe sklepienie oświetlone od widnokręgu aż do zenitu, prawdopodobnie światłem bladoróżowem.

* * *

Tryumfy aeronautyki. Z Budapesztu donoszą: Na międzynarodowe wyścigi awjatyczne wyznaczono ogółem nagrody w wysokości 515 000 mk., między niemi jedną nagrodę 200 000 mk., dwie po 45 000 mk.

Z Wiednia donoszą: Awjator Ilner przedsięwziął w sobotę monoplanem Etrich II wzlot, który trwał godzinę i 11 minut. Odbył on drogę 84 kilometrów na wysokości 300 metrów. Jest to najwyższy i najdalszy rekord w Austrji.

Z Johannestal (w Czechach) donoszą: Podczas produkcji awjatycznych zdarzyło się kilka wypadków. Aeroplany systemu Wrighta, Engelhardta i Thelena, dalej aparaty typu Farmana, Jeannina i aparat Bleriotowski Tnorupa zostały mocno uszkodzone. Engelhardt i Jeannin są lekko ranni.

Z Wiednia donoszą: Awjatyk Ilner wzniósł się wczoraj o godzinie 6·20 w Wiener Neustadt na swoim monoplanie i skierował lot ku Wiedniowi, gdzie przybył o godzinie 7·20 i wylądował na łące Simmering aklamowany burzliwie przez publiczność. Ilner po krótkiem zatrzymaniu się odjechał z powrotem do Wiener Neustadt. Droga z Wiener Neustadt do Wiednia wynosi 50 klm.

Następne depesze z Wiednia donoszą: Awjator Ilner odbył drogę z Wiener Neustadt do Wiednia podług ostatnich obliczeń w 36 minutach. Odległość wynosi 45 klm.

Ilner przedsięwziął wczoraj o godz. 5·42 po południu powrotny wzlot do Wiener Neustadt monoplanem Etrich II i przybył tam o godz. 6·14, odbył więc tę drogę w 32 minutach. W Wiener Neustadt powitała go licznie zebrana publiczność żywemi owacjami.

* * *

Nowe urządzenia pocztowe. Od 1 lipca wchodzi w życie szereg nowych urządzeń pocztowych, mających dla publiczności szersze zainteresowanie. Dla udogodnienia przesyłek zaliczkowych zaprowadzone zostaną karty tak zw. zaliczkowe i przekazy do paczek pocztowych w połączeniu z przekazami pieniężnemi, które wypełniać może wysyłający odnośną przesyłkę. Używanie kart takich będzie dozwolonem na czas od 1 lipca do 1 grudnia; od 1 stycznia zaś zaprowadzoną zostanie nowość ta obligatorycznie.

Dalszą nowością będą bloki z poświadczeniami dostawienia paczek pocztowych. Poświadczenia takie wystawiać będą poczty przy oddawaniu paczek za opłatą 10 fen. od każdej paczki. Celem przyspieszenia ekspedycji na poczcie dozwolonem będzie publiczności poświadczenia odnośne wypełniać osobiście w ten sposób, że urzędnik będzie potrzebował tylko dołączyć stempel i swoje uwagi. Bloków z odnośnemi poświadczeniami dostarczać będzie poczta na życzenie bezpłatnie.

Wreszcie trzecią nowość tworzyć będą przekazy pieniężne, z przyłączonemi do nich poświadczeniami nadania, które również wypełniać może nadający. To urządzenie zaprowadzonem być ma na stałe.

* * *

Stan i ruch ludności w Królestwie Polskiem. Według ogłoszonych danych w „Pracach warszawskiego komitetu statystycznego" liczba ludności w Królestwie Polskiem (bez wojska) wynosiła na dniu 1 stycznia 1909 roku ogółem 11 935 318 ludzi, (w tem 5 864 613 mężczyzn i 6 070 705 kobiet).

Według wyznania ludność ta dzieliła się w sposób następujący: katolików 9 001 349, ewangielików 634 649, prawosławnych 476 845, marjawitów 73 033, żydów 1 747 665 i innych wyznań 1 787.

Przy zestawieniu danych o stanie ludności na dzień 1 stycznia, z danemi roku poprzedniego, okazuje się, iż ludność kraju wzrosła o 247 645, co stanowi 2,1 proc. Ludność w Warszawie wzrosła o 12,459 czyli o 1,7 procent. Poza tym największym przyrostem ludności odznaczyły się gubernje: kaliska (4 proc.) i piotrkowska (4,9 proc.) Najmniejszy przyrost zaobserwowano w gubernjach: łomżyńskiej (0,3 proc.), płockiej (0,5 proc.) i suwalskiej (0,6 proc.)

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 22. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 maja 1910.

MARK TWAIN.

Jak redagowałem pismo rolnicze.

Humoreska *).

Objąłem chwilowo redakcję rolniczego pisma nie bez trwogi. Taksamo mieszkaniec lądu stałego trwożnie obejmuje kierownictwo okrętu. Ale znajdowałem się wówczas w okolicznościach, które czyniły dla mnie honorarjum dziwnie ponętnem. Redaktor pisma wyjeżdżał na wakacje, przyjąłem więc ofiarowane przez niego warunki i objąłem jego miejsce.

Rozkosznie było czuć się przy pracy, więc cały tydzień mozoliłem się z prawdziwą przyjemnością. Wreszcie numer poszedł pod prasę i cały dzień czekałem w naprężeniu, czyli też wysiłki moje zwrócą na siebie uwagę. Gdy około zachodu słońca opuszczałem biuro redakcyjne, pierzchnęła nagle zebrana u stóp schodów gromadka mężczyzn i chłopców, ustępując mi miejsca; usłyszałem, jak paru z nich szeptało: to on! i to oczywiście sprawiło mi przyjemność. Następnego ranka ujrzałem podobne zbiegowisko u stóp schodów i rozmaite indywidua, bądź pojedyńczo, bądź parami rozrzucone na ulicy w pobliżu; wszyscy przyglądali mi się z zajęciem. I ci rozstępowali się i usuwali za mojem zbliżeniem, lecz znów usłyszałem, jak ktoś mówił: patrzcie, jakie ma oczy!

Udawałem, że nie dostrzegam wrażenia, jakie wywieram; niemniej mile mię to łechtało i postanowiłem napisać o tem do mojej ciotki. Wchodząc na niewysokie piąterko, usłyszałem ożywione głosy i wesoły śmiech, a otwierając szybko drzwi, zobaczyłem dwóch młodzieńców o sielskiej powierzchowności, których oblicza przedłużyły się i pobladły na mój widok, poczem obaj wysunęli się przez okno z wielkim trzaskiem. Byłem wielce zdziwiony.

W jakie pół godziny potem wszedł niemłody pan z długą brodą o rysach pięknych lecz surowych i, gdym go zaprosił, usiadł naprzeciw mnie. Zdawał się mieć coś na sercu. Zdjął kapelusz, postawił go na ziemi obok siebie poczem wyciągnął zeń czerwoną jedwabną chustkę i egzemplarz mojej gazety.

Gazetę rozłożył na kolanach i starannie przecierając chustką okulary, zapytał:

— Czy pan jesteś nowym redaktorem?

Odpowiedziałem twierdząco.

— Czy pan kiedykolwiek wydawałeś już rolnicze pismo?

— Nie — odparłem — to moja pierwsza próba.

— Najwidoczniej. Czy masz pan jakie praktyczne doświadczenia w rolnictwie?

— Nie, zdaje mi się.

— Tak mi mówiło przeczucie — rzekł stary jegomość, nakładając okulary i ostro na mnie patrząc ponad szkłami, podczas gdy wygodnie sobie składał gazetę — życzyłbym, abyś pan przeczytał to, co było powodem mego przeczucia. Mianowicie ten ustęp. Słuchaj pan i powiedz, czy to naprawdę wyszło z pańskiego pióra!

„Rzepy nie należy zrywać, bo to jej szkodzi. O wiele lepiej jest posłać chłopca, aby potrząsł drzewo“. Cóż pan w tem widzi? Cóż pan o tem sądzisz? Bo naprawdę, zdaje mi się, że pan to pisałeś.

— Co o tem sądzę? Sądzę, że to dobrze. Sądzę, że to rozumnie. Nie wątpię, że co roku niszczy się miljony rzep, zrywając je nawpół dojrzałe, tymczasem, gdyby zalecić chłopcu, aby potrząsł drzewo...

— Potrząś pan sam siebie! Przecież rzepa nie rośnie na drzewach!

— Ach, nie rośnie, wiadomo. Któż mówił, że rośnie? To przecież była przenośnia, najzupełniejsza przenośnia! Każdy, co ma trochę rozgarnienia, domyśli się, że chłopiec ma otrząsać rzepę z krzaka.

Wówczas ten starzec powstał, podarł gazetę na drobne strzępy, podeptał je, potłukł laską rozmaite przedmioty, powiedział, że znam się na przedmiocie tyle, co krowa; wreszcie wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą; słowem, z zachowania jego mogłem przypuścić, że mu się coś nie podobało. Nie wiedząc jednak, co jest przyczyną jego niezadowolenia, nie mogłem mu w niczem zaradzić.

Wkrótce potem zjawiło się jakieś stworzenie trupiej bladości, o długich, strzępiastych włosach, spadających aż na ramiona; bujna, złotawa ścierń pokrywała bruzdy i miedze jego oblicza; osobistość ta wpadła do pokoju i stanęła bez ruchu, z palcem na ustach, w postawie nasłuchującej. Żadnego dźwięku nie było słychać. On jednakże wciąż nasłuchiwał. Nic. Wówczas zamknął drzwi na klucz i zbliżył się ku mnie, kołysząc się na końcach palców; stanął przedemną, przez chwilę wpatrywał się we mnie z głębokiem zajęciem, poczem wydobył z zanadrza złożony numer mego pisma i rzekł:

— Pan to pisałeś? Przeczytaj mi to pan... zaraz! sprawisz mi tem tem wielką ulgę, bo cierpię.

Zacząłem czytać i w miarę, jak wyrazy padały z mych ust, widziałem, że następowała ulga, wolniało naprężenie muskułów, z rysów słuchającego znikał niepokój i rozlewała się na nich słodycz i ukojenie, niby światło księżycowe nad posępnym krajobrazem. Czytałem następujący paragraf:

„Guano jest to piękny ptak, ale wymaga hodowli ogromnie troskliwej. Nie trzeba go nigdy przewozić przed początkiem czerwca, ani po końcu września. W zimie należy go trzymać w cieple, aby samice mogły wysiadywać jaja.

„Najwidoczniej będziemy mieli w tym roku wczesne upały. Wskutek tego gospodarze powinniby przystąpić do sadzenia placków hreczanych w lipcu zamiast w sierpniu.

„Co się tyczy dyni, jest to ulubiona jagoda mieszkańców nowej Anglji. Wolą oni jej używać do ciast zamiast porzeczki, zastępują nią również maliny przy karmieniu krów, gdyż osiąga się w ten sposób znacznie lepsze rezultaty. Dynia, jest to jedyny gatunek z rodziny pomarańczowatych, jaki udaje się na północy oprócz tykwy. Ale szybko wychodzi z mody zwyczaj sadzenia jej przed domem pomiędzy krzewami, albowiem przekonano się, że dynia, jako drzewo dające cień, niewiele jest warta.

„Teraz, gdy nadchodzą dni ciepłe, gęsiory zaczynają dawać nasienie...

*) Zamieszczamy dziś najlepszą i najweselszą humoreskę Marka Twaina, która choć słynna, z pewnością szerokim kołom czytelników ni ejest znana; drukujemy ją zaś dlatego, że wybornie charakteryzuje rodzaj dowcipu i satyry świeżo zmarłego humorysty amerykańskiego.

W tej chwili wzburzony słuchacz poskoczył ku mnie, wołając:

— Dosyć, dosyć! Wiem już, że jestem przytomny, skoro pan przeczytałeś to dosłownie tak, jak i ja. Lecz, panie, gdy moje oczy padły na to po raz pierwszy dziś zrana, ja, któremu nigdy dotąd nic podobnego na myśl nie przyszło, mimo, że moi przyjaciele tak mię surowo pilnują, a ja uwierzyłem, żem oszalał. Więc zacząłem wyć, że było słychać mię o milę naokoło i wybiegłem, aby kogoś zabić; bo wiesz pan, prędzej czy później może przyjść do tego, więc czemużbym nie miał zacząć odrazu? Jeszcze raz odczytałem ten artykuł, aby się przekonać, że zwarjowałem, poczem podpaliłem dom i wybiegłem. Kilku ludzi okaleczyłem po drodze, a jednego zarzuciłem na drzewo, żeby go mieć pod ręką w sposobnej chwili. Ale przyszło mi na myśl, że mogę tu zajść przechodząc i sprawdzić całą historję; skoro się przekonałem, że to naprawdę stoi czarno na białem, no! to całe szczęście dla tego faceta, co tam siedzi na drzewie. Inaczej bowiem zabiłbym go z pewnością, wracając. Żegnam pana, żegnam! Zdjąłeś mi pan ciężar. Skoro mój rozum nie nadwerężył się po przeczytaniu jednego z pańskich artykułów, to już nic mu nigdy nie grozi. Do miłego widzenia!

Czułem się trochę nieprzyjemnie dotknięty opowiadanianiem tego jegomościa o burdach i pokaleczeniach, których ja byłem pośrednio powodem. Lecz te myśli rozwiało ukazanie się naczelnego redaktora. (Na widok jego pomyślałem: Gdybyś był usłuchał mojej rady i pojechał do Egiptu, miałbym sposobność do rozwinięcia nieco mej działalności; ale nie chciałeś widocznie. Domyślałem się, że tak zrobisz).

Redaktor zdawał się smutny, wzruszony i strapiony.

Rzucił okiem na zniszczenie, sprawione przez starego zawadjakę i tych dwóch, co uciekli oknem, i rzekł:

— To smutna historja, bardzo smutna historja! Stłukli butelkę z klejem, sześć szyb, spluwaczkę i dwa lichtarze. Ale to jeszcze nic. Opinja naszego pisma jest podkopana i to, obawiam się, na zawsze. Coprawda jak świat światem nie było jeszcze takiego popytu na gazetę i nigdy tak olbrzymi nakład nie wyczerpał się w tak krótkim przeciągu czasu... Ale któżby chciał się wsławić jako dureń i zostać znakomitością kosztem zdrowego umysłu? Kochany panie! Przysięgam na uczciwości, że tłoczy się pełno ludzi na ulicy, a inni wspinają się przez parkany, aby zobaczyć pana, bo myślą, żeś pan warjat. Coprawda, trudno myśleć co innego po przeczytaniu pańskich artykułów. To jest hańba dla zawodu dziennikarskiego. Skąd panu przyszło do głowy wydawać pismo rolnicze? Pan nie masz pojęcia o znaczeniu najprostszych rzeczy w tym kierunku: Pan myślisz, że brona i wrona znaczy jedno i to samo, piszesz, że krowy zmieniają upierzenie i radzisz przyswajać tchórza ze względu na jego figlarność i zmyślność w łowieniu szczurów. Pańska uwaga, że stonogi uspakajają się pod wpływem muzyki, była całkiem zbyteczna. Stonogi nigdy nie są niespokojne. Muzyka nie wywiera najmniejszego wpływu na stonogi. Ach, mój kochany panie! Gdybyś pan sobie postawił za cel życia rozwijanie ciemnoty, niebyś pan nie mógł zrobić lepszego nad to, co pan teraz robisz. Nic podobnego nie widziałem w życiu. Pańska obserwacja, że wiązy ciągle idą w górę jako artykuł spożywczy była chyba obrachowana na to, aby zniszczyć na wieki sławę naszego pisma. Proszę, abyś pan natychmiast porzucił to miejsce i zechciał mię pożegnać. Nie chcę już żadnych wakacji; choćbym wyjechał, nie mógłbym doznać najmniejszej przyjemności w podróży. Każdej chwili dręczyłby mnie niepokój, co też panu za nowy pomysł przyjdzie do głowy. Wszelka cierpliwość mię opuszcza, gdy sobie przypomnę, żeś pan pisał o ławicach ostryg pod tytułem: „Najbardziej malowniczy sposób urządzania inspektów". Życzę sobie, abyś mię pan opuścił. Nic na świecie nie przymusi mię do powtórnego wyjazdu na wakacje. O, czemużeś mi pan nie powiedział, że nie masz najlżejszego wyobrażenia o niczem dotyczącem rolnictwa!

— Powiedzieć panu? O, głąbie kapuściany! wełno zatkana! Co tu było do powiedzenia? W życiu mnie nie spotkał podobny zarzut. Czernaście lat minęło, odkąd jestem dziennikarzem i pierwszy ruz słyszę, że ktoś potrzebuje coś umieć, aby wydawać pismo. O, naiwny sianokosie! Któż pisze krytyki teatralne do gazet drugorzędnych? Wykolejeni szewcy i aptekarze bez zarobku, którzy wiedzą o sztuce aktorskiej akurat tyle, co ja o hodowli bydła. Kto krytykuje książki? Ludzie, którzy póki życia nie napisali ani jednej. Kto polemizuje o finansach? Ci, którzy nigdy nie mieli sposobności z niemi się zetknąć. Kto krytykuje kampanje przeciw indjanom? Tacy, co nie wiedzą, jaka jest różnica między fortecą a obozem, którzy na oczy nie widzieli tomahawka (siekierki indyjskiej)! Kto redaguje nawoływania do wstrzemięźliwości? Panowie, którzy po raz pierwszy zakosztują czystej wody, gdy ksiądz po śmierci pokropi ich zwłoki. Któż wydaje pismo rolnicze? Może tacy d..... jak pan? Nie, przeważnie figury, którym się nie powiodło na polu poezji, ani na polu impresjonistycznej powieści, ani na polu dziennikarstwa politycznego, tacy chwytają się pisma rolniczego — jako tymczasowej obrony przed Towarzystwem Dobroczynności. To pan będziesz mnie uczył rzemiosła dziennikarskiego? Mój panie, ja je przeszedłem od alfy do omegi i powiadam panu, że im mniej kto umie, tem więcej robi hałasu i pieniędzy. Bogu wiadomo, że gdybym był nieukiem, nie zaś człowiekiem wykształconnym, gdybym był zuchwały, a nie nieśmiały, byłbym sobie już dawno zrobił imię na tym podłym świecie. Żegnam pana. Gdy się kto ze mną obchodzi w podobny sposób, jak pan, przywykłem się usuwać. Ale zrobiłem, co do mnie należało. Wypełniłem mój kontrakt, o ile mi na to pozwolono. Powiedziałem, że dziennik pański uczynię zajmującym dla wszystkich sfer, i zainteresowałem wszystkie sfery. Powiedziałem, że podniosę obieg do liczby 20 tysięcy egzemplarzy i w przeciągu dwóch tygodni byłbym do tego doprowadził. I byłbym panu zdobył najlepszych czytelników, jakich kiedykolwiek miało pismo rolnicze: nie byłoby między nimi ani jednego hreczkosieja, któryby pod groźbą śmierci potrafił powiedzieć, czem się różni melon od brzoskwini. Pan najwięcej tracisz na tem zerwaniu, pan, nie ja. Bywaj zdrów, „boski świniopasie"!

Oddaliłem się.

Związki zawodowe i reprezentacja robotnicza w Anglji.

Ruch polityczny angielskiej klasy robotniczej jest wytworem angielskiego ruchu zawodowego. Już przed kilkudziesięciu laty angielskie związki zawodowe przyszły do przekonania, że potrzebują mieć w parlamencie swych przedstawicieli, którzy popieraliby sprawy związków i domagaliby się przeprowadzenia praw, zabezpieczających interesy klasy robotniczej. Z biegiem czasu ilość posłów robotniczych, do parlamentu wybieranych, wzrastała, nie prowadzili oni jednak tam samodzielnej polityki, lecz łączyli się z burżuazyjnemi partjami, które najwięcej robotnikom obiecywały, w ostatnich czasach z liberałami. Dopiero w r. 1900 założona została partja pracy, t. j. odrębna parlamentarna grupa robotnicza, składająca się z posłów, wybieranych przez związki zawodowe i niektóre stowarzyszenia socjalistyczne. Ponieważ te ostatnie w Anglji nie mają wielkiego znaczenia i wpływów, więc partja pracy może być uważana za reprezentację polityczną związków zawodowych. Był to wielki krok naprzód w kierunku usamodzielnienia ruchu politycznego klasy robotniczej, ale do zupełnego usamodzielnienia jeszcze daleko, głównie dlatego, że zjednoczenie klasy robotniczej angielskiej w partji pracy dokonane zostało nie na podstawie wspólnych ideałów społecznych, lecz na gruncie najbliższych żądań praktycznych, których urzeczywistnienie zależne jest od poparcia partji burżuazyjnych. To też sojusz partji pracy z liberałami, którzy najusilniej o sympatje robotnicze zabiegają, trwa w dalszym ciągu.

W ostatnich czasach nieraz jednak mieli robotnicy angielscy sposobność przekonania się, jak zawodną jest przyjaźń liberałów. Najjaskrawszym tego dowodem są rozprawy w parlamencie nad rezolucją, wniesioną niedawno przez partję pracy, w sprawie ograniczenia prawa związków zawodowych do pobierania od swych członków składek na pokrycie kosztów przedstawicielstwa parlamentarnego.

W Anglji koszty wyborów są dość znaczne i członko-

parlamentu dyet nie pobierają, wobec czego związki zawodowe opodatkowują swych członków dla utworzenia funduszu na cele reprezentacji robotniczej. Właśnie w ten punkt umyślili uderzyć nieprzyjaciele działalności politycznej partji pracy. Niejaki Osborne wystąpił sądownie przeciwko podatkowi na cele polityczne, pobieranemu przez związki zawodowe. Sprawa przeszła przez wszystkie instancje, i wreszcie Izba lordów w charakterze sądu najwyższego uznała podatek za nielegalny.

Partja pracy postanowiła domagać się od parlamentu uznania prawa związków do pobierania podatku na cele polityczne i przedstawiciel jej Taylor wniósł do Izby gmin rezolucję treści następującej: „Izba jest zdania, że prawo związków zawodowych do wybierania swych przedstawicieli do parlamentu, do municypalności i innych ciał reprezentacyjnych, łącznie z prawem gromadzenia funduszów na pomienione cele z którego to prawa związki zawodowe korzystały w przeciągu lat czterdziestu, a którego im odmawia obecnie wyrok Izby lordów w sprawie Osborne'a — powinno być związkom zawodowym przywrócone". W obronie tej rezolucji Taylor i inny poseł robotniczy Harwey wygłosili mowy, w których obalali motywy orzeczenia Izby lordów w sprawie Osborne'a. Mianowicie Izba lordów dowodziła, że niesprawiedliwe jest, jeżeli związek przymusza swych poszczególnych członków do materjalnego popierania partji, której zasadom osoby te mogą być przeciwne. Na to odpowiadali posłowie robotniczy, że całe życie polityczne opiera się na postanowieniach większości, którym mniejszość powinna ulegać.

Żądania partji pracy nie znalazły poparcia ze strony liberałów. Rozmaici mówcy liberalni wygłaszali zdanie, że wyrok Izby lordów, broniący osobistej wolności w sprawach politycznych, zawiera słuszną zasadę. Nie można zmuszać liberalnych i konserwatywnych robotników, należących do związków zawodowych, żeby płacili podatek na rzecz partji pracy, mającej socjalistyczne tendencje. Przedstawiciel gabinetu liberalnego Sir William Robson, mówiąc w imieniu rządu, dał odpowiedź wymijającą. Zdaniem jego jest to kwestja trudna, którą można rozważać z różnych stron, wobec czego rząd nie może w niej złożyć stanowczego i określonego oświadczenia. Wreszcie oznajmił on, że najlepszym może wyjściem z tej sytuacji jest ustanowienie dyet poselskich.

Na to odpowiedział poseł robotniczy Shackleton, że sprawa dyet nie ma nic wspólnego z prawem związków zawodowych do zbierania funduszów na reprezentację robotniczą, która powinna być traktowana samodzielnie. Zapytał on także liberałów, dlaczego oni milczeli przez długi czas, gdy związki zawodowe wybierały posłów robotniczych, którzy byli członkami partji liberalnej.

Do głosowania nad rezolucją nie doszło, dzięki czemu liberalni sympatycy klasy robotniczej uniknęli tym razem nieprzyjemnej konieczności zajęcia określonego stanowiska w tej sprawie.

Jeżeli, co jest bardzo prawdopodobne, partji pracy nie uda się uzyskać skasowania orzeczenia Izby lordów w sprawie Osborne'a, będzie to miało następstwa bardzo doniosłe i zmusi klasę robotniczą angielską do zupełnego przebudowania swej organizacji politycznej. Charakterystyczne dla angielskich stosunków pomieszanie akcji zawodowej z polityczną nie da się dłużej utrzymać. Oczywistą się staje konieczność rozdziału tych dwóch zadań i wytworzenia politycznej partji robotniczej według wzorów innych krajów europejskich, opartej na dobrowolnem uczestnictwie członków i na dobrowolnem ich opodatkowaniu. Taka partja nie będzie mogła zasklepić sie w kwestjach czysto praktycznych, będzie musiała dbać o ideowość ruchu i stanąć na gruncie czysto klasowym, to znaczy stać się partją socjalistyczną, jakiej dotąd w Anglji brakowało. Na drogę tą, jak widzieliśmy, popycha klasę robotniczą angielską sama burżuazja w swem dążeniu do złamania sily związków zawodowych.

Precz z wódką!

Choroby wywołane przez użycie alkoholu.

Drżączka opilcza, zwana po łacinie „delirium" lub „delirium tremens", w porównaniu z innemi chorobami, wywołanemi przez używanie alkoholu, jest chorobą rzadką. Zaledwie dziesiąta część wszystkich ludzi, których alkohol o śmierć przyprawia, zapada na delirium. Resztę, t. j. $^9/_{10}$ pijaków, zabijają owe ciężkie choroby narządów trawienia, wątroby, serca, nerek, mózgu, naczyń krwionośnych i całego systemu nerwowego. Choroby te spotyka każdy lekarz, a nawet każdy z nas ma sposobność oglądania ich na własne oczy. Otłuszczenie serca, wątroby, zwapnienie naczyń krwionośnych, cierpienia nerek, udar serca i mózgu i cały szereg innych chorób napozór nie zdradzają wcale łączności z alkoholem, a jednak są one bardzo często jedynie wynikiem używania napojów wyskokowych. Bardzo wielu ludzi wprost nie ma pojęcia, do jakiego stopnia wzrasta corocznie liczba cierpiących na wyżej wymienione choroby. Tam, gdzie o każdym wypadku śmierci zbierano ścisłe dane, a przedewszystkiem w 18 większych miastach Szwajcarji, pokazało się, że z pośród tej części ludności, która się oddaje pijaństwu 10,4%, t. j. każdy dziesiąty człowiek padа ofiarą alkoholu; alkohol jest bezpośrednią przyczyną śmierci lub też conajmniej sprzyja szerzeniu się różnych chorób. Spożycie wyskoku w Szwajcarji dosięga tej samej wysokości co w Niemczech. W pewnych jednak częściach Niemiec jest gorzej jeszcze, np. w Bawarji. W szpitalach monachijskich każdy 16 dorosły mężczyzna umiera na otłuszczenie serca (6%), jeżeli do tego doliczymy inne choroby powstałe na tle użycia alkoholu, przekonamy się, że w Niemczech ogólna liczba zachorowań, wywołanych zatruciem wyskokowem, przewyższa przytoczone powyżej cyfry.

Mówiąc o chorobach, spowodowanych przez używanie napojów wyskokowych, musimy zwrócić uwagę na zupełnie odrębną szkodliwość piwa, które jest groźnem nietylko swym alkoholem, lecz w daleko większym stopniu olbrzymią ilością płynu, jaką piwosz wlewa do swego żołądka. Każda kropla wypitego płynu dostaje się do żołądka, kiszek, a następnie do krwi: wypicie kilku litrów płynu musi w wysokim stopniu obciążyć serce i nerki. Serce, będące pewnego rodzaju pompą ssąco-tłoczącą, musi użyć znacznego wysiłku, by tę, bądź co bądź dużą ilość płynu, rozprowadzić po ciele ludzkiem. Nerkom przypada w udziale trudniejsza jeszcze praca: całą tę ilość cieczy, zawierająca w dodatku pierwiastki trujące, muszą one przepuścić przez siebie, przecedzić przez odpowiednie sita, co nie jest dla nich rzeczą łatwą, choćby ze względu na szybkość, z jaką muszą to robić, gdy piwosz kufel za kuflem wlewa w siebie.

* * *

Alkohol i dziedziczność.

Alkohol nie szkodzi tylko tym, którzy go piją. Ujemny wpływ jego dosięga dzieci pijaków, a nawet dalszego ich potomstwa. Jest rzeczą stwierdzoną i niewątpliwą, że dzieci pijaków są pod każdym względem słabsze, marniejsze od dzieci rodziców trzeźwych. Potomstwo alkoholików dziedziczy przedewszystkiem skłonność do cierpień mózgowych, a nawet same cierpienia mózgu. Spotykamy u dzieci alkoholików osłabienie pamięci, idjotyzm, padaczkę i wiele innych.

We Francji przeszło połowa głuptaków (idjotów) dotkniętych padaczką (epileptyków) zawdzięcza swoje upośledzenie pijaństwu rodziców. W dziesięciu rodzinach pijackich znalazł doktór Demme zaledwie 17,5% zdrowych dzieci, gdy u tej samej liczby rodzin trzeźwych naliczył 81,9% zdrowego potomstwa. Uwidocznia to podana niżej tabliczka.

Z ogólnej liczby dzieci, wynoszącej w 10 badanych rodzinach pijackich 57, a w trzeźwych 61 dzieci,

w rodzinach	pijackich	trzeźwych
umarło w niemowlęctwie	25	5
ułomnych i karłowatych było	10	2
głuptaków (idjotów) było	6	0

w rodzinach	pijackich	trzeźwych
dotkniętych padaczką lub inną chorobą nerwową	6	2
rozwijało się wolno	0	2
rozwijało się cieleśnie i umysłowo normalnie	10	50

Nie ulega wątpliwości, że wśród potamstwa pijaków można spotkać wiele dzieci zdrowych i czerstwych, posiadających napozór wszystkie zdolności duchowe i cielesne, mimo to w życiowej walce o kawałek chleba ulegają one daleko łatwiej od dzieci rodziców trzeźwych. Należy tu jeszcze zaznaczyć z naciskiem, że nietylko stałe pijaństwo obojga rodziców lub samego ojca odziaływa ujemnie na zdrowie duchowe i zdolności dziecka, ale że nawet jednorazowy nietrzeźwy stan ojca w chwili spłodzenia dziecka źle wpływa na stan umysłowy potomka. Znany badacz, prof. Bunge, nawet brak pokarmu u kobiet czyni zależnym od alkoholizmu rodziców i potwierdza to szeregiem danych statystycznych.

Rozmaitości

Groźne liczby. Na podstawie urzędowej statystyki padło w Prusach w r. 1908 ofiarą morderstwa i zabójstwa 834 osób, 588 mężczyzn i 246 kobiet, prócz tego mocą wyroków sądowych zginęło pod toporem katowskim 10 osób, 9 mężczyzn i 1 kobieta. Pierwsze miejsce w groźnej tej statystyce zajmuje Westfalja, gdzie ofiarą zbrodni padły 103 osoby czyli procentualnie licząc, 2,71 na 100 tysięcy mieszkańców. Najpomyślniejszy pod względem procentualnym stosunek wykazuje prowincja hanowerska, gdzie 47 zaszło morderstw czyli 1,65 na 100 tysięcy mieszkańców. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem padło ofiarą morderstwa względnie zabójstwa 40 osób, 29 mężczyzn i 11 kobiet; a więc pod względem liczebnym ostatnie miejsce w statystyce tej zajmuje właściwie Księstwo, natomiast pod względem procentualnym stoi Księstwo poza prowincją hanowerską; na 100 tysięcy mieszkańców przypadało bowiem w Księstwie 1,97 zabójstw.

Co do rodzaju morderstwa, to większa część, prawie połowa (404 na 834) została zabitą albo zasztyletowaną. Po tej liczbie nastąpi suma tych wszystkich, którzy zgładzeni ze świata zostali przez zastrzelenie, zatopienie, zaczadzenie i uduszenie. Najniższą jest liczba tych, których pozbawiono życia przez spalenie (2 osoby).

* * *

Z ankiety o prostytucji. Przeprowadzana w Petersburgu ankieta śród prostytutek przynosi między innemi ciekawy materjał co do przyczyn, które pchnęły prostytutki na drogę nierządu. Materjał ten potwierdza dawniejsze spostrzeżenia, że najczęściej jako motyw służy nędza i niewystarczający na utrzymanie zarobek, złe warunki pracy lub uwiedzenie przez mężczyznę. Co do pierwszego z tych punktów, to jak pisze Bużewskij w „Rjeczi", bardzo zwykłą w Petersburgu (szwaczki, spódniczarki, gorseciarki, sprzedawczynie konfekcji) jest płaca 8—15 rubli miesięcznie! W tych warunkach dość zrozumiałe, gdy jedno i drugie dziewczę „dorabia" sobie na życie sprzedażą swego ciała!

* * *

Sprawy medycyny fabrycznej na zjeździe im. Pirogowa. Niedawno zakończony zjazd lekarski w Rosji im. Pirogowa rozpatrywał między wielu innemi kwestjami pierwszorzędnej wagi społecznej tak ważne zagadnienia polityki społecznej, jak kwestję ochrony pracy kobiet i dzieci, kwestję ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków oraz ubezpieczenia wogóle.

W kwestji ochrony pracy kobiet i dzieci referent stwierdził na podstawie szeregu danych stały fakt rugowania z różnych dziedzin pracy mężczyzn przez kobiety i dzieci i wykazywał wzrastające wskutek tego znaczenie różnych form ochrony pracy kobiet, dzieci, w szczególności zaś ochrony macierzyństwa.

W sprawie ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków zjednoczone sekcje medycyny społecznej i fabrycznej uchwaliły, iż niezbędnem jest rozciągnięcie ubezpieczenia również i na choroby zawodowe (co większość trzeciej Dumy uznaje za „niemożliwe").

W sprawie ubezpieczenia wogóle wypowiedziano się za rozszerzeniem ubezpieczenia na wszystkie postacie pracy najemnej, unano niezbędność wypłacania ubezpieczonym wynagrodzenia, równego całemu faktycznemu zarobkowi, włożenia ciężarów ubezpieczenia na przedsiębiorców oraz pozostawienia robotnikom szerokiego udziału w sprawie zarządu stowarzyszeniami ubezpieczeniowemi. Działalność prawodawcza rządu w dziedzinie ubezpieczenia została poddana surowej krytyce.

* * *

Złoża węgla kamiennego na ziemi. Według oszacowania profesora wrocławskiego dr. Frecha w czasopiśmie „Glückauf" złoża węgla kamiennego w środkowej Francji najpierw będą wyczerpane, starczą one bowiem jeszcze tylko na 100 lat. Dla środkowych Czech, następnie Saksonji, rewiru Wałbrzyskiego na Śląsku Dolnym i być może dla północno-angielskich rewirów (Durham, Northumberland) zapasy węgla starczą na okres nieco dłuższy. Znacznie większą jest liczba złóż i grubość wszystkich pokładów w pozostałych rewirach angielskich (250—350 lat), w północnej Francji (350—400 lat), w niemieckim obwodzie nad Saarą (300—400 lat). Jeszcze korzystniejsze są stosunki dla Belgji (okrągło 800 lat), dla zagłębia akwizgrańskiego i łączącego się z niem obwodu westfalsko-nadreńskiego (przeszło 800 lat), oraz dla części zagłębia górnośląskiego, położonych w obrębie Austrji. Największą grubość pokładów (okrągło 5000 metrów) i największą ilość ich posiada rewir górnośląski (przypuszczalny okres wydobywania na przeszło 1000 lat).

Niemcy, jak to wykazują polegające na dokładnych badaniach oszacowania, są co do zapasów węgla najbogatszym krajem w Europie. Pozostają one jednak w tyle poza Ameryką północną i północnemi Chinami.

* * *

Strach przed kometą. Ze strachu przed kometą oszalał w Hamburgu fryzjer Andres, który zniszczył następnie cały swój sklep i zranił pomocnika.

W Cieplicach (Czechy) powiesił się robotnik Skoliczek. Samobójca zostawił na stole kartkę z napisem, że do rozpaczliwego kroku skłoniła go trwoga przed końcem świata.

Ludność murzyńska południowych państw Ameryki urządza codzień procesje, celem powstrzymania końca świata.

W pewnej wiosce koło Treviso, kobieta, która dostała napadu szału w kościele, rzuciła się na księdza, odprawiającego nabożeństwo, poczem wzywała ludność, aby się przygotowała na koniec świata. Z trudnością udało się ją ubezwładnić i odstawić do zakładu obłąkanych.

We Włoszech popełniono pozatem znaczną liczbę samobójstw. Pewien posiedziciel domu utopił się w studni. Pewien człowiek zabił swą żonę siekierą i sam powiesił się na drzewie.

W Turcji panuje wielki strach, który ogarnął także i wykształcone sfery.

Inna zupełnie wiadomość nadchodzi z Portugalji. Pewien pomysłowy człowiek sprzedaje z szalonem powodzeniem „Anti Halleyinę". Za flaszeczkę bierze 4 mk. i codzień sprzedaje setki flaszek. Ma to być środek przeciw szkodliwym gazom komety.

W Ameryce sprzedano za podwyższoną cenę masę lornetek i lunet, pozatem znaczne ilości tlenu.

* * *

Literatura socjalistyczna dla ślepych. Niemiecka partja s. d. wydaje pismo dla ślepych. Nosi ono tytuł: „Die Neue Zeit", organ dla rozpowszechnienia poglądów socjalistycznych wśród ślepych, używających języka niemieckiego. Pismo to wychodzi 4 razy miesięcznie, cena jego wynosi w Niemczech i Austrji 2,40 marek. w innych krajach 3 mk.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 23. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 czerwca 1910.

ŁZY — OCEANY.

LEGIENDA.

Dawno, bardzo dawno, kiedy smutek był rzadkim gościem u ludzi, a wyrazy „praca“ i „cierpienie“ jeszcze nie istniały, kiedy człowiek zupełnie nie troszczył się o jutro, gdyż przyroda hojnie dostarczała wszystkiego, czego pragnął, kiedy panowało wieczne lato, wieczna zieloność pól i lasów, wieczne szczęście, nie było wówczas wcale ani niebotycznych gór, ani bezdennych oceanów. Dziś nietylko że są góry, ale te góry mają szczyty lodowate i przepaście czarne; dziś nietylko że są oceany, ale te oceany mają skały podwodne i burze szalejące.

Wówczas tylko srebrne strumyki wypływały z pod ziemi, przesuwały się jak węże wśród rozkosznych ogrodów i lasów, gdzie niezliczona ilość najrozmaitszych owoców wszystkich barw i odcieni kąpała się w blasku słonecznym, i znowu chowały się pod ziemią.

Mijały lata. Ilość ludzi powiększyła się kilkakrotnie i z każdą chwilą wzrastała. Przyroda zaczęła dzielić swe dary na coraz mniejsze części. Wreszcie niektórym zupełnieby zabrakło, gdyby nie chcieli przyłożyć rąk swoich. Powstała troska, myśl i praca. Ale jednocześnie znaleźli się i ludzie, którzy przez siłę swej przewagi fizycznej, albo umysłowej zaczęli zagarniać w swe ręce jaknajwiększą ilość darów natury, aby bez nakładu większych wysiłków pracy, zabezpieczyć sobie byt na dalszą przyszłość.

Nie było jednak źle i wtenczas. Rzucone w polu ziarnko wracało stokrotnie. Ludzie pracowali z chęcią, była to dla nich rozrywka. Lecz z biegiem czasu warunki bytu coraz więcej się pogarszały. Majętni stawali się jeszcze majętniejszemi, a biedni biedniejszemi. I szeregi tych ostatnich wciąż się powiększały. Narodziło się cierpienie. Na kawałek chleba trzeba było ciężko pracować. W miarę jak wznosiły się pałace, zapełniały się i ich suteryny! Narodziła się niewola i przepych. Wtenczas, kiedy jedni ze złotych mis czerpali języczki łabędzie, z najdelikatniejszych tkanin szyli sobie stroje, z najcenniejszych puchów słali sobie łoża, drudzy z języków swych układali modlitwy, a z łez tworzyli napój, którym karmiono niemowlęta.

Na usługach mocarzy znajdowały się niezliczone zastępy niewolników, którzy w mgnieniu oka spełniali ich rozkazy.

Zdawaćby się mogło, że na świecie niema już rzeczy, którąby nie mogła stać się własnością władców.

A jednak wszystkie skarby ziemskie wkrótce przestały ich bawić. Zapragnęli oni zdjąć z nieba gwiazdy, aby ozdobić niemi swe czoła.

Natychmiast miljony robotników zaprzężono do taczek. Rozkazano im usypywać niebotyczne góry, aby ze szczytów ich można było sięgnąć po brylanty nieba.

We wszystkich zakątkach ziemi zawrzała krwawa praca. Mocarze jeden przed drugim powoływali do życia wszystkie środki, jakiemi tylko mogli rozporządzać, aby uprzedzić swoich współzawodników.

I nietylko jedną górę każdy chciał wznieść. Jak najwięcej! Aby jak najwięcej gwiazd zdjąć.

Zmuszony brutalną przemocą do dźwigania gniotącego jarzma, strzeżony przez włodarzy, którzy bez miłosierdzia chłostali za najmniejszy odpoczynek, za złapanie tchu, prześladowany, krzywdzony w najokropniejszy sposób, robotnik wydobywał przy pracy wszystkie siły mięśni swoich, a utraciwszy je, padał martwy, znajdując grób w głębi dzieła swego.

Góry rosły. Rosły z pracy rąk niewolniczych mężczyzn, kobiet i dzieci. Rosły, gdyż grzebały pod sobą ciała tych nieszczęśliwych istot.

Rosły i trudności: taczki trzeba było pchać na coraz wyższe szczyty.

A do nieba — het! jak było jeszcze daleko!

Z tem większą energją zapędzano do roboty.

Tam, gdzie zdawałoby się piekielna moc nie ustoi pod brzemieniem krwawej pracy, tam ludzka ręka, uzbrojona tylko w łopatę i taczki, musiała podołać tworzyć.

Człowiek zamienił się w automat, któremu wydarto duszę, pragnienia, ideę, a nawet nadzieję na przyjście chwili wyzwolenia.

Jeden tylko cichy, a przeraźliwy krzyk niemocy wyrywał się z piersi ludzkich. I tylko gorzkie łzy swobodnie lały się z oczu strumieniami, spływały z wyniosłości w doliny, zatapiając olbrzymie doły, wykopane ręką ludzką, tworząc morza łez.

Jakaż była radość władcy, kiedy przyglądając się rosnącej w oczach górze, spostrzegł naraz, iż płynąca po niebie chmura zatrzymuje się o szczyt wyżyny i obejmuje ją, jakby ramionami swemi. „Niebo, już niebo“! wykrzykuje w ekstazie i zapartym oddechem wdrapuje się na górę i czeka z niecierpliwością nadejścia nocy.

Tuż pod nim rozpościera się kraj, którego wszechwładnym panem jest — on. Wszystko tam kornie schyla przed nim czoło. Żadna myśl nie może ujrzeć światła dziennego bez jego przyzwolenia. I oto on z wyżyny, usypanej rękami jego niewolników, dumnie spogląda w dół, gdzie ludzie, jak w mrowisku suwali w różnych kierunkach, pchając przed sobą taczki.

Lecz oto słońce udaje się na spoczynek, i zaiskrzyły się gwiazdy, ale, o ironjo! jakże wysoko nad głową!

Rozczarowany władca rzuca badawczy wzrok w ciemne przestwory, oblicza przestrzeń, dzielącą go od gwiazd i dochodzi do przekonania, że jeżeli jeszcze raz tak wysoka góra, to napewno gwiazdy staną się jego własnością.

Nazajutrz naród dowiaduje się o postanowieniu władcy. Znowu robotnik pcha taczki pod górę na szczyt. Zbolałe jego członki leniwie się poruszają, nogi z trudnością stąpają. Bezradnie z rozpaczą patrzy on na nieludzkie wysilanie się swej żony i dzieci, patrzy na te powolne konanie, na które skazany jest i sam. Lecz umierać nie wolno było. Za śmierć trzeba było drogo zapłacić: wszystkie swe siły. Zazdroszczono tym, którzy już polegli. Jedyne marzenie więc — śmierć. Jedyne pocieszenie — łzy. To też morza łzy rosły, potężniały, rozlewały się i w końcu stało się to, co nazywamy dziś oceanami.

Powyrastały, prawda, na powierzchni ziemi olbrzymie łańcuchy gór, które, jakby drwiąc z władców, nietylko że nie sięgały gwiazd, ale przykryły się same lodowatą czapką i uniemożliwiły dalszą pracę.

Oceany zaś przerażają dziś swemi złowrogiemi, tajemniczemi głębinami, a gdy one się poruszą, gdy zawyją roz-

paczliwie, jakby uczuwając odnowienie się przedwiekowych ran — niema wówczas ratunku dla tego, kto znajduje się na ich grzbiecie.

A woda w oceanach jak od początku, tak i po dziś dzień słona.

Bo to łzy.

Synezjusz.

Choroby nerwowe i umysłowe na tle alkoholizmu.

Cierpienia mózgu i nerwów są najczęstszym, a zarazem i najniebezpieczniejszym skutkiem użycia alkoholu. Drżączka opilcza (delirium) nie jest bynajmniej jedyną chorobą tego rodzaju, lecz tylko bardziej znaną. Istnieje prócz niej wiele innych równie ciężkich i niebezpiecznych chorób; trwają one lata całe, a nawet dziesiątki lat. U pijaków spotykamy więc przedewszystkiem utratę pamięci i osłabienie władz umysłowych, prowadzące do ogólnego zniedołężnienia psychicznego; dalej widzimy zaburzenia zmysłów, padaczkę (epilepsję) i inne nerwice, połączone z drgawkami, porażeniami i znieczuleniami, zapalenia opon mózgowych, udar mózgowy (apoplexia), rozmiękczenie mózgu, porażenie postępowe, zapalenie nerwów i wiele innych.

Szczególną uwagę należy zwrócić na choroby umysłowe powstałe na tle alkoholizmu. Występują one w postaci zadumy (melancholja), manji wiejkości, manji prześladowczej, manji zazdrości, często powstałej na tle niewierności małżeńskiej, najczęściej zaś jako obłęd opilczy (delirium tremens). U pijaka powstaje także niekiedy stan automatyzmu psychicznego (trance), czyli przejściowe zamroczenie świadomości, w którem bezwiednie nawet zawiłe czynności mogą być wykonywane zupełnie automatycznie; w stanie tym człowiek może zupełnie nieświadomie dokonnć czynu gwałtownego, nawet popełnić zbrodnię, co się nieraz zdarzało. Jako przykład takiego automatycznego nieświadomego wykonywania złożonych czynności przytoczymy podane w broszurze J. Glassa „Alkohol a koleje żelazne“ opowiadanie dróżnika kolejowego szwajcarskiego. Człowiek ten po wypiciu kilku szklanek piwa w najweselszem usposobieniu wybrał się w drogę, aby obejść swój dystans. Tymczasem po powrocie do domu, zdejmuje go trwoga, czy dokładnie wykonał swe obowiązki, pamiętał bowiem tylko tyle, że pił we wsi i wrócił do domu. Wyrzuty sumienia nie pozwalają mu zmróżyć oczu: obawia się, że zaszła katastrofa, której on był sprawcą, że go usuną i t. p. Wczesnym rankiem obchodzi swój dystans i spostrzega, że poprzedniego dnia zapalił światło sygnałowe, wpisał swoje nazwisko do kontroli, słowem, wypełnił swą czynność zgodnie z regulaminem, ale wykonał ją zupełnie nieświadomie i nie pamiętał o tem zupełnie.

Związek przyczynowy alkoholizmu chronicznego z chorobami umysłowemi żadnej nie ulega wątpliwości. Już w r. 1872 zauważył Lumier, że w różnych departamentach Francji ilość obłąkanych odpowiada spożyciu napojów wyskokowych. W Norwegji, jednym z najtrzeźwiejszych krajów, przypada na 100 tysięcy mieszkańców 83 obłąkanych, w Belgji zaś, gdzie nałóg pijaństwa jest bardzo rozpowszechniony mimo uporczywej walki toczonej przez zorganizowanych robotników, na 100 tys. ludności przypada 172 obłąkanych. Według statystyki różnych zakładów dla obłąkanych ilość alkoholików chronicznych wśród pacjentów tych lecznic jest bardzo znaczna. W zakładach rosyjskich, według obliczeń prof. Mierzejewskiego, wynosi ona 42%, w paryskim szpitalu Św. Anny wśród mężczyzn obłąkanych 38%, a wśród kobiet 12,81%; w Niemczech wśród mężczyzn przeciętnie 27%; w jednym z zakładów pod Berlinem pijacy stanowią aż 70% obłąkanych. W austrjackich zakładach dla obłąkanych stwierdzono, jako przyczynę obłędu, nawykowe pijaństwo w 11,5 do 16,3% ogółu chorych. Od roku 1852 ilość umysłowo chorych wzrasta w Austrji corocznie o 2%, tak że, chcąc tym nieszczęśliwym zapewnić należytą opiekę, należałoby co lat 10 budować nowy zakład dla 600 chorych; zdaniem dr. Gaustera przyrost ten powodują wyłącznie obłąkani alkoholicy. Według dr. Rothego w szpitalach warszawskich ilość alkoholików w ciągu lat dziesięciu od 1870 do 1880 wynosiła przeciętnie 11,2%. Wród mężczyzn 13,7%, a wśród kobiet 8,2%.

Liczby powyższe nie dają wprawdzie dokładnego pojęcia o znaczeniu, jakie pijaństwo ma w etjologji obłakania, raz dlatego, że wielu alkoholików obłąkanych, ale spokojnych nie szuka pomocy w publicznych zakładach leczniczych dokąd, wskutek przepełnienia lecznic dostać się nie może, powtóre dlatego, że pijaństwo nawykowe często bardzo bywa skutkiem cierpienia umysłowego, polegającego na chorobliwym pociągu do wyskoku. Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że w krajach cywilizowanych przynajmniej 15 do 20% obłąkanych stanowią alkoholicy, u których obłąkanie powstało na tle pijaństwa. Według znakomitego niemieckiego lekarza chorób umysłowych, prof. Kraepelina, odsetka ta wynosi w różnych krajach 10 do 30%, w niektórych nawet 40% ogółu obłąkanych.

Należy dodać, że najczęściej na choroby umysłowe zapadają ludzie upijający się wódką, nie stanowi to jednak bynajmniej ich wyłącznego przywileju.

Dane zakładów dla obłąkanych wykazują, że przyczyną obłędu 1/3, a nawet połowy mężczyzn, było pijaństwo samych chorych, ich rodziców, lub dziadków. W trzeciem sprawozdaniu za rok 1905 z zakładu dla obłąkanych i nerwowych chorych w Kochanówce pod Łodzią, opracowanem przez lekarzy tamtejszych z docentem J. Mazurkiewiczem na czele, czytamy: uderzające są też cyfry, dotyczące alkoholu. Sumując przypadki, w których chorobę umysłową wywołał alkoholizm bądź rodziców (35), bądź dziadków (3), bądź samych chorych (27) i dodając do tego przypadki, gdzie alkoholizm rodziców (18), dziadków (1) i chorych (13) obok innych czynników szkodliwych, przyczynił się do powstania zaburzeń umysłowych, otrzymujemy cyfrę 97, która, przełożona na odsetki, wyniesie 52,5% ogólnej ilości zbadanych etjologicznie chorych. O ile wynik ten nie jest przypadkowym, piszą dalej lekarze z Kochanówki, i dałby się sprawdzić na obszernym materjale statystycznym, powinienby on stać się bodźcem do akcji antialkoholicznej w społeczeństwie i postawić ją na naczelnem miejscu w radykalnem zapobieganiu chorobom umysłowym.

W r. 1906 z liczby 131 chorych, leczonych w Kochanówce, co do których powzięto ścisłe informacje, u 120 alkoholizm jako przyczyna odegrał ważną rolę, bądź w postaci pijaństwa dziadków (u 3 chorych), bądź rodziców (u 67 chorych), bądź wreszcie samego chorego (u 50 osób).

Ze sprawozdania piątego za rok 1908 opracowanego przez obecnego lekarza naczelnego szpitalu w Kochanówce, dr. W. Chodźkę przytoczymy następujące dane. Z 337 chorych umysłowo leczonych w roku 1907 dostało obłędu pod wpływem alkoholizmu rodziców (51), dziadków (3), samych chorych (46), ogółem 110 osób czyli prawie 1/3 część (32,6%) wszystkich chorych.

Na 1000 obłąkanych w zakładach berlińskich dla warjatów znajdujemy 464 pijaków, w Wiedniu 403, w Zurychu 339, a w Bazylei 446. Licza kobiet, które dostały obłędu pod wpływem alkoholu, jest bez porównania mniejszą; w zakładach bazylejskich (Szwajcarja) wynosi ona 75 na tysiąc czyli 8 razy mniej niż mężczyzn. Wpływa na to znany fakt, że kobiety wogóle mniej piją od mężczyzn. Należy dodać, że w miarę wzrostu pijaństwa wzrasta liczba dotkniętych chorobami umysłowemi. W Wiedniu naprzykład w r. 1850 wynosiła ona 11,9%, w roku 1895 dosięgła zaś już 40,3%. Toż samo widzimy z cyfr domu dla obłąkanych w Bazylei, gdzie z 17,8 % w okresie między rokiem 1851 i 1860 wzrasta do 44,6% między r. 1871 i 1880.

Godność robotnicza.

W dzisiejszem społeczeństwie bogaczy i nędzarzy, próżniaków i ludzi pracy — godność robotnicza, to pojęcie bardzo słabe jeszcze, to kwiat, który rozwija się i z czasem

dopiero obiecuje zabłysnąć wszystkiemi swemi barwami. Dziś to nikła jeszcze roślinka, na którą nikt nie zważa, którą każdy podepta, bo żyje w cieniu, skromna i niepozorna. Mimo odświętnych frazesów, rzucanych szumnie na rozmaitych obchodach i uroczystościach, mimo ustaw, przyznających wszystkim ludziom w państwie jednakowe prawa, robotnik traktowany jest przecież inaczej jak pan, fabrykant a nawet urzędnik. Godność robotnika a godność kapitalisty to dwie różne rzeczy. Niech robotnik będzie najuczciwszy nawet, niech moralnie stoi nie wiedzieć o ile wyżej od brudnego gründera, robiącego majątek na oszukańczych spekulacjach, lub karmiącego się krwią i potem najbiedniejszych, to przecież ten ostatni w dzisiejszem kulturalnem społeczeństwie znajdzie szacunek, zaszczyty i odznaczenia, a robotnik pozostanie zawsze człowiekiem „niższym", pogardzanym i lekceważonym.

Bo mimo wszystko, mimo postępu ludzkości, mimo walk wiekowych, toczonych o hasła równości i braterstwa, praca jest dziś w pogardzie. Jeszcze zawsze w społeczeństwie kapitalistycznem przechowują się stare pojęcia z wieków feudalnych, że cześć i godność posiadają ci tylko, którzy mają własność. Szlachta i junkrowie, baronowie fabryczni i wielcy bankierzy, to dziś ludzie szanowani, to ludzie czci i honoru — wszystko inne: chłop i robotnik to wyrzutki społeczeństwa, to ludzie bez godności.

A przecież nie zawsze tak było. Były czasy, kiedy nie było ni szlachty ni chłopów, nie było robotników ani przedsiębiorców, lecz byli ludzie równi i wolni, którzy wspólnie pracowali dla wspólnego dobra. Dopiero z biegiem czasu wytworzył się podział. Pracę zaczęto traktować jako coś niższego, a jedynem szlachetnem zajęciem stało się rzemiosło rycerskie. I te drużyny rycerskie, ta przyszła szlachta zwolna zagarniać zaczęła całą władzę, a wraz z nią i cały dobytek. Ci, którzy nie chodząc na wojny, pracowali w domu, zamieniali się zwolna w pańszczyźnianych chłopów, bez praw i godności. Poniżenie tych ludzi rosło coraz bardziej, chłop stał się własnością, inwentarzem przykutym do ziemi, który miał pracować, dawać daniny i w pokorze znosić każdy wyzysk, nawet córki jego cześć swą musiały nieść w dani swemu panu do dworu. Cześć, honor, poczucie własnej godności to były pojęcia, których chłop pańszczyźniany nie miał.

Dopiero czas rewolucji, dopiero walki o zrównanie praw położyły koniec tym strasznym stosunkom. Runął w gruzy stary porządek feudalny, zniknęły prawa pańszczyźniane, a nad ludzkością zabrzmiały szczytne hasła równości, wolności i braterstwa. Hasła te dotąd pozostały jednak marzeniem. Rewolucja dając równe prawa, nie dała równej własności. Miejsce dawnej szlachty rodowej zajęła nowa klasa — magnaci pieniężni, kapitaliści — która i nadal ujarzmiła ogromną część ludności nieposiadającej. Ten, który nic nie miał, musiał sprzedawać swą siłę roboczą, musiał iść do fabryki i za nędzną zapłatą pracować dla swojego „pana". W pierwszych latach rozwoju przemysłu, robotnik fabryczny znaczył tyle, co włóczęga, co wyrzutek społeczeństwa. Dopiero kilkadziesiątletnia walka klasy robotniczej stosunki te częściowo zmieniła.

Choć i dziś jeszcze — ze wstydem trzeba przyznać — istnieje cała masa proletarjuszy, którzy to poniżenie swoje uważają za rzecz zupełnie naturalną. Iluż to jeszcze pośród robotników jest takich, którzy z pokorą łaszą się i liżą łapy swoim przedsiębiorcom, dla których, wyzysk, poniżenie brutalne traktowanie, to rzeczy proste i zrozumiałe. Zawsze jeszcze w ogromnej części proletarjatu żyje ta psia pokora i brak poczucia własnej godności. Wyplenić te chwasty do szczętu, natchnąć wszystkich głębokiem przeświadczeniem o swojej wartości — jest dziś pierwszorzędnem zadaniem.

Jak jednak tego dopiąć? Jak proletarjat ma zdobyć tę cześć, która do niego należy? Dwie są drogi do tego, obie proste, jasne i niezawodne.

Pierwsza, to uświadomienie, to poznanie swej własnej wartości, swej siły twórczej i swej niezbędności. Proletarjat to podstawa każdego społeczeństwa — te niezliczone miljony to żywe słupy, na których głowach wsparty jest cały gmach kultury dzisiejszej. Połóżcie się, wy, zmęczeni, wstrząśnijcie tym gmachem, a cały świat, cała kultura, cała mądrość ludzka w niwecz się obróci! Wy jesteście niezbędni dla życia, jak słońce i powietrze, jak ziemia i woda. Bez was, bez waszej siły twórczej nie ma wartości, nie ma życia, nie ma kultury! Wszyscy jesteście niezbędni, wszyscy jesteście konieczni! I ten, który kał i śmiecie zamiata z ulicy, bo w tym kale samym zdusiłaby się cała wiekomiejska kultura, gdyby on swemi skrzętnemi i niezmordowanemi rękami go nie chciał usunąć. I ten, który w ciemnych podziemiach kopalni zagrzebuje swe życie, stęsknione słońca i jasności, i ten który orze i sieje, który szyje, buduje, muruje, tka i młotem wali, każda dziewka służebna i każdy pastuch nawet, to niezbędne czynniki kultury, to siła, która tworzy życie. Wyście dumni być z tego powinni, i żadne poczucie pokory miejsca u was znaleźć nie powinno. Zrozumcie swą siłę, a poznajecie swoją własną godność!

Drugi środek to walka. Walka nie na szable, bagnety i karabiny, lecz walka wszystkimi środkami, które dała nam cywilizacja, walka z wszelką niesprawiedliwością, walka z poniżeniem, z więzami, które nas krępują. Walka przeciw niskim płacom, przeciw długiemu dniu roboczemu, przeciw złym warunkom pracy! Walka przeciw bezrobociu, przeciw złemu obchodzeniu, przeciw wyjątkowym prawom! Walka za pomocą strejków, bojkotów, walka masy przeciw masie, jednostki przeciw jednostce, walka na słowa w prasie; w czynach ofiarnych, walka bez przerwy! Do tej walki zjednywać coraz nowe szeregi, coraz nowe zastępy proletarjatu porywać do tej wielkiej wojny o wolność, aż ostatni proletarjusz zrozumie ją i pojmie i stanie w spólnych szeregach walczących. A wtedy poczucie siły i niezłomności udzieli się wszystkim. Czego bowiem nie dopięła sama świadomość, tego dokona walka. W walce niewolnicy stają się bohaterami; uciskany proletarjat stanie się olbrzymem. Walka uszlachetnia i porywa do czynów; po poniesionej klęsce budzi się uczucie wstydu i zemsty i pcha do walk nowych, do powetowania klęski; zwycięstwo zaś podnosi i porywa, każe wierzyć w swe siły, daje zdobycz, wolność i równość. Pokonany przeciwnik, który dla proletarjatu miał dotąd tylko słowa pogardy i lekceważenia, musi w końcu ugiąć się i uznać jego siłę zwycięską.

W ten sposób proletarjat zdobędzie to, czego brak mu dzisiaj: świadomość swej wartości, wyrosłą z poczucia swej siły i poczucia godności. Zepchnięty dziś niewolnik pracy, stanie się wreszcie wolnym i równym współobywatelem, którego cześć i honor będzie honorem całego narodu.

Robert Koch.

W Baden-Baden zmarł 27 maja uczony niemiecki Robert Koch w 67 roku życia, głośny z epokowych odkryć w bakterjologji i opartych na nich metodach zwalczania chorób zakaźnych.

Był to umysł wielki i samodzielny, a zasługi jego dla ludzkości są olbrzymie, gdyż Kochowi, jego pracom, odkryciom i metodom zawdzięczamy, że możemy zwycięsko walczyć z postępami epidemji cholery, tyfusu brzusznego, że w walce z gruźlicą nie jesteśmy już tak bezsilni, jak dawniej.

Jeszcze jako 5-letni chłopiec Koch bez żadnej pomocy sam nauczył się czytać. Był też i w dalszem swojem życiu samoukiem, a nie krępując się utartemi formułkami wiedzy lekarskiej, torował nowe drogi, obalając dawniejsze teorje, odsłaniając nieznane dotąd fakty. Zawsze miał na oku cel praktyczny, każde swe odkrycie laboratoryjne umiał przystosować na pożytek społeczeństwa, rozwijając na podstawie naukowej wskazanie do zarządzeń w celu opanowania epidemji.

Urodzony w r. 1843 w Klausthal, po ukończeniu medycyny w Getyndze, osiadł jako fizyk powiatowy w Wolsztynie w Ks. Poznańskiem i tu obok czynności urzędowych oddał się studjom bakterjologicznym. Dyrektor państwowego urzędu zdrowia w Berlinie, Struck, poznał się na wartości Kocha i z małej mieściny powołał go do stolicy, gdzie wkrótce Robert Koch zabłysnął genialnemi pracami.

Odkrycie prątka gruźlicy w r. 1882, a w r. 1883 wibrjona cholery rozniosło sławę Kocha po całym świecie i miało ogromną doniosłość praktyczną. Założono wtedy dla Kocha w uniwersytecie berlińskim osobny zakład hygjeny,

w którym pod przewodnictwem i kierownictwem Kocha grono najdzielniejszych pracowników oddawało się studjom nad różnemi chorobami zakaźnemi, wzbogacając naukę coraz nowemi, wielkiemi zdobyczami. Z tego grona uczniów Kocha Löffler odkrywa prątek dyfterji, prątek nosacizny i prątek róży u świń, Gaffke prątek tyfusu, Kitasato przeprowadza hodowle tężca i wykrywa prątek dżumy, Pfeiffer przeprowadza hodowle prątka influency, Behring odkrywa surowicę leczniczą przeciw dyfterji i tężcowi.

W r. 1892, gdy nagle wybuchła groźna epidemja cholery w Hamburgu, Koch staje na czele akcji zwalczania tej zarazy, udaje mu się ją stłumić i uwolnić Europę od niebezpieszeństwa, które jej zagrażało.

W r. 1891 ogłasza Koch wyniki prac nad tuberkuliną. Przesadne nadzieje, przywiązywane do tego leku przeciwgruźliczego, pomimo wyraźnych zastrzeżeń odkrywcy, spowodowały rozczarowanie, jednak sprawa tuberkuliny dotąd jeszcze nie jest przesądzona, a po licznych modyfikacjach używa jej się obecnie w różnych zakładach z pożytkiem przy pewnych postaciach gruźlicy we wczesnym okresie.

W tym roku stanął Koch na czele specjalnego instytutu dla chorób zakaźnych w Berlinie, wkrótce jednak porzucił to stanowisko, aby się znowu poświęcić studjom laboratoryjnym. Według jego rad i wskazówek sformułowano niemiecką ustawę o chorobach zakaźnych, jego też głos był decydującym podczas międzynarodowej konwencji w Dreźnie w sprawie zwalczania cholery.

Z polecenia rządu przedsiębierze Koch liczne podróże w celu badania zaraz. W Afryce południowej bada zarazę bydła na wezwanie rządu angielskiego, w r. 1897 kieruje wyprawą naukową do Indji dla badań nad dżumą, potem znowu kilkakrotnie podróżuje do Afryki, badając malarję, gorączkę tropikalną, wreczcie epidemiczną śpiączkę. Wszystkie te ekspedycje są wielce owocne, odsłaniają tajniki strasznych zaraz i dają pożądane wskazówki zapobiegawcze i lecznicze.

Takie były — w najkrótszem streszczeniu — prace i zasługi tego człowieka, którego działalność była nieustającą wielką, zwycięską kampanją przeciw największemu wrogowi ludzkości, chorobom zakaźnym. Dzięki tym pracom, ludzkość co roku oszczędza mnogie tysiące egzystencji ludzkich, któreby padły ofiarą zaraz, gdyby Koch i jego szkoła nie nauczyli stawiać zapory zarazom. To też Kochowi należałyby się służniej spiżowe pomniki, niż wielu zdobywcom na polu bitew.

I okazało się z jego pracy, że ludzkość mogłaby nad niejedną zatryumfować niedolą, którą na nią zsyła natura, gdyby sama swoim ustrojem, spychającym miljony ludzi na dno nędzy, nie przygotowywała podłoża dla najcięższych chorób.

Przykazania Kocha, dotyczące racjonalnej profilaktyki (zapobiegania) i hygjeny, nie mogą mieć dostępu tam, gdzie nędza stwarza głód, brud, rozpacz lub apatję, gdzie ludziom brak najniezbędniejszych warunków do życia: strawy, światła, powietrza...

Podnosiliśmy w tem wspomnieniu pośmiertnem ulubioną myśl Kocha — zwalczania gruźlicy: prawda, iż ta choroba dotyka i ludzi zamożnych, lecz jej ulubionem siedliskiem jest nędza; wszakże zwie się ona nawet chorobą proletarjatu. Zwalczana z różnych frontów — mogłaby ona zostać coraz rzadszą i mniej śmiertelną tylko przy zmianie warunków bytu mas ludowych, przy zmianie fatalnego dzisiejszego ustroju, który większość ludzkości oddaje na pastwę wszystkim niebezpieczeństwom.

W dobie, gdy tyle mózgów ludzkich wysila się nad odkryciem najdoskonalszych środków zagłady, gdy „ucywilizowane" mocarstwa łożą miljardy na coraz bardziej mordczą broń — szczery hołd należy się człowiekowi, który całe życie nad tem strawił, który je narażał na największe niebezpieczeństwa, ażeby wydrzeć śmierci jak najwięcej ofiar.

Rozmaitości

Sieć kolejowa na kuli ziemskiej. W czasopiśmie „Technik und Wissenschaft" podaje Emil Schiff następujące porównawcze zestawienie o sieci kolejowej na kuli ziemskiej z końcem 1904 roku (w kilometrach):

	długość sieci	gęstość sieci na 100 kwadr. km.	gęstość sieci na miljon mieszkańców
Niemcy	58 600	10,3 km.	9,9 km.
(Saksonja)		(19,8) „	
Rosja europejska	54 700	0,9 „	5,2 „
Francja	45 800	8,5 „	11,7 „
Austro-Węgry	39 200	5,8 „	8,2 „
Wielka Brytanja i Irlandja	36 300	11,7 „	8,8 „
Włochy	17 000	5,6 „	4,9 „
Belgja	7 000	23,9 „	10,2 „
Szwajcarja	4 300	10,2 „	12,7 „
Holandja	3 200	9,0 „	5,7 „
Australja	27 000	0,3 „	43,55 „
Stany Zjedn. Półn. Ameryki	344 200	4,4 „	43,8 „

Gęstość międzynarodowej sieci kolejowej jest więc bardzo rozmaitą. Widzimy przytem olbrzymią różnicę pomiędzy gęstością obliczoną co do wielkości przestrzeni kraju i co do liczby jego mieszkańców. Naprzykład Australja, posiadająca najmniejszą gęstość sieci w stosunku do swej przestrzeni, ma natomiast obok Stanów Zjednoczonych, największą gęstość w stosunku do liczby swych mieszkańców. Najgęstszą sieć kolejową w stosunku do przestrzeni kraju wykazują przemysłowe państwa Belgja i Saksonja. Największą długość sieci kolejowej widzimy w Stanach Zjednoczonych, następnie w Niemczech i Rosji europejskiej.

* * *

Gminne ubezpieczenie bezrobotnych w Danji. W maju ubiegłego roku, kiedy brak pracy stał się wprost klęską społeczną, która tysiące rodzin robotniczych zniszczyła i zrujnowała, parlament duński uchwalił tymczasową ustawę, wedle której wszyscy ci robotnicy, członkowie stowarzyszeń udzielających zapomogę dla bezrobotnych, którzy zapomogę tę, przepisaną statutem już wybrali, otrzymywać mają dalej tę samą zapomogę aż do wysokości pobranej poprzednio kwoty ze stowarzyszenia. Ustawa ta traci jednak swą moc obowiązującą z dniem 1 kwietnia 1910. Wprawdzie brak pracy w obecnym roku nie zmniejszył się prawie zupełnie i stosunki, które zmusiły parlament do uchwalenia wspomnianej ustawy trwają i nadal niezmiennie. W samej Kopenhadze, mieście stołecznem Danji, liczba bezrobotnych w obecnej zimie wynosiła 11.545, to jest 15,1 proc. ogółu robotników. W zimie roku 1908 bezrobotnych było 13.000, ale tylko 14,7 proc. ogółu robotników i robotnic. Że procentowo bezrobocie obecne jest wyższe, pochodzi stąd, że ogromna część robotników, zwłaszcza robotników budowlanych, nie mając nadziei znalezienia pracy w swym kraju wyemigrowała do Niemiec itd.

Na zasadzie ustawy o zapomogach dla bezrobotnych, samo miasto Kopenhaga wypłaciło do stycznia b. r. 140 000 marek, a do końca trwania ustawy, t. j. do 1 kwietnia suma ta dojdzie prawdopodobnie do wysokości miljona marek. Nadmienić przytem należy, że w Danji wedle stale obowiązującej ustawy państwo i gmina płaci do kas dla bezrobotnych przy uznanych stowarzyszeniach połowę kwoty, którą członek bezrobotny ma prawo płacić.

W ostatnim czasie zgromadzili się przedstawiciele wszystkich kas dla bezrobotnych w całej Danji, aby wspólnie się zastanowić, co na przyszłość czynić należy, by przyjść bezrobotnym z pomocą. Jednogłośnie uchwalono zwrócić się do klubu posłów socjalno-demokratycznych w parlamencie duńskim z żądaniem, by starali się przeprowadzić, aby tymczasowa ustawa z maja 1909 r. pozostała i nadal w mocy, gdyż stosunki, które spowodowały jej uchwalenie, nie uległy żadnej zmianie. Równocześnie postawiono wezwać wszelkie instytucje publiczne i całą publiczność, by o ile możności starała się przez zatrudnienie miejscowych robotników zmniejszyć brak pracy w kraju.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 24. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 czerwca 1910.

LAS CIGARRERAS.

Andersena Nexö *)

Z tajemniczego półmroku ulic wyłania się bezładna gromada kobiet. Mają one na sobie cienkie czarne szale z długiemi frenzlami, odkryte głowy, czarne włosy ozdobione papierowemi kwiatami. Kilka ładnych twarzy wyróżnia się; ale nędza, jak wszędzie tak i tutaj, nie ma zwyczaju wyhodowywać piękności. Większość jest ospowata, niektóre nawet jednookie, wiele bardzo ma białe plastry na obu skroniach; wszystkie mają rozdęte nozdrza i czujne oczy, wyszukujące zdobyczy dla swego śmiechu. Jak stado srok drepcą naprzód, chichocząc i gadając; drwią z cienkich nóżek przechodzącego eleganta, mimochodem zrzucają z siodła poganiaczy osłów, wrzeszcząc otaczają cudzoziemca, tłustemu księdzu, który z tłumionym śmiechem znika za ciężką kotarą drzwi kościelnych przesyłają ręką od ust całusa. Wszystko jest dla nich pobudką do wesołości; pies kulawy, trumna, kichający żebrak.

Nie zakrywają bojaźliwie ust; przeciwnie, otwierają je szeroko i z chciwością wchłaniają powietrze wraz ze słońcem i orzeźwiającą świeżością, z zarazkami i zaduchem. Ich wysokie, wyzywające piersi zdają się kpić z całego świata, ze wszystkich suchotniczych bakterji. Ich postawa mówi jak najwyraźniej: „Przyjdź, a ja cię uścisnę — choćbyś był śmiercią samą i odrzucę precz od siebie jak wyciśniętą cytrynę“. Chwytają małe, nagie dzieci, obcałowują ich ciałka od stóp do głów i podają je dalszym szeregom, z rąk do rąk. Na widok pięknego mężczyzny zgrzytają pożądliwie zębami — ale piękną kobietę obrzucają błotem.

Są to Las Cigarreras, robotnice tytoniowe, dusza Sewilli. Tworzą one armję blisko pięciotysięczną. Najstarsza z nich liczy lat przeszło sto, najmłodsza — zaledwie czternaście.

W rozmowie z cudzoziemcem wspomina o nich mieszkaniec Sewilli tylko pobieżnie; ale w głębi swego jestestwa podziwia on je, podziwem, który często z rozkosznym dreszczem grozy jest połączony. Robotnica fabryczna nie ma trosk, jest prosta, bezbożna, bezwzględna w swych namiętnościach, dowcipna, zapalna, łatwo zapominająca; jest ona jakby ucieleśnieniem wszystkich lekkomyślnych żywiołów miasta w ich najwyższej potędze. Mieszkaniec Sewilli nie mógłby jej potępić, nie potępiając jednocześnie siebie samego a tego nie uczyni żaden hiszpan. Prócz tego w świadomości każdego poważnie myślącego hiszpana tkwi przeświadczenie, że rewolucja jest jedynem wyjściem z obecnego stanu, a że za pozostawanie w bezczynności hańba na niego czatuje. Ale dzięki robotnicy tytoniowej nie potrzebuje Sewilla tak bardzo przed sobą samą się wstydzić. Ona jest zawsze do powstania gotowa, z jej ręki pada pierwszy kamień, z jej ust rozbrzmiewa pierwszy wzywający do walki okrzyk bojowy. Ona jest elementem burzącym się, wewnętrznym bolesnym niepokojem. — A kiedy korek wyskoczy — ona jest hukiem i pianą, jest wszystkiem, co przeraża kobiety, a raduje mężczyzn.

Kiedy przed dwudziestu mniej więcej laty Alfons XII odwiedzał Sewillę, a republikańska ludność miasta oddawała, przepełniona uczuciem wstydu, zwykłe oznaki czci jego królewskiemu majestatowi — pięć tysięcy robotnic tytoniowych uratowało honor miasta, wyśmiewając bezlitośnie króla w czasie jego odwiedzin w wielkiej fabryce tytoniu. A kiedy później pewnego razu nie mogły pogodzić się z potężnym dyrektorem fabrycznym w kwestji płacy dziennej, zajęły tak stanowcze i pewne siebie stanowisko, że od jednego zamachu zdobyły serca wszystkich proletarjuszy; opasały po prostu swego dyrektora sznurem i, spuściwszy, powiesiły go w głębokiej studni. Niejednokrotnie, czołgając się na rękach i nogach, zbierały Las Cigarreras błoto uliczne i odpierały nim ataki szabel i rewolwerów konnej policji. Im również, po większej części, nie szanującym nic i nikogo, należy zawdzięczać, że prawo uczestnictwa w wielkich uroczystościach kościelnych, ograniczone jest teraz przez bilety wstępu, wydawane przez głównego parafjalnego proboszcza.

Wszystko to jednak nie wymaga wybaczenia. Uciskany przez państwo i kościół lud, którego rewolucyjne skłonności i pociąg do bluźnierstwa tak nieustraszenie przez te ospowate i jednookie walkirje czynem jest wyrażany, lud ten — wbrew wszelkiej tradycji — jest tak szlachetny, że ich w potrzebie losowi swemu nie pozostawia.

Zresztą, nawet dzięki swemu położeniu tylko, jest dziewczyna z fabryki tytoniu benjaminkiem narodu; przeniknięta jest ona tym zapachem, który jest najpiękniejszy dla hiszpana, zapachem nikotyny. Czym zaś jest tytoń dla hiszpana, można osądzić choćby z tego jednego faktu, że żebrak, proszący o grosz na tytoń, jest również pewnym miłosierdzia, jak ten, który się na swój głód powołuje.

Wszystkie te cudowne właściwości, które w naszej ojczyźnie posiada alkohol — w Hiszpanji przypisywane są tytoniowi: on zaspakaja głód i budzi apetyt, on rozwesela i usypia, on działa przeczyszczająco i sprawia zatwardzenie — sprowadza każdy skutek zależnie od potrzeby. „Papierosa“ — radzą ludzie, jeśli komuś czegoś brakuje, zupełnie tak samo jak na północy mówi się: „Wódeczki“. Na rany cięte kładą tutaj martwe liście tytoniowe.

Pierwszym ruchem hiszpana rankiem po przebudzeniu jest namacanie w ciemności swego papierosa, zapalenie go i przylepienie do dolnej wargi. Tam wisi on i wypuszcza małe niebieskawe kłęby dymu podczas rozmowy, podczas kaszlu i kichania, czasami nawet podczas jedzenia i picia. Jak święty ogień — nie gaśnie nigdy; od gasnącego żaru jednego zapala hiszpan drugiego papierosa i rozkoszuje się nim nawet przy stole, między jednym łykiem i drugim. Na dolnej wardze jest jego miejsce przez cały długi boży dzień. Często zasypia paląc, a wtedy nazajutrz rankiem tkwi pod nosem ogarek, gotowy do zapalenia.

Mizerny to palacz, który dym w prosty naturalny sposób wypuszcza. Kto jest choć trochę mężczyzną, ten wydmuchuje go nosem, jak przez komin; właściwi zaś zawo-

*) Pisarz duński Marcin Andersen Nexö — autor niniejszego szkicu — jest dzieckiem proletarjatu. Urodził się w 1869 r., w dzielnicy robotniczej Kopenhagi. Ojciec jego był kamieniarzem i brukarzem, matka — wędrowną przekupką. W dziecińśtwie już poznał Nexö cierpienia proletarjatu, w wieku dojrzałym — jako poeta — nie zapomniał o nich. Poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Wkrótce je nak powaliła go ciężka choroba i zmusiła na południu szukać zupełnego wyzdrowienia. Owocem jego wędrówki po Włoszech i Hiszpanji jest pamiętnik, z którego wyjmujemy niniejszy urywek.

dowi palacze połykają go i siedzą, potem z otwartemi ustami, wdychając i wydychając go powoli.

Istnieją ludzie, którzy wierzą, że nałogowi narodowemu przez opodatkowanie zapobiec można. W Hiszpanji prawo zaopatrywania narodu w tytoń oddane jest kilku, obcym przeważnie, kapitalistom: towarzystwu tytoniowemu, które rocznie płaci państwu podatek, wynoszący 90 miljonów fr. Chociaż gleba i klimat nadają się znakomicie do hodowli tytoniu, nie wolno chłopu siać tytoniu nawet na własne potrzeby, a towarzystwo wydaje prócz podatku 60 miljonów franków na to, aby to prawo zakazu było przeprowadzone, a granice kraju przed kontrabandzistami zabezpieczone. Po wydaniu tych 150 miljonów, musi być jeszcze opłacony towar surowy i fabrykacja, muszą żyć sprzedający kupcy, towarzystwo musi mieć duże zyski. Nie będzie przesadą, jeśli się sumę, którą naród hiszpański rocznie z dymem puszcza, na przeszło ćwierć miljarda franków oznaczy.

Pali się w teatrach w czasie przedstawienia; w bankach, urzędach pocztowych, biurach miejskich ma każdy aż do najdrobniejszego kancelisty papieros w ustach; balwierz pali podczas golenia klijenta; kelner bez krępowania zdmuchuje dym z papierosa w czasie obsługiwania gościa; mówca zatrzymuje się w środku płomiennego okresu, aby się zaciągnąć; ksiądz wsuwa się chyłkiem w czasie mszy za ołtarz na jedno pociągnięcie, a na ulicy nie idzie inaczej jak z papierosem, ukrytym w szerokim rękawie.

(Dokończenie nastąpi.)

Alkohol i zbrodnie.

Ujemny wpływ alkoholu na mózg nie kończy się na chorobach umysłowych. Nie każdy kieliszek wódki otwiera drzwi domu dla obłąkanych lub wrota więzienne, zwiększa on jednak niewątpliwie skłonność do zbrodni lub obłędu. Zdaniem uczonego, tow. Ottona Langa, który długie lata poświęcił badaniu przyczyn zbrodni, obok czynników społecznych i ekonomicznych najważniejszą przyczyną zbrodni jest alkohol. Pogląd swój potwierdza ten badacz rozbiorem 141 wypadków uszkodzeń cielesnych, które rozpatrywały sądy zuryskie w roku 1891. Z liczby tej przypadło zaledwie 41 przestępstwo na 208 dni roku, gdy ludność Szwajcarji pije mniej napojów alkoholowych (są to wtorki, środy, czwartki i piątki), na pozostałe zaś 157 dni roku — soboty, niedziele, poniedziałki — gdy szwajcarowie piją więcej, przypadło 100 zbrodni. Mało tego. Z 41 zbrodni, spełnionych podczas dni trzeźwych, 25 dokonano w szynku lub przed szynkiem, wobec czego można twierdzić, że w rozpatrywanym okresie czasu zaledwie 16 zbrodni spełniono w Zurychu po trzeźwemu, reszty zaś t. j. 125 dokonano pod wpływem alkoholu. Innemi słowy, gdyby te 125 osób nie piły wyskoku, nie popełniłyby zbrodni i nie byłyby karane.

Wiele zwłaszcza daje do myślenia olbrzymia liczba przestępstw popełnianych w niedzielę; wykazuje ona zarazem dowodnie, że póki nie zastąpimy dziwnej zabawy, polegającej na spijaniu jednego za drugim kieliszka wódki czy kufla piwa przy okazji albo i bez okazji, jedynie z powodu święta czy niedzieli, jakąś inną rozrywką, póty dni świąteczne, przeznaczone na wypoczynek, będą dla wielu dniami nieszczęścia. Dla wielu, nietylko dla skazanych, bo przecież każdy posiada rodziców, żonę, dzieci; na barki rodziny spada w takich razach nieszczęście. Obok czynów gwałtownych alkohol wywołuje jeszcze przestępstwą przeciwko obyczajności. Na 100 przestępstw tego rodzaju 60 spełniono w Szwajcarji po pijanemu.

Warto nadmienić, że o wiele więcej przestępstw i zbrodni popełniają pijacy przygodni, niż nałogowcy. Wśród skazanych za zadanie uszkodzeń cielesnych było według danych tow. Langa 73% rzadko pijących, a zaledwie 27% pijaków nałogowych.

Widzimy z tych cyfr, do jakiego stopnia alkohol przyczynia się do wzrostu zbrodniczości. Dane zebrane w innym kraju (Austrja) potwierdzają ten pogląd. Wśród pociągniętych do odpowiedzialności w Wiedniu za opór władzy było, tak podaje prof. Löffler, w okresie od roku 1885 do 1896 przeszło $^3/_4$ pijanych. Pijani również stanowili do $^2/_3$ oskarżonych o uszkodzenie cudzej własności i wywołanie zbiegowisk ulicznych. W okresie dwuletnim za tego rodzaju przewinienia skazano 681 pijanych na 294 lata, 6 miesięcy i 8 dni więzienia! Brak w tem kar nałożonych na morderców i zabójców, choć z 7 zabójców pięciu spełniło zbrodnię po pijanemu, z 17 zaś morderców dwu było pijanych w chwili dokonywania przestępstwa, a 7 było nałogowych pijaków. Wymowne cyfry.

Nie ulega watpliwości, że t. zw. czynniki społeczne, więc złe wpływy otoczenia, złe wychowanie w domu i szkole, bieda i wiele innych rzeczy, przy każdej zbrodni grają doniosłą rolę, żadną jednak miarą nie da się zaprzeczyć, że i alkohol robi tu swoje. Człowiek trzeźwy hamuje swój gniew, panuje nad sobą, pamięta o skutkach fałszywego kroku, pijany nie liczy się z niczem, a opamiętanie przychodzi zwykle zapóźno.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu cyfry zebrane w Niemczech przez Aschaffenburga. Uczony ten wyliczył w jednym zaledwie roku 98 958 dni pracy, które robotnicy przeleżeli w łóżkach skutkiem ran otrzymanych w bójce po pijanemu. Dni te stanowią 271 lat straconych jedynie wskutek pijaństwa. Inny uczony, prof. Kraepelin, podaje, że w obwodzie heidelberskim, który liczy 650 tysięcy mieszkańców, w ciągu jednego roku 21 osób zmarło śmiercią gwałtowną, a 54 odniosło ciężkie uszkodzenia wyłącznie skutkiem pijaństwa.

Zródłem tych wszystkich nieszczęść jest nietylko wódka, lecz wraz z nią i wszystkie inne napoje wyskokowe. Potwierdza to fakt, że okolice Niemiec, gdzie piją wino, nie wykazują mniejszej liczby uszkodzeń cielesnych od tych okolic, gdzie używają jedynie wódki.

Gdybyż wreszcie na tem można było zamknąć listę szkód, jakie powoduje alkohol!

Należy dobrze zapamiętać, że trujące działanie wyskoku na cały nasz organizm, że ujemny wpływ na mózg i nerwy, że wywoływanie zbrodni, że wszystko to nie wyczerpuje szkodliwości alkoholu. Małoż to bowiem nacierpieć się musi żona i dzieci pijaka, nim dom warjatów lub śmierć wybawi ich od ciągłych katuszy z ręki męża i ojca. Wyobraźmy sobie te kłótnie, z błahego najczęściej powstałe powodu, które jednak pociągają za sobą kalectwo, zabójstwo lub wreszcie upadek całych rodzin! A znieprawienie dzieci, będących przymusowemi świadkami strasznych lub wstrętnych scen między rodzicami. I czy tego wszystkiego dopuszczają się jedynie pijacy nałogowi? Czy nie najczęściej robią to pijacy przypadkowi? Pomyślmy wreszcie o tysiącach, o setkach tysięcy osób, które umierają jedynie skutkiem pijaństwa. W samych Czechach zmarło w ciągu roku 1900 25 tysięcy ludzi jedynie skutkiem pijaństwa; osierocili oni około 55 tysięcy dzieci. Któż nie zadrży, czytając te straszne cyfry?

Zadania i znaczenie polityki socjalnej.

Polityką wogóle nazywamy sposób, system postępowania względem kogoś. W każdem państwie system postępowania względem innych państw zwiemy polityką zewnętrzną; względem kolonji swoich w dalekich krajach — polityką kolonjalną, system zaś postępowania państwa względem różnych warstw społeczeństwa — zwiemy jego polityką socjalną (lub społeczną) w najogólniejszem tego pojęcia znaczeniu. Tak naprzykład, gdy w dawnej Polsce król faworyzował raz mieszczaństwo, innym razem szlachtę lub możnowładców, to też była pewnego rodzaju polityka społeczna.

Lecz dziś pojęcia „polityka socjalna“ używamy w znaczeniu ściślejszem, które się skrystalizowało w dziewiętnastem stuleciu.

W XIX stuleciu ze wszystkich stron odzywają się głosy protestu przeciwko złym skutkom kapitalistycznej gospodarki. Ze strony humanitarnych uczonych dają się słyszeć głosy ostrzegawcze, że gatunek ludzki wyrodnieje, że kapitalizm bez żadnych środków ograniczających doprowadza masy do nędzy tego stopnia, iż grozi ona wybuchem, niszczącym wszystko. To były głosy z klas uprzywilejowanych, głosy ludzi trochę dalej widzących. A słuszność ich demonstrować zaczęły pomruki mas ludowych, groźby i ruchy rewolucyjne w Anglji, Niemczech i t. d.

Długi czas głosy ostrzegające i pomruki ze strony mas nie wywierały żadnego skutku i wrażenia na rządach i wpływających na te rządy sferach kapitalistów, lecz wreszcie objawy niezadowolenia ludu stały się o tyle groźne, iż niektóre rządy ujrzały, że koniecznie trzeba szeregiem reform załagodzić skutki zbyt zaostrzonego konfliktu kapitału z pracą. Jednym z pierwszych rządów takich był rząd angielski, a po nim prawie wszystkie inne rządy w mniejszym lub większym stopniu. W ten sposób zaczęły wchodzić do prawodawstwa i życia ustawy, opiekujące się robotnikami i normujące do pewnego stopnia ich stosunek do pracobiorców. Te ustawy, ten sposób postępowania rządu względem sfer robotniczych zwiemy dziś, ściśle biorąc, polityką socjalną.

Polityka socjalna ma za sobą długi szereg lat rozwoju, różnych prądów i faz ciekawych, stojących w związku z prądami w dziejach ekonomji politycznej, lecz nie mamy tu miejsca na zatrzymywanie się przy tej stronie historycznej, tylko przejdziemy odrazu do zobrazowania treści dzisiejszej polityki socjalnej w ogólnych zarysach. Oczywiście, każde państwo prowadzi inną politykę socjalną, ale tymczasem pomówimy tu o polityce socjalnej wogóle, o jej treści niezależnie od tego, w jakim państwie jest ona stosowana.

Często obrońcy dzisiejszego porządku ekonomicznego z dumną miną mówią o tem, że dziś niema ani śladów niewolnictwa, że przecież stosunek między pracobiorcą (robotnikiem) a pracodawcą (przedsiębiorcą) polega na zupełnej wolności umowy, t. j. że nikt nikogo nie zmusza do pracy na takich lub innych warunkach: chcesz, pracuj za dane wynagrodzenie, nie chcesz, to nie pracuj! Zapomina się tylko, że robotnik jest słabszym ekonomicznie i że dla niego „nie pracuj“ znaczy „giń z głodu“, podczas gdy przedsiębiorca znajdzie innych gotowych do pracy na danych warunkach lub najwyżej będzie miał nieco mniejszy zysk. Rozpatrywana w ten sposób ta „wolność umowy“ przedstawia się nieco inaczej. Aby się ona trochę choć do prawdziwej wolności zbliżyła, robotnik znajduje jedyny sposób: występować przy umowie nie jako słaba jednostka, lecz jako silne połączenie, związek, lub, jak to się nazywa, koalicja, z którą już każdy więcej się musi liczyć. Wobec tego nader ważnym momentem polityki socjalnej każdego państwa jest jego stosunek do stowarzyszania, łączenia się robotników w różne związki dla obrony swych interesów, czyli tak zwane przepisy o prawie koalicji. Dawniej wszelkie koalicje robotnicze wszędzie uważane były za przestępstwa polityczne i surowo karane. Dziś, dzięki różnym czynnikom, w szczególności zaś dzięki niezmordowanej walce o to samych robotników, wiele państw zniosło zakazy i uregulowało przepisy o koalicji, chociaż wszędzie pozostały jeszcze mniej lub więcej liczne ograniczenia. I tak, w Anglji zakazy koalicji zniesiono już w 1824 r., we Francji w 1864 w Niemczech w 1869, w Austrji — w 1872. Jak nieraz państwo jest stronniczem w swych przepisach o koalicji, widzieć można choćby z tego przykładu: w Austrji surowo jest karane (§ 3 ustawy przemysłowej) przymuszanie w jakikolwiek sposób do koalicji, lecz odmawianie, odstraszanie od niej (np. przez groźbę wydalenia z pracy) jest zupełnie bezkarne.

Do pewnego stopnia i rządy wszystkich państw uznają ten fakt, że w owej „wolnej umowie“ pomiędzy fabrykantem a robotnikiem ten ostatni jest zawsze stroną słabszą i powinien ze strony państwa być otoczony pewną opieką prawną już choćby ze względu na interesy państwa, któreby źle wyszło na nieograniczanym niczem wyzysku klasy robotniczej. Dla tego to widzimy jak powstaje w XIX stuleciu w różnych państwach Europy t. zw. prawodawstwo ochronne robotnicze. Pod tym pojęciem rozumiemy uregulowane paragrafami wkroczenia państwowych władz do wolnej umowy między robotnikiem a przedsiębiorcą, mające w swem założeniu za cel obronę tego pierwszego przed złemi stronami tej umowy. Główną treść prawodawstwa ochronnego stanowią przepisy o czasie maksymalnym trwania pracy w różnych gałęziach przemysłu, o ograniczeniach w używaniu do tej pracy kobiet i dzieci, o odpoczynku świątecznym, o wypłacaniu płacy w pieniądzach, a nie w postaci różnych produktów i t. d. Specjalną, niezmiernie ważną gałęź prawodawstwa ochronnego stanowi t. zw. higjena fabryczna, t. j. przepisy zdrowotne, sanitarne co do urządzania fabryk i prowadzenia w nich pracy w ten sposób, by zdrowie i życie robotnika nie było narażone na ciągłe niebezpieczeństwo i zgubne wpływy.

Rzecz prosta, że wszystko to są bardzo piękne rzeczy, ale, niestety, często bardzo przepisy prawodawstwa ochronnego pozostają na papierze! Państwo jako strona nakazująca wykonanie tych przepisów, musi mieć specjalnych urzędników, którzyby dopilnowali i kontrolowali przedsiębiorców i dbali o to, aby przepisy z papieru wchodziły w życie. I oto mamy instytucję inspektoratu fabrycznego (lub przemysłowego), instytucję pierwszorzędnego znaczenia dla klasy pracującej. Urząd inspektorów fabrycznych zaprowadzono najpierw w Anglji (1833 r.), a później i w innych krajach (w Austrji 1883 r.). Do spełniania tych niezmiernie odpowiedzialnych obowiązków trzeba, prócz nieskazitelnej uczciwości (ileż razy kusi się inspektora fabrycznego przekupstwem!), jeszcze znajomości praw i warunków danego przemysłu, a co główne, i odczucia i znajomości bytu robotniczego, jego braków i potrzeb. Dla tego to bardzo usprawiedliwionemi są dwa żądania: 1) aby inspektorowie fabryczni otrzymywali specjalne wykształcenie i 2) aby byli mężami zaufania robotników, t. j. przez nich wybierani na ten urząd. Urzeczywistnienie się tych żądań będzie również bardzo ważnym krokiem naprzód w dziedzinie polityki socjalnej. Dodać do tego należy jeszcze, że w tych gałęziach przemysłu, gdzie są przeważnie zatrudnione kobiety, należy dążyć do obsadzania urzędów inspektorów przez kobiety.

Musimy w tem miejscu zwrócić uwagę na jedną jeszsze sprawę, mianowicie na t. zw. chałupnictwo, czyli przemysł domowy. Są to małe warsztaciki, w których zazwyczaj pracują członkowie rodziny i parę zaledwie osób obcych. Otóż chałupnictwo, zdaniem naszem, uważać należy za rzecz niebezpieczną z punktu widzenia dobra robotników: warsztaciki te bowiem są bardzo często gniazdami niczem niekrępowanego wyzysku, a ochronne ustawodawstwo wgląda zazwyczaj do tych tylko warsztatów, gdzie przynajmniej 20 osób jest zatrudnionych. Cóż dopiero mówić o hygjenie w tych pracowniach!

Niezmiernie ważną gałęzią polityki społecznej współczesnego państwa, gałęzią wciąż się rozwijającą i doskonalącą, są rozmaitego rodzaju ubezpieczenia robotnicze. Ubezpieczenia te mogą być: od choroby, od nieszczęśliwych wypadków, na starość i niezdolność do pracy, od braku pracy, wreczcie ubezpieczenia wdów i sierot po robotnikach.

Najstraszniejszą stroną życia robotnika i jego rodziny jest bezsprzecznie niepewność jutra. Co się stanie z niemi, gdy żywiciel rodziny zachoruje lub umrze, lub gdy przez czas dłuższy nie znajdzie pracy? Oto pytanie, które jak zmora kładzie się na pierś robotniczą i zasnąć nieraz strudzonemu nie daje.

Dawniej, a niestety często i dziś jeszcze, zwykłym zmierzchem życia robotniczego był żebraczy chleb lub dobroczynny przytułek! Otóż ubezpieczenia robotnicze są środkiem zaradzenia na to. Mówimy w tym wypadku o polityce społecznej państwa, więc i o ubezpieczeniu kierowanem i ustawowo regulowanem przez państwo, zaznaczyć jednak musimy, że są ubezpieczenia robotnicze innego rodzaju: są więc towarzystwa prywatne lub akcyjne, które ubezpieczają na wypadek chorób i t. p., lecz te są zwykle niedostępne dla robotników, gdyż wkładki są za wysokie. Są ubezpieczenia jako jeden z rodzajów samopomocy robotników, więc kasy przy związkach zawodowych i innych, które członkom, wpłacającym regularnie wkładki tygodniowe lub miesięczne, wypłacają w razie choroby pewne zapomogi.

Lecz my mamy na myśl ubezpieczenia przymusowe, państwowe, zorganizowane zazwyczaj w ten sposób, że ciężary tych ubezpieczeń rozkładają się na: państwo, przedsiębiorcę i robotnika, t. j. wkładki wnosi drugi i trzeci,

a wypłaca się zapomogi, emerytury i t. p. z mniejszym lub większym udziałem specjalnych funduszów państwowych. Instytucje, które służą do zarządzania temi ubezpieczeniami, są pod kontrolą państwową oraz delegatów ze strony przedsiębiorców i robotników. Odmianą takich instytucji są naprzykład kasy chorych (Krankenkasse), gdzie w razie choroby robotnik ma darmo pomoc lekarską i zapomogi pieniężne, wzamian za niewielkie wkładki! W Austrji np. w 1908 r. było takich kas 2942 z ogólną liczbą 3 miljonów ubezpieczonych.

Do doskonałości na polu robotniczego ubezpieczenia daleko jeszcze bardzo. Obszerne pola ubezpieczenia na starość, od braku pracy, tej nowoczesnej plagi wielkomiejskiej, ubezpieczenia wdów i sierot, leżą jeszcze odłogiem! Prócz tego należy się to samo dobrodziejstwo i robotnikom rolnym, wiejskim i różnym rodzajom (np. służba domowa), które dotąd nie są uwzględnione.

W tych więc kierunkach kroczyć musi postęp na tym polu.

Słów parę należy się również tej gałęzi polityki socjalnej, której zadaniem — wynajdowanie pracy. Służą do tego państwowe i gminne biura pośrednictwa pracy. Są to instytucje, które prowadzą ciągłą statystykę zapotrzebowań pracowników różnego rodzaju oraz podaży sił roboczych i w ten sposób można uregulować do pewnego stopnia tę sprawę. Urzędy państwowe są zazwyczaj zupełnie bezpłatnie i bezinteresownie wskazują potrzebującym odpowiednie miejsca. Często biura pośrednictwa pracy kierują emigracją czyli wychodźtwem do innych krajów na pracę, pouczają o panujących tam stosunkach, płacach etc. Są i prywatne biura pośrednictwa pracy, oczywiście płatne, i to często drogo płatne, a nie zawsze sumienne.

Podobne zadania polityki socjalnej jak państwo, ma w minjaturze każda porządnie urządzona gmina. Te zadania, polegające głównie na opiekowaniu się biednemi (dobroczynność) i choremi (szpitalnictwo) nazywamy gminną polityką socjalną. Nabiera ona wielkiego znaczenia w gminach miejskich, gdzie wchodzą w zakres działania gminy i jej zarządu bardzo ważne sprawy (zdrowotność, sprawa mieszkaniowa, ubezpieczenia, gminne kasy chorych etc.). Oczywiście, polityka socjalna państwa nie jest w stanie regulować wszystkich spraw w stosunku przedsiębiorców do robotników i dlatego ci ostatni muszą drogą samopomocy tworzyć różne instytucje w tym celu. Więc tworzą związki zawodowe, komisje robotnicze, sądy rozjemcze i t. p. instytucje samopomocy robotniczej, o których szczegółowiej pomówimy innym razem.

„Wiedza". Dr. Stanisław Kelles-Kraus.

Rozmaitości

Czy alkohol dodaje mocy i wytrwałości? Mniemanie ogółu przypisuje napojom upajającym poza innemi wielu właściwościami i tę, że wzmacniają one osłabionych i uzdolniają ich do znoszenia trudów. Rzeczywistość często zadaje kłam tym złudnym mniemaniom. Większość bowiem siłaczy, turystów, wioślarzy, kołowników i wogóle sportowców unika alkoholu zupełnie, a conajmniej już w czasie tak zwanego trenowania się, t. zn. ćwiczenia się w swym sporcie. Najwybitniejsi zaś sportowcy i siłacze wszyscy prawie są zupełnymi abstynentami od alkoholu. Taki np. Karol Mann, który tak często odnosi zwycięstwo we wyścigach pieszych, taki znakomity piechur, jak Weston, który w 100 dniach uszedł 7445 km., Harbon, angielski król wioślarzy, kapitan Webb, który przepłynął przez kanał angielski, kołownik Godwin, który ujechał 3305 klm. w 19 dniach, wybitny siłacz polski Cyganiewicz, zwycięzca we wszystkich prawie zapasach międzynarodowych — to wszystko ludzie, nie używający wcale napojów alkoholowych i stwierdzający na mocy własnego doświadczenia, że alkohol wcale nie dodaje mocy, lecz nawet w małych ilościach używany, osłabia mięśnie.

* * *

Przeciw alkoholizmowi. Miasto Charlottenburg pod Berlinem wzięło w swój zarząd zakład dla leczenia alkoholików. Rozciąga ono również opiekę nad wyleczonymi alkoholikami i ich rodzinami. W zakładzie prowadzonym przez lekarza-psychjatrę alkoholicy znajdują umieszczenie bezpłatnie.

* * *

Automatyczne sterowanie aeroplanami. Z Londynu donoszą, że porucznik angielski Dunne, znany aeronauta, rozwiązać miał zagadnienie automatycznej równowagi aeroplanów. Dunne wzniósł się w powietrze na wysokość dwudziestu metrów, poczem płynął równo, wypuściwszy ster z ręki. Przeleciał cztery kilometry i dopiero dla ominięcia wzgórza wziął znowu ster do ręki, poczem wylądował. — W Paryżu wiadomość ta wywołała ogromne zajęcie. Dotąd aeroplany zawdzięczają równowagę małym, ruchomym płytom kamiennzm, albo samym skrzydłom. Pilot musi z natężoną uwagą dbać o równowagę. Automatyczne sterowanie i utrzymanie równowagi pozwoliłoby czynić wzloty bez względu na wiatr, a pilot uważałby tylko na motor i kierunek lotu.

Z literatury i sztuki

Numer 21 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Na wstępie nekrolog Elizy Orzeszkowej z portretem słynnej autorki. Dalszy ciąg „Józków, Jasków i Franków" Janusza Korczaka, które się czyta zawsze z jednakową przyjemnością; artykuł przyrodniczy „Na łące" napisany lekko i zajmująco, chociaż ściśle naukowo. „Djabelski statek" powieść przerobiona z „Pracowników morza" przez St. Buraczewską, wzbudza ogromne zainteresowanie w młodszych i starszych czytelnikach. „Koniec świata" komedyjka opracowana przez Dr. Bobrowską, zabawna i zastosowana do obecnej chwili, oraz wiadomości ze świata, łamigłówki i odpowiedzi od redakcji kończą dział dla starszych.

„Promyczek" wypełnia „Wyprawa Mruczusia na kocią wyspę J. Porazińskiej. Powiastka Aanruda pt.: „Jak Antoś i Basia kury pilnowali" w tłomaczeniu J. Mortkowiczowej, tudzież „Mały tygrys Boohos" przez M. Krausową, bajeczka przypominająca Biplinga.

Nr. 22 zawiera starannie dobrane powieści i artykuły: Artykuł historyczny o konstytucji 3 maja pt.: „Ważna chwila" Faustyny Morzyckiej, która niestety nie doczekała jego wydrukowania, jest niezwykle piękny; głębokość myśli i miły styl, cechujący tę autorkę, musi zwrócić uwagę nietylko dzieci ale i ich rodziców. Potem ciąg dalszy „Djabelskiego statku" powieść przerobiona przez St. Buraczewską czyta się z naprężonem zainteresowaniem. „Józki, Jaśki i Franki" Janusza Korczaka, opowiadanie o kolonjach letnich, zawiera w tym numerze podkład zupełnie etyczny. „Koniec świata" Br. Bobrowskiej — dokończenie zabawnej komedyjki. „Wilk z Winnipcy" Thompsona, ulubionego autora młodzieży, który tak doskonale rozumie i odczuwa uczucie zwierząt, w starannem tłomaczeniu M. Aret Golczewskiej. Wiadomości ze świata, łamigłówki i odpowiedzi od redakcji kończą dział dla starszych.

„Promyczek", dodatek dla młodszych, zawiera dokończenie zajmującego opowiadania przyrodniczego J. Porazińskiej pt.: „Przygoda Bzy-bzyka". Dokończenie powiastki M. Krausowej „Mały tygrys Boohos" bardzo oryginalnej. Zręczny wierszyk F. Kurasia „Nad Strumykiem" i w końcu ogromnie zabawną powiastkę St. Okołowiczówny pt.: „Kazio i jego zielony Puk". Łamigłówka i rozwiązanie zamykają numerek dla mniejszych.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 25. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 czerwca 1910.

LAS CIGARRERAS.

Andersena Nexö

(Dokończenie.)

Dzieciom właśni rodzice wydzielają porcyjki tytoniu, a stare kobiety, siedząc na słońcu pode wsią, nie wypuszczają z ust papierosa. Palą wszyscy na przekór podatkowi, kto nie ma pieniędzy, ten chodzi na poszukiwania i zbiera wilgotne resztki niedopałków papierosowych; zdarza się czasami, że mężczyźni w długich płaszczach idą za kimś całe kwadranse w nadziei podniesienia wyrzuconego ogarka.

Czerwone sztandary powiewają na wietrze tam, którędy idą Las Cigarreras. Wyrzucają je z siebie Triana, Macarena i inne przedmieścia; przychodzą mlaskając ustami, dłubiąc w czarnych włosach, śmiejąc się. Drogi ich wszystkich zbiegają się w jednym punkcie w dole rzeki, gdzie stoi potężny gmach, zbudowany kosztem 9 miljonów franków. Gmach ten, otoczony jest głęboką fosą dookoła, wał wewnętrzny ozdabiają małe wieżyczki ochronne z długiemi, wązkiemi strzelnicami, wewnątrz spacerują stale tam i z powrotem straże, na parterze budynku gospodaruje oddział wojska. Gmach przypomina jakiś zakład poprawczy, przez rząd jest traktowany jak coś w rodzaju składu dynamitowego — w rzeczywistości jest tylko fabryką tytoniu.

W wielkim, sklepionym przedsionku straż zajęta jest właśnie rewizją kilku robotników, którzy fabrykę opuszczają. Stoją oni z rękami wysoko podniesionemi, a całe ich ciało jest dokładnie obmacywane.

Przez szerokie kamienne schody prowadzą nas do wnętrza gmachu, skąd duże, podwójne drzwi wiodą do wszystkich skrzydeł. Straż składają tutaj kobiety, olbrzymie postacie, jakie tylko na południu spotkać można; przewodniczka, której zostajemy oddani, zdaje się przez swą budowę jakby stworzoną na to, aby jednem uderzeniem swojej łapy zabijać wołu, wzięcie na kolana dla dokładniejszej rewizji najniesforniejszej robotnicy tytoniowej jakby małego igrającego dziecka — jest dla niej zabawką.

Ze wszystkich stron dochodzi stłumione, namiętne brzęczenie — jak gdyby powietrze przepełnione było pszczołami; a kiedy nasza przewodniczka otworzyła jedne z wielkich drzwi, doznajemy wrażenia, jakby zasuwka w jakimś celu usunięta została: gorący strumień hałasu i zaduchu zalewa nas odejmując nam powietrze, zdolność myślenia i świadomość: nie zdając sobie sprawy, jakeśmy się tu dostali, widzimy nagle przed sobą 500 stóp długi tunel, w którym siedzi cztery rzędy kobiet, pochylonych nad tytoniem. Kiedy podnoszą głowy — twarze ich bieleją w brunatnej mgle tytoniowej, a hałas milknie momentalnie; przypatrują się cudzoziemcowi rozszerzonemi źrenicami, z zajęciem tak wielkiem, że aż usta otwierają; palce ich jednak nie przestają z błyskawiczną szybkością zwijać papierosy. Dwie głowy pochylają się nagle ku sobie i szmer przebiega przez wszystkie rzędy. Można za nim biec uwagą rozkołysaną jak za falą, aż do krańców tunelu, gdzie uderza o święty obraz i odbity wraca przez szeregi — i nagle wpada w nasze uszy, jako żartobliwe w śmiechu poczęte pytanie. I znowu gwar wybucha, ten gwar zmieszanych głosów kilkuset gadających, śmiejących, sprzeczających się grupek, gwar przerywany śpiewem, gwizdaniem, napróżno uciszany przez silnodłonie i groźne dozorczynie.

Tutaj dobry humor Sewilli dosięga szczytu, w olśniewającym rozkwicie wytryska z ziemi, przesiąkłej trucizną. Pod jednem tem nizkiem sklepieniem pracuje 1500 kobiet, kilka tysięcy funtów tytoniu pokrywa stoły i koryta — ale ani jeden wentylator nie doprowadza tutaj świeżego powietrza. Patrzeć nie można z powodu kurzu tytoniowego, oddychać nie można z powodu ludzkich i tytoniowych wyziewów. Pomimo, iż jestem zagorzałym palaczem, skronie moje opanowuje po kilku minutach pobytu w tem miejscu ból głowy, tak silny, że zdaje się oczy z orbit wysadzać. Moje siły duchowe słabieją, nikną; nie orjentuję się w sytuacji, nie mogą się skupić, i otoczenia w jedną jakąś całość, w jeden obraz zlepić. Wszystkie moje myśli ześrodkowują się w jedno pragnienie: jak najprędzej wydostać się na świeże powietrze.

Wtem o uszy moje uderza specyficzny dźwięk i całą moją istotę wprowadza w stan przerażenia — słyszę wyraźnie stuk kołysek, wprawianych w ruch. I oto widzę jedną — tuż przed nami, półukrytą pod skrzyniami i stołami roboczemi, starą, drewnianą kołyskę na płytkich biegunach. Kobieta, która ją kołysze, jest bardzo blada i ma białe plastry na skroniach, w celu uśmierzenia bólu głowy; brunatny kurz z tytoniu siedzi w jej włosach, pokrywa białe pieluszki w kołysce, osadza się na rozdętych nozdrzach dziecka. Ono jednak śpi spokojnie pomimo hałasu i zatrutego powietrza; policzki jego nawet pokrywa jakby lekki cień rumieńca. A przez zniszczone rysy twarzy matki przewija się co chwila uśmiech wesoły i rozjaśnia je podobnie jak letnie gorące słońce rozjaśnia mur świeżo pobielony.

Wzdłuż tunelu stoi wiele innych kołysek — wszystkiego jakieś czterdzieści pewnie; w niektórych z nich dzieci siedżą o własnych siłach i bawią się tytoniem — jak gdyby zaczynały już pracę w swym przyszłym zawodzie. Pochylam się nad jednem maleństwem, a kiedy zaczyna się ono niepokoić, jedna z kobiet uspakaja je pytaniem: „Czyż nie znasz twego własnego ojca?“ — Wszystkie śmieją się głośno, tylko matka przygląda mi się przez chwilę uważnie, a potem z uśmiechem porusza przecząco głową.

Niektóre z dzieci mają rzeczywiście ojca, który im pomaga wyzyskiwać pracowitość matki; — te nie są najszczęśliwsze. Inne mają tylko matki i są w tem uprzywilejowanem położeniu, że mogą się tutaj przystosowywać do swego przyszłego zajęcia. Są one wychowywane z pełną miłości troskliwością, a jeśli zdołają wyżyć w trującem, smrodliwem powietrzu, to są z naturzy rzeczy przeznaczone zająć miejsca obok swych matek, poruszać jak one kiedyś, kołyski, karmić dzieci, zwijać 3 tysiące papierosów dziennie — jeśli są kobietami oczywiście. A jeśli są mężczyznami — wtedy niezmiennym ich obowiązkiem jest stać na jednym z rogów ulicznych i palić, palić, palić tak długo, aż osiągną najwyższy stopień doskonałości: 200 papierosów dziennie. Jeżeli zaś zdołają wyjść jeszcze dalej poza ten stopień, wtedy są już godnymi stanąć w szeregu tych chłopców, którzy co wieczór przed fabryką czekają, aby być porwanymi przez rwący strumień wychodzących dziewcząt

gdzieś daleko w półmrok przedmieści, gdzie ich następnego ranka, jako blade, sine widma spotkać można.

Istnieją aniołowie, którzy tylko w podobłocznym eterze żyć mogą; istnieją też bakterje, które wegietować mogą tylko w najniższych warstwach gnoju i nieczystości; czy istnieje jednak stworzenie, któreby taką jak człowiek miało zdolność przystosowywania się do życia? Tutaj oto siedzą — naprzekór wszelkiej hygjenie, trzy pokolenia kobiet i na przemiany kołyszą czwarte do snu; tutaj pokazują nam czternastoletnią matkę, która swego pierworodnego właśnie karmić zaczyna, i starą, zgrzybiałą babę, która liczy 106 wiosen życia, a która ostatnich lat osiemdziesiąt przepracowała w fabryce tytoniu.

Czy warunki społeczne są jedynym powodem rozwoju pijaństwa?

Czy pijaków spotykamy jedynie wśród najbiedniejszych warstw ludności? Czy wśród tych klas społecznych, które ani biedy, ani braku nigdy nie zaznały, nie istnieją liczne zastępy takich, którzy całe swe życie towarzyskie opierają na pijaństwie? Czy skończony pijak nosi zawsze i jedynie bluzę robotniczą lub kurtkę wyrobnika? Czy pijak we fraku, sutannie lub mundurze jest taką rzadkością? Kto zapełnia lecznice dla alkoholików, gdzie koszty utrzymania wynoszą dziennie kilkanaście rubli? Czy spotykamy tam wielu robotników fabrycznych, lub pracowników rolnych?

Mimo to wszystko przyznać musimy, że istnieje różnica między alkoholizmem bogatych i ubogich. Bez porównania drożej kosztuje drżączka opilcza, nabyta drogą spijania szampana, koniaku lub słodkich likierów, niż po zwykłej gorzałce, skutek jednak bywa taki sam.

Alkoholizm istnieje we wszystkich klasach społecznych, drogi zaś, któremi się szerzy w każdej warstwie społeczeństwa, odpowiadają zamożności danej klasy.

Na potwierdzenie powyższego przyjrzyjmy się danym o liczbie zmarłych wskutek pijaństwa w r. 1901 w miastach szwajcarskich. Z 366 zarejestrowanych zgonów, których przyczyną było nadużycie alkoholu, 188 osób należało do klasy robotniczej, reszta, t. j. 178, czyli 49%, przypada na ludzi conajmniej średnio zamożnych. Biorąc pod uwagę stosunek liczbowy klas zamożnych i klas pracujących w miastach szwajcarskich, musimy dojść do przekonania, że alkoholizmu nie zmonopolizowały dla siebie sfery robotnicze, że raczej dotknął on klasy zamożne. Nie nędza więc społeczna jest jedyną lub też zasadniczą przyczyną wzrostu pijaństwa.

Przyjrzyjmy się dalej, jak stoi sprawa pijaństwa w poszczególnych warstwach klasy robotniczej? Czy proletarjat żeński, pod każdym względem w gorszych będących warunkach, gorzej płatny, gorzej się odżywiający i najbardziej wyzyskiwany liczy w swych szeregach więcej pijaków, niż proletarjat męski? Z pośród ogółu zmarłych mieszkańców miast szwajcarskich było pijaków mężczyzn 10,4%, kobiet niespełna 2% (1,8%). Czyż dalej dobrze uposażony zecer w drukarni jest bezwzględnym nieprzyjacielem wyskoku, lub czy przynajmniej pija on mniej od zbiedzonego pracownika w przemyśle włóknistym? Na te pytania możemy dać jedynie przeczącą odpowiedź. Widzimy tedy, że obok czynników społecznych muszą istnieć jakieś inne czynniki sprzyjające wzrostowi pijaństwa.

Idźmy dalej. Czyż tylko nędza społeczna przyczynia się do wzrostu alkoholizmu w Belgji, gdzie, według Vandervelde'a, wydatki na wódkę wzrosły pięciokrotnie z chwilą gdy płaca zarobkowa powiększyła się trzykroć, a liczba ludności zaledwie podwoiła. Jak uzależnić pijaństwo od nędzy społecznej w takiej np. Holandji, gdzie najbogatsze dzielnice przeciętnie wydają rocznie na mięso po 8 guldenów na osobę i wypijają 10—12 litrów wódki, gdy w ubogich prowincjach Holandji ludność wydaje na mięso 4½ guldena rocznie na osobę i wypija 3—7 litrów wódki.

Nie nędza społeczna jest więc tu i w wielu innych przypadkach jedyną przyczyną alkoholizmu, nie stosunki społeczne jedynie powodują zalewanie krajów alkoholem.

Vandervelde wykazuje najwyraźniej, że w pierwszym okresie gospodarki kapitalistycznej w Belgji, każde podniesienie płacy zarobkowej odbijało się przedewszystkiem na zwiększonem spożyciu wyskoku. „Wskazywanie na niską płacę, jako na czynnik oddziaływujący na wzrost pijaństwa, nie ma podstaw“ pisze dalej Vandervelde i twierdzi, że niska płaca zarobkowa, a temsamem gorsze warunki życia, mogą wywołać jednocześnie zmniejszenie wydatków na alkohol.

Dla tych, kogo rozumowanie powyższe nie przekonało, dodamy jeszcze, że cały szereg autorów stwierdził na zasadzie faktów, iż liczba aresztowań za pijaństwo w kolonji australijskiej, Wiktorji, wzrosła olbrzymio i równolegle do rozkwitu kraju, dalej, że w Norymberdze, w miarę wzrostu zamożności ludności pracującej, wzrastają wydatki na napoje wyskokowe, maleją — na mięso. Jest to spostrzeżenie Brauna na zasadzie badania budżetów rodzin robotniczych.

Tak więc, nietylko nędza popycha ludzi do pijaństwa, co jest rzeczą niewątpliwą, wzrost zamożności sprzyja również, szczególniej w pierwszej chwili, zwiększonemu spożyciu wyskoku. Nie uniknęły tego i organizacje robotnicze zagranicą; członkowie ich, zdobywszy lepsze warunki ekonomiczne, poczęli więcej niż poprzednio wydawać na napoje spirytusowe, czemu niepodobna znów dziwić się zbytnio wobec zabobonnej wiary we wszechmoc alkoholu. Dziś uświadomieni członkowie tych organizacji wkładają bardzo wiele sił w walkę z alkoholem zarówno w Europie zachodniej, jak w Rosji, dowodem zarówno uchwały Zjazdów partyjnych demokracji społecznej niemieckiej w Lipsku w roku 1909 oraz niedawnego berlińskiego, jak i gorący udział przedstawicieli związków zawodowych rosyjskich w obradach I Zjazdu antialkoholicznego w Petersburgu w r. 1910 odbytego.

Rozwój żeglugi powietrznej.

Wiele ofiar kosztowało zmudne a uparte zdobywanie atmosfery. Człowiek od dawniejszych czasów zdobywając ziemię i wodę, pragnął i powietrze uczynić podległym sobie żywiołem. Niejedno życie ludzkie padnie jeszcze i wiele jeszcze mozołu padnie na marne, zanim cel ten w zupełności zostanie osiągnięty. Obecnie już jednak ma żegluga powietrzna tak poważne zdobycze za sobą, że rozwiązanie problemu swobodnego latania po powietrzu jest tylko kwestją czasu.

Jak daleko sięgniemy wstecz w historję ludzką, spotykamy usiłowania ludzkie, by wymyśleć przyrząd, któryby człowieka unosił w powietrze, dopiero jednak najnowsza doba przynosi dodatnie rezultaty tego dążenia.

Dążenie to idzie dwoma drogami; z jednej strony szereg długi wybitnych konstruktorów buduje wciąż aeroplany, t. j. przyrządy cięższe od powietrza, ktore siłą tkwiącego w nich mechanizmu unoszą się w powietrze i przyrządy te wciąż nowe zdobywają tryumfy, z drugiej strony pracują wytrwale nad problemem, w jakiby sposób sterować można balonami, t. j. przyrządami lżejszemi od powietrza, które z tego właśnie powodu wznoszą się w powietrze, ale zdane są zupełnie na wolę prądów powietrznych.

Oto zestawienie najważniejszych typów balonów. Pierwszy balon to balon Mongolfiera, francuza, wynalazcy balonów. Pierwszy wzlot zbudowanego przez niego balonu o 2879 metrach kubicznych pojemności odbył się w Paryżu w r. 1783. Balon ten napełniony był ogrzanem powietrzem, a specjalnie urządzone palenisko w gondoli balonu wciąż tę wyższą temperaturę podtrzymywało. Współczesny Mongolfierowi sławny fizyk Charles do spółki z mechanikiem Robertem zbudował balon napełniony gazem. On też opatrzył balon wentylem i pierwszy używał balastu, w ten sposób mógł się dowolnie wznosić w górę i opadać.

Podjął szereg prób, a i Mongolfier podejmował dalsze swe wzloty na balonie, napełnionym gazem. Wówczas też

zaczęto już pracować nad kwestją, do dziś nierozwiązaną, sterowania balonami.

Znów we Francji podjęto pod pewnym rezultatem uwieńczone próby na tem polu budowania balonów do sterowania. Takim był balon inżyniera Giffarda, zbudowany w r. 1852. Balon jego był długi na 44 mtr. i miał średnicę 18 mtr.; w gondoli jego znajdował się motor parowy, który wprawiał w ruch propeller. Chyżość własna tego balonu wynosiły 3 mtr. na sekundę.

Dalsze próby nie przyniosły lepszych wyników, aż dopiero użycie motorów gazowych i baterji elektrycznych. Z pomiędzy licznych prób najlepsze rezultaty osiągnął balon „La France", zbudowany w latach 1884 i 1885 przez francuskich poruczników Renarda i Krebsa.

W Niemczech poczęto też pracować nad rozwiązaniem problemu sterowania balonami a kosztem zarządu wojskowego zbudowano typ Parseval Sigsfeld połączenie balonu i latawca.

Katastrofą w r. 1897 skończyły się wzloty na balonie do sterowania, skonstruowanym przez inżyniera Wölferta. On sam, dwóch konstruktorów i jeden mechanik ponieśli śmierć.

Najlepsze rezultaty osiągnął swymi sztywnemi balonami hr. Zeppelin; mimo ciągłych niepowodzeń, które kończyły się zniszczeniem kilku z rzędu balonów, odbył on szereg udałych podróży w dowolnie obranych kierunkach. Najnowszy typ „Z V", jest już gotów i niebawem ma hrabia Zeppelin przybyć na nim do Wiednia.

CRATAEQUS.

RYBY A PADALCE.

(Bajka.)

Rzekł rybie padalec mądry, gruby
„Jakieście śmieszne wy, morskie ryby!
Czyż to nie głupio: bujać w głębinie,
Kiedy żyć można w mokradła trzcinie,
Gdzie nim karm znajdziesz, nim zaznasz ruchu —
Możesz się znaleźć w rekina brzuchu!...
W bagnie to możesz żyć bez obawy,
(Byleś tu żadnej nie czynił wrzawy...)
I możesz równy być między nami
(Byleś utrzymał sojusz z wężami...)
W bagnie ja nie znam co morskie fale,
Nie straszne mi też rekiny wcale;
W bagnie się gorzką wodą nie spiję,
A że jest mętna — więc nieraz tyję!
Bagno mi daje słodziudką wodę,
Po żarze dziennym — skóry ochłodę...
W bagnie mię fala w ogon nie bije,
W bagnie — na honor! — czuję, że żyję...
O, bagno! Jakże ty jesteś śliczne!
W miesięcznej pełni świecisz pozłotą...
Bagno! Jam zawsze twym patrjotą!..."
Na to mu ryba: „Mieszkańcze błota!
Maksymy twoje — na wagę złota...
Lecz ja zbyt kocham swe morskie fale,
Bym mogła zdychać w mokradeł kale."

— — — — — — — — — — —

Jaki w tem morał? Zapytaj malce:
W morzu są ryby, w bagnie — padalce!

Rozmaitości

Typ gubernatora rosyjskiego. Przed miesiącem otrzymał dymisję jeden z gubernatorów prowincjonalnych. Dymisja była tak niespodziewana, że wywołała powszechną sensację w sferach biurokratycznych.

Gubernator ów, zajęty tępieniem rewolucji w powierzonej mu gubernji, nie zwracał prawie żadnej uwagi na wszelkie inne sprawy i podpisywał papiery nie czytając ich. Jeden z takich papierów z podpisem gubernatora dostał się do departamentu spraw ogólnych ministerstwa spraw wewnętrznych i wywołał zdumienie.

Treść tego dokumentu była następująca: „Nareszcie przekonałem się, że nie jestem zdolny do zarządzania powierzoną mi gubernją." Tutaj następuje cała spowiedź, poczem gubernator dodaje: „Narobiłem mnóstwo błędów i, przyznając się do nich, widzę się zmuszonym opuścić zajmowane stanowisko."

Gubernatora wezwano niezwłocznie do Petersburga i pokazano mu papier. Uznał podpis za swój, ale twierdził, że papieru nie wysyłał do ministerstwa. Oczywiście, że gubernatorowi nie pozostało nic innego, jak podać się do dymisji, co też uczynił.

* * *

Kanał panamski. Wiadomo, że po niepowodzeniu Lessepsa, twórcy kanału sueskiego, rząd Stanów Zjednoczonych wziął się do przekopania przesmyku panamskiego, celem połączenia Atlantyku z oceanem Spokojnym. Roboty są od dwuch lat w pełnym toku. Pracuje przy nich 30000 robotników, w czem połowa murzynów; naczelnym kierownikiem jest inżynier Goethals. Koszta będą wynosić około 920 miljonów, zakupno od towarzystwa panamskiego wszystkich jego praw, gruntów, budynków i placów 192 mil., rządowi panamskiemu za pas gruntu wzdłuż przekopu na 16 kilometrów szeroki 48 miljonów, towarzystwu kolei z Colm nad oceanem Atlantyckiem do Panamy nad oceanem Spokojnym na uzupełnienie kolei 24 miljonów. Wydatki roczne na budowę wynoszą 120 miljonów, przyczem rachować należy, że w dalszych latach odpadną wydatki na nowe budynki i maszyny.

Do budowy przekopu potrzeba ogółem wydobyć 100 miljonów metrów sześciennych ziemi, do czego służą olbrzymie maszyny, o których można mieć wyobrażenie z tego, iż na godzinę wykopują 1000 metrów sześciennych.

* * *

Ostatnia wyprawa naukowa do kraju buszmenów (1906—1909). Uczony wiedeński, dr. Rudolf Pöch, podjął wyprawę do południowej Afryki dla zbadania tamtejszych ludów i stosunków. Poznał on dokładnie wymierającą rasę buszmenów, zamieszkujących okolice pustyni Kalaliari. Buszmeni stanowią szczątek najstarszej dotąd żyjącej rasy w Afryce południowej, odznaczają się oni małym wzrostem, jasnym kolorem skóry i niskim stopniem kultury. Mieszkają pod parasolami, plecionymi z liści i gałązek, za odzienie służy im jedynie mały skórzany fartuch; za główną ozdobę naszyjnik z płytek, otrzymywanych z jaj strusich. Starannie sporządzają łuki i strzały, ktore nierzadko są prawdziwemi arcydziełami. W rękach kobiet buszmańskich najważniejszem narzędziem jest kij zaostrzony na końcu i zahartowany w ogniu, służący do wygrzebywania z ziemi korzonków jadalnych. Nie znają buszmeni rolnictwa ani hodowli bydła, żywią się dziko rosnącemi roślinami i mięsem upolowanej zwierzyny.

Kraj ich pustynny cierpi na brak wody, mieszkańcy jego muszą częstokroć przy pomocy długich rurkowatych trzcin wyciągać ustami wodę z głębokości kilku metrów i przechowywać ją w szczelnie zamkniętych jajach strusich. Wskutek złych warunków życia wymierają oni szybko i przypuszczać można, że niedługo znikną zupełnie z powierzchni ziemi.

Dr. Pöch z ciekawej swojej wyprawy przywiózł około 1000 okazów, wiele fotograficznych zdjęć, wiele pomiarów, map, planów badanych przez siebie okolic. Wyprawa jego

zajmuje jedno z miejsc naczelnych w historji najnowszych odkryć i podróży.

* * *

Nieznane zwierzę olbrzymie. W wydanej niedawno książce Hagenbecka opowiada autor o nieznanem olbrzymiem zwierzęciu, które ma być z Rhodezji w Afryce i z wyglądu ma być podobne w połowie do słonia, w połowie do smoka. Odkrycie Hagenbecka nie znalazło wiary w kołach uczonych, którzy nawet otwarcie z niego pokpiwali. Obecnie wychodząca w kraju przylądkowym „Bulowayo Chronicle" stwierdza na podstawie ścisłych dochodzeń, że zwierzę takie istnieje. Murzyni, którzy według podania Hagenbecka mieli również widzieć tego zwierzęcego potwora, kiedy im przedstawiano ryciny, przedstawiające prahistoryczne zwierzęta, wskazali na dinosaura, jako na to zwierzę, nadmienili jednak, że brak mu płetw, które widzieli u żyjącego potwora. Według opisu murzynów, ten żyjący potwór ma głowę, długą szyję i ogon krokodyla, rogi i tułów nosorożca i ma wyglądać strasznie. Olbrzym ten ma żyć w niedostępnych prawie gąszczach między rzekami Sunga a Kafu w Afryce.

* * *

Karnalit w Poznańskiem. Krajowy zakład gieologiczny donosi, że pod Szubinem natrafiono przy gieologicznych poszukiwaniach na pokład karnalitu w głębokości 2000 mtr. Bliższych wiadomości o grubości zawartości pokładu tego cennego nawozu udzieli później zakład gieologiczny. Nadmienić należy, że dojście do głębokości 2000 metrów przy świdrowaniu jest drugiem z rzędu najgłębszem na całym świecie. Pokłady karnelitu znajdują się dotychczas tylko pod Stassfurtem i pod Kałuszynem w Galicji.

* * *

Syfilis zupełnie uleczalny. Radca sanitarny dr. Weetschmann przedstawił 8 b. m. w szpitalu Rudolfa Virchowa w Berlinie wielu pacjentów, których leczono wynalezionym przez prof. Pawła Ehrlicha (Frankfurt) środkiem przeciwsyfilitycznym. Demonstrowanie pacjentów wywołało wielkie wrażenie, gdyż działanie środka tego, wstrzykniętego jednorazowo jest wprost zadziwiające. Jest pewnem, że środek Ehrlicha jest obecnie najlepszym środkiem przeciwsyfilistycznym i należy się z wszelkiem prawdopodobieństwem spodziewać, że stanie się on środkiem specyficznym przeciw syfilisowi.

* * *

W armji angielskiej wprowadzono ostatnimi czasy nowość, dotychczas w żadnem wojsku nie praktykowaną. Jest nią drewniany koń, coś w rodzaju znanej zabawki dziecinnej, mający jednak o wiele poważniejsze przeznaczenie, albowiem służyć ma rekrutom do zdobywania pierwszych zasad sztuki konnej jazdy. Koń taki, wprowadzony na razie na próbę w oddziale konnej artylerji w Woolwich, zbudowany jest w naturalnej wielkości cały z drzewa, a urządzony tak, że naśladuje zwykłe ruchy żywego konia. Szczególną jest tylko konstrukcja jego szyi, jest w niej bowiem ukryty mechanizm kauczukowy, który czyni ruchomym grzbiet sztucznego konia.

Młody rekrut, rozpoczynający dopiero naukę konnej jazdy, dosiada swego drewnaniego rumaka i chwyta za cugle, podczas gdy nauczyciel jazdy pociśnięciem nogi wprawia w ruch cały aparat. Jeżeli rekrut zbyt silnie ściąga cugle, wówczas koń schyla nagle głowę, a dzieje się to z taką szybkością, że niedoświadczono jeździec mimowoli chwyta się siodła, aby nie spaść na ziemię. Z czasem, przy odpowiedniem pouczaniu, nabiera wprawy w należytem trzymaniu się na siodle i dzierżeniu cugli, poczem już o wiele łatwiej przychodzi mu oswoić się z żywym koniem.

Nie brak wprawdzie oficerów, którzy wzruszają ramionami wobec tej nowej metody nauczania jazdy konnej, na razie jednak zarząd armji angielskiej nie myśli o zaniechaniu tego środka „naukowego". A jest to łatwo zrozamiałe wobec tego, że w armji angielskiej, mimo różnych środków zapobiegawczych, coraz więcej daje się we znaki brak koni, czemu bodaj w części mają zaradzić drewniane konie biegunowe do nauki jazdy konnej.

* * *

Wojna na gruzach prastarej kultruy. Z Meksyku nadchodzą wiadomości o groźnem powstaniu indjan szczepu Maya w Jukatanie. Wycięli oni już podobno w pień kilka załóg wojskowych, zamordowali wielu meksykańczyków i zagrażają obecnie urzędowej stolicy kraju, miastu Merida.

Półwysep Jukatan, wrzynający się daleko w zatokę meksykańską, w to morze wiecznego upału, w którem rodzi się „Golfstrom", obejmuje 220 tysięcy kwadr. kilometrów. Jego głównem bogactwem jest drzewo i to w najszlachetniejszych, najcenniejszych gatunkach.

Zamieszkujący tę ziemię szczep Maya — a raczej grupa szczepów tego nazwiska — sięgająca aż do Guatemali, stanowi osobną rodzinę wśród wielkiej liczby tubylczych ludów Ameryki, najbliżej jeszcze spokrewnioną z aztekami.

Przed przybyciem hiszpanów do Meksyku, mayasowie tworzyli osobne państwo, które, jakkolwiek nie posiadało już swej dawnej siły, aż do roku 1542 opierało się hiszpańskim najazdom.

I w następnych wiekach mayasowie kilkakrotnie usiłowali odzyskać wolność i zacięte z hiszpanami staczali walki.

Dziś wskutek tych walk i prześladowań, zdziczali i pogrążeni w nędzy — są mayasowie spadkobiercami wielkiej kultury, może najstarszej na świecie. W chwili przybycia hiszpanów, kultura ta podobną była do kultury azteków. Nadto atoli posiadali mayasowie osobne pismo hieroglifowe, znane w świecie naukowym pod nazwą hieroglifów „Maya", podobne do hieroglifów egipskich.

Kulturę egipską przypominają nadto ruiny olbrzymich budowli kamiennych stylem i sposobem budowy bardzo zbliżonych do gmachów staroegipskich, rozsiane po całym Jukatanie. Nie brakuje między nimi także wielkich piramid jakby wzorowanych na piramidach Faraonów.

W chwili przybycia hiszpanów, miasta te i budowle już leżały w gruzach i nie były zamieszkałe. Kiedy opuszczone zostały przez mieszkańców, którzy przenieśli się do osad o charakterze wiejskim, z lekkiemi domkami drewnianemi, nie wiadomo. Cała ta kultura jest dotychczas jeszcze zagadką dla uczonych. Przed kilku miesiacami pewien profesor amerykański wydał dzieło, w którem udowadnia, że mayasowie są protoplastami egipcjan. Inni znów uczeni na odwrót twierdzą, że Jukatan był kolonją egipską i to w czasach, co do których wszystkie dokumenty zaginęły.

* * *

Zakaz tytułu hrabiowskiego. „Frankfurter Ztg." donosi: Hrabia Max von Fünfkirchen, który wraz z całą rodziną utrzymywał się z handlu mlekiem, otrzymał zakaz używania tytułu hrabiowskiego, ponieważ w myśl bawarskiej ustawy o szlachectwie, wykonywanie zarobkowania z prowadzeniem otwartego sklepiku, nie godzi się z pojęciem szlachectwa i wywołać musi zasuspendowanie w używaniu tytułu.

* * *

Wspaniały wzlot aeroplanu. W Indjanopolis (Stany Zjedn.) wzniósł się Brockins na aeroplanie Wrighta do wysokości 4384 stóp, przez co uzyskał nowy rekord światowy wysokości.

Z literatury i sztuki.

Numer 24 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Natalja Zweigbaumowa: Żaby w akwarjum. — Janusz Korczak: „Józki, Jaśki i Franki. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — Domosława: Miałam kiedyś dwóch dziaduniów. — M. Arct-Golczeska: Wilk z Winnipeg. — Ze świata: Konkurs Tow. Krajoznawczego. Wystawa przyrodnicza w Łodzi. — Łamigłówka. — Rozwiązanie. — Odpowiedzi od Redakcji.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 26. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 czerwca 1910.

KOWAL.

Głucho dzwoni o kowadło
W dłoni jego ciężki młot,
A twarz jego skrapia pot,
Twarz czarną, wybladłą.

Lecz potęga z niego bije,
Oko jego płonie żarem;
Życie nie jest mu ciężarem,
On czuje, że żyje!

Choć żelazo gryzie rdza,
On w ognisku je rozpali,
Przerobi, wystali,
Swoją moc mu da.

Mocarz wielki ten nasz brat,
Nowe drogi w życiu żłobi.
Przyjdzie chwila, że ten świat
Naprawi — przerobi!

„Prawo Ludu“. Chachar.

MAKSYM GORKIJ.

ŚMIERĆ SZPIEGA.

Od dłuższego czasu słyszał Klimkow okrzyki poza sobą; zdawało mu się, iż olbrzymi tłum, rosnący ciągle, ściga go chyłkiem, nie dotykając ziemi; wyciąga ku jego szyi setki długich i haczykowatych rąk, lekko trącając jego włosy. Znęca się nad nim, bawi się nim, znika, żeby za chwilę znów się zjawić. Przysiadł się na wóz, zaraz jednak zeskoczył z niego i zaczął biec, wpadł do dorożki, lecz tłum ciągle zbliżał się niewidzialny i tem straszniejszy.

Doznał ulgi, ujrzawszy przed sobą ciemną ścianę lasu. Pospiesznie zanurzył się w nim, czyniąc dziwaczne ruchy rękami, jakby chciał pozaciskać drzewa za sobą.

Gdy dotarł do głębin parowu, usiadł na wilgotnym piasku, za chwilę przecież zerwał się i zaczął biec wzdłuż potoku zadyszany, okryty potem i nieprzytomny z przerażenia.

Przystanął; okazało się przed nim światełko; nadstawił uszy, postąpił kilka kroków, z trwogą wyciągnął szyję: droga kolei żelaznej przechodziła tędy; z drugiej strony nasypu rysowały się jeszcze drzewa, lecz karłowate i rzadkie, a poprzez utworzoną przez ich gałęzie siatkę, szary dach było widać.

Ewsej zrobił prędko pół obrotu i napowrót skrył się w parowie, biegnąc do miejsca, w którem las był bardziej gęsty i ciemny. „Pochwycą mnie!“

Pewność ta, lodem krew mu ścinająca, popychała go naprzód.

— Pochwycą mnie!.. Już mnie szukają, najwidoczniej... Biegną...

Harmonijny i łagodny szum rozchodził się po lesie. Cienki lód na potoku pękał pod nogami. Klimkow usiadł, nachylił się i podniósł do ust tafelkę lodu. Natychmiast jednak zerwał się na nogi, momentalnie wydostał się na stromą pochyłość parowu, odpiął pasek i szelki, związał je razem; następnie bacznie począł upatrywać gałęzi nad swą głową, rozważając:

— Tak, nie trzeba zdejmować surduta... Gdy będzie cięzej, prędszy będzie koniec...

Spieszył się, palce mu się trzęsły; ramiona mimowoli podnosiły się, jakby chciały ukryć szyję, lecz trwożna myśl nagliła: Spieszmy się, albo zostanę ujęty!...

Biegnący z łoskotem pociąg wpadł do lasu, aż się drzewa poruszyły. Ziemia drżała; tumany białej pary kłębiły się między gałęziami, milczkiem zbliżały się i stopniowo ginęły, jakby wytropiwszy człowieka, kryły się zdradziecko.

Stadko trznadli nadleciało. Świegocąc skakały pośród gałęzi ponurych, a ich niezwykłe ożywienie popędzały ruchy skostniałych i niezręcznych palców Ewseja.

Gdy nakoniec przymocował do gałęzi pętlicę z rzemiennego pasa, Klimkow pociągnął ją silnie dla wypróbowania mocy; wytrzymała próbę. Wtedy, z takimże samym pośpiechem zrobił drugą pętlicę ze skręconych szelek. Gdy już wszystko było gotowe, westchnął: „Teraz trzeba się pomodlić...“

Lecz nie mógł sobie przypomnieć słów modlitwy. Skupiał myśl przez kilka sekund, pojedyńcze słowa zjawiały się, lecz natychmiast umykały, zanim w zdanie się ułożyły.

— Jak ona wiedziała, że mnie taki los spotka — pomyślał nagle.

Przesunął głowę przez pętlicę i wyrzekł cicho, bez drżenia wewnętrznego: „W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego...“

Odbił się nogami od ziemi, zgiął kolana i zawisnął w powietrzu. Gwałtowny i dziwny ból uczuł w głowie, jak gdyby go ktoś na płask szablą uderzył. Ogłuszony padł całym ciężarem swego ciała na twardą ziemię i zaczął się staczać na dół, zaczepiając się o korzenie drzew, uderzając głową o pnie; stracił przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży na dnie parowu, z urwanymi szelkami na piersiach, z poszarpanymi spodniami, z których wychodziły pokaleczone do krwi kolana. Bolało go całe ciało, a szczególniej szyja, zdawało mu się, że zimno skórę z niego zdziera.

W górze przytwierdzona do białego łona brzozy, chwiała się pętlica, podobna do cienkiego węża; zdawało mu się, że go przyzywa.

— Nie mogę — wyrzekł żałośnie zdesperowany Ewsej. — Nie mogę, nie wiem, jak to zrobić...

I zaczął płakać z niemocy swej i upokorzenia; leżąc na wznak, widział przez łzy pochmurne i posępne niebo, po którem rysowały się czarne gałęzie drzew.

Leżał tak długo pomimo bólu i zimna, okręcony swym surdutem. Nie starał się wywoływać wspomnień, jednak życie dziwaczne i pełne niedorzeczności stanęło mu przed

oczami. Wypełnione było ono szarpaniami się, pozbawione nadziei i radości.

Bezczynnie spoczywający na piersiach młodego człowieka sznur drżał i szemrał ponuro. Grobowe to jego rzężenie świdrowało mu kości. I drobne, chude ciało przyciskało się do potężnej, lecz obojętnej ziemi.

Przebiegające raz za razem pociągi napełniały las łoskotem i sapaniem, kłębami dymu i promieniami światła. Promienie te badawczo przesuwały się po pniach drzew, jakby chciały przekonać się, czy nie ukrył się kto między nimi, a następnie niknęły zimne i drgające.

Gdy dosięgły Ewseja, ten się podniósł z trudem i zaczął iść za nimi w ciemnościach. Na skraju lasu zatrzymał się, oparł o pień i czekał, przysłuchując się dalekiemu gwarowi miasta. Noc zapadała; niebo stawało się ciemno-szafirowe, a tylko blady odblask świetlny tworzył się stopniowo nad miastem. To zapalano latarnie na przyjęcie nocy.

Z oddali dał się słyszeć łoskot, od którego drżały szyny; pociąg biegł w ciemnościach, mrugając czerwonemi swemi oczami, a cień, ciągnący się za nim, wydawał się jeszcze bardziej gęsty i czarny.

Ewsej z możliwą szybkością wdrapał się na nasyp, ukląkł, a potem położył się w poprzek drogi, plecami zwrócony do pociągu; szyję ułożył na szynie a głowę nakrył połową surduta.

Przez kilka sekund mroźne dotknięcie żelaza sprawiało mu przyjemność, łagodziło ból uczuwany w szyi; lecz szyny trzęsły się i dźwięczały coraz głośniej, a ziemia drżała głucho.

Pociąg nadchodził powoli i ciężko, ogłuszając Ewseja szczękiem łańcuchów i miarowym stukiem kół o szyny. Z siłą wyrzucana para prawie już dosięgała jego pleców; wszystko huczało wokoło niego.

Zdjęty przerażeniem zerwał się nagle i począł biec wzdłuż drogi, jęcząc: „Jestem potępiony, jestem...

Doganiające Ewseja dwie smugi czerwonego światła lizały gładki metal szyn; dwie czerwone wstęgi, jakby rozpalonego żelaza, zdawały się wskazywać kierunek ucieczki Ewsejemu.

— Jestem potępiony!... — krzyczał, wymachując rękami.

Twarda, ciężka masa uderzyła go w plecy i metaliczny ostry łoskot zdusił ostatnie słowa jego skargi.

Międzynarodówka ongi a teraz.

„Burżuazja w każdym kraju ma swoje odrębne interesy i nie może wznieść się ponad punkt widzenia narodowy. Proletarjusze zaś mają interesy jednakowe we wszystkich krajach, wszędzie mają tego samego wroga, wszędzie tę samą walkę. Tylko proletarjusze mogą przezwyciężyć ograniczoność narodową, tylko proletarjat urzeczywistnić może braterstwo narodów", tak pisał Engels już w Rocznikach Reńskich i proste te słowa znamionowały gruntowny przewrót, dokonany przez założycieli socjalizmu naukowego, w dziedzictwie, pozostawionem przez ideologów burżuazji rewolucyjnej i socjalistów utopijnych, którzy wystąpili z propagandą idei braterstwa narodów.

Idea ta unosiła się w krainie bezcielesnych cieni, póki ideologowie wywodzili ją z „prawa przyrodzonego" i poprostu przeciwstawiali przeklętej rzeczywistości, jako pewien imperatyw kategoryczny, jako „to, co być powinno"; natomiast stała się realną siłą, gdy Marx i Engels wywiedli ją z samej rzeczywistości społecznej, wykazawszy, że rozwój wszechświatowej gospodarki kapitalistycznej już teraz prowadzi do ziszczenia tej idei w jedynie możliwej postaci — międzynarodowej solidarności proletarjatu.

Na drugim zjeździe Związku Komunistów w 1847 r. Marx i Engels zastąpili dawne czułostkowe godło „wszyscy ludzie są braćmi" nowem, bojowem hasłem: „proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!" To zawołanie, które znalazło echo w całym świecie, jako groźne wypowiedzenie wojny ustrojowi kapitalistycznemu i zarazem jako zwiastowanie socjalistycznego braterstwa ludzi, było tylko odbiciem rozwoju, który się zaczął w głębinach życia proletarjackiego. Podobnie jak dla zbuntowanych niewolników wspólne łańcuchy niewoli stają się węzłami braterstwa, tak i powstający do walki proletarjusze wszystkich krajów, których sam kapitalizm skuł jednym wspólnym łańcuchem wyzysku, uczuli się z natury rzeczy jedną wszechświatową armją pracy, skupionej dokoła wspólnego sztandaru. I sam przebieg wciąż zaogniającej się walki coraz silniej parł do tego, aby to uczucie łączności proletarjackiej przerodziło się w czyn i znalazło wcielenie w międzynarodowej organizacji proletarjatu.

Międzynarodówka była właśnie pierwszą formą dziejową takiej organizacji, a zarazem pierwszą próbą międzynarodowego proletarjatu zdobycia sobie wpływu na historię. Nie była ona stowarzyszeniem spiskowem, nie była także poprostu towarzystwem propagandy socjalistycznej, jakie stanowił wspomniany Związek Komunistów, była organizacją klasową proletarjatu. W imieniu nowej klasy Międzynarodówka wydała wojnę staremu społeczeństwu burżuazyjnemu i na swych zjazdach, które pokazały światu niewidziany dotąd obraz parlamentu międzynarodowego robotników, zajęła się roztrząśnięciem planu kampanji proletarjackiej. W Anglji i w Niemczech, w Hiszpanji i Francji, we Włoszech i Danji, w Szwajcarji i Anglji, w Stanach Zjednoczonych Ameryki — wszędzie Międzynarodówka rozrzuciła swe sekcje, stając na czele walki strejkowej i politycznej proletarjatu, jednocząc robotników wszystkich krajów dla wzajemnego popierania się na drodze do wspólnego celu.

Był to czas — początek siódmego dziesięciolecia, gdy robotnicy często jeszcze szli na lep „harmonji interesów" pracy i kapitału. Jedni projektowicze społeczni doszukiwali się leków na wszystkie klęski w drobnomieszczańskich mrzonkach, inni — w walce barykadowej; jedni wzywali do anarchistycznej polityki abstynencji, inni — do polityki radykalno-burżuazyjnej. Dla przeciwwagi wszystkim tym wezwaniom, zarówno szkodliwym dla proletarjatu trzeba było wytknąć szeroki szlak proletarjackiej walki klasowej. To uczyniła też Międzynarodówka, która po raz pierwszy oceniła walkę ekonomiczną i polityczną, jako dwie strony jednego ruchu robotniczego. Uznanie nierozerwalnego związku pomiędzy wszystkiemi formami walki klasowej proletarjatu stało się podstawą całej działalności Międzynarodówki. Organizując międzynarodowe wspieranie strejków, przeszkadzając w przywożeniu łamistrejków obcokrajowych, jednocześnie kieruje ona walką robotników o powszechne prawo wyborcze; obok kwestji powszechnego zbadania warunków pracy i organizacji międzynarodowych związków zawodowych, rozważa na swych zjazdach i zagadnienia polityki międzynarodowej.

Z żądań, wysuniętych zaraz na pierwszych zjazdach Międzynarodówki, zaznaczymy ustanowienie 8-godzinnego dnia roboczego i zakaz pracy nocnej, zniesienie wojska stałego i powszechne uzbrojenie ludu, zastąpienie podatków pośrednich przez bezpośrednie i uspołecznienie ziemi. Warto zaznaczyć, że prawie jednocześnie z pierwszym (gienewskim) zjazdem Międzynarodówki takie same żądania wystawiono na zjeździe robotników amerykańskich w Baltimorze: było to dobitnym wskaźnikiem faktu, że trafny instynkt klasowy kieruje ruch robotniczy wszystkich krajów do jednego wspólnego łożyska.

* * *

Założona w r. 1864, Międzynarodówka wkrótce po pogromie Komuny Paryskiej w roku 1871 — rozpadła się. Spowodowały to nie represje rządowe, nie rozłamy wewnętrzne, wprowadzone przez anarchistów z Bakuninem na czele, lecz owa djalektyczna logika rozwoju, której mocą ruch, który stworzył Międzynarodówkę i przez nią został przyśpieszony, wkrótce przerósł ramy swej organizacji.

Dopóki Międzynarodówka ogarniała tylko czołową warstwę proletarjatu, można było jeszcze kierować całym ruchem z jednego środka — z Londynu, gdzie zasiadała Rada Jeneralna. Lecz ze wzrostem ruchu masowego, z zaognieniem walki politycznej środek ciężkości z natury rzeczy przesunął się do partji proletarjackich poszczególnych krajów. W ciągu 6—7 lat niedługiego swego istnienia.

Międzynarodówka, że użyjemy wyrażenia jej dziejopisa, rozrosła się o tyle, iż ciało jej rozpadło się, a z każdego członka rozwinął się nowy olbrzymi organizm.

W najbliższych latach po upadku Międzynarodówki prawie we wszystkich krajach Europy utworzyły się partje socjalistyczne. Przystosowując swą walkę do ram każdego z krajów, czuły się one zarazem połączone wspólnemi celami i wspólnemi metodami proletarjackiej walki klasowej. Wkrótce zaś sam bieg życia pchnął je do przywrócenia spójni organizacyjnej pomiędzy robotnikami wszystkich krajów, do odbudowania Międzynarodówki.

Świat burżuazyjny wchodził w najwyższy okres swego rozwoju. Kapitał zorganizował się w międzynarodowe trusty i kartele, do walki z któremi i proletarjat potrzebował organizacji międzynarodowej. Imperjalizmowi burżuazji, jej wszechświatowej polityce łupieży i krwi rozlewu proletarjat musiał przeciwstawić swoją politykę wszechświatową — pokoju i socjalizmu.

I zanim minęło lat 15 od rozwiązania starej Międzynarodówki, już z kości jej wyrosła Międzynarodówka nowa, złożona z potężnych organizacji robotniczych poszczególnych krajów.

W setną rocznicę zdobycia Bastylji, w roku 1889 zebrał się w Paryżu pierwszy zjazd nowej Międzynarodówki, złożony z przedstawicieli większości krajów przemysłowych Europy i Ameryki. 85 delegatów niemieckich, obranych pomimo panowania w Niemczech prawa wyjątkowego przeciw socjalistom przybyło do Paryża podać dłoń proletarjatowi paryskiemu w tym samym czasie, gdy urzędowe Niemcy i urzędowa Francja prześcigały się w gorączkowych zbrojeniach. Tak więc już pierwszy zjazd nowej Międzynarodówki stał się demonstracją niezachwianej solidarności międzynarodowej proletarjatu, o którą bezsilnie rozbijają się wszystkie podszczuwania nacjonalistyczne burżuazji. I tę solidarność bardziej jeszcze wzmocniły zjazdy. Zewnętrznym jej wyrazem stało się coroczne święto majowe.

Już pierwsza demonstracja majowa w 1890 r. rozproszyła obawy niedowiarków i nadzieje nieprzyjaciół, pokazawszy, że nowa Międzynarodówka rzeczywiście panuje nad masami. Zresztą nic dziwnego w tem nie było. Gdzie tylko wkraczał kapitalizm, wszędzie jak cień szła za nim organizacja proletarjacka. To też ostatnie zjazdy socjalistyczne liczyły już do 1000 przedstawicieli proletarjatu kilkudziesięciu narodów ze wszystkich części świata: z Europy — od Londynu do Petersburga, od Madrytu do Sztokholmu; z Ameryki Północnej i Australji; z Boliwji i Argentyny, Kanady i Kolumbji Brytańskiej; z Japonji i Indji. Do 10 miljonów proletarjatu stoi pod znakami nowej Międzynarodówki.

Z każdym krokiem rozwoju kapitalistycznego dziedzina stosunków międzynarodowych się rozszerza. Bitwy pracy z kapitałem zaczynają przerastać ramy poszczególnych państw. Wszechświatowy zaś imperjalizm wiąże w jeden skłębiony splot sprzeczne interesy wszystkich państw kapitalistycznych. Rzecz zrozumiała, że i znaczenie Międzynarodówki socjalistycznej z każdym dniem rośnie. Walka o rozwiązanie takich zagadnień, jak ochrona pracy, militaryzm, wychodźtwo, polityka kolonjalna, najskuteczniej przez proletarjat prowadzona być może na gruncie międzynarodowym. Lecz i w innych kwestjach, wysuniętych przez walkę klasową proletarjatu, uchwały zjazdów międzynarodowych, podyktowane przez zbiorowe doświadczenie wszechświatowego ruchu robotniczego, oświecają proletarjatowi, jak jasna pochodnia, ciernistą jego drogę do wyzwolenia.

I nietylko proletarjusze, lecz i cała gnębiona ludzkość zaczyna zwracać oczy na Międzynarodówkę. Na zjazd amsterdamski przybył z dalekich Ind i 80-letni starzec z prośbą o sympatję i poparcie międzynarodowego proletarjatu dla indusów, uciskanych przez Anglję.

...Przeciw staremu światu drapiestwa i barbarzyństwa dźwiga się nowy świat — ludzkości i braterstwa. Idzie on ku zwycięstwu krokami olbrzyma. S. Siemkowski.

Zabobonna wiara w potęgę alkoholu.

Każdy z nas słyszał niewątpliwie, że alkohol w postaci piwa, wódki, wina posiada mnóstwo zalet; że nietylko nie należy on do napojów szkodliwych, czy nawet trujących, lecz przeciwnie, że jest bardzo użytecznym, ba, niedzownym. W tem właśnie przesądnem wprost złudzeniu, tkwiącem wciąż jeszcze w mózgach całych warstw czy grup społecznych, należy się dopatrywać źródła alkoholizmu. Wobec wiary, że alkohol jest pożytecznym, nieodzownym dla zdrowia napojem, nic dziwnego, że ludzie starają się nabyć jaknajwięcej napojów wyskokowych dla siebie, otoczenia, dzieci, że wydają na alkohol ile mogą, często nawet więcej, niż pozwalają dochody.

Gdzie tkwi źródło tego złudzenia, co do zalet alkoholu? Czy sięga ono czasów średniowiecznych, gdy po otrzymaniu wódki, nadano jej nazwę wody życia, zachowaną do dziś w postaci okowity (z łacińskiego aqua vitae). Czy sięga tych czasów, gdy lekarze uważali wódkę za znakomity środek odżywczy? Jedno nie ulega wątpliwości, że wszelkie zalety alkoholu są złudzeniem, ludzie zaś wierzący w jego potęgę sami siebie okłamują.

I rzecz dziwna: ludzie gotowi uwierzyć w szkodliwość nadmiernego użycia wódki oraz wszelkich innych napojów wyskokowych, nie chcą jednak pogodzić się z myślą, że i mała dawka trucizny jest zawsze trucizną i niczem innem.

Zdaniem wielu ludzi alkohol posiada różne zalety: ma on jakoby zaspakajać głód, gasić pragnienie, wzmacniać osłabionych, dodawać sił do pracy fizycznej i umysłowej, rozgrzewać zmarzniętych, ochładzać zmęczonych, słowem jest on istną skarbnicą wszelakich zalet, które czynią go niezbędnym dla każdego. Najgorszą jest rzeczą, że przesąd co do zalet i potęgi alkoholu najgłębiej tkwi w umysłach upośledzonych warstw społecznych, a więc proletarjatu wiejskiego i miejskiego. Na tem polega największe zło, warunki bowiem w jakich żyje proletarjat, w połączeniu z wiarą we wszechpotęgę alkoholu, wielu bardzo ludzi doprowadzają do rozpicia się.

Badania naukowe od lat wielu prowadzone zbijają w zupełności te poglądy, które przypisują wyskokowi wielorakie zalety. Wszyscy uczeni przyznają niemal jednomyślnie, że jakkolwiek alkohol, wzorem innych pokarmów, spala się w organizmie, mimo to, jako środek odżywczy, jest dla organizmu najzupełniej nieużyteczny, a nawet wprost niebezpieczny.

Dalej nie ulega wątpliwości, że alkohol nawet w małych dawkach nietylko nie wzmacnia, lecz przeciwnie osłabia działalność duchową i cielesną ustroju. Po pozornem chwilowem podnieceniu, wywołanem przez alkohol, następuje wyczerpanie i osłabienie, które znowu zachęca do nowego pokrzepienia się, naturalnie alkoholem. Wzmacnianie się alkoholem daje zupełnie jednaki wynik u ciężko pracującego na polu w czasie zimna czy upału rolnika, u zawodowego sportowca (cyklisty, wioślarza, jedźca, siłacza), czy też u ślusarza, zecera, tkacza, stolarza, górnika.

Podniesienie się ciepłoty ciała po spożyciu alkoholu jest złudzeniem, o czem przekonano się dowodnie drogą mierzenia temperatury za pomocą odpowiedniego przyrządu, zwanego termometrem lub ciepłomierzem. Przyrząd ten wykazuje, że po użyciu alkoholu ciepłota ciała obniżyła się, gdyż organizm pod wpływem wyskoku promieniuje, rozprasza dokoła siebie znaczną ilość ciepła. Wszystko to są pewniki naukowe nie ulegające dla nikogo wątpliwości, ludzie słyszą je dokoła codziennie niemal, słyszą o szkodach sprawianych przez alkohol i mimo to pijaństwo wzrasta; ludzie bowiem po dawnemu wierzą pozorom, pozory zaś przemawiają za alkoholem.

Szklanka piwa lub kieliszek wódki wlany do żołądka głuszy uczucie głodu, będą to jednak kamienie nie pokarm, gdyż, jakkolwiek, po napełnieniu żołądka cieczą i pod wpływem odurzającego działania alkoholu ustąpi chwilowo uczucie głodu, ustrój się tem nie nasyci, wyczerpane siły nie powrócą.

Na dowód pożywności alkoholu przytaczają zwykle nazwiska zdrowych i tęgich piwoszów. Zapominają jednak

lub nie wiedzą, że otyłość piwosza jest chorobliwą, że nieszczęśliwy ten dotknięty jest zwykle ciężką nieuleczalną chorobą otłuszczenia serca i wątroby.

Po wypiciu kieliszka wódki lub wina ma jakoby znikać uczucie zmęczenia. Nie znika ono jednak w rzeczywistości, alkohol głuszy je tylko, jak przytępia świadomość, stąd wypływa złudzenie, że wraz z kieliszkiem alkoholu przybyło nam sił. Po upływie krótkiego czasu zmęczenie występuje z większą siłą; pod wpływem poprzedniego doświadczenia głuszymy je nową dawką alkoholu, narażając równocześnie nasz organizm na coraz większe niebezpieczeństwo.

Uczucie zmęczenia, jakiego doznajemy po dłuższej pracy jest, jak mówi Bunge, klapą bezpieczeństwa ustroju kto za pomocą alkoholu stara się zagłuszyć uczucie zmęczenia, przypomina tego, co siłą zamyka klapę, by nie wypuścić pary z kotła, niepomny, że kocioł pęknąć może.

Podobnie stoi sprawa z ogrzewającemi własnościami alkoholu. Wątpliwości nie ulega, że alkohol równie dobrze zagłuszyć potrafi uczucie zimna, jak głuszy uczucie znużenia, w ostatecznym jednak wyniku ciepłota ciała pod wpływem wyskoku, miast się wznosić, raczej spada. Gdyby alkohol ogrzewał, czy marzłoby w czasie zimy tylu pijanych po drogach? Pamiętajmy, że prawie połowa tych biedaków była w stanie nietrzeźwym!

Pozostaje do rozpatrzenia jeszcze jedna właściwość alkoholu, ma on pono rozpraszać wszelki troski i znoje, ma dawać uspokojenie złamanym na ciele i duszy. W istocie rzeczy usuwa on smutek, pozwala zapomnieć o nędzy, zagłusza zmęczenie i wyczerpanie nerwowe na kilka godzin, w ciągu których trwa odurzające działanie wyskoku na system nerwowy. Zatem znów złudzenie! Czyż dla złudzenia truć się warto? A jednak wobec własności zagłuszających alkoholu nie należy się dziwić, że jest on niedostępnym towarzyszem od kołyski aż do mogiły tych ludzi, którym zaprzysięgły dozgonną wierność głód i chłód, wyczerpanie i nędza, którzy mimo to pamiętać winni, że alkohol ich, a oni siebie okłamują i okradają.

Właściciele browarów dokładają wszelkich starań, by wyroby ich miały odbyt, mamy więc wspaniale urządzone i oświetlone restauracje z orkiestrami, gabinetami, śpiewaczkami, sztukmistrzami, dla ludzi zaś, których niestać na poniesienie wydatków na taką drogą zabawę, stoi otworem tysiące podlejszych knajp, gdzie równie dobrze stracić mogą ciężko zarobione pieniądze, jak zdrowie lub odporność cielesną i duchową.

Rozmaitości

Wyludnianie się Francji wskutek stałego zmniejszania się liczby urodzin ma w wielkiej mierze źródło swe w alkoholizmie. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty była Francja krajem względnie trzeźwym. Podczas gdy w Niemczech roczne spożycie alkoholu na osobę wynosiło 5 litrów, w Danji zaś nawet 8 l., we Francji przypadały wówczas tylko 2 litry na osobę. Dziś jednak Francja jest krajem najbardziej zalkoholizowanym na świecie. Podczas gdy niemiec, znany ze swego „pragnienia", wypija średnio 10 litrów rocznie, francuz wypija aż 15 l. Ilość wyszynków wzrosła też ogromnie. W samym Paryżu jest dziś około 30 000 szynków, to znaczy prawie 6 razy tyle, co w Londynie i Chicago, które posiadają więcej mieszkańców niż Paryż. Istnieją we Francji okręgi, w których 1 szynk przypada na 20—30 osób! Z różnych statystyk wynika, że pijaństwo przybrało wprost olbrzymie rozmiary. Np. w mieście Fougeres, liczącem 20 000 mieszkańców, spożywa się rocznie 42 400 hektolitrów wódki, t. zn. około 200 litrów wódki wypada rocznie na każdego mieszkańca, wliczając dzieci i kobiety. Łatwo zrozumieć, że stosunki zdrowotne w takich warunkach są bardzo złe. Rocznie umiera we Francji 200 tysięcy osób na suchoty, a najwięcej ofiar zabiera ta choroba z pośród osób, zatrudnionych w przemyśle alkoholowym. Oprócz innych objawów zwyrodnienia alkohol wywołuje także zmniejszenie się płodności, zjawisko to zauważa się niejednokrotnie w rodzinach pijackich. Jak wiadomo we Francji w roku 1907 (a także już w 5 innych latach) ilość wypadków śmierci przewyższała liczbę urodzin, to znaczy ilość ludności zmniejszyła się. Uczeni i patrjoci francuscy coraz pilniej zajmują się tą sprawą i coraz częściej zmracają uwagę na straszliwie szerzący się alkoholizm, upatrując w niem źródło wielkiej śmiertelności i małej liczby urodzin.

* * *

O sposobie przedłużenia życia ludzkiego dowiadujemy się ze świeżych sprawozdań kilku znanych angielskich towarzystw ubezpieczenia życia. Posiadają one, jak wiadomo, osobne oddziały dla abstynentów, t. zn. nie używających wcale napojów upajających, i osobne dla pijących umiarkowanie. Śmiertelność w oddziale abstynentów jest zawsze znacznie mniejsza. Potwierdzają to też m. i sprawozdania tow. „Sceptre Life Association" z r. 1909.

W oddziale ogólnym: Oczekiwano wypadków śmierci 137. Zaszło wypadków śmierci 110. Procentowo 80,29.

W oddziale abstynentów: Oczekiwano wypadków śmierci 131. Zaszło wypadków śmierci 67. Procentowo 51,15.

Abstynenci odpowiednio do swej znacznie mniejszej śmiertelności, mają tu większy udział w zysku i płacą też mniejsze premje. Statystyka ta, oparta wyłącznie na wyrachowaniu handlowem, powinna chyba przekonać każdego. Kto zatem pragnie przedłużyć swe życie, potrzebuje tylko zaprzestać używać alkoholu. Kto wie o tem, a mimo to pije, ten świadomie i dobrowolnie skraca sobie życie.

* * *

Epilepsja czyli t. zw. choroba św. Walentego jest często skutkiem alkoholizmu danego osobnika, albo też jego rodziców. Dr. Wartmann np. w połowie badanych przez siebie wypadków epilepsji stwierdził pijaństwo u owych chorych. Także prof. Kraepelin i inni stwierdzili, że epilepsja jest objawem, towarzyszącym dość często alkoholizmowi. Według badań Legraina zaś około 12% dzieci pijackich cierpi na chorobę św. Walentego.

* * *

Budowa tanich domów w Niemczech. Ruch reformy mieszkaniowej w Niemczech zasadza się na tem, że rozmaite towarzystwa akcyjne i budowlane, jak również liczne stowarzyszenia prywatne zakupują na przedmieściach grunty i tam stawiają domy dla swoich członków, które im później odsprzedają lub wynajmują. Stosownie do ceny gruntu, są to domy jedno, dwu a nawet trzypiętrowe, ale wszędzie jest wiele zieloności, każdy lokator ma swój ogródek. Jak wielki jest w Niemczech ruch budowy podobnych typów domów i w jak zdrowym kierunku są usiłowania, aby stworzyć lepsze i tańsze mieszkania dla ludzi, liczących się z groszem, niech posłuży kilka dat:

„Dresdener Spar- und Bauverein", założone w r. 1902 nabył gruntu 8240 sążni kwadratowych wartości 240 tysięcy marek. Mieszkania z jednego pokoju, alkowy, kuchni, łazienki, piwnicy i strychu kosztują rocznie 120—264 marek, zaś z dwóch pokoi z przynależytościami 294 do 360 marek rocznie.

Fundacja Meyera w Lipsku wybudowała szereg domów dwu i trzypiętrowych w dzielnicach Lindenau, Reudnitz i Eutrisch, składających się z dwóch typów mieszkań, a mianowicie 2 pokoi, kuchni, wygódki, spiżarki, strychu i piwnicy, o powierzchni użytkowej mieszkania 40 mtr. kwadr., za rocznym czynszem 130—180 mk., zaś mieszkanie z 3 pokoi z temi samemi przynależytościami o powierzchni 48 metrów kwadr. kosztują rocznie 200—400 mk.

„Vaterländischer Bauverein" w Berlinie wybudował w 1907 r. szereg 3-piętrowych domów wśród ogrodów i ujęto je w jeden kompleks znany pod nazwą „Posadowsky-Haus". Na gruncie o powierzchni 5215 mtr. kwadr. nabytego kosztem 208000 mk., postawiono na przestrzeni 2415 mtr. kw. domy kosztem 712 000 mk., w których znachodzi się 105 mieszkań i 10 sklepów, dających pomieszczenie dla 377 rodzin. Mieszkania są 1, 2 i 3 pokojowe i każde posiada kuchnię, spiżarkę, korytarz, balkon, piwnicę i strych, jak również wspólne pralnie. Czynsz jednego pokoju z przynależytościami wynosi 228—282 mk. rocznie, 2 pokoje z przynależytościami 360 do 482 mk., zaś 3 pokoje 588—624 marek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 27. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 lipca 1910.

Miasto i wieś.

(Miejscowość: Nowoczesne wielkie miasto. — Czas: W dniach dzisiejszych. Osoby: Karol, 20-letni czeladnik stolarski; Henryk, murarz, o 10 lat starszy. Mała izba z łóżkiem, stołem, kilkoma krzesłami; na ścianie półka z książkami, przeważnie literatura partyjna; na stole paląca się lampa. Przyjaciele siedzą naprzeciwko siebie, Henryk czyta gazetę, Karol patrzy przed siebie).

Karol (zrywając się nagle): Nie, mam już tego dosyć, zanadto!

Henryk (patrząc przez gazetę): A no — cóż takiego?

Karol: Mówię ci, mam już dość tego miejskiego życia; zbrzydło mi ono do cna. Tfu — do djabła! Krótko i węzłowato: Mam dość! Ja — (zrywa się i biega wzburzony po izbie).

Henryk Ty, Karolu!

Karol: Czego chcesz?

Henryk: Przedewszystkiem proszę cię, usiądź sobie znowu na swojem miejscu. (Karol siada). Tak — widzisz — a teraz masz tu cygarko, zapal sobie i „z dymem cygara“ opowiadaj, czego właściwie chcesz?

Karol: Czego ja chcę? Wiesz, Henek, żeś jest bardzo kiepskim obserwatorem, jeżeli do dzisiejszego dnia niczego u mnie nie zauważyłeś. A to wre we mnie już długo, bardzo długo i cieszę się, że mam nareszcie sposobność wywnętrzenia się przed tobą.

Henryk (żartobliwie): Zaczynam się bać; co to będzie, co to będzie!?

Karol: Proszę cię — jeżeli ty jeszcze będziesz ze mnie drwił, to lepiej wcale nic nie powiem.

Henryk: No, no, zaczynaj wreszcie. Słuchamy!

Karol: Wiesz, gdym przed kilku laty przybył po raz pierwszy do miasta, do wielkiego miasta, wydało mi się ono czemś cudownie wspaniałem. Weseli koledzy, przeróżne towarzyskie zabawy, teatr, koncerta — hej! były to piękne czasy, nie mogę zaprzeczać. Przeżyłem dużo pięknych rzeczy, ale więcej wstrętnych i podłych. Nic więc dziwnego, że człowiekowi wreszcie może wszystko zbrzydnąć. Mam tego — jak ci powiedziałem — po szyję. I dlatego postanowiłem uciec stąd. Im wcześniej — tem lepiej.

Henryk: Uciec? A dokąd?

Karol: Na wieś naturalnie.

Henryk: Na wieś? Hm! Sądzisz, że wtedy unikniesz wszystkiego, co wstrętne i podłe?

Karol: Doprawdy, nie pojmuję cię. Czy już sobie nie przypominasz tych naszych wspólnych wędrówek po kraju? Czy już nie pamiętasz, jak szczęśliwymi czuliśmy się zawsze, ile razy opuszczaliśmy miasto i mogliśmy pełną piersią wdychać świeże powietrze i rozkoszować się cudami natury!

Henryk: Prawdę mówisz, piękne były czasy.

Karol (ciągnąc dalej): I za każdym razem musieliśmy znowu wracać do tego piekła z jego dusznem powietrzem, z jego nieznośnym hukiem i z krzykliwymi targami, z jego ogromnemi bogactwami i ogromną nędzą, z jego chorobami i cierpieniami, z jego...

Henryk: Przestań, przestań, potworze!

Karol: Ach, to ci robi przykrość? O, mógłbym ci wyliczyć jeszcze o wiele, wiele więcej nędzy, bo przecież sam dobrze wiesz, że otacza ona nas na każdym kroku.

Henryk: A na wsi — zdaniem twojem — niema tego wszystkiego?

Karol: Lecz nie w takiej mierze. A przedewszystkiem ma się tam spokój! Człecze! (Zrywa się i poczyna znowu biegać po pokoju). Czy można mieć w mieście pojęcie o tem, co to jest spokój?

Henryk: Siadaj, proszę cię. (Karol siada wyczerpany). A więc spokój chcesz mieć?

Karol: Tak jest. A ty może nie?

Henryk: Ja, nie.

Karol: Nie??

Henryk: Nie!

Karol: Nie rozumiem cię całkiem

Henryk: Może mam lepsze nerwy niż ty; ale zrozumiesz mię, jeżeli będziesz mnie słuchał tak spokojnie, jak ja słychałem ciebie.

Karol: Zaciekawiasz mnie; ale zgóry ci mówię, że od raz powziętego zamiaru nie odwiedziesz mnie.

Henryk: Zobaczymy. Otóż muszę ci powiedzieć — nie dziw się — że podobny zamiar miałem i ja swego czasu.

Karol: Ty Henek, ty?... No i...

Henryk: Posłuchaj. Przed chwilą przypominałeś mi nasze wędrówki. Ja tobie przypomnę coś innego. Gdyś przed kilku laty przyszedł tutaj, byłeś chłopakiem zamkniętym w sobie, mrukiem, niedostępnym.

Karol: Prawda, ale nie miałem wówczas nikogo, ktoby się był mną zajął.

Henryk: Słusznie. Jednego wieczoru przyszedłeś do naszej zawodowej organizacji i tu widocznie przejrzałeś, boś wkrótce przyszedł znowu.

Karol: O, tak! Jest to jedno z moich najprzyjemniejszych wspomnień. Były to piękne wieczory, podczas których dużo się od was nauczyłem. To jest prawda.

Henryk: Stałeś się dobrym i dzielnym towarzyszem. Z każdym dniem zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej, aż wkońcu staliśmy się przyjaciółmi.

Karol (gorąco): I pozostaniemy nimi, Heniu.

Henryk: Spodziewam się Karolu. Ale powiedz mi, co to było, co nas razem złączyło.

Karol: No, wspólny cel.

Henryk: Widzisz, przyjacielu! Czy mam ci to przypominać? Czy nie chcesz może walczyć i nadal razem, z dłonią w dłoń o wyswobodzenie naszych pracujących braci?

Karol: Owszem, chcę i będę walczył! Pod tym względem nie zmieniłem się wcale. Ale co to wszystko ma wspólnego z moim zamiarem?

Henryk: Więcej, niż sądzisz. W mieście masz wszystko, co jest potrzebnem do kształcenia się. Co byś ty począł na wsi bez naszej bibljoteki? A wykłady? Czyby ci nie było żal twoich towarzyszy, którzy tak cię kochają?

Karol (zrywa się).

Henryk: Siedź Karolu, ja skończę zaraz. I teraz, kiedy jest tyle do roboty, ty chcesz nas porzucić?

Karol: Was porzucić?

Henryk: A cóż innego? Sądzisz może, że gdzieś w zapadłej, biednej wsi naszej możesz pracować dla partji w takiej mierze, jak dotąd, co zresztą jest twoim obowiązkiem?

Karol (półgłosem): Musiałbym! Jeżeli się ma silną wolę...

Henryk: Nie łudź się Karolu! Zrozum, że punktami głównymi nowoczesnego ruchu robotniczego mogą być tylko wielkie miasta. To są twierdze, w których gromadzimy i szykujemy nasze wojska. Mamy tu wszelkie nowoczesne środki komunikacyjne, którymi każdej chwili możemy się posługiwać, jeżeli kiedy zabrzmi hasło: Do walki! Przypomnij sobie ostatnie wybory do parlamentu! Jak trudną, nawet niemożliwą jest walka agitacyjna na wsi. W tych stosunkach zginąłbyś, przyjacielu, usechłbyś jak kwiat.

Karol: Jeżeli nie będę mógł wytrzymać, to wrócę do was.

Henryk: To lepiej będzie, jeżeli zostaniesz zaraz. Miejsce nasze jest tu w mieście, a stąd dopiero należy szerzyć ideę naszą po wsiach. A więc?

Karol: Przekonałeś mnie — zostaję.

Henryk: (ściskając go): Spodziewałem się tego.

Alkohol i robotnicy.

Pod wpływem takich czynników, jak nędza, ciemnota, ogólnie przyjęty zwyczaj, wreszcie zabobonna wiara w skuteczność alkoholu, pijaństwo szerzy się najbardziej w klasie najciężej upośledzonej, t. j. wśród robotników. Obowiązkiem każdego, kto o tem wie, jest tłomaczyć wszędzie, że alkohol nie posiada żadnych zalet, nie jest środkiem wzmacniającym, że daje jedynie chwilowe złudzenie przypływu nowych sił, za co robotnik płaci drogo, bo i kieszenią i zdrowiem.

Nie dość tego. Robotnik ponosi przytem inną stratę. Ustrój swój, wyczerpany praaą i lichem żywieniem się, robotnik usiłuje podtrzymać za pomocą wyskoku.

Wiemy jednak, że alkohol nie posiada żadnych własności odżywczych, uszczupla natomiast i tak aż nazbyt skąpy zarobek, przyczyniając się przez to samo do jeszcze lichszego odżywiania się robotnika.

Przyjrzyjmy się cyfrom.

Według danych statystycznych wydatki ogółu mieszkańców Niemiec wynosiły rocznie przy 56 miljonach ludności:

na chleb	1700 miljonów mk.;	na głowę 30 mk.
na mięso	2250 „ „ „	„ 40 mk.
na napoje wyskokowe	2320 „ „ „	„ 58 mk.

Niepodobna zaprzeczyć, że liche odżywianie się jest jedną z najważniejszych przyczyn pijaństwa, jeżeli jednak uwierzymy wierutnemu kłamstwu, że alkohol wyrównywa niedobory, powstałe w ustroju ludzkim wskutek złego żywienia się, to pogorszymy przez to jeszcze bardziej złe i bez tego warunki życia robotniczego. Pamiętać przytem należy, że alkohol daleko łatwiej i silniej oddziaływa ujemnie na organizm wyczerpany pracą i złem odżywianiem, niż na tego, kto, mając za co, chociaż pije, ale jada jak się należy.

Idźmy dalej. Alkohol ma wyczerpanie fizyczne czynić łatwiejszem do zniesienia nawet wtedy, gdy dzień roboczy jest nazbyt długi. Niewątpliwie po wypiciu jednego lub dwu kieliszków robotnik nie odczuwa takiego zmęczenia, jakiego by doznawał będąc zupełnie trzeźwym, alkohol więc pozwala mu na dalszą pracę, która, jako zbyt długa, osłabi go tem więcej. Gdy się zastanowimy nieco, dojdziemy do przekonania, że we własnym interesie robotnika leży, by czuł i rozumiał, że jest zmęczony, by się nie zagłuszał alkoholem, tylko bowiem pod tym warunkiem może on świadomie i na pewnej podstawie walczyć o krótszy dzień roboczy i lepsze warunki pracy. Nie należy również zapominać, że pewną część wypadków nieszczęśliwych, zdarzających się w fabrykach i powodujących nieraz śmierć robotnika, ma za przyczynę odurzenie alkoholowe, pod którego wpływem pracujący nie dostrzegł niebezpieczeństwa, które mu groziło. Dlatego właśnie, że przy pracy niebezpieczeństwo ze strony maszyn lub transmisji grozi robotnikowi na każdym kroku, że chwilowa nieuwaga może go o śmierć przyprawić, powinien on być zawsze trzeźwym, bo tu chodzi o jego życie.

Działanie alkoholu, podniecając do pracy ponad siły, po uprzedniem zagłuszeniu świadomości, prowadzi wyczerpany organizm do tem szybszej zagłady. Jeden z uczonych, tow. Otto Lange, wyraża się o tem w następujący sposób: uczucie zmęczenia i głodu ma doniosłe znaczenie dla człowieka. Gdy czujemy, żeśmy zmęczeni i głodni, to dowód, że zapas sił, jakiśmy mieli, został wyczerpany i ustrój nasz wymaga odpoczynku i pożywienia. Jeżeli robotnik braki te wypełni alkoholem, zrobi dobrze dla pracodawcy, siebie zaś samego skazuje na pewną zagładę. Na tej podstawie musimy z całą stanowczością wystąpić przeciw alkoholowi, jako jednemn z najpotężniejszych czynników niskiego zarobku.

Toż samo dzieje się z innemi czynnikami społecznemi które skłaniają nas do pijaństwa.

Być może, iż praca w dymie, kurzu, gorącu, w źle przewietrzonej sali czy pracowni, będzie dla odurzonego alkoholem pracownika znośniejszą, gdyż nie dostrzega on wtedy, nie uświadamia sobie całej nędzy swego położenia, natomiast organizm swój zniszczy za pomocą nowej trucizny.

A nędzne mieszkanie, czyż się stanie lepszem, gdy wrócimy do niego podchmieleni lub pijani?

A zmartwienia, zgryzoty, bieda, przygnębienie, czyż ustąpią pod wpływem mniejszej lub większej ilości alkoholu raz na zawsze? Czy nie powracają one rankiem po nocy spędzonej na pijaństwie, czy nie dokuczają bardziej jeszcze, niż w przeddzień? I czy wtedy nie chwyta się gorączkowo za kieliszek, by ponure myśli odpędzić od siebie, nie pomnąc, że to nie pomoże?

Jeszcze raz powtarzamy, że zdajemy sobie najzupełniej dokładnie sprawę z czynników, które popychają robotnika dla rozrywki lub zapomnienia do szynku, w objęcia alkoholizmu, mimo to twierdzimy, że droga ta jest błędną, niemądrą i wprost zgubną. Idąc nią, robotnik zapomina o swej nędzy, a tem samem zasłania przed sobą drogi ku jaśniejszej przyszłości.

Dlatego właśnie, że się źle odżywia, robotnik nie powinien uciekać się do dobroczynnego działania alkoholu, gdyż wydatki na wódkę, zmuszają go do zmniejszenia wydatków na pożywienie i zmniejszają odporność jego organizmu.

Dlatego właśnie, że źle mieszka, robotnik nie powinien wydatkami na alkohol zmniejszać swego zarobku i narażać się na nowe niebezpieczeństwo. Ciasne, brudne, źle przewietrzane mieszkanie samo rujnuje zdrowie, pocóż więc szukać nowych chorób, do których z konieczności prowadzi kieliszek?

Dlatego właśnie, że nazbyt długą pracą robotnik wyniszcza swój organizm, ma on jeden więcej powód do zaprzestania picia. Alkohol podkopuje organizm, poco więc osłabiać i tak wyczerpane ciało? Przepełnione mieszkania, szynki, knajpy, restauracje dają aż nazbyt wiele powodów do sprzeczek, kłótni, bójek, szczególniej, gdy weźmiemy pod uwagę stan ciągłego zdenerwowania, w którym pod wpływem swego zajęcia jest każdy niemal robotnik. Poco zwiększać liczbę różnych powodów do nieporozumień za pomocą tak potężnego czynnika, jak alkohol, który zabija resztkę panowania nad sobą, odbiera rozwagę i stanowi ostatnie ogniwo łańcucha, łączącego przyczynowo biedę z przestępstwem.

Wskutek niepewności swego losu, wskutek zależności od pracobiorcy i bezprawności wobec władzy, każde upicie się odczuwa robotnik podwójnie.

A dziedziczność i wpływ na potomstwo. Czyż dla kogokolwiek może być rzeczą ważniejszą, niż dla robotnika, aby dzieci jego były zdrowe cieleśnie i moralnie? Wszak robotnik nic innego prócz zdrowia dzieciom w spadku nie przekaże. Komu los włożył do kołyski bryłę złota lub paczkę akcji jakiegoś browaru, temu może nie chodzić o to, by mu rodzice dali w spadku siły i zdrowie. Temu jednak, kto w biedzie i niedostatku przyszedł na świat, nawet zdrowy organizm da zaledwie możność wytrwania w walce bez prawdopodobieństwa rychłego zwycięstwa.

Dr. August Wróblewski.

Jak się unieświadamia robotnik.

Świadomość to taka władza człowieka, za której pomocą on wie, co się z nim dzieje, świadom jest siebie i otoczenia, tego co inni robią i tego, co trzeba robić. Teraz wszyscy starają się podnosić swoją świadomość, uczyć się, uświadamiać się o tem, co się na świecie dzieje, o swem położeniu, o potrzebach swojej rodziny, całego społeczeństwa wogóle i klasy robotników miejskich i wiejskich w szczególności, uświadamiać się o tem, jak poprawić swą dolę i jak znaleść najłatwiejszą drogę do polepszenia losu całego ludu. Tylko człowiek, co posiadł świadomość walki w sprawie postępu, może coś dobrego na tej drodze zdziałać. Uświadamianie zdobywa się bardzo drogim kosztem i ogromnymi wysiłkami ducha. Stąd wielkiem złem jest wszystko to, co przeszkadza do uświadamiania.

Zobaczmy teraz, gdzie tkwi w człowieku świadomość. Człowiek przedstawia jak gdyby przenośną fabrykę, do której przedostaje się materjal w postaci wdychanego powietrza i zjadanego pożywienia. W niej zachodzą rozmaite procesy mechaniczne i chemiczne, wytwarzające ciepło i inne rodzaje siły energji. W tej fabryce są rozmaite przyrządy, czyli narządy, jak np. wątroba, nerki, serce. Jednym z najważniejszych narządów jest mózg. Każdy widział mózg cielęcia lub owcy. I ludzki mózg zupełnie do tego podobny. Jest on bardzo delikatny, mógłby być uszkodzony lada dotknięciem. Mózg martwy wygląda powierzchownie jak miękka galaretowa masa, która w palcach się rozpuszcza. Jeżeli rozpatrzymy mózg, a mianowicie jego wierzchnią warstwę, pod mikroskopem, to się okaże, że on się składa z miljonów cieniutkich, daleko cieńszych od pajęczyny, niewidzialnych gołem okiem niteczek i zagłębień (komóreczek), niby węzełków. W ten sposób cały mózg jest niesłychanie delikatną tkaniną, koronką otkaną wszerz, wzdłuż i w grubość tak misternie, że ludzie nie mogliby nic podobnie pięknego sami sporządzić. Te miljony niteczek i węzełków — te włókienka i komórki nerwowe, każde z nich ma swe przeznaczenie. Na tych włókienkach i komóreczkach i na zachodzącaj w nich pracy opiera się cała zawikłana i trudna do pojęcia działalność myśli człowieka.

Mózg jest siedliskiem myśli, siedliskiem świadomości człowieka. Bez mózgu człowiek nie mógłby myśleć, nie miałby świadomości. Całe życie duchowe człowieka, jego rozum, pojęcie jego uczucia, moralność, mają swe oparcie w mózgu. Gdy mózg uszkodzony, to mąci się świadomość, ginie wątek myśli, plącze się poczucie moralne.

Dlatego mózg jest tak dobrze ochroniony czaszką ze wszystkich stron jak pancerzem. Gdyby ktoś chciał w rozpaczy uszkodzić swój mózg, to nie mógłby jednak do niego rękami się dobrać, a gdy się zdarzy, że ktoś w gniewie na drugiego zdzieli go pałą w łeb, to wstrząśnie tylko mózgiem, ale bezpośrednio uszkodzić go może dopiero wówczas, gdy rozwali czaszkę.

W ten sposób narząd ten jest zupełnie zabezpieczony. Ale człowiek potrafi sobie szkodzić, bo może przez usta posyłać truciznę, którą zatruwa mózg.

Niezdrowo przygotowany posiłek, tytoń, napoje alkoholowe, jak wódka, wino, piwo, miód pitny — wprost zatruwają organizm człowieka. Napoje alkoholowe nazywają się odurzające, dlatego właśnie, że odurzają człowieka. Odurzają nietylko wówczas, gdy człek się upije, ale nawet gdy pije umiarkowanie, zawsze on mniej lub więcej się odurza. Chociażby tylko w kuflu piwa zawarty — napój alkoholowy czyni spustoszenia w ustroju i narządach jego. Bardzo sumienne badania naukowe dowiodły, że alkohol, dostawszy się do żołądka i kiszek, krąży we krwi po całym ustroju i przez długi czas nie spala się we krwi, lecz płynie z nią do wszystkich komóreczek ciała i psuje je. W ten sposób dostaje się i do mózgu.

Gdy pewien pijak zmarł w szpitalu i poddano badaniu wnętrzności jego, to się okazało, że w samym tylko mózgu miał tyle alkoholu, iż oddestylowano zeń kieliszek wódki. Każdy, kto pije stale, choć umiarkowanie, nasiąka trochę alkoholem i tym sposobem z każdego umiarkowańca możnaby było oddestylować kieliszek wódki.

Gdy alkohol przypłynie z krwią do mózgu, to podrażnia go i odurza. Uczeni twierdzą, że alkohol tworzy połączenie chemiczne w mózgu. U pijących umiarkowanie, ale często, mózg się psuje pod wpływem powtarzającego się działania alkoholu: zwyradniają się włókienka i komóreczki, na których opiera się świadomość. Każde bodaj użycie napoju alkoholowego mąci nieco lub osłabia świadomość, pozostawiając ślad na mózgu. Stąd pochodzi systematyczne unieświadamianie się tych, co piją napoje alkoholowe: lekkomyślnie zatraca się dorobek ciężkiej pracy, uświadamiania się! To, co się tak trudno osiąga zapomocą kształcenia się, mianowicie zdobycie jasnej myśli społecznej i politycznej — wszystko to zaciera się skutkiem bezsensownego przyzwyczajania do unieświadamiania się.

Przeto zwyczaj picia jest czynnikiem unieświadamiającym klasę roboczą!

Lud roboczy stanowi armję pracującą i walczącą w interesach swego wyzwolenia i zdobycia wolności dla całego społeczeństwa.

Jednym ze środków, jaki posiada w swej ręce robotnik w dążeniu do zmiany złego ustroju społecznego, jest jego zdrowie, siła fizyczna i duchowa, jego mocny charakter, jego myśl jasna, trzeźwa i pewna, jego świadomość, wiodąca prostą drogą do celu. Siła charakteru i myśli zsumowana w całej armji robotników miejskich i wiejskich — to taka jest moc, przed którą prysną wszelkie przeszkody i rozpadną się w gruzy wszelkie przeciwności!

Wiedza i świadomość — to największa potęga człowieka! To puklerz jego zdrowia i szczęcia.

Kto zepsuje w armji żołnierskiej swą broń, karabin lub pałasz, ten podlega surowej karze. W armji robotniczej główną bronią zszeregowanego robotnika jest jego mózg, siedlisko jego świadomości. Zepsuć swój mózg, znieprawić myśl — to zbrodnia szermierza-robotnika nie tylko w stosunku do siebie samego i swoich interesów, ale i w stosunku do całej klasy robotniczej, do całego społeczeństwa.

Rozmaitości

Wpływ mieszkań na śmiertelność. Jak korzystnie zdrowotnie urządzone mieszkania na życie ludzkie wpływają, wykazuje dobitnie sprawozdanie „Towarzystwa budowy małych mieszkań“ w Frankfurcie n. M. Zdrowotność na całym obszarze budynków towarzystwa była w ubiegłym roku wprost doskonała. Pomimo powiększenia się ogółu mieszkańców o 326 osób, śmiertelność znacznie się zmniejszyła. Przy 1201 familjach z 5677 osobami zmarło 34; na 1000 osób więc i w jednym roku 6 wypadków śmiertelności wobec 13.84 proc. miasta Frankfurtu w r. 1909. Jest to najkorzystniejszy stan zdrowotnośsi od czasu założenia tej spółki. Śmiertelność dzieci zaś niżej 15 lat wynosi przy 2587 dzieciach 15 czyli 5,8 na rok i tysiąc, wobec 10 proc. w r. 1908. Pocieszającem jest także zmniejszenie się śmiertelności u niemowląt. Przy 89 urodzinach wynosiła ona 7 czyli 8 proc., wobec 13 na 108 dzieciach roku zeszłego urodzonych. W mieście samem na 9247 urodzin stwierdzono 1144 wypadków śmiertelności, czyli 12,37 procent. Urodzenia same natomiast w liczbie 89 wobec 108 roku 1908 stopniowo się zmniejszyły; ubytek ten jednakże zmniejszoną śmiertelność w zupełności wyrównuje. Z powyższego wyraźnie przekonać się można, iż jednym z najgłówniejszych czynników zdrowotności jest jasne i zdrowe mieszkanie, dla dzieci zaś prócz tego ogródki do zabawy, gdzie swobodnie młodociane siły swoje wzmacniać mogą.

* * *

Kule rewolwerowe — zamiast zapłaty! Z Kassel donoszą pod dniem 2 czerwca, że między robotnikami cegielni w Niedervellmar pod Kasslem wybuchły rozruchy. Powód do nich miał pewien robotnik dać, który w ową niedzielę żądał kolacji ciepłej, a której mu żona mistrza ceglarskiego odmówiła, ponieważ w niedzielę ciepłej strawy wieczorem się nie daje. Robotnicy postępowaniem tem tak się mieli oburzyć, iż mieszkanie mistrza ceglarskiego zdemolowali, drzwi powyrywali i t. p. burdy wyprawiali. W

niebezpiecznem położeniu [z familją się znajdujący mistrz ceglarski Nitschke wziął rewolwer i wystrzałami dwóch robotników tak niebezpiecznie poranił, iż jeden z nich następnego dnia w lazarecie życia dokonał. Oprócz tego przyaresztowano siedmiu robotników, jako udział biorących w tym napadzie i odstawiono do więzienia.

Z powyższego opisu wydaje się, jakoby robotnicy ci to najwięksi burzyciele — tymczasem posłuchajmy, jak sprawa ta w rzeczywistości się miała.

Odnośni robotnicy — już szósta kompanja w tym roku — ze Śląska tam dotąd ściągnięci, na jeden sezon zobowiązani zostali. Wikt i trunki otrzymywali od mistrza ceglarskiego Nitschkiego na konto, przyczem im dość wysoko policzano. Regularnych wypłat nigdy nie było. Gdy o takowe się dopominali, otrzymywali 2—3 marek, z obietnicą ze strony wypłacającego, że resztę później dostaną. Zdarzył się nawet wypadek, iż pewien robotnik zażądał swój zaległy zarobek, ponieważ żona jego w domu nogę złamała, ale i w tym wypadku mu odmówiono. Brutalne traktowanie i ciągłe zaleganie z wypłatą sprawiły, iż pomiędzy robotnikami zapanowało ogromne niezadowolenie, które ostatecznie znalazło swój wyraz w powyższych wykroczeniach.

Smutna ta sprawa zapewne byłaby inny obrót wzięła, gdyby robotnicy byli zorganizowani i przez organizację swych praw się dopominali. Wypadek powyższy wykazuje konieczną potrzebę organizacji robotniczej i powinien oczy otworzyć robotnikom niezorganizowanym na postępowanie z nimi przedsiębiorców.

* * *

Największym parowcem był dotychczas angielski „Mauretanja". Jest on 232 mtr. długim i 27 szerokim. Żgało to w oczy Niemcy, więc postanowiono zbudować parowiec o długości 268 mtr. i szerokości, wynoszącej 29¼ mtr., oraz o pojemności 45 000 ton. Będzie to największy parowiec, budują go w Hamburgu.

* * *

Z żeglugi powierznej. W tych dniach w Chatlanoogh, w stanie Tenessee podjęte będą próby manewrów napowietrznych. Celem ich stwierdzenie, czy lotnicy zdołają z ciężarem 70—100 kilogramów materjałów wybuchowych unosić się w powietrzu z szybkością 70—75 klm. na godzinę, oraz czy można będzie te materjały rzucać z wysokości 400 metrów na fortece, gmachy wojenne i kolumny wojsk. Lotnik Hamilton ma zrzucić 75 bomb, zaś porucznik Frulis kierować wywiadami za pomocą szybowca.

Kooperacja społeczna, jako obrona mienia ludności.

I.

Jedną z głównych właściwości stowarzyszeń spożywczych typu Rochdalskiego*) jest ta mianowicie, iż automatycznie wytwarzają one dla członkow swoich oszczędności.

Jeżeli w tej miejscowości, gdzie się znajduje stowarzyszenie spożywcze, przeciętna wysokość czystego zysku kupieckiego wynosi, dajmy na to, 20%, koszta zaś najmu lokalu, opału, światła i wogóle utrzymania sklepu — 10%, to kupując w sklepie prywatnym, opłacam w jego cenach owe 20 i 10%. Za każdy towar płacę o 30% więcej, niż on kupca kosztuje.

Jeżeli jestem członkiem stowarzyszenia spożywczego i kupuję w sklepie, oszczędzam każdorazowo conajmniej 20% to znaczy ⅕ część tej sumy, którą wpłacam do kasy sklepu. Powiadam co najmniej, gdyż w rzeczywistości oszczędzam więcej, a to z tego powodu, iż utrzymanie sklepu społecznego jest zwykle ekonomiczniejsze, niż utrzymanie sklepów prywatnych. Pewną część owych 10% ceny, służących do pokrycia kosztów utrzymania sklepu, stowarzyszenie spożywcze ekonomizuje, podnosząc w ten sposób skalę członków.

Jeżeli w ciągu miesiąca dokonałem w stowarzyszeniu zakupów na 30 mk., to mogę być pewnym, iż niepostrzeżenie dla samego siebie oszczędziłem w ciągu tego miesiąca co najmniej ⅕ część tej sumy, t. zn. 6 mk. Jeżeli w innych miesiącach tego roku zakupy moje wahały się pomiędzy 20 a 30 mk. i wyniosły w ogólnej sumie rocznej 300 marek, oszczędności moje dosięgły w tym samym okresie 60 marek.

Leży to już w naturze stowarzyszeń typu Rochdalskiego, iż nie mogę w nich kupować inaczej, niż oszczędzając. Nie mogę wydawać pieniędzy, nie odkładając jednocześnie.

W ten sposób systematycznie a stale formuję w funszach stowarzyszenia swój własny fundusz oszczędnościowy, który mi po upływie pewnego, określonego terminu zwrócony zostanie. Pochodzi to stąd, iż jedną z naczelnych zasad systemu Rochdalskiego jest sprzedawanie po cenach sklepów prywatnych. Różnica pomiędzy tem, co się płaci grosiście za sprowadzony towar, a tem, za co się go w sklepie detalicznym sprzedaje, stanowi dla kupca prywatnego (po odtrąceniu kosztów utrzymania sklepu) zysk, dla stowarzyszeń zaś spożywczych fundusz oszczędności członków. Zysk jest bowiem niczem innem, jak bezzwrotnem zatrzymaniem i przyswojeniem przez właściciela sklepu pobranej od klijenteli przewyżki cen detalicznych nad hurtownemi. W stowarzyszeniu spożywczem przewyżka również istnieje, ale ulega zwrotowi tym, przez kogo wpłacona została. Jasną stąd rzeczą, iż tak zwany zysk, czyli rezultat ulegalizowanego procesu przywłaszczania cudzego grosza — w stowarzyszeniach spożywczych nie istnieje.

Jak wiele tracimy, kupując w handlach prywatnych; jak znaczne oszczędności moglibyśmy gromadzić, kupując we własnym sklepie spożywczym, wykazują następujące cyfry. Jakkolwiek dotyczą one stosunków zagranicznych, posiadają i dla nas pouczające znaczenie.

Podług obliczeń Van der Borght'e, we Francji w rękach pośredników handlowych pozostaje rocznie około 7½ miljardów franków. W Stanach Zjednoczonych przeciętna stopa zysku handlowego rzadko bywa niższa od 30%. W Niemczech stopa ta waha się, jak podaje Kaufmann, pomiędzy 25—40%. Koszta najmu i utrzymania lokalu sklepowego wynoszą w drobnych handlach niemieckich, podług obliczeń tow. von Elma, 12% obrotu. Koszta oświetlenia 2%. Te same koszta w Drezneńskiem stowarzyszeniu „Vorwärts" stanowią razem zaledwie 1%.

Obliczono, iż w handlach detalicznych podwyżka na cenie chleba waha się pomiędzy 10% i 34%; na cenie grochu stanowi 30%; ryżu — 25%; masła — 13—22%; na cenie zaś węgla wynosi 120%.

Niektórzy autorowie, jak np. Busch, w pracy p. t.: „Die sociale Frage und ihre Lösung" rozmiary lichwy kupieckiej określa znaczne wyżej. Podług jego wywodów, w kieszeniach szeregu różnorodnych pośredników handlowych pozostaje ni mniej ni więcej, jak ⅘ wartości spożywanych towarów.

*) Rochdal — miasto w Anglji, w pobliżu Manchesteru, uważane za kolebkę kooperacji spożywczej.

Z literatury i sztuki

Numer 26 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Eliza Orzeszkowa: A... B... C... — H. O.: Baśń o Wandzie. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — A. Czechow: Kasztanka. — Ze świata: Związek republik amerykańskich. — Łamigłówka. — Rozwiązanie. — Odpowiedzi od Redakcji.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 28. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 lipca 1910.

Fabrykanci, robotnicy i djabeł.

(Bajka.)

(Tłomaczenie z litewskiego.)

W pewnym kraju wszyscy przeklinali i posyłali do djabła robotników: i starszy żandarm i fabrykanci (przeważnie przed wypłatą) i inspektor fabryczny i sędziowie; wszyscy ci panowie i wielu innych wciąż rozirytowani wołali: „Żeby djabli wzięli tych robotników!“

Pewnego pięknego dnia znikli wszyscy robotnicy. Stanęły maszyny, zamilkły warsztaty, jak nieżywe, stanęły pociągi na szynach i parowce na wodzie. Kapitaliści i władza zrobili straszny hałas. Fabrykanci polecieli do fabrycznego inspektora i starszego żandarma z prośbą o ratunek. Szef żandarmerji, dowiedziawszy się, że robotnicy zrobili strejk, postanowił srogo ukarać ich za nieposłuszeństwo. To też nie tracąc czasu, stanął na czele swej armji, składającej się z samych szpiclów i zaczął szukać strejkujących robotników, ale oprócz przygnębionych szpiclów żadnego robotnika nigdzie nie znalazł. Robotnicy znikli z ziemi zupełnie.

W całym kraju zapanował głód, a nędza na kształt smoka zaczęła pożerać dziesiątkami ludzi i zaglądać do pałaców magnatów. Nie było co jeść, czem się ubrać, nie wiedziano, w jaki sposób podróżować. Policja, żandarmi i cała władza ledwie żywi łazili po pustych ulicach. Jeden fabrykant nadzwyczaj tłusty i posiadający brzuch tak wielki, że niemal dosięgał nosa, po niejakim czasie tak schudł, zrobił się tak cienki, że policja przez omyłkę wzięła go za zapałkę i chciała nałożyć nań cło. Do skarbu państwowego przestały wpływać wszelkie podatki. Szpicle o mało nie zrobili strejku, nie mając roboty i dochodów.

Nie wiadomo, któremu to z fabrykantów przyszła nagle do głowy genjalna myśl, polegająca na tem, że djabeł musiał zabrać do siebie wszystkich robotników, bo już zbyt często posyłano ich do niego. O tem zawiadomiono władzę, która postanowiła wysłać deputację do władcy państwa piekielnego i prosić, aby on raczył puścić robotników na ziemię. Posłano więc siedmiu generałów żandarmskich, trzynastu fabrycznych inspektorów, sztab, składający się ze stu doborowych szpiclów, z samym ministrem na czele. Posłowie ruszyli w drogę per pedes, bo pociągi i statki, pozbawione robotników, nie mogły ruszyć z miejsca. Karmiąc się robaczkami i korzeniami, strasznie zmęczeni i wycieńczeni, dotarli nareszcie posłowie do stolicy państwa piekielnego.

Władca ciemności spotkał ich z książeczką w ręku; jeden z żandarmów, zauważywszy, że ta książeczka bez cenzury, chciał natychmiast aresztować Lucyfera; jego koledzy ledwie zdołali wyperswadować mu, że to jest sam władca piekła i że z nim niema żartów.

Djabeł zgodził się zwrócić robotników tylko wtedy, żeli zapłacą mu za ich utrzymanie.

— O, utrzymywałem ich dobrze — mówił szatan — nie bez przyczyny piszą oni tu oto w książeczce, że u mnie lepiej, niż u was. Więc czem mnie zapłacicie?

— Zrobimy Waszą Cesarską Mość — odpowiedzieli — honorowym obywatelem wszystkich naszych dobroczynnych zakładów, oprócz tego może Wasza Cesarska Mość wybrać sobie 10 orderów i 25 rang.

— Pluć tylko na te wasze ordery! U was lada chłystek, każdy zdrajca i szpicel ma order! Dajcie mi jedną trzecią część tych łapówek, które otrzymujecie w swoim kraju!

— Rany boskie! — krzyknęli z przerażeniem wszyscy posłowie (najgłośniej generałowie żandarmów) — wszak to strasznie olbrzymia suma!

Po długim targu pogodzili się nareszcie posłowie z Lucyferem: obiecali mu zapłacić jedną szóstą część wszystkich łapówek. Posłowie w dobrym humorze — i śpiewając powrócili do domu.

I znów wszystko poszło po staremu. Kapitaliści i fabrykanci znów wrócili do pierwotnych tusz, wyhodowali jeszcze większe brzuchy. Szpicle znów łażą po całym kraju, a minister wydał rozkaz podwyższyć łapówki o jednę szóstą część. Mówią tylko, że robotnicy teraz gniewają się na fabrykantów i posyłają ich do djabła. Mówią nawet, że djabeł obiecał zadość uczynić ich życzeniom.

Kto wie, czy robotnicy poślą do piekła posłów z prośbą o zwrot swych ciemiężycieli, swych katów, czy też nie!...

Klasa robotnicza i alkohol.

Czy występując wrogo przeciwko alkoholowi, winniśmy mieć na widoku jedynie osobiste szczęście lub pomyślność naszych dzieci? Czy klasa robotnicza nie powinna dbać o to, by przyszłe pokolenie było zdrowsze i dziejniejsze od nas? Czyż nie dość już osłabia siły naszych dzieci złe odżywianie się rodziców, nazbyt długa praca, wadliwe wychowanie i tysiące innych ujemnych czynników związanych nierozerwalnie ze stanowiskiem robotnika? Czyż i alkohol ma zwiększać liczbę wpływów znieprawiających masy robotnicze? Czy koniecznie i dzieci nasze mają być zatrute alkoholem i przez to niedość silne? Z każdym rokiem nietylko walka o kęs chleba, ale i walka klas zaostrza się, dlatego należy pragnąć, by następne pokolenia dziedziczyły w całej pełni siły i zdrowie, by rozporządzały całym zasobem zdolności duchowych i fizycznych. Tylko tacy ludzie będą w stanie usuwać z drogi coraz wyżej piętrzące się przeciwności! Zatem jeszcze jeden i to nie bylejaki powód do walki z alkoholizmem.

Wódka nie tylko zwiększa potęgę wszystkich tych czynników, które pchają robotnika do zguby, nietylko potęguje niebezpieczeństwo zewsząd i bez tego nań czychające ale zabija w nim nawet słabe kiełki tych dążeń i zamiarów, które mają wyprowadzić klasę robotniczą z dzisiejszego beznadziejnego niemal stanu ku jaśniejszej przyszłości. W walce klas wódka jest hamulcem dla klasy pracującej, jest ona nadto orężem w rękach klas posiadających.

Zdaniem tow. Wiktora Adlera alkohol stanowi część składową całego systemu ciemiężenia ludzi. W innem miej-

scu ten sam Adler mówi: „alkohol zatrzymuje masy robotnicze na tym stopniu złudzenia i niepewności, słabości władz umysłowych i woli, że znoszą one z pokorą wszelki ucisk i wyzysk".

Kogo te argumenty nie przekonają, niech się zastanowi nad tem, że najboleśniejszą klęskę ponieśliby posiadacze, z chwilą, gdy lud przestałby zupełnie pić wódkę. Przez wódkę panowie ci, nietylko wyciągają miljony z kieszeni robotniczych, ale nadto masy całe pozbawiają rozumu. Wielcy posiadacze rolni wiedzą dobrze, na co robią wódkę! Kiedyś i lud zrozumie, w jakim celu mu ją sprzedawano, wtedy przestanie pić, czem zada całej kaście dotkliwy cios w najczulsze miejsce, w kieszeń.

Ruch robotniczy przeciw alkoholowi prowadzi klasa pracująca od lat kilkunastu w Szwajcarji pod kierunkiem tow. Ottona Langego, w Belgji kieruje nim tow. Vandervelde, w Austrji tow. Adler. Kierownicy jego powiedzieli sobie i innym najzupełniej wyraźnie, że walkę z alkoholem należy uważać jako środek pomocniczy w walce klas. To nam chyba winno powiedzieć wszystko.

Powtórzmy przedewszystkiem jeszcze raz, co uważamy za główną przyczynę pijaństwa.

Prócz czynników społecznych odgrywa tu wielką rolę brak oświaty, złudzenia co do użyteczności wykoku, jako środka bądź wzmacniającego, bądź leczniczego, ogólne pijaństwo, wreszcie przymuszanie do picia. Widzimy z tego, że najdalej idąca zmiana warunków społecznych nie będzie jeszcze w stanie usunąć alkoholizmu. To co wyrosło i krzewi się na gruncie ciemnoty mas, jedynie oświata wyplenić zdoła.

Zjawia się pytanie, czy tę pracę uświadamiającą możemy odłożyć do czasu zmiany warunków społecznych czy też starać się o częściowe urzeczywistnianie naszych dążeń? Czy na pierwszym planie stać winna lepsza płaca, dalej lepsze mieszkanie, jeszcze dalej lepsze warunki pracy, wreszcie po zdobyciu tego wszystkiego walka z alkoholizmem? Każdy uświadomiony pracownik odpowiedzieć musi, że tego rodzaju dzielenie całokształtu pracy nad polepszeniem bytu robotnika na poszczególne etapy jest niedopuszczalne, gdyż wszystkie one są ze sobą związane nierozerwalnie. Trzeźwy pracownik będzie rozsądniej i skuteczniej usiłował zdobyć lepsze warunki płacy niż pijak, w interesie więc klasy robotniczej leży walka przeciwko przesądnej wierze we wszechpotęgę alkoholu. Nadają się ku temu niezmiernie już istniejące organizacje zawodowe i polityczne, pracują one nie od dziś, zaznajamiają swych członków z prądami, dążeniami i ideałami, nikt jednak nie zaprzeczy, że praca ich będzie łatwiejszą, gdy będzie się odbywała wśród ludzi świadomie trzeźwych.

Kooperacja społeczna, jako obrona mienia ludności.

II.

Bertrand, kooperatysta belgijski, w dziełku pt. „La Cooperation" podaje następujące bardzo ciekawe fakty. Gustaw Maier w „Sociale Bewegungen und Theorien" podaje, że na tysiąc marek spożycia każdej z rodzin miejskich przypada w Niemczech 333 mk. Na zaś 500 mk. spożycia każdej z rodzin wiejskich przypada 166 mk. zysku pośredników handlowych.

Wino kosztuje w winnicy 50—60 cent. za litr, sprzedaje się w sklepach paryskich po 1 fr. 50 cent. do 2 frank. Pomarańcze hiszpańskie w najlepszym gatunku kosztują 22 franki — 100, czyli 2 centy sztuka. W sprzedaży detalicznej podnoszą się one do 15—20 cent., czyli o 700—1200%. Ryż kosztuje w Marsylji 34 fr. — 100 kilo, czyli 17 cent. funt. W Paryżu tenże ryż sprzedaje się u detalistów po 50 centów funt. Kawa kosztuje w Marsylji 375 fr. — 100 kilo, czyli mniej, niż 1 fr. 90 centów funt. W Paryżu ta sama kawa kosztuje 3 franki. Aptekarze kupują antiperynę po 30 fr. za kilo, a sprzedają po takiej cenie, by móc uzyskać za kilo 300 franków. Chininę kupują po 80 fr., a każą sobie za nią płacić 1000—1500—2000 fr. Ubranie wartości 12 fr. sprzedaje się, podług Pelloutier, za 35 franków. Bielizna, której wyprodukowanie kosztuje 15—20 franków tuzin, sprzedaje się u hurtownika za 60—80 fr. tuzin, a w sprzedaży detalicznej po 7—8 fr. za sztukę czyli 5 razy ponad wartość rzeczywistą.

Wogóle sumy, które oddajemy pośrednikom handlowym, są w rzeczywistości nader znaczne. Gdybyśmy je oszczędzać mogli tak, jak to się odbywa w stowarzyszeniach spożywczych, cyfry oszczędności naszych wyglądałyby wcale pokaźnie.

W 1906 r. było w Anglji 1469 stowarzyszeń spożywczych. W przeciągu jednego roku wytworzyły one fundusz oszczędności członków w wysokości 9 972 250 funtów szterlingów *).

W 1907 r. ta sama pozycja podniosła się do wysokości 10 899 332 funt. szterlingów

Niemieckie stowarzyszenia spożywcze, należące do „centralnego Związku" w Hamburgu w liczbie 1068 zgromadziły w 1908 r. 21 102 782 mk.

Szwajcarskie — 259 w 1907 r. 5 074 897 fr.

Belgijskie socjalistyczne — 162 — w 1906 r. 3 943 586 franków.

Podług obliczeń Grey'a, sekretarza unji angielskiej, stowarzyszenia angielskie w ciągu okresu od 1875—1900 r. zwróciły swym członkom więcej, niż $2^1/_2$ miljardy oszczędności.

Co się tyczy wysokości sum, przypadających na poszczególnych członków, to jest ona nader różnorodna. Zależy od rozmiarów, dokonanych przez członka w ciągu roku zakupów, od wysokości cen, kosztów administracji.

W brukselskim „Maison du Peuple" stow. przeważnie robotniczem przeciętna wysokość rocznego zakupu przypadająca na jednego członka wynosiła w 1906 r. 245 fr.

W bazylejskim „Allgemein-Konsum-Vereine" taż sama przeciętna stanowiła w tymże roku 581 fr. Ta wysokość przeciętnej zakupu w Bazylei tłomaczy się tem, iż do bazylejskiego Związku należą wszystkie warstwy ludności. Stowarzyszenie spożywcze ogarnia całą niemal ludność miasta łącznie z klasą zamożnych i nawet bogaczy-miljonerów. W 1906 r. przeciętna wysokość zakupu rocznego, przypadająca na jednego członka stowarzyszenia stanowiła, podług obliczeń Lavergne'a: w Anglji 729 fr., w Szkocji 930 fr. w Szwajcarji 411, we Francji 307 fr., w Belgji 300 fr., w Niemczech 308, w Danji 333 i na Węgrzech 207.

To systematyczne wytwarzanie oszczędności i zwrot ich po upływie terminu operacyjnego przedstawia dla niezamożnej większości członków stowarzyszenia fakt pierwszorzędnego znaczenia. Jest to ów ważny moment indywidualnego interesu ekonomicznego, który w miarę uświadamiania go przez masy, werbuje stowarzyszeniom spożywczym coraz to większe szeregi członków.

Święto pieśni w Finlandji.

W Teriokach dnia 23 czerwca obchodzono fińskie święto narodowe — święto pieśni.

Ze wszystkich stron Finlandji, dawnym zwyczajem, przybyli śpiewacy, artyści-muzycy i chóry ludowe. Pociągi z Helsingforsu, Wyborga i innych miast Finlandji przybyły na stację Terioki przepełnione. Na drodze od dworca kolejowego do parku wzniesiono łuki tryumfalne, przybrane we flagi narodowe i kwiaty.

W parku zebrały się tysiące ludzi.

Uroczystość otwarto o godz. 7 wieczorem śpiewami pieśni narodowych. Orkiestra zagrała hymn finlandzki. Z estrady powitał zebranych dyrektor gimnazjum miejscowego Pajari.

„Tu (mówił Pajari), na brzegu zatoki fińskiej, dziś zebrali się śpiewacy i muzycy, artyści nasi i chóry, tu do tego chłodnego brzegu przybyły dziś tysiące naszych braci i jutro przybędą nowe tysiące, aby pomiędzy sobą wzmo-

*) Funt szterl. — 20 marek.

cnić ten związek duchowy, którym dotychczas szczyciła się nasza kultura. Przywykliśmy corocznie spokojnie i radośnie cieszyć się i dzielić między sobą tym zapasem twórczości, którym odznaczał się nasz naród. Obecnie widocznie i sama przyroda jest przeciw nam. Pochmurny i dżdżysty dzień wytwarza nastrój przygnębiający, ale nie powinniśmy upadać na duchu. Powinniśmy ze spokojem trwać na dotychczasowem stanowisku. W dalszym ciągu mamy rozwijać naszą pracę kulturalną, a bądźmy pewni, że uroczystości nasze nie pozostaną bez wpływu dobroczynnego na wszystkich uczestników.

Będziemy żywili nadzieję jaśniejszej przyszłości i wspólnie pracowali ku dobru naszej drogiej Finlandji".

Entuzjastyczne brawa wtórzyły słowom Pajari.

Następnie na estradzie ukazali się trzej starcy. To przedstawiciele Korelji: Wałokania, Lesienia i Anno Sachro. Starcy śpiewali i deklamowali narodowe pieśni korelskie.

Publiczność nagrodziła ich długotrwałemi oklaskami.

Artysta Oskar Salo w języku fińskim deklamował poezje Mikko Uottinema.

Następnie połączone chóry wykonały pieśni narodowe.

Pastor Arrokaljo z estrady wypowiedział mowę, w której pomiędzy innemi rzekł, iż na świecie ostatecznie zawsze zwycięży wieczna prawda.

W miejscowej szkole ludowej wieczorem odbył się koncert, w którym udział wzięli najwybitniejsi w Finlandji artyści i miłośnicy sceny fińskiej.

W parku, nad brzegiem zatoki fińskiej, do późnej nocy palono ogniska i puszczano ognie sztuczne.

Balon omnibusowy Zeppelina.

Pisaliśmy o katastrofie najnowszego balonu Zeppelina „L. Z. VII", który towarzystwo akcyjne dla żeglugi powietrznej miało używać do przewożenia podróżnych.

Balon ten odbył jedną pomyślną podróż z Friedrichshafen do Düsseldorfu.

W nocy z dnia 21 na 22 czerwca wyprowadzono balon z hali we Friedrichshafen, a o godzinie 1 po północy miała rozpocząć się podróż, rozmaite okoliczności spowodowały dwugodzinne spóźnienie. Kierownictwo balonu objął sam hr. Zeppelin. Obok niego wzięli udział w podróży członkowie rady nadzorczej akcyjnego Towarzystwa dla żeglugi powietrznej, Löwe z Berlina i Vögerle z Mannheimu, aby odebrać nowy balon na własność wymienionego towarzystwa. Po za tą urzędową komisją uczestniczyło w podróży jeszcze kilka osób, załogę zaś tworzyło 12 ludzi.

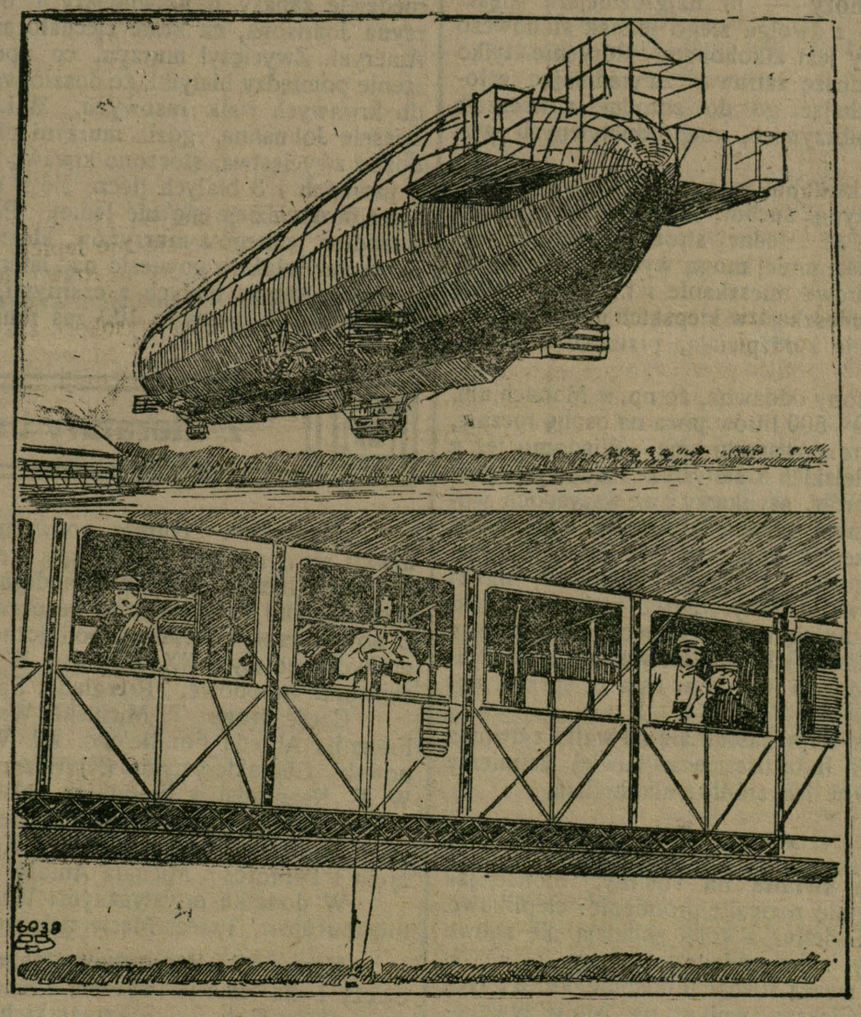

O godzinie 3 rano rozpoczęła się podróż. Z początku wiatr wiał przeciwko balonowi, ale wkrótce zmienił swój kierunek, a następnie wiał bardzo słabo. Balon mógł bez przeszkody rozwinąć pełną szybkość. Motory pracowały z całą siłą i balon płynął bardzo szybko nad miastami i wsiami, pogrążonemi w śnie. Hrabia Zeppelin trzymał się prostej drogi powietrznej, nie chodziło mu bowiem o pokazanie balonu mieszkańcom rozmaitych miast. Już o godzinie $4^1/_2$ balon przeleciał nad miastem Ulm, znikając szybko przed oczami stróżów i policjantów. O godzinie 6 i 5 minut pojawił się w pobliżu Stuttgartu, skąd widziano go dosyć dokładnie przez krótką chwilę. Przestrzeń z Friedrichshafen do Stuttgartu, wynoszącą 200 kilometrów, przeleciał balon w ciągu trzech godzin, co daje szybkość 70 kilometr. na godzinę.

O godzinie 7 rano ujrzano balon nad Mannheimem pośród drobnego deszczu. O ile możności hrabia Zeppelin starał się trzymać na małej wysokości dla oszczędności gazu. Uczestnicy podróży spożywają śniadanie z aluminjowej zastawy i przez okna wygodnej kabiny oglądają coraz to zmieniający się krajobraz. Zwłaszcza podróż wzdłuż Renu była zachwycająca. Szybko przejeżdżano nad miastami Bingen, Bonn, Kolonja. Ludność Düsseldorfu gorączkowo oczekiwała przybycia balonu. Ulice przepełnione były publicznością, wielu ciekawych usadowiło się na dachach, zaś na placu lądowania zgromadziło się kilka tysięcy osób. Wreszcie o godzinie 12 pojawił się balon nad miastem, wykonał szereg manewrów i wylądował gładko. Burmistrz z miasta Düsseldorfu powitał hr. Zeppelina uroczystą przemową. Drogę z Friedrichshafen do Düsseldorfu, wynoszącą 400 klm. przebył balon w 9 godzinach.

Druga podróż była dla balonu omnibusowego całkiem nieszczęśliwą — uległ on zupełnemu zniszczeniu.

Rycina przedstawia ogólny widok zniszczonego balonu i pomost łączący obie łodzie, a stanowiący jakby rodzaj wagonu osobowego. Po obu stronach „wagonu" znajdują się okna, przez które podróżni mogą swobodnie oglądać okolicę. Balon ma 148 mtr. długości 19 000 mtr. sześciennych objętości. Po odtrąceniu ciężaru balonu i motorów pozostaje siła udźwigowa 4 do 5 tysięcy kilogramów.

Zniszczony balon ma być na nowo odbudowanym.

Rozmaitości

Maszyna do karczowania lasów. Wynalazca niemiecki Büttner skonstruował pomysłową maszynę do karczowania lasów. Użycie jej uczyni zbędnem ścinanie drzewa i wykopywanie korzeni, maszyna bowiem wyciąga całe drzewa z ziemi wraz z korzeniami. Składa się ona z lin stalowych i całego szeregu wind i bloków, które powiększają jej siłę ciągnącą. Przy przeprowadzonych próbach wyciągano olbrzymie pnie dębowe, o średnicy jednego metra, bez jednego uderzenia siekierą. Maszyna pracuje ogromnie szybko i tanio; siłę jej można dowolnie zwiększać. Do ustawiania i obsługi wystarcza dwóch robotników.

Wynalazca rozpoczął starania o uzyskanie patentów na wszystkie kraje i ma nadzieję, że wynalazek jego rozpowszechni się w niedalekiej przyszłości, oddając rzetelne usługi i zmniejszając ogromnie obecne koszta karczowania lasów.

Dotychczasowe próby odbywały się w niemieckiej Afryce, gdzie Büttner przebywa od dłuższego czasu, zajęty przy administracji kraju.

* * *

Alkoholizm i suchoty — to najgroźniejsze klęsk współczesnej ludzkości — z dwojga złego jednak stanowczo gorszy, niebezpieczniejszy jest alkoholizm, który nie tylko ciało zabija, lecz także duszę zatruwa, zwyradniając człowieka moralnie i popychając go do zbrodni, a wreszcie staje się także źródłem olbrzymich, nieproduktywnych wydatków.

Oprócz tego jednak alkohol w wielkiej części wypadków jest główną przyczyną suchot. Łatwo to zrozumieć, jeśli uświadomimy sobie, że z jednej strony ludzie, używający alkoholu z konieczności mniej mogą wydawać pieniędzy na dobre pożywienie, zdrowe mieszkanie i t. p., że zatem alkoholicy bardzo często mieszkają w kiepskich mieszkaniach, niedostatecznie się ubierają i odżywiają, przez co ułatwiają przystęp w chorobie.

Jest to fakt, stwierdzony oddawna, że np. w Monachjum, gdzie wypijają około 400–500 litrów piwa na osobę rocznie, suchoty są szczególnie rozpowszechnione. Wiadomo też z badań urzędowych angielskich i statystyk rządowych pruskich, że wśród restauratorów, szynkarzy i we wszystkich wogóle zawodach, które mają bliższą styczność z napojami upajającymi, umiera przeszło dwa razy tyle ludzi, co przeciętnie wśród ogółu ludności. Z pośród kielnerów, nawet przeszło połowa umiera na suchoty. Jeżeli wobec tych faktów zważymy, że suchoty są bardzo często dziedziczne, a oprócz tego u alkoholików i ich potomstwa znacznie trudniej są uleczalne, przedstawi się nam cała ta sprawa dopiero w należytej grozie.

Największy czas na serjo zabrać się do walki z dwoma tymi groźnymi wrogami ludzkości, ą najłatwiej usuniemy suchoty, zwalczając główne ich źródło: alkoholizm.

* * *

Wpływ barwnego światła na rośliny. Słońce, jak wiadomo, wysyła na ziemię rozmaite promienie: cieplikowe, świetlne i chemiczne. Świetlne z kolei składają się znowu z promieni różnej barwy, które widzimy w tęczy.

Otoż ciekawą jest rzeczą zbadać dokładnie, które z tych promieni wywierają największy wpływ na istoty żywe — zwierzęta i rośliny.

Kwestję tę podjął się zbadać pan Kamil Flammarion, znany astronom francuski; urządził on sobie inspekty z różnokolorowemi szkłami i hodował w nich różne rośliny.

Doświadczenie to trwało dość długo, bo całe 3 lata; rezultaty otrzymane są bardzo ciekawe.

Pan Flamarion zasadzał np. czułki (mimozy) na 27 milimetrów wysokie jednego dnia w rozmaitych inspektach i starał się dać im jednakowe warunki rozwoju.

Okazało się, że pod szkłem niebieskiem rośliny żyły, ale nie rosły, były jak gdyby pogrążone w letargu. Pod białemi szybami rosły dość bujnie, rozwijały się prawidłowo i dosięgały 100 mm wysokości. W inspekcie zielonym chorowały na bladaczkę, lecz pomimo to liczyły 152 mm. wysokości przeciętnie.

Najbujniej rozwinęły się pod szkłem czerwonej barwy, wyrosły bowiem aż na 423 mm., zatkwiły tylko tutaj, a ich wrażliwość podniosła się do tego stopnia, że zamykały listki za najlżejszem dotknięciem. Niebieskie natomiast mimozy utraciły zupełnie wrażliwość.

Doświadczenia, przeprowadzone z wieloma innemi roślinami, dały podobne wyniki: t. j., że promienie czerwone najbardziej sprzyjają rozwojowi.

Światło wpływa jednak nietylko na rozwój rośliny, ale i na zabarwienie kwiatów oraz owoców.

I tak np. odmiana czerwona lilas de Mary staje się białą w ciemnościach; bez tak samo nie obarwia się w szklarniach czerwonych, niebeskich i zielonych. Korzystając z tego faktu, można otrzymać na jednem drzewku różnych odcieniów kwiaty.

Liście purpurowe alternanthera amaena stają się zielone pod działaniem promieni czerwonych.

Kwiaty „crassulae" — czerwone zwykle — w ciemności stają się białemi.

Przykładów analogicznych Flammarion przytacza sporo. Doszedł do wniosku, że kolor światła wpływa nie tylko na zabarwienie, ale i na zapach kwiatu.

* * *

Zapasy bokserów. W Reno (Nevada) odbyły się w niedzielę zapasy najsławniejszych bokserów Jeffriesa i murzyna Johnsona, na które zjechało się tysiące widzów z całej Ameryki. Zwyciężył murzyn, co spowodowało takie wzburzenie pomiędzy białymi, że doszło wszędzie w Stanach Zjedn. do krwawych walk rasowych. W Los Angelos, rodzinnem mieście Johnsona, gdzie murzyni okazywali szczególną radość z zwycięstwa, stoczono krwawą walkę, na skutek której 5 czarnych i 3 białych leczą się z ran w szpitalu. W Nowym Jorku dzieje się nie lepiej. Policja uratowała wczoraj z trudem jednego z murzynów, którego rozmamiętniony tłum zamierzał właśnie powiesić na latarni ulicznej. Wieczorem nastąpiły starcia białych z czarnymi, przyczem 14 osób zostało zabitych, przeszło 100 zaś ranionych.

Z literatury i sztuki

„Krytyka". Numer podwójny na lipiec i sierpień ukazał się i zawiera następującą treść: Część pierwsza: (f) Sen nocy letniej, prof. Jan Baudoin de Courteney: Z państwa anarchji i chronionego bezprawia. Dr. Marjan Kukiel: Z nowoczesnej literatury politycznej. Junius: Współcześni polityczy polscy. XX. Bolesław Wysłouch. H. Orsza: Wychowanie narodowe. Przegląd. Sprawozdania.

Część druga: T. Miciński: Wiatr halny. Jan Hempel: Filozofja Alfreda Fouille'ego. Wł. Wankie: Wacław Szymanowski. Charakterystyka. (X) Wizerunek bohatera polskiego. W. F. Najmłodsi w literaturze polskiej V. Nowy talent. M. A. Walewska Renesansowe duchessy. Edw. Woroniecki: „Pan Balcer w Brazylji". Dr. Wł. Kozicki: Eros. Fragment o życiu i twórczości Michała Anioła. Przegląd. Sprawozdania.

W dodatku artystycznym: Wacław Szymanowski: Kłótnia hucułów. Tkacz. Macierzyństwo. Karjatydy.

Numer 27 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Eliza Orzeszkowa: A... B... C... — Z krzyżackich bojów. — A. Czechow: Kasztanka. — H. Z.: Na swojską nutę... — St. Buraczewska: Djabelski statek. — Ze świata: Bieg rozstawny uczniów gimnazjalnych. — Najnowszy balon Zeppelina. — Wystawa ręcznych prac uczniów szkół średnich w Krakowie. — Martwe miasto w Azji środkowej. — Odezwa do młodzieży w sprawie doświadczeń gieograficznych. — Łamigłówka. — Rozwiązanie. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 29. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 lipca 1910.

S. LEHM.

Protest małp.

(Bajka.)

Jak ostatnia wieść niesie
W największym Ameryki lesie,
Który się zbyt mały
Okazał — zebrały
Się ze wszech stron świata
Małpy. Zwabiła je debata
Nader ważna.
Jako rój motyli
Na gałęziach rozsiadła się zgraja goryli,
Wyższe stany
Reprezentowały Szympanse i Orang-utany,
A z powodu zbyt odległych siedzib, jako tako
Zastąpiona była także rodzina Makako.
Las zapełnił wrzask, piskliwe głosy,
Wydawane przez wzburzone małpy różnonose,
Nielada bo też była wzburzenia przyczyna:
Hańbiąca małpi ród — teorja Darwina.

Przedstawił sprawę małpi-król.
Więc opisał ból
I krzywdę małpiego rodu — że to chyba człowiek
Jedynie potrafi bez mrugnięcia powiek
Taką rzucić potwarz... Jak to im zaszkodzi,
Gdy się wieść rozniesie, że człowiek pochodzi
Od małp. „Małpy! czy wy wiecie,
Jakie pojęcie o was będą mieli w świecie?!
Mnie samej — jakem małpa — wstręt się w [sercu budzi
Na myśl, że my przyczyną istnienia tych... ludzi,
Lecz to fałsz — wymysł oszczerczy Darwina.
Jeśli konieczną jest im ich bytu przyczyna
Nie brak im stosowniejszych wśród zwierząt okazów,
Wszak się mogą wywodzić od gadów — od płazów,
A nie od małp szlachetnych — niechże nikt nie [zapomina,
Że zniszczyć trzeba w zarodku to łgarstwo Darwina
I raz na zawsze odeprzeć podobne mu kłamy.
Zaczem protest żywy uchwalamy,
Wszelakie małpy zebrane tu w lesie
I niech się wieść w proteście rozniesie
Po całym świecie.
Ogłosić go radzę w bydlęcej gazecie“.
Małpy przyklasły tym słowom radośnie,
Poczem protest uchwalony został jednogłośnie
Zaczem wstała małpa z rodziny Makako
I nową wyłuszcza kwestję — mianowicie taką:
(Makaki są to małpy zwyczajnego wzrostu
Chytry uśmiech na twarzy gładkiej, bez zarostu)
„Sam protest to wygrana jeszcze jest zbyt mała,
Zwyciężyć może ten tylko, co i przytem działa“
A zewsząd głosy: Więc jaka jest rada?
A ona tak powiada:
Istnieje wśród ludzi kasta — czyli też rodzina,
Dążąca do obalenia teorji Darwina,
A każdy z nich stary jest czy młody
Skrzętnie zbiera dowody,
Że człowiek z małpą nie ma nic wspólnego,
Wprawdzie dotychczas mało tam tego
Zebrali — ale my w podzięce
Pójdziemy im za to na rękę
I każdej chwili zaświadczyć jesteśmy gotowe,
Że człowiek jest nie od małpy, ale — bydle nowe.

REGIS LAMOTTE.

ZŁODZIEJ.

— Mój syn złodziejem! Ależ to żart niesmaczny! to nikczemna potwarz!

Komendant Laveur wybuchnął śmiechem; wiedział przecież, że to było rzeczą niemożliwą. W jego rodzinie, znanej z uczciwości, nie było miejsca na tego rodzaju nikczemności. Dotąd honor rodziny Laveurów był bez skazy; rodzina ta wieki pozostawała wierną swemu honorowi i uczciwości, i tak będzie zawsze! Wojskowi z dziadów pradziadów, Laveurowie przelali dużo krwi za Francję, a stary komendant był ostatnią latoroślą tego drzewa szlachetnego. Wszyscy wymarli, on sam pozostał — wdowiec, emeryt, wyczekujący śmierci.

Jedyną jego miłością, jedyną radością był syn, dwudziestopięcioletni Wiktor. Młody, przystojny, był dumą ojca, który pokładał w nim całą swoją nadzieję. Byłoby może lepiej, żeby, wzorem swych przodków, Wiktor wstąpił był do wojska, czego ojciec pragnął gorąco, lecz w młodym chłopcu odezwała się krew matki i Wiktor, wbrew woli ojca, został kupcem. Ojciec nie chciał się sprzeciwiać powołaniu syna i Wiktor wstąpił jako współpracownik do jednego z wielkich domów handlowych w Paryżu. Był pracowity, żywy, przedsiębiorczy i wysoce uczciwy. To też stary komendant zapomniał o wymarzonej dla syna karjerze wojskowej i cieszył się chwilą obecną. Wiedział, że syn jego jest ceniony, szanowany, a zwierzchnik odzywał się o nim z najwyższem uznaniem.

Komendant Laveur pogardliwym ruchem wrzucił do ognia anonim, którym go zawiadomiono, że syn jego Wik-

tor skradł z kasy swego patrona znaczną sumę i umknął, zanim zdołano go zatrzymać.

W tej właśnie chwili młody człowiek wrócił do domu. Ojciec na razie miał zamiar przemilczeć o całem tem zajściu, ale widząc, że syn jest niezwykle zdenerwowany, uczuł rodzącą się wątpliwość i jął mówić wbrew swemu zamiarowi:

— Otrzymałem — rzekł — nikczemny list. Oskarżają ciebie... Mówię ci o tem tylko żartem, do anonimów nie przywiązuję bowiem żadnej wagi... Oskarżają ciebie, że jesteś...

Zamilkł. Słowo „złodziej" nie mogło mu przejść przez usta, więc dodał śpiesznie:

— Nie mówmy już o tem, to drobnostka!

— O, nie! to sprawa bardzo poważna.

— Co mówisz?

— Mówię, że mię oskarża nietylko ten anonim, lecz i mój szef jest przekonany o mej winie.

Starzec powstał, krew uderzyła mu do głowy, wargi drgały.

— Pozwól mi dokończyć — rzekł Wiktor. — Z kasy zginęło dziesięć tysięcy franków i cztery osoby mogą być oskarżone o tę kradzież: kasjer, jego dwaj pomocnicy i ja.

— Dlaczego ty?

— Przeszłej niedzieli wszyscy trzej urzędnicy byli nieobecni, ja zaś z powodu naglącej pracy zmuszony byłem udać się do biura. Tego dnia właśnie kasjer zostawił klucze od kasy na swojem biurku, a prócz mnie nikogo więcej wtedy w biurze nie było! Szef ręczy za uczciwość kasjera i jego pomocników, a więc tylko ja jeden jestem podejrzany!

— I on miał odwagę rzucić ci w twarz taką zniewagę?

— Jeszcze nie, ale wierzę, że wkrótce to zrobi.

— Eh, przecież to jest niemożliwe...

Komendant przesunął ręką po twarzy, jak gdyby usiłując pohamować gniew, budzący się w duszy, następnie rzekł spokojnie:

— Pójdę do twego szefa i oczyszczę cię z zarzutu, ale wprzód musisz mię upewnić, musisz uspokoić moje sumienie; dlatego też przysięgnij na honor naszej rodziny, że jesteś niewinny!

— Przysięgam! — zawołał Wiktor, podnosząc rękę.

— Dziękuję ci, teraz jestem zupełnie spokojny.

Nazajutrz zrana komendant postąpił tak, jak powiedział synowi: udał się do biura handlowego. Pan Maurol, właściciel biura, ujrzawszy go, nie okazał najmniejszego zdziwienia, podał mu krzesło i czekał w milczeniu, co ten mu powie.

— Panie — rzekł komendant wyniośle — mój syn zwierzył mi się, o jaką nikczemność jest podejrzewany. Są tylko dwa sposoby rozstrzygnięcia podobnych kwestji. Gdybym mógł przypuszczać, że mój syn jest winien, w obronie honoru mego nazwiska wygnałbym go z domu bez namysłu, a panu zwróciłbym sumę skradzioną, chociażby mi to groziło ruiną, ale niktby nie wiedział o tym skandalu.

Pan Maurol skinął głową potwierdzająco.

— Ale ja wiem, ja wiem! — krzyknął komendant — że mój syn nie jest złodziejem! Syn mój nie może być złodziejem! To być nie może, chociażby nawet wszelkie pozory świadczyły przeciwko temu! W naszej rodzinie nie było nigdy nikczemników! Otóż przyszedłem, aby panu oznajmić, że Wiktor jest niewinny; ja ręczę za jego uczciwość, ja, panie Maurol, a przecież pan mię zna! Znasz moją przeszłość bez skazy, wiesz, jak kocham sprawiedliwość i honor!

Maurol wzruszony pochylił głowę i rzekł:

— Nic łatwiejszego, jak zatuszować tę sprawę bardzo przykrą dla pańskiego syna, ponieważ jesteś przekonany o jego niewinności. Rozumiem doskonale pańskie oburzenie, odczuwam obrażoną godność.

— A więc pan mi wierzy?

— Ja panu wierzę. Skradzioną sumę zapiszemy w księgach na debet, a syn pański powróci na swą posadę w biurze i nie posłyszy już o tem, że był podejrzywany.

I wyciągnął rękę do komendanta.

— Wiedziałem — pomyślał komendant — że cała ta sprawa tak się skończy.

Straszny ciężar spadł mu z serca i staruszek wracał do domu raźny, wesoły; postukiwał laską po chodniku, szedł lekko, szybko, po wojskowemu.

Wiktor wyczekiwał z niepokojem jego powrotu. Zaledwie stanęli naprzeciwko siebie w małej sali jadalnej, gdzie było zastawione skromne śniadanie, Wiktor zaczął wypytywać ojca o rezultat jego wizyty.

— Sprawa jest załatwiona — odpowiadział ojciec.

Wiktor wydał okrzyk brutalnego zadowolenia.

— Dziękuję ojcu! — zawołał. — Uratowałeś mię od hańby.

Słysząc to, starzec uczuł ból w sercu, ogarnęła go trwoga, straszna myśl zapanowała w duszy.

— Byłeś więc naprawdę w niebezpieczeństwie? — wyszeptał, przejęty trwogą, przeczuwając straszną prawdę.

Wiktor spuścił głowę.

— A więc przysiągałeś fałszywie? — zawołał ojciec. — Odpowiadaj! Broń się!... Nie, nie, to jest niemożliwe! Mów, przecież nie skłamałeś?... Powiedz, tyś nie skłamał! nie jesteś złodziejem! — wołał zrozpaczony ojciec, podczas, gdy coras silniejsze podejrzenie ogarniało jego duszę...

Wiktor zgnębiony upadł przed nim na kolana i milczał. Milczenie to było wyznaniem.

Komendant zerwał się, jak wściekły. A więc to prawda! Syn jego jest złodziejem! Nie pytał o przyczynę — może karty, może kobiety, to już wszystko jedno! Stało się. Fakt był spełniony, fakt straszny, brutalny, niczem nie usprawiedliwiony. A on, ojciec, ręczył honorem za uczciwość swego syna! Krew uderzyła mu do głowy i w mgnieniu oka błysnęła mu myśl zemsty, zabójstwa. Co miał teraz czynić? Jaki był jego obowiązek wobec tej okrutnej prawdy?

Głuche milczenie zapanowało w jadalni. Wtem komendant powziął jakieś postanowienie. Szybkim krokiem wszedł do swego gabinetu i usiadł przy biurku. Zamaszystem piórem zaczął kreślić te słowa na papierze:

„Panie prokuratorze Rzeczypospolitej! W domu handlowym pana Maurol popełnioną została kradzież..."

Wiktor stał przed nim. Milczenie ojca więcej go gnębiło, niż mogłyby to uczynić najgwałtowniejsze wybuchy gniewu; zbliżył się do biurka.

— Co piszesz? — spytał nieśmiało.

— Czytaj — odrzekł ojciec i pisał dalej:

„Sumienie nakazuje mi wyznać, że sprawcą kradzieży jest mój syn Wiktor Laveur".

Komendant pisał to ręką drżącą i płakał przytem może pierwszy raz w życiu, a łzy, spadając na papier, tworzyły małe okrągłe plamki.

Organizacje abstynenckie.

Obok mnóstwa innych stowarzyszeń winny powstawać organizacje, mające na celu zupełne usunięcie wśród swych członków zwyczaju picia. Należy to robić drogą uświadamiania i rozszerzania poglądu na świat członków owych organizacji. Gdyby całe zadanie miało polegać na bezmyślnem wypijaniu na zabawach takiej samej ilości kufli wody, jaką niegdyś wypijano piwa, nie warto zaczynać pracy, gdyż nazbyt szybko stowarzyszenie takie, zamiast wywrzeć dodatni wpływ na ogół, ośmieszyłoby się samo, a sprawie wyrządziłoby niepowetowaną krzywdę. Picie wody nie może być ani celem, ani środkiem dla podobnych organizacji. Zdaniem takich towarzystw winna być praca kulturalna nad podniesieniem umysłowem członków, winna być walka przeciwko nabywaniu i piciu alkoholu w miejscach pracy i zebrań.

Tego rodzaju organizacje albo już istnieją, albo też powstają dopiero. Nawet mała garstka świadomych swego celu bojowników będzie mogła, zdaniem tow. Ottona Langego, śmiało przeciwstawić rozwielmożnionemu zwyczajowi pijaństwa i przesądnej wierze we wszechmoc alkoholu, powagę myślącej i uświadomionej części proletarjatu. Nie należy bynajmniej wymagać, by abstynencja była włączona, jak tego wielu pragnie, do programu partyjnego.

Zjazd członków partji robotniczej austrjackiej, odbyty w r. 1903 powziął następującą, godną uwagi uchwałę: „Zjazd uważa alkohol za wielkiego niszczyciela zdrowia, sił cielesnych i zdolności umysłowych mas robotniczych. Jest on potężnym i groźnym hamulcem wszelkiej pracy, mającej na celu organizację mas, wobec czego nie należy zaniechać żadnego środka w walce z tym niebezpiecznym przeciwnikiem. Pierwszym środkiem ku temu będzie zawsze podniesienie stanu ekonomicznego klasy robotniczej, a dopełnieniem, zaznajamianie mas ze szkodliwym wpływem alkoholu i zwalczanie przesądów co do wszechpotęgi wyskoku".

„W tym celu Zjazd zaleca wszystkim organizacjom partyjnym i członkom organizacji, popieranie wszelkich przedsięwzięć, mających na celu walkę z alkoholizmem i orzeka, że pierwszym i najważniejszym krokiem ku temu będzie zniesienie picia przymusowego na wszystkich zebraniach organizacji partyjnych. Zdeklarowanym zwolennikom bezwzględnej wstrzemięźliwości (abstynencji), w celu skuteczniejszej walki z alkoholizmem, Zjazd zaleca zawiązywanie towarzystw przeciwalkoholowych. Jako członkowie partji robotniczej, abstynenci owi mają nadto dbać, by członkowie towarzystw abstynenckich nie uchylali się od obowiązków, ciążących na nich pod względem zawodowym i politycznym".

Rezolucja ta stawia wyraźnie zasadę, że alkohol jest groźnym przeciwnikiem robotnika, że walka z nim jest koniecznem dopełnieniem politycznej i zawodowej walki klas.

Jeszcze dalej poszły zjazdy demokracji społecznej w Niemczech. Na zjeździe odbytym w Lipsku w roku 1909 uchwalono, że na członkach partji ciąży normalny obowiązek zupełnego wyrzeczenia się napojów wyskokowych zarówno w celu wyzwolenia robotników z otumanienia, w jakiem ich trzyma alkohol, jak i w celu przekonania posiadaczy gorzelni, że robotnik zorganiżowany jest siłą, z którą liczyć się muszą. Zjazd berliński odbyty w roku 1910 uchwalił, by wszyscy zwolennicy poglądów partji, wyrzekli się napojów wyskokowych ze względów politycznych, ekonomicznych i kulturalnych. W Belgji zrobiono jeszcze krok w tym samym kierunku: tam ze wszystkich domów ludowych, klubów robotniczych i stowarzyszeń współdzielczych robotniczych usunięto całkowicie wyskok we wszelkich jego postaciach.

Czy dr. Ehrlich zwyciężył syfilis?

We „Frankfurter Zeitung" zamieszczono wywiad z wynalazcą środka przeciw syfilisowi dr. Ehrlichem, który twierdzi, że dotychczas wszystkie wypadki kliniczne potwierdzają skuteczność jego środka, zwanego „Ehrlich-Hata-606" a w języku chemicznym „Dioxydiamidoarsenobenzol".

Osiągnięto wyniki zdumiewających uleczeń. Po 24 do 48 godzinach znikały oznaki choroby w pierwszych okresach, ale nawet w zadawnionych wypadkach skutki były wyborne. Najtrudniejsze do wyleczenia są objawy parasyfilityczne. Drugo- i trzeciookresowy syfilis daje się leczyć zadowalająco. Szkodliwych objawów nie dostrzeżono. Reakcja Wassermanna ustępowała prawidłowo.

Prof. Ehrlich uważa leczenie chemiczne za radykalniejsze od leczenia zapomocą serum, bo to ostatnie nie niszczy w zupełności zarazków.

Ale dotychczas nie można „Hata" używać poza kliniką, trzeba poczekać na wyniki tysięcy doświadczeń.

Rząd austrjacki zastosował już „Dioxydiamidoarsenobenzol" w spitalu wojskowym nr. 17 w Budapeszcie. Wyniki są następujące:

„Ehrlich-Hata- 606" nastrzykuje się tylko raz jeden, poczem powinny ustąpić wszelkie objawy syfilisu.

Otóż po tem wstrzyknięciu chorzy według wiedeńskiego „Tygodnika medycznego (Medicinische Wochenschrift) nieraz już po godzinie uczuwali silny ból w miejscu zastrzyknięcia leku. Ból ten trwał nieraz dni kilka. Temperatura ciała podnosiła się do 39,2 stopni Celsjusza (ale nigdy wyżej) i utrzymywała się na tej wysokości 12—16 godzin. Często występowały bóle głowy, nudności, wielki niepokój. Najgorszem jednak było strasznie pragnienie, nietylko skutkiem gorączki, bo miało ono miejsce również u takich, których temperatura po zastrzyknięciu została prawie normalną.

Notowano też w jednym wypadku nierówne bicie serca, szybszy puls i ogólne niedomaganie. Innemu choremu wystąpiły na twarzy i całem ciele jasnoczerwone, świerzbiące plamy wielkości talara, ale po dwóch godzinach znikły.

Naogół skutki wstrzyknięcia „Hata" były bardzo bolesne i powodowały silne wpływy lokalne i ogólne, ale najpóźniej po dziesięciu dniach znikały wyrzuty i wrzody syfilityczne.

Tak brzmi raport urzędowy lekarza wojskowego dr. Aleksego Spatza.

A więc chyba dr. Ehrlich zwyciężył syfilis?

Olbrzymiej doniosłości tego odkrycia tłomaczyć nie potrzebujemy. Jest to trjumf nauki nad jedną z najstraszniejszych chorób.

Rozmaitości

Maślanka jako środek leczniczy. Od niedawna dopiero lekarze zwracają uwagę na wartość odżywczą i leczniczą maślanki i zaczynają ją zalecać w wielu przypadkach, w których dotychczas używano zazwyczaj rozmaitych sztucznych i drogich preparatów odżywczych.

Maślanka zawiera około 0,4—1 procent tłuszczu, 4% cukru mlekowego, 4 proc. białka, 0,3 proc. kwasu mlekowego i 0,2 proc. soli mineralnych. Porównywując te cyfry ze składem mleka pełnego, który zawiera 3—4% tłuszczu, 4 proc. białka, 4 proc. cukru mlekowego i 0,5 proc. soli mineralnych, przekonamy się, że maślanka ustępuje mleku tylko pod względem ilości tłuszczu i soli mineralnych, natomiast zawiera więcej kwasu mlekowego, co ma ważne znaczenie, gdyż kwas mlekowy czyni białko strawniejszem, a pobudzając żołądek i kiszki do obfitszego wydzielania soków, zwięsza znowu strawność. Dalej, wskutek skwaśnienia białko znajduje się w postaci kłaczków, podobnie jak mleko matczyne w żołądku niemowlęcia.

Z tej własności maślanki skorzystano w niektórych przypadkach przy odżywianiu niemowląt. Do tego celu nadaje się maślanka jeszcze z tego względu, że zawiera stosunkowo mało tłuszczu, a wiadomo, że niemowlęta najtrudniej strawiają tłuszcz, zwłaszcza te, które crerpią lub cierpiały na zaburzenia żołądkowe.

Inicjatywa do karmienia niemowląt maślanką wyszła z Holandji. Tamtejsi lekarze bowiem zwrócili uwagę, że rybaczki holenderskie, zajęte cały dzień połowem ryb, karmią często niemowlęta maślanką. To dało pohop do poczynienia prób w niektórych szpitalach dla dzieci w Niemczech. Wynik prób był dodatni. Stwierdzono jednakże, że w odżywianiu niemowląt używać należy maślanki tylko jako środka leczniczego i tylko pod dozorem lekarza, gdyż maślanka użyta w sposób nieumiejęty może zaszkodzić.

Także dla dorosłych można używać maślanki jako środka leczniczego, zwłaszcza w przypadkach chorób przemiany materji. Maślanka działa wtedy w podobny sposób, jak niektóre wody alkaliczne, np. woda karlsbadzka, marienbadzka, z Ems, z Kissingen, Wiesbaden i t. d. Jak podczas kuracji za pomocą wymienionych wód, tak samo podczas leczenia maślanką należy przestrzegać wielkiej dyety. Leczenie zaczyna się od spożywania po ćwierć litra maślanki po dwa razy dziennie. Ilość tę zwiększa się stopniowo na 2 litry dziennie, leczenie zaś trwa 4—6 tygodni. Maślanki należy używać w tym przypadku po upływie conajmniej pół godziny po jedzeniu lub conajmniej tyle czasu przedtem, nigdy zaś podczas jedzenia.

Rzecz jasna, że do powyższych celów używać należy tylko maślanki wyborowej, otrzymanej we własnem gospodarstwie lub we wzorowo prowadzonej maślarni.

* * *

Niezwykły prokurator. Jest w Dreźnie prokurator Eryk Welffen, który przez swe prace z dziedziny zaga-

dnień kryminalno-psychologicznych jest powszechnie znany. Obecnie wydał on książkę pt. „Zbrodniarz seksualny, w której między innemi mówi:

Wytężająca praca rodziców, zwłaszcza matki, szkodzi często dziecku w łonie matki. Niedostateczne pożywienie, mieszkanie i brak opieki wpływają szkodliwie na rozwój noworodka. Cała armja umysłowo chorych, histeryczek, epileptyków, naurasteników, chronicznych alkoholików, a ci wszyscy są predystynowani do popełniania zbrodni lub nadużyć seksualnych, wyrasta w centrach przemysłowych. Są oni częściowo niepoczytalni; niewystarczające ustawodawstwo o obłąkanych nie chroni przed nimi społeczeństwa.

„Proletarjusz podczas wojny wygrywa bitwy. W czasie pokoju uprawia rolę, buduje drogi i miasta, swą ręką wytwarza towary, które rozwozi po ziemi lądem i wodą. Przez nieustane płodzenie i rodzenie on i jego żona odnawiają istotne siły narodu. Ciałem jego żon i córek zaspokajają swoje chuci mężczyźni jego narodu. A w nagrodę za te ofiary i niedostatki dźwiga on — nowoczesny Atlas — na swem ciele i duszy warunki do zbrodni swego narodu!“ Wülffen tem się różni prawie od ogółu swych kolegów zawodowych, że przyczyny zbrodni widzi nietylko w indywidualnych warunkach zbrodniarza. Niezwykły prokurator!

* * *

„Dzień ubogich“ w Ameryce. — Niech nam pan wypożyczy wagony tramwajów elektrycznych na dobę.

Z tą propozycją przybywa raz na rok grupa dam do zarządu tramwajów we wszystkich większych miastach Stanów Zjedn.

Chodzi o dzień ubogich, tak zwany „Charity Day“.

Petentki występują w imieniu założonych przez siebie szpitalów dziecięcych.

— Wyczerpały się już nasze fundusze — mówią do dyrektora — pan będzie odpowiedzialny za nasze bankructwo.

— Nie przeżyłbym takiego przestępstwa — oświadcza dyrektor i dąży do kasy ogniotrwałej. Panie zastępują mu drogę.

— Nie, nie chodzi o jałmużnę, ani o szantaż — przedkłada mówczyni grupy. — Chciałybyśmy dostać wszystkie miejskie tramwaje na dobę.

Rzecz załatwiona. I oto w takim a takim dniu konduktorzy i motorowi mają ferje nadprogramowe, a ich miejsce zajmują panny w białych sukniach, które poprzednio wdrażały się w te funkcje.

W dniu oznaczonym o godz. 5½ rano najładniejsze misses zajmują stanowisko. Na tramwajach wywieszono napisy: „Charity Day“ (dzień miłosierdzia). Hasłem jest: „no change“ (reszty się nie daje). Kto chce jechać, musi płacić dolarami. Co chwila słychać „no change“. Zarząd tramwajów żąda tylko pokrycia swoich kosztów, wyrzekając się wszelkiego zysku. A zysk czysty bywa duży. W Nowym Jorku dochodzi do kilku dziesięciu tysięcy dolarów.

W podobny sposób zasilane bywają inne instytucje dobroczynne. Panie wynajmują magazyny mód, ba, nawet redakcje. — A wtedy pisma pojawiają się z różnemi figlami. W rubryce „ze świata“ znajdują się różne europejskie tajemnice toaletowe, w rubryce „sprawy miejskie“ burmistrz otrzymuje radę, jak ma strzyc wąsy, jeżeli chce podobać się damom. Kasjerki przyjmują abonament na „numer dobroczynny“, otrzymują pieniądze za umieszczenie anosów i reklam w tym numerze. I znowu rozbrzmiewa „no change“. Roznosicieli pism wyręczają ładne panie wykrzykujące: „Charity Day nummer, please!“ Dochód z tego źródła bywa jeszcze większy, niż z tramwajów.

* * *

Ludzka łatwowierność. Jeden z tygodników angielskich podaje zabawny przykład łatwowierności ludzkiej. Oto kilku bulwarowców paryskich założyło się pomiędzy sobą, iż zapomocą trzech małych ogłoszeń, złożonych z trzech wierszy, w ciągu dwu tygodni zgromadzą 500 fr. bez żadnych zgoła obietnic lub objaśnień, czynionych publiczności. I istotnie, w sobotę w jednym z dzienników paryakich ukazało się lakoniczne ogłoszenie następujące: „Ludzie inteligientni raczą nadesłać natychmiast 5 fr. pod wskazanym adresem“; we środę ogłoszono co następuje: „Niedziela jest dniem ostatnim, proszę nadesłać 5 fr., gdyż nastąpi odmowa“; wreszcie w niedzielę dano ostatnie ogłoszenie: „Wszystkie przesyłki 5 frankowe, które nadesłane będą pojutrze, będą bezwarunkowo odrzucone“. Do niedzieli rano nadeszło 77 przekazów pocztowych, a w poniedziałek nadesłano jeszcze 42 przekazy. „Ludzie inteligientni“ przesłali nie 500, ale 795 fr. Zakład był wygrany, a pieniądze odesłano wszystkim „inteligientnym“ czytelnikom ogłoszenia, którzy tak skwapliwie podążyli na wezwanie ze swoją 5-frankówką.

* * *

Kto chce dostać się do nieba, niech abonuje. W Würzburgu (Bawarja) wychodzi pisemko zatytułowane: „Posłaniec grzesznej duszy“, które jednak cierpi na brak prenumeratorów. Dla zaradzenia temu nieszczęściu ogłosiło pisemko zaproszenie do przedpłaty, w którem pisze: „Zwramy uwagę naszych abonentów, że od trzeciego roku naszego wydawnictwa będziemy zamawiać corocznie 72 mszy za dusze zmarłych i na intencję naszych abonentów; kto zapłaci prenumeratę z góry, zostanie przyjęty do towarzystwa dla odkupienia dusz pokutujących w czyściu, na którego intencję odprawia się co tygodnia przeszło cztery tysiące mszy.“

Więcej żadna gazeta nie może swym abonentom ofiarować. Kto zaprenumeruje powyższą gazetę, może śmiało być pewnym, że pójdzie prosto do nieba i może drwić sobie z djabła.

* * *

(r) **Walka przeciw szczurom.** Rząd duński ogłasza obecnie wyniki tępienia szczurów, podjętego na podstawie ustawy z r. 1907. Ustawa wyznacza za głowę każdego zabitego szczura 8 oerów, t. j. 9 fen. nagrody. Od pierwszego lipca r. 1907 do 30 czerwca r. 1908 zabito w Danji 1 375 479 szczurów. W następnym roku — 1908—1909 — wynosiła odnośna liczba 1 094 223 sztuk. W dwóch tatach zatem wytępiono blisko 2 i pół miljona tych szkodników, za które wypłacono nagród ogółem 307 tys. kor., t. j. 344 tysięcy mk. Ponieważ wartość pożywienia, które szczur dziennie spotrzebuje, wynosi najmniej jeden fen., nie licząc pobocznej szkody, państwo duńskie zaoszczędziło na majątku kilkadziesiąt miljonów marek w ostatnich trzech latach. Szkodę, którą szczury w państwach kulturalnych wyrządzają, obliczono dla Francji na 160 milj. mk., dla Niemiec na 200, a dla Anglji na 300 miljonów mk. — biorąc w rachubę tylko okręgi wiejskie. Pomyślne rezultaty osiągnięte w Danji powinny i inne państwa spowodować do kroków ochronnych przeciw szczurzej pladze.

* * *

(r) **Ostateczny rezultat liczenia bydła w Prusiech** z dnia 1 grudnia roku ubiegłego ogłoszono obecnie w osobnym numerze Korespondencji statystycznej. Według tejże było w tym czasie w Prusach: koni, włącznie koni wojskowych, 3 077 941; było ich 15 111 więcej, aniżeli w roku poprzednim, bydła rogatego 11 763 161, t. j. o 325 911 mniej niż w roku 1908; owiec 4 975 632, czyli 284 606 mniej; świń 14 162 367 — o 738 994 więcej niż w r. 1908.

* * *

Smutna bohaterka procesu olsztyńskiego pani Schönebeck-Weber, której choroba umysłowa spowodowała przerwanie procesu, źle się dla niej nakoniec zapowiadającego, opuściła już zakład obłąkanych w Kartau i przybyła szczęśliwie do Berlina z mężem. Zamierza podobno udać się do prywatnego sanatorjum w Schlachtensee.

* * *

Sąd wojenny gnieźnieński skazał trębacza Albrechta z pułku dragońskiego na półtora roku więzienia. Albrecht usiłował zgwałcić pewną dwunastoletnią dziewczynkę w lesie miejskim.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 30. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 lipca 1910.

JAN LEMAŃSKI.

HALKA.

We dworze mieszkał panicz.
Zdrów był, miał majątek,
A w chacie mieszkał sobie
Chłop, na imię Jontek.

Między nim a paniczem
Toczyła się walka:
Chodziło im o dziewkę,
Której imię Halka.

Panicz durzył dziewczynę,
Jako serc pożerca,
Jontek ją umiłował
Z całutkiego serca.

Halce pachniały pańskie
Korale, perfumy,
Nie patrzała na Jontka
Stroiła mu fumy.

I był jej milszy panicz
Francusko-angielski.
Aniżeli ten Jontek,
Taki swój i sielski.

Środek historji waszym
Domysłom zostanie.
A koniec? ——— Utonęła
Halka potem w stawie.

Jontek popłakał, potem
Wziął się do fornalki.
Panicz został dziedzicem
I ma inne Halki.

Przygody emigranta polskiego w Ameryce.

(List z Ameryki.)

. . . Każdy polski chłop ze wsi przyjeżdża tutaj na adres brata, szwagra, kumotra i t. p. Brat, szwagier, kumoter zaprowadzi go pod fabrykę, tam znowu chłop pocałuje majstra w rękę i majster bierze go chętnie do roboty. Chłopisko robi za trzech, dostaje półtora dolara dziennie i żyje spokojnie; płaci księdzu 5 dol. za spowiedź, płaci szynkarzowi polskiemu, rzeźnikowi, w sklepie spożywczym, krawcowi, szewcowi i t. p. Wprawdzie wszystkim płaci podwójne ceny i przez wszystkich jest oszukiwany, ale swoją drogą składa pieniądze, żyje dostatnio, dzieci posyła do szkoły, bo ma za co, zna parę słów po „anglicku“ i bez roboty nie siedzi.

Co innego zupełnie z inteligiencją oraz z fachowcami. Fachowiec spotka się ze swoim kolegą, ten mu powie, gdzie ma szukać roboty, oraz nauczy go, jak się ma odzywać do majstra. Nasz fachowiec nie rozumie tego, co mówi, zdaje mu się i jest przekonanym, że powie coś względem roboty w swoim fachu, no i powie do majstra kilka słów po angielsku, za które może posiedzieć we więzieniu. Albo też weźmie tłomacza za grube pieniądze i pójdzie z nim do fabryki, w której tłomacz ma znajomego majstra. Ten ostatni każe sobie zapłacić z 50 dol. za robotę, podzieli się z tłomaczem, potrzyma fachowca kilka tygodni i odprawi go. Dzieje się tak dopóty, dopóki dany osobnik nie przejrzy na oczy i nie poszuka sobie sam roboty.

Co do nie-fachowca z inteligiencji, z takim bywa najtrudniejsza sprawa. Nie mówię o próżniakach, bo ci lecą na posady urzędników w polskich związkach i stowarzyszeniach, a nie znajdując posad, zostają włóczęgami, bo nie chce im się szukać roboty po fabrykach. Weźmy takiego, co chce pracować, ale nie zna tutejszych warunków.

Wysiadasz, bracie, z okrętu, jedziesz drugim okrętem do domu emigranckiego, tam cię przesłuchają i puszczą wolno, ale jesteś ciągle pod nadzorem urzędników. Zapakują cię na barkę, ta cię odwozi na ląd stały, zaprowadzą cię na pociąg, pojedziesz, przypuśćmy do Chicago. Tam wezmą cię na wóz i odwiozą podług adresu, któryś zanotował sobie w Krakowie — adres, przypuśćmy „Dziennika Chicagoskiego“ 151—153 W. Division str. Tam trafiasz na bogobojnego p. Szwajkarta, redaktora „Dziennika Chicagoskiego“. Bogobojny p. Szwajkart powie ci, że on nic nie wie o żadnej robocie i że wszystkie ogłoszenia agientów pracy, które zanotowałeś sobie w Krakowie, są tylko blagą — po amerykańsku „humbug“. Dalej pan Szwajkart (wielce bogobojny) powie ci, abyś udał się do restauracji p. Dzięciołkiewicza, gdzie się schodzą najrozmaitsi pracownicy i ci znajdą ci robotę, jako swemu rodakowi.

Woźnica cię musi pilnować, dopóki nie upewni się, czy masz nocleg.

W restauracji Dzięciołkiewicza porozmawiasz z gospodarzem, z jakim gościem i znajdą ci mieszkanie i zaprowadzą. Odprawisz woźnicę (nie dawaj mu więcej nad półtora dolara). Zapłacisz za mieszkanie z góry — po znajomości, jako rodak zapłacisz 2 dolary na tydzień. Później się przekonasz, że bez znajomości u obcych narodowości zapłacisz półtora dolara na tydzień za daleko lepsze mieszkanie.

Wracasz do restauracji Dzięciołkiewicza, zaraz znajdziesz najrozmaitszych „inżynierów“, „majstrów fabrycznych“, którzy ci obiecują złote góry i jednocześnie zapraszają do kart, do bilardu i t. p. Odmawiasz: późna godzina i t. p. Na drugi dzień idziesz na śniadanie, spotykasz się z jakim „inżynierem“ i ten cię oprowadza po wszystkich szynkach, przepytując się wszędzie o robotę. Każdy cię wysyła do drugich, każdy da ci do zrozumienia, żeś powinien coś „po-

stawić"; spotykasz nawet swego kolegę szkolnego i ten nie lepszy, nie naciąga cię wprawdzie, ale wysyła do drugich. Każdy cię wysyła od Ananasza do Kaifasza, nikt ci nic nie powie, każdy cię zwodzi. Tracisz czas i pieniądze, nie wiecz co masz robić, aż zobaczysz przypadkiem ogłoszenie agienta pracy. Pomimo, że już ci mówiono, abyś sam nie chodził, idziesz do agienta; ten ci da robotę, pracujesz kilka miesięcy i wtedy już poznałeś mniej więcej warunki tutejsze i umiesz pytać się o robotę po angielsku. Rzucasz tedy mało płatną robotę i już idziesz prosto do angielskiej agiencji, dadzą ci robotę za dobrą cenę i pracujesz, jak się należy. Agiencje angielskie mają robotę tylko po hotelach i restauracjach, ale za dobrą cenę, lekka robota, tylko długie godziny; czasem nawet trafisz na robotę w restauracji, w wielkim sklepie, jakich jest kilka w Chicago i robisz 9 godzin dziennie. Co do fabryki, sam już poznasz, gdzie masz szukać roboty i jak się o nią pytać. Bądź tylko roztropnym, nie bój się nikogo, bo nieraz ci się zdarzy spotkać się z łobuzami; oni się na ciebie spojrzą groźnie i chcą, ażebyś kupił od nich jaki zegarek i t. p. Nie bierz tego do ręki, popatrz się na jednego, drugiego, odwróć się, dadzą ci spokój.

W robocie wszyscy poznają w tobie „greenhorna" — „zielonego". Każdy ci jest przyjacielem, każdy mówi, żeś porządny człowiek i każdy chce, abyś mu postawił piwa lub kupił coś od niego. Odmawiasz każdemu, wtedy zaczną cię drażnić i chcą, abyś się rozgniewał i zrozumiał, że tylko przez fundowanie unikniesz przykrości. Nie daj się na to złapać i czekaj dalej. Wtedy zaczną ci grozić, znajdzie się jeden między nimi, który razem z tobą pracuje i w nieobecności majstra każe ci coś zrobić. Odmów mu, wtedy on cię lekko uderzy z groźną miną; złap kawał żelaza, drąg jaki, co ci wpadnie w rękę i leć na niego — ucieknie jak oparzony i na jakiś czas wszyscy dadzą ci spokój. Kiedy zaś znowu zacznie ci dokuczać, wtedy najlepiej weź brzytwę i w obecności wszystkich wyostrz ją, patrząc się na nich wyzywająco. Schowaj brzytwę do kieszeni i nie mów słowa do nikogo. Wtedy naprawdę cię uszanują i już jeden drugiego będzie ostrzegał, aby się miał na baczności.

W każdem miejscu znajdą się takie łobuzy, którzy dokuczają emigrantom na wszystkie sposoby; oni sami siebie uważają za najlepszych ludzi z powodu, że mówią po angielsku, mówiąc nawiasem akurat, jak andrusy warszawskie po polsku, i emigrantów uważają za niedołęgów, oraz starają się im królować i naciągać na pieniądze. Najwięcej takich łobuzów spotkasz między irlandczykami i niemcami, urodzonymi w Ameryce. Łobuz taki jest próżniakiem i złodziejem, nibyto szuka roboty, porobi dzień, dwa i już odchodzi, a właściwie szuka okazji, aby co ukraść, lub naciągnąć emigranta. — Gdy się z nim załatwisz, zaraz odejdzie z roboty i nie pokaże ci się więcej na oczy.

Amerykanin nigdy nie dokucza emigrantom, zawsze jest dla ciebie grzecznym, uprzejmym, zupełnie darmo będzie cię uczył po angielsku, nie leci wcale na fundowanie, najwyżej od czasu do czasu postawisz mu szklankę piwa i poczęstujesz cygarem; tak wypada i rób tak choćby dla tego, że on cię uczy darmo po angielsku.

Gdy masz jaką kwestję dotyczącą prawa amerykańskiego, lub tutejszych stosunków pytaj się tylko amerykanów, oni ci wszystko objaśniają bez cienia blagi.

Gdy szukasz roboty po fabrykach, nigdy nie chodź w towarzystwie, zawsze idź sam, poczekaj pod fabryką, wyjdzie majster, zapytaj się, czy niema jakiej zwyczajnej roboty i patrz mu się bystro w oczy. Powie, że niema, przyjdź drugim razem, trzecim. Za trzecim razem cię weźmie, bo widzi, że chcesz naprawdę pracować. Często się zdarza, że majster nie ma roboty na razie, za drugim, trzecim razem wyrzuci jakiego łobuza i weźmie ciebie na jego miejsce. Łobuz ci się odgraża i chce cię nastraszyć, idzie na ciebie, bodajby z rewolwerem, złap wtedy cokolwiek, co ci wpadnie w rękę, aby coś twardego, kawał drąga, młotek i t. p. i leć na niego, nie bój się wcale, on nie wystrzeli, przelęknie się ciebie i ucieknie odrazu.

I majstrowie fabryczni, zwłaszcza irlandczycy i niemcy chcą ci królować i czepiają się do byle czego. Zmilcz, daj spokój, ale on cię chce wypróbować i przyczepi się do ciebie, nie mając wcale racji ni z tego, ni z owego i to groźnie poprostu, jabkby cię chciał uderzyć. Wtedy złap jakiego drąga i zamierz się na niego, odskoczy i zdaleka będzie się na ciebie patrzył ponuro, ale nie podejdzie blisko, dopiero po jakiejś godzinie podejdzie, poklepie cię po ramieniu, poczęstuje cygarem i „shake hands" (uścisk ręki). Ma się rozumieć, nie można być tym, co ryje.

Najlepszym zwierzchnikiem jest amerykanin — nigdy ci nie rozkazuje, tylko zawsze prosi bardzo grzecznie i bardzo często prosi cię o jakąś prywatną przysługę, nigdy nie odmawiaj, nigdy się nie wymawiaj i gdy mu zrobisz coś prywatnie, on cię albo poczęstuje cygarem, albo weźmie na sznapsa, albo wrzuci ci coś w łapę, wtedy nie odmawiaj, bo byś go tem obraził śmiertelnie.

Dla każdego emigranta niezbędnym jest przejść przez rozmaite przeciwności, zaznać i głodu i chłodu w tym najbogatszym kraju, zwiedzić północ, południe i zachód Stanów Zjednoczonych, poznać w ten sposób tutejsze warunki — zwłaszcza dla nas polaków — co nie umiemy sobie radzić w potrzebie, tylko płaczemy i narzekamy, oraz zwalamy winę na drugich.

Tutaj sam poznasz, że od samego ciebie zależy, aby ci było niezgorzej, sam dojdziesz do przekonania, że tylko o własnych siłach możesz żyć spokojnie, sam się dowiesz, że nie należy szukać przyjaciół, kolegów, nie oglądać się na niczyją pomoc, sam nauczysz się dawać sobie radę we wszystkiem, sam będziesz sobie szukał roboty i sam ją znajdziesz.

Nie będziesz zważał, czy zimno, czy ciepło, czy błoto, czy deszcz, czy śnieg, będziesz szukał, dopóki nie znajdziesz. A znajdziesz napewno, tylko szukaj, szukaj i jeszcze raz szukaj.

Każdy polak ci powie: niema roboty, ciężkie czasy. Nie wierz temu. — W najcięższe czasy, jakie były za Clevelanda i przez ostatnich lat parę, jeszcze gorszych czasów Clevelanda, znajdziesz robotę, nie tu, to tam, nie w Chicago, to w Memphis, nie w Memphis, to w Denver, nie w Denver, to w piekle, smołę z djabłami gotować.

Bądź tylko wytrwałym, niech cię nie zniechęcają niepowodzenia, niewygody, nie martw się, co będzie jutro, jutro nigdy nie przyjdzie, miej zawsze — dzisiaj na myśli, jutro pal djabli. Całe Stany Zjednoczone myślą tylko o dzisiaj, każdy amerykanin ci powie, że jutro nigdy nie przyjdzie, każdy ci powie, że my chodzimy po ziemi i nie jesteśmy prorokami, powiesz komu, co może być jutro, zaraz cię wyśle do djabła.

Nie bądź rozrzutnym, ale i nie bądź skąpym, bo zapamiętaj to sobie, że pieniądz możesz nabyć zawsze, ale młode lata nigdy się nie wrócą.

Bądź pracowitym, nie przebieraj w pracy, weź co się trafi, aby było z czego żyć. Bądź odważny, odzywaj się mało, nie zapytany nic nie mów.

Żyj w ten sposób, a będziesz się czuł wolnym i swobodnym, a może i szczęśliwym.

W ten sposób żyje się w Stanach Zjednoczonych!

„Wiedza". J. Jasiński.

Jan Kreczyński.

Józef Dietzgen.

Przed paru tygodniami minęło 22 lata od chwili, kiedy w r. 1888 pochowano na cmentarzu chicagowskim w Ameryce zwłoki sześćdziesięcioletniego starca. Umarł na paraliż serca! Było to pogodne południe niedzielne; stary Dietzgen w rozmowie z gościem, oburzony i podniecony jego napaściami na socjalizm, równie niedorzecznemi jak śmiałemi, zabierał się właśnie do wywodów o wkrótce mającym nastąpić upadku kapitalistycznego sposobu wytwarzania, kiedy nagle serce odmówiło mu dalszej pracy. Ten starzec, pochowany w Chicago, nie był jednak amerykaninem. Urodził się i wychował w Niemczech, w Blankenburgu nieopodal Kolonji nad Renem. Naukowy organ marksistów „Neue Zeit" w notatce o śmierci Dietzgena wypowiada o nim takie zdanie: „Garbarz Dietzgen był jednym z pierwszych wybi-

tnych teoretyków, którzy wyszli z niemieckiej klasy robotniczej. Jako taki będzie on żył w pamięci niemieckich robotników nadal i wtedy, kiedy dzisiejsi cierpiący nad światem „filozofowie" salonowi dawno zapomniani już będą". „Dietzgen jest pierwszym robotnikiem niemieckim, któremu się należy zaszczyt duchowego opanowania głównego dzieła komunizmu naukowego", powiada Fr. Mehring w swej „Historji socjalnej demokracji niemieckiej". Lecz jeżeli przez to, jeżeli przez swoje broszurki, swoje szkice ekonomiczno-polityczne lub o „Religji socjalnej demokracji", jeżeli przez swoją pracę dla socjalizmu niemieckiego pozostanie Dietzgen w pamięci robotników niemieckich, to przez swoje dzieło filozoficzne będzie on żył w pamięci proletarjuszy wszystkich narodowości. W miarę pogłębiania się ruchu, w miarę wzrostu oświaty proletarjatu i wyrabiania się proletarjackiego poglądu na świat, imię Dietzgena będzie się stawało coraz głośniejsze, a książki jego coraz więcej czytane.

O ile bowiem Marx i Engels budowali podwaliny i dawali teorję nauki o społeczeństwie; o ile nawet w walce z idealizmem, w walce z całym burżuazyjnym poglądem na świat musieli zajmować się filozofją i wypowiedzieli w niej dużo rzeczy trafnych i płodnych — główną jednak pracą ich życia było zbudowanie nauki o społeczeństwie oraz ideologji proletarjatu, ideologji społeczno-klasowej. Dzieło społeczne było głównem zadaniem życia Marxa i Engelsa, i to właśnie dzieło stanowić będzie ich niezniszczalną zasługę. Jeżeli nawet w t. zw. „Antidühringu" dali oni swą pracę filozoficzną dla obrony ideologji proletarjatu niemieckiego, zaśmiecanej przez Dühringa, to praca ta była z istoty swej polemiczna, a przeto niewystarczająca. Systematycznego i wyczerpującego opracowania najważniejszych zagadnień filozofji dwaj mistrze socjalizmu nakowego nie dali, bo główne zadanie pochłonęło ich całe życie.

„Dzieło żąda całego człowieka" powiada przysłowie. Całego Dietzgena pochłonęło właśnie zagadnienie filozofji, zagadnienie proletarjackiego poglądu na świat. Zapewne, że filozofja nie skończy się na Dietzgenie, ale jemu to właśnie przysługuje cześć, że pierwszy starał się systematycznie pracować nad zagadnieniem filozofji w marksizmie. Można Dietzgena krytykować, można dopełniać — pominąć niepodobna.

Dietzgena nazywają „robotnikiem-filozofem". Nie był on wprawdzie garbarskim najemnikiem: pochodził z rodziny rzemieślnika, bankrutującego ze swym małym warsztatem wobec konkurencji większych kapitałów. Sam odziedziczył po wuju niewielką garbarnię, na której pod wpływem rozwijającego się szybko przemysłu po wojnie 1870 r. zbankrutował, co zresztą mu ułatwiono przez kilkomiesięczne więzienie. Zaczęła się tułaczka proletarjusza. Przez jakiś czas prowadził garbarnię w Petersburgu, gdzie mu się dosyć powodziło. Później wędrował kilka razy do Ameryki. Gdyby nie pomoc syna, który dorabiał się w Chicago, prawdopodobnie nie wykonałby nawet tego, co pod koniec życia stworzył. Swoje stanowisko klasowe Dietzgen najlepiej sam ujmuje w te słowa: „natura mojego przedmiotu jest przeznaczona szczególnie do tej klasy, do której, jeżeli nie mam honoru, to mam przyjemność należeć". To też nie o to chodzi, że filozofja Dietzgena jest płodem pracy proletarjusza, lecz o to, że jest ona z ducha proletarjacką.

Tym ostatnim tylko objaśnić można ten fakt, że Dietzgen jest stale przez filozofję burżuazyjną pomijany milczeniem. Olbrzymie, wielotomowe historje filozofji, historje, gdzie nie jest opuszczony żaden udoktorowany stupajka uniwersytecki i żaden rządowy profesor, nie zawierają ani jednego słowa o Józefie Dietzgenie. Lecz jest to tylko jeden więcej powód, aby Dietzgenem się zajmować.

Dietzgen był gienjalnym samoukiem. Chodził do szkółki ludowej, później jakiś czas do szkoły miejskiej w Kolonji. Słynny w okolicy aż do 15 roku życia urwis „dla poprawy" zostaje oddany na pół roku do łacińskiej szkoły jakiegoś pastora. Resztę zawdzięcza sobie. O jego zdolnościach świadczy fakt, że nauczył się sam po francusku, tak, że kiedy zakwaterowano w roku 1870 jeńców francuskich, swobodnie z nimi rozmawiał ku zdumieniu obecnych, podczas gdy gimnazjalni nauczyciele francuskiego tego nie potrafili. To też i w dziełach Dietzgena pociąga przedewszystkiem ta samorodność, samodzielność myślenia, ten bezpretensjonalny, bezpośredni, bez pozy literackiej acz pełen barwności, temperamentu i talentu sposób pisania, który jest właściwy wielkim samoukom. W całej literaturze filozoficznej trudno znaleźć książkę o większej świeżości myśli. Bystrością obserwacji i jasnością myślenia przypominają książki Dietzgena chyba te jedyne w swoim rodzaju dzieła z czasów t. zw. „odrodzenia się nauk" w Francji i w Anglji. Filozofja Dietzgena w niczem nie przypomina owej z poza ciemnych okularów wymęczonemi oczami na świat patrzącej filozofji profesorów — jest to świeża tworczość wyzwalającej się klasy.

Ocenić istotną i całkowitą wartość filozofji Dietzgena bardzo trudno. Uczynić to, o ile wogóle dziś już uczynić się da, można tylko z perspektywy rozwoju filozofji. Tytuł najważniejszego dzieła Dietzgena „Akwizyty (wyniki) filozofji" nie jest bynajmniej literackim frazesem; filozofja Dietzgena w rzeczywistości porusza najistotniejsze zagadnienia, które poruszała dotychczasowa filozofja. Tem nie mniej rzeczy te pisane są tak łatwo, że czytać je może każdy, kto umie czytać książki naukowe.

Filozofję Dietzgena nazywają „materjalizmem djalektycznym". Gdybyśmy chcieli wyjaśniać bliżej tę etykietkę „materjalizm djalektyczny", nalepioną na żywe dzieło Dietzgena zajęłoby to tyle miejsca, że z łatwością na nim wyjaśnilibyśmy samą filozofję naszego autora. Ani na jedno ani na drugie nie mamy chwilowo miejsca. Pozwolimy sobie na kilka uwag ogólnych. Walka klas jest walką na wszystkich polach życia; jeżeli na widownię dziejów występuje jakaś klasa, przynosi ona z sobą nowy pogląd na świat i na życie. Pogląd na stosunek człowieka do przyrody; pogląd na stosunek psychiki ludzkiej, na stosunek idei do materjalnych warunków w przyrodzie i społeczeństwie; pogląd na rolę idei w życiu i w świecie — wszystko to przekazywane nam jest w gotowej i przeważnie błędnej formie przez istniejący ustrój; od dzieciństwa wpajane są proletarjatowi poglądy mu wrogie, zaciemniające jego świadomość i osłabiające jego energję bojową. Czy to zagadnienie religji, czy poglądu na świat, czy moralności, czy też celów życia — inaczej ujmuje człowiek klasy burżuazyjnej, zainteresowany w zachowaniu panujących stosunków gospodarczych i z obecnego stanu rzeczy zadowolony, inaczej zaś żyjący pracą i walką proletarjusz. I jeżeli nie łatwo przeciętnemu robotnikowi zorjentować się w elementarnych zjawiskach ekonomicznych i społecznych, w codziennych zagadnieniach bezpośrednio związanych z jego bytem, to nawet uświadomiony robotnik często przesiąknięty jest poglądami narzuconemi mu z zewnątrz przez burżuazję lub drobnomieszaństwo, poglądami, które mu utrudniają walkę i życie. „Zmienić siebie" powinno być codzienną myślą robotnika. I oto każdy, kto chce uświadomienie swoje doprowadzić do końca, kto chce pogłębić swój pogląd na świat, znajdzie prawdziwą pomoc w pismach Dietzgena. Może kiedyś pisma tego filozofa-proletarjusza, starannie ukrywanego przez wiedzę burżuazyjną, zostaną przetłomaczone na język polski. O Beblu, tym olbrzymie proletarjackiej kultury, niedawno pisała „Trybuna". W chwili, kiedy cała Polska burżuazyjna tańczy kankana w takt reakcji a prasa jej bredzi o tem, że masa jest z „natury(?!)" głupia, oporna, ciemna, może na czasie będzie przypomnieć tego drugiego syna proletarjackiej kultury. Może niejednemu przyjdzie na myśl, ile zdolności, ile gienjuszu, ile sił marnuje się wśród naszego proletarjatu; że niszczone są i tłumione rękami „rodaków" zarodki kultury, daleko wyższej od burżuazyjnej, kultury, która wydaje gdzieindziej Dietzgenów. I podczas gdy w Warszawie zadrukowuje się kilkadziesiąt miesięczników, tygodników i t. d. niesłychaną tandetą umysłową, proletarjat nasz nietylko nie jest w możności tworzyć własnej kultury, ale nawet korzystać ze zdobyczy swoich braci zagranicą.

Niechaj przypomnienie Dietzgena będzie wskazówką, że najmłodsza i ostatnia klasa społeczna ma do zdobycia przed sobą wszystko, nieskończoną drogę własnej kultury — do stracenia ma tylko własną ciemnotę i kajdany,

„Trybuna".

Abstynencja jako oręż w walce.

Zdając sobie sprawę z odurzającego i usypiającego działania alkoholu, pojmując, jak ważnem jest dla robotnika zachowanie zdrowia, proletarjat walczy przeciwko pijaństwu w imię niezadowolenia. Alkohol daje zadowolenie, robi znośnem złe pożywienie, usuwa — pozornie — znużenie, godzi robotnika z jego nędznem mieszkaniem, łagodzi nienawiść ku złemu losowi, który od kołyski do mogiły stale prześladuje robotnika. Alkohol nie pozwala, by robotnik mógł sobie zdać sprawę ze stanu w jakim żyje, tymczasem musi on wiedzieć, jak nędzne jest jego pożywienie, musi czuć, jak ciało jego jest wyczerpane, jak niepodobnem do ludzkiej siedziby jest jego mieszkanie i do jakiego stopnia położenie jego jest bez wyjścia. To wszystko musi odczuć całem swem ciałem, wszystkimi zmysłami, aby znaleźć dość siły i odwagi do walki ze swym losem. Dopóki tysiące będą rozumiały swe położenie, a setkom tysięcy nie starczy świadomości, by zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia źle im się dzieje, póty walka ta nie może być zwycięską.

Często usłyszeć można zdanie, że nie należy odbierać biedakowi-robotnikowi prawa do wypicia kieliszka wódki lub szklanki piwa. Trudno wymyśleć głupsze i szkodliwsze rozumowanie. Kieliszek wódki lub szklanka piwa, pozbawiając robotnika trzeźwości sądu, odbierają mu możność rozejrzenia się w swem położeniu, gdy tymczasem powinien on czuć i wiedzieć, jak mu jest na świecie. Musi on czuć całą głębię swej nędzy, aby ucisk jej zmusił go do walki. Alkohol utrzymuje tysiące ludzi w stanie zadowolenia, odciąga od organizacji politycznych i zawodowych. Masy te są jeszcze z wielu innych względów nieuświadomione i ciemne, zadowolni je to, co im dadzą z łaski. Kłamalibyśmy, gdybyśmy twierdzili, że jedynie alkohol utrzymuje ludzi w odrętwieniu. Nikt jednak nie zaprzeczy, że alkohol jest czynnikiem powstrzymującym budzenie świadomości i każdy, kto wglądnie w życie nieco głębiej, wie dobrze, że najobojętniejszymi dla sprawy są ci, którzy cierpią zawsze największe pragnienie.

Alkohol zabija w umyśle dążenie ku poznaniu przyczyn biedy, łudzi co do trudności walki i blizkości celu, wyrywa bojowników z szeregów, napełnia masy złudną nadzieją, że musi być lepiej, utrzymuje je przy bezmyślnych zabawach, odciąga od organizacji robotniczych.

Podstawowym orężem w walce o zdobycie lepszego jutra mogą być jedynie organizacje robotnicze świadome swego celu, samo jednak zrozumienie rzeczy wystarczać nie może. Organizacje muszą powstać, należy je więc stworzyć, a do tego konieczną jest rzeczą praca umysłu świadomego swych celów i dążeń. Myśl jest najpotężniejszą bronią w walce zarówno dla jednostek jak dla mas. Alkohol zatruwa mózg, otumania umysł, zmniejsza jego zdolność do pracy, usunąć więc alkohol ze swego użycia muszą ci, którzy pragną stworzyć lepszą przyszłość dla siebie i wszystkich.

Rozmaitości

Nowa rasa amerykańska. W Stanach Zjednoczonych niejednokrotnie podnoszona była kwestja, jak wielkie zmiany pod względem antropologicznym zachodzą w potomstwie emigrantów różnych narodowości, w zależności od warunków gieograficznych i innych. Dla wyjaśnienia tej kwestji komisja imigracyjna Stanów Zjednoczonych przedsięwzięła szereg badań, które opracowane zostały przez jednego z najwybitniejszych antropologów amerykańskich, profesora uniwersytetu Kolumbijskiego, Franciszka Boasa. Sprawozdanie jego, przedstawione kongresowi, obejmuje tymczasem tylko dane, dotyczące emigrantów z Sycylji oraz żydów wschodnio-europejskich. Spostrzeżenia, dokonane nad słowianami, madziarami i szkotami, nie zostały jeszcze opracowane. Sprawozdanie udowadnia, że już w najbliższem pokoleniu emigrantów dają się zauważyć znaczne zmiany w cechach rasowych. Nawet dzieci, urodzone wkrótce po przyjeździe rodziców do Ameryki, rozwijają się pod względem fizycznym zupełnie inaczej, niż bracia ich i siostry, urodzone w Europie. Różnice te znaleziono przy pomiarach wszystkich części ciała, w szczególności zaś godne uwagi są wyniki pomiarów czaszek, gdyż forma czaszki jest uważaną za jedną z najbardziej charakterystycznych oznak indywidualności rasowej. Stwierdzono, że urodzeni w Ameryce potomkowie długogłowych sycylyjczyków i krótkogłowych żydów wschodnio-europejskich posiadają jedną i tę samą formę czaszki. Również daje się zauważyć ostra zmiana w wyrazie twarzy u potomków emigrantów w porównaniu z ich rodzicami. Zwrócono także uwagę na zwiększenie wzrostu potomków zarówno sycylyjczyków jak żydów wschodnio-europejskich. W Ameryce dane te uważane są za dowód, że pod wpływem amerykańskich warunków życia wytwarza się tam nowa rasa amerykańska, powstająca z różnych składników etnicznych ludności europejskiej.

* * *

Handel żywym towarem kwitnie na Kaukazie; mianowicie pisma petersburskie donoszą, że skutkiem zawiadomienia, otrzymanego w ministerjum spraw wewnętrznych, policja w Turkiestanie i na Kaukazie otrzymała rozkaz zwrócenia uwagi na handlarzy „żywego towaru“, który partjami pod postacią śpiewaczek, bon i pokojówek bywa wysyłany do Turkiestanu, Persji i Buchary.

Jakoż przed kilku dniami wykryto całą organizację z główną siedzibą w jednem z większych miast Rosji i mnóstwem filji. Ujęto między innemi niejaką Jermołajewową z całym sztabem pomocników w Astrachaniu, która przyjeżdżała tu po komplety „żywego towaru“ z Aschabadu.

Godna ta osoba posiada sporo swych filji i mnóstwo dziewcząt zdołała już pochwycić w swe występne sieci.

* * *

Nowy kabel podmorski. Angielski urząd pocztowy w ostatnim czasie kazał założyć podmorski kabel telefoniczny najnowszej konstrukcji z Dover do przylądka Grisnez, aby uzyskać lepsze połączenie między Anglją a Francją i poczynić próby telefonicznego połączenia między Londynem i Amsterdamem, a możliwie także z Berlinem i innemi miastami niemieckiemi. Jest to pierwszy tego rodzaju kabel, położony w otwartem morzu. Podobny kabel już przedtem położono w jeziorze bodeńskiem. Nowy kabel ma być oddany do użytku, skoro tylko Francja wykończy odpowiednie linje na lądzie. Jeżeli próby wypadną korzystnie, to położony będzie jeszcze drugi kabel.

* * *

Męczennik nauki. W Londynie zmarł w 46 roku życia dr. Harry Kox wskutek zapalenia skórnego, którego nabawił się przy doświadczeniach z promieniami röntgenowskiemi.

Dr. Kox należał do pierwszych uczonych, którzy podjęli badania nad promieniami Röntgena. Doświadczenia w tym kierunku rozpoczął przed 15 laty. Już po dwu latach prób nabawił się choroby wskutek przypadkowego zbliżenia rurek röntgenowskich do twarzy. Od tego czasu cierpiał tak straszliwe bóle, że nawet znaczne dawki morfiny nie mogły ich ułagodzić.

Inny uczony angielski, Edward Hall, ucierpiał również przy doświadczaniu prób z promieniami Röntgena i grozi mu los dr. Koxa.

* * *

Dom ze szkła. W Pittsburgu w Ameryce buduje fabrykant szkła Roger Peasse dom ze szkła. Jest on o tem przekonany, że za 10 lat będzie w Ameryce mnóstwo domów ze szkła, ponieważ szkło zostanie z czasem tak udoskonalone, że co do odporności i wytrzymałości wyrówna cegle, a że koszta budowy będą znacznie tańsze, stąd ludzie domostwom ze szkła przyznawać zaczną pierwszeństwo. Dom Peassego będzie nawet w swych fundamentach ze szkła. Również i dachówki będą ze szkła, a są one bardzo praktyczne, bo nie przepuszczają gorąca.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 31. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 lipca 1910.

EDWARD LUSTONO.

TALAR.

Wracając z polowania, czułem się śmiertelnie znużony. To też na wszystkie się oglądałem strony, gdziebym mógł odpocząć po długich wędrówkach. Snadź zabłądziłem w obce zupełnie mi miejsce, bo gdziekolwiek skierowałem swe kroki, nigdzie ani chaty, ani żywej istoty ludzkiej nie napotkałem. Trudno mi było jednak usiąść i czekać na jakiś szczęśliwy wypadek, głód bowiem i pragnienie silne nie dawały mi spokoju.

Zmęczony, prawie zrozpaczony, chodziłem bez ustanku, sam nie wiedząc, czy dobrą, właściwą wybrałem drogę. W tem, ku wielkiej radości mej i ogromnemu zdumieniu, usłyszałem jakiś szept daleki. Wytężyłem słuch i wzrok — i oto spostrzegłem schodzącego z góry człowieka z bronią na ramieniu.

— Niech będzie pochwalony! — odezwał się i wnet, odwróciwszy się odemnie, poszedł swoją drogą.

Ja jednak pospieszyłem za nieznajomym.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak daleko jest stąd do miasteczka X, skąd właśnie przyszedłem i dokąd chcę się udać z powrotem.

Nieznajomy spojrzał na mnie zdumionym wzrokiem.

— Ależ to pięć mil drogi! —

— Pięć mil! — powtórzyłem z przerażeniem w głosie. — Cóż ja tu pocznę?

— Czy pan po raz pierwszy znajduje się w tych stronach?

— Tak jest, nie byłem tutaj nigdy.

— I chciałby pan tu przenocować? — pytał dalej.

— Muszę — odparłem — gdyż czuję się mocno znużony, siły moje wyczerpały się zupełnie i odpoczynek jest mi niezbędny.

— Niech pan pójdzie do mnie, pod moim dachem spędzi pan dzisiejszą noc, jutro zaś będzie pan mógł udać się w dalszą drogę.

Bez chwili namysłu postanowiłem skorzystać z uprzejmości nieznajomego. Podczas drogi przyglądałem się mojemu towarzyszowi, który miał postawę ogromną, twarz ciemną, smagłą i wielką głowę na potężnych barkach. Silne na mnie wrażenie sprawiły jego oczy czarne, świecące, niezmiernie duże.

Po pewnym czasie, idąc w milczeniu, znaleźliśmy się w dolinie. Miałem przed sobą glebę urodzajną, żyzną, grunt uprawny, dokoła małe chateczki białe, tam znów wiatraki i młyny. Znać było wszędzie dzielną rękę gospodarzy i aż serce się radowało na ten widok.

— Jak tu pięknie wszędzie, jaka wzorowa gospodarka!

— To wszystko do mnie należy! — oświadczył mi z pewną dumą mój wybawca.

— Jakto, i ten kawał ziemi, te uprawne pola i wiatraki, których skrzydła się tam obracają i owe piękne łąki?...

— Tak, tak, to wszystko jest moje! — powtórzył.

Byłem zdumiony. Nie mogłem się jednak dalej wypytywać, gdyż zostałem wprowadzony do murowanego, niewysokiego domku, gdzie tuż na progu przywitała nas młoda, kipiąca zdrowiem i pięknością kobieta.

— Przyprowadzam ci gościa! — rzekł, przedstawiwszy mię swojej żonie.

Skłoniłem się, wymieniwszy swoje nazwisko.

— A ja nazywam się Pedro Manuelo — oświadczył gospodarz domu, przysuwając krzesło do stołu. — Siadajmy. A ciebie, Nicolezo, prosimy o porządną wieczerzę.

— Zaczekajcie panowie, wszystko wnet przyniosę.

Gospodyni wyszła a my dwaj pozostaliśmy w mieszkaniu. Gospodarz domu snadź o czemś przyjemnem przemyśliwał, bo na twarzy jego błąkał się uśmiech, a z oczu tryskały iskry promienne. Podkręcił wąsa i z temi słowy zwrócił się do mnie:

— Dziwił się pan, że ja sam rozporządam takim wielkim majątkiem, a jednak pan mojego całego mienia jeszcze nie widział dotychczas!

— Jakto, więc to jeszcze nie wszystko?! — krzyknąłem zdumiony.

Pedro Manuelo uśmiechnął się.

— To jeszcze nie wszystko! — powtórzył, a po krótkiej chwili dodał: Po drugiej stronie rzeki mam szekie pola, zbożem porosłe. Tam znów, blisko góry na mojem polu rosną krzaki winnego grona, a posiadam także...

— Pan tedy jesteś największym bogaczem w tych stronach? Żyje pan tu niby jakiś Krezus...

— Istotnie, tak jest — potwierdził Pedro Manuelo. — A całą moją fortunę zdobyłem jeno dzięki... jednemu talarowi.

Zerwałem się szybko z krzesła.

— Co pan mówi — pytałem, przypuszczając, żem źle usłyszał. Dzięki jednemu talarowi zdobyć podobny majątek?

Gospodarz wybuchnął głośnym śmiechem. Widocznie musiałem bardzo zabawną mieć minę.

— Jednakże taki wielki majątek...

— Niech mię pan wysłucha — rzekł Pedro Manuelo — opowiem wszystko, jak się właśnie stało.

— Przecież wiem, że cuda już minęły...

Gospodarz mi przerwał:

— Owszem, jeszcze teraz dzieją się się cuda. Niech pan słucha.

Tymczasem gospodyni domu przyniosła nam dosyć obfitą wieczerzę. Rzecz prosta, iż nie czułem więcej głodu, ani pragnienia, sen jednak kleił mi powieki. Lecz zdjęty ciekawością usłyszenia nadzwyczajnych rzeczy, postanowiłem siedzieć na miejscu, póki się nie dowiem wszystkiego.

A Pedro Manuelo jął opowiadać:

— Mój ojciec odziedziczył po swoim rodzicu dość duży majątek, który, powiedzmy to otwarcie, puścił przez gardło. Ja byłem jego jedynym synem. Kiedy mnie ojciec odumarł, liczyłem lat siedemnaście. Przed śmiercią wezwał mnie do łoża i oświadczył, że w spadku otrzymam ten dom, oraz pięćset talarów, które leżą w komodzie. Dodał jeszcze że wśród tych pieniędzy jest jeden talar, z którym jest związane całe moje życie i jeżelibym wydał ten właśnie talar, wówczas postradałbym życie. Nim się zdążyłem zapytać, jak ów talar wygląda, ojciec mój zamknął powieki na zawsze. Oglądałem niezliczoną ilość razy pozostawione mi talary i nie znalazłem wśród nich ani jednego, któryby wy-

różniał się czemś — wszystkie wyglądały jednakowo. Byłem w okropnem położeniu. Dom ten, który otrzymałem po ojcu, był strasznie obciążony, nie mogłem go jednak oczyścić z długów, bo pieniędzy nie miałem. Owych pięciuset talarów nie mogłem naruszyć z obawy, że właśnie wydam ów tajemniczy talar, przez co pozbawiony zostanę życia całego. Byłem podobny do człowieka, który zamknięty jest w zamku, gdzie pełno jest skarbów i złota, a jednak z głodu umrzeć musi, bo chleba tam nie ma.

Muszę jeszcze zaznaczyć, iż ojciec znany był ze swej prawości; nigdy nie okłamywał nikogo i każdy wierzył mu święcie. Czyż mogłem przypuścić, iż ojciec na łożu śmiertelnem zażartował sobie ze mnie!

Nie może pan sobie wyobrazić, jak strasznie wówczas cierpiałem; miałem związane ręce. Przyglądałem się talarom z pewnym żalem. W którym z was kryje się moja zguba? — zapytywałem się ciągle, a nikt mi na to odpowiedzi dać nie mógł. Po wielu bezsennie spędzonych nocach postanowiłem przedewszystkiem wziąć się do roboty; praca paliła mi się w ręku, musiałem pracować nie tylko dla siebie, lecz i w celu oczyszczenia majątku z długów.

Po upływie czterech lat ożeniłem się z Nicolezą. Natychmiast po ślubie oddałem swoje pięćset talarów mojej żonie, ale nie opowiedziałem jej oczywiście rzeczy całej. Pracowaliśmy teraz oboje dniami całymi i dorobiliśmy się wcale niemałego majątku.

Upłynęło lat dziesięć. Fortuna nasza z dnia na dzień coraz więcej rosła. Wreszcie w domu naszym był już prawdziwy dostatek. Któregoś dnia przyszło mi na myśl obejrzeć owe pięćset talarów, odziedziczonych po ojcu. Wiedziałem dobrze, w jakiej je żona ukryła skrzynce. Podszedłem do komody, szukałem, powyrzucałem wszystko i nigdzie tych pieniędzy nie znalazłem. Rozpacz moja nie miała granic. Podbiegłem do żony.

— Nicolezo, Nicolezo, straszną kradzież popełniono w naszym domu. Skradziono nam pięćset talarów.

Żona moja poczęła się głośno śmiać i wnet mię uspokoiła. Zabrakło jej pieniędzy do zapłacenia rachunku i wówczas właśnie oddała owe pięćset talarów. Na zapytanie moje, kiedy się to stało, odparła, iż pięć lat temu.

Kamień spadł mi z serca! Pięć lat temu i ja żyję jeszcze! A więc to był zwyczajny fortel ze strony mojego ojca, który widocznie, chcąc mi zapewnić przyszłość spokojną, zażył mnie „z mańki". No, i stało się cudownie. Boć, jak pan widzi, dzięki temu, doszedłem do takiej fortuny. Ciągle obawiałem się stracić jednego talara i dzięki temu — zdobyłem cały majątek.

S. SIEMKOWSKI.

Zagadnienie braku pracy.

Można śmiało powiedzieć, że kwestję braku pracy postawiono na porządku dziennym zjazdu kopenhaskiego pod naciskiem samego życia. Ostatnie dziesięciolecie, bardziej niż którekolwiek z poprzednich, przeszło pod znakiem kryzysu. Nie zdążyły jeszcze zamilknąć słodkie pienia syren rewizjonistycznych o niemożliwości na przyszłość „wstrząśnień" ekonomicznych, gdy całym światem kapitalistycznym wstrząsnęło straszne przesilenie, które wyrzuciło na bruk setki tysięcy pozbawionych pracy i pokazało dobitnie, że logika rozwoju kapitalistycznego bynajmniej nie prowadzi do „łagodzenia przeciwieństw klasowych". Z górą trzy lata trwało to niszczące przesilenie i zaledwie w 1903 r. przemysł Ameryki i Europy Zachodniej zaczął powoli przychodzić do siebie po jego ciosach. Lecz ożywienie niedługo pociągnęło. Już w październiku 1907 r. najpierw w Ameryce, potem w Europie wybuchł nowy kryzys, który, z początku tylko finansowy, wkrótce się zmienił w ogólno-przemysłowy. Srożył się on po całym świecie kapitalistycznym do ostatnich czasów, a i teraz jeszcze bynajmniej nie wszędzie i nie w zupełności znikł w promieniach zaznaczającego się rozkwitu.

Lecz jeżeli w ten sposób wszechświatowy proletarjat musiał w ciągu ostatniego lat dziesiątka wytrzymać dwa przesilenia, to Rosja w tym okresie niemal wcale nie wychodziła ze stanu nieprzerwanego, chronicznie-przewlekłego zastoju we wszystkich dziedzinach wytwórczości. Niekiedy zdawało się, że zastój lada chwila gotów jest ustąpić miejsca jeżeli nie zupełnemu rozkwitowi, to bodaj pewnemu ożywieniu, lecz niebawem spadły nowe ciosy, dotkliwsze od dawnych. I dotąd jeszcze dzienniki przynoszą codziennie wieści o masowych wydalaniach z fabryk, o bezustannych samobójstwach bezrobotnych, które przybrały charakter prawdziwej epidemji.

Przy takich warunkach kwestja braku pracy będzie bezwątpienia jedną z najbardziej palących w szeregu kwestji, postawionych na porządku dziennym zjazdu kopenhaskiego; tembardziej, że zagadnienie braku pracy w całej swej rozciągłości nigdy jeszcze nie było przedmiotem obrad międzynarodowego parlamentu robotniczego.

Zjazd będzie musiał się zastanowić zarówno nad przyczynami braku pracy, jak i nad środkami walki z nim. Pierwsza strona zagadnienia prowadzi do analizy krytycznej podstaw kapitalizmu, druga zaś wiedzie do dziedziny żądań socjalno politycznych proletarjatu.

Korzeniami swojemi brak pracy tkwi w głębiach ustroju kapitalistycznego. I nietylko w tem znaczeniu, że kryzysy w ustroju kapitalistycznym są równie nieuniknione, jak przypływy i odpływy w oceanie. Nie związek pomiędzy brakiem pracy a kapitalizmem jest o wiele bardziej bezpośredni i uwydatnia się nietylko w czasie przesileń, lecz i w najbardziej „normalnych" okresach rozwoju. Albowiem brak pracy jest stałem złem ustroju kapitalistycznego, które pod wpływem przesileń tylko się zaostrza.

Działa tu mechanizm nadzwyczaj prosty. Z jednej strony kapitalizm rujnuje drobnych posiadaczy-włościan, rzemieślników i producentów domowych — i wciąga do swego obrotu siły robocze kobiece i dziecięce a także robotników przywożonych z miejscowości bardziej zacofanych; wszystko to powiększa armję proletarjatu do olbrzymich rozmiarów. Lecz z drugiej strony wprowadzanie maszyn i ciągłe ich udoskonalenie „uwalnia" mnóstwo rąk roboczych. Przy coraz większem ubożeniu ludności wzrost wytwarzania, związany z rozszerzeniem rynków, nie może chociażby tylko w znacznej części pochłonąć nadmiaru sił roboczych. Rozwój techniki odbywa się ciągle, masy robotników stają się „zbytecznemi" kapitałowi i zostają wyrzucone z produkcji.

W ten sposób powstaje t. zw. armja odwodowa przemysłu, ta armja zapasowa bezrobotnych, która w okresie przesilenia wzrasta, w czasie rozkwitu przemysłowego zmniejsza się, lecz nigdy nie znika zupełnie. I nigdy chwalcom kapitalizmu nie uda się zasłonić faktu, że w ustroju tym zupełnie normalnem zjawiskiem jest pozbawienie pracy setek tysięcy robotników. Według urzędowych danych spisu zawodowego we Francji w roku 1896 — to jest w roku rozkwitu przemysłowego — bezrobotnych liczono 5%, z górą 400 000 osób! Albo, jeżeli weźmiemy cyfrę ogólniejszą, związki zawodowe dziewięciu tylko krajów w roku 1905, gdy przesilenia przecież nie było, musiały wydać na wspieranie swych bezrobotnych członków do 16 miljonów marek!

I tyczy się to nietylko robotników sezonowych — budowlanych, krawieckich i t. p. — nietylko parobków wiejskich, których brak pracy corocznie zapędza do miast. Ze wszystkich warstw proletarjatu klęska ta werbuje sobie ofiary grożąc im widmem niepewności materjalnej nawet wtedy, gdy mają pracę. A w okresach przesileń armja odwodowa wzrasta do rozmiarów wprost potwornych, dochodząc do czwartej części, w niektórych gałęziach do połowy ogólnej liczby robotników, a u robotników sezonowych w „martwym sezonie" — nawet do 70%!

Niektórzy miłośnicy różowych szkiełek pokładali nadzieje we wzroście karteli i trustów, które niby uregulują wytwarzanie i usuną przesilenia i brak pracy. Lecz życie pokazało, że te mniemane „regulatory" nie mają mocy usunąć anarchji wytwarzania, karmiącej kryzysy, że przeciwnie doprowadzają one do ostateczności sprzeczności ustroju kapitalistycznego i same są nowemi czynnikami przesileń i braku pracy. I jeżeli dawniej można było uważać naogół za ustalony dziesięcioletni cykl przesileń, to obecnie, w do-

bie trustów i karteli, gdy bieg kapitalizmu przeszedł w szalony, gorączkowy cwał, przerwa między kryzysami zmniejszyła się nieomal o połowę.

Coraz szybciej mknie świat kapitalistyczny po błędnem kole — od przesilenia do przesilenia. I w ciągu całej tej drogi idzie za nim — nieodstępny jak cień — brak pracy, który jest równie niezmiennym współtowarzyszem kapitalizmu, jak i ruina i wyzysk, występek i nędza, prostytucja i samobójstwa. Tylko po zwycięstwie kolektywizmu, do którego prowadzi sam rozwój kapitalistyczny, tylko po zastąpieniu wytwórczości dla zysku nielicznej garści przez wytwórczość dla zaspokojenia potrzeb całego społeczeństwa — zniknie armja odwodowa i nastąpi kres braku pracy, tego przekleństwa kapitalizmu, ciążącego nad proletarjatem.

Z takiego pojmowania przyczyn braku pracy wypływa nasz pogląd na walkę z nią.

Społeczeństwo burżuazyjne wobec masowego braku pracy musiało odstąpić od swej marnej mądrości życiowej, która obłudnie głosiła: „kto chce pracować, zawsze znajdzie sobie kawałek chleba". Jak wiadomo, brak pracy jest potężną dźwignią wzburzenia rewolucyjnego mas — i ideologowie burżuazji chcąc niechcąc musieli się zająć „wynalezieniem środków do walki z tem niedomaganiem społecznem".

Oczywista, społeczeństwo burżuazyjne nie mogło w tym kierunku wyjść poza półśrodki i to przeważnie czysto dekoracyjne. Wszak istnienie armji odwodowej jest nietylko nieuniknionem następstwem kapitalizmu, lecz i niezbędnym jego warunkiem. Bez tej kuli u nogi proletarjat byłby niezwyciężony w starciach z kapitałem. I odwrotnie, opierając się na zawsze gotowej do usługi armji rezerwowej bezrobotnych, kapitał okazuje się panem sytuacji i może dyktować warunki; za jej pomocą rozbija szeregi robotników, trzyma ich na wodzy i zmusza do uległości, a w razie czego — chwyta za gardło i dusi.

Z drugiej strony, czy można zakreślić ścisłą granicę pomiędzy brakiem pracy „niezawinionym", a brakiem pracy, spowodowanym przez strejk, lokaut lub represyjne wydalenie niedogodnych („niespokojnych") żywiołów? I czy wspieranie bezrobotnych, osłabiające łamistrejkostwo, nie okazuje się zarazem wspieraniem strejkujących?

Na serjo toczona walka z brakiem pracy oznaczałaby dla burżuazji podcinanie gałęzi, na której sam siedzi. Oto dlaczego burżuazyjny socjal-reformizm okazuje się na tym polu większym jeszcze bankrutem, niż na wszystkich innych polach życia społecznego. Jeżeli pominiemy żebraczą „opiekę społeczną" i te nędzne ochłapy, które — według wyrażenia Keira Hardego w parlamencie angielskim — syte zwierzęta rzucają ze swego stołu głodnym, to wszystko, co zrobiła burżuazja dla zwalczania braku pracy, da się pomieścić w kilku wierszach.

„System gandawski" — subsydjowania związków zawodowych, dających zapomogi pozbawionym pracy — w Danji, 27 gminach Belgji, 36 gminach Francji, 9 — Holandji, 7 — Luksemburgu i 2 — Niemiec; ubezpieczenie państwowe bezrobotnych w Norwegji i kasy miejskie dla bezrobotnych w Holandji, Lipsku, Bernie, Bazylei, Gienewie, Bolonji i Wenecji.

Oto wszystko. I do tego dodać należy, że w Norwegji np. państwo ponosi tylko $^1/_4$ wydatków na ubezpieczenie, w Danji państwo razem z gminami — tylko $^1/_5$ i t. d. i t. d. A przecież jednocześnie na państwowe narzędzia walki z możliwym buntem pozbawionych pracy — wydaje się setki miljonów, miljardy.

Ta walka z pozbawionemi pracy zamiast walki z brakiem pracy rzuca szczególnie jaskrawe światło na klasowość społeczeństwa dzisiejszego. Zarazem zaś staje się jasne jak na dłoni, że i walkę z brakiem pracy proletarjat toczyć musi, jako część ogólnej swej walki klasowej.

Nie zapominając ani przez chwilę, że doszczętne zniesienie braku pracy przypuszcza z góry usunięcie ustroju kapitalistycznego, proletarjat jednocześnie stawia szereg żądań, jako najbliższy swój program walki z brakiem pracy. Na tem miejscu ograniczyć się możemy do samego tylko wymienienia tych żądań: zakaz prawny robót pofajerantowych, zaprowadzenie w drodze prawodawczej 8-godzinnego dnia roboczego, ubezpieczenie państwowe od braku pracy, zaprowadzenie „systemu gandawskiego", organizacja robót publicznych dla bezrobotnych pod kontrolą związków zawodowych, wreszcie ogólne polepszenie warunków pracy.

Nietrudno dostrzec, że wszystkie te żądania nierozerwalnie się wiążą z innemi, ogólniejszemi żądaniami proletarjatu. Urzeczywistnienie ich wymaga poprzedniego zdobycia wpływu na władzę państwową, jak również na samorząd miejscowy, wymaga zatem zdobycia swobodnych warunków rozwoju organizacji robotniczych, konsekwentnej demokratyzacji państwa, zupełnej reformy budżetu państwowego i t. d., i t. d. Słowem, walka z brakiem pracy wpada do tego samego łożyska, którem się toczy cała walka klasowa — i kieruje się do jednego, wspólnego z nią celu ostatecznego.

W Rosji związek ten uwydatnia się szczególnie jaskrawo. Jeżeli na całym świecie bezrobotność jest główną pętlicą, którą kapitalizm ściska gardła swych ofiar, to tutaj pętlica ta zaciska się jeszcze silniej — pod wpływem odrębnych warunków rzeczywistości rosyjskiej.

Gospodarka rabunkowa starego porządku wycieńczyła i doszczętnie zrujnowała kraj. W kraju zaś zrujnowanym rozwój kapitalistyczny nie ma gdzie swobodnie się obrócić, a sztucznie pobudzany żądzą zysku, zamówieniami skarbowemi i zapomogami rządu — wkrótce uderza w głuchy mur kryzysu. Dla robotników zaś ten chorobliwy rozwój oznacza niejako nadetatową bezrobotność.

Wyjść z tego kąta można było tylko przez stworzenie rynku wewnętrznego lub na jakiś czas przez zdobycie dla kapitalizmu rosyjskiego rynku zewnętrznego. Tę drugą drogę miała właśnie na widoku wojna z Japonją, jak ją mają na widoku i wszystkie nowsze próby imperjalistyczne (w Persji, w Finlandji); lecz tu Rosję czekały tylko porażki właśnie wskutek jej nierozwinięcia kapitalistycznego. Pierwsza zaś droga, najnaturalniejsza i najbezpośredniejsza, okazała się odciętą wskutek stłumienia ruchu 1905—7 r., którego objektywnym celem było przecież stworzenie rynku wewnętrznego przez podniesienie dobrobytu mas robotniczych, nadanie włościanom ziemi i inne urządzenia, których przeprowadzenie dałoby potężny pohop rozwojowi kapitalizmu.

Panowanie reakcji obostrzyło do ostatecznych granic przesilenie, które z ledwie dostrzegalnemi przerwami ciągnie się już od 10 lat i doprowadziło brak pracy do rozmiarów przerażających. Wprowadzenie zaś w życie praw stołypinowskich o „organizacji ziemi" (czytaj: dezorganizacji ziemi) zagraża jeszcze dalszem wzmożeniu kryzysu i braku pracy. Miljony nowych chłopów bezrolnych, szukając pracy, pociągną głodnemi masami do miast. I to w tym samym czasie, gdy rozbicie organizacji robotniczych i ogólne rozkiełznanie reakcji skuwa proletarjowi ręce i nogi i skutego wystawia na ciosy braku pracy.

Lecz jeżeli w ten sposób w Rosji bezrobotność ma podwójne źródło — w kapitalizmie i odrębnych warunkach rosyjskich — to z podwójnem też zajęciem będziemy śledzić obrady nad kwestją braku pracy na zjeździe kopenhaskim.

„Trybuna".

Rozmaitości

Temperatura wnętrza ziemi. Wiadomo powszechnie, że w naszym klimacie w największe mrozy ziemia nie zamarza głębiej, niż na dwa metry i że z tej przyczyny rury wodociągowe w głębokości dwu metrów są całkiem bezpieczne od pękania skutkiem zamarzania wody. Podobnie można bez szkody od mrozu przechowywać w piwnicach butelki z wodami mineralnemi i innymi płynami zamarzającymi w zimie poniżej zera. W kopalniach jest tem cieplej, im są głębsze, a w czasie budowy tunelów, np. budowy tunelu przez górę Simplon dokopano się temperatury 55 stopni Celsjusza, tak, iż trzeba było doprowadzać wielkim kosztem powietrze zimne z zewnątrz, by umożliwić pracę w głębi tunelu. W ogólności można powiedzieć na podstawie mnóstwa spostrzeżeń, iż średnio na 25 do 35 metrów zapuszczenia się w głąb przybywa stopień Celzjusza ciepła.

W celach naukowych, bo wydobywanie węgla i rud metali nieszlachetnych nie mogłoby się opłacać z za wiel-

kich głębokości, postanowił rząd pruski wywiercić jak najgłębszy otwór w ziemi. Otwór taki wywiercono rzeczywiście w Paruszowicach pod Rybnikiem na Śląsku i doprowadzono go do 2003 mtr. głębokości, poczem z przyczyny złamania się świdra i niemożności wydobycia jego odłamków musiano zaniechać dalszych usiłowań na tem miejscu.

Postanowiono wszakże przenieść gdzieindziej te trudne prace i w Czuchowie pod Gliwicami wywiercono nowy otwór w ziemi i doprowadzono go do głębokości 2239,72 mtr. Jestto teraz najgłębszy otwór wywiercony w ziemi. Srednica jego wynosi 44 cm., a zatem mniej, niż pół metra. — W głębokości 2128 mtr. znaleziono temperaturę 83,4 stopni Celzjusza, z czego wypada, że na każde 29 mtr. zapuszczania się w głąb przybywa stopień C. ciepła.

Gdyby w ten sposób temperatura wzrastała dalej, to w środku kuli ziemskiej, odległym średnio 6360 klm. od powierzchni, musiałaby być trudna do pojęcia temperatura 200 000 stopni. Czy tak jest rzeczywiście, nie dowiemy się może nigdy, rozmaite jednak względy naukowe przemawiają za tem, iż im bliżej środka ziemi, tem bardziej zmniejsza się ów czynnik przyrostu temperatury, tak, iż niektórzy przypuszczają, że w samym środku kuli ziemskiej temperatura wynosi zaledwie około 4000 stopni.

W ten sposób przypuszczenie o temperaturze środka kuli ziemskiej waha się teraz między 4000 a 200 000 stopni.

* * *

Alkoholizm, gruźlica i zdolność karmienia. W numerze 15 czasopisma lekarskiego „Deutsche medizinische Wochenschrift“ z r. b. znajdujemy ciekawe sprawozdanie z badań, dokonanych przez dr. J. H. Greeffa w poliklinice heidelberskiej, a odnoszących się do związku, jaki zachodzi pomiędzy alkoholizmem a zdolnością karmienia, gruźlicą, próchnieniem zębów itd. Dr. Greeff doszedł do tych samych mniejwięcej wyników, jakie osiągnął kilka lat temu profesor Bunge. Stwierdził on mianowicie, że we wszystkich prawie wypadkach, gdzie matka zdolna jeszcze była sama karmić dzieci, a córka zdolność tę zatraciła, winien temu był alkoholizm ojca lub obojga rodziców. Ciekawe zaś i groźne jest spostrzeżenie dr. Greeffa, że zdolności karmienia, raz utraconej, nie odzyskuje się już zazwyczaj w następnych pokoleniach. Utrata zdolności karmienia jest jednym z największych czynników zwyrodnienia obecnych pokoleń ludzkości, bo dziecko, pozbawione naturalnego pokarmu matki, o ile nie umrze, nigdy nie wyrośnie na zupełnie zdrowego człowieka, ponieważ żadne inne mleko nie posiada naturalnych składników w tych samych ilościach, co pokarm matki. A przecież nie tylko pijaństwo, lecz i umiarkowane, stałe picie rodziców, staje się bardzo często przyczyną utraty pokarmu u córek. Dr. Greeff zauważył także, że potomstwo alkoholików szczególnie skłonne jest do gruźlicy, a także próchnienie zębów znacznie częściej zauważył u potomstwa pijących (umiarkowanie, lub nie umiarkowanie) niż u abstynentów. Najczęściej różne te objawy zwyrodnienia występują równocześnie, świadczą zatem tem wymowniej o zgubnym wpływie alkoholu na organizm pijącego i zdrowie jego potomstwa.

* * *

Liczba gazet w języku niemieckim w Niemczech wynosi 157. W języku polskim wychodzi 97 gazet, w francuskim 26, duńskim 18, angielskim 12, litewskim 8, hiszpańskim 7, włoskim 6, wendyjskim 4, ruskim i czeskim po 2, portugalskim, szwedzkim, łacińskim i hebrajskim po 1.

* * *

Alkohol i zbrodnie. Powszechnie wiadomo, że pomiędzy alkoholem a zbrodniami ścisły istnieje związek. Spostrzegamy to na każdym kroku w życiu, a wykazują to także licznie badania uczonych, zajmujących się statystyką przestępstw, popełnionych pod wpływem alkoholu. Bardzo ciekawe w tym względzie są dane, jakie przytoczył Rev. Spence-Toronto na XI międzynarodowym kongresie przeciwalkoholowym, który odbył się w r. 1909 w Londynie. Zbadał on stosunki w szeregu miast amerykańskich w stanie Massachusetts, których mieszkańcy, jak wiadomo, mają prawo decydowania o zatrzymaniu lub zniesieniu handlu alkoholem. Na mocy tego prawa w większej części miast i wsi wszelka sprzedaż alkoholu jest zabroniona. Otóż porównał on w wielu miastach ilość osób, aresztowanych w ostatnim roku istnienia szynków z ilością aresztowanych w pierwszym roku po zniesieniu szynków i otrzymał wynik następujący:

	Ilość aresztowanych	
	w ostatnim roku istnienia szynków	w pierwszym roku po zniesieniu szynków
w Brockton	1627	455
w Tamton	1202	482
w Chelsea	1246	398
w Lowell	4077	2304
w Salem	1432	503
w Fitchbury	1160	359

Jak widzimy, już w pierwszym roku po zamknięciu szynków liczba przestępstw znacznie się zmniejszyła.

* * *

Miljon dolarów za wynalazek. Taką ogromną sumę naznaczył związek hut amerykańskich za wynalezienie środka, któryby usuwał wydzielające się przy topieniu metalów gazy trujące. Dotychczas udało się usunąć tylko szkodliwe wyziewy — jakie powstają przy spalonych olbrzymich ilościach węgla i drzewa w hutach — gazów jednak z topionych metali - nie zdołano usunąć, a one właśnie są najszkodliwsze, spowodowały wiele zatruć i niszczą nieuniknienie zdrowie ludzi przy tej robocie zajętych. Huty amerykańskie tyle już miały przegranych procesów o odszkodowanie z powodu zatruć tymi gazami, że miljon dolarów nie jest wcale zbyt wysoką nagrodą za usunięcie tego niebezpieczeństwa z hut i ich obrębu.

BRAT.

Ze zgiętymi przez wiek bary,
W płaszczu pełnym łat,
Chodzi z „próbką“ Nachim stary,
Chodzi tyle lat.

Deszcz, czy grad, czy zawierucha,
Idzie stary dziad...
A mnie szepce ktoś do ucha:
To mój brat!

Mówią, że jest brudny, szkodny,
Do szacherki chwat,
Ale biedny, ale głodny,
Ale — brat!

Mówią: „obcy ród i plemię“,
Lecz przez wieki kładł
Lud ten kości w naszą ziemię,
Więc dziś — brat.

Chciałbym doń wyciągnąć ręce,
Razem dążyć rad
Gdzieś ku nowych słońc jutrzence
Jak druh, brat!

Adam M-ski.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 32. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 sierpnia 1910.

MURARZ.

Przyjdzie taki czas, że wystawię gmach,
Wielki jak świat cały,
Potężny, wspaniały,
O którym śnię wciąż
W moich złotych snach.

I nie zburzy nikt silnych jego bram,
Bo jedność i zgodę
W mury jego wwiodę,
Bo mu miłość bratnią
Za podstawy dam.

Duchem ja potęgi, ożywię go swym,
A jasność słoneczna,
I miłość serdeczna,
Wesele i radość
Zamieszkają w nim.

I spełnią się moje przecudowne sny,
Ze z wybladłych twarzy —
Zgłodniałych nędzarzy —
Znikną bezpowrotnie,
Smutne, gorzkie łzy.

Chachar.

WIKTOR KINER.

Przelotne ptaki polskie.

Są u nas gatunki ptactwa, które późną jesienią ulatują w ciepłe kraje, by tam dalej oddychać powietrzem lata, gdy u nas śnieg pola okrywa.

Oprócz tych zwykłych ptaków przelotnych jest u nas jeden gatunek jeszcze niezbyt nam dobrze znany. Dziwni to są ptacy i niezwykli w swych upodobaniach.

Wczesną wiosną a nawet na początku lata, kiedy wszystko w przyrodzie budzi się do życia, kiedy nasze pola, łąki, lasy pokrywają się zielenią, zwiastując nam bogaty plon, ptaki te chmarami pędzą ku zachodniej stronie.

Mało kto za niemi tęskni.

Oprócz ich piskląt łzawym okiem spojrzy pan pola, z którego odlatują, śląc skargi ku niebu za ich niewdzięczność i wzgardę.

Miejscem, do którego największemi gromadami przybywają, jest Saksonja. Dlatego też otrzymali nazwę obieżysasów.

Widziałem ich na ulicach Lipska, przechodzących z jednego dworca kolejowego na drugi. Gromada chłopów i kobiet z tłomokami na plecach. Poustawiani w rzędy z tragarzem na czele, a za niemi fura przeróżnych tobołów, skrzynek, kuferków, podobni do rekrutów, maszerujących na miejsce swego przeznaczenia.

Podszedłem do jednego i spytałem:

— Skąd wy jedziecie?

— My z ruski Polski.

— A gdzie to was tak dużo jedzie?

— A do dwora na robotę.

Byłem wtenczas bez roboty i pomyślałem sobie: gdybym tak umiał w polu robić, przyłączyłbym się do nich. Ale powiadają, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Tak też i ze mną się stało.

Dostałem pracę w czesalni wełny, znajdującej się na przedmieściu Lipska. Zacząłem od nocnej zmiany. Gdym wszedł do garderoby, ujrzałem mnóstwo naszych chłopów. Młodych było najwięcej. Bladzi, wynędzniali, z podsiniałemi oczami, o policzkach w głąb zapadłych, wyglądali bardziej na chodzące trupy, niż na żywych. Mało byli podobni do tych, których widziałem na ulicy. Byli między niemi i tacy, na których resztki dawnego zdrowia i czerstwości gdzieniegdzie można było dostrzec.

W fabryce kurz nakształt zamieci śnieżnej, szum i łoskot maszyn, światło elekryczne nieznośnie razi w oczy.

Poruszając się automatycznie przy maszynie, przyglądałem się swemu sąsiadowi.

Był zadumany. Pomyślałem sobie: napewno żałuje pola. „We dworze było lepiej, nieprawda?“ spytałem go po chwili.

— Gdzietam, mnie się tu lepiej widzi — odpowiedział.

— Jakto, przecie w polu zdrowiej pracować, niż w fabryce?

— To jest prawda, ale tu więcy płacą, robota letka i robi się od godziny do godziny. A we dworze musisz harować od świtu do zmroku, cały spocony, czasu niema dobrze gęby obetrzeć po jadle. Tu dostanie swoje 18 marek, ślubę zapłacę dwie marki, na życie wydam z osiem, a resztę to dla dzieciaków i kobiety się śpara. Na drugie lato to odrazu tu przyjadę a nie do dwora.

Zupełny obraz życia naszych przelotnych ptaków zobaczyłem dopiero na dziennej zmianie.

Gdym wyszedł w obiad przed fabrykę, ujrzałem całą ulicę napakowaną Jaśkami i Maryśkami.

W perkalikowych kaftanikach i sukienkach jeszcze swojego kroju, w trepach, a niektóre w butach z cholewami, kobiety spacerowały tam i z powrotem, prowadząc głośną rozmowę.

Pomiędzy tą całą masą chłopów i chłopek polskich gdzieniegdzie można było dostrzec niemca. Przekonałem się, że w fabryce tej na dwa tysiące ludzi pracuje robotników niemców zaledwie czwarta część. Reszta to sami polacy.

Życie naszych ptaków przelotnych poza fabryką jest bardzo ograniczone. Ponieważ nie umieją po niemiecku, trudno jest im skorzystać z tego nawet, co jest dla każdego bez wyjątku dostępne.

Mieszkają w przeważnej większości na tak zwanych „szlafsztelach“, które wynajmują w bliskości fabryki. Są to

małe pokoiki „umeblowane", przedstawiające karykaturę tych, jakie mają robotnicy niemieccy. Zwykle wynajmują taki pokoik po dwuch, czterech, a nawet sześciu razem.

Rozumie się, że wobec takich liczb mieszkańców dla hygjeny, nawet w ćwierci znaczenia tego słowa, miejsca już nie pozostaje. Poza domem żyją również podzieleni na mniejsze lub większe grupy. Przez czas wolny od pracy dotrzymują sobie wzajemnie towarzystwa. Tak schodzi cały tydzień.

Niedziela zmienia i ożywia ich całotygodniowy tryb życia. Zaczynają ją zwykle od kościoła, który znajduje się w środku miasta.

W każdą niedzielę zrana otoczony on bywa ze wszystkich stron przez naszych kumotrów, świątecznie ubranych. Są to przeważnie przyjezdni z okolicznych dworów; abrycznych jest bardzo mało. Ci przychodzą najpóźniej i tylko pod kościół na spotkanie. Zaraz przy kościele jest knajpa pod nazwą „polka", przez naszych przezwana „czyścem". Wstępują do niej, by zalać robaka. Jedni przy kartach, drudzy na gawędce siedzą tam aż do obiadu.

Poobiedzie i wieczór spędzają na „muzyce polskiej", albo na niemieckiej sali tańca.

Pewnego razu w niedzielę zaproponował mi Jasiek:

— Słuchaj, a pudziesz to na polskie muzykie, to ci sprzedam program?

Przyjąłem chętnie propozycję.

Tak zwane „polskie muzyki" są zabawami, urządzanemi przez tutejsze towarzystwo „Sokół" i filję zawodowego związku katolickiego. Zabawę, na której byłem, urządził katolicki związek zawodowy.

Było tam pełno naszych ptaków przelotnych.

Jacyś panowie z miasta odegrali sztuczkę, w której pokazywano, jak to się polscy wojacy w miłostkach prześcigali. Jeden z członków związku deklamował o tem, jak to on przez długie lata na obczyźnie za zarobkiem wędruje, kończąc, że jednak kości swe w ukochanej wiosce złożyć musi. Ale słuchaczom, jak zauważyłem, niebardzo to smakowało. Na twarzach ich zamiast zadowolenia widać było zniecierpliwienie. Lecz gdy się zaczęły tany, zawrzało jak w garnku. I choć drogo kosztowały, mało kto niemi pogardził. Była to ich jedyna uciecha. Przy końcu zabawy podszedłem do jednego z członków, by mu wyrazić swój podziw z powodu tak wspaniałego powodzenia zabawy. „Tak, na zabawy przychodzą zawsze, ale w związku to ich niema" — odpowiedział mi z niezbyt wesołą miną.

Tak upływa całe lato naszym obieżysasom.

Z nadejściem jesieni gromadki ich zabierają się z powrotem do odlotu na zimowe leże, do dzieci i kobiet, z „uśparanemi" węzełkami a bardzo często i bez nich.

Lecz gromadki te nie są tak gęste jak wiosną. Brak w nich wielu młodych, nieżonatych. Ci nie chcą już wracać do ojczyzny, co ich karmiła suchym, ościstym chlebem nędzy i trzymała w podziemiach ciemnoty.

A który z nich wraca — wraca często innym. Inaczej już patrzy na świat, więcej dla siebie żąda i nietylko do roboty umie już spracowaną pięść zaciskać...

I dziwi się wtedy ziemia polska, że dzieci jej, które głodem wypędziła w świat na służbę i poniewierkę, wracają do niej lepszemi, niż odeszły. „Trybuna".

Giovanni Schiaparelli.

Czwartego lipca zmarł w Medjolanie Giovanni Schiaparelli, jeden z najwspanialszych filarów nauki współczesnej.

Urodzony w r. 1835 w maleńkiem miasteczku piemonckiem Sevigliano, Giovanni Virginio Schiaparelli pochodził z rodziny, która dała nauce kilka wybitnych osobistości, jak brat zmarłego, Celestino, znakomity filolog, kuzyn jego, Ernesto, znany egipcjolog i wuj Luigi, zasłużony bardzo gieograf. Żaden z nich nie zdołał jednak wznieść się na te zawrotne wyżyny, skąd orłom tylko patrzeć wolno — uczynił to zmarły astronom, którego śmierć żałobą okryła cały świat naukowy obydwuch półkul.

Już jako chłopiec mały Schiaparelli okazywał nadzwyczajne zamiłowanie do astronomji i już wtedy całemi godzinami przesiadywał na szczycie wieży kościelnej rodzinnego miasteczka, przyglądając się w ciszy wieczornej krążeniom nieskończenie dalekich światów. W r. 1850 Schiaparelli wstępuje na uniwersytet w Turynie, gdzie do r. 1854 oddaje się studjom inżynierskim. Zmuszony ciężkiemi warunkami materjalnemi, zarabia sobie na życie dawaniem lekcji prywatnych matematyki, wolny zaś czas poświęca całkowicie astronomji. Jako dwudziestoletni zaledwie młodzieniec posiada już w tece dwa tomy cennych spostrzeżeń i notatek, pisanych w językach: włoskim, francuskim, greckim, niemieckim i angielskim. Nie nęci go lukratywna posada inżyniera w minach syberyjskich, lub brazylijskich, proponowana mu po ukończeniu studjów uniwersyteckich przez znakomitego ministra Quintina Sellę, nie ciągną go ku sobie czarne otchłanie podziemi, droższem nadewszystko jest mu światło dzienne i usiane miljardem gwiazd, granatowe niebo włoskie. Chętnie zgodziłby się na wielką podróż eksploracyjną, lecz wyłącznie dla studjów astronomicznych. To też, gdy w r. 1857 wysłany zostaje do obserwatorjów w Berlinie i Pułkowie, ze łzami w oczach dziękuje swemu dobroczyńcy.

W Berlinie Schiaparelli oddaje się poważnym studjom nad astronomją, wyższą matematyką, fizyką, meteorologją, gieografją i historją nauki wogóle. Tutaj zawiązuje bliższe stosunki z tak znakomitymi profesorami, jak: Eneke, Weierstrass, Dove, Ohm, Poggendorff, Ritter i Zöllner. Z tym ostatnim łączy go przyjaźń serdeczniejsza, której wierny został nawet wtedy, kiedy cały prawie świat naukowy osądził nieszczęśliwego uczonego od wiedzy za jego prace nad światem nadnaturalnym.

Owocnym bardzo staje się dla Schiaparelli'ego jednoroczny pobyt w Pułkowie, gdzie poznaje jednego z najznakomitszych astronomów wieku dziewiętnastego, Wilhelma Struve i gdzie pod kierownictwem syna tego ostatniego, Ottona, wtajemniczony zostaje w najzawilsze operacje astronomji praktycznej. Dowody wdzięczności i uznania dla północnych swoich mistrzów złożył Schiaparelli we wspaniałej pracy, napisanej z powodu pięćdziesięcioletniego jubileuszu obserwatorjum pułkowskiego.

Od r. 1860 do r. 1900 Schiaparelli jest „pierwszym astronomem" obserwatorjum Brera w Medjolanie. Jest to tytuł, którym szczycił się najbardziej i przekładał nad wszystkie inne, a posiadał ich dużo, dużo: był członkiem najróżnorodniejszych akademji i instytutów świata, doktorem honorowym wielu uniwersytetów, profesorem politechniki medjolańskiej, profesorem uniwersytetu w Pawji, prezesem instytutu Lombardzkiego i Włoskiej Komisji pomiarowej, senatorem państwa i t. p.

Odkąd Schiaparelli stał się „pierwszym astronomem" obserwatorjum medjolańskiego, życie jego zrosło się zupełnie ze staremi murami wspaniałego gmachu pojezuickiego na via Brera. Zapatrzony tam w swoje gwiazdy wśród nocy zacisznych, nie zauważył napewno jak minęło czterdzieści długich lat niezmęczonej pracy, które jemu, operującemu miljonami, zdawać się musiały zaledwie jedną chwilką.

Jako człowiek, Schiaparelli odznaczał się tą dziwną powściągliwością, charakteryzującą zwykle ludzi „nie z tego tu świata". Zwrócony ciągle ku niebu, ziemię znał gorzej od innych i nie dowierzał zbytnio służalczej uprzejmości przeciętnych jej mieszkańców. Za to tym, którzy rwą się ku wyżynom, nie odmawiał nigdy ani pomocy, ani rady przyjacielskiej. Asystentow swoich, nawet tych najmłodszych, nazywał stale kolegami i z ojcowską pieczołowitością interesował się ich pracami.

W fundamentalnych swych pracach, katalogach gwiezdnych i poglądach na budowę wszechświata był zwolennikiem tradycji szkoły pułkowskiej.

W maju 1861 r. Schiaparelli odkrył krążącą pomiędzy Marsem a Jowiszem nową planetę Esperję, której pozycje i orbitę zbadał następnie. Podobne studja nie zadowalały jednak głębokiego i twórczego umysłu wielkiego astronoma. Głównem zadaniem jego życia było zbadanie astralnej i fizykalnej natury komet i gwiazd spadających, badanie wymagające nadzwyczaj subtelnego zmysłu obserwacyjnego i żelaznej logiki. Posiadając w najwyższej mierze obie te

zalety, Schiaparelli położył na tem polu zasługi niezrównane. Żadna z kwestji, tyczących się przedmiotu, nie uszła bacznej jego uwagi, żadne zjawisko nie pozostało niewyjaśnione. Niezmordowanie obliczał orbity owych „pątników niebieskich", wykreślał ich pozycje i sprawdzał niezłomne prawa natury. Jemu to zawdzięczamy wykazanie powstawania deszczów meteorycznych z rozkładu komet, przez co ostatecznie rozwiązany został jeden z podstawowych problematów fizyki kosmicznej.

Najpopularniejszym jednak stało się nazwisko Schiaparelli'ego dzięki jego studjom nad topografją planety Marsa. Wszystkim znana jest dzisiaj jego hypoteza o sieci, przeżynających powierzchnię jego, kanałów, która aczkolwiek ostrej podlega krytyce, stanowić będzie zawsze kolosalnie ważny przyczynek do badań nad naturą ciał astralnych, jego zaś zdumiewająco dokładna karta Marsa pozostanie kamieniem węgielnym nowej zupełnej gałęzi wiedzy — areografji.

Nie można tu też pominąć wielkiej pracy Schiaparelli'ego o gwiazdach podwójnych, która, aczkolwiek nieznana zupełnie profesorom, zyskała mu współmiernie miejsce obok takich Herschelów, Struve'ych i Burhama. Jeżeli zaś dodamy do tego jeszcze cały szereg badań nad wszystkiemi planetami systemu słonecznego i całą masę prac z dziedziny klimatologji i meteorologji, wyrobimy sobie może jakie takie pojęcie o całym ogromie pracy, podjętej przez tego nadzwyczajnego badacza sfer niebieskich.

W r. 1900, po czterdziestoletniej pracy, Schiaparelli złożył godność „pierwszego astronoma" Brery z powodu nadwątlonego wzroku. Nie bacząc na to, nie zarzucał jednak zupełnie pracy naukowej, której się oddawał do ostatka dni swoich. Owocem tej pracy był, drukowany w roku 1902, przyczynek do historji astronomji u żydów starożytnych.

Schiaparelli zmarł po dwutygodniowej zaledwie chorobie. Przedtem nie chorował nigdy i do ostatnich dni zachował przytomność umysłu i jasność rozumowania.

Hatta 606.

Lekarstwo prof. Ehrlicha na syfilis.

Preparat prof. Ehrlicha, spopularyzowany pod nazwą: „606", będący dotąd przedmiotem dociekań a zarazem i lecznictwa na klinikach niemieckich — obecnie stał się dostępnym i na gruncie polskim: we Lwowie, w Warszawie... Równocześnie pojawiła się w druku monografja niemiecka dr. Breslera (wydana w Halli), obejmująca dotychczasowe wielce korzystne wyniki stosowania tego środka przy kile.

Te dwa fakty mogą być dla nas zachętą do omówienia owej bardzo obiecującej metody leczenia.

Zanim jeszcze ów środek przedostał się do szerszych sfer lekarskich — można było liczyć na odkrycie niepoślednie, wiedząc o wielkiej kompetencji i wolnej od wszelkiej blagi skrupulatności Ehrlicha. Dziś twierdzić już można, że medycyna uzyskała dzięki niemu środek, przewyższający ponoć w walce z kiłą preparaty rtęciowe i jodowe.

Czy środek zupełnie, radykalnie uzdrawiający? Tego wobec choroby, której przejawy tworzą fazy, nieraz od siebie znacznie oddalone, dziś krótkość okresu stosowania „606" stwierdzić stanowczo jeszcze nie pozwala. Obserwacja dowodzi tylko szybkiego ustępowania różnych, bardzo ostrych nawet przejawów choroby. Badanie zaś krwi metodą Wassermanna dawało, wprawdzie, nie zawsze, lecz w licznych bardzo przypadkach reakcję negatywną, czyli stwierdzało we krwi nieobecność zarazków syfilitycznych. W tym wypadku wszakże niema jeszczcze ścisłych norm, w jakim odstępie czasu po zastosowaniu preparatu zwątpić wolno o wyniku doraźnym zadanej injekcji (zastrzyknięca, stosowanego bądź do żył, bądź śród mięśni), gdyż niektórzy badacze spostrzegali reakcję negatywną dopiero po dniach kilkudziesięciu.

Bodaj, że niema zresztą jeszcze ustalonych norm, co do tego, ile razy byłoby dopuszczalnem powtarzanie owego zabiegu.

Ale, dodajmy, nawet niewykrycie metodą Wassermanna spirochet (zarazków) syfilitycznych we krwi leczonych, nie jest poczytywanem jeszcze za niezbity dowód, iż nawrotów chorobowych nie będzie. Poprostu czuć jeszcze wielką obawę przed zbyt pospiesznym, zbyt daleko posuniętym optymizmem: iżby ludzkość zdobyć mogła środek, zdolny doszczętnie tępić pewną kategorję jej niewidzialnych wrogów. Dotychczas medycyna szczyciła się tem, iż dopomaga organizmowi w jego walce z czynnikami chorobotwórczemi, ale nie daje mu do dyspozycji środka, któryby sam przez się, doszczętnie wygubić był w stanie tkwiące w organizmie zarazki pewnej choroby.

A gdyby się to udało wobec pewnej grupy zarazków, miałaby ludzkość przed sobą perspektywę, że stopniowo krok za krokiem nauka uzbrajać ją będzie i przeciwko innym... Byłaby w przededniu nowej ery: wielkiego tryumfu wiedzy nad straszną statystyką śmierci, powodowaną chorobami zakaźnemi... Jedno walne zwycięstwo zachęciłoby setki badaczy do dalszych prób i dociekań...

Ale, oderwawszy myśl od tego, co zdziałałyby przyszłe pokolenią, miałaby ludzkość w razie, gdyby wszystkie piękne nadzieje Ehrlicha się ziściły, już teraz skuteczny środek do walki z taką straszną zmorą i klęską — jak syfilis; z chorobą, niszczącą tyle egzystencji, z chorobą, która w wielu okolicach zwłaszcza wśród ludności ubogiej, żyjącej w ciemnocie, i brudzie, w nieobserwowaniu środków ostrożności zakorzeniła się, jako zaraza nagminna, jako klątwa, przechodząca dziedzictwem z rodziców na dzieci. Z gieneracji obecnej odpadłyby, jak przewiduje wynalazca, dla lecznictwa wypadki zwyrodnienia substancji nerwowych, lecz przyszłe pokolenia, mając ratunek umożliwiony w stadjach wcześniejszych, nie dochodziłby do tych smutnych objawów.

Olbrzymiej więc doniosłości będzie czyn Ehrlicha, jeżeli przywiązywane doń nadzieje w pełni się ziszczą.

Z początku świat lekarski z pewną obawą przystępował do prób nad preparatem „606", jako arsenikalnym: dawniejsze bowiem próby z środkami zawierającymi arsenik kończyły się dość często oślepnięciem pacjentów — preparat ehrlichowski (zwany także Hatta preparatem, od japończyka Hatty, który okazał się wybitnym współpracownikiem Ehrlicha) mimo już sporej statystyki (z górą 1500 wypadków) wykluczać się zdaje wszelkie na tym punkcie obawy...

Więc coraz szerzej, coraz raźniej biorą się klinicyści do stosowania tego środka, udostępniając go tem samem coraz liczniejszym rzeszom pacjentów...

Emerytury dla robotników we Francji.

Projekt emerytur dla robotników we Francji przyjęty został przez izbę deputowanych i senat i stał się obowiązującem prawem.

Prawo to wprowadza dwie kategorje ubezpieczeń: jedna — obowiązkowa dla wszystkich otrzymujących zapłatę za swą pracę, jakoto robotników, rzemieślników, służących, parobków i t. p., bez różnicy płci i wieku, zarabiających do 3000 franków na rok; druga dowolna — dla zarabiających od 3000 do 5000 franków, oraz drobnych przedsiębiorców, rolników, dzierżawców itd.

Obowiązkowe ubezpieczenie dotyczy około 11 miljonów osób. Opłacają oni rocznie: mężczyźni 9 fr., kobiety 6 fr., niepełnoletni (do lat 18) 4,50 fr. Przedsiębiorcy dopłacają na rachunek ubezpieczonego taką samą sumę. Ubezpieczony może, o ile zechce, płacić składkę wyższą. Z tych składek, dopłat i procentów od nich po dojściu do lat 65 ubezpieczony utrzymuje emeryturę roczną z dopłatą, której najwyższa wysokość — po 30 latach opłacania składek i 65 latach wieku — wynosi 600 fr. rocznie.

Prawo zezwala na korzystanie z emerytury już w 55 roku, lecz wówczas dopłata państwowa się zmniejsza. W dniu, gdy ubezpieczony ma zapewnione przynajmniej 180 franków renty, o ile nabędzie nieruchomość w mieście lub na wsi od dalszego opłacania składek może być zwolniony. W razie nieszczęśliwego wypadku powodującego zupełną

niezdolność do pracy, ubezpieczony otrzymuje przypadającą mu zapomogę wraz z pewną państwową dopłatą.

W razie śmierci ubezpieczonego wdowa lub sieroty otrzymują od 150 do 300 franków w 50 fr. ratach miesięcznych.

Prawo ubezpieczeniowe obejmuje również tych robotników, którzy z powodu podeszłego wieku nie mogą już opłacać składek czy to zupełnie, czy też tylko przez wymagany okres czasu. O pracownikach, mających więcej niż 70 lat, prawo nic nie wspomina, pozostawiając opiekę nad nimi dobroczynności, kóra jest urządzona na koszt społeczeństwa. Tym, którzy liczą od 65 do 69 lat, państwo wypłacać będzie połowę tego, co otrzymaćby mogli od dobroczynności. Tym, którzy mają od 44—64 lat, państwo — zależnie od sumy wpłaconych składek — wypłacać będzie rocznie najmniej 100 fr.

Ogólna suma zwykłej emerytury waha się pomiędzy 270 fr. dla kobiet i 412 fr. dla mężczyzn.

Druga kategorja ubezpieczonych płaci dobrowolne składki, do których państwo dopłaca rocznie najwyżej 6 franków. Dla ubezpieczonych tej kategorji, mających od 44 do 64 lat, państwo przeznacza 50 fr. roczną dopłatę do przypadającej emerytury.

Oto główne podstawy tego prawa. Dodamy jeszcze to, że pracownicy ubezpieczeni w towarzystwach lub związkach, korzystają z tych samych dopłat, choć nie płacą składek do kasy państwowej.

Robotnicy nie są zadowoleni z tej reformy, uważając ją za niedostateczną. W całej Francji zwoływane były zgromadzenia robotnicze, na których po omówieniu sprawy przyjmowano rezolucje, świadczące o niezadowoleniu klasy robotniczej z tej reformy. Przytaczamy poniżej w streszczeniu rezolucję, jaką przyjęła federacja drukarzy; oddaje ona dokładnie zapatrywania robotników francuskich na tę reformę.

Społeczeństwo winno zabezpieczyć spokojną starość wyczerpanemu pracą robotnikowi, zwłaszcza, że to wyczerpanie nie jest powodowane zwykłą starością, lecz nadmierną pracą, oraz ciężkimi warunkami bytu robotników. Termin otrzymania emerytury jest za bardzo oddalony, gdyż tylko 17—18% robotników żyje do lat 65. Wysokość emerytury jest najzupełniej niewystarczającą i wobec wysokich emerytur, jakie otrzymują państwowi urzędnicy, zakrawa na bolesną ironję. Reforma obecna jest niewystarczającą, gdyż nie obejmuje bezrobocia, choroby i kalectwa. Niesłusznem jest wyłączenie z ubezpieczenia matek rodzin, które choć nie pracują w zakładach, mają wiele trudu w domu; powinny otrzymywać emeryturę na równi z wszystkimi, zwłaszcza, że wdowy po urzędnikach otrzymują emerytury. Robotnicy zgadzają się opłacać składki, jednakże sądzą, że rząd winien czerpać potrzebne na emerytury środki z podniesionych do odpowiedniej wysokości podatków od dochodów i spadków. W końcu rezolucja wzywa członków Federacji, by przy zbliżających się wyborach żądali od kandydatów zmiany tego prawa i tylko na tych głosowali, którzy się zobowiążą do przeprowadzenia zmian w duchu powyższej rezolucji.

Rozmaitości

Zmiana loterji pruskiej. Administracja loterji pruskiej z powodu przystąpienia Alzacji i Lotaringji do tejże loterji, postanowiła powiększyć liczbę losów od przyszłego roku o 40 000, czyli z 340 na 380 tysięcy. Zarazem zamierza administracja pruskiej loterji losy podzielić na dwie serje, każdą od nr. 1—190 tysięcy. Ciągnienie ma być dla obu serji wspólne tak, że losy wygrywające będą podwójne, w każdej serji z temi samemi numerami; także główne wygrane będą podwójne. W miejsce niektórych większych wygranych, zaprowadzoną zostanie większa liczba mniejszych wygranych od 1000—5000 marek, przez co widoki wygrania powiększą się znacznie.

* * *

Roczny ruch książkowy u różnych narodów. Najwięcej książek — według zestawień włoskiej „Tribuna Illustrata" — produkują Niemcy, gdzie pojawia się corocznie przecięciowo 27 000 róznych książek.

Niżej pod tym względem stoi już Francja, która corocznie produkuje około 13 tys. książek. Wszystkie inne narody wydają znacznie mniej książek. W Anglji pojawia się rocznie książek 9000 z górą, w olbrzymich Stanach Zjednoczonych około 8000, w małej Szwajcarji przeszło 7000, we Włoszech przeszło 6000, w Holandji przeszło 3000, wreszcie w wielkich Austro-Węgrzech zaledwie 2400 książek. A są jeszcze narody europejskie, u których produkcja roczna książek jest znacznie mniejsza.

* * *

Elektryczne usypianie. Od dłuższego już czasu trwają próby zastąpienia środków narkotycznych, używanych przy operacjach, przez inne, mniej szkodliwe w swych następstwach. Ponadto trzeba wiedzieć, że narkoza niejednokrotnie jest niemożliwa z powodu choroby serca u pacjenta. Otóż w r. 1902 profesor z Nantes Leduc — robił doświadczenia, by za pomocą prądu elektrycznego można było tak podziałać na ośrodki mózgowe i rdzeniowe, by spowodować zupełną nieczułość na ból u operowanego. Doświadczenia te postąpiły obecnie tak naprzód, że istotnie prądem elektrycznym zastanawia się czynność ośrodków nerwowych. Uśnięcie pacjenta pod wpływem prądu elektrycznego trwa dopóty — dopóki prąd przechodzi przez jego ciało — po przerwaniu prądu przytomnośc natychmiast wraca. Uśpienie to nie pociąga za sobą żadnych szkodliwych następstw.

* * *

Najpiękniejszy zbiór zegarków. Miljarder amerykański Pierpont Morgan nabył za 2 100 000 mk. od zbieracza berlińskiego, Karola Marfelsa, najpiękniejszy na świecie zbiór zegarków, obejmujący około 120 arcydzieł sztuki zegarmistrzowskiej z XVI, XVII i XVIII stulecia. Za pozostałe żądał Marfels dwa miljony marek. Morgan kupił już w roku zeszłym 40 zegarków z tego zbioru za 600 tysięcy marek. Morgan jednak nie chciał zgodzić się na taką cenę. Teraz dopiero interes doszedł do skutku. Marfels bowiem zgodził się na proponowaną przez Morgana kwotę półtora miljona marek. Zaznaczyć przytem należy, że właściciel zbioru powyższego proponował go za daleko niższą cenę najpierw rządowi pruskiemu, a potem berlińskiemu Muzeum sztuki i przemysłu, ale nadaremnie. Obecnie więc wspaniały zbiór powędruje do Ameryki.

Z literatury i sztuki

Numer 30 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Marja Czaplicka: Baśniowa droga. — E. Orzeszkowa: A... B... C... — Adam M-ski: Brat. — J. M.: Jodła i król wężów Żilwinas. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — Ze świata: Zlot sokołów. Starożytna wieża pochyła. — Rozwiązanie.

Treść nr. 31.: Wł. W.: Proporzec albo Hołd pruski Jana Kochanowskiego. — Eliza Orzeszkowa: A... B... C... — St. Buraczewska: Djabelski statek. - J. M.: Król Jon (tłom.). — Ze świata: Wystawa pamiątek z epoki Jagiełły. Kalendarzyk pielęgnowania roślin pokojowych. — Łamigłówka. — Rozwiązania.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 33. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 sierpnia 1910.

MIECZYSŁAW MAŃKOWSKI.

GWIAZDKA, CO ZGASŁA.

Paryż, 18 marca 1910.

Drodzy!

Doczekałem się nareszcie listu, na jaki dawno wyczekiwałem, którego pragnąłem tak bardzo.

Kochani! Nie podejrzewacie nawet, jaką prawdziwą radość sprawiliście mi swą miłością.

W Szwajcarji często zdarzało mi się obserwować zakochane pary; idą sobie pod rękę aleją jakąś, zatrzymują się co kilka kroków i całują się — kochani.

Tam to przyjęte.

Lubiłem na te całowania patrzeć i... cieszyłem się.

Wyobraźcie sobie, co poczułem, gdym tę wiadomość o Was z listu Waszego wyczytał...

Ach pani! Wyście naprawdę zakochani! Mam tego niezbite dowody, w tej Waszej miłości, „której nie ogarniają brzegi życia“ nawet.

Pani! tak zawsze z roskołysanem morzem bywa...

Drodzy! — to spokoju szyba pękła — bo serce młotem bije, pierś faluje, szał bałwany w niebiosa wzbija, bryzga nimi... Myśl — te rozkiełzane namiętności koronkami śnieżnej piany bramuje, lamuje, upiększa...

Pani! nie wstydźcie się tego!... Oddajcie się cała — wzruszeniom serca swego.

Nie wierzcie ludziom, co akt miłości wysmiali, wydrwili: głupich dowcipów śliną oplwali...

On czysty i wielki i najcudniejszy, twórczy przejaw naszego życia!

Piszecie, wiosna u Was prześliczna...

Pani! to ona wzbudziła, rozkiełzała w Was śpiące, drzemiące — dreszcze twórczości pełne...

Nie wstydźcie się drodzy!...

Niech biegną one z ciał Waszych — niech się przełamują w całowaniach namiętnych Waszych, aż wreszcie w całunku wzajemnych podzięk pełnym — skonają...

Zapomnijcie na teraz kochani — słowa, co Wam kiedyś mówiłem: że uczucie to niewieczne...

Przeczyliście wtedy — teraz będziecie tembardziej przeczyć?

Każda lampa — jednak — kiedyś zagaśnie... Nawet morze i ono — drodzy — uspokoi się przecie. I znowu na zwierciadlanej, spokojnej jego powierzchni — nieba szafir, noc ciemna — jak senne widziadła snuć się będą: to wesołe, radosne, to znów chmurne — jak pasmo życia naszego...

Wtedy, wtedy tylko wspomnijcie me słowa — drodzy!..

Cóż lampa winna, że zgasła, że oliwy w niej niema, że zabrakło?

Zrywaliście kwiatki... a teraz zachowajcież pamięć o nich miłą, nie wińcie siebie, nie wińcie jego.

Drodzy! piszecie, że miłość jest wyzwoleniem wielu sił w człowieku — że czujecie się dziś mocniejszym, prawdziwszym człowiekiem — że drogę swego życia widzicie i pragniecie jasno i pragniecie aby skończyła się tam „gdzie Wisła cichem szemraniem do snu wiecznego kołysze“...

Mówicie, że jak świt i oddech głęboki, taką dziś prawdę czujecie w sobie a dla ludzkości całe morze kochania....

Towarzyszko droga, to — Wasze uczucie — tę miłość ku ludzkości, tak potężnie w Was wznieca...

Ten płomień — nie zgaśnie i trwać będzie, gdy w lampie wzruszeń Waszych miłosnych — podniety dla niej zabraknie...

Nad konającem, migotliwem, gasnącem jej światłem — łez ronić wtedy nie będziecie do świtów...

Drogę swą — zaprawdę widzicie jasno — widzicie ją ciernistą piękną — jak różę — bo kiedyś ogień ten Wasz miłości ku ludzkości — Wierzę Wam — potężnym snopem nad polskiem łanem wzniesie...

Wy chcecie...

Chcę dla Was także...

Abyście się w gronie tem — stopili... zbłysnęli...

Jak gwiazda, co zgasła...

Jak kapitaliści dążą do łamania strejków.

Rozwój związków robotniczych spowodował przedsiębiorców do zakładania własnych organizacji, które w miarę rozszerzania się dążeń i celów związków zawodowych robotniczych, rozszerzają także swój zakres działania. Właściwym celem organizacji przeesiębiorców jest obrona przed skutkami walk robotniczych. Środkami, mogącymi pokonać robotników w ich walce, są dla przedsiębiorców: 1) łamistrejki, 2) wykonywanie robót objętych strejkiem, 3) t. zw. „czarna lista“, aby strejkujący robotnicy nie mogli otrzymać pracy w innych miejscowościach i zawodach, 4) lokauty i 5) wzajemne wsparcia strejkowe.

Ustawa organizacji przedsiębiorców uważa strejk robotników za „vis major“ i pozwala członkom takich organizacji na niewykonywanie zamówionych robót i nakłada na nich obowiązek w razie potrzeby pomagania drugim członkom przez wykonywanie ich zamówień.

Każdy przedsiębiorca składa przy wstąpieniu do organizacji kaucję, która, w razie złamania przez niego solidarności, przypada na rzecz organizacji, jako kara pieniężna. Ponieważ jednak często gęsto kaucji tych, składanych w formie weksli, nie można było zaskarżyć, ani ściągnąć, zaprowadziły organizacje przedsiębiorzów kaucje w gotówce lub papierach wartościowych.

Środków tych używali i używają przedsiębiorcy w wielu krajach, już od wielu lat, a nauczyli się ich od przedsiębiorców niemieckich. Główną trudność stanowiło i stanowi jeszcze obecnie zaprowadzenie wsparć strejkowych i to głównie z przyczyn materjalnych, chociaż już oddawna poszczególni przedsiębiorcy domagali się zaprowadzenia podobnych wsparć. Pierwszy taki wniosek pojawił się już w 1872 roku na zjeździe delegatów związku budowlanych, podług którego miało być założone „Towarzystwo ubezpieczeń na wypadek strejku“. Wniosek ten jednak upadł. Pierwszą właściwą organizacją ubezpieczeniową w razie

strejku był „Związek ubezpieczeń na wypadek strejku okręgu górniczego w Dortmundzie".

Związek ten założono w roku 1889, a już w roku 1891 wyniósł jego majątek 1 454 924 marek; z czego w tym samym roku wypłacono tytułem odszkodowania 230 000 mk. Próby podobne nie były odosobnione, ponieważ rząd pruski zajmował się tą sprawą już w r. 1892 ze względu, iż podobne towarzystwa ubezpieczeniowe wymagały pozwolenia władzy, a rząd pruski, przynajmniej wtedy, chciał traktować podług równych zasad tak przedsiębiorców jak i robotników. Celem uzyskania pozwolenia na założenie takich towarzystw asekuracyjnych, wydał rząd pruski w specjalnym do tego okólniku następujące postanowienia:

1) Wsparcia lub odszkodowania za strejk mogą być wypłacane takim tylko członkom, którzy o przyczynach strejku zawiadamiali sąd przemysłowy lub sami w krótszej drodze chcieli konflikt załagodzić, a tylko z winy przeciwnika nie mogli zawrzeć ugody.

2) Władza nadzorcza ma prawo wglądać w książki i rachunki kasy organizacji. Kasa ma ogłaszać corocznie zestawienia rachunków, wykazując liczbę członków, sumę pobranych składek i wypłaconych zapomóg.

Ta urzędowa kontrola nie podobała się oczywiście przedsiębiorcom, wskutek czego zrezygnowali z ubezpieczenia strejkowego, a na jego miejsce zaprowadzili wolne odszkodowanie za strejk, w gruncie rzeczy było to jedno i to samo, tylko bez uciążliwej kontroli, z tą tylko różnicą, że przy odszkodowaniu strejkowem nie miał dany przedsiębiorca prawa do skargi. Dobrowolny obowiązek odszkodowania jest nawet dla przedsiębiorców rzeczą korzystniejszą, ponieważ daje im możność obrony przeciw tym przedsiębiorcom, którzy, stojąc przed ruiną majątkową, sami strejk wywołują, aby móc wziąć odszkodowanie. A że były podobne wypadki, dowodzi tego p. Reiwitz, gieneralny sekretar hamburskiego związku przedsiębiorców, który w 1904 roku tak pisał:

„Ubezpieczenie strejkowe nie jest rzeczą wskazaną. Każdy członek powinien się w razie strejku sam bronić, a tylko wtedy odwołać się do pomocy związku, gdy widzi, że siła jego własna na to nie wystarcza. Łatwo się bowiem może zdarzyć, że z takiej instytucji mogą ciągnąć osobiste zyski osoby moralnie nisko stojące, które nie pamiętają o tem, że nawet w walce z robotnikami mają obowiązek sprawiedliwego traktowania swych robotników".

Wzmianka o sprawiedliwem traktowaniu robotników służyła tylko do wywarcia korzystnego wpływu na opinję publiczną; w rzeczywistości bowiem sprawiedliwość przedsiębiorców zależy od siły robotników.

Podług sprawozdania państwowego urzędu pracy istnieje w Niemczech 44 towarzystw ubezpieczeniowych na wypadek strejku.

Ogółem w przedsiębiorstwach, należących do ubezpieczania strejkowego, pracuje $1^1/_2$ miljona robotników. Najważniejszem z tych towarzystw jest „Związek obronny przed szkodami strejkowemi" założony w r. 1906 i „Stowarzyszenie niemieckich związków pracodawców od odszkodowania podczas strejków", założone w lipcu 1906 r. Za 1 113 048 dni roboczych, straconych podczas strejku w przemyśle drzewnym w r. 1907, wypłacił wspomniany związek przemysłowcom drzewnym 212 930 mk. odszkodowania.

Wkładki przedsiębiorców na cel odszkodowania strejkowego są różnej wysokości, wynoszą $^1/_2$—3 od tysiąca całego rocznego dochodu. W poszczególnych związkach są oprócz tego wkładki dodatkowe na wypadek, gdyby rozchód przewyższył dochód. Podniesiono także i wpisowe, ktorego wysokość równa się obecnie wysokości wkładki.

Jak powstaje zysk?

Pytanie takie niejednego z robotników, którzy dotąd trzymali się zdala od swej organizacji i nie mieli sposobności zapoznać się choćby tylko z podstawami nauk ekonomiczycznych, wprawi w niemały kłopot. Przeciwnicy bowiem klasy robotniczej nie starają się nigdy uświadomić pod tym względem robotników, przeciwnie, chcą oni, by robotnik jak najmniej myślał i jak najmniej wiedział. Lecz również i między przedsiębiorcami znajdzie się bardzo wielu, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, skąd biorą swe zyski i co najwyżej na postawione pytanie odpowiedzą, że zysk powstaje przez to, że towary sprzedaje się po cenach droższych od kosztów własnej produkcji. Odpowiedź taka nic jednak nie tłomaczy. Kupujący nie troszczy się bowiem zupełnie o to, ile wynosiły koszta produkcji danego towaru, on szacuje jedynie tylko jego wartość i za nią płaci. Skądżeż się bierze wartość towaru? Kapitalista odpowie, że wartość towaru, to wytwór jego pracy! Zapewne, że kierownictwo przedsiębiorstwa wymaga pewnej pracy, o ile spełnia ją sam przedsiębiorca, to w wartości towaru tkwi i jego praca. On musi prowadzić i zarządzać całą organizacją i administracją przedsiębiorstwa, on musi zakupywać surowy materjał i zajmować się sprzedażą gotowego towaru, musi znać stosunki, panujące na rynkach wewnętrznych i targach światowych, słowem, musi mieć pewne, dość znaczne doświadczenie kupieckie, techniczne, ekonomiczne i prawnicze. Krótko, czynności przedsiębiorcy, o ile on sam ją spełnia i nie każe się „zastępować" przez urzędników, buchalterów, techników i t. d., nie należy pomijać i niedoceniać.

I jakkolwiek w zupełności przyznajemy, że ta czynność kierownicza jest robotą konieczną i potrzebną, to przecież zawsze jeszcze nie wykazaliśmy przez to, by powstanie zysku stało z nią w jakimkolwiek stosunku. Po pierwsze bowiem, bardzo wielu kapitalistów, jak np. wszyscy akcjonarjusze, pracą tą nie zajmują się zupełnie, a mimo to zbierają zyski większe od tych, którzy sami kierują swym warsztatem lub fabryczką. Po drugie, wysokość zysku jest bardzo rozmaita, jakkolwiek praca przedsiębiorców może być taka sama lub nawet odwrotnie. To są najlepsze dowody, że wysokość zysku nie stosuje się w zupełności do ilości pracy, włożonej przez samego przedsiębiorcę

Weźmy przykład: Jeżeli jakiś mały przedsiębiorca prowadzi przedsiębiorstwo z kapitałem 10 000 marek, to nigdy, jeżeli nawet nie wiedzieć ile włoży w nie swej pracy, nie będzie miał zysku takiego, jak jego konkurent, który takie same przedsiębiorstwo prowadzi z kapitałem miljonowym i przez cały rok nic a nic nie robi. Jeżeli przedsiębiorstwo przynosi w tym 100 000 marek, a urzędnicy, dyrektor i prokurzysta kosztują 30 000 mk., to przedsiębiorca „zarobi" jeszcze zawsze 70 000 mk., nie potrzebując nawet palcem ruszyć.

Widzimy więc, że zysk nie ma z pracą przedsiębiorcy nic wspólnego i dalej, że przez sprzedaż towarów zysk zostaje tylko zrealizowany nie zaś wytworzony. Powstania zysku należy szukać gdzieindziej. Wiemy, że suma wartości, nazywanej zyskiem, powstaje przez pracę, przez pracę twórczą robotników, przyczem zauważyć należy, że pojęcie to obejmuje wszystkich, którzy za zapłatą oddali swe siły i swą wiedzę na usługi kapitału i stwarzają dlań towary, a więc robotnicy kwalifikowani i niekwalifikowani, inżynierowie, technicy, urzędnicy. Ludzie ci, którzy pracą swą stwarzają towary, otrzymują tyle tylko, ile im koniecznie potrzeba do życia i w tem właśnie leży cała zagadka powstania zysku. Między pracą tych ludzi, a ich zapłatą jest zawsze różnica, którą przedsiębiorca chowa do swej kieszeni.

I to jest niespożytą zasługą Karola Marxa, że on pierwszy naukowo zbadał tę nadwartość. Aby wiedzieć czem jest nadwartość, Marks musiał przedewszystkiem poznać, czem jest wartość. W tym celu poddał on krytycznym badaniom wszystkie dotychczasowe teorje o wartości, zbadał pracę pod względem jej własności stwarzających wartość i pierwszy wykazał, jaka praca, jak i dlaczego wytwarza wartość.

Zysk więc, to nic innego, jak tylko niezapłacona praca robotników. Im większy kapitał, im więcej siły roboczej można kupić za niego, tem większa suma tej zrabowanej robotnikom nadwartości, tem większe zyski zagarnia przedsiębiorca. I jakkolwiek zysk procentowo do wyłożonego kapitału może spadać, to przecież absolutna jego suma zawsze wzrasta. I jakkolwiek klasa robitnicza przez swe organizacje zawodowe zapobiegła bezwzględnemu obniżaniu się stopy życiowej robotnika, to przecież położenie robotników w porównaniu do położenia kapitalistów ulega pewnemu względnemu pogorszeniu. Od roku 1860 do 1890

robotnicy angielscy płace swe dzięki walce zawodowej podwyższyli prawie w dwójnasób (z 7 miljardów na 14 miljardów), z ogólnego jednak dochodu całego narodu w r. 1890 przypadało na klasę robotniczą 43 %, podczas, gdy w roku 1860 przypadało jeszcze 47%. I podczas gdy przedsiębiorcy przez usunięcie z pośród siebie wolnej konkurencji, starają się swe zyski utrzymać na dotychczasowej wysokości lub podnieść je jeszcze, to za pierwszy warunek do tego celu uważają organizowanie się przeciw robotnikom. Czyż wobec tego może być jeszcze wątpliwość, skąd się biorą zyski?

Urlopy dla robotników.

Nadszedł czas, w którym każdy, kto tylko jest w stanie, stara się po całorocznej pracy choć parę dni lub tygodni wypocząć na świeżem powietrzu zdala od atmosfery, w której cały rok się znajduje, choć w skromnym, cienistym lesie lub u stoku gór.

Bogacze, na których pracują inni w pocie czoła, także po zimowych trudach i wyczerpaniu na balach, rautach, hulatykach i orgjach w większych miastach lub na Rywierze w Monako, we Włoszech i Egipcie szukają nowych wrażeń i rozkoszy w kąpielach morskich lub uroczych górach. Oprócz tych wiecznych próżniaków-tułaczy, mogą sobie pozwolić i to już z trudnością na odpoczynek urzędnicy ze swojemi rodzinami, nauczyciele. Zaledwie nieliczne wyjątki bardzo dobrze sytuowanych robotników i werkmistrzów mogą na kilka dni uzyskać urlopy. Zaś cała rzesza robotników, których kości i mięśnie zbolałe i zmęczone, organizm przesiąknięty gazami, kwasami, płuca poranione ostrym pyłem, potrzebują choć kilkudniowego wypoczynku, nie mogą go mieć. Powietrze górskie lub kąpiele w naszych wspaniałych, obfitych w minerały rzekach u podnóży gór dla strudzonego robotnika byłyby balsamem pokrzepienia swych sił, coby nie tylko jemu i jego rodzinie korzyść przynieść mogły, ale i przedsiębiorcy.

To też urlopy dla robotników zaczynają pomału wprowadzać w życie tam, gdzie robotnicy tą wspaniałą myśl propagowali i na pracodawcach wymusili. Dziś już są np. w Anglji wielkie fabryki tkackie, które na 8 dni udzielają urlopu, zamykają natenczas fabryki, a robotnicy wyjeżdżają do niedalekich brzegów morza, by korzystać z morskich kąpieli lub udają się do wysokich gór, wszędzie przeważnie ze swoimi rodzinami. W kulturalnych państwach są już dla robotników w kąpielach lub miejscach wypoczynku odpowiednie urządzenia i zniżki, aby uprzystępnić i umożliwić dla warunków robotnika pobyt w tych miejscowościach.

I u nas znajdują coraz większe zrozumienie te żądania robotników, np. w Niemczech na 620 firm drukarskich korzysta 13 000 drukarzy, i 5000 z personału pomocniczego i chłopców z urlopu. Prawo do urlopu nabywa się, gdy pracuje się dwa lata u tego pracodawcy. Niektóre firmy oprócz zapłaty za czas urlopu, wypłacają jeszcze pewien dodatek wakacyjny.

Związek browarników przeprowadził umowę cennikową, w której jest płatny urlop zastrzeżony, gdzie z 413 przedsiębiorstw korzystało 20 170 robotników. Urlopów udzielają niektóre przedsiębiorstwa np. dla tramwajarzy, w fabrykach gazów, dla służby miejskiej i t. d.

W Austrji, gdzieniegdzie wchodzą urlopy w życie np. w fabrykach Simens-Schuckert na przedstawienie związku metalowców od kilku lat wprowadzono płatne urlopy, co się dla obydwuch stron okazało bardzo korzystne.

Drukarze wyręczają się w ten sposób, że gdy jeden jedzie na urlop i to tylko, gdy wypoczynek jest już rzeczą niezbędną, natenczas inni jego koledzy wykonują za niego robotę, a w ten sposób zarobioną kwotę wręczają swemu koledze, tak, że nie ponosi zbyt wielkiej szkody, a w uszczerbku zarobku prawie żadnej.

Cała inna rzesza robotnicza nie może korzystać z dobrodziejstwa urlopu, chyba, że kto straci pracę lub jest chory, lecz wtenczas niema co jeść. Od czasu do czasu kryzys zmusza go również do tego.

Urlopy dla robotników są tak samo uzasadnione, jak podwyższenie płacy, krótszy dzień pracy i t. d., ponieważ przyczyniać się muszą do przedłużenia zdrowia i życia, jest to także bardzo ważne żądanie ze stanowiska hygjeny, dlatego też robotnicy i od tego żądania nie będą odstępowali, lecz żądania udzielania płatnych urlopów będą coraz więcej musiały być stosowane i przeprowadone.

Urlopy dla górników.

Na ostatnim XX międzynarodowym kongresie górników na wniosek belgijczyków uchwalił kongres, iż górnicy powinni otrzymywać rocznie 14 dni płatnego urlopu. Na kilku ostatnich kongresach podobne wnioski zostały jednogłośnie przyjęte.

Cholera w Rosji.

Cholera przestała być w Rosji nadzwyczajnym przybyszem. Jak rok długi wędruje sobie najspokojniej po olbrzymich przestrzeniach państwa rosyjskiego i zbiera swoje śmiertelne żniwo zarówno na mroźnej północy (Petersburg), jak i na południu (Rostów, Odessa). W prasie zagranicznej ten stały gość miast i wsi rosyjskich wywołuje też alarmy tylko o tyle, o ile zbliża się na zachód i zagraża wtargnięciem do państw ościennych — jak to było w roku bieżącym.

Równorzędnie z wzrostem cholery wzmaga się w wielu miejscowościach także strach przed cholerą, stają się coraz częstsze „rozruchy choleryczne", które dają wymowne świadectwo tej ciemnoty, jaka panuje w Rosji. Dzień prawie nie mija, żeby dzienniki nie doniosły o jakichś nowych rozruchach tego rodzaju, które wchodzić zaczynają w pewien szablon:

„Pocóżcie przyjechali nas truć i zabijać? Zabierajcie się stąd!" — krzyczały baby we wsi Ruczajewce do felczera i sanitarjuszów, poczem wtargnęły przemocą do budynku, zajętego przez oddział lekarski, zniszczyły instrumenty i lekarstwa. Lekarze ustąpić musieli przed tym wybuchem ciemnej nienawiści i oddział został odwołany. Z gubernji połtawskiej i woroneżskiej donoszą o panice cholerycznej, pod wpływem której ludność ukrywa chorych przed sanitarjuszami.

Walka z falą ciemnoty i zabobonu z przyczyn łatwo zrozumiałych jest bardzo trudna, tak np. we wsi Konstantynówce w gubernji woroneżskiej pop odprawił nabożeństwo żałobne na cmentarzu cholerycznym.

„Batiuszka" pod ziemią stuka — oświadczył mu jeden z włościan — pewno „choleryczny" jęczy tam w grobie. Pozwólcie odkopać"...

Żadne perswazje duchownego nie mogły uspokoić podnieconej wyobraźni tłumu i wdowa po włościaninie, który „stukał" w grobie, wykopała w nocy rozkładające się już zwłoki męża, zmarłego na cholerę...

I zdawałoby się, że od bardziej rozwiniętej klasy robotniczej możnaby się spodziewać spokojniejszego i rozsądniejszego zachowania się wobec epidemji. Okazuje się jednak, że robotników na południu Rosji, zwłaszcza opanowała górników panika przed cholerą niemniejsza, aniżeli włościan. Tak np. wybuch cholery w porcie mariampolskim i w kopalniach gołubowskich w gub. jekaterynosławskiej przeraził strasznie robotników, którzy porzucają tłumnie pracę i uciekają. W obu miejscowościach tych 500 robotników zażądało zwrotu książeczek obrachunkowych, a 150 nie czekało nawet na obrachunek. W powiecie sławianoserbskim tejże gubernji opanował ludność taki strach, że gubernator „wobec groźnego zabobonu robotników i włościan" objechał powiat i po drodze aresztować kazał tych, co przeszkadzali pracy personału lekarskiego.

Tu i ówdzie fali zabobonnego strachu przed cholerą unieść się dają nawet przedstawiciele personału lekarskiego. W Melitopolu np. aresztowany został felczer, który podburzał tłum przeciwko środkom sanitarnym; w powiecie zaś radomyskim w gub. kijowskiej, felczer, przerażony wybuchem cholery, zbiegł z posterunku swego. Zastąpili go w rozdawaniu leków dwaj strażnicy.

Fala zabobonu i panicznego strachu przed cholerą przybrała niewątpliwie rozmiary groźne zarówno siłą swą, jak i przestrzenią, którą objęła. I w czemże tkwi przyczyna tego strasznego wybuchu ciemnoty i zabobonu właśnie w chwili, gdy Rosja zbliża się do 3 letniego jubileuszu epidemji cholerycznej? Wszak w ciągu owych trzech lat ludność powinna była oswoić się nieco z epidemją; a i czasu było dość do zarządzenia środków, któreby niebezpieczeństwo do jej minimum zmniejszyły...

To stałe grasowanie cholery i związana z nią zaraza... niedorzecznych pogłosek i „cholerycznych“ buntów stanowią jakoby dwie strony medalu opłakanych stosunków rosyjskich. Z jednej strony rząd rosyjski, tak zajadliwie walczący z „wrogami wewnętrznymi“ zapomocą jenerał-gubernatorskich represji i prześladowań, wobec tego groźniejszego od „obcoplemieńców“ wroga okazuje zupełną bezsilność i niezaradność.

Z drugiej zaś strony ciemnota mas ludowych rosyjskich i zupełnie uzasadniony brak zaufania do władz, walkę z cholerą w Rosji czynią niezmiernie trudną. W rezultacie rząd zamiast cholery musi się zajmować tłumieniem... buntów cholerycznych, a cholera tymczasem zbiera w Rosji coraz większe żniwo ofiar — nieudolności władz i ciemnoty ludu rosyjskiego.

Rozmaitości

Dla bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Zaprowadzenie kolei elektrycznych i zwiększającą się coraz bardziej liczba automobilów zmniejszyła znacznie bezpieczeństwo ruchu ulicznego w miastach dużych i to tak dla przechodniów, jak i dla wehikułów wszelkiego rodzaju. Najniebezpieczniejsze są w tej mierze przecięcia się jednych ulic z drugiemi. Ustawianie na nich osobnych straży policyjnych niezupełnie odpowiada celowi, bo naprzód nie można na każdem krzyżowaniu się ulic ustawiać policjanta, a następnie pokazało się, iż taki policjant więcej tamuje ruch uliczny, niż tego rzeczywiście wymaga potrzeba. Dlatego idąc za przykładem miasta Woodbridge, zaopatrzyły niektóre miasta angielskie rogi swych ulic w odpowiednich miejscach w stosowne zwierciadła, ktore pozwalają widzieć z jednej ulicy, co się dzieje na drugiej w pewnej odległości i przez to zapobiegają nieszczęśliwym przypadkom.

Urządzenie to jest jeszcze za świeże, by o niem wydawać sąd ostateczny pod tym mianowicie względem, czy publiczność będzie zważać na to, co pokazują zwierciadła, ale ponieważ próba z niemi nie jest ani trudna ani kosztowna, wartoby spróbować w miastach stałego lądu Europy zwierciadeł dla zwiększenia bezpieczeństwa ruchu ulicznego.

* * *

Trzy miljardy na alkohol. Z obliczeń niemieckiego urzędu statystycznego dowiadujemy się, że w okresie od 1904—1908 r. przypadało w Niemczech na osobę (wliczając dzieci, kobiety i starców, którzy piją zazwyczaj bardzo mało) 116,66 litra piwa, 3,86 litra wódki i 5,82 litra wina. Licząc litr piwa po 30 fen., litr wódki po marce i litr wina także tylko po marce, przypada na każdego mieszkańca Rzeszy niemieckiej wydatek 35 mk. na piwo, 3,86 mk. na wódkę i 5,82 mk. na wino. W całem państwie wydano zatem w ostatnich czasach — przy 64 miljonach mieszkańców — rocznie na piwo, wódkę i wino razem 2859 miljonów 500 tysięcy marek, czyli 3 miljardy mk. Wydatki Niemiec na alkohol przewyższają więc przeszło dwukrotnie wydatki roczne na wojsko i marynarkę, są prawie 4 razy tak wielkie, jak suma, wydana przez państwo na t. zw. „ubezpieczenia robotników“, a wynoszą 5 razy tyle, co koszta utrzymania wszystkich szkół publicznych w całem państwie.

* * *

Skutki pijaństwa. Stwierdzono już bardzo dawno, iż dzieci spłodzone w stanie nietrzyźwym, są tępe i słabe. Rok, w których dzieci w krajach produkujących wino, przychodzą do szkoły słabo uzdolnione, oznacza, iż przed 9 laty był wielki urodzaj winogron. Już na 2700 lat przed Chrystusem ostrzega Likurg przed płodzeniem dzieci w stanie pijanym. Dr. Bezzola stwierdził, iż na 8196 tępych dzieci w Szwajcarji, połowa ich była spłodzona w stanie nietrzeźwym. Dzieci pijaków są zazwyczaj pijakami, złodziejami, włóczęgami, żebrakami i prostytutkami. Dlatego państwo powinno wszelkimi sposobami zwalczać alkoholizm, który wyrządza społeczeństwu niepowetowane szkody. Ciekawe są zestawienia kas chorych, co do częstości zachorowań ludzi niepijących i pijących, które jasno wykazują, iż ludzie pijący dwa razy tak często chorują, jak ludzie niepijący. To też kasy chorych wprowadzają dwie skale płac, jedną dla niepijących, drugą dla pijących. Wkładka dla pijących jest dwa razy większa, gdyż oni głównie obciążają budżet kas chorych. To samo zamierzają już i austrjackie kasy chorych.

* * *

Zgnilizna moralna w klasztorze. Sławny jest klasztor Trapistów w Tre Fontane pod Rzymem. Kościół tego klasztoru zbudowany jest na miejscu, na którem — podług pobożnej legiendy — ścięto św. Pawła. Zakonnicy tego klasztoru znani są z wyrabiania wódki, zwanej Eukaliptus, którą rozpajają społeczeństwo. W ostatnich czasach ujawniła się w sposób jaskrawy demoralizacja tych mnichów. Trzech z nich uciekło z klasztoru, a szczegóły, które obecnie opowiadają i które stwierdzone są dokumentami w postaci listów prywatnych, przejmują zgrozą każdego uczciwego człowieka. Jeden z owych mnichów, O. Noger, prowadził romans z pewną damą, z którą inny jeszcze zakonnik, O. Marius, żył w gorszących stosunkach. Po wielu zgorszeniach O. Noger uciekł z klasztoru i mieszka obecnie w Genui wraz z ową damą. Opowiada on, jak ojcowie Trapiści fabrykują cuda.

Podług pobożnej legiendy, zapisanej w brewiarzu rzymskim, głowa św. Pawła, upadając z pod miecza katowskiego trzy razy odskoczyła od ziemi, staczając się po pochyłości. W tych miejscach, gdzie uderzyła o ziemię, wytrysnąć miały trzy źródła, z których do dziś dnia płynie woda. Nad temi źródłami wzniesiono piękną kaplicę, ozdobioną mozaiką i malowidłami. Pobożni pielgrzymi z całego świata, zwiedzając to miejsce, piją wodę z owych trzech źródeł i podziwiają, że w każdem z nich woda jest coraz zimniejsza. Tymczasem O. Noger zdradza dziś tajemnicę, że woda w cudownych studniach nie jest bynajmniej cudowna, ani źródlana. Co wieczór „pobożni“ mnisi przynoszą tu wodę ze studni w dużych naczyniach i wlewają ją do trzech „źródeł“, z których następnie pielgrzymi czerpią i piją, utwierdzając się w swej wierze.

Okazuje się, że mnisi rzymscy są bardzo roztropni w rodzaju swoim; ale nadchodzi czas, że ta ich roztropność staje się jawną całemu światu i otwiera ludziom oczy na istotną ich wartość moralną.

* * *

Z czarnego światka. „Myśl Niepodległa“ podaje ciekawe szczegóły z procesu małżonków Binendów przed warszawskim sądem. Binendowa oskarżona była wraz z mężem, iż oblała kwasem siarczanym twarz ks. Kominkowi, proboszczowi w Czerniakowie, który skutkiem tego utracił oko. Binendowa podała na rozprawie przyczynę tego kroku; chodząc często do ks. Kominka, została przez niego zgwałcona! Gdy skutki tego zaczęły się pokazywać, ks. Kominek kazał jej wyjść za mąż, oświadczając, iż „mąż nie pozna“. Mąż jednak poznał i biciem zmusił ją do wyjawienia nazwiska ojca, którym był ksiądz Kominek. Postanowili się zemścić, a zemstą tą było oblanie księdza Kominka kwasem siarczanym. Sąd skazał małżonków Binendów na cztery lata rot aresztanckich. Oto błogie skutki działalności pasterskiej księdza proboszcza Kominka. Fakt ten nie jest odosobniony; wydawanie za mąż zgwałconych lub uwiedzionych dziewcząt przez księży, z zapewnieniem ich, iż „mąż nie pozna“, jest zjawiskiem często się powtarzającem.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 34. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 sierpnia 1910.

A. KUPRIN.

BRYLANTY.

Ciepły i ciemny wieczór. Zakurzone akacje nad rozpalonym asfaltem budzą się leniwie z głębokiej dziennej drzemki. Wystrojony tłum płynie dwoma wartkimi potokami tam i z powrotem. W jednym miejscu utworzył się zamęt. Podchodzą, zatrzymują się, popychają jeden drugiego, zaczepiają, powiększają tumult ogólny i rozchodzą się. Odchodząc, rzucają ostatnie spojrzenie... Prędkie, lękliwe spojrzenie.

Ale inni przechodnie stoją tu długo, oparłszy się piersiami i łokciami o okrągłą, żelazną barjerę, pod zwierciadlaną taflą wystawy sklepowej; stoją, mając blade twarze i szeroko rozwarte, nieruchome źrenice.

Na białych, pluszowych podstawkach, oświetlone ukrytymi reflektorami, palą się jeden za drugim różnokolorowe ogniki. Jakże cieszy, jakże olśniewa nasze oczy w nocnej pomroce ich tajemniczy blask!

Pośrodku dwa brylanty, każdy wielkości orzecha leszczyny. Nie widać dokładnie konturów. Nie są to kamienie — ale dwa dziwnie tajemnicze ogniki. Palą się, drżą, igrają, migają, śmieją się tysiącem nieuchwytnych, radosnych a podstępnych uśmiechów i nęcą nas, i obiecują coś, i oszukują...

Oto błysnął błękitny snop promieni. Nie ujrzysz, człowieku, takiego koloru ani na niebie ani na morzu; zdarza się go widzieć tylko we wczesnej młodości, gdy opowiadają nam baśnie. Trysnął, zadrżał i zgasł, i oto znów leje się z podstawki, niby krwawe wino, niby łuna wielkiego pożaru, niby jakiś szał pijacki — ten dziwny ogień trjumfu... A oto chwila — podczas której tłum się zakołysze nieznacznie, albo zadrzy pod powozem ulica — i znów tryśnie zielony blask, cichy, głęboki, zagadkowy, podobny do połśnienia świętojańskiego robaczka w gęstej trawie czerwcowej. Jeszcze chwila — i błysną w oczy jasny promień słoneczny i naraz zamigotały, zatańczyły wszystkie kolory tęczy...

Spójrzcie wtedy na twarze ludzkie! Skupione, posępne, blade pod tym rozprószonym, matowym blaskiem — jakże wiele nam mówią smutnego, głupiego i złego. Drapieżnie rozszerzają śię nozdrza u kobiet, a ich wilgotne zęby wyglądają z poza rozchylonych ust... Popychają się, cisną jedna przez drugą, nie czując tego, zahypnotyzowane cudownym blaskiem, pochłonięte jedną jedyną myślą...

Oto młodzieniec z panną. Oboje piękni, dorodni, zdrowi. Być może dopiero przed chwilą zeszli się w tajemnicy w umówionem miejscu — zeszli w niepokoju, z czułością w sercu i słodką obawą. Któreś z nich spóźniło się na rendezvous. Zaszła między niemi scena udanej obojętności, zazdrości, nienawiści z poza niepohamowanych, swawolnych, miłosnych uśmiechów. I oto stoją tu, zapomniawszy nawzajem o sobie, zahypnotyzowani czystą grą brylantów, przebywając w krainie niezdrowych marzeń...

Oto żona z mężem. Starzec. Kobieta w ciąży. Dwóch jurnych, wykwintnie ubranych lowelasow o oczach pożądliwych. Pocztylj,on, który zatrzymał się na chwilę w gonitwie. Kokota. Żona z mężem. Zresztą nie, nie jest to ani mąż ani żona... są to istoty, które, stojąc przed wystawą, zapomniały czem są; nie czują swej łączności.

A na wszystkich tych twarzach, we wszystkich oczach, które na chwilę stały się bezbarwnemi i bezdennie fałszywemi — czy tam jedno i to samo chciwe słowo:

— Gdybyż?...

— Gdybyż cud?... Gdybyż znaleźć na ulicy?... Gdybyż czyja niespodziewana, bajeczna hojność?... Gdybyż to... Gdybyż ukraść, ale tak, aby nikt nigdy nie dowiedział się o tem?...

Któż odgadnie, co ujawniłyby najlepsze nawet dusze ludzkie, gdyby można było zajrzeć w nie niespostrzeżenie i widzieć ich tajemne, ukryte załamania! Ileż filarów, iluż spiżowych mężów, iluż uczciwych obywateli ujrzelibyśmy jako złodziei, morderców i cudzołożców? I któż może rzec niezachwianie, co jest straszniejsze: myśl czyli czyn, i gdzie ich granice?

Najdziwniejszemi, najśmieszniejszemi, najniezwyklejszemi lecz i najgłupszemi zarazem są kontrasty ludzkie. Oto leżą za szybą dwa kawałeczki zgęszczonego węglorodu, dwa kawałki węgla, dwie błyszczące zabawki. A w nich — dziwnym cudem — mieszczą się: bogactwo, rozkosz, honor, władza, cnota niewieścia... i miłość.

Takie jest życie i tacy są ludzie.

A zwłaszcza władza! O jakże dobrze rozumiem, dlaczego najbardziej rozgłośni w historji krwiożerczy tyrani ludzkości byli jednocześnie tak subtelnymi znawcami, poszukiwaczami i kolektorami drogocennych kamieni. Dla nich, przesyconych wszelkiemi ostatecznemi formami rozkoszy i władzy — te kamienie stawały się tajemniczymi symbolami coraz bardziej i coraz bardziej wzrastającej ich potęgi. To była ta sama — co i tych kamieni — potężna, straszna władza jednego nad miljonami, władza nieraz sztucznie skoncentrowana w tak małym przedmiocie, iż go można w każdej chwili pięścią zdruzgotać.

Dla tych to kamieni prowadzono krwawe wojny. Niechętnie rozstają się władcy ziemi z temi malutkimi kamykami. Historja przekazała anegdotę o tem, jak królowa Kleopatra śmiejąc się wypiła, rozpuściwszy w pucharze z winem perłę, której pod względem piękności i wielkości nie było równej na świecie. Ale nikt, prawdopodobnie, nie wie, co zaszło zaraz po tej królewsko-bezmyślnej bakchanalji.

I oto co się stało:

Wróciwszy z uczty do swej sypialni, Kleopatra kazała się rozebrać. Niewolnica nubijska nieostrożnie dotknęła się ręką obnażonych ramion królowej i ta oszalała z gniewu, wbiła jej w czarne piersi ostrą, długą szpilkę. A gdy niewolnica poczęła jęczeć, Kleopatra krzyknęła z całej mocy:

— Nie waż się krzyczeć, oślico!

Podczas tego eunuch, pełzając kornie do jej stóp na czworakach i trzęsąc się całem ciałem, napomknął potężnej Kleopatrze o losie więzionego greka-filozofa. Wczoraj jeszcze, przed orgją, powzięła Kleopatra tajemny plan: powołać tego więzionego greczyna na publiczną dysputę w obecności licznych gości rzymskich, a pokazawszy światu cały zakres swego umysłu i krasomówstwa, wspaniałomyślnie darować jeńcowi wolność. Ale teraz, zasmucona zgubioną na uczcie drogocenną perłą, krzyknęła z rozdrażnieniem i łzami w głosie:

— Nie zawracajcie mi głowy głupstwami! Udusić go!

Tłomaczył Crataegus.

Szkoły ludowe w Niemczech i Belgji na wystawie międzynarodowej w Brukseli.

Na wystawie powszechnej i międzynarodowej w Brukseli dział wychowawczo-szkolny zajmuje bardzo skromne miejsce; zasłonięty jest wynalazkami na polu techniki i przemysłu, popisami handlu, sił wojennych lądowych i morskich. Jeśli wystawy powszechne są obrazem sił produkcyjnych ludzkości, to wnosićby można, że szkolnictwo i wychowanie jest u narodów nawet bardzo wysoko pod względem kulturalnym stojących sprawą mało ważną, mało miejsca zajmującą w życiu. Niektóre państwa, jak np. Anglja i Francja, jakkolwiek udział ich w wystawie jest bardzo poważny, nic prawie nie dały z dziedziny szkolnictwa; najpoważniej przedstawia się szkolnictwo niemieckie i belgijskie. Pierwsze zwłaszcza, dzięki znakomicie zorganizowanej wystawie, poprawnemu rozmieszczeniu i rozklasyfikowaniu przedmiotów, daje dokładny obraz niższego i średniego nauczania w Niemczech. Wystawa szkolna belgijska, słabiej znacznie zorganizowana, daje jednakże duży zasób materjałów. Oczywiście zarówno w belgijskim, jak niemieckim dziale szkolnym oglądamy tylko szkolnictwo państwowe lub uznane przez państwo, zakładów prywatnych, stojących zawsze, jak wiadomo, na czele postępu w szkolnictwie, niema tu zupełnie. Przebiegając 23 salki wystawy szkolnictwa niemieckiego, oglądamy kolejno szkoły ludowe, zakłady dla niedorozwiniętych (Hilfschule), szkoły niższe zawodowe, czyli tak zwane Fortbildungsschulen, gimnazja męskie, wyższe szkoły dla dziewcząt, seminarja nauczycielskie dla mężczyzn i kobiet. Wystawa szkolnictwa belgijskiego, podzielona jest na dwa główne działy: 1) nauczanie początkowe (enseignement primaire), które obejmuje a) ogródki dziecięce, b) szkoły elementarne, c) kursy wieczorne i niedzielne, oraz 2) nauczanie średnie (enseignement sècondaire), obejmujące szkoły średnie i gimnazja.

Zajmę się tu wyłącznie rozpatrzeniem organizacji szkolnictwa ludowego w obu państwach.

Szkoły ludowe dzielą się na miejskie i wiejskie; pierwsze posiadają zazwyczaj parę oddziałów i kilku nauczycieli, wiejskie — dzielą się na stopień niższy, średni i wyższy i zostają pod kierunkiem jednego tylko nauczyciela. Wykładają tu: język niemiecki, religję, rachunki, rysunki, krajoznawstwo (Heimatkunde), historję, śpiew, roboty ręczne, gramatykę. Największy nacisk położony jest na naukę języka niemieckiego, religji i rachunków; na język niemiecki np. przeznaczono od 8—11 godzin tygodniowo. Metoda nauczania pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza nauka języka i rachunków przesycona jest rutyną szkolną suchą i nudną; przeglądając kajety, nie spotykamy nic prócz szkolarskich ćwiczeń stylowych na tematy jak świat stare, a w nauce rachunków — suche formułki na niższym stopniu nauczania i piśmienne rozwiązywanie zadań, na wyższym. Lepiej znacznie pod względem pedagogicznym przedstawia się nauka o kraju, czyli t. zw. Heimatkunde; znać tu jakiś świeższy powiew w sposobie nauczania. Nauka ta opiera się na materjale ściśle lokalnym; dzieciom daje się pojęcie o biegu najbliższej rzeki, o położeniu własnej wioski i najbliższego miasta, o pokładach ziemi danej miejscowości, o faunie i florze miejscowej. Zasób materjału naukowego przykrojony jest na skromną bardzo miarę, odmierzony i odważony z puktu widzenia praktycznego: czy może się przydać przyszłemu drobnemu gospodarzowi lub rzemieślnikowi? Najciekawiej przedstawiają się szkoły ludowe Charlottenburga, które posiadają między innemi prześliczną szkołę leśną „Waldschule", przeznaczoną dla dzieci wątłych i słabowitych. Przymus szkolny w Charlottenburgu trwa lat 8; szkoły ludowe utrzymują pewną łączność z wyższem szkolnictwem*) a to w ten sposób, że uczniowie szkół ludowych po $3^1/_2$-letnim uczęszczaniu do szkoły przyjęci być mogą do sexty wyższego zakładu naukowego, z klasy III i II przejść mogą do kwinty i kwarty szkoły realnej. W szkołach Charlottenburga dokonywany jest bardzo staranny dobór i klasyfikacja; dzieci, które mogą dość szybko posuwać się w nauce, tworzą t. zw. klasy normalne; każda klasa normalna ma równoległą klasę B, gdzie umieszczone są dzieci mniej zdolne; przechodzą one ten sam program, co klasy normalne, lecz w przeciągu $1^1/_2$ roku. Dzieci, nie mogące podążać z klasą B, oddawane są do różnych zakładów specjalnych dla niedorozwiniętych, lub do wspomnianej szkoły leśnej, wreszcie dzieci sparaliżowane lub kalekie otrzymują naukę w domu. Taka właśnie celowa organizacja cechuje całe szkolnictwo niemieckie i jest główną jego zaletą.

Ciekawą jest również organizacja t. zw. Fortbildungsschulwesen, które możnaby nazwać niższemi szkołami zawodowemi. Szkoły tego typu istnieją od niedawna i zastępują dawniejsze kursa wieczorne i niedzielne, a przeznaczone są dla młodzieży do lat 18, która już zarobkowo pracować zaczęła po opuszczeniu szkoły ludowej. Państwowe prawo robotnicze z r. 1883 postawiło żądania właścicielom zakładów przemysłowych i fabryk, aby robotżicy poniżej lat 18 u nich pracujący mieli czas wolny na uczęszczanie do szkoły. Ostatniemi czasy ten typ szkół bardzo się pod względem ilościowym rozwinął, a nawet w niektórych prowincjach państwa, głównie w środkowych i południowych, objęty został prawem przymusu szkolnego. Szkoły zawodowe dzielą się również na wiejskie i miejskie; i jedne i drugie mają po kilka oddziałów specjalnych: rolniczy (przeważający na wsiach), rzemieślniczy, oddział kształcący robotników fabrycznych; w niektórych szkołach miejskich istnieje też oddział handlowy. Tablice statystyczne wskazują wzrost tych zakładów naukowych w Niemczech: w r. 1882 szkół zawodowych wiejskich było 559 z 9288 uczniów, a w r. 1908 ilość szkół doszła do 3781, uczniów zaś — do 55 889. Środki utrzymania tych zakładów są nadzwyczaj skromne; gminy troszczą się o utrzymanie lokalu, opał i światło, pozostałe koszta wynoszą przeciętnie po 560 marek na szkołę; szczupłość tego budżetu ocenimy najlepiej w zestawieniu z budżetami gimnazjów męskich, przeznaczonych dla dzieci burżuazji: otóż gimnazjum we Frankfurcie ma etat roczny, wynoszący 142 140 mk., a szkoła realna w Bochum — 230 000 marek. Utrzymanie wszystkich niższych szkół zawodowych wynosi 566 591 mk., z tego 5% pokrywają wpisy, 6% zrzeszenia i ofiary prywatne, 12% gminy, prawie 12% okręgi i prowincje a 65% — państwo. Rok szkolny ogranicza się do półrocza zimowego, składa się z 20 tygodni, w każdym po 6 godzin lekcji. Zadania szkoły są w programie określone w następujący sposób: szkoła ma za zadanie kształcić uczucia i charakter dorastającej młodzieży; ponieważ trudno jej osiągnąć ten cel w tak ograniczonym czasie, urządzane są, zwłaszcza w ostatnich czasach, dodatkowe zebrania wieczorne: pogadanki, czytania, śpiewy, ćwiczenia gimnastyczne, zabawy zbiorowe, wycieczki i t. d. Poziom naukowy tych zakładów, zarówno wiejskich, jak miejskich jest niski, główny nacisk położono na wyrobienie zawodowo wykwalifikowanych pracowników. Wykładane są: język niemiecki, rachunki, stosowana nauka przyrody, ekonomja społeczna, hygjena, technologja ogólna. Wszystkie te przedmioty ujęte są ze strony praktycznej: nauka języka np. opiera się głównie na ćwiczeniach stylowych, których tematem są najczęściej listy w interesie pisane, gramatyka i ortografja nie są wcale wykładane. Nauka rachunków zamknięta jest również w ramach praktycznej rachunkowości, prowadzenia książek rachunkowych. — Na wystawie oglądamy przeważnie roboty uczniów: roboty stolarskie, kowalskie, rytownicze, introligatorskie, rysunki techniczne, fotografję i t. d. Środki pomocnicze do nauki, jak wnosić zresztą należy ze skromnych funduszów, są bardzo ubogie; są to po większej części zbiory okazów miejscowych lub tablice poglądowe, sporządzone wspólnemi siłami uczniów i nauczycieli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Brak mi zupełnie danych dla stwierdzenia, czy podobna łączność istnieje i w szkołach ludowych niemieckich.

Kilka wskazówek dla mężów zaufania.

Niema dla członka organizacji większego zaszczytu, jak być mężem zaufania. Kogo bowiem koledzy powołują na to stanowisko, aby w ich imieniu spełniał wszelkie funkcje

i bronił ich interesów, jako całości, ten może i powinien być z tego dumny. Bo taki członek może sobie powiedzieć, że jest uważany za zdolnego, aby sprawy robotniczej wiernie bronić. Przedewszystkiem jednak musi sobie powiedzieć, że to nie upoważnia go wcale do okazywania tej dumy wobec swych kolegów, jak również wobec innych ludzi, lecz ambicję jego ma stanowić to, aby powierzony mu urząd honorowy godnie i pilnie spełniał. A więc nie w codziennem obejściu, w obcowaniu ze współpracownikami swymi ma się okazywać ta wyższość, lecz w zrozumieniu i poświęceniu się powierzonym interesom, w spełnianiu nałożonych obowiązków względem ogółu; to jest coprawda zaszczyt, ale i ciężka służba.

Kto więc ma przyjąć w organizacji stanowisko męża zaufania, ten powinien wpierw dobrze się zastanowić, jeżeli niema dość silnej woli, aby wytrwać na posterunku, a jeżeli je już przyjmuje, powinien się do niego odpowiednio przygotować. Bo jeżeli swemu pracodawcy ma służyć „wiernie, pilnie i uczciwie", to tembardziej jest obowiązany do takiej służby względem własnych towarzyszy; nawet więcej — pracodawca może rozporządzać jego siłą roboczą, nie ma jednak władzy nad jego sercem i duszą, podczas gdy pracy organizacyjnej te oddać trzeba. Kto chce służyć sprawie wolności, ten musi często swoją ofiarować.

Mąż zaufania organizacji, jakąkolwiek spełnia czynność — gdyż każda praca jego jest ważną i zaszczytną — musi być wzorem człowieka: musi być stałych zasad i przytem szanować przekonania innych, musi być spokojny, a mimo to energiczny, inteligientny i doświadczony, trzeźwo myślący i zdecydowany, ostrożny i niedowierzający, gorliwy i wytrwały. Prawda, że ludzi o takich zaletach jest mało, względnie nie wszystkie te zalety są u wszystkich równomiernie wydoskonalone, to jednak ma być tylko wskazówką, jakich ludzi można wybierać na stanowisko męża zaufania i że przy ich wyborze należy postępować z jak największą troskliwością.

Mąż zaufania musi być przygotowany na wszelkie możliwości, które wymagają nietylko zorjentowania się w sytuacji i szybkiej decyzji, lecz także i fizycznej rzutkości i sprężystości.

Nieodzownymi warunkami owocnej pracy męża zaufania jest uazciwość i solidarność, nadto powaga. Mąż zaufania musi umieć sam nad sobą panować, jeżeli chce innymi kierować, ma on nietylko postanowienia i uchwały organizacji punktualnie i dokładnie wykonywać, lecz także w razie potrzeby w braku czasu imieniem towarzyszy samodzielzie umieć działać. Jest on przecież doradcą swych kolegów w wielu kwestjach, dotyczących stosunków robotniczych, a koledzy i organizacja na to go powołują na męża zaufania, aby im był pomocą.

Przedewszystkiem musi znać dokładne podstawy organizacji, t. j. statuta, postanowienia zapomogowe i regulamin strejkowy. Bez tych wiadomości trudno mu spełniać funkcje męża zaufania bodaj przez chwilę, a w razie nieświadomości może wykroczyć przeciw postanowieniom statutu, a przez to narazić całą organizację na wielką szkodę. Te są dla niego tem, czem dla sędziego ustawy.

Mąż zaufania powinien baczyć na to, aby nietylko sam się kształcił, ale zachęcał także swych towarzyszy do korzystania z odczytów, bibljoteki i pism organizacyjnych. Tyle czasu traci się nieraz przy szklance lub na próżnem gadaniu, zamiast wziąć gazetę do ręki, tak, że nieraz pisma leżą w lokalu nie czytane.

Walka o wyzwolenie musi być prowadzona bronią umysłową, a wspólny cel można osiągnąć tylko wspólnem działaniem. Umysłowe życie musi panować w lokalach organizacyjnych, jeżeli wogóle klasa robotnicza chce się podnieść. Nie jest to już ostatecznym celem organizacji, jeżeli się uzyska podwyżkę płacy, skrócenie lub lepsze warunki pracy, nie dlatego się o to walczy, aby członkom dawać więcej sposobności do marnowania czasu w restauracjach i trucia się alkoholem, lecz aby im dać czas do kształcenia się, do oddawania się więcej życiu rodzinnemu, wogóle do lepszego ludzkiego bytu. Żołądek można w krótkim czasie zaspokoić, a lepszy byt nie polega tylko na tem, aby jeść lepsze niż inni potrawy, lecz aby kształcić odpowiednio do swego ludzkiego powołania umysł. Jest więc zadaniem mężów zaufania, aby to poczucie w członkach budzili, gdyż klasa robotnicza potrzebuje wielkiego uświadomienia. Hasłem naszem jest: przez oświatę do wolności. Wprawdzie musi być przytem i dobrobyt ekonomiczny, gdyż inaczej wolność nie byłaby zabezpieczona; lecz gdybyśmy nawet jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności z niewoli kapitalizmu się wyzwolili, to przewaga umysłowa klas posiadających, napowrót zapędziłaby nas w niewolę. Jedynie wiedza i oświata jest podstawą i zapewnieniem dobrobytu i wolności.

Mąż zaufania powinien być względem wszystkich uprzejmy, a o swoich kolegów troszczyć się i za nimi się ujmować. W kolegach należy wzbudzić zainteresowanie dla żądań organizacji i w ten sposób pozyskiwać ich dla celów ruchu robotniczego. Każdego członka należy pilnować, aby wkładki regularnie płacił. W sprawach pieniężnych musi mąż zaufania odznaczać się nieposzlakowaną uczciwością, gdyż rozwój i zaufanie członków do organizacji wymaga sumienności i na tem się opiera.

Należy więc unikać wszystkiego, coby na pracę męża mogło rzucić podejrzenie, albo wogóle mogło wpływać ujemnie na jego spokój, bezstronność i trafność oceny sytuacji. Jest to konieczne także przy sporach i zatargach, jakie powstają w fabryce.

Wobec niezadowolonych należy okazać jak największą cierpliwość, a sprzeczność zapatrywań usuwać przez jasne wyświetlenie sprawy.

Nie chodzi bowiem o wykluczenie wszelkiej krytyki, lecz o odparcie małostkowych i złośliwych uwag. Zawsze należy mieć całość organizacji na oku i zapobiegać wszystkiemu, coby jej wzrostowi zaszkodzić mogło.

Musi być utrzymana zasada, że wszyscy mają podporządkować swe interesy pod organizację dla jej i swego dobra. Demagogję należy tępić, a wprowadzać równość i sprawiedliwość.

Obowiązkiem męża zaufania jest donosić redakcji pisma zawodowego o stosunkach i warunkach pracy oraz zajściach we fabryce. Do niego także należy dowiadywać się i zawiadamiać bezzwłocznie kierownictwo organizacji o miejscach wolnych, aby swym bezrobotnym kolegom ułatwić szukanie pracy.

Stałą jego troską jest czuwanie nad tem, aby w fabryce przestrzegany był cennik i warunki pracy — i to nietylko ze strony przedsiębiorcy, lecz również ze strony robotników. Jeżeli się dowie o złamaniu regulaminu, ma natychmiast dokładnie sprawę zbadać. Osobista samodzielna interwencja nie jest wskazana.

Jeżeli robotnicy pracują poniżej ugodzonej minimalnej zapłaty, ma im zwrócić uwagę na niedopuszczalność takiego postępowania — należy zwracać uwagę na usposobienie i charakter majstrów i urzędników, z którymi się ma do czynienia. Jeżeli ci są dla robotników nieprzyjaźnie usposobieni, należy zachować wielką ostrożność, aby przez ich fałszywą grę nie dać wyprowadzić się w pole; w wypadku przeciwnym nie należy nadużywać ich życzliwości. Zawsze uczciwość jest pierwszym obowiązkiem męża zaufania, roztopność drugim, a uprzejmość trzecim. Musi umieć postępować z ludźmi i wiedzieć o tem, że nie piękne słowa, lecz czyny przynoszą korzyść organizacji. Mąż zaufania nie może polegać na tem, co mu ktoś powie, lecz wszystko musi zbadać osobiście i o wszystkiem sam się przekonać. W razie konfliktu ma użyć wszelkich środków, byle nie dopuścić do strejku, aby zatarg załagodzić w drodze spokojnej.

Sprawiedliwość, bezstronność, sumienność i postępowanie zgodne z prawdą zjednają mężowi zaufania szacunek nietylko u kolegów, lecz także u przełożonych i przedsiębiorcy. Bo organizacja prowadzi zawodową walkę nie przeciw osobom, lecz przeciw systemowi kapitalistycznemu. Zawodowa walka ma za zadanie przedewszystkiem odparcie tego wszystkiego, co interesom robotniczym szkodę przynieść może, dalej ochronę czasu pracy i wychowanie członków na uświadomionych klasowo bojowników i sprawę wyzwolenia się z jarzma kapitalizmu. Dlatego siły organizacji nie mogą być wyczerpane na drobnostki, dla osiągania jakichś chwilowych, przemijających korzyści, jakkolwiek i tych nie można lekceważyc. Organizacja ma masy wyszkolić i nauczyć karności, aby te w danym razie były przygotowane wywrzeć decydujący wpływ na bieg wypadków i odnieść zwycięstwo. Bez walki niema zwycięstwa, ale też niema walki bez należytego i starannego przygotowania przez pracę organizacyjną!

Ubezpieczenia robotników w Europie.

Ciekawe szczegóły o obecnym stanie zabezpieczeń robotników w różnych państwach europejskich podaje urzędowy organ niemiecki „Reichs-Arbeitsblatt:

W Niemczech, Austro-Węgrzech, w Norwegji i Luksemburgu ubezpieczenie chorych jest obowiązujące; we Francji istnieje przymus ubezpieczenia się tylko dla górników, zresztą ubezpieczenie jest tak samo, jak w innych krajach, wchodzących tu w rachubę, dowolne.

W Niemczech istnieje 23 057 kas dla chorych z 13,2 miljonami członków; w Austrji 2892 kas z 3 04 0000 członków; na Węgrzech 175 kas z 800 tys. członków; we Włoszech 6535 towarzystw, liczących miljon członków; we Francji 19 983 stowarzyszeń pomocniczych i 199 kas górniczych, liczących razem 4 800 000 członków; w Belgji 3550 tow. pomocniczych z 420 000 członków; w Wielkiej Brytanji 27 213 tow. z 6 100 000 członków; w Norwegji 650 kas pow. z 440 000 członków; w Szwecji 2386 kas, liczących 585 888 członków; w Danji 1402 kas z 626 500 członków; w Finlandji 184 kasy z 44 860 członków; w Hiszpanji 1200 kas z 600 tys. członków, w Luksemburgu 63 kas z 36 079 członkami.

Opłaty na ubezpieczenia od choroby płacą w Niemczech w dwu trzecich robotnicy, w jednej trzeciej pracodawcy, tak samo w Austrji i Luksemburgu. Na Węgrzech każda część płaci połowę; w Norwegji płacą robotnicy $^6/_{10}$, pracodawcy $^1/_{10}$, gminy $^1/_{10}$, państwo $^2/_{10}$ składek. We Włoszech, Francji, Belgji, Szwecji, Danji, Anglji, Hiszpanji i Holandji udziela państwo dodatków.

Suma opłat wynosi w Nieczech 351 mil. mk., w Austrji 55 100 000, na Węgrzech 15,8 mil., we Włoszech 7,6 mil., we Francji 35 mil., w Belgji 3,8 mil., w Luksemburgu 1,2 miljonów mk. Ile opłaty wynoszą w innych krajach, dotychczas nie obliczono.

Korzyści największych udziela ubezpieczenie chorych w Niemczech, Austrji, na Węgrzech, w Norwegji, Luksemburgu (mianowicie: bezpłatne leczenie i pomoc pieniężną, połowę wsparcia dla chorych członków, rodzin i dla położnic, oraz pośmiertne). Reszta krajów udziela tylko wsparcia pieniężnego dla chorych i pośmiertnego, nie daje zaś bezpłatnej pomocy lekarskiej, ani leków. O ile dotychczas obliczono, wydatki kas dla chorych wynoszą rocznie: w Niemczech 331 mil. marek, w Austrji 49,2 mil. mk., na Węgrzech 13,3 mil., we Włoszech 4 mil., we Francji 22 mil., w Belgji 3,6 mil., w Luksemburgu 1 mil. 170 tys. marek.

Z liczb podanych wynika, iż liczba i wydatki kas chorych w Niemczech niemal tyle wynoszą, ile liczba i wydatki kas chorych reszty państw europejskich razem.

Również co do ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków stoją Niemcy na pierwszem miejscu. Roczne opłaty wynoszą tu 181,6 mil. mk.; wydatki wynoszą 157,9 mil. dla przeszło 900 tys. okaleczonych, 81 500 wdów, 110 tysięcy dzieci, 4200 rodziców itd. Liczba ubezpieczonych od nieszczęśliwych wypadków osób w Niemczech wynosi 23 mil. 674 tys. Obecny stan majątkowy w ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków oblicza się na 326 601 500 marek, w ubezpieczeniu od chorób na 267 708 400 mk. We Francji zaprowadzono nie przymusowe lecz dobrowolne ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków.

Rozmaitości

Konkurs rozbijania kas ogniotrwałych. Niezwykłego środka reklamy użyła pewna nowojorska firma, wyrabiająca szafy pancerne do przechowywania pieniędzy. Firma ta ogłaszała od dłuższego czasu we wszystkich dziennikach amerykańskich, że ofiaruje 5000 dolarów nagrody temu, kto rozbije szafę, pochodzącą z jej fabryki. Na wezwanie to nikt się nie zgłosił, ponieważ ogłoszenia nie traktowano na serjo. Wówczas firma wpadła na inny pomysł. W Nowym Jorku zjawiły się nowe ogromne plakaty, zawiadamiające o bezskuteczności poprzedniej reklamy i wyszydzające niemiłosiernie „cech“ włamywaczy, z których ani jeden nie czuje się zdolnym do rozbicia szafy. Plakaty te wywarły nadzwyczajny skutek: wszyscy mistrzowie sławatnego „cechu“ włamywaczy poczuli się tem głęboko obrażeni i za pośrednictwem dzienników zgodzili się na próbę. Próba odbyła się w cyrku w St. Louis. Włamywaczom, za zgodą policji, zapewniono bezpieczeństwo.

W oznaczonym dniu cyrk zapełnił się szczelnie publicznością. Po kilku punktach programu, na które wcale nie zwracano uwagi, wyniesiono na scenę 10 szaf opancerzonych w których znajdowało się po 5000 dolarów. Głębokie milczenie zaległo cały cyrk. Wkrótce też zjawiło się 10 mandatorów „cechu“ włamywaczy, ubranych z wyszukaną elegancją we fraki. Włamywacze z całym spokojem zabrali się do „pracy“, przyczem od czasu do czasu udzielali objaśnień publiczności. Niedługo jedna z szaf była otwarta. Gentlemun we fraku z pośpiechem włożył rękę do wnętrza, wyjął pieniądze i schowawszy je do kieszeni, oddalił się, uśmiechając się słodko i obiecująco do publiczności. Za przykładem pierwszego poszło siedmiu innych włamywaczy. Dwu tylko nie powiodło się. Firma poniosła haniebną klęskę!

* * *

Grobowce amazonek. Nader ciekawego odkrycia archeologicznego dokonano we Włoszech, w miejscowości Belmonte, pod Ascoli Piceno. Mianowicie przy rozkopywaniu starożytnego cmentarzyska natrafiono na dwa wielkie grobowce, rozmiarów przeszło cztery metry długości i trzy metry głębokości, zawierające szkielety kobiet, których ciało nakryte było bigą, tj. wozem, z którego walczono w bitwie. Według wszelkich danych, groby pochodzą z VII wieku przed Chrystusem. Oprócz odłamów bigi i uprzęży końskiej, znalazło się mnóstwo przedmiotów, jak zausznic, naszyjników, zapon, ślady płaszcza otulającego zmarłe, oraz naczyń pochodzących ze stypy pogrzebowej, flaszeczek (mylnie nieraz zwanych łzawicami) itd. Jest to więc pewne świadectwo, potwierdzające podanie Wirgiljusza, który w XI wierszu pieśni Eneidy mówi o Kamilji, królowej Wolsków, walczącej na czele jazdy. Oba grobowce mają być w całości przeniesione do jednego z muzeów rzymskich.

* * *

Wykopaliska etruskie. Pisma włoskie donoszą: W miejscowości Selvacrave pod Rzymem znalazł pewien wieśniak grób etruski, przepełniony mnóstwem naczyń, jakie etruskowie kładli swym zmarłym do grobu. Antykwarjusz rzymski, Scotti Mancinelli, dowiedziawszy się o tem odkryciu, wyjechał natychmiast do Salvacrave i za nieznaczną sumę odkupił od wieśniaka wszystkie znalezione w grobie przedmioty. Wieść o tem odkryciu doszła jednak także do ministerstwa oświaty, które skonfiskowało antykwarjuszowi wszystkie znalezione w grobie naczynia. Między temi archeologicznemi osobliwościami znajdowało się „poculum“, naczynie do picia, cudownej roboty pochodzące z V wieku przed Chrystusem; „simbolum“, naczynie na oliwę, części dzbana z IV wieku przed Chrystusem; kilka czarek ofiarnych, czarna waza z czerwonymi rysunkami i wiele innych naczyń ogromnej wartości. Dyrektor rzymskiego muzeum prof. Colucci, autorytet w szacowaniu etruskich starożytności, oświadczył, że przedmioty te mają nieoszacowaną wartość historyczną i archeologiczną.

* * *

Odkrycie archeologiczne. W Kijowie odkopano główną absydę starożytnej cerkwi, oraz drugą, północną, znakomicie zachowaną. Cegła, z której była zbudowana, zawiera w sobie kwarc, co wskazuje na pochodzenie cerkwi z wieku XI, przypuszczalnie z epoki Jarosława Mądrego. Wśród ogromnej ilości gruzów znaleziono freski mozaikowe, którymi wyłożona była podłoga, polewane płyty, części ornamentacji marmurowych, co świadczy, że cerkiew musiała być bogata i wspaniała.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 35. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 sierpnia 1910.

LYNKEUS.

Z fantazji realisty.

I. Nowe światła.

Już była poźna noc, gdy pewien stary człowiek, wracający samotnie z długiej pogawędki w gronie dawnych znajomych, stanął wreszcie zmęczony pod bramą swego domu.

Wokoło panowała zupełna cisza i pustka. Z kilku zaledwie okien padały jeszcze nikłe odblaski świateł. Stary człowiek, którego niezmiernie cieszyła perspektywa bliskiego bardzo snu i wypoczynku, sięgnął zwolna do kieszeni i, dojrzawszy w mdłem świetle latarni ulicznej zamek, wetknął weń klucz i przekręcił go dwukrotnie.

W tej samej prawie chwili z za rogu ulicy wybiegła gromada wesoło krzyczących chłopców, z których każdy trzymał we wzniesionej dłoni, natkniętą na długiej żerdzi, niezwykle jasno płonącą żagiew. Wśród radosnego zgiełku, tłocząc i popychając się wzajem, spoglądając w górę na jaskrawo migocące ognie, wykrzykiwali oni młodemi, dźwięcznemi głosami:

— Spójrzcie na nasze pochodnie! Jak jasno płoną ich światła! O, spójrzcie!...

I otoczywszy figlarnem kołem latarnię uliczną, której drżący blask przy silnych ogniach ich płonących pochodni zbladł naraz zupełnie, jakby na urągowisko, podsuwali swe żagwie ku jej zielonawym szybom i, śmiejąc się głośno, niby szaleńcy, biegli chyżo po ulicy.

Staruszkowi zrobiło się bardzo przykro.

— Patrzcie no na tych nicponiów, rzekł sam do siebie rozżalony — słyszane to rzeczy, by o tak późnej godzinie ze snu budzić śpiących i pragnącym wypoczynku spokój zakłócać?... I pomyśleć jeszcze — z jakiego to powodu?... Zachciało się dzieciakom noc pochodniami zwalczać!... Takeśmy długo wytrwali przy starych naszych latarniach i nigdy nam nic podobnego do głowy nie przyszło. Pocóż odrazu te nowe światła! I takie jaskrawe i rażące... O, jakże od nich oczy stare bolą!...

I przy tych słowach zasłonił się dłonią przed blaskiem.

— Urwisy jedne — krzyknął w stronę chłopców — czy już wreszcie będziecie cicho? Czyż to czas teraz na wrzaski? Teraz w nocy i na ulicy?... Czyście rozum stracili, szaleńcy?!

— Ależ patrz, patrz, stary! — zawołał jeden z chłopców, podnosząc swą pochodnię na wysokość latarni, jakby porównać pragnął te dwa płomienie — i cóż teraz powiesz o naszem nowem świetle?..

— Precz mi z oczu, zuchwalcy niepoprawni — zapienił się starzec — przestańcie oślepiać mnie waszemi jaskrawemi płomykami. Za starym na żarty bezmyślne.

I trzęsąc się od gniewu, pogroził chłopcom wzniesioną laską.

— Ha, ha! idź spać półośleply starcze, razem ze swem światłem nędnem i zgrzybiałem, idź spać, ha, ha! — krzyczeli oni i śmiejąc mu się prosto w twarz, przebiegli pędem, jeden za drugim, tuż koło niego i zuchwale wywijając krwawemi pochodniami, z głośnemi wahaniami pomknęli ku sąsiednim ulicom, pogrążonym jeszcze w ciszy martwej i mroku.

— Źle, źle, młodzież nam się psuje, starych przestaje szanować i słucha... O skromności zapomina, zuchwałą się staje... — gderał nudnie stary, śledząc ciągle wzrokiem oddalających się w dzikich podskokach chłopców, którzy się wreszcie skryli gdzieś za węgłem domu. — Opóźnili mi powrót do cichego domu. Już czas, już czas na spoczynek...

I po tych słowach wszedł do sieni, zamknął za sobą drzwi, wyciągnął klucz z zamku i, ciężko sapiąc, jął się wspinać powoli po schodach...

II. Godzina śmierci.

W jednej z wielkich sal szpitalnych siedział młody lekarz, pełniący dyżur nocny.

Było już po północy, płonęło kilka zaledwie lampek, słabo rozpraszających gęsty mrok dużej przestrzeni ponurej sali. S ostry miłosierdzia siedziały półdrzemiąc w głębokich fotelach. Niektórzy z chorych przewracali się niespokojnie na łóżkach z jednego boku na drugi. Od czasu do czasu ciszę przerywały czyjeś jęki lub zawodzenia bolesne, poczem wszystko znów milkło na czas jakiś, i długie godziny nocy wlokły się dalej w niezamąconym spokoju...

Lekarz, zwalczając osłabiającą go senność, oparł łokieć o poręcz fotelu i, złożywszy zmęczoną głowę na rozpostartej dłoni, powiódł wzrokiem po długim szeregu łóżek, w których spoczywali chorzy. Pomimo pewnego stępienia, któremu uległa, dzięki przyzwyczajeniu, wrażliwość jego, w salach szpitalnych bowiem już od dłuższego czasu bywał codziennie, udzielił mu się jednak podczas tego pierwszego dyżuru nocnego ciężki, ponury nastrój.

— Oto tu — myślał — przed oczyma memi krwawią się ludzkie cierpienia. Tam, na ulicach chodzą i jadą ludzie, dążąc do jakiegoś celu, i nie myślą pewnie nigdy o tem, co się tu dzieje, i o tem, że i ich kolej kiedyś przyjść może... Cicho... Wóz wjeżdża do bramy szpitalnej, dzwonią, otwierają się wrota i wóz wtacza się z głuchem dudnieniem na dziedzinie. Cóż dolega temu człowiekowi, którego teraz właśnie tu przywieziono?... Czy ta chwila przybycia nie gorszą jest od śmierci samej, gdy ból już niema żadnej postaci? Tu zaś przyobleka się on w setki szat, przybiera tysiączne oblicza, a jedne od drugich straszniejsze są i potworniejsze...

Jeden z chorych śmiertelnie porzuszył się ciężko. Lekarz wstał szybko i zbliżył się do niego na palcach. Umierający wybełkotał kilka niezrozumiałych dźwięków i ucichł wkrótce.

Po pewnym czasie ocknął się sąsiad jego, również beznadziejnie chory, uniósł nieco głowę, rozglądając się uważnie, jakby kogoś szukał, nieprzytomnie wymamrotał jakieś wyrazy i opadł bezsilny i wyczerpany na poduszki.

Młody doktór powrócił zwolna do swego stolika, nie odrywając wzroku od obu umierających. Po chwili poruszył się znów pierwszy z nich i westchnął głęboko, a z przymkniętych warg jego wyszedł szept niewyraźny; lekarz podbiegł doń szybko i zapytał głosem pełnym współczucia:

— Czemuż pan tak wzdycha ciężko?...

— Nieszczęśliwy jestem — wystękał urywanemi zdaniami chory. Nadchodzą już ostatnie moje godziny... Po

chwili zaś wyrzucił, dysząc z trudem: Lecz nie to mnie obecnie tak martwi.

— Może bóle powróciły?... Co dolega teraz?... Może mógłbym jakoś pomóc panu i ulżyć cierpieniom?...

— Cierpię bardzo, tak, ale na to nic już poradzić nie może sztuka lekarska. — A wie pan, czemu wzdycham?...

Przerwał, chwytając żarłocznie spieczonemi ustami powietrze. Potem ciągnął: Bo mi.. Bo mi mówiono ciągle... ciągle... „Żyj, pamiętając zawsze o śmierci"... A ja, nieszczęsny, ja wierzyłem...

Lekarz słuchał z szeroko rozwartemi z podziwu oczyma. „I cóż z tego? Niech-że się pan uspokoi i stara się zasnąć" — mówił cichym głosem do chorego i pieszczotliwie gładził mięką dłonią jego czoło.

Ale myśl umierającego uparcie powracała do swego tematu.

— I teraz leżę tu, i za godzin parę będzie już po wszystkiem. — Któż zwróci mi teraz owe radości, których się dobrowolnie wyrzekłem?... Któż odda mi te wszystkie możliwości szczęścia, które sam od siebie bezlitośnie odepchnąłem?... I zapłakał z cicha.

— Czem jestem teraz?... Czem byłem w ciągu całego życia mego?... Byłem głupszy, niż zwierzę i nieczulszy, niż kamień... Biada mi, biada!... I pocóż na świat przyszedłem, i pocóż żyłem?... Pocóż męczyłem się i cierpiałem? — Płakał i jęczał, szeptał coś niewyraźne, wreszcie, cichnąc stopniowo, pogrążył się w dawną apatję, graniczącą z półsnem...

W sali znów zapanowała cisza lecz na krótko... Po pewnym czasie podniósł się drugi chory i usiadł na łóżku.

— Boże, Boże — wyszeptał w najwyższem przerażeniu i wyciągnął przed się ręce, jakby do obrony.

— Co się stało? Krzyknął lekarz, który podbiegł doń natychmiast.

— Boże, Boże, ulituj się nad grzesznikiem! — szeptał chory. — Życie spędziłem, szukając tylko doczesnych rozkoszy, nie myśląc o zgonie. — Cóż zemną będzie po śmierci? Żyłem i używałem, nie troszcząc się o istnienie wieczne... a teraz...

— I myślałem zawsze: Gdy kres mój zbliżać się będzie, wtedy przepadnie wszystko. — Więc piłem wesołość i chłonąłem wszystkie radości życia, nie pomny na to, co potem będzie... Lecz nadszedł oto czas... nadszedł już! ratujcie!... niech mi kto pomoże!...

I krzyczał, przejęty strachem panicznym, że zimny pot wystąpił mu na czoło, w piersi tchu zabrakło... Lekarz cucił go zimną wodą, i chory uspakajał się powoli i zdawał pogrążać się w drzemkę...

Obydwaj chorzy nie doczekali świtu.

Noc ta wstrząsnęła do głębi młodego lekarza. Ledwo mógł doczekać rana, a z niem przybycia swego przełożonego. Ten stary, doświadczony lekarz cieszył się w szpitalu wielkiem poważaniem, zarówno wśród chorych, jak i wśród kolegów; kochali go, jak dobrego ojca, z którym o wszystkiem pomówić i poradzić się można.

— I cóż pan na to? — zapytał młody człowiek, opowiedziawszy pokrótce o wydarzeniach nocy. Obie te sceny wydają mi się straszne! I jaskrawy kontrast nie pozwala mi dotąd przyjść do siebie! Zarówno jednemu, jak drugiemu choremu nie potrafiłem nic odpowiedzieć, bo każdy z nich ma w swem pojęciu rację... Nic zatem nie pozostaje nam, ludziom, prócz zwątpienia!...

Stary lekarz odrzekł na to: Bierze pan sprzeczności te o wiele poważniej, niż na to zasługują. Ostatnie chwile człowieka nie mają większej wagi, lecz przeciwnie, o wiele mniejszą od innych chwil jego istnienia; nawet śmierć tragiczna może nie dorównywać wielu tragicznym momentom w życiu. Śmierć jest tylko naturalnym i koniecznym punktem krańcowym — i niczem więcej. Należy się strzec przypisywania jej wyższego znaczenia. O treść życia chodzi, całego życia i winniśmy dążyć do tego, by w naszej było mocy urządzać je według woli swej świętej i nieprzymuszonej. Żyjemy dla życia, nie zaś dla krótkiego mgnienia nieubłaganego końca...

Szkoły ludowe w Niemczech i Belgji na wystawie międzynarodowej w Brukseli.

(Dokończenie.)

Zanim przystąpię do opisu szkół początkowych w Belgji, wyjaśnić muszę w kilku słowach ogólną, dosyć skomplikowaną organizację szkolnictwa belgijskiego. Przymus szkolny w Belgji nie istnieje, natomiast odpowiedni paragraf konstytucji opiewa, że nauczanie jest wolne, to znaczy, że każdy, czy to osoba prywatna, czy gmina lub prowincja, czy kongregacja, ma prawo otworzyć szkołę, lub jakikolwiek zakład naukowy, który w razie przyjęcia oficjalnego programu, opracowanego przez ministerjum, może zostać uznany i subsydjowany przez państwo. Z tego wynika, że w Belgji istnieją szkoły:

1) Państwowe,

2) prywatne, gminne, prowincjonalne lub zakonne uznane przez państwo, i nakoniec

3) prywatne, gminne i t. d. nie uznane przez państwo, czyli t. zw. „szkoły wolne" (libres).

Prócz tego gminy mają również prawo kóoptowania szkół prywatnych i udzielania im zapomóg.

Ogródki dziecięce (écoles gardiennes), szkoły początkowe (écoles communales) i kursa dla dorosłych, czyli kursa niedzielne i wieczorne (écoles d'aduldes) nie są wcale organizowane przez państwo; te trzy kategorje zakładów naukowych są zakładane przez gminy, kongregacje lub osoby prywatne i mogą być potwierdzone i subsydjowane przez państwo, o ile przyjmą program państwowy.

Charakter tych szkół bywa ściśle lokalny: w miejscowościach zamieszkanych przez ludność fabryczną, gdzie większość gminy jest socjalistyczną, szkoły gminne są postępowe i odwrotnie, w okręgach rolnych, np. we Flandrji, gdzie większość jest klerykalna i konserwatywna, szkoły noszą ten sam charakter; większość szkół należy tam do przeróżnych kongregacji zakonnych.

Szkoły początkowe (communales) liberalno-postępowe nie przyjęły udziału w wystawie ze względów natury politycznej; przedewszystkiem z powodu zatargu z obecnym rządem klerykalnym, który wyraźnie faworyzuje szkoły katolickie i przyznaje im więcej subsydjów niż szkołom liberalno-postępowym. Sfery oficjalne stale się tego wypierają i dowodzą swej bezstronności, jednocześnie jednak wygłaszają ubocznie pochwały pod adresem szkół zakonnych, podkreślając ich skromne wymagania, kontentowanie się drobnemi zasiłkami, podczas gdy, zdaniem ich, szkoły komunalne liberalne są pod względem subsydjów bardzo wymagające. Oczywiście ta „skromność" szkół kongregacyjnych jest sprytną polityką, tem łatwiejszą do stosowania, że kongregacje zazwyczaj bardzo bogate marnie opłacają nauczycieli. Pozatem szkoły liberalne odmówiły udziału w wystawie dla innej jeszcze przyczyny: tylko bogate gminy dużych miast mają szkoły dobrze zorganizowane, dobry zespół sił nauczycielskich, hygjeniczne urządzenia gmachów szkolnych itd. Szkoły na prowincjach i po wsiach, gdzie gminy są biedne, stoją pod każdym względem na bardzo nizkim poziomie. Solidaryzując się z zaniedbanemi przez rząd potrzebami tych szkół wiejskich, szkoły komunalne dużych miast przyjąć udziału w wystawie nie chciały, aby nie przedstawić poziomu szkolnictwa w lepszem oświetleniu niż się ono w rzeczywistości przedstawia. Program rządowy dla szkół początkowych przedstawia tylko pewne „minimum" i może być przez gminy rozszerzony zależnie od potrzeb i rozmiarów danej szkoły. Przedmioty obowiązujące to: religja, język rodzinny (flamancki lub francuski), rachunki, geografja, historja, rysunki, wiadomości z hygjeny, śpiew, gimnastyka, roboty ręczne, we wsiach wiadomości o rolnictwie. Prócz tych przedmiotów obowiązujących istnieją jeszcze dodatkowe, które w planie rządowym są przewidziane, jak to: drugi język obok rodzinnego i wiadomości z nauk przyrodniczych. Istnieje pozaetm t. zw. enseignement occasionel, nauczanie okolicznościowe, t. zn. udzielanie wiadomości przy nadarzonej okazji a zaczerpniętych bezpośrednio z różnych dziedzin życia społecznego: z ekonomji, moralności, estetyki itd. Na wystawie to właśnie nauczanie okolicznościowe przedsta-

wione jest starannie za pomocą specjalnie opracowanych tablic poglądowych. Celem tego nauczania jest wychowanie społeczne; ma ono tę dobrą stronę, że uzupełnia braki ścisłego programu, wymaga jednak ze strony nauczyciela wielkiej zręczności i talentu, umiejętnego wiązania całości. Nauczanie w szkołach bezpłatnych jest zupełnie bezpłatne, uczniowie otrzymują nawet darmo książki, kajety i wszelkie potrzebne do nauki materjały. Dzieci przyjmowane są od lat 7 i pozostają w szkole lat 6, gdyż szkoła dzieli się na 3 stopnie: elementarny, średni i wyższy, każdy obejmujący po 2 lata nauki. Pozatem istnieje jeszcze dodatkowy stopień 4, niekiedy utworzony przy trzystopniowych szkołach komunalnych, niekiedy oddzielnie. Znaczna większość dzieci kończy naukę z opuszczeniem szkoły początkowej i zaczyna pracę zarobkową, bardzo nieznaczny procent przechodzi po złożeniu egzaminów do gimnazjów. Przy szkołach początkowych istnieją kasy oszczędności; do każdego włożonego franka państwo dokłada po 60 centymów, lecz tylko do pierwszych 15 fr. corocznie; po 55 latach kasa wypłaca wkłady. Ma to być dla dzieci szkołą praktyczności życiowej; jest to pomysł pod względem pedagogicznym najzupełniej chybiony: zbyt wczesne rozwijanie u dzieci poszanowania dla grosza, zmysłu oszczędności i to u klas pracujących, których oszczędności uskuteczniane być mogą jedynie kosztem obniżenia potrzeb kulturalnych; wreszcie pomysł to w założeniu fałszywy, gdyż dzieci odkładają nie własne pieniądze, lecz pieniądze rodziców.

Ogólne zestawienie szkolnictwa ludowego w Niemczech i Belgji nasuwa pewne charakterystyczne uwagi. I tu i tam zauważyć się daje pewien kierunek praktyczny, który obecnie wszędzie przedostaje się do szkolnictwa jako reakcja przeciw jednostronnemu do niedawna rozwijaniu umysłu, przeciw przeładowaniu wiadomościami naukowemi. Lecz cele praktyczne są w Niemczech zgoła inne niż w Belgji; tam chodzi przedewszystkiem o przygotowanie do pracy fachowej, o wyrobienie wyszkolonych specjalistów; zasób i rodzaj wiadomości jest bardzo wcześnie odpowiednio do tych celów przykrojony; inaczej w Belgji: tu idzie głównie o praktyczność ogólno-życiową, o przygotowanie do życia społecznego. Przygotowanie, to oczywiście, niezawsze jest szeroko pojęte, w samem jednak założeniu szersze jest niż praktyczność niemiecka. Programy szkół początkowych obu państw pod względem ilości przedmiotów wykładanych są bardzo zbliżone; różnica polega na tem, że przedmioty te w szkolnictwie belgijskiem szerzej są ujęte. Historja i gieografja w Niemczech noszą piętno niesłychanie ciasno lokalne; nie jest to nawet historja i gieografja Niemiec, lecz historja i gieografja danej prowincji, jakby celowe zacieśnianie horyzontów myślowych, jakby hodowla tych ludzi-kamieni, które na miejscu mchem porastają. I pod tym względem szkolnictwo belgijskie obejmuje szersze horyzonty; dzieci uczą się wprawdzie historji Belgji, a więc własnego kraju, lecz jest to historja rozwoju kulturalnego, obyczajowego i politycznego, podczas gdy w ludowem szkolnictwie niemieckiem historja jest traktowana jako szereg monografji różnych książąt, których się ocenia podług zasług, jakie położyli dla tego zakątku ziemi niemieckiej, na której owe dzieci żyją. Na tych właśnie podstawach rozrasta się ten niebywały niemiecki szowinizm, to zapatrzenie się w siebie, czego tak mało w społeczeństwie belgijskiem.

Co do metod nauczania, oba państwa niezbyt o nie dbają; kwestji, jakiemi sposobami wprowadzić dn umysłów dzieci materjał drukowanych programów wydaje się być dla nich sprawą obojętną. Pod tym względem dużo swobody pozostawiono inicjatywie nauczyciela, i dlatego może, przeglądając kajety dzieci na wystawie, uderzeni jesteśmy różnorodnością metod: obok bardzo zastarzałych, spotykamy często metody świeże, postępowe, na czynnym udziale ucznia oparte.

W każdym razie w programie państwowym belgijskim dla szkół początkowych artykuł II wzmiankuje ogólnikowo, że „nauczyciel powinien rozwijać w dzieciach zmysł obserwacji, zdolność rozumowania i wynalazczość, przyzwyczajać do jasnego i poprawnego wyrażania swych myśli i własnych sądów", podczas gdy w programach niemieckich nawet tak ogólnikowej wzmianki nie udało mi się spotkać. M. L.

„Wiedza".

Choroby z powodu nieszczęśliwych wypadków a wsparcia.

Nie wszyscy nasi robotnicy, którzy tak często wystawieni są na wypadki nieszczęśliwe przy pracy, wiedzą o tem, iż w razie wypadku nieszczęśliwego (okaleczenia) należy im się większe wsparcie podczas choroby, niż przy zwykłych chorobach i to według § 12 prawa o wypadkach nieszczęśliwych. Odnośny przepis prawny brzmi jak następuje: Z początkiem piątego tygodnia po wypadku nieszczęśliwym aż do skończonego trzynastego tygodnia choroby, winno wsparcie, udzielane okaleczałym osobom na mocy prawa o zabezpieczeniu na niemoc, być podwyższone na przynajmniej dwie trzecie zarobku, który służył za podstawę przy obliczaniu tegoż wsparcia na wypadek choroby. Czyli innemi słowy: Robotnikowi, który zabezpieczony jest w kasie chorych, a który uległ wypadkowi nieszczęśliwemu, należy się od początku piątego tygodnia, najmniej dwie trzecie przeciętnego żarobku.

Ponieważ w zwykłych chorobach wsparcie chorych wynosi połowę przeciętnego zarobku, należy się w razie wypadku nieszczęśliwego robotnikowi pokaleczonemu znacznie więcej. Robotnik np., dostający w zwykłej chorobie 1,20 mk. dziennie wsparcia chorych, dostanie w razie wypadku nieszczęśliwego 1,60 mk. dziennie. Podwyższone to wsparcie jednak, powtarzamy, należy się robotnikowi dopiero od początku 5 tygodnia po okaleczeniu. W razie wypadku nieszczęśliwego otrzyma zatem robotnik przez 28 dni zwykłe wsparcie chorych, a od 29 dnia wsparcie podwyższone. To ostatnie wypłacić winna kasa chorych na mocy wyżej wymienionego § 12 prawa o zabezpieczeniu od wypadku nieszczęśliwego aż do końca 13 tygodnia, t. j. od którego należy się pokaleczonemu renta. Jeżeli kasa okaleczonego umieściła w domu chorych, a okaleczony ma rodzinę, którą z swego zarobku utrzymywał, przypada na rodzinę od początku 5 tygodnia połowa podwyższonego wsparcia chorych. Rodzina więc w takim razie dostawać będzie przez 28 dni połowę zwykłego wsparcia a od rozpoczęcia 5 tygodnia połowę wsparcia podwyższonego. Na koniec zaznaczyć należy, że według tego prawa pracodawca, w którego przedsiębiorstwie zaszedł nieszczęśliwy wypadek, zobowiązany jest kasie chorych zwrócić nadwyżkę, którą pokaleczony od 5 tygodnia dostaje. Niechaj zatem robotnicy o przepisach tych pamiętają i żądają od kasy w razie wypadku podwyższonego wsparcia od 5 tygodnia po okaleczeniu.

Rozmaitości

Konie i automobile we Francji. Już oddawna obliczają statystycy — pisze jeden z paryskich dzienników — kiedy ostatni fjakier zostanie z bruku paryskiego usunięty przez automobil. Może to we Francji nie nastąpi jeszcze tak prędko, ale z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że liczba automobilistów wzrasta tam szybko. W roku 1900 było we Francji okrągło 3000 wozów motorowych, w r. 1909 liczba ta wzrosła do 500.000

W tym samym czasie liczba automobilów wzrosła w Paryżu z 648 na 13 tysięcy, liczba koni zmniejszyła się równocześnie z 98 000 na 79 000. Jeżeli weźmiemy na uwagę powozy prywatne, ubytek będzie jeszcze większy.

W r. 1900 było w Paryżu okrągło 13 000 powozów prywatnych i prawie tyleż koni, w roku bieżącym liczba tych powozów wynosi 6623, liczba koni zaś 6482.

Jak widzimy, w Paryżu konie są rzeczywiście wypierane przez automobile. Ale na prowincji liczba koni wzmogła się.

W r. 1900 było w Francji 3 434 000 koni, mułów i osłów — w r. 1909 było ich 3 790 000. Na razie więc automobil zwycięża konia tylko po miastach i to wielkich.

* * *

Koleje elektryczne dla ruchu pospiesznego w miastach. Ruch na zwykłych kolejach elekrycznych założonych

po miastach w poziomie ulic odbywa się ze względu na niebezpieczeństwo idących i jadących z małą szybkością, zwykle koło 12 klm. na godzinę (200 metrów na minutę). Ale zbudowano w ostatnich czasach w niektórych wielkich miastach koleje elektryczne dla ruchu pospiesznego, a zbudowano je albo pod ziemią, albo nad ziemią.

Takie koleje elektryczne ma dotychczas tylko 8 miast, mianowicie w Europie Londyn, Paryż, Berlin i Hamburg, w Ameryce Nowy Jork, Boston, Chicago i Filadelfja. Takich kolei w głębokości 20—50 metrów poniżej bruku ulicznego ma Londyn 60 klm., innych kolei płyciej założonych 40, razem przeto 100 kilometrów, Paryż ma dotychczas 63, do końca bieżącego roku będzie ich mieć razem także koło 100 klm. W Berlinie tylko mała część takich kolei już wykończono, gdy się zbuduje wszystkie projektowane linje, będzie 76 kilometrów kolei elektrycznych dla ruchu pospiesznego. Hamburg ma ich 26 a do końca r. 1914 będzie ich mieć razem 54 kilometrów. Najwięcej, bo 176 klm. kolei elektrycznych podziemnych i nadziemnych ma Nowy Jork, po nim idą Chicago z 73, Boston z 20 i Filadelfja tylko z 12 kilometrami. Projektuje się zaś teraz koleje elektryczne dla ruchu pospiesznego we Wiedniu, Budapeszcie, Medjolanie, Petersburgu, St. Louis, Cincinnati, Pittsburgu, Toroncie, Bambayu i Sydneju.

* * *

Obowiązek wsparcia przez kasy chorych przy chorobach spowodowanych usiłowanem samobójstwem. W zamiarze samobójczym napił się pewien robotnik lysolu, wskutek czego ciężko zachorował i dłuższy czas w lazarecie przeleżał. Miejscowy związek dla wspierania ubogich, który owego robotnika do lazaretu oddał, żądał od kasy chorych, do której ów robotnik należał, przynależnego mu wsparcia. Kasa żądaniu temu odmówiła, twierdząc, iż zachodzi tu przypadek według § 26a, ustęp 2, nr. 2 prawa o zabezpieczeniu chorzch, który przepisuje, iż kasa nie jest do wsparcia zobowiązaną, skoro choroba samochcąc spowodowaną została.

Najwyższy sąd administracyjny rozstrzygnął jednakże na niekorzyść kasy, bo przy usiłowanem samobójstwie nie może być mowy o samochcącem spowodowaniu choroby, chyba wtedy, jeżeli samobójca nietylko o zabiciu myślał, ale i świadom był albo być musiał, iż usiłowane samobójstwo nie natychmiastową śmierć, ale dłuższą chorobę spowoduje. Dalej stwierdzono, iż robotnik ów, gdy się napił lysolu, ani nie chciał, ani też nie przewidywał jaką chorobę z powodu tego. Przeciwnie, trzeba przypuszczać, że robotnik tego by nie uczynił, skoroby przeczuwał, że zamiar samobójczy mu się nie uda. — Nie może zatem być mowy o tem, iż zachodzi samochcące spowodowanie choroby, kasa jest więc zobowiązaną wsparcie wypłacić.

* * *

Ważność książek zarobkowych. Jak ważnem jest udowodnienie zarobku rocznego, według którego oblicza się rentę na wypadek okaleczenia, wykazuje następujący przypadek. Piekarz H. z St. odniósł okaleczenie przez to, iż przeciął sobie o pękniętą szybę podczas pracy prawe podramię, oraz częściowo nerw łokciowy. Spółka zawodowa odmówiła wsparcia okaleczonemu, twierdząc, iż ponad 13 tygodni po okaleczeniu nie może być już mowy o dalszem ograniczeniu zdolności do pracy. Zawezwany przez Spółkę lekarz uznał jednakże 15% niezdolności. Okaleczony udał się jednak do sądu rozjemczego dla ubezpieczenia robotniczego, żądając większego odszkodowania. Ten przyznał mu $33^1/_3\%$ renty, licząc za podstawę zarobku rocznego 870 mk., jako 300 krotną sumę ustanowionego zarobku dziennego. Lekarz sądu rozjemczego stwierdził ponadto, iż samo dotknięcie łokcia już ból wywołuje, oprócz tego uwydatnia wyraźnie przy prawej ręce zanik muszkułów, dlatego dalsze leczenie jest koniecznem, co też Spółka musiała uczynić.

Co do wyroku względem wysokości zarobku rocznego założył okaleczony rekurs z tem uzasadnieniem, iż zarabiał dziennie 3,50 mk., to jest 21 mk. na tydzień, zatem przypuszczalny przez sąd rozjemczy zarobek roczny za nisko obliczony został.

Państwowy urząd ubezpieczeniowy doszedł przez przesłuchy majstra oraz przez przegląd książki zarobkowej do przekonania, iż H. przez cały rok przed swem okaleczeniem regularnie po 21—25 mk. pobierał, wskutek czego zarobek jego roczny na 1105 mk. ustanowiony został, a więc o 235 marek wyższy, aniżeli go sąd rozjemczy ustanowił. Wskutek wyższego zarobku wynosi renta przy tej samej niezdolności o 4,35 mk. więcej na miesiąc, niż poprzednio.

W powyższym wypadku udało się więc przez książkę zarobkową stwierdzić prawdziwy zarobek okaleczonego. Robotnicy zatem dobrze zrobią, gdy co tydzień sobie zanotują, ile bez odciągnięcia na składki kasowe i inwalidowe zarobili.

* * *

Kucharka posłem do sejmu. Jak wiemy w Finlandji kobiety posiadają zupełnie równe z mężczyznami prawa polityczne, mogą wybierać i być wybranemi do sejmu krajowego. Podczas obecnych wyborów została wybrana posłem Minna Slianpja, córka biednego rolnika w pobliżu Abo. Za młodu była ona robotnicą fabryczną a następnie służyła jako kucharka w Helsingforsie, gdzie postawiono jej kandydaturę do sejmu.

* * *

Pierwsza wystawa awjatyczna we Lwowie. W miesiącu wrześniu i październiku b. r. otworzona będzie w politechnice lwowskiej wystawa awjatyczna, obejmująca balony, aeroplany, motory awjatyczne i ich części składowe oraz modele, a wkońcu wszystkie przedmioty, wchodzące ściśle w zakres awjatyki. Firmy francuskie i austrjackie, nadsyłając zgłoszenia zgóry, wymieniają przedmioty, które będą wystawione i tak: firma O. Gomez z Paryża latające modele aeroplanów rozmaitych typów; firma Komolossy z Wiednia również podobne powyższym modele; fabryka balonów Wimpassing przysyła modele balonów sterowniczych rozmaitych systemów, jak „Parseval“, „Zeppelin III“, „Smoki latające“ (Drachenballons), balony „captiv“ i inne.

Wystawione będą aeroplany inżynierów Weaera, Młyńskiego, Libańskiego, dalej Fruchtermanna z Wiednia, modele Wrighta i Bleriota. Wykonane przez inżyniera Florjańskiego modele pp. Maszkiewicza i Owsianego z Warszawy, dalej śruby Chauviera, inżyniera Drzewieckiego i rozmaitych typów i wiele innych cennych nabytków z dziedziny awjatyki. — Podczas wystawy odbywać się będą próby motorów i demonstracje z latającymi modelami firmy Komolossy (Wiedeń) i O. Gomez (Paryż).

Ostatnie rekordy awjatyczne we Francji, zastosowanie latawców w celach wojskowych zainteresowały cały świat i dały dowód, że awjatyka z dziedziny sportu wkracza już na pole praktycznego zastosowania. Wystawa więc będzie wysoce aktualną.

Komitet wystawy, chcąc pokazać cały dorobek polski z tej dziedziny wiedzy i wynalazków, zwraca się jeszcze raz do wszystkich wynalazców i przemysłowców pracujących na tem polu lub jemu ściśle pokrewnem, jakoteż do kupców, posiadających artykuły awjatyczne, do wzięcia udziału w wystawie.

Zgłoszenia do dnia 28 b. m. nadsyłać leży do komitetu wystawy awjatycznej: Lwów, Politechnika.

Z literatury i sztuki

Numer 34 **„Promyka“**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: M. A. G.: Kwiaty-Barometry. — H. Boguszewska: Las (ilóm.). — Leon Rygier: Niemoim dzieciom. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — Ze świata: Śmierć Zygmunta Glogera. Pożar wystawy belgijskiej. — Łamigłowka.

Prenumerata kwartalna „Promyka“ wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek“ wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 36. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 września 1910.

AUGUST BEBEL.

Ustrój socjalistyczny.*)

Ogólne wywłaszczenie środków pracy wytworzy, skoro tylko stanie się możebnem, nowe podwaliny społeczeństwa. Warunki życia i pracy zmienią się z gruntu dla obu płci w przemyśle, rolnictwie, komunikacji, wychowaniu, małżeństwie, w życiu naukowem, artystycznem i towarzyskiem; życie ludzkie nabierze nowej treści. Powoli i organizacja państwowa tracić zacznie grunt pod nogami, państwo zniknie: samo się zniesie.

W pierwszej części tego dzieła wykazano, dlaczego państwo powstało. Powstało ono jako konieczny wynik rozwoju społeczeństwa z formy pierwotnej, opartej na komunizmie, a znikającej w miarę wzrostu własności prywatnej. Z powstaniem własności rodzą się w łonie społeczeństwa sprzeczne interesy, które z czasem prowadzą do różnic klasowych oraz stanowych, stają się przyczyną nienawiści i walk klasowych między poszczególnemi grupami i zagrażają istniejącej formie społeczeństwa. Dla powstrzymania tych walk, dla ochrony właścicieli konieczna jest organizacja, któraby ich broniła od napaści i posiadłość nabytą uznała za „prawą“ i „świętą“. Ta władza i organizacja, ochraniająca własność i podtrzymująca ją, nazywa się państwem. Zapomocą praw zapewnia ona właścicielowi własność jego i występuje jako sędzia i mściciel przeciw każdemu, kto się na istniejący porządek rzeczy porwać odważy. Interes klasy posiadającej jest więc zawsze z natury swej zachowawczym, a z nim ściśle jest związany interes państwa. Organizacja państwowa zmienia się tylko wtedy, gdy interes własności tego wymaga. Państwo jest zatem konieczną organizacją porządku społecznego, opartego na panowaniu klas posiadających. Z chwilą, gdy różnice klasowe przez zniesienie własności prywatnej znikną, straci państwo konieczność i możność istnienia. Państwo przestanie powoli istnieć ze zmianą stosunków władzy, podobnie jak i religja taje z upadkiem wiary w nadprzyrodzone istoty lub obdarzone rozumem nadziemskie siły. Wyrazy muszą posiadać treść; gdy ją stracą, przestają wytwarzać pojęcia.

„Tak — zawoła tu pewnie czytelnik, sympatycznie dla kapitalizmu usposobiony — wszystko to bardzo piękne i dobre, ale jaką „podstawą prawną“ usprawiedliwi społeczeństwo te zmiany?“ Podstawa prawna jest tą samą, która była zawsze, gdy chodziło o zmiany: dobro ogółu. Źródłem prawa nie jest państwo, lecz społeczeństwo, władza państwowa jest tylko wykonawcą woli społeczeństwa, które jedynie stosuje i wymierza prawo. „Społeczeństwo“ było dotąd tylko małą mniejszością, ale działało ono w imieniu całości (ludu), podając się za społeczeństwo, taksamo jak Ludwik XIV utożsamiał się z państwem, mówiąc: L'état c'est moi (państwo to ja). Jeżeli gazety piszą: sezon się zaczyna, całe miasto wraca, lub się skończył, całe miasto ucieka — nie myślą one o ludzie, lecz o owych dziesięciu tysiącach, które stanowią „towarzystwo“, tak jak stanowią „państwo“. Masa to plebs, vile multitude, kanalja, lud. Stosownie do tego było dotąd wszystko, co państwo robiło dla „dobra powszechnego“, korzystnem tylko dla klas posiadających. Dla popierania interesów tych klas tworzy się prawa. Salus reipublicae suprema lex esto (Dobro ogółu niechaj będzie najwyższem prawem) jest naszą starorzymską zasadą prawną. Kto jednak stanowił ogół rzymian? Podbite ludy, miljony niewolników? Nie! Stosunkowo mała liczba rzymskich obywateli, a przed innymi patrycjusze rzymscy; na ich wyżywienie musieli pracować podbici.

Szlachta i książęta, rabujący dobra w wiekach średnich czynili to „prawnie“, „w interesie dobra powszechnego“; wykazaliśmy zaś dostatecznie, jak radykalnie postępowano przy tem z własnością ogółu i z bezradnem chłopstwem. Historja agrarna ostatnich piętnastu stuleci jest historją nieprzerwanej grabieży, dokonywanej na własności powszechnej i chłopskiej, a praktykowanej we wszystkich państwach kulturalnych Europy przez szlachtę i kościół. Kiedy rewolucja francuska wywłaszczała szlachtę i kościół, czyniła to „w imię dobra powszechnego“, a wielka część owych siedmiu miljonów właścicieli ziemskich, którzy są podporą nowoczesnej Francji burżuazyjnej, zawdzięcza swój byt temu właśnie wywłaszczeniu. W „imię dobra powszechnego“ konfiskowała Hiszpanja kilkakrotnie własność kościelną, konfiskowały ją w zupełności Włochy, oklaskiwane przez najzagorzalszych obrońców „świętej własności“. Szlachta angielska ograbiała przez całe wieki lud irlandzki i angielski z jego własności i między rokiem 1804 a 1832 zrobiła sobie w interesie dobra powszechnego“ „prawną“ darowiznę z 3 mil. 511 tys. 710 akrów gruntu gminnego. — Kiedy w czasie wielkiej wojny północno-amerykańskiej o zniesienie niewolnictwa obdarzono wolnością miljony niewolników, którzy byli uczciwie nabytą własnością swoich panów, a panów nie odszkodowano, stało się to „w imię dobra powszechnego“. Cały nasz rozwój jest nieprzerwanym procesem wywłaszczeń i konfiskat, w którym fabrykant wywłaszcza i pochłania rzemieślnika, wielki właściciel chłopa, wielki kupiec handlarza i wreszcie jeden kapitalista drugiego, oczywiście, większy mniejszego. Według naszej burżuazji dzieje się to wszystko na korzyść „dobra powszechnego“, na korzyść „społeczeństwa“. Napoleonidzi uratowali społeczeństwo 18 Brumaire'a i 2 grudnia a „społeczeństwo“ to składa im z tego powodu serdeczne życzenia; jeżeli w przyszłości społeczeństwo samo się uratuje, biorąc w swe ręce własność, którą samo wytworzyło, to dokona historycznie najpamiętniejszego, bo będzie działało, nie w celu uciskania jednych na korzyść drugich, lecz w celu przysporzenia wszystkim równych warunków bytu, w celu umożliwienia każdemu życia po ludzku. Byłby to moralnie najczystszy i najwspanialszy krok na jaki ludzkość kiedykolwiek się zdobyła.

W jakich formach i podług jakich wzorów dokona się ten wielki społeczny proces wywłaszczenia, nie da się przewidzieć, ani przepowiedzieć. Kto wie jak się wtedy ukształtują ogólne stosunki i jaką formę przybierze interes publiczny.

W czwartym liście społecznym Rodbertusa do Kirchmana p. t.: „Kapitał“ czytamy na str. 117: „Umorzenie wszelkiej własności kapitału gruntowego nie jest wcale mrzonką, lecz owszem, daje się bardzo dobrze pomyśleć ze stanowiska społeczno-ekonomicznego. I byłoby ono także najskuteczniejszą pomocą dla społeczeństwa, które, rzec mo-

*) Z dzieła „Kobieta i socjalizm“.

żna, cierpi tylko z powodu wzrostu renty — renty gruntowej i renty kapitału. Dlatego byłoby jedyną formą zniesienia własności gruntowej i kapitału, któreby nawet na chwilę nie przerwało wzajemnych stosunków i postępu bogactwa narodowego". Cóż nasi agrarjusze o tym poglądzie jednego z ich byłych towarzyszy partyjnych?

Badając: jak po użyciu takiego środka powszechnego wywłaszczania ukształtują się stósunki w rozmaitych głównych dziedzinach czynności ludzkich — nie można oczywiście myśleć o przeprowadzenin niezbitych linji granicznych i niezmiennych urządzeń. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak przyszłe pokolenia ukształtują w szczegółach swoje organizacje społeczne i w jaki sposób zaspokoją najzupełniej swoje potrzeby. W społeczeństwie, jak w naturze, wszystko jest w stanie ciągłego ruchu: jedno nastaje, drugie znika, co stare, już obumarłe, ustępuje przed nowem, zdolniejszem do życia. Wynalazki, odkrycia i ulepszenia najrozmaitszego rodzaju, których doniosłości i znaczenia nikt przewidzieć często nie może, zaczynają swoje działanie i stosownie do swego znaczenia dokonywają przewrotów i przekształceń w sposobie życia ludzi i w całem społeczeństwie.

Może więc chodzić tylko o rozwój ogólnych zasad, których postawienie wynika już z poprzednich wywodów, a których przeprowadzenie da się do pewnego stopnia przewidzieć. Jeżeli społeczeństwo już dotychczas nie było istotą automatyczną, którą kierowały jednostki — chociaż często tak się zdawało — lecz organizmem, który rozwija się podług pewnych stałych praw, to na przyszłość wszelkie kierowanie i prowadzenie podług woli jednostek jest tembardziej wykluczone. Społeczeństwo poznało tajemnicę swojej istoty, odkryło prawa swego rozwoju i, świadome celu, stosuje teraz te prawa do dalszego rozwoju.

Z chwilą, w której społeczeństwo posiędzie wszelkie środki do pracy, z tą chwilą obowiązek pracy wszystkich zdolnych do pracy, bez różnicy płci, stanie się podstawowem prawem uspołecznionego społeczeństwa. Bez pracy społeczeństwo istnieć nie może. Społeczeństwo ma więc prawo żądać, aby każdy, kto chce swoje potrzeby zaspokoić, przyczyniał się w miarę swoich zdolności fizycznych i umysłowych do wytwarzania produktów na zaspokojenie potrzeb. Nierozsądne twierdzenie, jakoby socjaliści nie chcieli pracować, jakoby pracę chcieli znieść, jest bezsensem, który spada na przeciwników. Pozbawieni pracy i próżniacy istnieją tylko w świecie burżuazyjnym. Socjalizm zgadza się z biblją, gdy ta powiada: kto nie pracuje, ten i jeść nie powinien. Ale praca nie powinna być samą tylko czynnością, lecz czynnością pożyteczną i wydajną. Nowe społeczeństwo będzie więc żądało, aby każdy jął się pewnej przemysłowej, rękodzielniczej, rolnej, lub innej jakiej pożytecznej czynności, w którejby wykonywał pewną ilość pracy w celu zaspokojenia istniejących potrzeb. Kto nie pracuje, ten nie powinien używać przyjemności; przeciwnie zaś, żadna praca nie ma być pozbawioną przyjemności.

Skoro wszyscy są do pracy zobowiązani, więc wszyscy mają równy w tem interes, aby trzy warunki były przy pracy zachowane. Najpierw: praca ma być co do czasu umiarkowaną i nikt nie powinien nią być przeciążony; powtóre: praca powinna być możliwie najprzyjemniejszą i dawać jaknajwiększe możliwe urozmaicenie; potrzecie: powinna być jaknajwydatniejszą, bo od tego zależy długość czasu roboczego i suma przyjemności. Te trzy warunki zależą jednak znowu od rodzaju i ilości sił wytwórczych, któremi się rozporządza i od wymagań społeczeństwa. Jednakowoż socjalistyczne społeczeństwo nie tworzy się na to, aby żyć po proletarjacku, lecz, aby znieść proletarjacki sposób życia ogromnej większości ludzi. Ma ono starać się o przysporzenie każdemu możliwie największej sumy przyjemności w życiu. Tak więc powstaje pytanie: jak wielkie wymagania będzie miało przeciętne społeczeństwo?

Na oznaczenie tego potrzeba zarządu, któryby ogarniał wszystkie dziedziny działności społeczeństwa. Nasze gminy stanowią w tym względzie odpowiednią podstawę; jeżeli okażą się zbyt wielkiemi, aby łatwo móc objąć okiem całość stosunków, natenczas podzieli się je na okręgi. Jak w społeczeństwie pierwotnem tak na najwyższym stopniu kultury wszyscy pełnoletni uczetnicy gminy bez różnicy płci biorą udział w zachodzących wyborach i wyznaczają osoby zaufania, które mają kierować zarządem. Na czele wszystkich zarządów miejscowych stoi zarząd centralny — oczywiście, nie jakiś tam rząd z panującym przymusem, lecz tylko wykonawcze zgromadzenie administracyjne. Czy zarząd centralny mianowany jest bezpośrednio przez ogół, czy też drzez zarządy gminne, jest to obojętnem. Kwestje te nie mają już w przyszłości tego znaczenia co dzisiaj, bo nie chodzi tu o obsadzenie posad, o szczególny zaszczyt udzielania komuś większej władzy i wpływu i wyższego dochodu, lecz o posady zaufania, na których obsadzenie wybiera się ludzi najzdatniejszych, mężczyznę lub kobietę, a tych odwołuje się z posad albo nanowo wybiera, o ile potrzeba tego wymaga, albo o ile wyborcom wydaje się to pożądanem. Wszystkie posady obejmuje się tylko czasowo. Szczególnych zatem „właściwości urzędniczych" właściciele tych posad nie mają, braknie tu bowiem trwałego funkcjonowania i hierarchicznego porządku awansów. Z przytoczonych punktów widzenia jest dla nas obojętną także ta kwestja: czy między zarządem centralnym, a zarządami miejscowymi mają być stopnie pośrednie, a więc zarządy prowincjonalne itd.; bo tylko w razie potrzeby zaprowadza się je, bez tego nie myśli się o nich. O wszystkiem tem rozstrzyga potrzeba, okazująca się z praktyki. Jeżeli wskutek postępów w rozwoju społeczeństwa pewne organizacje okażą się zbytecznemi, to usunie się je bez krzyku i hałasu i bez kłótni, bo niema tu osobistego interesu; na ich miejsce zaprowadzi się nowe. Widzimy, że ta administracja, spoczywająca na najszerszej podstawie demokratycznej, różni się zasadniczo od dzisiejszej. Co za walka w gazetach, co za bój na języki w naszych parlamentach, ileż to zapisanych stosów aktów w naszych kancelarjach o drobną zmianę w administracji albo rządzie!

Główna rzecz — to oznaczenie liczby i rodzaju środków do pracy, a więc fabryk, warsztatów, środków komunikacyjnych, gruntu itd. i ich dotychczasowej wydajności. Dalej, należy oznaczyć: jakie zapasy istnieją i jaka jest potrzeba rozmaitych artykułów i przedmiotów żywności dla utrzymania społeczeństwa w pewnym oznaczonym czasie. Podobnie jak dzisiaj państwo i rozmaite ciała gminne corocznie układają swój budżet, tak w przyszłości odbywać się to będzie dla wszelkich potrzeb, oczywiście, ze zmianami, jakie pociągają za sobą potrzeby zwiększone albo nowe. Główną rolę odgrywa tu statystyka; staje się ona najważniejszą nauką pomocniczą w społeczenstwie, dostarcza miary dla wszelkiej społecznej czynności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

St. Klimowicz.

Zużytkowanie magnetycznych własności metalów w celach mechaniki.

Jak wiadomo, metale rozpatrywane z punktu widzenia oddziaływania na wpływ magnesu dzielą się na dwie grupy: 1) metale t. zw. „magnetyczne", które pod wpływem pola magnetycznego same stają się magnesami i ulegają przyciąganiu; 2) metale zw. „diamagnetyczne", względem których działanie pola magnetycznego nie przejawia się pod postacią przyciągania lecz w inny sposób, o którym mówić tu nie będziemy. Do pierwszej grupy należy przedewszystkim żelazo, którego współczynnik magnetyczny jest najwyższy, następnie stal, żelazo zlewne, nikiel, kobalt i inne. Na czele drugiej stoi antymon; z doświadczenia też osobistego wszyscy znamy metale, których magnes nie przyciąga, a więc ołów, miedź, cyna itd.

Dotychczasowe zastosowania siły magnetycznej w mechanice ograniczały się prawie wyłącznie do użytku elektromagnesów, które — z odległości można pobudzać lub znieczulać przez zamknięcie lub otwarcie prądu elektrycznego. Najszersze zastosowanie znalazły one w dzwonkach elektrycznych i w aparatach stacji telefonów i telegrafów. Otóż użytek prawdziwych magnesów też jest możliwym, przyczem udaje się powierzać im do spełnienia funkcje bardzo delikatne. Pozatem można jeszcze wyzyskać tę własność, że

metale o rozmaitych współczynnikach magnetycznych nie z jednakową siłą przez magnes są przyciągane.

Ciekawem zastosowaniem powyższego jest automatyczny aparat, obmyślany i wykonany dla użytku publicznego na poczcie przez trzech węgrów: Fodor, Bücky i Szabó. Formalności biurowe przy przesyłaniu listu poleconego pochłaniają zbyt wiele czasu i połączone są z wieloma niedogodnościami. Aby temu zaradzić, zbudowali oni automat, za pomocą którego w każdym czasie i niezależnie od urzędu pocztowego można oddać list, otrzymując wzamian kwit odpowiedni.

W aparacie tym wrzucenie niklowej monety wartości 25 fen. pozwala wysyłającemu wprowadzić list do odpowiedniego otworu oraz zakręcić korbą. Nie na miejscu byłby tu opis wielce skomplikowanego mechanizmu tego automatu. Złożony system dużej ilości kółek, wałów, sprężyn i mimośrodków, wprowadzony w ruch poruszeniem korby składa się na wykonanie 40 rozmaitych czynności z dziedziny praktyki pocztowej, a więc: opieczętowanie listu, przyjęcie i zaregiestrowanie otrzymanych pieniędzy, opieczętowanie, numerowanie oraz datowanie pokwitowania dla wysyłającego itd.

Wrzucona do otworu moneta niklowa zsuwa się po kanale spadzistym wewnątrz aparatu i przechyla dźwignię, która odsłania otwór przeznaczony dla wprowadzenia listu. W pewnej chwili swobodnego spadania moneta ulega wpływowi znajdującego się w bliskości magnesu, który odchyla nieco jej drogę skierowując ją do miejsca, w którem jej obecność i ciężar pozwolą na wprowadzenie w ruch całego meczanizmu.

W automacie tego rodzaju, przeznaczonym dla użytku szerokiej publiczności, należało przedewszystkiem zapobiec łatwości oszukaństwa. Trzeba więc było niedopuścić możliwości wprowadzenia w ruch aparatu przez wrzucenie do otworu zamiast monety, opłacającej koszt polecenia listu, jakiego bądź krążka miedzi, ołowiu lub żelaza tych samych co moneta niklowa wymiarów lub wagi.

Na tej właśnie drodze użytek magnesu znalazł wyborne zastosowanie. Jeżeli bowiem zamiast monety wrzucono krążek z miedzi lub ołowiu, to ten, nie ulegając wpływowi magnesu, nie trafia w swym spadku tam, gdzie należy, lecz obiera inną drogę i wypada na zewnątrz. Krążek żelazny — przeciwnie — przyciągany z większą aniżeli moneta niklowa siłą, zostaje chwyconym po drodze prze magnes. Podczas następnej prawidłowej manipulacji, poruszenie korby odrzuca go i skierowuje na zewnątrz.

Powyżej opisany system mechanicznej kontroli za pomocą magnesu nadaje się i zaproponowanym został dla użytku pocztowego we Francji, która posiada w obiegu monetę niklową wartości 25 centymów, opłacającą akurat koszty polecenia. Dla Austrji i dla Niemiec, gdzie również automat ten tytułem próby wprowadzonym zostanie, sposób kontroli należało zmienić: moneta wprowadzona do otworu szczelnie dopasowanego do jej średnicy i grubości, pada najpierw na ważki specjalne, przeznaczone dla sprawdzenia jej wartości. Jeżeli pieniądz jest nieodpowiedni lub podrobiony — to wypada innym otworem na zewnątrz. Następne czynności odbywają się w ten sam co i powyżej sposób.

Rozmaitości

Podział czasu na kuli ziemskiej. Astronomowie podzielili, jak wiadomo, kulę ziemską na 24 segmentów czyli płatów, i w każdym z tych płatów zaprowadzili jedną stałą godzinę. W Tokio w Japonji poczyna się ten dzień astronomiczny, idzie przez Chiny, Rosję, środkową Europę, Francję, przez Atlantyk, przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, przez Kalifornję i kończy się na Oceanie Spokojnym. W każdym segmencie jest jedna godzina.

Europa podzielona jest na trzy segmenty; do pierwszego należy Rosja, Rumunja, Bulgarja, Turcja i Grecja; do drugiego segmentu, środkowo-europejskiego, należą: Austrja, Niemcy, Danja, Szwecja, Norwegja, Szwajcarja i Włochy; do trzeciego segmentu zachodnio-europejskiego należą: Anglja i Francja, Belgja, Holandja, Luksemburg, Hiszpanja i Portugalja.

Dotąd funkcjonuje tylko drugi segment, bo tylko mocarstwa należące do niego, przyjęły tę godzinę środkowo-europejską. Z mocarstw, należących do pierwszego segmentu, mających godzinę wschodnio-europejską, nie przyjęła jej dotąd Grecja. Z mocarstw zaś, należących do segmentu zachodnio-europejskiego nie przyjęły dotąd zachodnio-europejskiej godziny Francja i Portugalja. Był już raz moment, kiedy Francja skłaniała się do odstąpienia od południka paryskiego i zgadzała się na przyjęcie południka, idącego przez Greenwich w Anglji, ale wybuchł właśnie wtedy zatarg między Francją i Anglją o Faszodę w Afryce, no i naturalnie żaden minister francuski nie miał odwagi zaproponować Izbom, aby dały pierwszeństwo południkowi angielskiemu nad francuskim.

Teraz stosunki między Anglją i Francją są bardzo serdeczne, więc gabinet francuski uchwalił przed paru dniami wznieść do parlamentu przedłożenie, zaprowadzające we Francji godzinę zachodnio-europejską. A skoro Francja przystąpi do tej konwencji astronomicznej, to wtedy Europa podzielona zostanie w ruchu kolejowym na trzy godziny, tak, że kiedy w Rosji będzie biła 12 godzina w południe, to w środkowej Europie będą zegary wskazywały 11 przed południem, a w zachodniej Europie 10 przed południem.

Na Grecję i Portugalję, jako na państewka bardzo małe i w ruchu europejskim nie odgrywające żadnej roli, nikt oczywiście nie będzie zwracał uwagi.

* * *

W sprawie bezpieczeństwa podróży napowietrznych. W ostatnich czasach, jak doniosły dzienniki, zdarzyło się w żegludze napowietrznej tyle nieszczęśliwych przypadków tak dla ludzi, jak i dla materjału, że gdyby tak dalej być miało, trzebaby może porzucić myśl żeglugi napowietrznej tem bardziej, że skutkiem zniechęcenia ogólnego mogłoby braknąć do niej dostatecznej liczby ukwalifikowanych ochotników. A przecież nie można w interesie tak nauki, jak i ludzkości, zrzec się myśli żeglugi po przestworach powietrza. Trzeba przeto tę żeglugę uczynić, ile tylko można, bezpieczną, w każdym razie o wiele bezpieczniejszą, niż jest teraz.

Najgłówniejsze niebezpieczeństwo dla podróży napowietrznych stanowią burze i elektryczność atmosferyczna. Wprawdzie meteorologja nie doszła jeszcze do tego stopnia rozwoju, by mogła z zupełną pewnością przepowiadać zjawiska atmosferyczne, zawsze jednak z wielkiem do prawdy podobieństwem może na krótki czas oznaczyć stan atmosfery w przeważnej liczbie przypadków. Dlatego pierwszym warunkiem bezpieczeństwa dla żeglugi napowietrznej jest zorganizowanie badania atmosfery.

Jeżeli właściwa stacja meteorologiczna nie zapewni, że niema niebezpieczeństwa ze strony atmosfery, nie powinien puścić się w powietrze żaden balon. W Niemczech proponują, by zakład meteorologiczny w Akwisgranie objął taką służbę wywiadowczą, koncentrował u siebie wszelkie wiadomości o zjawiskach atmosferycznych, nadesłane z innych obserwatorjów i podawał je do wiadomości osób zamierzających odbyć podróż napowietrzną.

Prócz tego wszystkie statki napowietrzne, tak balony jak aeroplany, powinny mieć przyrządy do odbierania wiadomości telegraficznych bez drutu, by w razie niepewnego lub zgoła niebezpiecznego stanu atmosfery natychmiast powracać na ziemię. Oczywiście, że na lądzie musi być dostateczna liczba stacji mogących udzielać statkom powietrznym wiadomości telegraficznych bez drutu.

Dla balonów powinny znajdować się w dużych miastach bezpiecznie i stosownie urządzony szopy (hangary), by w nich mogły znaleźć schronienie podczas burzy.

Jeżeli zrobi się to wszystko, to można się spodziewać, że liczba przypadków zmniejszy się znacznie, a tymczasem z postępem nauki i techniki udoskonali się coraz bardziej żegluga napowietrzna.

* * *

Pierwsza lokomotywa turbinowa. Najnowszym wynalazkiem na polu budowy maszyn parowych są turbiny parowe, pozwalające na uzyskiwanie bardzo wielkiej ilości obrotów przy małych stosunkowo rozmiarach maszyn, ruch

rotacyjny, jaki wywołuje ciśnienie pary na turbinę, ma także wielkie znaczenie ze względu na wytrzymałość materjału.

Turbiny parowe wchodzą coraz bardziej w użycie a używane są już bardzo na okrętach.

Długo trudzono się nad tem, by turbinę parową zastosować do lokomotyw kolejowych; szczególniej zarząd kolei angielskich pilnie nad tem pracował.

Obecnie zbudowano i po wielu próbach wprowadzono w ruch pierwszą lokomotywę turbinową na linji kolejowej Glasgow-Gartsherrie dla pociągów luksusowych.

Zbudowana ona jest w ten sposób, że turbina znajduje się w tyle, a miejsca dla personału maszynowego w środku. Turbina wprawia w ruch motor elektryczny, który dostarcza siły pociągowej.

Przy 3000 obrotów na minutę maszyna daje siłę 1000 HP.

* * *

Armata do rzucania bomb. Krupp, osławiony fabrykant broni, stwarza niezmordowanie w swej „rezydencji" Essen nowe działa: Całkiem nowem działem — nowem pod względem wyglądu, używaniu i ładowania, jest jego armata do rzucania bomb. Bomb tych nie wsuwa się, jak to jest w zwyczaju, do lufy, lecz umocowuje ją się do słupa, tem samem więc znajduje się ona zewnątrz rury armatniej, słup zaś wsuwa się do lufy. Podczas wystrzału oddziela się słup od bomby i pada na ziemię, podczas gdy bomba leci dalej. W ten sposób można bombę o dużej średnicy z mało kalibrowego działa wyrzucić i skierować w pożądanym kierunku. Armata do rzucania bomb musi być małą i łatwą do transportu, aby podczas ataku łatwo można jej użyć, nie narażając własnego wojska na niebezpieczeństwo. Bomba spada z góry, robiąc spustoszenie nie tyle przez swój ładunek wybuchowy, ile przez działanie ognia, dymu i nacisku powietrza. Powstające przy wybuchu jadowite gazy zabijają wszystko żyjące. Znaczenie tej armaty polega więc na jej łatwym transporcie i strasnem działaniu. Największa odległość strzału wynosi 300 metrów.

* * *

Jak maszzny chleb odbierają kobietom. Dnia 14 i 15 sierpnia odbyła się w Wiedniu w domu robotniczym Ottakring konferencja robotników i robotnic, zajętych przy fabrykacji cygar.

W zaproszeniu powiada między innemi związek robotników tytoniowych: Wyrób cygar odbywał się przed dwoma jeszcze laty jedynie i wyłącznie pracą ręczną, — maszyn jeszcze nie używano. Obecnie są już w użyciu doskonale zbudowane maszyny do robienia papierosów, a w krótkim czasie maszyny zastąpią całkowicie pracę ręczną. Jakie to znaczenia ma dla robotników, wynika z następujących cyfr: T. zw. „pupiarka" (z niemieckiego „Puppenwicklerin"), t. j. robotnica, przygotowująca cygaro do ostatecznego wykończenia, wyrobiła przeciętnie 3000 sztuk tygodniowo, maszyna obsługiwana przez dwie robotnice, wyrabia 30 000 dziennie! Lecz również do zupełnego wykończenia cygara używa się już maszyny, która, obsługiwana przez dwie robotnice, wykończa 1300 cygar dziennie. Do tego maszyna ta pracuje przy najtrudniejszych formach, między innemi przy formie „brytannika". Do przerzyniania liści zewnętrznych, a nawet do odrywania liści tytoniowych używa się już maszyn. W niedługim czasie więc będzie się odbywac cały wyrób cygar zapomocą maszyn. Równocześnie na konferencji dostarczy się niezbitego dowodu, że przez zaprowadzanie 51 godzin pracy w tygodniu, z wolnem południem w sobotę, wydatność pracy robotników nietylko się nie zmniejszyła, lecz przeciwnie wzrosła, przynosząc obecnie skarbowi większy pożytek. Oczywiście, konferencja zajmie się także stosunkami pracy i płacy.

* * *

500 miljonów widokówek. Taką ilość nadrukowano w Niemczech dla zagranicy w pierwszych 5 miesiącach roku bieżącego. Pismo „Buchhändlerbörsenblatt" podaje, że dostarczono zagranicy 14871 centnarów metrowych (centnar metrowy odpowiada dwom centnarom). Nie zważając na różnicę w grubości kartonu, śmiało można twierdzić, że wysłano około 494 840 000 sztuk. Mimo tak znacznego wywozu ogólna ilość wykonanych widokówek wciąż jeszcze się cofa. W r. 1907 wydrukowano w pierwszych 5 miesiącach 86 327 centnarów metrowych, co odpowiada miljardowi sztuk. W latach 1908 i 1909 wywóz cofnął się znacznie, bo Ameryka, do której odchodziła połowa wywozu, nie spotrzebowała tyle, co dawniej. Wywóz w r. 1907 do Ameryki wynosił 12 379 centnarów metrowych. Wzmógł się teraz wywóz do Anglji.

* * *

Cholera i ciemnota. Oddziały sanitarne, organizowane z powodu cholery muszą walczyć nietylko z groźną chorobą, ale i z ciemnotą ludności rosyjskiej, która w każdym lekarzu i sanitarjuszu widzi truciciela. W każdym numerze pism rosyjskich znajdujemy opisy zajść, na tem tle powstałych. W gub. Charkowskiej, jak pisze „Južnyj kraj", do furtorów Semikozowa i Oczkurowa w powiecie starobielskim, ziemstwo wysłało oddział sanitarny. Chłopi, dowiedziawszy się tem, postanowili nie wpuścić go do sali. Przybyłym lekarzowi i felczerowi oświadczyli, że ich nie potrzeba. Naczelnik ziemski usiłował napróżno przekonać chłopów o dobroczynnej roli lekarzy. Przybył wreszcie na pomoc i sprawnik, który najgorliwszych nieprzyjaciół medycyny kazał wsadzić do kozy.

Niemiłą przygodę mieli odbywający z polecenia cesarskiej akademji nauk wycieczkę naukową kandydat botaniki, Ettingen i towarzyszące mu studentki: Maczechówna i Domanicka. Podczas botanizowania w pobliżu Biełowodzka zostali obskoczeni przez bandę chłopów, którzy ich wzięli za uczestników oddzialu sanitarnego. P. Ettingera zrewidowano i zabrano mu zielnik, aparat fotograficzny i narzędzia, oraz woreczek z pieniądzmi. Kobiety rewidowały jego towarzyszki, szukając trucizny. Ocalenie z rąk rozwścieczonego tłumu, który podczas rewizji pobił p. Ettingera, zawdzięczają niefortunni botanicy jakiemuś rozsądniejszemu włościaninowi, który rozporządził, aby ich odprowadzono do Biełowodzka, gdzie ich potem wypuszczono na wolność.

* * *

Wykopaliska. PP. Dowgird z Kowna i Krzywicki z Warszawy rozkopywali górę zamkową we wsi Gabrjeliszkach, w powiecie rosieńskim. Znaleziono tam 7 mieczów, kilka noży, 7 monet, między któremi jedną z czasów cesarza rzymskiego Trajana, 4 monety nawleczone na łańcuszek, niewiadomo z jakich czasów, dziesięć garncy ziarna mieszanego: żyta, pszenicy i owsa, 2 bransolety bronsowe, kulę kamienną i 7 szóściu perełek.

Góra ma wysokości 8—10 sążni. Dało się spostrzec, iż wierzch góry był niegdyś wybrukowany na przeszło łokieć grubości. Usypano tę górę z piasku, lecz po odkopaniu darniny, czarnieje czarnoziem koloru smoły. Takiej ziemi nigdzie nie spotykano.

P. Dowgird i Krzywicki w dalszym ciągu mają zajmować się badaniami archeologicznemi w gorach gubernji kowieńskiej.

Z literatury i sztuki

Numer 35 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Janina Porazińska: Rośliny owadożerne. — St. Buraczewska: Djabelski statek. — A. Mickiewicz: Przed burzą (wyjątek). — K. Hagenbeck: Zwierzęta w niewoli. — Edmund Wasilewski: Dzwon. — Ze świata: Wyścig okrężny aeroplanów. Aeroplanem z Paryża do Londynu. — Odpowiedzi od Redakcji. — Łamigłówki. — Rozwiązania.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 37. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 września 1910.

AUGUST BEBEL

Ustrój socjalistyczny.

(Ciąg dalszy.)

Już dziś nawet używają powszechnie statystyki do podobnych celów. Budżety państwowe, krajowe i gminne opierają się na wielkiej ilości danych statystycznych, zbieranych corocznie w poszczególnych gałęziach administracji. Większy zasób doświadczenia i pewna stałość w bieżących potrzebach są tu wielkiem ułatwieniem, i stąd każdy przedsiębiorca większej fabryki, każdy kupiec, może wśród normalnych warunków oznaczyć dokładnie, jakie będzie miał potrzeby w przyszłym kwartale, i w jaki sposób ma urządzić swoją produkcję i swoje zakupy. Jeżeli nie zachodzą nadzwyczajne zmiany, to może on te potrzeby zaspokoić łatwo i bez trudu.

Doświadczenie, że przyczyną przesileń jest produkcja ślepa, bezładna, gdyż prowadzona bez znajomości zapasów, zbytu i potrzeb rozmaitych przedmiotów na targu światowym, skłoniło, jak to już podniesiono, oddawna wielkich przemysłowców najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu do łączenia się w trusty, kartele i ringi, z jednej strony dlatego, by ustalić ceny, z drugiej strony, aby na podstawie poczynionych doświadczeń i otrzymanych zamówień uregulować produkcję. W miarę zdolności produkowania każdego poszczególnego przemysłu i zbytu prawdopodobnego ustala się, ile każde poszczególne przedsiębiorstwo ma wyprodukować na najbliższe miesiące. Na przekroczenia umowy przez oddzielnych fabrykantów związek nakłada wysokie kary i wykluczenie. Przedsiębiorcy zawierają te układy nie na korzyść publiczności, lecz na jej szkodę, a na korzyść swoją własną. Celem ich jest skorzystać z potęgi koalicyjnej, ażeby wytworzyć dla siebie jaknajwiększe zyski. To uregulowanie produkcji ma na celu możność żądania od publiczności cen, jakichby nigdy nie można było osiągnąć w walce konkurencyjnej pojedyńczych przedsiębiorców. Tak więc bogacą się oni kosztem konsumentów, którzy muszą płacić wszelką żądaną cenę za potrzebny im produkt. A jak przez kartele, trusty itd. ponosi szkodę konsument, tak ją też ponosi robotnik. Sztuczne uregulowanie produkcji pozbawia pracy część robotników, którzy, chcąc żyć, psują zarobki swym zajętym towarzyszom. Przedsiębiorca ma więc podwójny zysk: dostaje wyższe ceny i płaci mniejsze wynagrodzenie. Ta regulacja produkcji przez związki przedsiębiorców jest przeciwieństwem owej regulacji, która zapanuje w społeczeństwie socjalistycznem. Podczas kiedy dziś decyduje interes przedsiębiorców, ma w przyszłości decydować interes powszechny. Produkować się będzie na to, aby zaspokoić każdą potrzebę, a nie na to, aby przez wysokie ceny osiągnąć wielkie zyski dla jednostek. Przytem nawet najlepiej zorganizowany kartel nie może w społeczeństwie burżuazyjnem przewidzieć i obliczyć wszystkich czynników, bo mimo kartelów konkurencja i spekulacja szaleją nieustannie, a w ten sposób nagle okazuje się, że obliczenie było fałszywe, tak, iż cały budynek się rozpada.

Podobnie jak wielki przemysł, tak też i handel posiada rozległe statystyki. Co tydzień większe rynki handlowe i portowe wydają przeglądy zapasów nafty, kawy, wełny, cukru, zboża itd. — statystyki, które, oczwiście, często są niedokładne, bo właściciele towarów nierzadko mają w tem osobisty interes, aby zataić prawdę. Ale, ogółem wziąwszy, statystyki te są dość pewne i umożliwiają interesantowi wnioskowanie o ukształtowaniu się targu w najbliższym czasie. Tu jednakże należy mieć na oku spekulację, która zawodzi i niweczy wszelkie obliczenia i często uniemożliwia każdy prawdziwy interes. Jak jednak ogólna regulacja produkcji niemożliwą jest w burżuazyjnem społeczeństwie wobec tylu tysięcy producentów prywatnych z ich sprzecznymi interesami, tak niemożliwą jest regulacja rozdziału produktów wskutek spekulacyjnego charakteru handlu, wskutek liczby zajmujących się handlem i wskutek sprzeczności ich interesów. Czego się mimo to dokonywa, świadczy tylko o tem, coby mogło być dokonanem z chwilą, w którejby interes prywatny znikł, a interes ogólny ogarnął wszystko. Dowodem tego jest np. statystyka żniw, którą się sporządza w wyżej stojących państwach kulturalnych, i z której można wyciągnąć ogólne wnioski o wysokości zbiorów, o stopniu pokrycia nimi własnych potrzeb i o prawdopodobieństwie cen.

W uspołecznionem społeczeństwie stosunki są jednak zupełnie uporządkowane, całe społeczeństwo jest solidarnie związane. Wszystko odbywa się według planu i porządku, i dlatego ustalenie miary dla różnorodnych potrzeb jest bardzo łatwe. Jeżeli jest tylko pewien zasób doświadczenia, to całość idzie z łatwością. Jeżeli np. ustalono statystycznie przeciętną ilość potrzebnych produktów piekarskich, mięsnych, szewskich, artykułów bielizny itd., i jeżeli z drugiej strony poznało się dokładnie wydajność zakładów produkcyjnych, to można na podstawie tego oznaczyć miarę codziennego, społecznie koniecznego czasu roboczego, dalej, można oznaczyć miejsca, w których zakłady produkcyjne dla pewnych artykułów są konieczne, albo gdzie je można znieść jako zbyteczne i urządzić dla innych celów.

Każdy rozstrzyga o czynności, w której chce być zatrudnionym; wielka ilość najrozmaitszych dziedzin pracy czyni zadość najrozmaitszym życzeniom. Jeżeli w jednej dziedzinie okaże się nadwyżka sił, w drugiej zaś brak, to zarząd ma się zająć stosownem urządzeniem i wyrównaniem. Organizować produkcję i dać rozmaitym siłom możność zużycia się w odpowiedniem miejscu — oto zadanie wybranych urzędników. W miarę, jak wszystkie siły wzajemnie się uzupełniają, kółka wielkiej machiny idą coraz gładziej. Poszczególne gałęzie pracy i oddziały wybierają sobie ludzi, którzy mają objąć kierownictwo. Nie są to wcale dozorcy, jak większość dzisiejszych inspektorów lub kierowników, lecz towarzysze, którzy wykonywają powierzoną im funkcję administracyjną zamiast produkcyjnej. Przytem nie jest wykluczonem i to, że przy znacznie rozwiniętej organizacji i przy wyższem wykształceniu wszystkich członków można będzie także zaprowadzić kolejne sprawowanie tych funkcji tak, żeby obejmowali je wszyscy uczestnicy bez różnicy płci, według pewnego porządku.

Taka, na podstawie zupełnej wolności i demokratycznej równości zorganizowana praca, gdzie jeden staje za wszystkich, a wszyscy za jednego, i gdzie panuje zasada absolutnej solidarności, wytworzy duchu radosnej ochoty do pracy i współzawodnictwa, jakiego się nie znajdzie w dzisiejszym systemie gospodarczym. Ten duch ochoczo-

twórczy oddziała znowu na wydajność pracy i udoskonalenie wytworów.

Skoro więc wszyscy wzajemnie dla siebie pracują, wszyscy więc mają w tem wspólny interes, aby wszystkich przedmiotów dostarczano w możliwie najlepszym i najdoskonalszym stanie i aby dostarczanie odbywało się z możliwie największą szybkością, czy to w celu zaoszczędzenia czasu roboczego, czy też w celu zyskania na czasie dla wytwarzania nowych produktów, na zaspokojenie dalszych wymagań. Ten wspólny interes zachęca wszystkich do myślenia nad ulepszeniem, uproszczeniem i przyśpieszeniem procesu pracy. Przez to pobudza się w najwyższym stopniu ambicję w kierunku wynalazków i odkryć, jeden będzie się starał przewyższyć drugiego w planach i pomysłach: a zatem nastąpi zupełne przeciwieństwo tego, co utrzymują przeciwnicy socjalizmu. Iluż-to wynalazców i odkrywców ginie w świecie burżuazyjnym! Iluż on już wyzyskał i precz odrzucił! Gdyby talent i duch stały na czele świata burżuazyjnego, a nie własność prywatna, to większość przedsiębiorców musiałaby ustąpić miejsca swoim dyrektorom, technikom, inżynierom, chemikom itd. Oni to bowiem w 99 wypadkach na 100 dokonali wynalazków, odkryć i ulepszeń, które potem wyzyskiwał człowiek z wielkim trzosem. Ile tysięcy odkrywców i wynalazców zginęło dlatego, że nie znalazło się człowieka, któryby im dał środki do wprowadzenia w życie tych odkryć i wynalazków; ile odkryć i wynalazków zostało stłumionych w zarodku wśród społecznej nędzy życia codziennego — usuwa się to z pod wszelkiego obliczenia. Nie ludzie z jasnym umysłem i bystrym rozumem, lecz ludzie posiadający wielkie środki są panami świata, przez co jednak nie rozumiemy, jakoby od czasu do czasu także jasny umysł i posiadanie pełnego trzosu nie mogły się zjednoczyć w jednej osobie. Wyjątek jest tylko potwierdzeniem reguły.

Każdy wie z życia praktycznego, z jaką nieufnością robotnik przyjmuje dzisiaj każde ulepszenie, każdy nowy wynalazek. I słusznie. W zasadzie nie on ma z tego korzyść, lecz ten, kto taki wynalazek wprowadza w życie; on musi żyć w ciągłej obawie, żeby nowa machina, nowe ulepszenie nie wyrzuciły go nazajutrz na bruk jako zbytecznego. Zamiast rodosnego potakiwania wynalazkowi, który zaszczyt przynosi ludzkości i przysporzyć ma nowych korzyści, robotnik ma na ustach złorzeczenie i przekleństwo. I wiemy z własnego doświadczenia, jak niejedno ulepszenie procesu produkcji, zrobione przez robotnika, idzie na marne; robotnik zamilcza o niem, bo się obawia z tego szkody dla siebie, a nie korzyści. Są to naturalne skutki sprzeczności interesów.

Ta sprzeczność interesów w społeczeństwie socjalistycznem jest usunięta. Każdy rozwija swoje zdolności na własny pożytek, a czyniąc to, staje się zarazem pożytecznym dla ogółu. Dzisiaj zaspokojenie własnego egoizmu i dobro ogólne są antytezami, które się wzajem znoszą; w nowem społeczeństwie przeciwieństwa te są usunięte, zaspokojenie osobistego egoizmu i popieranie dobra ogółu są ze sobą w zgodzie, pokrywają się wzajem.

Wspaniałe skutki łakiego stanu umysłowego i moralnego leżą jak na dłoni. Wydajność pracy wzrośnie potężnie, a większa wydajność umożliwi zaspokojenie większych potrzeb. W szczególności wydajność pracy wzmoże się dlatego, że ustanie olbrzymie rozkawałkowanie sił roboczych na tysiące i miljony karłowatych przemysłów, produkujących przy pomocy jaknajniedoskonalszych narzędzi i środków do pracy. Przez ześrodkowanie małych i średnich przemysłów w wielkim, wyposażonym we wszelkie zdobycze najnowszej techniki, usunęłoby się olbrzymie marnowanie czasu, siły, materjału (światło, opał itd.) i przestrzeni, które ma miejsce teraz, a zyskałaby na tem bardzo wydajność pracy. Jak wielka zachodzi różnica między wydajnością małego, średniego i wielkiego przemysłu nawet tam, gdzie stosuje się nowożytną technikę, niech pokaże przykład z cenzusu przemysłowego stanu Massachusetts z 1890 r. Podzielono tam przemysł dziesięciu głównych gałęzi na trzy kategorje. Te, który wytwarzały mniej niż za 40000 dolarów, należały do klasy najniższej; wytwarzające między 40 000 a 150 000 do średniej; te wreszcie, które wytwarzały ponad 150 000 dolarów — zaliczono do klasy najwyżej.

Wynik był następujący:

	Liczba zakład.	Stos. proc. do ogółu zakładów	Ogólna wartość produkcji poszczególn. klas	Stos. proc. do ogółu wartości produktów
			Dolary	
Pierwsza klasa	2042	55,2	51 660 617	9,4
Druga „	968	26,2	106 868 635	19,5
Trzecia „	686	18,6	390 817 300	71,1
	3696	100,0	549 546 552	100,0

A zatem dwa razy większa liczba drobnych zakładów przemysłowych wytwarzała tylko 4,9% ogólnej ilości. Ale także i wielkie przemysłownie możnaby z małym zaledwie wyjątkiem prowadzić o wiele racjonalniej, niż teraz, tak, że przy wspólnej produkcji o wiele większe potrzeby mogłyby być pokryte, oczywiście, gdyby w danych stosunkach forma produkcji była technicznie najdoskonalej rozwiniętą.

Ile można zyskać na czasie przy produkcji opartej na jaknajracjonalniejszej podstawie, okazuje się z zajmującego obliczenia, umieszczonego w dziele Th. Hertzki z Wiednia p. t. „Prawo rozwoju społecznego“. Zbadał on jak wielkiego nakładu sił roboczych i czasu potrzeba na zaspakajanie na drodze wielkiej produkcji potrzeb ludności austrjackiej, liczącej 22 mil. głów. W tym celu zasięgnął Hertzka wiadomości o wydajności wielkich zakładów przemysłowych w rozmaitych dziedzinach i według tego zrobił swoje obliczenia, obejmujące także i nakład pracy na gospodarcze zużytkowanie $10^1/_2$ mil. hektarów gruntów, które mają wystarczyć na wytworzenie produktów rolnych i mięsnych dla wspomnianej liczby ludności. Dalej, włączył Hertzka do swojego obliczenia budowę mieszkań, tak, że każda rodzina otrzymałaby własny domek o 150 metrach kwadratowych powierzchni i 5 izbach. Domek taki stawia się na przeciąg czasu 50-letni. Okazało się, że dla gospodarstwa wiejskiego, dla robót budowlanych, dla produkcji mąki i cukru, dla przemysłu węglowego, żelaznego i maszynowego, dla przemysłu ubiorowego i przemysłów chemicznych potrzeba tylko 615 tysięcy sił roboczych, które przy obecnie używanej przeciętnej mierze czasu musiałyby być czynne przez rok. Ale te 615 tysięcy stanowią tylko 12,3% austrjackiej ludności, zdolnej do pracy, nawet jeżeli wszystkie kobiety, jako też ludność męska poniżej 16 a powyżej 50 lat będą zwolnione od pracy. Gdyby zatrudniono wszystkie 5 mil. mężczyzn, podobnie jak owe 615 tysięcy, to każdy z nich musiałby pracować tylko 36,9 dnia, okrągło 6 tygodni, aby zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby życia 22 miljonów ludzi. Jeżeli zaś zamiast 37 weźmiemy trzysta dni roboczych na rok, to przyjąwszy obecny dzień roboczy 11 godzinny, trzebaby było przy tej nowej organizacji pracy dziennie mniej więcej $1^3/_8$ godziny na pokrycie najkonieczniejszych potrzeb.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bebel o Liebknechcie.

(Tłomaczenie z niemieckiego).

W d. 7 sierpnia r. b. upłynęło 10 lat od śmierci Wilhelma Liebknechta. Rocznicę tę niemiecka prasa robotnicza uczciła, przypominając zasługi zmarłego i podając o nim wiadomości biograficzne. Przy tej sposobności niektóre pisma powtórzyły to, co o Liebknechcie mówi długoletni przyjaciel jego i towarzysz walki August Bebel w pamiętnikach swych, których pierwszy tom niedawno się ukazał. Sądzimy, że najlepiej się naszym czytelnikom przysłużymy, idąc za tym przykładem. Nadmieniamy przytem, że przytoczony poniżej urywek z pierwszego tomu pamiętników Bebla obejmuje tylko pierwszy okres wspólnej jego z Liebknechtem działalności: drugi, ważniejszy okres, w którym działalność ta główne przynosiła owoce na polu ruchu robotniczego w Niemczech, szczegółowo opisany będzie w drugim tomie.

Liebknecht i Bernhard Becker zostali wydaleni z Prus w r. 1865. Liebknecht po 13-letniem wygnaniu, powrócił

latem 1862 r. do Berlina. Stało się to możebne dzięki amnestji 1860 r. Przybył on na wezwanie starego rewolucjonisty Augusta Brassa, z którym zapoznał się, tak samo jak Engels, w Szwajcarji, i który latem 1862 r. założył w Berlinie wielki dziennik demokratyczny p. t. „Norddeutsche Allgemeine Zeitung". Zaproszenie do udziału otrzymał Liebknecht razem z Robertem Schweichelem; miał on prowadzić dział zagraniczny. Ani jeden, ani drugi nie mieli żadnych wątpliwości co do charakteru Brassa, który należał w swoim czasie do najbardziej radykalnych rewolucjonistów. Gdy jednak w końcu września 1862 Bismarck objął ministerjum, Liebknecht i Schweichel zauważyli, że coś jest nie w porządku. Przypadek zrządził, że wkrótce potem doręczono Schweichelowi pismo, przysłane z ministerjum i przeznaczone dla Brassa, z żądaniem, by treść jego została opublikowana w najprędszym czasie. Podejrzenia zamieniły się w pewność i Liebknecht ze Schweichelem wystąpili z redakcji. Teraz zarabiał on na życie swoje i żony z dwojgiem dzieci pisaniem korespondencji do różnych pism. Gdy go poznałem, pisywał pomiędzy innemi do „Kurjera Górno-Reńskiego", do demokratycznej „Tagespost" Rechbauera w Grazu i do „Deutsches Wochenblatt" w Mannheimie; wątpię, czy to ostatnie pismo mu płaciło. Później przez kilka lat pisywał on i do „Frankfurter Zeitung". W tymże czasie Liebknech miewał wykłady głównie w berlińskich związkach zawodowych: drukarskim i krawieckim, pozatem na zebraniach robotnichych i ludowych, na których zwalczał politykę Bismarcka.

Gdy Liebknechta wydalono z Berlina, udał się on do Hanoweru, gdzie Schweichel otrzymał posadę przy miejscowym dzienniku. Nie znalazłszy tam odpowiedniego zajęcia, przyjechał do Lipska i tam pewnego dnia w sierpniu 1865 r. przyprowadził go do mnie dr. Eras, w owym czasie redaktor „Mitteldeutsche Volkszeitung". Rzecz naturalna, że Liebknecht, o którego działalności i wydaleniu wiedziałem z gazet, żywo mię interesował. Liczył on wtedy już 40 lat, ale posiadał zapał i żywość dwudziestoletniego młodzieńca. Zaraz po przywitaniu rozpoczęła się pomiędzy nami polityczna dyskusja, w której Liebknecht napadał z taką gwałtownością i bezwzględnością na partję postępową, zwłaszcza na jej wodzów, że zostałem całkiem zbity z tropu, chociaż sam już byłem daleki od uwielbiania postępowców. Wydał mi się dzielnym człowiekiem mimo swą szorstkość, i wkrótce staliśmy się przyjaciółmi.

Przyjazd Liebknechta do Saksonji był dla nas bardzo na rękę. W lipcu uchwaliliśmy na konferencji krajowej w Glauchau wprowadzenie wędrownych agitatorów. Wykonanie tej uchwały przedstawiało jednak wielkie trudności, gdyż brakowało odpowiednich osób, których stanowisko pozwalałoby na taką działalność. Liebknecht podjął się dobrowolnie jeżdżenia z odczytami. Również i w robotniczem stowarzyszeniu oświatowem był on pożądanym odczytowcem, i jego odczyty prędko zaczęły się cieszyć największą frekwencją. Prócz tego objął on w stowarzyszeniu tem wykłady języków francuskiego i niemieckiego. W ten sposób Liebknecht zapewnił sobie stopniowo egzystencję materjalną, co prawda bardzo skromną. Mimo to, jak się później dowiedziałem, nieraz przyciskała go bieda, z której ratował się, zanosząc do antykwarjusza którąkolwiek ze swych książek. Położenie jego było tem gorsze, że żona jego (pierwsza) miała piersiową chorobę i potrzebowała starannego pielęgnowania. Liebknecht jednak nie zdradzał się z temi troskami, i kto go widział i słyszał, odnosił wrażenie, że ma do czynienia z człowiekiem żyjącym w dobrobycie.

Pierwszą podróż agitacyjną odbył on do dolnych gór Kruszcowych, w szczególności do wiosek robotniczych Müllsengrundu, przez co utorował sobie drogę do przyszłej swej kandydatury do parlamentu Niemiec północnych. Ponieważ ja także często jeździłem dla agitacji i we wszystkich sprawach politycznych szedłem ręka w rękę z Liebknechtem, więc coraz częściej wymieniano nasze nazwiska razem, aż wreszcie w opinji publicznej staliśmy się nierozłącznemi. Doszło do tego, że do mnie i wspólnika mojego, z którym prowadziłem interes, nadchodziły często listy, na których jako adresaci wymienieni byli nie Issleib (tak się nazywał mój wspólnik) i Bebel, lecz Liebknecht i Bebel, z czego było dużo śmiechu.

Prawdziwie bojowa natura Liebknechta przesiąknięta była niezmożonym optymizmem, bez którego niemożliwe jest osiągnięcie wielkich celów. Najgorszy cios, który trafiał w niego lub w partję, nie był w stanie na jeden moment zachwiać nim lub wyprowadzić go z równowagi. W najcięższej sytuacji zawsze znajdował wyjście. Szorstki i bezwzględny wobec wrogów, w stosunkach z przyjaciółmi i towarzyszami był on zawsze dobrym kolegą, umiejącym łagodzić wszelkie nieporozumienia.

W swojem życiu osobistem Liebknecht był troskliwym mężem i ojcem rodziny, pełnym przywiązania do swoich. Był też zamiłowany w przyrodzie. W przyzwyczajeniach swych był skromny i niewymagający. Doskonała zupa, którą go uroczyła moja młoda żona wkrótce po naszym ślubie, wywołała w nim taki zachwyt, że wspominał o niej do końca swego życia. Lubił szklankę dobrego piwa lub wina i dobre cygaro, ale wiele na to nie wydawał. Gdy miał na sobie nowe ubranie, co nie często się zdarzało i jeżeli nie odrazu je zauważyłem i pochwaliłem, mogłem być pewny, że w toku rozmowy zagadnie mię o tem i zapyta o moje zdanie. Był to człowiek żelazny z usposobieniem dziecka. Gdy umarł w d. 7 sierpnia 1900 r., znajomość nasza liczyła równo 35 lat.

W swojej działalności partyjnej Liebknecht lubił stwarzać fakty dokonane, jeżeli przypuszczał, że plany jego napotkają na opór. Cierpiałem na tem nie mało, gdyż zazwyczaj mnie wypadało wypić piwo, które on nawarzył. W końcu jednak zdobyłem się na odwagę i opierałem się jego dyktatorskim skłonnościom; skutkiem tego miewaliśmy czasami zatargi, które jednak nie ujawniały się na zewnątrz i nie odbijały się na naszych stosunkach.

Wiele pisano o wpływie, jaki na mnie wywarł Liebknecht; twierdzono np., że tylko jemu zawdzięczać można, że zostałem socjalistą i marksistą. Liebknecht był o 14 lat starszy odemnie, górował więc nademną, w chwili naszego poznania się, długoletniem doświadczeniem politycznem. Posiadał on gruntowne wykształcenie naukowe, którego mi brakowało. Wreszcie Liebknecht przestawał w Anglji w ciągu 12 lat z takiemi ludźmi jak Marks i Engels i wiele od nich nauczył się; ja z niemi nie obcowałem i pozbawiony byłem korzyści, jaką dać mogło takie obcowanie. Samo przez się rozumie się, że przy takich warunkach Liebknecht musiał na mnie wywrzeć znaczny wpływ. Źle świadczyłoby o nim, gdyby tego wpływu wywrzeć nie potrafił, i o mnie, gdybym ze stosunku z nim nie umiał skorzystać. Ale socjalistą stałbym się i bez niego, gdyż byłem już na tej drodze w chwili, gdy go poznałem. Prowadząc ciągłą walkę z lassalczykami, musiałem czytać pisma Lassalle'a, aby wiedzieć, do czego oni dążą, i to wpłynęło na zmianę moich przekonań. Postępowanie przywódców liberalizmu w parlamencie i poza parlamentem, zwłaszcza w sprawach robotniczych, wywołało we mnie coraz większe niezadowolenie; aureola, która ich z początku otaczała, rozpraszała się stopniowo. W każdym razie stosunki z Liebknechtem przyśpieszyły moje nawrócenie się do socjalizmu, to jest jego zasługa. Tak samo rzecz się ma z twierdzeniem, że Liebknecht zrobił ze mnie marksistę. W owych latach słyszałem wiele doskonałych odczytów i przemówień przez niego wygłoszonych. Pomiędy innemi miewał odczyty o angielskich związkach zawodowych, o angielskich i francuskich rewolucjach, o niemieckich ruchach ludowych, o rozmaitych politycznych kwestjach bieżących i t. d. To co mówił o Marksie i Lassalle'u, miało zawsze charakter polemiczny, nie przypominam sobie, żebym słyszał od niego dłuższe teoretyczne roztrząsania. Zresztą ani on, ani ja nie mieliśmy czasu na wyczerpujące dyskusje teoretyczne, gdyż zbyt byliśmy pochłonięci bieżącą walką. Wogóle Liebknecht z usposobienia swego był więcej politykiem w wielkim stylu, niż teoretykiem. Ulubionem jego zajęciem była wielka polityka.

Rozmaitości

Stan szkolnictwa w Europie. Pewien szwedzki uczony obliczył, że Europa posiada 465 451 szkół i 1 050 634 nauczycieli a 41 282 691 uczniów. Na szkoły ludowe wydaje Europa 2 miljardy marek, z tej sumy przypada na Anglję czwarta część, na Niemcy trzecia, na Austrję dziesiąta, a na

Rosję dwudziesta. Analfabetów najwięcej posiada Rumunja, bo 75 proc., następnie Rosja 62 proc., Austro-Węgry 50 procent, Niemcy tylko 0,05 proc., Szwecja jeszcze mniej bo 0,01 procent ogółu ludności.

* * *

Ptaki i statki powietrzne. Największa szybkość, jaką dotąd uzyskano na maszynie do latania, wynosiła 110 klm. na godzinę. Czy przewyższono temsamem ptaki? Przepiorkę niewątpliwie, bo ona odbywa w najlepszym razie 80 kilometrów na godzinę; gołąb zaś zbliża się do aeroplanu, ponieważ odbywa na godzinę bez trudności 100 klm. a czasem i więcej. Lecz orła jeszcze nie pokonano; według obliczeń zoologów ten król ptaków odbyć może w godzinie 120 klm. Mimo to nie jest on najszybszym w swem państwie. Przewyższa go znacznie jaskółka, bo ta znakomicie uskrzydlona zwiastunka wiosny przebyć może w godzinie często 250 klm. Nie jest to jeszcze rekord w locie ptaka. Żeglarz np., pokrewny jaskółce, robi w sekundzie 88 metr. więcej, a więc w godzinie 318 klm. Lecz i nad niego jest mistrz, mianowicie sokół, który w niebotycznej wysokości potrafi mknąć godzinami z szybkością strzały. Czy taką szybkość uzyska kiedykolwiek ptak-człowiek?

* * *

Wojna z psami w Konstantynopolu. Przez długie lata psy konstantynopolitańskie w liczbie sięgającej 50 do 80 tysięcy osobników, były niemal wszechwładnymi panami ulicy; żyły tam, rozmnażały się i umierały. Pędziły żywot spokojny i szczęśliwy, ochronione przepisami koranu. Były one potomkami wilczej rasy, jaka towarzyszyła hordom tureckim podczas inwazji do Europy. Z biegiem lat złagodniały, stały się prawdziwemi przyjaciółmi mieszkańców, a nawet oddawały im usługi, ponieważ żywiły się odpadkami, wyrzucanymi na ulice i przez to czyściły miasto.

Z dojściem młodoturków do steru rządów wkroczyły europejskie zasady hygjeny, a równocześnie z tem musiamo położyć kres wyrzucaniu odpadków na ulice. Psy, pozbawione pożywienia, poczęły zdychać, stały się niemałym kłopotem dla władzy. Zarząd miejski postanowił usunąć z ulic niepożądanych mieszkańców. Nie była to pierwsza próba w tym kierunku. Za panowania Achmeda I, gdy wybuchnęła w Stambule gwałtowna zaraza, na psy zrzucono odpowiedzialność jej rozwlekania. Ale wielki mufti, którego zapytano o zdanie, oświadczył, że psy mają duszę i że byłoby grzechem je wygładzić. To uratowało im życie. Kiedyś później usiłowano pozbyć się ich, skazując je na banicję na pobliskiej wyspie. Ale wierne stworzenia przepłynęły zatokę i powróciły na ulice stolicy. Jeszcze później złożono z nich hekatombę... rękawicznikom. Gdy ludność dowiedziała się o tem, wybuchnęło powszechne oburzenie; rękawicznicy woleli wobec tego zadowolić aię innemi skórkami.

Dopiero obecnie rząd młodoturecki postanowił uporządkować kwestję psią. Najpierw umieszczono około 2500 zwierząt w Topkapu, między morzem Marmara i Złotym Rogiem. Na niewielkiej przestrzeni umieszczono je w ciasnych klatkach, żywiąc skąpo i zaniedbując. Rychło jednak odezwały się protesty okolicznych mieszkańców, tem więcej, że psy wyły w przerażający sposób, a wyziewy zatruwały powietrze. Pod naciskiem opinji rząd wyznaczył psom na miejsce pobytu pustą, skalistą wyspę Oxias. Przewożono je tam tłumnie wielkiemi „mahonami" (czółnami), wypędzając na straszny żar; na całej wyspie bowiem niema prawie jednego drzewa. Za każdym razem, gdy łodzie podpływały ku wybrzeżom, psy rzucały się w morze i spieszyły naprzeciw; uderzane wiosłami, tonęły lub odnosiły rany. Ponieważ ludność Konstantynopola odwiedzała czasem dawnych przyjaciół, niedola ich doszła niebawem do powszechnej wiadomości. I znowu rozpoczęły się protesty, prasa wystąpiła przeciw rządowi. Daremnie prefekt stolicy ogłaszał urzędowe zaprzeczenia, jakoby psy cierpiały głód; opinja publiczna nie chce się uspokoić. — W ostatnim czasie rząd chwycił się jeszcze energiczniejszego środka: zaczął psom podawać truciznę. Dzieje się to potajemnie, lecz liczba psów zmniejsza się szybko. I niedługo zapewne zabraknie ich już całkiem na ulicach Konstantynopola.

* * *

Nowy Jork należy do największych miast na świecie, liczy bowiem 4766883 mieszkańców.

* * *

Profesor Mantegazza. We Włoszech pod Spezzią w wili San Terenzo umarł znany w kołach naukowych, jak również w szerokich kołach czytelników na całym świecie, fizjolog i antropolog profesor, senator Paolo Mantegazza.

Urodzony w Monzy w 1831 r., Mantegazza kształcił się w Pawji, gdzie w 1854 r. skończył wydział medyczny ze stopniem doktora i poświęcił się studjom fizjologji i antropologji. W 1858 r. został powołany na katedrę patologji ogólnej na uniwersytecie w Pawji, gdzie założył pierwsze laboratorjum patologji doświadczalnej.

Wybitne jego prace, dotyczące różnych gałęzi medycyny, zwróciły na niego uwagę świata naukowego i w 1890 roku Mantegazza otrzymał katedrę antropologji we Florencji, a w 1876 roku dożywotną godność senatora Włoch.

Oprócz prac ściśle naukowych, Mantegazza napisał wiele dzieł popularnych, które wyrobiły mu rozgłos wśród szerokich mas czytelników. Tego rodzaju jego dzieła, jak „Psychologja miłości", „Fizjologja miłości", „Psychologja rozkoszy" odznaczające się barwnością stylu, śmiałością poglądów, może tylko nieco „za gadatliwe", zostały przetłomaczone na wszystkie prawie języki europejskie.

* * *

Edison o samolotach. Wielki inżynier i wynalazca amerykański zajmuje się żywo bardzo żeglugą napowietrzną i przepowiada jej wspaniałą po prostu przyszłość, która zaćmi wszelkie dotychczasowe wynalazki. „Za dziesięć lat — mówi — istnieć będzie w Ameryce poczta napowietrzna. Poruszać się ona będzie na maszynie z szybkością 150 kilometrów na godzinę. Maszyny będą małe tak, by wystarczyły na jedną osobę. Za to poruszane będą silnemi motorami, a czasem tylko falami elektrycznemi, przesłanemi z baterji umieszczonych na ziemi".

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt IX na wrzesień i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f). Z powodu jubileuszu cesarskiego. — 2. St. Os...arz: Ukraiństwo, moskalofilstwo a sprawa rosyjska w Galicji. — 3. Dr. R. Beres: Monografja o Galicji. — 4. Wł. Zieleński: Młodzież galicyjskich szkół średnich. — 5. Junius: Współcześni politycy polscy. XXI. Ludomił German. — 6. Przegląd: I. W sześć tygodni po obchodzie grunwaldzkim. II. Klerykalizm w szkolnictwie galicyjskiem. a) Kaz. Bujwidowa: „Musisz kłamać, moje dziecię". b) (x): Sprawa prof. Janika. III. K. B.: Ruch kobiecy. — 7. Sprawozdania.

Część druga: 1. W. Sieroszewski: Dary wiatru północnego. — 2. Wł. Piński: Rembrandt. — 3. Anna Sokołowska: Sen nocy lipcowej (wiersz). — 4. R. Ordyński: Szkice teatralne. I. Hamlet. — 5. Kaz. Błeszyński: Bracia Korab-Brzozowscy. Charakterystyka. — 6. Jan Topas: List francuski. (Od symbolizmu do „Jammizmu"). — 7. Przegląd: I. Z prasy. II. Bol. Walewski: Opera lwowska w Krakowie. III. Jan Kleczyński: Polemiki z powodu ostatniego konkursu dramatycznego. — 8. Sprawozdania. Dzieła historyczno-literackie. — Dodatek artystyczny: Rembrandt: Autoportret. — Anatomja dr. Tulpa.

Prenumerata wynosi kwartalnie 5 mk.

Adres Redakcji i Administracji; Kraków, ulica Stachowskiego L. 14.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 38. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 września 1910.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI.

POŁÓW DUSZ.

FRASZKA.

Atala z książąt Fiksackich Upadalska, wdowa po hrab Erneście, któremu koń wyścigowy kopytem rozłupał czaszkę, posiadała spory majątek, djabelnie rozbite nerwy i przeszłość zagarszaną, że aż fe.

Jakże smutnym jest byt bogatej i bezdzietnej wdowy arystokratycznego rodu, do której śmierć jeszcze się nie kwapi, a życie dawno już kwapić się przestało. Cóż takiej biednej pozostaje wówczas?... Bóg! Przestawszy chodzić na schadzki, zaczyna słę uczęszczać do kościoła. Lecz kościół taki jest lodowaty w tym wieku. O nic doczesnego prosić w nim już nie można, a wieczność zakryta zasłoną tak złowrogą. Więc serce ogarnia trwoga, rozpaczliwa żądza ratunku, pociechy, przewodnika!... Na szczęście są, którzy pociechom takim i przewodnictwu życie całe poświęcili. Na szczęście dla zbłąkanych.

Hrabina Atala poczęła zwiedzać kościoły, modlić się, spowiadać, wzdychać, przestała ścigać tak pięknemi niedawno oczyma młodych i tęgich mężczyzn, ubranych po świecku, jeżeli nie po wojskowemu, a zwróciła je błagalnie ku starszym, ascetycznym postaciom w szatach duchownych.

Ksiądz prałat Połeć nie był postacią ascetyczną. Przeciwnie, brzucha miał tyle, że się aż, idąc, zasapywał, a policzki zdawały mu się wylewać poza brzegi obojczyka, niby dobrze wyrosłe ciasto z formy na babkę — ale słynął z talentów pocieszyciela bogatych Magdalen. Miał na tem polu niejednę dobrą krychę tam, w górze, gdzie się jałmużnę małego i dużego kalibru zaleca, jako „akty miłości chrześcjańskiej, zacieśniające węzły braterstwa między bliźnimi“. To też zaledwie hr. Atala znalazła się na prałatowym warsztacie, od pierwszego zaraz, kojącego: „Tylko skruchy i i dobrych uczynków!...“ — począł ksiądz Połeć tak skutecznie rozpraszać obawy nawróconej lafiryndy o to, co ją za grzechy czekać może z drugiej strony marmurowego grobowca Upadalskich, że wrócił jej niebawem humor, sen i apetyt.

Swoją drogą roztrzęsiony temperament eksgrzesznicy wynajdywał sobie coraz to nowe skrupuły. Zadowolonej zrazu z ryczałtowego wykadzenia swej duszy, zachciało się potem, aby pocieszyciel do każdego z jej zakamarków zaglądał z osobna i wszystkie wymiatał, przewietrzał, dezynfekował radykalnie. Poczęła mu się, po łyżeczce, przyznawać do wszystkich kolejno dotknięć, upadków i szałów swego spracowanego worka sercowego; najpierw z dumą do pewnego księcia, zwłaszcza, że to był książę krwi, potem bez fałszywego wstydu do hrabiów i baronów, z lekkiem zakłopotaniem do zwykłej szlachty, a bardzo cichutko do parwenjuszów, chociaż bogatych. Raz jednak wykrztusiwszy romans z jednym z swych ekonomów, nie kryła już potem, ilu lokai i furmanów spożywało z jej ślicznej rączki rajskie jabłka, ba między nimi nawet pewien urodziwy żandarm.

Prałat karcił, ale przebaczał. Po każdej dawce otuchy robiło się hrabinie lżej, jak obżartuchowi po zażyciu wody leczniczej, ale wyrzuty i wątpliwości sumienia wracały. Jednak ks. Połeć był wytrwałym i cierpliwym. Nie myślał ustąpić przed końcem. A hrabina obrobioną już została gruntownie do ufundowania zakładu dobroczynnego dla kalek, w którym kilku księży, kilkanaście zakonnic, a nawet jakichś dwu albo trzech ślepców i kulasów odpowiednie swym rangom porcje dóbr doczesnych znaleźćby mogło.

Więc po wyczerpaniu innych środków uśmierzających na bóle sumienia, zalecił hrabinie nawracanie także cudzych duszyczek dla wykupienia własnej. Baba poczęła urządzać formalne nagonki na zbłąkane sieroty, wykolejone lub upadłe kobiety i t. p. zwierzynę, którą kolekcjonowała, jak indjanin skalpy, obdarzając ją skromnemi zapomogami, resztkami z obiadów, starą garderobą i wielką obfitością pięknie wygłaszanych nauk moralnych.

Jedną z ostatnich zdobyczy herbowej rybaczki dusz była Ruchla, córka kaczmarza w majątku Upadalskich: Stęchłe Gniazdo.

Pełna, rumiana, o małych, bujnych, jak krew czerwonych ustach, piersi wybuchającej z siłą dwoma drobnemi półkulami z marmuru w cieniu jędrnego podbródka, dosyć zaniedbana w stroju, ale zawsze wesoła i uśmiechnięta, Ruchla była śliczna, jak kwiat w złoto-rudej wełnie swych grubych, nieporządnie splecionych warkoczy, w których kędzierzawiły się gęste kasztanowate pasma wszystkich odcieni, zacząwszy od brunatnych, jak dobrze upalona kawa, aż do czerwono-złocistych, jak nowy dukat.

Żydóweczce nudziło się trochę w smrodzie i brudzie szynku, wabił ją świat szeroki. Ludzie przed szynkwasem znosili z tego świata ciekawe echa, między nimi pewien dziarski „firer“, którego oczy, wąsy, zęby i guziki błyszczały w sposób zabójczy dla serce 17-letniej głuptaski, bijącego mocniej na widok mężczyzn i świadomego oddawna, że jedyną zmianą losu, jaka czeka córkę biednego karczmarza, jest wyjść za mąż za takiego samego, jak ojciec, brudnego, pejsatego żydka i rodzić mu bachory w wiejskiej karczmie. Zaczęła z „firerem“ szeptać... myśleć o nim... oczekiwać go...

Jednakże wojak był wyrachowany, miał uczciwe zamiary. Zasłyszawszy o słabostce hrabiny, ułożył sobie ożenić się z Ruchlą, w nadziei, że dama wyposaży wychrzciankę.

Dziewczyna znikła z domu. Żydy zrobiły gwałt, ale poza bramą pałacu nie przyszło im na myśl, czy też zabrakło odwagi jej szukać. I Ruchla, otoczona wygodami, pieczą, należną łupowi tak łakomemu dla tak obciążonej, jak hr. Atala kandydatki do nieba, myślała, że się przed nią otwarły drzwi raju, poczęła sercem i myślami lgnąć do czekających ją zmian.

Wtem... czy to wskutek innego trybu życia, silnych wzruszeń, czy dreszczów miłości, potęgującej się, a niezaspakajanej — uległa jakimś zaburzeniom dziewiczego organizmu — i spuchła, dosłownie: spuchła.

Na dworze hrabiny gwałt... Nie badano ajawiska, lecz

potępioną je natychmiast i bez miłosierdzia; pozbawiono pupilkę łask, ujęto wygód, odwrócono się do niej plecyma, wkońcu otrzymała zasiłek na drogę, pod warunkiem, by się w nią udała natychmiast.

Osłupiała zabrała się, pytając jedynie:

— Dlaczego?!...

— Panna już wiesz.

Nie wiedziała! Była czystą!

„Firer" pod bramą czekał, ale i on nie wiedział. Za to nie omieszkał postarać się jak najprędzej, by pozór stał się faktem. Zaledwie Ruchli wyczerpały się pieniądze hrabiny, jemu wyczerpała się miłość, bo małżeństwo z żydóweczką gołą, jak święty turecki, straciło teraz wszelki blask. Gnrący wielbiciel znikł — a Ruchla znalazła się tam, gdzie wszystkie w jej położeniu: w rynsztoku...

Z obojętnością prostaczki, prawie dziecko jeszcze, poddała się losowi odruchowo, pod obuchem rzeczywistości, przywyka do fachu — i... uczy się go.

Ale czasem, w „zły dzień", który powiększa długi i naraża na swary z przedsiębiorczynią, ogarnia Ruchlę, co dzień podobniejszą do uwiędłego kwiatu, zaduma. Leci myślą do karczmy ojca, gdzie niema już dla niej wstępu, do plugawego szynkwasu i, płacząc z cicha, myśli: czy nie lepiejby było nalewać tam dalej pijanym chłopom niepełne kieliszki, wyjść za takiego samego, jak ojciec, brudnego, pejsatego żydka i rodzić mu bachory w brudnej, wiejskiej karczmie...

AUGUST BEBEL.

Ustrój socjalistyczny.

(Ciąg dalszy.)

Hertzka bierze także w rachubę zbytkowne potrzeby majętniejszych i dochodzi do wniosku, że zadośćuczynienie im dla 22 miljonów ludzi wymaga jeszcze 315 tys. robotników. W ogólności, z uwzględnieniem niektórych przemysłów, niedość uprawianych w Austrji, trzebaby było, według Hertzki, okrągłego miljona, czyli 20% męskiej ludności, zdolnej do pracy, z wyjątkiem osób poniżej 16 a powyżej 50 lat, na pokrycie wszystkich potrzeb ludności przy pracy 60-dniowej. Jeżeli zaś weźmiemy tu pod uwagę całą ludność męską, zdolną do pracy, to zobaczymy, że musiałaby ona pracowoć dziennie przeciętnie $2^1/_2$ godziny.

Obliczenie to nie zdziwi nikogo, kto umie patrzeć na stosunki. Przypuśćmy, że z wyjątkiem chorych i kalek, także i wszyscy mężczyźni powyżej 50 lat mogą pracować przez tak krótki przeciąg czasu; że dalej, mogłaby być czynną młodzież poniżej lat 16, oraz kobiety, o ile nie muszą się zająć wychowaniem dzieci, przygotowaniem strawy i t. d., — to ten przeciąg czasu możnaby jeszcze bardziej zmniejszyć, albo też zwiększyć znacznie potrzeby. Ale nikt nie zechce twierdzić, że nie zostaną zaprowadzone jeszcze bardziej znaczne postępy w udoskonaleniu procesu pracy, postępy, których nie można spuszczać z oka, a które przyniosą nowe korzyści. Z drugiej strony, szłoby o zaspokojenie mnóstwa potrzeb dla wszystkich, które dzisiaj tylko mniejszość może zaspokoić, a przy wyższym rozwoju kulturalnym powstają coraz to nowe potrzeby, które również należy zaspakajać. Musimy ciągle powtarzać: nowe społeczeństwo nie żyje po proletarjacku, żyje ono tak, jak wysoko rozwinięty naród kulturalny żyć chce, i to we wszystkich swoich przedstawicielach, od pierwszego do ostatniego. Nietylko jednak może ono wygodnie zaspokoić wszystkie swoje potrzeby materjalne, ale nadto jeszcze wszyscy uczestnicy jego mogliby rozporządzać bardzo dostatecznym czasem na kształcenie się w sztukach i naukach wszelkiego rodzaju, oraz na wypoczynek.

Również i w innych, bardzo istotnych punktach zbiorowe gospodarstwo socjalistyczne będzie się różniło od burżuazyjnego gospodarstwa indywidualnego. Znika bowiem zasada „taniości i miernoty", która jest i musi być decydującą dla wielkiej części produkcji burżuazji, bo większa część kupujących może kupować tylko tanie towary, ulegające szybkiej rozprzedaży. Będzie się wytwarzało tylko to, co jest najlepsze, najwytrzymalsze, a więc jaknajrzadziej wymaga zmiany. Ustają również głupstwa i szaleństwa mody, popierane przez marnotrawstwo i brak smaku. Każdy będzie się z pewnością odpowiedniej i piękniej ubierał niż dzisiaj — mówiąc nawiasem, mody ostatnich stu lat, szczególnie mody świata męskiego, odznaczają się jaknajwiększym brakiem smaku — ale nie będzie się wprowadzało co kilka miesięcy nowej mody, tego głupstwa, które w ścisłym jest związku z walką konkurencyjną między sobą, z żądzą chełpienia się i próżnością społeczeństwa i z potrzebą wystawiania na pokaz swego majątku. Przytem mnóstwo interesów i osób żyje z tych głupstw mody, a więc we własnym interesie są one zmuszone do popierania ich. Z głupstwami mody w ubiorach łączy się głupstwo mody w stylu mieszkań. Przesada wydaje tu bardzo bujne owoce. Style, które dla rozwoju swego wymagały całych wieków i które powstały z najrozmaitszych narodów — a ludzie nie zadawalają się już stylami europejskimi, sięgają po japońskie, indyjskie i chińskie — style te zużywają się i schodzą ze sceny co kilka lat dziesiątków. Nasi biedni przemysłowcy artystyczni nie wiedzą już dokąd się mają zwrócić po wzory i modele. Zaledwie przystosowali się do jednego „stylu" i żyją już w błogiej nadziei, że odbiją sobie wyłożone koszta, a tu nazajutrz powstał nowy „styl", który wymaga znowu ofiar w czasie, pieniądzach, siłach umysłowych i fizycznych. Nerwowość wieku odzwierciadla się najdobitniej w tych gorączkowych skokach od jednej mody do drugiej, od jednego stylu do drugiego. Nikt zapewne nie zechce twierdzić, że w tej szalonej gorączce jest rozsądek i że jest ona oznaką zdrowia społeczeństwa.

Socjalizm dopiero wzniesie znowu znacznie większą stałość w tryb życia społeczeństwa; umożliwi spokój i używanie, oswobodzi ludzkość od panującego obecnie rozdraźnienia i gorączki. Zniknie wtedy nerwowość, ta plaga naszego wieku.

Ale praca będzie także uprzyjemniona. Gustownie i praktycznie będą urządzone miejsca produkcji; wszędzie jak największa ochrona od każdego niebezpieczeństwa, usunięcie nieprzyjemnych woni, wyziewów, dymu itd., słowem, wszystkich wpływów uciążliwych i dla zdrowia szkodliwych. Z początku nowe społeczeństwo produkuje środkami pomocniczymi i roboczymi, przejtymi od starego; ale te nie zupełnie są wystarczające. Liczne, rozdrobnione, pod każdym względem bardzo nieodpowiednie lokale robocze, niedoskonałe narzędzia i maszyny, które przeszły przez wszystkie stopnie zużycia, nie odpowiadają ani liczbie zatrudnionych, ani tez wymogom wygody i przyjemności. Utworzenie mnóstwa wielkich, jasnych, przewiewnych, najdoskonalej urządzonych i przyozdobionych lokalów roboczych, jest więc potrzebą najbardziej naglącą. Sztuka, technika, biegłość umysłowa i ręczna natychmiast znajdują obszerne pole działania. We wszystkich dziedzinach budowy maszyn, fabrykacji narzędzi, budownictwa i wszystkich gałęzi pracy, poświęconych wewnętrznemu urządzeniu mieszkań, jest bardzo bogate pole działania. Ile tylko zmysł wynalazcy zdoła utworzyć wygodnych i przyjemnych budowli, odpowiednich wentylacji, oświetlenia i opału, urządzeń maszynowych i technicznych i zakładów oczyszczających — to wszystko znajdzie obszerne zastosowanie. Zaoszczędzenie sił materjalnych, opału, oświetlenia, czasu, jakoteż zwiększenie przyjemności w pracy i życiu dla wszystkich, nakazują najodpowiedniejsze ześrodkowanie miejsc roboczych w pewnych oznaczonych punktach. Mieszkania nie mają styczności z lokalami roboczymi i wolne są od nieprzyjemności połączonych z pracą przemysłową lub rękodzielniczą. A nieprzyjemności te ograniczy się znowu do najdrobniejszych rozmiarów przez odpowiednie urządzenia i środki zaradcze, aż wreszcie usunie się je zupełnie. Obecny stan techniki ma już dość środków na to, aby zapobiec wypadkom w najbardziej niebezpiecznych zawodach, jak górnictwo, przemysł chemiczny i t. d. Ale tych środków nie stosuje się w świecie burżuazyjnym, bo powodują one wielkie koszta, a zresztą nikt nie

ma obowiązku robić dla ochrony robotników więcej niż koniecznie potrzeba. Nieprzyjemności, związane z pracą w górnictwie, możnaby usunąć np. przez inny sposób pogłębiania kopalni, przez rozległą wentylację, elektryczne oświetlenie, istotne skrócenie czasu roboczego i częste zmiany sił roboczych. A wynalezienie środków ochronnych, które uniemożliwiają prawie wypadki, np. przy budowach i nadzwyczaj pracę tę uprzyjemniają, nie wymaga znowu szczególnej jakiejś bystrości. Wystarczające środki ochronnne od słońca i deszczu dają się nawet przy największych budowach przedsięwziąć w bardzo dostatecznej mierze. A także częstsza zmiana sił roboczych i ześrodkowanie pewnych robót na pewne oznaczone pory roku lub dnia, dałyby się z łatwością przeprowadzić w społeczeństwie, które jak np. społeczeństwo socjalistyczne, rozporządza dostateczną ilością sił roboczych.

Kwestja usunięcia kurzu, dymu, nieprzyjemnych woni, już dziś może być zupełnie rozwiązana przez technikę, ale nikt o tem nie myśli, a jeżeli kto myśli, to tylko w części, bo przedsiębiorcy prywatni nie chcą ofiarować koniecznych do tego środków. A zatem miejsca produkcji w przyszłości będą stę różniły w najdodatniejszy sposób od obecnych, gdziekolwiek się znajdować będą, nad czy pod ziemią. Wiele urządzeń użytecznych jest dla dzisiejszego gospodarstwa prywatnego przedewszystkiem kwestją wydatku; zachodzi mianowicie pytanie: czy interes może je przynieść, czy się rentują? Jeżeli się nie rentują, to niechaj robotnik ginie. Kapitał nie przyczynia się do niczego tam, gdzie nie ma zysku. Ludzkość nie ma kursu na giełdzie.

Kwestja zysku w społeczeństwie socjalistycznem znika; dla niego niema innego względu nad dobro członków. Co im pożytek przynosi i chroni ich, musi być wprowadzone, co zaś przynosi szkodę, bez tego należy się obejść. Nikt nie jest zmuszony brać udziału w niebezpiecznej grze. Jeżeli się wprawi w ruch przedsiębiorstwo połączone z niebezpieczeństwami, znajdzie się mnóstwo ochotników, tem bardziej, że nie może chodzić o przedsiębiorstwa niszczące, lecz o popierające kulturę.

A zatem najrozleglejsze zastosowanie sił motorowych i najdoskonalszych maszyn i narzędzi, najdalej posunięty podział pracy i najzręczniejsza kombinacja sił roboczych posuną produkcję na wysokość taką, że dla zaspokojenia koniecznych potrzeb życia będzie można znacznie zredukować czas roboczy. W społeczeństwie socjalistycznem zwiększona produkcja jest z korzyścią dla wszystkich; udział jednostki w wytworze zwiększa się wraz z wydajnością pracy, a większa wydajność umożliwia znowu zmniejszenie społecznie koniecznego czasu roboczego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Głód światła i piękna.

„Robotnicy w godzinach odpoczynku potrafią się tylko upić, robotnicy nie mają potrzeb kulturalnych, nie odczuwają piękna", oto stale i ciągle powtarzające się zdanie w obozie burżuazyjnym.

Nietylko słowa, ale i czyny potwierdzają ten pogląd panów życia i śmierci.

Jeżeli są u nas jakie przybytki sztuki, jeżeli są miejsca, gdzie można przeżywać wrażenie estetyczne, to są one dostępne jedynie dla warstw zamożnych.

Nigdzie chęci udostępnienia tych przybytków dla białych murzynów. I tak nic „nie zrozumieją". — Prawda, że sprytni aferzyści urządzają teatry i zabawy ludowe, ale poziom gry artystów jest niesłychanie niski, a co najgorsza wystawiane rzeczy bezwartościowe, szkodliwe, obliczone jedynie na rozbudzenie nizkich instynktów u widzów.

Wprawdzie potrzeby estetyczne samych sfer burżuazyjnych stoją na bardzo niskim poziomie. W teatrze sfery te szukają „zabawy", a „bawi" je to, co nie wymaga pracy myśli, „nie męczy", co wzbudza syty śmiech lub działa na popędy zmysłowe. Tem nie mniej uważają się one za wyższe kulturalnie od sfer robotniczych.

Przytoczona poniżej odezwa robotników petersburskich do artystów słynnego w Rosji „Teatru artystycznego" może rozwiać ich złudzenia pod tym względem. Swiadczy ona dobitnie, że robotnicy głębiej potrafią oceniać i odczuwać sztukę, niż nasza zadowolona z siebie filisterska publiczka burżuazyjna, że brak wyższych rozrywek duchowych silnie daje się im we znaki, że jedynie ołowiane wieko nędzy tłumi w nich rozwój potrzeb estetycznych, odbierając możność ich zaspakajania.

Oto ta odezwa:

„Oddawna przyzwyczailiśmy się cenić i szanować Waszą pracę na polu rodzimej sztuki, oddawna wiedzieliśmy, że żaden teatr nie wmyśla się tak w pomysły autorów i nie zapatruje się na nie tak poważnie, nie odtwarza tak wiernie samego ducha utworów dramatycznych. Ale wiedzieliśmy o tem od osób trzecich, ze złyszenia, z artykułów o Was w gazetach i pismach. 7 maja w domu Nobla daliście nam możność usłyszeć Was i ocenić bezpośrednio, i swoim artystycznem otworzeniem zapaliliście nasze serca. Gorąco dziękujemy Wam za tę wielką ucztę artystyczną, która tak rzadko przypada nam w udziale. Ale to nie wszystko. To echo jakiem odpowiedzieliście na naszą, robotników petersburskich, prośbę, sam poziom gry, w której wzięło udział tak liczne grono artystów i współpracowników Waszego teatru z lepszemi jego siłami na czele — wszystko wskazuje nam, że drogie są Wam interesy duchowe robotników i świadomość tej Waszej do nas biiskości zostawiła w nas głęboki ślad.

Przyjmijcie pozdrowienie nasze za to święto piękna i myśli, które nam ofiarowaliście — za ten wieczór poświęcony wielkiemu artyście i myślicielowi norweskiemu Henrykowi Ibsenowi...

Robotnicy petersburscy składają Wam swoje gorace podziękowanie!"

Tak brzmi głos robotniczy w chwili szalejącej reakcji polityczno-ekonomicznej, która najoporniejszych przytłacza duchowo i fizycznie. O ile więc donośniej odezwałyby się potrzeby robotników przy innych warunkach.

Parodja walki.

Walka z pijaństwem, jaką sfery rządzące oraz ich przyjaciele polityczni w Rosji prowadzą, ma bardzo problematyczny charakter. I nic w tem zresztą dziwnego, gdyż celem tej walki jest wedle przysłowia — wykąpać psa a nie zamoczyć mu skóry. Dość przypomnieć, że jednym z motywów, którym operowano wobec szerszej publiczności przy wprowadzaniu monopolu wódczanego — była walka z pijaństwem! Z jakim skutkiem monopol wódczany zwalczał pijaństwo, wszystkim wiadomo. Byłoby też bardzo dziwne, gdyby jedno z najważniejszych źródeł dochodów państwowych, miało być przez te same sfery stale i systematycznie wyczerpane przez energiczną walkę z pijaństwem!

Potemu wyglądała też dotychczas akcja rządowa, skierowana przeciw pijaństwu, jak o tem świadczą następujące liczby: Na utrzymanie kuratorjów trzeźwości rząd wydał:

w r. 1903 — 4 781 000 rubli; w r. 1904 — 4 321 000 rb.;
w r. 1905 — 4 041 000 rubli; w r. 1906 — 3 391 000 rb.;
w r. 1907 — 2 841 000 rubli; w r. 1908 — 2 500 000 rb.;
w r. 1909 — 2 500 000 rubli;

Jeśli porównać ten śmiesznie mały — wobec ogromu zła wydatek, który w dodatku ciągle zmniejsza się, ze stale rosnącemi setkami miljonów, które ludność corocznie płaci za wódkę, to krytyka staje się zbyteczną.

Jak sfery rządowe pojmują walkę z pijaństwem — wskazuje najnowszy projekt ustawy o walce z pijaństwem, opracowany przez specjalną komisję Dumy i przerobiony,

po zasięgnięciu opinji zarówno komisji finansowej, jak i komisji reform sądowych.

Komisja opracowująca ten projekt, wychodzi z założenia, że jakkolwiek pomoc społeczeństwa w walce z pijaństwem jest pożądana, jednak wyniki zadawalające osiągnąć można tylko przy stanowczych krokach ze strony rządu. Do rządu więc należy najgłówniejsza akcja w walce z pijaństwem! Stara piosenka!

A jak ma wyglądać ta akcja rządu, widać z następujących środków, które komisja uważa za niezbędne:

1) zwiększenie odpowiedzialności karnej za przestępstwa, dokonane pad wpływem pijaństwa i za pojawienie się w miejscach publicznych w stanie nietrzeźwym;

2) obniżenie mocy wódki do 25 stopni z pozostawieniem dotychczasowej ceny, i równoczesne podwyższenie opłaty akcyzowej od piwa...

To są najważniejsze punkty. Następne 7 punktów przewiduje środki pomniejsze, jak np.: zniesienie zwyczaju dawania „lampki" marynarzom i t. p., zniesienie na etykietach od butelki napisów: „kazionnoje wino" i zastąpienie ich kazaniami anty-alkoholicznemi; wprowadzenie trudniejszego odkorkowywania, by uniemożliwić pijaństwo uliczne; następnie przewiduje się utworzenie rad cerkiewno-parafjalnych i towarzystw wstrzemięźliwości, propagandę antyalkoholiczną w szkołach, cerkwiach i prasie; uprzywilejowanie osób nieużywających napojów wyskokowych, przy obsadzaniu posad rządowych i wreszcie zasilanie z funduszów skarbowych instytucji prywatnych i publicznych prowadzących **walkę z pijaństwem.**

Oto cały program działalności rządu w walce ze złem społecznem, rujnującem zdrowie i dobrobyt dziesiątków miljonów ludności.

Sprowadza się on ostatecznie do wzmocnienia środków represyjnych względem osób będących w stanie nieprzytomnym (czyli groźbą kary chce się odstraszyć ludzi od wódki) i do podniesienia ceny na wódkę.

Skutek może być tylko ten, że zwiększenie wydatków na wódkę sprowadzi zmniejszenie wydatków na środki spożywcze. Czyli że do tych stale działających źródeł pijaństwa — przedewszystkiem nędzy materjalnej przybędzie nadomiar jeszcze większe obniżenie stopy życiowej mas ludowych.

Pewne za to jest jedno: sądy będą miały dużo do roboty, skarb państwa przy takiej „walce" i przy podniesionej cenie wódki strat napewno nie dozna a pijaństwo kwitnąć będzie nadal. Nie dlatego, by jak to twierdzą niektórzy, miało ono leżeć „w naturze" ludu rosyjskiego, ale dlatego, że jako zjawisko mające głębokie korzenie społeczne, może być uleczoną jedynie drogą materjalnego i duchowego podniesienia rosyjskich mas robotniczych i włościańskich, rozszerzenia ich samodzielności społecznej, nie zaś drogą zaostrzania represji i środków policyjnych. Pamiętne są przecież stanowcze uchwały włościańskich gmin rosyjskich w walce z pijaństwem, pamiętamy, jak głębokie zrozumienie swych interesów wykazały one, gdy miały możność swobodnie wypowiadać swe poglądy społeczno-polityczne. Również energiczną i skuteczną walkę z pijaństwem prowadziły związki zawodowe w okresie swego najbujniejszego życia. Prawda, że akcja ta podwójnie była skuteczną: masy w imię swych własnych interesów rzeczywiście walczyły z pijaństwem, faktycznie zmniejszały dochody skarbu i podnosiły świadomość polityczną i społeczną warstw włościańskich i robotniczych.

Rozmaitości

Nowy sposób barwienia jedwabiu. Bardzo doniosłe znaczenie dla fabrykantów i handlarzy jedwabiu mieć będzie wynalazek francuski, który umożliwia odbarwienie jedwabiu i barwienie go na nowo innym kolorem. W wielkich magazynach towarowych znajdują się nieraz znaczne zapasy jedwabiu, których barwa bądź nie zyskała amatorów wśród kupującej publiczności, bądź też wyszła z mody. Dotychczas zapasy te były stracone, a fabrykanci i handlarze narażeni na wielkie szkody.

Nowo wynaleziona metoda pozwala je zużytkować na nowo, materja zostaje poddana długiemu i dość skomplikowanemu procesowi, który jednak nie wpływa na tkaninę, dzięki czemu trwałość i wartość nie ulegają zmianie. Przedsięwzięte dotąd próby dały doskonałe rezultaty, najlepsi znawcy nie zdołali rozpoznać, że jedwab był dwukrotnie barwiony. Wynalazca pracuje obecnie nad wydoskonaleniem metody, a ponieważ rozpoczął dopiero starania o uzyskanie patentów, więc szczegóły metody utrzymuje jeszcze w tajemnicy. Znane pismo niemieckie „Textil Industrie", donosząc w jednym z ostatnich numerów o wynalazku, rokuje mu wielką przyszłość.

* * *

Rząd przeciw pchłom. Najnowszą plagą Paryża, na którą coraz głośniej skarżą się pisma i ludność, jest robactwo. Niektóre dzielnice, jak Montparnasse naprzykład, są poprostu nawiedzone inwazją pcheł. Zagnieździły się zaś one nietylko w domach prywatnych, lecz również w muzeach i galerjach, trapiąc zarówno stałych mieszkańców, jak przejezdnych. Plaga stała się tak nieznośna, że uczeni zajęli się zbadaniem jej przyczyn i obmyśleniem środków tępienia a przerażeni paryżanie głośno wzywają pomocy rządu.

* * *

Kto wynalazł piwo? Jedna z gazet włoskich, opierając się na historycznych danych, odpowiada w ten sposób na powyższe pytanie: Najprawdopodobniej pierwsi zaczęli przyrządzać piwo — egipcjanie na 30 wieków przed narodzeniem Chrystusa. Wtedy piwo nosiło miano napoju peluzyjskiego — od miasta Peluzji — stolicy piwnej. Herodot przypisuje wynalezienie piwa bożkowi Ozyrysowi. Podług innych źródeł pierwszą piwowarką była boginia pogańska Cerera, stąd pochodzi też łacińska nazwa piwa „cerevisia". Z Egiptu piwo przeszło do Grecji, a stąd do Włoch, Francji, Hiszpanji i Niemiec. Z Niemiec, podług legiendy, mieszkańcy nie puścili dalej piwa i zatrzymali wszystko u siebie. Dlatego dzisiaj Niemcy uchodzą za pierwszorzędnych piwoszów.

* * *

Gdzie umiera najwięcej dzieci? Przed 80 laty, gdy w Norwegji prawie każdy dom włościański miał swą własną małą gorzelnię i pijaństwo było najbardziej rozgałęzione, na 1000 noworodków umierało 300 w pierwszym roku życia. Rozpoczął się wówczas w Norwegji silny ruch wstrzemięźliwości, a lud uświadomiony przeprowadził prawa, znoszące gorzelnie domowe i ograniczające sprzedaż trunków. Następstwem tego było, że śmiertelność niemowląt zmniejsza się ogromnie i wynosi dziś zaledwie 80—90 na tysiąc. Dziś wzrasta tam nowe, silne i zdrowe pokolenie. W Bawarji zaś, w klasycznym kraju piwa, panują dziś te same stosunki, co ongi w Norwegji, i na 1000 niemowląt umiera około 300 w pierwszym roku życia. Na 237 000 noworodków rocznie przychodzi na świat około 6500 nieżywych; z pośród 230 000 dzieci, urodzonych żywo, umiera już w pierwszym roku życia 69 000. Oczywiście, że przyczyną tej wysokiej śmiertelności jest ów „napój ludowy" — piwo.

* * *

Stary grzesznik. Izba karna w Straubing, w Bawarji, skazała 63-letniego żonatego rektora Raitha za uczynki niemoralne, popełnione z uczennicami, na 5 lat więzienia. Rozprawy sądowe toczyły się przy zamkniętych drzwiach.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 39. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 września 1910.

AUGUST BEBEL

Ustrój socjalistyczny.

(Ciąg dalszy.)

W pośród sił, które mają być zastosowane, elektryczność najprawdopodobniej zajmie w przyszłości miejsce pierwszorzędne. Społeczeństwo burżuazyjne już stara się wyzyskać ją wszędzie. Im rozleglejsze i im doskonalsze będzie jej zastosowanie, tem lepiej. Przewrotowe działanie tej najpotężniejszej ze wszystkich sił przyrody rozprzęgnie tem prędzej spójnie świata burżuazyjnego i otworzy bramy socjalizmowi. Ale najpełniejsze i najobszerniejsze zastosowanie będzie miała elektryczność dopiero w społeczeństwie socjalistycznem. Jeżeli tylko w części ziści się to przewidywanie, które już niedalekiem jest od urzeczywistnienia, a o tem nie można wątpić, elektryczność, jako siła ruchu i jako źródło ciepła i światła, przyczyni się w znacznej mierze do polepszenia warunków bytu. Elektryczność od każdej innej siły ruchu różni się przedewszystkiem tem, że znajduje się obficie w przyrodzie. Nasze rzeki i strumienie, przypływ i odpływ morza, wiatr, światło słoneczne dostarczają niezliczonych sił. Przez wynalezienie akumulatorów, (zbiorników siły) dało się dowód, że można związać wielkie mnóstwo sił, przenieść je na dowolne miejsce i zachować na dowolny czas, a siły te można użyskać tylko perjodycznie, jak np. przez wyzyskanie przypływu i odpływu morza, wiatru, strumieni górskich. „Niesłychane bogactwo energji, sięgające ponad miarę potrzeb, przedstawiają te części powierzchni kuli ziemskiej, na które spływa żar słoneczny — zwykle tam niewyzyskiwany i nawet niepożądany — a spływa tak regularnie, że możnaby go doskonale wyzyskać do celów technicznych. I nie byłaby to może wcale przesadna przezorność, gdyby naród jaki już dziś zapewnił sobie choćby częściowe posiadanie takich miejscowości. Nie potrzeba wielkich przestrzeni: kilka mil kwadratowych w Afryce północnej wystarczyłoby najzupełniej dla takiego kraju jak Niemcy. Przez koncentrację światła słonecznego otrzymuje się wysoką temperaturę, a dzięki niej światło i ciepło, przenośną pracę mechaniczną lub też — przez elektrolizę bezpośrednio materjał palny.“ Człowiek, który takie otwiera widoki, nie jest bynajmniej marzycielem; jest to profesor uniwersytetu berlińskiego i prezes fizyczno-technicznych zakładów państwowych, człowiek, który zajmuje jedno z pierwszych stanowisk na polu naukowem. A więc na mocy tych wywodów zniknęłaby zupełnie troska o to, że kiedykolwiek może nam zabraknąć materjałów opałowych.

Na wiosnę r. 1894 miał były francuski minister oświaty Berthelot na bankiecie syndykatu fubrykantów chemikaljów mowę o znaczeniu chemji w przyszłości. Pan Berthelot, skreślił stan chemji około r. 2000, a jakkolwiek opis jego nie jest wolny i od humorystyki, to jednak zawiera tyle słuszności, że cytujemy go w wyjątkach. Pan Berthelot, przedstawiwszy, czego chemja w niewielu lat dziesiątkach dokonała, tak dalej mówi: „Fabrykacja kwasu siarkowego i sody, bielenie i zabarwianie, cukier burakowy, alkaloidy lecznicze, gaz, pozłacanie i posrebrzanie itd. — to wszystko było zrobione, gdy przyszła elektrochemja, która przekształciła z gruntu metalurgję, termochemja i chemja materji wybuchowych, która zaopatruje w nowy zasób energji przemysł górniczy i daje nowy sposób prowadzenia wojny, wreszcie przychodzą cuda chemji organicznej, wytwarzającej farby, wonie przyjemne, środki lecznicze i antyseptyczne itd.“ „Ale to tylko początek; wkrótce będą rozwiązane o wiele ważniejsze zagadnienia. Około r. 2000 nie będzie już ani gospodarstwa rolnego, ani chłopów, bo chemja zniesie uprawę roli. Nie będzie już szybów węglowych, a zatem i strejków górniczych. Używanie materji palnych zastąpią chemiczne i fizykalne procesy. Cła i wojny ustaną; żegluga powietrzna, posługująca się materjami chemicznemi jako środkiem ruchu, wydała wyrok śmierci na te przestarzałe urządzenia. Przemysł polega na wynajdywaniu niewyczerpanych źródeł siły, odnawiających się z jaknajmniejszym nakładem pracy. — Dotychczas wytwarzaliśmy parę przez energję chemiczną spalonego węgla kamiennego; ale węgiel kamienny trudno dobywać, a ilość jego zmniejsza się z dnia na dzień. Trzeba myśleć o użyciu ciepła słonecznego i żaru wnętrza ziemi. Nie bez podstawy żywi się nadzieję, że oba te źródła nieograniczone znajdą zastosowanie. Wywiercić szyb o 3 do 4000 metrów nie przechodzi sił dzisiejszych inżynierów, a tem mniej przyszłych. W ten sposób otwarłoby się źródło wszelkiego ciepła i wszelkiego przemysłu; weźmy do tego wodę, a możemy wprawić w ruch wszelkie możliwe maszyny na ziemi; — to źródło siły doznałoby w ciągu setek lat zaledwie małego ubytku.

„Zapomocą ciepła ziemi dałyby się rozwiązać liczne zagadnienia chemiczne, pomiędzy innemi najwyższe zagadnienie chemji: otrzymanie środków spożywczych na drodze chemicznej. W zasadzie jest to już prawie rozwiązane; synteza tłuszczów i olejów jest dawno już znana, cukier i węglowodany są również już znane. a wkrótce rozpozna się skład pierwiastków azotowych. Kwestja środków spożywczych jest czysto chemiczną, z chwilą, w której się otrzyma odpowiednio tanią siłę, z tą chwilą będzie się wytwarzało środki do życia wszelkiego rodzaju zapomocą węglików z kwasu węglowego, zapomocą wodoru i kwasów z wody, zapomocą azotu z atmosfery. Przemysł weźmie na siebie to, co dotychczas robiły rośliny, i to lepiej od przyrody. Nadejdzie czas, kiedy każdy będzie miał przy sobie pewną ilość chemikaljów, zapomocą których wytworzy sobie białko, tłuszcz i węglowodan i zaspokoi swoje potrzeby, nie troszcząc się przytem o porę roku lub dnia, o deszcz lub posuchę, o mrozy, grad i niszczące owady. Wtedy nastąpi przewrót, o jakim teraz nie można sobie wyrobić pojęcia. Pola uprawne, winnice i pastwiska znikną; człowiek zyska na łagodności i moralności, bo nie będzie żył z mordu i niszczenia istot żyjących. Upadnie wtedy także różnica między urodzajnemi a nieurodzajnemi okolicami, a może pustynie staną się ulubionem miejscem pobytu ludzi, bo tam jest zdrowiej, aniżeli na zaraźliwym, podmokłym gruncie i bagnistych, zgniłych nizinach, na których teraz uprawia się rolę. Wtedy także sztuka i wszystkie piękności życia ludzkiego dojdą do pełnego rozkwitu. Ziemia nie będzie, że tak powiemy, zeszpecona gieometrycznemi figurami, jakie kreśli obecnie uprawa roli, lecz będzie ogrodem, w którym

samopas rość będą trawy i kwiaty, krzaki i lasy, w których ród ludzki żyć będzie w dostatku, jak w złotym wieku. Człowiek zatem nie ulegnie władzy lenistwa i zepsucia. Do szczęścia trzeba pracy, a człowiek będzie pracował tak dużo jak zechce, bo tylko dla siebie pracować będzie, ażeby wznieść swój rozwój umysłowy, moralny i estetyczny na najwyższy szczebel".

Każdy czytelnik może z tego odczytu Bertholeta wybrać i uważać za słuszne to, co mu się podoba; to jednak pewne, że w przyszłości wskutek najrozmaitszych postępów dobroć, mnogość i wszechstronność wytworów wzrośnie w potężnej mierze, a przyjemności życia przyszłych pokoleń polepszą się w sposób, o jakim nam się zaledwie marzyło.

Bajecznie brzmią te postępy, które się osiągnie przez wyzyskanie elektryczności. I tak pan Meems z Baltimore zamierzył zbudować wóz elektryczny, który ma przebiegać 300 klm. na godzinę, a zatem biec w zawody z wiatrem. A pan Meems nie jedyny wpadł na tę myśl. Profesor Elihu Thomson z Lynn (Massachusetts) sądzi również, że możliwe jest zbudowanie elektromotorów, któreby przebywały 160 kilometrów, a przy odpowiedniem wzmocnieniu dróg żelaznych i ulepszeniu sposobu dawania znaków 260 klm. na godzinę. Ten sam uczony sądzi także, a w tym punkcie zgadza się z Wernerem Siemensem, który na berlińskiem zebraniu przyrodników w r. 1887 taki sam wypowiedział pogląd, że drogą elektryczności możliwą jest zamiana płodów ziemnych bezpośrednio na środki spożywcze. Byłby to przewrót, któryby ruszył z posad społeczeństwo burżuazyjne. Kiedy Werner Siemens w r. 1888 sądził, że można będzie kiedyś, jakkolwiek dopiero w odległej przyszłości, złożyć węglowodan, jak np. cukier gronowy, a potem krochmal, tak bardzo do niego zbliżony, przez co byłaby możność „wytworzenia chleba z kamieni", to chemik dr. V. Meyer utrzymuje, że będzie można wytwarzać z włókien drzewnych źródło żywności ludzkiej. A zatem mamy przed sobą coraz to nowe chemiczne i techniczne przewroty. Tymczasem fizjolog E. Eiseler wytworzył sztucznie cukier gronowy i dokonał przez to odkrycia, które Werner Siemens w r. 1888 uważał za możliwe dopiero w „dalekiej przyszłości".

Potrzebą, głęboko w naturze ludzkiej zakorzenioną, jest potrzeba wolności w wyborze i potrzeba odmiany w zajęciu. Jak ciągle spożywana potrawa, choćby była najlepszą, staje się wkońcu wstrętną, tak też rzecz się ma z czynnością, powtarzającą się codziennie z jednostajnością deptaka; przytępia ona i nadwątla siły. Człowiek robi machinalnie to, co musi, ale bez polotu i bez ochoty. W każdym człowieku istnieje szereg zdolności i popędów, które trzeba tylko zbudzić i rozwinąć, aby przy pewnem zatrudnieniu wydały najpiękniejsze owoce. Wtedy dopiero człowiek staje się zupełnym, prawdziwym człowiekiem. Do zaspokojenia tej potrzeby odmiany podaje — jak się potem okaże — najzupełniejszą sposobność społeczeństwo socjalistyczne. Potężny wzrost sił wytwórczych w połączeniu z coraz większem uproszczeniem procesu pracy nietylko umożliwi znaczne ograniczenie czasu roboczego, ale ułatwi jeszcze wyuczenie się najrozmaitszych gałęzi pracy ludzkiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wychowanie współdzielcze w Anglji.

Jest rzeczą wiadomą, że warunki ustroju społecznego urabiają w pewien właściwy sposób psychizm społeczeństwa. To się daje bez trudu zaobserwować i w kooperatywie. Ekonomiczno-społeczny ustrój kooperatyw spożywczych wychowuje kooperatystów-demokratów.

Każdy, ktokolwiek miał sposobność znać anglików, kooperatystów i nie-kooperatystów z tej samej sfery społecznej i z tegoż samego miasta, zauważył prawdopodobnie różnicę, która zachodzi pomiędzy anglikiem wogóle, a anglikiem kooperatystą. Przebywając w Manchesterze w gronach towarzyszy angielskich, doznawałem zawsze wrażenia, że mam do czynienia z ludźmi jakiejś lepszej, wyższej kultury.

Nawet bez udziału świadomej akcji wychowawczej odbywa się w kooperatywie pod wpływem warunków jej ustroju stopniowe doskonalenie się charakterów i kultury psychicznej.

Ale zadaniem człowieka jest, odkrywszy linję rozwoju świadomie z tym rozwojem współdziałać. Zadaniu temu odpowiada właśnie zasada, której się trzymają wszystkie prawdziwe kooperatywy, polegające na przestrzeganiu i popieraniu kulturalno-wychowawczych interesów stowarzyszenia.

„Jeżeli członkowie wasi — mówił profesor Stuart na zjeździe w Gloucester w 1879 r. nie są dostatecznie wykształceni w naukach ekonomicznych, dziejach handlu i przemysłu, a zwłaszcza, jeżeli nie zdają sobie jasno sprawy, jaki jest wasz cel i droga do niego — wówczas ruchowi współdzielczemu grozi rzeczywiste niebezpieczeństwo: wasza znaczna liczba może stać się zawadą, wasze kapitały — niebezpieczeństwem, a wasza intenzywna działalność wytwórcza waszą ruiną, jak to zresztą nieraz bywało. Ruch współdzielczy, to ruch demokratyczny i nie może polegać na zdrowym rozsądku kilku ludzi; jego powodzenie zależy od zdrowego rozsądku całych mas... Przedewszystkiem powinniście zapoznać waszych członków z waszemi zasadami, kształcić w nauce ekonomji, zaznajamiać z dziejami usiłowań podobnych do waszych, a powtóre dać im wiedzę ogólną. Wykkztałcenie dla wszystkich jest potrzebą, dla koperatystów jest ono kwestją życia".

„Dla ludzi nie zastanawiających się — mówił Maxwell na kongresie w 1897 r. — najwyższa „dywidenda" świadczy o najlepszej gospodarce zarządu i administracji, podczas gdy w rzeczywistości najlepszą i najwyższą formę kooperacji otrzymujemy tam, gdzie kształcenie charakteru jest traktowane na równi z wytwarzaniem oszczędności".

Arnold Toynbee, wskazując na coraz nowe instytucje oświatowe, powstające z ramienia państwa i zarządów miejskich, w ten sposób scharakteryzował zadania kooperatystów:

„Jaki dział oświaty pozostał dla kooperatystów? — wychowanie obywatela.

Rozumiem pod tem wychowanie każdego członka społeczeństwa w pojmowaniu obowiązków względem innych obywateli i całego społeczeństwa. Ale dlaczegoż mianowicie kooperatyści bardziej niż ktokolwiek powinni zająć się tym działem wychowania? Oto dlatego, że dla osiągnięcia swych celów bardziej od innych potrzebują takiego właśnie wychowania. Jeżeli przyjrzymy się początkom ruchu współdzielczego, przekonamy się, że ten rodzaj działalności wychowawczej jest w jaknajściślejszej harmonji z jego ideałami".

„Trudnoby było, powiada pan Webb, przeprowadzić ścisłą klasyfikację rozmaitych rodzajów działalności, podejmowanych przez komitety wychowawcze stowarzyszeń, ale poniżej podany podział może dać pewne pojęcie o jej zadaniach. Prace komitetów dotyczą: 1. kooperacji, 2. dział ogólno-kształcący i 3. rozrywek.

W angielskiem „bezpaństwowem" państwie kooperatystycznem, o którem lord Rosebery wyraził się na kongresie w Glasgow w 1890 r., że jest „a State within a State" (państwo w państwie) rolę ministerjum oświaty pełni unja manchesterska.

Z referatu p. Watkins'a, przedłożonego w 1908 r. na kongresie w Newport wyjmuję daty następujące:

W 1888 r. ruch współdzielczy obejmował w Anglji 1474 stowarzyszeń z liczbą członków 692 428 i ogólną sumą sprzedaży 36 735 045 funt. szterlingów. Zyski wynosiły w tamtym roku 3 414 407 funtów szterlindów, a fundusze na wychowanie przeznaczone równały się 25 022 funtów szterlingów,

W 1907 r. liczba stowarzyszeń spożywczych wzrosła do 1582, liczba członków do 2 434 085, suma sprzedaży — 105 717 699 funtów szterlingów, zyski — 12 003 341 funtów szterlingów, a fundusz wychowawczy — 93 435 funt. szterlingów.

Słuchaczy w 1888 r. było tylko 40, a nauczycieli zale

dwie kilku, w 1907 r. liczba uczni wzrosła do 12 808 a wykładających do 300.

Podział słuchaczy na grupy był w roku 1907 następujący:

Historji i zasad kooperacji (principles) słuchało:	
z młodzieży i dzieci	8 602
dorosłych	615
Historji przemysłu	87
Wykładów o „Cintizenship“ (zasady obywatelstwa)	111
Ekonomji politycznej	78
Wykładów buchalterji	2 748
Wykładów dla zarządzających sklepem (menagement)	468
razem	12 888

Cyfry te są ilustracją wymowną.

Kooperatywa angielska w przeciągu 20 lat doszła do swego, że tak powiem uniwersytetu współdzielczego i stworzyła przy stowarzyszeniach setki współdzielczych szkół dla dzieci.

Każdy prawy kooperatysta, każdy uczciwy obywatel zrozumie, że taka działalność zdolna jest pozyskać dla siebie wszystkie lepsze serca — całą miłość światła i postępu, która w ludzkich duszach goreje.

Palenie czarownic w Polsce.

Ze świeżo wydanej książki tow. Bronisławy Bobrowskiej „Jak powstały religje“ wyjmujemy podane fakta palenia czarownic w Polsce w XVII i XVIII wieku.

R. 1625 sąd miasta Kozienic wydaje wyrok na 7 czarownic, które obwinia o wywołanie posuchy. R. 1648 sąd w mieście Turce skazuje na spalenie dwie kobiety za to, że „z djabłem przymierze poczyniły do złych uczynków“.

R. 1674 w Słomnikach ścięto Krystynę Gajową, obwinioną o czary, chociaż dowodów żadnych nie złożono, a zeznania z oskarżonej nie wydobyto, pomimo zadawanych jej tortur. Wystarczyło głosowne twierdzenie „mówili różni ludzie“, jakoteż próba pławienia, podczas której nie tonęła.

Tegoż roku w Słomnikach druga egzekucja. Spalono Dorotę Pilecką, pomimo, że i ją tortury nie zmusiły do zeznań. Oskarżono ją o „kurzenie między bydłem“, o zbieranie ziół wieczorem, o przechowywanie w domu ususzonego nietoperza.

R. 1690 oskarżono „klechę Grzegorza“, że „na Łysej górze grywał na piszczałce drewnianej“. Uwięziony i skrępowany klecha zdołał się uwolnić z więzów, które „nierozwiązane“ z niego opadły. Poczytano to za oczywisty dowód czarów i oskarżony, pojmany powtórnie, został spalony.

R. 1696 ksieni Benedyktynek w Krożach powołała przed sąd jednego mężczynę i dwie kobiety, skarżąc je o czary. Obwinieni na torturach oskarżyli jeszcze kilkanaście osób, jako swych wspólników. Wszystkich pławiono, męczono, a potem spalono.

W r. 1706 „wielmożna imć pani Helena Kucharska“, podczaszyna Dobrzyńska, pozwała przed sąd w Szczekocinie trzy kobiety, obwinione o urządzenie uczty djabelskiej we młynie. Jak z aktów wnosić można, jedna z nich, będąc pijaną, została na noc we młynie. Przyśniło jej się coś, narobiła wrzasku i spadła na dół. Ze snów tych wysnuto całą opowieść o czartowskiej uczcie, a ponieważ pijana baba twierdziła uporczywie, że to „nie we śnie, jeno właśnie na jawie widziała“, a dwie inne kobiety utrzymywały, że widziały „jasność wielką“ koło młyna, więc wzięto wszystkie trzy na tortury. Oczywiście tortury zrobiły swoje; oskarżone przyznały się do wszystkiego, o co je obwiniono. Spalono je żywcem.

Roku 1761 w Gorzuchwie, pod Gnieznem, obwiniono 9 kobiet, że „przywiązawszy się do czarta i onego za pomocnika obrawszy, mając społeczeństwo z nim tak na Łysej górze, jak i po innych miejscach, Najświętszy Sakrament po kościołach kradły, na proszki paliły, po różnych chlewach i miejscach nieuczciwych siekły krew przenajświętszą; drugi raz toczyły różne inkantacje i czary z kobylich łbów, żmijów, węży i wilczej łapy, którą w Zakrzewie z zabitego wilka urżnęły; komunikanty dwa w szkapiej głowie pod schodami we dworze zakopały“. Sąd skazał je na śmierć ogniową.

W r. 1762 również w Wielkopolsce spalono starą kobietę — niejaką Magdę — oskarżoną o czary. Wieśniak pewien oskarżył ją przed panem, że porwała go na Łysą górę — na ucztę. Twierdził, że była ubraną w suknię swej pani, a rozdarłszy ją w tańcu, zeszyła czarną nitką. W sukni znaleziono rzeczywiście dziurę, zaszytą czarną nicią. Dowód ten wystarczył, aby nieszczęśliwą wyprawić na stos. Poddano ją przedtem jeszcze próbie pławienia, przy której nie tonęła, mając więcej od innych odzieży na sobie.

W 1775 r., we wsi Doruchowie odbyła się ostatnia w Polsce egzekucja sądowa. Opiszemy ją nieco szczegółowiej.

Żona dziedzica miała ranę w palcu, która pomimo leczenia goić się nie chciała. Wezwano kobietę, słynącą jako zamawiaczka chorób; ta orzekła, że pani została oczarowaną i wskazała rzekomą sprawczynię, gospodynię zwaną Dobrą, której powodzenia w gospodarstwie zazdrościły inne kobiety we wsi. Uwięziono ją a zarazem jeszcze kilkanaście kobiet, pomiędzy niemi małą dziewczynkę, która przy zabawie z innemi dziećmi puszczała suche liście na wiatr; mówiąc, że to myszy. Tę zabawkę dziecięcą uznano za czary! — Kobiety przedewszystkiem pławiono w stawie; żadna nie tonęła — unosiły je obszerne spódnice. Dziedzic obecny przy tem, wołał z tryumfem: „czarownica! nie tonie!“ Odprowadzono nieszczęśliwe ofiary do więzienia i wsadzono je do beczki z kapustą, opatrzone napisem: Jezus, Marja, Józef, aby djabli nie mieli do nich przystępu. Sąd, z dodatkiem nieodzownych tortur, odbył się w domu podstarościego, w obecności dziedzica, który pełnił urząd wielkiego inkwizytora. Ponieważ podczas tortur trzy kobiety umarły, więc egzekucję przyspieszono. Nieszczęśliwe zginęły na stosie.

Szczegóły, zwłaszcza podane w ostatnim przykładzie, wykazują, jak długo przetrwała i u nas wiara w czary, jak powszechną była nawet wśród „wyższych“ sfer społeczeństwa, roszczących pretensje do pewnego wykształcenia!

Rozmaitości

Miasto korzystające z wolnej jazdy koleją. Zarząd kolei pruskich stara się obecnie o usunięcie szczególnej anomalji. Chodzi w tym wypadku o przywilej miasta Lauenburga, położonego niedaleko linji kolejowej między Berlinem a Hamburgiem. Obywatele tego miasta korzystają na linji Lauenburg-Buchen nietylko z wolnej jazdy koleją, lecz także z bezpłatnych przesyłek frachtowych.

W czasie budowy tej kolei przed około 55 laty Lauenburg był księstwem duńskiem i podlegał królowi Danji. Ponieważ kolej Berlin-Hamburg musiała przechodzić przez terytorjum Lauenburga, wynikła potrzeba postarania się o pozwolenie króla duńskiego. Otrzymano je, lecz pod warunkiem, by linja prowadziła koło Lauenburga. Ten warunek natrafił na trudności techniczne.

Król duński zgodził się wreszcie na przeprowadzenie kolei przez Büchen, lecz zastrzegł dla mieszkańców Lauenburga wybudowanie kolei między Lauenburgiem i Büchenem, oraz prawo bezpłatnego korzystania z tej kolei dla mieszkańców Lauenburga. Linję wybudowano, a przywilej zaakceptował zarząd kolei pruskich. Z biegiem czasu okazała się uciążliwość tego przywileju. Zniewoliło to zarząd kolei do nawiązania rokowań z zarządem miasta celem odkupienia tych praw niezwykłych.

Wysokość sumy, jaką ma otrzymać miasto, będzie

oznaczona na podstawie dat statystycznych z ostatnich lat dwudziestu.

* * *

Gdzie toną pieniądze ludu? Wychodzące w Niemczech czasopismo „Nauticus" oblicza na podstawie źródeł urzędowych, ile wielkie mocarstwa wydają rokrocznie na cele wojskowe. Dla łatwiejszego porównania wyrażono wszystkie pozycje budżetowe w markach.

Na pierwszy plan wysuwają się obecnie wszędzie wydatki na marynarkę wojenną, której pomnażanie i wzmacnianie stało się dziś przedmiotem gwałtownego wprost współzawodnictwa, formalnej licytacji mocarstw.

Otóż na morskie siły zbrojne znajdują się w budżetach mocarstw na rok 1910/11 następujące pozycje: W Anglji 827 mil. mk. (w r. ubiegłym 731 mil. mk.). W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 549 mil. mk. (w r. 1909 575 mil. mk.). W Niemczech 436 mil. mk. (przed rokiem 403 mil. mk.). We Francji 301 mil. mk. (267 mil. marek). W Rosji 198 mil. mk. (196 mil. mk.). W Japonji 160 mil. marek (151 mil. mk.). We Włoszech 149 miljonów mk. (136 mil.).

Razem więc jedynie powyżej wymienionych 7 mocarstw wyda w roku przyszłym na samą tylko flotę wojenną przeszło 3 miljardy mk.

Budżet marynarki austro-węgierskiej na r. 1910—1911 nie jest jeszcze dokładnie oznaczony; przedłożony on będzie najbliższym delegacjom, lecz wraz z wydatkami nadzwyczajnemi na budowę nowych okrętów wynosić będzie zapewne również około 150 mil. mk.

Na armję lądową i marynarkę razem, a więc wogóle na cele wojskowe figurują w budżetach powyżej wymienionych mocarstw na r. 1910/11 następujące liczby:

W Anglji 1395 mil., w Stanach Zjednoczonych 1374 miljonów, w Niemczech 1241 mil., w Rosji 1221 mil., we Francji 988 mil., w Austrji (bez nowo projektowanych wydatków na flotę) 459 mil., we Włoszech 425 mil., w Japonji 338 mil. mk. Zatem ośm głównych mocarstw Europy, Azji i Ameryki wyda w roku przyszłym na cele wojenne olbrzymią sumę $7^1/_2$ miljarda mk.

* * *

Okrucieństwa w więzieniach rosyjskich. W wydziale śledczym w Mińsku litewskim podczas badania zabity został — jak pisze gazeta „Riecz" — niejaki Szmarejczyk, aresztowany w pierwszych dniach maja z podejrzenia o kradzież. Ów Szmarejczyk, badany był przez agientów policji nahajkami gumowymi tak gorliwie — choć nie było żadnych przeciw niemu poszlak — że zmarł tej samej zaraz nocy po badaniu. Sprawę tę próbowano z początku zatuszować, gdy jednak stała się w całym mieście głośna, aresztowano rewirowego i dwuch agientów wydziału śledczego, którzy badali Szmarejczyka. Prokurator obecnie żąda stawienia przed sąd i naczelnika wydziału śledczego Łaptiewa.

* * *

Starożytny lekarz miejski. W miasteczku greckiem Amfissa u stóp góry Parnasu, odkryto przed niedawnym czasem starożytne zapiski, wyjawiające bardzo ciekawe szczegóły o lekarzach i lecznictwie w starożytnej Grecji. Oto w A. był czynnym przez dłuższy czas niejaki Menofantos jako lekarz miejski, a władze miejskie, gdy wyjeżdżał, poświadczyły mu, iż sumiennie i gorliwie spełniał obowiązki, że sam jeden podołał leczyć chorych nawet w wypadkach chorób nagminnych, że o wszystkich chorych bez różnicy stanu troszczył się zarówno. Wynika z tego świadectwa przedewszystkiem, że podówczas istniały już praktyczne instytucje lekarzy miejskich, opłacanych ze środków publicznych — dalej jednak jest ono zajmującym z innego jeszcze powodu. Mianowicie podziśdzień Amfissa liczy znacznie mniej mieszkańców, niż w czasach, z których pochodzi świadectwo, a posiada lekarzy ośmiu i klinikę! Wówczas więc, gdy Menofantos jako jedyny wystarczał, choć był zapewne bardzo dzielnym, stan zdrowia mieszkańców był widocznie znacznie lepszym, aniżeli nowoczesnych potomków!

* * *

Najnowszy wynalazek Edisona. Z Nowego Jorku donoszą: Ogólne zainteresowanie wzbudził tu nowy wynalazek Edisona. Wynalazca nazwał go krótko kinetofon. Jest to połączenie kinematografu z fonografem, przyczem oba aparaty funkcjonują zupełnie równocześnie.

Jeden z dziennikarzy opisuje ten wynalazek w następujący sposób: Na płóciennej ścianie, jaką widzimy zwykle w kinematografie, pojawił się elegancko ubrany młody mężczyzna, grzecznie nas pozdrowił i oświadczył, że nie jest on niemym tylko okazem człowieka, lecz potrafi także mówić i wiernie oddawać różne głosy.

Widzicie n. p. — powiedział — tę gumową piłkę. Rzucę nią o ziemię, a wy będziecie nie tylko widzieć, jak ona pada i odbija się, lecz usłyszycie zarazem uderzenie.

I rzeczywiście cień rzucił piłkę o ziemię, a myśmy słyszeli wyraźnie głuche uderzenie. Następnie rzucił cień talerzem na ziemię; w tej samej chwili usłyszeliśmy przeraźliwy dźwięk. Przedstawiwszy nam jeszcze kilka produkcji, cień oświadczył, że dostarczył nam już chyba dosyć dowodów co do prawdziwości swego twierdzenia i ukłoniwszy się znikł nam z oczu.

Wszystkim obecnym na próbach wydawało się, że mają do czynienia z człowiekiem żywym z krwi i kości, gdyż cień, widoczny na płótnie, tak dokładnie naśladował ruchy człowieka, a równocześnie opowiadał o tem, co będzie robił, że nie można było mieć najmniejszej wątpliwości, iż widzimy przed sobą żywego człowieka.

* * *

Praca oświatowa niemieckiej partji socjalno-demokratycznej. Sprawozdanie wydziału oświatowego partji socjalno-demokratycznej w Niemczech na rok 1909—1910 zaznacza, że we wszystkich kierunkach pracy oświatowej zaznaczył się istotny postęp. Centralny wydział oświatowy łączy dotychczas 124 podobne lokalne wydziały, a prócz tego utrzymuje stałe stosunki z sekretarjatem centralnego wydziału 101 socjalistycznych towarzystw, 70 kartel zawodowych oraz z całym szeregiem innych organizacji, pomiędzy niemi bibljotek i biur zawodowych. Wędrowne kursy popularno-naukowe urządzono w 201 miejscowościach. W roku sprawodawczym odbyło się 419 tego rodzaju kursów naukowych, a udział w nich wzięło 8969 osób (w tem 666 kobiet). W Kilonji, Solingen, Wrocławiu, Wałbrzychu i innych miejscowościach brali uczestnicy kursów naukowych udział w t. zw. wieczorkach dyskusyjnych. Sekretarjat wydziału oświatowego pracował dalej nad katalogiem pism polecenia godnych dla młodzieży. Blizkim ukończenia jest również wykaz dobrych obrazów ściennych dla robotników.

Z literatury i sztuki

Numer 38 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: M. Hantowerówna: Nasza klasa.— St. Buraczewska: Djabelski statek. — W. Pol: Pieśń o ziemi naszej. — Ze świata: Wystawa zabawek. — Łamigłówka gieograficzna. — Szarada. — Rozwiązania.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 40. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 października 1910.

SIEWCY.

(Odezwa do krzewicieli oświaty wśród ludu).

Hej! już niwa zaorana
Wszerz i wzdłuż,
Bierzmy sakwy skoro zrana,
Idźmy siać.

Na tę rolę, na tę czarną
Kędy ślady chwastów znać
Przednie zdrowe plenne ziarno
Bujnych zbóż —
Idźmy siać!...

Hej! niech stanie na zagony
Siewców sznur,
Niech na roli niestrudzonej
Odkąd świat,

Nie radlonej od stuleci
Szerokimi rzuty leci
Ziarno Światła, Prawdy, Rad!
Hej! brać wór!
I iść siać!

A chociaż nam stopy krwawi
Ława grud,
Choć wiatr psotny w oczy rzuci
Ostry kurz.

Nic to, żeśmy wśród bezprawi,
Żeśmy z wielu praw wyzuci.
Hej! nie bać się słot ni burz —
Idźmy siać!
Budzić lud!...

AUGUST BEBEL.

Ustrój socjalistyczny.

(Ciąg dalszy.)

Stary system nauczania dziś już się prawie przeżył; istnieje on jeszcze i możliwy jest tylko w zacofanych, przestarzałych formach produkcji, istniejących w drobnem rękodzielnictwie. A że to zniknie w nowem społeczeństwie, więc znikną także i wszystkie właściwe mu formy i urządzenia, nowe zajmą ich miejsca. Już dzisiaj każda fabryka dowodzi nam, jak mało ma robotników, zadowolonych z zawodu, który sobie obrali. Robotnicy należą do najróżnorodniejszych zawodów; krótki przeciąg czasu wystarcza, aby wprawili się w wykonywanie nowej jakiej czynności odpowiednio do panującego systemu wyzyskiwania: zaprzęga się ich do tej pracy bez odmiany, przez długi czas roboczy i bez względu na ich skłonności, tak, że w końcu przy maszynie sami stają się maszynami. Taki stan rzeczy w zmienionej organizacji społeczeństwa istnieć nie może. Na wprawę w zręczności ręcznej i ćwiczenia artystyczno-przemysłowe jest mnóstwo czasu. Wielkie warsztaty do nauki, technicznie jaknajdoskonalej urządzone i zaopatrzone we wszelkie wygody, ułatwią młodym i starym wyuczenie się wszelkiej czynności. Będą również chemiczne i fizyczne laboratorja, odpowiadające wszelkim wymaganiom, jakie stawiać można, przy dzisiejszym ich stanie, tym naukom, zaopatrzone w niemniej dostateczne siły naukowe. Wtedy dopiero wyjdzie na jaw jaki ogrom popędów i zdolności kapitalistyczny system produkcji przytłumił, albo też pchnął na fałszywe tory.

To jednak, że można tu brać w rachubę potrzebę odmiany, nie jest jedyną korzyścią, bo celem społeczeństwa jest urzeczywistnić ich zaspokojenie, gdyż na tem polega głównie równomierny rozwój człowieka. Typy zawodowe, którymi cieszy się nasze społeczeństwo — czy ten zawód polega na pewnych jednostronnych zajęciach jakiegokolwiekbądź rodzaju, czy na hulance lub próżniactwie, czy też wreszcie na przymusowem zbijaniu bruku — znikną powoli z widowni. Jest dzisiaj nadzwyczaj mało ludzi, którzyby mieli możność urozmaicenia sobie pracy. Częściej znaleźć można takich, którzy, wskutek szczególnie korzystnych stosunków, nie czują tej jednostajności zawodu codziennego, a którzy, spłaciwszy podatek pracy fizycznej, oddają się dla rozrywki pracy umysłowej. Naodwrót, znajdujemy od czasu do czasu ludzi pracujących umysłowo, którzy zajmują się pracą fizyczną, jak np. rękodzielnictwem i t. d. Orzeźwiające skutki takiej czynności, polegającej naprzemian na pracy fizycznej i umysłowej, potwierdzi każdy hygjenista; tylko taka praca jest naturalną, oczywiście, jeżeli jest umiarkowana i odpowiada siłom indywidualnym.

W pracy swojej p. t. „Znaczenie nauki i sztuki“ smaga hrabia Lew Tołstoj nadmiernie wybujały i nienaturalny charakter sztuki i nauki w naszem nienaturalnem społeczeństwie. Potępia on jaknajsurowiej ową niechęć do pracy fizycznej, która przyjęła się w dzisiejszem społeczeństwie, i poleca powrót do stosunków naturalnych. Według niego każdy człowiek, który chce żyć podług natury i mieć w życiu pewną ilość przyjemności, powinien przepędzić dzień: 1) na pracy fizycznej przy uprawie roli, 2) na pracy rękodzielniczej, 3) na pracy umysłowej, wreszcie 4) na obcowaniu towarzyskiem z wykształconymi ludźmi. Ponad 8 godzin człowiek fizycznie pracować nie powinien. Tołstoj, który istotnie przyswoił sobie praktycznie ten tryb życia, i który (jak sam powiada) od owej chwili czuje się dopiero człowiekiem, zapomina tylko o tem, że co jest możliwe dla niego, człowieka bogatego i niezależnego, niekoniecznie możliwe jest

także dla wielkiej masy ludzi, żyjących w obecnych stosunkach. Człowiek, który przez 10, 12 i więcej godzin dziennie musi ciężko fizycznie pracować na to, aby zapewnić sobie nędzne utrzymanie i który został wychowany w ciemnocie, nie może postarać się o tryb życia Tołstoja. Nie mogą także dokazać tego ci, którzy, żyjąc wśród walki o byt, muszą się zastosować do jej wymagań, a mała garstka, któraby tego dokazać mogła, nie czuje w swej znacznej większości takiej potrzeby. Jeżeli Tołstoj sądzi, że można przerobić społeczeństwo przez kazania i przykłady, to podlega mocnemu złudzeniu. Doświadczenia, jakie porobił Tołstoj ze swoim trybem życia, dowodzą jego racjonalności; ale, chcąc ustalić ten tryb życia jako obyczaj społeczny, trzeba innej podstawy społecznej, trzeba nowego społeczeństwa.

Otóż przyszłe społeczeństwo będzie miało tę podstawę, będzie miało uczonych i artystów wszelkiego rodzaju, i to w nieskończonej liczbie; ale każdy z nich będzie przez część dnia pracował fizycznie, a resztę czasu poświęci, według upodobania, studjom, sztukom i życiu towarzyskiemu.

Istniejąca dziś sprzeczność między pracą umysłową a fizyczną, sprzeczność, którą zaostrzają jeszcze klasy panujące w celu zapewnienia sobie także umysłowych środków do panowania, również zostanie zniesioną.

Z tego, co dotychczas powiedziano, wynika dalej, że czasy przesilenia i bezrobocia w naszem społeczeństwie są niemożliwe. Przyczyną przesileń jest okoliczność, że w kapitalizmie produkcja indywidualistyczna wiedziona żądzą zysków bez pewnej miary istotnych potrzeb, wytwarza przepełnienie ryku towarowego, hyperprodukcję. W kapitalistycznym porządku gospodarczym charakter towarowy produktów, które właściciel stara zbyć drogą zamiany, czyni zużycie towarów zależnie od zdolności kupowania posiadanej przez konsumentów. Ale tę zdolność kupna posiada zaledwie w szczupłej mierze ogromna większość ludności, która za swoją pracę otrzymuje płacę niższą od jej wartości, i która dla tej swojej pracy nie znajduje miejsca zbytu, jeżeli ten, który jej ma użyć, nie zdoła z niej wycisnąć jej wartości dodatkowej. Zdolności kupna i konsumcji w społeczeństwie burżuazyjnem — to dwie różne rzeczy.

Miljony ludzi potrzebują nowej odzieży, trzewików, mebli, bielizny, towarów spożywczych i trunków, ale nie mają pieniędzy, i tak potrzeby ich, t. j. ich zdolność konsumcyjna pozostaje niezaspokojoną. Rynek towarowy jest przepełniony, ale masy giną z głodu; chcą pracować, ale nie znajdują nikogo, ktoby zakupił ich pracę, bo właściciel pieniędzy widzi, że nie da się nic przy tem „zarobić". Giń, podły tłumie, szczeźnij, idź na włóczęgę, morduj, kradnij, ja, kapitalista, nie mogę tego zmienić, bo ja nie mogę tworzyć towaru, na który nie mam odbiorców z odpowiednim zyskiem. I człowiek ten, na swój sposób, ma zupełną słuszność.

W nowem społeczeństwie sprzeczność ta jest usunięta. Nowe społeczeństwo nie produkuje towarów na to, aby „kupować" i „sprzedawać", lecz produkuje środki do życia które się zużywa, konsumuje, a które zresztą nie mają żadnego innego celu. W tem społeczeństwie zatem, nie zdolność kupna w jednostkach, jak w społeczeństwie burżuazyjnem, lecz zdolność produkcyjna w całym ogóle może tamować zdolność konsumcyjną. Jeżeli są środki do pracy i siły robocze, to każda potrzeba może być zaspokojoną; społeczną zdolność konsumcyjną tamuje jedynie — sytość konsumentów.

Jeżeli zaś w nowem społeczeństwie niema „towarów", to niema także i „pieniędzy". Pieniądz na pozór jest przeciwieństwem towaru, ale on sam jest towarem! Pieniądz jakkolwiek sam jest towarem, to jednak jest zarazem społeczną formą równoważnika dla innych towarów. Nowe społeczeństwo nie wytwarza jednak żadnych towarów, lecz przedmioty potrzeb, wartości użytkowe, których wytworzenie wymaga pewnej miary społecznego czasu roboczego. Jedynie czasem roboczym, przeciętnie koniecznym do wyrobienia przedmiotu, mierzy się potrzeby społeczeństwa. Dziesięć minut społecznego czasu roboczego, zawartego w jednym przedmiocie, równają się dziesięciu minutom społecznego czasu roboczego w innym — ani mniej, ani więcej. Społeczeństwo nie chce „zarabiać", chce ono tylko uskutecznić między swoimi członkami wymianę przedmiotów o równej wartości użytkowej, lecz i równej jakości, a zresztą nie potrzebuje wcale oznaczać żadnej wartości użytkowej, lecz poprostu produkuje to, czego mu potrzeba. — W chwili, kiedy np. społeczeństwo zauważy, że do wytworzenia potrzebnych przedmiotów konieczny jest trzygodzinny czas roboczy, ustanowi poprostu trzygodzinny czas roboczy. W razie polepszenia się metody produkcyjnej do tego stopnia, że przedmiot da się sporządzić w ciągu dwóch godzin, społeczeństwo ustanowi dwugodzinny czas roboczy. Jednakże zajść może wypadek, że ogół zażąda zaspokojenia większych potrzeb, które nie dadzą się zaspokoić w dwóch lub trzech godzinach, mimo wzrostu liczby sił roboczych i wydajności procesu roboczego; wtedy ustanawia społeczeństwo 4 godziny. Jego wola będzie świętą.

(Dokończenie nastąpi.)

Stróż folwarczny.

(Obrazek prawdziwy).

Zimne, dżdżyste powietrze jesienne panowało w naturze i oddziaływało przykro i chorobliwie swym chłodem.

Ludzie uciekali do swych mieszkań lub kryli się do zabudowań, zwłaszcza, że była późna godzina wieczorna.

Na folwarku Łagoda, stróż, znany Łuka, brodząc w błotnistej kałuży, obchodził dokoła szeroko zabudowane podwórze — bacząc pilnie, ażeby złodzieje nocni nie wkradli się czasami i nie zrabowali kruszyn pańskiego dobytku.

Folwark to był bogaty — własność możnego polskiego pana, który, ratując swe zdrowie od jesiennej słoty i nudy, bawił za granicą, w krajach ciepłych. Majątkiem jego zarządzali administrator i rządca — a ludek roboczy w długich, nieskończonych godzinach znojnie wypracowywał ów grosz, który pan hojnie rozrzucał po świecie, kupując sobie zań przyjemności życia.

Stróż Łuka, obszedłszy starannie podwórze, owinął się mocniej długim, białym kożuchem, i stanąwszy pod dachem wozowni, liczył gwiazdy iskrzące na niebie, podług których formował sobie zazwyczaj zegar nocny. Po niejakimś czasie zapomniał o gwiazdach a stał dalej zapatrzony i zadumany - rozbierając w myśli ten dziwny skład świata, w którym niezrozumiałem dla niego urządzeniem losu, zajął miejsce takiego stróża i musi teraz stać w nocy na zimnie i słocie, w mokrem, zabłoconem obuwiu i pilnować majątku takiego pana, co lata kędyś po dalekich krajach dla swojej zabawy, a chociaż i wróci, to ledwie że wzgardliwem okiem rzuci na biedny lud, co marnuje swe życie, ogarniając jego chudobę.

— Oj! życie — westchnął sobie ciężko. — Oj! to życie — bodaj nigdy nie było.

Psy zaszczekały naraz głośno i przerwały jego smutne westchnienia — poruszył się żywo i wytężył wzrok w stronę ich skowytu. Nie było jednakże nikogo, bo ucichły zaraz — stróż jednakże dla zupełnego przekonania się o bezpieczeństwie, zabrał swój gruby kij, i brodząc po kałużach błota, obchodził znowu całe podwórze, zaglądając z kolei do budynków, gdzie stał inwentarz żywy. Powłóczył po drodze ciężko lewą nogą, która dokuczała mu boleśnie przy słotnem powietrzu — był bowiem trochę kaleką, została mu ta pamiątka z choroby tyfusu, na który zapadł w młodych latach i z którego nie wyleczono go dobrze.

Dlatego został stróżem nocnym, bo nie mógł zawsze chodzić za pługiem, nie mógł wytrwać w pracy innej na roli, gdzie siły ludzkie są stawiane na równi z siłami zwierząt pociągowych.

Zbadawszy, że wszystko w należytym porządku, wrócił znowu pod dach drewniany wozowni, bo deszczyk coraz rzęsistszy poczynał padać.

Pomimo ciepłoty kożucha, odczuwał dreszcze febry i przykre zmęczenie, a smutek dziwny gryzł go wewnątrz.

Bał się wnijść trochę do budynku, ażeby nie zasnąć, bo nużby zło w tym czasie sprowadziło złodziei.

— O! te ohydne rabusie — złorzeczył im gniewnie — posiedziałbym ot sobie miło, choć z godzinę w ciepłej stajni, bo kości mnie bolą i łamią — aleć to bez miłosierdzia, przyjdzie i zabierze choćby krowę — niby swoją. Bestje! — dorzucił z wrastającym gniewem — kradną mnie ze sił i zdrowia, bez sumienia. No... i siebie oddał po chwili namysłu, bo przecież taki złodziej to ma ciężki chleb.

Leźć po nocy w czasie zimna i deszczu, szukać po omacku, a tu psy, wściekłe jak szatany, rozdarłyby zaraz na części — no i stróże z takim sękatym kijem, jak ten mój, co od jednego uderzenia możnaby zabić na miejscu. Oj... ciężki... ciężki, taki chleb złodzieja — myślał z pożałowaniem — a przytem taki — podły, toć to każdy gardzi takim człekiem, jak parszywym — jużci ostatnia bieda musi ich do takiego podłego zarobku pchać.

Gdybym tak niechcący zabił złodzieja — rozmawiał dalej — byłbym zbójem. — Wprawdzie ksiądz łacno by grzech odpuścił, zwłaszcza, że o pańskie chodziło dobro, aleć to moje sumienie, to już by mnie do grobowej żarło deski za to, że pod moją ręką padło życie człowieka. Niechże Bóg każdego strzeże być stróżem — i niechże Bóg każdego odsunie od złodziejstwa — marny los jednego i drugiego na świecie. Ot, najlepiej takiemu panu, jak nasz dziedzic — siedzi sobie tam napewno gdzie w pałacu, przy kartach i winie i rozkoszuje wesoło, a śmieje się w duchu z takich głupich stróży i z takich głupich złodziei, co to, ubiegając się o jego krztę dobytku, łamią sobie karki po nocach.

Bodaj to z takim marnym porządkiem świata — burzył się — pan wie, że jest panem, ale człowiek biedny nie wie, że jest człowiekiem — nijak mu nim być nie dadzą, ino tak sobie z nas porobili fornali, parobków, stróży — i ot tak nami podążają, jak bydlątkami — a człek prawdziwe bydło, że tak sobą poniewierać pozwala. Samemu Panu Bogu nie musi być miły taki ciemny naród, bo inaczej to by choć trochę za ich krzywdą obstawał. Spostrzegł naraz, że bluźni i przeżegnał się z przestrachem. Panie Boże odpuść — modlił się skruszony — ale to z bólu nogi i z tego łamania kości pod skórą takie cudaczne myśli mnie nachodzą.

Powstał z miejsca, wziął kij i latarkę do ręki i obchodził znowu całe podwórze dokoła — szepcąc po drodze różańcowe paciorki. Modlitwą chciał przytłumić żal nurtujący mu w duszy — żal do Boga za tę jego na ziemi niedolę.

Wszedł do stajni, gdzie stały konie cugowe do wyjazdu dzierżawcy i urzędników. Stangret spał twardo u góry na wiszących, spojonych drabinkach, stanowiących jego łóżko stajenne.

Stróż spostrzegł naraz z radością leżącą gazetę na kastrze od końskiego obroku. Lubił czytać niezmiernie — sam nawet dla siebie abonował niedzielną gazetkę, ale wiadomości z tejże nigdy mu nie wystarczały.

Zasiadł żywo na kastrze i zapominając o stróżowaniu, zaczął czytać gorliwie.

Gazeta była dla niego dość trudnym stylem zredagowana — męczył się jednakże, ażeby zrozumieć.

Była już blisko godzina pierwsza, gdy znużenie chorobliwe tak go opanowało, że zdrzemnął się..

Nie słyszał biedak, że właśnie w tym czasie rządca i urzędnik podwórzowy szukali go.

— Gzież ten cham? — wrzeszczał rządca. — Może kradnie na wspólkę ze złodziejami? Zatłukę na miejscu!

Obaj urzędnicy byli doskonale podpici, widocznie poniedziałkowy wieczór zapijali aż do tak późnej godziny.

Wpadli do stajni trochę niedomkniętej, gdzie Łuka, trzymając w zaciśniętej dłoni gazetę i kiwając się na wszystkie strony, spał dalej.

— Patrzcie, chłop czyta, a potem śpi — dwie zbrodnie nie do wybaczenia.

Nie trudzili się, ażeby go zbudzić, podnieśli w górę swe laski, zakończone u dołu żelaznemi szpadelkami i uderzyli wprost w jego głowę. Stróż zbudził się i ze strachu spadł na ziemię, a dwuch katów kończyło nad nim dalszą morderczą egzekucję.

Dopiero, gdy zlany krwią i bezprzytomny leżał już bez jęku, katy zastanowili się trochę, że źle się stało.

Zlali go wodą i orzeźwionego wyciągnęli przed stajnię — dozwalając pójść do domu i położyć się.

Sami odeszli spokojnie do swych pokoi, które zajmowali w pałacu dziedzica — sądząc, że taka chłopska natura przeniesie bez dalszych skutków ich zbójeckie cięcia.

A biedny Łuka, osłabiony upływem krwi, z poranioną głową, upadł na progu stajni — miłosiernym głosem budząc do pomocy stangreta.

I podtrzymywany ramieniem tegoż zawlókł się do wsi, do swej chałupy, aby tam upaść, jak nieżywy.

Z dniem białym powieziono go do miasta do doktora, dla opatrzenia ran i wydostania świadectwa, koniecznego do skargi, którą mu wieś cała doradzała.

Nieświadomie trafił na doktora, który był dawnym kolegą szkolnym owego rządcy.

I dostał świadectwo — dla formy rządowej wypisane po niemiecku i stwierdzające, że to koń uderzeniem kopyta poranił głowę jego.

Na wsi ludzie nie znają pisanego niemieckiego języka, a zresztą nikomu nie przyszło na myśl badać, czy jest prawdziwe.

Przyszedł i przeszedł proces. Łuka wygrał, ale nic nie zyskał. — Zyskał to jedno, że na Nowy Rok dostał terminatkę od rządcy, zwalniającą go ze służby.

Śmiał by się, gdyby był zdrowy, ale on był dwukrotnym obecnie kaleką, a przytem wieś to była jego rodzinna, w której pracował większą część życie, bo miał lat 45. Radzono mu świadectwo innego doktora, proces drugi — ale on tylko ręką machnął i rzekł: „Niech wam to Bóg zapłaci".

Poczciwa, szlachetna jego dusza prostacza, darowała swą krzywdę i wspaniałomyślnie przebaczyła swym ciemiężcom.

Celibat księży.

Coraz większa liczba wykroczeń przeciw moralności wśród katolickiego kleru musi zwrócić uwagę na to monstrualne zjawisko, iż to samo państwo, które małżeństwo uważa za podstawę obyczajności, nietylko znosi, lecz popiera zorganizowany i przymusowy celibat całego zawodu, a ślub bezżeństwa, dokonany w młodości, kiedy to szlachetniejsze dusze widzą w nim czystszą formę życia, staje się dla kapłanów z powołania źródłem męki i wyrzutów sumienia; większość szuka zaspokojenia na innej drodze...

Walka kleru przeciw celibatowi jest równie dawną, jak sam celibat. Lecz im więcej zarzutów przeciw niemu się gromadzi, tem większe znaczenie przypisują mu klerykali, a obecnie uważają go niemal za istotę kapłaństwa. Państwo nigdy nie upomniało się o swe prawa, co więcej świadczyło nawet usługi kościołowi w poskromieniu usiłowań zniesienia celibatu.

Zastanówmy się, co jest istotą celibatu, czem uzasadniają jego utrzymanie i czy zakaz małżeństwa rozciąga się też na abstynencję płciową? Tu właśnie jest punkt niejasny i klerykalna doktryna wysila się na całą moc niecnych argumentów, aby tylko obronić potworną tezę. Gdyż sprzeczność jest jaknajoczywistsza; oto nauka chrześćjańska czci w małżeństwie sakrament, a równocześnie swym wybrańcom odmawia tego święcenia, jako jakiejś hańby dla nich. A skoro celibat nie zawiera ślubu czystości, jeno zakaz prawnych zobowiązań, toż to oznacza, że kościół dopuszcza dla swych członków ową potępioną „wolną miłość" i to w postaci najniemoralniejszej, gdyż nieopartej na szczerości i odpowiedzialności!...

Kościół chrześćjański bowiem nic nie wie o celibacie w pierwszych wiekach swego istnienia. Późno występują zakazy małżeństwa, ale nieustanne ich powtarzanie jest tylko dowodem, że nie były wykonywane. Dopiero pa.

pierz Grzegorz VII postanawia (w 1704 r.) zakaz małżeństwa ściśle przeprowadzić. Zakazano całemu klerowi żenić się i wogóle mieszkać z niewiastami. Żonaci mieli się bezwłocznie rozłączyć z żonami. Ten nakaz spotkał się z szalonym wprost oporem niższego kleru. Zarzucono papieżowi, że jest heretykiem, że jego niepoczytalna nauka sprzeciwia się nauce św. Pawła, że to gwałtowne żądanie anielstwa rozkiełzna tylko wszeteczeństwo. Postanowiono raczej z kapłaństwa niż z małżeństwa zrezygnować. Grzegorz trwał przy swojem. Arcybiskup moguncki Zygfryd odważył się ogłosić nakaz papieski tylko w tej formie, że dał klerowi półroczną zwłokę na rozwiedzienie się. Gdy w październiku 1704 r. zażądał wreszcie Zygfryd na synodzie wykonania rozkazu, wybuchł formalny rokosz. Grożono arcybiskupowi śmiercią dla przykładu... Spokój przywrócił Zygfryd dopiero obietnicą, że postara się u papieża o cofnięcie nakazu. Gregorz wydał okólnik dla „Niemców duchownych i laików", w którym żądano odmówienia posłuszeństwa biskupom, zezwalającym księżom na obcowanie płciowe.

Trzeba dobrze zrozumieć intencje Grzegorza. Chociażby najusilniej nadawać zakazowi piętno duchowej askezy, to jednak jego głównym celem było: oderwać duchowieństwo od rodziny, a przez to związać je wyłącznie z kościołem. I przez całą historję kleru powtarza się wiecznie to zjawisko, że najostrzejszymi środkami stara się kościół utrzymać bezżeństwo, że jednak czystość nie należy zupełnie do nieodłącznych cnót kapłaństwa. Literatura obyczajowa wszystkich stuleci roi się od jaskrawych obrazów życia bezżennych mnichów, popów, zakonnic. Słyszymy o duchownych, którzy uchodzili za świętych, gdyż zadawalali się jedną nałożnicą; o biskupach, ktorzy dwadzieścioro nieprawych dzieci pozostawiali matkom; o klasztorach niewieścich, które były bordelami dla rycerzy, tak, że właściciele świeckich domów rozpusty wnosili skargi przeciw duchownej konkurencji. Choćby w tem wszystkiem było wiele przesady, nie da się zaprzeczyć, że kościół bezwzględnie prześladował małżeństwo księży, a na wykroczenia przeciw wstrzemięźliwości spoglądał z pobłażliwym uśmiechem.

Rozmaitości

W teatrze Chatelet w Paryżu wybuchł strejk, wskutek którego teatr ten przez dwa dni nie mógł urządzić przedstawienia. Przyczynę stanowił spór między dyrektorem teatru a syndykatem maszynistów. Dyrektor wydalił ze służby maszynistę za uchybienie w służbie, a ten zwrócił się do syndykatu, którego był członkiem. Dyrekcja teatralna nie uznała pośrednictwa syndykatu dla załatwienia tej sprawy i oświadczyła, że na przyszłość nie będzie przyjmowała do służby członków syndykatów. Syndykaty odpowiedziały na to szeregiem daleko idących gróźb. Najciekawszem następstwem strejku będzie zapewne, że przez szereg wieczorów publiczność paryska tłumnie podąży do Chatelet, aby być świadkiem wszystkich nadzwyczajnych wydarzeń, stanowiących broń w ręku maszynistów, a więc: nagłych zapadań kurtyny, ewolucji ze światłem i tego wszystkiego, co fantazja strejkujących zdolna uczynić przy pomocy środków, które ma w ręku, dla zwalczania dyrektora. Naturalnem biegiem rzeczy musi przyjść do ugody, która pozwoli zaprowadzić zwykły tryb w dalszych przedstawieniach.

* * *

Amerykański spadek. Z Pragi donoszą: Wielkie wrażenie sprawiła tu wiadomość o miljonym spadku, który prawdopodobnie przypadnie żyjącemu tu demokrążcy i trzem jego krewnym. Rzecz przedstawia się jak następuje:

Mniej więcej przed półtora rokiem zmarł w Nowym Jorku znany tam jako „król browarów", miljoner Alfred Landsdale. Umarł nagle w 62 roku życia i pozostawił około 36 miljonów dolarów bez testamentu. Majątek ten jest po części złożony w Londynie, a po części w Ameryce, dlatego też ustanowiono celem poszukiwania krewnych zmarłego dwóch adwokatów, mianowicie dr. Smithsa w Londynie i dr. Temnyclefa w Nowym Jorku. Adwokaci ogłosili w pismach żydowskich „Jevisch Chronicle" i „Jevisch New Pater" odezwy, nawołujące krewnych zmarłego, aby zgłaszali swe prawa do spadku, przyczem była pomieszczona fotografja zmarłego.

Zgłosiła się znaczna ilość ludzi, którzy znali osobiście Landsdala i w ten sposób dowiedziano się, że pochodził on z Kalisza w Królestwie Polskiem i nazywał się właściwie Icek Grützenstein. Pokazało się dalej, że Grützenstein jako 15 letni chłopak uciekł z Rosji. Rodzina sama wydała go bowiem komisji aseterunkowej, by w ten sposób uwolnić starszych braci od wojska.

Młody chłopak dostał się do pułku mikołajewskiego i odbywał służbę wojskową w garnizonie syberyjskim, skąd jednak zdołał uciec najpierw do Londynu, a następnie do Ameryki, gdzie z biegiem czasu dorobił się olbrzymiego majątku. Landsdale, recte Grützenstein, posiada jeszcze dwóch braci, żyjących w Kolinie, oraz krewnych w Pradze.

Nazwisko Landsdale, pod którem zmarł, przybrał był już w Londynie, aby nie można go wyśledzić jako dezertera, a później w Ameryce zatrzymał to nazwisko na stałe.

* * *

Teatr europejski w Japonji. Według doniesienia pism francuskich, Sada Yacco, znana z europejskich występów japońska artystka, postanowiła w ojczyźnie swojej dokonać śmiałego dzieła: reformy teatru na wzór europejski. Nowy budynek teatralny w Daka, wzniesiony według planu architekta europejskiego, zrywa z urządzeniami tradycyjnemi Japonji i jest zaopatrzony we wszystkie udogodnienia techniczne teatrów europejskich. W nowym tym gmachu przedstawienia trwać będą tylko trzy do czterech godzin. Jest to rzecz dla słuchaczów japońskich niezwykła, gdyż dotąd przyzwyczajeni byli dzień cały spędzać w teatrze na jednem przedstawieniu. Przepisy nowego teatru zabraniają w teatrze jeść, pić i palić, również nie wolno przynosić z sobą „faworytów", kotków sjamskich i koreańskich wiewiórek. W fojer teatru będzie urządzony bufet, zaopatrzony w potrawy, przyrządzone sposobem europejskim. W dniu otwarcia nowej sceny dana będzie prawdopodobnie „Dama kameljowa", zamieniona na „Damę chryzantemową". Utwór ten najbardziej jest zbliżony do narodowych sztuk japońskich, osnutych w większej części na tle losów „rycerza i gejszy".

* * *

Pierwszy samolot w Japonji. Kapitan Hino, wysłany do Niemiec przez japoński zarząd wojskowy, zakupił samolot systemu Wrighta i przesłał go do swej ojczyzny. Hino ukończył również z dodatnim rezultatem kurs awjatyki. Wprawdzie nie otrzymał świadectwa, gdyż na to wymagany jest 6-miesięczny pobyt w Niemczech, jednak odpowiedział w zupełności warunkom komisji egzaminacyjnej.

* * *

Na niezwykłe przedsięwzięcie odważył się niedawno pływak amerykański Larsen, który łodzią motorową puścił się nad wodospad Niagary. Szalonego kroku mało co nie przypłacił życiem. Larsen wypłynął na środek potężnej rzeki i tam porwany silnym prądem runął w odmęty wodospadu. O kierowaniu łodzią nie mogło być mowy. Motor przestał działać, ster uległ złamaniu. Przez szereg minut fale rzucały łodzią jak piłką. Raz ukazywała się na wierzchu fal, to znów spadała w głębie. Zdawało się, że Larsen nie wyjdzie żywy. Nagle łaskawa fala pchnęła łódź po przez wiry tak, że wypłynęła na szersze koryto. Stamtąd udało się uratować śmiałka, walczącego już resztką sił. Widowisku przyglądał się tłum czterdziestotysięczny. Trwało ono 45 minut.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 41. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 października 1910.

AUGUST BEBEL.

Ustrój socjalistyczny.

(Dokończenie.)

Ile społecznego czasu roboczego trzeba na wytworzenie każdego poszczególnego produktu, to łatwo obliczyć. Według tego mierzy się stosunek tej cząstki czasu roboczego do całkowitego czasu roboczego. Jakiekolwiekbądź świadectwo, zadrukowany kawałek papieru, złoto lub blacha świadczy o odbytym czasie roboczym i umożliwia właścicielowi zamianę tych znaków na przedmioty potrzeb najrozmaitszego rodzaju. Jeżeli ktoś zauważy, że potrzeby jego w stosunku do tego, co otrzymuje za pracę, są za małe, to pracuje przez odpowiednio krótszy czas. Jeżeli chce komu podarować to, czego nie spożytkował, to mu nikt nie przeszkadza; jeżeli chce dobrowolnie pracować za innego, aby ten mógł się oddać rozkosznemu „dolce far niente“, i jeżeli chce dzielić się z nim swojemi pretensjami do produktów społecznych, to mu nikt nie przeszkadza. Ale zmusić nie może go nikt do pracy na korzyść drugiego, nikt nie może mu odebrać cząstki pretensji za jego odbytą pracę. Każdy może się liczyć z wszelkiemi możliwemi życzeniami i pretensjami, ale nie kosztem innych. Każdy dostaje tyle, ile dla społeczeństwa robi, nie mniej, nie więcej, i jest zabezpieczony od wszelkiego wyzysku ze strony osoby trzeciej.

„Ależ gdzie się podziała różnica między leniwymi a pilnymi? między inteligientnymi a próżnymi?“ Oto jedno z głównych pytań naszych przeciwników; ale najwięcej kłopotu sprawia im nasza odpowiedź. Że np. w naszej hierarchji urzędniczej nie robi się różnicy między „leniwymi“ a „pilnymi“, między „inteligientnymi“ a „głupimi“, ale że czas służby rozstrzyga o wysokości pensji, a także przeważnie o awansie, o tem nie myśli żaden z tych filistrów. Nauczyciele, profesorowie — ci szczególnie są naiwni w swoich pytaniach — obejmują swoje posady dla pensji, którą posada przynosi, a nie wskutek swoich przymiotów lub zalet. Że zaś wyższe posady w wielu wypadkach w naszej hierarchji wojskowej, urzędniczej i profesorskiej nie dostają się najzdolniejszemu, lecz uszczęśliwionemu urodzeniem, parentelą, przyjaźnią, względami kobiet, o tem już wróble na dachu świergocą. Ale że również i bogactwa nie stanowią nagrody pilności i inteligiencji, dowodzą tego najdobitniej wybierający w Berlinie w pierwszej klasie pruskiego systemu trzyklasowego gospodarze, piekarze, rzeźnicy, którzy częstokroć nie mogą odróżnić trzeciego przypadku od czwartego, gdy przeciwnie inteligiencja berlińska, ludzie uczeni, najwyżsi urzędnicy rządowi i państwowi wybierają w drugiej lub trzeciej klasie. Różnicy między „leniwymi“ a „pilnymi“, między „inteligientnymi“ a „głupimi“ niema, bo to, co my przez te pojęcia rozumiemy, już nie istnieje. „Próżniakiem“ zowie np. społeczeństwo tylko tego, kogo brak pracy zmusza do włóczęgostwa tak, że wreszcie istotnie staje się on włóczęgą, albo tego, który jest zaniedbany wskutek złego wychowania. Kto zaś nazywa „próżniakiem“ tego, kto siedzi na pieniądzach i zabija czas wysypianiem się i hulanką, ten dopuszcza się obrazy, bo to jest „czcigodny, uczciwy“ człowiek.

A teraz, jakiż jest stan rzeczy w wolnem społeczeństwie? Wszyscy rozwijają się wśród równych warunków życia, i każdy jest czynnym tam, dokąd go ciągną skłonności i zręczność; dlatego różnice w pełnieniu pracy będą bardzo drobne. Duchowa i moralna atmosfera, zachęcająca każdego do przewyższenia drugiego, również pomaga w wyrównaniu różnic. Jeżeli ktoś zauważy, że na jednem polu nie zdoła dokazać tego, co inni, wybiera sobie jakie inne, odpowiadające swym siłom i zdolnościom zajęcie. Kto pracował z większą ilością ludzi w jakimś zawodzie, wie, że ludzie, którzy okazują brak zdolności w pewnych czynnościach, wypełniają jaknajlepiej swoje zadania na innem stanowisku. Niema człowieka normalnie uzdolnionego, któryby w jednej lub drugiej czynności nie zdołał zaspokoić nawet najwyższych wymagań, jeżeli tylko stanie na właściwem miejscu. Jakiem prawem żąda zatem jeden pierwszeństwa przed drugim? Kogo przyroda tak po macoszemu wyposażyła, że mimo najlepszych chęci nie zdoła dokazać tego, czego dokażą inni, tego społeczeństwo nie może karać za błędy przyrody. Kto zaś, przeciwnie, otrzymał od przyrody zdolności, które go wznoszą ponad innych, ten nie może żądać od społeczeństwa nagrody za to, co nie jest jego osobistą zasługą. Co do społeczeństwa socjalistycznego, to należy dalej wziąć pod uwagę, że wszyscy mają równe warunki życia i wychowania, że zatem każdy ma możność wykształcić swoją wiedzę i swoje umiejętności odpowiednio do swoich zdolności i skłonności, i w ten sposób także i przez to ma rękojmię, że w społeczeństwie socjalistycznem nietylko stopień wykształcenia jest o wiele wyższy niż w burżuazyjnem, lecz że jest ono także równomierniejsze, a przecież wszechstronniejsze.

Kiedy Goethe w czasie swojej podróży nadreńskiej studjował tum koloński, odkrył w aktach budowlanych, że starzy budowniczowie płacili swoich robotników w równej wysokości, podług czasu; a postępowali tak dlatego, że chcieli mieć robotę dobrze i sumiennie wykonaną. To wydaje się dzisiaj społeczeństwu burżuazyjnemu anomalją. Zaprowadziło ono system wynagradzania od sztuki, wskutek czego robotnicy wzajemnie zmuszają się do nadmiernej pracy na to, aby przedsiębiorca tem łatwiej mógł zaprowadzić płacę poniżej wartości, zniżenie wynagrodzenia.

Nie inaczej rzecz się ma z pracą umysłową. Człowiek jest wytworem czasu i okoliczności, wśród których żyje. Goethe, zrodzony wśród zresztą równie korzystnych warunków rozwoju w czwartym, a nie w ośmnastym wieku, mógłby był wyjść na wielkiego ojca kościoła, któryby może zaćmił św. Augustyna, a nie na sławnego poetę i badacza przyrody. Gdyby zaś Goethe przyszedł na świat, nie jako syn bogatego frankfurckiego patrycjusza, lecz jako syn ubogiego szewca we Frankfurcie, nie byłby nigdy wielkoksiążęcym wejmarskim ministrem, lecz najprawdopodobniej byłby pozostał szewcem i zakończyłby żywot jako szanowany majster szewski. Goethe sam przyznał, że to materjalnie i społecznie korzystne otoczenie, w którem przyszedł na świat, było bardzo pomyślne dla jego rozwoju; tak n. p. mówi w swojem dziele p. t. „Wilhelm Meister“. Gdyby Napoleon I był się urodził o dziesięć lat później, nie byłby nigdy cesarzem Francji. Bez wojny w roku 1870—1871 Gambetta nigdy-by nie był tem, czem się stał. Poślijcie

dobrze uzdolnione dziecko inteligientnych rodziców do dzikich, a stanie się dzikiem. A więc czem kto jest, tem zrobiło go społeczeństwo. Idee nie są wytworem wyskakującym z niczego, wskutek jakiegoś wyższego natchnienia z góry, czy też z głowy jednostki, lecz wytworem, który przez społeczne życie, przez „ducha czasu" wylęga się w głowie jednostki. Arystoteles nie mógł mieć idei Darwina, a Darwin musiał inaczej myśleć niż Arystoteles. Każdy myśli tak, jak go do tego zmusza duch czasu, t. zw. otoczenie i jego zjawiska. Stąd spostrzeżenie, że często różni ludzie równocześnie jedne i tesame mają myśli, że jedne i tesame odkrycia i wynalazki równocześnie pojawiają się na daleko od siebie leżących punktach. Stąd dalej fakt, że idea, którą wypowiedziano pięćdziesiąt lat wcześniej, nie wzruszyła nikogo, a w pięćdziesiąt lat później powtórzona, wprawia w ruch cały świat. Cesarz Zygmunt mógł się odważyć w r. 1415 nie dotrzymać słowa Husowi i kazać go spalić w Konstancji, a Karol V, jakkolwiek znacznie większy fanatyk, musiał w roku 1521 patrzeć na sejmie wormacyjskim na to, jak Luter uszedł sobie bezkarnie. Idee zatem są wytworem społecznego współdziałania, społecznego życia. A co odnosi się do społeczeństwa w ogólności, odnosi się także w szczególności do rozmaitych klas, z których składa się społeczeństwo w pewnej danej epoce historycznej. Ponieważ każda klasa ma swoje odrębne interesy, więc ma też swoje odrębne idee i przekonania, prowadzące do owych walk klasowych, których pełne są wieki historycznie znane, a które doszły do swego szczytu w przeciwieństwach i walkach doby współczesnej. Nie chodzi więc jedynie o to, w którym wieku ktoś żyje, lecz także o to, w jakiem społeczeństwie pewnego wieku żył lub żyje, bo przez społeczeństwo właśnie krąg jego myśli, uczuć i czynów był i jest zdeterminowany.

Bez nowoczesnego społeczeństwa niema nowoczesnych idei. Wydaje nam się to jasnem i zrozumiałem. Co do nowoczesnego społeczeństwa, to jeszcze należy wziąć pod uwagę to, że środki, których każdy potrzebuje dla swego wykształcenia, są własnością ogółu społecznego: społeczeństwo zatem nie może mieć obowiązku wynagradzania szczególnym jakimś zaszczytem tego, co dopiero ono umożliwiło, co jest jego własnym wytworem.

Tyle o kwalifikacji pracy fizycznej i umysłowej. Z tego wynika dalej, że nie może być różnicy między „wyższą" a „niższą" pracą fizyczną, a zatem nie może zajść wypadek, w którymby mechanik uważać się miał prawo za coś wyższego od wyrobnika, wykonywającego roboty uliczne itp. Społeczeństwo tylko wykonywa społecznie pożyteczną pracę; dlatego też wszelka praca ma dla społeczeństwa równą wartość. Jeżeli nieprzyjemnych i wstrętnych robót nie można wykonywać na drodze mechanicznej, albo też chemicznej, i jeżeli nie można ich zamienić na przyjemne za pośrednictwem jakiegokolwiekbądź procesu — co wcale nie ulega wątpliwości wobec postępów, jakie zrobiliśmy w dziedzienie chemji i techniki — i jeżeliby nie można było znaleźć sił dobrowolnych, to każdy ma obowiązek wykonać pewną ilość pracy, ilekroć przyjdzie na niego kolej. Niema tu fałszywego wstydu, ani niedorzecznej pogardy dla pracy, która jest pożyteczną. Pogarda istnieje tylko w naszem trędowatem społeczeństwie, w którem próżniactwo uważa się za los godny zazdrości, a robotnikiem tembardziej się pogardza, im cięższe, zmudniejsze i nieprzyjemniejsze są jego roboty, i im bardziej okazują się koniecznejszemi dla społeczeństwa. Dziś płaci się za pracę tem gorzej, im ona jest nieprzyjemniejszą. Skutek stąd ten, że nieustanny przewrót w procesie produkcyjnym ciągle wyrzuca na bruk mnóstwo zbytecznych sił roboczych, jako armję rezerwową, która, chcąc żyć, musi się oddać najniższym robotom za jakąbądź cenę, tak że nawet zaprowadzenie maszyn dla takich robót jest „nierentowne". Tłuczenie kamieni n. p. jest przysłowiowo jedną z najgorzej płatnych i najnieprzyjemnieszych robót. Otóż byłoby drobnostką zbudować maszyny dla tej roboty, jak to już jest w Stanach Zjednoczonych; ale mamy takie mnóstwo tanich sił roboczych, że maszyna się nie „rentuje". Czyszczenie ulic i kanałów, zwożenie gruzu, roboty budowlane w głębi ziemi i t. d., roboty wszelkiego rodzaju dałyby się przeprowadyać przy pomocy maszyn i technicznych urządzeń, już przy dzisiejszym stanie naszego rozwoju, w taki sposób, że nie miałyby w sobie dla robotników ani śladu tych nieprzyjemności co dzisiaj. Zważywszy jednak dokładnie stan rzeczy, zrozumiemy, że robotnik, który wypróżnia kloaki w celu chronienia ludzi od wyziewów dla życia niebezpiecznych, jest bardzo pożytecznym członkiem społeczeństwa, kiedy, przeciwnie, profesor, który wykłada sfałszowaną w interesie klas panujących historją, albo teolog, który stara się zamglić umysły nadnaturalnemi, transcedentalnemi naukami, są nadzwyczaj szkodliwemi jednostkami.

Dzisiejszy nasz świat uczony, wyposażony w urzędy i godności, w przeważnej części przedstawia się jako gildja, przeznaczona i płatna na to, aby osłaniać i usprawiedliwiać panowanie klas rządzących powagą nauki, ukazywać je w świetle dabroci i konieczności i ochronić istniejące zabobony i uprzedzenia od zagłady. W rzeczywistości gildja ta uprawia w wielkiej części naukę płytką, zatruwającą umysły, antykulturalną, prawdziwe umysłowe wyrobnictwo w interesie burżuazyi i jej klientów. Zaprowadzenie stanu społecznego, któryby odebrał na przyszłość podobnym żywiołom rację bytu, byłoby prawdziwem wyzwoleniem ludzkości.

Z drugiej strony, prawdziwa nauka jest często połączona z nieprzyjemną, wstrętną pracą. Np. gdy lekarz robi sekcyę na razkładającym się trupie, lub operuje ropiące się części ciała; albo gdy chemik bada ekskrementa. Są to roboty często wstrętniejsze od najwstrętniejszych robót wykonywanych przez wyrobników lub nieuczonych robotników; o tem jednak nikt nawet nie pomyśli. Różnica polega na tem, że jedna robota wymaga obszernej nauki, aby jej można dokonać, a inną znów umie wykonać każdy bez wszelkiego naukowego przygotowania. Stąd zasadnicza różnica w ocenie. Ale w społeczeństwie, w którem każdy może się wykształcić, znikają istniejące już dziś różnice między „wykształconym" i „niewyksytałconym": muszą więc także zniknąć przeciwieństwa między uczoną a nieuczoną pracą, i to tem bardziej, że rozwój techniki nie zna granic, któreby pracy ręcznej nie pozwalały wykonać za pośrednictwem maszyny lub procesu technicznego. Przypatrzmy się tylko rozwojowi naszych rękodzieł artystycznych, np. drzeworytnictwu, miedziorytnictwu i t. d. Jak więc najnieprzyjemniejsze roboty często są najpożyteczniejsze, tak też i nasze pojęcie o przyjemnej i nieprzyjemnej robocie, jak zresztą tyle innych pojęć dzisiejszego świata, jest nadzwyczaj powierzchowne i wcale nie wnika w istotę rzeczy.

Eleganckie przemytniczki.

Pisma francuskie donoszą: Znana to rzecz, że amerykanki drogocenne towary, zakupione w Europie ogromnym kosztem, przemycają do Stanów Zjednoczonych bez oclenia. Jednakowoż dotychczas daremnie starano się dowiedzieć, gdzie one nabywają nadzwyczajnej zręczności, która jest do tego potrzebna.

Dopiero w ostatnich czasach gazeta amerykańska „New Jork American" wystąpiła z twierdzeniem, iż udało się jej rzecz tę do gruntu wybadać. Oto, jak opowiada to pismo, w Paryżu w eleganckim domu przy rue de la paix istnieje szkoła dla przemytniczek, wykwintnie urządzona, w której, za opłatą conajmniej 50 dolarów, można pobierać systematyczną naukę w trudnej sztuczce przemytnictwa.

„New Jork American" podaje rysunek, przedstawiający model amerykanki w kostjumie przemytniczym i dodaje do niego interesujące objaśnienia. Kostjum ten jest tak ułożony, iż każda część garderoby zawiera w najniemożliwszych miejscach liczne kieszenie, utajone kryjówki, którychby najbystrzejszy urzędnik cłowy nie zdołał się domyśleć. I tak główki szpilek do kapeluszy są wydrążone wewnątrz i mogą w sobie pomieścić cenne klejnoty; tak samo ma się rzecz z podeszwami, a buciki są wewnątrz wyłożone drogocennemi futrami na zarękawki.

Ale nie koniec na tem. We włosach amerykanki znajdują się wkładki na pomieszczenie przedmiotów, polegających ocleniu, ba, nawet sztuczne biusty, wstawione zęby i płytki

przemocowane do podniebienia służą do celów przemytniczych.

Nielada to sztuka, przy takiem zupełnem uzbrojeniu przemytniczem poruszać się ze swobodą i elegancją i tej właśnie sztuki uczą się we wspomnianej wyżej szkole.

„New Jork American" podnosi, że mimoto wszystko, urzędnicy cłowi umieją sobie radzić z przemytniczkami i chwytają się środków, przypominających praktyki policji kryminalnej. Oto bowiem w Paryżu i innych miastach, w których amerykanki czynią zakupy, agienci tajni, ustanowieni umyślnie przez amerykańskie władze celne, nadzorują sprzedaż najdroższych towarów i donoszą swym przełożonym, co kto kupił. Uwiadomieni tą drogą urzędnicy cłowi przystępują bez wahania do rewizji osobistej i zdemaskowania pięknych przemytniczek, nie zważając wcale na to, iż znajdują się wśród nich nawet miljonerki amerykańskie, które wyjeżdżają do Europy na zakupno i krocie tysięcy wydają na biżuterje, ale płacenie cła od nich uważają za wyrzucanie pieniędzy.

Rozmaitości

Zwierzęta a telegraf. Długość linji telegraficznych na kuli ziemskiej wynosi ośm miljonów kilometrów — to zwycięstwo kultury nie przyszło jednak łatwo, zwłaszcza w krajach niecywilizowanych, gdzie nietylko dzikie plemiona tubylców niszczyły misterną sieć drutów, ale i zwierzęta prowadziły z nią zawziętą walkę.

Najzawziętszym wrogiem telegrafu był przedewszystkiem słoń. Jeden z tygodników francuskich, który zajmuje się tym tematem, opisuje, jak to słonie z uporem atakowały każdy słup telegraficzny i trąbą wyrywały go z ziemi, czyniąc spustoszenie dokoła.

Co napawało gruboskórych wrogów telegrafu taką nienawiścią — niewiadomo.

Przysłowie indyjskie powiada, że „kiedyś wypowiedziane będzie ostatnie słowo o człowieku — nigdy jednak o słoniu". Jeszcze większe jednak spustoszenia wyrządzały w połączeniu telegraficznem w Indji bawoły. Dopóty rozwścieklone uderzały łbami o słupy — dopóki nie obaliły ich na ziemię. W Północnej Ameryce gryzonie zwłaszcza upodobały sobie słupy telegraficzne jako temat do obgryzania i przegryzania w nich przewodów, skrytek i t. p. — tem tak nadwątlały słupy, za te prędzej, czy później waliły się same.

W Norwegji znowu niedźwiedzie wyrządzały szkody znaczne, łamiąc słupy; jak się przekonano, ten ich zapęd miał przyczynę w łakomstwie. Mianowicie brzęczenie pszczół i kojarzące się z niem rozkoszne urojenia wyjadanego z barci miodu. Więc naiwne niedźwiedziska — aczkolwiek nie wzrokiem, a słuchem i fantazją się kierując — szamotały słupami, by z nimi razem zwalić ul domniemany. Gdy jednak ustawicznie doznawały zawodów — nauka nie poszła w las i kudłacze dały słupom telegraficznym spokój.

W Azji i Afryce plagą telegrafów są małpy; uważają one druty za urządzenia gimnastyczne i wywijają na nich niezliczone koziołki, dopóki drutów nie zerwą — wtedy przerażone uciekają. Niemniej dla drutów telegraficznych szkodliwe są ptaki, obsiadające je wprawdzie często, ale nie wyrządzając jeszcze przez to znaczniejszych spustoszeń.

Jeden dzięcioł tylko przez dłuższy czas był bardzo nieznośny, snać brzęczenie drutów nasuwało mu podejrzenie, że w słupach mieścić się musi moc robactwa, więc kuł z zapamiętaniem szaleńca wzdłuż całego drzewa — nadaremnie wprawdzie dla swojego żołądka, ale nie nadaremnie dla wichrów, które literalnie połupane słupy obalał z łatwością. Po dopiero długich próbach pojął ptasi mózg dzięcioła bezcelowość kucia i omijał z nienawiścią oszukańcze „drzewa".

Nietylko jednak na powierzchni ziemi ma telegraf przeciwników zasadniczych lub przygodnych, umyślnych lub nieumyślnych — także w głębiach oceanu kable narażone są na liczne ataki. Więc najpierw robak toczy z zawziętym apetytem osłony kauczukowe drutów, znajdując, że smak kauczuku o wiele jest wybredniejszy od innych specjałów. Dalej ryba-piła, jakkolwiek nie prześladuje — dla małej swej inteligiencji — kablów pryncypalnie — to jednak, kiedy płynąc, zawadzi o przewód podmorski — dotknięta taką niegrzecznością bierze „ostry" odwet — gdyż swym pyskiem strasznie uzębionym przecina, a w każdym razie nieprzyjemnie nadwyręża kable.

Nie przypuściłby zapewne jednak nikt, w jak chimerycznym związku są kable z wielorybami. Wiadomo, że przewody podmorskie nie mogą zawsze biec dnem oceanu, biegną one nieraz wolno od jednego wniesienia podwodnego do drugiego. Takie wiszące niejako kable zużywa wieloryb w celach toaletowych. Czochra się o nie, by zetrzeć ze siebie mnóstwo nieczystości i pasożytów, trapiących jego olbrzymie ciało. Naturalnie, gdy taka mała wyspa czesze się kablem — grzebień ten nadwereża się potężnie, a często ulega zupełnemu zniszczeniu. Ale i wieloryby padają ofiarą swych pretensji — oto zawikłają się czasem w zerwany kabel i nie mogąc wypłynąć, duszą się. W roku 1873 przy naprawach kablowych, znaleziono takiego uduszonego wieloryba — gdy kabel odcięto, olbrzymi trup potwora uniósł się jak balon na powierzchnię morza, i tu, eksplodował. Nagromadziło się w nim bowiem takie mnóstwo gazów, z rozkładu ciała pochodzących, iż rozsadziły wieloryba, gdy tylko ciśnienie z zewnątrz stało się mniejsze.

* * *

Dramat na morzu. W końcu zeszłego miesiąca przybył do Petersburga z Londynu okręt „Kurhan", którego pażerowie byli w drodze świadkami wstrząsającego dramatu. W Anglji wsiadła na okręt w towarzystwie siostry miłosierdzia bogato ubrana dama z małym chłopcem. Nazwała się Marja Goriaczkowskaja. Wielu razem jadących nieraz zwracało uwagę na dziwne zachowanie się damy, która często zwracała się do nich z zapytaniem: „Czy pan handluje niewolnikami?" W rozmowie często uskarżała się na jakieś prześladowanie nieznanych osób. Stosunek jej do dziecka był serdeczny. Pewnego poranku dama wyszła ze swej kajuty i zupełnie obojętnie powiedziała służbie okrętowej, że zadusiła chłopczyka. Rzucono się do kajuty i istotnie znaleziono dziecko uduszone sznurkiem. Na pytanie kapitana, jak mogła dopuścić się tak potwornej zbrodni, spokojnie odpowiedziała, że chłopiec nie męczył się długo i zaraz umarł. Następnie dodała, że zna sześć języków obcych, że pisywała artykuły w gazetach, wiele podróżowała, wiele cierpiała i że jest zadowolona, iż ją nareszcie dosięgnie kara sprawiedliwości. Martwego chłopczyka zabrano, matkę zaś osadzono w kajucie więziennej. Opanował ją jednak widocznie strach przed odpowiedzialnością, czy też ulegając wyrzutom sumienia, usiłowała nazajutrz sama się zadusić, lecz w tym jej przeszkodzono. Goriaczkowskaja w ostatnich latach występowała niejednokrotnie na łamach petersburskiej „Now. Wr." z artykułami, w których z całym impetem złośliwości i ironji zwalczała idje liberalizmu i postępu w Rosji.

* * *

Grób kamienny wykopano podczas órki w Gościejewie pod Rogoźnem. Grób znajdował się 40 centymetrów pod powierzchnią ziemi, a napełniony był do połowy piaskiem, wskutek czego nie można było wyjąć urn bez uszkodzenia.

* * *

Pierwsza dorożka powietrzna. Najnowszy aeroplan Bleriota, o którym doniosły depesze, prócz miejsca dla pilota kierującego aeroplanem, posiada trzy wygodne siedzenia dla podróżnych. Nowy aeroplan posiada motor o sile 100 koni i może latać z szybkością 60 kilometrów na godzinę. Według wyjaśnień londyńskiego zastępcy Bleriota, Chéreau, nie stoi nic na przeszkodzie, by właściciel nowego aeroplanu używał go dla wycieczek z gośćmi. Znaczny postęp w budowie ułatwia dowolne kierowanie i opanowanie maszyny. Jazda nim ma sprawiać istotnie wielką przyjemność, a szybowanie łagodnym prądem powietrza działa orze-

żwiająco. Aeroplan ten stanowi nową erę w awjatyce, zastosowanej dla praktycznych celów. Zdaniem Chéreau jest kwestją niedalekiej przyszłości zbudowanie aeroplanu o 8 siedzeniach dla pasażerów.

* * *

Radjum jako środek przeciwko podagrze i reumatyzmowi. W niedawno wyszłej naukowej rozprawce, sławny lekarz berlinski prof. dr. Hiss donosi o niezmiernie interesujących leczeniach, dokonanych przez niego zapomocą radowych emanacji i promieni bromidu radowego. Zastosowanie emanacji radowych u pewnej pacjentki spowodowało znaczniejsze wydzielenie się kwasu moczanowego, co wpłynęło bardzo korzystnie na ogólny stan chorej. Świetny rezultat osięgnął prof. Hiss u innego pacjenta: Był to mężczyzna otyły, cierpiący na reumatyczne bóle mięśni. Badanie krwi wykazało, że cierpi on na utajoną podagrę. Wskutek zastosowania emanacji radowych, mocz widzielał się w podwójnej ilości, co miało ten skutek, że pacjent po odbyciu kuracji czuł się jakby odrodzonym. Podobne rezultaty osięgnął prof. Hiss i u innych pacjentów na swej klinice.

Inni lekarze donoszą również o bardzo korzystnych wynikach, osiągniętych za pomocą emanacji radowych przy leczeniu zaraźliwego reumatyzmu, newralgji i pewnych chorób nerwowych. Lekarze notują także wypadki, w których, pod działaniem emanacji radowych ustępowały zupełnie bóle, występujące przy pewnych ciężkich chorobach kręgu pacierzowego. Pole zastosowania emanacji radowych nie jest jeszcze dotychczas ustalone, również nie jest jeszcze dotychczas zbadany biologiczny wpływ tych emanacji, przypuszcza się tylko, że polega on na przemijającym, silnym wzmożeniu całego procesu życiowego. W ostatnich czasach lekarz berliński dr. Franciszek Rosenfeld przeprowadził w swym instytucie dla radjoterapji wespół z pewnym roentgenologiem szereg eksperymentów, uwidoczniających na fotografji leczniczy skutek emanacji radowych. Jak wiadomo, reumatyzm i podagra mają ten skutek, że w miejscach, w których się gromadzi kwas moczanowy, występują zapalne procesy, które w dalszych stadjach choroby wywołują silny obrzęk, zanik substancji chrząstkowej, wybujałości chrząstek i stwardniałości, co wszystko połączone jest z silnymi bólami. Dr. Rosenfeld przed rozpoczęciem kuracji zapomocą emanacji radowych i po ukończeniu kuracji prześwietla promieniami Röntgena części ciała, dotknięte chorobą. Przedmiotowy obraz, przedstawiający się na röntgenofotografji, potwiejdza w zupełności podmiotowy stan chorego, który po leczeniu czuje się doskonale. Nową tę kurację stosuje się w ten sposób, że chory co pewien czas przebywa aż do dwóch godzin w t. zw. komórze radowej. Dr. Rosenfeld poddawał pacjentów swych bardzo silnemu działaniu emanacji, mianowicie o napięciu 2 mil. wolt. Profesor Hiss, kończąc tę relację, zapewnia, że przy odpowiedniem stosowaniu emanacja stanie się nader ważnym czynnikiem leczniczym.

* * *

Ile przepija Rosja? Według wiadomości organu urzędowego rosyjskiego ministerjum skarbu wypito w Rosji w 1909 r. ogółem 84 283 000 wiader wódki, t. zn. na głowę przypada średnio przeszło pół wiadra (0,6). Wydatek roczny na wódkę był w poszczególnych częściach państwa bardzo różny, bo gdy np. w Królestwie Polskiem przypadało na głowę 2 rb. 8 kop. wydatku rocznego na wódkę, to w okręgu t. zw. południowo-zachodnim wydatek ten wynosił przeszło dwa razy tyle, to jest 4 rb. 24 kop. a w okręgu południowym jeszcze więcej, bo 5 rb. 12 kop. Z obliczeń urzędowych wynika, że największa trzeźwość panuje w Królestwie Polskiem, ale i tam jeszcze alkoholizm jest straszną klęską, która pochłania rocznie około 70 miljonów rubli wydatku i zabiera tysiące ofiar, a której usunięcie wymagać będzie długiej i wytężonej walki.

* * *

Djabeł w „błocie"! Czytamy w „Gońcu Częstochowskim": Onegdaj podążyła pewna włościanka ścieżką, ciągnącą się wzdłuż Czarnej Strugi. Włościanka ta przy omijaniu kałuży głębokiej, utworzonej przy drodze polnej po ostatnim wylewie Strugi, została obryzgana błotem. Przestraszona tem pobiegła co tchu do swej siedziby oddalonej o wiorstę i z krzykiem wpadłszy do chaty, zawiadomiła swego małżonka o wypadku jaki ją spotkał. Chłop uzbrojony w kij sękaty, poszedł na miejsce wskazane przez żonę, na spotkanie „djabła", lecz i jego spotkał ten sam los, co żonę, to jest całą jego osobę „djabeł" ochlapał błotem. Skonfudowany tym wypadkiem, włościanin imieniem Wojciech stracił na odwadze, poszedł więc do poblizkiej cegielni i sprowadził na pomoc 6 strycharzy. Po długich naradach nabrali przekonania, że to nie „djabeł", lecz jakiś inny potwór leży w błocie.

Jakoż przynieśli z cegielni czerpaki do wody, umocowane do drążków i po wyczerpaniu wody z dołu błotnego, zauważyli na dnie olbrzymiego szczupaka, którego zabito licznemi uderzeniami drągów w głowę. Po wydobyciu go z błota, zaniesiono tryumfalnie do poblizkiej szynkowni, gdzie okazało się, że ważył 63 funty. Ponieważ w tym połowie brało udział 7 chłopów i włościanka, która pierwsza była obryzgana błotem, podział szczupaka na części był bardzo trudny, każdy bowiem chciał otrzymać lepszą część — do łba zaś i ogona nikt nie miał pretensji.

Spór ten wywołał bójkę, którą załagodził szynkarz, ofiarując za szczupaka 10 rubli, na co się wszyscy zgodzili zwłaszcza, że na stole stała już flaszka z wódką i odpowiedniemi zakąskami.

Najlepszy interes na tym połowie zrobił właściciel szynkowni, bo i szczupak był jego i 10 rubli wróciło doń za wódkę. Jak mówią, w Białej wsi woda przerwała groble w stawach, więc zapewnie ze stawu tak olbrymi szczupak spłynął do Strugi.

* * *

Łużyczanie. Praski „Slovánsky Přehled" (wydawany przez Adolfa Czernego) zamieścił artykuł A. Bohacza o resztkach ludności łużyckiej w Prusach i Saksonji. Artykuł ten stawia bardzo pesymistyczne horoskopy dla żywotności łużyczan.

Prof. Bohacz opiera swe wywody na statystyce szkolnej Prus i Saksonji, podającej język ojczysty dzieci i notującej znajomość drugiego języka. Według tych obliczeń było w Saksonji w r. 1884 w szkołach dziatwy łużyckiej 6852, a w r. 1894 już tylko 6497, a w r. 1904 tylko 6113, co jest wobec przyrostu ludności aż nazbyt wymownym dowodem giermanizowania się rodzin łużyckich. W latach 1884—1894 ubyło przeto dziatwy łużyckiej 5,18 procent, a w następnem dziesięcioleciu 1894—1904 jeszcze więcej, bo 5,91 proc.; w ciągu dwudziestolecia 1884—1904 stracili łużyczanie 10,79 proc. dzieci, którym język łużycki był ojczystym. W tymże okresie liczba szkół utrakwistycznych, z językami wykładowemi dwoma, niemieckim i łużyckim, zmniejszyła się z 64 na 60. Obecną liczbę łużyczan w Saksonji oblicza prof. Bohacz na 57 000.

W Prusach oblicza ich na 85 000. Giermanizacja robi tu postępy zatrważające. Na Górnych Łużycach (okręg lignicki) było w r. 1886 uczniów łużyckich w szkołach 5,616; w r. 1906 już tylko 5,329, a więc ubytek wynosił 5,11 prc. W dziesięcioleciu 1896 do 1906 wzrosła liczba dziatwy łużyckiej o 1.11 prc., tj. na 5,388, tak, że ubytek wobec roku 1886 wynosił stosunkowo znacznie mniej bo 4,2 prc. O wiele gorzej jest w Łużycach Dolnych (okręg frankfurcki). W roku 1886 liczono tam uczniów łużyckich 8,763; w dziesięć lat później tylko 7,252, a po następnem dziesięcioleciu a więc w r. 1906 spadła ta liczba na 6,548 dziatwy szkolnej. Ubyło zatem w okresie 1896—1906 niemal 10 prc. łużyckich uczniów w szkołach ludowych. W całem zaś dwudziestoleciu ubyło z liczby 8,763 dzieci szkolnych aż 2,215, a więc przeszło czwarta część 25,16 prc.

Godnym uwagi jest fakt, że najbardziej i najrychlej giermanizują się łużyczanie na emigracji, w Westfalji i w prowincjach nadreńskich ci, które pochodzą z gmin łużyckich katolickich, z saskich Górnych Łużyc. Prof. Bohacz oblicza, że jeżeli nie zmienią się stosunki, to za sto mniej więcej lat łużyczanie będą wspomnieniem tylko z niepowrotnej przeszłości.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 42. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 października 1910.

CECYLJA KUHMERKEROWNA.

ZŁODZIEJKA.

Leżała w trawie, wilgotnej od spadającej rosy bujnej i wonnej, z rękoma splecionemi nad głową, wpatrzona w niebo, poddając się nieświadomie pętającej mocy idącej z pól dalekich, niezoranych, z mokradeł i gaju blizkiego. Krótki wiosenny dzień miał się ku końcowi, żegnany poświatą gwiazd, poszumem młodych liści.

Objęła ją żałość jakaś tęskna, bolesna, naszła nagle pamięć minionych dni i przykuła do miejsca, mimo nawoływań miasta rozgorzałego światłem. Jakby zapadła się w siebie i brudnymi palcami odgrzebywała stare, zapylone już obrazy.

Migały przed nią łany złociste, a ciężkie od ziarna, widziały jej się grzędy makowe, rozkołysane na smukłych pędach krwawe kielichy, stosy macierzanki nad rzeczką siną. Stanęły przed nią łąki wilgotne a lśniące rosą o świcie, i bór stary ciemny, a zły i gderliwy za poziomki, a jagody a jagody przeróżne zbierane, za mchy i paprocie deptane.

Były tam i sady wiśniowem kwieciem osypane, i zagrody niskie, białe w lipy pradziadowskie i dęby oprawne. Pochwytywała klekot bociani i fujarki pastusze, i trzask palonego chrustu na wzgórzach. Czasy to były, czasy...

I dziecko. Dreszcz ją pochwycił, takie się to bliskie zdało, to wszystko, wszystko minione.

Hanka, malutkie to było, a całe jakby z atłasu różowego, z oczętami niby te gwiazdy na niebie, i włoskami lnianemi, co to się w słońcu złotem rozpadały.

Pamięta jak po raz pierwszy chwiejna jeszcze i słaba na drogę wyszła z dzieckiem przy piersi, to jakby jej wszystkie drzewa pokłon oddały, bór stary aż się zaśmiał kalinnem kwieciem, ptaków moc zleciała pod nogi ze śpiewem a świergotem wesołym i ziemia cała w kwiatach a słońcu wtórem jej rozradowanemu sercu była.

Na przyzbie siadła, na ludzi czekając, co z pól idąc, na skarb jej patrzeć będą i dziwić się, skąd do niej chudziny, wyrobnicy biednej cudo i bogactwo takie.

Przyszli wreszcie, i jak hjeny powyciągali do niej ręce, z klątwą a groźbą i wymyślaniem, boć nieślubnem było.

Na czole jej pot zimny wystąpił, strach serce kleszczami ścisnął. Czemu to? Toć męką i bólem i głodem odkupiła miłowanie krótkie, a łzawe, i snać bożej łaski już dostąpiła, skoro śliczności takie na świat wydała, skoro serce już z głodu mrzeć nie będzie i na bezdrożach ciepła szukać, a troska macierzyńska ciężka, a trudna i radości pełna w życie jej zaszła.

A ludzie, mimo to, klęli, grozili, odtrącając ją od siebie, jak psa, i śliną gorzką dziecko oplwali. Kryła je, chowała przed niemi, a oni dzieciska swe swawolne nasyłali jej, do psót namawiając. I roboty jej dać nie chcieli, zakałą nazwali. Bezradna była i ogłuszona tem pomstowaniem ciągłem, nie pomogły ni łzy i nic prośby; wreszcie do księdza poszła, toż pasterzem był tej gromady, i posłuch miał u nich i poszanowanie wielkie.

Ale i tu się z krzykiem i oburzeniem spotkała i groźbą ognia piekielnego.

Nie rozumiała, dlaczego ta męka i poniewierka, co im to dziecko szkodziło, z woli nieba coraz ładniejsze i słodsze, jak zorza rumiane, jak ptaszę świergotem dzwoniące.

I musiała z sercem ciężkiem, pod dopuszczeniem tem się uginając, wioszczynę rodzoną a miłą opuścić, i do miasta pójść, by ludziom z oczu ujść, i kąta takiego poszukać, gdzieby dziecku się krzywda nie stała i zarobek się znalazł.

Mularki się jęła. Dzień cały, od świtu do wieczora, nienawykła do miastowego powietrza, do dźwigania ciężkości takiej, do ludzi obcych a dokuczliwych, przemęczyła w milczeniem zaciętem, w cichości, a potem jak strzała do izby owej brudnej a ciemnej, gdzie kątem mieszkała, pędziła, gdzie ją oczęta bławatne ze śmiechem witały, pieszczotą płacąc za ból każdy i poniewierkę. I zapomniała o wszystkiem i życie rajem się zdało.

Nie na długo. Nie długo trwał spokój, póty się nie dowiedzieli, nie dopytali prawdy. Odtąd już końca niedoli nie było, ni dnia ni nocy. Przy robocie, na każdym kroku, w domu, sąsiedzi, wszyscy jakby pomsty za grzechy swoje na niej szukali, wodze swej złości na niej puszczali.

W końcu już nietylko jej, ale i dziecka się czepiać poczęli, i raz wieczorem zastała je spłakane, bledziuchne, nie dające się dotknąć. Potłuczone było, siniaków pełne i rozbolałe.

Złość w niej wezbrała zwierzęca, własne palce kąsała w zapamiętaniu, biłaby każdego, ktoby się w chwili owej pod ręce był nawinął.

Przestała do roboty chodzić w obawie ciągłej i niepokoju, przywidywało jej się, że z każdego kąta i ręki każdej zatrata ku dziecku jej idzie i śmierć.

Jak rozjuszona wilczyca małe swe strzegła, nie odstępując go na chwilę, nienawiści pełna i jadu do ludzi, świata całego a w szczególności do dzieci, którym swobody i życia nie zatruwano.

Wkrótce chleba zabrakło, nie mogła samem dzieckiem żyć, pociechą się żywić i miłowaniem. Więc kraść poczęła.

W początkach ze strachem a drżeniem, niezręcznie do rzeczy się brała, każdy kęs łzami zlewając, bólem i męką się żywiąc. Musiała. Toć pono boska i ludzka w tem wola była, skoro na wspak stawiali jej zamierzeniom uczciwym, do grzechu przymuszając.

I kiedy ją pierwszy raz schwytali, na dni kilka zamknęli, w kłąb się zwinęła i bez ruchu leżała, nie otwierając oczu, nie tknąwszy jadła.

Przylgnęło potem do niej to „złodziejka“ jak odzież codzienna, strzegli jej się ludzie jak zapowietrzonej, nie szczędząc przezwisk i razów. A ona kradła coraz częściej, coraz śmielsza i pewniejsza.

Nie to jej jednak dolegało. Dziecko od tego pobicia nie wydobrzało już wcale, mizernieć poczęło a schnąć w oczach. Nie pomogły ni babskie leki, ni zaklęcia różne, ni woda święcona, mała leżała żółciutka, cicha, nie zaśmiawszy się do niej, nie patrząc na zabawki przynoszone. Wreszcie do lekarza ją wzięła, a ten spojrzawszy tylko ręką kiwnął: zapóźno...

I umarła na jej rękach, Bogu duszyczkę niewinną a zmęczoną oddała, na jej rękach zastygła i stężała. Nie po-

mogło nic, ni płacz, ni krzyk obłąkany, ni jęk, który włosy przez noc jedną obielił, ziemi skarb swój oddała i z mogiłki wracając, zesłabła zmęczona, nie wiedziała, co ze sobą ma zrobić, życie obmierzło, a świat cały śliczny, bogaty dla niej był ścierniskiem kłującem, które bose jej stopy rozdzierało, krwią jej się barwiąc.

Spocząć, nie żyć, nie męczyć dalej, kiedy już kogo bronić i żywić nie miała. Ale nie, coś się w niej wówcz s rozbudziło, jakby gadzina wokół serca się obwinęła i syczeć poczęła a namawiać. Czas jeszcze zemrzeć a z drogi ujść, przedtem ludziskom dokuczyć jeszcze może, a zapłacić, krzywdy swojej się pomścić wedle sił i możności.

Jakby w nią odtąd nowe siły wstąpiły i nowa dusza. Ognie się w niej jakoweś rozpaliły i pomsty szukały: chciwe udręki tych co dręczyli. Więc kradła bez potrzeby a z ochotą i radowaniem wewnętrznem.

Pomięta, szara, z chustką nasuniętą na twarz wychudłą i brzydką, snuła się jak pająk dokoła zakamarków i straganów, czekając chwili, w której ręka bezkarnie zagarnąć będzie mogła upatrzony przedmiot.

Wychodziła pod wieczór, kiedy ruch stawał się goretszy, a uwaga kupców znużona dniem całym, skupiała się li na kupujących. Wtedy ręka jej sucha z drapieżnem wygięciem palców wysuwała się z pod chustki i błyskawicznym ruchem zgarniała zdobycz. A potem zwolna, jak gdyby nic, szła dalej po żer dla głodnych zmysłów, spokojna, cicha i pewna siebie.

Nieraz zdarzało się, że rękę w powietrzu zawieszoną, w pół drogi ktoś zatrzymywał, wszczynał się gwar, rozruch, spadały na twarz jej, na plecy, ramiona szturchańce, kułaki ciężkie, bolesne, niekiedy wśród gawiedzi pędzono ją na policję, zamykając na klucz.

I po kilku dniach pojawiała się znowu na ulicy z głową podniesioną, zaprzątnięta myślą gdzie, jak, kiedy?

Nie poprzestawała na tem, wszędzie, gdzie szła, niszczyć pragnęła, a psuć ślad ręki ludziej i pracy i trudów. Czy to w polu zboże podeptać, czy w ogrodach kwiaty i krzewy z korzeniami powyrywać, czy szyby z wystawy wybijać, dzieci straszyć wpośród zabawy i bić, rozkoszując się płaczem.

Nieraz wieczorem na widok odsłoniętych okien, rozjaśnionych wewnątrz mieszkania twarzy, stawała z zaciśniętą pięścią, klątwą na ustach i kamieniem ciskając, wszywała się jak panterz w gąszcze, patrzął z oddali na blade widmo trwogi oplatające te dusze.

Często ręka rozszalała pod strzechę słomianą rzuciła iskrę i z bijącem głośno sercem patrzyła na zmieszanie tłumu, jak muzyki, słuchając narzekań.

Nieraz jednak przychodziły chwile niemocy, tęsknota rozdzierała duszę i jęk w niej się wówczas rodził i ból okrutny i żal na życie grzeszne i biedne. Wtedy piła, póki pamięci nie stało, a siły i mocy do dalszego trwania przybywało w dwójnasób. Nienawiść w niej rosła i uzbroiła ręce w narzędzie drapieżne, nieustraszone, sięgające po odwet.

Nie mogła zasnąć bez dalekiego choćby widziadła czyjejś obawy, lub rąk załamanych, czy bezsilnej, ubezwładniającej złości.

Bać się jej poczynali, a wiedźmą nazywać, nieczyste znającą sprawki, co ze śmiechem, ukazującym żółte, spróchniałe zęby, potwierdzała. Nie sposób się było jej pozbyć, ominąć lub przewidzieć, dziś tu, jutro tam, szerzyła zniszczenie.

Pod oczy zaświecił jej się nagle blady, omroczony księżyc i jakby przypomnienie rzucił a świadomość myśli rozbujałej. Porwała się z miejsca i szybko biec poczęła ku miastu....

Teorja zdrady.

Świadomy ruch zawodowy nie może się inaczej rozwijać, jak tylko na podstawie zupełnego zrozumienia przeciwieństwa pomiędzy kapitałem a pracą. Robotnicy, którzy budzą się ze swej obojętności i chcą osiągnąć lepsze warunki ekonomiczne, muszą przedewszystkiem, zanim przystąpią do czynu, poznać dokładnie swój stosunek do przedsiębiorcy. Z niego bowiem wysnuwa się cała taktyka nasza i on jest punktem wyjścia strategji zawodowej.

Robotnik, który nic innego nie może nazwać swą własnością, jak chyba tylko siłę roboczą rąk swoich, przychodzi do przedsiębiorcy, szczęśliwego posiadacza fabryk i złączonych z niemi maszyn i narzędzi pracy, prosząc o dopuszczenie go do pracy. Fabrykant godzi się na to i przybyszowi pozwoli pracować przy swoich maszynach, w swojej fabryce. Robotnik pracuje pilnie godzinę za godziną i po ukończonej np. 10-godzinnej pracy, przychodzi do przedsiębiorcy, żądając całej wydajności swej pracy. Przedsiębiorca patrzy na niego jak na szaleńca: „Co? chcesz wziąć wszystkie plony swej pracy? wszystko, coś zarobił? Szaleńcze! Czy myślisz, że pozwoliłem ci pracować w mej fabryce i memi narzędziami pracy jedynie dla twych pięknych oczu? Fabryka i maszyny są moje i za to właśnie, że są moje, żądam wynagrodzenia". I przedsiębiorca płaci robotnikowi drobną część jego zarobku, tyle akurat, aby mógł żyć nędznie i jutro znowu stanąć do pracy. Resztę zarobku, którą robotnik ciężko zapracował — chowa jako zysk do swojej kieszeni.

To jest właśnie żelazne prawo gospodarki kapitalistycznej, że robotnik, dlatego, że nie posiada własnych narzędzi produkcji, nigdy nie może stać się właścicielem całej wydajności swej pracy. Ogromną część swego zarobku musi on oddać kapitaliście, a jemu samemu zostaje tyle zaledwie, by mógł pędzić nędzne życie z dnia na dzień. Przepaść, która skutkiem tego otwiera się pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą jest niezgłębiona. I inaczej być nie może, jak tylko, że robotnik ustawicznie dąży, by jak największa część plonów jego pracy jemu się dostała, kapitalista zaś przeciwnie, chce wziąć najwięcej dla siebie, a robotnikowi rzucić jak najmniejszy ochłap. Z konieczności więc musi przyjść do walki między tymi ludźmi, związanymi z sobą, a dążącymi do wprost przeciwnych celów.

Przeciwieństwo klasowe pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą jest tak silnie ekonomicznie ugruntowane, tak głęboko tkwi ono w ustroju świata, że nieustannie rewolucjonizuje ono ducha i myśl ludzką. Im kapitalistyczny sposób wytwarzania bardziej jest rozwiniętym, tem te przeciwieństwa klasowe występują jaskrawiej i ostrzej. Naturalnie w interesie przedsiębiorców leży, aby robotnicy tego przeciwieństwa nie spostrzegali i nie zrozumieli. W tym celu posługują się rozmaitemi sztuczkami, mającemi na celu zasłonięcie prawdziwego stanu rzeczy. Przedsiębiorcy wiedzą, że im mniej dotkliwiej odczuwają robotnicy przeciwieństwa klasowe, tem łatwiej godzą się ze swem położeniem i okazują mniejszą pohopność do walki z przedsiębiorcami.

Dążenie przedsiębiorców, aby robotników omamić i ukryć przed nimi istotny stan rzeczy, znajduje najlepszy swój wyraz w znanej teorji o harmonji interesów kapitału i pracy, którą właśnie żółte związki i im pokrewne narodowe i chrześcjańskie chcą w czyn wprowadzić. Organy tych tworów kapitalistycznych piszą ustawicznie o dążeniu w tym kierunku, a statuty żółtych związków jako najwyraźniejszy cel swój stawiają: dążenie do porozumienia pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Nie jest to niczem innem, jak zwykłą obłudą, tem wstrętniejszą i podlejszą, że uprawiają ją ci właśnie, którzy swój interes klasowy i jego obronę zrozumieli dokładnie i dawno. Przedsiębiorcy gotują się do walki, gdy jednak to samo stanowisko zajmą robotnicy, wówczas powstaje święty krzyk oburzenia. Przeciwieństwo klasowe jest dziś tak silne i tak logicznie wynika z obecnych stosunków ekonomicznych, że żadne nawet najpiękniejsze teorje ani usunąć, ani załagodzić go nie potrafią. A z przeciwieństwa klasowego walka klasowa wynika już sama.

Pokojowo usposobieni „żółci" i „chrześcjańscy" chcą tymczasem tej walki uniknąć, nie chcąc „narażać robotników na niebezpieczeństwa i straszne skutki strejków". Gdyby nawet poza tem nie kryła się wstrętna myśl zdrady i łamistrejkostwa, to i tak teorja ta byłaby bezdennie głupią i naiwną. Gdyby robotnicy nie byli przygotowani i zdolni

do walki, natenczas nigdy nie mogliby stworzyć pożądanej siły. A przedsiębiorcom imponuje dziś tylko siła i przed nią tylko gotowi są ustąpić i zgodzić się na polepszenie warunków pracy. Nawet wtedy, gdy organizacja nie strejkuje, to już samo, że strejkować może, wywiera na przedsiębiorców pożądany wpływ i oszczędza często ciężkiej i długotrwałej walki.

Robotnicy, którzy już z góry zrzekają się wszelkiej myśli o walce, sami wytrącają broń z swoich własnych dłoni. Nie pozostaje im nic innego, jak tylko zdać się zupełnie na łaskę i niełaskę swego przedsiębiorcy i w pokorze wyczekiwać, czy nie zechce on rzucić im jakiegoś ochłapu. A przecież postępowanie takie nietylko niegodne jest uczciwego człowieka, lecz nadto jest bezdennie głupie, gdyż przecie przedsiębiorca sam z własnej ochoty bezbronnym robotnikom nigdy nic nie da. Przedsiębiorcy wtedy skłonni są tylko do ustępstw, gdy czują nóż na gardle i wiedzą, że ustąpić muszą. Mimo to wszystko, żółte związki jako główną zasadę stawiają, że „członkom ich nie wolno przyłączać się do strejków, które należy oceniać jako prowokację pracodawców".

A wreszcie jakże głupia i niemniej obłudna jest teorja żółtych o oszczędności! Opowiada się robotnikom, by co tydzień wkładali do swej organizacji 1 mk., to dzięki dodatkom, składanym przez przedsiębiorców, z końcem roku będą mogli otrzymać 60 mk. Co za szczęście ogromne, co za łaska, 60 mk. zamiast 52! O tem, że gdyby robotnicy te same pieniądze wpłacali do prawdziwie robotniczej organizacji, daleko większą mieliby z tego korzyść, milczy się zawzięcie. Związki zawodowe wypłacają swym członkom zapomogi w czasie braku pracy, podróży, choroby, na wypadek nieszczęścia itd. imponujące wprost sumy. Różnica pomiędzy związkami żółtymi a robotniczymi jest ta, że organizacje żółte są nędznemi stowarzyszeniami oszczędnościowemi, a związki zawodowe potężnemi instytucjami ubezpieczeniowemi na wszystkie, grożące egzystencji robotnika wypadki.

Przedewszystkiem jednak — i to jest decydujące — związki zawodowe zdobywają podwyżki płac i lepsze warunki pracy, co dla robotników ma daleko większe znaczenie, niż wszystkie żółte oszczędności. Przedsiębiorca każdy z ochotą wyda parę tysięcy marek żółtemu stowarzyszeniu, gdyż rozumie on, że w ten sposób oszczędzi dziesięciokrotnie, nie potrzebując podwyższać płac i skracać czasu pracy. Gdyby to robotnicy wszyscy umieli tak dobrze liczyć, jak przedsiębiorcy!

W krótkich zarysach i zupełnie objektywnie przedstawiliśmy tutaj teorję „żółtych" i jedyny rezultat, jaki z niej można osiągnąć.

Marja Konopnicka

W r. 1902 czcił proletarjat polski wraz z resztą narodu 25-letni jubileusz działalności wielkiej poetki, dziś wraz z całą Polską opłakuje jej zgon.

Marja Konopnicka nazwana została „poetką proletarjatu", bo nikt przed nią nie wyśpiewał tak wymownie nędzy i krzywdy ludu. Wielka miłość ludu, głębokie zrozumienie i odczucie uczuć jego, trosk, cierpień, zmagań się i walk, to tło zasadnicze, na którem Konopnicka tkała swe przepiękne pieśni, poematy, utwory prozą.

Dzieło jej największe, dzieło całego życia, na krótko przed śmiercią ukończone, „Pan Balcer w Brazylji" to epopeja tułactwa i martyrologji polskiego ludu, gnanego nędzą i krzywdą po całej ziemi.

„Nie wam słowiki, wtórzyć przychodzę
Nie z tobą różo, kwitnąć przy drodze
. . . . . .
Lecz z tobą płakać, człowieku!

Człowiek, społeczeństwo jest jej poezji całej przedmiotem. Jak wszyscy nasi najwięksi poeci, tkwi ona głęboko w społecznych narodu sprawach i tem przedewszystkiem jej cała działalność poetycka wyrasta ponad pokolenie współczesnych poetów. Dlatego wszyscy ją rozumieli, w izbie robotniczej czy chłopskiej chacie poezje Konopnickiej budziły dusze i uczyły czcić piękno.

Marja Konopnicka z domu Wasilowska urodziła się w r. 1846 w Sieniątkach. Ojciec z zawodu prawnik dał jej pierwsze wychowanie. Po ukończeniu pensji Sakramentek w Warszawie wyszła za mąż w 16 roku życia za Jarosława Konopnickiego, właściciela dóbr Bronów. Nie długo jednak była gospodynią obywatelskiego dworu. Od r. 1870 mieszka stale w Warszawie z małemi przerwami do r. 1890.

Pierwszem wrażeniem, które utajone zdolności poetyckie rozpętało, była podróż w Tatry a cykl wierszy „W górach" pierwszym utworem. W ślad za nim poszedł szereg dalszych utworów zamieszczanych w „Tygodniku illustrowanym".

Pierwszy tom poezji ukazał się w r. 1881. W r. 1884 obejmuje redakcję pisma dla kobiet „Świt", w którem zamieszcza ogromną ilość studjów literackich, feljetonów, sprawozdań.

Odrazu dwie pierwsze serje poezji postawiły Konopnickę bardzo wysoko.

Ważnym momentem w twórczości poetki stała się podróż do Włoch, pod włoskiem niebem otworzyła się jej dusza na wrażenie, płynące z piękna natury i sztuki.

W latach do 1892 pojawiają się kolejno „Poezje — serja II"; „Wrażenia z podróży", nowela pt. „Wojciech Zapała",rzecz poświęcona Kraszewskiemu „Nad mogiłą", „Poezje — serja III", „Cztery nowele"; „W piwnicznej izbie"; „Wybór poezji"; nowele pod tytułem zbiorowym „Moi znajomi". W r. 1892 drukuje Konopnicka w „Bibljotece Warszawskiej" „Prometeusza i Syzyfa" i początek eposu pod tytułem „Pan Balcer w Brazylji", którego od tego czasu pisze aż do r. 1909, kiedy wyszedł we wspaniałem wydaniu książkowem.

Dalej ukazują się nowele „Na drodze", zbiór poezji „Listy", wreszcie IV serja „Poezji". W r. 1897 „Nowele" dalej „Dym", „Ludzie i rzeczy", na konkursie „Prawdy" otrzymuje nagrodę za poemat „Przez głębinę", w ostatnich latach okazuje się „Italja", wreszcie dzieło najznakomitsze „Pan Balcer w Brazylji".

Prócz dzieł oryginalnych wydała Konopnicka długi szereg tłomaczeń obcych arcydzieł, Heysego, Heinego, Vrchlickiego, Ady Negri, Hauptmana, Platona Kosteckiego, Rostanda.

Ten ogromny dorobek artystyczny nie jest jeszcze zupełny, poetka jest autorką wielu rozpraw i studjów literackich, więc o „Odzie do miłości", o „Adamie Asnyku", o dramacie Hauptmanna „Święto pokoju", o „I i II części „Dziadów Mickiewiczowskich"; pisze studja z dziedziny estetyki „Na ostrzu pióra. Pracownia"; rozprawy pt.: „Mickiewicz i jego duch"; o „Juljuszu II" Klaczki, rzecz pt. „Z Roku Mickiewiczowskiego", „O Teofilu Lenartowiczu" itd.

Wydała nadto 10 książeczek dla dzieci, w swoim stylu arcydzieł: „Moja książeczka", „Wesołe chwile małych czytelników", „Wiosna i dzieci", „W domu i w świecie", „Czytania dla Tadzia i Zosi", „Pod majowem słonkiem", „O Janku, wędrowniku", „Szczęśliwy światek", „Historja o krasnoludkach i sierotce Marysi", „Nowe latko".

W r. 1890 opuszcza Konopnicka Warszawę, przebywa we Francji, Włoszech, Niemczech, powracając co pewien czas do ojczyzny.

W roku jej jubileuszu ofiarowano jej jako dar honorowy posiadłość wiejską Zarnowiec pod Krosnem, gdzie przebywała prawie stale, póki zły stan zdrowia nie zmusił ją do częstych wyjazdów na południe i do zagranicznych sanatorjów.

Od miesiąca bawiła w zakładzie „Kiselki". Od lat 15 cierpiała na serce i ta choroba wraz z zapaleniem płuc sprowadziła śmierć.

Do ostatniej chwili żywo interesowała się sprawami publicznemi, żywo omawiała ostatnie wypadki w Portugalji. Przy łożu chorej byli syn, córka p. Pytlińska i serdeczna jej przyjaciółka p. Dulębianka.

MARJA KONOPNICKA.

WSTAŃ, O DZIECIĘ!

Wstań, o dziecię! Idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnem naszem niebem
Kłosy brzęczą żytnim chlebem,
Jako struny szklane...
Idź i słuchaj — a w tym szumie
Może serce twe zrozumie,
Jakie to tam rosy świecą,
Jak masz uczcić dolę kmiecą
I zgrzebną sukmanę.

Rozmaitości

Zimne światło. Znane już oddawna w Ameryce światło Moore'a, wynalazek amerykanina M. F. Moore'a zaczyna się w ostatnim czasie rozpowszechniać także w Europie, zwłaszcza w Niemczech. Światło to różni się zarówno pod względem chemicznym jak i fizykalnym najzupełniej od wszystkich znanych dotąd i używanych rodzajów sztucznego oświetlenia. Podczas gdy przy każdem innem świetle przeważna część doprowadzonej siły przemienia się w ciepło, a tylko pewien niewielki procent siły służy do wytwarzania samego światła, lampa Moore'a jest prawie wolna od tej wady. Z tego też powodu światło Moore'a bywa także nazywane „zimnem światłem". Ciałem świecącem jest tu długa rura szklanna, podobna do rurek Geislerowskich, które również są napełnione rozrzedzonym gazem i w chwili, gdy przebiega przez nie prąd elektryczny, rozbłyskają wspaniałem światłem o rozmaitych barwach.

Lampa Moore'a zużywa bardzo wiele prądu; światło jej różni się od wszystkich innych rodzajów światła, jest bowiem bardzo łagodne i przypomina najbardziej stłumione światło dzienne. Praktyczne próby wynalazku odbyły się w Ameryce już przed kilkoma laty, na wystawie w Nowym Jorku, kiedy oświetlono zimnem światłem Moore'a w tym celu zbudowaną kaplicę. W Europie wiedziano o niem oczywiście, ale w praktyce zastosowano je po raz pierwszy dopiero niedawno.

Ale obok wielkich zalet ma zimne światło Moore'a także pewne strony ujemne, pewne wady. Przedewszystkiem nie nadaje się ono wcale do prywatnego oświetlenia domu i wogóle nigdzie tam, gdzie nie używa się równocześnie całej ilości światła. Pod względem taniości nie wytrzymuje konkurencji z lampami z nici metalowych, które obecnie tak bardzo się rozpowszechniły. Spotrzebowuje bowiem 25% więcej prądu. Dalszą wadą jest to, że wszędzie, gdzie jest zaprowadzone światło Moore'a, musi obok istnieć inne światło. Już drobny błąd jednej tylko lampy mającej długość 20 aż do 60 metrów, powoduje natychmiast zgaśnięcie lamp wszystkich, gdyż wszystkie łączą się ściśle w jednym szeregu. Tak więc do oświetlenia mieszkań prywatnych światło Moore'a nie będzie być mogło nigdy zastosowane. Natomiast nadaje się ono do oświetlenia frontu domów, szyldów, wielkich sal teatralnych czy koncertowych, dworców kolejowych, wogóle tam, gdzie cenę mniej się bierze w rachubę i gdzie chodzi przedewszystkiem o uzyskanie wybitnego światła.

* * *

Carska zgraja złodziejska w mundurach. „Kijewskaja Myśl" oblicza na podstawie danych, zgromadzonych przez sędziego śledczego von Romera, jakie łapówki pobierali aresztowani obecnie intendenci kijowskiego okręgu intendentury. Według tego rachunku gienerał Komsarakan otrzymał ogółem 77 747 rubli, I. Tichonow 162 031 rb., podpułkownik Dmitrjew 36 293 rb., pułkownik Dacenko 9651 rubli, pułkownik Antonow 8531 rb., podpułkownik Woskriesienskij 13 889 rb., podpułkownik Filipow 8249 rb., pułkownik Ał Kałajew-Karagieorgiew 8199 rb., rad. kol. Bibikow 9128 rb., rad. nadw. Makarienko 30 350 rb., rzecz. rad. stanu Zdanow 320 rb., kapitan sztabu Ingler 1676 rb., kapitan sztabu Kułczyckij 12 515 rb., rotmistrz Bibikow 25 578 rb., kapitan Bankowski 19 861 rb., pułkownik Andruszkiewicz 8265 rb, rad. dw. von Klugen 1772 rb., rzecz. rad. stanu Barziłowskij 10 991 rb., kapitan Nloti 7647 rb., kapitan sztabu Sołowjew 8258 rb., kapitan Szirow 3808 rb., asesor kol. Figiman 7138 rb., radca tyt. Stasiuk 4197 rb., radca kol, Juszkow 5997 rb. Ogółem wszyscy ci intendenci otrzymali łapówek na sumę 482 661 rubli.

* * *

Owoce wstrzemięźliwości. Jak wiadomo, w roku zeszłym powstał w Niemczech ogólny bojkot piwa wskutek podwyższenia cen tego napoju ze strony piwowarów. Otóż robotnicy jednej z największych fabryk w Dortmundzie, idąc za powszechnym prądem, postanowili również nie używać piwa w czasie pracy. Zarząd fabryki, widząc, że taki bojkot przynosi korzyści tak robotnikom, jak i fabryce, zakazał sprzedaży piwa w kantynie. Rezultat praktyczny bojkotu piwa ze strony robotników okazuje się w następujących zestawieniach statystycznych.

Otóż fabryka ta zatrudniała średnio 5500 robotników, którzy przed podwyższeniem ceny piwa wypijali w czasie roboczym rocznie za 29 283 mk. piwa. Za tę samą ilość piwa byliby robotnicy po podwyższeniu ceny zapłacili 35 447 marek. Średnio używało piwa w czasie pracy 400 robotników. Uwzględniając wyższe ceny piwa, oszczędzili sobie zatem ci robotnicy przez bojkot piwa po 88,62 mk. na każdego. — Oprócz tego dzięki zaprzestaniu picia piwa w czasie pracy, podwyższył się przeciętny zarobek o 63,72 mk. Jeśli doliczymy do tego oszczędności wskutek bojkotu piwa poczynione, uzyskał każdy robotnik 152,34 marki. więcej zarobku. — Zmniejszyła się też liczba wypadków chorób. Podczas gdy w marcu roku 1909 zmudzono wskutek choroby 227 dni roboczych, przypada na ten sam miesiąc bieżącego roku tylko 204 dni zmudy. — Bez uniewinnienia zmudziło pracę 41, z uniewinnieniem 33 robotników mniej, aniżeli roku poprzedniego. W marcu 1909 żądano 221, w marcu 1910 tylko 160 poświadczeń choroby. Liczba świadectw lekarskich za jednorazową wizytę lekarza zmniejszyła się znacznie liczba cierpień żołądkowych i kiszkowych. Po ogłoszeniu bojkotu piwa było też wiele mniej sprzeczek i kłótni we fabryce, aniżeli dawniej.

Owoce dodatnie usunięcia piwa z fabryki były tak wszechstronne i widoczne, że zarząd fabryki postanowił nie sprzedawać piwa nadal w kantynach fabryki mimo ustania bojkotu.

Z literatury i sztuki

Numer 41 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Marja Konopnicka. — Anna Grudzińska: Eliszka Konarówna. — M. Konopnicka: Wstań, o dziecię! — Wacław Sieroszewski: Inwalidzi. — M. Hantowerówna: Nasza klasa. — M. Konopnicka: Nasza chata. — Ze świata: Rewolucja w Portugalji. — Łamigłówka. — Rozwiązanie.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 43. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 października 1910.

GUY DE MAUPASSANT.

WŁÓCZĘGA.

Przy całej swej nędzy i ułomności miał i on niegdyś lepsze czasy.

Gdy miał 15 lat, jakiś wóz na drodze do Varville zmiażdżył mu obie nogi. Od tego czasu żebrał. Z trudem przewalał się na szczudłach i wlókł się drogami, wstępując do zagród chłopskich. Szczudła podniosły mu ramiona prawie do uszu i wyglądał, jakby głowa mu zapadła pomiędzy dwie góry. Ksiądz z La Villetes znalazł go jako małe dziecko w wieczór Wszystkich Świętych w rowie i dlatego ochrzczono go „Mikołajem Toussaint“. Wyrósł potem w przytułku, niewychowywany przez nikogo. Piekarz ze wsi dał mu kiedyś do wypicia parę kieliszków wódki; odurzony napojem, dostał się pod wóz i został kaleką. Była to bardzo zabawna historja. A teraz stał się czystym włóczęgą i umiał tylko wyciągnąć rękę po jałmużnę.

Baronowa d'Avary dawała mu dawniej miejsce do spania — napełniony sianem kąt około obory i mógł mieć zawsze pewność, że w dniach, gdy będzie głodny, dostanie u niej w kuchni kawałek chleba lub szklankę jabłeczniku. Niekiedy też stara pani rzucała mu z balkonu lub z okna parę su. Ale teraz nie było jej już na świecie.

Po wsiach nie dostawał już nic. Zanadto go znano, wszyscy mieli go już po uszy. Od czterdziestu już lat widywano tę obdartą, koślawą postać, wlokącą się na kulach od chaty do chaty. Ale nie chciał się wynosić, bo na całej ziemi znał tylko ten zakątek, te trzy czy cztery wioski, gdzie wlókł swój nędzny żywot. Swym obchodem żebraczym zakreślił ciasne granice i nigdy poza nie się nie wychylał.

Nie wiedział nawet, czy wogóle świat ciągnie się dalej, poza owe drzewa, które przeszkadzały mu patrzeć w dal. Nie zastanawiał się też nad tem nigdy.

Chłopom sprzykrzyło się już spotykać go ciągle na polach i miedzach i zawsze krzyczeli na niego:

„Dlaczego nie pójdziesz do innych wiosek, jeno zawsze drepcesz tutaj?“

Nie odpowiadał na to i wymykał się, przechodziła go nieokreślona bojaźń obczyzny, bojaźń bezdomnego nędzarza. Bał się tysiąca rzeczy, nowych twarzy, obelg, podejrzliwych spojrzeń i policji. Gdy dostrzegał żandarmów, idących we dwóch drogą, wpełzał instynktownie w krzaki, lub chował się za stosem kamieni. Gdy tylko zobaczył błyszczące w słońcu ich uniformy, członki jego nabierały nagle szczególnej zwinności — instynktownej zwinności potworka, który się stara kryć. Zsuwał się ze szczudeł i opadał na ziemię, jak kawał materji. Potem zwijał się w kłębek, stawał się coraz mniejszy i niewidoczniejszy. Skulał się jak zając w swem legowisku i brunatne jego łachmany nieomal nie różniły się od ziemi.

Zresztą nigdy jeszcze nie miał do czynienia z policją. Ale leżało mu to we krwi, jak gdyby swój lęk i skrytość odziedziczł po rodzicach, których nigdy nie znał.

Na całym świecie nie miał schronienia, przytułku, dachu nad głową. W lecie spał, gdzie się zdarzyło, a w zimie zakradał się z niesłychaną zręcznością do stodół lub obór. Umiał się zawsze ulotnić, zanim go ktoś zauważył. Znał doskonale dziury, przez które można była dostać się do budynku. Wskutek używania szczudeł ramiona jego nabrały niezwykłej siły; czepiając się rękami, dostawał się aż na podstrzesze. Tak pozostawał niekiedy cztery do pięciu dni, nie ruszając się z miejsca, jeżeli przy którejś wędrówce zebrał dostateczne zapasy.

Tak żył wśród ludzi jak zwierzę leśne. Nie znał nikogo i nikogo nie kochał. W chłopach budził tylko pewien rodzaj obojętnej wzgardy i zrezygnowanej niechęci. Nadano mu przydomek „Dzwon“ bo dyndał pomiędzy dwoma szczudłami jak dzwon pomiędzy podporami.

Od dwóch dni nic nie jadł. Nikt mu już nic nie dawał. Nie chciano wreszcie mieć z nim do czynienia. Gdy chłopi widzieli go zdaleka podchodzącego, wołali mu: „Wynoś się łajdaku. Dopiero przed trzema dniami dałem ci kawałek chleba“.

Wtedy zawracał szybko i szedł do najbliższej chaty, gdzie go przyjmowano tak samo. Kobiety, stojące przede drzwiami wołały do siebie: „Nie można przecież paść tego lenia przez cały rok.“ Mimo to leń potrzebował codzień coś jeść.

Przewędrował już St. Hilaire, Varville i Les Villetes, ale nie dostał ani centyma, ani skórki chleba. Pozostała mu tylko nadzieja dostania czegoś w Tournelles. Ale było do tej wsi dwie mile, a czuł się tak znużony, że ledwie ruszał się z miejsca. W żołądku miał taką samą pustkę jak w kieszeni. Jednakże ruszył w drogę.

Było to w grudniu. Zimny wiatr dął przez pola i gwizdał w nagich gałęziach. Mroczne chmury ciężko zwisały i pędem gnały po niebie niewiadomo dokąd. Kaleka z największym wysiłkiem przestawiał szczudła i pomagał jedyną zniekształconą, owiniętą w łachmany nogą, która mu pozostała.

Czasami siadał na miedzy i spoczywał przez parę chwil. Głód napełniał go niejasną, zawrotną trwogą. Miał jedną tylko myśl: jeść. Ale nie wiedział, jak sobie z tem poradzi.

Przez trzy godziny wlókł się tak mozolnie długą drogą. Gdy wreszcie ujrzał pierwsze drzewa wsi, przyśpieszył kroku.

Pierwszy chłop, którego spotkał i poprosił o datek, odpowiedział mu: „Znowu tu jesteś, stara piło? Czy nigdy nie zostawisz mnie w spokoju?“

I „Dzwon“ poszedł dalej. Przy każdych drzwiach fukano na niego, odprawiono go i nie dawano mu nic. Pomimo to szedł dalej z niezłomną cierpliwością, ale nie dostał ani su.

Potem szedł na dwory chłopskie. Zmordowany do tego stopnia, że ledwie mógł podnosić szczudła, kroczył po ziemi, rozmiękłej od deszczu. Wszędzie wypędzono go. Był to jeden z owych zimowych, chmurnych dni, gdy serca ludzkie jakby zamykają się, gdy ludzie łatwo wpadają w

złość i w duszach ich panuje mrok — gdy żadna ręka nie otwiera się do datku lub pomocy.

Kieky odwiedził wszystkie domy, które znał, przypadł do ziemi na miedzy, przytykającej do zagrody gospodarza Chicota. „Odczepił się“ przepuszczając szczudła pod ramionami i ześlizgując się po nich. Potem pozostał bez ruchu na ziemi. Głód dręczył go, lecz nędzarz zbyt już otępiał, aby odczuwać swą bezgraniczną niedolę w całej pełni. Instynktownie spodziewał się jeszcze czegoś, tą słabą nadzieją, która ludzi nigdy nie opuszcza zupełnie. Zawsze oczekujemy jeszcze od Boga lub bliźnich jakiejś tajemniczej pomocy, nie wyobrażając sobie jasno, jak, kiedy i skąd ma przyjść.

Zbliżyło się do niego stadko czarnych kur. Szukały one pokarmu na ziemi, żywiącej wszelkie stworzenia. Co chwila dzióbały jakieś ziarnko lub niewidoczny owad i powoli szukały dalej.

„Dzwon“ przyglądał się im bezmyślnie. Nagle zaświtała mu myśl, jak dobrze byłoby upiec jedno z tych stworzeń na ogniu z chrustu i zjeść je. Myślał to więcej żołądkiem niż głową, właściwie było to raczej samo czucie niż myśl.

Ani przez chwilę nie uprzytomnił sobie, że popełniłby przez to kradzież. Pochwycił jeden z leżących wpodle kamieni i celnym rzutem zabił pierwszą z brzegu kurę. Ptak zatrzepotał się i upadł na bok. Inne zadyrdały na swych drobnych nóżkach i uciekły. „Dzwon“ wlazł teraz znowu na szczudła i podniósł się aby zabrać zdobycz. Ruchy jego przytem prawie zupełnie przypominały ruchy kur.

Gdy dosięgnął czarnego ciałka z główką, zbroczoną krwią, dostał nagle straszliwe uderzenie w plecy, tak, że wypuścił szczudła i odleciał o parę kroków. Z niepohamowanem oburzeniem rzucił się teraz gospodarz Chicot na złoczyńcę i zaczął go wściekle bić. Walił po warjacku, jak umie walić tylko okradziony chłop, okładał pięściami i kolanami kalekę, który nie mógł się bronić.

Wszyscy ludzie z zagrody przybiegli i pomagali swemu panu bić żebraka do nieprzytomności. W końcu znudziło im się to, dźwignęli go więc, wynieśli, zamknęli go w drwalni i zawołali policję.

„Dzwon“ był nawpół martwy, broczył krwią i prawie konał z głodu. Tak pozostał na ziemi. Przyszedł wieczór, noc i znów poranek. Ciągle jeszcze nic nie jadł.

Około południa przybyli żandarmi i z największą ostrożnością otworzyli drzwi. Przygotowali się na zaciekły opór, bo gospodarz Chicot twierdził, iż żebrak go napadł, tak, że z trudnością zdołał się mu obronić.

— Wstać! — krzyknął wachmistrz.

Ale „Dzwon“ nie mógł się już ruszyć; próbował, co prawda, podnieść się na szczudłach, lecz mu się to nie udało. Wzięto to za udawanie i chytrość, za czystą złośliwość i obaj uzbrojeni ludzie ofuknęli go szorstko, złapali i przemocą postawili na szczudłach.

Teraz ogarnął go wrodzony strach przed mundurami, strach, którego doznaje szczwana zwierzyna wobec myśliwca i mysz wobec kota. Nadludzkim wysiłkiem udało mu się trzymać się prosto.

— Jazda — rzekł wachmistrz. — „Dzwon“ poszedł. Wszyscy domownicy przyglądali się, jak go odprowadzano, kobiety groziły mu pięściami, mężczyźni uśmiechali się drwiąco i rzucali za nim najrozmaitsze wymysły. Dobrze mu tak. Nareszcie złapano go za pierze. Teraz uwolnili się od niego.

Oddalał się pomiędzy dwoma swemi strażnikami. Z rozpaczliwem wytężeniem zdołał wlec się znów aż do wieczora. Zupełnie już otępiał i nie wiedział, co się z nim dzieje. Był zanadto oszołomiony, aby jeszcze coś rozumieć.

Po drodze ludzie zatrzymywali się, aby go obejrzeć, chłopi pomrukiwali: „Złodziej“!

Około wieczora przybyli do powiatu. Tak daleko nigdy jeszcze nie zachodził. Nie uświadamiał sobie dobrze, co to wszystko ma znaczyć i co jeszcze z tego będzie. Wszystkie te straszne, niespodziane rzeczy, wszystkie twarze i obce domy wprawiały go w zupełne odurzenie. Nie mówił ani słowa, nie miał wszak nic do powiedzenia, bo nic nie rozumiał. Zresztą przez tak długie lata z nikim nie rozmawiał, że prawie oduczył się mówić i myśli jego były zbyt bezładne, aby mógł je ująć w słowa.

Wsadzono go do aresztu miejskiego. Żandarmi nie pomyśleli o tem, aby mu dać co jeść, tak że pozostał znów o głodzie do następnego rana.

Gdy nazajutrz przyszli zabrać go na badanie, znaleźli już tylko trupa. Była to niespodzianka.

Amerykański kapitalizm.

Jerzy Waszyngton w ostatnich latach przed śmiercią był najbogatszym człowiekiem w Ameryce. Umierając w 1799 r. pozostawił spadkobiercom skromną sumę 3 miljonów dolarów. (Dolar 4,50 mk.). Dzisiaj jest w Ameryce 10 ludzi, których majątek razem wzięty wynosi 10 miljardów, jest nadto 500 innych, u których majątek przenosi u każdego sumę 15 miljardów; trzecia grupa 5000 kapitalistów może rozporządzać ogólną sumą 50 miljardów dol.

Rzecz prosta, że wobec tylu nagromadzonych kapitałów musi się znaleźć ktoś, co je wydaje. Zadanie to w pierwszym rzędzie wzięły na siebie kobiety. Gdy tylko lato zawita, udają się na potężnych parowcach w podróż do Europy. Tam zostawiają tysiące, miljony. Salony ich w Ameryce są miejscem wystaw dla wszystkiego, co piękne. Tam gromadzą przedmioty, zakupione w Europie przez amerykanów, będąc ciągle w pogoni za dziełami nowemi. W samym Nowym Jorku wymieniają przeszło 100 pań, które rocznie wydają na ubiory 150 tysięcy dolarów; przeszło 1000 zadawalnia się na ten cel sumą 75 tysięcy. Trzeci rodzaj stanowi 5000 innych, które na ubranie swe potrzebują rocznie „zaledwie“ 3000.

Roczny bilans miljarderki wykazuje w przybliżeniu następujące sumy. Suknie balowe 40 000 dol., spacerowe 25 tysięcy dol., okrycia 12 000 dol., bielizna 15 000 dol., buciki 5000 dol., rękawiczki 3000 dol., kapelusze 7000 dolarów. Prócz tego posiada każda z nich swoje osobne upodobania.

Jedna zbiera namiętnie chusteczki do nosa i pokazuje gościom wspaniałe ich zbiory. Ponieważ Ameryka nie posiada w tym kierunku „okazów“ niezwykłych, zatem sprowadza się je z Paryża. A wtedy płaci się za tuzin 300 mk., że zaś osobno zrobione są na zamówienie, zatem należy zakupić 12 tuzinów.

Druga wydaje kapitały na zbiory jedwabnych pończoch. „Te naprzykład — mówi wskazując na nogę, opiętą w cieniuchną pończoszkę — kosztowały mnie tylko 1000 marek. Niestety, nie będę mogła zamówić drugiej pary, bo człowiek, który je wykonał, oślepł!“ (!)

W tym samym Nowym Jorku, gdzie jeszcze Jerzy Waszyngton z 3 miljonami majątku uchodził za bożka pieniężnego, obecnie wartość samych djamentów, tam posiadanych, wynosi 10 miljardów; w sumę tę nie wchodzi wartość innych drogich kamieni. Istnieją osobne biżuterje na pory dnia i roku. Są bogate amerykanki, które lubują się w kwiatach i w porze zimowej płacą wygórowane ceny za róże. Inne same zajmują się gospodarowaniem lub ogrodnictwem. Niektóre przeplantowują olbrzymie drzewa z lasów dziewiczych do swych wspaniałych parków, co nierzadko przy jednym okazie pociąga wydatek sumy 5000 marek.

Utrzymanie służby, płatnej niezmiernie suto, pochłania w Ameryce olbrzymie sumy. Nierzadko trafia się, że dobry kucharz w służbie u miljardera pobiera 50 tysięcy dolarów rocznie. Osobne sumy stanowią meble starożytne, którymi ozdabiają swe pałace i wile, bale, uroczystości, festyny, polowania. Sam Paryż wysyła miesięcznie do Ameryki za 300 tysięcy mk. „belotów“ dla ozdoby amerykańskich salonów. Urządzanie uczt na wielką skalę, gdzie wieczór pochłania 200—306 tysięcy mk., jest faktem ogólnie znanym.

Zestawienie te budzą mimowolną myśl: czy w Ameryce wszyscy ludzie są miljonerami? Przeciwnie, może

nigdzie kapitały tak nierówno są rozłożone, jak właśnie w Ameryce. Dokładne obliczenia wykazały, że ogromna większość rodzin w Ameryce nie może na utrzymanie wydawać przeciętnie więcej, niż sumę równą 2400 mk. Przeszło 4 miljony rodzin musi żyć z dochodu równego 1600 marek rocznie, a w to nie są wliczeni robotnicy. Nędzy, zwłaszcza wśród niższego stanu jest ogromnie wiele. To też, jeżeli się zważy, że po drugiej stronie takie bogactwa znajdują się w jednej ręce, nie dziw, że wściekłość czasem ogarniać może biedaka, nie wiedzącego, jak wyżyć z marnego swego zarobku. Po jednej stronie nędza, bieda, a po drugiej bogactwa, z któremi nie wiedzą kapitaliści, co począć.

Olbrzymy przedhistoryczne.

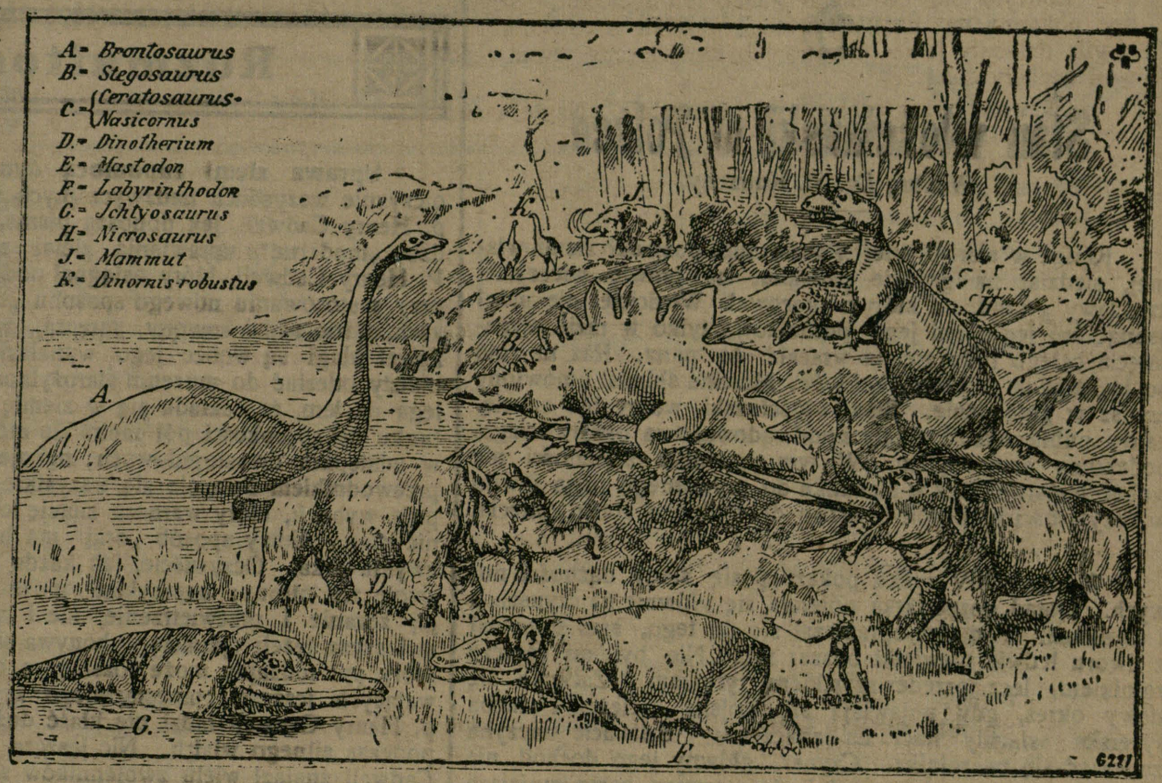

Znaną jest powszechnie rzeczą, że wielka ilość cennych gatunków zwierząt znajduje się w stanie wymarcia, ponieważ ręka ludzka coraz więcej je tępi. Z tego też powodu dziś już nie napotyka się zwierząt w tak olbrzymich rozmiarach jak dawniej, gdyż człowiek nie da im dostatecznie czasu na wyrośnięcie. Do ostatnich należą rozmaite gatunki wieloryba, fok, żółwi itd., natomiast do pierwszych cały szereg ptaków, ulubionych z powodu swych piór, dalej zwierząt polowanych z powodu ich cennych futer i mięsa. Nieustanna walka, którą prowadzi człowiek ze światem zwierzęcym, musi wreszcie doprowadzić do zaniku wielu dziś jeszcze istniejących gatunków zwierząt.

Wobec tego warto rzucić także okiem wstecz na dawniejszy obecnie już wymarły świat zwierzęcy i przekonać się, co to były za stworzenia, które zaludniały naszą ziemię przed wielu tysiącami lat. Odnajdywane skamieniałości szczątek owych olbrzymów przedhistorycznych po największej części wystarczają, aby sobie odtworzyć dokładny obraz owych po części niezwykle wielkich stworzeń. W niniejszej rycinie podajemy czytelnikom naszym cały szereg zwierząt, które szczególniej dokładnie dały się odtworzyć i z pośród których, wiele jeszcze żyło jednocześnie z człowiekiem.

Najpotężniejszym potworem czasów zamierzchłych, z którym mierzyć się może jedynie wieloryb, był Brontosaurus (A), zwierzak, żyjący we wodzie, mający 22 metry długości i ważący 400 centnarów, z głową podpadająco małą, długą szyją i zapewne z odpowiednio wielkimi płetwami do pływania. Zwierzę to nie posiadało zdaje się żadnej broni. W przeciwieństwie do niego stał zapewne Stegosaurus (B) całkiem opancerzony, długości 10 metrów, z czterema łapami i długim, silnym ogonem; było to zapewne nader żarłoczne i niebezpieczne zwierzę, żyjące w okolicach bagnistych. Podobny do olbrzymiego kangura jest Ceratosaurus nasicornus (C), znajdujący się po prawej stronie naszej ryciny; długość jego dochodziła do 7 mtr. Pomimo swego potężnego ciężaru poruszał się zapewne skakając, ponieważ przednie nogi zwierzęcia są bardzo małe i słabe, natomiast tylne nogi nader silne. Ten potwór był zaopatrzony w bardzo silne uzębienie, silny i długi ogon oraz w potężny róg na nosie, który mu zapewne służył także do obrony. Z trzech wymienionych wyżej gatunków zwierząt w Ameryce Północnej znaleziono bardzo dobrze utrzymane skielety, które zestawiono. Dzisiejszemu słoniowi co do postaci i sposobu życia równały się mamut (J), Dinotherium (D) oraz Mastodon (E). W wystających prosto kłach ostatni musiał posiadać straszliwą wprost broń. Wygięte kły mamuta dochodziły do długości 4 metrów. Wymienione trzy zwierzęta gruboskórne co do wielkości znacznie przewyższały dzisiejszego słonia. Olbrzymią żabą można nazwać Labiryntodon (F) z triasu. Zwierzę to całkiem podobne do żaby dochodziło do 5 metrów długości. Uzębienie posiadało dość silne. Żywio się przeważnie rybami i miękkiemi żyjątkami. Jednocześnie z tą ropuchą pierwotną żył Nicrosaurus (H), coś pośredniego pomiędzy krokodylem a żabą, potwór opancerzony długości 10 metrów, z silnym długim ogonem i wielkimi pazurami. Szczątki tego zwierzęcia znajdowano w okolicy Neckaru. Z okresu jury utrzymały się kości zwierzęcia zwanego Jchtyosaurus (G), dochodzącego do 12 metrów długości. Jchtyosaurus żył tylko we wodzie i bagnisku. Jego wielkie nadwyraz oczy mają 20 centymentrów średnicy a potężny pysk uzbrojony jest w 160 ostrych zębów. Był więc nader żarłoczny. Nogi jego były rodzajem płetw, ciało miał gładkie i nagie. Na długim jego ogonie stała prostopadle pletwa. Żywił się rybami. Obok wszystkich tych potwrów przedhistorycznych należy także wspomnieć ptaka olbrzymiego Dinornis robustus (K), który wymarł zaledwie przed kilku stuleciami. Jeszcze raz tak wielki był jak struś afrykański i żył na Madagaskarze. Ptaki te posiadały nader silne nogi, lecz brakło im całkiem skrzydeł. Niepomiernej wielkości były jaja tych zwierząt: jedno równały się 8 jajom strusim czyli 200 kurzym jajom. Na rycinie naszej znajduje się parka tych ptaków, dochodzące do wysokości 4 metrów, obok mamuta.

* * *

Obszerniej o tym przedmiocie traktuje dziełko słynnego popularyzatora przyrodniczego Wilhelma Bölschego, wydane

w polskim języku przez księgarnię M. Arcta w Warszawie w dwóch tomikach pod tytułem: Szkice zoologiczne czyli gawędy przyrodnicze (I Rybosalamandra, Małpolud, 30 kop., II Z dziejów świata zwierzęcego pod biegunem, Jchtyosaurus (25 kop.). Inne wydawnictwa w tym przedmiocie znajdują się na składzie w księgarni „Gazety Robotniczej", a mianowicie: M. Heilpern, Co to są nauki przyrodnicze (50 fen.), St. Krauz, O pochodzeniu człowieka (25 fen.), W. Bölsche, O pochodzeniu człowieka (1,25 mk.)

Stan włościański w Polsce.

Według Dr. St. Kutrzeby.

Kmieć w starodawnej Polsce nie posiadał ziemi własnej, siedział na gruncie pańskim, na prawie wieczystej dzierżawy gruntu, na którym pracował. Właściciel nie mógł usunąć ani jego, ani jego potomków, tylko w razie wygaśnięcia całego rodu ziemia wracała do pana. Raz na rok, po jesiennych zbiorach, koło św. Marcina składał umówiony czynsz w gotowiźnie. Stan włościański wolny był od ciężarów publicznych i wyjęty z pod sądownictwa państwowego, obdarzony samorządem. W tym stosunku zależności nie wobec państwa, lecz w stosunku do prywatnego pana tkwiło w przyszłości niebezpieczeństwo dla wolnego zrazu kmiecia.

. . . . . .

W ciągu XIV wieku pokazują się ślady dążności nowych. Dotąd gospodarka opierała się głównie na czynszach i daninach. Pan wsi ograniczał się do tego, sam uprawiał z dworu ledwie niewielki obszar roli. Nie był on jeszcze rolnikiem, lecz przedewszystkiem rycerzem. Zaczyna się nowy okres, gdy pojawiają się wojska zaciężne i służba rycerska szlachty traci na znaczeniu. Szlachcic zaczyna zmieniać się na rolnika. Czynsz, główny jego dochód, nie może mu wystarczyć, a właśnie ten czynsz coraz mniejszą przedstawia wartość, bo jest stale określony, zaś wartość pieniędzy coraz bardziej maleje. A do tego od XV wieku zaczyna się podnosić stopa życia, na co zarówno wpływa rozwój stosunków politycznych i handlowych, jak zwłaszcza od końca XV wieku coraz silniejsze podmuchy renesansu. Możność podniesienia swoich dochodów widzi szlachcic: w podniesieniu ciężarów włościańskich (w części usprawiedliwionym w tych warunkach stosunkiem czynszu i pieniędzy), oraz w rozwinięciu własnego gospodarstwa. Gospodarstwo rozwinąć się teraz może, bo znajduje się zbyt za wiele dla jego produkcji. Przedewszystkiem rośnie ilość ludności, zwłaszcza rozwijają się miasta coraz pomyślniej. A miasto to główny przecież odbiorca produktów wsi, zwłaszcza zboża.

Możność sprzedaży produktów, konieczność podniesienia dochodów sprawia, iż szlachta stara się nietylko podnieść czynsze, ale — i to w wyższym stopniu dąży do tego, by znaleść odpowiednie siły robocze, i móc te siły robocze jak najkorzystniej dla siebie użyć; by przy pomocy tych sił zamienić na rolę te obszary, które do nich należą, lecz dotąd stanowią tylko ugory, pastwiska i nieużytki, i rolę tę móc dalej uprawiać. Pojawia się folwark, i zaczyna rosnąć. By jednak móc zmienić warunki, na których wieśniacy siedzieli, by zaś przedewszystkiem móc użyć tę ludność do pracy na folwarku, trzeba wpierw tę ludność ograniczyć prawnie. I rzeczywiście od końca XV wieku spotykamy się z takimi ograniczeniami. Są one bardzo znaczne.

Przedewszystkiem chodziło o to, by tę ludność utrzymać we wsi, by nie uciekała w razie podniesienia ciężarów. A mogła uciekać, bo dość jeszcze było dla niej miejsca we wschodnich zwłaszcza częściach Polski, na Rusi, gdzie lepsze dawano jej warunki bytu, bo tam bardziej trzeba było rąk do pracy. Już w 1493 r. w duchu takich ograniczeń wyraża się konstytucja sejmowa; ważniejsze jednak były ograniczenia konstytucji z 1496 r., które następnie zostały jeszcze zaostrzone w latach 1501, 1505, 1510 i 1511. Na zasadzie tych konstytucji chłop, ani też jego dzieci — z wyjątkiem pewnych nielicznych wypadków — nie mogli opuszczać wsi bez pozwolenia pana, a pan oczywiście nie dawał go, jeśli pracy tych ludzi potrzebował. W razie bezprawnej ucieczki chłopa ze wsi można go było dawniej sądownie poszukiwać. W ten sposób więc przykuto ludność wiejską do gleby, prawo swobodnego opuszczenia wsi przez chłopa oddano w ręce panów wsi.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Uprawa ziemi zapomocą dynamitu. W Ameryce, ojczyznie wszystkich nadzwyczajnych i śmiałych pomysłów, p. Henry Cadwell, jak donoszą pisma, wynalazł sposób bardzo „moderne" uprawiania ziemi zapomocą... dynamitu. P. Henry Cadwell, który osiągnął podobno świetne rezultaty, przy zastosowaniu nowego sposobu „orki" na dwóch wzgórkach, gdzie sadzi kawony, zaręcza, że wszystkie najnowsze nawet pługi są wobec jego wynalazku narzędziami, które należy odesłać do muzeum starożytności. Nowy sposób polega na tem, że zakłada się w ziemię stosownie do jej gatunku na głębokości pół metra do metra naboje dynamitowe w odstępach dwustopniowych; naboje łączy się elektrycznym przewodnikiem i zapala się wszystkie jednocześnie. Następuje wybuch, który wzrusza ziemię lepiej, niż to może uczynić pług. Nowy sposób „orki" ma być o wiele tańszy, niż zwykła orka. Oczywiście, jak każda rzecz ludzka, ma on i swoje złe strony; naprzykład może spowodować nietylko jej zoranie i przewietrzenie, ale i całkowite wywietrzenie, zwłaszcza jeżeli operację wykonywa się przy silnym wietrze, który pył rodzajny może rozsiać po polach sąsiadów, używających jeszcze „przestarzałego sposobu orki." To też p. Henry Cadwell radzi nie kłaść dużo dynamitu i nie orać podczas silnego wiatru. Nic jeszcze nie wiadomo, czy pan Cadwell znalazł wielu zwolenników swego systemu, czy też rolnicy, jako klasa najbardziej konserwatywna, czekają aż ktoś śmielszy wypróbuje skuteczność orki dynamitowej.

* * *

Tamowanie kultury przez lekarzy. „Hamburger Echo" donosi o występie z kół lekarskich przeciw używaniu nowego środka dr. Ehrlicha przeciwko kile (syfilis). Pewna część lekarzy nie widzi w wynalazku tym przyjaciela cierpiącej ludzkości, lecz przeciwnie, widzi w nim nieprzyjaciela praktyki lekarskiej, zmniejszającego dochody lekarzom. W kilkunastu gazetach nawoływano lekarzy, ażeby nie robić żadnego zastrzyknięcia środkiem „Ehrlich-Hata 606" niżej 50 marek, motywując żądanie to tem, iż przez skuteczność środka tego lekarze w wielkiej mierze poszkodowani zostaną w swych dochodach, jakie dotychczas mieli z leczenia osób, zarażonych kiłą. Nie dziw, bo gdy dotychczas kuracja chorego syfilityka 3—5 lat trwała, co lekarzowi 300—500 mk. przyniosło, kończy się takowa przy użyciu nowego środka już przy pierwszem zastrzyknięciu. Lekarz więc, który dotychczas po 100 mk. przeciętnie na rok od swego pacjenta pobierał, będzie musiał w przyszłości zadowolić się jedynie tem honorarjum, które za zastrzyknięcie „606" policzyć mu będzie wolno. Podczas gdy dotychczas jeszcze olbrzymie honorarja (300—1000 mk,) za jedno zastrzyknięcie płacono, obniży się takowe przy ogólnem używaniu tego środka bardzo znacznie. Fabryka sprzedaje preparat ten mniejwięcej po 4 marki. Jeżeli więc żadne zmowy lekarzy nie nastąpią, natenczas możliwemi będą zastrzyknięcia już za 7 do 10 mk. Dawniej 500 mk. — dzisiaj 10 mk.! Z powodu tego lekarze więc przeciw nowemu środku występują. Według lekarzy może choroba ta i nadal tysiące ofiar zabierać, byleby dla nich dochody się nie uszczupliły.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 44. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 października 1910.

MARJA KONOPNICKA.

STREJK.

(Wyjątek z poematu „Pan Balcer w Brazylji“ *)

A w tem dzwon huknął szarpnięty u doków...
Świstnęły ostro wypuszczone pary,
I nagły rozruch ciżbiących się kroków
Zawrzał gdzieś z dołu, jak z ciemnej pieczary.
Zgrzytnęły windy na osiach u tłoków,
Opustoszały węglarskie galary,
A tłum roboczy, rzuciwszy swe wory,
Jął się na tamę walić, jak upiory.

Więc jako burza, gdy idąc zdaleka,
Najpierw się mętem powietrznym zaniesie,
Niżeli wichry rozwyje, rozszczeka,
A one ziemskie zatrzęchnie przyciesie,
I jak wywarta z zabrzegów swych rzeka,
Gdy tamy zerwie precz i z szumem drze się,
Tratując, co jej gdzie na drodze stawa,
Taki mąt głosów szedł i taka wrzawa.

Stanęlim, patrzym. Jeszcze dymne pary
Kryją rosnący tłum i te mgły sine.
Alem ja oczy wrzące wpił w galary,
Pomiarkowawszy bijącą godzinę,
Kiedy przygięte rab prostuje bary,
Rzekąc swej duszy: — A zginę, to zginę! —
I nagle głową nad jarzmo swe rośnie
I swoje ludzkie prawo jawi głośnie.

Nigdym nie widział tak kamiennych twarzy,
Tak gorejących oczu, tak zaciętych
Szczęk, zębców, jako u onych węglarzy...
I nigdym ogniów nie widział tak świętych,
I tak piekielnych razem, że aż parzy...
Nigdy hardości takiej w karkach zgiętych,
Takiego gniewu i takiej rozpaczy,
Co jest śmiertelna sama — i śmierć znaczy.

A w tem śpiew buchnął. Nie wiem co śpiewali,
Lecz serce prawie że stanęło we mnie,
Bo słychać było, jakby z wielkiej dali
Sroga nawałność szła ziemią tajemnie,
Jakby gdzieś warczał grom, co wnet zapali
Świat, niby puszczy nietrzebionej ciemnie...
A razem z pieśnią i głosów tych szumem
Krwawa chorągiew powiała nad tłumem.

Drzewce oburącz chłop dzierżył wyniosły,
Czarny od węgla a suchy jak tyka.
Włosy mu na łbie wstały, jako rosły
Proste, a w każdym śpiew drżał i muzyka
Głosów, co w mętne powietrze się niosły,
By trąba sądna, co groby przenika,
Otrębująca na morza i lądy,
Jako nad krzywdą świata będą sądy.

A tuż przy onym chłopie chorągiewnym,
Co się wycinał z mgły, by siewna jodła,
Gdy nad zapustem wygóruje drzewnym,
Niewiasta-matka szła i dziecko wiodła.
Tak wszyscy, jednym się porywem śpiewnym
Zaniósłszy, swego trzymając się godła,
Szli dużym krokiem wprzecz nam. Aż ci trupa
Zoczywszy, cała wstrzymała się kupa, —

I ono ciało nakryte łachmanem
Zajęła z nami na czoło pochodu.
I tak był niesion nad tym oceanem
Ów Mazur, tułacz, co pomarł tu z głodu...
A morze mu tam huczało organem,
A szło z pochowem tysiące narodu,
A on, nie miawszy żgła, ni garści wiórów
Pod czachę, jak wódz wchodził w bramy murów.

Ale staruszka nasza, do ostatka
Pilno się dzierżąc trupa, szła w pochodzie.
Nikt jej nie wzbraniał. Myślano, że matka,
Więc była litość nad nią w tym narodzie,
Gdy tak wiewała na niej lniana szatka,
Ledwo że kryjąc kość, drżącą na chłodzie,
I gdy tak w szeptach trzęsły się jej wargi
Zwiędłe, bez jednej łzy, bez jednej skargi.

Dopiero, gdy się pokazały wieże
Górnego miasta i przepych złocony,
Urwała nagle szeptane pacierze,
I — jak ptak skrzydły — tak ona ramiony
Wzgórę się zdała brać, jak ptak się bierze.
Aż jęła śpiewać: ...A bijcież mu dzwony!
A witajcież go, wy wieże sirzeliste!
A wyjdź-że przeciw niemu, Jezu Chryste!

*) Opisuje poetka w tym ustępie strejk węglarzy w brazylijskiem mieście portowem.

...Wyszedł-ci Chrystus, krzyż słoneczny niesie:
— Powstań, Łazarzu, z śmierci do żywota! —
— Nie mogę, Panie, bo jeszcze po lesie
Jagnięta płaczą, a zły wilk się miota,
Jeszcze jest wróblik niepewny na strzesie,
Jeszcze się krzywda wije wedle płota,
Jeszcze jastrzębi szpon skowronki gniecie,
Jeszcze jest przebój mocnego na świecie!

...Wyszły anioły tą królewską broną,
Potrząsają mu drogę białym kwiatem:
— Wstań-że, Łazarzu, zasiądź złote trono,
Weź żezło w ręce, podnieś je nad światem,
Wybłyśnij ziemi ciemiową koroną,
Przyzawdzij skórę a kości szkarłatem!
— Nie mogę powstać, anieli skrzydlaci
Aż głos usłyszę Narodów, a braci!

...Wyszły mu przeciw Narody Łazarze:
Pójdź z nami bracie! Idziemy z Golgoty.
Chrystus z świątyni wypędził kramarze,
Nad światem lata grom i piorun złoty.
Drżą węgły ziemi, truchleją mocarze,
Poczwórne jezdnych pobite są roty...
Pękły łańcuchy pod ciosami młota!
Tedy wstał Łazarz z śmierci do żywota.
. . . . . .

Jeszcze ta pieśnia na powietrzu drżała,
Nie mając kędy iść, przed mgły tumanem,
Gdy nagle bębny, jak gradu nawała,
Sypnęły trwogę nad miastem zaspanem.
Wnet się ruszyła milicyja cała,
Wnet wyszły straże pożarne z czekanem,
Odezwały się trąbki i sygnały...
Ale że wszystkie bronie cicho stały.

Jakże? Królewski majestat był prawie
W tym tłumie, co tak szedł, jakby na wojnę.
Ten sztandar groźny, chwiejący się krwawie,
Te twarze groźne a przecież spokojne,
Ta moc, stojąca na ludzkiem swem prawie,
Te ręce, władne świat brać a bezzbrojne,
Te poczerniałe w twardej nędzy głowy,
Ten śpiew, co walił w miasto piorunowy...

Zbój chyba jaki chwyciłby tu broni!
A już lud wyległ w ulice, i z góry
Biegł na węglarzy patrzeć. Alić oni
Prosto na Wielkiej Giełdy szli marmury.
Naraz — tysiące podniesionych dłoni
I wybuch głosów jak poszum wichury...
To lud tak witał ich, chustkami wiewał,
Grzmiał krzykiem, w kupy łączył się i śpiewał.

My z przodku. Tak nas zagarnęli sobą,
Że ani kroku wstecz. Zrazu my chcieli
Odstać. Lecz wprędce tak nas swą żałobą
I krzywdą swoją za dusze ujęli,
Tak nam osierdzie pod samą wątrobą
Ruszyli, tak nas tym śpiewem otchnęli,
Że my szli, na nic nie pytając, z niemi,
A pierwszy, z trupa rękami pełnemi,

Sekura, zaraz pod owym sztandarem,
Miawszy staruszkę z nad Buga po boku.

Więc, jak gdy polem ruń wywrze się jarem,
Tak tam się głowa przy głowie w tym tłoku
Cisnęła, jednym zwichrzonym obszarem.
Nikt poosobno nie tkwił tam na oku,
Lecz wszystko razem, z tym śpiewem, z tym
[szumem,
Z grzmotem tysiącznych kroków, było tłumem

Skrzywdzonych, co tu przyszli wołać prawa.
A Giełda była na głucho zaparta.
Trzykroć chorągiew uderzyła krwawa
W odrzwia, przy których milcząc stała warta.
Trzykroć okrzyków buchnęła tam wrzawa,
Gdy nagle trzasła galerja otwarta,
A na niej, świetną wstęgą przepasany
Komisarz z strażą od ściany do ściany.

Chce mówić. Podniósł rękę. Lecz w tej chwili
Kupców się za nim pokazały głowy...
Z rykiem więc na to węglarze skoczyli,
Pchnęli Sekurę i, trup mazurowy,
Chwyciwszy, szli z nim na barach, pochyli,
Groźni, prąc straże na obie połowy
Szerokich wschodów, co w lewo i w prawo
Wiodły krużganek. Za nimi tłum ławą.

Błysnęły w górze oficerskie szpady,
Padł rozkaz, jęli kupić się żołnierze.
Wnet się związały dwie wrzące gromady,
Tamta dostępu broni, ta go bierze.
Lecą kułaków twardych gęste grady,
Lecz znać, milicja bije się nieszczerze,
Węglarze zasię, głowy, jako tury,
Zniżywszy, z wielką mocą prą do góry.

Co krokiem naprząd stąpią — hura! — z dołu.
Wznoszą się pięście, goreją źrenice,
Aż cały pochód skłębił się pospołu
W jedną zwichrzoną, grzmiącą nawałnicę.
Nie może ustać tłum, prze się ku czołu,
Chociaż go straży płazują szablice,
Aż uczyniwszy sobą wielkie widły.
Dwoma zębcami bodzie, dwoma skrzydły

W gmach bije. Dużo w tym szturmie pomaga
Ów Mazur, co przy chorągiewnym słupie
Jest niesion. Jakaś pośmiertna odwaga
Przyzatajona zda się być w tym trupie...
Wysoko, górnie pierś błyska mu naga,
Przeciw żołnierstwa nastawiona kupie,
Które, zetknięte nagle z ludzkim zwłokiem,
Opuszcza ręce i cofa się krokiem.

— Naprzód! Wnet miejsce szerzy się otwarte.
Skoczy oficer, spojrzał, zniżył szpadę.
A owe straże do muru przyparte,
Wyprostowane stoją, jak w paradę.
Wtedy komisarz z krużganku zdjął wartę
I w gmach się cofnął precz, za kupce blade,
A w chwilę z szczytu Giełdy się rozjarza
Krwawa chorągiew nad trupem nędzarza.

Buchnął trjumfu krzyk. Lud odkrył głowy.
A jakby organ rozegrzmiał na sumie,
Z taką potęgą śpiew wzleciał wichrowy
I porwał z sobą, nakrył wszystko w tłumie.

Co tam śpiewali i jakiemi słowy,
Tego tak łatwo człek nie wyrozumie,
Ale że w pieśni okrutna szła siła,
Żarem po kościach a w tętnach krwią biła.

Więc kiedym pojrzał na tą wywyższoną
Płótnianke, pod tym wiejącym szkarłatem,
To mi się w oczach zrobiło tak słono,
Jakby mi trup ten rodzonym był bratem.
...Powstań, Łazarzu! Zasiądź złote trono,
Weź żezło w ręce, podnieś je nad światem!
Poczwórne jezdnych pobite są roty...
Nad ziemią lata grom i piorun złoty!

Stan włościański w Polsce.

Według Dr. St. Kutrzeby.

(Dokończenie.)

Równocześnie stara się szlachta odciąć, znieść wpływ wszelkich czynników na stosunek chłopa do pana. Odtąd też władza panów była wyłączną, bo od niej nie było już odwołania do żadnej wyższej władzy. Jedynie w dobrach duchownych i królewskich, wprawdzie również bardzo obszernych, ale znacznie mniej licznych niż szlacheckie, zachowaną była możność skarg na panów w razie ucisku, to jest w dobrach kościelnych przed sądy biskupie, w dobrach królewskich przed sąd asesorski. A kiedy już tak przeprowadzono odcięcie ludności wiejskiej od zewnątrz, wzięto się do niszczenia autonomji wewnętrznej. Dokonano tego przez skup sołtystw. Władza sołtysostwa przechodziła w ręce pana wsi, który nietylko powiększał swój folwark przez przyłączenie ról sołtysich do folwarku, ale zyskiwał silny wpływ na cały rząd wsi, na wszystkie jej wewnętrzne sprawy. Sąd wiejski odtąd to tylko z imienia sąd ławniczy. Od pana właściciela zależy wyrok, on jest wyższą od niego instancją.

Szlachta zaczyna podwyższać czynsze, które płacą kmiecie. Kwestja podwyżki czynszu jednak nie występuje zbyt silnie, a i wogóle ma mniejsze znaczenie wobec kwestji robocizny, która conajmniej zarówno w dobrach szlacheckich. jak kościelnych i królewskich, wynosić musi jeden dzień w tygodniu z łanu.

Pomimo to, że położenie chłopa znacznie się zwłaszcza w XVI wieku pogorszyło, przecie jeszcze jest ono dobre. Jeszcze on może dobrze wyżyć, bo choć już zaczynają się gospodarstwa dzielić, to przeważa typ gospodarstw co najmniej półłanowych, a nawet i całe łany są jeszcze dość liczne. W tych warunkach ma on z roli swej niezbędne utrzymanie, a i poza tą konieczną normą jeszcze coś mu zostaje. Dopiero następna epoka przynosi te zmiany, które ostatecznie chłopa polskiego zmieniły z samoistnego gospodarza na robotnika rolnego, na przynależność folwarku.

Eksport zboża rośnie bardzo szybko; za Zygmunta III i Władysława IV i w połowie XVII stulecia dosięga swego zenitu, przechodzi cyfrę 100 000 łasztów. Coraz też więcej potrzeba pracy chłopa, korzysta więc szlachta z przywilejów swych, by go przywiązać do roli. Jedyny jeszcze regulatyw stanowi możność ucieczki, zwłaszcza na wschód, gdzie ciągle trzeba rąk do pracy na tych olbrzymich obszarach, które dopiero (głównie od końca XVI stulecia) wzięte zostały pod uprawę.

Pan wsi naprawdę jest w niej królem, jak się często lubi sam nazywać; uznaje jakieś zwyczaje i prawa do swojej wsi o tyle, o ile to jest konieczne, by przecież były jakieś przepisy. W dobrach duchownych, w których było wogóle lepiej, już od połowy XVII wieku ginie możność skarg na tego, kto wsią rządzi.

Jedynie w dobrach królewskich pozostało nadal chłopom prawo skargi na ucisk do sądu referendarskiego, ale działalność tego sądu do kresów — zwłaszcza do ziem ruskich — nie docierała, a sprawiedliwość zwykle była bardzo powolna i zbyt droga.

W takich warunkach oczywiście podnoszą się ciężary, bo pan wsi mógł je, władnąc w pełni, dowolnie oznaczać. Zwiększają się czynsze, choć nie tak silnie; za to rosną coraz dalej robocizny, które stanowią — z pewnymi wyjątkami z powodu specjalnych warunków — główny ciężar, spadający na chłopa. Niema ogólnej oczywiście normy; różnie ukształtowuje się stosunek robocizny ciągłej tj. z bydłem, do pieszej tj. bez bydła ale na ogół jest to robocizna wysoka. Można na wiek XVIII przyjąć jako przeciętną robociznę ciągłą dwóch dni robocizny tygodniowo z ćwierć łana, więc 8 dni z łanu, choć dochodzi ona wyjątkowo nawet do czterech dni z ćwierć łanka, więc 16 dni z łanu. Nadto ludność dostarcza „bez dni“ uciążliwych podwód, daje też cały szereg drobnych świadczeń w zbożu, kurach, jajach, przędzy etc. Dni robocze zlicza się dokładnie, korzystając z nich, w czasie zwłaszcza większej potrzeby; zwyczajnie jednak w takich wypadkach ludność „bez dnia“ musi chodzić na szarwark, czy tłokę (gwałt, pomoc). Pan wsi wreszcie w tym okresie rozwija swoje prawo propinacji, po skupie sołtystw, do których należała zwykle karczma. Tylko pan może warzyć piwo, pędzić wódkę, tylko pan może szynkować a skądinąd trunku brać nie wolno, nie wolno nawet pić poza pańską karczmą. Zmusza też pan chłopa do brania pewnej ilości wódki, czy piwa w razie ślubu lub chrztu itd. Wyrabiają sobie panowie także prawo młynne, tj. zakazują mleć zboże poza pańskim młynem, a nawet niekiedy chłop tylko we dworze może sprzedawać to, co ma na sprzedaż. Wieś zamyka się w sobie, cofa w rozwoju wstecz do czasów naturalnej gospodarki, ma sobie sama wystarczyć, zaczyna tworzyć mały świat dla siebie.

Ale mimo to chłop nie przestaje być wolnym. Nie jest on niewolnikiem, jak to nieraz mówią. Ma zdolność prawną, ma majątek ruchomy, który do niego należy, którego mu nikt nie ma prawa zabierać, może niekiedy „okupić“ grunt, na którym siedzi i nabyć w ten sposób na nim prawo dziedziczne. To, że on jest tak skrępowany, to jeszcze nie odbiera mu charakteru człowieka wolnego. Takie jednak ograniczenie jego praw, zamknięcie go we wsi, poddanie woli a nawet dowolności pana, osłabia chęć do pracy, zapobiegliwość, samodzielność; nie postępuje on naprzód w gospodarce, raczej cofa się. Stąd choć ciężary i robocizny chłopów wzrosły, to przecież od połowy XVIII wieku eksport zboża się zmniejsza, a w XVIII wieku rzadko dochodzi rocznie do 30 000 łasztów, czemu zresztą winien jest także brak postępu gospodarczego u szlachty.

Przedewszystkiem jednak na smutny stan chłopa wpływają dwa czynniki: podział pracy i brak kultury. Jeśli za Jagiellonów siedzą kmiecie na łanach i półłankach, to w ciągu tego okresu gospodarstwa stają się coraz mniejsze. Ludności przybywa, a jedynie częściowo znajduje ona ujście na wschód, czemu stara się i tak szlachta przeciwdziałać. Brak zaś przemysłu, zwłaszcza zastój, a nawet upadek miast, sprawia, iż ta ludność nadmierna musi pozostać na wsi, niema odpływu. Na powiększanie się ludności patrzy szlachta z chęcią, gdyż przez to powiększa się ilość rąk do pracy folwarcznej. Wyjątkowo też tylko spotyka się ograniczenia w dzieleniu gospodarstw. W końcu tego okresu, o ile to można dziś stwierdzić, gospodsrstw łanowych prawie niema, półłanowe są bardzo rzadkie, chłopi siedzą na ćwierć łankach, a nawet często na gospodarstwach kilkomorgowych ledwie. Poprzednio, w XIV i w XV wieku, nie było prawie ludności bezrolnej na wsi: zagrodników, posiadających prócz chałupy tylko niewielki ogród, chałupników, mających jedynie chałupę, komorników wreszcie, mieszczących się na „komorze“ u innych. W XVI wieku zaczyna tej ludności przybywać, wzmaga się jej przyrost w ciągu tego okresu. I ona podlega stosunkowi poddańczemu, i ona ponosi szereg ciężarów na rzecz pana wsi, zwłaszcza robociznę. To już właściwie robotnicy wiejscy. A i co do tych, którzy mają grunt, stosunek ich gospodarczy uległ przez te wypadki zasadniczej zmianie. Kiedy dawniej wieśniak za

to, że miał grunt, musiał składać pewne czynsze, daniny etc. teraz on właściwie staje się robotnikiem na gruntach folwarcznych i to jest główną podstawą jego stosunku do pana, a grunt zaczyna przybierać tylko charakter wynagrodzenia go za tę pracę. W tem rozdrobieniu gruntów, podporządkowaniu ekonomicznem chłopa interesom folwarku należy widzieć główny powód upadku wsi.

Nie należy jednak sądzić, iż w Polsce było gorzej niż gdzieindziej na zachodzie, czy na wschodzie. Poddaństwo i tam istniało, i znacznie nieraz surowsze: do Polski częściej zbiegają chłopi z zagranicy, niż naodwrót. Ale stan ten zbyt się u nas przedłużył, bo dotrwał aż prawie do końca bytu państwa, kiedy na zachodzie już oddawna rozpoczęto reformy.

Rozmaitości

Zwierzęta wymarłe w XIX wieku. Badacz angielski Lancaster zajął się wyliczeniem zwierząt, które wyginęły zupełnie w ubiegłem stuleciu.

W połowie XIX wieku znikła całkiem olbrzymia hagara z nierozwiniętemi skrzydłami; pozostałe dotąd jeszcze zachowane jaja cenią na setki dolarów. Na wybrzeżu amerykańskiem oceanu atlantyckiego ptak ten znikł już w roku 1846, na wybrzeżu egipskiem zabito ostatnią parę w roku 1844. W drugiej połowie stulecia wyginęła w Afryce południowej kwagga w kraju przylądkowym w latach 1865 i 1870 do 1873 roku. Dawniej zwierzę to było bardzo pospolite, używano je dla przewożenia ciężarów, mięso było poszukiwane przez hotentotów. W muzeum brytańskiem znajduje się szkielet i wypchana kwagga. Znikły olbrzymie żółwie i żółwie z cienką skorupą. Pierwsze, bardzo pospolite w 18 wieku, w 19 znajdowano już tylko na rozmaitych wyspach. Z ptaków, prócz olbrzymich hagar, zniknęły czarne. W roku 1803 wyprawa francuska znalazła znaczną ilość tych ptaków na wyspie Kangruu, w 20 lat później już ich nie widywano. Obecnie istnieją tylko dwa szkielety i dwa egzemplarze wypchane w muzeum paryskiem i florenckiem. W połowie stulecia znikł także gatunek ptaków pod nazwą „Cormoran Pallas", ostatnie egzemplarze napotkano w r. 1839 na wyspie Berynga. Wypchane znajdują się w muzeum brytańskiem. Najwięcej zginęło ptaków, jak np. gołąb zwany holenderskim (Alectorenas nitidissima), którego pióra miały wszystkie barwy narodowe Holandji; ślicznozłocisty „Drapanis pactifica", bardzo niegdyś pospolity na wyspach Hawai, a poszukiwany przez krajowców dla prześlicznych piór żółtych, używanych przez naczelników plemion. W Indjach Zachodnich zaginęło wiele gatunków ptaków, zanim badacze świata zwierzęcego zdążyli je poznać.

* * *

Wielki milczek. Większym jeszcze milczkiem od Moltkego był zmarły w tych dniach w Londynie Jerzy Montague, który w ciągu ostatnich lat jedenastu wymówił tylko — jedno słowo. Z zawodu był hodowcą koni. Wiodło mu się bardzo dobrze, lecz gdy zaczął milczeć, ucierpiały na tem interesy. Niebawem popadł w nędzę i resztę życia spędził w przytułku. W r. 1909 doniesiono mu, że przypada na niego znaczny spadek i pytano, czy go przyjmuje. Montague uśmiechnął się. Nie można było tego wziąć za odpowiedź. Spytano go po raz drugi, trzeci. Za czwartym odpowiedział: nie. Wobec tego pieniądze zostały oddane na cel dobroczynny. Lekarze przypuszczali, że milczenie jest wynikiem jakiegoś fizjologicznego defektu. Okazało się, że Montague był zupełnie zdrów. Panuje mniemanie, że zrobił votum lub się założył. Swoją tajemnicę wziął ze sobą do grobu. Zmarł w 55 roku życia na zapalenie płuc.

* * *

Zaginiony szczęśliwiec. Wystawowa loterja brukselska miała bardzo mało losów wygrywających. Nie uszczęśliwiła zatem wielu, a ten, którego ma uszczęśliwić najbardziej — wcale się nie zgłasza. Główna wygrana, 200 000 franków, padła na numer 16 353 serja 5. Szturmujących o tę sumę nie brak, ale żaden nie zdołał jeszcze przedstawić legitymacji odpowiednich. Jakaś rodzina z prowincji, wywiokła z grobu syna, sądząc, że w kieszeni ubrania, w którym go pogrzebano, został bilet, zaopatrzony tym numerem. Nadzieje zawiodły, choć przetrząśnięto wszystkie kieszenie biednego nieboszczyka. Zgłosił się też jakiś kupiec z biletem spopielałym, na którym pozostały tylko dwie ostatnie cyfry... 53. Inny znowu dowodził, że sąsiadka, trzepiąc mu ubranie, przez wdzięczność za oddaną przysługę, musiała wytrząsnąć z kieszeni bilet, zaopatrzony tym właśnie numerem. Pomysłowość amatorów wielkiej wygranej jest niewyczerpana. A posiadacz biletu dotychczas się nie zgłaszał. Czyżby o swojem szczęściu nie wiedział? A może niem gardzi?!...

* * *

Prasa antyalkoholowa w Niemczech stanowi dziś w walce z alkoholem siłę potężną. W języku niemieckim wychodzi obecnie 65 pism, poświęconych tej sprawie, które rozchodzą się razem w 400 000 egzemplarzach. Znaczna większość tych pism (51) stoi wyraźnie na stanowisku zupełnej wstrzemięźliwości, 14 zaś zajmuje stanowisko niewyraźne, albo też głosi umiarkowanie. Pisma abstynenckie rozchodzą się w 300 000 egzemplarzach, pisma zaś kierunku umiarkowanego w 100 000 egzemplarzach. Roczny nakład wszystkich tych pism wynosi razem 11 210 000 egzemplarzy. Oprócz tego istnieje jednak w Niemczech znaczna ilość pism, popierających gorliwie walkę z alkoholem, chociaż nie są poświęcone wyłącznie tej sprawie. Są to przeważnie pisma, poświęcone pielęgnowaniu zdrowia, sportowi i t. d. Piwowarzy i szynkarze niemieccy coraz dotkliwiej odczuwają działanie tej prasy na swej skórze i dlatego raz po raz próbują się bronić tymi samymi środkami, wydając własne pisma, które pod pozorem szerzenia hygjeny reklamują napoje alkoholowe i zachęcają do ich używania — dotąd jednak usiłowania te były bezowocne, bo wszystkie te pisma po krótkim czasie podupadały.

* * *

Tydzień awjatyczny we Lwowie zakończył się w ubiegłą niedzielę. Polskim awjatorom nie przyniosły jednak te popisy żadnego tryumfu — jedynie zajmującemi były wzloty awjatora Sablatoikas Czech, na aparacie Wrighta, który kilka razy po kilkanaście minut unosił się w powietrzu, i dwa razy wzlatywał z pasażerem.

Urządzona równocześnie wystawa awjatyczna przedstawia natomiast dużo ciekawych rzeczy z zakresu lotnictwa.

Z literatury i sztuki

Numer 43 **„Promyka"**, ilustrowanego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera: Pamięci Marji Konopnickiej. — Anna Grudzińska: Eliszka Konarówna. — Wacław Sieroszewski: Inwalidzi. — M. Hantowerówna: Nasza klasa. — Ze świata: Tydzień awjatyczny. Balonem przez morze. — Odpowiedzi od Redakcji. — Łamigłówka. — Rozwiązanie.

Prenumerata kwartalna „Promyka" wraz z bezpłatnym dodatkiem „Promyczek" wynosi tylko 2 kor., a 90 kop. w Warszawie.

Adres Redakcji: Kraków, Rynek 44; Warszawa w księgarni Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 45. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 listopada 1910.

J. KORCZAK.

BOLEK.

Trzy dni.

Tylko trzy dni jeszcze.

Tak było dobrze. Morze, las, piękne panie.

Wyjeżdżając zagranicę, rewolwer zostawił u przyjaciela w Warszawie. Teraz znów odebrał go, i cięży mu ten chłodny przedmiot.

Trzy dni, i znów małe brudne miasto, fabryka, gwizdki, ludzie spotnieli, z ponurym marsem na czole.

Przypomniał sobie żebraka-idjotę: zobaczy go zaraz pierwszego dnia.

Trzy dni tylko, i znów słyszeć będzie:

— Panie dyrektorze... Jeżeli pan dyrektor...

Ten rewolwer w kieszeni, z którym w ojczyźnie już od lat czterech nie rozstaje się ani na chwilę, jest dopełnieniem jego władzy, a cięży mu, jak kajdany.

Jedenaście miesięcy pracy, aby znów w ciągu czterech tygodni urlopu słuchać szumu morza, chłodzić czoło wiatrem leśnym i rozmawiać z pięknemi paniami.

— Błazeństwo!

Przystanął. Przywoła dorożkę i pojedzie: dokąd? Rozumie się, że do kabaretu. Poco?...

Drgnął i ruszył dalej ulicą szarą i ludną. Obejrzał się raz i drugi i przyspieszył kroku.

Robotnik spojrzał mu przenikliwie w oczy i teraz dąży za nim.

Może mu się zdaje tylko? Ot, przywidzenie człowieka, który zbudził się ze snu do wrogiej rzeczywistości, a sen był dobry i miły.

Skręcił w boczną ulicę i obejrzał się po raz trzeci. Odwiódł kurek i przystanął.

Chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Poznaje mnie pan?

Twarz znajoma. Podczas ostrych zatargów wiele twarzy przesuwało się przed oczami pana dyrektora. Różnie bywało. Był moment, kiedy siedziało pięciu w gabinecie a on ich częstował papierosami. Był moment, kiedy czuł gorący oddech wielu ludzi w ciasnym korytarzu, a dwie twarze i dwie pary oczu widział tuż przed swemi oczami. Był moment, kiedy ich wyprowadzano, a on patrzał i rozpoznawał.

Wśród wielu szukał wspomnieniem tego jednego, który głosem dziwnie pieszczotliwym pyta się teraz:

— Poznaje mnie pan?

— Nie poznaję — odpowiedział chłodno, lekceważąco i zarazem groźnie.

Chciał dodać coś jeszcze, ale nie zdążył.

— Bo ja pana zaraz poznałem... A ja jestem Bolek... Bolek... Pamięta pan Bolka?

Pan dyrektor pochylił głowę i przymrużył oczy. Spoczywający na odwiedzionym kurku palec drgnął.

— Bolek... z Bednarskiej?...

— Tak, to ja...

— Pamiętam... Tak, pamiętam... Tak, pan... urósł...

— Ooo, urosłem... Nie wie pan, gdzie teraz jest pan Franciszek? Bo chciałem do niego napisać... jeżeli żyje...

Bolek zamilkł. Dostrzegł coś widocznie, bo patrzał bardzo uważnie w niespokojne oczy pana dyrektora. Potem przeniósł wzrok na jego palto, laskę, kamasze, cofnął się o pół kroku.

— Ale... pan się jednak zmienił...

— Tak, tyle lat...

— Bo może ja pana krępuję?

— Nie... tylko może innym razem... Bo ja... cokolwiek się spieszę.

— Aaa, przepraszam pana... Przepraszam bardzo... Przepraszam.

Pan dyrektor chciał... podać rękę Bolkowi, ale ręka spoczywała na chłodnym kurku ukrytego w kieszeni przedmiotu. Chciał powiedzieć coś, ale Bolek już się oddalał, i między nimi zawisło, jak czarny ptak o wielkich skrzydłach ostatnie:

— Przepraszam...

Pozostał sam.

Bolek z Bednarskiej. Bolek, który rano pomagał matce nieść na targ bardzo ciężkie kosze, potem biegł do warsztatu, gdzie młode ręce czternastoletniego chłopaka pracowały nad siły, a młody umysł układał rymowane wyrazy na tematy nad wiek dziecięcy. Bolek w nocy czytał.

Czytał Szekspira, Mickiewicza, Słowackiego, Wiktora Hugo. Napisał dwa dramaty: w jednym Kościuszko został królem całej Europy, a w drugim Hamlet upaństwowił narzędzia pracy, zniósł prostytucję i rozdał chłopom ziemię.

Niema chłopa ani pana,
Niewolnika ni cygana,
Znikły łzy i cały brud,
Bo panuje dzisiaj lud.

Tak mówił w dramacie czternastoletniego Bolka z Bednarskiej umierający Hamlet...

— Bolek... Bolek...

— Bolek... Franek, do którego chciał Bolek napisać... Stacho... Karol... Koledzy i uczniowie... Dwa dziwne lata... Wielkie wspólne słońce...

— Dziwne... bardzo dziwne...

I czarny ptak o wielkich skrzydłach, który rzucił mu zdala smutne czy też drwiące:

— Przepraszam.

Pan dyrektor siadł do dorożki, jedzie dwoma rzędzami drzew. Przymknął oczy i dotknął ręką piekącego policzka.

Policzek piekł silnie.

— I dlaczego? Dlaczego, do cholery?

Wzruszył ramionami.

— Dla błazeństwa...

I pod przymkniętemi powiekami mały Bolek z Bednarskiej rósł, rósł, rósł — taki coraz większy i coraz mężniejszy...

Organizacja.

Ostatnie dziesiątki lat, to czas ogromnie wzmożonego ruchu organizacyjnego. Wszystkie klasy i wszystkie zawody starają się skupić razem, by bronić swych interesów i wspólnemi siłami tem łatwiej urzeczywistnić swe cele. Idea organizacji objęła wszystkich; zarówno w burżuazji i wśród robotników, jak wśród inteligiencji i sfer drobnomieszczańskich i chłopskich widzimy skrzętną pracę około zbudowania swych organizacji — wszyscy chcą bronić swoich interesów, chcą walczyć o swe własne dobro. Podczas jednak, gdy wszystkie zrzeszenia wśród klas burżuazyjnych i drobnomieszczańskich zdążają jedynie do urzeczywistnienia bezpośrednio zakreślonych celów, organizacji klasy robotniczej przyświeca jeszcze szeroko zakreślony ideał zmiany całego dzisiejszego ustroju społecznego. I to jest właśnie, co organizacje nasze wyróżnia od wszystkich innych.

Powód tego dążenia klasy robotniczej tkwi w dzisiejszych stosunkach społecznych. Dziś jedynym panem i władcą jest prywatny kapitał, którego najwyższą zasadą jest wyzysk człowieka przez człowieka. Cała ludność podzielona została na dwie klasy, posiadających i proletarjat. Klasa posiadających rozporządza kapitałem i narzędziami pracy — proletarjat posiada tylko siłę robocz?, którą musi sprzedawać kapitaliście, by zyskać potrzebne środki do życia.

Dążeniem klasy posiadających jest naturalnie obrona dzisiejszego stanu rzeczy i zabezpieczenie wszystkich płynących z tego dla nich korzyści, co dziać się może tylko kosztem nieposiadających. „Pieniądz rządzi światem" — mówi stare przysłowie — i dziś z każdym dniem niemal coraz bardziej przekonywujemy się o jego prawdzie. Kto ma pieniądze, ma władzę, wpływ i potęgę. Klasy posiadające i ich trabanci i słudzy czują się też w obecnym ustroju zupełnie zadowoleni i wszelkiemi siłami starają się o to jedynie, by ustrój ten utrzymać na zawsze. Państwo, kraj i gmina zostały w zupełności opanowane przez klasy posiadające; ustawy mają głównie na celu obronę własności i majątków, a ponieważ proletarjat nic nie posiada, cała ta ustawowa obrona własności oznacza nie co innego, jak tylko obronę posiadających. Wszystkie urządzenia w państwie i w gminie przystosowane są do życzeń posiadających, żyjemy zatem w państwie klasowem, które całą swą siłę i władzę obraca na obronę posiadających. Tylko z musu i bardzo niechętnie użycza państwo klasowe odrobinę obrony klasom nieposiadającym, na które w zamian za to zrzuca poważną część kosztów utrzymania państwa, każąc im płacić nieproporcjonalnie wielkie podatki pośrednie. Obowiązki i prawa w państwie klasowem rozdzielone są nierównomiernie, a stan taki pozostanie tak długo, dopóki istnieć będzie dzisiejszy ustrój społeczny.

Wprawdzie ruch robotniczy ustawicznie stara się i walczy, by ten stosunek zmienić i dla klasy robotniczej zyskać jak największy udział tak w rządzie jak i w wytworzonych dobrach, by klasa robotnicza stała się zupełnie równą tak pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. Cel ten może być jednak osiągnięty wtedy tylko, gdy runie dzisiejszy ustrój i dla tego właśnie organizacje robotnicze, mając na celu obronę interesów swej klasy, muszą równocześnie dążyć do obalenia ustroju kapitalistycznego. Miejsce prywatnej własności musi zająć własność wspólna, a państwo kapitalistyczne musi stać się państwem prawdziwie ludowem, nie znającem uprzywilejowanych i możnych, lecz jedynie równych obywateli.

To jest ostateczny cel, do którego zorganizowani robotnicy całego świata wspólnemi siłami zdążają. Robotnik, który zrozumiał, że dzisiejszy ład społeczny zbudowany jest na władzy posiadających, musi wspólnie z innemi swemi współtowarzyszami klasowymi dążyć i walczyć, by władzę tę obalić. Robotnik taki jest uświadomiony klasowo, spełnia swój obowiązek wobec całej klasy robotniczej. Obowiązkiem jego jest ideę walki szerzyć na każdym kroku, uświadamiać swych ciemnych jeszcze kolegów i zjednywać ich do wielkiej armji walczącego proletarjatu.

PAWEŁ RUFF.

Z pamiętnika emigranta.

Biza.

Chodzę po ulicy i przyglądam się wystawom — szukam roboty. Chodzę godzinę, dwie — wreszcie widzę wystawione pudełka. Otwieram drzwi. Nie omyliłem się. Znany mi obraz: stosy papieru, tektury, brystolu. — Jeszcze nie zdążyłem otworzyć ust, już właściciel warsztatu mnie zauważył, wiedział, że jestem „zielony", który szuka pracy.

— Czem jesteś?

— Pudełkarz

Rozległ się śmiech, bo w Londynie mówią: boksenmacher.

— Siadaj i rób.

Już siedzę i pracuję. Z „zielonym" gospodarz o płacy mówić nie będzie: co mu da, musi przyjąć, jak z łaski. Czekałem niecierpliwie wieczora, żeby móc porozmawiać z towarzyszami, rozpytać się, poradzić.

A jakże: wieczorem była wypłata. Każdy brał zarobek i odchodził, zostałem sam.

— Przyjdź w poniedziałek — powiedział nowy pracodawca i dał mi za 6 godzin pracy sykspens (2 złote).

Wyszedłem, co miałem robić?

W domu już się domyślili, że musiałem znaleźć pracę, bo nie wracałem cały dzień.

Twoje szczęście, że trafiłeś na bizę.

Wyraz „biza" znaczy praca, robota, ruch. Takie znaczenie można znaleźć w słowniku, ale w duszy robotnika ma on zgoła inne znaczenie. Biza to znaczy, że może co dzień zjeść obiad, może spłacić długi, sprawić trochę bielizny, pojechać w niedzielę za miasto do lasu, tam przeczytać gazetę. — Biza to szczęście, raj na ziemi. — Pracodawca jest uprzejmy, troskliwy, ludzki — przyjdzie mu do głowy fantazja, weźmie i z własnej chęci dorzuci pensa. Fantazja? — Śmiej się z tego. — Nie fantazja wcale, tylko, on po oczach pozna, że robotnicy nie są zadowoleni, jeszcze parę dni minie, to sami zażądają, więc woli ich uprzedzić. — Pieniądz traci wartość, ręce idą w cenę — robotnik górą. — Później dopiero zrozumiałem, jaka to była wspaniałomyślność — ten sykspens za próbną pracę, na której on zarobił dwa szylingi. — Ja głupiec myślałem, że towarzysze w czasie bizy w dzień wypłaty będą gadali z „zielonym". Z rodzonym bratem nie będzie żaden mówił.

Pracowałem pół roku razem z jednym robotnikiem, pół roku siedzieliśmy przy tym samym warsztacie. Potem na osiem lat straciłem go z oczu, bo wyjechał do Ameryki. Po ośmiu latach spotykam go znów w Londynie. Poznałem go — zatrzymałem. — Spojrzał na mnie roztargnionym wzrokiem.

— Masz bizę?

— Mam.

— I ja mam.

I już go nie było. Takie było nasze przywitanie po 8 latach.

Pracodawca w czasie bizy, taki łagodny i ustępny, na jednym punkcie jest bezwzględny i bez miłosierdzia.

— Rób — pracuj — śpiesz się.

Śpiesz się, robotniku — ani chwili wytchnienia! Bierz przykład z maszyny, maszyna niech będzie twoim ideałem, albo nie, stań się maszyną.

Byłem raz bez roboty, idę przez ulicę — nagle łapie mnie ktoś z tyłu za rękę.

— Krawiec?

— Nie.

— To chodź.

Pędzi, ja za nim. Wpadamy zdyszani do warsztatu.

— Siadaj i szyj:

Myślałem, że nie dosłyszał, więc powtarzam, że nie jestem krawcem.

Złapał ze stosu kawał sukna.

— Trrrrr — zawarczyła maszyna.

Złożył we dwoje i rzucił. Drugi kawał sukna.

— Trrrrr — znów złożył i rzucił.

Położył trzeci.

— Siadaj i szyj:

W pół godziny już byłem krawcem. Ucierpiały na tem pierwsze ściegi, ale ktoby zwracał na to uwagę? — Biza!

Biza — to wojna, a na wojnie rolnik robi się strzelcem a akuszer obcina nogi. — Więc i ja przez dwa tygodnie byłem krawcem.

Trzeciego tygodnia jakoś głowa mnie zabolała. Zapaliłem papierosa. — Gdybym był wyjął sznurek i zaczął się wieszać, nie zrobiłoby to większego wrażenia.

— Maszyna stoi — krzyknął majster.

— Maszynę głowa boli — powiedziałem.

Szeroko otworzył oczy. — Odłożyłem papieros i szyję dalej. Uspokoił się. — Ale głowa coraz więcej bolała, maszyny trzaskały, a sprzedane ręce zaczęły się buntować. — Zapaliłem znów papierosa.

— Maszyna stoi — krzyknął z drugiego pokoju — w akordzie dwudziestu maszyn, jak kapelmistrz, dosłyszał brak jednego instrumentu.

Rzuciłem niedokończony ścieg, — zerwałem się.

— Zapłać pan, nie będę więcej robił.

— Teraz się nie płaci.

— Teraz się płaci. Chcę odejść.

Stanęły trzy — cztery maszyny jeszcze.

— Masz.

— Jeszcze pół pensa mi się należy.

— Nie mam pół pensa (trzy grosze).

— To daj cały pens.

Rzucił mi pół pensa i wybiegł na ulicę szukać na moje miejsce nowego „krawca".

Wyszedłem na ulicę. W głowie, w duszy, w całej mojej istocie także była teraz „biza".

Formy organizacji.

Do osiągnięcia zakreślonego celu klasa robotnicza posługuje się trojaką formą organizacyjną: organizacją zawodową, spółdzielczą i polityczną. Wszystkie te formy są jednakowo ważne i wszystkie wzajemnie się uzupełniają. Organizacja zawodowa łączy kolegów jednego zawodu, aby ich uświadomić i zrobić zdolnymi do walki; organizacja spółdzielcza ma za zadanie łączyć klasę robotniczą jako konsumentów, aby mogli wpływać na ceny potrzebnych do życia towarów; organizacja polityczna zaś dąży do tego, by ustawodawstwo i administracja państwa i gminy odpowiadały potrzebom proletarjatu. Wszystkie trzy organizacje mają jednak ostatecznie jeden i ten sam cel: wyzwolenie klasy robotniczej z więzów kapitału. Uświadomiony robotnik powinien też należeć do wszystkich tych organizacji i z jednakową energją pracować nad ich rozwojem.

Zwolennik tylko organizacji zawodowej nie o wiele posunąłby się naprzód, gdyby dążył tylko do podniesienia płacy i skrócenia czasu pracy, gdyż ciężko i z trudem wywalczoną podwyżkę zarobku wnet pochłonęłoby podrożenie środków spożywczych, mieszkań itd. I tu musi wkroczyć organizacja spółdzielcza, by nie dopuszczać do podwyżki cen. Stowarzyszenia spółdzielcze muszą być tak ukształtowane, by w miarę rozwoju mogły przechodzić do produkcji potrzebnych im towarów i same wytwarzały to, co klasie robotniczej jest koniecznie do życia potrzebne, by same budowały domy, zakładały młyny, piekarnie, rzeźnie i fabryki, aby w ten sposób uniemożliwić dzisiejszym lichwiarzom kapitalistycznym ustawiczne podwyższanie cen i odbieranie robotnikom tego, co jako zawodowo zorganizowani zdołali wywalczyć. Organizacja polityczna zaś musi torować drogi tym dwom poprzednim organizacjom, musi dążyć, by stworzyć stan prawny, umożliwiający swobodny ich rozwój. Organizacje zawodowe potrzebują do swego rozwoju dobrych ustaw o stowarzyszeniach, o zgromadzeniach, o koalicji i dobrej ustawy przemysłowej. Ochrona robotnika musi być ustawowo uregulowana, aby postawić granice wyzyskowi sił robotnika. Ponadto klasa robotnicza musi mieć wpływ na administrację państwa i gminy, aby ustawy, mające bronić robotników, były podejmowane i rzeczywiście przeprowadzane. Ubezpieczenie robotników na starość, na czas niezdolności do pracy, czas choroby, od wypadków i braku pracy musi być rozszerzone względnie wprowadzone. Prawa i obowiązki klas nieposiadających muszą zostać podstawione w sprawiedliwszy stosunek do klas posiadających. Słowem, te trzy formy organizacji mają na celu usunięcie wszystkiego, co gniecie dziś robotnika i osiągnięcie wszystkich jego dążeń.

Widzimy więc, że zadania tej troistej organizacji robotniczej są ogromne. Musi ona pracować dla teraźniejszości, a równocześnie bacznie spoglądać w przyszłość. Rozwój ten byłby napewno daleko szybszy, gdyby ogromna masa nieposiadających zrozumiała swą siłę i wspólnie stanęła w szeregach walczących. Drobna garstka posiadających musiałaby ustąpić i zrzec się swych przywilejów, gdyby cała klasa robotnicza stanęła świadoma i solidarna. Klasy posiadające oddawna umiały bronić swych praw, proletarjat zaś dopiero wszedł na tę drogę i tylko z trudem i powoli zostaje uświadomiony.

Kto jednak z uwagą śledzić będzie historję rozwoju klasy robotniczej całego świata i kto zastanowi się nad tem jak ogromne postępy zrobiła ona w ostatnich dziesiątkach lat, a zatem w przeciągu tego stosunkowo krótkiego czasu rozbudzenia się świadomego ruchu robotniczego, ten musi przyznać, że usiłowania tej nielicznej zrazu garstki uświadomionych robotników nie poszły na marne. Mimo prześladowań klas posiadających i ich służalców, klasa robotnicza zdołała zdobyć sobie wpływ i siłę we wszystkich trzech dziedzinach życia społecznego. Pozyskane wyniki na polu politycznem, zawodowem i spółdzielczem są dziś takie, że każdy widzieć je musi i dumą mogą napełnić każdego, kto walczył o ich zdobycie.

Rozwój nie ma spoczynku i spokoju, lecz z nieprzezwyciężoną siłą kroczy wiecznie naprzód. Ten proces rozwojowy możemy jednak przyspieszyć, gdy każdy uświadomiony robotnik pracować będzie dla swej organizacji, gdy będzie spełniać swe obowiązki, będzie zyskiwał nowych zwolenników i będzie budził w nich świadomość klasową. Im więcej rąk bowiem ujmie za koło rozwoju, tem prędszym będzie jego obrót i bliższym stanie się czas zupełnego wyzwolenia klasy robotniczej.

Rozmaitości

Olbrzymi zegar. W Jersey nad rzeką Hudson zbudowano olbrzymi zegar. Tarcza tego zegaru ma 12 metrów średnicy, a wskazówka minutowa jest ogromną sztabą, której ostrze ma szerokości pół metra. W ciągu jednej minuty ostrze to odbywa drogę około 60 centymetrów. Łatwo sobie wyobrazić, że gdyby ruch tej wskazówki można obserwować z bliska, szybkość jego byłaby bardzo znaczna. — W kraju niesłychanie rozwiniętej reklamy wiele dzieł technicznych miewa również często tylko reklamowy charakter. Tak samo jest z wspomnianym zegarem. Jest on reklamową odznaką jednej z olbrzymich fabryk mydła i wznosi się ponad dachem fabryki w wysokości około 40 metrów po nad ziemią. Dzięki temu tarcza jest widzialna z ogromnej odległości, zegar wskazuje czas znacznej części mieszkańców Nowego Jorku, z którym miasto Jersey bezpośrednio graniczy. Zegar jest zbudowany z ogromnych belek sosnowych, pomalowanych na biało, z bliska przypomina wiatrak, z daleka nie znać zupełnie odstępów między belkami, które jednak są konieczne, bo inaczej siła wiatru mogłaby obalić całą tarczę. Długość wskazówki minutowej tego gigantycznego zegara wynosi 5 i pół metra; wskazówka waży 370 funtów, do utrzymania jej w równowadze służy ciężarek wagi 270 funtów.

* * *

Tajemnicza choroba. W Holbrook, w pobliżu Ipswich, w Anglji wybuchła tajemnicza choroba, której ofiarą w ciągu dni kilku padły trzy dorosłe osoby i 9-letnie dziecko. Zapadło ono nagle przy dziwnych objawach choroby i zmarło po 3 dniach. Za niem poszła pielęgnująca je matka; podczas jej pogrebu zachorował ojciec i sąsiad. Ponieważ lekarze w Ipswich po raz pierwszy mieli do czynienia z symptomatami owej choroby, władze sanitarne przedsięwzięły badania. Zwróciło ich uwagę, że w okolicy Holbrook od paru tygodni wymierają w wielkiej liczbie szczury, króliki i zające. Posłano ich trupy profesorowi Kleinowi w Londynie. Jego bakterjologiczne badania we wszystkich trupach ujawniły bakcylus, który według zdania profesora spowodował śmierć. Ten sam bakcylus odkrył we krwi czterech ofiar nieznanej choroby dr. Heath, bakterjolog szpitala w Ipswich. Stąd wniosek, że zarazek dostał się do organizmu dziecka skutkiem zjedzenia zająca. Od dziecka zarazili się starsi. Władze sanitarne zakazały mieszkańcom Ipswich oraz okolicy spożywania zajęcy i królików.

* * *

Czas żniw w różnych krajach. Niema miesiąca, w którymby gdzieś na ziemi nie było żniw. Styczeń widzi żniwa w Argientynie, Czili, Australji i Nowej Zelandji; luty w Indjach; marzec w górnym Egipcie. W kwietniu zbierają plon: Meksyk, Kuba, dolny Egipt, Syrja, Persja i Azja Mniejsza. Mieszkańcy Północnej Ameryki, Japonji i Chin żną w maju, a Włochy, południowa część Francji i Zachodnie Stany Zjednoczone Północnej Ameryki w czerwcu. Lipiec to czas żniw dla Austro-Węgier, północnej Francji, południowej Rosji, części Kanady, a sierpień dla Polski, Niemiec, Anglji, Belgji i Holandji. Rosja i Skandynawja mają żniwa we wrześniu, a Peru w październiku. W listopadzie południowa Afryka zbiera dojrzałe ziarno, a w południowej Australji żniwa są w grudniu.

* * *

Awjatyka jako objekt skargi. Pewien obywatel we Francji zaskarżył awjatyka za podpatrzenie tajemnic jego życia prywatnego. Kodeks nie przewiduje wcale lokomocji aeroplanowej, jednak w sprawach dotyczących strat materjalnych wystarczy on jako tako. Jeżeli lotnik wyląduje na polu i zniszczy zasiewy, sprawa jest dosyć jasna. Trudniej już dać sobie rady w wypadkach szkód pośrednich, jak np. wystraszenie koni, jednak i tutaj można jeszcze zastosować przepisy, dotyczące naprzykład automobilów i cyklistów. Ale lotnictwo wytwarza kwestje nowe, dotychczas nieistniejące. Ktoś otoczył swój park murem w celu ukrycia swego życia prywatnego przed oczami ciekawych i zabronił chodzić obcym po ogrodzie. Wszelkiego rodzaju wdarcie się obcego, bez pozwolenia właściciela, jest przewidziane przez prawo; ale lotnik, szybujący w wysokości kilkunastu metrów ponad parkiem, wdziera się właściwie do tajemnic życia prywatnego, nie przełazi jednak muru, nie włamuje się, więc nie przekracza wcale przepisów prawnych. Jest to więc kwestja, nad której rozwiązaniem wobec rozwoju lotnictwa prawnicy będą musieli łamać sobie głowy.

* * *

Najdłuższy tramwaj. W rzędzie wielu największych, najokazalszych budowli i urządzeń technicznych, któremi Ameryka wynosi się nad Europę, pomieścić należy i najdłuższą linję tramwajową. Znajduje się ona w Ameryce południowej i łączy Buenos Aires z San Matin. Linja ta ma 82 kilometrów długości; siłę pociągową stanowią konie, gdyż z powodu taniości koni w Argientynie użyto ich zamiast siły parowej lub elektrycznej. San Martin jest portem wielkich parowców, więc ruch na tej linji jest stale ożywiony.

* * *

Zaraza herbaciana. Znaczna część konsumowanej przez Europę herbaty pochodzi, jak wiadomo, z Ceylonu i z Indji południowych. W ostatnich czasach rozwinęła się uprawa herbaty i w Indjach północnych, w prowincjach Assam. Pokładano w tych plantacjach wielkie nadzieje, ale sprawozdanie instytutu gospodarstwa krajowego w Indjach, rozwiało je w zupełności. Ostatni rok przyniósł zupełną klęskę; na całym obszarze poświęconym uprawie herbaty, ukazał się rodzaj grzyba, rozmnażając się z niesłychaną szybkością, który wyniszczył cały zbiór. Zachodzi obawa, że zaraza przeniesie się na dalsze obszary.

* * *

Wyparty przez rekiny. Przed kilku dniami bostoński statek rybacki „Matiana", po przybyciu na miejsce, gdzie zamierzał zająć się połowem ryb, został otoczony przez olbrzymie ilości rekinów, od których roiło się morze w niezmiernej przestrzeni. Kapitan statku, widząc swój teren połowu zajęty przez drapieżników morskich, próbował z początku rozpędzić niebezpieczne potwory. W tym celu zarzucono kilkanaście haków z przynętą. Rekiny rzuciły się gromadnie na żer i najsilniejsze z nich połknęły haki wędek. Złapanych rekinów wyciągano z wody i po rozbiciu im głów siekierami wrzucano z powrotem do morza. Oczywiście towarzysze zabitych rekinów rzucały się na trupy i pożerały w mgnieniu oka. W ten sposób zabito przeszło 50 rekinów; niewiele to jednak pomogło, przeciwnie; zwabione obfitością żeru, rekiny skupiły się w takiej ilości dokoła, i zaczęły zagrażać jego bezpieczeństwu, że kapitan musiał dać za wygraną i ustąpić plac boju rekinom.

* * *

Znowu zbrodnia w klasztorze. Pisma rosyjskie donoszą: w połowie ubiegłego miesiąca w ławrze Troicko-Siergiejwskiej pod Moskwą dokonano tajemniczej zbrodni. Zamordowany tam został jeromonach Anatol, przyczem naczelnik moskiewskiej policji tajnej Koszko, po obejrzeniu celi, w której morderstwo zostało popełnione, stwierdził, iż duchownego Anatola zamordowało dwuch jakiś zbirów dla rabunku. Władze śledcze stwierdziły ponadto, że w przededniu zabójstwa 14-letni Aleksander Kaznaków widział, jak dwuch mężczyzn niosło drabinę, po której mordercy dostali się do celi duchownego Anatola. Skonfrontowano z chłopcem tym wszystkich stróżów klasztornych. W jednym z nich, niejakim Mariejewie, chłopiec poznał jednego z ludzi, którzy nieśli drabinę. Mariejewa natychmiast aresztowano, a wktótce potem uwięziono również przyjaciela Mariejewa — stróża Wasila Zdanowa. Obuch aresztowanych przewieziono do więzienia w Moskwie. Obaj przez długi czas zaprzeczali stanowczo, jakoby wiedzieli cośkolwiek o zabójstwie duchownego Anatola. Dopiero po kilkutygodniowem więzieniu przyznał się do morderstwa Zdanow, który oświadczył, że w zbrodni brał również udział i Mariejew.

W śledztwie Zdanow zeznał, że w klasztorze pracował od 1 i pół roku. Tutaj zaprzyjaźnił się z Mariejewem i postanowili okraść główny sobór w ławrze. Wkrótce jednak przekonali się, że nie będą w stanie tego dokonać. Wówczas zwrócili uwagę na jeromonacha Anatola, którego wszyscy uważali za człowieka zamożnego. Zdanow ze swym przyjacielem postanowił po naradzie okraść duchownego Anatola w nocy z dnia 12 na 13 września, gdy klasztoru miał pilnować Mariejew, który miał przystawić drabinę do okna celi jeremonacha.

Zdanow, ubrany tylko w brudną bieliznę, wszedł po drabinie do celi Anatola. Tutaj zaczął szukać pieniędzy, przyświecając sobie świecą woskową. W tej chwili obudził się duchowny Anatol; Zdanow rzucił się nań i dłutem zranił go śmiertelnie w szyję. Aby uniemożliwić rannemu wzywanie pomocy, Zdanow zatknął mu usta chustką i zaczął dusić. Gdy duchowny Anatol skonał, Zdanow wyciągnął z pod poduszki paczkę papierów procentowych, wartości 20000 rubli, zabrał budzik, złoty zegarek z dewizką oraz dwa zegarki srebrne. Podczas gdy Zdanow mordował jeromonacha, Mariejew zawołał jeszcze jednego swego przyjaciela, Wasina i wraz z nim czekał na podwórzu klasztornym na Zdanowa. Ten, dokonawszy zbrodni, wręczył Mariejewowi, który ukrył się w drwalni, węzełek z pieniędzmi i zrabowanymi przedmiotami. Zdanow zaś poszedł się przebrać i obmyć ręce.

Wobec tych zeznań, jakie wydobyto ze Zdanowa i Mariejewa, aresztowany został i Wasin. Ten do zbrodni się przyznał, nie chce jednak wyjawić, gdzie ukrył zrabowane przedmioty.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 46. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 listopada 1910.

A. CZECHOW.

POŻYCZKA.

(Humoreska.)

(Przekład z rosyjskiego.)

Rozkoszna Wanda albo też jak opiewał paszport, wydany na jej nazwisko, obywatelka Anastazja Postronek, po wypisaniu się ze szpitala, znalazła się w położeniu, w jakiem dotychczas jeszcze nigdy nie była: bez dachu nad głową i bez grosza w kieszeni. Co począć?

Pierwszą rzeczą było udać się do lombardu i zastawić tam pierścionek, z turkusem, jedyną posiadaną rzecz wartościową. Za pierścień dano jej rubla, ale cóżto jest rubel. Za takie pieniądze nie da się kupić ani modnej krótkiej salopki, ani okazałego kapelusza ani pantofelków bronzowych, a bez tego wszystkiego rozkoszna ta istota czuła się niemal nagą. Zdawało jej się, że nietylko ludzie, ale nawet konie i psy patrzą na nią i śmieją się z jej lichego nbioru, więc też myślała tylko o kostjumie, pytanie zaś, gdzie będzie nocować i co jeść — nie dręczyło jej ani na chwilę...

— Żeby też choć znajomego freiera spotkać... — myślała. Pożyczyłabym pieniędzy... Żaden by mi nie odmówił, boć przecież ładna jestem...

Ale żadnego znajomego nie spotkała. Nie trudno ich byłoby spotkać wieczorem w Renaisansie, ale do Renaisansu nie wpuszczą w tem obszarpanem ubiorze i bez kapelusza. Cóż tu począć? Po długiem wahaniu się, kiedy już uprzykrzyło się jej spacerować bez celu i siedzieć i myśleć, Wanda postanowiła chwycić się ostatniego środka. Udać się do którego z dawnych znajomych wprost do mieszkania i prosić o pożyczkę.

Do kogoby tu pójść? — medytowała. Do Mikusia nie podobna, ożenił się... Tenrudy też teraz w biurze... Przypomniała sobie dentystę Finkla, wychrztę, który kilka miesięcy temu ofiarował jej w prezencie branzoletkę i któremu kiedyś podczas szampańskiej kolacji w klubie niemieckim wylała na głowę szklankę wina. Już sama myśl o Finklu wprawiła ją w złoty humor...

— Ten mi napewno pożyczy, byle go tylko w domu zastać... — myślała, zbliżając się do mieszkania dentysty — a nie da, to mu wszystkie lustra w mieszkaniu potłukę!..

Podchodząc do drzwi mieszkania dentysty, miała już plan gotowy: wpadnie ze śmiechem wprost ze schodów do gabinetu i zażąda 25 rubli... Ale gdy dotknęła palcem dzwonka, plan ten jakoś sam przez się wybiegł z głowy.. Wanda nagle stchórzyła, zawahała się, co naogół rzadko jej się zdarzało.

Przyzwyczajona do pijackich kompanji, łodznaczała się śmiałością i czelnością, teraz zaś ubrana w lichą odzież znalazłszy się w roli zwykłej penitentki, której mogą nie przyjąć, poczuła się nieśmiałą i uniżoną.

Ogarnął ją wstyd i lęk...

A może mnie już zapomniał... — myślała, nie decydując się przycisnąć dzwonka... I zresztą jak ja wejdę do niego w takiem ubraniu? Jak jaka żebraczka albo podupadła mieszczka. Wreszcie zadzwoniła bardzo słabo.

Za drzwiami rozległy się kroki: ukazał się szwajcar.

— Pan doktór w domu? — spytała.

Byłoby teraz dla niej prawdziwą przyjemnością, gdyby lokaj odrzekł: „niema“, ale ten zamiast odpowiedzi wpuścił ją do przedpokoju i zdjął z niej paltocik. Przedpokój wydał się jej luksusowym, a w tej wspaniałości przedewszystkiem rzuciło się jej w oczy wielkie zwierciadło, w którem ujrzała jakąś oberwanicę bez kapelusza, bez modnej salopki i bez pantofelków bronzowego koloru. I nie zdziwiła się wcale, że teraz, gdy jest biednie ubrana i podobna do szwaczki lub praczki, w duszy jej zradził się wstyd, że pierzchła gdzieś czelność, śmiałość i że nie czuje się naraz „rozkoszną Wandą“ ale tą dawną Nastką.

Postronek?...

— Proszę panią — rzekła pokojówka, wprowadzając ją do gabinetu.

— Pan doktór zaraz przyjdzie... Pani będzie łaskawa usiąść.

Wanda opuściła się na miękkie krzesło.

— Odrazu powiem: „Daj pan pieniędzy!“ — myślała. To będzie najwłaściwsze, tembardziej, że przecież znamy się dobrze. Tylko ot żeby ta pokojówka stąd wyszła. Przy pokojówce jakoś niezręcznie... I czego ona tu sterczy?...

Nie upłynęło pięć minut, gdy otwarły się drzwi; wszedł Finkel, wysoki, śniady wychrzta, z wyłupiastemi oczami i opadłemi policzkami. Twarz, oczy, brzuch, tęgie biodra — wszystko to u niego było grube, wstrętne, surowe. W Renaisansie i w klubie niemieckim, bywał zazwyczaj w „humorze“, wiele tracił na szansonetki, z pokorą znosił ich wybryki (np. gdy Wanda wylała mu wino na głowę, on tylko uśmiechnął się i pogroził jej z lekka palcem), teraz zaś miał wyraz pochmurny, ospały, spoglądał ozięble, obojętnie, niby jaki naczelnik i żuł coś w ustach...

— Czem mogę służyć? — spytał wręcz nie patrząc na Wandę.

Ta spojrzała na poważną buzię pokojówki, na apatyczny wyraz dentysty, który, jak się zdawało, nie poznawał jej wcale i sponsawiała.

— Czem mogę służyć — powtórzył dentysta już trochę rozdrażniony.

— Zę... zęby bolą... — wyszeptała Wanda.

— Aha... zęby... Które zęby? Gdzie?

Wanda przypomniała sobie, że ma jeden ząb wypróchniały.

— W dole na prawo — odrzekła.

— Hm... Proszę otworzyć usta.

Finkel zasępił się, zatrzymał oddech i począł obserwować chory ząb.

— Boli?.. spytał, dłubiąc jakimś pręcikiem w zębie.

— Boli — skłamała Wanda. — Dośćby mu tylko przypomnieć się — myślała — zarazby mię poznał... Cóż, kiedy ta pokojówka... I czego ona tu sterczy?...

Naraz Finkel zasapał jak parowóz wprost jej w usta i rzekł:

— Nie radzę go pani plombować... Z tego zęba nie będzie żadnej korzyści... to pewne!

Podłubawszy jeszcze trochę w zębie i zawalawszy Wandzie usta i dziąsła swemi zatabaczonemi palcami, Finkel znowu powstrzymał oddech i wlazł jej w usta z czemś chłodnem...

Wanda poczuła nagle straszny ból, krzyknęła i porwała za rękę dentystę...

— No, nie... nie... — mruczał tenże. Niech się pani nie boi... Z tego zęba i tak niby nie było! Trzeba być mężną...

I zatabaczone, zakrwawione palce ukazały jej oczom wyrwany ząb, gdy tymczasem pokojówka podeszła i zbliżyła do jej ust kubeczek z wodą.

— W domu niech pani zimną wodą ząb płucze — rzekł Finkel — zaraz krwotok ustanie.

Stanął przed nią, przybrawszy pozę człowieka, który niecierpliwie czeka, kiedy nareszcie opuszczą go i zostawią samego.

— Do widzenia — odezwała się pacjentka, kierując się ku drzwiom.

— Hm... a któż mi zapłaci za pracę? — spytał pełnym śmiechu głosem Finkel.

— Ach prawda!... — przypomniała sobie Wanda, zarumieniła się i podała wychrzcie ostatniego rubla, otrzymanego w lombardzie za pierścionek.

Wyszedłszy na ulicę, poczuła jeszcze większy wstyd niż przedtem, ale już teraz nie wstydziła się swojej biedy. Teraz już nie zważała na to, że niema na sobie modnej salopki, rażącego kapelusza. Szła ulicą, plując krwią i każda krwawa plamka mówiła jej o jej życiu o jej nikczemnem ciężkiem życiu i o tych zniewagach, które znosiła i jeszcze będzie znosić jutro — za tydzień — za rok — przez całe życie, do samej śmierci...

— O, jakież to straszne? — szepnęła — Boże mój, jakże straszne!

Jednakże już nazajutrz była w Renaisansie i tańczyła kankana. Znowu miała olbrzymi modny kapelusz, zgrabną salopkę i pantofelki bronzowego koloru. I kolacyjkę spożyła pospołu z jakimś kupcem bogatym.

Tłomaczył Crataegus.

Marja Konopnicka.

...Zaprawdę mówię Wam,
Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci
Ja miljon serc, wzruszonych pieśnią, dam

Nam śpiewać zgrzytem strun rwanych [i krzykiem —
I nie — słowiczym — lecz orlim językiem
. . . . . .
Pieśń nasza, kmiecą odziana siermięgą,
Z ducha królewsk ośćbierze, nie z purpury!
. . . . . .

Zmarła wielka pieśniarska ludu polskiego. Wszystkie nędze i niodole jego życia, wszystkie krzywdy i bóle chłopa i robotnika brała w serce „magnetyczne" i z serca tego tryskał zdrój pieśni przedziwnych.

Gdzie więcej potu, niż chleba na ziemi,
Gdzie opuszczeni są, gdzie są tułacze,
Tam, jak ptak, lecę skrzydłami drżącemi...

...Idzie, z chaty rodzinnej wygnany, z zagonu za niezapłacenie podatków wyzuty, „wolny najmita". „Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta"... „W piwnicznej izbie" leży na tapczanie chore dziecko robotnicze i marzy o urokach wsi, o których matka mu opowiada... A na wsi chłopskie dziecko-sierota stoi przed sądem, o jakieś przestępstwo oskarżone... Dziewczyna idzie do stolicy, wypędzona ze wsi głodem.

O miasto wielkie! na swoje sumienie
Bierzesz to dziecię!... Czy zginie?

Czy zginie? Wchodzi do „ciemnego mrowiska nędzarzy", nad którem zgrzytliwie rozbrzmiewa „nuta rozpustnej piosenki". Spójrzcie — może to ona biegnie, nawpół oszalała, z „pochodnią zgrozy" w oczach, bo dziecię swe „nieprawe" w śniegu pod murem podrzuciła... Matce pękło „chłopskie serce", gdy żegnała się z synem-rekrutem... Nauczycielka wiejska, „młoda żniwiarka na wspólnych pracniwie", leży w trumnie, jak kwiat skoszona.

Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc na polu jałowem
Z świtu do nocy...

Wszędzie, wszędzie po ziemi polskiej chodzi Smutek i Niedola. I w gwiezdne, obojętne niebo, w kościoły, w gmachy bogaczów i mocarzy — uderza miljonem głosów ten krzyk Niedoli. Poetka w blaskach słońca „Zachmurzona stoi":

Nie bywasz ty, słonko, w ponurej ciemnicy,
Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;
Nie bywasz, słoneczko, w poddaszu ubogiem,
Gdzie ściany wilgotne kostnieją za progiem ..

A z niedolą społeczną splata się w ciernistym wieńcu niedola narodowa, o której poetka, skuta kajdanami cenzury, przez długie lata tylko napomknieniami mówić mogła.

Tam w moim kraju, w dalekiej stronie,
Sto gwiazd w zgaszonej stoi koronie...

Poetka wie, że czytelnicy zrozumieją ją i odczują:

Nie mogę mówić do was, jakbym chciała,
Ani do głębi serca wam otworzyć...
Ale wy wiecie, jak drży i jak pała
Słowo to, które pragnę tu położyć,
I stanąć przed niem z pochyloną głową,
Wielkie, zaklęcia pełne, ciche słowo.

Konopnicka nie jest tylko pieśniarką Niedoli. Niekiedy rozpacz zakrada się do jej duszy, zwątpienie ją szarpie, nic nie widać po za chmurami. Ale oto potężnie rozbrzmiewają akordy wiary i nadziei — w dali wschodzi promienne słońce. Mocne i pełne dzielnego spokoju są wiersze, w których poetka streszcza swe „Credo". Poetka wierzy w braterstwo ludów, w potęgę światła, w tryumf „prawa i równości", wierzy

...w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary...

Więc do walki o przyszłość poetka nawołuje:

Na cichych my wodach posnęli leniwie,
A muły nas brudne obeszły, jak sidła...
Hej! w górę tam żagle!... hej! w górę tam skrzydła
Do wioseł! do wioseł! kto żywie!

Wszelką małoduszność, pokorną „zgodę z losem", polityczne i narodowe tchórzostwo poetka piętnuje palącemi słowy. W wierszu „O wy, co cierpieć musicie w pokorze" pogarda jej dla tych, którzy nad wszystko cenią „gnuśny spokój", którzy dają się „zwyciężać bez boju", wyraża się w twardych, jak spiż, srogich, bezlitosnych słowach.

Poetka wierzy w przyszłość, choć mroki dokoła, choć „stopy naszej zasypuje ślady Wicher zagłady"...

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów.
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei —
Przeciw nadziei!

Ach, cel to daleki — a dokoła tyle łez i krwi i zmarnowanych wysiłków!

O! spiesz się słońce! Zbyt wschodzisz powoli,
Nad przepaściami głębokich niedoli!

Poetka sieje miłość, nienawidzi nienawiści, a dokoła widzi rozterkę, walkę klas, stronnictw, narodów — i czuje

się smutna, czuje samotna. Nie przyłącza się do żadnego stronnictwa, nie lubi „rozdwojeń i kłótni“:

W prawo i w lewo, odrębne dwa światy,
Lecz droga moja ni w lewo ni w prawo.

Ale przeto i w jej duszy rozterka jest i rozdwojenie. Miłością chce wszystkich ogarnąć, a jednak musi być

...biczem... na serca, w tłustości
Własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem!
I jednych chłoszczę, i wstrząsam łańcuchem
Drugich — a wszystkich chcę porwać mym duchem
Ku dnia rozświtom, ku wielkiej przyszłości!

Poetka pyta boleśnie:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany?...

Czasem wzywa pomsty, oczekuje wybuchu gniewu ludowego, oczekuje dokonania się czasu, kiedy „sprawiedliwość weźmie berło swe na ziemi“ i „pójdzie dreszcz sądów bożych falami morskiemi“. Ale poetka zarazem pragnęła, by zażegnać walkę, serce jej krwawi się na myśl o straszliwych rozterkach. Woła więc:

O ludy, zbudźcie wy Tego Chrystusa
Z marmurów ciszy!
Bo oto na świat przychodzi pokusa
I otchłań dyszy.
. . . . . .

Ciemną jest, straszną, ta droga daleka,
Gdzie ludy biegą!
Nim słońce wyjdzie nad ziemią zagasłą,
Rzesz ludzkich wodze
Piorun obrali za znamię i hasło
Na swojej drodze!
Zbudźcież wy Tego, co karmi łaknące,
Spragnione poi,
Niechaj zażegna te fale kipiące,
Niech je ukoi!

* * *

W 1879 r. w „Tygodniku Ilustrowanym“ pojawił się wiersz Konopnickiej „Wolny najmita“. Konopnicka — na zaraniu ruchu socjalistycznego w Polsce — wprowadziła robotnika do poezji polskiej. Z przenikliwością myślicielki i z głębokiem odczuciem poetki odtworzyła niedolę i krzywdy i krwawą ironję losu „wolnego najmity“. Ale w tym samym roku z cytadeli warszawskiej rozległ się głos młodziutkiego poety, Wacława Sieroszewskiego, który „wolnych najmitów“ pod czerwony nawoływał sztandar.

O tak, my teraz biedni tułacze,
Lecz swem zjawiskiem, tak jak jaskółki,
Zwiastujem . . . . .!... Słyszycie wrzawę?
To ciągną mnogie, robocze pułki —
A górą znamię powiewa . . . . . .!

A kiedy Konopnicka w wierszu „Czy marzą?“ pytała:

Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,
I ci, co wloką dni w zapadłej chacie —
Czy oni marzą?

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin,
Głuchy szum wieków, idących z kolei
I ciche szmery tajemniczych narodzin
Wielkich idei?

— wtedy wielkie ideje socjalizmu torowały sobie drogę do mas robotniczych. W wierszu „Sobotni wieczór“ robotnik czuje się jeszcze „nieświadomym i biernym“:

Powiew żywszego, szerszego już prądu
Pchnął myśli jego na głębię od brzegu...
Lecz brakło steru i w błędnym tym biegu
Nie umiał dostrzec przystani i lądu...

Socjalizm stał się „przystanią i lądem“ dla myśli robotniczej, ideą wyzwolenia, kotwicą przyszłości, o których cudnie marzyła smutna i wzniosła dusza nieśmiertelnej poetki.

Res.
„Przedświt“.

Z ruchu kobiecego.

Prawodawstwo istniejące dziś, prawie nigdzie jeszcze nie dopuszcza kobiety do czynnego życia politycznego. Jest to pozostałość z tych dawnych czasów, gdy „towarzyszka mężczyzny“ nie odgrywała żadnej roli samoistnej w ogólnym systemie wytwórczym i nie zajmowała w życiu społecznem stanowiska samodzielnego. Dziś, gdy stosunki te ulegają coraz bardziej zmianom zasadniczym, gdy kobieta — szczególniej zaś kobieta proletarjuszka musi stać coraz częściej o siłach własnych, dotychczasowe jej położenie polityczne nabiera cech nienormalnych i pcha w kierunku uświęcenia przez prawo tego równouprawnienia obu płci, jakie w życiu dokonywa się pod każdym względem wciąż szerzej i głębiej.

Pod naporem tego rozwoju żywiołowego przestarzałe przepisy prawne pękły już w krajach niektórych, bardzo zresztą nieliczuych i kobiety dopuszczone zostały tam do udziału w życiu politycznem, a mianowicie do udziału w czynnem prawie wyborczem. Tak w Austrji, podobnie, jak dziś w Rosji, kobiety przy tylko co zniesionym systemie kurjalnym wyborczym mogły głosować przez pełnomocników w kurji wielkiej posiadłości — a więc raczej jako posiadaczki, nie jako jednostki równouprawnione z mężczyznami. W Włoszech także kobiety biorą udział w wyborach pośrednio przez krewnych płci męskiej, którym odstępują swój cenzus. Już jednak w niektórych stanach St. Zjedn. Ameryki Północnej, mianowicie w stanach Colorado, Wyoming Washington, Utah i Idaho kobiety równouprawnione są z mężczyznami jako takie i korzystają z prawa głosu bezpośrednio. Podobnie dzieje się w Australji południowej i Nowej Zelandji. W Europie przykład taki znalazł naśladownictwo jedynie na malutkiej wysepce Maine, należącej do Anglji. Zauważyć przytem trzeba, że w żadnym z tych krajów kobiety nie posiadają biernego prawa wyborczego, to znaczy, że mogą wybierać do parlamentów, czy sejmów, ale nie mogą zostać wybrane.

Krok stanowczy pod tym względem, pierwszy w dziejach prawa konstytucyjnego zrobiło Wielkie Księstwo Finlandzkie.

Gdy w listopadzie słynnego roku 1905, w chwili przewrotu ogólnego w państwie rosyjskiem, Finlandja odzyskała dawne swe wolności i możność nadania sobie nowej karty konstytucyjnej, to w karcie tej zrównała całkowicie prawa polityczne mężczyzn i kobiet, przyznała tym ostatnim tak czynne, jak i bierne prawo głosowania do sejmu. I oto Wielkie Księstwo Finlandzkie jest dziś państwem, gdzie kobieta po raz pierwszy w dziejach świata wejść może do najwyższego przedstawicielstwa ciała prawodawczego.

Rozmaitości

Małpoludy. W ostatnim numerze „Wszechświata“ czytamy:

W Haszczawie, w pow. tureckim w Galicji żyje rodzina karczmarzy Józefa i Lai S., w której jest 5 dzieci małpoludów (mikrocetale — małogłowcy — matołki), ze znamionami wstecznego rozwoju.

Rodzice, jak również najmłodsze z rodzeństwa dwuletnie są zupełnie prawidłowi i w rodzinie tak bliższej jak dalszej nie było dotychczas przypadku takiego zwyrodnienia.

Z 6 dzieci, 5 jest małpoludami; mają od lat 5—16. Oznaki zewnętrzne, znamionujące zwyrodnienie, są następujące: wygląd małpi, wzrost mały, ręce niepomiernie długie, budowa ciała wątła, głowy małe, ruchy niezgrabne, oczy małe, włosy przeważnie jasne, szorstkie, szczecinowate.

Druga co do wieku dziewczyna ma najbardziej odrażającą powierzchowność.

Ludzi się boją, i na ich widok uciekają, chowają się do komina, lub pieca chlebowego i parskają jak młode kocięta zniesione ze strychu, lub innej kryjówki i poraz pierwszy znajdujące się między ludźmi.

Nie mówią, lecz bełkoczą głosem niemiłym, rozumieją jednak, co do nich mówią rodzice.

Same nie zdołają jeść, gdyż potraw nie rozróżniają i biorą do ust trawę i ziemię, dlatego trzeba je karmić. Łaknąc, wskazują jedzenie, jeżeli im jednak kęs z ust wypadnie, już go nie podniosą, chyba, że im go kto inny poda.

Zadowolenie objawiają grymasem, podobnym do śmiechu, a głód i niezadowolenie płaczem, który jednak jest bardziej podobny do skomlenia. Zwyrodnienie nie zwiększa się, lecz pozostaje w mierze.

Do rodziców zgłaszali się już przedsiębiorcy i ofiarowywali im znaczniejszą sumę za odstąpienie tych dzieci, a to w celu obwożenia ich po świecie i wystawiania ua widok publiczny.

* * *

Murzyni w armji francuskiej. Pisaliśmy już o tem iż francuskie sfery wojskowe wobec zastoju w przyroście ludności, uniemożliwiającego Francji udział w ciągłem wzajemnem licytowaniu się mocarstw na punkcie zwiększania się armji — rzuciły były projekt powoływania do wojska ludności tubylczej kolonji afrykańskich.

Z obawy jednak, ażeby uzbrojenie tej ludności nie ułatwiło jej buntów przeciwko panowaniu francuskiemu, rozpatrywano plan taki: arabów, rekrutowanych w Algerji, wysyłać się będzie do Francji, a zaś do Algerji przenosić murzynów, ażeby te obce oddziały znajdowały się pod bronią nie na swojem, lecz na cudzem dla nich terytorjum.

Ponieważ jednak stosunki w kolonjach murzyńskich mniej były znane, wydelegowano pułkownika Mangina na oględziny „czarnego mięsa". Pułkownik Mangin zwiedził już 32 miejscowości w Gwinei i obliczył, że mogą one dostarczać rocznie 3220 żołnierzy; to znaczy w ciągu 4 lat osiągniętoby z nich 12 880. Poza temi względnie ścisłemi cyframi, zaczerpniętemi z naocznie dotąd przez Mangina zbadanych okolic, obliczają, iż wciągnięcie do rekrutacji wszystkich francuskich kolonji afrykańskich stworzyłoby przez 4 lata armję, złożoną z około 200 000 ludzi.

* * *

„Cudowne dziecko". W Fagaras, w pobliżu Budapesztu, mieszka cudowne istotnie dziecko. Jest to 12 letni Abraham Ovid, syn bogatych fermerów, który napisał po rumuńsku traktat naukowy o hodowli bydła i owiec. Rodzice przesłali rękopis do rumuńskiej akademji w Bukareszcie i niebawem otrzymali odpowiedź, że wydrukuje ona dzieło własnym sumptem i poza tem przesłała autorowi 3000 lei. Chłopak zadedykował swe dzieło królowi Karolowi. Listem odręcznem król powinszował rodzicom takiego syna. Książka zawiera 240 stronnic i 10 rozdziałów. Chłopak uczęszcza do gimnazjum i słynie z pracowitości. Wszystkie wolne chwili spędza na łąkach, przyglądając się bydłu. W dziesiątym roku życia napisał artykuł o formacji gór miejscowych. Abraham Ovid jest milczkiem; nie zadaje się wcale z rówieśnikami.

* * *

Zakonnice pracują. Po zwycięstwie rewolucji w Portugalji i wypędzeniu króla nowy rząd republikański postanowił skasować, względnie wydalić z państwa wszystkie zakony i zgromadzenia klasztorne.

Wiele klasztorów nie chciało uznać nowego rządu wypowiedziało mu posłuszeństwo. Wobec tego musiano przeciw tym klasztorom wysłać wojsko i zdobywać szturmem przyczem zginęło wielu żołnierzy, a także mnichów, którzy z bronią w ręku odpierali szturmujących.

Koniec końcem rząd przeprowadził nową ustawę. Rozporządzeniom rządu musiały uledz także klasztory żeńskie.

Jeden z zakonów żeńskich, posiadający własne warsztaty tkackie, zaprotestował przeciw nowej ustawie i powołał się na to, że zakonnice, po opuszczeniu warsztatów, znajdą się bez chleba i środków do życia.

Rząd republikański uwzględnił ten protest i dał mniszkom zajęcie, odpowiadające ich uzdolnieniom, w arsenałach wojennych w Lizbonie. Mniszki zgodziły się na to i obecnie pracują w arsenale, pod dozorem wojskowym. Rząd wypłaca im za to odpowiednie pensje, z których się utrzymują.

* * *

Zacięty ksiądz. W Bretanji, a więc w kraju arcykatolickim, choć wydał ze swego łona Renan'a, i to pod twiedzą reakcji, jeszcze z czasów pierwszej rewolucji, pod samem miastem Quimper, w małem miasteczku, nazywającem się Serignone, pokłóciła się gmina z księdzem, który uważał że liczą mu za drogo za lokal, wynajęty przezeń na mieszkanie. Upór księdza przybrał takie rozmiary, że wolał, by go sądownie wydalono z mieszkania, niż zapłacić za nie. Biskup z Quimper rzucił za to na miejscowość interdykt kościelny. Kiedy zacięty ksiądz w tych dniach opuszczał miejscowość, wraz z służbą, ludność urządziła mu wrogą manifestację. Towarzyszyły mu okrzyki, a dom pewnego urzędnika magistrackiego, dokąd się ksiądz schronił, o mało nie został zburzony. Policja aresztowała kilkunastu ekscedentów, wszakże jednego tylko, o którym stwierdzono, że rzucał kamieniami do okien, zatrzymano dłużej. Dopiero po uspokojeniu, ksiądz opuścił Serignone, na którem dotąd ciąży interdykt biskupi.

* * *

O katastrofie, jaka wydarzyła się w tych dniach w kopalni „Siegtried" pod Hanowerem, nadeszły obecnie bliższe szczegóły: Z piętnastu górników, którzy w chwili katastrofy znajdowali się w szybie, wydobyto dotychczas czternaście zwęglonych do niepoznania trupów. Jeden z górników, który zdołał się uratować, opowiada, że on sam i czterej inni górnicy spuścili się do szybu o godz. 6. Zaledwie wyszli z kosza windy i zagłębili się o jakieś 10 metrów w korytarzu, mającym 750 metrów długości, gdy usłyszeli straszny huk. Prąd powietrza rzucił wszystkich pięciu na ziemię. Gdy zerwali się na nogi, zobaczyli jeszcze jednego uciekającego górnika. Wszyscy pobiegli do windy. Zauważyli oni, że drzwi, prowadzące do windy, zostały wyrwane przez siłę wybuchu. Chwyciwszy narzędzia ratownicze, spuścili się powtórnie do szybu na ratunek kolegów. W chwili, gdy byli zajęci przebijaniem się do zasypanych, nastąpił drugi wybuch. W szybie, powstał pożar. Żar i gazy trujące objęły ratujących, zwłaszcza dwu, którzy najgłębiej posunęli się w korytarz. Odwagę swoją przypłacili oni śmiercią. Reszta zdołała się uratować. Dopiero po godz. 6 wieczorem zdołano dostać się do szybu i wydobyć zwęglone trupy ofiar. Przyczyną katastrofy był wybuch dynamitu.

* * *

Szkoły a liczenie ludności. Minister szkolnictwa wydał rozporządzenie, mocą którego w szkołach ludowych i średnich nauka wypadnie dnia 1 grudnia po południu, a dnia 2 grudnia przez cały dzień, o ile nauczyciele tych szkół pomocni będą przy liczeniu ludośnci. W gimnazjach wypadnie w tych dniach nauka tylko warunkowo, o ile nauczyciele gimnazjalni będą także potrzebni przy liczeniu ludności.

* * *

Niebezpieczna zguba. Lekarz finlandzki von Wilenbrandt, przejeżdżając, zgubił w Petersburgu na rogu prospektu Woskresieńskiego i ul. Kirocznej skrzynkę drewnianą ze słojami szklanemi, w których znajdowały się zneutralizowane w formalinie organy zmarłego na dżumę w Odesie, przeznaczone do badań dla studentów wydziału lekarskiego uniwersytetu w Helsingforsie. Słoje z zawartością po odnalezieniu odesłano do instytutu medycyny eksperymentalnej. Wszystkich, którzy mieli styczność z tą zgubą odosobniono. Pokój w hotelu, gdzie mieszkał doktór, silnie zdezynfekowano.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 47. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 listopada 1910.

A. CZECHOW.

„DRAMAT“.

(Humoreska.)

— Jakaś pani przyszła, zapytuje się o pana — odezwał się, wchodząc Łukasz. — Siedzi już przeszło godzinę.

Paweł Wasiljewicz zjadł właśnie przed chwilą śniadanie. Usłyszawszy, że przyszła jakaś pani, sbosępniał i rzekł:

— Też djabli nadali! Powiedz, żem bardzo zajęty.

— Kiedy ona, proszę pana, była tu już z pięć razy Powiada, że musi koniecznie widzieć się z panem... Mało że nie płacze...

— Hm... no dobrze. Proś ją do gabinetu.

Literat nie śpiesząc się, włożył surdut, wziął w jedną rękę pióro do drugiej książkę i udając, że jest bardzo zajęty, udał się do gabinetu. Tam ujrzał oczekującego nań gościa. Była to tęga, wysoka jejmość, o czerwonej mięsistej twarzy; w okularach; pozornie bardzo poważna i ubrana bardziej niż przyzwoicie (miała na sobie wspaniałą suknię i wysoki kapelusz z rudym ptakiem). Ujrzawszy pana domu, zsunęła okulary na czoło i złożyła ręce niby do modlitwy.

— Pan zapewne nie przypomina mnie sobie? — zaczęła bardzo podniecona, wysokim, prawie męskim tenorem: Ja... ja miałam przyjemność poznać raz pana u Chłuckich... Jestem Muraszkinowa.

— A... a... hm... um... Raczy pani usiąść... Czem mogę służyć?

— Widzi pan... to jest ja... ja... ja — mówiła dalej jejmość jeszcze bardziej podniecona — pan mnie sobie nie przypomina? Jestem Muraszkinowa. Zawsze byłam wielbicielką pańskiego talentu i zawsze z wielkiem zadowoleniem czytywałam pańskie utwory! Sama jestem również trochę... ten tego... to znaczy, że chociaż nie mogę się nazwać literatką... ale i ja dołożyłam szczyptę miodu do ula... Drukowałam w różnych czasach trzy bajeczki dla dzieci — pan zapewne nie czytał? – przepisywałam sporo rękopisów, tak... a mój nieboszczyk brat był korektorem „Czynu“.

— Taae? Eee... czem mogę służyć?

— Widzi pan (tu Muraszkinowa spuściła na dół oczy i zarumieniła się po uszy). Cenię bardzo pański talent, a przeto chciałabym bardzo usłyszeć pańskie zdanie, ale szczere, szczere i prosiłabym o radę. Bo trzeba panu wiedzieć spłodziłam dramat i zanim go gdzieś umieszczę, chciałabym słyszeć szczere pańskie zdanie.

Paweł Wasiljewicz lubił jedynie swoje utwory, natomiast cudze, gdy musiał je słuchać lub czytać, zawsze sprawiały na nim wrażenie lufy armatniej skierowanej mu prosto w twarz. Ujrzawszy rękopis, przeląkł się nie na żarty i czemprędzej powiedział:

— Owszem... owszem... proszę zostawić... odczytam....

— Mój panie — odezwała się słabym głosem Muraszkinowa, wstając z krzesła i składając ręce niby do modlitwy... Ja wiem to dobrze, że pan bardzo zajęty... że każda chwila jest mu droga; wiem i to nawet, że mnie pan teraz w duszy wysyła do wszystkich djabłów... ale zrób pan to dla mnie... dla swej starej znajomej... pozwól mi pan przeczytać teraz mój dramat... Panie Łaskawy.

— Owszem... owszem... z przyjemnością — przerwał krzywiąc się literat, ale — proszę pani, ja... ja... jestem teraz zajęty... ja... ja muszę teraz jechać.

— Panie łaskawy! — jęknęła jejmość i oczy jej zaszły łzami. — Ja wymagam od pana ofiary, poświęcenia się. Wiem, że jestem zuchwałą i natrętną, ale bądź że pan wyrozumiałym! Ukaż wspaniałomyślność serca. Jutro wyjeżdżam do Kazania, chcę więc koniecznie dziś usłyszeć pańskie zdanie!

— Poświęć pan dla mnie, dla swej starej znajomej, te pół godziny, tylko pół godziny! błagam pana!

Literat, ot jak każdy literat, miał dobre serce: nie umiał odmówić. Gdy przekonał się, że jejmość wkrótce zacznie beczeć lub padnie na kolana, zmieszał się strasznie i zamruczał zdenerwowany:

— Dobrze, proszę czytać, będę słuchał pół godziny....

Muraszkinowa pisnęła radośnie, zdjęła kapelusz z rudym ptakiem, rozsiadła się na dwóch stołkach i poczęła czytać dramat.

Z początku czytała o tem, jak lokaj i posługaczka, uprzątając nad ranem luksusowo urządzony salon, rozmawiali ze sobą o pannie Annie, córce gienerała, która wybudowała we wsi szkołę i szpital. Kiedy lokaj wyszedł za drzwi, posługaczka wygłosiła monolog, streszczający się w tem, że nauka to światło a brak nauki to mrok. Potem Muraszkinowa kazała znów wrócić do salonu lokajowi i kazała mu wygłosić dłuszy monolog o panu gienerale, który nie toleruje przekonań postępowej córki, pragnie ją wydać za bogatego kamerjunkra i mniema, że dobro narodu polega na powszechnej ciemnocie. Poczem, gdy służba wyszła z salonu, ukazuje się tam sama panna Anna i oznajmia widzowi, że całą noc nie spała, myśląc o panu Walentynie, synu biednego nauczyciela, dopomagającym choremu ojcu. Ten pan Walenty skończył wszystkie nauki, ma wszystkie mądrości, ale nie wierzy ani w miłość ani w przyjaźń, nie zna celu w życiu i pragnie śmierci, przeto ona, t. j. panna musi go ratować...

Literat słuchał, słuchał i z tęsknotą myślał o kanapie. Spojrzał raz i drugi na Muraszkinową, zaczytaną w „dramacie“, słyszał jej prawie męski głos, nie rozumiał nic a nic i myślał:

— Djabli cię tu nadali! Bardzo mi też potrzeba słuchać twych bajek! Com ja temu winien, że ty piszesz „dramaty“? Boże, jaki gruby rękopis! Co ja poczne?

Spojrzał potem na ścianę, na której wisiał portret jego żony i przypomniał sobie naraz, że poleciła mu kupić pięć łokci czarnej tasiemki, funt sera i pudełko proszku do zębów...

— Żebym tylko nie zgubił tasiemki, którą wziąłem na próbę — myślał — gdzie ja ją mam? Tu niema i tu niema. Zdaje mi się, że ją mam w kamizelce granatowej... A to bestje te muchy upstrzyły mi portret żony. Trzeba kazać kuchcie zmyć szkło... Czyta teraz XII scenę, to znaczy, że niezadługo będzie koniec pierwszego aktu. Że też ona na taki upał przy takiej suszy może czytać na głos! Zamiast pisać „dramaty“, jadłabyś ot lepiej teraz barszcz na zimno

czy chłodnik albo spałabyś gdzie na trawniku w ogrodzie, zrzuciwszy z siebie te fatałachy...

— Czy nie uważa pan, że monolog trochę za długi? — spytała naraz Muraszkinowa, podnosząc oczy ku górze.

Literat nie słyszał wcale monologu. Nie wiedział nawet, że był tam jakiś monolog, zmieszał się więc bardzo i rzekł takim tonem, jakby to on pisał ten monolog, nie ta jejmość:

— Nie sądzę, że mi za długi. Bardzo ładny; może nawet trochę za krótki...

Muraszkinowa zajaśniała z radości i czytała dalej.

Podczas XVI sceny literat ziewnął i niespodzianie dla siebie samego wydał zębami dźwięk, podobny do kłapania psów, gdy łapią na słońcu muchy... Przeląkł się bardzo tego nieprzyzwoitego zachowania się i żeby to zatuszować, nadał swej znużonej twarzy wyraz pilnej uwagi i zasłuchania...

— Scena XVI... Kiedyż wreszcie będzie koniec? — myślał — o Boże! Jeżeli ta tortura potrwa jeszcze z dziesięć minut, to zawezwię pogotowia lub policję... Co za wstrętny babsztyl!

Wreszcie jejmość poczęła czytać prędzej i głośniej aż wreszcie krzyknęła na cały głos: „Zasłona". Literat westchnął głęboko i chciał wstać, ale Maruszkinowa w tej właśnie chwili, gdy on poruszył się na krześle, przewróciła kartkę i przeczytała:

— Akt drugi. Scena przedstawia ulicę na wsi. Na prawo szkoła, na lewo szpital. Na schodach szpitalnych siedzą chłopi i chłopki.

— Przepraszam — przerwał literat — a ile aktów?

— Pięć! — odpowiedziała Muraszkinowa i jak gdyby bojąc się, aby jej słuchacz nie uciekł, zaraz zaczęła czytać dalej: „Z okna szkoły wygląda Walenty. W głębi okna widać jak chłopi niosą swój dobytek do karczmy...

Paweł Wasiljewicz nie czekał już końca. Niby skazany na więzienie i przekonany o niemożliwości ratunku, stracił już wszelką nadzieję, a starał się o to jedynie, aby mu się oczy nie kleiły, i żeby z twarzy nie dało się wyczytać, że nic go to nie obchodzi... chwila, kiedy ta jejmość skończy i pojdzie sobie do djabła wydała mu się tak daleka, że nie chciał już nawet o niej myśleć.

— Tru — tu — tu — tu — uderzał o jego błony bębenkowe niski głos Muraszkinowej... Tru — tu — tu — tu — żżż...

— Zapomniałem psiakość zażyć sody — myślał — o czem to ja myślałem?

— Aha, o sodzie... Pewno mam katar żołądka. A może to hemoroidalne? Dziwna rzecz: Smirnowski cały dzień pije sznapsa i zdrów jak ryba! Na oknie siadł jakiś ptaszek... wróbel...

Literat silił się, aby odemknąć klejące się powieki, ziewnął, nie otwierając ust i spojrzał na Muraszkinową. Ta zdawało mu się — jak gdyby przesłoniła się mgłą, kiwnęła się i dostała naraz głową sufitu, poczęła pokrywać się mgłą i stapiać z szarem powietrzem gabinetu; widać tylko było jej otwierającą się i zamykającą gębę; naraz stała się minimalną, małą butelką, zakołysała się i ze stołu potoczyła się gdzieś w głąb pokoju.

Literat drgnął nagle i spojrzał na Muraszkinową mętnemi, osowiałemi oczyma, przez chwilę patrzał błędnie jakby nic a nic nie wiedział.

— Scena XI, ci sami: baron, komisarz policji, dozorcy więzienni...

Muraszkinowa znowu poczęła ginąć z oczu. Literat spojrzał dziko, wstał, krzyknął jakimś głosem nienaturalnym schwycił ze stołu ciężki przyciskacz do papierów i nie myśląc zupełnie o sobie, z całej siły wyrżnął nim w sam łeb Muraszkinowej.

Wiążcie mnie, zabiłem ją — odezwał się do policji, która się zbiegła natychmiast.

Sędziowie przysięgli uwolnili go naturalnie.

Tłomaczył Crataegus.

Polscy badacze o „606".

Hałas wszczęty przed kilku miesiącami w prasie około wynalazku prof. Ehrlicha znacznie się obecnie uciszył.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy sprawą środka „606" zajmowali się i nasi specjaliści. Jeden z polskich lekarzy otrzymał od Ehrlicha preparat i uczynił z nim 67 doświadczeń klinicznych. Inny zwiedził pięć niemieckich oddziałów klinicznych, na których doświadczano nowy środek.

Wypada nam podać do wiadomości czytelników zawodowe głosy lekarzy warszawskich.

Doświadczenia dr. F. Malinowskiego.

Dr. Malinowski otrzymał wraz z preparatem „606" list od prof. Ehrlicha (z dn. 22. lipca) w którym niemiecki wynalazca radził badaczowi naszemu:

— Robić doświadczenia z tymi tylko chorymi, którzy są silni i nie posiadają żadnych zmian w organach wewnętrznych.

I prosił:

— Nie stosować swojego środka do ludzi o pobudliwym układzie nerwowym serca, tembardziej z wadami serca.

Wreszcie, nie leczyć chorych przychodnich, lecz internowanych w szpitalu.

— Preparat otrzymywałem od Ehrlicha co parę tygodni — opowiada dr. Malinowski — w trzech przesyłkach. Jest to proszek delikatny, żółtawy, zalutowany w szklanych bezpowietrznych ampułkach w ilości od 0,3 do 0,6 grama.

Zastrzykiwanie stosował badacz nie do żył, lecz pod skórę i między mięśnie.

— Czyniłem to wskutek wskazówek samego Ehrlicha i następnie dlatego, żem odniósł z literatury wrażenie, iż taki sposób, choć powolniejszy w działaniu, jest bezpieczniejszy i pewniejszy.

W drugiej połowie tych doświaczeń bóle chorych były w paru tylko wypadkach silniejsze od tych, jakie powodują wstrzyknięcia rtęciowe.

— Chorzy mogli przez cały czas siedzieć i leżeć i przeważnie chodzić ze swobodą.

Objawy ogólne zauważone: podniesienie temperatury, dochodzące do 39° i trwające do kilku dni — pewne podrażnienie serca, trwające kilka dni i przechodzące stopniowo.

— Ze względu na tak nieznaczne objawy uboczne, stałem się znacznie śmielszym w używaniu „606" i zastrzyknąłem go kobiecie ciężarnej, czteroletniemu dziecku wycieńczonemu z pulsem stale 120, 58 letniej cherlaczej kobiecie, która nie mogła się poruszać na łóżku o własnych siłach — i to bez żadnych szkodliwych następstw dla chorych.

Wogóle dr. Malinowski 65 chorym zastosował po jednem wstrzyknięciu, a 2 chorym po dwa wstrzyknięcia,

— Z powyższych, dwumiesięcznych doświadczeń, a więc zbyt jeszcze krótko trwających — wnioskuje nasz badacz — nie mogę orsec o zupełnem wyleczenin syfilisu, czyli całkowitem odkażeniu ustroju. Mogę już jednak stwierdzić stanowczo, że „606" działa swoiście na objawy przymiotu (syfilisu), a szczególniej efektownie na ciężkie, złośliwe i uporczywe formy jego. Czy wyruguje on w zupełności dotychczasowe leczenie rtęcią i jodem, trudno jeszcze orzec. Faktem jest przecież, że blade krętki w wyjątkowych jedynie wypadkach są oporne na środek Ehrlicha. W każdem więc razie wiemy, że przybywa nam nowy środek do zwalczania ciężkiej i uporczywej choroby, nadzwyczaj silny i od używanych dotychczas skuteczniejszy.

Obserwacja dra Kozerskiego.

Nie wszędzie lekarza, który przedsiębrał podróż informacyjną po niemieckich klinikach, w jednakowym stopniu dopuszczają do oglądania chorych.

— Są oddziały, w których lekarz słyszy same superlatywy, a co do wyników — opowiada dr. Kozerski — oglądać może tylko kołdry chorych podczas szybkiego galopu, w jakim przebiega się salę wraz z gromadką zaproszonych. W innych na szczęście liczniejszych, słyszy się zachwyty ale widzi też i niepowodzenia.

A oto szereg wrażeń dra Kozerskiego:

— Widziałem tedy szereg wypadków, w których gojenie zaczynało się szybko. Widziałem wypadki już ogłoszone jako prawie wyleczone po jednem wstrzyknięciu, w których się okazało konieczne drugie wstrzyknięcie. Widziałem przypadek zastarzałego syfilisu języka, odpornego na każde leczenie, przepięknie zagojony po „606". Widziałem daży szereg przypadków, przebiegających bez gorączki, bez bólów. Widziałem jednak i przypadki wysokiej gorączki i szalonych bólów, właśnie w oddziale głoszącym bezbolesność wstrzyknięć. Widziałem chorą ze starymi gumiakami skóry i kości, niepoddającymi się „606". Widziałem niemowlę dobrze zbudowane, obarczone syfilisem dziedzicznym, umierające po wstrzyknięciu „606". Słyszałem od jednego z najdokładniejszych obserwatorów, iż „niema co się łudzić, aby po „606" nie było recydywy". I słyszałem zdanie lekarza, stosującego „606" że nie widzi tej niebywałej szybkości, z jaką mają znikać objawy wczesne.

Ideałem Ehrlicha było osiągnąć wielkie odkażenie organizmu.

Doświadczenia na królikach doprowadziły zupełnie do tego idealnego celu. Doświadczenia na małpach już nasuwały wątpliwości poważne. Co się tyczy człowieka,— dowodów za niema; natomiast nie brak dowodów contra.

Jednakże literatura przedmiotu, jaką ogłaszają pisma zawodowe niemieckie, brzmi entuzjastycznie?

Dr. Kozerski uważa, iż te relacje należy przyjmować cum grano salis.

— Nie sądzę, aby uchylono już całkowicie zasłonę przed lekarską publicznością, nie operującą jeszcze nowym środkiem. Chochliki dziennikarskie zaś mają jedynie dostęp do tej części sali, gdzie nagromadzono tryumfy zwycięstwa. Mam głębokie przekonanie, że autorowie relacji, ogłaszający wyniki dodatnie, mówią prawdę, lecz jestem też dowodnie przekonany, że tymczasem nie ogłaszają wszystkiego, co zdołali dostrzec ujemnego.

I dr. Kozerski mniema, że:

— W fazie prób dyskrecjonalnych mają do tego prawo.

A więc

— Tymczasem niech nam wolno będzie czytać sprawozdania z pewnem zastrzeżeniem, tembardziej, że i wśród eksperymentatorów panuje wielokrotnie rozmaitość zdań i spostrzeżeń.

Dr. Kozerski nawołuje do ostrożności. Nie wątpi jednak, że medycyna zyskała w „606" nowy i dzielny środek leczniczy.

— Stoimy wobec faktu epokowego znaczenia,— mówi ktory należy powitać z radością, żałując jedynie, że wiadomości, rozniesione przez prasę, nie ściśle odpowiadają rzeczywistości i wywołały u wielomijonowych mas chorych bezkrytyczne gorączkowe pragnienie stosowania nowego środka wtedy, kiedy ten nie został jeszcze dostatecznie zbadany i dostępny jest dla stosunkowo małej liczby.

„Kurjer Lwowski".

Franciszek Ferrer *).

(W rocznicę mordu.)

13 października ubiegłego roku został zamordowany przez klerykalny rząd hiszpański Franciszek Ferrer, energiczny działacz społeczny i wielki pedagog (nauczyciel).

Za co? czy za jakie morderstwo, prowokację, rabunek, gwałt? Czy za uzbrojony udział w buncie? Czy może za jaki inny czyn, związany z gwałtem, z przemocą, z przelewem krwi?

Bynajmniej! **Zamordowano go za to, że uczył lud roboczy; że założył wolną od klerykalnych wpływów szkołę** (escuela moderna — nowa szkoła); za to, że słowem, nauką walczył z ciemnotą ubogiego ludu hiszpańskiego; że chciał ludziom otworzyć oczy; że chciał z dzieci wychować silne, samodzielne pokolenie; że uczył w szkole dzieci nie uginać głowy przed lada jakim autorytetem i zabobonem.

Za to właśnie go zamordowano, tylko za to. Czy dziwić się, czy oburzać się nam wypada? Nie, tylko zrozumieć, że inaczej być nie mogło: Ferrer bowiem podniósł na rządy klerykalne oręż najstraszniejszy; darowanoby mu, gdyby miał w ręku miecz stalowy, lecz miecza wolnej myśli darować klerykali mu nie mogli.

Jeszcze przed 700 laty, w r. 1248, gdy klerykali na dobre rozwielmożnili się w Hiszpanji, wydał papież Innocenty IV polecenie, by zaprowadzono w Hiszpanji t. zw. „inkwizycję" dla tępienia myśli „heretyckich". Głównem zadaniem tych inkwizytorów było — zabrać w ręce czarnych dobra bogatych żydów i maurów (których dużo było w ówczesnej Hiszpanji), oskarżając ich o „heretyckie poglądy" i następnie — zwalczać myśl wolną, niezależną, która i w Hiszpanji kiełkować poczęła. Nie trudno się domyśleć, że królowie hiszpańscy powitali nadesłanych inkwizytorów z otwartemi ramionami — wszak przy konfiskacie majątków heretyckich nietrudno było wzbogacić też kabzę państwową. To też niejednokrotnie królowie hiszpańscy osobiście brali udział w paleniu „heretyków" i własnoręcznie kładli pierwsze polano na stos, gdzie miał się smażyć na wolnym ogniu „heretyk" — ku większej chwale Bożej.

Krwawa łuna stanęła nad nieszczęśliwą Hiszpanją. Niesłychane męczarnie ofiar Inkwizycji przewyższają wszelkie wyobrażenie ludzkie. Lała się strumieniem krew; łamano palce, ręce i nogi; rozciągano żyły; dręczono pragnieniem i bezsennością. I wreszcie — miłosiernie — palono ofiarę na stosie... Za jednego tylko inkwizytora Torkwemady **spalono 10 200 ludzi...**

Ogarnięci przestrachem, uciekali z Hiszpanji wszyscy ci, którzy nie chcieli lub nie mogli czołgać się przed tępym sługusem inkwizycji. Uciekało wszystko, co energiczne, silne, rozumne, niezależne; wyemigrowali pracowici maurowie. Kraj się wyludnił, zubożał niesłychanie. Kilka miljonów ludzi wyemigrowało. Na miejsce handlu, ruchu, rozwoju, bogactwa stanęła śmierć — zastój — lęk — ubóstwo...

Płynęły lata. W zubożałym kraju, jak szare gęsi, rządzili klerykali. Duch czasu nie pozwalał już tępić ludzi dziesiątkami tysięcy. Lecz czarna zmora panowała dalej. W r. 1808, przed stu laty, Napoleon kazał rozwiązać inkwizycję; przyszedł bowiem z Francji, kraju wolnego, po rewolucji — i osłupiał, ujrzawszy niesłychany pogrom kraju, dokonany przez klerykałów.

Lecz i po Napoleonie klerykali panują dalej. Tysiące klasztorów, tłumy mnichów, księży itd. ciągną z kraju wszystkie żyzne soki. Ludność zaczęła się coraz bardziej burzyć, zjawiła się nawet partja republikańska, dążąca do zupełnego przewrotu państwowego.

Wówczas właśnie zjawił się na horyzoncie Ferrer. Powiedział on sobie, że żadna rewolucja nie doprowadzi do celu, jeśli ludzie się nie zmienią:

„Tylko te zdobycze postępu są trwałe, które się korzenią w umysłach i uczuciach ludzi... Jedyna droga dla urzeczywistnienia tego, co dobre, w y c h o w a n i e.

Założył tedy Ferrer swą „nową szkołę". Uczono tam dzieci myśleć niezależnie; nauczyciele w sposób przyjacielski tłomaczyli dzieciom ustrój społeczny, zjawiska przyrody itd; objaśniano z punktu widzenia naukowego istotę rozmaitych zabobonów; sam Ferrer pisał książki dla tej szkoły, gdyż odpowiednich książek w Hiszpanji nie było.

Ferrer był zdecydowanym w r o g i e m w y z y s k u r o b o t n i k a. I mawiał niejednokrotnie, że najskuteczniejszym orężem dla robotnika jest wiedza, która pomoże mu rozejrzeć się w świecie i wybrać odpowiednią drogę ku wyzwoleniu.

Sukces szkoły Ferrera był niezwykły. Dziesiątki prywatnych szkół poszły za jego przykładem. Założył on nawet międzynarodową „Ligę dla racyonalnego (rozumnego) wychowywania dzieci". Robota szła szybko, energicznie...

Z przerażeniem patrzył klerykalny rząd hiszpański na tę, jak ją nazywał, „piekielną" robotę, rozsadzającą podstawy panowania klerykałów. I szukał tylko pretekstu, by zamordować głównego winowajcę.

*) Artykuł spóźniony.

Gdy się nawinęła odpowiednia sposobność, oskarżono Ferrera o kierownictwo zbrojnem powstaniem w Barcelonie, nie dano mu przywołać odpowiednich świadków, postawiono przed sąd wojskowy i — wyrok zresztą był z góry ułożony, 13 października 1909 r. Ferrera rozstrzelano. Na chwilę przed śmiertelną salwą Ferrer krzyknął:

— „Celować dobrze, moje dzieci. Jestem niewinny Niech żyje wolna szkoła!“

Tak zginął bohater wolnej myśli i szkoły. Jeszcze jedna ofiara dla nauki, postępu i wyzwolenia! Jeszcze jedna zbrodnia czarnej mafji!

Lecz zapóźno! Morderstwem nie wrócą klerykali starych dobrych czasów. Rośnie szybko posiew Ferrerów. I może niezadługo usłyszymy, że Hiszpanja poszła śladami Portugalji...

Niech i wśród nas imię Ferrera budzi pragnienie światła i nauki. Ferrer zamordowany lecz — niech żyje dzieło Ferrera!

K. Czapiński.
„Prawo Ludu“.

Rozmaitości

Taniec miłości i śmierci. Przed kilku dniami w Petersburgu w mordze szpitala Marji Magdaleny zastrzelił się jakiś młodzieniec, przybyły dla obejrzenia zwłok młodej dziewczyny, jaka się w przeddzień otruła.

Obecnie stwierdzono, że samobójcą jest agent wydziału „ochrany“ który w r. ub. dokonywał rewizji właśnie u dziewczęcia, przy której zwłokach życie sobie odebrał. Po rewizji agent zakochał się w dziewczynie, wyrobił jej uwolnienie z aresztu i chciał się z nią ożenić, w tym celu rozwiódł się z żoną. Znajomi jednak i krewni dziewczęcia zaprotestowali przeciw jej małżeństwu z członkiem wydziału „ochrany“. Dziewczyna nie mogła przeżyć tego, że znajomi i krewni jej dowiedzieli się o jej stosunkach ze szpiegiem i otruła się a agent życie sobie u jej zwłok odebrał.

* * *

Zręczne udawanie obłędu. Prywatny służący Szczepan Ciecura, który był w służbie u rotmistrza gwardji cesarskiej we Wiedniu, Oskara Szirmy, zgłosił się zeszłego roku sam do sądu, zeznając, że skradł rotmistrzowi garderobę i przedmioty wartościowe. Podczas śledztwa i w początkach rozprawy Ciecura zachowywał się w taki sposób, że lekarze na podstawie objawów objektywnych stwierdzili u niego ostre niedołęstwo umysłowe. Oskarżonego oddano z Wiednia do zakładu dla umysłowo chorych w Steinhof, gdzie stwierdzono również niedołęstwo umysłowe i konieczność zatrzymania chorego w zakładzie. Nagle Ciecura stał się zdrowym. Oświadczył, że pouczony przez współtowarzyszów więzienia, udawał obłąkanego. To zrujnowało go fizycznie, udawał bowiem bezsenność i brak apetytu. Później z obawy, ażeby go na całe życie nie zamknięto w zakładzie dla obłąkanych, wyznał prawdę. Odstawiono go do Wiednia i zasądzono za kradzież na 6 miesięcy więzienia.

* * *

Balonem przez kanał La Manche. Po odbytym niedawno, jak wiadomo, wzlocie balonem sterowniczym Clement-Bayard w kierunku z Francji do Anglji, powiodło się młodemu angielskiemu aeronaucie T. Willowsowi 4 b. m. przebyć po raz pierwszy kanał w odwrotym kierunku. Willows wzniósł się balonem sterowniczym „City of Cardiff“ o godzinie 3,25 po południu z Wormwood Scrubs w pobliżu Londynu, w towarzystwie jednego mechanika i pomimo niepogody i wichru, o sile przeszło 6 metrów na sekundę przebył kanał docierając do miasta Douai na ziemi francuskiej, Przy wylądowaniu uległ „City of Cardiff“ pewnym uszkodzeniom i to było powodem, że aeronauta nie mógł, jak pierwotnie zamierzał, dotrzeć do Paryża.

* * *

Nikt nie był na biegunie. Z Kopenhagi donoszą: Kapitan Jansen i załoga parowca „Motor“ na którym powrócił z Kap York głośny badacz okolic podbiegnnowych Knud Rassmussen, opowiada, iż Rassmussen rozmawiał z dwoma Eskimosami którzy towarzyszyli Cookowi w wyprawie do bieguna. Eskimosi owi posiadać mają wieki dar oryentowania się w okolicach podbiegunowych. Twierdzą oni, iż pewnego dnia rzekł im Cook: „Znajdujemy się na biegunie północnym“. Jaki cel miał Cook mówiąc im o tym, nie pojmują. Rassmussen rozmawiał również z Eskimosami, którzy brali udział w wyprawie Peary'ego. Ci znowu twierdzą, że ani Cook ani Peary do bieguna nie dotarli... Rassmussen zamierza podjąć ekspedycyę do bieguna, obliczoną na sześć lat. Zamierza zabrać z sobą Eskimosów Peary'ego i Cooka.

* * *

Cmentarz przed 2000 lat. W miejscowości Guio koło Bellinzonky we Włoszech natknęli robotnicy przy sposobności pogłębiania rzeki Ticino na różne groby w głębokości jednego do pięciu metrów. Komisja archeologiczna, której towarzyszył prof. Chiesa z Lugano, stwierdziła po dłuższych badaniach, że cmentarz ten pochodzi z czasów galijsko-liguryjskich (350 do 500 lat przed Chr.). Dotąd odkopano przeszło 200 grobów. Komisja sprawdziła, że cmentarz ten był podzielony na dwie grupy, jedną galijską, drugą liguryjską a obie dzieli droga nieregularna, wybita kamieniami. Obok każdej z grup grobów widoczne są ogniska, które niezawodnie służyły do odprawiania uczt pogrzebowych itd. Groby same są częścią w kamieniu sklepione, częścią przykryte płytą kamienną. Wewnątrz znaleziono naczynia gliniane rozmaitych kształtów a sposób ich wykończenia i delikatność niektórych świadczą o różności kultury szczepów liguryjskiego i galijskiego. Mianowicie obok przymitywnych znajdują się naczynia misternej roboty, pięknie zdobne. Między różnymi przedmiotami zwracają uwagę ozdoby z bronzu i żelaza. Uwagi godny jest napierśnik z bronzu, bardzo cenny naszyjnik z gliny majolikowej, pierścień srebrny, 64 sztuk bursztynowych gałek, które prawdopodobnie stanowiły naszyjnik, itp. Z położenia, w jakiem wszystkie te przedmioty się znajdowały, wnosić można, że zmarłych grzebano głową ku wschodowi. Znalezione przedmioty mają być umieszczone w muzeum w Tesynie i mają stanowić osobną grupę.

Przekupny sędzia przysięgły. W Nowym Jorku toczy się proces przeciw mijonerowi Edwardowi Rosenheimer, oskarżonemu o śmiertelne przejechanie automobilem 21-letniej Grace Hough, jedynej córki ubogich rodziców, oraz o pokaleczenie jej dwu towarzyszek. Opinja publiczna oświadcza się przeciw podsądnemu. Twierdzi on wprawdzie, że to nie jego samochód sprowadził katastrofę, lecz świadkowie naoczni składają na to dowody. I oto nagle proces został przerwany. Dlaczego? Okazało się, że miljoner przekupił jednego z sędziów przysięgłych, niejakiego Yeaudle. Za 500 dolarów zobowiązał się on dać głos za oskarżonym. Wyszło na jaw, że Yeaudle już poprzednio dał się przekupić jako sędzia przysięgły, a mianowicie dla ustrzeżenia od kary młodej aktorki pozwanej przed kratki za strzelanie do kochanka. Yeaudle został aresztowany. Pogorszyło to jeszcze sprawę Rosenheimera, który ma stawać — nie pod zarzutem przypadkowego zabójstwa, lecz — morderstwa.

* * *

Ze statystyki emigracyjnej Stanów Zjednoczonych. Liczba niedopuszczonych do wylądowania wychodźców wynosiła w miesiącu sierpniu 1325, natomiast w roku 1909 wynosiła liczba deportowanych tylko 522 osób. Wydług statystyki immigracyjne. wynosiła liczba ogólna wychodźców przybyłych w sierpniu 99,283 osób i w miesiącu tym w przeszłym roku było tylko 78.537. Liczba dopuszczonych do wylądowania wynosi w sierpniu b. r. 59.007 w przeciwstawieniu do 44.704 roku zeszłego. Obywatele amerykańszy, którzy wrócili w tym miesiącu z Europy, dosięgli liczby 29.914, w przeciwstawieniu do 24 155 z roku przeszłego. Nadto przybyło w tym miesiącu 9037 cudzoziemców, nie dających się skwalifikować jako wychodźcy w przeszłym roku [tegoż miesiąca liczba tych przybyszów wynosiła 9185 osób.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 48. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 26 listopada 1910.

A. KUPRIN.

Chrystusowa ryba.

(Z legiend rybackich).

Tę prześliczną, odwieczną legiendę opowiedział mi w Balaklawie „kapitan" berlinki rybackiej, Cola Constandi, prawdziwy grek, wyborny marynarz i jeszcze lepszy pijak.

W tym czasie uczył mię on wszelakich mądrości, tyczących się specjalności rybackiej.

Pokazywał mi, jak należy reparować porwane sieci i skręcać węzły, jak nakładać przynętę na haczyki wędek, jak zarzucać sieci na kamsę, a jak na kefalę, jak skrobać nożem petalidi, przyrosłe do skały, jak się je świeże sardynki, jak poznaje nocną pogodę z dziennego przypływu morza, jak rozwija żagle, zarzuca kotwicę i mierzy głębinę wody...

Z pospiechem tłomaczył mi różnicę pomiędzy właściwościami a kierunkami wiatrów morskich, jak: levanti, greba-levanti, sirocco, tremontona, straszny bora, wiatr sprzyjający i wiatr wrogi.

Jemu również zawdzięczam poznanie zwyczajów rybackich i ich przesądów podczas łowienia ryb: nie wolno gwizdać na berlince, nie wolno wymyślać ani wspominać djabła, chociaż wolno kląć w razie niepowodzenia: grób, przodków, wątrobę, oczy kochanki itd. Dobrze jest pozostawić w sieci, jak gdyby przez nieuwagę, małą rybkę — to przynosi szczęście; ale niech Bóg strzeże od wyrzucenia za krawędź czółna czy berlinki czegokolwiek do zjedzenia, gdy się jest daleko od brzegu; ale najgorsze, najszkodliwsze, czego żaden rybak nie daruje, jest to zapytanie się rybaka: „Dokąd idziesz?" Za to dostaje się w gębę...

Dowiedziałem się również od niego o istnieniu jadowitej ryby, drakus, podobnej do małej płotki i o tem, jak ją należy zdejmować z haczyka; o różnych pomysłach jeża morskiego, o strasznym podwójnym ogonie elektrycznego skata i wreszcie o tem, jak pomysłowo wyżera krab morski ostrygę, wstawiwszy uprzednio mały, ostry kamyczek w jej skorupę...

Nie mało też dosłyszałem od Constandi'ego ciekawych, pełnych tajemnicy opowieści rybackich w te słodkie, ciche godziny wczesnej jesieni, gdy nasze czołno kołysało się na falach morza, daleko od osłoniętych mgłą brzegów, a my zaś we dwóch czy we trzech, przy żółtawem świetle ręcznej latarki, popijaliśmy, nie śpiesząc się, różowe wino greckie, które czuć jeszcze winogronami.

„Wśród Oceanu żyje wąż morski długi na kilometr. Niekiedy, nie częściej jednak nad raz na dziesięć lat, wypływa on na powierzchnię wód morskich, aby nabrać powietrza. Jest samotny. Dawniej tych węży morskich było wiele, samców i samic, ale tyle wyrządziły one złego małym rybkom, że Bóg skazał je na wymarcie i teraz zaledwie jeden stary, tysiącletni wąż samiec w samotności dożywa swych lat. Starzy marynarze widywali go to tu, to tam w różnych stronach oceanu..."

„Żyje gdzieś wśród morza na bezludnej wyspie, w głębokiej podwodnej pieczarze król raków morskich. Kiedy uderzy kleszczą o kleszczę, to na powierzchni morza powstaje nawałnica..."

„Ryby mówią ze sobą — o tem wie każdy. Donoszą sobie nawzajem o różnych niebezpieczeństwach, o pułapkach i pomysłach ludzkich, dlatego też niedoświadczony rybak na długi czas może zepsuć dobre miejsce, jeżeli wypuści rybę z sieci."

Takie są próbki opowieści Coli Constandi. Słyszałem także nieraz od niego o Latającym Holendrze, o tym wiecznym tułaczu morskim, z czarnymi żaglami i wymarłym pokładem. Zresztą, tę straszną legiendę znają dziś wszyscy, a wierzą w nią wszyscy mieszkańcy morskich pobrzeży Europy.

* * *

Ale jedna legienda, opowiedziana mi przezeń, wzruszyła mię szczególnie dla swej naiwnej prostoty rybackiej.

Razu pewnego, o świcie, kiedy słońce jeszcze nie wzeszło, a niebo było koloru pomarańczy i po morzu snuły się mgły różowe, ja wraz z Colą wyciągaliśmy sieć zarzuconą wczoraj z wieczora na skaty. Połów był nadwyraz marny. W sieci znalazło się pięć czy sześć jakichś maleńkich rybek, pięć czy sześć jeży morskich, kilka tuzinów grubych złocistych karasi i sporo meduzy.

Ale znalazła się także bardzo osobliwa, dotychczas niewidziana przezemnie ryba. Kształt miała owalny, płaski i mogła była zmieścić się na dłoni kobiecej. Porysowaną była gęstemi, drobnemi, przejrzystemi smużkami. Młaeńka główka, a na niej oczy wcale nie rybie: czarne, ze złotemi obwódkami, niezwykle ruchliwe. Kolor ryby — złocisty. Najbardziej zaś uderzającemi na tej rybie były dwie plamy, każda na jednym boku, pośrodku, wielkości dużej monety i koloru tak jasno-niebieskiego, jakiego nie posiada żaden malarz.

— Popatrz pan — rzekł Cola Constandi — to Chrystusowa ryba. Bardzo rzadko się trafia...

Włożyliśmy ją najprzód do rybackiego czerpaka, a potem, powracając dodo mu, napełniłem dużą emaljowaną miednicę morską wodą i wpuściłem do niej „rybę Chrystusa". Ta szybko poczęła pływać po powierzchni miednicy, dotykając się jej ścianek i wciąż w jednym i tym samym kierunku. Gdy dotykano się jej, wydawała zaledwie uchwytny, krótki, chrapliwy pisk i przyspieszyła biegu. Czarne jej oczy obracały się bezustannie, a od ruszania małemi płetwami drżała i kołysała się woda.

Chciałem ją zachować, aby odwieść żywą do Sebastopola, do akwarjum stacji biologicznej, ale Constandi tylko ręką na to machnął:

— Nie warto i trudu sobie zadawać! Nie wyżyje. Taka już ryba. Gdy ją się choć na sekundę wyjmuje z morza, nie będzie żyła.., To Chrystusowa ryba.

Ku wieczorowi usnęła. Ja zaś, siedząc w nocy w czółnie niedaleko od brzega, przypomniałem ją sobie i spytałem Constandi'ego:

— Cola, a dlaczego ją zwą Chrystusową?

— A oto dlatego — odparł Cola z głębokiem przeko-

naniem: — starzy grecy tak o niej mówią. Kiedy Jezus Chrystus, Pan nasz, zmartwychwstał na trzeci dzień po swym zgonie, to nikt weń nie chciał wierzyć. Widziano wiele cudów jego za życia, ale w zmartwychwstanie nie chciano wierzyć.

Zaparli go się uczniowie, zaparli apostołowie, wyrzekły córy jerozolimskie. Wtedy poszedł do swojej matki. A stała ona wtedy u ogniska i piekła rybę na rożnie, szykując obiad dla siebie i bliskich. Chrystus odezwał się do niej: „Bądź pozdrowiona! Otom ja, syn twój jedyny, którym wstał z martwych, jak zwiastowało pismo. Pokój z tobę. Nie lękaj się!"

Ale ona zadrżała i zawołała przerażona:

— Jeżeliś ty jest prawdziwy syn mój, uczyń cud, a uwierzę!

Uśmiechnął się Chrystus, iż mu nie wierzy i rzekł:

— Oto wezmę tę rybę leżącą na ogniu i ożyje. Czy uwierzysz mi wtedy?

I zaledwie, dotknąwszy się dwoma palcami ryby, podniósł ją w górę, gdy ta zatrzepotała się naraz i ożyła...

Wtedy uwierzyła matka jego w cud i radośnie uczciła syna. A na rybie od tego czasu na wieki pozostały dwie plamy jasno-niebieskie. Są to ślady palców Chrystusa...

* * *

Tak podał mi prosty, nieuczony rybak grecki naiwną legiendę morską. Po niejakim czasie dowiedziałem się, że ta „ryba Chrystusa" ma także inną nazwę: „ryba Zeusa". Któż zgadnie: jak zamierzchłych czasów sięgają te apokryfy?

Tłomaczył Crataegus.

Kędy socjaliści rządzą.

...Ciągle naprzód idziemy i coraz nowe zatłaczają kręgi zdobyte przez partję naszą placówki. Dzień po dniu coraz nowe przynosi zwycięstwa, nowe zdobycze dla dobra proletaryatu pod czerwonym zgromadzonego sztandarem.

Oto jesteśmy w niewielkiej mieścinie **Schwechat** pod Wiedniem. Już zdala przy wjeździe do miasteczka uderza oczy nasze widok niezwykłych budowli, które długim wałem rozłożyły się na miejscu starych hut żelaznych. Ze szczytu najwyższego gmachu powiewa na wiatry rozpuszczony czerwony sztandar. Szeregi wielkich okien błyszczą strugami świateł — zdala jnż słychać stuk i huk pracujących machin. To młyn największy w Austryi i socjalistyczna piekarnia robotnicza — **„Hammerbrotwerke"** — zasilająca stowarzyszenia spożywcze Wiednia i okolicy chlebem i bułkami! Zbudowana trudem i wysiłkiem niezmordowanego pioniera stowarzyszeń współdzielczych, tow. Bennona Karpelesa, stoi ta potężna socjalistyczna fabryka na wysokości swego zadania.

Po lewej stronie piewszego obrazu widzimy wysoką, smukłą budowlę: to jest spichlerz, który mieści w sobie 250 wagonów zboża; z nim w bezpośrednim związku połączony jest czteropiętrowy młyn, mielący dziennie 10 wagonów zboża oraz magazyn mąki. Sztandar czerwony z jego szczytu powiewa! Młyn łączy się krytym mostem z piekarnią, a mąkę maszyny same transportują przez ów kryty most do piekarni — owego długiego budynku, który się wznosi na prawej stronie widoku. Na przodzie biały, jednopiętrowy budynek mieści biura fabryki i pracownię naukową, badającą chemicznie jakość zboża, mąki oraz drożdży, dostarczanych fabryce.

Pracę ludzką zastąpiono tu w zupełności maszynami, to też przez cały czas fabrykacji ręce ludzkie nigdy i nigdzie nie dnlykają ciasta! Maszyny same mielą zboże i odpowiedniemi przewodami — po kilkakrotnem przesianiu — przepuszczają je do wielkich komór, gdzie się mąka żytnia z pszeniczną mieszczą w odpowiednim stosunku. Stąd spada mąka do kadzi, w których zaczyn fermentuje. I znów maszyny same ważą i dzielą go na bochenki w dalszych ubikacjach! Wreszcie dostają się wyrośnięte już chleby i bułki do olbrzymiej 70-metrowej hali, gdzie długim szeregiem stoją potężne dwurzędowe piece. Jest ich 21. gazem ogrzewanych, a mogą w ciągu 3 8-godzinnych szycht wypiec 50000 bochenków chleba na dobę! Upieczony chleb przewożą do magazynu, a po ochłodnięciu kilkudziesięciu wozami i automobilami jedzie chleb i bułki w najdalsze zakątki Wiednia i okolicy, niosąc robotnikom ich własny chleb robotniczy!

Wszystko w tej fabryce robotniczej uczyniono, aby pod każdym względem zapewnić odbiorcom-robotnikom chleb jakiego nie dostaną nigdzie, w żadnej burżuazyjnej piekarni. To też personal w osobnej sali rozbiera się i zostawiwszy swe ubranie w żelaznych szafkach (celem łatwiejszej ich ewentualnej dezynfekcyi) przechodzi do łaźni, gdzie każdy robotnik musi się wykąpać codziennie i gdzie się ubiera w zupełnie czyste, świeże codziennie w osobnej pralni fabrycznej prane ubranie robocze! Mimo więc, że robotnik nie dotyka nigdzie rękami pieczywa — mimo to zachowano idealną czystość, która jest podstawą hygienicznej produkcji pieczywa.

Dla zmęczonych pracą robotników urządzono piękny lokal wypoczynkowy, gdzie spoczywają wśród pracy, krzepiąc się wypiekanem przez siebie pieczywem.

Lecz wprowadzono tu poraz pierwszy w piekarniach Austryi 8-godzinny dzień pracy, aby na żywym przykładzie pokazać, że 8 godzinna szychta w piekarstwie nie jest żadną z powietrza pochwyconą utopią! Wprowadzono 8 godzinny dzień pracy i zarówno zarząd fabryki jak i robotnicy doskonale, naturalnie, na tem wychodzą! Dowiedli tu socjaliści, że jeżeli się chce to się może w piekarstwie, gdzie przecież „normalnie" trwa praca po 14 do 16 i 18 godziu na dobę — przy 8-godzinnej szychcie robić doskonałe interesa.

Z okazji kongresu zawodowego, który się w ubiegłym miesiącu odbył w Wiedniu, zarząd fabryki zaprosił delegatów do zwiedzenia przedsiębiorstwa. Kilkanaście wozów tramwajowych zawiozło nas do Schwechat. U wejścia do fabryki, obok specjalnego fabrycznego toru kolejowego czekali na nas towarzysze-urzędnicy, którzy grupami oprowadzali delegatów, pokazując dokładnie wszelkie szczegóły urządzeń fabrycznych Gdy wszystkie grupy przeszły fabrykę, zebraliśmy się w wielkiej hali ekspedycyjnej. Tu podano delegatom chleb i bułki robotnicze, aby każdy mógł skosztować chleba, którego powstanie i wyrób prześledził od ziarna zboża w wagonie kolejowym, aż do — wspaniałego bochenka, świeżo wyjętego z pieca!

Założyciel i kierownik fabryki tow. dr. Karpeles powitał delegatów, zaznaczając, iż myśl założenia piekarni robotniczej powstała wobec dążności robotników do usunięcia regularnie powtarzającego się zjawiska, iż wszelkie zdobycze walki o podwyższenie płacy znikają i idą zupełnie na marne wobec systematycznego podwyższania cen żywności. Ruch współdzielczy stał się też nieodzownem uzupełnieniem ruchu zawodowego! Pochwały i gorące przyjęcie, z jakiem spotkało się nasze przedsiębiorstwo wśród szerokich warstw robotniczych, dowodzą, iż na dobrej znajdujemy się drodze i że powinniśmy też znaleźć wkrótce naśladowców. Niech was to nie odstrasza, że w małych żyjecie miastach: małe miasto, mała piekarnia, wielkie miasto — wielka piekarnia, ale robotnicza piekarnia, ze skróconym do minimum czasem pracy, z ludzkimi warunkami pracy i zdrowym chlebem.

Wielu jeszcze mówców zabierało głos, hołd oddając twórcom fabryki, ale tylko jeden z nich, a był nim tow. dr. Herman Diamand — na jedną okoliczność zwrócił uwagę, o której i my tu jeszcze z umysłu dotąd nie mówiliśmy. Oto ta fabryka robotnicza jest piękna! Na pozór wydaje się to niemożliwością, a jednak tak jest! Fabryka ta jest piękna! To też żywo oklaskiwano mowę tow. dra Diamanda, który powiedział: Omówiono tu gospodarcze i społeczne znaczenie piekarni robotniczej, pozwólcie, abym zwrócił uwagę na piękno tego oto przybytku pracy. Przypatrzcie się całości, podziwiajcie szczegóły urządzeń. Patrzcie, jak czyste, piękne tu i harmonijne wszystko, jak ślicznie urządzono salonik dla odpoczynku robotników, patrzcie na harmonijnie dobrane barwy majolik, wykładających ściany w

halach maszyn, patrzcie na marmury łazienek! Wyście się tu pierwsi oto postarali, aby pobyt dla pracowników był przyjemny i oto powstaje przybytek pracy godny wolnego robotnika!

Warsztat kapitalistyczny, to więzienie — pracownie socjalistycznej fabryki, to sale wesołe, rozkoszne.

W roku ubiegłym byłem tu z gronem towarzyszów. Był z nami jeden z największych powieściopisarzy polskich doby obecnej. Pięknem dzieł jego, czarem zaklętych w nich postaci zachwyca się świat kulturalny — to też żal mi, że ci, którzy gmach ten stworzyli nie byli świadkami zachwytów poety. Patrzcie, wołał do towarzyszów, nasze dążenia, to nie niemożliwe utopie, patrzcie, jak tu pięknie — oto naprawdę świta dzień socyalizmu, oto nadchodzi jutrzenka przyszłości!" Takie wrażenie wywołała prozaiczna piekarnia na poecie i męczenniku naszej świętej sprawy!

Dziękujemy też twórcom tej fabryki robotniczej za jej — piękno!

„Prawo Ludu".

Targ rybny w Wenecji.

Zajmującym bardzo dla cudzoziemca jest widok targu rybnego w Wenecji, czyli tak zwanej Pescherji. Jest to duża hala, wsparta na szeregu kolumn, przylegająca do brzegów Wielkiego Kanału. Setki łodzi rybackich zawijają tam co dzień rano, wioząc nocny swój połów.

Zaraz przy brzegu oczekują ich kupcy hurtowni, którzy zakupują ryby na wywóz; układają oni je ściśle w przygotowane paki lub beczki, przesypują drobno tłuczonym lodem albo solą, i natychmiast odwożą na kolej, gdzie ładują swój towar do specjalnych wagonów dla transportu mięsa i ryb przeznaczonych t. j. zaopatrzonych w chłodnie. Resztę połowu zabierają przekupnie, sortują każdy gatunek do osobnych koszyczków i w owej hali sprzedają publiczności. Ciekawym jest spacer między takiemi stołami rybackiemi; napatrzyć się tam można dziwnych, nieznanych u nas morskich tworów. Oprócz sardynek, śledzi, sardeli i płaskich flonder, które i u nas się spotyka w sklepach kolonialnych — widzimy tu różne maleńkie rybki, białe, różowe, srebrne, krwisto czerwone, które wraz z krewetkami i krabami, smażone na oliwie, posypane grubo solą — sprzedawane są za parę soldów (sold równa się 4 fenigom) na każdym straganie. Obok tego drobiazgu leży wielki i gruby tuńczyk, którego krwisto-czerwone mięso, zupełnie do wołowego podobne, wyrąbują na funty kupującym; obok widzimy wielką, płaską o romboidalnem ciele raję, tu znów zwinne węgorze i minogi. W oddzielnym koszyku mnóstwo szaro-zielonych krabów, w innym bladoróżowe raki morskie o długich ogonach, zwane scampi, lub delikatne drobne krewetki (maleńkie raczki)— gdzieniegdzie spotyka się też okazałego homara o potężnych szczypcach. Obficie też na tych stołach reprezentowane są mięczaki: ostrygi, drobne żółtawo-szare pręgowane małże, zwane cappi, oraz ładne ślimakowato zwinięte rozkolce jadalne — stanowią przysmaki dla tutejszej ludności, która jada je na surowo, zakrapiając conajwyżej sokiem cytrynowym.

Sepie zaś czyli kałamażnice, z ukrytym wewnątrz płaszcza owalnym wapiennym szkieletem, oraz mątwy czyli ośmiornice (zwane tu polyppi) smażone lub gotowane, stanowią ulubioną ludową potrawę, wraz z tak zwanemi frutti di mare, czyli mięszaniną różnych drobnych rybek, małży, holoturgi i jeżowców jadalnych.

Od czasu do czasu każdemu rybakowi uda się złowić w sieci jakiś-rzadszy gatunek zwierzęcia morskiego, to też w sąsiadujących z Pescherią kramach dostać można różne ciekawe okazy do zbiorów, zasuszone mniej lub więcej dobrze: up. koniki morskie, zęby narwala, głowę młota lub miecznika, skorupę żółwia morskiego, rzadziej spotykane kraby, raki morskie lub ładne muszle.

Korespondencja z Wenecji „Promyka".

Rozmaitości

Japońska wyprawa do bieguna południowego. Francuska „L'illustration" podaje ciekawą wiadomość od swego korespondenta w Tokio. Dzielni Japończycy, którzy w ostatnich latach zajęli tak poważne stanowisko na arenie dziejowej świata, zapragnęli konkurować ze starą Europą i na polu odkryć naukowych, zazdroszczać jej laurów Shackletona i Peary'ego. Na czele wyprawy do bieguna stanął porucznik rezerwowy Shirarsè z dziesięciu towarzyszami, między którymi znajduje się sławny i w Europie uczony prof. Takeda. Przedsięwzięcie całe ma jednak na celu przedewszystkiem miłość własną i chęć zajęcia bieguna dla cesarstwa wschodzącego słońca, jak wyraził się książę Okuma, prezydujący na zgromadzeniu w Tokio, na którem omawiano wyprawę. Dziełem tem mają Japończycy pokazać światu, iż są najdzilniejszą rasą, zdolną do najtrudniejszych czynów.

Największy dziennik w Tokio „Asaki" ogłosił subskrypcję na ten cel i zebrał już do dzisiaj 125,000 franków, co ma zupełnie wystarczyć na całą wyprawę. Ministerstwo maryńarki ofiarowało na ten cel starą, drewnianą kanonierkę, co do której jednak powątpiewają, czy zdoła odpowiedzieć wymaganym warunkom. Konie i zaprzęgi sprowadzono z Mandżurji, a wyprawa udaje się już do Nowej Zelandji, spodziewając się zdobyć biegun 11. lutego 1911 roku to jest w rocznicę ogłoszenia cesarstwa i proklamowania konstytucji w Japonji. Gdyby sprawa się powiodłe, to wyprawa stanąć ma z powrotem około lipca 1911 roku. Dodać zaś należy, iż wspomniane czasopismo wyraża niejakie powątpiewania co do możliwości osiągnięcia pomyślnego wyniku wyprawy, podjętej w tak dziwnych warunkach, mianowicie w zimie, przy niezbyt dokładnych przygotowaniach i niewystaczających środkach. Pożyjemy, zobaczymy!

* * *

Suchoty — choroba proletarjuszy! Jak wiadomo, wykazały najnowsze badania, iż suchoty uważać należy jako chorobę dziecięcą, niektórzy uczeni nawet twierdzą, że prawie każde dziecko chorobę tę przejść musi. W każdym razie udowodnionem jest, iż ogromnie wysoka liczba dzieci robotniczych zakażonych jest suchotami. Według wyników statystyki śmiertelności są suchoty najczęstszym powodem śmierci w wieku szkólnym. Na 10 000 dzieci w wieku 10—15 lat umarło w Prusach r. 1903 według Kirchnerc 52,32 procent chłopców 67,79 procent dziewcząt na suchoty. Lekarz Hildenberg w miejscowości Springe podobne rezultaty uzyskał: 61,11 procent w wieku od 6 do 15 lat. Nothmann w Düsseldorfie znalazł 77 procent dzieci szkólnych zakażonych suchotami, Ganghofer w Pradze 80 procent, Herford w Altonie 50 proc. itd.

Ogromne to rozszerzenie suchot w wieku dziecięcym nie znaczy naturalnie, iż owe dzieci też rzeczywiście są chore, jedynie tylko tyle, że mają w sobie zarodki suchotnicze. W normalnych warunkach zarodek ten nie wystarcza, ażeby spowodować chorobę lub śmierć. Jeżeli ale dzieci są źle odżywiane, lub niezdrowym jest ich sposób życia, brak powietrza, światła, czystości i tak dalej, jeżeli więc do rozwinięcia się choroby są usposobione, wtedy zarodki stają się zgubne. To też dzieci robotnicze najwięcej są zakażone.

I tak było w Düsseldorfie zakażonych:

53,3% dzieci robotników zwyczajnych,
39,0% „ rzemieślników i małych przemysłowców
7 5% „ niższych urzędników itp.
61,1% „ „wielkich" familji (6 osób i więcej).

Suchoty są zatem w całem słowa znaczeniu chorobą proletarjatu. W familiach, w których suchoty istniały, było 95—100 procent dzieci zakażonych. Marne stosunki mieszkaniowe i marne odżywianie oraz lichy zarobek robotników, który nie dozwala na prowadzenie zdrowego sposobu życia, to wszystko jest powodem ogromnego rozszerzania się suchot. Walka przeciw suchotom musi być zatem w pierwszym rzędzie walką o lepsze stosunki życiowe robotników.

Żywy niebożczyk. W Istoriczeskim Wiestniku, Fiodorow opowiada o żywych niebożczykach, jakich niemało było w państwie rosyjskim za dawnych dobrych czasów. Jednym z takich żywych niebożczyków był (w pierwszej połowie zeszłego wieku) magnat polski B-ski, właściciel ogromnych majątków w południowej części Podola. Pewnego razu kazał on w domu zajezdnym oćwiczyć dwuch młodych poruczników, należących do petersburskiej złotej młodzieży. Jechali oni dokądś znad Newy ze specjalnem poleceniem i zachowali się w domu zajezdnym zanadto bezceremonjalnie. Sprawa oćwiczenia dwuch „dobrze urodzonych" oficerów przyjęła obrót niepomyślny dla B-skiego, tembardziej, że był polakiem. Niektórzy doradzali B-skiemu, aby natychmiast uciekał za granicę. On jednak wolał „umrzeć". W pierwszych miesiącach po swej „śmierci" B-ski mieszkał we wcale wygodnie urządzonym podziemiu, gdzie usługiwał mu oddany kamerdyner. Następnie jednak raczął pokazywać się i w innych miejscach swej rezydencji. Wśród ludu powstały legiendy o tem, że umarły pan wychodzi z grobu nietylko po nocach, ale i w biały dzień—a wielu „własnymi oczami" widziało, jak duch niebożczyka przechadzał się po alejach parku lub koło kwietników, przed dworem... W czasie wojny krymskiej B-ski zaczął wyjeżdżać niekiedy za granicę, a później nie wstydził się nawet odwiedzać sąsiadów... W ten sposób „żywy niebożczyk" spędził jeszcze na ziemi około 25 lat i umarł dopiero w r. 1863.

* * *

Jak się w Ameryce poszukuje męża. Pięćdziesięcioletnia blisko pani Adams poszukuje na gwałt męża. Nie byłoby w tem nic oryginalnego ani osobliwego, gdyby rzecz szła o męża jako takiego. Ale mąż posłuży jedynie do otrzymania spadku. Pani Adams zna swoich rodaków, Niemców. Wie, że nie są skłonni do wyświadczenia kobiecie nawet takiej drobnej przysługi, jak obdarzenie jej nazwiskiem więc przepłynęła ocean i w „kraju nieograniczonej możliwości" szuka nie dozgonnego bynajmniej, lecz kilkudniowego towarzysza żywota.

Ogłosiła we wszystkich dziennikach w Nowym Jorku, że „potrzebny jest mąż za wynagrodzeniem 200 dolarów" Nie zbrakło, rzecz prosta, kandydatów od starców do niepełnoletnich młodzieńcow. Wybór pani Adams padł na 23 letniego. Stanie z nim do przysięgi, o ile oblubieniec zgodzi się nazajutrz podpisać podanie o rozwód.

Ze względu na wiek oblubienicy wątpićby o tem nie należało, ale czy wybraniec zechce wraz z jej osobą zrzec się spadku?

* * *

Or ginalny zakaz. Jedna z małych gmin w departamencie H ules Py é ees (Francja) zakaso wała wszystkie towarzystwa opieki nad zwierzętami troską o ich spoczynek, a mer jej zasłużył na tytuł honorowego członka wszystkich takich towarzystw. Wydał on rozkaz następujący: „Z względu, że młodzież naszej gminy ma zwyczaj w niedziele i święta po nieszporach oddawać się zabawom tanecznym, przeciągającym się późno w noc, tak, iż kury, gęsi oraz inne zwierzęta domowe spać nie mogą, co źle wpływa na rozwój gospodarstwa, niniejszem zabraniamy tańców i muzyki w godzinach, w których zwierzęta domowe zażywać winny spoczynku". Młodzież jest tak oburzona na ten dekret, że zamierza merowi wyprawić kocią muzykę — i to właśnie późnym wieczorem.

* * *

O biegun północny. Przeciwko uczczonym już przez uniwersytety amerykańskie odkryciom Pearego wystąpił obecnie profesor Andrzej Galler, dyrektor obserwatorjum astronomicznego w Poczdamie, jeden z najwybitniejszych astronomów niemieckich. Profesor Galler obala po kolei wszystkie argumenty Pearego i krytykując metodę amerykańskiego podróżnika z niesłychaną drobiazgowością wykazuje że na podstawie takiej metody niepodobna było odkryć bieguna północnego. Przypuszcza następnie profesor Galler, że Peary uznał za biegun jakikolwiek punkt w kraju podbiegunowym i z całą naiwnością ustawił w tym miejscu piramidę z lodu, gdy tymczasem musiał był przewidzieć, że wskutek przesuwania się lodów piramida ta zmieni niebawem swą pozycję względem rzekomego bieguna. Uczony astronom rozwija następnie bardzo szczegółowo różne metody, za których pomocą określenie bieguna wydaje mu się jedynie możliwem, i stwierdza, że Peary żadnej z nich nie użył; a wreszcie żąda od towarzystwa gieograficznego w Waszyngtonie, które odkrycia Pearyego uznało szczegółowej publikacji dowodów rzeczowych. Dzieło uczonego niemieckiego wzbudzi zapewne na nowo spory o biegun, które już były ncichły, a mniej szczęśliwy rywal Pearyego. Cook, otrzymał przez to zdemaskowanie przeciwuika satysfakcję.

* * *

Niebezpieczne polowanie. Niezwykłe wrażenia czekały dwóch strzelców, którzy zostali zaproszeni do Kattenkirchen w Holsztynie na polowanie do lasu. Nie mogąc się doczekać reszty towarzystwa, ruszyli na własną rękę w las. Z gęstwiny wypadł nagle dzik, pędząc prosto ku nim. Każdy z myśliwych rzucił okiem w prawo i w lewo i w jednej chwili znajdował się na najbliższem drzewie. Dzik z kwikiem i chrząkaniem latał po lesie a myśliwym włosy stanęły dębem. Nadeszło w końcu wybawienie, bo zbliżyli się towarzysze. Jeden z przybyłych, chcąc zaimponować towarzyszom, z gołymi rękoma rzucił się na dzika, pochwycił go i zarzucił sobie na plecy. Siedzący na drzewach nie wyszli jeszcze z podziwu, gdy naraz rozległ się szalony śmiech. Dzikiem była sobie zwyczajna świnia, którą pomysłowy właściciel kazał uczernić sadzami i zawieść do lasu. Bohaterzy mogli więc śmiało zejść z drzew, ale miny ich nie wyglądały zbyt arcymądrze.

* * *

Prośba konia. Naczelnik policyi nowojorskiej kazał we wszystkich stajniach miejskich umieścić plakat z nagłówkiem „Prośba konia". Treść prośby jest następująca:

„Do ciebie, mój panie, przychodzę z prośbą. Dawaj mi dostatek paszy i zaspokajaj moje pragnienie. Gdy dzień pracy przeminie, zaprowadź mnie do porządnej stajni. Mów do mnie, bo twój głos jest skuteczniejszy, aniżeli cugle i bat. Pogłaskaj mnie czasem, abym tem chętniej pracował. Nie uderzaj mnie batem, gdy droga prowadzi pod górę i nie przyciągaj zbyt mocno cugli, gdy zjeżdżamy z góry na dół. Gdy nie zaraz zrozumiem twój głos, nie używaj bata; zbadaj raczej cugle, czy może nie są w porządku i przekonaj się, czy podkowa mi nie sprawia bólu. Skoro gardzę paszą w korycie, zbadaj moje zęby. Nie ucinaj mi ogona, bo on jest jedynym środkiem obrony przeciwko muchom, które mnie dręczą. A gdy się zestarzeję i stanę się nieużytecznym nie skazuj mnie na śmierć głodową, lecz mnie zabij, abym nie cierpiał niepotrzebnie".

Ta prośba ma ten skutek, że woźnice obchodzą się z końmi względniej, niż dawniej.

* * *

Przeszłość i teraźniejszość. Pisma francuskie donoszą, że policya paryska w tych dniach aresztowała obszarpaną żebraczkę, która natrętnie zaczepiała przechodnia, prosząc o parę „susów". W komisarjacie okazało się że aresztowaną jest dawna piękność i sława Paryża, znana śpiewaczka liryczna, wicehrabina Franciszka d'Ambraisne, która niegdyś posiadała wielki majątek, lecz, grając na giełdzie, straciła wszystko.

* * *

Mehemed Ali z Persji — prywatny. Tyle zostało z szumnych tytułów zdetronizowanemu szachowi Persji. W przejeździe do Francyi zatrzymał się on w Wiedniu i tak wypełnił kartę meldunkową w hotelu.

Pozostał mu na pociechę okruch wiary.. w „cuda".

Podobno ex-szachowa wybiera się w pielgrzymkę do Mekki, ażeby przy grobie Mahometa błagać niebiosa o zaszczenie się „planów" jej męża.

Prywatny turysta z Persji ma widać jeszcze „plany" polityczne, w których mu może dopowódz tylko... prorok z Mekki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 49. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 grudnia 1910.

A. CZECHOW.

„Zagadkowa natura“.

Wagon pierwszej klasy. Na otomanie obitej szkarłatnym aksamitem, rozsiadła się piękna pani. Kosztowny artystyczny wachlarz szeleści w jej kurczowo ściśniętej dłoni, broszka na piersiach to podnosi się, to opada, niby czółenko wśród fal. Piękna pani podniecona.

Nawprost niej siedzi na sofce gubernjalny urzędnik od szczególnych poleceń, młody początkujący literat, zamieszczający od czasu do czasu niewielkie opowiadania, czyli jak je sam zwykł nazywać, nowele ze sfer wielkoświatowych... Patrzy jej wprost w oczy, patrzy bez przerwy, z wyrazem znawcy. Obserwuje, podchwytuje tę ekscentryczną zagadkową naturę, pojmuje ją, przeziera... Dusza jej cała, jej psychologja, widoczną jest dlań, jakby leżała na dłoni...

— O, ja rozumię Panią! — wykrzykuje urzędnik od szczególnych poleceń, całując pięknią panię w rękę około bransoletki — czuła, wrażliwa dusza pani szuka wyjścia z labiryntu...

— Tak! Walka to straszna, okrutna, lecz... nie trzeba rozpaczać! Pani musi swyciężyć! O tak!

— Opisz mnie, Włoda! — odzywa się młoda pani, uśmiechając się smutnie. — Życie moje, takie niezwykłe, takie barwne, takie ciekawe! I co najważniejsze, jam nieszczęśliwa! jam ofiara w guście... Dostojewskiego. Ukaż światu mą duszę, Włoda, ukaż tę biedną duszę! Tyś psycholog. Nie upłynęło godziny jak tu siedzimy w przedziale i rozmawiamy, a tyś zupełnie zgłębił mą duszę! Całą, całuśką!...

— Mów pani! Błagam! Mów pani!

— Słuchaj więc. Przyszłam na świat w biednej urzędniczej rodzinie. Ojciec, dobre stworzenie, rozumne, wyrozumiałe, ale duch czasu... środowisko... vous comprenez, ja nie oskarżam swego ojca. Pił, grał w karty, brał łapówki..

Matka zaś... Zresztą co tu mówić! Nędza, walka o kawałek chleba, poczucie własnej nicości...

Ach! nie zmuszaj mnie do tych wspomnień! Musiałam sama robić, wywalczyć drogę... Deprawujące wychowanie w instytucie, zaczytywanie się w głupich romansidłach, błędy młodości, pierwsza lękliwa miłość. A walka ze środowiskiem? A zwątpienia? A węża rodzącej się w duszy niewiary w życie i w siebie? To okrutne. Ty jesteś literatem i wiesz, jak jesteśmy tragiczne my kobiety. Ty mnie zrozumiesz, Włoda! Zrozumiesz moją głęboką duszę... Czekałam szczęścia, wielkiego szczęścia! Pragnęłam stać się człowiekiem — to uważam za największe szczęście!...

— Boska! — bełkocze wniebowzięty literat, całując powtórnie rękę około bransoletki. Nie ciebie ja całuję o boska, ale cierpienie całej ludzkości. Czy pamięta pani Raskolnikowa? On tak właśnie całował...

— Włoda! Włoda! Jam pragnęła sławy... rozgłosu, blasku jak każda nietuzinkowa istota.

Pragnęłam czegoś niepowszedniego, niekobiecego!

I oto! I oto! — stanął na mej drodze bogaty, stary generał. Pojmij mnie Włoda!

Wszakże to było samozaparcie się, samoofiara, pojmijże mnie! Nie mogłam postąpić inaczej! Wzbogaciłam rodzinę, zaczęłam podróżować, zostałam altruistką... A jednak jakżem strasznie cierpiała, jakże nieznośne, wstrętne, godne pogardy były mi objęcia tego generała — jakkolwiek trzeba mu oddać sprawiedliwość — mężnie walczył w swoim czasie.

Bywały chwile... straszliwe chwile! Wtedy krzepiła mnie myśl, że staruszkowi nie dziś to jutro zamrze się, że zacznę żyć jak zapragnę, że oddam się ukochanemu mężczyźnie i będę szczęśliwą!

A mam już takiego mężczyznę! Bóg widzi, że mam! Piękna pani coraz silniej wachluje. Twarz jej przybiera wyraz płaczliwy.

— I oto staruszek zmarł. Zostawił też coś nie coś... Dziś jestem wolną jak ptak. Zdawało się, że teraz mi się życie uśmiechnie... Czyż nie tak Włodu?

...Dość zda się wpuścić je tylko, ale... gdzie tam!

Słuchaj mnie Włoda! Teraz zdawałoby się, czas już oddać się ukochanemu człowiekowi, stać się jego towarzyszką, pomocnicą, być szczęśliwą... odpocząć... Ale jakie to wszystko podłe, głupie i nikczemne na świecie! O ja nieszczęsna, nieszczęsna, nieszczęsna! Znów spotkałam na swej drodze przeszkodę. I znów czuję, że me szczęście daleko, daleko! Ach, gdybyś ty wiedział, jaka to męka! Jaka męka!

— I cóż, i cóż stanęło znów pani na drodze? mów pani, błagam. I cóż!

— Drugi bogaty staruszek...

Złamany wachlarz zasłania piękną twarzyczkę.

Literat podpiera pięścią myślącą głowę, wzdycha i z wyrazem znawcy psychologa — wpada w głęboką zadumę...

Pociąg świszcze i sapie, słońce rzuca czerwone blaski zachodu na spuszczone w oknie firanki...

Tłomaczył Crataegus.

Rozwój i stan obecny lotnictwa.

Nad rozwiązaniem zagadnienia sztucznego lotu na wzór ptaka nie od dziś pracuje myśl ludzka. W starożytności, w średniowieczu, wreszcie w czasach nowożytnych marzono o tem, by człowieka oskrzydlić. Daremnie jednak. Wszelkie próby na tem polu kończyły się niepowodzeniem, lub gorzej jeszcze, bo katastrofami,

Wskutek tego wśród ogółu wytworzyło się pojęcie o niemożliwości rozwiązania tego zagadnienia, przestawano wierzyć w to, by człowiek z ptakiem mógł stanąć w zawody.

Nie zrażało to jednak tych wytrwałych, którzy tej idei

poświęcili swe życie i dzięki ich pracy wiek XX będzie wiekiem podboju powietrza.

Wśród całej powodzi aparatów, jakie zbudowano w celu przenoszenia się z miejsca na miejsce w powietrzu, najlepszym okazał się aeroplan. Konstrukcja jego jest dziś powszechnie znaną, to też opisywać jej nie będziemy. Wskażemy tylko, iż składa on się z jednej lub kilku powierzchni pochylonych pod małym kątem do kierunku lotu, przymocowanych do podłużnego szkieletu. Dla nadania ruchu służy śruba wprawiana w ruch przy pomocy lekkiego silnika. Śruba ta, czyli tak zwany propeller wśrubowywa się w powietrze i pociąga za sobą powierzchnie nośne. Te ostatnie, wskutek posuwania się, zgęszczają pod sobą powietrze, które ze swojej strony, cisnąc w kierunku przeciwnym, t. j. zdołu ku górze, podtrzymuje cały aparat. Dla nadania pewnego kierunku służą w aparacie różnego rodzaju stery.

Jak widzimy zasada konstrukcji aeroplanu jest bardzo prosta, lecz jakkolwiek znano ją bardzo dawno, bo już w r 1842 Anglik Henson zaprojektował pierwszy aeroplan, jednak pierwsze wzloty udatne odbyły się dopiero kilka lat temu. Przyczyną tego był słaby rozwój techniki i niemożliwość zbudowania lekkiego, lecz silnego motoru, który byłby w stanie wznieść i utrzymać w powietrzu cały aparat. Szybki rozwój w ostatnich czasach automobilizmu znacznie przyczynił się do ulepszenia motorów i zmniejszenia ich wagi. Wright (czytł Rajt) twórca jednego z pierwszych aeroplanów, używa zwykłego silnika automobilowego.

W r. 1908 przybyli do Francji z Ameryki dwaj bracia Wright'owie, którzy od lat 7 pracowali nad zbudowaniem maszyny latającej, ukrywszy się wśród stepów miejscowości Dayton stanu Ohio. Przywieźli oni z sobą gotowy aparat, na którym odbyli podróż powietrzną, trwającą bez przestanku 2 godz. 20 min., zrobiwszy przez ten czas około 123 kilometrów. Lotem tym wprawili oni w zdumienie cały świat techniczny, gdyż na zbudowanych w tym czasie we Francji aparatach Voisin'a i Bleriot'a można się było utrzymać w powietrzu zaledwie po kilkanaście minut. Lecz i francuzi poszli szybko naprzód, tak iż wkrótce dorównali braciom Wright. Wzloty te jednak pozostały szerokiej publiczności nieznane i dopiero przelot Bleriot'a przez kanał La Manche i tydzień awjacyjny w Reims w roku 1909 spopularyzowały lotnictwo. We wszystkich większych miastach Europy poczęto urządzać konkursy maszyn lotniczych i oddzielne wzloty, wyznaczono znaczne nagrody za przeloty z miasta do miasta i t. d. W krótkim czasie ilość wynalazców i ich aparatów znacznie wzrosła, powstały aparaty niewiele od siebie różniące się uchodzące jednak za oryginalne. Dziś ilości typów doliczyćby się nawet nie można.

Wśród wielu lotów dokonanych w końcu r. 1909 zwrócił na siebie uwagę lot hr. Lamberta na aparacie Wrihgt'a nad Paryżem. Wzniósłszy się na lotnisku w Juvisy pod Paryżem, Lambert na wysokości 500 metrów okrążył wieżę Eifla i po 50 minutach wrócił tąż drogą nazad. Wreszcie w listopadzie Henryk Farmann, twórca aeroplanu tegoż nazwiska ustanowił światowy rekord, utrzymując się w powietrzu w przeciągu 4 godz. 17 minut. W różnych okolicach Francji utworzono kilka lotnisk, gdzie założono szkoły pilotów, czyli kierowników aeroplanów. Sami zaś wynalazcy, wykazawszy wzlotami swemi, iż aeroplan jest maszyną, na której można odbywać wzloty i dalsze podróże, cofnęli się do swych pracowni, by pracować dalej nad jego udoskonaleniem.

Pomimo to rok 1910 rozpoczyna się nowym trjumfem. Hubert Latham, jeden z najodważniejszych lotników na aparacie Antoinette, zbudowanym przez inżyniera Levava-Beur'a wznosi się na wysokość 1050 metrów, a w parę dni po nim Pohlan na aparacie Farmana dosięga wysokości 1269 metrów.

Od tej pory prawie każdy dzień przynosi nam nowy rekord i nowe zwycięstwo. Lotnicy prześcigają się nawzajem w dążeniu wzwyż ponad obłoki. W lipcu lotnik Drexel wznosi się na wysokość 2058 metrów, wkrótce po nim Morane na 2582 m., Chavez 2680 m.; i ten jednak rekord trwał niedługo, gdyż 1 października pobił go Winjmalen; na aeeroplanie Farmana dosięgnął on 2765 metr. Prawie 3 wiorsty nad ziemią! Na takiej wysokości ptak bywa nader rzadko, a patrzącemu z ziemi aeroplan wydaje się ledwie punkcikiem.

Nie mamy możności opisywać wszystkich wzlotów, dokonanych w r. 1910, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca, wskażemy tylko najważniejsze, które były jakby etapami i świadczyły o bardzo szybkim rozwoju lotnictwa.

Różne instytucje i ofiarodawcy prywatni wyznaczyli cały szereg znacznych nagród za przebycie tej lub owej przestrzeni i zdobycie nowego rekordu.

(Dokończenie nastąpi.)

KAROL KOSIBA.

ZWIASTUN.

W kryształnej misie przesłodką dań
Niosę wszechgodów zwiastunny duch,
Kraj mój: to dzika, samotna grań,
Gdzie wichry ciemne wołają: „wstań!
„Na wieczna radość, na życie — ruch".

Idę, o moi, z zaświatów k'wam,
W przestworach mroźnych skąpany wid,
Sny czynów głodne drżą u mych bram,
Upojną życia pobudkę gram:
Że prawdą, szczęściem jest jeno byt!

Cierń, duszy męka — słodkie wśród Was,
Burz dzikich skowyt — czarowną grą,
Bo dusza szepce, jak nocą las:
„Już słońce wstaje — więc wstańcie wraz,
„Niech wściekłe fale ku lądom prą!"

O! bierzcie misę. Milczycie?... strach?...
O! bierzcie misę — mnie dajcie krzyż!
Mękę swą dajcie: miałem ją w snach,
Gdym z Wami płakał, gdym tęsknił w łzach,
Na krzyż mnie wznieście — nad gwiazdy wzwyż!

Rozmaitości

Jak w Berlinie przed 100 laty chciano uczcić pamięć Tadeusza Kościuszki i jak rząd temu przeszkodził. Docent uniwersytetu wrocławskiego, dr. Manfred Laubert, odnalazł w aktach tajnego archiwum państwowego w Berlinie podanie obywateli berlińskich odnoszące się do zamierzonego obchodu żałobnego w Berlinie, na wiadomość o śmierci Tadeusza Kościuszki w roku 1817. Władze jednak i podówczas już spoglądały na to z nieufnością. Na podanie wniesione do ministerstwa wyznań o pozwolenie urządzenia uroczystego nabożeństwa żałobnego za duszę Kościuszki w kościele św. Jadwigi, minister baron Altenstein zażądał przedłożenia tekstu kazania żałobnego. Następnie — jak wykazuje dr. Laubert - przedłożył podanie kancelarji dworskiej, pozostawiając decyzję orzeczeniu króla. Król odmówił zezwolenia na urządzenie nabożeństwa. Religję wolno tylko zaprzągać na cześć rządów i możnych.

* * *

Nowy prorok. Donoszą ze Lwowa: Niejaki p. Samuel Popiel, rabin prywatny, zamieszkały tutaj, podający się jednocześnie za mistrza kabały, wydał broszurę pod tytułem: Organizacja Rzeczypospolitej Polskiej, nowo odbudowanej w roku 1912.

Broszura pełna rozmaitych zagadek, niedomówień itp., kończy się następującymi proroctwami:

18. kwietnia 1912 — pierwsze starcie w powietrzu na błoniach zamarstynowskich koło Lwowa.

3. kwietnia 1912 — wybór głównego naczelnika wojsk polskich.

1. maja 1912 — cuda waleczności księcia Sanguszki z Paryża.

14. maja 1912 — jedna kobieta polska robotnica, pierwsza zatknie sztandar zwycięski na zgliszczach Wawelu.

20. maja 1912. — cesarz japoński we Lwowie.

Za to wszystko ręczę S. Popiel.

* * *

Dwie burmistrzynie. W Europie mamy już dwie burmistrzynie, obie w Anglji, mianowicie radni miasta Oldham wybrali na lord-majora swego miasta panią Lee, wdowę po wysokim urzędniku miejscowym. Jest to młoda i energiczna kobieta. Po złożeniu przysięgi i przywdzianiu stroju burmistrzowskiego, dziękując za wybór, dodała: „Moi przeciwnicy nie wierzą, aby kobieta mogła wywiązać się z tych obowiązków. Ha! trudno, mają oni prawo mieć własne zdanie to zmienić, o co się gorliwie postaram". Za przykładem Oldham poszło drugie miasto angielskie, Aldeburgh, które wybrało na burmistrzynię panią Garret Anderson.

* * *

Emigracja do Argientyny. Wedle statystyki gieneralnej dyrekcyi imigracyjnej przy argientyńskiem ministerstwie rolnictwa, przypływ emigrantów do Argientyny w pierwszych ośmiu miesiącach br. wynosił 134 094 osób, zaś w samym sierpniu 17 640 osób, w czem 1988 rodzin, liczących 6476 osób.

Z imigracyi sierpniowej przypadało osób 3810 na robotników dziennych, 2833 na rolników, 1017 na służbę, 768 było kupców, a reszta należała do różnych zawodów.

Pod względem przynależności państwowej z emigrantów przybyłych od stycznia po koniec września było z Hiszpanji 52 931 osób, co oznacza wielką zwyżkę, natomiast zmniejszyła się imigracya z Włoch i wynosiła 37 624 osób, z Rosji było 9074.

Z Turcji przypływ był znacznie większy, niż w roku zeszłym, i wynosił 6886, z Francji 2397, z Niemic 2008, z Austrji 2809 osób. Reszta pochodziła z Węgier, Anglji, Belgji, Portugalji i Serbji. Polscy emigranci są objęci cyfrą emigrantów z Austrji, Rosji i Niemiec.

* * *

Ze strachu przed publicznością. Teatr w Bajonie jest postrachem bla debiutantów. Publiczność bajońska jest bardzo wymagająca i traktuje naogół nadzwyczaj wrogo artystów i artystki, których słyszy po raz pierwszy. Najmniejsza niedokładność, fałsz w głosie, wywołuje śród słuchaczów głośne oznaki niezabowolenia. To też nawet najlepsi artyści, występując na scenie bajońskiej, mają zwykle wielką tremę i często z powodu tej tremy popełniają błędy.

W tych dniach z tego powodu zdarzył się wypadek, niezwykły nawet w kronikach teatru bajońskiego, mianowicie z strachu przed publicznością zwarjowała młoda debiutantka panna Sternel.

Panna Sternel debiutowała w operze „Carmen" w roli tytułowej. Spiewaczka, która dużo słyszała o wrogiem usposobieniu publiczności względem debiutantów, odczuła odrazu, że audytorjum zachowuje się względem niej nadzwyczaj chłodno, prawie wrogo, trema artystki, zamiast zmniejszać się, zwiększała się do tego stopnia, że pod koniec trzeciego aktu panna Sternel straciła panowanie ned sobą i wypowiedziała pod adresem publiczności kilka niezbyt pochlebnych frazesów.

W akcie czwartym zaraz na wstępie zdenerwowana artystka popełniła mały błąd. W sali rozległy się wrogie okrzyki i gwizdania. W tym Carmen wybuchnęła spazmatycznym śmiechem i upadła na środek sceny...

Kurtynę spuszczono, wezwano lekarza, który stwierdził, iż panna Sternel dostała ostrego pomieszania zmysłów.

* * *

List doręczony po 99 latach. Wszelkie dotychczasowe rekordy długiej wędrówki listów pobił list, doręczony dnia 5 bm. burmistrzowi Aakeveen w Holandyi. „Pospieszam donieść" — tak brzmi początek tego listu, pisanego do mera gmino Aekeseen przez hr. de Cellesa, mianowanego przez Napoleona I prefektrem departamentu Suiderseeo po włączeniu Holandyi do cesarstwa francuskiego. Hrabia zawiadamia mera o swojej nominacyi i daje mu odpowiednie instrukcye. Poczta przesłała ten list do Amstelveen, gdzie, co prawda, spostrzeżono omyłkę, ale o przesłaniu listu pod właściwym adresem zapomniano. List przeleżał w ukryciu pomiędzy papierami przez lat 99 i dopiero teraz znaleziono go przypadkowo i odesłano burmistrzowi Aakeveen.

* * *

Niezwyka zawziętość. W miejscowości kąpielowej Saint Enogat pod Saint Malo popełniono zabójstwo, nader ciekawe pod względem psychologicznym. Do blacharza tamtejszego, Juliusza Gasteboisa, człowieka bogatego, ojca szościorga dzieci przybył niejaki Wiktor Beslon, przyjaciel młodości, którego Gastebois nie widział od lat 26. Blacharz przyjął gościa bardzo serdecznie. Wśród rozmowy i wspomnień z lat dziecięcych Beslon zaproponował przyjacielowi przechadzkę nad morzem, a gdy znaleźli się sami na wybrzeżu, rzekł nagle do Gasteboisa: „Czy pamiętasz, coś mi uczynił przed laty 26?" i zanim zdumiony Gastebois miał czas odpowiedzieć, dobył z kieszeni rewolwer i wpakował kulę w głowę przyjacielowi, następnie zaś strzelił jeszcze kilkakrotnie do leżącego. Aresztowany oświadczył. „Przed 26 laty Gastebois obraził mnie ciężko i pobił na wspólnej wycieczce. Oto więc zemściłem się na nim. Od 26 lat o niczem innem nie myślałem".

* * *

Największy teatr „Variete" na świecie stanie wkrótce w Londynie. Będzie się nazywał „Palladium" i pomieści aż 5000 osób, żądnych rozrywek akrobatycznych, śpiewów i t. p. Widownia tak jest zbudowaną, że każdy z widzów będzie widział scenę z mniej więcej tej samej odległości. Koszta budowy wynoszą przeszło 4 miljony marek. Wejście kosztuje od pół szylinga aż do bardzo wysokich zwykłych cen. Publiczność posiada na swoje usługi eleganckie herbaciarnie i winiarnie, czytelnie, bibljoteki, nawet salony fryzjerskie. „Palladium" zostanie otwarte w styczniu.

* * *

Wilk przyczyną zaburzeń. Pisma paryskie podają, że w Marokku omal nie wynikły zaburzenia przeciw europejczykom, z powodu wilka.

Oto gubernastor Melenesa chował w swym ogrodzie wilka oswojonego. Pewnego razu zwierzę wydostało się na ulicę miasta i wywołało ogólny popłoch.

Ścigany przez policję marokkańską i wystraszony wystrzałami wilk wbiegł do jednego z meczetów i ukrył się pod ołtarzem proroka. Taki wynik pogoni zaniepokoił duchowieństwo mahometańskie, które, zebrawszy się na naradę, postanowiło wilka zabić a w celu przebłagania Allaha za znieważenie świątyni zamordować kilku europejczyków.

Tylko energiczna interwencja władz, które pod grozą ucięcia głowy każdemu, ktoby się ośmielił pójść za tą radą, zdołała zażegnać uchwaloną przez fanatyków „ekspjację" i zapobiec jej skutkom.

* * *

Biały sztandar. Strejkujący obecnie w Walji południowej górnicy nie używają czerwonego sztandaru za godło. Deputacja górników strejkujących, która obchodziła kopalnie, namawiając kolegów do przystąpienia do strejku, obnosiła jako swe godło zgaszoną lampę górniczą i białą koszulę. „Manchester Guarbian" wyjaśnia, iż jestto prastary zwyczaj górników angielskich, biała koszula oznacza, iż robotnik świętuje, więc nie brudzi bielizny w kopalni; lampa zgaszona również jest godłem bezrobocia.

* * *

Ciekawe wytłomaczenie. Pastor murzyński Booker Washington, pytany, jakim sposobem dzieci Izraela przeszły przez morze Czerwone, odpowiedział: „Było to zimą. Dzieci Izraela przyszły rano, gdy lód na morzu był jeszcze mocny.

Egipcyanie przybyli za nimi dopiero około południa, gdy lód stajał i dlatego wszyscy utonęli".

Jeden ze słuchaczy wtrącił, że w geografji nauczył się iż pod równikiem woda nie marznie. Na to pastor: „Ach głupstwo! Za czasów Mojżesza i Faraonów nie wynaleziono jeszcze ani równika ani gieografji!!"

* z *

Zwinność zwierząt. Pewien uczony niemiecki pan Oldhausen, który poświęcił się badaniu życia zwierząt, obliczył pomiedzy innemi szybkość ich ruchów. Okazało się że najpowolniejszem stworzeniem na świecie jest ślimak, który w ciągu godziny przechodzi zaledwie 40 centymetrów, odpoczywając ze zmęczenia co parę centymetrów. Najszybszą zaś jest pchła, której szybkość równa się 275 metrów na minutę, co stanowi 16 i pół kilometra na godzinę.

* * *

Kobieta poborowa. W tych dniach przybył do Lublina do jednego z sędziów po poradę włościanin z Lubelskiego, którego żonę w roku bieżącym powołują do odbycia powinności wojskowej. Włościanin opowiada, że rodzice żony jego, jak również i rodzice chrzestni pijani pojechali do chrztu i na pytanie księdza, czy to chłopiec czy dziewczyna, odpowiedzieli, że chłopiec — i dziecko ochrzcone zostało jako Jan, spisano również odpowiedni akt urodzenia. Obecnie żona jego, jako chłopiec powołaną została do poboru wojskowego i narażona jest na wstyd i zbyteczne straty.

* * *

Zabobony a trzęsienie ziemi. Niedawno temu odczuto na Węgrzech znaczne trzęsienie ziemi. W gminie Vaskoy dzwony wskutek tego same się odezwały. Ludność przeraziła się a pewna baba narobiła wszystkim jeszcze większego strachu. Poczęła opowiadać, że djabeł cierpi głód i dla tego trzęsie ziemią. Lud począł znosić tedy cielęta i kozy i rzucał je do jaskini, w której rzekomo mieszkał ów straszny głodny djabeł. Następnie podpalono las, by pozbyć się djabła. Sądzono, że uciecze przed pożarem i wyniesie się w inną okolicę.

* * *

Oszuści hiszpańscy. Według otrzymanych informacji trwają w dalszym ciągu szalbierstwa, popełniane przez bandę oszustów hiszpańskich, a mające na celu wyłudzanie pieniędzy od łatwowiernych, którym przyrzeka się udział w rzekomo ukrytych skarbach. Oszuści ci rozpisują do różnych osób listy od rzekomych bankierów, którzy są uwięzieni i ukryli w Galicji swój majątek, proszą adresatów o udzielenie pomocy w wydobyciu tego majątku — zwykle w formie znacznej pożyczki — i obiecują im za to korzyści materjalne. Jasne jest, że te szalbierstwa mogą narazić łatwowiernych, którzyby dali się usidlić chęcią łatwego zysku, tylko na poważne straty.

* * *

Ciekawe znaczki pocztowe posiada obecnie Portugalja. Jakkolwiek króla złożono z tronu i zmuszono do ucieczki, wizerunek monarchy zdobi jeszcze znaczki pocztowe republiki. Na twarzy królewskiej wydrukowano słowa Republicas. Sporządzenie szkiców nowych znaczków i przyjęcie ich przez parlament potrwa jeszcze dość długo i przed 1 styczniem 1912 roku bodaj ukażą się nowe znaczki republikańskie.

* * *

Dżuma w zbożu. W Odessie wykryto szczury, zarażone dżumą, w szpitalach mieszczacych 12 milionów pudów zboża rozmaitego gatunku. Właściciele zboża ponoszą olbrzymie straty. Banki zaprzestały udzielać zaliczek na zboże, gdyż w Odessie niema już gdzie go składać.

* * *

Ziemia z księżyca? Pytaniem, jak wygląda ziemia z księżyca, zajmuje się znany astronom francuski Kamil Flammarion w rozprawie, zamieszczonej w feljetonie „New-York Heralda. — Gdyby ziemię można obserwować z księżyca — pisze tam — przedstawiałby się nasz planetu jako olbrzymia kula o średnicy cztery razy dłuższej, niż średnica księżyca. Podobnie jak my, tak i ewentualnie mieszkańcy księżyca, obserwowaliby wtedy, gdy my widzimy pełnię księżyca „pełnię ziemi". „Nów ziemi" przypadałby w połowie miesiąca księżycowego.

* * *

Muzeum Björnsona. W Chrystjanji utworzył się komitet w celu zakupna domu w Kvikne, w którym urodził Björnstjerne Björnson. Na czele komitetu stanęli byli ministrowie: Michelsen, Lövland i Gunnar Knudsen. Komitet zamierza zdobyć drogą składek publicznych w całym kraju odpowiednią kwotę, zakupić dom i urządzić w nim muzeum poświęcone pamięci słynnego pisarza.

* * ?

Dziwna poczta. Podczas miesięcy zimowych na wybrzeżu szkockiem panują zwykle wielkie burze; wtedy okręty nie mogą przybijać do brzegów wyspy Saint-Kilila i zabierać poczty. W celu zaradzenia złemu administracja pocztowa wymyśliła niezwykły sposób przesyłania posyłek. Listy i przesyłki, zapakowane w pudła nieprzemakalne, bywają zanoszone na wybrzeże i tam powierzane... falom. Ponieważ między wyspą i Szkocją istnieje prąd morski o kierunku od wyspy do Szkocji, przeto prąd ten pełni obowiązki pocztowe i zanosi pudełka ku wybrzeżom Szkocji, gdzie specjalni pocztyljoni wyławiają je z wody. Nie jest to bardzo pewny sposób przesyłania listów, gdyż na 10 pudełek dochodzi tylko 6—7; ale mieszkańcy wyspy Saint-Kilila twierdzą, że w braku czegoś lepszego, to nie jest zbyt złe.

* * *

„Drzewo deszczowe". Peru odznacza się niezwykłem bogactwem swej flory. Na specjalną uwagę zasługuje rosnący w tym kraju gatunek drzewa, które Indajnie nazywoją „Tamais kapi", co znaczy „drzewo deszczowe". Duże to drzewo o gęstych liściach posiada własność kondensowania pary, znajdującej się w powietrzu. Na liściach drzewa osadzają się krople wody, które następnie w postaci gęstego deszczu spadają na ziemię.

W czasie sezonu suszy, kiedy rzeki wysychają, a rozpalane powietrze posiada dużo pary, kondensacja odbywa się bardzo energicznie; wtedy grube krople wody nietylko spadają obficie z liści i gałęzi, drzewa, lecz woda sączy się i po jego pniu, odwilżając duże przestrzenie ziemi dokoła drzewa deszczowego.

Ponieważ drzewo deszczowe można kultywować bez wielkiego trudu, a gatunek ziemi jest mu prawie obojętny, rolnicy peruwiańscy zamierzają skorzystać z własności tego drzewa i rozsadzać je na polach, aby zapobiec w ten sposób stałym w tym kraju posuchom.

Z literatury i sztuki

Wyszedł nr. 48 **„Promyka"**, ilustrowanego tygodnika dla młodzieży. Na wstępie zawiera artykuł pod tytułem: „Wymarłe olbrzymy", H. Samotnego; bardzo zajmujący i dosyć wyczerpujący opis prastarej fauny na ziemi „Nasza klasa", powieść M. Hantowerówny, dokończenie „Dziadek—piernik" Maryli Zabłockiej, bajka, która w formie lekkiej porusza mnóstwo myśli społecznych bardzo głębokich. „Na śniegu", wiersz Asnyka. Kronika przyrodnicza obejmuje artykulik „Z dziennika przyrodniczki" Heleny Wimut, interesujące spostrzeżenia o roślinach wegetujących jeszcze w tej spóźnionej porze. Ze świata: Smierć Tołstoja. Odpowiedzi od redakcji, łamigłówki, rozwiązania.

„Promyczek" dodatek dla młodych dzieci mieści: „Do szkoły" przez S. B. żywo napisane opowiadanie z życia ludu. „Hrabia a barometr" bajka przez Marję Krausową, niezmiernie oryginalna i miło skreślona „Lina", wiersz Marji Konopnickiej.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 50. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 grudnia 1910.

A. KUPRIN.

TOAST.

(FANTAZJA).

Upływał dwuchsetny rok nowej ery. Pozostawało zaledwie piętnaście minut do tego miesiąca, dnia i godziny, w których dwieście lat ledwie temu ostatni kraj o ustroju państwowym, najbardziej opierający się postępowi, najkonserwatywniejszy i najciemniejszy ze wszystkich krajów, Rosja — zdecydował się nareszcie rozstać się ze swą zdawna przestarzałą, śmieszną narodową samoistnością i ku wielkiej radości całego świata przystąpił do wszechświatowego socjalistycznego związku wolnych ludzi. — Podług zaś starego chrześćjańskiego kalendarza była teraz wigilja 2906 r.

Ale nigdzie nie witano nowego dwóchsetnego roku tak wspaniale, tak uroczyście, jak ua północnym i południowym biegunie, na tych głównych stacjach wielkiej, elektroziemskiej, magnetycznej Asocjacji. Przez przeciąg ostatnich 30 lat kilkanaście tysięcy techników, inżynierów, astronomów, matematyków, architektów i innych uczonych specjalistów z całem zaparciem się siebie pracowało nad urzeczywistnieniem najdonioślejszej, najbardziej heroicznej idei II wieku. Postanowili oni przemienić kulę ziemską w jakąś gigantyczną elektromagnetyczną piłkę i w tym też celu oplątali ją od północy do południa spiralą ze stalowych, owiniętych w gutaperkę drutów, długości około 4 miljardów kilometrów. Na obu biegunach ustawili o przeolbrzymiej sile elektromotory i wreszcie połączyli między sobą wszystkie zakątki ziemi, ale i na wszystkich sąsiadujących z nią planetach, z którem mieszkańcy ziemi utrzymywali stałe stosunki.

Wielu wszakże patrzało na te wyniki Asocjacji z nieufnością, inni z obawą, a jeszcze inni z trwogą..

Ale ubiegły rok — był rokiem zupełnego tryumfu Asocjacji nad sceptycyzmem. Wszechpotężna, magnetyczna siła ziemi puściła w ruch wszystkie fabryki, warsztaty, maszyny rolnicze, koleje żelazne i parostatki. Oświetliła wszystkie ulice i wszystkie domy, ogrzała wszystkie lokale. Uczyniła zbytecznym dalszy użytek węgla kamiennego, którego pokłady już oddawna wyczerpały się. Starła z oblicza ziemi potwornie wielkie, dymiące się kominy fabryk, zatruwające powietrze.

Ocaliła kwiaty, trawy i drzewa — tę jedyną radość ziemi — od grożącego im wymarcia i zguby. Wreszcie wydała niesłychane rezultaty w rolnictwie, podniósłszy wszędzie wydajność gruntu prawie w dwójnasób.

* * *

Jeden z inżynierów północnej stacji, wybrany na dziś prezesem, powstał ze swego miejsca i podniósł puhar ku górze. Wszyscy umilkli. Prezes odezwał się:

— Towarzysze — życzycie tego sobie, to natychmiast połączymy się z naszymi drogimi współtowarzyszami, pracującemi na stacji południowej. Przed chwilą sygnalizowali do mnie...

Ogromna sala narad poczęła mknąć w nieskończoną dal. Był to wspaniały gmach ze szkła i żelaza i marmuru ozdobiony egzotycznemi drzewami bardziej podobny do pięknej oranżerji niż do publicznego lokalu. Z zewnątrz gmachu była noc polarna, ale dzięki działaniu pewnych kondensatorów, jaskrawe światło słoneczne rzęsiście oblewało i zieloność traw i stoły i kształtne kolumny, potrzymające sklepienie i cudne obrazy i statuetki w przedsionkach i tysięczne twarze ucztujących w sali. Trzy ściany sali narad były przeźroczyste, ale czwarta, do której plecami stał inżynier prezes, był to czterokątny ekran wyrobiony z niezwykle delikatnego, kruchego, cienkiego i błyszczącego szkła.

I oto, otrzymawszy zgodę zgromadzonych, prezes dotknął się palcem do maleńkiego guziczka umieszczonego w stole. Ekran momentalnie rozjaśniał blaskiem wewnętrznym a jak gdyby odrazu roztajał, a zanim ukazał się takiż sam wysoki mknący w dal przecudny pałac i tak samo jak i tu siedzieli za stołami mocarni, piękni ludzie z radosnym wyrazem na twarzach, w lekkich, połśniewających szatach. I ci i tamci rozdzieleni na 25 000 kilometrów, poznali jedni drugich, uśmiechali się ku sobie i na znak powitania podnosili ku górze puhary.

Ale wskutek ogólnego śmiechu i okrzyków nie słyszeli jeszcze swych głosów.

Wtedy znów powstał prezes i natychmiast umilkli jego przyjaciele i współpracownicy na obu krańcach kuli ziemskiej.

Odezwał się:

— Drodzy moi bracia i siostry! I wy przepiękne kobiety, ku którym teraz zwraca się moje serce! I wy, któreście mnie dawniej kochały, i wy, dla których serce moje jest pełne uwielbienia! Słuchajcie mnie! chwała wiecznie młodemu, cudnemu, niewyczerpanemu życiu! chwała jedynemu bogu na ziemi — człowiekowi! Oddajmyż hołd wszystkim uciechom jego ciała i oddajmyż hołd jego wielkiemu i nieśmiertelnemu rozumowi.

Oto patrzę ja na was — dumni, śmiali, mężni, weseli — i żarem miłości zapala się dusza moja! Nic nie krępuje naszego umysłu, niema granic dla naszych żądz! Nie znamy, ani uległości, ani władzy, ani zawiści, ani gwałtu, ani oszustwa. Każdy nowy dzień otwiera przed nami nowe otchłanie tajemnic życia i coraz radośniej poznajemy bezkres i wszechmoc wiedzy. I nawet śmierć nas nie lęka, albowiem odchodzimy z życia nie wypaczeni ohydą starości, nie z dzikiem przerażeniem w źrenicach i nie z przekleństwem na ustach, a piękni, podobni bogom z uśmiechem na wargach i nie chwytamy się kurczowo resztek życia, a tylko cicho przymykamy powieki, niby znużeni wędrowcy. Praca nasza — jest naszą rozkoszą. A miłość nasza uwolniona z więzów niewoli i podłości — podobna do miłości kwiatów i jak one jest wolna! A jedynym panem naszym — jest gienjusz człowieka!

Przyjaciele moi! Być może, mówię wam rzeczy oddawna wszystkim znane. Ale nie mogę postąpić inaczej. Dziś rano czytałem, nie mogąc się oderwać, niezwykle ciekawą i straszną księgę. Było to — „historja wieku XX“.

Czytając ją, nieraz pytałem siebie, czy nie baśń czytam czasem? Tak nieprawdopodobnem, tak ohydnem i bez-

myślnem wydało mi się życie przodków naszych odległych od nas o 9 wieków!

Brudni, okrutni, zbrodniczy, zarażeni mnogiemi chorobami ciała i duszy podobni byli do gadów obmierzłych, zamkniętych w wielkiej klatce! Jeden kradł u drugiego kęs chleba i kryjąc się z nim przed drugim, zanosił go gdzieś do ciemnego kąta i kładł się nań brzuchem, aby ktoś inny nie widział.

Inni odbierali sobie nawzajem mieszkania, lasy, wodę, pola, ziemię i powietrze. Chmary rozpustników i pasorzytów wespół ze złodziejami, oszustami, gwałcicielami, pchały jeden tłum pijanych, trzęsących się idjotów na drugi. I ziemia, ta tak rozległa i piękna ziemia, za ciasną była dla ludzi i była ciemną i duszną, niby więzienie.

Ale i wtedy wśród tych ujarzmionych bydląt, wśród rabów najtchórzliwszych podnosili głowę ludzie dumni duszą, bohaterzy o sercach płomiennych!

Jak przychodzili na świat w tej podłej porze — nie mogę tego zrozumieć! Ludzie ci stawali na placach, na rozstajach dróg i wołali do tłumów: „Łączcie się", „niech żyje wolność!" „umrzyjcie dla niej!" A wtedy ani jeden dom nie był pewnem schronieniem, wtedy zdrada, mord skrytobójczy, gwałt i bezprawie hojny zbierał plon i nagradzane były szczodrze, a jednak ci ludzie umierali za swe hasła...

I zlewali swą krwią sprawiedliwą bruki ulic miast wielkich. Warjowali w ciemnicach więzień. Konali na szubienicach i pod ogniem strzałów karabinowych, przywiązani do słupa... Wyrzekali się dobrowolnie wszelkich radości życia, prócz jednej radości — śmierci za wolne życie przyszłej ludzkości...

Przyjaciele moi! Czyż nie widzicie tego mostu z trupów ludzkich, który łączy nasze promienne d z i ś z okrutnem strasznem w c z o r a j?

Czyż nie czujecie tej krwawej rzeki, która zaniosła całą ludzkość do wielkiego oceanu szczęścia powszechnego?

Cześć wam wieczna, nieznani nam bliżej milczący męczennicy. Kiedyście umierali, to w jasnowidzących źrenicach waszych świecił się uśmiech... Widzieliście wtedy nas wolnych, silnych, tryumfujących i w wielkim momencie zgonu przesyłaliście nam duchem swe powitanie.

Przyjaciele moi! Niech każdy z nas cicho, bez słów, sam na sam z własnem sercem wychyli puhar hu czci tych wielkich męczenników.

Niech każdy z nas ujrzy przed swemi oczyma ich uśmiech łagodny.

Wszyscy wypili milcząc. Tylko jedna kobieta, niepospolitej piękności siedząca obok mówcy, przytuliła się głową do jego piersi i zapłakała naraz. A na zapytanie, dlaczego płacze, odparła szeptem:

— A jednak... jakżebym chciała być wtedy razem z nimi.., z nimi...

Tłomaczył C r a t a e g u s.

Oświata a klerykalizm.

Napisał dr. Emil Bobrowski, Kraków.

Nowoczesny ruch robotniczy nie jest wyłącznie kwestją głodnego żołądka, dąży nie tylko do skrócenia dnia roboczego i podwyższenia zarobków robotnika, lecz dąży również do wywalczenia dla klasy robotniczej dostępu do kultury. Kultura, to jest nauka i sztuka, uszlachetnia umysł, otwiera oczy na prawdę, kształci poczucie piękna. Lecz w dążeniu do kultury napotyka robotnik na wiele przeszkód.

Długi dzień roboczy, brak środków pieniężnych, brak odpowiednich środków kulturalnych, tj. domów ludowych — oto szereg przeszkód. Największą trudnością w szerzeniu kultury jest ciemnota. Dzięki półwiekowej autonomicznej gospodarce szlachty mamy w kraju miliony analfabetów; na 6242 gmin brak szkół w 955; na 1,670 000 dzieci obowiązanych do chodzenia do szkoły nie pobiera nauki szkolnej 584,914. Stąd ciemny chłop i robotnik-analfabeta.

Ciemnota spowodowana przez szlachtę, podtrzymywaną i wyzyskiwaną jest przez czarne ptactwo, które w ciemności żeruje. Duchowieństwo lubi ludzi „ubogich na duchu", bo ci wierzą w wszystko — płacą ile trzeba. — Księża tłumią u nas dostęp do kultury, zakazują pism i książek, odciągają od zgromadzeń i organizacji, starają się usidlić kobiety.

Kraków, zwany polskim Rzymem, ma mnóstwo kościołów, trzydzieści klasztorów; roją się tu sutanny i habity białe, czarne kawowe! Z okazji Wielkiego Krakowa buduje się znów nowy kościół. — A równocześnie stwierdza się urzędownie, że w Krakowie szkół jest mało, że klasy mieszczą po 50 dzieci; równocześnie brak miejsca dla chorych robotników w szpitalach, gdzie tłoczy się po dwóch chorych na jednem łóżku! Niema sanatorjów ludowych dla chorych na gruźlicę, ale są wspaniale i zdrowo położone „rozkoszne siedliska pobożnych próżniaków" na Bielanach, w Czernej, w Kalwarji!

Nie przeczę, że są zakony, które coś robią, lecz pytam co działają dla społeczeństwa Dominikanie, Franciszkanie, Kapucyni, Bernardyni, Paulini?

W klasztorach rozsiedli się mnisi, którzy tamują pęd ludu do kultury, do Kalwarji dąży w czasie najpilniejszych robót polnych — ciemny chłop i sypie hojnie mnichom swój ciężko zapracowany grosz; za pomocą odpustów i kazań, za pomocą jezuickiej literatury starają się księża nałożyć robotnikowi pęta na ducha, aby był sługą kapitalistów, którzy pracą jego się tuczą.

Nauka musi być wolną, niekrępowaną opieką księdza i policjanta. Historja uczy nas, iż każda nowa zdobycz nauki walczyć musiała z fanatyzmem mnichów, że nieustraszeni badacze padali jako ofiary wściekłości inkwizycji. Objaśnimy to bliżej na szeregu przykładów.

Przed wiekami żyła w Aleksandrji Hypatja, córka matematyka Teona. Dzieje jej męczeństwa opisała przepięknie zmarła niedawno poetka proletarjatu, Marja Konopnicka. — Jako zwolenniczka wysokiej kultury greckiej wykładała Hypatja filozofję; tłumy wykształconych ludzi słuchały z zajęciem wykładów. Nie podobało się to mnichom, gdyż tracili owieczki, więc z poduszczenia biskupa Cyryla napadają Hypatję, zdzierają z niej szaty — wiadomo, że mnich lubi nagie ciała — wloką po ulicach przed próg kościoła, gdzie; Hypatja ginie zamordowana kijem przez Piotra Pustelnika ciało jej następnie porąbano na kawałki; mięso odozierano od kości skorupami ostryg, a pozostałe szczątki spalono.— Taki ohydny mord popełnili mnisi, słudzy Chrystusa, który umarł na krzyżu dla zbawienia cierpiących!

Weźmy teraz inny obrazek z wieku XV. — kościół nauczał, że ziemia jest płaską jak talerz, że nad ziemią jest niebo, siedziba Boga, aniołów i świętych, ozdobiona księżycem i gwiazdami, a pod ziemią znajduje się piekło, rezydencja Lucypera i djabłów.

A oto przychodzi Krzysztof Kolumb, który na podstawie swych badań przyszedł do przekonania, że ziemia jest okrągłą kulą, i oświadczył, iż chce tę ziemię na okręcie objechać dokoła. — Oczywiście Kolumba ogłoszono za heretyka, a Kościół na zjeździe w Salamance obłożył go klątwą na drogę. Lecz Kolumb nie dbał o klątwę, siadł na okręt i odkrył Amerykę. — Dziś dziecko małe wie, że ziemia jest okrągłą i Kolumba sławimy jako wielkiego odkrywcę, a na zjazd w Salamance patrzymy jak na zbiorowisko głupców.

W wieku XVI mamy cały szereg uczonych, którzy swymi badaniami dokonali przewrotu w astronomji. Kościół uczył, że ziemia jest środkiem świata, a słońce i gwiazdy kręcą się dokoła ziemi, gdyż zostały stworzone na to, aby nam świeciły; biblia opowiada, że słońce stanęło, gdy Jozue mordował wrogów. Tymczasem ks. Kopernik, ten wielki Polak, który „wstrzymał słońce, ruszył ziemię", badając horyzont zapomocą lunety przyszedł do przekonania, iż słońce stoi w miejscu, a ziemia obraca się dokoła niego. Wiedząc — jako ksiądz — dobrze, iż to odkrycie uznane zostanie za herezję, ogłasza wyniki swych badań dopiero na łożu śmierci męczeńskiej. Dzieło jego zostało przez kościół potępione i umieszczone na indeksie książek zakazanych!

Galileusz, uczony astronom, został przez inkwizycję wtrącony do więzienia za głoszenie teorji Kopernika; torturami zmuszono go do odwołania tych „kacerskich nauk"; jednak duch uczonego — buntował się i Galileusz woła „et pur si muove", co znaczy „a przecież się porusza"! I słowa te stały się hasłem dla naszych idei walczących z przeszkodami; i my widząc, iż nasza idea burzy przesądy i łamie przeszkody w swym pochodzie do prawdy i sprawiedliwości — wołamy „et pur si muovo!

Galileusz oskarżony przez inkwizycję o „oszukaństwo, kacerstwo, bluźnierstwo i bezbożność" poszedł na wygnanie i pochowany został w niepoświęcanej ziemi!

Ks. Giordano Bruno, Dominikanin, stawiony został przed sąd inkwizycji za wyznawanie nauki Kopernika, a gdy nie chciał odwołać swych poglądów, skazany na śmierć zginął na stosie.

Tak złożył na ołtarzu wiedzy swe życie prawdziwy uczony — bohater, a nauka ta dziś trjumfuje i dzieci szkolne uczą się teorji Kopernika, a żaden ksiądz nie może tego zabronić, jak nie może nam przeszkodzić w pochodzie do prawdy i szczęścia.

„Prawo Ludu".

Rozwój i stan obecny lotnictwa.

(Dokończenie.)

Jedną z takich nagród była nagroda w sumie 250,000 franków wyznaczona przez angielską gazetę „Dayly Mail" dla lotnika, który przeleci na aeroplanie z Londynu do Manchesteru, zatrzymując się w drodze najwyżej dwa razy. Do konkursu stanęli dwa znani lotnicy Pohlan i Graham White (Uajt). Całą tą przestrzeń, wynoszącą 293 kilometrów, przebył Pohlan w 4 godz. 12 minut, lądując raz jeden na połowie drogi, by odpocząć i zabrać nowy zapas benzyny. Drugiego lotnika White'a spotkało niepowodzenie, gdyż w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Manchesteru musiał zaniechać dalszej podróży z powodu zepsucia maszyny.

Kanał La Manche, oddzielający Anglję od Francji, wciąż pociągał ku sobie lotników. Próbował go w roku 1909 parokrotnie przebyć Latham na swym aeroplanie Antoinette, lecz za każdym razem spotykało go niepowodzenie i wpadał do morza, skąd musiano go ratować. Przebył go wreszcie Blériot. W maju przebywa go raz jeszcze lotnik Lesseps na tymże aparacie Blériot'a. Wreszcie anglik Rolls pobija te rekordy, przelatując na biplanie Wrihgt'a z angielskiego miasteczka Dover'u do Calais (Kale) we Francji, okrążywszy je, nie lądując, wraca nazad, zużywszy na tę podróż 2 godz. 28 minut.

Wielkim przeglądem aparatów lotniczych był w tym roku jak i w zeszłym tydzień lotniczy w Reims. Trwał on od 3 do 10 lipca. Do konkursu stanęły najlepsze maszyny i najlepsi lotnicy, by wykazać rezultaty całorocznej pracy nad ulepszeniem aeroplanów. Ogółem w turnieju przyjmowało udział 76 aparatów: 6 systemów monoplanów: Antoinette, Blériot, Henriot, Nieuport, Tellier, Pishoff i 8 systemów biplanów: Béguet, Goupy, H. Farman, Sanchec-Beza, Savary, Sommer, Voisin, Wright. Turniej ten był tryumfem dla monoplanów Blériot'a. Ten ostatni, pracując nieustannie nad ulepszeniem swego aparatu, powprowadzał w nim zmiany które zapewniły mu znaczną przewagę. Młody i nieznany lotnik Olieslaegers (Olisleżer) na aparacie Blériot'a nr. 11 bis w przeciągu tygodnia przeleciał ogółem 1693 kilometry, zdobywając nagrodę za największą przebytą przestrzeń. Tenże lotnik zdobył pierwszą nagrodę za najdłuższe przebywanie w powietrzu bez lądowania. Pobił on zeszłoroczny rekord Farmana, latając bez przerwy 5 godz. 3 min. Wreszcie lotnik Morane na aparacie Blériot'a, zaopatrzonym w 100-konny silnik Gnome, zdobył nagrodę za szybkość — 106,5 kilometrów na godzinę.

Następnym tryumfem lotnictwa był lot okrężny, zorganizowany przez redakcję gazety „Matin". 100,000 franków miał otrzymać lotnik, który w czasie od 7:17 sierpnia odbędzie podróż powietrzną, wyruszając z Paryża po kolei do 5 miast i z powrotem do Paryża. Ogółem należało przebyć 785 kilometrów. Do konkursu tego stanęło 6 lotników, lecz tylko dwom udało się zadośćuczynić warunkom konkursu: Leblanc'owi i Aubrun'owi na aparatach Blériot'a nr. 11. Nagrodę uzyskał Leblanc, który przestrzeń tę przebył w najkrótszym czasie, a mianowicie w ciągu 12 godzin 56 minut.

Największym wreszcie tryumfem lotnictwa był przelot przez Alpy. Wedle warunków tego konkursu należało, wyleciawszy z miasteczka szwajcarskiego Brigue, położonego na wysokości 900 metrów nad poziomem morza, przelecieć nad Simplonem położonym na wysokości 2008 metrów, i następnie opuściwszy się we Włoszech, dolecieć do Medjolanu. Przestrzeń, którą należało przebyć, wynosi wszystkiego 150 kilometrów; cała trudność podróży polegała na tem, iż w górach panują zazwyczaj silne i zmienne prądy powietrzne nader niebezpieczne dla lotu. 19 września wyruszył w tę podróż młody lotnik Chavez, lecz spotkawszy na znacznej wysokości silny wiatr, musiał powrócić nazad. W cztery dni potem Chavez wyruszył po raz drugi i przeleciawszy tym razem szczęśliwie przez Simplon, począł się opuszczać na włoskiej ziemi, gdy raptem na wysokości 20 metrów nad ziemią wskutek niewyjaśnionej przyczyny spadł wraz z aparatem i poniósł tak ciężkie obrażenia, że w parę dni później umarł. Ten niezwykły śmiały lot podziałać musiał ogromnie na Chaveza. Będąc nieprzytomnym, majaczył on o wichrach, skałach i lodowcach alpejskich. Przeczuwał on jakby śmierć swoją, mówiąc przed wzlotem, iż lotnika, który odważy się przebyć dzikie wierzchołki górskie, czeka niechybna śmierć.

Lot ten to ostatni i zapewne największy tryumf lotnictwa w roku 1910. Myśl ludzka, niezwykły rozwój nauki i techniki przezwyciężyły przestrzeń. Miejmy nadzieję, iż wynalazek ten nie stanie się narzędziem śmierci, lecz służyć będzie do pokojowego rozwoju ludzkości.

Na zakończenie podajemy tabliczkę, wykazującą najlepsze rezultaty osiągnięte dotychczas na aeroplanach.

Nazwa rekordu	Lotnik	System aparatu	Rezultaty	Data
Wysokość	Winjmalen	H. Farman	2775 metr.	1 paź. 1910
Czas	Olieslegers	Bleriot n 11-bis	2 g. 51 min.	10 lipca „
Przestrzeń	Olieslegers	Bleriot n 11-bis	392 klm.	10 lipca „
Szybkość	Latham	Antoinet	112 k. na g.	1 paź. „
Lot z 1 pasaż.	N. Kinet	H. Farman	5 g. 3 min.	15 maja „
Lot z 5 pasaż.	Bréguet	Breguet	—	29 sier. „

„Nowe Życie". Inż. Zbigniew Fabierkiewicz.

Rozmaitości

Zbrodniczy zamach. Na tle konkurencji właścicieli sklepików w Biskupicach pod Olsztynem, dokonana została niezwykła zbrodnia.

Oto szczegóły tej zbrodni, zebrane na miejscu przez współpracownika „Gon. Częstochow.".

W Biskupicach pod Olsztynem są na wsi dwa sklepiki spożywczodystrybucyjne, jeden Szyji, a drugi Cholika, który po zniszczeniu przez pożar swego domu, otworzył sobie w tym roku sklepik. Nie na rękę była, rozumie się ta konkurencja Szyji, osiadłemu już tam od dziesiątka lat, postanowił więc zgładzić swego współzawodnika. Przywołał więc do siebie z sąsiedniej kolonji Ignacego Ckacza gospodarza z Zaborza i umówił się z nim co do usunięcia ze wsi Cholika za pomocą morderstwa, za co miał Ckacz otrzymać 100 rubli.

Wieczorem zgłosił się do Cholika Ckacz i zaproponował mu, żeby się do niego udał jego furmanką celem oprawienia zabitego wieprza. W pierwszej chwilli Cholik wzbraniał się, po namowie żony jednak zabrał z sobą maszynkę do robienia kiełbas i noże, wsiadł na furmankę powożoną przez parobka Ckacza, Kreta i ruszyli w drogę.

Po drodze zatrzymali się w kolonji biskupickiej, t. zw. Hubce i wstąpili do gospodarza tejże wsi Wojciecha Wiśniewkiego. Zastali tutaj kilka osób, raczących się obficie wódką. Gościnny gospodarz poczęstował przybyłych kieliszkiem wódki, a po wypiciu wszyscy siedli na wóz. Na pierwszem siedzeniu usadowili się Ckacz i Cholik, w tyle Wiśniewski z nieznanym człowiekiem. W drodze zawiadomił Ckacz Cholika, że go mają zabić. Ten wyraził zdumienie i niepokój.

Dojeżdżając do lasu, nieznany człowiek niepostrzeżenie zeskoczył z wozu i stanął naprzeciw koni, zatrzymując je przed dalszą drogą do Zaborza. Wiśniewski i Ckacz, celem upozorowania, że napad był niespodziewany, uciekli do lasu, a nieznajomy zwrócił się do oniemiałego z przerażenia Cholika i mówiąc mu: „teraz koniec twego życia", wystrzelił do niego trzy razy z rewolweru. Kule padły: jedna oślizgnęła się po czole — druga uwięzła w szyi, trzecia zaś w dłoni. Cholik oblany krwią przechylił się w tył siedzenia, woźnica ze strachu spadł z wozu na ziemię, konie zaś ruszyły pędem.

Po chwili podbiegł do wozu Ckacz i zatrzymując konie trącił broczącego w krwi Cholika. Cholik przebudził się i błagał, by mu darowano życie i by go ratowano. Wszyscy rozbiegli się, ranny Cholik nawrócił konie i popędził do swej wsi. Poczem zeszedł z wozu i przyczołgał się do domu. Z domu wysłał swego syna po sołtysa z Biskupic, Krawczyka. Sołtys przyszedł i zbadawszy rannego, udał się furmanką do Olsztyna po strażników, z którymi udał się wprost do Wiśniewskiego w Hubrzach.

Kiedy weszli do mieszkania na zapytanie, gdzie jest Wiśniewski, wskazano mu łóżko, w którem leżał niby śpiący Wiśniewski. Po zaaresztowaniu Wiśniewskiego, udali się do Zaborza po Ckacza. Ckacz tymczasem, po przybyciu do domu, zaalarmował wieś, że jego i Cholika napadli bandyci. Na skutek tego alarmu sołtys pojechał po strażników, aby udali się w pościg za bandytami. Po zaaresztowaniu Ckacza skierowano się do Biskupic po Szyję, który właśnie modlił się. Wszystkich odwieziono do Olsztyna. Tylko nieznajomego nie odnaleziono, a którego zapewne muszą znać wspólnicy zamierzonego morderstwa. Chory Cholik został przewieziony do szpitala w Częstochowie, a całą spawę skierowano do sędziego śledczego.

* * *

Murzyn, nazwiskiem Wiliam Lewis, został przez prezydenta Tafta mianowany asystentem gieneralnego sekretarza państwa. Jestto pierwszy wypadek w Stanach Zjednoczonych, żeby murzyn piastował urząd tak wysoki.

* * *

Zjadł kolację, mając kulę w głowie. O niezwykłym zajściu donoszą z Paryża. W tych dniach zjadł jakiś mężczyzna w podrzędnej restauracji kolację i gdy nadeszła chwila, w której miał za nią zapłacić, oświadczył najspokojniej, że nie posiada ani grosza; na żądanie oświadczył, że nazywa się Blériot, poczem pozwolił się aresztować bez oporu. Na odwachu policyjnym zauważono, że na czole miał małą krwawiącą się ranę, pochodzącą jakoby od wystrzału. Na pytanie, gdzie się tak okaleczył, odpowiedział, że upadł i nie chciał iść na żaden sposób do lazaretu, gdzie go jednak przemocą zaniesiono. Po zbadaniu stanu aresztanta okazało się że czaszka była przebita kulą, tkwiącą jeszcze w głowie. Blériot opowiedział wtenczas zdumionym lekarzom, że chciał odebrać sobie życie, ale gdy po wystrzale z rewolweru nie uczuł żadnego bólu, ani też osłabienia, tylko silny głód, poszedł do restauracji i zjadł tam z jak najlepszym apetytem kolację. Przypuszczał, że się tylko zadrasnął w czoło. Jednakowoż w pół godziny po oględzinach lekarskich dostał febry i zmarł w ciągu nocy. Z kulą w głowie żył jeszcze całe 4 godziny.

* * *

Skarby w ciele ludzkiem. Pewien uczony, badając pod względem chemicznym ciało ludzkie, poczynił nadzwyczaj sensacyjne odkrycia. Okazało się, że każdy człowiek — zarówno więc bogacz, jak i biedak — ma w tkankach swego ciała przeciętnie 1700 gramów „calcium", które jest jednym z najdroższych, pierwiastków chemicznych i ocenia się na 40 tysięcy marek za kilogram. Każdy z nas zawiera więc w sobie okrągłą sumę 68 tysięcy marek. Żaden jednak uczony nie wynalazł sposobu na wydobycie z nas tego kapitału — środkami prostemi niezbyt kosztownemi. W każdym razie można przypuszczać, że bez zachwiania sił żywotnych organizmu, nigdy nie będzie można spieniężyć choć małej cząstki tego kapitału. Stare więc środki pozostają ludzkości w dziedzinie zdobywania bogactw — i najstarszy, praca, nie straci pewno nigdy na swej niezawodnej skuteczności.

* * *

Ile lat człowiek prześpi. Jeśliby komuś powiedzieć że przespał lat 20, toby ruszył ramionami jak przed warjatem. A jednak... Pewien anglik obliczył (bo czego oni nie obliczają), że człowiek, licząc około 60 lat życia, przesypia lat 20. Liczy on dzień w ten sposób: 8 godzin snu, 7 godz. roboty, $1^1/_2$ godziny na jedzenie, 3 godziny rozrywki, $2^1/_2$ ruchu, 1 godzinę na toaletę i 1 na próżnowanie. Dalej 3 całe lata przeznacza człowiek normalny na jedzenie, 9 miesięcy na czekanie na usługę; do roboty właściwej pozostaje $17^1/_2$ roku, $7^1/_2$ roku na zabawę, $6^1/_2$ na przechadzki. Dwa lata i 6 miesięcy przepróżnował w swojem życiu, z czego 2 miesiące na czyszczenie nosa. Robienie toalety kosztowało anglika $2^1/_2$ roku. Dla modnisi byłoby to zupełnie niewystarczającem. Znany statystyk obliczył, że mężczyzna w ciągu roku oddaje przeciętnie do 1200 uścisków dłoni, jeśli się przy tej czynności zużytą energię obliczy, to otrzyma się jej w latach 60 tyle, ile potrzeba do podniesienia 2500 ton ciężaru. Ponieważ dalej człowiek w jednym roku wypowiada 11.800.000 słów, w tym samym czasie otwiera i zamyka oczy swe 95 000.000 razy, przeto siła wytworzona przez to przez lat 60 podniosłaby do wysokości 10 stóp wóz tramwajowy napełniony publicznością.

* * *

Rozwód wśród dzikich. Instytucja rozwodu jest znana nietylko wśród ludów cywilizowanych, znają ją i ludy dzikie. „Revue indigene" pisze, że małżonkowie z plemienia Buduma, zamieszkujący Afrykę środkową, rozwodzą się nie rzadziej, niż stadła paryskie. Pismo przytacza również i „kodeks rozwodowy" tego plemienia. Jeżeli rozwodu żąda mąż, to musi zrzec się posagu, który dał żonie (małżonkowie tego plemienia nie biorą posagu, lecz dają go swym żonom, chociaż to nie zasmuca zwykle rozwodzących się, gdyż po większej części zdążyli zawsze przed rozwodem przehulać posag żony. Gdy rozwodu żąda żona, to w razie żądania bez „powodów prawnych", musi zwrócić mężowi podwójną wartość otrzymanego posagu. Jeżeli sama nie posiada tyle bogactwa, to nie może dopóty wyjść powtórnie za mąż, dopóki jej przyszły małżonek nie wypłaci całej należytości pierwszemu. Jeżeli żądanie rozwodu było umotywowane „przyczynami słusznymi", to wtedy żona nic nie płaci.

Słuszne powody rozwodu są następujące: gdy mąż bije żonę, nie ubiera jej i nie dba o jej potrzeby; niezgodność w pożyciu; zdrada jednej ze stron, jeżeli żona nie chce wykonywać robót domowych, gotować obiadu, dbać o wygodę męża i t. p Zwyczaj wymaga, żeby przed rozwodem krewni obu stron namawiali powaśnionych małżonków do zgody, gdy te namowy nie odniosą skutku, wtedy rozwód następuje bez specjalnych ceremonji. W razie rozwodu dzieci bez względu na płeć pozostają przy ojcu.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 51. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 grudnia 1910.

BOLESŁAW CZERWIŃSKI.

W SZYNKOWNI.

„Szynkarzu! hej wódki. Uf jaki czas brzydki,
„Na zimnie i deszczu pracując dzień cały,
„Przeziąbłem do kości, przemokłem do nitki.
„Daj wódki, bo szynkwas rozbiję w kawały!...

„Wyborna, jak grzeje, w twe ręce Jakubie,
„Siadajmy — człek zaraz rzeźwiejszy się staje,
„Dziś płacę gotówką — daj wódki — tak lubię —
„No! pijcie Jakubie, ja dzisiaj funduję!“

„Za wiele. — Ot macie wzór cnoty chodzącej,
„Gdy człek się dzień cały narobi jak zwierzę,
„Na zimnie i deszczu, bez strawy gorącej,
„To musi się napić, bo skąd sił nabierze?“

„A zresztą, jak piję, to człek zapomina
„O pracy i nędzy i biedzie, co gniecie.
„Ta wódka to moja pociecha jedyna,
„Jedyna, co jeszcze trzyma mię na świecie...

„I cóż my tu w życiu tem mamy dobrego:
„Zużyte łachmany, kęs chleba czarnego,
„Wciąż trudy, a za to w nagrodzie wspaniałej
„I trochę barłogu. — Ot! żywot nasz cały“.

„I jakże tu nie pić? Gdy w sercu tu boli,
„Gdy bieda cię gniecie, gdy nędza cię bije?
„Bogacze też piją... lecz piją z swawoli.
„Ja piję bo nie chcę pamiętać, że żyję“.

Więc piją... Łojówka ponuro migoce,
Raz gaśnie, to znowu jaskrawiej zaświta.
Wiatr mroźny o szyby szynkowni łomoce,
To płacze, to warczy, to kwili, to zgrzyta.

Więc piją... Krwią wrzącą nabiegły im skronie,
Wzrok dyszy i błędny, na pół oszalały,
Piotr zerwał się z ławy, zacisnął w pięść dłonie
I spuścił je na stół, aż szyby zadrżały.

„Przekleństwo! zacharczał, piekielne katusze,
„Jeżeli gdzie jesteś, na niego spuść Boże!
„Mój stary, dziś wszystko powiedzieć ci muszę,
„O, serce mi pęka! To ulży mi może!...

„Za młodu przywykłem do pracy uczciwej,
„Spokojnem wśród trudów żył życiem jednakiem,
„Z dnia na dzień — i byłem tem życiem szczęśliwy,
I byłem szczęśliwy — nie byłem pijakiem!...

Myślałem, że człowiek na biedę stworzony,
Potrzeba ją znosić pokornie, a śmiało
Robiłem za dwoje — dla siebie i żony,
I jakoś się nie źle obojga nam działo.

Nredługo nam Pan Bóg dał dziecię... Wraz z [żoną
Jak my się tem dzieckiem cieszyli oboje!
Och! śliczne to było — z ochotą zdwojoną
Zacząłem pracować... Robiłem za troje!...

Mularka... to ciężka robota... Oj! trzeba
Napocić się dobrze, a płacą jak wiecie —
Lecz jakoś szło dobrze — nie brakło nam chleba,
Grosz grosza nie gonił — lecz żyło się przecie!

Raz nawet dość grosza przyniosłem dla żony,
Przy murze pracując przez tydzień noc całą.
Kupiła obrazów trzy i kufer zielony,
I jeszcze się nawet coś trochę zostało...

Z latami przybyło dziecięcej chudoby,
Najstarsza dziewczyna wyrosła jak róża.
W tem nagle zasłabłem, gdym wyszedł z choroby,
Nie było mularki, poszedłem za stróża.

Choć z młodu włożony do pracy mroźnej,
Nie chciałem się chętnie na sługę sposobić.
Człek biedę i nędzę lżej znosi gdy wolny,
Lecz żyć trzeba przecie — a cóż było robić?...

Poszedłem więc w służbę... Człek wprawny od [młodu
Do żadnej się pracy poczciwej nie leni.
Przywykłem do mego nowego zawodu
I często grosz zaczął już brząkać w kieszeni.

Dzieciaki się zdrowo chowały... Zosienka
Niedawno szesnaście skończyła już latek,
A była prześliczna, by jaka panienka,
A jaki to rozum był u niej i statek.

Najbardziej ze wszystkich ją z dzieci kochałem,
W niej wszystko widziałem, cel pracy i życia,
Za krwawą mą pracę do szkoły oddałem,
A ze szkół gdy wyszła — posłałem do szycia.

Jak ja się cieszyłem, gdy rano w niedzielę
Zosienka się moja w kapelusz ubrała,
I nową sukienkę, a potem w kościele
Na pamięć z maleńkiej książeczki czytała.

A w domu toż radość, gdy wróci z roboty,
Choć kładź się od śmiechu od różnych igraszek,
Wciąż żarty i śmiechy, kunsztyki i psoty,
A wciąż się chichoce i śpiewa jak ptaszek!

(Dokończenie nastąpi.)

S. ASZ.

NA BRZEGU WISŁY.

Noc ciemna. Samotny błądzę w mroku. Domy, które za dnia stały szeregiem, teraz zda się bawią się w ciuciubabkę. Rozbiegły się daleko, daleko, oderwały się jedne od drugich, rzec można od świata całego, nie tworzą już więcej miasta, lecz toną, giną w nieskończoności.

Gdy ujrzysz ciemną plamę, niby grzyb na ziemi wyrosłą — będzie to strzecha słomiana. Tak tajemnicze jest wszystko... I zastanawiasz się wtedy, czy w istocie ludzie wybudowali te domy? Czy nie wyrosły one same z ziemi, jak wyrasta trawa na łące lub drzewo w lesie?...

Teraz dopiero czujesz się wolnym, człowieku, na tej nadrzecznej płaszczyznie.

Wszystko wokoło śpi i miewa tęczowe sny. Wszyscy złożyli głowy na łonie pramacierzy przyrody. Wszyscy zdają się być szczęśliwymi i zadowolonymi z losu, nikt nie narzeka na dolę i innej doli nie pragnie. Czarne kominy zarysowują się na tle nieba, jakgdyby słały modły za śpiących ludzi:

O, Stwórco, miej ich w swojej opiece!

Oto zbliżam się ku górze zielonej.

Z owiewającego ją mroku wyłania się szereg domów. Dowy te dziwią się, gapią na mnie jakby chciały powiedzieć:

— Patrzcie no, skąd się tu wziął ten włóczęga?

A przyszedłszy do przekonania, że niema potrzeby się dziwić, znowu okryły się płaszczem mgły nieprzejrzanej.

A oto góra. Wdzieram się na nią.

Jest to moja stara znajoma. Podobnie jak dobroduszny dziadunio, który pozwala wnuczętom targać się za srebrzystą brodę i usadawiać na swych ramionach ze słowami:

— Właźcie, właźcie, dzieciaki, jeśli tak wam na tem zależy! — tak i ta góra przemawia do nas, do swych wnuków:

— Bawcie się, bawcie mym piaskiem. Wszakże wszyscy jesteście mi jednako drodzy i jednako bliscy!

Wdzieram się na górę, na sam szczyt góry. Ze szczytu patrzę w dół. Tam w dole domy jakby znowu zbiegły się, zbiły w kupę i patrzy na mnie czyste, błękitne niebo i gwiazdy nieprzeliczone, drżące i cudne.

Lekka mgła owiała całe miasto, dumnie wystrzelająca w górę ku niebu mała dzwonnica kościoła oraz szczytem synagogi, który wrzyna się w obłok. Tak dalekie są za dnia od siebie te gmachy, tak dalecy ludzie! A oto noc zbliżyła wszystko do siebie, spokrewniła! I dzwonnica i kopuła synagogi jak gdyby zapomniały o swej odwiecznej nienawiści i zaczęły żyć w zgodzie w miłości, wszakże jedno niebo rozpostarte nad niemi.

O jednem zamyśliły się obie, o tem, że jeden Bóg strzeże je razem i jeden ma pieczę nad niemi.

Wszedłem jeszcze wyżej na górę.

I dzwonnica i synagoga śledzą za mną bez przerwy, szepcąc między sodą coś dla mnie niezrozumiałego, niejasnego. Jednak domyślam się, że żałuję mnie razem:

— Patrzcie-no, on nas opuszcza, on już odchodzi... A my zostaniemy.

To znów zdaje mi się, że mi zazdroszczą:

— Spójrzcie! Oto szczęśliwiec, który może z sobą robić, co zechce! Ma on ręce i nogi. A my musimy wiecznie być na tem samem miejscu!

Przeszedłem szczyt i oto teraz spuszczam się z przeciwnej strony góry. Tu widzę dwa nieba! W Górze Stwórca rozpostarł niebieski, pełen deseni kobierzec, mający mu służyć za podnóże. A w rzece, którą widzę — drugie niebo, niebo nasze, ziemskie.

To górne niebo stworzył Bóg dla siebie i dla swych aniołów. Dumnie spogląda ono z góry, jakby pojmując, jak nieskończenie wyższem jest od ziemi i od jej mieszkańców. Ile boskości ma w sobie, jak cudne są miljony jego gwiazd. Jak cudnym jest księżyc, skąpany w morzu jego ognia.

Zupełnie innem jest to drugie niebo — niebo Wisły. Jest ona niebem tylko dla nas, dla malutkich, nic nieznaczących ludzi. Jej seledynowe niebo zrosło się z nami i z naszą duszą.

Niema na niem lśnienia świateł, ogni; ale jego cichy, beztroski wyraz — jest wszystkim nam drogi. Niema obawy, że ta toń mogłaby cię pochłonąć, nie! ty bez obawy powierzasz jej swą duszę. Ta rzeka ma to do siebie, że namiętne pragnienie oddania jej całej swej duszy opanowywa cię, niby chłopca spłakanego i stęsknionego po matce.

Chce ci się i płakać i szlochać na jej widok, i zmieszać swe łzy ze wzburzonemi falami w jedną potężną symfonję.

Mknie rzeka, fale pędzą jedna za drugą, woda wciąż nadpływa.

I wydaje ci się, że ten napływ śpiewa pieśń twojej duszy, ujawnia nieskromnie twe sanktuarjum. Ale nie! Rzeka ta śpiewa swą własną pieśń, opowiada wszystkim swe własne baśnie, tajemnice, rozwiera sanktuarjum swej duszy.

Słuchaj, słuchaj tej cudnej symfonji i będzie ci lekko na duszy i zechcesz wypłakać się i przypaść do niej, jak do piersi kochającej i kochanej dziewczyny.

Oto Stwórca zstąpił z niebios. Opuścił swój tron i rozlał swą łaskę na całe przestworze, tajemne i pełne przedświtowych obłoczków. W całej swej wspaniałości ukazał się Stwórca na ziemi, aby uważnie przysłuchać się harmonijnej pieśni świata. Fale nucą pieśń, kołysząc się, goniąc jedna drugą, zlewają się i całują brzegi wiślane, tak czarująco malownicze, brzeg Wisły, która bierze początek w jednym końcu świata a kończy się w drugim.

Mgła podniosła się z ponad zielonych łąk i pokryła rzekę niby weselnym baldachimem, utkanym z boskich pocałunków. I zdaje się, jakoby w świecie zastygły wszystkie gorące łzy, łzy świata, łzy wyrwane ze zmęczonych serc skąpanych w morzy miłości i nadziei.

Wszystko, pokrył ten prawdziwy baldachim.

Wszystko, co stworzył Bóg, pogrąża się, omywa i tonie w tem morzu bezgranicznej miłości i radości przed wchodem słońca.

Siedzę nad Wisłą i patrzę.

Słyszę śpiew nocy. Jakiem smętnem echem rodzi się ona i zamiera.

Pieśń ta harmonizuje z szumem wiślanych fal.

Prąd bystry unosi te szeleszczące oddźwieki w dal... Słychać zdala jakby szczebiot niewiedzialnej ptaszyny, która powierza nam swą duszę, swą tęsknotę i swoje marzenia... I oto ustaje pieśń i znów wszystko ogarnia niema cisza.

Siedzę na brzegu rzeki i wpatruję się w zwierciadło wód, w przedziwne, czarujące niebo, — gwiazdy.

Kryję swą twarz w przewonnej, soczystej trawce, a dusza moja myślami tonie w modlitwie.

— O, Panie! Czemużeś Ty wybrał niebo swą rezydencją? Dlaczego ukrywasz się przed nami w tajemniczej, niedosiężnej wysokości? Zejdź ku nam, na ziemię! Czyliż ci będzie niemiło, jeżeli wszyscy ludzie staną się aniołami? Czemuś obdarzył mnie, wbrew mojej woli, rękami, mogami, abym mógł stąd odejść; uszami, abym mógł wszystko słyszeć i oburzać się na nikczemność; oczami, abym widział? Nawet czułego i wrażliwego serca, w którem wszystko znajduje oddźwięk — nawet serca nie pozbawiłeś mnie! A ja pragnąłbym zrość się, zlać się z tą cichą przyrodą, utworzyć z nią całość z tym bosko czerwonym pejzażem! Chciałbym być małą trawką, wyrosłą w tym cudownym ogrodzie, albo

tą szczebiocącą ptaszynką! Boże, otwórz swe serce, rozszerz jego granice, a zmniejsz ten świat, abym go mógł przytulić, ogarnąć i ucałować na wieki!

Leżę z otwartemi oczyma, kryjąc twarz swą w wonnej trawie, zroszonej rosą.

I widzą cud moje oczy! Widzą, jak fale wiślane, niewinnie, w sekrecie, obejmują, całują jedna drugą. Tajemnicze szmery nie ustają — spiew nocy trwa jeszcze. Aż oto w gałęzi jednej sosny rozlega się tęskny głos ptaszyny, spragnionej miłości...

I coraz bardziej i bardziej rosnie harmonja nocy. A jej pieść czuła owładnęła mą duszą.

Stwórca wysłuchał mych modłów. Opuścił swój tron, zstąpił z niebios, złączył się z nieskończonością przestworza i bezkresem je otaczającem.

Wszystko pokrył tuman. Rosa padła na trawy. A ja wciąż leżę na brzegu twarzą ku ziemi.

Stwórca wysłuchał mych modłów.

Oto nic już nie czuję, nie pojmuję, nie widzę.

Wyrastam z ziemi, staję się tytanem i stapiam się.

Sądy rozjemcze w Australji.

W „La Vie Soc." pisze Tom Mann o „Sądach rozjemczych w Australji", omawiając zwłaszcza wpływ ich na ruch zawodowy. Po wielkim, przegranym przez robotników strejku w r. 1890 uchwalano z początku na Nowej Zelandji prawo, w którego myśl robotnicy i pracodawcy muszą w razie zatargu zwracać się do sądu rozjemczego, utworzonego w połowie z robotników, w połowie zaś z pracodawców; przeciwko orzeczeniu sądu może być zakładana apelacja do sądu rozjemczego państwowego.

Były to czasy, gdy kapitalizm dopiero tam rozkwitał; jednakże „system wyciskania potu" był już zakorzeniony, zmuszając robotników do walki; równocześnie budziła w Australji oddźwięk i agitacja dokowców w Londynie. To też w pierwszych latach orzeczenia sądów rozjemczych wypadały na korzyść robotników. W czasie tym inne kolonje australijskie wstępowały po kolei na drogę przymusu rozjemczego.

Tom Mann był wówczas stronnikiem tego prawa i oświadczył się za ustanowieniem najwyższego sądu rozjemczego dla całej Australji. Ale nastrój ten, który ogarniał szerokie koła robotnicze, zakończył się prędko. Gdy robotnicy drzewni zastrejkowali i w całej Australji zaczęto zbierać składki na ich rodziny, sąd zakazał wypłacania wsparć, gdyż to miało pobudzać do strejku, zakazanego przez prawo o rozjemstwie. Konjunktura była wówczas niepomyślna; sądy rozjemcze wielokrotni odrzucały skargi robotników na niedostateczną płacę i same niejako zmuszały ich do strajku. Za bezrobocie jednak nakładano na związki zawodowe kary pieniężne; niejednokrotnie nie było ich z czego uiścić, a wówczas usiłowano je ściągać z poszczególnych strejkujących, należących do organizacji. Dochodziło do sprzedaży sądowych. Gdy jednak do przetargu gratów robotniczych nikt nie stawał, rząd uznał tę drogę za chybioną i „rozszerzył" prawo o strejkach w ten sposób, ze pozwolił przedsiębiorcom zatrzymywać część płacy na wypadek strejku. Z tych odliczeń. miały być płacone kary za zawieszenie pracy.

Oczywiście wynikiem tego była rosnąca nienawiść robotników do prawa o sądach rozjemczych.

Prawa, wydane w Nowej Południowej Walji, idą jeszcze dalej i wprost zakazują wszelkich strejków. Czem są te prawa dla robotników pokazał rok 1908. Właściciele kopalń w Brocken Hill zagrozili wówczas robotnikom lokautem na wypadek, gdyby się ci nie zgodzili na obniżenie płacy. Robotnicy zwrócili się do sądu rozjemczego; po 10 tygodniach, podczas których lokaut trwał nieprzerwanie, zapadło orzeczenie sądu, które kapitaliści zaskarżyli natychmiast do wyższej instancji; po nowych 10 tygodniach pierwszy wyrok został obalony na korzyść przedsiębiorców.

Nie ulega wątpliwości, że, gdyby robotnicy uciekli się byli do siły swych związków, zdobyliby w krótszym czasie więcej, aniżeli w ciągu 20 tygodni przy pomocy prawa o rozjemstwie.

Ośm lat praktyki sądów przekonały Toma Manna, że prawo, o którem mowa, osłabiło tylko potęgę związków. Te nie mogą nigdy przeprowadzić jakiejś wielkiej walki, lecz muszą ciągle zajmować się drobnemi procesami i postępowaniem sądowem. Naogół stan robotników w Australji jest zły, ilość pozbawionych pracy — poważna. Co nie przeszkadza, że kapitaliści, chcąc zapewnić sobie jeszcze większą podaż „rąk" dla obniżenia płacy, werbują przez swych agientów w Anglji wciąż nowych wychodźców. Wolność w Australji jest również mniejsza, niż np. w Anglji; w Nowej Południowej Walji zebrania publiczne w niedzielę są karane.

„Nowe Życie".

Rozmaitości

Ostrożnie z papugami. Od niejakiego czasu namnożyły się spostrzeżenia, że osoby mające styczność z papugami dostawały nieraz ciężkiego zapalenia płuc, często z zakończeniem śmiertelnem. Ale nie domyślano się przyczynowego związku papug z wymienioną chorobą. Wiele już bardzo dawał do myślenia przypadek zaszły w Paryżu w roku 1892. Dwóch kupców otrzymało z Ameryki południowej 200 papug transportu, z którego tak podczas drogi, jak już po przybyciu do Paryża padło wiele sztuk. Otóż z osób które stykały się z temi papugami, dostało 49 zapalenia płuc, umarło zaś 16. Podobnych przypadków zapalenia było jeszcze 21, z ktorych 8 zakończyło się śmiercią. W ogólności było w latach 1892 do 1897 takich przypadków w Paryżu 70 z 24 zajściami śmiertelnemi. Podobnie było w roku 1898 w Kolonji, gdzie od papugi sprowadzonej z nad rzeki Amazonki, dostało w jednym domu zapalenia płuc 9 osób, z których 4 umarły.

Dopiero przypadek zaszły w roku ubiegłym w Zülpichu, małem miasteczku prowincji nadreńskiej w Prusiech rzuci światło na podejrzenie powstawania zapalenia płuc skutkiem styczności z papugami.

Rodzina pewnego właściciela mleczarni zakupiła w dniu 6 kwietnia 1909 parę papug amerykańskich całkiem zdrowych. Wkrótce po sprowadzeniu tych ptaków do domu zachorowała żona owego mleczarza na zapalenie płuc, a po niej zachorował i sam mleczarz w dniu 7 maja, zmarł zaś w dniu 12 t. m. Na pogrzeb zebrała się rodzina i wiele osób z miasteczka i okolicy, z których około 90 było w pokoju, w którym znajdowały się owe papugi. Z tych 90 osób zachorowało 26, umarło 5 osób, wszystkie na tę chorobę, z cechami bardzo gwałtownie występującej gorączki. Epidemja ta wywołała taki popłoch wśród ludności we wspomnianem miasteczku, iż nie tylko obcy od niego stronili, ale, że nawet uciekano przed lekarzami, którzy leczyli owych chorych na zapalenie płuc. To dało pochop, że trzech lekarzy, między którymi było dwóch profesorów wydziału lekarskiego w Bonn, zajęło się zbadaniem źródła tej epidemji. Pokazało się, że tak u papug, jak i osób dotkniętych wymienionem zapaleniem płuc, znalazły się te same bakterje, od znanych dotychczas nieco odmienne; nie ulega przeto żadnej wątpliwości, ze owo epidemiczne zapalenie płuc zawdzięcza swe powstanie bakterjom papuzim.

Ale pokazało się jeszcze coś więcej, mianowicie, że jak to bywa z niektóremi innemi chorobami zakaźnemi u ludzi, papugi całkiem zdrowe mogą mieć w przełyku też same bakterje chorobotwórcze i w ten sposób stać się niebezpiecznemi dla ludzi. W każdym przeto razie trzeba z trzymaniem papug w domu być ostrożnym.

* * *

Czy chleb zawiera zarazki? W prasie francuskiej toczy się obecnie dyskusja w sprawie pracy nocnej piekarzy. Przy tej sposobności podniesiono kwestję, czy chleb wyra-

biany ręcznie, więc zarażany przez robotników zarazkami różnych chorób, zawiera po upieczeniu te zarazki w stanie czynnym więc groźnym dla zdrowia konsumentów. Przeciwnicy ręcznego wyrabiania chleba dowodzili, że środek chleba, którego temperatura podczas pieczenia nie przewyższa 100 stopni, musi zawierać niektóre zarazki, nie zniszczone przez gorąco. W celu sprawdzenia tego, kilku lekarzy przeprowadziło odpowiednie doświadczenia. Okazało się, że ani jeden mikrob chorobotwórczy nie wytrzymuje temperatury pieczenia chleba. Dr. Auché z Bordeaux przeprowadził cały szereg doświadczeń z lasecznikiem suchot.

Najpierw dodał do ciasta plwociny suchotnika; po zbadaniu chleba upieczonego z tego ciasta nie znaleziono ani śladu żyjących laseczników suchót. Również czyste kultury laseczników, wprowadzone do ciasta, ginęły podczas pieczenia z takiemi mikrobami, które mogą dostać się do chleba za pomocą wody, mąki, śliny robotnika, z ran na rękach, podczas misienia ciasta. W tym celu używał kultur czystych, które wprowadzał do środka bochenka chleba przed upieczenim za pomocą odpowiedniej sikawki. Ani jeden zarazek albo mikrob nie wytrzymał temperatury pieczenia i chleb „zarażony“ po upieczeniu był zupełnie bezbieczny pod względem hygjenicznym. Dr. Auché wyciągnął z tego wniosek, że wszelkie opowiadania o przenoszeniu zarazy za pomocą chleba należy zaliczyć do bajek.

* * *

Ze statystyki fabrycznej Królestwa Polskiego. Według sprawozdań inspektorów fabrycznych, w okręgu fabrycznym warszawskim, obejmującym, oprócz 10 gubernji Królestwa Polskiego jeszcze 3 gubernje litewskie (Grodzieńską, Kowieńską i Wileńską) w r. 1909 było 3,349 fabryk, w ktorych pracowało 279,921 robotników. Z ogólnej liczby 279,821 robotników waszawskiego okręgu fabrycznego, podlegających nadzorowi inspekcji fabrycznej, na kobiety przypada 93,029 t. j. 33 proc., na nieletnich 2.390. W porównaniu z r. 1908 zwiększyła się zarówno ilość fabryk, jak ilość pracujących w nich robotników; ilość fabryk zwiększyła się o 103, ilość robotników o 3,197.

Najwięcej fabryk i robotników było w gubernji Piotrkowskiej (1.125 fabryk i 142.388 robotników); najmniej w gub. Suwalskiej (49 fabryk i 940 robotników). W gub. Warszawskiej było 840 fabryk i 69151 robotników, w Radomskiej 120 fabryk i 7188 robotników, w Kaliskiej 115 i 8516 robotników, w Kieleckiej 60 i 5,048, w Lubelskiel 95 i 9135, w Łomżyńskiej 55 i 2,412, w Płockiej 71 i 4,103, w Siedleckiej 47 i 2,796 w Grodzieńskiej 467 i 13.526, w Kowieńskiej 105 i 5113, w Wileńskiej 200 fabryk i 9605 robotników. Najwięcej było fabryk wełnianych (705 fabryk z 57,542 robotnikami), drzewnych (347 z 12506 robotnikami), metalowych (426 z 39,154 robotnikami), bawełnianych (261 z 61,883 robotnikami) i t. d. Ogólna ilość wypadków nieszczęśliwych, które zaszły w r, z. w tych 3,349 fabrykach podlegających nadzorowi inspekcji fabrycznej, wynosiła 683. Najwięcej wypadków było w gub. Piotrkowskiej (4,307), Warszawskiej (1,835).

* * *

Żydzi w Galicji. W roku 1908 liczono żydów w Galicji na 793 360 dusz. w 1900 r. 811.183, zorganizowanych w 253 gminach wyznaniowych, zarządzanych przez 240 rabinów i 1410 innych fukcjonarjuszy (szkolników). Synagogi dzieliły się na publiczne 457 i prywatne 332, prócz tego było 1393 domów modlitwy.

Gminy wyznaniowe utrzymywały 749 chajderów, 82 szkół talmudystycznych, 31 szpitali, 35 domów dla starców i 697 innych zakładów.

Na utrzymanie jednej synagogi względnie domu modlitwy wypada przeciętnie 364 członków gminy.

Podatki bezpośrednie płaciło 85.522, czyli prawie co dziewiąty żyd jest opodatkowany.

* * *

Miasta z ludnością powyżej stu tysięcy. Według najnowszych obliczeń statystycznych najwięcej miast z ludnością ponad sto tysięcy wykazują Chiny; ma ich tam być 22. Wobec nieścisłości statystyki w Chinach inne obliczenia podają liczbę tych miast na 53; Stany Zjednoczone mają 46, Niemcy 44, Wielka Brytanja z Irlandją 43, Indje 32, Rosja 20, Francja 14, Włochy 11, Japonja 10, Austro Węgry 9, Turcja i Hiszpanja po 7. Inne państwa liczą mniej niż po 5 miast z ludnością przeszło stutysięczną.

* * *

Ile kosztuje krzesło w parlamencie angielskim? Z okazji nowych wyborów w Anglji, jeden z dzienników angielskich podaje ciekawe zestawienia kosztów, jakie pociągały za sobą wybory w Anglji w rozmaitych czasach. Zdaniem dziennika, dzisiejsi parlamentarzyści mają lepsze konstelacje: mandaty kosztują taniej. W roku 1807, gdy w Jorku ubiegali się o mandaty lord Milton i lord Lascelles, koszta woborów obu wynosiły przeszło trzy miljony marek. W historji zakulisowej palamentaryzmu angielskiego, cyfra ta zdobyła jednak rekord. W każdym razie istniał podówczas zwyczaj, że podczas kampanji wyborczej, lokale wyborcze bywały nieraz otwarte aż po sześć tygodni, a kandydaci sprowadzać musieli na koszt własny wyborców z najdalszych stron. W tak małym okręgu jak Northampton, kosztował mandat 600,000 marek. Deputowanego hrabstwa Kent, kosztował mandat 500,000 marek. Z początkiem XIX wieku, obliczano koszta „najtańszego“ mandatu na 400,000 marek. Oczywiście nie było reguły bez wyjątku. Znajdowali się kandydaci, którzy przechodzilli bez żadnych kosztów. Głośnym z nich był znany ze skąpstwa John Elves, który przyjął kandydaturę z okręgu Berks, pod warunkiem, że go nic kosztować nie będzie. Celu nie dopiął; za śniadanie z głównym agientem zapłacić musiał 2 marki. Z biegiem czasu ceny się zmieniły. Dziś nie dochodzą do sumy wyższej nad 50,000 marek. Charakterystycznym jest, że nieraz niepomyślny wynik droższym jest od pomyślnego. Zdarzyło się tak np. w hrabstwie Essex, gdzie zwycięzca wydał 36,000 marek, a przeciwnik jego, który otrzymał o 3,000 głosów mniej aż 45,000 marek.

* * *

Złoto w Tyrolu. Z Isnbruku donoszą, że podczas przeprowadzania przewodników elektrycznych do zamku Moos, odkryto w pobliżu miejscowości Sterzing warstwy kwarcowe, zawierające złoto i srebro. Żyły złotonośne są łatwo dostępne i dają się obserwować gołem okiem. Według obliczeń, zawartość złota w kwarcu wynosi 2 gramy na kilogram kamienia, przypuszczają jednak, że dalsze rozkopy dadzą jeszcze lepsze rezultaty. Złoto wzkazuje nieznaczną domieszkę miedzi. W celu eksploatacyi tego odkrycia tworzy się już towarzystwo. Odkrywca żył złotonośnych, właściciel gospody pod „Czerwonym Orłem“ w Sterzing, Steiniger zastrzegł sobie należne mu prawa.

* * *

Anonse na chmurach. W ostatnich miesiącach rozpoczął inżynier duński B. Larsen stosować na wielką skalę reklamę świetlną na chmurach. Posługuje się on przy niej specyalnie przez siebie skonstruowanymi aparatami i osiąga niezwykłe rezultaty. Obrazy świetlne liter i figur gieometrycznych są widoczne z odległości pół mili i więcej i są zupełnie wyraźne. Próby Larsena wywołały w Danji i Szwecji wielkie zainteresowanie; zwłaszcza w kołach wojskowych sądzą, że wynalazek ten da się zastosować doskonale do celów militarnych, umożliwiając przesyłanie pewnych znaków na znaczną odległość.

* * *

Za 72 miljony marek sprzedał fiskus tak zwane pola tempelhofskie pod Berlinem gminie Tempelhof, albo raczej stojącemu za gminą tą bankowi „Deutsche Bank“. Obliczono, że bank ten na spekulacji gruntami z rzeczonego pola zarobi 30 – 40 miljonów marek.

O terytorja te pertraktował z fiskusem także Berlin, lecz fiskus w ostatniej chwili się cofnął, płatając tem Berlinowi figla nielada. Plany Berlina co do rozbudowania miast wobec tego poważnej ulec będą musiały zmianie. Berlin wszakże będzie się mścił na fiskusie wedle sił, a siły te już nieraz dały się we znaki.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 52. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 grudnia 1910.



Świecą gwiazdy, świecą,
Na wysokiem niebie ...
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!...

Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru,
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu.

A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga, —
Proboszcza naszego.

A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrną kądziel,
Gwiazda organisty.

Wszystkie przed oczyma
Palą się, jak zorze ...
Tylko twojej niema,
Chłopie ty nieboże!

Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności,
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości.

Ni chłopa, ni pana
Nie było na niebie ...
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie.

Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi ...

A te pańskie świecą,
Jako talar biały ..,
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy pospadały!

Marja Konopnicka.

Wigilja w domu sierot.

(Wspomnienie z młodości.)

W rozległych kurytarzach domu sierot w H. panował zmrok. —

Długi szereg okien wychodził na park, który, pokryty grubą warstwą śniegu, biały i uroczysty rozciągał się od środkowej drogi, prowadzącej do olbrzymiego budynku, aż do wielkiej żelaznej furty, oddzielającej zakład od świata zewnętrznego. — Przy jednem oknie stali dwaj chłopcy w równym prawie wieku ...

Smutne ich oczy patrzały w park; z upragnieniem biegły ich spojrzenia hen na przeciwległą ulicę oświetloną i ożywioną silnie, gdyż z powodu silnego mrozu ludzie szybko przebiegali, otulając się w futra. —

— Słuchaj — rzekł jeden z chłopców do drugiego, szczupłego, o bladych zapadłych policzkach towarzysza, który stanowił kontrast rażący z nim, krótkim, grubym o okrągłych policzkach — czy mnie też ciotka moja zaprosi na wieczór wigilijny?

— Pewnie to uczyni — odrzekł drugi, przyczem usta mu drgnęły — lecz ja nie mam żadnej ciotki, nikogo nie mam ...

W domu sierot istniał zwyczaj, że dzieci, które posiadały jakichkolwiek krewnych, mogły przez tychże być zaproszone na dnie tak „uroczyste“.

Biedne dzieci miały wtenczas tylko sposobność wejrzeć za mury zakładu, zobaczyć świat zewnętrzny, — to też cieszyły się gwałtownie, gdy zbliżały się święta uroczyste. Przed każdemi takiemi świętami zjawiał się przed kolacją dyrektor z listą w ręku i czytał na głos zaproszenia, wywołując nazwiska szczęśliwych wybrańców. Była to za każdym razem chwila najwyższego napięcia dla malców, kiedy dyrektor wymieniał nazwiska osieroconych tych istot — i całe tygodnie naprzód roztrząsaną była kwestja, której rdzeniem było pytanie, od którego serce każdemu chłopcu żywo biło: „czy też będę zaproszony, czy nie?“

Obie wielkie sale, w których dzieci zwykle były jadać, przy długich stołach, były od kilku tygodni zamknięte, dziurki zaś od kluczy były zasłonięte gałgankami.

Ustawiono tajemniczo przykryte kosze, co pobudzało silnie ciekawość dzieci.

Boże narodzenie stało u drzwi.

Dwaj nasi bohaterowie trzymali się w pobliżu sali, aby choć jednem okiem do wnętrza rzucić, gdy się drzwi

uchylą. Dla nich było wszystko nowością — zeszłą wilję spędzili jeszcze w domu rodzicielskim, nie przeczuwając, że po raz ostatni przeżywają błogie chwile, drogie sercu każdego dziecka. — Od szeregu miesięcy byli oni już pomiędzy temi setkami chłopców. Obcym i zimnym wydawał im się ten nowy świat, do którego ich okrutny los wtrącił i oni dzieci blizkich sąsiadów prawie w tym samym czasie złym losem sieroctwa dotknięci, przywarli do siebie duszą całą, jak to czynią zwyczajnie prześladowane i zahukane istoty. Nie mogli się oni zżyć z wojskowo-biurokratycznym rygorem zakładu i chociaż pochodzili z proletarjatu i w domu ich rodziców aż nazbyt było skromnie, to przecież nie mógł im zastąpić skąpy regularny wikt tego, co „domowem" się zwie.

Mały, gruby Karol mówi do swego nieodłącznego towarzysza: „Ty, słuchaj, moja ciotka to wielka pani, ona zawsze ma jedwabną suknię na sobie, gdy do nas przychodzi. O, to bogata pani! — Czego też od niej nie dostanę na gwiazdkę! Cieszę się okrutnie!

— Ja zaś muszę zostać, nie mam żadnych krewnych — odrzekł Bernard, chudy chłopak ze smutną rezygnacją. — Słuchaj ty, już idą! — zawołał nagle i głowy ich pochylają się jak na komendę, drzwi się rzeczywiście otwierają; fala światła wylewa się na zewnątrz, chłopcy przez mgnienie jedno widzą szereg biało nakrytych stołów, na których rozłożone były różnorodne przedmioty.

Długie „ach!" wyrwało się z ust chłopców.

— Chłopaki, czy nie pójdziecie precz! — zawołał dozorca. Nie możecie cierpliwie doczekać końca? Onieśmieleni chłopcy wynoszą się do sali na drugim końcu kurytarza, której wnętrze wypełnione jest gwarem rozbawionych dzieci. Brzęczą jak w ulu. — We wszystkich kątach kupią się gromadki i wszędzie roztrząsa się pytanie, żywe, piekące: „Co dostanę? — czy mnie też wezmą krewni do siebie na święta?

Wtem rozlega się głośny dzwonek, znak, że się zaczyna rozstrzyganie się losów.

Chłopcy już dawno na ten upragniony znak czekali. Gruntownie umyci, w czystej bieliźnie, czysto odziani w ciemne granatowe przyzwoite mundurki z metalowymi guzikami, błyszczącemi jak srebrne, z wykładanymi kołnierzami od koszuli na wierzch surdicika przerzuconymi, w butach oczyszczonych, lśniących, wyglądali zupełnie uroczyście.

Zaprowadzono chłopców do kościoła zakładowego, który jaśniał w blasku dwuch olbrzymich drzewek usianych świecami. Blask świec odbijał się w olbrzymich hebanowych płytach, na których były jeszcze nazwiska panów i pań, którzy raczyli zakład obdarować. Złote litery błyszczą... Niejedno dumne nazwisko lśni na tych tablicach; nazwisko, które w historji wielkiego, handlowego miasta jest zapisane.

Oczywiście, że napis: „Lewica nie powinna wiedzieć co czyni prawica" — mało harmonizuje za lśniącem złotem liter na hebanowych tablicach.

Gromko brzmią dźwięki organów w przestrzeni. Niezmiernej gromadzie dzieci obojga płci (przeszło 800) opowiada kapłan w prostych niewyszukanych słowach starą, lecz zawsze sercu miłą bajkę o narodzeniu chłopięcia Jezusa.

Z chóru rozlega się śpiew („Cicha noc, święta noc"). Wreszcie popłynęła zniecierpliwiona fala dzieci po przez długie kurytarze do szeroko otwartych drzwi sali jadalnej, urządzonej na dziś do uroczystości rozdawania podarków świątecznych. Na długich stołach leżały obfite dary, bogatsze niż na niejednym stole dziecka z proletarjatu.

Na chwilę zapomnieli nasi dwaj nowocjusze o tem, że jeszcze zeszłego roku spędzili wieczór wigilijny ze swemi rodzicami pod skromną choinką w małym pokoiku.

Jakież olbrzymie choinki wznoszą się tutaj! — sięgają szczytami sufitu wysokiej sali — a pełno na nich rozmaitości. — Cała olbrzymia rzesza dzieci otacza zastawione stoły. Powietrze przesycone zapachem ciasta i jabłek. Po pierwszem oszałamiającem wrażeniu odzywa się muzyka. — Dzieci tracą głowy.

Rozlega się dzwonek zowiący na kolację. Dzieci niechętnie opuszczają sale. Chłopcy i dziewczęta rozdzielają się, gdyż są umieszczone po obu stronach budynku w obu skrzydłach.

Gdy dzieci zasiadają do stołu zjawia się dyrektor z długą listą. Wszystkie szyje wyciągają się, oczy zwracają się na dyrektora. Odczytywanie się rozpoczyna. Cisza... Żaden szmer jej nie przerywa. Kiedy niekiedy tylko wyrywa się radosny okrzyk z piersi dziecięcej, którego imię i nazwisko wywołuje dyrektor. Wielka już liczba imion wymienioną została, Karola imienia jeszcze nie wołano. Coraz większa trwoga odbijała się na twarzy jego, coraz bardziej beznadziejną ona się stawała — lecz oto, teraz Karol...

Rozjaśniła się okrągła twarz chłopca, lecz natychmiast jasność ustąpiła miejsca silnej bladości. Inne nazwisko następuje. W końcu dyrektor wydaje różne zlecenia tym, którzy jutro na jeden dzień zakład opuszczą. Karol wybucha żałosnym płaczem. Jego nie zaproszono. Bogata ciotka jego nic o nim wiedzieć nie chce... Nie zobaczy się on ze współtowarzyszami zabawy, nie zobaczy wystaw sklepowych nie zobaczy swoich rodziców... Lecz czegóż on chce?... przecież rodzice już nie żyją!... on ich czy tak czy owak już nigdyby nie zobaczył... nigdy więcej... Po raz pierwszy uświadamia sobie chłopiec swoje sieroctwo w wieczór wigilijny, poraz pierwszy czuje całą swą sierocą dolę. Sam będzie musiał sobie drogę życia torować, jak i te wszystkie dzieci, ktore wesoło z odbijającym się w oczach blaskiem świeczek na choinkach spożywają potrawy z zadowoleniem i z tęsknotą, myślą o zostawionych w drugiej sali zabawkach.

Karol otarł łzy, bo płacz był zakazany i wywoływał li tylko drwiny ze strony licznych kolegów. Oni wszyscy płakali na początku, ale później już nigdy. Dzieci stawały się surowe i Karol również. Coś prysło w nim w pierwszy wieczór wigilijny w domu sierot.

Długo jeszcze stoli chłopcy u okna z utkwionymi w park oczyma. Krzacząc ciągnęła gromada wron nad parkiem, na ktory księżyc lał swe srebrne światło, drobiny śnieżne w księżycowem świetle migotały jak kryształki.

To był pierwszy sierocy wieczór wigilijny.

(Z niemieckiego.)

Praca dzieci w Austrji.

Rozwój gospodarki kapitalistycznej, zastępując pracę ręczną pracą maszynową w coraz szerszym zakresie, odbija się także dotkliwie na życiu dzieci. Nie oszczędza ich delikatnych sił, przeznaczonych raczej do tworzenia siebie samych niż do tworzenia bogactw. „Dzieciństwo sielskie i anielskie" staje się przywilejem poetów. Robotnik, źle płatny, nie starczy na utrzymanie rodziny, nędza wygania jego drodną dziatwę na rynek, gdzie sprytny przedsiębiorca chętnie nabywa tę tanią siłę roboczą. Mniej odporne, o małych potrzebach, dziecko ulega wprost nieograniczonemu wyzyskowi, pracując nad siły, przy długim dniu roboczym i niezmiernie małej płacy. Odbija się to szkodliwie na jego rozwoju fizycznym, moralnym i umysłowym; nie ma ono czasu urosnąć, poznać życie i uzbroić się do walki o byt — gdy już tę walkę musi prowadzić.

Klasa robotnicza, w szeregu innych, odczuwa bardzo silnie tę krwawą krzywdę, wyrządzaną jej młodemn pokoleniu. I w swej codziennej walce o reformy społeczne i ekonomiczne domaga się też zakazu pracy dzieci. Pod jej naciskiem państwa zachodnio-europejskie wprowadziły już pewne ograniczenia w tej dziedzinie.

Nawet Austrja, dość zacofana pod względem ochrony pracy, posiada prawo, według którego dzieciom poniżej lat 14-tu nie wolno pracować po fabrykach, a poniżej lat 12 tu nawet w warsztatach. Obecnie proponują tam środki dla skuteczniejszej ochrony dzieci pracujących. W tym celu austrjackie ministerjum handlu zajęło się zebraniem statystyki pracy dzieci. Cyfry te, dotyczące 15—20% dzieci w wieku szkolnym (6—14 lat) w roku 1907/8 ym, rzucają ciekawe światło szczególniej na ilość dzieci pracujących i na rodzaj ich zajęcia. Widzimy tedy, że 34,8%, czyli 1/3-cia ogółu

dzieci austrjackich pracuje zarobkowo. Praca ich niema znaczenia pedagogicznego jako „przyuczanie" do pracy, jak to twierdzą publicyści burżuazyjni, bo jest przeważnie monotonna, mało ciekawa i zbyt nużąca.

Szczególnie uprzywilejowana jest ludność wiejska, która posiada stosunkowo 2 razy więcej dzieci pracujących, niż miejska. Zawdzięcza to ona swej większej nędzy, mniejszemu przestrzeganiu przymusu szkolnego po wsiach, obfitości dość łatwych dla dzieci robót, niewzbronionych przez prawo, i brakowi rąk roboczych. Rodzinne stosunki dziecka mają znaczny wpływ na jego udział w pracy zawodowej. Spotykamy bowiem wśród nich 34,6 proc. dzieci ślubnych, 37,3 proc. nieślubnych i 48 8 proc. nieślubnych sierot.

Procent pracujących dzieci wzrasta wraz z wiekiem, co jest zresztą naturalne: pracuje tylko 17,8 proc. dzieci od 6—8 lat, wobec 52,3 proc. od 13—14 lat. Szkolne przepisy ułatwiają zarobkowanie starszych dzieci, w niektórych bowiem krajach państwa austrjackiego obowiązuje od lat 12-tu tylko skrócona nauka szkolna—parę godzin tygodniowo i to jedynie zimą a w innych—robi się znaczne ułatwienia w szkole dzieciom starszym. Dzieci pracują w najróżnorodniejszych gałęziach produkcji rolnej i przemysłowej, które nie wymagają siły fizycznej, lecz zręczności. Prawo, wzbraniające pracy dzieci do lat 14 tu w fabrykach, niewiele wpłynęło na jej ograniczenie wogóle, gdyż wiele robót przeniosło się z fabryk do domów (chałupnictwo), gdzie też głównie pracują dzieci, np. przy wypychaniu oraz naszywaniu na tekturę guzików, wycinaniu koronek, zszywaniu trykotów i pończoch i t. p. Rzeczą tedy pierwszorzędnej wagi jest rozciągnięcie opieki prawnej nad temi właśnie rodzajami pracy.

Praca dzieci jest opłacana nader nędznie. Kapitalista korzysta z tego, że naogół zarobek dziecka nie jest jedynym środkiem jego utrzymania, lecz tylko dodatkiem do zarobku rodziców.

Przy podziale dzieci według zawodów statystyka ma pewne trudności, gdyż wiele z nich—prawie połowa—wykonywa kilka prac różnorodnych. Z pośrod 55,6 proc. dzieci zajętych w jednym tylko zawodzie, najwięcej pracuje przy robocie rolnej (23,6 proc.), potem w gospodarstwie domowem (18,4), a wreszcie w przemyśle łącznie z rzemiosłem i chałupnictwem (10,5). Mniej niż 1 proc. zajęte są roznosicielstwem, handlem, usługą po jadłodajniach. Okazuje się przytem, że w pracy na roli chłopcy zajęci są 2 razy częściej, jak dziewczęta, w gospodarstwie domowem zaś — naodwrót. Między dziećmi, zajętemi w kilku gałęziach pracy, najwięcej pracuje jednocześnie na roli i w gospodarstwie domowem. Dzieci, pracujące w przemyśle, rzadziej zajmują się prócz tego czem innem, gdyż praca ta pochłania cały ich wolny czs. Inaczej jest przy gospodarstwie domowem, roznosicielstwie, usłudze w restauracjach i t. p., które zajmują jedynie pewne godziny dnia.

Każde z wyszczególnionych zajęć rozpada się na wiele poddziałów, które w różnej mierze posiłkują się pracą dzieci W gospodarstwie domowem najwięcej ich się używa do pilnowania małych dzieci, przeważnie młodszego rodzeństwa, do sprzątania, pomocy przy gotowaniu i praniu, wiele dzieci nosi drzewo na opał i wodę, a dziewczynki szyją. Zajęcia te, napozór niewinne, są jednak nieraz b. szkodliwe dla zdrowia. Lekarze stwierdzają niejednokrotnie skrzywienia kręgosłupa, wynikające z noszenia młodszych dzieci, zbyt ciężkich na młodociane siły. Przy zamiataniu i trzepaniu wdycha się kurz. Najbardziej obciążone są te dzieci, których rodzice pracują poza domem i które zatem noszą cały ciężar zajęć domowych. Dziewczynki często idą do służby już przed 14 stym rokiem życia.

W rolnictwie i leśnictwie dzieci używane są do jeszcze bardziej różnorodnych zajęć niż w gospodarstwie domowem. Najbardziej rozpowszechnione jest pasanie bydła, robota niezbyt uciążliwa, ale jednak często szkodliwa pod względem obyczajowym, bo prowadząca do zdziczenia; niezdrowe jest szczególniej sprzątanie obór. W polu dzieci prowadzą bydło pociągowe przy orce, rozrzucają nawóz, pielą chwasty, sadzą i kopią kartofle i t. p. Pomagają przy żniwie w największy upał. Często pracują przy sianokosie, warzywnictwie i ogrodownictwie, przy hodowli wina, chmielu, szparagów i tytoniu.

Do najuciążliwszych, najniebezpieczniejszych robót, wykonywanych przez dzieci, należą niektóre prace w lesie, np. pomoc przy rąbaniu drzew, przy obdzieraniu ich z kory i spuszczaniu drzewa do dolin, zarówno jak sadzenie drzew w szkółkach. Pozatem dzieci zajmują się często zbieraniem grzybów, jagód i chróstu na opał.

Dzieci te są przemęczone, śpią za mało, mieszkają w warunkach niehygjenicznych i żywią się źle. Przytem często zaniedbują szkołę. Cierpi na tem ich zdrowie i rozwój umysłowy.

W przemyśle zatrudnia się dzieci przy wydobywaniu torfu, wyrobie cegieł, paciorków szklanych, a nawet w hutach szklanych. Kowale używają chłopców do pomocy w kuźniach. Na Śląsku dzieci wyrabiają guziki, w Czechach pracują przy wyrobie instrumentów muzycznych. Wiele dzieci (15,1 proc. wszystkich zatrudnionych w przemyśle) pracuje przy wyplataniu krzeseł i w przemyśle drzewnym.

Najwięcej jednak, bo połowa dzieci pracujących w przemyśle, znajduje zajęcie w przemyśle włóknistym: robią siatki z włosów, motają nici na szpulki, szyją całkowicie niciane guziki do bielizny, robią koronki, przędą, tkają i t. p.

Dzieci pracują też w krawiectwie, szewctwie, przemyśle papierowem i spożywczym.

Wszystkie te zajęcia są szkodliwsze dla zdrowia dzieci niż praca na roli i w domu, wymagają one bowiem ciągłego siedzenia w zgiętej pozycji i wytężania uwagi, przez co cierpią najbardziej płuca i oczy.

Nizka płaca zmusza dzieci do bardzo długiego dnia roboczego i do pracy nocnej. Praca w hutach szklanych działa szkodliwie dzięki wysokiej temperaturze i pyłowi szklanemu i t. p.

W jadłodajniach dzieci pomagają gotować, zmywają szklanki, podają do stołu, zamiatają. Powietrze duszne i pełne dymu oraz częsta praca nocna wpływają tu źle na zdrowie dzieci. Atmosfera restauracyjna i piwiarniana jest też b. szkodliwa pod względem moralnym, rozpaja nieraz dzieci i t. p.

W handlu dużo dzieci pomaga rodzicom lub roznosi różne towary po domach. Przeważnie używają ich mleczarze, piekarze, ekspedycje gazet. Przy tem zajęciu dzieci męczą się przez wchodzenie na wiele pięter, nie wysypiają się i przychodzą do szkoły znużone.

Ciężkie jest położenie pracujących dzieci, ponury obraz roztacza przed nami urzędowa statystyka, która przecież nie ma żadnego celu w rozczulaniu się nad nędzą robotników.

Tem energiczniej musi klasa robotnicza walczyć z wciąganiem jej dzieci w wir wyzysku kapitalistycznego. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z trudności tej walki. Praca dzieci tkwi korzeniami w całości dzisiejszych stosunków ekonomicznych i nie da się usunąć prostym zakazem. Aby zakaz taki był skuteczny, aby wogóle był możliwy — musi on być związany z równoczesnem podniesieniem płacy robotników dorosłych, ojcow rodzin, zmuszonych dzisiaj pomagać sobie zarobkiem dzieci. Musi mu również towarzyszyć rozszerzenie opieki państwa i gmin nad dziećmi w wieku szkolnym, co z kolei pociągnie za sobą zmiany w polityce podatkowej i budżetowej.

K. H.

„Nowe Zycie".

Rozmaitości

Na sposób amerykański przeniesiono w tych dniach w południowej części Berlina trzypiętrową willę. Przetransportowania podjęła się pewna firma budowlana. Najprzód odkopano w około fundamentów, potem podsunięto mocne żelazne tragarze, które następnie spoczywały na innych tragarzach na rolkach, poruszających się na podkładce z betonu i belek. Trzy olbrzymie dźwięgnie poruszały dziwny ten zaprzęg, tak że powoli przewieziono budynek na nowe wiejsce.

* * *

Krwawe napady beduinów na koleje. Z krainy Hedzas nadeszły wiadomości o krwawych napadach bedui-

nów na koleje. Kraina Hedżas, także Hidżas leży w północnej części zachodniego wybrzeża Arabji, nad morzem Czerwonem, i tworzy wilajet państwa tureckiego, o przestrzeni 250,000 kwadratowych kilometrów. Liczba mieszkańców wynosi około 300,000 głów, chociaż Hedżas jest przeszło 3 razy większy niż Galicja. Wśród kamiennych pustyń znajdują się nieliczne, acz żyzne i obszerne oazy. Klimat jest suchy i gorący. Głównemi miastami są Mekka i Medina. Rząd turecki utrzymuje tam zawsze znaczną siłę zbrojną, mimo to nie może ujarzmić beduinów. Odkąd zbudowano tam kolej, beduini co pewien czas napadają na stacje i pociągi, niszcząc wszystko. Takie napady urządzili obecnie. Około 5,000 bediunów napało na miejscowość Kerak. Zabili urzędników z rodzinami, sprawili rzeź pomiędzy chrześćjanami i wycięli w pień załogę wojskową. Urzędowy kumunikat z Konstantynopola twierdzi, że Beduini napadli na wszystkie stacje kolejowe od Katrane do Safie i wymordowali wszędzie cały personał. Idący do Katrane pociąg musiał powrócić i wykoleił się.

* * *

Nieco o prawach i obowiązkach w zabezpieczeniu inwalidzkiem i na starość. Chociaż prawo o zabezpieczeniu inwalidzkiem i na starość istnieje już przeszło lat 20 i w tym czasie dwie przechodziło reformy (w r. 1891 i 1899), to przepisy i wymagania tego prawa, nawet między oświeczeńszymi robotnikami, bardzo mało są znane, a ta nieznajomość jest powodem strat często bardzo dotkliwych i przykrych, czego dowodem znowu następujący wypadek: Pewna uboga wdowa, pracująca na utrzymanie swych dzieci, wlepiała znaczki począwszy r. 1891, a więc prawie od samego początku zabezpieczenia. W r. 1897 przestała znaczki wlepiać. Po pewnym przeciągu czasu powiedziano jej, że niedobrze robi, iż zabezpieczenie przerwała, gdyż później nie będzie mogła otrzymać ani renty na słabość, ani też renty na starość. Chąc sobie rentę na starość zapewnić, zaczęła znowu wlepiać znaczki. Gdy się skarżyła na to, że to za wielki dla niej wydatek co tydzień znaczek zakupić, powiedziano jej, iż wystarczy 20 znaczków na dwa lata. 12 września b. r. skończyła owa robotnica 70 rok życia i zaczęła się starać o rentę na starość. Z urzędu jej opowiedziano tymczasem, że znaczków ma o wiele za mało, że renty otrzymać nie może. Odpowiedź była według prawa słuszna, tak samo jak słuszną była owa rada, że dla utrzymania ważności karty wystarczy 20 znaczków na 2 lata. Błąd wielki tylko na tem polegał, że kobiecie nikt nie powiedział, że do uzyskania renty na starość musi mieć o wiele więcej znaczków aniżeli do renty na słabość. Gdyby była o tem wiedziała, toby z pewnością chętnieby poniosła większy wydatek, na znaczki, byłaby wlepiła tyle ile prawo przepisuje, a dziś miałaby na stare lata dobrze zasłużoną rentę.

Z powodu tego wypadku przypominamy zatem, że aby mieć prawo do renty inwalidzkiej trzeba według obowiązującego prawa mieć najmiej 200 znaczków wlepionych. Aby zaś uzyskać prawo do renty na starość trzeba wlepić najmniej 1200 znaczków tygodniowych, a więc lepić trzeba mniej więcej przez 24 lata. Jedynie tym, którzy w czasie, gdy ustawa zabezpieczeniowa weszła życie, już 40 lat ukończyli, liczy się za każdy cały rok pomiędzy ukończeniem 40 roku życia, a wejściem w życie ustawy po 40 tygodni, chociaż marek w tym czasie nie lepili.

* * *

Elektryczne światło bez drutu. Mikołaj Tesla, który od dwudziestu lat pracuje nad światłem elektrycznem bez drutu, obecnie, jak donosi nowojorski „World", rozwiązał ten problem i swój wynalazek wykończył.

„Moim przewodnikiem światła – wyraził się Tesla — mogę oświetlić całe Stany Zjednoczone. Prąd światła rozlewa się w powietrzu na wszystkie strony, działając jak silna zorza północna. Jest to światło łagodne, ale dość silne, aby można rozróżnić przedmioty".

Tesla zamierza oświetlić najpierw port nowojorski w obrębie stu mil angielskich. Jedna stacja centralną wystarczy, aby otrzymać najtańsze, najpewniejsze, a zarazem najlepsze światło. Tesli lampy do światła elektrycznego bez drutu nie potrzebują wymiany, gdyż nic się w nich nie spala. Są to zwyczajne kule ze szkła, hermetycznie zamknięte i zapieczętowane, które zawierają rozcieńczony gaz.

Popom dużo wolno, choćby nawet byli tacy, jak Macoch. Oto niedawno przeor (Ihumen) klasztoru kijowskiego, Melchisedek, skradł 300,000 rubli z kasy klasztornej, hulał z podkasanemi muzami i wreszcie dostał się pod sąd, który skazał go na zesłanie do karnego klasztoru Sołowieckiego, na morzu Białem, lecz petersburski najświętszy synod skasował wyrok i pozostawił Melchisedeka na zajmowanem przezeń stanowisku. Inny pop, ihumen skoworodzkiego klasztoru Nathanael, był istnym smokiem ognistym, porywającym tylko ładne dziewczęta, lecz do czasu dzban nosił wodę. Popa zaskarżyli rodzice i wtedy wykryły się przed sądem niesłychane historje. Ale ostatecznie poszedł pop na pokutę do innego klosztoru.

* * *

Co kosztuje biurokracja? W paryskim „Journal des Chambres de Commerce" ukazała się notatka, wykazujaca, ile kosztuje obywatela poszczególnych państw utrzymanie maszyny administracyjnej. Otóż dowiadujemy się, że ciężar ten przedstawia się bardzo rozmaicie. W Szwajcarji obywatel płaci na biurokrację najmniej, bo tylko 6 fr. rocznie; w Belgji i Holandji 7,20 do 7,80 fr., w Anglji 10 fr., w Niemczech 13 fr., (w Prusach 15), w Austrji 14, w Włoszech 20, we Francji 24, a w Rosji 33 fr. Natomiast w Stanach Zjednoczonych koszt utrzymania urzędników wynosi na głowę mieszkańca 3,48, w Brazylji 2,76, a w Argentynie 1,86 fr. Stany Zjednoczone, prawie dwa razy liczniejsze od Francji, wydają na swych urzędników siedm razy mniej od niej.

* * *

Elektryczne oko. Profesor petersburskiego Instytutu technologicznego, profesor Rosing, po 50 latach pracy wystąpił z przedziwnym przyrządem elektro-teleskopicznym, za pomocą którego można przebywając w domu widzieć wszystko co np. dzieje w się teatrze, albo w kawiarni, albo wogóle tam, dokąd „elektryczne oko" zostało skierowane. Można jak zapewnia prof. Rosing, widzieć każdej chwili co się dzieje na ulicy, kontrolować ruch na dworcu, przenikać głębie morskie i na placu boju obserwować stanowiska nieprzyjacielskie. Fabrykant, siedząc w swojej pracowni, może widzieć, co się dzieje w każdym zakątku jego fabryki. W tych dniach ma profesor Rosing w Towarzystwie technicznem przedstawić swój wynalazek. Okaże się, czy wspomniany przyrząd rzeczywiście oddaje tak niebywałe usługi, gdyż trudno uwierzyć w tak senzacyjną zdobycz.

* * *

Skarb w znaczkach pocztowych. Przy porządkowaniu starych akt w gmachu starej dyrekcji pocztowej w Hanowerze znaleziono w tych dniach całą skrzynię znaczków pocztowych dawnego królestwa hanowerskiego z roku 1859 i 1861. Po aneksji tego królestwa w roku 1866 rząd pruski rozkazał spalić wszystkie zapasy hanowerskich znaczków, tylko odnaleziona dziś skrzynia ocalała. Zawiera ona w pełnych arkuszach znaczki jedno, dwu i dziesięciogroszowe, za które filateliści płacą dziś ogromne ceny.

Tak np. dawny hanowerski znaczek dziesięciogroszowy kosztuje dziś w handlu 60 marek. To też po dzisiejszych cenach tych znaczków pocztowych, zapas mieszczący się w owej skrzyni przedstawia wartość blisko miljona marek.

Wobec tego rząd pruski nie ma bynajmniej zamiaru zniszczenia znaczków tych przez spalenie, lecz postanowił sprzedać je przez licytację. Cena ich, wobec rzucenia na targ odrazu tak wielkiej ilości, znacznie spadnie, mimo to rząd pruski spodziewa się, że uzyska ze sprzedaży conajmniej 300 000 marek.

* * *

Balonem przez morze Północne. W Bawaryi w Geethofen pod Augsburgiem wzniósł się balon „Touring-Club" z trzema osobami i po bardzo utrudnionej podróży wylądował następnego dnia o 10 wieczorem w miasteczku portowem Kirkwall na wyspach Orkney. Podróż trwała 17 godzin. Balon został przez silny wicher rzucony na morze Północne, przyczem kupiec Metzger z Monachjum utopił się.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 53. Rok IV.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 31 grudnia 1910.

BOLESŁAW CZERWIŃSKI.

W SZYNKOWNI.

(Dokończenie.)

Mówiło mi nieraz poczciwe żonisko:
Odmłodnieć nam przy niej mój Jezu najsłodszy
I dobrze mówiła, bo gdym był przy niej blisko
Dalibóg, że byłem silniejszy i młodszy.

Myślałem, o takie i śliczne i zgrabne,
Jej tylko być panią, nie robić dla chleba,
Lecz pięknie się stroić w sukienki jedwabne,
Los jakiś piękniejszy obmyśleć nam trzeba!!

Jej rączki tak małe, paluszki toczone,
Za drobne, niezdatne na twardą robotę,
Jej tylko utrefiać w lok włoski kręcone
I piękne pierścienie ozdabiać swe złoty.

Ja nędzarz, ubogi ja człek i roboczy,
Martwiłem się — czasem człek stary zwarjuje —
Że szycie jej może zaszkodzić na oczy,
Że igła jej nadto paluszki pokłuje.

Czas było nareszcie ustalić jej szczęście,
O ile to człowiek na przyszłość potrafi,
Żądali ją ludzie porządni w zamęźcie,
Czekałem być może, że lepszy się trafi!!

W tem nagle mi smutnieć poczęła Zosienka,
Pobladła i białą jak kreda się stała —
Z ust zniknął jej uśmiech, z gardzielka piosen ka
I często spostrzegłem — ukradkiem płakała.

„Cóż tobie Zosienko?“—„Nic ojcze...“ Tyś chora
Z dniem kazdym więdniejesz uroczy mój kwiatku?
Do łóżka się połóż, zawołam doktora...
Jam zdrowa, nie trzeba, to przejdzie mój tatku...

Nie żartuj dziewczyno — nie żartuj z chorobą,
Tyś dla mnie jest wszystkiem, jam cienem twym,
[echem...
Och, gdybyś umarła — umarłbym wraz z tobą.
„Jam zdrowa odrzekła“ — ze smutnym uśmiechem

Czas mijał, wciąż dziewczę nieswoje i blade.
Gdy pytam,czy zdrowa. wciąż mówi, że zdrowa.
Pytałem doktora i kumów o radę,
A może to urok, niech Pan Bóg zachowa.

Raz wracam do domu w spóźnioną godzinę,
Na progu ze łzami czekała mię żona...
— Niech piekło cię porwie za taką nowinę!
— To wszystko nieprawda — ty kłamiesz szalona.

Czemprędzej pobiegłem do izby: Zosienko
Nieprawdaż, że matka twa myli się srodze...
Leżała na łóżku, zakryła twarz ręką,
I jęcząc szeptała: „Och! Daruj niebodze“

Zachwiałem się, w oczach zrobiło się ciemno,
Jak kamień stanąłem bez czucia, bez mowy,
Przez chwilę nie czułem, co dzieje się ze mną,
Krew potem mi wszystka buchała do głowy.

Jak wściekły krzyknąłem: „Kto on?! Przez szataua
Odpowiedz! W tej chwili być straszny musiałem.
Na łóżku się wiła i łzami zalana
Wyrzekła nazwisko. Oh! dobrze je znałem!

Skoczyłem na piętro — drzwi nogą wypchnąłem
I byłem w pokoju — gospodarz wraz z synem
Wesoło gawędząc, siedzieli za stołem,
Palili cygara — raczyli się winem...

Zdiwiony wstał stary. Co najazd ten znaczy?
Uśmiechnął się młody, miał minę piekielną.
Ja stałem jak niemy — nareszcie w rozpaczy
Buchnąłem: „Syn pański zchańbił mi dziewczynę“.

Dziewczynę niewinną wróć zaraz mi łotrze:
Niech życie nie pędzi w zgryzocie i biedzie!
Syn milczał — a stary surowo: Dość Piotrze!
Komedji nie lubię — wiem o co ci chodzi!

A zresztą to zręczna dziewczyna, twa córka,
Wie kogo przypuścić do swoich zalotów...
Zapłacić potrafię!... Przystąpił do biurka
I rzucił na stół pęk żółtych banknotów.

Z wściekłością skoczyłem na niego , w ramiona
Chwyciłem, za szyję dusiłem go białą.
Padł, harczał — dusiłem — już czułem, że kona.
A potem nie pomnę, co zemną się stało.

Straciłem przytomność. Za cztery tygodnie
Stawałem przed sądem; zapadła uchwała:
Dostałem dwa lata — zda mi się za zbrodnię,,.
Za zbrodnię ciężkiego uszkodzenia ciała...

Dwa lata przebyłem wespół z zbrodniarzami.
Jak to się starzeje człek prędko i zmienia,
Do kaźni przyszedłem z czarnemi włosami,
A biały jak gołąb wyszedłem z więzienia.

Nieszczęsna ma Zośka w świat poszła; niech idzie.
Zonisko mi chora od roku już leży.
A wszystko, człek żyje w zgryzocie i biedzie.
Lecz już się nie wiele do śmirеci należy!

Wy spicie Jakóbie? Jam troskę tajemną
I boleść ci odkrył, co w duszy śpi skrycie.
Myślałem, że westchniesz, zapłaczesz nademną.
Ten pijak śpi przy tem... Jakóbie! słyszycie?

Poczciwy kum Jakób wstał, oczy przeciera.
„Tak Piotre, niech zginą zgryzoty i smutki!
Tu jakoś w tym szynku mniej bieda doskwiera.
Szynkarzu! na kredyt daj jeszcze nam wódki!

Ej! idźcie już Piotrze, wszaka żona wam chora,
W tem silne pukanie u drzwi się rozległo,
I dziecię obdarte, wychudłe jak zmora,
Skoczyło do izby, do Piotra przybiegło.

Ach mama umarła! Umarła! Idź mały
Zmów pacierz za mamę, ja przyjdę za chwilę.
Jął szukać pieniędzy... Majątek mój cały
Nie starczy na trumnę i krzyż na mogiłę!!

Solidarność.

(Z niemieckiego przez Wiljama Bromme).

Na czwartem piętrze w kamienicy w oficynach skupiła się w jednym pokoiku cała rodzina ślusarza Pawła Koeniga.

Dziesięcioro głów! Straszna nędza! Ośmioro żywych dzieci, które co dnia chcą jeść. Żona choruje, a mąż — głowa rodziny — jest już od szeregu miesięcy bez pracy.

Wieczorem w niedzielę wypłacił mu związek ostatnią zapomogę. Dzisiaj jest noc sylwestrowa, noc przed Nowym Rokiem, która ludziom zazwyczaj wesoło upływa. Dla niego zaś i istot mu najbliższych jest to noc rozpaczy. Jutro, gdy mieszkania nie zapłacą, wyrzuceni zostaną na bruk! Piętnaście lat już upłynęło od czasu ich zawarcia małżeństwa — tak źle jednak z nimi nie było nigdy.

Dzieci ich zawsze otrzymywały choinkę, ciasta, a nawet na pieczeń mogła sobie rodzina Pawła pozwolić. Każdej nocy sylwestrowej buchał parą kubek ponczu lub grogu na jego stole...

A dzisiaj? Niema nawet chleba kawałeczka w domu. Dzieci leżą, nie mogąc usnąć z głodu. Żona skuliła się przy piecu, w którym iskra się nawet nie tli — i drży z zimna i głodu.

Paweł spogląda z za gazety, którą trzymał w ręku, na gorące łzy, które jak dwie perły spływają po policzkach ukochanej żony.

Naraz dziennik wypadł mu z rąk i Koenig grzmoci pięścią o stół, który cały trzeszczy, a stojąca na nim zakopcona lampa omal nie spadła, gdyby nie żona Pawła, która ją wczas zatrzymała. Dzieci strwożone skuliły się na nędznem swem łóżu. Po cztery gnieździły się w jednem łóżku. Dwoje w głowach, a dwoje u nóg... Tylko mały Kazio szlochał bez przerwy, skarżąc się na głód i domagając się chleba. Każde słowo dziecięce, zda się, nożem rozdzierało serce Pawła. Naraz krzyknął jak zwierzę:

— Psie życie! Dość mam tego! To się musi raz skończyć! — zgrzytnął zębami. Poczem zwrócił się do swego ulubieńca i głaszcząc jego policzki, rzekł: „Uspokój się, Kaziu! Przyniosę ci wkrótce jeść. Śpij tymczasem. Przejdzie ci głód.

Ależ sklepy są zamknięte, ojczulku, i nic nie można dostać, a pieniędzy przecież także nie masz — wtrąciła starsza córka.

Przecież to noc sylwestrowa, dziecię moje, wszyscy ludzie są syci, weseli, dobrej myśli i przepędzają noc poza domem, gdyż nie chce im się nocy noworocznej przesypiać — rzekła żona.

— Muszę przynieść cośkolwiek, spuście się na mnie.

— Ależ Pawle! Chyba nie masz zamiaru kraść.

— Gdy nie pójdzie inaczej, to czemużby nie? — niecierpliwcie się, za dwie godziny będę w domu.

Z łoskotem zamknęły się drzwi za odchodzącym. Wzburzony zbiegł ze schodów. Miał wrażenie, jakby go coś dławiło...

Wątpił, czy wypełni swój zamiar, lecz niechaj będzie kto chce. — Wszystko mu jedno! On by pragnął choć raz nakarmić najbliższych do syta — gdy wszyscy ludzie z wyjątkiem towarzyszy jego niedoli oddają się wesołości i uciechom. Skierował kroki swoje do jasno oświetlonej części miasta i zatrzymał się przed skąpanym w jasnem świetle gmachem. Był to pierwszorzędny hotel. Zajrzał do wspaniałej sali parterowej, zalanej światłem tysiącznych elektrycznych lamp.

Przy stole w formie półkola siedziała śmietanka miasta „podpory panującej warstwy społeczeństwa". Miljonerzy, oficerowie, fabrykanci, właściciele dóbr, dyrektorzy banków i dorobkiewicze.

Okrzyki, piski, śmiechy, szczęk talerzy i szklanek, głupie wrzaski, dochodziły z wspaniałej sali do uszu głodnego robotnika. Kobiety młode i starsze z obnażonemi ramionami kręciły się po sali w towarzystwie panów.

W pluszowych fotelach, na kolanach rozbawionych mężczyzn siedziały głęboko wydelkotowane piękne damy i kołysały się w takt muzyki...

Paweł myślał wtedy o nędznem, opłakanem położeniu swoich bliskich. Ogarnęła go wściekłość bezmierna na tych próżniaków i hulaków. „Zdruzgotaćby te lustrzane szyby wspaniałe!" — pomyślał. Nagle poczuł dłoń czyjąś na ramieniu i cicho stłuminay głos szepnął:

— Czy chcesz także z nimi się poweselić stary dzieciaku? — Paweł odwrócił głowę. — Jak się masz, człowieku, co ty tu robisz? Sądziłem, że już dawno umarłeś?

— Złe nie zginie!

— Jakże się powodzi twoim robakom?

— Głodują — odrzekł Paweł swemu staremu przyjacielowi.

— No, temu można łatwo zaradzić, daj im jeść!

— Człecze! Jestem od sześciu miesięcy bez pracy.

— I ja jestem już półtora roku na lodzie.

— Jesteś zatem także na bruku?

— Zeszłego tygodnia otrzymałem ostatni zasiłek ze związku.

— Nieszczęsna bieda! co poczniem?

— Chleba dla dzieci swoich zdobyć muszę, choćbym miał sklep z pieczywem rozbić. Sfabrykowałem już hak w tym celu.

— Zwarjowałeś? Czy chcesz się, ośle, zgubić?

— Dzieci moje mrą z głodu w domu. Obiecałem im przynieść chleba.

— Hm!... tak! ale może jest inne wyjście? Niedaleko tam w rejonie urządzili towarzysze partyjni zabawę sylwestrową, oni cię wspomogą, chodź ze mną.

Nie sprzeciwiał się już poczciwcowi i szedł za nim, ociągając się jednakże, choć myśl o głodnych dzieciach spokoju mu nie dawała.

Przedostali się przez długie podwórze do obszernej sali, gdzie sto rąk i sto puharów wzniosło się na ich powitanie.

—Na zdrowie! towarzyszei koledzy! — rozległy się liczne głosy w powietrzu.

Ernest opisał znajomym w żywych słowach położenie opłakane Pawła i momentalnie zanurzyło się dwieście rąk

w kieszenie, składając w ręce Ernesta 200 sztuk monet. Czapka Ernesta nabierała ciężaru.

— Powiedziałem, że Bóg nie opuści socjalisty, dzięki serdeczne koledzy i towarzysze.

Obliczyli iż było 55 marek! Paweł płakał z radości — „przyjaciele"! — szlochał na głos.

Jeden z towarzyszy, monter z fabryki maszyn zbliżył się do obu robotników i podając im ciasta i chleb, zapytał Ernesta, jak długo ten jest bez pracy?

— Półtora roku!

— A zatem wyjeżdżam 2 styczna do Włoch, gdzie muszę złożyć dziesięć maszyn. Lato się zbliża, przeto potrzebuję pomocnika; jedź ze mną.

— Ach, przyjacielu! weź tego oto biedaka, który aż ośm gąb ma do wyżywienia.

— Ja się jakoś tam przepcham — odrzekł zagadniony, wskazując na Pawła.

— Zgadzam się! Jesteś poczciwym człowiekiem, Erneście. A zatem: jak kolego? — zwrócił się do Pawła. — Do lata zapewniam Wam zajęcie, a nadal coś już uradzimy.

Paweł stał bez słów. „On będzie miał pracę? Jego rodzina będzie miała zawsze co jeść, czyż on może nie chcieć tego"?

— Ależ z radością!

— Erneście! Ty dzielna, dobra duszo! Stokrotne dzięki! — uścisnął dłoń przyjaciela i rzekł: przyjmuję.

— Otrzymacie zatem zapłatę i koszta podróży. Zatem 2 stycznia o 10 przed południem na dworcu! Dam wam zaliczkę, a teraz dobra noc!

— Erneście, chodź do mnie — prosił Paweł.

— Ech, ty nędzo! a dasz mi co jeść! Napijmy się tu ponczu...

Paweł zbliżył szklankę do ust, łyknął jednak tylko i wypadł na ulicę. Gdy przechodził obok przepysznego gmachu, w którym bogacze używali roskoszy i hulali — splunął tylko. Splunął — „Wy nierobisze! Trącicie zbrodnią, zgnilizną! — monologizował, śpiesząc ulicą.

Wpadł na schody swego mieszkania i szarpnął drzwi. Schwycił żonę w ramiona — Marto! oto mam chleb i mam pracę. Wprawdzie daleko od was, nie szkodzi to jednak.

— Chodźcie dzieci i jedźcie! Wyłożył wszystko na stół. Dzieci powyskakiwały z łóżek. Żałosny ich płacz ucichł. Jadły z pożądliwością. Dwadzieścia szeregów zębów żuło żwawo chleb. Paweł wyłożył na stół 55 marek.

— Oto od towarzyszy z zabawy sylwestrowej, a 2 stycznia wyjeżdżam do Włoch, gdzie mam do lata zapewnioną pracę. Opowiedział przytem o włóczędze Erneście, który pracować nie chciał.

Marta płakała, ale były to gorące łzy radości. Z ulicy doleciały ich dźwięki dzwonków. Paweł napełnił szklankę wodą i wzniósł toast: „Na zdrowie" Marto, jutro pójdziesz na zakupno! Jakże wzniosłą i piękną jest solidarność robotników! Nie prawdaż? Mocą solidarności tej świat zdobędziemy,

— Tak się też stanie, Pawle! — odrzekła promieniejąc radością biedna kobieta.

Dzieci były syte. Śpiewały pieśń, którą się nauczyły były na zabawie 1 maja:

Choć burza huczy wkoło nas.
. . . . . .
Nie straszny dla nas burzy czas!
Nie straszna dla nas wrogów broń!
Choć wicher wkoło dmie —
Hej! bracia, cieszmy się!
. . . . . .
Hej, bracia, cieszmy się!

Marta i Paweł ze łzami patrzyli na swoje dzieci, czuli że wspólnemi siłami dzieci te wespół z towarzyszami wspólnej pracy będą toczyć dalej walkę z kliką panującą, gdy ich już na świecie nie będzie. Wreszcie ułożyli się rodzice wraz z dziećmi do snu, marząc o Nowym Roku. O roku nowej pracy i nowych zwycięzkich walk.

K. KAUTSKY.

Partja robotnicza.

Proletarjusz stoi w przeciwieństwie ze wszystkimi wyzyskiwaczami, bez względu na klasę, do której należą. Jedni wyzyskują go jako wytwórcę — inni jako spożywcę. Każda z dawnych partji może mu nawet przygodnie obiecać jakąś korzyść jako rezultat jej wycięstwa nad przeciwną partją wyzyskiwaczy. — I tak np. kapitaliści w tych krajach, gdzie potrzebny im jest wolny handel, obiecują robotnikom tani chleb — a obszarnicy ofiarowywali im jedno przy drugiem skrócenie dnia roboczego (naturalnie, tylko w fabrykach).

Ponieważ jednak proletarjusz przeciwstawia się wszystkim wyzyskiwaczom, przeto żadna ze starych partji nie może reprezentować trwale jego interesów. Każda z nich, jest przeciwniczką proletarjatu w najważniejszych dla niego kwestjach — każda z nich, ilekroć jej zawierzył, zdradziła go właśnie w najbardziej rozstrzygającym momencie. Zajęcie się robotników polityką wcześniej albo później doprowadza do tego, że przestają oni stanowić orszak burżuazyjnych partji i tworzą własne samodzielne stronnictwo, partję robotniczą. Stanowi ona kamień węgielny organizacji proletarjatu. Jego ekonomiczne organizacje, bez względu na to, jak dalece są uświadomione co do wspólności interesów wszystkich proletarjuszy, muszą jednak przedewszystkiem służyć interesom pojedyńczych gałęzi klasy robotniczej. Organizacja ogółu proletarjuszy jako klasy, spojenie się jego jako silnego jednolitego ciała jest możliwem tylko przez zorganizowanie się polityczne w samodzielną partję robotniczą.

Z tą samą nieubłaganą koniecznością doprowadza rozwój ekonomiczny do wytworzenia się partji robotniczej, z jaką wytworzył ruch robotniczy. Niemniej jednak nieuniknionem jest zwycięstwo nad innemi partjami, gdyż proletarjat coraz staje się silniejszym, gdy, przeciwnie, inne klasy stają się coraz słabszemi. Zwycięstwo to jest tylko kwestją czasu.

Masa najemników wciąż wzrasta, podczas gdy liczba posiadających ciągle maleje. Ale jednocześnie robotnicy zaczyną wzbijać się ponad klasy posiadające i swoją siłą moralną. Kiedy w szeregach klas posiadających walka konkurencyjna wre coraz wściekleji i szeregi te coraz więcej rozbija — a każdego pojedyńczo zmusza do tego, aby gniótł swoich towarzyszy i po ich trupach naprzód kroczył! kiedy walka konkurencyjna pobudza w klasie posiadającej najniższe i najpospolitsze namiętności: walka klasowa proletarjuszów wyrabia w nich najwyższe obyczajowe cnoty, jak: zaparcie się siebie, ofiarną odwagę, idealny zapał i serdeczne podtrzymywanie się towarzyszy — zalety, które w walkach mas mają znaczenie rozstrzygające.

Proletarjat też staje się coraz inteligientniejszy i coraz bardziej zwarty. Walka klasowa zmusza go do łączenia się w wielkie polityczne i zawodowe organizacje. Działalność w tych organizacjach i dla nich rozwija w klasie robotniczej talenty parlamentarne i administracyjne, ktore z czasem nietylko dorównają, lecz nawet przewyższą polityków i urzędników administzcyjnych klas posiadających. W żadnej bowiem klasie dążenie do wiedzy i chęć wiedzy nie jest tak wielką, jak w klasie robotniczej, w której umysły nie są wyczerpane walką konkurecyjną.

Jednocześnie jednak stają się proletarjusze coraz niezbędniejszymi dla produkcji, gdy, przeciwnie, kapitaliści coraz wyraźniej są dla niej zbytecznymi. Gdyby dziś usunięto klasę kapitalistów, to w znacznej większości, i to najważniejszych gałęzi przemysłu, wytwarzanie odbywałoby się dalej bez przeszkód. Natomiast w żadnym wielkim przemyśle nie można nawet na chwilę obejść się bez proletarjuszów. Właśnie cała masowa produkcja, właśnie te gałęzie przemysłu, które są niezbędne dla społecznego życia, prowadzono są dziś kapitalistycznie. W obecnym zatem społeczeństwie samo już istnienie jest wręcz niemożliwem bez pracy proletarjusza.

W ten sposób proletarjat stale wzrasta w liczbę, siły moralne, inteligiencję, solidarność i niezbędność. Staje się siłą, która jego przeciwnikom coraz więcej strach napędza

Wzrasta również jego wiara w siebie i ta radość, którą niesie w sobie, i nadzieja, podczas gdy wrogowie jego w trwodze zaczynają o siebie rozpaczać.

Proletarjat, z chwilą, gdy staje się siłą — nie jest już odosobnionym. Pod jego chorągiew ciągną rekruci i z innych klas wyzyskiwanych z proletarjatu intelgiencji, małomieszczaństwa i drobnego chłopstwa, które dotychczas biegły za sztandarami konserwatywnymi albo liberalnymi.

W rewulucyjnych ruchach ubiegłych stuleci walki stanowcze staczali zawsze wspólnie chłopi, małomieszczanie i proletarjusze. Punkt ciężkości spoczywał przytem zawsze na tej klasie, która ekonomicznie była najpoważniejszą. Przewagę w tak nazwanej Wojnie Chłopskiej mieli, naturalnie chłopi, w wielkiej francuskiej Rewolucji 18 w. i jej następnych walkach w pierwszej połowie XIX wieku — małomieszczanie. Od 60-tych lat zeszłogo wieku wszędzie tam, gdzie tworzy się samodzielna partja robotnicza, przywództwo w walce przeciwko ciemiężcom i wyzyskiwaczom niższych warstw ludowych przeszło do proletarjatu.

Rozmaitości

Nowy kometa. Rok bieżący był szczególnie bogaty w komety. W obecnej chwili piąty już z rzędu błąka się na nieboskłonie, jednakże może być widzialny tylko przy pomocy aparatów optycznych, wielkość jego bowiem w pierwszej połowie grudnia równa się gwieździe jedenastej wielkości. Podczas odnalezienia go na niebie był nieco większy, przypominał gwiazdę dziesiątej wielkości. Ogon komety jest bardzo mały, wogóle zdołano go zaobserwować tylko w jednem obserwatorjum.

Odkrycia nowego komety, nazwanego „1910 c", dokonał włoski astronom Cerulli w obserwatorjum uniwersytetu rzymskiego w dniu 9 listopada. Cerulli, który posiada własne obserwatorjum w Serano w Abruzzach i który wydaje znany organ astronomiczny „Revista di Astronomia", jest tym samym uczonym, któremu świat zawdzięcza bardzo interesujące i pomysłowe, optyczno-psychologiczne wytłómaczenia rzekomych kanałów Marsowych. W świeżej też pamięci są jeszcze jego polemiki z głównym obrońcą kanałów na Marsie, Lovellem. — Nowy kometa, odnaleziony preez Cerulego, znajdował się podczas pierwszych obserwacji na południe od grupy Plejadów tworzył wraz z niemi i gwiazdą Aldebaranem mniej więcej równoboczny trójkąt. Poruszał się w kierunku południowo-zachodnim. Telegraf rozniósł natychmiast wiadomość w świecie uczonym o nowym gościu na niebie, natychmiast też rozpoczęto nad nim dalsze badanie w obserwatorjach w Rzymie, Kilonji, Kopenhadze, Utrechcie i t d. Na podstawie zebranych materjałów obliczył dr. Ebeli z Kilonji drogę komety. Wedle tego obliczenie kometa, wówczas jeszcze nieznany, przeszedł dnia 15 września o godzinie $12^1/_2$ w południe przez perihel i to w odległości 14,168 szerokości słońca, czyli 210 miljonów kilometrów. Nachylenie drogi ku ziemi wynosiło tylko 15 stopni 36 minut. Kometa oddala się coraz bardziej od słońca i od ziemi dążąc ku południowi.

* * *

Nowy sposób oczyszczania powietrza z kurzu. Dr. A. Richet obmyślił przyrząd, mający na celu oswobodzenie powietrza czystego z drobnoustrojów i z kurzu. System polega na przepędzaniu zanieczyszczonego powietrza przez cylinder, w którym bezustanie panuje atmosfera wilgotna. Opis tego pomysłu stanowił temat specjalnego komunikatu, przedstawionego Akademji Medycznej w Paryżu.

Przyrząd jest prosty i nie przedstawia żadnej trudności w zastosowaniu. Wentylator, obracany elektrycznością umieszcza się w cylindrze, szeroko otwartym od dołu i góry w celu ułatwienia dostępu powietrza (1200 m. kubicznych na godzinę). Ponad wentylatorem zawiesza się zbiornik o objętości 3 litrów; wyciekanie płynu reguluje się w ten sposób, by ilość jego wystarczyła na trzy godziny. Płyn, opadając kroplami na skrzydła wentylatora, rozpryskuje się na okół pod wpływem siły odśrodkowej i ścieka po ścianach cylindra do zawieszonego u spodu naczynia. Wynikający z rozpryskiwania kropel pył wodny wyławia z powietrza wszelkie zanieczyszczenia.

Oczyszczenie powietrza polegało dotychczas na doprawadzaniu do danego pomieszczenia świeżego powietrza, w tym zaś systemie, przeciwnie, ma się na widoku możliwość oczyszczenia powietrza, zamkniętego w danem pomieszczeniu, za pomocą cyrkulacji wewnętrznej przez wentylator.

Jako płyn oczyszczający, autor pomysłu używał glycery i wodę z mydłem, lecz rezultaty zarówno pomyślne otrzymywał i przy użyciu wody czystej.

* * *

Klimat Europy zepsuł się. Wszystko się psuje! Słysząc taki okrzyk w ustach starszego pokolenia, bierzemy go na karb gderliwości. A jednak powodów do podobnej skargi nie brak. Bo psują się nietylko ludzkie stosunki, lecz i atmosferyczne warunki. Od lat wielu, a zwłaszcza od roku 1908 stopniowo, lecz stale pogarsza się klimat, w Europie środkowej nie mamy upałów, lecz natomiast dokuczają nam deszcze, mgły, burze. Nie należy wyprowadzać stąd wniosku że pogorszenie będzie stałe. Od najdawniejszych czasów klimat ulega perjodycznym zmianom, ich okresy trwają od lat 30—35 (słaba pociecha) przynosząc ulewy i chłody. Przebywamy właśnie taki kryzys. Rozpoczął się już w roku 1880 i dosięgnął maximum. Jest więc nadzieja, że będziemy się znowu zbliżali do normalnej temperatury. Nastąpi to jednak nie prędzej, jak pomiędzy r. 1920—1925. Do owego czasu musimy być przygotowani na wilgoć i chłody latem i na mgły i deszcze w zimie.

* * *

Kiedy gazeta nie zawiera błędów drukarskich? Wtedy: 1) Gdy autor dobrze napisze artykuł 2) Gdy napisze go wyraźnie 3) Gdy zecer uważnie pomieści w pudle czcionki na swoje miejsca. 4) Gdy zecer weźmie właściwą literę a nie inną. 5) Gdy je dobrze ustawi. 6) Gdy korektor uważnie przeczyta odbitkę i uważnie poprawi. 7) Gdy zecer starannie zrobi korektę pierwszą. 8) Gdy korektor uważnie przeczyta i poprawi korektę drugą. 9) Gdy wszystko to będzie uważnie przeczytane raz jeszcze w rewizji. Gdy wiele innych czynności mniejszych, koniecznych, przy drukowaniu, będzie starannie dokonanych, wtedy można być pewnym, że..... jeszcze znajdą się omyłki.

* * *

Honorarja literackie w Rosji. „Rannieje Utro" informuje, że jedna z firm nakładowych („Oświata") uczyniła propozycję posiadaczce praw do dzieł Lwa Tołstaja, córce Aleksanrze L. Tołstojównie, wypłacenia za całkowite prawa do wydawnictwa prac ojca 1,300.000 rubli. Pieniądze będą złożone w gotówce w Banku (na 3 lata), do czasu ustalenia ważności testamentu Tołstoja.

Toż samo pismo ogłasza tabelę honorarjów literackich w Rosji na podstawie przeprowadzonej ankiety. Według tej ankiety pobierają stale od arkusza (!) druku: L. Andrejew 15,000 rubli, M Gorkij 12,000 rubli, K. Balmont 10,000 rubli, T. Sołłogub 8000 rubli, A. Kuprin 5000 rubli, W. Wierbicka 3000 rubli, A. Kamienskij 3000 rubli, M. Mielszyn 3000 rubli, M. Arcybaszew 3000 rubli, M. Morozow (Szlisselburczyk) 3000 rubli.

Z listy tej podajemy tylko 10 najgłośniejszych. Są to tak wysokie honorarja, że nietylko polscy, ale nawet najszczęśliwsi pod tym względem literaci francuscy, nawet marzyć o nich nie mogą...

* * *

Telefon bez drutu. Z Kopenhagi donoszą, że wynalazca telefonu bez drutu Waldemar Poulsen poczynił w ostatnich czasach znakomite doświadczenia na tem polu. Telefonował bez drutu na odległość 700 kilometrów ze swoich stacji telefonicznych. Poulsen traktuje obecnie o sprzedaż swego wynalazku z pewnym amerykańskim syndykatem.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Львівська Бібліотека
АН УРСР